Biblioteka
Warszawska

Mf 12448

Warszawa
1854 r.

t. 3-4

poz. Mf 12448

Biblioteka Warszawska

Warszawa 1954 t.3-4,og.zb.55-56(n-c VI-XII), sp.rzeczy

Oryg.:ZNiO sygn.117.152

neg. Mf 12448

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1854.

Tom trzeci.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LV.

P
117152

WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNEJ.

1854.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z R. 1854.

Filozofia.

Stron.

Historya i filozofia nauk ścisłych: 1) Whewel, History of the inductive sciences; 2) Philosophy of the inductive sciences. . . 93, 273

Materyały historyczne.

Baltazar Opeć. Wiadomostka o nim podana przez *Ambr. Grabowskiego*..... 189

Strona moralna Jana Karola Chodkiewicza wyczytana z jego listów, przez *Seweryna Gołębiowskiego*..... 393

Stobnica czy Stopnica. Przez *T. Lipińskiego*..... 593

Prawo.

Zastosowanie analogiczne art. 1257 kod cywil. do wypadków w których wierzyciel nie może długu odebrać, przez *Augusta Heylmana*..... 544

Opisy i podróże.

Stron.
Spiż, przez *Ludwika Zejsznera*. 1, 197
Wspomnienia z podróży i wycieczek po Kaukazie, przez *W. D.* 27
Wspomnienia z podróży nad Wołgą, przez *A. Potujańskiego*. 407
Etnografia Turków i ich pobratymców, przez *Andrzeja Kucharskiego*. 548

Literatura.

Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna 46, 289, 527

Powieści.

Dworek i pałac, powieść przez *K. Wł. Wójcickiego*. 117, 216
Kłopoty starego komendanta. Panna pułkownikówna. Opowiadanie. . 445

Poezye.

Dwa dwory, powieść przez *** 70, 313
Pan dwóchset wysp. Poemat Walter-Skotta (ciąg dalszy). 353
Chadży Abrek (przekład z Lermontowa). 434

Dramat.

Komedya. Dramat *Apollina Korzeniowskiego*. 507

Sztuki piękne.

Myśli i wrażenia z wystawy Cesarskiéj Akademii sztuk pięknych w Petersburgu, przez *W. Płaksina*. 176
Gawęda o rzeczach muzycznych, przez *J. Sikorskiego*. 354, 561

Rozbiory.

Skarbniczka naszéj archeologii, obejmująca średniowiekowe pomniki wojennego budownictwa Polaków, wiadomości do dziejów sztuk pięknych w Polsce, oraz wspomnienia z naszéj przeszłości i t. d., przez Ambr. Grabowskiego. Lipsk. 1854. Przez *J. Bartoszewicza*. 153
Prace Kommissyi Najwyżéj zatwierdzonéj przy uniwersytecie św. Włodzimierza, dla opisania gubernij kijowskiego Naukowego Okręgu. Kijów. 2 tomy. 1853. Przez *J. W.* 164
Roczniki Orzelskiego. — Policya St. Orzechowskiego. 173

Stron.

Roczników Polski Klimakter IV. Obejmuje dzieje Polski pod panowaniem króla Michała, przez Wespazyana z Kochowa Kochowskiego. Z łacińskiego tłumaczenie polskie. Z portretem. Lipsk. 1853. Przez *Juliana Bartoszewicza*. 338

Nauki przyrodzone.

Wiadomość o ptakach i niedoperzach znajdujących się w dolinie ojcowskiéj, przez *W. Taczanowskiego*. 145

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:

Chemia, przez *J. B...ę*. 382

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *A. Czarnowskiego* 380

Kronika bibliograficzna. 385

Doniesienia literackie. 191, 386, 595

Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiém:

za miesiąc maj r. b. 193

— — czerwiec r. b. 389

— — lipiec r. b. 597

SPROSTOWANIA.

Str.	*wiersz*	*zamiast*	*czytaj*
340	13 od dołu	Ceraz, Pompeusz	Cezar, Pompejusz
341	15 od dołu	ur. 1609	ur. 1669
341	4 — —	mgło	mogło.
342	10 od góry	Potulińskiego	Połubińskiego
346	20 od góry	warszawskim	warmińskim

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1854.

Materyały historyczne.

Stron.

Wiadomość o kościele św. Katarzyny na Kazimiérzu przy Krakowie, przez *W. P*..... 1

Spominki historyczno-artystyczne, przez *Ed. Rastawieckiego*..... 139

O mennicy wschowskiéj, przez *Tymoteusza Lipińskiego*..... 253

Opisy i podróże.

Opisanie wyspy Saint-Domingo, przez *Kazimierza Luxa*..... 197, 441

Wspomnienia z podróży nad Wołgą, przez *Alexandra Połujańskiego*..... 227

Literatura.

Stron.
Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna 118, 347, 478
Wyjątek z listu z Dorpatu. Uriel Acosta, przez *S. J.* 181
Kilka słów o poezyi mazowieckiego ludu, przechowanéj w obrzędach, przez *Jarosza* 366

Powieści.

Kłopoty starego komendanta. Panna pułkownikówna. Opowiadanie. 36
Chata za wsią. Powieść przez *J. I. Kraszewskiego.* (Tom IIIci i ostatni) 260, 505
Krzyż nad drogą (z księgi szkiców i fragmentów), przez *J. S.* 393

Poezye.

Pan dwóchset wysp, Walter-Skota 88
Powrót wiosny, przez *Gustawa Zielińskiego* 138
Legenda serbska. Sulejman i święty Sawa 224
Powiśle. Powieść z drugiéj połowy XVIII wieku, przez *S.* z *Z. P.* 323, 409
Mazepa (wolny przekład z Wiktora Hugo) przez *F. S. Dmochowskiego* 501

Rozbiory.

Garbaty. Powieść J. Korzeniowskiego. Diabeł.—Powieść z czasów panowania Stanisława Augusta przez J. I. Kraszewskiego. Przez *Leopolda Jakubowskiego* 154
a) Ueber die Konjugation im Polnischen (przez professora Rymarkiewicza). Poznań. 1852 r. *b)* O słowie polskiém i konjugacyach jego (przez H. Cegielskiego filozofii doktora). Poznań. 1852 r. Przez *T. Sierocińskiego* 172
Zasady fizyki i meteorologii, przystępnie dla ogółu wyłożone przez M. Pouilleta; przełożył Adam Bar kandydat filozofii, nauczyciel gimnazyum realnego. Przez *S. P* 179
Początkowe wiadomości z chemii napisane przez A. R. nauczyciela szkoły realnéj. Warszawa. 1853. Przez *S. P* 180
Szkice historyczne, skreślił Karol Szajnocha. 1853. Lwów. Przez *Juliana Bartoszewicza* 578

Nauki przyrodzone.

Stron

Kilka słów o obliczaniu miąższości drzewa, przez *K. Szumlańskiego.* 591

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:

Fizyka, przez *S. P.* 382

Chemia, przez *J. B...ę.* 188, 386

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od hr. *S.* 185

Kronika bibliograficzna 191

Doniesienia literackie 191, 387, 597

Uwiadomienie od redakcyi 388, 600

Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiém:

za miesiąc sierpień r. b. 193

— — wrzesień r. b. 389

— — październik r. b. 601

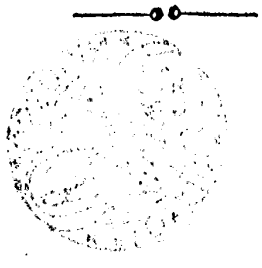

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

w Warszawie, d. 4 (16) Czerwca 1854 r.

Starszy Cenzor,

RADCA DWORU, **J. Papłoński.**

JAN NARGIELEWICZ

SPIŻ.

PRZEZ

Ludwika Zejsznera.

I.

Chociaż Spiż (Comitatus Scepsiensis, Zipser Comitat, die Zips) nie należy do obszerniejszych hrabstw węgierskich, istnieje jednakże największa rozmaitość tak w jego stosunkach przyrodzonych, jako i w ludowych. Wysokie alpejskie góry, potężne grzbiety 2 — 3,000 stóp wysokie, małe pagórki, a miejscami nawet obszerniejsze równiny: spotykamy dziwnie pomieszane w téj ciekawéj pod wielą względami krainie. Słowacka ludność głównie przeważa na Spiżu; na znacznéj przestrzeni mieszkają Polacy, w kilku wioskach są Rusini, a wreszcie znaczny płat okrywają Niemcy, przybyli do Węgier w XII i XIII wieku. W niektórych okolicach mieszają się ci ostatni ze Słowakami i Rusinami. Każdy lud trzymał się pewnych rzek, i dopiéro rozrodziwszy się nad niemi, rozszerzał się coraz bardziéj, aż spotkał inny szczep, stawiający mu granicę. Nadzwyczajne nierówności powierzchni ziemi nadały Spiżowi bardzo odmienną fizyonomią, i wywołały uderzające różnice klimatyczne. Nieraz wydaje się, że znajdujemy się w nader odległych stronach, gdy tymczasem tylko kilka mil dzieli te wielkie przeciwieństwa. Jakażto różnica pomiędzy ubogim owsianym krajem przy Jurgowie i Niedzicy, a żyznemi błoniami Nowéj-wsi lub Korotnoku; pomiędzy dziką

przyrodą dolin Tatrowych, a miłym krajobrazem Morgecan i Jakłowiec, albo pomiędzy czynną fabryczną ludnością nad Hnilcem, pod Gelnicą lub Prakendorfem, a straszném ubóstwem na północnym pochyle Magory, gdzie ludzie ludzi niedawno zjadali z głodu. Pod względem geograficznym należy Spiż do bardzo ciekawych krain: biorą tu bowiem początek rzeki płynące do Baltyckiego i Czarnego morza; i dziwna rzecz, działy te nie stanowią wysokie Alpy tatrowe, ale nizkie, zupełnie niepozorne grzbiety, które znaleźć można tylko na lepszych kartach geograficznych. Spiż dzieli się na cztery naturalne porzecza: Dunajca, Popradu, Hernadu i Hnilca. Jak wiadomo, wschodnia połowa Tatrów wysyła swe wody do Baltyckiego, zachodnia zaś do morza Czarnego. Na północno-wschodniéj pochyłości tego łańcucha rzeki płyną zrazu z południa na północ, i zatrzymują ten charakter prowadząc swe wody ku Wiśle; na południowo-wschodnim pochyle płyną z początku z północy na południe, a dostawszy się na równinę, zwracają się na wschód, a następnie na północ, i Dunajcem wpadają do Wisły. Tym sposobem mamy na Spiżu dwa oddzielne porzecza: Dunajca i Popradu, należące do Wisły. Właściwie Dunajec w swym przebiegu odgranicza Spiż od Podhala; prawy brzeg należy do Węgier, lewy do Podhala, ale w obydwóch zamieszkuje ludność polska ze szczepu Podhalan, i dlatego nazywam tę część Spiżem polskim.

Równie tak znaczną rzeką na początku jak Dunajec jest Poprad, poczynający się w wysokich Tatrach na zachodniéj granicy Spiża; jego porzecze więcéj jest na południe wysunione jak Dunajca. Po wypłynieniu z Tatrów, nagle zwraca się Poprad na wschód, przecina wzdłuż to hrabstwo od zachodu na wschód, i prawie na jego granicy zwraca się na północ; daléj płynie przez rozpęknięte Bieskidy i wpada do Dunajca pod Starym Sączem. W tym przebiegu zasilają głównie Poprad rzeki spadające z części bardziéj wschodniéj Tatrów, i niektóre mniejsze potoki, płynące z przeciwnéj strony z grzbietu porfirowego i pasma Igły, wznoszącego się powyżéj Kesmarku i Lubicy. W połowie zachodniéj porzecza Popradu leżą liczne miasteczka od Niemców zamieszkałe, którzy się odznaczają wzorową uprawą roli; połowa wschodnia te-

goż porzecza mniéj gęsto osiedlona, zajęta jest głównie przez Słowaków, pomieszanych w części ze szczepem polskim i ruskim. Porzecze pomiędzy Popradem a Hernadem dzieli nizki grzbiet porfirowy, kończący się przy wiosce Czwartek, i odtąd ledwie dostrzegalne wzniesienia stanowią dalszą część przedziału. Hernad bierze początek w potężnéj massie skalnéj Królowa-Hola, góry tak nazwanéj od węgierskiego króla Macieja Korwina, na którą wstąpił i na niéj miał obiadować. Hernad z trzema znacznemi rzekami, tojest: Hnilcem, Hronem i Czarnym Wagiem, w téj górze bierze początek; ale wszystkie te rzeki wprost przeciwne mają kierunki i zmierzają w przeciwne strony świata; dopiéro po długich zakrętach schodzą się ostatecznie do Dunaju, czyli do morza Czarnego. I tak Hnilec płynie w południowo-wschodnim kierunku i wpada do Hernadu przy Margecanach, a Hernad do Cisy pod Tokajem, która zmierza do Dunaju. Czarny Wag stanowi jedno z ramion Wagu, i na wielkiéj równinie węgierskiéj wpada do Dunaju, a tém samém do morza Czarnego. Hron płynie z początku na zachód, potém skręca się na południe i wpada także do Dunaju.

Porzecze wschodnie Hernadu różni się znacznie od zachodniéj jego części: naprzód jest wązką doliną, ciągnącą się pomiędzy wysokiemi grzbietami, a dno jéj składają prawie same łąki; druga część tego porzecza od Czwartku do Włachowa składa się z obszernych, wybornie uprawionych błoń, gdzie już cieplejsze wiatry dolatują, a po siołach widać piękne ogrody z zamożnemi dworami. Prawie naprzeciw zakrętu Popradu, zwraca się na południe Hernad pod Włachowem pod kątem prostym, i przedziera bogate w metale pasmo spizkie; tam łączy się z Hnilcem i po nieskończonych zakrętach wypływa w obszerną dolinę pod Koszycami, i odtąd zmierza wprost ku południowi do Cisy pod Tokajem. Ludność słowacka zajmuje porzecze Hernadu. Odmienne stosunki geograficzne od wymienionych, spotykamy w porzeczu Hnilca, gdzie Słowacy mieszają się z Niemcami, a w małéj ilości z Rusinami. Hnilec płynie długo na południowéj granicy Spiża, przedzierając się przez znacznie wyniesione góry, składające się z krystalicznych łupków, w metale nader bogate. W tém porzeczu niéma prawie uprawnéj roli, albo téż ogranicza się na bardzo małych kawałkach; dolina

tak bowiem jest wązka, że wioski i miasteczka zaledwie znajdują miejsce dla rozłożenia się wygodnego, i tylko przy ujściu do Hernadu rozszerza się nieco, i ztąd przy Mniszku, Helemanowcach i Jakłowcach widać znaczniejsze osady. Ale rolnictwo nad Hnilcem jest podrzędną rzeczą: głównie trudnią się mieszkańcy jego dobywaniem bogatych rud miedzianych, srebrnych, żelaznych, i przerabianiem z nich metali. Blizko ujścia, w odstępach kilku tysięcy kroków, widać same zakłady hutnicze: to wielki piec, walcownią, fryszerkę, to stępy do mielenia rud ubogich lub młyny dla zboża. Porzecze Dunajca ma całkiem charakter pasterski; Popradu i Hernadu większa część jest rolnicza, w zachodnich ich częściach miesza się żywioł pasterski z rolniczym, gdy tymczasem mieszkańcy Hnilca trudnią się wyłącznie przemysłem.

Aczkolwiek południowe góry spizkie porzecza Hnilca nadzwyczajnie są lesiste, dziko podarte, i na piérwszy rzut oka wydają się głównie przeznaczonemi na mieszkanie dzikich zwierząt; przecież żyje w nich gęsta ludność, zajęta przemysłem i nierównie więcéj ma wykształcenia od mieszkańców równin. Siły podziemne wyniosły na wiérzch te góry, napełniły ich skały obficie kruszcami i wyrobiły czynną ludność. Nieraz na długich przestrzeniach, na najwyższych grzbietach, spotykamy nieprzeliczone kopce, jeden obok drugiego, jakby na jakim cmentarzu. Uderzyło mnie to przy kopalni nazywanéj: „na Bińcie“ (auf der Bindt), w lesie zwanym Żałoba, lub na wyżynie wznoszącéj się nad wioską Mały Hnilec. Pomiędzy południową a północną pochyłością gór kruszcowych w Tatrach, jest mnóstwo małych miasteczek, nadających właściwą fizyonomią Spiżowi. Mieszkańcy ich zajmują się przemysłem, a jeszcze więcéj rolnictwem. Pomimo tego przeważającego wejrzenia rolniczego, mieszkańcy są więcéj wykształceni, i posiadają nieco więcéj zasobów od zwyczajnego włościanina; nader pracowicie uprawiają swe kawałki roli i służą za przykład zwyczajnym rolnikom; nadto budzą się pomiędzy niemi tu i owdzie pojęcia obchodzące ogół ludzkości, które u wieśniaka rzadko się odzywają.

Spiż rozpada się na cztéry naturalnie odgraniczone części; na północny, pagórkowaty, i równinowy południowy: każda z nich ma sobie właściwy charakter. W pół-

nocnéj przeważa życie pasterskie, mieszkańcy głównie zajmują się chowem bydła i owiec, i dlatego nazywać ją będę Spiżem pasterskim; w pagórkowatéj uprawiają ziemię i hodują bydło; w trzeciéj części głównie przeważa rolnictwo, a w południowych górach, tworzących szeroki pas, trudnią się ludzie górnictwem i hutnictwem, i tę część nazywać będą przemysłową. Od wieków zakwitło w tych stronach górnictwo, które pobudza mimowolnie mieszkańców do zastanowienia się nad środkami sfatwiającemi wydobywanie metali, i szukania nowych uposobów wyciągania zysków z wydobytych kruszców. Téj właśnie przyczynie przypisać należy obudzenie się ducha przedsiębierczego, zapewniającego Spiżowi moralną wyższość nad innemi hrabstwami węgierskiemi.

Podhale Spizkie. Część Spiża o północno-wschodni stok Tatrów oparta, graniczy od północy i zachodu z naszém Podhalem. Dwie te krainy nie różnią się wcale fizycznie, tylko dzieli je polityczna granica, która coraz bardziéj przez obecne wypadki zaciéra się; krainy te bowiem mają też samą nieurodzajną ziemię, tenże ostry klimat i wysokie hale, na których w lecie paszą swoje bydło. Mieszkańcy téj części Spiża są polskiemi Podhalanami, i podobnie jak w Orawie mówią zastarzałym polskim językiem: zdrowi i silni, wysmukłego wzrostu, mają też samą otwartość charakteru i bystrość umysłu, tak odznaczające mieszkańców naszych alpejskich okolic. Ludność polska na Spiżu, według urzędowego spisu z roku 1850, wynosi 53,000.

Pomiędzy wioskami téj części Spiża, leżą dwa czy trzy miasteczka, nieodróżniające się prawie od większych wiosek: Biała, Frydman są zupełnie podobne do Nowegotargu, i służą za miejsce sprzedaży i kupna produktów rolniczych. Urządzenie stosunków włościańskich odmienném było na Spiżu przed rokiem 1848, od trwającego od niepamiętnych czasów na Podhalu: włościanie odrabiali na Spiżu oznaczoną pańszczyznę, gdy Podhalanie czynsz płacili. W każdéj wiosce był wójt, nazywany Rychtar. Łatwo można było poznać jego mieszkanie po insygniach, przywiązanych do jego urzędu, a stojących przed oknem, po dybach różnego rodzaju i dereszu czyli ławce. Teraz te symbole władzy zmieniły się w napis na tabliczce: Richtar, Ortsrichter. W różnych wioskach pańszczy-

zna była odmienną i stosowała się do rozległości gruntów dworskich, a gdzie tych nie było, włościanie mieli obowiązek pracowania w przyległych lasach Tatrowych.

W miarę posuwania się na południe od granicy, którą stanowi Dunajec, część ta Spiżu staje się coraz bardziéj nierówniejszą; wysokie grzbiety, a pomiędzy niemi głębokie doliny, są coraz bardziéj wydatniejszemi w miarę zbliżania się do stóp Tatrów, a za niemi idzie nadzwyczajna dzikość. Wioski rozciągające się po dolinach, jakoto: Jurgów, Czarnahora, Jaworyna, nie różnią się w niczém od podhalańskich Chochołowa, Zakopanego i Bukowiny.

Jaworyna. Pod samemi stopami Tatrów ciągnie się długa wioska, albo raczéj zakład hutniczy Jaworyna, przy otworze potężnéj doliny jaworyńskiéj. Ta dolina rozpoczynająca się przy najwyższych szczytach tatrowych, około sześć godzin długa, jest na wschodzie ostatnią wielką przerwą tego łańcucha, należy w nim do największych, i dlatego jest podobna do doliny Białki, Kościeliskiéj i Rohaczów. Wśród dziko poszarpanych grzbietów, gęstych lasów jodłowych i świerkowych, nader ujmuje podróżnego ten zakład; obszerne domostwa, wielki piec, młoty, czysto, nawet z pewnym zbytkiem są utrzymywane. Przeciwieństwo pomiędzy siłami przyrody a dziełami człowieka, mieści w sobie jakiś niewymowny urok. Zakład ten oddawna założony został dla wytapiania rudy żelaznéj, zawartéj w poblizkiéj górze Swistowéj; ale pokład jéj leży na znacznem wyniesieniu, a do tego po pewnym przeciągu czasu zaczął stawać się coraz węższym, i zmieszał się tak ściśle z wapieniem, w którym tkwi, że stał się całkiem nieużytecznym. Teraźniejszy dzierżawca p. Heissel przekonał się, że korzystniejszą jest rzeczą sprowadzać z południowego Spiża bogato-procentową rudę (węglan żelaza), o dwa dni drogi odległą, po najgorszych gościńcach, aniżeli spuszczać się na ubogie rudy góry Swistowéj. Przekonał się nadto pan Heissel, że nieraz korzystniéj jest wykuwać surowe żelazo, a tym sposobem spostrzebowywać gęste lasy, użytkować z wody i zakładów fabrycznych; i dlatego w teraźniejszym czasie niebardzo czynnym jest wielki piec, gdy przeciwnie młoty i walcownie, według nowszych poprawy urządzone, przerabiają 15,000 do 18,000 centnarów wiedeńskich surowego żelaza, sprowadzonego po większéj

części z wielkiego pieca w Kurczynie, niedaleko Muszyny i Bardyowa, lub z licznych wielkich pieców południowego Spiża.

Produkcya żelaza otwiéra mieszkańcom Jaworyny liczne zarobki, i zapewnia im jeżeli nie obfite utrzymanie, to pracowici mogą żyć w twardych latach drożyzny, pochodzącéj z gnicia ziemniaków. W zimie pospolicie ustają w Jaworynie wszelkie roboty, bo nie ma siły: spadające wody z wysokich hal ścinają się w lód, a źródła zasilające strumienie, są zasłabe do obracania licznych kół tego zakładu. Wody jaworyńskie nie mogą się mierzyć z obfitością źródeł przy wielkim piecu Zakopanego, gdzie nawet w czasie największych mrozów strumienie płyną jak zwyczajnie, i prace hutnicze nie ustają, albo na krótki czas tylko. Kute żelazo jaworyńskie, podobnie jak Zakopanego, należy do najlepszych: albowiem surowiec wyrabiają z najlepszych rud (z węglanu żelaza), na węglu drzewnym, a następnie przekuwają go podobnymże węglem.

Wspaniały jest widok na dolinę Jaworyny z zakładu, aczkolwiek znajdującego się na wysokości 3011 stóp według Wahlenberga; tém samém Jaworyna leży prawie na takiém wyniesieniu, jak wielki piec Zakopanego i kościeliski młot. Jeszcze rozleglejszym staje się ten widok, postąpiwszy około 1000 kroków do doliny: ztamtąd widać długi pas olbrzymów skalnych, na krańcu wschodnim rozpoczyna się potężna massa piramidalna granitu, zwana Rother Thurm, połączona rozciągłą przełęczą nazwaną Siodło nad białém jeziorem (Sattel ober dem weissen See); daléj rozciągłe niższe wirchy tworzą jakby zaklęśnienie aż do granitowéj piramidy zwanéj Kołowe, sterczącéj nad wysoko położoném jeziorem Kołowe, tak nazwaném od koła utkwionego kiedyś w środku jego wód. Bystro wznoszący się wirch Kołowy łączy potężna massa skalna, podobna do skośnéj piły, albo przewróconych stopni, nazwana Pośredni wirch, (nazwa zwyczajnie używana od górali dla niższych szczytów, łączących dwa wyższe); za nim wznosi się dopiéro bystro piramidalna Lodowata. Niktby nie sądził, że to najwznioślejszy szczyt z całego pasma; inne wydają się również wysokiemi, ale nic łatwiejszego, jak mylić się w ocenieniu wysokości gór, kilkaset stóp od siebie wyż-

szych. Nieraz góra niższa wydaje się pozornie wyższą; wpływa na to wiele okoliczności, a mianowicie odległość, w jakiéj się obiedwie wznoszą od uważającego, jako i ich oświetlenie. Wielki szwedzki botanik Wahlenberg, który tę część gór najdokładniéj rozpoznawał, uważa, że Lodowata (Eistaler Spitze) wyższą jest od szczytu Łomnickiego, a tém samém najwyższą w Tatrach. Przewodnicy opowiadali mu, że nie jest dostępną; tymczasem tak nie jest w istocie. Odważny strzelec na dzikie kozy Kasin Jonek z Jaworny opowiadał mi, że nieraz był na szczycie Lodowatéj, a nawet, że wstęp od strony północnéj nie jest tak trudnym. Na wszelki wypadek życzyćby należało, aby kto Lodowatą zmierzył dobrym barometrem i rozstrzygnął, który ze szczytów Tatrowych jest w istocie najwyższym. Za Lodowatą sterczą w końcu potężne jaworowe turnie, a daléj zamykają ten widok wirchy wznoszące się nad Morskiém Okiem.

Postąpiwszy kilkaset kroków za wielki piec jaworyński ku wnętrzu doliny, weszliśmy do gęstego lasu. Rzadkiéj piękności drzewa znajdzie tutaj malarz krajobrazów; świerki w całéj potędze roślinności, a botanik może badać, jakie warunki sprzyjają rozwojowi téj rośliny, właściwéj zimniejszéj strefie. Nieraz te piramidalne drzewa wieńczą siwą skałę wyskakującą w pośrodku lasu czarnego i spuszczają się do strumyka, którego szmaragdowe wody rozbijając się w pianę, przyczyniają się do wdzięku tych spokojnych obrazów. Przeciwieństwo małych i wielkich widoków przyrody ma właściwy powab. Przebywszy ten las, otworzyła się przed nami rozległa polana, a na niéj, jakby z niechcenia rzucone pojedyncze domki. Na polanie właśnie panował bardzo wielki ruch (20 sierpnia 1851 r.): przy nieprzeliczonych kopach siana krzątało się mnóstwo górali i góralek; jedni grabili, drudzy ustawiali stożki, mniéj posiadający znosili siano w białych płachtach do szopek na zimowe schowanie. Około polan czyli łąk ogrodzonych nader pilnie chodzą tutejsi górale: starannie wybiérają z nich kamienie, układają niemi ogrodzenia, i posypują nawozem, zbiéranym w szałasach. Dotąd nie nawodniają ich, bo zdaje się, że tego niéma potrzeby, gdyż w Tatrach aż zaczęste deszcze, i na brak wilgoci nie trzeba się uskarżać.

Różnica pomiędzy uprawną a zapuszczoną polaną uderza na piérwszy rzut oka; piérwsza ma żywą zieloność, druga zaś jakby zwiędłą.

Okolice górskie mają tę wielką wyższość nad równinami, że co kilka tysięcy kroków zmieniają się widoki. Z polany jaworyńskiéj wydaje się Lodowata nadzwyczajnie potężną, i przedstawia się w całym ogromie massy wraz z przyległym szczytem Rother Turm; od wschodu skalisty Murań zdaje się jakby się nad polaną zwieszał, a za nim do stogu siana podobny Hawrań i rozciągła Jagnięcia. Ostatnie góry składają się z wapienia, i jak zawsze, urozmaicają one wielkie siwe ściany lub iglice, wyskakujące z ich boków i szczytów.

Od polany jaworyńskiéj, postępując daléj ku górom, roślinność jest jakby całkiem przyduszona: smutna przyroda mineralna obejmuje swe panowanie, niezmierne okrąglice granitu okrywają całkiem dolinę, albo tworzą potężne grzbiety, powlekając całe ich boki. Podobne okrąglice leżą w krajach nad brzegami morza Niemieckiego i Baltyckiego, począwszy od Holandyi przez Niemcy, Polskę i Rossyą, aż do Uralu, których granicę południową naznaczył piérwszy na karcie geologicznéj Rossyi europejskiéj, sławny angielski geolog Sir Roderyk Murchison. O ich początku w jaworyńskiéj polanie nie ma żadnéj wątpliwości: stoczyły się z przyległych olbrzymów granitowych, a może rozsiały je w części po powierzchni dawne lodniki; śladów ich jednakże, jakoto: wygładzonych lub porysowanych ścian, stanowiących boki dolin, nie można wcale dopatrzeć. Granity północnéj Europy zdaje się że przybyły na krach pędzonych od bieguna północnego, bo około niego rozpościérały się lody kiedyś nierównie obszerniéj, jak w naszych czasach. Swiérki pośród tych okrąglic rzadko wyrosły, albo są pokrzywione; pospolicie siwym mchem powleczone. Nie tak upośledzonemi od ostrości klimatu są limby, tutaj liczne; widać, że znoszą ostrzejsze zimno, bo wcale zdrowe mają wejrzenie. Nie można dosyć uwielbiać przyrody: do wszystkich okoliczności przystosować umiała żyjące jestestwa. Lubo okrąglice téj części doliny jaworyńskiéj składają się z twardego granitu, psują się jednak widocznie: życiodawczy kwasoród powietrzni zarazem

i wszystko niszczy. Przez pewien czas utrzymuje on jestestwa żyjące, a gdy przebiegną koło zamierzonego żywota, zapewniwszy trwanie gatunku, przyczynia się głównie tenże pierwiastek do ich zniszczenia. Nie tak szybko działa kwasoród na przyrodę nieożywioną, lecz nieustannie przygotowuje jéj rozkład. Ten roztaczający proces odbywa się nieprzeliczonemi drogami: w granitach rozdziela od siebie naprzód mechanicznie trzy jego składowe minerały, tojest: mikę, feldspat i kwarc, następnie lekko blaszki miki unosi wiatr, a feldspat przechodzi szereg przemian, t. j. zwolna traci pojedyncze pierwiastki, a z niemi swą spójność; także rozrabia ten minerał następnie woda, bo wymywa i zwolna uprowadza to twarde ciało. Okrąglice tak nadpsute mają nader chropowatą powierzchnią dla wystających ziarn kwarcu, ale i te wypadają przy dalszém niszczeniu feldspatu, a z ich rozkładu powstające piaski zwiewają wiatry na małe płaszczyzny, na których puszczają się rzadko rosnące źdźbła trawy, podobne do wyrąbanego lasu; tylko jaffer buja tutaj (ziele czarnéj jagody), gęsto usnutym kobiercem. Borówki właśnie już na nich dojrzały; dochodzą tutaj do niezwyczajnéj wielkości i są wybornego smaku. Grupy paproci zwarzyły już przymrozki (24 sierpnia 1851 r.), lecz świecznikowi to zimno nie zaszkodziło: jego kwiaty cudnéj szafirowéj barwy, tu i owdzie wśród skał rozrzucone, odejmowały dzikość téj okolicy.

Postępując daléj ku Lodowatéj, wzmagał się coraz bardziéj obraz zniszczenia: roślinność stawała się jeszcze rzadszą. Mały pagór okrywały zielone krzaki, a pomiędzy niemi wznosiły się pojedyncze sucharze (zeschłe stare świérkowe drzewa bez kory). Okoliczność ta potwierdza mniemanie, że musiał być kiedyś na kuli ziemskiéj cieplejszy klimat, gdyż teraz rosnący świérk zaledwie dochodzi w tém miejscu do wysokości krzaka, i bywa z jednéj strony okryty śpilkami, naprzeciw dmuchającym zimnym wiatrom. Wstąpiwszy na ten pagór, pokazały się u stóp jego, wśród samych okrąglic, dwa jeziorka: piérwsze zwane Czarny staw jest podłużne, około 400 stóp długie a 50 do 60 stóp szerokie; mniejszy staw nie ma nazwy, jako bardziéj podobny do stojącéj kałuży. W środku ma on zieloną plamę, a woda jego jest czerwonawa od głazów granitu, w spodzie leżących,

powleczonych porostem téj barwy. Od Czarnego stawu wznosi się stromo Lodowata i tędy wstępuje się na jéj szczyt. Ztąd dolina Jaworyny zwraca się daléj ku południowemu zachodowi, do stóp jaworyńskich turni, i ciągnie się jeszcze 5 do 6 godzin daléj; są tam jeszcze dwa małe jeziorka podobne do opisanych: piérwsze leży pod Zieloną Turnią, Żabie jezioro, a pod Małym Kołbahem drugie znów, Czarne jezioro.

W téj dzikiéj, kamienistéj okolicy, naznaczonéj smugami śniegu, gdzie człowiek rzadko przebywa, założyły sobie główną siedzibę na jaworowych turniach dzikie kozy i świstaki. Opowiadał mi jeden z najśmielszych strzelców z Jaworyny, wspomniany Kasin Jonek, także nazwany Łysy Jonek, że tam około sto kozłów położył; a chociaż ten starzec zupełnie łysy, przeszło 70 lat liczy, przecież jeszcze silny i zdrów wychodzi na polowanie, i nieraz przebywa w holach po całych tygodniach. Od niego otrzymałem kilka piosnek, które podaję, aby dać wyobrażenie o tutejszéj mowie:

Wtedy mi się wtedy, serce rozweseli,
Kiedy mój Janiczek przy Krywaniu strzeli.
Wtedy mi się wtedy, serce rozweseli,
Kiedy nasz wielkomożny nad Zieloném strzeli.
Słudzem sobie słudzem, chodzem po dziedzinie,
Szukam sobie szukam, dobréj gospodynie.
Słyszałem se na turni godzinę bic,
Miałem ja se frajerki, teraz nie mam nic.
Kup mi buty, kup mi pas,
Bo ja idę kozy paść.
Dudki z capa, dudki z kozła,
Poprawże się, boś się zwiezła.
Z turni owce z turni, do zielonéj równie,
A ty suchajeczku przybliżaj się ku mnie.

Pod Spady. Prosto wytknięty gościniec prowadzi od zakładu jaworyńskiego przez bujny las świérkowy do kilku domów, pomiędzy któremi odznacza się porządne mieszkanie leśniczego, nazywane Pod-Spady. Drogę tę przecina prawie w środku szumna Jaworynka; odtąd zwraca się na zachód i szeroko płynie pod potężnym grzbietem, okrytym w części lasem, w części polami ornemi, na których widać rozrzucone chałupy. Od Pod-Spadów zwraca się główna droga na wschód, do południowego Spiża; a chociaż tędy całe Podhale jeździć zwykło po zboże węgierskie, droga ta jednak nie należy do najle-

pszych: miejscami nawet trudną jest do przebycia. Te przykrości wynagradza prawdziwie wspaniały widok na Murań i dalsze grzbiety, zniżające się coraz bardziéj ku wschodowi. Wjechawszy na grzbiet wzniesiony pomiędzy Pod-Spadami a Żarem, uderza potężny a śmiały Murań, ostatnia wielka massa skalna wschodniéj części Tatrów. Skaliste ściany zbiegające się w ostry koniec, nadają temu wzniesieniu coś niewymownie pięknego i niezwyczajnego. Aczkolwiek Murań nie jest bardzo wysokim, wstęp nań jest bardzo trudny: jedna tylko ścieżka prowadzi na szczyt, w wielu miejscach niebezpieczna. Według opowiadania przewodników, jest w téj wapiennéj górze obszerna jama, w któréj czterema końmi można zawrócić. Z wysokości drogi, widok na góry Murania i za niemi ciągnące się grzbiety, kończące ten łańcuch, nazawsze pozostanie w pamięci. Dalsze grzbiety mają odmienny kierunek od Tatrów, i zapewne wzniosły się piérwéj od tego pasma.

Wieś Żar. Nazwę téj wioski piszą nadzwyczajnie dziwnie na kartach geograficznych przez Madziarów wydawanych, i w dziełach ztamtąd czerpających. Któżby się dorozumiał, że Zsjar lub Zsdjar ma znaczyć polski Żar. Mieszkańcy téj trudno dostępnéj wioski niewiele mają ogłady, i może nie wyrażę się za ostro, są jakby zdziczali. Właśnie temu ich odosobnieniu winniśmy zachowanie najdawniejszych form językowych, często niezrozumiałych, a mało co rozpoznawanych; poznanie tego odwiecznego narzecza, przyniosłoby niemało objaśnień badaczom naszego języka. Wieś ta ciągnie się wzdłuż doliny prawie na milę, i przypomina żywo równie rozciągłą wieś Zakopane. Jak w całéj góralszczyznie, tak i Żar nie jestto ciągła wioska, lecz składa się z wielu gromadek domów; skrajna nazywa się Parowiec, daléj siedzą Majorczykowie, Brylowiaki, Bachledowie, a prawie w środku stoi kościół i plebania, wcale porządna, i większa gromadka domów. Dziwna rzecz, że w Żarze nie zaszczepiła się wstrzemięźliwość i nie wzięto wzoru z przyległego Podhala, gdzie tak nadzwyczajnie zbawienne skutki sprawia. Gdy w roku 1844 zaprowadzono w całych Bieskidach i Tatrach tę zasadę tak dobroczynną dla ludzkości, sądzili węgierscy duchowni, że trudno, aby człowiek mógł się zupełnie obejść bez

wszelkich gorących napojów, i duchowni skłaniali swych parafian ślubować na mierność, tojest na mierne używanie napojów. Jakie owoce wydała ta zasada w sobie prawdziwa, czas okazał. Przez kilka miesięcy umiarkowanie używali wódki Żarzanie, jak i mieszkańcy innych wiosek węgierskich; ale po ustaniu tego ślubu, po roku, nierównie więcéj pili, jakby dla powetowania tego, co stracili przez pewien czas. Teraz z obrzydzeniem widać po karczmach w dni świąteczne ludzi bez zmysłów leżących. Mieszkańcy Żaru zajmują się głównie chowem bydła po obszernych a bujnych holach; nierównie mniéj zajmują się uprawą roli, ograniczającą się na owsie, jęczmieniu i ziemniakach.

Od młynów Żaru, nad któremi sterczą ściany konglomeratu rozsypującego się w żwir, zwraca się droga ku południowi, ku holom, i prowadzi przez głęboką dolinę lesistą. Dwie dobre godziny trzeba jechać wśród gąszczów leśnych; niekiedy tylko wśród drzew wystaje siwa skała wapienna, czasem spotka podróżny juhasa ze stadem owiec, albo karawanę wracających górali z siaciem (zbożem), jako wynagrodzenie w żyznych krajach węgierskich, za robotę wykonaną w czasie żniwa. W końcu rozszerza się znakomicie ta rozpadlinowata dolina, góry odsuwają się na bok, i wreszcie na równinie pokazują się nieco większe zabudowania karczmy Szarpaniec. Zwyczajnie popasują tu podróżni, jadący w przeciwne strony. Pomiędzy gęstemi lasami, ciągle u stóp Tatrów, ciągnie się droga do wód kwaśnych w Szmeksie; ale pospolicie dla niezmiernych błot nie jest do przebycia.

Od dobrze znajomego Szarpańca, postępując drogą ku Kesmarkowi, zmienia się szybko wejrzenie kraju. Bryły granitu okrywające całe równiny podtatrowe stają się coraz rzadsze; zastępują je zwolna żwiry, piasek, a za niemi zaraz zaczynają się uprawne role; oko spotyka rozrzucone sioła, aż wreszcie kraj uprawny przeważa i zaczyna się żyzny Spiż, zamieszkały przez Niemców, w XIII i XIV wieku tutaj przybyłych, powszechnie Sasami zwanych. W miarę oddalania się od gór, zdaje się, że się podwyższają; już milę za Szarpańcem wydają się olbrzymami.

Magora. Od końca Tatrów, daléj na wschód od Zaru ciągnie się potężny grzbiet, złożony całkiem z piaskowego kamienia, zwany Magora, podobny do niezmiernego wału. Od tego przedziału nazywają mieszkańców na północnym boku mieszkających Magorzanami, i uważają ich za najbiédniejszych w całém hrabstwie; jeżeli głodny rok następuje, naprzód troszczą się o nich na Spiżu. Magora jest zarazem linią graniczną dla dwóch szczepów: Polaków i Słowaków. Na północnym stoku siedzą piérwsi, na południowym drudzy, a pomiędzy niemi plączą się niemieckie osady. Wyborna, starannie urządzona droga ciągnie się przez Magorę aż do Czorsztyna. Wioski przy niéj leżące są długie i jednakowe mają wejrzenie. Pomiędzy Szaflarami a Białą jest przerwa dobrze pół mili szeroka, którą płynie Biały Dunajec, wychodzący z Tatrów; dopiéro pod miasteczkiem wymienioném wznoszą się znowu wapienie w kształcie piramid, nadające tyle malownéj rozmaitości dolinie Dunajca. Widać to szczególniéj dobrze, spuszczając się z wysokości Zakliczyna ku Nowemutargowi.

Od Biały aż ku Czorsztynowi i niedzieckiemu zamkowi ciągną się łańcuchem wapienne skałki, coraz wyższe w miarę zbliżania się na wschód; jedne okrywają czarne lasy świerkowe, innych skaliste ściany są dziwacznie potargane. Nad samym Dunajcem, na jednéj z tych skał stoi ruina zamku niedzieckiego, nazywana także na kartach węgierskich Arx Dunajetz, zamek dunajecki. Zamki niedziecki i czorsztyński wznoszą się na przeciwnych brzegach Dunajca, wśród dziko poszarpanych skał i bujnéj roślinności, i nadają niewymowny wdzięk całéj okolicy, położonéj na granicy dwóch kiedyś znaczniejszych państw. Właściciel zamku niedzieckiego baron Paluczaj, do którego prawie większa część Spiża polskiego należała, kazał przed 30 laty wyporządzić wewnątrz zamek niedziecki, i odwieczny ten gród stał się wcale przyjemną siedzibą, bo obszerne i wesołe pokoje mieści ta pozorna ruina. Baron Paluczaj należał do rzędu tych obywateli węgierskich, którzy wymierają już widocznie. Pełen serdeczności, co miał w myśli, to i na ustach; lubił nadzwyczajnie towarzystwo, przyjmował nader gościnnie odwiedzających, i nieraz ciekawy wędrowiec musiał po kilka dni

zostawać w tym gościnnym zamku, opływając we wszystko: zwodzony most bowiem został zciągnięty, jego stróż miał nakaz nie wypuszczać nikogo bez pozwolenia pańskiego, a oknem i najśmielszy nawet gimnastyk nie śmiałby się spuścić.

Kiedym zwiedzał ten zamek, nie żył już jego właściciel, tylko odźwierny okazywał jego wnętrze i piękne widoki z różnych okien; ze smutkiem opowiadał o wesołych niegdyś biesiadach. Aby przekonać się o bogactwach tego zamku, trzeba zstąpić do piwnic: tam pełno pułek ustawionych przy ścianach, uginających się niegdyś pod nieprzeliczonemi rzędami najwyborniejszego soku z Tokaju. Teraz w tylnych zabudowaniach zamku urządzono więzienia, i słychać było chrzęsty łańcucha. Takieto zmienne koleje przechodził ten gród średniowieczny, pełen wspomnień historycznych.

Blizko Niedzicy urządzony jest przewóz na Dunajcu do dawnéj komory w Staréj-wsi, którą po niemiecku nazywają Altdorf, a nawet piszą O Falu na kartach węgierskich. Na co się to zdadzą takie przemieniania nazw, zapyta się zapewne każdy, kto chce na karcie geograficznéj znajleźć ułatwienie, a nie przeprowadzenie jakichsiś widoków. Niejeden mając kartę dla użytku w podróży, znajduje na niéj takie nazwy, jakich żaden z mieszkańców nie zna. Ale zaślepienie nie jest długotrwałe: runie ono samo przez się. Stara-wieś ma być miasteczkiem, więcéj jednakże ma podobieństwo do dobréj wioski: jest w niéj kilku rzemieślników, i nieco wygodniejsza karczma żydowska. Od Staréj-wsi ciągnie się dobrze utrzymywany gościniec przez rozległe wioski Małaszowce, Hanuszowce, Redów i Hagy; we wszystkich mówią po polsku, jednak ogólne wejrzenie mają niezupełnie podobne do podhalskich. Domy stawiane z okrąglaków, noszą piętno góralskie. Wielkie stada bydła i owiec i lepszy nieco ubiór, mianowicie u kobiét, świadczą, że mieszkańcy są zamożniejsi od sąsiadów swoich. Tak na północném jak i na południowém pochyłu droga prowadząca przez Magorę do Spiża południowego jest starannie i dowcipnie wykonaną, mianowicie w boku od Hagów składa się z samych gzygzaków. Patrząc z wysokości na tę wioskę, przedstawia się obraz zachwycający. Na wierzchu Magory stoi biédna

kraczma, którą pomawiają, że ma być schronieniem zbójców. Postąpiwszy kilkaset kroków daléj, roztwiera się rozległy widok na Spiż południowy; kraina ta wydaje się jakby rozigrane morze, tylko jego fale ścięły się w kamienne grzbiety, pomiędzy któremi leżą nieprzeliczone sioła różnéj wielkości. Wyższe góry okolają wieńcem południowy Spiż.

Czerwony Klasztor.— Na lewo od Staréj-wsi prowadzi dosyć dobra droga do Czerwonego Klasztoru, prawie ciągle w pobliżu Dunajca aż do małych Pienin, które jeden z najpiękniejszych krajobrazów wydały. Przed tém małem pasemkiem sterczą piramidalne szczyty. Za największą trójkątną piramidą zwaną Macellowa góra, wznosi się mniejsza téjże postaci, Nowa góra zwana, zetknięta ze skalisto-potarganemi Pieninami. W całéj piękności wydają się te góry od Czerwonego Klasztoru: przy samym prawie Dunajcu niezwyczajnéj wysokości lipy tworzą piękne grupy, osłaniając niezbyt zajmujące gospodarskie budynki, a daléj starożytny gotycki kościołek z klasztorem. Kiedyś przebywali w nim Kartuzi, potém zastąpili ich Kameduli, lecz i ci zostali skasowani: teraz obszerne klasztorne zabudowania zmieniły się na folwark, i wraz z gruntami oddane na dochód grecko-katolickiemu biskupowi. Ztąd zwykli goście szczawniccy na łodziach wyrobionych z okrąglaków, a spojonych po dwie razem, odbywać podróż na szumnym Dunajcu, wijącym się wśród nagich skał aż pod Szczawnicę. Jestto jedna z tych zabaw, któréj w żadnych innych kąpielach polskich użyć nie można: mało gdzie znajdują się podobne. Kto sobie życzy używać piękności przyrody, niechaj odbędzie ten w swoim rodzaju właściwy spacer. Dzikość i malowniczość naprzemian zajmują duszę; wśród potężnych ścian skalistych, widać błękit niebios, a zupełną ciszę przerywa tylko szum szmaragdowéj i jak łza przezroczystéj wody, rozbijającéj się w pianę. Dunajec po nieprzeliczonych skrętach, po dobréj godzinie drogi zaczyna swe boki rozszerzać, coraz pochyłość ich zmniejsza się, skały powleka zieloność, widać i drożynę, którą chodzą do lasu bukowego górale. Uwiadomieni przez wystrzały nadbrzeżni mieszkańcy, witają płynących również szczególniejszemi sposobami, przypominającemi zagraniczne wody. Jeden

góral wchodzi do Dunajca aż po szyję, drugi bawi skokami, inny wygrywa na gęśli lub trubicie (długiéj a prostéj drewnianéj trąbie) góralskie melodye. Używanie piękności przyrody ma w sobie jakiś niewymowny powab; kto odbył podróż na Dunajcu wśród Pienin, zachowa o niéj wspomnienie, dopóki w nim nie zgaśnie ostatni wątek życia umysłowego. Pod względem mineralogicznym mieści ciekawy szczegół: Dunajec przy Czerwonym Klasztorze niewiadomo zkąd osadza na piaskach czarny minerał, zwany Magnetytem i Ilmenitem. W całych Tatrach i okolicznych górach nie ma skały te ciała zawierającéj: tém więcéj zasługują więc na uwagę, że im powszechnie towarzyszą w różnych stronach ziemi złoto rodzime i minerały zawierające platynę, którą nowsi mineralogowie nazywają Polixenem. Wśród czarnego piasku, wydobywającego się z Dunajca, trafiają się jeszcze drobne ziarneczka przezroczyste, żywéj czerwonéj barwy, podobne do rubinu lub rubinspinelu. Dla zbytniéj małości, nie było można dotąd przekonać się, jakito istotnie jest minerał. Ilmenit należy do rzadszych minerałów na powierzchni ziemi, zawiéra pierwiastek w sobie zwany tytan, który nie został dotąd w polskich krajach znalezionym. A zatém ta piękna okolica jest i dla mineraloga, i dla chemika ważną i ciekawą.

Śmierdzionka. Za Czerwonym Klasztorem dobre ćwierć mili daléj, na głównym gościńcu, w ciasnéj dolinie z niezbyt wysokiemi bokami, jest zakład kąpielowy: nazwa jego niebardzo piękna, pochodzi od źródła siarczanego, wielce zachwalonego w téj okolicy. Kiedyśmy zwiedzali te strony, (8 września 1850 r.) już wszyscy goście rozjechali się. a nawet wyprowadził się dzierżawca czy właściciel, i w obszernych domostwach kąpielowych nie było żywéj duszy; nawet do alacza (tak nazywają w Węgrzech stajnie przy karczmach) trudno się było dostać, tak mocno drzwi były zaparte: zapewne, aby w zimie śniegi nie psuły tego domostwa. Źródło Smierdzionki ma wodę zupełnie przezroczystą, na dnie powstaje osad pięknéj fioletowéj barwy; drugie obok wypływające źródło ma zielony spód. Obadwa wydają odor wodorodu siarkowego; tylko drugie jest nierównie słabsze. Temperatura piérwszego wynosi + 9,0—40,6 (8 września 1850 r.). Z jakiéj skały dobywa się ta woda,

nie można odgadnąć: nic nie wskazuje, iżby w głębi leżały pokłady siarki; zdaje się zatém, że powstaje z rozkładu pirytu (połączenie siarki i żelaza), zawartego niekiedy w wapieniach. Żydzi mieszkający w okolicy, głównie w dwóch letnich miesiącach zaludniają te mało co znane kąpiele, otoczone najpiękniejszemi widokami, które może kiedyś staną się sławnemi, gdy urządzenia dla przyjęcia gości będą zastosowane do potrzeb ludzi wykształconych.

Haligówce. Już ze Śmierdzionki widać poszarpaną górę, zwaną skałą Haligowską, a u stóp jéj leży długa wioska Haligówce, z którą kończy się ludność polska, a zaczynają się Rusini, noszący białe gunie, choć zresztą ubrani zupełnie podobnie do naszych górali. W skale haligowskiéj jest nieco znaczniejsza jama, dosyć często odwiedzana. Postępując ciągle tą piękną doliną, przebywaliśmy wioski Foliwark i Lipnik; droga nie była najlepszą, mianowicie też od Gmaidów ku Lubowni, małego miasteczka w miłéj okolicy położonego, którego ludność jest znów zupełnie polska, pomieszana z liczném żydowstwem. Ci ostatni zajmują się handlem, i w kilku wcale porządnych domach na rynku porządne mają sklepy.

Szczególniéj pięknie wydaje się ta mieścina z wysokości zamku lubowieńskiego, często wspominanego w naszych dziejach. Budynek ten nie jest bardzo obszerny; prawie w jego środku wznosi się okrągła wieżyca, która nadaje zamkowi właściwą fizyonomią. Tak z wysokiego obwodowego muru, jak i z samego zamku oddawna opadł tynk, i kto chce zastanawiać się nad materyałem, jaki służył do budowli w tych okolicach, ma do tego najlepszą sposobność. Najdawniejsza o tym zamku wzmianka sięga początku wieku XIV. W r. 1308 umocnił go do tego stopnia Maciéj hrabia z Trenczyna, że król Karol I z największym trudem go zdobył. W roku 1412 widzimy w nim Jagiełłę z cesarzem Zygmuntem królem węgierskim, radzących przez siedm dni o Krzyżakach i Wołochach: piérwszych postanowili wygnać z Prus, a ziemią podzielić się napoły. Król polski obowiązał się rozkazać Wołochom, aby pomagali Zygmuntowi przeciw Turkom, a gdyby tego uczynić nie

chcieli, mieli ich obadwaj mocarze wygnać, a ziemią również napoły się podzielić.

W roku 1419 powtórnie odwiedził zamek Jagiełło, bo właśnie przybyli doń posłowie papiezcy, wstawiając się o zawarcie przymierza z Krzyżakami. W roku 1433 zdobyli go Hussyci, a roku 1461 wpadł w ręce okrutnego Giskry, który zamek okropnie zniszczył, złupiwszy go poprzednio. Roku 1553 wybuchł w nim straszny pożar, spaliły się wszystkie dokumenta w archiwum, a rządca jego Balimeneth utracił życie; już odtąd nie wrócił zamek do pierwotnéj świetności. Roku 1558 Maxymilian arcyksiążę austryacki, ubiegający się o tron polski, osadził go Węgrami; lecz paktami bendzińskiemi zawarowany został zwrot jego. Roku 1669 postanowiono na sejmie utrzymywanie załogi ze stu piechoty dla obrony zamku i strzeżenia jego bezpieczeństwa. W czasie wojny szwedzkiéj, schronił się tutaj Jerzy Lubomirski z garstką wojska, uwożąc klejnoty koronne, a na początku stycznia 1656 roku przybył do niego Jan Kazimiérz wracający ze Szlązka. Uchwała sejmu roku 1658 policzyła zamek ten w rzędzie sześciu twierdz, które nakładem rzeczypospolitéj utrzymywane i zaopatrywane być mają, powiększając załogę do 120 i porównawszy ją co do żołdu z kamieniecką. Lustracya z roku 1664 nie daje wielkiego wyobrażenia o uzbrojeniu tego zamku. W roku 1769 zdobyli go konfederaci barscy pod marszałkiem Duszyńskim, ale wkrótce go opuścili. W r. 1772 zajęły go wojska austryackie; odtąd przeszedł zamek pod zarząd cywilny. Dawna ta siedziba starostów spizkich jest teraz własnością prywatną; opuszczony, bardzo spustoszał. Teraźniejszy jego właściciel p. J. Reisz kazał go wewnątrz wyporządzić, i założył w nim wcale miłe mieszkanie: z pokoi najpowabniejszego używać można widoku na miasto Lubownię i ku Tatrom. Ten czerstwy i wesoły starzec nie mieszka w nim; opowiadał, iż oddał zamek na mieszkanie swemu synowi z tą uwagą, że młode nogi mogą się po górach lepiéj wspinać; sam zaś pod zamkiem woli przebywać w porządnym domku przy zabudowaniach gospodarskich, zetkniętych z wioską. Na murach obwodzących zamek zachowały się jeszcze dawne wspomnienia; na wielkiéj tablicy z czerwonego marmuru jest herb książąt Lubomirskich,

a nieco daléj na podobnym marmurze smukły orzeł Jagielloński z literami na piersiach S. A. Zaraz za zamkiem wznoszą się wyższe wzgórza bujnemi lasy okryte; buki, dęby wraz z jodłami naprzemian okrywają pojedyncze wirchy, składające się z czerwonego marmuru, zupełnie podobnego do rogozińskiego, czorsztyńskiego lub Pienin. Niezmiernie obszerne łomy w górze Morman-kamień (marmurowy kamień) są w trzech miejscach; na ich spodzie porosło pełno krzaków, a nawet drzewek, tu i owdzie leży wpół ociosana bryła, widać opuszczona oddawna przez robotników. P. Reisz właściciel tych lasów i tego nieużytecznego teraz łomu, opowiadał mi, że już od XIV wieku łamano tutaj marmury na pomniki przeznaczone dla Krakowa. W roku 1770 obstalowano ostatnią potężną bryłę, przeznaczoną na ołtarz, czy nagrobek, i dano na to zadatek; ale zamieszania krajowe nie dozwoliły sprowadzić jéj, i dotąd leży w łomie mchem porosła. Marmur czerwony lubowiński zupełnie jest podobny do składającego pomniki Jagiellonów i niektóre późniejsze w Krakowie, uchodzi jednakże u starożytników krakowskich za marmur szwedzki. Nie ma wątpliwości, że w Szwecyi znajdują się czerwone marmury; czy są zupełnie podobne do składającego pomniki krakowskie, powątpiewam, albowiem szwedzkie mają odmienne na sobie rysunki, a przeciwnie lubowińskie największe mają podobieństwo do czerwonych marmurów północnych Włoszech. Pomniki z czerwonego marmuru w Wenecyi, Padwie, Wiczencyi i Weronie, nie różnią się wcale od kamienia nagrobku Kazimiérza W., Władysława Jagiełły, Zygmunta Starego, Augusta i t. d.; marmury te mogą więc tylko pochodzić albo z Włoch, albo z Karpat. Tak obszerne łomy musiały dostarczać wielkiemu i potężnemu miastu materyału do rzeźby; w Spiżu i jego okolicach nie ma żadnego wielkiego miasta z podobnemi pomnikami, prócz nieznacznych szczątków w Preszowie, Koszycach, Kesmarku, Lewoczy, Nowéj-wsi lub Bańskiéj Bystrycy (Neusohl). Jestto prawie zupełny dowód, że dla Krakowa służyły te dwa łomy na liczne pomniki. Nierównie więcéj używano tego czerwonego kamienia w XIV, XV i XVI wieku, aniżeli w późniejszych czasach, bo odtąd czerwone zastąpiły czarne marmury, w Dębniku i Krzeszowicach kopane. Przez ograniczone

używanie tego pięknego materyału, wiadomość o nim poszła w niepamięć i wylęgły się jakieś błędne mniemania o szwedzkiém pochodzeniu tego marmuru, chociaż nie potwierdzają tego żadne rachunki lub podania. Szukanie wszystkiego w obczyznie wprowadziło to błędne mniemanie. Możnaby rzecz tę stanowczo rozstrzygnąć przez skamieniałości widoczne na niektórych pomnikach, a mianowicie na grobowcu Kazimiérza Wielkiego, lecz ponieważ dostęp do niego nie jest łatwy, trzeba to dogodniejszemu czasowi zostawić.

O małą milkę od miasta Lubowni jest wyborna szczawa lubowieńska (Lublauer Bad po niemiecku). Na prawo od drogi zawraca się do poprzecznéj doliny. W gęstym lesie świerkowym odsłaniają się nagle rozległe a porządne zabudowania téj licznie od mieszkańców Węgier odwiedzanéj kwaśnéj wody. Jestto szczawa żelazista, obficie osadzająca przy odpływie pomarańczowy wodan żelaza. Wody jéj tryszczą nader obficie, i silnie wynurza się kłębami gaz kwasu węglowego; smak téj szczawy jest bardzo przyjemny, orzeźwiający. Obok głównego źródła, 10 kroków daléj, wypływa druga nie tak smaczna szczawa, dla licznych rozpuszczonych rozwalniających soli. Szczawa lubowieńska zupełnie podobna do poblizkich w Krynicy i Bardyowie, a tém samém do pyrmonckiéj. Skład jéj nie jest dotąd znany: zawiéra głównie żelazo i wapno; widać to przy odpływie w osadzie pomarańczowym i przy gotowaniu na kąpiele: wtedy bowiem ginie jéj przezroczysta barwa i staje się mętna jak żur. Lubowieńska szczawa działa nadzwyczaj zbawiennie na zdrowie: wzmacnia i dziwnym sposobem budzi wesołość. Przybywają do niéj liczne panie słabych nerwów z poblizkich okolic Węgier, i zupełnie z zadowoleniem wracają. Zwyczajnie towarzystwo tutejsze jest dobrane: zabawy nie są huczne, ale miłe i szlachetne. Szczególniéj przykłada się właściciel téj szczawy pan Probstner do wzniesienia tego zakładu; wśród dziczyzny urządza ze smakiem spacery na różnych bokach doliny. Spizki biskup Rewaj wystawił małą, ale wcale piękną kaplicę niedaleko źródła na wzniesieniu. Temperatura dwóch tych szczaw jest zupełnie jednakowa; według moich pomiarów główna ma + 7,80, mniejsza + 7,75 C. co zmieniwszy na podziałkę Reaumura,

odpowiada +6,15 R. Mimo tak nizkiéj temperatury woda ta przy piciu wcale nie oziębia, a nawet rozgrzewa. Gaz kwasu węglowego długo się trzyma téj wody, i dlatego dobrze zakorkowana, bywa rozwożona daleko po Węgrzech, gdzie dotkliwie czuć brak zdrowéj wody do picia. Daléj na wschód ku granicy szaryskiéj, kraj nie jest wcale ciekawy: coraz bardziéj staje się płaskim, i składa się z nieprzeliczonych pagórków okrytych gliną.

Sulin. Półtory mili na północ od Lubowni, w okolicy trudno dostępnéj dla złych dróg, nad samym Popradem wytryska jedna z najcelniejszych szczaw na Węgrach we wsi Sulin. Szczawa ta odznacza się niezwyczajnemi własnościami, jest bowiem do najwyższego stopnia nasycona gazem kwasem węglowym, który ją bardzo trudno opuszcza; dlatego szczególniéj zdatna jest do przewozu i długiego zachowania. W obecnym czasie sprzedają wodę sulińską po wszystkich nieco lepszych oberżach i restauracyach Węgier północnych; a szczególniéj pożądaną jest w częściach nizkich Węgier, gdzie zwyczajnie wody do picia są niesmaczne, a często, mianowicie dla nienawykłych do nich, bardzo niezdrowe. Zwyczaj używania téj szczawy niebardzo jest dawny. Zwrócił na nią uwagę jeden z urzędników barona Paluczaja, do którego Sulin należy, urządził jéj rozsyłkę, i w obecnym czasie dochód z tego źródła, o którém przed pół wiekiem wiedzieli tylko okoliczni mieszkańcy, przynosi rocznie 60,000 do 70,000 złp. Gdy ta szczawa nie była jeszcze powszechnie używaną, zalewał ją często wzbiérający Poprad; teraz otoczono ją obwodem kamiennym, który wzdętym wodom nie dozwala mieszać się ze szczawą. Nie posiadamy dotąd rozbioru téj ze wszech miar ciekawéj szczawy, dobywającéj się z piaskowca, nazywanego pospolicie karpatowym. Ponieważ sprawia lekkie rozwolnienie, zawiéra w sobie, według wszelkiego prawdopodobieństwa siarkan magnezyi i nieco części żelaznych. W pobliżu Sulina, na przeciwnym brzegu Popradu w Galicyi, znajduje się od niedawna poznana szczawa w Rzegostowie, któréj wodę rozwożą po Galicyi, a w części wychodzi i do Węgier.

Podoliniec. Półtory mili na zachód od Lubowni, wśród wyższych pagórków, leży Podoliniec, małe miasteczko, liczone do szesnastu miast, po większéj czę-

ści zaludnione Niemcami. Jak powszechnie na Węgrach, tak i to miasteczko nosi kilka nazw: Niemcy mianują je Pudlein (Podolinum), a na madziarskich kartach podobało się pisać Podolinecz. Małą tę mieścinę dobrze zna całe Podhale i okoliczne Bieskidy dla szkół pijarskich. Największa część księży góralskich rozpoczyna tutaj zwykle swe nauki; wiele innych dzieci niezbyt bogatych mieszkańców wyuczyło się w niéj początków.

Tę w wyższym rodzaju dobroczynną fundacyą, winna ta część kraju górskiego Jerzemu Lubomirskiemu, wojewodzie krakowskiemu, staroście spizkiemu, który w roku 1640 założył i uposażył tutaj klasztor Pijarów. Piękny kościół tych praktycznych zakonników, nadaje charakterystyczny widok temu miastu i zachował się dotąd dobrze. W klasztorze jest dosyć znaczna biblioteka, po większéj części składająca się z książek ascetycznych; aby zaś nie raziły rozmaitością, i wydawały się porządniéj, ktoś kazał pomalować wszystkie grzbiety szarą olejną farbą, i to nadaje im jednostajne wejrzenie, które łatwo może w błąd wprowadzić, że to nie są istotnie książki, tylko ich udanie. O Podolińcu zachowały się starożytne wspomnienia, a mianowicie o jego początku; i tak: Bolesław Wstydliwy w roku 1244 nadał Henrykowi wójtowi wsi Podol, w nagrodę waleczności przeciw Tatarom, przywiléj założenia miasta z prawem niemieckiém, a przytém różne młyny, browary i połów ryb w promieniu mili. Przyczyniła miastu temu dobrodziejstw Kunegunda w roku 1288, a Wacław król czeski obdarzył je r. 1292 różnemi pomniejszemi dochodami. W r. 1412, Zygmunt król węgierski nadał temu miastu przywiléj wolnego miasta, ale nie użytkowało z niego, gdyż w tymże roku z innemi 12ma miastami zostało zastawioném królowi polskiemu (1). Kazimiérz Jagiellończyk ustanowił w roku 1455 w tém mieście skład towarów, i zalecał starostom spizkim, aby mieli baczność, by kupcy nie mijali tego miasta (2). Kiedyś obwodził to miasteczko mur; teraz pozostały z niego szczątki, znikające coraz bardziéj.

(1) Szepeskazy i Thiede: Merkwürdigkeiten des Königsreichs Ungarn, oder historisch-statistisch-topographische Beschreibung. Kaschau 1825. T. II, str. 163.

(2) M. Baliński i T. Lipiński: Starożytna Polska pod względem historycznym, geograficznym i statystycznym opisana. Warszawa, 1844. T. II. str. 260—264.

Ruszbaki. Mila od Podolińca ku północy leżą bardzo ciekawe wody wapienne we wsi Ruszbaki, kiedyś bardzo sławne i odwiedzane, a teraz zupełnie zapomniane i prawie opuszczone. Nazwa ta pochodzi z niemieckiego (Rauschenbach), i dotąd używają jéj w całéj okolicy; ale mieszkańcy Ruszbaki są Słowakami, tylko nazwa niemiecka pozostała, jako ostatni ślad przemienionéj ludności. Równie potężnéj a szczególnéj szczawy nie znam w całych Karpatach, i niewiele z nią może się równać. Wody te zawierają obficie rozpuszczone części wapienne, a to w skutek obfitego nasycenia gazem kwasem węglowym; wychodząc na powierzchnią ziemi ulatnia się z téj wody gaz kwas węglowy, a następnie wydziela węglan wapna i osadza skałę zwaną martwica, która okrywa w Ruszbakach bardzo znakomite przestrzenie. Przy samym zakładzie kąpielowym, gdzie wygórowanych wygód nie trzeba szukać, kilkunastu gości znajduje w nim pomieszczenie i ludzi, zajmujących się z chęcią przybyłym, i to ze szczeréj dobroci, co bardzo przynęca. Przy samym zakładzie wznosi się kilka potężnych kopców utworzonych z martwicy; zdala zupełnie podobne są do wulkanów, chociaż wydał je wprost przeciwny żywioł. Kopce te powstają przez powolne wydzielanie się z wody wapienia; wody te tworzą pewien rodzaj wzniesionéj sadzawki, i nieustannie przelewają się nad obwód, i tym sposobem wznoszą go coraz wyżéj. Nieustannie pracujące siły przyrody wydały tak znakomite dzieła, w zadumienie wprawiające człowieka zastanawiającego się. Jeden z tych kopców ma na wierzchu obwód około 50 kroków, i wznosi się przeszło 10 stóp nad powierzchnią. Kopiec ten wewnątrz próżny, jest wypełniony wodą jak łza czystą, tak, że wszystkie przedmioty leżące na dnie około siedm stóp głęboko, można dokładnie rozeznać. Tu i owdzie na tém doskonałém zwierciadle dobywają się nieustannie bulki, a często silne kłęby gazu kwasu węglowego. Smak téj wody jest wapienny, słabo-kwaskowaty; w jedném miejscu odpływa, i tu wyrobiła sobie kamienną rynienkę, po któréj płynie. Martwica (Kalktuff, trawertyn), osadzona ze źródła ruszbackiego jest zupełnie biała, czasem i nieco ubarwiona czerwono albo brunatno, przez różne połączenia żelaza z kwasorodem i wodą. Ta w oczach naszych tworząca

się skała, bardzo ma różną spojność; tu jest tak twarda, jak dawne skały wapienne z morza piérwotnego osadzone; niedaleko przy niéj tak miękka, że drobne cząstki węglanu wapna są jakby nastroszone, i za dotknięciem w proch się rozpadają. Martwica tworzy niekiedy jednostajną massę, pospolicie pełną komórek; nieraz są one foremne i do siebie podobne, i przypominają woszczynę. Zwyczajnie różne mają kształty i wielkość; czasem na spodzie komórki leży kulka jak groch wielka, złożona z licznych warstw jakby z łupin spółśrodkowych. Kulki te bardzo podobne do grochowca, minerału osadzonego z cieplicy karlsbadzkiéj, również składającego się jak w Ruszbakach z węglanu wapna. W końcu pokład martwicy już przy niższych Ruszbakach zawiéra pełno odcisków liści. Włościanie przynoszą je podróżnemu na sprzedaż, jako wielką osobliwość; lecz nie są one wcale tego godne; bo są to odciski liści leszczyny, niedaleko rosnącéj, odciśnięte na stwardłym wapieniu. Geologowie nazywają skamieniałościami szczątki lub odciski jestestw wygasłych, żyjących w różnych okresach przetwarzającéj się skorupy ziemskiéj, a odmiennych od teraźniejszych klimatycznych stosunków. Niedaleko głównego źródła jest kilka kopców; w jednych jest nieco wody na spodzie, inne zupełnie suche. Są to dawne jakby wygasłe źródła; widać, że gdy wody podniosą się do pewnéj wysokości, gdy kolumna ich zabardzo naciska, robią sobie nowe podziemne otwory i odpływają; ztąd pozostają te kotłowate ruiny źródeł dawnych. W jednym z takich kopców wydrążonych pozostała się na dnie szczelina, którą woda kiedyś wypływała; teraz wychodzą nią wyziewy gazu kwasu węglowego. Chociaż nie widać dobywania się gazu, jak w głównem źródle, skutki jego przecież są wyraźne. Psy i inne zwierzęta domowe, jakby ostrzeżone, unikają tego miejsca, i nie zbliżają się do niego pod żadnym względem; tylko dzikie ptaki i owady śmierć tutaj znajdują. Sam widziałem martwą ptaszynę zaduszoną wyziewem gazowym i liczne chrabąszcze. Ruszbackie źródło gazu przypomina neapolitańską grotę (Grotta del cane), tylko wymiary ostatniéj są większe. Wyziewy gazowe dobywają się najmocniéj rano i wieczorem, tak samo jak w szczawach; niekiedy gaz mocniéj

wydobywając się, wydaje syczenie. W szacownéj rozprawie o źródłach mineralnych starożytnéj Polski, podaje doktor Bulikowski rozbiór dwóch źródeł ruszbackich niewiadomego chemika, mało na wiarę zasługujący (1). Ćwierć mili od wyższych Ruszbak, z piaskowca karpatowego wytryska szczawa, zawiérająca wapna bardzo mało, a zupełnie podobna do zwyczajnych używanych do picia.

(1) Opis geologiczny Szczawnicy i Szlachtowéj, w Roczniku Wydziału lekarskiego w uniwersytecie Jagiellońskim. Kraków, 1840. T. III. str. 132.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WSPOMNIENIA

Z PODRÓŻY I WYCIECZEK PO KAUKAZIE,

PRZEZ

W. D.

I.

Granica Azyi od Europy.—Kaukaz chłopski.—Stauropol.

Na połowie prawie drogi od Rostowa nad Donem do Stauropola, na wzgórku, wznosi się słup malowany, stanowiący granicę ziemi Kozaków dońskich od kraju kaukazkiego. Nie zapomnę téj epoki pamiętnéj, gdyśmy stanęli koło tego słupa. Słońce paliło wzbite prawie nad głowy, pot strumieniami ściekał nam po czole i po twarzach pokrytych kurzem i opalonych, lubo to był dopiéro początek lata, a raczéj koniec wiosny południowéj. Jeszcze krok jeden, a mieliśmy stanąć w innéj części świata, i pożegnać Europę z jéj całą cywilizacyą, z blaskiem oświaty chrześciańskiéj, z przepychem i zbytkiem przemysłu i sztuki. Dziwne uczucie nas opanowało: byliśmy zamyśleni, milczący, lubo jedno i to samo czuliśmy wszyscy w téj uroczystéj chwili przestąpienia granicznéj linii między Azyą i Europą. Poza nami, obejrzawszy się, ciągnął się kraj stepowy z piaszczystemi gdzieniegdzie kurhanami, ręką ludzką, czy téż wiatrem usypanemi; siedziby Kozaków dońskich, stanowiące, że tak rzekę, przedsionek Azyi. Bo tak stanice, czyli wsie kozackie, jako téż

charakter i obyczaje, noszą już piętno Wschodu, już się odróżniają od europejskich. Lud zda się spokrewniony z ludem Małorossyi i Ukrainy, któreśmy przebyli, a przecież spójrz na jego fizyonomią śniadawą, na włos kruczy i czarne błyszczące oczy, a zwrócisz się myślą prędzéj do palących stron Wschodu i Południa, niż do tych równi słowiańskich, gdzie mieszka lud łagodnéj cery, błękitnych oczu i jasno-lnianych włosów.

Ogrom myśli cisnął się do głowy. Jedna chwila jeszcze, a ta Europa świetna, tysiące grodów, świątynie, pałace, muzea, uniwersytety, sale balowe, mody, kunszta, cała wykwintność życia ucywilizowanego; nareszcie ta jéj przeszłość dziwna, napiętnowana krwawemi przechodami od jednego stanu jéj cywilizacyi do drugiego, pracująca w pocie czoła dla swéj potomności przez tyle wieków; ta przeszłość, co rozkwitnęła tylą ludami, ich pracą i przemysłem: to rycerska w pancerzu i hełmie, z herbową tarczą, to zbrojna bagnetem i armatami, wytłaczająca stosy ksiąg i dzienników, to znów unosząca się po oceanach i lądach na skrzydłach pary i węgla; ta przeszłość owéj Europy miała za chwilę pozostać za nami i umrzéć z nią dla nas ze swemi licznemi skutki, na długo, a może na zawsze! Za chwilę mieliśmy stanąć na ziemi starożytnéj, w kolebce rodu ludzkiego, zkąd wylewało się tyle pokoleń równo-plemiennych do nas, jeszcze dla Rzymian niosących postrach, a niewolę późniéj dla naszych pradziadów. Tu niegdyś władały Złota i Kipczacka horda; tu obozował Tamerlan i ztąd uderzał na Europę; ztąd Czyngis-han i Baty rozsyłali swe hordy: tu jeszcze dawniéj Mitrydates urągał się z oręża Rzymian i śmiał się z ich chciwości i gróźb nieudolnych. Tu Grecy, ponad temi morzami Azowskiém (Meotyńskiém) i Czarném (Euxyńskiém) rozsypywali tysiączne kolonie. Tu stare cudowne krążyły legendy o św. Janie, tu zapuszczał się Marko-Polo, Kontaryni i t. d. Ztąd wypływały z ludami liczne podania czarodziejskie, fantastyczne, co nas tak bawiły opowiadane ustami nianiek, co nas straszyły cudownościami i potworami. Bo i natura tu cudowna: płody niewidziane u nas lub rzadkie, całe lasy orzecha włoskiego i winne latorośle oplatają olbrzymie dęby i jesiony, lub morwę, a złoty bażant trzepocze ciężkiém skrzydłem pomiędzy krzewami.

Ileż tu czarów i tajemniczéj rozmaitości przed nami! Naprzód więc śmiało do téj dziedziny cudów, do krajów bajecznych! Krok jeden i z Europy wstąpiliśmy do Azyi.

Naokoło kraj stepowy, równy, jednostajniejszy niż był dotąd: zieloność czysta bez odmian. Ledwieśmy uczynili kilkanaście kroków, przy najspokojniejszym stanie atmosfery, wicher nagle zakręcił się po drodze przed nami; kręcąc szybko piaskiem i trawą, uformował ostrokrąg przewrócony i postępował poważnie przed nami, jakby robiąc honory nieznajomym gościom. Rzeczywiście w tym odludnym stepie zdało się nam, że mamy do czynienia z duchami, władcami tych pustyń; bo skoro jeden uragan uciekał gdzieś w obłoki, drugi wnet występował z nowym świstem na środek gościńca i sunął się przed nami, zasypując nam niekiedy oczy garściami piasku.

Kraj zaczynał się powoli ożywiać; powoli dawały się dostrzegać w głębi stepów zielonych niezmierne stada bydła i owiec, ubielające wielkie przestrzenie. Rola mało gdzie uprawna; ziemia porzucona bez użytku, choć pełna sił żywotnych, zieleni się paszą obfitą. Drzew tu nie widać. Las rzadkością w tych stepach, równie jak w całéj Małorossyi, niemniéj jak dobra woda: bo jeśli jest gdzie studnia, wodę ma słoną i gorzką, a strumienie czasem spotykane sączą wodę nieczystą i błotną. Podobny strumień napotkaliśmy w piérwszéj wiosce, która od niego miała swoje nazwisko. Byłto Woniuczyj Jegorłyk, a sączył powoli zielonawą wodę po dnie mszystém.

Dobrze jeszcze przed wieczorem stanęliśmy w Jegorłyku. Włościańskie chaty wybielone z czystemi okienkami, z ogródkami, przyjemne zrobiły na nas wrażenie, przypominając wioski Małorossyi i Ukrainy, i gościnność tamtejszego ludu, do któréj tak często wzdychaliśmy przechodząc Don i stając na kwaterach u niegościnnych Kozaków dońskich. Na spotkanie nasze już wyszedł socki z swojém godłem, długim kijem, i wnet ukazał domy, gdzieśmy mieli stanąć na nocleg. Każdy z nas ciekawy był zapoznać się z swą gospodą, gospodarzem i jego rodziną; więc nie czekając rozeszliśmy się z myślą rychłego zejścia się i ustawienia w miejscu pewném konia i wózka, jako i dla złożenia rady ogólnéj, na jakiéj zwykle stanowiliśmy, co mamy sporządzić dla za-

silenia się po całodziennéj podróży. Jedno i drugie wnet zostało załatwionem, jak tylko stanąłem ze swą bryczką i koniem w podwórzu u swego gospodarza, jak to zaraz opowiem.

Gospodarz mój nad wszelkie spodziewanie spotkał mię z powitaniem, i wziąwszy za lejce konia, odprowadził go w dogodne miejsce, rzuciwszy naprędce siana. Swéj młodycy zaś polecił nakarmić *służywego*, tak bowiem zowią tam żołnierzy. Kiedy się zaczęli schodzić trzéj inni koledzy na wspólną naradę, ja siedząc już z drewnianą łyżką nad misą wybornego barszczu z botwiną i szczawiem, zaprawnego słoniną i pachnącego koprem, zasilałem się z żarłocznością człowieka, co 25 wiorst odbył dnia tego, pieszo zwykle. Skoro wszedł gospodarz,—»Olona, rzekł do gospodyni, doléj barszczu i podaj więcéj łyżek: może ci błahorodni ludzie nie pogardzą naszém chłopskiém jedzeniem.« Lecz ci ludzie, szlachta, nie dali sobie powtarzać dwa razy zaproszenia: zasiedli do wspólnéj misy, a wnet drewniane łyżki aż trzeszczały im w zębach, gdy zaczęli zajadać wyborny barszczyk ze słoninką, który smaczniejszym nam się wydał nad rakowe i cytrynowe zupy, w piérwszych restauracyach warszawskich.

Byłoto wówczas jakieś uroczyste święto; tak u mego gospodarza, jako i wszędzie cały dom był wystrojony: dzieciaczki których kilkoro biegało po sieni i po izbie, schludnie ubrane; mołodyce w koszulach odświeżonych z płótna własnego wyrobu, z wyszywaniami czerwonemi, wykonanemi przez siebie, a parobczaki dorodne i wesołe. Jakoś zdało się nam, że oddychamy zupełnie świeższém niż dotąd powietrzem, bardziéj orzeźwiającém tak umysł jak i ciało. Gospodarz, jak zwykle, starał się poufną z nami rozpocząć rozmowę, i z zadziwieniem słuchał gdyśmy mu opowiadali, z jak daleka idziemy.

Nad wieczorem cała wieś była w ruchu. Po ulicach snuły się gromady zdrowych parobczaków, rumianych mołodyc, rześkich dziewcząt; lecz trudno się było zbliżyć z tą młodą ludnością wsi: jakieś niedowierzanie żołnierzowi, zawsze w nich było widać. Starsi inném już na nas patrzyli okiem. Moi mianowicie gospodarstwo prawdziwie gościnni, wszelkiemi sposobami starali się okazywać mi swą

gościnność. Na noc, najlepszą jaką mieli pościel usłali mi w swéj izdebce; ale zdziwili się gdym im oświadczył, że lubię sypiać na otwartém powietrzu, bez żadnych pierzyn, na swéj skórzanéj poduszce.

— »W takim razie, rzekł gospodarz, najstosowniejsze dla ciebie łoże będzie na sianku, którego trochę jeszcze mi tam zostaje.« Wtedy poprowadził mię do zagrody, ukazał stóg niezmierny siana, a przystawiwszy drabinę, sam naprzód wdzierał się do góry, zapraszając mię za sobą. Natychmiast własną ręką na szczycie stogu usłał mi posłanie, przykrywszy białem prześcieradłem, i wciągnąwszy za sobą moję poduszkę i płaszcz. Nie wiem, czy kiedy najgościnniejszy z naszéj szlachty tyle siana podesłał dla swych gości, gdy ich układał pokotem w oficynie po hucznéj zabawie, ile ja owéj nocy miałem go pod sobą, i nie wiem czy kto przyjemniejszy kiedy miał nocleg. Po dziennym upale, orzeźwiający powiewał wietrzyk. Niebo iskrzyło się gwiazdkami, księżyc już po nowiu dwuznaczne rozlewał światełko nad wioską, a głosy, śpiewy i wrzawa ochoczéj młodzieży, późno po północy po całéj rozlegały się wiosce. Długo usnąć nie mogłem. Na téj ziemi już z imienia kaukazkiéj, jakieś dziwne czułem uspokojenie: zdało mi się, żem dobiegł już w części do kresu.

Rano słońce dobrze już wzbite mocno dogrzewało, kiedy koledzy zszedłszy się pakowali rzeczy, i z pomocą gospodarza zaprzęgali konika, wołając mię po imieniu i budząc twardo jeszcze śpiącego na wierzchołku stogu. Zerwałem się i stanąłem na równe nogi na stogu, jak koń Trajana na pomniku, zdziwiony, żem się dał wyprzedzić kolegom. A ledwiem się umył i ubrał, już gospodyni przyszykowała jaglanéj kaszy w mleku dla mnie i dla towarzyszów. Długośmy się spierali, nim gospodarz zezwolił, abyśmy wywdzięczając się, dali dzieciom jakie upominki. A nadto jeszcze na drogę kazał nam zawinąć kawał słoniny i chleba. Nie godziło się odrzucać daru z dobrego serca danego, i przyjęliśmy to jako dowód poczciwości, i spożyli późniéj ten przysmak małoruskich wieśniaków, jak najwykwintniejszą jaką potrawę pańską.

Ranek był cudowny, gdyśmy wyciągnęli z wioski na równe i rozległe pola. Słońce wstało okazale i najpiękniej-

szy zapowiadało dzień południowego lata. Na niebie ani jednéj plamki, ani cienia mgły. Przecież błękit jego nie miał téj świeżości jak u nas w téj porze. Nie widziałem tam nigdy tego ciemnego szafiru: sklep niebios zawsze obciągnięty jakby matem, bez świeżości, któréj widok u nas zda się orzeźwiać myśl i czucie, blado-błękitny, mdły. Stepy piękne, z bujną trawą i ziołami; lecz rola w blizkości wsi i osad chyba uprawiana, zresztą leży odłogiem, nie utrudzana pługiem, ani sochą. Lecz inny rodzaj przemysłu ożywia i wzbogaca te strony, mniéj wymagający rąk, a odpowiedniejszy miejscowości bogatéj w paszę:— chów bydła i trzód owiec. Po kilka tysięcy czasem jeden gospodarz wypędza w pole; po kilka tysięcy tłoczy się krówek i wołów do jednego obszernego podwórza. Nabiał tu prawie bez żadnego użytku i wartości, bo mieszkańcy nie mając nań odbytu, całą massę mleka, nie przerabiając go na sery lub masło, sami spożywają z familiami.

Upał coraz bardziéj się zwiększał. Oblani potem posuwaliśmy się powoli. Koń nasz zmęczony ciężko oddychał. Od wsi do wsi na przestrzeni 26 lub 30 wiorst, żadnéj karczmy, a co większa, ani śladu studni lub krynicy. Zapas wody jakiśmy mieli w tykwie, zupełnie został wyczerpany. Pragnienie każdego paliło. Wielka była nasza radość, gdy w jednéj chwili pośród szmaragdowego stepu, przed nami może na półtory wiorsty, ukazała się jasna, błękitna powierzchnia jeziorka czy stawu, z drżącą i niby od wiatru wzruszoną falą. Podwoiliśmy kroku, każdy przejęty myślą ochłodzenia się i wykąpania podczas południowéj spieki, w tych orzeźwiających kryształach. Przypomniały nam się owe marsze francuzkiéj armii po Egipcie, równie spragnionéj i marzącéj jak my wtedy o wodzie; ale szczęśliwsi byliśmy od niéj, bośmy widzieli rzeczywistą wodę przed sobą. Jakżeśmy tryumfowali nad nią. Jeszcze wiorstę, a na nowo wstąpi w nas siła, któréj nam już brakło. Lecz zwolna ta radość poczęła ustępować miejsca zwątpieniu i jakiéjś ironicznéj myśli o próżności i znikomości wszystkiego, co prawie już w naszym mamy ręku. Owe czarowne jeziorko czy staw z błękitną falującą powierzchnią nie sprawdzało się, choć już więcéj przeszliśmy, niż potrzeba było, podług naszego przypuszczenia; i jak na szyderstwo jeszcze w dalszéj ukazało się przed

nami odległości. I znowu byliśmy pewni, że prawdziwą widzimy przed sobą wodę; a choć i ten *mirage* przed nami znikał i za każdą razą daléj błękitniał: długo nie chcieliśmy się rozstać z wiarą w rzeczywistość, aż podoficer weteran, nasz przewodnik, upewnił nas, że w tych miejscach żadnéj naokoło nie ma wody.

Zjawiska podobne często w różnych zdarzają się postaciach, tak tu, jako téż na linii kaukazkiéj. Jednego razu poza Terekiem, jak mi opowiadano, widziano jadącą pyszną karetę w sześć koni zaprzężoną. Stangret, foryś i lokaj z tyłu siedzący, wszyscy ubrani w bogatéj liberyi. Z karety widać było kilka dam z dziećmi. Przejeżdżała ona po miejscach, gdzie wcale żadnéj nie było dróżki, w stronie niebezpiecznéj, gdzie jedynie z silnym konwojem puszczają się podróżni. Zdziwiło więc to mocno wszystkich; posłano natychmiast konną eskortę dla pięknych podróżnych, a razem polecono dowiedzieć się, przez który punkt kordonu przejechały, aby aresztować oficera, który ich przepuścił. Lecz wkrótce wrócił posłany konwój z niczém, gdyż kareta w oczach wszystkich rozpłynęła się w powietrzu.

Niedługo kraj zaczął się urozmaicać; to tu, to owdzie przesuwało się piękne pasmo wzgórków, mile wpadających w oko, znużone ciągłą jednostajnością równi, jakieśmy od Dniepru począwszy wiecznie mieli naokoło. Czasami wiła się piękna rzeczka rozległemi zielonemi łąki, po których pasły się tysiące pięknego bydła. Rola piękna i żyzna, lecz z łona téj roli wydobywała się straszna plaga na te bujne okolice:—byłato szarańcza. Całe łany usiane były ciemno-żółtą massą tego owadu. Jeszcze nie odrosły jéj dostatecznie skrzydła, nie mogła odlecieć od ziemi: skakała lub pełzała, przełażąc jedna przez drugą. Piękny czarnoziem téj okolicy na przestrzeni kilku wiorst kwadratowych, zamienił się w ciemno-gliniasty obszar ruchomy, i szmer jakiś wydawał. Tak nie w jedném tu miejscu wylęga się ten straszliwy owad z jaj zostawionych przez przeszłoroczną szarańczę, przechowanych w łonie téj płodnéj ziemi, która aniby się domyśliła, gdyby myśléć mogła, co za klęskę wypielęgnowała dla własnych płodów, dla swych wypieszczonych dzieci. Za dni kilka tłumy téj szarańczy, wyniszczywszy

zieleniejące zboże, po którém pełzają, wzbiją się chmurą, przelatując z pola na pole, i wyniszczą dokoła wszelką roślinność. Później w dalszéj naszéj podróży, przez kilka godzin przedzieraliśmy się przez chmury tego owadu, zaciemniającego jasność słońca i szumiącego w powietrzu, które napełniały smrodliwym jakimś wyziewem. Massa owadu czasem na ćwierć łokcia pokrywała ziemię, wieszała się po gałązkach drzew, obsiadała strzechy, stogi i wszelką roślinność niszczyła. Zdala osobliwie wprawia w zadziwienie każdego nieświadomego, zbliżanie się szarańczy. Zda się mgła ogromna szaro-żółtego koloru przesuwa się ponad ziemią, zniżając się ku niéj, to znów się podnosząc. W fortecach kaukazkich i stanicach, za pojawieniem się téj plagi, wartownicy dają znak trwogi, jak na widok rzeczywistego nieprzyjaciela. Wybiega wojsko i artylerya, biją alarm w bębny, dają ognia z armat i broni ręcznéj, i krzyczą głośno hurra! Przestraszona szarańcza zrywa się i leci daléj. Zbrojna siła ściga ją ciągle, aż póki nie zapędzi tego drobnego, lecz strasznego nieprzyjaciela na lasy i góry, lub w jaki wąwóz niedostępny, będący naturalną warownią górali. Jednego razu dwie godziny ciągnęła chmara tego owadu około fortecy Wozdwiżeńskiéj; a cała siła zbrojna téj fortecy stojąc nad Argunem dawała ognia z dział i broni, bijąc to na alarm, to do szturmu, aż całą tę chmurę udało się wypędzić do strasznego wąwozu Arguńskiego, tego wąwozu tajemniczego, na który tylko zdala dotąd patrzyliśmy z powodu jego niedostępności.

Lecz w spokojnych wioskach przed-kaukazkich, gdzie nie ma wojska ani artyleryi, nie masz środków przeciw téj klęsce. Lud wiejski z założonemi rękoma patrzy, jak znika w drobnych ząbkach całoroczna jego praca, i obraca się w brzydki fetor oczekiwana jego nadzieja bujnego żniwa.

Mimo to zamożność wielka tutejszego rolnika. Niczém prawie strata zrządzona przez szarańczę, w porównaniu z tém, co mu pozostaje na niezmierzonych polach, których tu każdy uprawia tyle, ile mu się podoba, na tych łąkach niemających żadnych granicznych kopców.

Wioska, do któréj nareszcie zbliżaliśmy się po całodziennym nużącym marszu, *Peregradnaja*, ciągnęła się to po równi, to ponad strumieniem, na przestrzeni prawie mi-

lowej. Wielka obfitość kamienia piaskowca, z którego tu nawet włościańskie domki budowane, czyste i wesołe, naprzód nas uderzyła. Przy domkach gdzieniegdzie były ogródki na sposób ukraiński, co zawsze oznacza lepsze zagospodarowanie i jakąś wyższość umysłową. Rozstawiono nas po kwaterach, i gospodarze jak we wsi poprzedniéj nie skąpili swego skromnego posiłku, który po długiéj drodze zawsze nam doskonale smakował. Lud wszędzie gospodarny, stanowią najczęściéj przesiedleni z głębi Rossyi mieszkańcy. Wyrób płótna jest jedynym ich przemysłem; wielką ilość jego widzieliśmy rozesłaną dla bielenia nad rzeczką. Cały dzień letni hoże dziewoje po kolei nurzają półsetki jego w wodzie, a wieczorem zgromadzają się, tańcząc i skacząc z parobczakami po zielonych murawach. Ciekawy byłem przysłuchać się ich piosnkom, wszcząć pogadankę z parobczakami; lecz niebardzo żołnierzowi zbliżyć się do siebie pozwolą:—gdy oni się bawią, to jemu zasię.

Na drugi dzień mieliśmy tam dniówkę. Powydobywaliśmy z tłumoczków nasze zwykłe zatrudnienia podróżne: książki, ołówki, farby, poprzenosiliśmy się z tém wszystkiém do ogródków poza domami. Rozłożyliśmy się w cieniu wiśni; lecz ku południowi taki zaczął się upał, że każdy powiew wiatru wcale nie ochładzał, lecz owszem zdał się palącym płomieniem, co oddech prawie zabijał i ciało w zupełną wprawiał niemoc. Umysł również jak ciało zupełnie utracił działalność. Nieco późniéj, nad wieczorem, czuliśmy potrzebę jakiegoś pokrzepienia. W drodze herbata jest najposilniejszym napojem: mieliśmy jéj zapas równie jak cukru, lecz u żadnego z gospodarzy samowaru nie było. Poradzono nam udać się do popadi, wdowy, która, jak nas zapewniano, nie odmówi nam swéj przysługi. Ukazano nam jéj mieszkanie; przeto ogarnąwszy się cokolwiek, udaliśmy się do niéj wszyscy czterej. Lecz dom jéj, stojący przy placu, okna dokoła miał pozamykane; drzwi tylko cokolwiek były odchylone. Wstępujemy do sieni, ale nigdzie ani żywéj duszy. Nareszcie w sieniach dał się słyszeć jakiś głos dość mile brzmiący, lecz przytłumiony, jakby z innego świata dolatujący. Rozpatrując się dokoła, postrzegamy, że głos dochodził z ciemnéj piwnicy, czy lochu, zpod wieka przykrywającego jego wejście. Wydawało go jakieś miłe stwo-

rzenie z figlarnemi oczkami, błyszczącemi w cieniu. Zbliżamy się do otworu piwnicy, zapytując o gospodynią domu. Piękna twarzyczka znikła; inna znów na jéj miejscu wyjrzała, z zadziwieniem przypatrując się nam. Nareszcie kilka odrazu coraz doroślejszych zaświeciło z cieniu, uchylając coraz wyżéj wieko. Jeden z nas pragnąc jakby z zaklęcia uwolnić te piękności z lochu, chwycił silną dłonią i odwalił wieko ciągle przygniatające te niebożątka. Wtém z samego spodu piwnicy ciemnéj, gdzie widać szukała chłodu podczas okropnego upału, wychyliła się naprzód dość poważna matrona, niemłoda już, w zupełnie letniém ubraniu, wydostając się na światło. Za nią jak stado królików wyroiło się pięcioro dziewcząteк różnego wieku, począwszy od ledwie rozkwitającego, do zupełnie rozwiniętego kwiatu latek. Wszystkie w bieli, z oczami błękitnemi, z ciemnemi warkoczami włosów. My stojąc nad otworem, kolejno jak która z niego występowała, kłanialiśmy się, uniewinniając się za naszę śmiałość, i wynurzając powody naszego najścia. Uprzejma gospodyni natychmiast starszym z córek wydała polecenie. Otrząśnięto z kurzu samowar, dawno już, jak można było wnosić z zaniedbanéj powierzchowności, nieużywany. Wnet zaszumiał, zasyczał. Oddaliśmy do rozporządzenia cukier i herbatę, i rychło całe grono, tak nasze podróżne, jako téż domowe, siedziało na ławach, dmuchając w szklanki, i brzękając łyżeczkami, których dwie się przecie w domu znalazło.

Na ścianie nad łóżkiem wisiała gitara; obawiałem się, aby dotąd zajęty swą szklanką nasz współkolega Sz. nie zwrócił tam swego spojrzenia. Miał albowiem wielką passyą do muzyki i śpiewu. Żadnéj gitarze, choćby o połowie strun tylko, ani żadnemu fortepianowi najporządniéj rozstrojonemu, w ciągu drogi całéj nie darował. Znałem napamięć wszystkie jego piosnki, a raczéj po jednéj lub parze zwrotek z każdéj, które odrazu, jak nakręcona tabakierka wszystkie wygrywał, a nawet o powtórzenie tego samego nie pozwalał się długo prosić. Moja obawa była niepłonna; ledwie zobaczył gitarę pan Sz. zdejmuje ją ze ściany, a zrobiwszy grzeczność najstarszéj z córek prożbą o zagranie czegoś, gdy ta zmieszana i zaploniona odmówiła, sam rozpoczyna od najpiérwszéj zwrotki swojéj:

Ponad horoju, ponad zilinoju, tam żynci żnut,
Popid horoju, popid zilinoju kozaki jedut, i t. d.

Lecz na ten raz przydała się muzyka, bo widziałem radość na twarzy gospodyni i córek, gdy usłyszały głos dźwięczny koleżki, i śpiew może im znany, a w téj wiosce odludnéj zapomniany oddawna. Uradowały się wszystkie, a ja dziękowałem koledze.

Dotąd nasza podróż w innéj części świata nic jeszcze nie przedstawiała kaukazkiego; lecz w następny dzień ledwieśmy wystąpili na otwartsze pole, rozpatrzyli się po okolicach, uderzyły nas widoki niezwykłe, dotąd niespotykane. To tu, to owdzie obszerna równina lub szereg pagórków, albo i gór ze śmiałym zarysem swych szczytów; to znów ciemniejszy lasek lub rzeczka, zaczynały charakteryzować odmienną miejscowość. Nareszcie po gościńcu zaczęli przeciągać z arbami górale Zakubańscy: twarz ogorzała, w kosmatych popachach czyli czapkach, w czarnych burkach, stojący z prętem na przodku arby, i ciągle popędzający zaprzężone woły. Wieźli oni łopaty, niecki, widły, i inne narzędzia drewniane z zakubańskich dębów i buków wyciosane, które w tych stronach ubogich w drzewo wymieniają za miarkę prosa, lub pszenicy. W końcu Elborus wychylił gdzieś w stepach daleko podwójne śnieżne czoło. Otóż witamy Kaukaz, kres tylu miesięcznych trudów, pracy i niewygód. Wzrok nasz chciwie wpatrywał się w tego białego olbrzyma, co sterczał pod niebo, mieszając się z chmurami. Jakżeśmy byli niekontenci, gdy rychło obłoki, takież białe jak on, zasłoniły go przed naszym wzrokiem. Tak pragnęliśmy oswoić się z tym olbrzymem i ze zjawiskiem kraju, który miał być dziedziną długiego naszego w nim pobytu! Znowu się pole wyrównało, skryły się wyniosłe pagórki; znów tenże step równy, jednostajny, znów tylko upał południowy.

Nazajutrz po przenocowaniu w *Moskowskiéj*, wiosce téjże fizyonomii co poprzedzające, po całodziennym przemarszu zbliżaliśmy się do Stauropola; pożegnaliśmy ten Kaukaz chłopski, rolniczy, ustronny, ten wstęp do Kaukazu prawdziwego, pełnego dziwów ciekawych i niebezpieczeństw, rozlegającego się szczękiem broni i hukiem armat; kończyliśmy podróż po téj części kaukazkiego kraju, spokojnéj, cichéj, jak uciszone powietrze, co zwiastuje blizkie gromy i burze. Ktoby szukał na kuli ziemskiéj ustronia zupełnie odludnego, oddzielo-

nego od reszty świata, gdzieby ani słodycze związku społecznego, ani jego dolegliwości nie doświadczał; tuby powinien zamieszkać w cieniu morw i akacyi. Mieszkańcy tutejsi, gdyby nie to że niedawno tu przeszli z guberniij wielkorossyjskich i świeżo mają w pamięci miejsca dawniej zamieszkiwane, żyjąc pośród dostatków darów przyrodzenia, przy zbyt ograniczonych potrzebach, zaledwieby może wyobrażali sobie, że jest jakiś świat ludniejszy, krzątający się, zabiegający, a pomimo tego nieraz cierpiący głód i niedolę. Tu zdają się być zupełnie zadowoleni tém, co im hojna daje ziemia. Zbywające płody, zboże i bydło odsyłają do Stauropola za ceny bardzo niżkie, aby z czasem było czém opłacić pogłówne, jedyny podatek na nich ciążący. O resztę nie troszczą się, mając własnego wyrobu płótno i odzież, przy obfitości chleba.

Stauropol leży w pięknem i górzystém położeniu, między dwiema rzeczkami Człą i Mutnianką. Różnokolorowe dachy na domach i cerkwiach, piękna zieloność drzew w ogrodach i na bulwarach, robią cudny ze Stauropola widok, tém więcéj, im mniéj spodziewany w téj odludnéj ziemi. Miasto leży wzniesione na 179 stóp nad poziom morza, klimat jego przeto nierównie chłodniejszy, niż innych okolic tego kraju, któreśmy przebywali. Powietrze tu zdrowe. Grunt coraz bardziéj się podwyższa zwracając się ku Kubani, o 30 wiorst ztąd przepływającéj, i formuje rozległą i wyniosłą płaszczyznę, z wierzchu któréj ochłodzone powietrze spływając na miasto, sprawia ten wiatr ciągle tu panujący. Mimo jednak górzystości miejsca, nie ma w bliskości źródeł, a woda studzienna gorzka i do picia niezdatna. Musieli więc mieszkańcy wodę dla siebie sprowadzić za pomocą rur od źródła zwanego zdrojem *Karabin*, dającego początek Mutniance. Płynąca rurami świeża woda do miasta, zbiera się w dwóch rezerwoarach, w najdogodniejszych punktach urządzonych: jeden zbudowany kosztem kupca Tamamszewa, z fontanną w samym środku miasta; drugi dopiéro w 1850 r. kosztem kupca Jakuniczykowa urządzony, zaopatruje w wodę plac nazwany *jarmarcznym*.

Miasto dzieli się na górne, gdzie najpiękniejsze wznoszą się gmachy rządu gubernialnego, teatru i t. d., i na dolne, na którego głównéj ulicy skupia się cały ruch handlowy.

Tu stoją sklepy gościnnego dworu, tu magazyny, hotele i cukiernie, a przed niemi ciągnie się piękny i długi bulwar z lip i akacyi. Nad miastem dolném wznosi się na górze wspaniały sobor z kamienną dokoła balustradą, nad całą panujący okolicą swemi olbrzymiemi kopułami. Dzisiaj Stauropol ma kamienne trotoary, przynajmniéj na główniejszych ulicach; lecz gdym piérwszy raz wszedł do tego miasta przed kilką laty, stawił się jak wszystkie miasta południowéj Rossyi ogromnemi swemi błotami. Prócz bulwaru dla przechadzek mieszkańcom służącego, środek miasta ocienia piękny stary gaj, Babinowym zwany, którego niegdyś był własnością. Przedtém zaniedbany, obecnie ogrodzony i starannie utrzymywany. Co święto grzmi tu muzyka wojskowa do późnéj nocy, a latarnie i lampy oświecają grupy przechadzających się. Obok tegoż gaju, za staraniem księcia Worońcowa założono wzorowy ogród, zaopatrywany w najlepsze gatunki drzew owocowych, sprowadzanych z sławnych jego ogrodów krymskich. Ztądto szczepy i nasiona rozsyłane bywają w najodleglejsze zakątki Kaukazu. Godzien także uwagi założony w ostatnich czasach ogród morwowy za rzeką Człą, i urządzona szkoła dla kształcenia dzieci klass niższych w téj gałęzi przemysłu, tak odpowiedniéj łagodności klimatu. Przemysł i handel niewiele jednak tu się rozwinęły dla braku kommunikacyj wodnych. Kupcy stauropolscy ograniczają się zaopatrywaniem w płody i wyroby rossyjskie miejsc i fortec linii kaukazkiéj, choć i pod tym względem ważniejszym punktem jest Georgiewsk, położony nieco bliżéj ku górom, o którego jarmarkach wspomnimy późniéj. Stauropol bowiem nie jest ani środkiem gubernii, ani punktem zjednoczenia pokoleń kaukazkich: z powodu tylko zdrowszego klimatu, Georgiewsk musiał mu ustąpić pierwszeństwa. W roku 1850 miał Stauropol do 12,000 mieszkańców, z tych 7,000 mężczyzn, a 5,000 kobiét; 14 cerkwi grecko-wschodnich, 1 ormiańsko-gregoryańską i 1 rzymsko-katolicki kościołek. Piękne gmachy i szerokie ulice nadają wspaniały widok Stauropolowi, który razem z przedmieściami rozrzuconemi daleko naokoło, ogromną zajmując przestrzeń, przedstawia się wielkiém bardzo miastem. Prócz stanicy kozaczéj, łączącéj się z dolną częścią Stauropola, ciągnie się od zachodu po rozdołach

przedmieście Worobjewka, od południa Sołdacka-słobódka, od północy Podgórne, śród ogrodów i gajów drzew morwowych, lip i akacyi. Daléj poza przedmieściami widać rozrzucone futory, piękne domki i wille z ocieniającemi je ogródkami.

Gdyśmy stanęli w tém ogromném z pozoru mieście kaukazkiem, wcale jednak europejską mającém fizyonomią, po zwykłych przedstawieniach się i zameldowaniach właściwym naczelnikom, zaprowadzono nas na Worobjewkę, gdzie tydzień cały mieliśmy stać na kwaterach. Lecz na wstępie zaraz do przedmieścia, uderzył nas domek o jasnych oknach, odróżniający się od innych ogródkiem z kwiatami i szczepami, który go okolał. Postanowiliśmy tu stanąć za opłatą, zrzekając się dobrowolnie kwater bezpłatnych, które po miastach zawsze miewaliśmy niezupełnie dogodne.

Jakież było nasze zadziwienie, gdy wstępując w progi, spostrzegliśmy obraz Matki Najświętszéj Ostrobramskiéj, i dzieci biegnące do matki, a wołające po polsku: „Mamciu, jacyś panowie idą.“

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus— wyrzekłem za ukazaniem się z alkierzyka gospodyni domu.

— Na wieki wieków—odrzekła, skłoniwszy się z jakimś nieprzymuszonym wdziękiem, i odrazu nas tak ujęła, że bardzoby nam przykro było oddalić się ztąd bez skutku. Lecz zaledwieśmy zaczęli wyjawiać jéj nasze żądanie, dziewczynki wybiegły do sieni ujrzawszy wracającego ojca, wołając:

— Tatku, tatku! jacyś panowie do nas przyszli i chcą mieszkać przez tydzień, a mówią po polsku!

Wszedł gospodarz, i skłoniwszy się rzekł:—»Jeśli nie wzgardzicie moją szczupłą chatką i ubogim barszczem żołnierskim, chętnie panom ustąpię kącika; sam się w alkierzyku, a nawet w sionce z dziećmi pomieszczę. Widzę, że zdaleka musicie dążyć. Gdzież tłumoczki państwa? Sam wszystko tu poznoszę, a wy odpocznijcie i posilcie się czém jesteśmy bogaci.«

Uścisnęliśmy koleją gospodarza, szeregowca 1go liniowego batalionu stauropolskiego, urodzonego Podlasiuka, który tu już od 15 lat zamieszkawszy, zagospodarował się, kupiwszy ten domek z ogródkiem, a pracą i oszczędnością potrafił sobie ile można w tych miejscach byt żołnierski

upiększać i jakąś barwę rodzinności téj swojéj małéj posiadłości nadawać. Nazywał się on Orł..... i mimo tak długiego tu pobytu, nietylko że nie zapomniał języka, ale nawet właściwy podlaski akcent zachował.

Tymczasem pani Orł. przyrządziła posiłek skromny, lecz ten dawno odwykłym od swojskich potraw naszych wydał się nam wspaniałą ucztą. Składał się ze smacznego barszczu ze schabem i ze śmietaną, ze zrazów z kaszą, i pirożków z serem. W przygotowaniu potraw polskich i przysmaków, Orł. posiadała tajemnicę; a ten artykuł ma w sobie coś bardzo ujmującego, mianowicie po długim przechodzie.

W Stauropolu nasze grono miało się rozłączyć. W ciągu tych kilku dni naszego wspólnego pożycia, trzeba nam było ostatni zrobić obrachunek wspólnych naszych wydatków. Wszystko to dużo nam czasu nie zajęło, a przytém cokolwiek mieliśmy, było to nam dane do wspólnego użytku przez osoby, które nas żegnały przed półrokiem blizko, błogosławiąc do długiéj podróży. Tu nam trzeba było rozstać się z naszym konikiem i bryczką, na któréj zwykle składaliśmy nasze bagaże podróżne, trochę bielizny, po parze butów dla przemiany, płaszcze żołnierskie, kilka książek i różne pamiątki i pamiąteczki poukładane w mantelzakach, jak święte relikwie. Konikiem tym, jeszcze przed wybraniem się do téj ciekawéj podróży, zaopatrzyli nas zacni krewni: byłoto uczciwe stworzenie, może jedyne w swoim rodzaju. Może instynktowie wywdzięczyć się nam pragnął za to, że nam towarzysząc, powracał do swéj ojczyzny; był on bowiem nabyty od zwoszczyków przybyłych z głębi Rossyi do Warszawy. Tak był nawykły do długich podróży, że przy skromném utrzymaniu, jakie od nas otrzymywał, zawsze wesoły, niezmordowany, postępował przed nami krokiem jednostajnym, wioząc naszę ruchomość i koleją jednego z nas, który siędząc na wypakowanéj powózce, zwykle powoził. Lecz konik nasz nie potrzebował powoźnika, bo znał lepiéj od ludzi drogi stepowe. Podczas zimowych zawiei śniegowych w stepach Małorossyi, krocząc przeciw wiatru, niosącemu nam mroźny śnieg prosto w oczy, gdzie prócz równéj śniegiem pokrytéj płaszczyzny,

bez śladów drogi lub znaków przydrożnych, i nieba powleczonego jednostajną barwą śniegowych obłoków; gdzie niknął wszelki ślad istnienia człowieczego: nic łatwiejszego jak zboczyć z gościńca i zbłąkać się w bezdennym stepie. Przy wioskach i karczmach są wprawdzie na wyniosłych słupach dzwonki zaopatrzone wiatraczkami, ażeby w czasie *miatelicy*, czyli zawiei, dzwoniąc dawały znak dla podróżnych, dokąd się mają kierować; lecz w dalekim stepie przy szumie i gwiździe wiatru, sygnały te były bez użytku. Dźwięk ich głuchnął zupełnie. Konik nasz tylko instynktem kierowany, najlepszym był dla nas przewodnikiem, nigdy prawie nie błądząc. Jednego razu, podczas podróży naszéj, umieszczeni byliśmy w starym, drewnianym jakimś budynku; na nocleg ukazano nam izbę zupełnie pustą, bez najmniejszego śladu przemysłu stolarskiego. Choć jeszcze o całą prawie ćwierć łuku ziemskiego byliśmy wtedy od Azyi, lecz po wschodniemu, usiadłszy na ziemi, pożywaliśmy co nam dostarczyła nasza bryczka z żywności; konia zaś odprowadziliśmy do obszernéj izby, która miała kiedyś być salą zabaw szlachty wołyńskiéj. Do owego czasu pozostawały w niéj ślady festonów malowanych po ścianach i amorków z łukami, a u góry ciągnęła się galerya, gdzie mieściła się zapewne kapela i widzowie. Nie posiadało się z radości i dumy nasze zwierzę wstępując do miejsca, zaszczycanego niegdyś przez świetną arystokracyą wołyńską; lecz skorośmy go przywiązali do jakiegoś filaru i rozsypali przed nim owsa, zaczął parskać, strzydz uszami, rżyć nieprzyjemnie, nareszcie zerwał się z uździenicy i wybiegł przed dom. To powtórzył i drugi raz, gdyśmy go znowu wprowadzili i mocniéj przywiązali. Upór jego był nieprzezwyciężony: musieliśmy go pozostawić zewnątrz domu na mrozie i śniegu, które przekładał nad miejsce tyle zaszczytne. Lecz nazajutrz ledwieśmy jednę zrobili stacyą i przybyli do miasta Ostroga, dano nam znać, że ów gmach cały runął; szczęściem, że żadnéj wówczas nie było w nim żywéj duszy.

Tegoto wiernego i poczciwego towarzysza podróży musieliśmy tu sprzedać, gdyż tu kończyła się nasza wspólność, a wartością jego równie jak wszystkiém się podzielić.

Pomieszkanie nasze u p. Orł. po długiéj nużącéj podróży, śród stepowego, rzadko gościnnego kraju, było praw-

dziwą oazą dla wypoczynku i wzmocnienia się. Tu pamiętam oddałem się zupełnéj swobodzie umysłu, rzuciwszy wszystkie troski o ziemię, według słów Kochanowskiego. Nie zapomnę miłych, długich godzin spędzanych w tém ustroniu. Przed domkiem naszego gospodarza leżał szeroki wąwóz, nastrzępiony odłamami skał i głazów, to sterczących w niekształtnych massach, to kryjących się śród chwastów, dzikiego zielska i krzewów. Spodem tego wąwozu sączył się mały strumyczek, spadający opodal z kamiennéj, wyniosłéj ściany, roznosząc szmer przyjemny dokoła. Całe godziny ranne i wieczorne przesiadywałem na sękatéj morwie, pochylonéj nad urwiskiem wąwozu, puszczając wodze myślom, z ołówkiem i kawałkiem papiéru, kreśląc w nieporządku wyrazy i szykując je w rymy, lub szkicując załamy skał, strumyka i dalekie widoki, kończące się wznoszącemi się równinami stepowemi, poza krańcem których bielał dwugłowy Elborus, czasami z chmur się pokazując, lub błyszcząc w jasnych blaskach zachodu.

Wkrótce Stauropol nabrał większego dla nas interesu. Zrobione znajomości wyciągać nas poczęły do miasta. Szereg ich rozpoczął się od księdza kapelana, do którego z obowiązku niejako religijności naprzód udaliśmy się. Tu odkryłem współtowarzysza uniwersytetu profes. R., tu także poznałem oficera art. J. Od nich powzięliśmy piérwsze prawdziwsze wiadomości o Kaukazie.

Jakoż rozpatrzywszy się powoli po Stauropolu, powzięliśmy wyobrażenie o ruchu umysłowym, o najnowszych wypadkach nietylko u nas w kraju, ale i w Europie. Dla Stauropola to wszystko nie było obce i obojętne. Zdało nam się, że kawał lądu oderwanego od Europy z całym jéj charakterem i życiem, jakaś burza niedawno rzuciła w odległy kraj świata, za stepy i pustynie, gdzie jeszcze tak świéże w pamięci tutejszych mieszkańców i tak żywo ich obchodzi wszystko, co się dzieje na Zachodzie; że tętni to samo życie europejskie i ta sama krew płynie w tym odłamie społeczności chrześciańskiéj.

Stauropol posiada niezły teatr. Sztuczki lekkie, krotofilne w języku małorossyjskim najczęściéj gra truppa Zielińskiego. Ma nadto Stauropol swój klub, czyli salę redutową. Podczas karnawału bawi się tu towarzystwo stauro-

polskie, z wojskowych po większéj części i z urzędników składające się; podczas zaś innych pór roku, klub zamienia się w nienajgorszą restauracyą, gdzie o każdéj porze, za cenę niezbyt umiarkowaną, można dostać bifszteku i kotletów porządnie opieprzonych i przydymionych.

Zresztą miasto leży na drodze wiodącéj do Gruzyi i na Kaukaz, przeto każdy z jadących i idących tam lub napowrót, musi zawadzić o Stauropol, musi się zapoznać z jego mieszkańcami. My może najpiérwsi z przybywających na Kaukaz, wejrzeliśmy w życie wewnętrzne Stauropola; po nas idący poszli naszym śladem. Zwiedzali więc Stauropol, w najdrobniejszych i najciekawszych szczegółach zapoznawali się z jego towarzystwem, począwszy od ks. kapelana i szeregowca Orł. aż do najpiérwszych urzędników. Niektórzy po kilka tygodni, a nawet miesięcy zatrzymywali się w Stauropolu, przemieszkując zwykle u p. Orł. Gdyby Orł... spisywał pamiętnik wydarzeń odwiedzających go podróżnych ziomków, z rozmaitych zakątków kraju tam przybywających w skutek najrozmaitszych okoliczności, wieleby ciekawych rzeczy miał do opowiedzenia. Bo p. Orł. od naszych najpiérwszych odwiedzin stał się punktem zbornym wszystkich po nas przybywających. A każdy z takich uszczęśliwiony, że po długich przechodach stepowych znalazł zakąt wiejski, cichy, stół ze smacznemi potrawami swojskiemi, z kawą prawdziwie po polsku przygotowaną; dzielił się chętnie z gospodarzem małego domku tym groszem, jaki od wyjścia z domu jeszcze zachowywał na niefortunne wydarzenia tak odległéj podróży. P. Orł. w prędkim czasie zrobił sobie fortunkę. Niedługo téż otrzymawszy uwolnienie od służby wojskowéj, spieniężywszy domek z ogródkiem i sprzętami gospodarskiemi, z żoną i dziatwą zabrawszy się na wózek, odjechał do kraju. Lecz w owym czasie nigdy o tém nie pomyślał; osiadł tam jakby w zamiarze zaaklimatyzowania się w tym kraju i zostania z czasem obywatelem kaukazkim. Ze smutkiem nas wtedy odprowadzał, gdyśmy występowali ze Stauropola do dalszéj podróży. Nasze grono rozdzielało się. Dwaj już poprzednio otrzymawszy rozkaz, pożegnali nas, udając się na lewe skrzydło Kaukazu. Jeden Pł. jeszcze ze mną bawił; lecz i my nareszcie otrzymaliśmy swoje naznaczenie. Pł. poszedł na

zachód do forteczki nad Kubanią, ja zaś za tamtemi dwoma na wschód do Groźnéj. Smutno mi było rozłączyć się z Pł.; jeszcze w szkołach szczebrzeskich razemeśmy się wychowywali, razem wzrośli, jednych słuchali wykładów tamtejszych professorów. Późniéj jego urzędowanie, a mnie zamiar dalszego kształcenia się rozłączyły na lat kilka. Aż znów szczególnym zbiegiem wypadków, powtórne los między nami zawarł koleżeństwo, ściślejsze, nierozerwane, bo śród wydarzeń szczególnych i w ciągu przygód, które ów węzeł przyjaźni zaciskają tak dalece, że chyba śmierć go przeciąć zdoła.

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Rząd francuzki przedłożył ciału prawodawczemu nowy projekt do prawa o wychowaniu. Projekt mówi, że prawo to nie osłabiając zgoła rękojmi, jaką wolność nauczania znajdowała w dawnéj ustawie (z 15 marca 1850 r.), chce jedynie porobić w urządzeniu i budżecie szkół rządowych zmiany, które nie są ani żadnym środkiem politycznym, ani téż czasowém postanowieniem. Chodzi o to, żeby pilnując zasad fundamentalnych na jakich gruntują się potrzeby wychowania publicznego, ustalić organizacyą, któraby w każdéj stronie kraju najdogodniejszą była.

Tutaj nastręczają się pytania: co zamierzono dokonać we Francyi tworząc okręgi (circonscriptions) wychowania publicznego, które nazwano akademiami? Jakie znaczenie przywiązywać do tego wyrazu? Jaką doniosłość przyznać téj instytucyi?

Prawo z 15 marca 1850 r. ustanowiło 86 akademij, po jednéj na departament. W chwili ogłoszenia prawa liczono ich 19. Za cesarstwa było akademij 27, jedna w każdym zakresie sądu appellacyjnego. Nowy projekt podaje tylko 16. Czy w każdéj z tych kolei prawodawstwa wyraz akademia jednako był rozumiany? Instytucya miałaż takie same znaczenie i cel? Obaczmy.

Kiedy Napoleon I określił ostatecznie wychowanie publiczne, piérwszą jego myślą było uświęcić i wzmocnić tę jedność, którą zgromadzenie 1789 r. siliło się wnieść do prawodawstwa, zwyczajów, administracyi, do sposobu nawet myślenia w całéj Francyi; jedność, którą

od onego czasu Talleyrand w swoim słynnym raporcie ukazywał jako najwyższy cel wychowania publicznego. Z licznych uniwersytetów, które przechowały życie umysłowe w tylu prowincyach, Napoleon złożył jeden uniwersytet cesarski; ale stanowiąc tę jedność, zamierzył także powiązać w silne i trwałe węzły zakłady naukowe, które rozsiewał na powierzchni kraju. Pod nazwą więc akademii chciała odbudować dawne uniwersytety prowincyonalne, strzegąc je przecież od odosobnienia i udzielnéj władzy, mogącéj grozić jednocie administracyi.

Cesarz chciał w każdym zakresie sądu appellacyjnego ustanowić nie rektora, ale urzędnika bez władzy, którego zwyczajnie mienią tylko korrespondentem ministra; chciał przedewszystkiém ująć w system urządzenia, któreby poczynając od fakultetów i liceów, aż do szkółek najmniejszych, stanowiły hierarchią, i rozlewały wszędzie to życie płodne, które niegdyś kwitło w łonie uniwersytetów. Napoleon w każdéj stolicy sądu appellacyjnego przyłączył do liceum jeżeli nie fakultet teologiczny, to fakultet prawny, albo medyczny: zawsze fakultet umiejętności i nauk wyzwolonych (des lettres). Było to wyraźne dawnych ciał uniwersyteckich naśladowanie.

Konwencya hojniejsza jeszcze w swéj niemocy, ustanowiła była po miastach departamentowych szkoły centralne, których najuczeńsze katedry daremnie czekały na słuchaczy, których albo nie było, albo téż niezdolni korzystać z wykładów. Próżne więc okazało się usiłowanie, żeby do jednoty departamentowéj, wymyślonéj przez prawodawców rewolucyjnych, sprowadzić wszystkie inne części krajowéj administracyi. Rozpraszając tak nauczanie, audytorya wszędzie nieomal puste były i daremne.

Cesarstwo porzuciwszy te marzenia, podniosło blask nauczania, ścieśniając jego ogniska. W miejscu jedności departamentowéj, niezdolnéj ogarnąć wielkich wymagań myśli, Napoleon założył zrozumialszą i wyższą jedność. Potrzeba było spotęgować dawną jedność, jeżeli ją chciano postawić na równi z postępem cywilizacyi: bo inaczéj nie odpowiedziałaby stosunkom tak licznym i szybkim, które się za dni naszych zawiązały między dalekiemi

niegdyś stronami. Ustaliwszy więc wyższe ogniska intellektualnych kraju stosunków, starano się uposażyć je w instytucye, które miały dać impuls wszystkim innym, i za regulatora im służyć.

W saméj rzeczy: cóż jest duszą tych nowych uniwersytetów solidarnych i zależnych, akademiami zwanych, jeżeli nie fakulteta, które miarkują, kierują i ożywiają wszelkie inne nauczanie? Anglicy, Włosi i Niemcy słusznie je jądrem uniwersytetów nazwali. We Francyi jeżeli nie akademią całą, mają być przynajmniéj jéj częścią żywotną; chodzi o to, żeby w niczém nie ustępowały uniwersytetom w Oxford, Edymburgu, Pizie, Padwie, Heidelbergu, Tybindze, Monachium i Berlinie. Jeżeli chcą dopełnić tych warunków fakultety francuzkie, winny zrzec się przedewszystkiém tych amfiteatrów świetnych, dokąd dowcipne improwizacye wabią dziś tłumy, raczéj rozrywki niż nauki chciwe; tłumy, które odpływając unoszą z sobą tylko przelotne wspomnienie, nie zaś korzyści pożytecznéj lekcyi. Dziś we Francyi na wzór Anglii i Niemiec, w przybytkach nauk i umiejętności uczniowie mają być w ciągłéj z professorami styczności; mają na codziennych konferencyach powtarzać i przerabiać naukę z katedry daną. Rząd obiecuje sobie, że przy emulacyi, którą baczna zawsze krytyka podnieci, młodzież zrozumié lepiéj piękne powołanie ucznia, poważne i wesołe zarazem, kiedyś tak długie i pamiętne, dziś tak krótkie i bezbarwne!

Ale te wyższe zakłady wychowania publicznego muszą być w zgodzie z istotnemi potrzebami kraju. Anglia i Niemcy nieinaczéj poczynały w składzie swoich uniwersytetów. W Anglii jest ich 8; jeden na 3,560,200 mieszkańców. Niemcy złożone z wielu państw udzielnych, mają ich znacznie więcéj, bo 31, tojest jeden na 2,016,000 mieszkańców.

We Francyi obecnie 13 miast ma mniéj więcéj kompletne fakultety. Reszty dawnych uniwersytetów, naturalne nowych akademij nasiona: Paryż, Strasburg, Dijon, Besançon, Lyon, Grenobla, Aix, Montpellier, Tuluza, Bordeaux, Poitiers, Rennes i Caen, mają tu i owdzie kilka połączonych fakultetów. Gdyby w tych 13 akademiach skoncentrować wyższe nauczanie, ludność Francyi była-

by uposażona lepiéj od angielskiéj, ale gorzéj od niemieckiéj: miałaby jeden uniwersytet na 2,769,000 mieszkańców.

Projekt do prawa chce, żeby ich było 16: to ostateczna jego zdaniem granica; przyczém objawia zaufanie w duchu narodowym, że dając Francyi jeden uniwersytet na 2,250,000 mieszkańców, pewien jest, iż żadnemu z tych ognisk intellektualnych nie braknie na licznéj i usposobionéj młodzieży. Zapełniwszy zatém trzy luki: w Douai dla północnéj, w Nancy dla wschodniéj, w Clermont dla środkowéj Francyi, będzie to wszystko, czego sobie życzyć można. W istocie zaniedbać tych trzech nowych kreacyj byłoby może wykroczyć przeciwko równości, jaka winna przewodniczyć w rozdziale urządzeń publicznych w całym kraju; przestąpić tę granicę byłoby może zbyteczném rozproszeniem ludności po szkołach, narażać na szwank ich powodzenie, ich byt nawet.

Nowe prawo powiada: że tam tylko, gdzie jest fakultet i miejsce na akademią, tam jeno znajdzie się reguła co zwiąże, i impuls, co poruszy inne naukowe zakłady. Oto jedyna zasada do grupowania hierarchii: wszelka inna miara dowolna jest i błaha, każdy inny zawiązek krótkotrwały i bezsilny. Boć nie od rektora zależy byt zakładów naukowych: przewodzi on im, znosi się z rządem, podtrzymuje i wyobraża ich system, ale ich nie stwarza.

Cuvier i Royer Collard powołani przez rząd, za piérwszéj restauracyi, do ułożenia z kardynałem Baurset, hr. Pastoret, pp. Bonald, Delambre i Quatremère de Quiney, nowéj ustawy dla wychowania publicznego, podzielili administracyą całą na 17 okręgów, którymby przewodniczyli rektorowie. Wróciła dawna nazwa uniwersytetów; ponad nimi stać miała wielka rada wychowania. Mimo to, pomówiono projekt, jakoby kładł tamę rozrośnięciu się jednéj z najpiękniejszych instytucyi cesarstwa. Powrót z wyspy Elby zostawił myśl całą na papierze.

Dziś w nowym projekcie chodzi rządowi nadewszystko o jedność w administracyi, w myśli i w usiłowaniach, co, jak mówi, stanowi potrzebę i zarazem chwałę Francyi; chce powrócić szkołom różnych stopni karność, go-

dność i życie. Budżet nic na tém nie ucierpi; rząd myśli, że podwajając nieco opłaty wymagane od uczniów, fakultety wystarczą sobie same; nadto tuszy, że te dochody dozwolą mu podnieść fakultety i wykłady do takiéj wysokości, na jakiéj stoją dzisiaj stare zagraniczne uniwersytety.

Na czele każdéj akademii stać będzie jak dawniéj rektor, głowa korporacyi szkolnéj. Fakultety od niego bezpośrednio zależeć mają; on dozierać będzie wykładów, przestrzegać ścisłéj bezstronności w przyznawaniu patentów; on nakoniec nada ruch szkołom niższym, przy pomocy inspektorów i rady akademickiéj.

Co do szkół elementarnych, jako zbyt oddalony rektor, nie mógłby ogarniać wszystkich szczegółów tak skomplikowanéj administracyi. Ponieważ więc wychowanie elementarne po gminach wiąże się z administracyą municypalną i departamentową: rząd oddaje je prefektowi, dodając mu inspektora akademii, mającego bronić interesów licznego grona nauczycieli, za jego staraniem wybranych i jemu pod nadzór poruczonych. Jednocześnie inspektor ma czuwać nad metodą nauczania, za którą odpowiada przed rektorem, swoim zwierzchnikiem, i przed radą akademicką.

Wedle nowego prawa, radzie departamentowéj, w któréj zasiadają biskupi i duchowni różnych wyznań, znakomici urzędnicy i t. d. zostawiono rozpoznawanie interesów dotyczących wychowania elementarnego w departamencie, oraz sprawy dyscyplinarne i sporne między prywatnemi zakładami niższego wychowania. Wolność nauczania, mówi projekt, znajduje tu jak dawniéj hamulec i opiekę razem, system rękojmi i administracyi pozostaje nietknięty; rząd tylko chce przydać wychowaniu publicznemu trochę energii: dlatego 16 projektowanych akademij wiążą się z sobą ustawą korporacyi nauczycielskiéj, jednoczą się w ogólnéj inspekcyi, która je przenika jednym i tym samym duchem. Pod wpływem rady cesarskiéj wychowania, która przepisuje dlań tryb i program uczenia, pod naciskiem władzy centralnéj, któréj głowa zasiada w radzie państwa, zyskują akademie tę jedność potężną, w któréj administracya francuzka główną siłę czerpie.

8 maja odbyła się w Orleanie odprawiana corocznie uroczystość na cześć Joanny d'Arc. Jak zwykle, tłumy Paryżanów i okolicznych mieszkańców zbiegły się dnia tego do Orleanu uczcić pamięć dziewicy.

Każde prawie znaczniejsze miasto we Francyi wydało jakiegoś wielkiego męża lub niewiastę poświęceniem sławną, których imieniem się chlubi, które służy za typ miejscowym artystom, za ideał poetom, a dla akademii jest przedmiotem specyalnych badań, i coraz to nowych poszukiwań. Tak Rouen święci pamięć Corneilla; Nancy sławi imię króla Stanisława Leszczyńskiego; Avignon opiewa Petrarkę i Laurę jego, a Tuluza Klementynę Izaurę. Orlean nietylko obchodzi co rok 8 maja święto Joanny, ale wszelkiemi formy: rzeźbą, poezyą, historyą, uświęca pamięć swéj nieśmiertelnéj bohaterki.

Bo téż ze wszystkich figur historycznych, imię dziewicy Orleańskiéj najpopularniejsze jest we Francyi; znane w każdym jéj zakątku i wszędzie sławione, jaśnieje w aureoli poświęcenia i męczeństwa. Każde miasto naznaczone jakim jéj czynem, chce ją w poczet swych bohaterów policzyć. Domremy chlubi się jéj kolebką; Rouen wzniosło jéj pomnik przebłagalny; Vaucouleurs, Chinon, Poitiers, Rheims, Compiègne imię jéj w złotą księgę swych archiwów wpisały: ale rzeczywiście Orlean, który dziewica za swą ojczyznę duchową wybrała, i nazwanie zeń wzięła, jest ogniskiem zkąd rozchodzą się na resztę ojczyzny promienie jéj jasnego wspomnienia. Orlean czci Joannę d'Arc jak włoskie miasta Madonnę: tam kościoły, muzea, biblioteki, ratusz i place publiczne napełnione są jéj pamiątkami.

Pomijam stare pomniki wzniesione dla Orleańskiéj dziewicy, gdyż w wykonaniu ich widocznie chęć za uczynek staje; jedyny godzien wspomnienia pomiędzy niemi jest ten, który Orleanki na cześć Joannie wzniosły. Przedstawiał on zdjęcie z krzyża: Joanna d'Arc i Karol VII klęczeli przy umęczonym Zbawicielu. Lafontaine oglądając ten pomnik w 1663 r. mówi w te słowa: „Widziałem pomnik dziewicy, ale wyznaję, że na mnie żadnego nie sprawił wrażenia: Joanna ani z wyrazu, ani z postawy do heroiny niepodobna."

W roku 1792 zgruchotano ów pomnik; wtedy Orleańczycy z potłuczonego bronzu ulali działo i ochrzcili je

imieniem bohaterki, bo rozstać się z jéj wspomnieniem niepodobna im było.

W r. 1804 Bonaparte, wówczas piérwszy konsul, zatrzymał się przed statuą Joanny d'Arc, wystawioną na wystawie paryzkiéj, i głośno począł chwalić myśl i wykonanie posągu; skutkiem czego twórca onegoż rzeźbiarz Gois, otrzymał piérwszą nagrodę, a Orleańczycy nabyli dzieło jego, które następnego maja z wielką uroczystością na placu Martroi w Orleanie postawione zostało, i tamże dodziśdnia stoi.

Nie uchybiając sądowi piérwszego konsula, nadmienić muszę, że dzieło pana Gois nie jest wcale arcydziełem. Brak gustu, jakim nacechowana ówczesna epoka, mocno razi w tym posągu, a brak natchnienia w rysach dziewicy, odejmuje jéj wszelkie prawdo-podobieństwo. Zdaje się, iż rzeźbiarz czerpał natchnienie w rowolucyjnych bohaterkach. Pasterkę z Domremy przedstawił jakby jaką nieustraszoną amazonkę, z głową dumnie w tył przechyloną, w birecie z piórami: w jednéj ręce miecz trzyma, w drugiéj rozwiniętą chorągwią potrząsa. Kibić mocno przegięta w pasie, i cała postawa Herkulesowych kształtów, raczéj do Bahantki niż dziewicy podobna. Otóż statua ta, któréj rozmiary w niczém już z dzisiejszemi prawidłami sztuki niezgodne, raziły niesmakiem wszystkich ciekawie doń wędrujących podróżników, ustąpi miejsca prześlicznemu posągowi, który pan Foyatier, twórca Spartakusa, właśnie ukończył.

Nowe to dzieło znakomitego mistrza będzie niezadługo wystawione na widok publiczny w Paryżu, i pozostanie tu aż do inauguracyi, która w maju przyszłego roku nastąpi. Posąg Joanny w niczém nie ustępuje Greckiemu niewolnikowi, któremu tak słusznie przyznano piérwszeństwo pomiędzy wszystkiemi rzeźbami francuzkiego dłuta; a jest ich niemało, i wiele (mianowicie nowych) znakomicie pięknych, jak naprzykład Joanna Hachette w ogrodzie luxemburgskim. Prostota i niebieskie natchnienie, przecudnie w twarzy Orleańskiéj dziewicy przebija. Ofiarując dłuto swoje Orleańczykom, pan Foyatier zaczyna temi słowy: „Jak Joanna d'Arc, byłem pasterzem za lat dziecinnych: pozwólcie mi stworzyć pomnik dla pasterki z Domremy."

Rzeźbiarz przedstawił Joannę w chwili, kiedy szala zwycięztwa na jéj stronę się przechyla: dziewica wstrzymuje rumaka, podnosi oczy ku niebu w dziękczynnym zachwycie, a miecz ku ziemi zniża na znak pokory. Rozmiary téj statuy są kolosalne. Pomnik będzie miał przeszło 15 łokci wysokości bez podstawy.

Na podstawie bronzowe płaskorzeźby przedstawiać będą oswobodzenie Orleanu, namaszczenie Karola VIIgo w Reims, i rozmaite ustępy z życia wojennego Joanny d'Arc. Koszta pomnika pokryte zostały ze składek; nadto, rząd upoważnił miasto Orlean do urządzenia loteryi, z któréj sprzedanych biletów 300,000 fr. poświęcone będą na losy wygrywające, a reszta na koszta piedestału i odkrycia pomnika.

Na tenże dzień zostanie ukończone odnowienie ratusza w Orleanie, które umiejętnie i z prawdziwą miłością starożytnéj architektury dokonywa się pod przywództwem francuzkiego architekta Wojciecha Delton. Z ruin starego ratusza pan Delton wzniósł prześliczny gmach w guście de la renaissance; jak Cuvier, z kilku odkopanych kości potrafił złożyć przedpotopowego Mastodonta.

Ratusz w Orleanie stanie się prawdziwą skarbnicą pamiątek po Joannie d'Arc: wszystkie o niéj legendy zebrane razem, ciągnąć się będą al fresco po długich ścianach gmachu, który stanie się tém dla epopei francuzkiéj z XVgo wieku, czém była galerya Didony w Kartaginie dla wojny trojańskiéj. W wielkiéj sali obrad, na olbrzymim frontonie średniowiecznego komina, jeden ze znakomitych snycerzy francuzkich, p. Jouffroy, żłobi obecnie trzy płaskorzeźby, przedstawiające trzy najważniejsze ustępy z życia dziewicy Orleańskiéj: wizyą, szturm do Tournelles i koronacyą w Reims.

Każdy niemal malarz francuzki po wielekroć malował Joannę. Fragonard, Revoil, Scheffer, Ingres, Paweł Delaroche, stawiali ją na piérwszym planie swych historycznych obrazów; żaden jednak nie oddał w zupełności dziewicy Orleańskiéj, dlatego, że każdy chce ją idealizować, a właśnie należy ona do rzędu tych istot, co świateł sztucznych nie potrzebują, bo same są światłością, i promienieją jak dyament przeczystém życiem i śmiercią męczeńską.

Dlatego zapewne poeci francuzcy wyżsi tą razą od malarzy, że nie dotykają już teraz rymami legendy o natchnionéj bohaterce; dlatego, choć to przedmiot tak dramatyczny, niéma ani jednéj opery na ten temat, bo prostota Joanny nie przystaje do poetycznych wykrzykników, ani extrawagancyj muzycznych nie znosi. Geniuszom nawet nie udało się oddać jak należy cudownych dziejów pasterki, bo tu najbogatsza fantazya nie sprosta rzeczywistości. Shakspeare i Schiller skrzywili ją na scenie, nadając uczucia i namiętności sprzeczne z historyczną prawdą. Davrigny i Soumet naginali charakter swéj heroiny wedle wymagań dramatycznych; pisząc historyą dziewicy, Chapelain naraził nabytą sławę, Voltaire nie ją, ale siebie zbezcześcił.

W tém miejscu, jakkolwiek niechętnie zatrzymuję myśl na Wolterowskiém arcydziele, które zarazem czystość i szlachetne obraża uczucie; nadmienić wypada, co natchnęło Voltaira do napisania satyry na Orleańską dziewicę. Pan Dupuis, wice-prezes w Orleanie, jeden z tych urzędników, którzy nudy biurowe wynagradzają sobie na starość literackim zawodem, wyjaśnił niedawno ten nieznany dotąd, a dosyć ważny punkt w historyi literatury francuzkiéj.

P. Dupuis wynalazł w szpargałach staréj biblioteki manuskrypt z datą 1753, który zawiéra co następuje:

„Dunois był przyjacielem jednego z moich przodków, i powierzał mu najskrytsze swoje myśli. Znaleziono w r. 1688 w starych rejestrach familijnych kopie kilku listów, w których Dunois utyskuje na niewdzięczność Joanny d'Arc, dając do zrozumienia, jakoby ścisłe łączyły go z nią stosunki. Dziad mój, który był adwokatem, i posiadał wielkie zaufanie Voltaira, pokazał mu te listy; ten porwał je skwapliwie, i na nich osnował poemat o Orleańskiéj dziewicy. Listów tych dziadowi oddać w żaden sposób nie chciał, i z tego powodu wytoczyliśmy proces spadkobiercom Voltaira, domagając się zwrotu tych dokumentów.“

Współczesny prawie Voltaira, Robert Southey, napisał poemat, który jest protestacyą Wolterowskiéj satyry. Southey gorąco i z miłością broni pokrzywdzonéj dziewicy: jestto może najświetniejszy hołd oddany piórem Joannie d'Arc. Anglik oświadcza na wstępie, że broni

sprawy nietylko sprawiedliwéj, ale świętéj; i rzeczywiście broni jéj szlachetnie. Nadto, obrazowość i bogactwo stylu, które tam do najwyższego stopnia rozwinął, przyczyniły się niemało do postawienia go w szereg piérwszych poetów swojego kraju.

W ogóle jednak, jak widzimy, niewdzięcznyto przedmiot dla poetów. W całéj massie epopei, sonetów i tragedyi, nie wyłączając ody Malherba, ani elegii Delavigna, wybór bardzo trudny: wszystko się nie udało! Dowiedziono, że rozumem uczcić pasterki niepodobna; zamiast więc wysmażonych napisów, które uczeni na grobowiec jéj układają, właściwszy byłby może cztérowiersz Franciszka I, który (jak mówią) wyrył na grobie Laury Petrarki:

„O gentille ame, tant estimée,
Qui te pourra louer qu'en se taisant?
Car la mémoire est toujours réprimée
Quand le sujet surmonte le disant."

Pomiędzy nowemi dziełami o Joannie d'Arc, mianowicie zasługuje na uwagę żywy jéj portret przez Micheleta. Zmęczony pracą, odpoczywając pod włoskiém niebem, ułożył Michelet prześliczną książkę, pod tytułem: „Les Femmes de la Revolution." Występują w tym obrazku: Charlotte Corday, pani Roland, Łucya Desmoulins, a mianowicie téż Joanna d'Arc z zachwycającą prawdą odmalowana.

Pan Quicherat bardzo obszernie, bo w sześciu tomach opowiedział dzieje Joanny: jestto rzeczywiście najszczegółowsze o niéj dzieło. Nie przestając na tém, pan Quicherat chciał streszczeniem rozpowszechnić obszerny swój traktat, stwierdzony tysiącami dowodów o niepokalanéj czystości i natchnieniu dziewicy Orleańskiéj. Otóż teraz z dzieła tego wyjął oblężenie Orleanu, i wydał temi dniami w Bibliotèque des chemins de fer, pewny, że tym sposobem w każdym zakątku Francyi czytany będzie.

Pan Sainte-Beuve w swych pogadankach poniedziałkowych, jakkolwiek chwali pomysł Quicherata, domaga się od niego dzieła pośredniego pomiędzy sześcią, a jednym tomikiem, dla pośredniczącéj między erudytami a klassą robotniczą, ludności. Oblężenie bowiem Orleanu zdaje się, że autor wyłącznie dla francuzkiego ludu przeznaczył.

Pan Lafontaine sędzia appellacyjny w Orleanie, wydał świéżo Historyą Joanny d'Arc, która rozmiarami i duchem dosyć odpowiada słusznemu żądaniu p. Sainte-Beuve. P. Lafontaine podaje fakta sumiennie i pedantycznie, jak prawdziwy sędzia przysięgły. Sam mówi, że strzegł się przedewszystkiém przesady, którą zowie kłamstwem poczciwych ludzi. Jakoż wierny swemu zadaniu odkrywa często cienie obrazu, tojest zwątpienia i słabości bohaterki.

Niezawodnie bezstronność jest zasługą historyka, a ciągłe panowanie nad sobą w opisie prawie cudownych wypadków, dowodzi wielkiéj trzeźwości umysłu; jednakowoż w tém miejscu ma ona swoje ale. Prawda naga, oparta na dowodach, uporczywe tłumaczenie cudów rozumem, łatwo przestraszyć mogą wierzących, którzy często bezstronności od sceptyzmu rozróżnić nie umieją. Odkrywając przed czytelnikiem, wytykając palcem najdrobniejsze słabostki Joanny d'Arc, p. Lafontaine bardzo podobnym się staje do owych pseudo przyjaciół, którzy za chrześciański obowiązek sobie poczytują otwiérać nam oczy na błędy osób ukochanych.

Pogodzić historyą z legendą można; wszakże Libelt w swém znakomitém dziele, z cudownéj szaty nie odziéra Joanny, choć prawdy historycznéj wszędzie ściśle przestrzega.

Autor Jocelina od lat kilku zdala od ludzi i świata żyjący, wydał teraz zbiór najpiękniejszych ustępów z dzieł swoich. Zbiór ten w podręcznym formacie zebrany, nazwał: „Lectures pour tous.“ Zaprawdę, dyamentowato książeczka, mówię wam! Autor taką do niéj napisał przedmowę:

„Cel mój leży w tytule téj książki: „Lectures pour tous.

„Ażeby książka mogła być czytana przez wszystkich, potrzeba jéj trzech rzeczy:

„Najprzód musi być niewielka i przystępna dla tych, którzy w niéj nauki, jak tych, co w niéj rozrywki szukają.

„Powtóre, zamiast traktować o tém, co dzieli ludzi, tojest o polityce, lub różnych systematach ludzkiego wymysłu, winna przeciwnie dążyć ku temu, co ich wiąże, tojest: mówić wyłącznie o duszy, uczuciu, sumieniu,

o szlachetnych instynktach wrodzonych ludzkości, o wszystkiém co Stwórca wlał wyraźnego, powszechnego i nierozwiązalnego w serce ludzkie, co wyrył językiem powszechnym, tojest uczuciem.

„Potrzecie nakoniec potrzeba, żeby książce téj nic zarzucić nie można było. Przeznaczona tak dobrze dla starych jak dla młodych, dla dzieci nawet płci obojéj, winna być oczyszczona przez autora nietylko z myśli i obrazów, ale z każdego wyrazu nawet mogącego skazić kryształową czystość duszy, którą zowią niewinnością, zanim ńa miano cnoty sobie zasłuży. Jeżeli jedna karta w tém dziele znajdzie się niepotrzebna lub zbyteczna: cel książki chybiony—zamknij ją czytelniku.

„Staranie to o spokój rodziny, sam podjąłem z największą skrupulatnością. Bezstronnie, bez słabości ojcowskiéj dla mych najsłynniejszych utworów, wybrałem z sześćdziesięciu tomów dzieł moich najczystsze i najpoprawniejsze karty; i z tych nawet, jeżeli przypadkiem strofa jaka, okres, obraz, wiérsz, wyraz nawet wydał mi się drażliwy dla macierzyńskiego ucha, poświęciłem go bez namysłu. Wykréśliłem strofę, uniewinniłem obraz, poprawiłem słowo. Poświęcenie to nic mnie nie kosztowało, gdyż przedewszystkiém pragnąłem, aby w téj książce nietylko przedmiot był zawsze zdrowy, ale i styl jéj zawsze przystojny.

„Pisarz, który się tak sam upokarza za życia, mniéj ma zasługi niżby się napozór zdawało. Streszczeniem w jednę książeczkę ogromnych dzieł swoich, wpaja on się głębiéj w serca czytelników, i dłużéj tam przez to żyć będzie. Szkoda, że inni pisarze nie uznali téj prawdy. Któryż człowiek, co jak ja czuł, mówił, pisał i działał wiele w swém życiu, nie zyskałby na takim wymiarze samemu sobie sprawiedliwości, zanim potomność nie skarze go na wieki zapomnieniem lub wymówką?

„Im płodniejszy jest pisarz, tém więcéj mętów w dziełach jego osiada. Myśl człowieka, czyto poety, czy mówcy, czy moralisty, czy historyka, zawsze jest ziemską: bo płynie z istoty omylnéj i ograniczonéj. Nie tryska ona przeczystym strumieniem, któryby bez obawy zepsucia zlać można w urny, i poić nim ludzkość przez wieki. Nie, myśl najdoskonalszego człowieka jestto potok z większéj lub mniejszéj wysokości spadający; potok, który sobie

w pamięci bliźnich głębsze lub płytsze wyrabia łożysko; ale nurt jego zawsze mętny, niesie z sobą piasek, kamienie i dzikie zielska, które od wody niebieskiéj odłączyć starannie należy. Myśl podobna jest do owych rzek amerykańskich, które toczą gdzieniegdzie bryłkę złota w błotnistych nurtach. Na jesieni, skoro woda opadnię, szukający złota robotnik idzie korytem, i zbiéra co się tam na dnie świéci, a ziemię na wiatr odrzuca: i z téj powodzi, co niejednę tamę zerwała, zbierze zaledwie kilkaset ziarnek ku zbogaceniu skarbca ludzkości.

„Toż samo uczyniłem z dziełami mojemi: streściłem je w małą książeczkę, która jeszcze wydaje mi się zagruba. Czyńcie jak ja: dajcie przepłynąć powodzi, a skoro się piasek ustoi, zachowajcie w pamięci jedynie tę trochę czystego złota, które zowią szczytną myślą, tojest: łzą, którą za niebem tęsknota wyciska, litością dla złych, świętém rozmyślaniem cudów natury, czcią dla jéj Stwórcy, poddaniem się Jego woli, wiarą w Opatrzność i nieśmiertelność.

„Oto jest cel téj książki. Jeżeli przeczytawszy ją uczujecie się lepsi, nie życzcie innéj zapłaty poecie: bo chwała jego w duszach waszych, nie w czczéj sławie spoczywa.“

Proces Dumasa z wdową Balzaka z domu Rzewuską, bardzo zajmował w tych czasach paryzką publiczność. Chodziło o postawienie nagrobka sławnemu romanso-pisarzowi, na co Dumas ogłosił składki, nie zniósłszy się poprzednio z panią Balzak, która ze swéj strony zajmowała się sama postawieniem pomnika mężowi, nie potrzebując składek do tego dzieła. A że żyje samotnie, i Mousquetaira nie czyta, nie wiedziała długo co się święci; bo ani różnokolorowych afiszów porozwieszanych po murach miasta, ani mnogich listów, które czynny Dumas w tym przedmiocie rozpisuje i odbiéra, wszystkie drukując w swym dzienniku, nie czytała.

Aż wreszcie przyniósł jéj ktoś numera Mousquetaira, w których codziennie, jakby kupiecki anons, drukowano imię Balzaka na czele jakiegoś zawiadomienia o balu lub koncercie, dawanym na zakupienie owego grobowca.

Zraniło serce wdowy takie wdzieranie się obcych w jéj prawa, oburzyło ją wrzaskliwe zbieganie się nie-

proszonéj gawiedzi na świéżym jeszcze grobie męża, wreszcie i dumę wdowy mocno dotknęła owa nieproszona żebranina i śmiałość, z jaką obcy świętych praw ją pozbawia. Kazała więc prosić Dumasa, żeby zaprzestał kwestować, bo nagrobek męża wedle jéj rozporządzenia już rozpoczęty. Nadto kazała architektowi trudniącemu się nagrobkiem ogłosić po dziennikach następujący list:

Szanowny redaktorze!

„Z zadziwieniem dowiaduję się, jakoby zbiérano składki na pomnik Balzaka, gdyż od roku pani Balzak poruczyła mi tę pracę, oraz dała potrzebne na to fundusze, i pomnik już jest na ukończeniu.

„Proszę cię szanowny redaktorze o zamieszczenie niniejszego listu w swym dzienniku: wypada bowiem zawiadomić publiczność, że wdowa Balzaka nie chce z nikim kosztów pomnika podzielać, gdyż tego niepotrzebuje. Zapewniam oraz tych, których pamięć sławnego pisarza obchodzi, że pomnik jego będzie godny autora Ludzkiéj Komedyi.“

Budowniczy Lapret.

Mimo to, składki nie ustawały. Pani Balzak choć ze wstrętem, musiała się uciec do sądu. W zaskarżeniu dziwi się, zkąd naraz przyszła ochota Dumasowi wdziérać się tak uporczywie w jéj prawa, stawiać pomniki jéj mężowi, z którym nietylko się nieprzyjaźnił za życia, ale poróżnił zupełnie. Daléj woła oburzona zwracając mowę do Dumasa: „Szanuj mnie, bo byłam jego żoną, a dziś sukcesorką złych czy świetnych jego powodzeń; szanuj mnie, bo jestem legatorką przywiązania człowieka, którego imię noszę, legatorką jego ostatniéj myśli i ostatniéj jego woli.“

Na to oburzony Mousquetaire w wymownych artykułach wykrzyknął: „Jakto? jeszcze się pani skarżysz? Jesteś niewdzięczna, niesprawiedliwa; jesteś egoistka, oschłe masz serce, krótko widzisz! Nie pojmujeszże, iż tu o sławę męża twego idzie, na co nie twego, ale składkowego potrzeba pomnika.“

Gdyby chodziło o wzniesienie statuy Balzakowi na placu publicznym, lub w jego mieście rodzinném, Mousquetaire miałby zupełną słuszność; ale rzecz inna, jeżeli idzie o nagrobek, do którego wdowa ma niezawodnie

piérwsze prawo, bo grób męża jest świętą jéj własnością. Teatra, koncerta, bale, na których postrojone kobiéty tańcując, zbiérały na grobowiec składkę ze śmiéchem i wrzawą, musiały koniecznie zranić do głębi każdą tkliwszą duszę, a cóż dopiéro serce kochającéj i opłakującéj stratę męża kobiéty.

Zrozumiał to, choć trochę późno Dumas; a mianowicie téż począł się obawiać, że przegra sprawę: pomiarkowawszy więc, że nie w swoje wdał się rzeczy, w te słowa pisze do pani Balzak, chcąc zagodzić sprawę bez sądu:

Pani!

„Zapewniają mnie, (ponieważ sama nie raczyłaś mi tego powiedzieć), że zadrasnęła twe wdowie serce publiczna składka, przeznaczona na wzniesienie pomnika sławnemu pisarzowi, którego wielbiliśmy za życia, a płaczemy po śmierci, coraz go więcéj ceniąc; bo Balzak należy do rzędu tych ludzi, których sława przyrasta z czasem.

„Mówisz pani, że sama nagrobek mężowi wystawisz. Pozwalam sobie zwrócić jéj uwagę, że każdy człowiek majętny ma prawo do nagrobka,—pomnik zaś tylko sławny mieć może.

„Ale uspokój się pani: nie nagrobek, ale pomnik chcemy stawiać Balzakowi. Francya cała, wszyscy artyści przez mój organ, nie czego innego się domagają. Rząd, albo ty pani, naznaczysz miejsce, gdzie pomnik ten ma być wystawiony.

„Prawa twoje uznajemy całkowicie. Słusznie mówisz, że grób należy do rodziny; ale słuszna jest także, żeby potomność zajęła się pomnikiem.

„Szczęśliwi, którzy prawo do potomności znaleźli we trzy lata po skonie!“

Alexander Dumas.

Ta spóźniona delikatność nie wstrzymała procesu.

Adwokaci stron obu wymownie bronili swych klientów. Adwokat Dumasa pan de Villeneuve, na usprawiedliwienie jego pomysłu, przytacza dawniéj ogłoszony artykuł jednego z poważnych dzienników, w którym, po recenzyi nowéj sztuki nieudolnie przerobionéj ze sławnego

romansu Balzaka: „Le Lys dans la vallée," krytyk mówi w te słowa:

„Podczas kiedy tak niemiłosiernie porzą, krają, i zeszywają wedle kaprysu dzieło jego, wiecie co się stało ze zwłokami autora? Wczoraj, wywołując drogie cienie przyjaciół, których Bóg do siebie powołał, błądziłem po labiryncie martwego miasta: Père Lachaise. Obok dwóch pięknych nagrobków w których Kazimiérz Delavigne i Karol Nodier spoczywają, znalazłem kamień zarosły trawą, a na nim wyryte te słowa: „Honoryusz de Balzac, urodzony w Tours w maju 1799, zmarły w Paryżu w czerwcu 1850."

„Żaden przechodzień nie zatrzymał się przed tym grobem, bo któż odgadnie, że tam popioły genialnego męża schowane? Trawa zarosła imię jego!

„Lada komu wznoszą złote pomniki, a o tym myślicielu, o tym archeologu inwentarza socyalnego, o tym sekretarzu towarzystwa francuzkiego (jak sam siebie nazywał), zapomnieli tak prędko Francuzi?!

„Nie, to być nie może, żeby grób człowieka, który tak do głębi przewiercił serce ludzkie; który, że tak powiem spisał inwentarz cnot i zbrodni naszych: żeby mówię grób jego miał niknąć pod zielskiém! Miejsce na którém pochowany wybornie jest wybrane. Po jednéj stronie cała ogromna panorama Paryża roztacza się bez końca, z drugiéj ciągną się długie cyprysowe ulice, a w nich cisza wieczysta i groby. Trzeba koniecznie w miejscu tego kamienia postawić za składkowe piéniądze pyszne, bronzowe mauzoleum; niechaj je wzniosą ręce tylu artystów niegdyś przyjaciół zmarłego, a na bronzie niech wyryją: „autor Ludzkiéj Komedyi." Wtedy sprawiedliwość będzie wymierzona."

Koniec końców, po długich debatach sąd wydał wyrok, którym, po wielu zważywszy, przysądza Ewie-Konstancyi-Wiktoryi Rzewuskiéj, wdowie Balzac, prawo stawiania nagrobku dla męża, a Dumasowi prawo wzniesienia mu pomnika za składkowe piéniądze; koszta zaś procesu rozdzielił pomiędzy obie strony zarówno.

Wedle świéżego raportu ministra oświecenia, w 86ciu departamentach Francyi jest 1,081 wyższych zakładów

naukowych prywatnych; w ręku osób świeckich 825, a w ręku duchownych 256.

Pod bezpośrednim nadzorem biskupów jest szkół 67. Do niektórych przyczyniły się gminy, niechcąc ponosić daremnych nieraz ofiar, i woląc mieć zamiast kollegium gminnego (communal), szkołę prywatną pod opieką zwierzchności dyecezyalnéj.

Daléj 156 zakładów są w ręku duchowieństwa świeckiego: 149 katolickich, 7 innych wyznań.

Wreszcie dziewięć kongregacyj, z których jedni tylko Lazaryści prawem uznani, mają szkół 33, Jezuici 11, Maryanie 13, a Bazylianie i sześć innych, resztę.

W powyższéj liczbie 256, nie objęte są jeszcze małe seminarya, których jest 123: razem 379 szkół pod kierunkiem duchowieństwa.

Na mocy prawa z dnia 15 marca 1850, każdy Francuz mający lat 25, który skończył liceum przed pięcią laty, mocen jest otworzyć szkołę. To też od czasu ogłoszenia nowego prawa, liczba szkół z 914, skoczyła na 1081; w samym departamencie Sekwany jest ich 174, ale zato Korsyka nie ma ani jednéj.

Biskupi w swoich sześćdziesięciu siedmiu szkołach liczą 8,051 uczniów, a w téj liczbie 5,030 pensyonarzy. Szkoły te są w ogóle, wedle świadectwa ministra, w stanie pożądanym.

Wszystkie prawie kongregacye otworzyły szkoły swoje po ogłoszeniu nowego prawa, mianowicie też Jezuici. Rozkład uczniów w tych szkołach jest następujący: Jezuici na 11 zakładów liczą 2818 uczniów; Maryanie w 13, uczniów 1449; Bazylianie w 2, 246 uczniów; sześć innych kongregacyj w 7 zakładach 772 uczniów: razem na 33 zakłady 5285 uczniów, a w téj liczbie 3150 pensyonarzy. Szkoły jezuickie są stosunkowo najliczniejsze, mają bowiem 2818 uczniów, między nimi 1711 pensyonarzy, kiedy Maryanie na 13 zakładów, mają tylko 1449 uczni, a pensyonarzy 763.

Szkoły w ręku księży świeckich różnych wyznań, liczą 7,859 uczniów (3,724 pensyonarzy), a przecież jest ich 156. Ogółem w 256 szkołach pod kierunkiem duchowieństwa jest 21,195 uczniów; w 825 zakładach pod dozorem świeckich, 42,462. Ogólna liczba uczniów w szkołach nierządowych, 63,657.

Jak widzimy, szkoły utrzymywane przez świeckich choć cztery razy liczniejsze, tylko dwa razy więcéj mają uczniów. Nadto, wyjąwszy zakłady po wielkich miastach i w Paryżu, szkoły te prywatne z trudnością się utrzymują.

Godna uwagi, że od czasu wprowadzenia w wykonanie nowego prawa, tojest od 1 października 1850 r. kiedy liczba szkół z 914 urosła do 1081, liczba uczniów z 99,623 podniosła się ledwie do 108,333. Zobaczmy, jak się rozkładają te cyfry.

1 *października* 1850 *r.*

57 liceów.	uczni 19,269	
305 kollegij kommunalnych . . .	— 31,700	50,969
914 zakładów prywatnych. . . .	— 52,906	
Z téj liczby 4,252 chodziło na wykład do liceów i kollegij, więc 48,654 tylko uczyło się w samym zakładzie.		48,654
		99,623.

1 *marca* 1854 *r.*

61 liceów.	uczni 21,076	
253 kollegij kommunalnych. . .	— 27,905	48,981
1081 zakładów prywatnych . . .	— 68,657	
W téj liczbie 4,305 chodzi na wykład do liceów i kollegij; zostaje 59,352 uczących się w samym zakładzie.		59,352
		108,333.

Rząd ma dziś o cztery licea więcéj, ale o 52 kollegij mniéj jak w 1850 r. Jednak szkoły rządowe straciły nie więcéj nad 1,988 uczniów. Tyczy się to wyłącznie kollegij, bo licea zyskały 1,807 uczniów. Liczba zakładów prywatnych pomniejszyła się o 167, liczba uczniów tylko o 10,683; rozszerzył się ich obszar, ale na głębokości nie zyskały wiele.

Rząd ze swéj strony obiecuje mieć pilne staranie o szkołach, które od niego zawisły, i naturalnie przyrzeka skuteczne z prywatnemi współubieganie się.

Wyszedł tom IIIci podróży po Chinach Juliusza Itier, pod tytułem: Journal d'un Voyage en Chine, en

1843, 1844, 1845 et 1846. Z rozmaitych dzieł o Chinach, których bardzo wiele napisano od czasu jak parowce angielskie zbliżyły do Europy Niebieskie cesarstwo, a Anglicy przechodzą się z cygarem w ustach po ulicach Kantonu, Hong-Kong, Singapoor i Kalkucie; ze wszystkich mówię podróży po Chinach, żadna nie zawierała szczegółów tak pożywnych, tak oryginalnych obrazów, a mianowicie też pisaną nie była z tak praktycznego stanowiska, jak dziennik pana Itier. Obyczaje, historyą naturalną, rolnictwo, handel, objął zarówno w swém dziele, i obrobił z zadziwiającą specyalnością. Dlatego polityk, uczony, kupiec czy rolnik, czytać go będą z równém zajęciem.

Pan Itier był członkiem ambassady francuzkiéj wysłanéj do Chin w 1843 r. Dwa piérwsze tomy dzieła swego wydał w 1848 r.; trzeci z nich niezawodnie najlepszy. Znać, że autor wiele przez ten czas badał i zastanawiał się głęboko nad tym szczególnym narodem. Niezmiernie on ceni lud chiński; mówi, że jest powolny, cierpliwy i wytrwały, mianowicie też słodycz charakteru ma wielką.

Na urzędników tylko bardzo powstaje; powiada, że są podli; okrutni, chciwi i fałszywi do najwyższego stopnia; że wszystkie te przywary tak głęboko w duszy ich są wkorzenione, iż im się na twarzy wybiły. Daléj opowiada bardzo zabawnie, jak sam z kilką majtkami rozpędził kijami cały batalion milicyi chińskiéj, uzbrojonéj od stóp do głów, która im przejście do marmurowych skał tamowała.

Przytoczę tutaj jednę scenę z życia domowego Chińczyków, opowiadaną panu Itier przez amerykańską damę. Maluje ona wybornie chińskie kobiéty, prawie dotąd nieznane w Europie.

„Pani H. z dwiema przyjaciołkami udała się w odwiedziny do jednéj z dam chińskich. Ta, ponieważ oddawna pragnęła poznać Amerykanki, przyjęła je z wszelkiemi oznakami najwyższego zadowolenia.

Płeć męzką starannie na czas odwiedzin usunęła z domu gospodyni, wedle zwyczaju narodowego, który surowo przestrzega schodzenia się płci obojga w towarzystwie. Kobiéty widują się tylko same między sobą, i mężczyzni takoż.

Towarzystwo więc składało się z 15 kobiét, tojest: trzech Amerykanek, gospodyni domu prawéj żony mandaryna, drugiéj i trzeciéj jego małżonki, córek i siostrzenic. Wszystkie te chińskie niewiasty zdawały się żyć społem w najlepszéj harmonii. Sam to już nieraz zauważałem, że w Chinach kobiety wcale nie są tak zazdrosne jak nasze. Żona prawa, jeżeli tylko jest panią u siebie, ma wygódki i należny szacunek, i nie dba wcale co robi mąż nietylko poza domem, ale nawet w domu.

Niezadługo podano obiad, składający się chińskim obyczajem z mnóstwa maleńkich półmisków, nałożonych mięsną siekaniną, z ciastek i zupy z gniazd jaskółczych. Po zupie damy chińskie zaczęły gęsto wychylać kubki napełnione tak zwanym Sam-chon; jestto poprostu gorąca wódka z herbatą, któréj nasze panie przełknąć nie mogły. Tak niesłychanie mocnym i palącym był ten trunek, że zaledwie go do ust przytknęły, poczęły się krztusić: co dało powód do żartów i wesołości damom chińskim, które już dobrze podchmielone gorącym napojem, śmiały się z nich do rozpuku.

W końcu obiadu wesołość przebrała miarę, a cybuchy przez wodę ciągnione, które podano w środku obiadu, upiły je do reszty. Damy chińskie zaciągnąwszy się dwa lub trzy razy tytuniowym dymem, oddawały fajki posługaczkom, żeby je na nowo nakładały, i tak paliły bez końca.

Wkrótce wesołość i gestykulacya doszły do najwyższego stopnia; pytania zadawane Amerykankom stawały się coraz niedyskretniejsze. Twarze kobiét naszych przezroczystéj białości, mocno zaciekawiły Chinki, które przypuścić nie mogły, żeby to była ich naturalna cera. Tarły więc co siły ręce ich i policzki zmaczaną w wodzie chustką, ażeby się przekonać, iż żadnych na skórze nie miały malowideł. Jak wiadomo, kobiety chińskie farbują sobie policzki karminem, usta ponsem, brwi i rzęsy tuszem, czoło zaś i szyję białą pociągają farbą. Podziw już nie miał granic, skoro jedna z Amerykanek zdjęła rękawiczki, które im wydawały się jéj własną skórą: wyrywały sobie owe rękawiczki, zowiąc je trzewikami na ręce, i podawały jedna drugiéj; nareszcie z zapałem poczęły całować nasze kobiety, chwaląc, że takie piękne i tak się sztucznie ubierają. Nie

wiadomo na czémby się skończyły te wybuchy czułości, gdyby Amerykanki zaraz po obiedzie nie pożegnały zbyt uprzejméj mandarynowéj, z wielkim jéj i całéj rodziny żalem."

Niemałą zasługą pan Itier jest bezstronność, z jaką mówi o Anglii. Wszędzie jest sprawiedliwy i nie zazdrosny, chwali gdzie tylko należy. Niczém niezatarta rywalizacya Francyi z Anglią, która wszędzie i zawsze przebija, choć ją teraz systematycznie skrywają, zdaje się że wcale nie zaślepiała autora chińskich podróży; owszem chwali otwarcie system rządu angielskiego i przyznaje, że szczodrze oświatę po swych osadach rozsiewa. Powiada między innemi, że na wyspie Cejlan w każdéj wiosce jest szkoła, któréj głównem jest zadaniem nauka angielskiego języka.

Jak powiedziałem, pełno w téj książce wiadomości handlowych, naukowych i przemysłowych. Pan Itier nietylko ogrody i szklarnie ojczyste zbogacił, przesyłając wiele nieznanych i pożytecznych roślin, ale nadto i księgozbiory francuzkie ciekawém udarował dziełem.

Teatr włoski zakończył świetnie swoje reprezentacye. Frezzolini pełna rzewnego czucia śpiewaczka, o któréj w poprzednich sprawozdaniach obszerniéj wspomniałem, w roli Beatrice di Tenda wzbudziła entuzyazm, przypominający dawne tryumfy pani Malibran, Sontag lub Grizi, za najświetniejszego powodzenia włoskiéj sceny, kiedyto Rossini miał jeszcze cały urok nowości, a praca dyrektora teatru ograniczała się na rachowaniu wpłynionych do kassy pieniędzy. Błogieto były lata!

Wtedy po 60,000 fr. płacono w Paryżu prymadonny i tenorów; Kalifornia, Australia i zamorskie Krezusy nie popsuły jeszcze bajecznemi cyframi artystów europejskich, którzy dziś szlachetny kruszec, jak podłą miédź korcem mierzą.

Mimo tak ciężkich czasów dla dyrektorów teatralnych, pan Ragani zgromadził znakomitą trupę, zmusił niejako publiczność, żeby na opuszczony od rewolucyi lutego teatr powróciła, a co najdziwniejsza—nie zbankrutował. Mario, Gardoni, Tamburini, Rossi, Frezzolini,

Parodi i Ernesta Grizi, cudu tego dokonali. Zręczny dobór oper uwydatniał naprzemiany talenta artystów. Mario i Alboni w Cyruliku, Frezzolini w Lukrecyi Borgia i Beatricze, oklaski i wieńce zbierali.

Piérwsza dopiéro Frezzolini oddała wszystkie piękności opery Belliniego Beatrice di Tenda, która dotąd tylko we Włoszech lubioną była.

Posępny przedmiot téj sztuki szkodził miękkiéj muzyce Belliniego. Zdawało się, że zdrajców, katów, tortury i ścinania, tylko gwałtowne i dzikie akordy Meyerbeera oddać potrafią; miłosne zaś, słowicze tony autora Normy opiewać zbrodni niezdolne. Jednakowoż, znać tylko wyrazu do tłumaczenia brakło; bo rola w operze jest jak dekoracya: cały jéj efekt zależy od oświecenia. Jeżeli światło padnie nań właściwie, perspektywa rysuje się jak należy, piérwszy plan mocniéj wystaje, oddal we mgle się roztapia: wszystko co było szare i niewyraźne, uwydatnia, rusza się, żyje. Doskonałém wykonaniem Frezzolini dała nowy, nieznany blask Beatriczy, któréj smutna monotonia raziła dotąd słuchaczy; śpiéw jéj wytłumaczył ogromne powodzenie téj opery we Włoszech.

Czternaście reprezentacyj ulubionego Cyrulika, które, mówiąc nawiasem, przyniosły dyrekcyi 116,000 fr., opóźniły nowsze sztuki zapowiedziane w programie. Po nim Don Juan, Lukrecya Borgia, Łucya, Lunatyczka, Napój miłosny, Kopciuszek, Włoszka w Algierze, Sroka złodziéj, Otello, wielkie wywołały poklaski. Mniéj pochwał zyskał Hernani, Donna del Lago i Nina Pazza (muzyka Coppoli); piérwszy dlatego, że muzyki Verdego nie lubią w ogóle Francuzi; w drugiéj role źle były rozdane, w trzeciéj zaś raziła niestosowność: Alboni bowiem bardzo otyła, jak wiadomo, wcale do niknącéj z miłości dziewczyny niepodobna.

Za cztery miesiące teatr włoski otworzy się na nowo, i przez 18 miesięcy nie zamknie, z powodu wystawy zapowiedzianéj na rok przyszły, dla któréj obszerny gmach na polach Elizejskich buduje się.

Będzieto pora ogromnych zysków, ale i ogromnych wydatków dla opery włoskiéj; mówią, że natenczas teatr zapomogę od rządu otrzyma, bo duma narodowa wymaga, żeby cudzoziemców uderzyć niewidzianą dotąd na

żadnéj scenie harmonią i całością. Paryż, który Francuzi może słusznie nowoczesnemi Atenami nazwali, może, ich zdaniem, mieć rywali w przemyśle, ale nie w sztukach pięknych!

Rzeczywiście, włoskiéj muzyki dziś nie we Włoszech, ale w Paryżu szukać należy. Włoch kocha sztukę, ale go piéniądz przyciąga magnetycznie: wszystko więc, co za Alpami zabłyśnie, ku Paryżowi dąży. Dlatego teatr włoski w Paryżu jest prawdziwą szkołą śpiewu, w któréj więcéj się nauczyć można, niż od najlepszego professora. Opera Wielka zeń czerpie dla siebie artystów: Moreli, Alboni, Viardot-Garcia, Rossi, Cruvelli, tam wykształcili się na piérwszych dzisiaj śpiewaków.

Ale utrzymaniu tak zbytkownego teatru z piérwszych złożonego artystów, nawet bogaty Paryż nie podoła; kwestya więc zapomogi mocno teraz tutejszych dyletantów zajmuje, a dyrekcya tém potrzebę jéj usprawiedliwia, że śpiewaków na wagę złota kupować musi i t. d.

Sławny aktor Fryderyk Lemaitre grał rolę parfumiarza Fauveau, i odkrył nową stronę swego talentu. Nikt sobie nie wyobrażał, żeby Lemaitre, któregośmy podziwiali w roli szulera, Robert-Macaira, Ruy Blasa, Don Cezara de Bazan, mógł oddać z niemniejszym talentem spokojną rolę narodowego gwardzisty, ojca rodziny, poczciwca sprzedającego mydło i pomadę. Nowy to tryumf godnego następcy Talmy.

Historyą drukarstwa napisał Paweł Dupont. W przedmowie powiada, że uważa dzieło swoje raczéj za materyał do historyi drukarstwa, niż za jego historyą; że dzieło niniejsze napisał jedynie czyniąc zadość ostatniéj woli ojca, który był przez lat 74 drukarzem.

Mimo skromności autora przyznać należy, że zebrał i ułożył starannie wszystkie fakta dotyczące sztuki drukarskiéj, zarówną tym sposobem i myślicielom i rzemieślnikom czyniąc przysługę. Pytającemu: jaki jest stosunek sztuki myślenia do sztuki drukarskiéj, łatwo odpowiedzieć, że myśl jest duszą, druk ciałem, a razem jednę składają istotę. Drukarstwo jest niezaprzeczenie naj-

wyższe z rzemiosł, i jest rzeczywiście jedyném sukcesyjném dziś rzemiosłem. We Francyi można naliczyć niemało drukarskich dynastyj, które od niepamiętnych czasów żadnéj nie uległy zmianie; o któréjże innéj dynastyi w tym kraju można toż samo powiedzieć?

Paweł Dupont członek ciała prawodawczego i drukarz z professyi, szczęśliwą powziął myśl zgromadzenia i związania w jeden snopek rozrzuconych, a mających rzeczywistą wartość historyczną dokumentów. Że autor zna swój przedmiot, rozumié się samo przez się; rozumié się także, że tylko specyalny człowiek może recenzyą jego dzieła napisać.

Doktor Guépin wydał Filozofią XIX wieku. Jestto długa i nauczająca wycieczka po gęstym lesie przeróżnych systematów, w które wiek XIX obfituje, skutkiem zapewne, jak mówi nasz poeta-satyryk, „że po deszczu krwawym, reformatorowie rodzą się jak grzyby."

Pan Guépin wędruje po tych bezdrożach, mając zawsze oczy ku bezwzględnéj prawdzie zwrócone, i dlatego wędruje szczęśliwie: bez téj stałéj gwiazdy, pewnieby z labiryntu nie wybrnął. Książka ta czyta się ciekawie; nie jest zadługa, choć z 900 kartek złożona; nie jest zakrótka, chociaż traktuje o całéj niemal wiedzy ludzkiéj: z czego wypada, że ma wartość.

Felix Mornand napisał był zeszłego roku bardzo wziętą książeczkę pod tytułem: Vie des Eaux. Rzekłbyś, że wszystkie źródlane Rusałki natchnienie mu przysłały, tak lekkie ma pióro, a kwiecistość obrazowania. Otóż teraz pan Mornand wydał: La Belgique, niemniéj miłą i dowcipną książeczkę, która zapewne niemniejsze niż poprzednia znajdzie w świecie powodzenie. Prócz dowcipu, jest w niéj także dosyć poważnych wiadomości o handlu i przemyśle belgickim. Wyszła w tak zwanéj Bibliotece kolei żelaznych, w któréj znajdują się teraz imiona najpiérwszych autorów: bo biédaczka literatura, nachodziwszy się dosyć o kiju, a nieraz i z dziadowską torbą po manowcach, jeździć teraz będzie koleją żelazną.

DWA DWORY.

POWIEŚĆ.

I.

Chrzciny.

Ostatnim blaskiem spływając z góry,
Kąpie się słońce w zwierciedle Bzury,
I coraz wdzięczniéj barwy różowe
Na niedaleką sieje dąbrowę.
Tuż poza rzeką stoi na wzgórzu
Dworek modrzewi; a na podwórzu
Liściasty jawor, w bujne konary
Dach wpół ocienia zmszony i stary.

A w cichym dworku, o białe ściany
Gwar się rozlega szczęścia nieznany.
Zkąd wszystkim radość taka u czoła?
Oto Bóg zesłał z niebios anioła:—
Drobną dziéweczkę; z nią razem g'woli
Strzechę ozłocił promieniem doli.

W małéj komnatce, w koło zebrana
Rodzina czeka księdza plebana:
Sędzia z małżonką, cni przyjaciele,
Przybyli wspólne dzielić wesele;
Bo uproszeni sąsiedzi mili,
By dziécię do chrztu podać raczyli.

Major (tak wszyscy zwą gospodarza),
Wielce sąsiada swego poważa;
Bo nie dla kształtu sędziego głowa,
A serce droższy skarb jeszcze chowa:—
Starą poczciwość, prostotę świętą,
I cnotę ojców rdzą niedotkniętą.

A i ich żony umieją szczerze,
W nieskazitelnéj dochować wierze
Związki przyjaźni, co w imię Boże
Zawarły jeszcze wzajem w klasztorze,
Siedząc trzy lata na jednéj ławie
U Sakramentek niegdyś w Warszawie.
Wróciwszy do dom, znać palec Boski
Przywiódł obiedwie w sąsiednie wioski:
Jednę z nad Warty, drugą z nad Wisły.
Czas związek jeszcze ustalił ścisły;
To téż obiedwie szczerze tuszyły
Wytrwać w przyjaźni aż do mogiły.

Sędzia z majorem gawędzą społem,
A dwie niewiasty z pochyłém czołem
Patrzą w kołyskę, gdzie drobne dziécie
Śpi, nic nie wiedząc o Bożym świecie.
Już doświadczeńsza nieco sędzina,
(Pięcioletniego ma bowiem syna),
Udziela rady miłéj Maryni,
Pomyślne wróżby rada jéj czyni:
Już wyprowadza niemylne wnioski,
Jakie dziéweczka miéć będzie włoski,
Jakie oczęta, jaką urodę,
Gdy z pączka wdzięki wykwitną młode.
A matka milczy, patrzy i słucha,
Pochlebnym słowom nachyla ucha;
Serce jéj dziwną nadzieją wzbiera,
A w jasném oku lśni radość szczera.

Od strony wioski, żwawo za płotem
Toczy się bryczka z głośnym turkotem;
A stary Zabój sroży się, zżyma,
Błyszcząc srogiemi w złości oczyma.
Major i sędzia, starym zwyczajem,
Przed progiem gościa czekają wzajem.
Bryczka pomału w opłotki składa,
Stawa: sędziwy pleban wysiada,
A za nim dziadek, wraz z organistą,
Niosą poważnie i uroczysto
Stułę i komżę, i kropielnicę,
I dwie olbrzymie jarzące świéce.

Po powitaniu, wnet pleban stary
Poczyna święty obrządek wiary.
Z poduszką dziécię trzyma sędzina;
A to niebawem kwilić zaczyna,
Z pociechą matki: co wróży skrycie
Z łez niemowlęcia, zdrowie i życie.

Kapłan modlitwą czci naprzód Pana,
Potém zaklina słowem szatana,
Niechaj się nigdy zbliżyć nie waży
Tam, gdzie znak krzyża stoi na straży.
I krzyżem dziecku nakreśla czoło,
Świętym olejem znaczy wokoło,
Haliną drobne dziewczątko zowie,
I szepcze *Credo*. Za nim kumowie
Pobożnie mówią wyznanie wiary,
Jak przykazuje obyczaj stary.

Sędzina składa na matki łono
Z błogosławieństwem córkę ochrzczoną;
A wszyscy życzą, by dziécię małe
Rosło Wielkiemu Bogu na chwałę,
I na pożytek dla ludzi braci.
Niech się czém może światu wypłaci,
Byleby tylko z obrazą nieba
Nie pożywało w próżniactwie chleba.

A wtém się zbliża dziadek ubogi,
Obejmie młodą matkę za nogi:
— „Toż mi nie brońcie, państwo łaskawe —
Rzecze — dziecinę złożyć pod ławę,
Jako przed laty czynili starzy (1).
Bóg zawdy łaską pokornych darzy:
Im bardziéj człowiek wolen od pychy,
Tém pewniéj doli skosztuje cichéj."

Matka dziecinę oddaje rada;
Dziad ją pod ławę dębową składa,
Klęka, i Bogu, nad śpiącą szczerze,
Pobożném sercem mówi pacierze.
A wtém z gąsiorem wnoszą miód stary.
Ojciec nalewa pełne puhary,
A sędzia wznosi dziécię do góry:
— „Bóg daj wam — rzecze — pociechę z córy!
Niech jako one matrony dzielne,
Zachowa serce nieskazitelne;
Niech Bóg w niém strzeże skarb szczéro-złoty
Świętéj miłości, wiary, prostoty!
Tyle ja jeno życzę dziecinie,
A dola sama z góry jéj spłynie;
Bo zawdy strumień jasny a czysty,
Odbija z niebios promień złocisty."

(1) Zwyczaj ten przechowuje się dotąd na Mazowszu.

Matka łzę cichą otarła z lica,
A oko ojca dziwnie przyświéca:
Jakby przez mroczne czasu przestrzenie
Bóg mu przyszłości zesłał widzenie.
— „Biédny ty — rzecze — pączku mój młody!
Tobieby trzeba słońca, pogody,
Aby zajaśnieć wdzięczną koroną,
I tchnąć ku niebu woń nieskażoną.
A jak Bóg ześle burzę i słotę,
Co cię uchroni biédną siérotę?
O! wtedy skrzydła stróża anioła
Okrążą ciebie, dziécię, dokoła;
On białą dłonią wskaże ci w cieniu
Dwie czyste gwiazdy, w których promieniu
Jedyna z ziemi do niebios droga,
Przed tron cię jasny powiedzie Boga!
Jedna z nich — miłość; druga — cierpienie!
W nich ci duch Boży ześle natchnienie;
One-ć wypalą piętno na duszy,
Którego siła złego nie skruszy;
Z nich żywéj wody strumienie spłyną
Na głowę twoję, biédna dziecino!
Wtedy u zdroju łaski ochrzczona,
Z wiarą obejmiesz krzyża ramiona,
Pomna, że tylko szczęśliwy w tłumie
Kto wiele kochał — kto cierpiéć umié!"

I umilkł ojciec, a rękę drżącą
Wzniósł ku niebiosom z modłą gorącą,
I znów nad głowę dzieciny zniża,
I kreśli na niéj święty znak krzyża.
I cicho — głucho — jakby w komnacie
Anioł milczenia w śnieżystéj szacie
Przewiał, unosząc lotnemi pióry
Myśli obecnych z ziemi do góry.
Tylko opodal z Bożego świata
Wieczorna wrzawa szmerem dolata.
A nad kołyską dzieciny hożéj,
Ostatni promień gasnącéj zorzy
Błysnął przez okno, a drobne dziécie
Śpi, nieświadome o Bożym świecie!

II.

Poranne lata.

Płynie a płynie Bzura doliną,
A z nią godziny, dnie, lata płyną;

A dziécię wzrasta w siłę i zdrowie,
I jak ptaszyna rankiem w dąbrowie
Szczebiocze zcicha niewinne pieśnie,
Które stróż anioł szepcze jéj we śnie.
O! jasnoż świeci dla niéj świat Boży!
To téż dziecina co dnia się korzy,
Dziękując Bogu, że wkrąg po ziemi
Rozesłał kwiaty z barwy cudnemi;
Że je co ranek pokrzepia rosa,
Że tak gwiazdami świécą niebiosa,
Że tyle muszek brzęczy nad wodą,
Że z taką ptastwo nuci swobodą,
Kiedy Bóg słońcem świat rozweseli;
Że tak godowo ziemia się bieli,
Gdy śniég ją czysty przyprószy w zimie;
Że tak ognisko tli na kominie,
Gdy je obsiądą prządki wieczorem,
Podczas gdy wicher nad blizkim borem
Z śnieżną zamiecią głucho szeleści,
A one cudne prawią powieści:
O żywych zdrojach zaklętéj wody,
I o księżniczce złotéj urody;
O złotogrzywym biegunie, który
Lotne na niebie prześciga chmury;
O skarbach skrytych w łonie otchłani,
Którym stróżują wiecznie szatani;
I o pałacu srébrnym, gdzie skrycie
Księżyc się do snu chroni o świcie,
Zanim go orły znów górnolotne,
Z wozem poniosą we mgły wilgotne,
Zkąd, wśród milczenia i tajemnicy,
Zabłyśnie zorzy swéj cudnolicéj.

O! lubi słuchać powiastek dziécie!
A myśl jéj krąży w zaklętym świecie,
Kędy nieznane na ziemi cuda
W czarowne barwy złoci ułuda.
O! lubi dziécię z prządkami społem,
Gdy przy kądzieli zasiądą kołem,
Nucić piosenki piękne a łzawe:
Jak koń mogilną grzebie murawę,
Kędy wojownik spoczywa młody;
Jak kruki nad nim sprawiają gody;
Jak stary sokół, siedząc na skale,
Za zbiegłym czasem rozwodzi żale;
Jako kukułki, ptaki żałoby,
Z pomrokiem drogie zwiedzają groby,
I drobne główki tuląc w kalinie,
Gwarzą umarłym wieść o rodzinie!

I młode dziéwczę, by kwiat kaliny,
Wpośród rodzinnéj wzrasta doliny,
Ogrzane słońca blaski złotemi,
I rosą własnéj skrzepione ziemi;
Ukołysane szumem dąbrowy,
Niby tajnemi zaklęte słowy.
I jak kalina wysmukła rośnie,
I na świat Boży patrzy radośnie;
A świat nawzajem ku niéj się śmieje,
Sny jéj malując w cudną nadzieję.

A kiedy w wolne od nauk chwile,
Z Halką po łące goni motyle
Stasio, sędziego chłopak jedyny;
Oj! chyżo wtedy biegną godziny!
Bo téżto Stasio dziarskie pachole!
I do nauki piérwszy on w szkole,
I do niewinnéj skory pustoty;
Ale się chroni szkodliwéj psoty.
Chociaż o każdém gniazdku wié w sadzie,
To on nie stoi ptastwu na zdradzie;
Nawet tajemnie sypie im zboże,
Aby posilić śpiewaki Boże.
A nawet rzesza wróbli, choć marna,
Często z rąk jego znachodzi ziarna;
Bo jużto Stasia taka przyroda:
Że zawdy rękę słabemu poda.
Kiedy się pastwią psy nad żebrakiem,
On mu na pomoc przylata ptakiem,
Pogromi kundle, dziada obroni,
A od podzięki żwawo się chroni.
Z chłopcami we wsi rad stacza boje:
Stroi ich w dzidy, hełmy i zbroje,
W drewniane szable, i het szeregiem
Hufce nad Bzury rozstawia brzegiem.
A huk doboszy i hasła brzmiące,
Z rosą wieczorną płyną po łące;
Czasem dobieżą Halce do ucha.
A małe dziéwczę stawa i słucha,
I zwraca oko, kędy w mgle sinéj
Szarzeje wioska w wianku olszyny.

Bo dwie wsi, niby siostry rodzone,
Korytem Bzury tylko dzielone,
Wzajem na siebie patrzą z oddali,
Owiane w błękit powietrznéj fali.
W obudwóch dwory jednakie prawie,
Równe przed nimi stérczą żórawie:

Tutaj na gruszy, tam na topoli
Siedzą przy bramie zwiastuny doli,
Białe bociany. Znać, wioski obie
W jednéj nieomal stawiane dobie.
Obory, stajnie, toć słowo w słowo
Nacechowane jedną budową.
Jak mówią ludzie, te wsi przed laty
Dzierżył starosta jeden bogaty;
Syna osiedlił na Ukrainie,
A owe małe wioski w dolinie
Pobudowawszy, w jednakim stanie,
Dwom młodym córkom przekazał w wianie.
Znać, że jednego miewały pana,
Bo i w ich nazwie mała odmiana:
Ta się zwie Wólka — a tamta Wola;
Równe w nich lasy, jednakie pola.
Lecz dziedzic Woli, przed kilką laty,
Po stryju spadek dostał bogaty;
Toż to przyjaźni wcale nie wadzi,
I sędzia z żoną serdecznie radzi,
Cieszą się miłych sąsiadów dolą,
Która im oka nie gryzie solą.

I major, choć ma dostatkiem złota,
Nie dmie sąsiadom; bo mu prostota
Miła nad wszystko: jeno jak dzieci
Hoduje swoich kochanych kmieci.
Zakłada zwolna szkółki, szpitale,
A o pałacu nie myśli wcale.
W tym domku żyli ojcowie starzy;
Toż on się ręką dotknąć nie waży
Onych podwalin, póki lat brzemię
Samo ich w świętą nie strąci ziemię.

Wśród niezmąconéj dwie włości zgody,
Patrzą na siebie z obu stron wody
Przyjazném okiem; a los łaskawy
Wiecznie je chroni granicznéj sprawy,
Ni w skibę roli kmieć się nie worze,
Gdy wartkie Bzury dzieli je łoże.
Most je połącza bity na pale;
Lecz nie na rękę sąsiadom wcale,
Że trzeba dobrą jechać godzinę,
Wkoło skrążając całą dolinę,
Kiedy przez rzekę, z pola na pole,
Jabłko przerzuci drobne pachole.

A Halka patrzy, jak dumnie z góry
Bocian pogląda na łoże Bzury,

Lub drobna rybka, pluszcząc się w wodzie,
Z brzegu do brzegu buja w swobodzie.
I duma Halka, i żal jéj szczérze,
Czemu jéj Pan Bóg nie odział w piérze,
Czemu jéj nie dał, jak rybce, skrzeli:
Toby przy Stasiu było weseléj!
Za to jak zima w lód zetnie wody,
Dopiéroż istne dla dziatwy gody!
Wonczas, niepomni o mroźnym chłodzie,
Stawiają w śniegu zamki na lodzie.

I nieraz matki skłaniają głowę,
Słysząc przelotną dzieci rozmowę.
A te, nie pomnąc czyli kto słucha,
Wiecznie coś sobie prawią do ucha.

—„Patrz—mówi Halka—jak mi nad głową
Anioł zapalił gwiazdkę różową;
Tamta jaśniejsza świéci dla ciebie.
Ale zkąd tyle gwiazdek na niebie?"

— „Wszystko to, Halko, ogromne światy:
Na każdym rosną drzewa i kwiaty,
Wszędzie się ludzie roją by mrowie."
Dumny z nauki, Stasio odpowie.

— „Kto tam wybada skrytości Boże—
Odpowié zcicha dziéwczątko hoże.—
Może to dusze tych, co w mogile
Zasnęli w Bogu; w wieczorną chwilę
Patrzą zwysoka, co się na ziemi
Z ich siérotami dzieje biédnemi.
Może to owe łzy, co anieli
Ronią nad ludźmi, gdy nieweseli
Ciężko na życia żalą się troski,
Niechcąc zaufać opiece Boskiéj!"

— „A ty czy ufasz?"—pyta chłopczyna.

— „Wszakżeto, Stasiu, Bóg napomina
Człeka, by ufał jak owo ptaszę,
Co zawsze w polu znachodzi paszę,
Choć ani sieje, ani nie orze,
I jeno ufa w cichéj pokorze."

— „O! i ja ufam—rzecze pachole—
Ale o gwiazdach inaczéj w szkole
Nasz nauczyciel mówi nam przecie."

— „Patrzaj, Stasieńku!—zawoła dziécię—
Leci tu, leci gwiazdeczka mała!
O! jaka szkoda, żem nie złapała.

A widzisz, że cię źle nauczyli;
Niechby to świat był: w téjby nas chwili
Przygniótł jak muchy. To łza anioła
Spadła na ziemię, by skrzepić zioła;
Zobaczysz jutro, jaki w dolinie,
Tam gdzie spłynęła, kwiat się rozwinie."

A Stasio milczy, i myślą bada,
I wszystko sobie w głowie układa;
Lecz rozum chłopca, choć silny w dumie,
Nie wszystko jednak rozwiązać umié.

Matki, w milczeniu obie głębokiém,
Miłe dziateczki ścigają okiem,
I myślą krążą po lat przestrzeni.
Radość im lica wdzięcznie rumieni,
I każda chętnie do duszy chowa
Owe prorocze a ciche słowa,
Które im obu szepcze z kolei
Duch tajemniczy błogiéj nadziei.

III.

Sieroctwo.

Głucho na dworze: wicher szeleści,
Jakby na skrzydłach straszne niósł wieści.
Grubym tumanem nad ziemią chmury
Wkrąg roztoczyły całun ponury.
Żadna na niebie gwiazda nie świeci,
Tylko szum słychać śnieżnéj zamieci.
Czasem złowrogo z krukami, wrony
Zakraczą społem dzikiemi tony;
Czasem plusk wody słychać w oddali,
Gdy wiatr z korzeniem olchę powali,
A ona, jęcząc, toczy się z góry
I grób znachodzi w korycie Bzury.

W Woli, we dworze, ogień migota,
A przy ognisku siedzi siérota
Blada i łzawa, w żałobnéj szacie.
Wiatr przez szczeliny dmie po komnacie,
I głucho wstrząsa dwór modrzewiowy,
I jęk puszczyków niesie z dąbrowy.

W statecznych latach, obca matrona,
Młodą Halinę tuli do łona;

Ale choć obca, przecież jéj z oka
Miłość ku dziecku świéci głęboka.
Nie czas poorał zwiędłe jéj lice,
Lecz życia burze i nawalnice.
Na bladém czole, znać, palec Boski
Świéżo wypalił tajemne zgłoski;
A silne barki, przed czasem w ziemię,
Znać pochyliło krzyżowe brzemię.

Lecz choć wydatnie troski i bole
Cień na matrony osnuły czole;
Przecież oblicze nadobnie złoci
Odblask niebiański dziwnéj dobroci.
O! bo niekiedy słaba niewiasta
Olbrzymia duchem, ku niebu wzrasta,
Gdy w samolubstwa grobowiec ciasny
Nie zagrzebała boleści własnéj;
Jeśli na gruzach zburzonéj doli,
W piersi roztliła iskrę powoli,
I nie żądając nic już dla siebie,
Umiała odżyć myślą o niebie;
Jeśli jéj serca chłód nie ostudzi,
Wiejąc zawody wiecznie od ludzi;
Gdy nieudolność poznawszy braci,
Łzą pobłażania gorycz im płaci;
Jeśli w pustkowiu swego żywota,
Umié snuć jeszcze tkankę ze złota,
I z niéj życzliwie na bliźnich głowy
Splatać ów wdzięczny wieniec godowy,
Co go nie znała w życia kolei;
Jeźli miłości, wiary, nadziei
W zbolałéj duszy chowa skarb święty,
Zgubną zwątpienia rdzą niedotknięty:—
Wonczas duch Boży zstępuje g'woli,
I niby ziarno na bujnéj roli,
Sieje pociechę w łzawém jéj łonie;
A kłos wyrasta i złotem płonie,
I plony z niego anioły białe
W niebo unoszą Bogu na chwałę.

Tuż przy ognisku miękki len przędą
Dwie młode prządki. Czasem gawędą
Przerwą na chwilę ciszę grobową;
A gdy zaszumi wicher dąbrową,
Tulą się trwożne, i do ogniska
Wrzucą drzew parę. Wnet jaśniéj błyska
W kominie ogień, święty dar Boga;
I zwolna z serca ucieka trwoga.

Lecz nie ucieka z czoła siéroty
Pomrok ponury bladéj tęsknoty.
O! bo w jéj sercu świéża tkwi rana!
Tylko co poszła matka kochana
W ślady za ojcem w cmentarne wrota,
I owa gwiazda zagasła złota,
Co tak nad głową lśniła dziécięciu,
Gdy spoczywało w matki objęciu!...

Corazto prządki popatrzą obie
Na smutne dziécię, co przy żałobie
Świéci na licu jako lilija;
Na włos, co w pierścień jasny się zwija,
Jak u aniołka—i zcicha płaczą.
A kiedy w Halki oku zobaczą
Łzę, co jak czystéj rosy kropelka
Lśni na jagodzie: to taka wielka
Żałość w ich sercu powstaje młodem,
Że im się niby krew ścina lodem.

—„Nie płacz mi, nie płacz, panienko złota—
Rzecze Marysia—zawdy siérota
Miłą jest Bogu! Nim ogień zgaśnie,
To ja cudowną opowiem baśnię
O młodéj wdowie, co choć uboga,
Znalazła wielką łaskę u Boga."

Ogniem Halinie zabłysły oczy,
Łza się po licu zastygła toczy;
Ale już nowa z oka nie płynie!
I bystro patrzy, a ku dziewczynie
Nakłania ucha, i myślą pieści
Naprzód osnowę dziwnéj powieści.

— „Owóż przed laty (tak prawi dziéwcze),
Gdy czary były na świecie jeszcze,
Stara niewiasta, wdowa nieboga,
Raz zaniemogła; a dziwna trwoga
Zdjęła jéj synów (a trzech ich było).
By poratować matulę miłą,
Biegną do wróżki, co dziwnie sprawna
W boru mieszkała od dawien-dawna.
— „O moje chłopcy—rzecze babina—
Zła na was przyszła owo godzina!
Już wam matula zamarła pono!
Trudno zaradzić, gdy tak sądzono."

„Niby kukułki płaczą synowie,
A wróżka sobie układa w głowie;

Wreszcie zagadnie:—„Słuchajcie dziatki!
Wiemci ja radę dla waszéj matki:
Jeszcze z śmiertelnéj wstanie pościeli,
Skoro się który przynieść ośmieli
Choć kropli wody z krynicy żywéj,
Co jéj smok wiecznie strzeże straszliwy.“

„Wadzą się społem trzej syny wdowy,
Każdy po wodę bieżyć gotowy;
A jeden z synów był wojak śmiały,
Miał on szabelkę i ostre strzały;
A drugi służył Bogu w kościele,
I na organach grywał w niedziele;
A trzeci chłopak głupiec nieboże,
Boga za piecem chwalił w pokorze,
I doma służył macierzy g'woli,
I pługiem co dnia orał na roli.

„Idzie więc naprzód wojaczek młody
Po żywą kroplę krynicznéj wody;
Ale minęło trzy dni z okładem,
Jego ni oko. Za brata śladem
Idzie brat drugi: toć ani słychu.
W trzy doby, szepcząc paciérz pocichu,
Wybieży w drogę pacholę młode,
Dla zmarłéj matki po żywą wodę.
Wstępuje naprzód do wróżki owéj,
Co wpośród ciemnéj mieszka dąbrowy.

— „O miła wróżko—chłopię zagadnie-
Co który pójdzie, to het przepadnie,
Jakoby kamień utopił w wodzie!“
A wróżka na to:—„Bo w człeczym rodzie
Zawdy ciekawość zawadza pono;
Człowiek rad czyni, co mu wzbroniono.
Jam przestrzegała, żeby za siebie
Żaden nie spojrzał; bo wnet zagrzebie
Ziemia śmiałego, co z drogi zbieży.
Brat twój i jeden i drugi, leży
Kamieniem w ziemię wrosły na wieki!“

„Idzie pacholę za lasy, rzeki:
Im daléj idzie, tém cięższa droga.
Dziwna go w duchu zdejmuje trwoga,
A wokół, ostre ciernia i głogi
Do krwi biédnemu kaleczą nogi.
A kiedy zaszedł pod stromą górę,
W ślad za nim gonią wilczyska bure;

Zachodzą drogę: ślépie im błyska,
On śmiało srogie mija wilczyska,
I coraz bieży daléj a daléj.
A bór się przd nim szeroko pali,
Płomień do góry z dymem wybucha:
Pacholę idzie. Już wskróś mu ducha
Przejmuje trwoga, włos mu się jeży;
Brnąc przez zarzewie, bieży a bieży.
Spotyka wreszcie obcego człeka,
Co mu wskazuje ścieżkę zdaleka,
Gładko zasłaną śliczną murawą,
Byleby zboczył trochę na prawo;
Ale on pewny słów wróżki staréj,
Zwodnym pokusom nie daje wiary,
Jeno się dźwiga w górę wysoko.
Wtém smok straszliwy wpada mu w oko,
Z siedmioma łbami, nad brzegiem jamy
Spiący: połyska ostremi kłami;
Dym z siedmiu paszczęk siarczysty bucha.
Pacholę stawa, patrzy i słucha;
A choć do kości przejęty strachem,
Zmiata łby jednym kosy zamachem.
Posoka tryska gorącą strugą,
A chłopię zchodzi w jamę, i długo
Idzie omackiem prosto przed siebie.
Wtém złoty promyk błysnął na niebie.
Wychodzi z jamy, wita świat Boży,
Klęka i zcicha Bogu się korzy.
A pod jaworem na wierzchu skały
Wytryska wody potok wspaniały:
Pije pacholę— i owoż dziwy!
Pokrzepion wodą z krynicy żywéj,
Nie czuje znowu bolu, ani trwogi,
Ni ran, co obie krwawią mu nogi.
I widzi pola, lasy, i grody,
I kwietne łąki, i bystre wody,
W złocistą niby owiane zorze,
A srébrne liście drżą na jaworze:
I kiedy niemi wiatr zaszeleści,
Zaklęte niby śpiewają pieśni.
A na wspaniałém drzewie u góry,
Sokół złotemi chwieje się pióry,
I na ramieniu siada siéroty,
I trzyma w dziobie dzban szczerozłoty.
A cudny jawor śpiewa i śpiewa:
„Zerwij pacholę gałązkę z drzewa,
I w złoty dzbanek zaczerpnij wody,
I do matczynéj wracaj zagrody,

I znurzaj w wodzie liść jaworowy,
I skrapiaj wkoło pola, dąbrowy!“

„Młode pacholę bieży co ducha,
I bacznie dawnych napomnień słucha:
I drze się znowu przez gęstwie boru,
I skrapia ziemię liściem jaworu.
A kędy woda na stos kamieni
Padnie; wnet kamień w człeka się zamieni,
I ku serdecznéj chłopca uciesze,
Wślad za nim idą ogromne rzesze:
Niewiasty, starcy, młodzież i dziatki,
I brat rodzony, ów wojak gładki,
I sługa Boży, i wszyscy ludzie,
Co od lat wielu w znoju i trudzie
Nie mogąc wytrwać, z drogi zstąpili,
I z woli Boskiéj w głaz się zmienili.

„I po dwóch dobach mozolnéj drogi,
Zachodzą bracia w domowe progi:
Skrapiają wodą lica macierzy,
Co na śmiertelnéj pościeli leży.
I z łoża wdowa powstaje stara,
Bo śmierć przemogła prostaczka wiara.
Toż nieraz łaskę Bożą ów kupi,
Co według ludzkich rozumów głupi.

„Gody wyprawia szczęśliwa matka,
Pląsają syny, pląsa czeladka;
Po stole płyną piwa i miody,
Pije pospołu stary i młody.
I my-ta razem byli z drugiemi,
Wszystko widzielim oczy własnemi,
Jedlim i pilim jako przystało,
Jeno nam w gębie nic nie pozostało.“

Na one słowa, Halina cicha
Drobnemi usty wpół się uśmiecha,
Lubo łzą jeszcze powieka świeci,
Co ją zroniła, słysząc, jak dzieci
Po żywą wodę radzi bieżeli,
By na śmiertelnéj matce pościeli,
Cudowną kroplą powrócić życie.
I długo duma nadobne dziecie,
A coraz tkliwiéj zacna matrona
Małą Halinę tuli do łona;
Ale nie cieszy marnemi słowy,
Bo to pociechy sposób jałowy:

Jeno tajemną współczucia siłą
Skrzepia na duchu dziéweczkę miłą.

A wicher straszniéj szumi nad lasem,
I drzew konary łamie z hałasem,
I pluska wodą spienionéj Bzury.
Na niebie nowe kłębią się chmury.
Wiatr przez szczeliny w izbę się wciska
I gasi blady płomień ogniska:
Obie go prządki wzniecają społem.
A widząc znowu nad dziecka czołem
Ponury smutek; Kasia pierzchliwa,
Gdy znów migocze płomień łuczywa,
Na ukojenie łzawéj sieroty
Nuci piosenkę o doli złotéj.
A zrazu wicher wyjąc boleśnie
Głuszy dziewoi nadobną pieśnię;
Ale powoli milknie wzburzony,
Jakby go wieszcze zaklęły tony.
I coraz ciszéj szumią olszyny,
I słychać tylko piosnkę dziewczyny:

„Dolo moja, dolo złota,
Gdzie się kryjesz przecie?
Czyż dogoni cię siérota
Na szerokim świecie!

Gdy rozwinie słonko kwiaty
Na pszenicznéj roli,
Wybiegnę ja rankiem z chaty,
Szukać mojéj doli.

I na szczére wyjdę pole
Gdzie falują kłosy,
Może Bóg mi złotą dolę
Spuści w kroplach rosy.

Będę gonić wciąż zdaleka
Moją dolę miłą,
Choćby ją zabrała rzeka,
Lub słonko spaliło.

I usiądę pod potokiem
Przy białéj kalinie,
Będę ścigać wodę okiem,
A dola przypłynie.

Choć nie spłynie z biegiem wody,
Ja o to nie stoję:
Bóg mi jako ptaszce młodéj
Da skrzydełek dwoje.

A jak błyśnie zorza dzionkiem,
To odziana pióry,
Oj! polecę za skowronkiem
Wysoko do góry.

I dobiegnę aż do zorzy,
I promień różowy,
Przeniosę ja przez świat Boży,
Nad próg mój domowy.

O! i będęż ja sierota
Chwalić Boga w niebie,
Że mi moja złota dola
Zaświeci w potrzebie.“

I piosnka Kasi w wieczorną ciszę
Zwolna sierotę do snu kołysze;
I na ramieniu wsparta matrony,
W płomień utkwiła wzrok wpółomglony.
Wreszcie powieki mruży powoli
Słuchając pieśni o złotéj doli.
I coraz wdzięczniéj kwitną jéj lica:
Czy je pochodnią anioł rozświeca?
Czyli on w krasne barwy korala,
Drobne jéj usta cudnie zapala
I do uśmiechu skłania choć we śnie?
I z gania owe mgły, co przedwcześnie
Osnuły blade czoło sieroty?
Czy on jéj szepcze o doli złotéj,
Co zpoza chmury dla ziemskich dzieci,
W pasmie żywota czasem zaświeci?!.

IV.

Wieczór sobótkowy.

(Na dziedzińcu pod jaworem siedzi pani Adamowa z pończoszką w ręku. Halina czyta)

„Gdy na górze świta dzionek,
„A w dolinie srebrzy rosa;
„I ja śpiewam jak skowronek,
„I ja lecę pod niebiosa.
„Lecę, gonię złudzeń marę,
„Z kwiatów życia wieniec plotę;
„Piękność—miłość—cnotę—wiarę,
„Na ogniwo spajam złote“ (*).

(Kładzie książkę i patrzy w dolinę. Chwila milczenia; pani Adamowa pogląda na nią z uczuciem).

HALINA *(po chwili)*

Przebacz mi matko, ale te słowa,
Niby złocistéj przędzy osnowa,
Myśl tak oplotły: że mimowiedzy,
Jak on skrzydlaty skowronek z miedzy
Chyżo ubiegła przez mgły i chmury,
Z dźwiękiem piosenki prosto do góry.

PANI ADAMOWA.

Daj myśli bujać swobodnie, dziécie,
W wieńce majowe zaplataj kwiecie:

(*) J. B. Zaleski.

Tyleż ich w cichéj rośnie dolinie!
O! nawet w szaréj życia godzinie,
Owe porankiem zerwane kwiaty,
Kto ich dochował zasób bogaty:
Myśl zwiędłą jeszcze skrzepią nadzieją,
I mrok nad bladém czołem rozwieją.

HALINA.

Dziwnażto, dziwna pieśni potęga!
Po jéj promieniu duch tam dosięga,
Gdzie pełne zwodnéj a marnéj dumy
Wciąż się wikłają ludzkie rozumy.
Dzięki ci matko składam stokrotne,
Żeś mi sieroctwa chwile samotne
Osnuła w pieśni wątek zaklęty,
I w duszy płomień zatliła święty,
Przed którym pierzcha boleść i trwoga,
Gdy myśl ulata z ziemi do Boga!

PANI ADAMOWA.

Nie jam zatliła iskrą w twém łonie,
Co z wyższéj woli tak czysto płonie:
Bóg ją zapalał, dziécię, powoli,
By cię podźwignąć w sierocéj doli.
On ci ją w rosie zsyłał z obłoku,
W szumie olszyny, w gwarze potoku,
W wieczornéj pieśni stróża anioła,
Gdy błogosławi uśpione sioła;
W odgłosie dzwonów, co w późnéj dobie,
Wzywa do modłów na drogim grobie;
W pieśni skowronka, kiedy o wiośnie,
Rodzinne pola wita radośnie.
Baczyły na nią stare bociany,
Odwieczne stróże domowéj ściany;
Oneto strzegły, by obce wpływy,
Nie zamąciły krynicy żywéj,
Zkąd człek po Bogu, w strzechy swéj cieniu,
Błogą pociechę czerpie w milczeniu.

HALINA.

Tyś mię od obcych wpływów broniła,
Twojém to dziełem ta męzka siła,
Z jaką przemogłam sieroctwo moje,
Któréj nie zmogą żywota znoje.
Ty tarczę świętą dałaś mi wiary:
Toż mnie piołunne nie trwożą czary,
Ni mnie krzyżowe brzemię nie złamie,
Boś zhartowała młode me ramie!
(Patrzy na dolinę)

Czy widzisz matko, ot niedaleko,
Tuman się kurzu wznosi za rzeką;
Zda się, że jeździec na siwym koniu,
Prosto ku Woli pędzi po błoniu.

PANI ADAMOWA.

O! to zapewne Stanisław młody.
Wrócił podobno do swéj zagrody,
Jak mi nasz pleban powiadał wczora.
Już mu nie żartem nadeszła pora,
By się jął pracy. Człek w młode lata
Niewiele zyska w odmęcie świata;
Lepiéj mu zawsze w domowym progu,
Kędy ojcowie żyli po Bogu.

HALINA.

O tak! po Bogu zaprawdę żyli!
Pomnę ja jeszcze do owéj chwili
Zacną sędzinę, mą matkę chrzestną;
Lecz Bóg nawiedził śmiercią przedwczesną
Cichą ich strzechę; pod jednym głazem,
Po trudach życia spoczęli razem,
Tknięci zarazą, co ofiar tyle
Społem zagrzebła w chłodnéj mogile.
(Wskazując ręką na prawo)
Ale patrz matko, w prawo przy młynie,
Jeździec uwiązał konia w gęstwinie;
Odczepia łódkę, znać rękę młodę,
Bo żwawo wiosłem porusza wodę.
Ha! to Stanisław! Poznam go przecie;
Pamiętam dobrze wesołe dziécie.
Złote miał włosy, a ciemne oczy,
A do zabawy jaki ochoczy!
Zda się, że jeszcze chłopczynę widzę,
Gdyśmy do lasu biegli na rydze,
Albo zbierali razem jagody;
Zawsze mnie Stasio prześcignął młody.
O! co to było wrzawy, uciechy,
Gdyśmy w leszczynie rwali orzechy,
A obie matki patrzały z boku
Na pląsy nasze, z radością w oku.
Lecz rychło dzieciom ubiegł wiek złoty:
Dziś my oboje—biédne sieroty!...

Ale ot łódka ustaje w biegu:
Już do naszego dobija brzegu.
O! jakżem go téż zobaczyć rada!
Dziwnie światowa zmienia ogłada!

A ón rok drugi jak skończył szkoły,
I odtąd bujał sobie wesoły,
Jak mi mówiono po wielkim świecie;
Aż chwałą Bogu, zatęsknił przecie
Do domowego dzisiaj spokoju!

(Stary Zabój wybiega z budy, i biegnie ku bramie, w której ukazuje się Stanisław).

Ot wchodzi w bramę,
— Cicho Zaboju!

STANISŁAW *(wchodząc wyświeżony i wyperfumowany)*

Przebaczą panie, że się sam stawię,
Choć blizki sąsiad, nieznany prawie.

HALINA.

Nie mów pan tego; w mojéj pamięci
Wiek mój dziecinny błogo się święci!
Rodzice pana chrzestni mi byli.
Choć od sieroctwa naszego chwili,
Co spadła razem z wyroków Boga,
Pan się z własnego wydalił proga;
Toż mi lat młodych wdzięczne obrazy,
We mgle przeszłości świecą bez skazy!

STANISŁAW.

Dzięki ci pani!

HALINA *(wskazując panią Adamową):*

To matka druga,
Którą, zapewne piérwszéj zasługa
Wymodliła mi u Boga w niebie.

PANI ADAMOWA.

Mnie to, Halino, Bóg zesłał ciebie,
By mi rozjaśnić podeszłe lata.

STANISŁAW.

Czemu tak panie zdala od świata
Życie w samotnéj pędzą ustroni?

PANI ADAMOWA.

Kwiat, co się wichru i słońca chroni,
Barwy podobno dochowa dłużéj:
Rodzinny powiew lepiéj mu służy!

STANISŁAW.

Wiosną i latem, jeszcze potrosze,
Pojmuję ciche wiejskie rozkosze,
Miłe przechadzki w cieniu dąbrowy,
Choć minął zdawna wiek sielankowy!

Lecz jak jesienne nadciągną chłody,
Co wtedy z wiejskiéj przyjdzie swobody?
W mieście tymczasem teatra, bale,
Tak zapełniają czas doskonale,
Że się nie pomni jak życie płynie!

HALINA.

Tak, ale człeku w każdéj godzinie
Przed sobą samym sprawę zdać trzeba,
Czy nie nadużył dobrodziejstw nieba;
Czy z dość poważnéj pojmował strony
Dar życia święty, nieoceniony!
On, póki starość sił nie pokona,
Wiecznie, jak pająk, snuć winien z łona
Przędzę na korzyść ludzi swych braci.

STANISŁAW *(nieco zmieszany)*

Świat dobre chęci niezawsze płaci!

HALINA *(z wrastającym zapałem)*

Lecz kto pracuje szczerze dla świata,
Czyliż mu marną owa zapłata
Którą znachodzi w duszy swéj głębi?
O! chłodny powiew tego nie zziębi,
Stóp mu nie zrani żywota ciernie,
Kto służy prawdzie stale a wiernie!

STANISŁAW *(rumieniąc się, drżącym głosem)*

I komuż przecie prawda niedroga?
Ta czysta gwiazda dana od Boga,
Aby nam lśniła wiecznie nad głową!
Ale choć człowiek chęć ma gotową,
Niezawsze jednak służyć jéj może!

HALINA *(coraz żywiéj)*

Każdemu pono wyroki Boże
Wytknęły zagon na świętéj ziemi,
By go uprawiał dłońmi znojnemi,
I ziarno na nim zasiewał z wiarą.
O! życie nie jest ułudną czarą,
By człek nią piersi krzepił bez celu
Jak ptak, co w wieczném nuci weselu,
A strawę z łaski znachodzi Bożéj!
Człowiek nim głowę w grobie położy
Winien pracować ile sił stanie!
Toż kiedy ujrzy, jako na łanie

Falują kłosy błyskając złotem,
Które on z czoła zasiewał potem,
Choć z nich spożywać nie będzie chleba;
Jednak on uczci wyroki nieba,
I rad w mogile zaśnie jak dziécie,
Gdy nie żył darmo na Bożym świecie!

STANISŁAW *(biorąc Haliny rękę)*

O pani! jesteś cichym aniołem,
Co mrok obłędu zgania nad czołem.
Znać, że nie dotknął powiew skażony
Cudnego kwiatka białéj korony,
W którą cię ręka ubrała Boga!

PANI ADAMOWA *(wskazując na bór)*

Widzisz pod lasem, Halino droga,
Jaki słup ognia bucha w oddali!

HALINA *(wesoło)*

To lud zapewne sobótkę pali:
Wszak to noc słynna świętego Jana,
W któréj zakwita paproć nieznana.

STANISŁAW.

Jakżeto paproć zakwita przecie?
Tyś pani, cichéj doliny dziécie,
To ci wiadome pewno podanie.
Jam go zapomniał.

PANI ADAMOWA.

— Szkoda, mój panie!

HALINA.

O! trzebaż ducha uzbroić mocą,
By zdobyć kwiat on, co dzisiaj nocą
Cudnie wykwita w dąbrowie staréj!
Naprzód potrzeba głębokiéj wiary:
Tylko wierzącym Bóg cuda zsyła!
Góry, prostaczków dłoń przenosiła,
Gdy uwierzyli! I trudu trzeba,
Bo w znoju łaska spływa nam z nieba!
Kto się nie strwoży groźnéj wichury,
Kto stawi czoło, gdy z czarnéj chmury,
Ognistym wężem grom tuż za gromem
Druzgocze dęby, a ich ogromem
Zawala ziemię, co je zrodziła:
Czyjaż się czarom ostoi siła?!
O! temu paproć cudna zapłonie!

A skoro czyje dotkną jéj dłonie,
Kędy myśl lotna jeno dosięga,
Wszystko tajemna kwiatu potęga
Ukaże człeku śmiałemu g'woli.
Gwiazda mu złotéj zabłyśnie doli,
I niby sokół szeleszcząc pióry,
Promienną prawdą lśniącą u góry,
Wskaże zbłąkanym, i mroczną dobą;
W ślad ich ku światłu powiedzie z sobą.

STANISŁAW.

Pani zapewne kwiat ten zdobyła?

HALINA.

Nie! lecz ojcowie mieli go siła,
Zanim ponieśli głowę do grobu;
Ja tylko strzegę tego zasobu:
Bo snadniéj dawną zachować pono,
Niż powetować raz utraconą.

STANISŁAW.

O! strzeż jak dotąd święcić ogniska!

PANI ADAMOWA.

Corazto jaśniéj płomień połyska;
Ludzie gromadą ciągną do lasu,
Wśród różnych pląsów, śmiechu, hałasu.
Już i skrzypaków słychać w oddali,
Kędy sobótka łuną się pali.
(Słychać śpiew dziewcząt)

„Daléj, daléj, wieczór krótki,
Idźmy społem na sobótki;
Opasane wkrąg bylicą,
Bieżmy kędy ognie świécą.
Zanim ranne wzejdą zorze,
My pląsajmy dziewki hoże.
Niechaj skrzypek tnie od ucha,
I piosenką skrzepi ducha.
Patrzcie—ogień już połyska;
Lećmy społem do ogniska,
Przeskakujmy w nocne cienie,
Ręka w rękę przez płomienie.
Chłopcy bieżcie w las przed nami,
Walić dęby siekierami:
Białe brzozy, stare sosny.
Bijcie żywo w bęben głośny.
Krzeszcie ognia podkówkami,
My dziéweczki w ślad za wami.
Idźmy żywo, wieczór krótki,
Daléj! daléj, do sobótki!“

HALINA *(do Stanisława)*

O! i my chodźmy pospołu z niemi.
To stary zwyczaj na naszéj ziemi:
Czcić go należy!

STANISŁAW.

Niech się uświęci
Złotemi głoski w naszéj pamięci!
Idźmy: nim północ zwiśnie nad światem,
W las za paproci pogonię kwiatem.
Kto wié: przeczucie mówi mi coś wieszcze,
Że zatracony, zdobędę jeszcze!...

(Dokończenie nastąpi).

HISTORYA

I

FILOZOFIA NAUK ŚCISŁYCH:

1) Whewel: History of the inductive sciences, vol. 3.
2) Philosophy of the inductive sciences, vol. 2.

„Niepodobna jest nawet dla człowieka najbardziéj uważnego zrozumiéć naszę epokę, tak w jéj formie materyalnéj, jako téż w jéj stanie umysłowym, jeżeli nie pozna związków tajemnych, które łączą odkrycia ducha ludzkiego. Znajomość ta potrzebna jest dla człowieka wykształconego, ponieważ obejmuje ona piérwszy i najgłówniejszy warunek rozwoju i postępu jego życia umysłowego. Co za wielką korzyść osiągnie, skoro potrafi zdać sobie rachunek z przyczyn lub sił, które sprowadziły wypadki tak luźne i płodne! Jedynie przez obznajmienie się z faktami już nabytemi, może on wyjaśnić sobie teraźniejszość i czytać z pewnością w przyszłości; jedynie przez ich poznanie może brać udział w ruchu swéj epoki, wytłumaczyć sobie to wszystko, co w jéj objawach wydawać się mu będzie tajemnicą lub skutkiem przypadku: wówczas dopiéro zrozumié on ów związek naturalny i konieczny, jaki istnieje w dążnościach nowych w postępie ducha ludzkiego. Przyswajając sobie bogactwa umysłowe swéj epoki, zyscze także na tém, iż będzie je mógł obrócić na swą korzyść, stosownie do swéj woli i swych potrzeb, przyłożyć się do wzrostu czynów dobroczynnych, do ich rozpowszechnienia i zastosowania.“

W tych słowach wymownych, najznakomitszy chemik czasu naszego, Liebig, w przedmowie do swych Listów o chemii, wypowiada ważność odkryć i pomysłów zdobiących rozum ludzki, zaleca ich poznanie jedynie zdolne doprowadzić do gruntownego zrozumienia dążności czasowych, i określić w słabych przynajmniéj zarysach tajemnice przyszłości.

Bezwątpienia jeżeli znajomość ruchu umysłowego epoki pewnéj, konieczną jest do jéj zrozumienia i ocenienia: to równie historya pochodu rozumu ludzkiego w wiekowéj pracy i niezmordowanych usiłowaniach, niemniéj jest ważną i nauczającą. W niéj prawdziwie poznać możemy istotę umysłu naszego, z niéj wyczytać prawdę jego rozwoju i postępu.

Wśród prac umysłowych ducha ludzkiego, nauki ścisłe zajmują poważne miejsce, dotykając najważniejszych przedmiotów, jakie tylko człowieka obchodzić mogą; najpewniejszém, a kto wié, czy nawet nienajwymowniejszém są świadectwem jego siły moralnéj, potęgi jego twórczości i rozległości wiedzy.

Rozmaitość i bogactwo niezmierzone różnorodnych kształtów i przemian w naturze, z piérwszém postawieniem stopy ludzkiéj na ziemi wywołać musiało w piersiach człowieka podziw i obawę, strach i uwielbienie. Pod wpływem rozmaitych wrażeń, jakie przedmioty zewnętrzne na niego wywiérały, robił sobie o nich wyobrażenia; nie mogąc poznać ich istoty i własności, chciał je przeczuć i odgadnąć. Pozbawiony doświadczeń i spostrzeżeń, które tylko wieki późniejsze po długich mozołach, pracy i klęskach dostarczyć mogły, z prostotą serca i naiwną dziecka fantazyą tłumaczył sobie tajemnice świata, swój początek i przyszłość. Początek niemal wszystkich dzisiejszych nauk ginie w odległéj przeszłości, sięga piérwotnéj cywilizacyi ludów, któréj nie można ani oznaczyć, ani nakreślić jéj pewnego trwania i granic. Dlatego Bailly (1) nie bez pewnéj słuszności mówi, iż piérwszy pasterz, który wzniósł swe oczy ku niebu i zapragnął poznać liczbę i ruch ciał niebieskich, piérwszym był wynalazcą astronomii; lecz jakiż przedział pomiędzy tym rzutem oka, który zaledwo dotknął się powierzchni nieba, a owym Newtona, przenikającym jego naturę!

(1) Histoire de l'Astronomie ancienne. Tom I.

Jeżeli w porównaniu do nieprzeliczonych i nieskończonych światów zaludniających niezmierzoną przestrzeń, człowiek jest małym i nieznacznym punkcikiem; to jednak w części przynajmniéj dosięgając ich myślą, tłumacząc tajemnice ich ruchów, licząc ich odległość, objętość, zdobywa sobie wysokie i piękne stanowisko, które go podnosi i uszlachetnia!

Natura rozmaitością swych tworów, nieskończoną swą działalnością i twórczością, przedstawia niezmierzone pole dla badań ludzkich, niewyczerpane tajemnice, których liczba miasto z czasem zmniejszać się, owszem coraz bardziéj zwiększa się. Dla ciekawości ludzkiéj nie można postawić żadnych granic, bo nieskończoność natury nie daje jéj pokoju, ciągle ją podsyca do nowéj pracy i badań. Kto wié, czy właśnie ta wrodzona ciekawość człowiekowi nie jest największym darem, jaki otrzymał z rąk Stworzyciela; kto wié, czy jego zadaniem nie jest wieczne szukanie, niemające końca i ostatecznego celu? W każdym razie zbiérając skrzętnie i bezustannie coraz nowe prawdy i idee, buduje z nich najwznioślejszą świątynię umiejętności, zaszczycającą jego pracę i powołanie.

Wspaniałość i wielkość natury niedopiéro w nowszych czasach zwróciła na siebie tak wielką i wszechstronną uwagę: z początkiem ludzkości służyła ona jéj za przewodniczkę i nauczycielkę. O tyle, o ile podsłuchał człowiek naturę, o tyle tworzył sobie pewne wyobrażenia, oblekał je w różnorodne postacie, które uwielbiał i był im posłusznym. Z téj przyczyny nauki przyrodzone od najdawniejszych czasów miały wielkie znaczenie: w nich prawodawcy religijni i cywilni czerpali wiedzę, według nich stanowili prawa i zasady. Jakkolwiek w wieku naszym nauki przyrodzone przeważne zajmują stanowisko i niemal piérwszeństwo piastują w dziedzinie dążności umysłowych; to jednak ich dzisiejsze znaczenie nie może iść w porównanie z tém, jaki miały w czasach początkowych historyi.

Znajomości astronomiczne służyły za podstawę prawie wszystkim teogoniom: w nich czerpały one swą rozmaitość, i na fałszywych pojęciach nieba uzasadniały swe przesądy i śmieszności. W Chaldei i starożytnym Egipcie, astronomia znajdowała przybytek w świątyniach,

była zatrudnieniem księży, którzy ciągnęli z niéj użytek i słabe swe wiadomości stosowali względnie do ich potrzeb i uprzedzeń. Historya bajeczna bohaterów i bogów, którą podawali wierze prostodusznych i nieświadomych, była prawie allegoryą objawów niebieskich i czynności natury; naśladownictwo, jeden z przymiotów właściwych człowiekowi, długo przekształcało ją i utrzymywało. Do wzmocnienia swéj władzy, korzystając z żądzy ludzkiéj odgadnięcia przyszłości, pielęgnowali i wykształcali astrologią. Pod wpływem złudzeń zmysłowych, uważając człowiek mieszkanie swe czasowe za środek świata, a siebie za najwyższy i najdoskonalszy twór w stworzeniu: łatwo dał się przekonać, że gwiazdy wpływają na jego przeznaczenie, i że można go przewidzieć za pomocą obserwacyj ich ruchów i postaci. Ten błąd pochlebny jego miłości własnéj, potrzebny do zaspokojenia jego ciekawości niespokojnéj, długo się utrzymywał, nim go wiedza prawdziwego systemu świata zniszczyć potrafiła.

Prawda, dzisiaj nauki przyrodzone nie szukają dla siebie przytułku w świątyniach, nie roszczą sobie pretensyi do wytłumaczenia ostatecznych przyczyn stworzenia: idą tylko wślad za naturą, spisują jéj objawy, wyciągają z nich prawa, naznaczają im siły i elementa, na jakie doświadczenie i zgoda faktów je naprowadza.

Dawniéj słabe i fałszywe pojęcia o naturze, wcielały się w systema religijne; posiadacze ich tajemnic byli w poszanowaniu i u władzy; lecz te poważne figury wyczytujące przyszłość z gwiazd i lotu ptaków, nie znały w wielu względach tych wiadomości, które my dzisiaj nazywamy elementarnemi.

Trudno, aby wiedza o naturze nie wpływała na religią i z nią się nie łączyła, kiedy w niéj ukryte są najciekawsze tajemnice, najbardziéj obchodzące skarby człowieka. Życie ludzkie jest tylko małą cząstką w obec powszechnego żywota świata, czyny ludzkie są małoznaczące w porównaniu tych wielkich dzieł, które Bóg w łonie natury co dzień przed naszemi oczyma przesuwa; dlatego zagłębianie się i rozmiłowywanie w naturze, cechuje od najdawniejszych czasów umysł ludzki. Wieki odległe w historyi, w których człowiek będąc bliższym natury, czuł ją i odgadywał bogactwem poezyi i fantazyi,

zaświadczają o jego czci i poważaniu dla niéj. W tych zaś czasach, w których natura wykreśloną została z przedmiotów godnych uwagi ludzkiéj, ciemnota i przesąd szeroko roztoczyły swe panowanie; strojąc się w pychę i subtelne formułki, chciały zniszczyć prostotę i rozmaitość, poniżyć wiedzę wytryskującą z źródła nieprzebranego natury.

O ile nauki przyrodzone straciły na tym pozornym blasku i sztucznéj powadze, które dawniéj robiły je narzędziem przesądu: o tyle zyskały na samoistności i rzeczywistéj wartości. Ograniczając się na swém wielkiém i wspaniałém zadaniu, zostały prawdziwą mądrością człowieka; one przeważnie wpłynęły na nowszą cywilizacyą, i po większéj części największy stanowią jéj skarb i ozdobę. Piérwsze niemal hasło do nowszych czasów dali naturaliści; naprzeciw zbutwiałych książek przepełnionych tkaninami subtelnéj spekulacyi, słowa biorącéj za idee, marzenia za czyny, formalność i czczy szematyzm za prawa: postawili jedyną nieomylną i odwieczną księgę — naturę, w któréj Bóg wielkiemi głoskami pisze wyroki swéj mądrości i wszechmocności. Kopernik, Galileusz, Kepler, Newton, geniuszem swego ducha spojrzeli na naturę do tego czasu opuszczoną, zaniedbaną i sponiewieraną; odkryli w jéj łonie złożone tajemnice, które świat wprawiły w podziwienie i zapał, wskazując ziemi i planetom właściwe przeznaczenie, i przewrócili do szczętu dotychczasowe fałszywe pojęcia. Z uznaniem ruchu ziemi podniósł się i duch ludzki, poszedł nowemi tory szukać nieskończonych i odwiecznych prawd, zaczerpnąć nowych sił z czystéj krynicy życia natury.

Późniejsi filozofowie idąc za popędem naturalistów, o tyle zasłużyli się ludzkości, o ile ich odkrycia, chociaż często przystrojone w szaty ubarwione, w kolory jaskrawe jednostronnéj wyobraźni, umieli jednakże zrobić przystępnemi dla ogółu czytelników.

Oś dążności nowszéj cywilizacyi opiéra się na dwóch biegunach: przy jednym stoją naturaliści, którzy wskazując na świat fizyczny, pokazują rozmaitość jego praw, sił i czynności; przy drugim Shakspear, który zwróciwszy się do natury ludzkiéj, wydobył z niéj nieprzebrane bogactwo uczuć, namiętności i charakterów, udawadniając swemi arcydziełami, ile w niéj zasobów

znaleźć można, byle moc geniuszu je poruszyła i owładnęła. Natura fizyczna i ludzka w połączeniu, wskazały nową drogę ludzkości, zbogaciły ją wiedzą, dziełami sztuki i wynalazkami, przewyższającemi wszystkie dotychczasowe. Podobnie jak systema scholastyczne ogołocone z samodzielności, pozbawione ducha twórczości i téj iskry geniuszu, co umié poruszać i wywoływać na jaw piękne i żywe postacie, nie mogą iść w porównanie z olbrzymiemi i dobroczynnemi odkryciami nauk przyrodzonych: tak równie allegoryczne poezye Dantego, Miltona, Klopsztoka, pomimo swéj wzniosłości ustąpić muszą piérwszeństwa nieskończonemu światu Shakspeara, w którym czuć życie i energią, w którym widać czyny i charaktery.

Pod wpływem tego kierunku natury fizycznéj i ludzkiéj w nowszych czasach, nic dziwnego, że znajdujemy zarazem wielkiego poetę Goethego naturalistą; umiał on miłować prostotę przyrody, i w jéj rozmaitości czerpać natchnienie i jéj znajomość.

Ten sam fakt mógłby już służyć za usprawiedliwienie nauk przyrodzonych z zarzutu materyalizmu, jaki im czynią zwykle ludzie ukrywający pod powłoką nibyto literackiego wykształcenia, największą nieświadomość i ograniczenie. Czyliż Tasso szukając w lekcyach matematyki utrzymania, nie był zarazem wielkim poetą? Czyliż Leonardo da Vinci przy głębokich znajomościach matematycznych, posuwając naprzód naukę mechaniki, nie był zarazem wielkim artystą? Czyliż Keplerowi, Newtonowi, brakowało na fantazyi i uczuciu religijném? Czyliż Priestleja szukanie gazów wstrzymało od napisania 80 traktatów religijnych? Bezwątpienia wieleby podobnych jeszcze przykładów przytoczyć można: historya starożytna i nowsza, mnóstwoby ich dostarczyć mogła, ale i powyższe dostatecznemi są dowodami i zbiciem fałszywych i niedorzecznych zarzutów.

Niektórzy pisarze nie chcieli poprzestać na wielkości celu i przedmiotu, jakiemi się nauki przyrodzone zajmują: starali się dawnością ich pochodzenia zwiększyć ich ważność i znaczenie. Według Baillego (1), ludy obecne

(1) Lettres sur l'Atlantide de Platon et sur l'ancienne histoire de l'Asie. 1779.

Azyi są tylko spadkobiercami dawniejszego narodu, który posiadał astronomią w wysokim stopniu wykształconą i wydoskonaloną.

Chińczycy więc i Indyanie tak wynoszeni z swéj wiedzy, przechowywali jedynie pozostawioną i przekazaną sobie spuściznę od ludów zatraconych i znanych nam tylko przez tradycyą. Podobnych ludów Bailly wylicza aż pięć, kładąc na piérwszém miejscu Atlantów.

Arystoteles mówiąc o tym kraju, uważał go za fikcyą Platona, który ją stworzył i zniszczył na podobieństwo tych murów, które Homer zbudował i obalił zarazem nad brzegami Troi. Bailly nie podziela podobnego skeptycyzmu; według niego, Platon rzeczywiście mówił Ateńczykom o ludzie uczonym, ucywilizowanym, lecz zniszczonym i zapomnianym. Borrychius, Tubatkaina, ósmego człowieka po Adamie, uważa za piérwszego i wielkiego chemika (1).

Nauki przyrodzone, ważności swéj i stanowiska w dziedzinie umiejętności i czynności ludzkich nie potrzebują zdobywać sztucznemi i śmiesznemi wywodami historycznego ich początku i pochodzenia, gdyż tyle mają poza sobą faktów i pomników, iż samo powołanie się na nie dostatecznie wypowiada ich wielkość i zasługę. Najprościejsze i najoderwańsze pojęcie, jak czas i przestrzeń, czerpał człowiek z natury. Widząc następstwo dnia po nocy, rozmaite pory roku, dla zoryentowania się w swéj pracy, musiał przyjąć pewną jedność, któraby mu służyła za miarę i wskazywała mu zarazem pewne cechy, po którychby mógł poznać przemiany czasu i następstwo pór roku. W samym więc początku znaglonym był człowiek obserwować, doświadczać; tą tylko drogą posuwał się naprzód i posuwa, i każdy krok jego postępu okupuje krwawą pracą i wielkiém poświęceniem.

Do utrzymania swego potrzebował on różnych pokarmów: zajmować się przeto musiał poznaniem ich własności, odróżnieniem szkodliwych sobie od użytecznych. Ciała niebieskie blaskiem swym, wielkością, zmianą i grą kolorów, przemawiały do jego fantazyi, pobudzając ją do różnych wyobrażeń; rozmaitość temperatury wpływając tak na niego samego, jakotéż na rośliny i zwierzęta słu-

(1) Dumas: Leçons sur la Philosophie chimique, 1836.

żące mu za pokarm, wskazywała mu zawisłość jego od jakichś wyższych tajemnych wpływów i sił, które on w właściwy sobie sposób starał się wytłumaczyć.

Jakkolwiek spostrzeżenia pojedyńcze nad naturą, niekiedy nawet genialne i godne podziwienia znajdujemy u wszystkich prawie ludów; jednak nie mogą one zasługiwać na nazwę umiejętności, nie mogą być wpisane w jéj historyą: gdyż niedosyć jest coś zauważyć, potrzeba nadto fakta porównać z sobą, powiązać je, wykazać przyczynę ich pojawów i naznaczyć im właściwe prawa.

Z téj przyczyny z pewną słusznością powtórzyć możemy zdanie Delambra (1): „Cóż nam przynieśli Platon i Eudox z swych podróży po Egipcie? czegóż mogli się dowiedzieć od tych księży, których Thales dopiéro nauczył mierzenia wysokości piramid za pomocą długości ich cienia.“ Początki astronomii w Chinach, Indyach, Persyi, Chaldei i Egipcie, sięgają bardzo odległych czasów; pomimo tego trudno jednak u tych narodów znaleźć prawdziwą naukę, odpowiednią dzisiejszemu jéj rozumieniu. Spostrzeżenia ich po większéj części dotyczyły się tylko wschodu i zachodu niektórych główniejszych gwiazd i zaćmień; posiadali zaledwo słabe wiadomości potrzebne do ich praktycznego życia, a w miejsce prawdziwéj teoryi, budowali fantastyczne przypuszczenia, mające symboliczne lub religijne znaczenie. Początkowe więc te obserwacye, jak mówi Laplace (2), były tylko faktami pojedyńczemi bez związku i jedności, niezdolne zaspokoić umysłu pragnącego wznieść się do poznania przyczyn, których odkrycie późniejszym wiekom pozostawioném zostało. Mädler (3) zaś utrzymuje, iż skoro się zauważy z bezstronnością to wszystko, co starożytne ludy według pewnych lub prawdopodobnych podań wiedziały o niebie, to pokaże się, iż umiały one z mniejszą lub większą dokładnością oznaczać cykle, do których poznania niepotrzeba było ani żadnéj teoryi, ani sztucznych narzędzi, lecz tylko wytrwałości i cierpliwości w uważaniu niektórych fenomenów niebieskich. Nigdzie jednak w starożytności nie natrafimy na ślad jakiego Kopernika, Keplera, Newtona; nigdzie nie widać usiłowania częścio-

(1) Histoire de l'Astronomie ancienne. Tom I. 1817.
(2) Précis de l'histoire de l'Astronomie. Paris 1821.
(3) Popul. Astronomie. Berlin, 1849.

wo przynajmniéj uwieńczonego odkryciem ukrytych sił w objawach; nigdzie poczucia tych przedmiotów, które każdy, skoro tylko teleskop skieruje ku niebu, dopatrzyć musi. Trudno u narodów starożytnych szukać tych prawd i spostrzeżeń, które tylko czas i długie doświadczenie dostarczyć mogą. Zapatrywały się one na świat z młodzieńczością swego ducha, fantazyą kołysały w rozmaitości tworów i zjawisk natury, wydobywając z niéj piękne, a po części potworne i olbrzymie kształty. Podobnie jak znakomity naturalista angielski Lindley, przebiegając przedpotopowe rośliny, z podziwieniem i uniesieniem mówi: „jakżeż ta wegetacya potężna musiała być różną od téj, która obecnie rozmaitemi swemi kolorami pokrywa powierzchnią ziemi naszéj! Wielkość, siła i czynność wzrostu odznaczała je i znamionowała; najdrobniejsze rośliny naszéj epoki były naówczas wyobrażane w formach olbrzymich; lecz jakaż pojedyńczość organizacyi, jakaż jednostajność wpośród téj potężnéj wegetacyi!“—tak równie zastanawiając się nad początkową historyą ludzkości, widzimy w niéj wielkość i fantastyczne kształty, które nas zajmują swym ogromem; podziwiamy nieraz ich olbrzymie formy, natrafiamy na silną i bogatą wegetacyą ducha ludzkiego, lecz przytém znajdujemy ubóstwo myśli i prawdy. Byłto świat chaosu, stworzony chwilowo wyobraźnią bez spojni i karności, przeznaczony na dolne warstwy dla nowego życia i istot.

Nie jest przedmiotem naszym kreślić historyi nauk, ale jedynie wykazać niektóre ważne epoki dzisiejszych umiejętności, przypatrzyć się pewnym geniuszom i zapytać się ich o tajemnice, jakie wyciągnęli z natury, przekonać się o właściwości sposobów i dróg prowadzących do prawdy i pewności.

Dzieło na które zamyślamy zwrócić uwagę czytelnika, nie obejmuje w sobie historyi wszystkich nauk; autor przedsięwziął wykazać rozwój i odkrycia najgłówniejszych prawd w naukach fizycznych. Jedynym jego celem było pokazać nowe pomysły i pojęcia, przez jakie koleje przechodziły, i o ile wpłynęły na postęp nauk.

Dzieło to uważać można za historyą praw i idei, jakie rozum ludzki w ciągu swych dziejów nabył o naturze; przedstawia nam w najwymowniejszy sposób jego wielkość i zasługę, gdyż faktami i płodami jego twór-

czości, wzywa nas do jego szacunku i uznania. W naukach ścisłych oryginalność nie polega na nowości pojęć niesprawdzonych, na blasku pomysłów uwodzących niekiedy swą gienialnością; ale na skrupulatném uważaniu faktów i wyciąganiu z nich praw i przyczyn. Dlatego w nich pojęcia i idee nie są połyskami poetycznéj fantazyi, która bawiąc się z sobą, igra w czarodziejskiém kole marzeń; ale są rzeczywistemi siłami natury, odsłaniają jéj tajemnice i niemi władają. Ta tylko nowość w naukach ścisłych ma znaczenie, która więcéj faktów tłumaczy i ogólniejsze im prawa nakreśla; która generalizując szczegóły, wydobywa z nich powszechne zasady. Jakkolwiek trudne są warunki dla oryginalności prawdziwéj na polu nauk fizycznych, ale zato jakie owoce słodkie i płodne dla tych, którym się uda zerwać je i zakosztować! Naturalista wpatrując się w naturę, jéj symboliczny język przemienia w ludzki, głosem swym powtarza jéj myśli i uczucia: podaje on niejako grammatykę, według któréj czytać można w naturze i ją rozumiéć. Najwznioślejsza i najpiękniejsza jest ta inicyacya, albowiem otwiéra ona nam przybytki odwiecznéj mądrości, i podaje zarazem sposoby sprawdzenia swych zasad i nieomylności. Nigdzie niéma większéj harmonii pomiędzy człowiekiem a naturą, jak w naukach fizycznych: w nich za bogactwo jéj płodów i dzieł, wymienia człowiek myśli i pojęcia o niéj, jéj życiu odpowiada żywotnością prawd, jéj faktom odkrytemi przez siebie siłami i żywiołami: jedném słowem, w nich widzimy naturę uczłowieczoną, ale zawsze naturę.

Przedstawić historyą najważniejszych pojęć i prawd w naukach fizycznych, w dzisiejszym ich zwłaszcza stanie, gdzie prawie codzień nowe odkrycia zwiększają ilość już nabytych; gdzie już nie pojedyncze nauki, ale drobne nawet ich części stanowią wyłączne gałęzie wiedzy: jest bardzo trudném, wymaga rozległych znajomości, które w pewnéj mierze prawie przechodzą siły ludzkie. Daléj tak rozległy przedmiot potrzebuje obszernéj i wielkiéj pracy, która w pismie czasowém miejsca miéć nie może. Obok tych przeszkód leżących w przedmiocie samym, jakżeż trudno jeszcze nauki te przystępnie i popularnie przedstawić, z których każda ma właściwy sobie język, odpowiedni sobie tok mowy! Zaledwo talent

znakomity p. Arago, mógłby wystarczyć w téj mierze. Z tych przyczyn pozostawiam innym znakomitym znawcom i pisarzom głębsze i wszechstronniejsze traktowanie tych przedmiotów; przebiegając pokrótce i zbyt szkicowo historyą pewnéj tylko gałęzi nauk fizycznych, chcę pokazać ich ważność i obudzić w czytelniku chęć do czerpania gdzieindziéj obszerniejszéj i dokładniejszéj znajomości.

Zpomiędzy wszystkich narodów starożytnych, jeden zwłaszcza uderza nas gienialnością swych pomysłów, bogactwem niedorównaném swych arcydzieł, pięknością swéj duszy i myśli. Pod niebem dopiéro greckiém duch ludzki z młodzieńczą wiarą wypowiedział swą samodzielność, poczuł niepohamowaną żądzę zbadania i pojęcia wszystkiego. Wpatrując się w pomniki umysłowe tego jedynego narodu w historyi, który odgrywał w niéj rolę młodziana pełnego nadziei i wiary w przyszłość swą: podziwiać musimy ten wielki popęd do wiedzy, to wysokie powołanie, jakie jéj naznaczono, tę ufność w siły i w prace rozumu ludzkiego. We wszystkich dziełach naród ten odbił piętno swego ducha nieśmiertelnego: w sztuce doszedł do niezrównanéj doskonałości, mądrość postawił tak wysoko, iż prawie niepodobieństwem jest, aby jéj kiedykolwiek dosięgnąć był mógł.

Jakkolwiek filozofowie greccy nie byli szczęśliwi w stawianiu prawd i w odkryciu praw istotnych natury; to jednak Platon i Arystoteles uważając mądrość za umiejętność przyczyn piérwszych, wskazali jéj wielką i nieskończoną drogę. Jeżeli w ich dziełach w miejsce przyczyn fizycznych znajdujemy podstawione idee i myśli, nic nam nie tłumaczące: to jednak ich usiłowania były wzniosłe i użyteczne. Zdaje się, iż pod tém niebem cudownem i czarownem, człowiek mógł tylko marzyć o pięknem, harmonii i doskonałości; dlatego umiejętność uważał za ideał wszechwiedzy, za najwyższe dobro, do jakiego duch ludzki wznieść się może. Dzisiaj patrząc na przeszłość umiejętności i widząc jak powolnie, z ilu mozołami i trudami najmniejsza prawda zdobytą została; jak szczupły dopiéro zakres natury rozum ludzki odgadł i zrozumiał; jak wiele jeszcze pozostaje mu do odkrycia i zbadania: śmiało powiedzieć można, że jest przy początku zaledwo swéj pielgrzymki naukowéj, a nauczeni

doświadczeniem, staliśmy się skromniejszemi i pokornemi. Lecz kto wié, czy bez téj wielkiéj wiary w własne siły, chociaż może często zbyt przesadzonéj, bez téj potęgi samoistnéj ducha greckiego, chcącego wszystko z siebie wyprowadzić i stworzyć, ludzkość późniéj mogłaby krok naprzód posunąć się, dalszą rozpocząć pracę? Duch grecki pozostał ciepłem ożywczém dla późniejszych narodów: jego promienie ogrzewając je, sprzyjały późniejszemu wzrostowi myśli i rozwinięciu nauk.

Bezwątpienia niektórzy pisarze przypatrując się smutnym następstwom, jakie ślepe posłuszeństwo powadze Platona i Arystotelesa wywarło na późniejszy stan umysłu i nauk: nie bez pewnéj słuszności z goryczą wystąpili przeciwko nim, lecz niekiedy nie umieli utrzymać granicy w sądzie zbyt ostrym a sprawiedliwością.

Niezawodnie nie tyle był szkodliwym bezpośredni wpływ nauk i prac greckich, z powodu niedostateczności i jednostronności na późniejsze rozwinięcie się nauk i postępu ludzkiego, ile ten smutny stan, iż ludzie, którzy naśladowali filozofią grecką, nie mieli wielkiego ducha ich twórców, i téj wiary we własne siły, która jedynie doprowadza do wielkich czynów i do nieśmiertelności ducha.

To wielkie poczucie swéj samodzielności, ta prawie nieskończona ufność w siebie, spowodowała, iż naród grecki nietylko był największym poetą i artystą, ale oraz u niego piérwsze początki mądrości prawdziwéj się pojawiły. Słusznie więc mówi Delambre (1): „U Greków, i u nich jedynie, szukać należy początku i pomników umiejętności, którą stworzyli, i mieli środki do jéj stworzenia.“

Grecy zaczęli się zajmować astronomią daleko późniéj od Egipcyan i Chaldejczyków, których byli uczniami. Bardzo jest trudném wpośród bajek i wieści, które zapełniają początkowe wieki ich historyi, poznać ich rzeczywiste w téj mierze znajomości. Ich liczne szkoły filozoficzne nie wydały zdolnych obserwatorów; traktowali oni astronomią jako umiejętność czysto-spekulacyjną i bawili się w fantastyczne i śmieszne przypuszczenia. Na widok tego mnóstwa systemów, nawzajem zbijających

(1) Hist. de l'Astronomie ancienne.

się i walczących z sobą, pomimowolnie budzi się przekonanie, iż jedynym sposobem do poznania natury jest doświadczenie i obserwacya ścisła: bez nich największy nawet gieniusz nic dokazać i odkryć nie podoła.

Nie jest w myśli naszéj przebiegać te rozliczne systema, wykazywać ich fałsze i niedorzeczności; dla dania jednak jakiegoś lekkiego przynajmniéj wyobrażenia o stanie początkowym wiedzy w naukach fizycznych u Greków, przytoczymy pokrótce kilka opinii niektórych filozofów; z czego łatwo się czytelnik przekona, że do tego czasu ludzkość napróżno istniała, bo prawdy, które dzisiaj w elementarnych książkach są złożone więcéj są filozoficzne, aniżeli pojęcia Platona i Arystotelesa.

Pomiędzy rozmaitemi marzeniami filozofów o świecie i jego stworzeniu, najznakomitsze były następujące: Thales przyznawał początek wszystkich rzeczy wodzie; Anaximenes powietrzu, Heraklit ogniowi. Anaximander, według Diogenesa Laercyusza, ziemię kulistą uważał za środek świata; według Eudemusa nie miała ona być opartą na niczém, ale obracała się około siebie; Plutarch zaś podaje przeciwnie jak on: naznaczał ziemi figurę kolumny i uważał ją za równą słońcu. Anaxagoras sądził, że słońce było żelazem czerwoném lub kamieniem rozpalonym do białości, i tak wielkim, jak Peloponez; niebo zaś miało być sklepieniem kamiennem, utrzymującém się li przez prędkość swego ruchu kołowego.

Niekiedy jednak w liczbie tych marzeń filozofów greckich zajaśnieje czysta prawda; niekiedy można natrafić pomiędzy niemi na zdrowe pojęcie. Thales uznawał kulistość ziemi, i miał znać prawdziwe przyczyny zaćmień słońca i księżyca; mówią nawet, że je miał przepowiadać, bezwątpienia używając metód lub peryodów, które księża egipscy wskazali. Wszystkie prawdy astronomiczne szkoły Jońskiéj z większém i dokładniejszém rozwinięciem nauczane były przez Pythagoresa, lecz zwłaszcza to mu przynosi wielką sławę, iż piérwszy przypisywał ziemi dwa ruchy: jeden około siebie, a drugi około słońca. Długo teoryą tę utrzymywał w tajemnicy, lecz została ona ogłoszona przez jego ucznia Philolausa. Według szkoły Pitagorejskiéj, komety nawet podobnie jak planety obracają się około słońca; nie

są one meteorami przejściowemi powstałemi w naszéj atmosferze, lecz wiecznemi dziełami natury. Te wyobrażenia zupełnie prawdziwe o systemie świata, pochwycone były i przedstawione przez Senekę z wielkim entuzyazmem, jaki idea o jednym z najrozleglejszych przedmiotów wiedzy ludzkiéj wywołać musiała w duszy filozofa. „Nie dziwmy się, mówi on, że do tego czasu nie są znane jeszcze prawa ruchu komet. które spostrzegamy tak rzadko, nie znamy ani początku i końca ich biegu, które przybywają do nas z tak odległych miejsc. Zaledwo jest 1,500 lat jak Grecya policzyła gwiazdy i dała im nazwiska. Przyjdzie nareszcie czas, w którym po upływie kilku wieków ciągłéj i pilnéj nauki, rzeczy obecnie ukryte staną się jasnemi, a potomność dziwić się będzie, że prawdy tak oczywiste mogły nam być nieznane.“

W istocie przyszły czasy, w których się słowa i przeczucia Seneki ziściły; lecz nowe tajemnice występują ciągle, których naturaliści nie mogąc jeszcze wytłumaczyć pocieszają się nadzieją rzymskiego filozofa, podając ich rozwiązanie potomności.

Prawdy, jakie niektórzy filozofowie greccy wyrzekli, byłyto przypuszczenią tylko, nie mające za sobą żadnych dowodów i spostrzeżeń: bezwiednie je wypowiadali, nie umiejąc z nich należnego zdać sobie rachunku.

Ze wszystkich filozofów greckich Arystoteles wszechstronnością wiedzy, głębokością niektórych spostrzeżeń, talentem wysokim w systematyzowaniu najdrobniejszych i najdelikatniejszych pojęć zyskał sobie przeważny wpływ, który przechodząc przez średnie wieki, sięga aż nowszych czasów. Szczególny wypadek w dziejach umysłu ludzkiego, iż wielki ten filozof w dwóch epokach znacznie odległych od siebie, dziełami swemi przyczynił się do wyrobienia i wykształcenia scholastycyzmu, którego w wiekach średnich i czasach najnowszych, po dwa kroć nauki przyrodzone podkopały powagę i znaczenie.

Wielkim ludziom należy się zawsze szacunek; pomimo swych błędów i jednostronności byli oni piérwszemi robotnikami w najkosztowniejszéj winnicy dla nas, bo nam otworzyli tajemnice i zasoby ducha naszego: dlatego pobieżnie i kilką słowami nie można ich zbić, a tém bardziéj wykreślić z księgi dziejów umysłu ludzkiego. Nie do nas w téj chwili należy rozbierać lub sądzić syste-

ma filozoficzne: zdając sprawozdanie ppkrótce z ruchu jednéj z nauk fizycznych, kilkoma zdaniami chcemy pokazać pojęcia Arystotelesa w téj mierze, i sposób jego rozumowania.

W ogóle filozofowie greccy zapatrując się na świat fizyczny, w pojęciach językiem objętych szukali sposobów do zrozumienia jego tajemnic i ich wytłumaczenia. Filozofii podobnéj pomimo uporządkowania, podziału i uanalizowania pojąć pewnych, zbywać będzie zawsze na podstawie umiejętnéj, gdyż początek jéj wyjścia jest fałszywy i niewłaściwy. Ta dążność opierania się na wyrażeniach językowych i pojęciach niemi oznaczonych, pokazuje się w najpiérwszych czasach. Podobnego rozumowania mamy przykład w Thalesie, twórcy filozofii greckiéj, który gdy był zapytany: „jaka jest największa rzecz? odpowiedział—miejsce; gdyż rzeczy są w świecie, a on w niém". W Arystotelesie podobny sposób widzenia podniesiony został do wysokości spekulacyjnego systemu filozoficznego. Jeżeli rozbiera on i w pewnéj mierze to pytanie: czy istnieje próżnia w świecie? zastanawia się wprzód nad rozmaitemi znaczeniami w jakich się mówi, że jedna rzecz jest w drugiéj. Wylicza wiele podobnych przykładów, jakoto: że część jest w całości, palec w ręku, gatunek w rodzaju, człowiek w zwierzęciu; po przebieżeniu owych wyrażeń rozmaitych, skłania się nareszcie określić próżnią jako miejsce bez materyi. Mówiąc o czasie, w podobny równie sposób dowodzi: gdyby wszystkie rzeczy były w spoczynku, piérwszy ruch musiałby nastąpić przez jakąś zmianą pomiędzy niektóremi z nich, a zatém powstałaby zmiana przed piérwszą zmianą. Czyliż moglibyśmy mówić wprzód i potém, gdyby czasu nie było? czyliż mógłby być czas bez ruchu? Dodaje więc, ze skoro czas jest obliczaniem ruchu, i skoro jest wiecznym, równie ruch takim być musi. Następnie zastanawia się nad tém, co stanowi lepszość lub gorszość ruchu, i uznając ruch kołowy za najdoskonalszy, przypisuje go ciałom niebieskim. Nauka o czterech elementach długo pokutująca w głowach ludzkich, była bez wątpienia jednym z najpiérwszych dogmatów filozoficznych, opartych na przeciwstawieniu tych przymiotników: ciepły, zimny, mokry i suchy. Arystoteles ją tylko rozwinął i usystematyzował. Po wyliczeniu dość znaczném

rozmaitych kombinacyi, które do usprawiedliwienia służą pierwotności powyższych przymiotników, wnosi w końcu: cztery są elementarne ciała, tojest ogień, który jest ciepły i suchy, powietrze jest ciepłe i mokre, woda jest zimną i mokrą, ziemia jest zimną i suchą.

Kilka tych przykładów rzuca dostateczne światło na sposób rozumowania starożytnych filozofów, którzy opierając się najwięcéj na pojęciach w języku złożonych, na nich budowali swe systema i marzenia. W podobnym stanie umysłu powstać tylko i rozwinąć się mogła logika i dyalektyka, albowiem najwięcéj naówczas zwracano uwagi na słowa, ich połączenie i zwroty.

Powolny był postęp wiedzy ludzkiéj; długie doświadczenie doprowadzić zaledwie mogło do pewniejszych i prawdziwszych wyobrażeń. Początkowo natura wywierała na człowieka największy wpływ: uległ jéj i poddał się. Późniéj poznawszy się cokolwiek na swéj samodzielności, w fantazyi szukał środka pewności; stworzył rozmaitete ogonie i kosmogonie. W końcu przeszedł do języka téj żywéj historyi jego kolei i twórczości, pojęcia jego i wyobrażenia zaczął porządkować, rozdzielać, i według logicznéj miary szukał, które między niemi są pierwotniejsze i główniejsze. Historycznie zatém biorąc, logika była wielkim krokiem w rozwinięciu się umysłu ludzkiego, lecz jako środek do wynalezienia prawdy o tyle niestosowny, co i fantazya: ta gubi się w dziwacznych postaciach i obrazach, a tamta kończy na grze słów i czczéj systematyczności nic nie nauczającéj i dowodzącéj. Fałszywość filozofowania greckiego najdobitniéj pokazała się w skutkach: stosując wyobrażenia językowe do natury, nie potrafili zrozumieć i wytłumaczyć najważniejszych jéj pojawów; jeżeli zaś znajdujemy w ich dziełach prawdziwe spostrzeżenia i ważne fakta, to nie zawdzięczamy im tego ich filozofii, ale ich ciekawości umysłu i bystrości ich zdrowego rozsądku. Czuli oni ważność doświadczenia: Arystoteles z donośnością odpowiednią swemu praktycznemu rozumowi skreślił jego znaczenie w poszukiwaniu prawdy i wiedzy; lecz nie umieli odróżniać i stosować należycie idei do faktów, i to była jedna z największych przyczyn niepomyślności filozofii greckiéj w pojęciach i przypuszczeniach jéj o naturze.

Historya astronomii u Greków podaje nam przed szkołą alexandryjską jedyną obserwacyą letniego przesilenia dnia z nocą, wykonaną w roku 432 przed naszą erą przez Metona i Euktemona. Piérwszy z tych astronomów wsławił się cyklem 19stu lat, odpowiadającym 235 lunacyom, który wprowadził do kalendarza. Najprościejszy sposób do mierzenia czasu polega na poznaniu ruchów słońca, lecz w piérwszych wiekach ludów, strony zmienne księżyca przedstawiały dla ich niewiadomości podział naturalny i dosyć powszechnie pojęty.

Aż do powstania szkoły alexandryjskiéj, astronomia u różnych ludów zajmowała się tylko obserwacyą fenomenów tyczących się pór roku i zaćmień:—przedmiotów ich potrzeb i strachu. Kilka pewników zdobytych długiém doświadczeniem, kilka szczęśliwych przypuszczeń o budowie świata, zmieszanych z wielą błędami: stanowiło całą ich astronomią teoretyczną. Piérwszy raz dopiéro w szkole alexandryjskiéj powstał system oparty na obserwacyach odbytych za pomocą narzędzi do mierzenia kątów i rachunków trygonometrycznych. Odtąd astronomia przybrała nowy kształt i kierunek, które późniejsze wieki powinny były rozwijać i posuwać. Oznaczono lepiéj jak dotąd położenie gwiazd; poznano dokładniéj nierówności ruchów słońca i księżyca, śledzono z pilnością biegi planet. W końcu szkoła alexandryjska utworzyła piérwszy system astronomiczny, obejmujący całość fenomenów niebieskich; system jakkolwiek niższy od przyjętego przez szkołę Pitagoresa, opierał się jednakże na porównaniu faktów i obserwacyj, a tém samém już służył za środek do dalszego ich poprawiania, stwierdzania, przygotowując na przyszłość lepszy pogląd na świat i prawdziwsze wyobrażenie o budowie nieba.

Po śmierci Alexandra Wielkiego najznakomitsi jego generałowie podzielili się jego potężném państwem, i Ptolomeuszowi Soter przypadł Egipt. Jego miłość do nauk, jego uznanie i szacunek dla ich dobroczynnych wływów i skutków, sprowadziły wielu uczonych greckich do Alexandryi, stolicy jego państwa. Syn jego Ptolomeusz Filadelfus odziedziczając jego tron i przywiązanie do nauk, udzielał ludziom uczonym szczególną opiekę i protekcyą. Dał im na mieszkanie wielki gmach, obejmujący w sobie obserwatoryum i ową sławną biblio-

tekę, założoną przez Demetryusza z Falery z wielkiemi kosztami i mozołami. Posiadając więc narzędzia i książki potrzebne, poświęcili się z wielką pilnością i zapałem pracom naukowym, do których zagrzewała ich jeszcze obecność panującego, lubiącego przestawać i rozmawiać z niemi. Ruch, jaki ta szkoła nadała naukom, i wielcy ludzie, których wydała lub którzy byli jéj współcześni, naznaczają epoce Ptolomeusza jedno z najznakomitszych miejsc w historyi rozwoju rozumu ludzkiego.

Arystill i Timocharys byli piérwszemi obserwatorami szkoły alexandryjskiéj: ich obserwacye położenia główniejszych gwiazd zodyaku posłużyły późniéj Hipparkowi do odkrycia ruchu wstecznego punktów równonocnych, i wpłynęły na teoryą Ptolomeusza. Po nich wystąpił Arystark z Samos: najdelikatniejsze zadania astronomii zdaje się iż zajmowały jego umysł, lecz na nieszczęście spostrzeżenia jego nie doszły do nas. Jedyne dzieło, które pozostało po nim, traktuje o wielkości i odległości słońca i księżyca, w którém wykłada gienialny swój sposób przez jaki probował oznaczyć stosunek ich odległości. Podniósł on na nowo opinią szkoły Pytagorejskiéj o obrocie ziemi, lecz nie wiadomo o ile ona posłużyła mu do wytłumaczenia fenomenów niebieskich. To pewno tylko, że rozsądny ten astronom uważając, że ruch ziemi niewiele wpływa na położenie pozorne gwiazd, naznaczył im bez porównania większą odległość aniżeli słońcu, i piérwszy w starożytności ogłosił właściwsze i prawdziwsze pojęcie o wielkości świata. Następca jego Eratosthenes głównie swą sławę zawdzięcza wymierzeniu ziemi; piérwsze to jest usiłowanie, jakie nam historya astronomii podaje i przedstawia.

Najznakomitszym ze wszystkich astronomów był Hippark, którego imię było powtarzane przez wielu ludzi uczonych z największą czcią i uznaniem. Pliniusz mówiąc o nim i Talesie, nagle wpada w wielki zapał, i uwielbienie jego w następnych wyznaje słowach: „Wielki mężu! wyniesiony nad poziom ludzkiéj natury odkryciem praw przewodzących ruchom niebieskim i uwolnieniem słabego umysłu człowieka ze strachów, jakie mu zaćmienia sprawiały. Cześć wam i waszym gieniuszom, tłumacze nieba, godni piastunowie praw świata, twórcy

zasad, które obchodzą bogi i ludzi!" Nowsi pisarze jeżeli nie z tą deklamacyą i uniesieniem, to równie z wielkiém poszanowaniem cenią jego zasługi i stanowisko naukowe. Delambre, który zwykle w swych sądach jest surowy i cierpki, widzi w nim najznakomitszego człowieka starożytności, który w umiejętności umiał połączyć obserwacyą z geometryą; Laplace ze wszystkich astronomów przyznaje mu największe zasługi, jakie położył dla nauki przez ilość i dokładność obserwacyj i następstwa ważne, które z ich porównania wyciągnął i otrzymał.

Jakkolwiek idea epicyklów podnoszoną była za czasów Platona, i nastręczała się niektórym umysłom do rozwiązania pewnych zadań astronomicznych; jednakże według tego zdania, „iż ten tylko odkrywa, który dowodzi", Hipparka należy uważać za jéj twórcę: on ją sobie przyswoił, obrócił w system i użył do tłumaczenia pewnych zjawisk nieba.

Aby uzasadnić teoryą epicyklów, potrzeba było oznaczyć wielkość, odległość i położenie kół lub sfer, po których ciała niebieskie obiegają, i tym sposobem wywytłumaczyć ich pozornie niejednostajne ruchy. Obecnie bardzo dobrze rozumiemy, jak należy rozwiązać to zadanie, ponieważ znamy prawdziwe ruchy ciał niebieskich. Rzeczywisty ruch ziemi około słońca, jak oraz pozornie roczny ruch tegoż, nie odbywa się po kole, którego ziemia jest środkiem, lecz po elipsie lub owalu; ziemia znajdując się u jednego z jego wierzchołków, ruch więc jéj będzie prędszym, skoro słońce jest przy wierzchołku tegoż owalu. Lecz w miejsce owalu przypuśćmy, iż słońce obraca się jednostajnie po kole: w tym razie ziemia nie będzie w środku, lecz bliżéj jednéj jego strony, a ruch słońca wydawać się będzie prędszym, skoro przypadnie bliżéj ziemi, czyli bliżéj swego perigeum. Linia podobnego obiegu nazywa się kołem mimośrodkowém, a odległość ziemi od jego środka, mimośrodem. Geometrycznie łatwo można wykazać, że nierówność pozornego ruchu w ten sposób odbywającego się, jest ta sama w swych szczegółach, co nierówność wynikająca z przypuszczenia małéj epicykli, obracającéj się jednostajnie około swéj osi, mającéj słońce na swym obwodzie, i skoro jéj środek obiega jednostajnie po kole, któ-

rego ziemia jest środkiem. Ta tożsamość wypadków wynikająca z hipotezy koła mimośrodkowego i epicyklu, dowiedzioną została przez Ptolomeusza w trzeciéj księdze jego Almagestu.

Piérwszém zatém staraniem Hipparka było oznaczenie dokładne czasu trwania obiegu słońca; w tym celu obserwował on przez kilka lat z największą skrupulatnością powroty téj gwiazdy do punktów równonocnych i przesilenia dnia z nocą. Przekonawszy się jednakże, że te spostrzeżenia nie były wystarczające do osiągnięcia i ustalenia pewnych i dokładnych wypadków: przedsięwziął je porównać z najdawniejszemi jakie naówczas były, i w téj mierze obrał obserwacye wykonane 150 lat wprzód przez Arystarka z Samos.

Gdyby ruch słońca był zupełnie równym i jednostajnym, możnaby wnosić, że obiega po kole, którego środkiem jest ziemia; lecz ruchy ciał niebieskich nie odbywają się z podobną jednostajnością; słońce nawet, ten regulator czasu, podlega zmianom i niejednostajności. Niedokładne obserwacye stały na przeszkodzie starożytnym do ich poznania i ścisłego oznaczenia, lecz nareszcie przekonali się oni o tém w sposób następujący: spostrzegli wielką różnicę jaka istnieje między peryodami porównania i przesilenia dnia z nocą, które powinny być równe sobie, gdyby ruchy słońca były jednostajne; chodziło zatém wytłumaczyć tę pozorną nieregularność, i naznaczyć jéj powody. Hippark to uczynił, przypuściwszy, iż słońce obiega po kole mimośrodkowém, to jest, którego środkiem nie jest ziemia; lecz niedosyć postawić zadanie, aby je rozwiązać, potrzeba było obrachować obieg słońca, oznaczyć wielkość mimośrodu i położenie téj linii, która na niebie stanowi granicę największego i najmniejszego oddalenia. Dopełnił on to, kombinując między sobą nierówne peryody pomiędzy porównaniem i przesileniem dnia z nocą, i na hipotezie koła mimośrodkowego ułożył tablice słoneczne, które późniéj przyjęte zostały przez wszystkich astronomów.

Do wytłumaczenia tych nierówności, przypuszczono jeszcze inną hipotezę, znaną pod nazwiskiem epicyklów, która, jakeśmy już wyżéj powiedzieli, nie różni się od téj o kole mimośrodkowém.

Hippark położył równie piérwsze początki do teoryi księżyca, odkrył i wytłumaczył niektóre zawiłe i skomplikowane jéj elementa. Nie uszło jego uwagi, że jednym z najważniejszych zadań astronomii jest oznaczyć odległość ciał niebieskich i wielkość świata; poświęcił się zatém temuż przedmiotowi ze zwykłą sobie gorliwością, i jeżeli nie udało mu się odkryć prawdy, to jednak znacznie rozszerzył granice znanego świata. Nie mając dostatecznych obserwacyj Hippark, jak słusznie Ptolomeusz nazywa go astronomem wielkiego talentu, rzadkiéj mądrości, i szczerym przyjacielem prawdy: poprzestał na teoryi słońca i księżyca, zostawiając późniejszym wiekom odkrycie i wykształcenie pojęć o innych planetach.

Nowa gwiazda, która pokazała się za jego czasów, naprowadziła go na myśl wielką i użyteczną. Aby potomność lepiéj sądzić mogła o zmianach zachodzących na niebie, zabrał się do ułożenia katalogu gwiazd, czując zarazem ważność jego w obserwacyach księżyca i planet. W tym celu poszedł on za metodą używaną już przez Arystylla i Tymocharesa; długa i trudna ta praca uwieńczoną została ważném bardzo odkryciem ruchu wstecznego punktów równonocnych.

Przychodzi nam teraz mówić o stanie astronomii od czasów Hipparka aż do Ptolomeusza: drugie wielkie imię, jakie historya téj umiejętności wskazuje, chociaż właściwie może on być tylko policzonym pomiędzy tych, którzy sprawdzali, rozwijali i rozszerzali teoryą Hipparka. Astronomowie, którzy żyli w tym przeciągu czasu, w tym nawet względzie niewiele przedsiębrali i zrobili. Boska szkoła alexandryjska, jak ją nazywa Synesius, w czwartym stuleciu wydała bardzo mało osób zdolnych posuwać naukę, a nawet sprawdzić pracę znakomitego ich nauczyciela. Matematycy téj szkoły pisali wiele, ale mało obserwowali, i prace ich nie mają wielkiéj wartości; dzieła ich zajmowały się wyłożeniem teoryi i jéj geometrycznych następstw, bez względu na fakta i obserwacye. W przeciągu prawie trzech wieków od Hipparka aż do Ptolomeusza, prócz dzieł Geminusa i Cleomeda które nas doszły, i kilku obserwatorów, jak: Agryppa, Menelaus i Theon ze Smyrny, historya nie może wskazać żadnéj nowéj idei i rzeczywistego postępu.

Ptolomeusz urodzony w Ptolemaidzie w Egipcie, żył w Alexandryi około roku 130. Jestto jedyny pisarz od czasu Hipparka, którego prace przyczyniły się do dalszego postępu nauki, i zjednały mu piérwszeństwo nawet przed jego gienialnym poprzednikiem i nauczycielem. Dzieła jego obejmują w sobie prawie kompletny stan astronomii greckiéj; jakkolwiek nie stworzył on żadnéj nowéj teoryi, wpływał jednakże znacznie na sprawdzenie, udoskonalenie i rozwinięcie systemu który przyjął. Dzieło jego jest nam znane pod nazwiskiem przypominającém, iż piérwsze nasze wiadomości astronomiczne czerpaliśmy z pisarzy arabskich. Megiste Syntaxis, nazywaném było od nich Al Magisti lub Almagest; pod tym więc tytułem dzieło Ptolomeusza najczęściéj bywa wspominane. Dla matematycznego wykładu teoryi epicyklów i kół mimośrodkowych, dla obserwacyj i obrachunków używanych w zastosowaniu jéj do słońca, księżyca i planet, jest ono świadectwem wielkiéj pracy, pilności i talentu jego autora. Obok innych zalecających zasług podaje ono nam nadto dokładne wyobrażenie o sposobie, przez jaki Hippark pojął i rozwinął swą teoryą; ułatwia przeto poznanie prac tego piérwszego i gienialnego zarazem astronoma.

Nie jest celem naszym rozbieranie szczegółowe dzieła Ptolomeusza: ograniczymy się na wspomnieniu jego li oryginalnych spostrzeżeń i pojęć. Pomiędzy temi zasługują zwłaszcza na uwagę te, które się dotyczą zmian księżyca i obiegu planet.

Ponieważ słońce ma bardzo mały mimośród, i ruch jego czyli raczéj ziemi, który według spostrzeżeń i obrachunków najnowszych, nie ulega wielkim zmianom z powodu wpływów fizycznych; hipoteza więc kół mimośrodkowych byłaby dostateczną do jego oznaczenia i wytłumaczenia. Astronomia w krótkim czasie mogłaby była zająć ścisłe i doskonałe stanowisko umiejętne, gdyby ruchy innych planet były o tyle proste i mało skomplikowane, jak téj gwiazdy. Lecz na nieszczęście tak nie jest: inne ciała niebieskie podlegają wielkim nieregularnościom; księżyc zwłaszcza, ten najbliższy sąsiad naszego planety, najwięcéj zawsze nabawiał kłopotów astronomów. W nowszych zaledwo czasach głęboki i mozolny rachunek, potrafił pokonać wszystkie trudności, i rozwiązał zawiłe

pytania. Piérwsza i najwidoczniejsza jego nieregularność podobnéj jest natury co i słońca; powstaje ona w skutek różności jego oddalenia od ziemi, w dwóch punktach sobie przeciwnych jego linii obiegu; druga zaś zawisła od jego odległości od słońca, do któréj wykrycia potrzeba było wielkiéj pracy, wytrwałości i zdolności obserwacyjnéj. Ptolomeusz przezwyciężywszy wszystkie trudności obecnego zadania, odkryciem téj drugiéj nierówności księżyca, nazwanéj późniéj przez Bullialdusa ewekcyą, zasłużył się bardzo nauce, i sprawiedliwie zajmuje w niéj ważne miejsce.

Odkrycie to, jak równie zastosowanie do jego wytłumaczenia teoryi epicyklów, z różnych bardzo względów ważny stanowi postęp w nauce astronomicznéj: raz pokazując, iż ciała niebieskie ulegają w swych obiegach pewnym anomaliom, obudziło nieufność do wszystkich tych teoryj, które przepisują prawa dla natury z ogólnego i idealnego poglądu, pomijając badanie jéj zjawisk i faktów; drugi raz zauważany chociaż cząstkowo tylko wpływ słońca na ruchy księżyca, dał popęd do jego dalszych obserwacyj, i z czasem przyczynił się do pojęcia i wykształcenia ogólnych praw ciężkości.

Należałoby nam teraz przystąpić do poznania sposobów, przez jakie Ptolomeusz starał się oznaczyć linie obiegu planet. Jakkolwiek przedmiot ten ciekawym jest i ważnym, nie przedstawia nic nowego nad to, cośmy powyżéj powiedzieli: dlatego w kilku słowach o nim wspominamy. Za pomocą kombinacyj kół mimośrodkowych i epicyklów, porównywając obok tego dwie własne obserwacye z dawniejszemi, potrafił on oznaczyć rozciągłości i położenia linii obieganych przez planety.

Ze śmiercią tego wielkiego astronoma, ustał wszelki rzeczywisty postęp w nauce; znikło zamiłowanie prawdy i doświadczeń. Śmiało więc powiedzieć można, że od czasów Ptolomeusza aż do Kopernika, a zatém w przeciągu 1356 lat, astronomia nie posunęła się naprzód. Araby, którzy odziedziczyli tę naukę po Grekach, wiernie ją przechowywali; lecz nic nie dodali do niéj, i nie umieli jéj poprawić i rozwinąć. Trudno, abyśmy w szkicowéj naszéj pracy zatrzymywać się mogli nad drobnemi spostrzeżeniami, które nie zrobiły żadnego większego wpływu: przytoczenie w téj mierze opinii ludzi powagi, zaspo-

koić musi czytelnika. Whewell twierdzi: „Bardzo mało znajduje się w literaturze arabskiéj, coby uważać można za postęp astronomii, a to co jest, jest tylko następstwem greckiéj umiejętności.“ Według Laplasa czynność astronomów arabskich ograniczała się na obserwacyach; nie zwrócili oni uwagi na nowe nierówności, i w téj mierze nic nie dodali do hipotez Ptolomeusza.

Z upadkiem ducha greckiego, znikła rzeczywista oświata. Rzymianie zajęci wojną i sprawami publicznemi, w naukach powtarzali Greków, i po częściéj z ich dzieł czerpali słabe swe wyobrażenie o świecie fizycznym, pomijając żywą księgę—naturę i jéj zjawiska. Dlatego wszędzie gdzie ich pisarze odstępują od Greków, poprzestają na deklamacyi i niepotrzebném gadulstwie. Arabom nauka i ludzkość wiele ma do zawdzięczenia: za ich pośrednictwem światło greckie rozchodziło się po świecie. Jeżeli sami w żadnéj prawie gałęzi nauk nie zrobili żadnego postępu, to przynajmniéj przechowali najdroższą spuściznę, jaką wówczas ludzkość miéć mogła, starannie i czysto. Od nich przeszły do Europy zabytki wiadomości greckich, lecz przez długi czas były to ziarna rzucone na rolą jałową, która rodziła kąkol i głóg. W wiekach małéj samoistności umysłowéj i moralnéj, przeważa zwykle duch naśladownictwa: słowa i formalizm największą odgrywają rolę, ślepe posłuszeństwo pewnym powagom uznanym odprowadza od wszelkich samodzielnych usiłowań, komentowanie systemów i dzieł stanowi przeważne zatrudnienie ludzi uczonych i wyłączną naukę.

(Dokończenie nastąpi).

DWOREK I PAŁAC.

POWIEŚĆ

PRZEZ

K. W. Wójcickiego.

„Pojrzyj, jeśli co w świecie będzie tak trwałego,
Coby się nie spodało zawdy czasu swego?
A jako się rozlicznie na nim wszystko mieni,
Nie ujrzysz tego lecie, coś widział w jesieni."

M. Rej z Nagłowic. (Zwyercyadło. 1568).

I.

W puszczy nad Narwią, co się rozciągała bez przerwy od Serocka do wybrzeżów ponadwiślańskich Modlina, w jednym ostępie gęstym buchał płomień jasny, który rozświecał knieję daleko. Szałasów kilka z desek zbitych mieściły w sobie gromadkę ludzi, złożoną z traczy, węglarzy i smolarzy, którzy tu od wiosny osiedli. Najobszerniejszy szałas stojący ponad bystrą strugą, ocieniony lipami, jaworami, klonami, kilką modrzewami i bujnemi sosnami, zajmował pan Maciéj Zaręba, z czeladzią i domownikami swojemi. Było pan i dziedzic dwudziestu włók téj puszczy, i właśnie zaczął tę część karczować czyli dobywać pod płużycę pola do zasiewu oziminy. Już przeszło dwie włóki w pień wycięto: teraz zaczęto właściwy karczunek, to jest wykopywanie pni smolnych sosnowych i jedliny, z których smolarze dobywali smołę i dziegieć, a z gałęzi grubych i kloców łupanych, węglarze wypalali węgle dla kuźni kowalskich.

Pan Maciéj Zaręba liczył już czwarty krzyżyk, bo skończył rok trzydziesty piąty. Jedynak zamożnego niegdyś szlachcica, dziś w kawale puszczy musiał urządzać dla siebie siedzibę na przyszłość.

Ojciec jego, pan Bartłomiéj Zaręba, w młodych leciech sługiwał pod chorągwią przeciw Szwedom; późniéj już osiwiały należał do konfederacyi Barskiéj, przyzwany przez swego imiennika, ba! i krewniaka, regimentarza Zarębę. Ale wojaczka nie poprawiła ani jego, ani kraju doli. Szwedzi w piérwszéj służbie spalili mu dwór i wieś zniszczyli; późniéj nowi jego przeciwnicy, kiedy się odbudował i zagospodarował na nowo, przypomnieli starcowi pożogę szwedzką. Pochylony laty, styrany wiekiem, obruszony postępowaniem swego krewniaka pana regimentarza Zaręby, gdy ten zaczął wchodzić w traktaty z panem stolnikiem w Warszawie: jeszcze z młodym synem pobiegł do Częstochowy i stanął w obronie świętego grodu pod dowództwem p. Kazimierza Pułaskiego. Zaraz zyskał jego względy, i raz doń po skończonéj wycieczce gdy wrócili, a byli w gorącym rosole, rzekł p. Kazimiérz:

— Gdybym miał takich 1000 szabel jak Waścina, panie Bartłomieju, i waszego syna, tobym nie wątpił nigdy o sprawie konfederacyi.

Łzy radości skropiły siwe wąsy starego wojaka; a gdy wrócili na kwaterę, pan Bartłomiéj zawołał z bocznéj alkowy jedynaka swego:

— Chodźnota Waszeć, panie Macieju.

Gdy syn z pokorną miną stanął przed groźnym zawsze rodzicem, pan Bartłomiéj wlepił weń oczy, popatrzał długo, co tém więcéj zmieszało młodzieńca, i po długiém milczeniu wyrzekł:

— Nie masz Waść matki, a mojéj kochanéj Małgosi. Waść sierota i ja sierota po niéj (tu staremu głos zadrżał), ale ona nas nie opuszcza. Kiedyśma wczoraj wychodzili na nocną wycieczkę z klasztoru, modliłem się długo, westchnąłem serdecznie do Boga i prosiłem, aby moja Małgosia, która musi być w niebie, uprosiła Waści patrona, iżby cię zachował od szwanku, ba, od śmierci i kalectwa. Snadź wysłuchaną była moja gorąca modlitwa, bo jakeśmy wracali z wyprawy, a wiész Waszeć, że tam były nie przelewki, ponad bramą klasztorną ujrzałem

w bieli Małgosię, jak nas żegnała krzyżykiem.—Tu westchnął głęboko i opuścił smutnie głowę na piersi (1). —Waść słyszałeś, co nasz hetman powiedział do mnie, jak pochwalił Waszeci. Takie słowa, to skarbnica na całe życie. Teraz nie wątpię, żeś syn mój nieodrodny. żeś krew, krwi mojéj.... Chodź! chodź mój Maciejku, niech cię uściskam i pobłogosławię.

Rozrzewniony i zdumiony dobrocią ojca niezwyczajną, padł mu do nóg, a ojciec uściskał go serdecznie.

— No! teraz Waszeć daléj do roboty: otrzéć oczy, to nie po rycersku; nie wiemy czy za godzinę znów nie przyjdzie gorąca przeprawa.

Maciéj pokorny wrócił do alkowy. Starzec odpiąwszy swój ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiéj Częstochowskiéj, ustawił na stole, ukląkł i zaczął odmawiać codzienne godzinki (2).

Ktoś zlekka zapukał; otwarły się drzwi i wszedł cicho pan hetman.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Na wieki, Amen—odrzekł zdziwiony starzec i porwał się na nogi.

— Przepraszam Waści, panie Bartłomieju, że przerywam modlitwę; ale musim pomówić z sobą.

Zaręba porwał co rychléj ryngraf, przypasał karebelę, i z czapką pod pachą wyszedł za swym wodzem. Długo chodzili po murach fortecznych, długo zcicha gwarzyli; młodzieniec tylko dostrzegł, a księżyc widno zaświecił zpoza chmury, jak przy baszcie Zaręba upadł na kolana, jak go pan hetman przyciskał do piersi i całował, i jak odchodząc szybko, ocierał oczy łzą rzewną zroszone!

Wrócił starzec nadzwyczaj poruszony; Maciéj siedział struchlały w alkowie, i patrzył zpod oka przez drzwi nawpół uchylone, na każde poruszenie ojca.

(1) Czytając pamiętniki nasze, uderza szczególniéj, jak starzy ojcowie nasi z czystą wiarą wierzyli i miewali *widzenia*, tak zmarłych krewnych, jak i ukochanych osób. Odsyłamy w tym względzie naszych czytelników do pamiętników Fr. Karpińskiego, życiorysu Czackiego i w. i. oraz zapisanych podań w dyaryuszach i Sylva rerum po rodzinach polskich.

(2) Ryngrafy takie ze srebrnéj pozłacanéj, lub szczero-złotéj blachy jeszcze się przechowały u nas. Niejeden z dawnych wojowników i konfederatów winien był takiemu ryngrafowi życie, gdy kula na nim się sparła. Służył on nieraz w obozowym życiu za obraz i ołtarzyk do modlitwy.

Zaręba rzucił czapkę na ziemię, rzucił i szablę, usiadł na ławie dębowéj ukrywszy twarz w obie ręce: z początku łkał zcicha, a późniéj w głos rzewnie zapłakał.

Macieja zimny pot oblał, bo nigdy nie widział tak rozczulonego ojca: nawet przy trumnie matki odważniéj znosił cios tak wielki, a wiedział jak kochał zmarłą. Nie mógł pojąć co zajść mogło, zkąd taka boleść wielka szarpie sercem wojaka. Uszanowanie wstrzymywało go długo w alkowie, ale w ostatku niemogąc znieść widoku tak długo płaczącego starca, roztworzył drzwi nagle i stanął przed ojcem.

Ten otarł łzy połą kontusza, chciał powstać, ale nie mógł: syn mu dopomógł. Długo robił piersią jakby z wielkiego zmęczenia, nareszcie wyrzekł zcicha:

— Obejrzyj, czy nie ma nikogo: drzwi zarygluj i wracaj zaraz.

Maciéj skoczył żwawo, obiegł wokoło, zamknął drzwi na dwa spusty i stanął przed ojcem pełen zdumienia i przestrachu.

Zaręba siedząc na ławie oparł głowę na ręku, i smutnie powolnym odezwał się głosem:

— Słuchaj Wasze. panie Macieju (bo tego wyrażenia używał od czasu pochwały hetmana), cały dzień spocznieva, a o północy nowa wyprawa. Tak kazał, wiész ten, com z nim chodził po murach. A potém....ale co mam obwijać w bawełnę, wszakże Waść synem moim— wyrzekłszy te słowa, porwał Macieja za rękę, przyciągnął do siebie i ciszéj dodał:

— Sprawa nasza już upadła! Mój imiennik i krewniak poddał się!.... Gdy my uderzym w nocy, nasz hetman pójdzie cudze wycierać kąty, a jak słonko błyśnie, my daleko już ztąd będziewa.

— Jakto mój ojcze?—zdziwiony przemówił Maciéj.

— Częstochowa poddać się musi, a my napowrót do pługa i cepu. Teraz Wasze spocznij trochę, a rano pojdziemy na mszą świętą i klęcząc ją wysłuchamy, aby nas święta nasza patronka poratowała w tym ucisku i boleści.

Maciéj ucałował rękę starca, poszedł do swéj alkowy, rzucił się na tapczan słomą podesłany, ale nadedniem dopiéro zasnął. Stary Zaręba niezmrużywszy oka, całą noc na modlitwie strawił.

Rano, jak zwykle dzwonek kościelny dał hasło do nabożeństwa. Obaj Zarębowie już stali w kaplicy, gdy nadszedł i pan hetman, a z nim jego towarzysz nieodstępny Maciéj Rogowski i wielu oficerów. Hetman powitał uprzejmie ojca i syna, a po mszy świętéj zaprosił do swojéj kwatery na śniadanie. Tak zaś miał oblicze spokojne i pogodne, iż nikt nie mógł mniemać, aby to był dzień ostatni dla tego bohatera, który przepędza na ojczystéj ziemi. A jednak tak było w istocie: przy zmroku nocy, gdy Zaręba z synem na czele sześćdziesiąt szabel wypadli wschodnią furtą na wycieczkę ruszył pan Pułaski w towarzystwie Macieja Rogowskiego i kilku towarzyszy na dobrowolne wygnanie.

W kilka godzin Zarębowie bez szwanku wrócili do Częstochowy, i przy piérwszym poświcie jutrzenki, wyładowawszy wózek, przebrani jak podróżna szlachta, ukrywszy szable, ruszyli, żegnając gród święty na długo, może na zawsze. Dwóch pachołków siedziało na koźle; stary Zaręba przygotował tylko pod rękę szturmak siekańcami nabity, a pistolety ukrył pod żupanem: toż zrobili syn i pachołcy; ale na bocznych drogach nie potrzebowali ich dobywać, i w dni kilka stanęli szczęśliwie na domowéj grzędzie. Zastali dwór i gumna spalone; nie było gdzie głowy schronić: u chłopka więc na wsi pomieścili się w jednéj komorze i tam zimę przebyli.

Stary wojak nagle zestarzał, pochylił się, schudł. Oprócz spraw krajowych które go gryzły, przyszły kłopoty domowe: pokazały się dłużki zaciągnięte na wojaczkę, a nie było czém zapłacić. Zaręba prawy i uczciwy człowiek, po krótkiéj naradzie z synem sprzedał wieś własną Osiny, spłacił długi, a synowi w puszczy nad Narwią przeznaczył dwadzieścia włók lasu, które dawniéj kupił.

— Zrób tak Waszeć, panie Macieju, jak mój rodzic świętéj pamięci nieboszczyk Wojski: pobiéduj trochę, a wykarczuj w lesie pole; będziesz miał chleba dla siebie i dziatwy. Jać tam nie doczekam téj pociechy abym wnuki kołysał, bo to i dziewiąty krzyżyk na grzbiecie gniecie i już dla karabeli nie ma co robić. Waść z wiosną hajda do puszczy, a na zimę we własnym dworze napalita na kominie: ojcu cztery deski i trochę ziemi na oczy.

Łzy stanęły w oczach przywiązanego syna, a przecież stary przeczuł śmierć blizką.

Zima była tęga, w początkach marca jeszcze wyborna sanna dotrzymywała. W wigilią św. Kazimierza, przywołał syna do łoża, z którego od dni kilku nie powstawał.

— Jutro imieniny naszego hetmana, bo to czwartego marca: on Bóg wié gdzie się błąka. Przygotuj mi Waszeć i sam się oblecz w te szaty, cośmy mieli w Częstochowie: pojedziem do kościoła, ale bez szabel, i pomodlim się na jego intencyą: kto wié czy drugich doczekam!

Rano powstał krzepki, wdział na siebie żupan sukienny czarny, na niego kontusz granatowy z amarantowym kołnierzem, czapkę barwy jak żupan, okoloną czarnym barankiem, i ucałowawszy swój ryngraf, wsiadł z synem do sani i na ranną mszą wysiadł w parafialnym kościele. Tu się spowiadał ze skruchą, odebrał kommunią św. i około jedénastéj z porania wrócił do chaty. Rad i wesół usiadł do stołu, kazał podać starego miodu, wychylił małą czarkę za pomyślność solenizanta, i kazawszy się rozebrać legł na łożu. Nad wieczorem przywołał syna i rzekł mu:

— Moje dziécię, chcę się z tobą pożegnać: nie przeżyję téj nocy.... Ale dziękuję Bogu za to, że prędzéj się połączę z moją Małgosią: ona mi wyprosi zbawienie, bo to była zawsze święta kobieta. Ty mój Macieju zrób jakem radził. Nie pożałuj ręki do topora, to kawał będzie ziemi i dobréj, a nim kości moje w proch się rozsypią, w puszczy pozłoci się pszeniczka i żytko powieje, a kto ma żytko, ma wszytko. Wszystko zabierzesz po mnie: zachowaj to moje dziécię. W kuferku cyprysowym masz tam trochę bitych talarów: zdadzą się Waszeci. Mnie tylko pochowaj przy méj Małgosi z pierścionkiem ślubnym, i w tych szatach, w których mnie uściskał pan Pułaski. Teraz poślij co rychléj po księdza proboszcza, bo mi coraz ciemniéj w oczach (1).

(1) Przeczucie blizkiéj śmierci nie jest rzadkim u nas objawem. Sam znałem osoby, które przepowiedziały sobie chwilę zgonu. Pomiędzy wiarusami naszemi znałem kilku starych wąsaczów, którzy przed zaczęciem każdéj bitwy przepowiadali śmierć sobie, lub ranę, albo niewolę, i rzeczywiście ta wróżba się sprawdziła.

Nie zapomnę jednego zdarzenia.

Baterya nieprzyjacielska grać zaczęła, gdy siwawy wiarus wstawszy od ogniska, nadzwyczaj osmutniał i zbladł na twarzy. Zawsze odważny, na piérwszy huk dział zadrżał, i z trwogą się wokoło oglądał.

Maciej przejęty rzewnym bolem wysłał natychmiast sanki po proboszcza, podał ojcu jak żądał gromnicę, i z pachołkiem a towarzyszem broni ukląkłszy przy łożu, zaczął modlitwy odmawiać.

Wkrótce nadjechał proboszcz, dawny przyjaciel domu Zarębów: chrzcił on jeszcze pana Macieja. Starzec z uśmiechem rzewnym uścisnął rękę sędziwego kapłana, ale wkrótce osłabł, i przyjąwszy ostatnie namaszczenie, zasnął w Bogu snem spokojnym.

Przywiązany syn, wedle życzenia ojca, pochował obok matki zwłoki jego, a sam skoro tylko słońce roztajało śniegi, i piérwsza się trawka ukazała, przeniósł się do puszczy wraz z dwoma pachołkami, czeladzią i domownikami, którzy z ochotą garnęli się do młodego dziedzica na nową w puszczy siedzibę.

Zbudowano na tymczasowe schronienie obszerny szałas. Już poprzednio, jeszcze w marcu, w pień wycięto do pięciu włók lasu: została tylko praca uprzątnąć zwalone drzewo i wykarczować, aby zasiać o ile można na zasób zimowy.

Smolarze i węglarze dobrze zapłacili za drzewo, które do swych wyrobów zakupili, a tracze rznęli bale i tarcice. We dwa miesiące niespełna stanął na pięknem wzgórzu, ponad strugą i pod cieniem drzew dwór obszerny, drewniany, i zabudowania gospodarskie. Pan Maciéj gorliwie i energicznie zabrawszy się do pracy, która mu w smutku jedyną była rozrywką, zebrał już trochę owsa, gryki, prosa i jęczmienia z karczunku, a na zimę dwadzieścia korcy żyta wysiał w miejscu wyciętego boru (1).

II.

Staropolskim obyczajem dwór ten składał się z obszernego ganku przed wchodem, i z dużéj sieni; na

— Co ci to? spytałem.
— Patrzę gdzie padnę, i gdzie mnie zakopią.
— Głupstwo!—odrzekłem—chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi.
— Właśnie przyniesie do mnie—przemówił ze łzami prawie, i w téj chwili padł zabity od kuli armatniéj.

(1) Takie karczunki po puszczach i ogromnych lasach od lat 40 na wielką dokonane skale, zaludniły w krótkim czasie niedostępne niedawno ustronia leśne. Dziś już wśród tych osad nie ma nawet znaku okolicy lesistéj, tak wytępiono wszelkie ślady ogromnych dębów, sosen, jodeł, lip i innego starodrzewu.

prawo trzy wielkie izby i alkowa były pomieszkaniem pana, naprzeciw dwie izby zajmowała czeladź i dworscy, a daléj spiżarnia i piwniczka pod nią, składały całe domostwo, które wygodnie pomieścić mogło najliczniejszą rodzinę szlachecką.

W stajni sześć koni stało przy żłobie, w oborze dziesięć dojek, pięćdziesiąt owiec, trzody chlewnéj i drobiu nie zabrakło. Gospodyni, stara Wawrzyńcowa, kucharka jeszcze nieboszki matki, zarządzała wszystkiém. Z dwóch pachołków jeden pełnił obowiązki gajowego i strzelca, a drugi ekonoma.

Resztkami jakie wierni domownicy unieśli ze spalonego dworu w Osinach, przystroił pan Maciéj swoje mieszkanie. Stary kredens gdański, kilka stołów i kufrów, kilka obrazów świętych, a co najważniejsza, kszesło ś. p. matki, w którém zawsze siadywała, i jéj książkę do nabożeństwa, oraz ampułkę mosiężną do wody święconéj: to wszystko jak relikwie w sypialni swojéj zachował. Kredens zdobił piérwszą izbę.

Nad dębowém łożem zawiesił ojcowski ryngraf, wyzłacany, z obliczem Matki Boskiéj Częstochowskiéj, szablę jego i swoję, ładownice, pistolety, a przy nich strzelby myśliwskie, szturmak co go używał na wyprawach w Częstochowie, sfory gończe i kolczugę z czepcem, któréj ojciec używał służąc pod chorągwią Szmigielskiego.

Makatami i dywanami obił ściany piérwszéj izby, a gdy na św. Bartłomieja, jako w dzień imienin ś. p. ojca, zaprosił księdza proboszcza, który zrąb domu tego przed miesiącem poświęcał: sędziwy kapłan nie mógł wyjść z podziwienia, że tak prędko stanął dwór obszerny i wygodny.

— Cobyto była za radość dla nieboszczyka rotmistrza a rodzica Waszeci — mówił — gdyby to mógł widzieć, jak pan Maciéj dobrodziéj umié się wziąć do pracy. Znać, znać, że Waszeć jesteś, jak to mówią, i do rady i do zwady; aleć co mówię do zwady — ot tak dla rymu. Niechże Waszeci Pan Bóg błogosławi w tych nowych osiedlinach, a radbym jeszcze, aby tu zajrzała młoda gosposia, toby zaraz i dom rozweseliła i przecież ochoczéj byłoby wszystkim.

— A jać to nieraz mówiłem naszemu paniczowi (rzekł stary pachołek ojca, Andrzéj Socha), że to już czas, abyśmy mieli panią....

— Tak, tak, wszyscy radzą, — odrzekł smutno pan Maciéj, — ależto żałoba, a potém jeszcze swego chleba niéma....

— Przy Bożéj pomocy będzie i chléb, mój panie Macieju; ale i poczekać trochę nie zawadzi, boć i gospodarka nie urządzona zupełnie, a potém trzeba się będzie rozpatrzéć między sąsiadami, a tu Wasze, panie Macieju, nie mieliśta nawet czasu w tym swoim smutku a pracy.

Po skromnym obiedzie obejrzał proboszcz wszystkie zabudowania, poświęcił stodołę, stajenkę i oborę, i wczas wyruszył do domu. Pan Maciéj, że to w dniu imienin ś. p. rodzica, a domownicy spoczywali, zarzucił strzelbę na ramię i swoim zwyczajem ruszył do puszczy.

Zaledwie wydobywszy się ścieżką na gościniec kniejowy, uszedł parę stai, usłyszał w pobliżu kilka głosów zmieszanych razem. Postąpił bliżéj i ujrzał przy gościńcu stojącą brykę brocką, we trzy tęgie siwki zaprzężoną, a wkoło niéj ludzi krzątających się, ażeby pochyloną podźwignąć. Oś pękła, i sam podróżny i dwóch ludzi jego męczyli się unieść brykę i drąg przywiązać, aby daléj jechać można choć noga za nogą. Pospieszył pan Maciéj, a pozdrowiwszy podróżnych, ujął krzepką dłonią, i przy jego pomocy podźwigniono i podłożono drąg pod brykę.

— Ale jakto państwo pojedziecie daléj? — wyrzekł oddychając całą piersią zmęczony pan Maciéj.

— Ał, przy Boskiéj pomocy będziem się wlekli jak żydy. Gdybyto było za puszczą, toby łatwiéj było; aleć to do mojéj Polanówki jeszcze cztéry mile krakowskie.

— Jeżeli pan dobrodziéj nie pogardzi ubogą chatą, to prosiłbym do siebie. Da się oś nowa, a po wygodnym noclegu, to jutro i na obiad w domu.

— Z kimże mam honor mówić?—zapytał się podróżny, ujęty grzecznością myśliwca.

— Jestem Maciéj Zaręba, i w téj puszczy mam swój folwarczek.

— Co? co? Zaręba; a czy nie syn mego dobrodzieja pana rotmistrza Bartłomieja?

— Nieinaczéj, syn, który teraz w żałobie po śmierci najlepszego ojca.

— O mój mocny Boże!— wykrzyknął ze współczuciem podróżny—toć to chyba niedawno?

— Na początku marca....

— O niechajże cię uścisnę, mój poczciwy panie Macieju. Ja jestem Jacek Dzierzanowski.—Ewusia, Kachna, a chodźta, a to Bóg nam zsyła w samą porę taką pomoc przyjacielską.

Pani Dzierzanowska, matrona już w poważnym wieku, z ubocza gdzie stała zbliżyła się, a za nią dziéwczę cudnéj urody w ośmnastym roku. Już to dziéwczę oddawna patrzyło z upodobaniem na młodego myśliwca; postać jego składna, wzrost smukły, twarz opalona ale szlachetnych rysów, którą upiększał wąs sumiasty i głęboki smutek, oczy czarne, poruszenia wdzięczne: zwróciły oczy panny dziedziczki Polanówki.

Pan Maciéj zmieszał się widokiem kobiét, ukłonił się jednak z uszanowaniem i ruszył naprzód jako przewodnik.

Orszak podróżnych zwolna za nim postępował. skręcono na lewo z gościńca, i wkrótce rozwinął się przed niemi obraz pięknéj osady pana Macieja.

Tłem jego była w półkole gęsta puszcza, środkiem osady płynął bystry potok, co się przewijał kręto jak wstęga niebieska. Na wyniesioném wzgórku stał dwór z zabudowaniem gospodarskiém, ocieniony lipami, klonem i jaworem; wśród nich cieniło się kilka świerków i dwie ogromne sosny z barciami pszczół leśnych. Dwie studnie żórawiowe zdawały się stać na straży przy dworze; po prawéj stronie wśród łąk zielonych, wznosił się prosty krzyż drewniany, który pan Maciéj pamięci rodziców swoich poświęcił; po lewéj rozciągały się pola w połowie żółciejące rzyskiem po zebranéj jarzynie.

Słońce już chyliło się ku zachodowi wcześniéj, jak zwykle bywa w górach i wielkich puszczach, krowy i owce z łąk i pastwiska wracały w zapłotki, biała mgła wełnić poczęła; gdy nasi podróżni stanęli na szerokiéj drodze, wprost dworu pana Macieja.

— Jakże tu ślicznie — zawołała Kasia klaszcząc w ręce z radości—któżby się spodział, żeby w téj okropnéj puszczy znaleźć można tak cudowną wioskę.

Pan Dzierzanowski zwrócił się do córki i odrzekł:

— Widzisz moje dziécię, co może praca i wytrwałość; ja tu w zimie, dwa lata temu, polowałem na grubego zwierza.

— A któż to zbudował tak prędko i z lasu pole wyrobił? — zapytała jego żona.

— Spojrzyj dziewéczko na tego, co nas wiedzie, spojrzyj wokoło: widzisz liczne szałasy, to jego robotnicy, którzy jeszcze nie mają domostwa.

Na widok pana idącego z gośćmi, wybiegli rzeźwo domownicy i czeladź przed ganek. Stara Wawrzyńcowa obliczywszy gęby przybyłe (jak mówiła) cicho i spokojnie, zabrała się do sporządzenia sutéj wieczerzy. Nastawiła kaszy jęczmiennéj, mleko, i nadziała na rożen comber sarniny.

Pan Maciéj z uprzejmém obliczem wprowadził w progi swoje gości. Ekonomowi dał polecenie, aby zajęto się zaraz sporządzeniem nowéj osi i okuciem; aby umieszczono wygodnie konie i o ludziach nie zapomniano. Sam zwrócił się do czeladnéj izby, aby zarządzić wieczerzą, ale zastał już wszystko przy ogniu i Wawrzyńcową z dumną miną odpowiadającą:

— Niech się tam panicz do mojéj kuchni nie wdaje! Ja wiem, że trzeba wystąpić: za godzinę będzie wszystko gotowe.

Pan Maciéj kiwnął głową z uśmiechem i wrócił do piérwszéj izby, gdzie już rzeczy podróżnych zniesiono.

Pan Dzierzanowski odzyskał swój humor wesoły, a matka z córką nie umiały dosyć nachwalić piękności tego ustronia.

— Wielce szczęśliwy jestem z tego, że panie oddają takie pochwały mojéj biédnéj zagrodzie (odrzekł p. Maciéj), a dziękuję paniom tém więcéj, bo odkrywając mi w niéj nowe powaby, przywiązujecie bardziéj do téj samotni. Tu nie żałowałem ręki do topora, aby zbudować chatę dla siebie, bo tu żyć będę i umrę.

— Ho! ho! a to zkąd panie Macieju—zawołał pan Dzierzanowski głośno się śmiejąc—takie myśli o śmierci. Toćto Waszeci dopiéro na świat, nie zaglądnęliście jeszcze pewnie ni razu śmierci w ślépie.

— Widziałem ją blizką i nieraz.

— A gdzieżto? jeśli wolno spytać.

— I w chorągwi mego krewniaka i imiennika, a najwięcéj w obronie Częstochowy pod panem Kazimierzem.

— Jakto? Waszeć był towarzyszem i broniłeś świętego grodu?—zapytał pełen podziwu pan Dzierzanowski.

Pan Maciéj wtedy otworzył drzwi i wskazał szable i broń zawieszone nad łożem swojém.

— To szabla mego ojca, to moja; tę rękę uścisnął pan hetman, że dobrze pracowała w uczciwéj sprawie, a tam były nieprzelewki....

Pan Dzierzanowski zdjął obie szable, wydobył każdą z pochwy, pocałował z rzewném uczuciem w klingę, poprobował w zamachu i cięciu, a powiesiwszy na miejscu, wrócił do piérwszéj izby i usiadłszy dumał chwilę, a w zadumie mówił smutno:

— Byłci człowiek i w téj sprawie nieprożnym świadkiem: i jam sługiwał to pod regimentarstwem Waszeci imiennika, to pod samym panem Kazimierzem. Byłoć się wtedy jak to mówią i na koniu i pod koniem: nie jednę szramę człek wyniósł z gorącéj potrzeby, a teraz... a teraz.

I zamilkł, ale wkrótce powstał, a podając rękę gospodarzowi:

— E! co tam! rzućmy troski o ziemię: niech pod tym dachem towarzysze jednéj chorągwi nie czują smutku. Weselmy się jak możemy.

I zaczął rozpytywać się o szczegółach gospodarskich, jak się rychło karczunek prowadził, i zkąd się ludzie sypnęli do puszczy taką gromadą.

— W teraźniejszych czasach po wielkiéj w kraju burzy (odrzekł pan Maciéj), każdy pragnie odpoczynku i ustroni. Człowiek jak ptak, co spłoszony jastrzębiem: dopadłszy gąszcza przysiada cicho, dopóki nie ochłonie z przestrachu, dopóki nie nabierze sił do nowego lotu. Tu w puszczy rzadko obcy człowiek zajrzy, a ci co mieszkają, znają się dobrze i kochają jak krewni. U nas tu i inny kalendarz, bo słońce późniéj wschodzi a rychléj zachodzi: to téż zwijać się więcéj musimy niż na równinie w polu. Nie uwierzy pan chorąży (bo tak się w potocznéj mowie sam tytułował pan Dzierzanowski), jak człek nawyka do tego cienia drzew, do tego chłodu, który ma na zawołanie wśród letniéj spiekoty; to téż mieszkańcowi puszczy tęskno i smutno w gołych polach:

nie ma tam gdzie oko spocząć, nie ma cienia, a w dzień skwarny musi się zlewać potem. W puszczy jeno jutrzenka poświtywać zacznie, wszystko się budzi: zaraz muzyka ptastwa zaczyna swój hejnał poranny, a choć wichura śmieci w polach kurzawą, tu tylko o niéj wiemy z szumu wierzchołków drzew naszych, i poświstu ponad niemi. Prawda, że trzód naszych pilniéj strzedz musimy niż w równych polach, bo tu i wilk łacniéj się podsunie i lis podkradnie; ale za to czujniejszych mamy stróżów i psy wprawne potemu. Niedawno osiadłem w puszczy, ale szczerze mówię panu chorążemu, niełatwo wyniosłbym się w czyste pola, tak nawyknąłem, tak pokochałem naszę puszczę (1).

— Wierzę Waszeci, panie Macieju, wierzę: własne gniazdko najmilsze ptakowi, a bocian choć odleci daleko, to na wiosnę ciągnie tam wysiadywać pisklęta, gdzie się sam narodził.

Wśród téj rozmowy, pani Dzierzanowska usiadłszy w kąciku odmawiała modlitwy, a Kasia ujrzawszy kronikę starą Bielskiego, przeglądała niby karty i drzeworyty, ale coraz strzelała modremi oczkami na dorodnego gospodarza.

Wniesiono stół z nakryciem, usługiwali obaj pachołcy, a pani Wawrzyńcowa oblókłszy świąteczne szaty, wnosiła sutą wieczerzę.

Znalazł się i gąsiorek starego miodu, resztki z piwnicy zamożnéj niegdyś zmarłego rotmistrza.

Pan Dzierzanowski ujrzawszy tak hojnie stół cały zastawiony, zawołał kiwając głową:

— Ho! ho! ho! a to nas pan Maciéj po książęcu przyjmuje: przecież my nie magnaci, a szlachta sobie na zagrodzie.

(1) Jak góral, zszedłszy na doliny, tęskni za swemi górami, tak mieszkaniec puszczy tęskni wśród pól i niw obszernych. I zaprawdę, kto zamieszkał czas jaki w puszczy, a dusza jego nawykła do tego szumu olbrzymów leśnych, do tego chłodu i cieniu wśród skwaru letniego, do owéj woni szczególnéj drzew i ziół, i do téj cudownéj muzyki, co nią tak rzewnie ptakowie leśni wszystkie przepełniają ostępy: temu dziwno na równi nagiéj pól naszych, gdzie miasto gęstych ścian drzewa, falują kłosy zbożowe, gdzie ochrony nie znajdzie chłodnéj i cienistéj przed promieniem słońca, gdzie piersi jego czują ciężar letniego skwaru. I długiego potrzebuje czasu, aby przywykł do pól, a zapomniał cichéj ustroni leśnéj, w któréj myślistwo było głównem zajęciem i rozkoszą jego życia.

— Czém chata bogata, tém i rada, panie chorąży,— odrzekł gospodarz i z uszanowaniem pocałowawszy rękę pani Dzierzanowskiéj, powiódł ją do stołu. Sam nie usiadł, dopóki goście nie zajęli miejsc swoich.

Podróż i przygoda w drodze zaostrzyły apetyt.

Chorąży zmiótłszy spory talerz kaszy, zostawiając mléko dla niewiast, zabrał się do sarniny ochoczo.

— Trafiłeś mi wybornie do smaku tym combrem, kochany panie Macieju, bo u mnie nie masz po naszym miodzie jak dobry węgier, co to ma odorem, colorem et saporem, a nad wszystką zwierzynę przenoszę sarninę. — No! moja Ewusiu, czyż nam się téż choć śniło, że tak miły spoczynek tu w puszczy znajdziemy i takiego zacnego gospodarza, a syna mego serdecznego przyjaciela. O! bo trzeba Waszeci wiedzieć, żeśmy nawet do jednéj konkurowali, i o tę białogłowę skrzesaliśmy ognia szabelkami; ale chociem oberwał po uchu, a ś. p. kochany rotmistrz dostał po łapie, uściskaliśmy się późniéj serdecznie jak starzy przyjaciele, a porzucili płochą niewiastę, co i mnie mydliła oczy, i panu Bartłomiejowi robiła nadzieję. Wyszło téż jéj nie na dobre i ten spór nasz, i krew przyjacielska na szabli: została starą panną, siała rutkę i umarła dawno, świeć jéj tam Panie nad grzeszną duszą. Rotmistrz nieboszczyk był starszy daleko odemnie, a wcześniéj się ożenił; byłem na jego weselu, to temu już trzydzieści sześć lat, za szczęśliwego panowania króla Augusta III, kiedy jeszcze ani słychu nie było o stolniku litewskim.

— No! wypijmy panie Macieju na pamiątkę dawnych czasów.

Pan Maciéj z ochotą spełnił toast i zaraz napełnił dwie czarki, a podając pachołkom swoim:

— Pozwoli pan chorąży, że i ci wypiją ten toast, bo to także nasi towarzysze: to pan Jan Zaklika mój pachołek, a to poczciwy Andrzéj Socha ś. p. mojego ojca. I oni byli w każdéj gorącéj przeprawie z nami.

Chorąży pochylonych do swoich kolan pocałował każdego w głowę, i tak był wzruszony i rozczulony, że zapomniał zwyczajnego śmiechu i osowiał do końca wieczerzy.

Pan Maciéj wyniósł się na nocleg do stodoły, ustępując swego łoża gościowi. Panie na woniącém sianie,

po modlitwie i odśpiéwanéj w głos pieśni razem z chorążym „Kto się w opiekę odda Panu swemu“ zasnęły wkrótce. Przygaszono ogniska i cisza osiadła całą osadę, przerywana czasem szczekaniem psów, poczuwających wilka, szumem wyniosłych drzew, co okalały wieńcem i dwór i pola.

Przy drugiém pianiu kogutów, zerwała się Wawrzyńcowa, nanieciła w czeladnéj izbie suty ogień na kominie i zajęła się przygotowaniem dla pań kawy, dla chorążego grzanego piwa, a dla jego ludzi zawiesistego bigosu. Przyrząd ten zajął pracowitéj niewieście kilka godzin; wszystko téż było na poranek wczesny gotowe. Bryka z nową osią zajechała przed dwór, konie nakarmione dobrze, ochoczo parskały, ludzie chorążego posileni wybornym bigosem, z wesołém obliczem uwijali się radzi, sam chorąży po śnie smacznym już siedział na ganku i kończył śniadanie ulubione; gdy od puszczy ukazała się fura: siedział na zabitym tęgim rogaczu pan Maciéj i trąbką ogłaszał swój powrót. Pani Dzierzanowska z Kasią wybiegły przed sień zwabione jéj odgłosem, który daleko płynął po rosie i niejednym powtarzał się echem.

— Nie miałem czém uczcić szczęśliwy pobyt chorążstwa dobrodziejstwa, ale jako stary łowiec, myśliwski prezent składam. Raczcie nie pogardzić tym ubogim darem.

Chorążyna dygnęła uprzejmie, Kasia spłonęła rumieńcem, a chorąży uściskawszy serdecznie Zarębę i dziękując za dar tak drogi, wyrzekł w końcu:

— Uciekajmy co żywo Ewusiu od pana Macieja, bobyśmy objedli go z kretesem i wybiłby wszystkie sarny w téj kniei. Czémże ci teraz mój drogi sąsiedzie wypłacę, za przyjęcie staropolskie i z takiém poczciwém ofiarowane sercem. Ot wiész, musisz dać nam verbum nobile, że nas odwiedzisz, ale na cały tydzień; nietylko ja proszę, ale i moja Ewusia i Kachna.

Chorążyna z zapłonioną córką powtórzyły prośbę, a pan Maciéj przyrzekł, że po świętach Bożego Narodzenia przybyć nie omieszka.

Wkrótce po wybornéj kawie, któréj się wychwalić nie mogły panie, chorąży zbliżył się do Wawrzyńcowéj i wsunął dukata: równy dar otrzymali obaj pachołkowie.

Pan Maciéj gdy już opuszczali dwór jego, dosiadł konia i odprowadził nad graniczny kopiec. Znikła w lesie bryka chorążego; pan Maciéj wracał, ale jakoś posmutniał, stępo jechał i nie spostrzegł nawet, że koń stanął przed gankiem dworu.

III.

Nazajutrz dłużéj zaspał pan Maciéj niż zwykle: całą noc marzyły mu się owe cudne niebieskie oczy panny Katarzyny, jakby Narwi fale. Już nie szedł jak dawniéj do puszczy, ale od rana do południa przesiedział na ganku, zkąd widok miał na pola i łąki wokoło.

Socha, który kręcił się więcéj we dworze, kiwał głową i ciągle badał Wawrzyńcową o powód smutku panicza; gospodyni coś zcicha pomrukiwała, ale nic z jéj słów przerywanych zrozumieć nie mógł troskliwy pachołek.

— To tak czasem przyjdzie — mówiła — ot często coś nawiedzi. Oj myśleńki, myśleńkito stroskają głowę!

Powoli jednak orzeźwiał pan Maciéj i czwartego dnia wyszedł na łowy; ale z próżną torbą wrócił, bo jak przyszedł na miejsce, gdzie ujrzał brykę chorążego, tak stanął, a potém przysiadł się, i tak siedział do zmroku prawie, nic nawet niejadłszy. Po kilku dniach następnych zajął się pracą na nowo, tém bardziéj, że tylko krótka zostawała jesień, aby piérwszą zimę przyjąć w nowym dworze i gospodarstwie swojém. Kazał więc opatrzyć lepiéj oborę i stajnie, nawieść drzewa aby wyschło wcześnie, z dalszych łąk niekarczowanych jeszcze zwieziono siano i wiszary przesuszone na podściołkę zimową: słowem, jako pilny gospodarz ściągał wszystko w opłotki i gumna.

Pani Wawrzyńcowa zwijała się jeszcze raźniéj od młodego panicza: od świtu do nocy na nogach, napełniała i spiżarnię, i piwnicę, i domową apteczkę w różne przysmaki, kordyały i lekarstwa domowe. Trąbka myśliwska grzmiała codziennie w kniei. Socha i Zaklika obaj z panem, przy pomocy dobrych strzelców z pod szałasów węglarzy i smolarzy, niepróżno nosili strzelby, i wystrzałami napełniali puszczę. Dwa niedźwiedzie, trzy łosie, po kilka jeleni, sarn, wiele zajęcy i mnóstwo

większego ptastwa zapełniło ściany śpichlerzyka i piwnicy. Kiedy w sobotę ulewa wstrzymała naszych łowców w domu, wcześnie z rana zajechała fura, we trzy znajome siwki zaprzężona. Wąsacz Maciek zsiadł z niéj i z za czapki oddawszy list panu Maciejowi, począł przy pomocy domowników znosić pakunek.

Drżącą ręką odpieczętował list pan Maciéj i wyczytał następujące słowa, ręką chorążego skreślone:

Kochany panie Macieju!

„Chociaż to stara przypowieść: co z oczu, to z serca; u nas przecie inaczéj. Choć cię nie widzimy, przecież pamiętamy. Zanim przeto raczy pan Maciéj starego przyjaciela nawiedzić, teraz zechce przyjąć na zasiłek gospodarski, co moja dziewéczka wraz z Kachną przesyła. Ja dołączam doskonałą rusznicę, z którą możesz śmiało pójść na niedźwiedzia i dzika.“

W dopisku dodano:

„Moja Kasieńka posyła cztery pary gołąbków, i pewna jest, że pan Maciéj wystawi dla nich wygodne domostwo.“

Kilka razy list ten odczytał z najżywszą radością, i kiedy oglądał śliczną dubeltówkę przysłaną w darze, z wesołém obliczem wpadła Wawrzyńcowa, i poczęła na palcach wyliczać osobliwości nadesłane. Piérwsze były kartofle do sadzenia na wiosnę, daléj różne nasiona ogrodowe, kaszki w kilku gatunkach, konfitury prześliczne, baryłka powideł z węgierek, dwie beczki do zatopienia w studni kwaszonych ogórków, cała klatka drobiu różnego domowego ptastwa: słowem, trzeci raz na palcach zaczęła przeliczać, kiedy pan Maciéj przerwał jéj zapał, poleceniem, aby dano wygodę Maćkowi i koniom.

Do późnéj nocy przesiedział nad konceptem listu w odpisie chorążemu; jakoż udał mu się, bo myśl szczerą wyraził okrągłemi słowy. Przy końcu podziękował pannie Katarzynie za przysłane gołąbki, dodając: że natychmiast zbuduje dla nich domostwo wygodne i o ile zdoła okazałe, aby świadczyło dar i pamięć dla siebie najdroższą. Maciek ufetowany i niezupełnie trzeźwy dosiadł fury z dwoma bitemi talarami, które mu p. Maciéj wsunął na odjezdném. Stary wąsacz ze łzami

dziękował, a ciągle prawił, że tu na puszczy to raj i niebo. Powiózł on chorążemu w darze furę całą grubego zwierza i ptastwa; do czego dołączył pan Maciéj skórę niedźwiedzia i łapy, zawołany w owe czasy specyał smakoszów.

Pomimo chmur zbałwanionych i zmroku wczesnego, pan Maciéj rozweselał jakoś, chodził, nucił piosenki, poświstywał, a ujrzawszy Sochę, przemówił do niego z uśmiechem dawno niewidzianym:

— Andruś, w poniedzieli wybierzta mi z kloców dębowych najlepszy, bo postawię gołębnik.

— A gdzie on stanie?—zapytał uradowany pachołek.

— Gdzież ma stać?—tu zaraz przed gankiem dworu. A gołębie Wawrzyńcowa niech mi dobrze napasie, bo to w drodze przegłodniały, a trzeba żeby do nowego miejsca przywykły. Jutro rano zaprządz bryczkę, pojedziemy na wotywę wszyscy; trzeba przecię nie zapominać, co się Bogu należy.

Socha powtórzył rozkazy pana gospodyni i czeladzi, a sam zaraz poszedł przepatrywać najwyższéj kłody dębowéj na słup dla gołębnika.

Nad wieczorem niebo się wyjaśniło, miesiąc w pełni rozjaśnił całą polanę na puszczy. Pan Maciéj wyszedł z ganku i długo klęczał, i długo się modlił pod krzyżem wzniesionym ku pamięci rodzicom. O późnéj porze wrócił, ale jakby odrodzony; przy wieczerzy z Sochą, z Zakliką i Wawrzyńcową był nadzwyczaj rozmowny. Na zegarze kukułka odkukała jedénastą nocną godzinę, kiedy zabierał się do spoczynku. Sen twardy zaraz mu skleił powieki. Od wyjazdu chorążego nie spał jeszcze tak smaczno.

U proboszcza nazajutrz w niedzielę, po wotywie, zabawił do południa; w poniedziałek raniutko zabrał się z ludźmi do postawienia gołębnika, i w kilka dni go wykończył. Na wierzchołku umieścił blaszanego koguta, który jak chorągiewka zwiastował kierunek wiatru. Osadził w nim dar panny Katarzyny, i z rozradowaném obliczem rzucał groch i ziarna pośladu, wabiąc gołąbki przed ganek dworu.

IV.

W przeddzień wyjazdu obejrzał wszystko należycie, zostawił obszerne instrukcye staremu Andrzejowi i Wawrzyńcowéj, i nazajutrz równo ze świtem zerwał się, z posłania. Ale nie zastał śpiochów: pan Stefan rozdmuchiwał ogień z żaru tlącego się noc całą na kominie; Zaklika stał w ubraniu podróżném, a Socha krzątał się koło śniadania, które już od godziny przygotowała Wawrzyńcowa. Smutny powstał, ale orzeźwiał wkrótce Zaręba i w godzinę późniéj wyruszył z dworu błogosławiony krzyżykami przez Wawrzyńcową i starego Sochę. Lubo dobrego szły kłusa konie, ciągle powtarzał do Zakliki, który siedział obok fornala na koźle: „wyciągaj lepiéj, wyciągaj!“ aż pachołek zniecierpliwiony wyrzekł:

— Wyciągają się dobrze, chyba galopa pójdziem.

Szybko mijali puszczę, białą, śnieżną, pustą i milczącą. Śnieg tylko skrzypiał pod saniami, parskały raźno stępaki, a Zaklika powtarzał za każdém parsknięciem: zdrowo! zdrowo!

Wkrótce przerzedzać się zaczęła puszcza, wyjechali na szeroki gościniec i dobrze utarty, a jasność na polach równych, zasłanych śniegiem, zmieniła im obraz ponuréj puszczy w wesołe widoki. Jak spojrzysz tylko równina nieprzejrzana okiem, którą wdali zamykał las, co jakby ciemna chmura łukiem okalał. Na tym obszarze jasno wśród śnieżnego kobierca odbijały wsie i dwory, znaczne zdala dymami, co w prostych i ciemnych słupach tumaniły się w górę. Ogrody dworskie służyły za tło ciemne, na którém odbijały się owe skromne dworki z białemi ścianami, a każdy z gankiem i strzechą słomianą. Lubo cisza wokoło, ale ze wsi dochodził cię gwar życia, szczekanie psów, poryk bydła pojonego w studniach żórawiowych. Trzy wsie przejechał Zaręba a nie wyrzekł ani słowa, wyglądając niecierpliwie, ażali nie ujrzy upragnionego dworu chorążego. W czwartéj wiosce poza drzewami pokazała się zdala wieś do któréj zdążał.

Za opłotkami, już się Polanówka chorążego ukazywała, ale dworu nie widno, bo z téj strony zasłaniały go stodoły i gęsty szpaler lip odwiecznych. Pan Maciéj siedział jak na szydle, utopił wzrok przed siebie i nasłu-

chiwał, jak Zaklika, ukazując szczegółowo budynki dworskie i wiejskie, rozpowiadał o nich fornalowi, staremu Grzeli:

— Ot widzita już i dwór się zpoza stodół wychyla; a patrzta to obszerne domostwo.— Ho! ho! jaki pyszny ganek, i gołębnik jaki duży: to pewnie ztąd i nasze gołąbki. Ho! ho! jaki wielki ogród.—Widziszno szpalery i modrzewie, a to ślicznie, i dostatnie, i gospodarnie.

Zaręba ujrzał już w całości dwór chorążego okazały, bo wjechał w aleę lipową, wiodącą wprost przed ganek. Na obszernym dziedzińcu ruch był wielki, i zaprzęgano do licznych sań: snać fornalki wyprawiano po drzewo do lasu. Kilku strzelców z rusznicami na ramionach przechadzało się zwolna, żywą prowadząc rozmowę: jeden z nich wprędce ujrzał sanie Zaręby i pobiegł do dworu. Po chwili chorąży stał już pod wystawką w gotowości na przyjęcie gościa; ale widać jeszcze nie poznał Zaręby, choć zwyczajem swoim wołał karbowego, ażeby wcześnie obrok dla podróżnych koni przygotował.

Stary Grzela za poradą Zakliki świsnął na konie i dzielnie zaczął potrzaskiwać z bicza. Zarębie z wruszenia i z radości mało serce nie wyskoczyło: galopem wpadł na podwórze i jak mur dorazu stanął przed gankiem. Wszyscy podziwiali dzielne bieguny i zręcznego fornala. Wyskoczył żwawo z sani, a chorąży ściskając swego gościa zaczął wołać:

— Pan Maciéj kochany! A chodźcież moje niewiasty! A witaj! A toś nam miłą niespodziankę zrobił. A zajechałeś jak książę! Niechże cię uściskam! Konie do stajni. Stary Kuba prędzéj wina króla Popiela! Pani żono! Kasiu! a to święto od wielkiego dzwonu. A uściskajmyż się jeszcze. Wal tam kłodę na komin, bo to pan z puszczy. Chodźże, chodźże kochany panie Macieju!

Zaręba do łez rozrzewniony tak serdecznem przyjęciem, nie wiedział jak dziękować. Przecież się uhamował nieco w swojéj radości zacny chorąży, i wprowadził do piérwszéj izby swego gościa, gdzie już stały i pani chorążyna, i pokraśniała żywym rumieńcem panna Katarzyna. Poczciwa matrona przyjęła z taką szczerością Zarębę, jakby syna, i pocałowała go w głowę, gdy się pochylił dla ucałowania jéj ręki.

— No! Kasiu!—zawołał chorąży—nie stój jak trusia, przecie dygnij panu Maciejowi! To takie niby niemrawe, ale ci ręczam panie Macieju, że i ona bardzo rada, żeś nas przecie nawiedził.

Zaręba spojrzawszy w oczka swéj bohdanki, wiedział o tém pierwéj i dokładniéj. Nie potrzebował wyrzec słowa, bo wypowiedział jéj jedném spojrzeniem całą radość, szczęście, całe uczucie miłości.

Gospodarz w uniesieniu radosném dobył srebrnego starego puharu z herbem rodzinnym, nalał go wybornym tokajem, a ściskając serdecznie za rękę Zarębę, wyrzekł:

— Panie Macieju! tym puharem piję tylko w wielkie święta, od wielkiego dzwonu: piłem na swoim ślubie zdrowie mojéj dziéweczki, piłem gdy nam się Kachna urodziła i zakwiliła jak ptaszę witając przybycie na świat, piłem zdrowie i pomyślność naszego hetmana pana Kazimierza, piję dziś za szczęśliwe twoje przybycie, kochany Maciejku....—Reszty nie domówił, bo łza szczera uczucia i radości, głos mu zatamowała.

Zaręba nie mógł słów dobrać na podziękowanie; rozrzewniony do głębi duszy, przykląkł na kolano, a ujmując drżącą dłoń starca, przemówił.

— O panie chorąży! tak nie mów do mnie, tak mnie nie przyjmuj, bo mógłbym się zapomnieć.

— Co Wasze Maciejku gadasz? — zawołał pan Dzierzanowski weselszym głosem.

— O tak! jabym może zażądał.... (i zciszył mowę).

— Co? Co?

— Jabym może zażądał zostać na zawsze waszym synem.

I zasłonił oczy ręką, jakby się wstydził słów swoich. Kasia uciekła. matka się uśmiechnęła, a chorąży krzyknął:

— Heż ha! w gorącéj Wasze Maciejku wodzie kąpany. Albo to tak w szlacheckim domu przyjmują się oświadczyny! A gdzie swat? Nie ma. No, zdrowie Waszeci! Waszeć zacznij mi zaloty, ale wara bez swata, bo się wyrąbiem.

I po tych słowach wychylił puhar i uściskał serdecznie w objęciach gościa.

Zaręba od wzruszenia drżący, z radością usłyszał, że chorąży przyjmie go ochotnie za zięcia; zbliżył się więc z pokorą do pani Dzierżanowskiéj i nieśmiało wyrzekł:

— A pani, czybyś uznała mnie za syna i zastąpiła mi matkę?

Chorążyna pochylonego pocałowała w głowę, przeżegnała, i zcicha przemówiła:

— Jeżeli to z Kasi będzie szczęściem, najchętniéj, mój panie Macieju!

W téj chwili chorąży dojrzał, że konie z sankami stoją przed gankiem na mrozie.

— A do stu bisurmanów—krzyknął—czy poszaleli, trzymać ludzie i konie na takiém zimnie. Hej Jacku! do stajni, a podsyp dobrze owsa, ludziom grzanego piwa, a tu wal kłodę na komin. No rozgość się Wasze Maciejku, oto waścina komnata. Tu każ przynieść swoje toboły, a wesoło i ochoczo baw się, bo jutro na łowy równo z brzaskiem. No! no! nie marszcz Waść oblicza, wrócimy na śniadanie nim nasze niewiastki dobrze się po śnie wyczmychają.

Kiedy chorąży kładł lisią czapkę, aby odwołać przygotowane łowy, Zaklika już wnosił tłumoki i urządzał dla pana komnatę. Na ogromnym kominie buchnęły sutym płomieniem kłody smolne sosnowe i jodłowe, i rozjaśniły przyciemną nieco alkowę, bo tylko jedném oświeconą oknem, które osłaniał szpaler drzew gęsty.

Szczupła to była komnata, ale w przystroju swoim miała szczególny charakter. Ścianę okrywała makata dobrze zużyta, w żywych jeszcze barwach; na niéj wisiał łuk, kusza i kołczan ze strzałami, poniżéj garłacz albo szturmak z wyskakującym długim nożem, kilka kordelasów myśliwskich, ryngraf z Matką Boską Częstochowską, misiurka z kółek żelaznych i koszula z takichże kółek szmelcowanych gdzieniegdzie złotem; na przeciwnéj ścianie wisiało kilka strzelb pojedynek, dwie dubeltówki, pancerz z żelaza wykuty z literami A. R. (Augustus Rex) z czasów króla Sasa: trzy karabele w jaszczur oprawne i dwie pary pistoletów. Pod temi myśliwskie borsucze torby, trąbki, smycze, rogi ogromne do prochu i długi wór skórzany pełen kul i loftek.

Wprost okna wisiał mały obrazek, przedstawiający młodego jeszcze wojownika w węgierskiéj czamarze. Czoło wysokie, wydatne, oczy czarne pełne ognia, wąs krótki: w całéj postawie widne życie i niemal ruch rycerski. Obrazek ten bywał zakrywany czarną krepą, ale dziś przypadkiem odsłoniony, nagle odbił słaby promień słońca, co się przedarł przez okienko. Pod nim wisiał błyszczący topór, siekiera i staroświecki czekan, z napisem 1569 roku, oraz z herbem Stary Koń. Proste łóżko lipowe, dwa stoliki, sofa mała, cztery krzesełka i ława dębowa przy kominie, składały sprzęt cały. Wszystko nadawało charakter téj komnacie, że tu przemieszkiwał rolnik, myśliwiec a zarazem i wojak.

Zaręba usiadł na ławie przy kominie i zamyślony zwrócił oczy na jasny płomień, na nic niezważając, ani niewyrzekłszy słowa do uradowanego Zakliki, który się krzątał ochoczo przy rozpakowywaniu rzeczy i porządkowaniu w izdebce.

Pachołek widząc pana zadumkę, wkrótce na palcach wyszedł i zcicha drzwi przymknął. Zaręba dopiéro postrzegł, że sam pozostał. Odetchnął całą piersią swobodnie, powstał, przeszedł się kilka razy i nagle stanął przed małym obrazkiem.

W téj chwili zcicha drzwi się komnaty roztwarły i na progu stanął chorąży. Widząc wzruszenie Zaręby, w milczeniu opuścił głowę na piersi i smutnie westchnął; ale kiedy gość jego długo stał niewzruszony, pan Dzierżanowski odezwał się wtedy:

— Cóż Wasze, panie Macieju, poznałeś czyj to jest portret?

— O! tak! tak!—zawołał z rzewném uczuciem Zaręba — poznałem go dorazu i patrzę, patrzę, a napatrzéć się nie mogę.

— No! przyjrzysz się mu potém lepiéj, a teraz chodź Waszeć Maciéjku na dar Boży, bo już u nas obiadowa pora, a i tak spóźniona, z powodu Waścinego przybycia. Od jutra wszystko wraca do dawnego porządku, a jak dzwonek na ganku uderzy dwunastą w południe, to już wszyscy siedzą za stołem.

W komnacie jadalnéj przy stole zasiadło ośm osób, bo oprócz państwa Dzierzanowskich i córki, poznał

Zarębą panią Piotrową wdowę a gospodynią we dworze chorążstwa, pannę Brygidę, już pełnoletnią, pokrewną chorążego, pana Kacpra rezydenta i Malchera nadleśnego a razem zawołanego myśliwca, codziennych stołowników i domowników.

Z początku rozmowa szła wolno i z przerwami: chorąży był głodny, mało mówił, a domownicy milczeli. Zaręba spoglądał ukradkiem, nieśmiało, w modre oczęta chorążanki, która razporaz kraśniała świeżym rumieńcem, gdy się spotkały ich spojrzenia. Zarębie przyszło na myśl owo zdanie Górnickiego w Dworzaninie, bo je niedawno czytał, że „oczy są to wierni od serca posłowie."

Po jednym i drugim kieliszku wytrawnego węgrzyna, ożywiony chorąży zaczął rozmowę. Pan Kacper czekał tylko hasła, i jak zaczął prawić dykteryjki pełne dowcipu i humoru, całe grono serdecznym odpowiadało śmiechem. Kobiety z końcem obiadu powstały, chorąży kazał gąsior opleśniały postawić na stole i przyłożyć drzewa na kominie.

Zaręba przyjrzał się wtedy lepiéj godownikom.

Pan Kacper piérwszy zwrócił jego uwagę. Wysokiego wzrostu pochylał się niekiedy w chodzie, ale prędko się prostował, i wtedy w całéj okazałości odbijała wybujała jego postać. Twarz pociągła, nos orli, ocieniony potężnym wąsem siwawym trochę, oczy ciemne małe, ale pełne życia, czupryna staropolskim zwyczajem podgolona; wyraz oblicza ujmujący, wesoły, a gdy wpadł w zapał, ożywiony szlachetniał, a oczy jaśniały gwiaździsto. Na czole dwie szramy głębokie świadczyły o dobrych cięciach szabli, jakie kiedyś odebrał; na prawym policzku ślad rany od kuli wydatniał. Szczupły, zwiędły, szerokiemi ramiony i żylastemi rękoma zdawał się zapowiadać siłę: jakoż zaprawdę trudno byłoby znaleźć podobnego krzepaka. Słynął on z olbrzymiéj siły i cuda opowiadano o nim z czasów jego służby pod chorągwiami konfederatów. Chorąży z wielkim był szacunkiem dla pana Kacpra: na Nowy Rok zawsze kontusz, żupan, czapka, pas i resztę ubioru posyłał mu do oficyny, w któréj zajmował dwie izdebki. Pan Kacper ubierał się w dar przysłany, i wtedy dopiéro stawał we dworze zło-

żyć chorążemu życzenia i podziękowania; ale gdy ten go dojrzał idącego, wybiegał do sieni, ściskał go serdecznie i nieznacznie wsuwał do kieszeni sakiewkę roboty Kasi z dwudziestą dukatami. Pan Kacper za powrotem do oficyny, po przeliczeniu daru, dukat jeden owijał w papierek i odnosił go do poblizkiego kościoła parafialnego na wotywę, którą słuchał klęczący, na intencyą i za pomyślność chorążego i jego rodziny. P. Dzierżanowski znał zacny i szlachetny charakter pana Kacpra, zwykle więc aby mu wynagrodzić za dukat dany kościołowi, wyzywał go do maryasza, a przy kieliszku wina tak grą kierował, że poczciwy Kacper, nie miarkując podstępu chorążego, zawsze wygrywał i zgarniał pule, do których wsuwał nieznacznie złotówki gospodarz, a jak się obliczył, to dwa i trzy dukaty znalazł wygranych. Zacna chorążyna wiedziała o podstępie męża: to też wraz z Kasią dopomagały mu w tym ochotnie. Tajemnica przecie była tak dochowaną, że poczciwy Kacper żadnego nigdy podejrzenia mieć nie mógł.

Trzeba było widzieć, jak chorąży przegrywając udany gniew pokazywał, jak unikając nieszczęśliwéj belki w pułapie, przenosili się gracze po całym pokoju: wtedy to chorążyna zagadywała Kacpra, a Kasia zręcznie przesuwała mu od ojca kupki złotówek lub dokładała do puli, którą zawsze wygrywał. Śmiał się stary wojak z szalonego szczęścia, przepraszał chorążego i pełen radości z dobrze wyładowaną kieszenią wracał do oficyny, gdzie przeliczał wygraną i chował troskliwie.

Pan Melchior w zupełném był przeciwieństwie z panek Kacprem. Średniego wzrostu, chudy, zawiędły, oblicze pomarszczone, faworyty gęste, wąsy siwawe i włosy krótko przystrzyżone, nadawały obliczu jego wyraz ostry i ponury. Mało mówił, słuchał uważnie, rzadko kiedy się uśmiechnął. Szedł zawsze zamyślony z głową pochyloną. Od dwudziestu lat z górą zarządzał obszernemi lasami chorążego, znał jak dłoń własną całą knieję, słynął też jako jeden z najdoskonalszych myśliwych. Chorąży zapalony łowiec wielce go cenił i poważał, a przedstawiając pana Malchera Zarębie, wyrzekł:

—Teraz Waści Maciejku zapoznam z naszym hetmanem wszystkich myśliwych: to pan Malcher Gajewski,

król, brylant czystéj wody łowców. Dosyć aści powiedzieć, że ja jestem przy nim jak żak przy księdzu Jezuicie professorze.

Pan Malcher uśmiechnął się; widać było radość w całém obliczu, skłonił się pokornie i nie odrzekłszy słowa, pocałował w ramię chorążego.

Ale innyto był człowiek, kiedy dosiadł konia i lasy przejeżdżał, kiedy rozporządzał obławą, lub stał na stanowisku. Widzieć było gdy trąbką myśliwską dawał hasło łowcom znajome, gdy na skaro-gniadym pędził z kopyta, aby przebiedz i stanąć na przesmyku, gdy psy poruszyły sarnę, jelenia, dzika, lub łosia: wtedy zapał promienił mu oblicze, olbrzymił jego postać, był to wódz doświadczony, co jedném skinieniem poruszał szeregami myśliwców. Wszyscy byli mu posłuszni, sam chorąży patrzał nań wtedy jak w tęczę, a znając znaki, tłumaczył je i pilnował wykonania. Pan Malcher zcicha w kniei mówił, ale kiedy huknął całą piersią, to w okolicznym lesie echa ten odzew potężny powtarzały długo. Strzał jego był niechybny: nigdy mu ręka nie zadrżała, choć nieraz przyszła potrzeba użyć kordelasa. Od czasu jak pan Kacper widział mistrzowskie dzika pchnięcie przez pana Malchera, odtąd z wielkiém o nim mówił poszanowaniem, i dodawał w końcu:

— Chociaż nie bywał w potrzebie i prochu armatniego nie wąchał, zaprawdę dobryby to był dowódca niejednéj chorągwi. Nie zadrży mu ręka w żadnym ciosie, a jaka to krew zimna gdy rozrządza łowami, jaki zapał, kiedy zagrzmią wystrzały! Oj! słuchałbym go ochotnie i służył pod jego buławą.

Dowiedziawszy się o tém pan Malcher, ze łzą w oku uściskał starego wojaka i nie mógł mu dość nadziękować za tę estymę, jak wyraził, dla jego osoby. Odtąd często pana Kacpra zapraszał do siebie, a wiedząc, że ma siostrę rodzoną, którą szczerze kochał, mieszkającą o mil kilka za puszczą: zawsze na jéj imieniny składał wcześnie prezent myśliwski, aby jéj posłał. Prezent ten składał się z sarny, z kilku zajęcy i wiele dzikiego ptastwa. Pan Kacper zasiadał, pisał list i furą chorążego posyłał dary siostrze swojéj, która nie umiała słów dobrać na podziękowanie bratu.

Tak wzajemnym szacunkiem i kilkunastoletniém mieszkaniem pod jednym dachem przyjaźń się ich wzajemna ustaliła. Wieczory zimowe po kolacyi we dworze przepędzali zwykle z sobą na cichéj gawędce. Pan Malcher wyuczył starego wojaka robienia sieci na ryby, rozjazdy na ptastwo i płoty do kniei; to téż przy ogniu kominkowym siadali razem, wspólnie pracowali nad niemi, zcicha gwarząc. Objazd lasów razem odbywali konno. Pan Kacper trzymał rachunki Malchera, bo ten zaledwie podpisać się umiał. Przy rąbaniu sążni wyręczał go nieraz, i tyle codziennie niemal oddawał mu usług, że myśliwiec tęsknił zawsze, jeżeli choć przez dzień starego nie ujrzał wojaka.

* * *

Wpośród żywéj i wesołéj rozmowy tęsknił Zaręba niewidząc swojéj bohdanki, ale nie śmiał opuścić towarzystwa chorążego, który często zwracał mowę do niego, opowiadając przygody swoje myśliwskie, albo z wojaczki. Choć nie był głodny, z wielką radością ujrzał przygotowanie do wieczerzy, bo miał nadzieję zobaczenia chorążanki. Jakoż z uderzeniem siódméj wieczornéj, którą kukułka zegarowa głośno wykukała, ukazało się grono znanych nam niewiast z gospodynią domu.

Zakraśniało oblicze Zaręby ujrzawszy swoję bogdankę, która z spuszczonemi oczyma weszła do jadalnéj komnaty. Chorąży w wybornym humorze wraz z panem Kacprem sadzili się na dowcipne dykteryjki, które nawet poważną chorążynę do serdecznego śmiechu pobudzały; i Kasia utaić go nie mogła, a to była chwila oczekiwana przez Zarębę, kiedy mógł zachwycić jéj spojrzenie zwrócone na siebie.

— Moje panienki — zawołał chorąży przy końcu wieczerzy — już was nie puścimy od siebie. Nasz gość choć w naszym towarzyśtwie i przy kieliszku czystego madziara, jakoś stęsknił i osowiał, ale za którą z was? nie wiém: pociągnijta supełki, excypując moję Ewusię, bo ta prawem przedawnienia do mnie wyłącznie należy. Waszeć Maciejku baw damy, a my tu z panem Kacprem i Malcherem do puli zagramy maryasza.

Chorążyna zasiadła na kanapie, pani Piotrowa odeszła do czeladnéj izby pilnować prządek; przysiadła się więc panna Brygida, zwróciwszy całą uwagę na robotę komży, którą do kościoła parafialnego, jako wspólną pracę z Kasią, przeznaczyły.

A Kasia, widać miała wiele do opowiadania gościowi od czasu widzenia się w puszczy, bo rozmowa między niemi była ciągła, niedosłyszana przez nikogo, bo gwar grających w maryasza górował w komnacie.

O 10téj wszyscy udali się na spoczynek. Zaręba długo w noc przesiedział w swojéj izdebce przed ogniem komina: widać marzył o szczęściu, o błogiéj przyszłości, bo uśmiéch radosny często zaigrał na poważném obliczu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIADOMOŚĆ
O PTAKACH I NIEDOPERZACH
ZNAJDUJĄCYCH SIĘ W DOLINIE OJCOWSKIÉJ.

PRZEZ

W. Taczanowskiego.

I.

Podróżni zwiedzający okolice Ojcowa, wspominali często o niedoperzach żyjących po tamtejszych grotach. Niektórzy postrzegali tam nawet podkowce; nikt jednak dokładnych wiadomości w téj mierze nie podał i nie wyrzekł z pewnością, jakie się tam gatunki znajdują. Udałem się umyślnie do Ojcowa, ażeby na miejscu dojść rzeczywistości, a zebrane postrzeżenia dla użytku naturalistów naszych postanowiłem w krótkości ogłosić.

Przybywszy do Ojcowa w piérwszych dniach września 1853 roku, dowiedziałem się od przewodników, że niedoperze znajdują się o pół mili od Ojcowa w grocie jerzmanowskiéj, w grotach zaś doliny Ojcowskiéj zupełnie ich nie ma.

Grota jerzmanowska stanowi wnętrze jednéj ze skał położonych wśród pola, lecz przy lesistéj dolinie bentkowskiéj. Skała w znacznéj części zarośnięta jest krzakami, a wejście do niéj tak zasłonione, że go na zewnątrz nie widać. Jestto wązki otwór około pięciu stóp wysokości; po kilkunastu krokach wydrążenie to dzieli

się na dwa korytarze, bardzo nizkie, któremi jednak, przychyliwszy się, wygodnie iść można. Oba te przejścia prowadzą do obszernéj, prawie okrągłéj sali, około 15 stóp wysokiéj; spód jéj zawalony wielkiemi odłamami skały i skalaktytami, wśród których jest czarne i grzęzkie błoto, utrudzające chodzenie. Z sali téj przechodzi się do innych długich, krętych lochów; dostępy wszędzie są dosyć wygodne, i tylko kilka miejsc z trudnością się przebywa. Przebywszy rozmaite zakątki, dochodzi się do bardzo nizkich przejść, któremi czołgając się tylko, do ostatnich wysokich korytarzy i małych grot dostać się można.

Zwiedza się to miejsce z kagańcami i znacznym zapasem łuczywa. Potrzeba starannie utrzymywać światło, gdyż zapuściwszy się w kręte i ciasne przejścia, trudno byłoby wśród ciemności odszukać drogi; ci nawet, co znają dobrze grotę, długoby błądzić musieli. Przezorniejsi biorą z sobą gałązki i znaczą niemi drogę, ażeby na przypadek zgaśnięcia ognia, mogli się za ich pomocą kierować.

Gdyśmy zaopatrzeni we dwa kagańce, zbliżali się do piérwszéj najobszerniejszéj groty, słychać było pisk niedoperzy; wkrótce ujrzeliśmy na sklepieniu z pół kopy tych zwierzątek gęsto w szczelinie nagromadzonych, a kilka oprócz tego odzywało się ukrytych po szparach. Niepokojone światłem i dymem, zaczęły się ruszać, i po jednemu zlatywać; nie zbliżały się do ognia, ale kręciły się w górze i uchodziły na wszystkie strony. W innych ciasnych korytarzach zastaliśmy także po kilka, którym zastępując w przechodach, niejednego strąciliśmy gałęziami na ziemię. Tym sposobem dostałem siedm egzemplarzy; inne tak się pokryły, że ich niepodobna było wynaleźć.

Sąto niedoperze myszate (Vespertilio murinus): żadnego innego nie było; latał tam wprawdzie jeden mały, którego żadnym sposobem ułowić nie mogłem; byłto zapewne młody, gdyż wiadomo że gatunki tego rodzaju zawsze tylko pojedynczo mieszkają.

Wszystkich w ogóle, które napotkałem w grocie, nie było więcéj jak kilkadziesiąt; przewodnicy dziwili się nad tak małą ich ilością, powiadali mi bowiem, że téj jeszcze wiosny, kilka tysięcy niedoperzy miało się znaj-

dować. Poruszone strzałem zerwały się wszystkie naraz i wprost do ognia leciały, trzepały skrzydłami po twarzach, że trudno się było opędzić; wtenczasto znaczną ilość gałęziami ubito. Przed sześcią laty hr. Wodzicki odwiedzając tę miejscowość, znalazł niezliczone massy niedoperzów przyczepionych do sklepień. Dla przekonania się jak dalece trudne są do spędzenia, trzy razy w jednym kierunku strzelał: wszakże tyle tylko miejsca opróżnionego zostawało, ile nabój zajął, w innych zwierzęta nieporuszone siedziały. Po téj probie dwa koszyki napełniono zabitemi niedoperzami. Oprócz tych świadectw stosy ich gnoju świadczą o ilości dawnych mieszkańców téj groty i o bardzo dawném przebywaniu ich w tém miejscu. Co się z nimi stało, trudno powiedzieć; zdaje się, że często odwiedzane, niepokojone i bez potrzeby prześladowane i zabijane, przeniosły się do niedostępnych kryjówek, albo w inném miejscu obrały siedlisko.

Stosy ich gnoju tworzą kopce tak duże i tego kształtu, jak największe mrowiska; w głównéj grocie znajduje się do pięciu łokci wysoki i znacznie szeroki w podstawie. Kopce te okazują, że niedoperze mają upodobane miejsca w których przesiadują, chociaż w sklepieniu znalazłoby się wiele innych dogodnych im siedzib.

Mówiąc o nawozie, z przesadą opowiadano, jakoby tam znakomite zapasy i skarby bez użytku były nagromadzone, tymczasem wszystkie te zbiory razem wzięte, nie uczynią więcéj jak 50 wozów; gdyby to więc i najlepszy był nawóz, nie mógłby więcéj jak parę morgów użyźnić. Wydobycie go ztamtąd byłoby trudne i kosztowne: trzebaby go albowiem wywozić taczkami przy staranném i kosztownėm oświetleniu, co zaiste nie opłaciłoby ani kosztów, ani zachodu; dla przekonania się jednak o ile nawóz tego rodzaju mógłby być skutecznym, wartoby było zrobić probę przynajmniéj na mały rozmiar.

Kończę wiadomość o téj grocie odezwą do zwiedzających ją podróżnych, ażeby tych niewinnych zwierzątek bez potrzeby nie wytępiali; jestto bowiem rzadki w kraju naszym gatunek, którego gdzieindziéj dotąd nie znalazłem, i żaden z krajowych naturalistów nigdzie go nie widział; wygubienie więc tego zwierzątka przyniosłoby wielką szkodę niezbyt obfitéj faunie krajowéj.

Opisanie tego niedoperza zdjęte z natury. Pysk długi, gruby, rzadkiemi włosami całkowicie posiany, uszy cokolwiek dłuższe od głowy, szuflowate, szerokie przy nasadzie, w końcu cokolwiek zwężone i zaokrąglone, oddalone, pochylone ku przodowi, wpółprzezroczyste, wielkie, rzadkiemi włosami porośnięte; wstawy pałasikowate, przy nasadzie szersze, w końcu zwężone i zaokrąglone, naprzód także podane. Błony szerokie, zupełnie nagie, od spodu tylko przy kości ramieniowéj cokolwiek włosiste. Ogon linię tylko za błony wystaje. Oczy wielkości łepka śpilki zwyczajnéj.

Uszy szare; błony brunatnawo-szare, pysk tegoż samego koloru, przy kątach warg żółtawo-zafarbowany; gruczoły wonne cytrynowo-żółte. Odzież niezbyt gęsta, miękka, u wierzchu słabo połyskująca, od spodu cokolwiek włosista, na wierzchu myszato-śniada, ze spodu popielato-biaława, nasady włosów spodnich ciemno-szare; pazury białawe.

Roczniaki mają sierć w ogólności rzadszą, na karku nizką lub żadną, na wierzchu są ciemniejsze, ze spodu więcéj wełniste, jaśniejsze.

Największy ze wszystkich europejskich gatunków: dorosłe indywiduum pięć cali przechodzi, z czego ogon przeszło dwa cale zajmuje.

Podkowce znajdują się w lesie Czajowskim po szczelinach skał. Nie mogę dotąd z pewnością powiedzieć, czy zwierzątka te należą do którego ze trzech europejskich gatunków w dziełach mastozoologicznych opisanych. Zgadza się on po większéj części z podkowcem jednoliściennym (Rhinolophus unihastatus), różni się jednak od niego tém, że samice są zupełnie do samców podobne, w czém znowuż zgadzałby się z podkowcem nierównym (Rhinolophus clivosus), gdyby nie to że ma błony międzyudowe zupełnie nagie. Po kilka tych małych zwierzątek wisi obok siebie, przyczepionych tylnemi łapkami z głową na dół zwieszoną do sklepienia szczeliny; poruszone usuwają się żwawo na dwóch tylnych łapkach z głową zawsze ku dołowi obróconą, niechętnie zrywają się i lotem uciekają. W świetle dziennem są niedołężniejsze od niedoperzy.

Opisanie: Uszy ma szerokie, końce ich nagle zaostrzone, cokolwiek są ku środkowi zagięte, klapą odgiętą

z przodu do połowy zasłonione; liść na nosie włoczniowaty, cokolwiek kosmaty; w środku podkowiastéj narośli słupek nizki, rozszerzony. Sierć na całém ciele bardzo długa, delikatna, jedwabisto-połyskująca. Błony nagie, przezroczyste, czarniawe; uszy cokolwiek jaśniejsze; sierć z wierzchu ciała jasno-popielata, przy nasadzie biaława; spód ciała białawy, mocniéj niż wierzch połyskujący. Długość całkowita 3″, ogon 1″ 2‴.

Exkursya którą tą razą odbyłem, była bardzo krótka, nie mogłem zatém zająć się dokładném śledzeniem wszystkich skał i szczelin, gdzie rozmaite gatunki niedoperzy ukrywać się mogą; lasy także górzyste, w jodły i buki obfitujące, wielce sprzyjają drobnym ssącym zwierzątkom, których tam zapewne żyje znakomita ilość. Wartoby, ażeby który z krajowych naturalistów zajął się zbadaniem téj ze wszech miar zajmującéj okolicy.

II.

Dolina Ojcowska we wszystkich gałęziach historyi naturalnéj nader jest ciekawą; ornitologia ma tu także swoich reprezentantów w górskich gatunkach, które w innych okolicach królestwa polskiego są albo nieznane, albo bardzo rzadkie. Wprawdzie w opisie hr. Wodzickiego wymienione już są gatunki około Ojcowa żyjące, lecz że wiadomości o nich są zbyt ogółowe i odnoszą się do ptaków całéj ziemi krakowskiéj, nie od rzeczy będzie wspomnieć w krótkości o ptakach, jakie wyłącznie w téj okolicy widziałem, lub téż o nich z pewnych źródeł dowiedziałem się.

Drozd skalny (Turdus saxatilis), gnieździ się corocznie po skałach tamtejszych, chociaż w dość ograniczonéj ilości. Zdaje się że wcześnie odlatuje, gdyż go już nigdzie nie widziałem. Dotąd nigdzie więcéj nie postrzegany.

Pokrzéwka kopciuszka (Sylvia thitis), ptaszek bardzo pospolity nietylko w dolinie, ale w całéj okolicy, gdzie się same skały i mury znajdują; z pewnością można powiedzieć, że jest najpospolitszym ze wszystkich współrodzajowych ptasząt. Zastałem ich jeszcze znaczną ilość po wszystkich skałach i murach. Młode przed odlotem

odbywają tam całkowite pierzenie. Stare samce, pomimo to że się pierzyły, śpiewały jak na wiosnę. Znają je tam pod nazwiskami: skalnika, kowalika lub mlaskacza. Gatunek ten znajduje się także w okolicach Kielc i Chęcin.

Opocznik czarnołbisty (Saxicola rubicola), więcéj nierównie rozprzestrzeniony od kopciuszki, w całéj okolicy dość pospolity. Spotkałem ich rodzinę pod Nowem-Miastem nad Wisłą; kto wié czy nie zostanie wykryty w górzystych okolicach gubernii lubelskiéj. W czasie méj bytności, już ich znaczna ilość odleciała. Młode na miejscu piérzą się zupełnie. Stare samce do czasu odlotu śpiéwają.

Pluszcz wodny (Cinclus aquaticus), nad Prądnikiem jest ptakiem miejscowym; rzadszy jednak i skrytszy od zimorodka. W innych stronach bardzo rzadki i przypadkowy; postrzegano je w Lubelskiém, pod Warszawą i zdaje się że wszędzie bywa, gdzie tylko są płytkie kamieniste rzeczki i strumienie. Mieszkańcy doliny Ojcowskiéj nazywają go wodną kokoszką.

Pliszka wolarka (Motacilla boarula), znajduje się nad Prądnikiem wzdłuż całéj doliny, i tam się gnieździ; spotykałem je w stadkach familijnych nad strumieniem. Pliszka ta ku jesieni jest dość ostrożna, zrywa się zdaleka przed ludźmi i czepia po skałach. W inne okolice przypadkowo tylko zalatuje, posuwa się nawet w lubelskie; młode odbywają pierzenie na miejscu, stare wcześniéj od nich odlatują. Pospólstwo tamtejsze daje im bardzo charakterystyczne nazwisko pluskwy, od ciągłego pluskania się po wodzie. Pliszki żółtéj wcale nie widziałem i nie mogłem z pewnością dowiedzieć się, czy bywa na wiosnę.

W całéj dolinie znalazłem znaczną ilość kulczyków (Fringillaserinus), które dotąd przez nikogo jeszcze nie były wymienione. Ptaszek ten żyje tam i gnieździ się w znacznéj ilości; w końcu sierpnia stada ich zlatują się na góry, skały i ogrody, gdzie piołun i inne górskie rośliny, obfitego im dostarczają żeru. Wielkie podobieństwo z piérza i głosu do czyżów, było zapewne powodem, że nie zwracano na nie uwagi. Niektóre młode były już zupełnie przepiérzone, inne w piérzeniu; były nawet i takie, którym jeszcze ogony nie zupełnie wyrosły. Gdzieindziéj

dotąd niepostrzegane. Pospólstwo miejscowe nie oddziela ich od czyżów.

Pod względem ptastwa drapieżnego, okolica ta jest bardzo ubogą; gnieżdżące się jednak z rodzaju sokołów pustułki (Falco tinnunculus) i myszołowy (Falco buteo), w tych stronach tak są pospolite jak wszędzie, a drzemliki (Falco aesalon), obficie na zimę zlatują. Kania (Falco milvus), jastrząb (Falco palumbarius), krogulec (Falco nisus) i kobuz (Falco subbuteo) dość rzadkie. Sokoł wędrowny (Falco peregrinus) bardzo rzadko się zdarza. Błotniaki i kanie czarne (Falco ater) wcale tu nie bywają. Z rodzaju sów puszczyk (Strix aluco) bardzo pospolity; inne rzadkie albo wcale nie bywają.

Ptastwo błotne i wodne prawie nieznane: bekas i kaczka nie miałyby gdzie usiąść. Chróściele tylko (Rallus crex) i wodniki (Rallus aquaticus) po łozach nad strumieniami bywają. Dzięciołów po lasach okolicznych bardzo mało. Białogrzbietny (Picus leuconotus) wcale nie bywa, a czarny (Picus martius) rzadko zalatuje.

W całéj dolinie wróbla domowego nie widziałem; powiadano mi, że bywają przez lato i w zimie, ale widać że na ten czas wyniosły się w miejsca otwarte. Mazurki były ale rzadkie.

III.

Dodatki i sprostowania do spisu ptaków gubernii lubelskiéj, zamieszczonego w tomie piérwszym Biblioteki Warszawskiéj z roku 1851.

Trzy następujące gatunki pomnażają liczbę ptaków téj gubernii, które dopiéro po tegoroczněj exkursyi zamieścić mogę, a przez piaskowca przybywa jeden rodzaj do fauny krajowéj.

256. Piaskowiec zmienny Tyz. Calidris arenaria Illig. Tringa arenaria Bonap. Spotykałem je po piaskach i wysepkach wiślanych od 11 października aż do piérwszych dni listopada, w stadkach po kilka lub kilkanaście sztuk lub téż pojedynczo, między stadkami biegusów zmiennych (Tringa variabilis).

257. Czapla modronos Jar. Ardea comata Pall. Ardea ralloides Scopoli. Przypadkowa, bardzo rzadka. Ubito w tym roku starego samca w okolicach Lublina.

258. Mewa najmniejsza Tyz. Larus minutus Pall. przypadkowa dość rzadka. Tak jak inne gatunki tego rodzaju, zalatuje ponad Wisłą i aż do Krakowa się posuwa.

W opisie rzeczonym zamieściłem siewnicę (Vanellus melanogaster) jako ptaka rzadkiego; rzeczywiście rzadkim jest w środku gubernii gdzie czasami między stadami siewek (Charadrius pluvialis) na pola zalatuje, nad wodami jeszcze rzadszym, nad Wisłą zaś na ciągu jesiennym do najpospolitszych ptaków należy; przez cały wrzesień i październik liczne stada tych ptaków po wyspach i brzegach piasczystych ciągle przebywają. Przy końcu października najwięcéj ich spotykałem.

Omyłki druku.

Str.	*wiersz*	*zamiast*	*czytaj.*
336	24	w tym samym czasie pospolity	w tym samym czasie zalatuje.
338	2	dość pospolity, w przelotach	dość pospolity w przelotach,
340	1	Sowa płomyczkowata	Sowa płomykowata.
341	8	Wilga czerwono-żółta	Wilga czarno-żółta
343	26	Gajówka pliszka	Gajówka pleszka.
343	27	Rudochwast	Rudochwost.
344	18	później odlatuje	późno odlatuje.
339	33	Sowa Tengmalmi	Sowa Tengmalma
344	4	Królik śmieszek	Krolik żniczek
353	28	eristatus	cristatus.
356	16	Kaczka wdówka	Kaczka lodówka

KRONIKA LITERACKA.

Skarbniczka naszéj archeologii, obejmująca średniowiekowe pomniki wojennego budownictwa Polaków, wiadomości do dziejów sztuk pięknych w Polsce, oraz wspomnienia z naszej przeszłości i t. p., przez Ambrożego Grabowskiego Krakowianina. *Z 39 wizerunkami baszt i bram krakowskich. Lipsk.* 1854.

W pomyśle i wykonaniu niczém się Skarbniczka p. Grabowskiego od Dawnych zabytków i Starożytniczych wiadomości jego nie różni: jest to tylko trzeci tom archeologicznego dzieła, które zadaniem sobie wzięło wyczerpać wszystkie pamiątki starożytnego Krakowa, a które w istocie bogatym zapasem wiadomości może się pochwalić przed czytelnikiem. I w Skarbniczce więc jak w dwóch poprzednich dziełach, są wypisy z akt miejskich krakowskich, wypisy z ksiąg starych, z różnych kazań, wierszy nawet. Nadto znajdujemy tutaj ciekawe wypisy z ksiąg kilku wiejskich parafij. Nowetoi nieznane źródło otwiera się dla naszéj historyi. Dawni plebani i proboszczowie, nieraz sobie po aktach parafialnych i po metrykach spisywali dla pamięci pewne zdarzenia, których byli świadkami. Jużeśmy mieli kilka dowodów na to, że czasem znajdują się ciekawe tam rzeczy: bośmy sami mając sposobność w kilku miejscach przeglądać te akta miejscowe, do których nikt teraz nie zagląda, przekonali się o tém. Daléj ks. Gacki w monografiach swoich dotknął tego widać bogatego dosyć źródła; z tém większą zatém radością znaleźliśmy i w Skarbniczce podobne notaty z ksiąg parafialnych. Autor z nich wypisywał to, czego mu potrzeba było, ale ostrzega: że krom tego co zanotował, czytał w księgach tych fakta „do ogólnéj historyi kraju.“ Te owszem źródła parafialne, które w Skarbniczce swojéj pan Grabowski cytuje, bogatsze są od tych, które poznaliśmy: bo już same w sobie tworzą odrębne całości. Wy-

padki potoczne w nich zapisywane nie są to już wtręty, nie są to nieurzędowe już notaty po urzędowych metrycznych księgach, jakie widzieliśmy sami; ale zupełnie osobne kroniki, jakich wcale nie znaliśmy dotąd. Wzięte same w sobie są to również, te źródła p. Gr., skarbniczką archeologii niekrakowskiéj wprawdzie, ale zawsze skarbniczką archeologii. Tak ks. Bernard Bocheński pleban w Krzeszowicach pod Krakowem, pisał w roku 1623 księgę praw, powinności i funduszów swego kościoła (str. 51). Tak ks. Kazimiérz Dziuliński pleban w Słaboszowie także pod Krakowem, zaczął spisywać dziennik parafialny w roku 1693; a kiedy umarł 1701 r. znowu po nim ks. Jan Maruchowicz proboszcz Wielkiego i Małego Książa, ciągnął dalej ten dziennik aż po rok 1723, tojest po rok swojéj śmierci. Pan Grabowski mówi o kronice Maruchowicza: „poczciwa to praca, ze wszech miar naśladowania godna“ (str. 76); zapewne, wydaćby ją tylko warto.

Póki autor Skarbniczki wypisuje z akt i rękopisów, praca jego ma wielkie podobieństwo do naszych w Warszawie Wejnertowskich wypisów, tudzież do wypisów z akt skarbowych, z których pan Przezdziecki układa życie domowe Władysława Jagiełły i Jadwigi, wreszcie do wypisów Lisowskiego z akt miejskich o malarzach warszawskich. Ale panu Grabowskiemu o coś więcéj idzie, jak o te wypisy z akt: chce być dokładnym i przygotować ile możności najbogatszy materyał dla przyszłych historyków, czy tylko wyłącznie Krakowa, czy téż w ogóle sztuki w Polsce, i dlatego jeszcze z tłumaczenia dzieł Arystotelesa przez Sebastyana Petrycego, wypisuje rozmaite fakta, niby jako dopełnienie do wyciągów z akt. Nie są i to również rzeczy bez interesu, bo Petrycy rzadki, a w przypiskach swoich i objaśnieniach do Arystotelesa, nieraz potrącił to o sztukę polską to, o zwyczaje swojego czasu: takim sposobem stał się także oddzielną skarbnicą archeologii. W inném miejscu cytuje autor Addytament do kroniki zakonu świętego Franciszka księdza Koralewicza, która w roku 1722 wyszła w Warszawie. Znamy dalszy ciąg i tego jeszcze addytamentu spisany przez księdza Onufrego Mysłkowskiego, który przeżył ostatnie czasy Rplitéj i doczekał się Księztwa Warszawskiego, piastując najwyższe dostojności w swoim zakonie. Mysłkowskiego dalszy ciąg przydatku, spoczywa tylko po bibliotekach klasztornych, i nigdy nie był w handlu; a zawiera wiele różnorodnych wiadomości, które się zapewne każdemu archeologowi, w jakiéjbykolwiek pracował gałęzi, przydadzą. To nowe źródło prawie nietknięte dla naszych starożytności, bo nie ulega wątpliwości, że wszystkie zakony mają takie domowe swoje kroniki, jeźli nie drukowane, to pisane. Archeologowie staraćby się powinni, żeby im i te skarbnice stały otworem. Dzieło Koralewicza nie jest tak bardzo rzadkie, i dlatego dostępne wszystkim, bo było w handlu na półkach u księgarzy. Inne za to kroniki są rzadkie i nieznane.

Skarbniczkę swoję autor podzielił na pięć części, a w każdéj z nich o czém innem rozprawia.

W piérwszéj części pan Grabowski opisuje bramy, mury i fortyfikacye Krakowa (które daje w rysunku); daléj mieści opisy zbrojowni (interesującą być może rewizya zapasów oręża w roku 1427 dokonana): wreszcie dopełniają téj części szczegóły o Kazimierzu, który ongi oddzielném był miastem od Krakowa, miał swój magistrat, swoje cechy, swoje osobne księgi dochodów i wydatków i swoje nawet zbrojownie.

Druga część zawiera wiadomości do dziejów sztuk pięknych w Polsce. Jestto niwa archeologii, która w naszych jeszcze oczach naga zupełnie i bez jednéj rośliny, nagle pięknym rozzieleniła się krzewiem i kwieciem. Odkrycia się mnożą co chwila i zawsze coś nowego uwagę uderzy. Malarstwo najwięcéj na tych poszukiwaniach zyskało. Jużeśmy się zdobyli na trzytomowy słownik; pan Grabowski więc w Skarbniczce, jak każdy inny kto o tym przedmiocie będzie kiedyś w przyszłości pisał, dopełniać musi dzieła Rastawieckiego. Autor zbiera zatém z akt krakowskich wszystkich piktorów, których tam znalazł; i słusznie: bo chociaż o ich pracach nie ma jeszcze żadnych wiadomości, mogą się znaleźć, a wtenczas najmniejsza skazówka może się łatwo przydać dla wykrycia nazwiska autora. Zawsze z massy tych imion i nazwisk, których dostarczyły akta miejskie warszawskie dawniéj, a teraz krakowskie, płynie przekonanie, że w dawnych czasach sztuka miała u nas wielu swoich czcicieli. Przed XVI wiekiem nazwisk interesujących sztukę w Polsce najwięcéj niemieckich: bardzo naturalnie, bo malarstwem mieszczanie się trudnili; ale od tego czasu coraz gęściéj w aktach czytać się zdarzy nazwiska polskie. Znalazły się i tutaj wypisy z książek np. z Pruszcza. Zdaje się więc, że i w księgach jeszcze materyał nieprzebrany spoczywa dla dziejów i sztuki. Pan Rastawiecki spuścił zupełnie tę okoliczność ze swojéj uwagi. Że sztuka kwitnęła u nas, widać i z tego, że królowie bardzo się nią opiekowali. Pan Grabowski przytacza ślady zamiłowania w malarstwie Zygmuntów i Wazów. Jan III wiemy, że założył nawet szkołę dla sztuk w Wilanowie. Bywały téż i u nas galerye obrazów; autor o dwóch daje nam wiadomość: o galeryi Jana Pavioli, i o drugiéj, która była własnością Priamiego. Piavioli i Priami bylito mieszczanie krakowscy, miłośnicy sztuki. Piavioli miał wiele obrazów, które dzisiaj byłyby dla nas malowidłami historycznemi; posiadał np. portrety osób współczesnych, a że żył za Jana Kazimierza, więc się tutaj znalazły portrety Zygmunta III, Władysława IV, królowéj Cecylii, hetmana Koniecpolskiego i t. d. że nie tkniem obrazów przedstawiających obce znakomitości. Były tam jeszcze malowidła mitologiczne, obrazy z historyi świętéj i religijne, obrazy rodzajowe. I jednę i drugą galeryą, starsi cechu malarskiego jako przysięgli oszacowali szczegółowo;

snadź po śmierci właścicieli na sprzedaż wystawione były. Mamy więc i spółczesne malowideł ceny, które nam się wydają niezmiernie nizkie w porównaniu do dzisiejszych. Autor zrobił słuszną uwagę, że po kościołach i korytarzach klasztornych znajduje się wiele malowideł, któreby warto przeglądać, bo tam pod nędzną powłoką, pewnie się niejedna perła kryje, pewnoby niejedno nazwisko ztamtąd na wierzch wypłynęło dla dziejów sztuki. Fakta stwierdzają domysł, bo nie szukając długo, postać np. Lexyckiego jest zupełnie nową zdobyczą w dziejach naszéj sztuki. Dlatego pan Grabowski daje z siebie przykład i wylicza obrazy stare, jakie są jeszcze za dni naszych w klasztorze Missyonarzy krakowskich. Następnie w osobnym artykule z oderwanych szczętów składa pan Grabowski słownik malarzy znanych z imienia i nazwiska, których nie ma w Rastawieckim, albo o których błędne są w Słowniku podania. Dowiadujemy się z tego, że Benedykt Pawłowski, który w Kodniu nad Bugiem (w czerwcu 1764) malował Zbawiciela po ubiczowaniu, liczyć się może do najcelniejszych artystów w Polsce i koryfeuszów tworzącéj się szkoły narodowéj malarstwa, lubo ten jeden tylko znajomy po sobie obraz pozostawił: innych śladów o nim i wiadomości trzebaby szukać na Litwie.

Zaiste sporyto zasób znowu do dziejów sztuki polskiej znajdujemy w Skarbniczce. A jeżeli zwrócim uwagę na to: że wiadomości pana Grabowskiego obejmują li tylko Kraków: cóż z tego za wniosek zrobić będzie można o całym kraju? Nie ma wątpliwości, że zabytków swojskiéj sztuki w Polsce znajdowało się wiele, niezmiernie wiele. Kto zna już to, co dzisiaj tylko odkryto, godzi mu się tak przynajmniéj wnosić z wszelką pewnością. Malarstwem religijném np. opiekowała się niezawodnie u nas myśl pobożna i świątobliwa narodu. Kto wié jak chętnie panowie nasi stawiali kościoły, jak tracili na ten cel ogromne kapitały, że nawet pojąć tego dzisiaj nie można, jak im włości dziedziczne na to starczyły: ten łatwo wyobrazi sobie, że silić się także musieli na przystrój wewnętrzny kościołów. A było co przystrajać, bo zapewne w żadném państwie europejskiém nie było tyle świątyń co u nas. Pole to jednak leży w nauce odłogiem. Mamy już szperaczów archeologii kościelnéj w naszych stronach; ale na Rusi kijowskiéj, Białéj, na Litwie i koronnych ziemiach wschodniego obrządku nie widać ich, a szkoda. Ztamtąd dzieje sztuki polskiéj doczekają się téż pewnie wielkiego kiedyś zasiłku.

W ogóle jednak zdaje się, że bogaci mieszczanie, jak np. krakowscy, lwowscy i t. d., więcéj miłowali sztukę jako sztukę, aniżeli panowie. Panowie kościoły ozdabiali i płacili artystom, nietroszcząc się o artyzm; mieszczanie, jak widzim, tworzyli sobie galerye. Żeby mieć smak w utworach sztuki, potrzeba pewnego ukształcenia smaku, a gdzie go mieli nabyć nasi panowie? czyż nie w ciągłych bojach z Tatarami? Zresztą od miłości sztu-

ki odrażał ich przesąd szlachecki: malarz był zawsze w ich oczach rzemieślnikiem i pracował na kawałek chleba pędzlem, więc nie po rycersku, nie szablą. To też w szeregu naszych dawnych malarzy kogoż widzim?—samych mieszczan; rzadko tam, bardzo rzadko gdzieś przebija szlacheckie nazwisko. Kilka wyjątków pomiędzy panami nie stanowi reguły; owszem widać, że to wyjątek. Królowie nasi lubili sztukę; Zygmunt III np. był sam artystą, więc nic dziwnego, że ją lubił; Sobieski miał artystyczne wykształcenie, ale któż go rozumiał? Wiadomość o jego szkole willanowskiéj zachował nam w dziełku swojém o ekonomii Haur, nie szlachcic, choć był Polak zabity. Malarz króla ulubiony, Siemiginowski, szlachcic, kryć się musi pod nazwiskiem Eleutera, żeby zgorszenia w stanie rycerskim nie wywołał. To téż kiedy don Livio Odescalchi starał się o koronę polską po śmierci Jana III, a pomiędzy innemi warunkami obiecywał Polakom, że im arcydzieła malarstwa z Włoch sprowadzi; ojcowie nasi głowami na to kiwali, bo co im były, co dla nich miały za wartość, te kuglarskie zamorców sztuki? W Bizardierze, z którego mamy ten szczegół, jest i druga wiadomość: że Matczyński wojewoda ruski, przyjaciel Jana III, który umarł w bezkrólewiu, posiadał kilka allegorycznych obrazów, przedstawiających ostatnie sceny życia króla, które się potém w spadku razem z całym majątkiem Matczyńskiego, królewiczom Sobieskim dostały (*).

(*) Dla zbogacenia dziejów malarstwa polskiego, dodamy tutaj od siebie kilka faktów, które nam przy pracy historycznéj, ku innym skierowanéj celom, przypadkiem się nastręczyły. Nie będą to zapewne fakta ważne, objaśniające wiele, rzucające pewne światło na przedmiot; ale jako dopełnienie przydadzą się do kalejdoskopu, w którym każda iskierka ma swoje znaczenie i przeznaczenie. I tak.

1) *Mikołaja* malarza królewskiego wspomina Łętowski pod rokiem 1403, w swoim katalogu biskupów krakowskich tom 1 stron. 321. Może ten sam, co w Rastawieckim tom 2 str. 42.

2) W notach Marcina Matuszewicza (który umarł 1784 r. kasztelanem brzeskim) znaleźliśmy też wiadomość o malarzu *Niemierowskim*; nie wiemy tylko, czy to nazwisko osoby czy miejsca z którego był wzięty; prędzéj pierwsze jak ostatnie. O tym malarzu czytamy w cytatach, że pułkownik, młodszy a rodzony brat Marcina, Józef po imieniu, dziedzic Motykał pod Brześciem, ściągnął do siebie Jundziłła podkomorzego grodzieńskiego na sprawę graniczną tychże Motykał od Terebunia, wioski dziedzicznéj Szujskiego starosty niżyńskiego; za to nastręczył mu Niemierowskiego, który dotąd pracował u jego brata Marcina Matuszewicza w Rasny i kawał czasu już tam siedział. Dobrze kopiował, malował też i oryginalnie, ale co robił, tego Matuszewicz nie pisze. Ujmując Jundziłła dla siebie pułkownik, artystę nakłonił, żeby jechał z tym panem do dóbr jego, co markotno było bardzo Marcinowi, który chciał artystę jeszcze długo zatrzymać w Rasny, „gdyż tak dobrego malarza i tak tanio malującego" „pisze Matuszewicz, trudno wyszukać." Było to jakoś pod koniec panowania Augusta III.

3) Malarz *Józef Majer* jest wprawdzie w Rastawieckim z Sierpińskiego, ale nie ma tego, że był malarzem nadwornym króla. Daléj jest, że ozdobił wewnątrz malowidłami ściennemi kościół chełmski Pijarów, ale nie ma, że to było w czerwcu 1758 r., i że kosztem Ma.... Wolskiego podsędka chełmskiego.

O innych działach sztuki plastycznéj mniéj w Skarbniczce jak o malarstwie. Między snycerzami jednak musiał pan Grabowski jeszcze raz zawadzić o Stwosza. To jego ulubiony artysta, jego idée fixe, jak Adryana Krzyżanowskiego Kopernik. Autor nawet stronnym jest dla Stwosza, bo przez cześć dla jego pamięci, nic dotąd nie wzmiankował o jego procesie w Norymberdze, o którym jednak wiedział, i dopiéro teraz zmuszony okolicznościami, jak to sam przyznaje, z boleścią serca dotknąć musiał tego

4) O *Siemiginowskim* ma pan Rastawiecki niedostateczne wiadomości; to téż niezawodnie było przyczyną, że niepotrzebnie rozbił go na dwie osoby: raz go zwie *Jerzym Eleuterem*, drugi raz a błędnie Semiginowskim. Tymczasem wszystkie te trzy nazwiska należały do jednéj osoby. Ojciec artysty zapewne za jakieś zabójstwo w dorywczéj sąsiedzkiéj walce, utracił klejnot szlachecki, bo się naraził na banicyą, a rodzina zabitego zajechała mu wieś dziedziczną Siemiginów. Rodzina Siemiginowskich herbu Sas gniezdziła się oddawna w województwie ruskiém. Wdowa po banicie, małoletniego syna swojego Janowi III oddała; syn ten wyrósł na artystę i przezwał się Eleuterem. Szczegółów kilka o jego pracach i życiu doczytać się można w dopełnieniach Niesieckiego w tomie X, stronnica 398, a są to wiadomości nieulegające zaprzeczeniu, bo wynotowane z dokumentów familijnych. Rodzina Eleutera dodziśdnia żyje w Galicyi; wyraz „Siemiginowski" nie byłto zatém żaden przydomek, jak twierdzi pan Rastawiecki, ale nazwisko szlacheckie malarza. Nie od rzeczy będzie może dodać i to, że tegoż samego nazwiska (zapewne i tejże saméj familii) był Maksymilian Siemiginowski, znany w dziejach bibliografii polskiej. Urodził się roku 1760 na Wołyniu koło Ostroga, a umarł 25 czerwca 1822 na suchoty w Petersburgu. O nim czytać w gazecie literackéj warszawskiéj nr. 83 z roku 1822 artykuł Anastasiewicza, a ztąd Lindego w Historyi literatury rossyjskiéj Grecza stronnica 299.

5) *Gennady Konstantynowicz* mnich ruski w Dubnie wymalował obraz Matki Boskiéj, który potém zasłynął cudami, a który dzisiaj znajduje się w Czerniechowie. (Dziennik ministerstwa oświecenia narodowego 1852, sierpień, V str. 72 w Petersburgu. Cudy tego obrazu opisał Dymitr Rostowski w dziele swojém. „Runo oroszennoje".

6) *Rejtan* był urzędnikiem miejskim w Sandomierzu w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta i później za czasów austryackich. Że był malarzem, pisze F. S. w swoich pamiętnikach drukowanych przed kilką laty. Autor tych pamiętników syn urzędnika mieszkającego podówczas w Sandomierzu, pisał o tém co sam widział. W Słowniku pana Rastawieckiego nie ma tego Rejtana.

7) Niezmiernie są ważne listy Ksawerego Branickiego, Niemcewicza starosty rewiatyckiego, które Kraszewski drukiem ogłosił. Otóż są tam szczegóły biograficzne do życiorysu malarza *Bessona* (Athenaeum 1851 r. tom 4, stronnica 28, 29, i t. d.) Dobrzeby było wynotować je dla dopełnień, które w tomie III Słownika znajdą miejsce.

8) Czytaliśmy także o ojcu *Wenantym* zakonniku malarzu w testamencie marszałka W. K. Wolskiego (umieszczony w *P. L.* pismie wychodzącém w Lesznie 1842 roku). Wolski prosi tam Jana z Tęczyna wojewodę krakowskiego, aby ojca Wenantego przywrócił kościołowi Bielańskiemu „dłużéj nie zabawiając". Tęczyński trzymał ojca Wenantego u siebie także dla pobożnéj fundacyi i malowideł.

9) W dodatkach do Niesieckiego znajdujemy także Krystyna Gorajskiego herbu Korczak wymienionego, jako opiekuna sztuki malarskiéj za Władysława IV.

10) O *Józefie Prechtlu* czyli *Prestlu* braciszku Trynitarzy w Łucku, umieściliśmy wzmiankę w Dzienniku Warszawskim r. 1854, nr. 152.

przedmiotu. Dzięki zabiegom i pracom autora Skarbniczki, dzisiaj już Niemcy nie wątpią, że Stwosz do naszéj sztuki należy.

Czy Oktawian Wolcner był Polakiem, na to powiada pan Grabowski „nie ma żadnego dowodu, krom przyznania Niemców.“ Szkoda, że o tém sąsiedzi nasi nie wiedzieli; byliby nam pewno tego człowieka wydarli; dziś pobijem ich własną ich bronią. Piérwszym budowniczym polskim, z polskiém nazwiskiem, był Wacław z Tęczyna, doradzca w budownictwie Kazimierza W. Nie znaczy to, żeby przed Wacławem nie było naszych architektów, ale on piérwszy jest osobą historyczną.

Część trzecią Skarbniczki zajmują artykuły o różnych kunsztach i rzemiosłach w Krakowie. Tutaj mowa o rytownikach, złotnikach, giserach i t. d.

Część czwartą, która musi być przy każdém dziele p. Grabowskiego, zajmują „Wspomnienia z ubiegłych czasów: różne szczegóły odnoszące się do naszéj przeszłości.“ Szczegóły tutaj mogą być ciekawe o tém, jak Władysław Jagiełło i panowie zaciągali długi u mieszczan krakowskich, jak odbywali wjazdy do stolicy, jak miasto zawsze ich witało i zdobywało się na podarunki. Autor wypisuje z akt wszystko, co się odnosi do wydatków miasta, podejmowanych na takie uroczystości; tak jak Wejnert wypisał z akt warszawskich wydatki miasta na wesele królewicza Jakóba Sobieskiego i t. d. Mamy tutaj szereg witań urzędowych na cześć Walezego, Batorego, Zygmunta III. Kilka razy witał téż Kraków to królewnę, to już królowę Annę Jagiellonkę. Szczegóły te domowe, gospodarskie, miłe będą dla dziejów wewnętrznych uczuciowych narodu. Krakowianie tam nie sadzili się na bramy tryumfalne, (lubo wystawili łuk w roku 1592 na wesele Zygmunta z Rakuszanką, a poprzednio przed kilką laty na wjazd pożądanego króla i bramę), i zawsze z małym kosztem robili serdeczne przyjęcia. Kiedy np. Anna Jagiellonka ostatni raz do Krakowa przyjechała (w lipcu 1595), Kraków na całą paradę skupował wprawdzie kapłony i kurczęta, ale tylko 2 indyki, ale tylko jednę kopę pomarańcz, ale tylko 7 funtów lodowatych cukrów i t. d.

Czy pamięć królowéj Anny Jagiellonki miłuje tak bardzo autor, czy téż w poszukiwaniach mozolnych, zupełnie przypadkiem nastręcza się mu tyle razy pod pióro ta piękna postać ostatniéj z królowych, które miały szczególniejszą miłość narodu: wié to sam pan Grabowski; to jednakże pewna, że wiele szczegółów w życiu Anny autor Skarbniczki odsłonił, i że w każdéj jego książce zawsze się coś znajdzie o Annie jak i o Stwoszu. Krom witań, czytamy tutaj jéj dwa listy z roku 1573 i 1580: jeden do Hozyusza w sprawie summ neapolitańskich, drugi do rajców krakowskich, ujmujący się za kupcami warszawskiemi.

Dla historyi Krakowa ważne będą artykuły o śladach dwukrotnego na miasto napadu Szwedów. Pan Grabowski przedstawia nam osobno ruinę przedmieść Krakowa po rok 1655, a osobno re-

lacye z dziennika posiedzeń rajców z roku 1702 i następnych, z których widać: „Kraków w utrapieniu.“ Kraje się serce, kiedy się wspomni na los biednych miast polskich. Wiecznie się komuś opłacać musiały: w czasie pokoju starostom i wysokim dygnitarzom rzeczypospolitéj, a w czasach zaburzeń i wojen, swoim i obcym. Kraków choć stolica kraju, chociaż mieszczanie jego rachowali się za szlachtę, był w gorszém od innych miast położeniu, dla tego, że był kiedyś przed latami stolicą Jagiellonów. Zawsze ktoś do niego przyjechał, zawsze powitać kogoś było potrzeba z niepróżnemi rękami, kasztelana, wojewodę lub starostę, hetmana lub marszałka i t. d. Czasem panowie sami się przymawiali o podarunek, np. zapraszali miasto w kumy: wtenczas na srebrne i złote naczynia, na drogie kolebki, na bogate upominki sadziło się biédne miasto. Podarunki te weszły w modę od bardzo dawnych czasów, ale kiedyś były skromniejsze i trąciły jakąś familijnością, serdecznością. Składały się z win i z piwa swidnickiego, które musiało być wyborne, kiedy do takich rzeczy służyło. Ale wszystko to nic w porównaniu z czasem wojennym. Nierząd w kraju do szczętu wygasił wstyd publiczny: działy się wtenczas rzeczy, którym wierzyć niepodobna było. Rozdział pomiędzy mieszczaninem a szlachcicem zrobił się większy, szlachta z coraz większą pogardą na staropolskie grody spoglądała. W rzeczypospolitéj były więc dwa narody, a jedni drugich uciskali. Nikt z panów i dowódzców pojedynczych chorągwi nie przypuszczał, że i mieszczanie są Polakami. Każdy kto chciał nakładał podatki i kontrybucye na miasto, podnosił je albo zniżał według swéj woli, a wychodząc z niego, płacić sobie jeszcze kazał, za dobre obchodzenie się z obywatelami. Czasem odegrywały się komedye. Regimentarz jaki, (a iluż ich za czasów drugiéj wojny szwedzkiéj nie było), udawał że chce zająć miasto; wtenczas Kraków słał do niego w prośby i kończyło się zwykle na układach: regimentarzowi płacono odstępne, miasto cieszyło się znowu niejakiś czas wolnością. Układy odbywały się za pośrednictwem trzeciéj osoby: nawet biskupi tutaj rękę maczali. Co większa, sami hetmanowie odgrywali takie komedye; udając niby spółczucie dla miasta, chcieli je zaopatrywać załogą: biédny Kraków wolał zawsze zapłacić za tę przyjaźń, jak posiadać nieproszonych obrońców. Pod tym względem najgorszym był dla Krakowa ostatni z Sieniawskich, hetman. Duże on pieniądze z mieszczan wydusił przez czas swojego piastowania buławy. Oprócz niego i inni. Pan Grabowski w naszéj Skarbniczce i w drugich dziełach swoich, wiele szczegółów o tych zdzierstwach przytoczył. W Skarbniczce mianowicie źle z tego względu przedstawiają się przed historykiem Ludwik Pociej podskarbi, potém hetman litewski, dalej Jakób Zygmunt Rybiński wojewoda chełmiński i pisarz polny wojewoda wołyński Michał Potocki. Potockiego imię pozorem patryotyzmu błyszczało w oddali czasów, a tutaj na jaw brzydkie sceny wychodzą. Toż samo pokutu-

je teraz, choć późno za grzechy swoje, pan Szmigielski, starosta gnieźnieński. Spotykając coraz gęściéj podobne fakta o ludziach, o których sercu miało się dotąd więcéj szlachetne wyobrażenie, aż żal się robi; ale do tego wszystkiego zaraz przychodzi uwaga, że w czasie nierządu, takie łupieztwa nie uchodziły już wcale za zdzierstwa: był to już poprostu zwyczaj kraju, zwyczaj szlachty. Nikt się tego zdzierstwa nie rumienił. I jak nie miały miasta polskie zalegać ruinami, kiedy je niszczyli swoi i obcy, a serce ani razu ich nie zabolało? W krótkim przeciągu czasu, od sierpnia do grudnia 1702, np. Kraków był cztery razy zdarty różnemi kontrybucyami: raz przez Szwedów, drugi raz przez różne partye polskie. Dla włóczących się po kraju partyj, był nawet pewien honor w nakładaniu kontrybucyi na miasta: bo kiedy jeden wziął, czemuż i drugi brać nie miał, alboż on w czém gorszy był od tamtego? Tak np. pisarz polny, w r. 1702 żądał okupnego od Krakowa 1,000 czerwonych złotych, potém spuścił na 500 dukatów, a wreszcie przestał na pięciuset tynfach. Co mogło dla pana znaczyć owe 500 tynfów? A upominał się o nie jednak z groźbą. Jak zaś dowcipni bywali czasem regimentarze w sposobach wydurzenia pieniędzy, niech za dowód posłuży następny wyjątek ze Skarbniczki o staroście Grudzińskim (stronnica 138).

„Dnia 19 kwietnia 1709, pisze p. Grabowski, na posiedzeniu rady miasta, pan Andrzej Szafałkowicz rajca, taką zdał relacyą: Bywszy wysłany z panem Kielarowiczem pisarzem miejskim do JW. Grudzińskiego starosty rawskiego, rogimentarza wojsk rzeczypospolitéj, który był z partyi Stanisława Leszczyńskiego, w Wieliczce powitawszy Imci, upraszaliśmy, aby miasto raczył mieć w protekcyi, nędzny stan jego teraźniejszy opowiedziawszy. Deklarował się JW. regimentarz his formalibus: rad będę służył miastu; potém rzekł: co mam potem powiedzieć, zaraz czynię, *okryć trzeba rajtaryą hetmańską*, Lwów okrył królewską... i kazał myśléć o tém. Z rana chodziliśmy do Ichmość jako JP. Chwaliboga, prosząc o interpozycyą. Byliśmy i u pana Benoe pisarza wojskowego, który pieczęć trzyma, i blankiety ma hetmańskie JW. wojewody kijowskiego, hetmana wielkiego koronnego. I z tym była konferencya, na któréj deklarował: „Musicie przykryć 400 rajtaryi i 200 dragoniej, od kapelusza do ostrogi rachując, czego jest indispensabilis necessitas;“ potém i sam JW. regimentarz to potwierdził, mówiąc: „jeźli to nie będzie, ja sam tam będę.“ Gdym namienił o powietrzu, że podczas téj zarazy 20,000 ludzi wymarło i o dezolacyi miasta, odpowiedział: „i we Lwowie było powietrze.“ Mówiłem potém, że passy do Śląska zamknięte, nie puszczają ludzi polskich, zkądby kapeluszów, pendentów i t. d. dostać? Nazajutrz jeszcze mówiąc: pojedziemy do magistratu to opowiedzieć. Więc tu ma być JP. Benoe pisarz.

„Nie pomogły żadne przedstawienia, nawet podarkiem dwóch antałów wina JP. Grudzińskiemu poparte, przyczém oraz i inni

panowie zapominanemi nie byli. Delegowała i kapituła krakowska z grona swego JX. kanonika Czerwińskiego z przyczynną prośbą za miastem, atoli było vox clamantis in deserto. Przybył jeszcze i sam JW. regimentarz do Krakowa i był przez rajców powitany antałem wina... a przecież już oni dnia 22 kwietnia roku tego uchwalili rozkład potrzebnéj na ten ubior wojska kwoty zł. polskich 20,150, tak na miasto, jako i na przedmieścia, wyznaczając do tego z pomiędzy siebie, tudzież ławników oraz kupców i rękodzielników, mężów zaufania, którzyby rozdziałem i zebraniem tych pieniędzy zajęli się.“

Wielka szkoda, że pan Grabowski jest skąpy w udzielaniu takich smutnych a charakterystycznych szczegółów. Więcéj one zapewne światła rzucą na losy kraju i upadek rzeczypospolitéj, jak opisy bitew i pochodów Karola XII. Autor mówi: „gruba urosłaby księga, gdyby przyszło przywodzić wszystkie udręczenia, i wyliczać imiona tych, którzy nieszczęśliwie to miasto nieustannie nękali i obdzierali.“ Dla dobra nauki prosimy o te imiona i fakta pana Grab., z których złożyć się może druga i bardzo ciekawa Skarbniczka.

W dalszych artykułach téj części, czytamy sprawę o kradzież garderoby króla Stefana w Niepołomicach z roku 1581; sprawę o takąż kradzież dokonaną u Anny Jagiellonki; listę burmistrzów krakowskich z lat od 1395 do 1405, (rzecz niezmiernie pożądana, godna naśladowania przez innych), wreszcie przyczynek do historyi familii Wierzynków, która także wiele winna panu Grabowskiemu, (znajdujemy ich tutaj kilku pomiędzy nazwiskami burmistrzów krakowskich, pomiędzy szlachtą i urzędnikami ziemskiemi). Następne urywki o medykach i drukarzach przydadzą się dla doktora Gąsiorowskiego i dla historyka drukarń polskich. Doktorowie jak i drukarze, i jak uważaliśmy już malarze, musieli być u nas koniecznie z klassy niższéj i nie mieli zachowania u szlachty, bo pracowali sami na siebie. Bylito w oczach stanu rycerskiego zawsze rzemieślnicy. Ten przesąd narodowy znowu widzim jak się wyraził w Stanisławie Zawadzkim, którego przodkowie będąc szlachcicami, (takie słowa znalazł p. Grabowski w aktach), stanem swoim pogardzili, „woląc chleba miejskiego zażywać, niż polewki dworskiéj chłystać.“ (Stronnica 151). Dalej w Skarbniczce są wzmianki o kościele Najświętszéj Panny archiprezbiteryalnym i o drugim Bożego Ciała; mamy podane ceny rękopismów i ksiąg w dawnych wiekach; urywki o kurku i o zamku królewskim, którego lustracyą z roku 1710 w wyciągach daje nasz autor, i znów następują malarze, i znów mistrzowie kapeli królewskiéj.

W piątéj części, która także być musi w każdém dziele pana Grabowskiego, mieszczą się „pomniejsze wiadomości w porządku alfabetu“, rodzaj małéj encyklopedyi, notaty liczne, które miejsca gdzieindziéj znaleźć nie mogły. Są tutaj ciekawe kawałki.

Jest np. testament Barbary z Malickich Cezarowéj, wdowy po drukarzu Franciszku z roku 1665, godny między innemi tém uwagi: że język polski w nim czysty, chociaż w literaturze skażony już był podówczas. To zaś, co mówi pan Grabowski o Goworku wojewodzie sandomierskim, nam się nie zdaje. Wyczytał autor na jednym przywileju Cystersów z Mogiły z roku 1225 te wyrazy: „agazone filio Govorischii“ a jużci zaraz z tego wniosek: że ten agazo (koniuszy), był synem owego znanego w dziejach przyjaciela Leszkowego. Goworek nie jestto nazwisko, jakby się komu zdawało, tylko imię; zatém idzie, że mogło być w Polsce w roku 1225 wielu Goworków, nie sam jeden wojewoda sandomierski. Jeżeli innych śladów pochodzenia tego agazona od wojewody nie ma, nie było się o co wcale troskać. Jeszcze dziwniéj wygląda to, że pan Grabowski plemienników téj historycznéj rodziny, upatruje w Krakowie w lat 200 prawie potém, tojest w r. 1395. Zapis pod tym rokiem, że rajcy krakowscy „solverunt Govorconi“ 400 groszy, nie świadczy wcale, żeby ten Goworek był także potomkiem duwnego wojewody; tu znowu imię pan Grabowski bierze za nazwisko. Nazwisk rodowych jeszcze wtedy szlachta nie miała: mamy dowody tego po dyplomatach; piszą się wszyscy tam wojewodowie, kasztelanowie komesami, ale żaden z nich nie dodaje nazwiska wsi dziedzicznéj, jak wchodziło już w modę za piérwszych Jagiełłów, np. do imienia Joannes, dodatek de Czarnków, de Tarnów, de Tęczyn, Przeginia i t. d. Tutaj nawiasem wspomnieć należy, że zasłużony archeologii polskiéj, Wincenty Hippolit Gawarecki wydał broszurę, w któréj genealogią spisał swojéj rodziny, i że tam rodowód swój prowadził także od tego wojewody Goworka, także bez najmniejszéj zasady. Gawareccy idą od Gawarca, jak Tęczyńscy od Tęczyna. Nazwisko jest tylko dowodem, że z téj a nie innéj pochodzą wsi, że byli jéj kiedyś dziedzicami; ale to bynajmniéj nie dowód, że mają co wspólnego z Goworkiem. Zresztą co innego Goworek a Gawarzec; Goworek był Sandomierzaninem, a Gawarzec na Mazurach leży. Dzisiaj to nie osobliwość, żeby pan jaki z sandomierskich okolic, miał dobra nietylko w Mazowszu, ale nawet i w Inflantach, bo dziś co innego: wieki dziejów wyrobiły rozległe stosunki, ale wtenczas jeszcze składowe późniéj części naszéj ziemi były oddzielnemi całostkami. Dynastya jedna tu i tam panowała, ale tu swoi, a tam znowu swoi byli komesami, i związków rodzinnych tak blizkich między rodzinami dwóch prawie oddzielnych państw wtenczas jeszcze być nie mogło, a co wyjątkowe pewnie było, to nie stanowi i nie może stanowić reguły. Dlatego fizyczne niepodobieństwo staje na przeszkodzie, żeby Gawareccy od Goworka Leszkowego pochodzili. Nadto wojewoda był herbu Rawicz, a Gawareccy pieczętują się Nałęczem. Ale zawsze do takich błędnych wniosków prowadzą domysły, li tylko na podobieństwie nazwisk oparte.

W tych drobiazgach mamy jeszcze dowód, że mylnie nasz prawoznawca Jan Kirsztein nazywany jest Cerazynem: z testamentu to jego widać. Pisze on, że spółuczniowie nadali mu tylko z niejakiéj okazyi nazwisko Cerazyna i żąda: „po synaczkach swoich," żeby zwali się Kirszteinami po dziadowsku. Następuje kilka nowych wypisów na dowód, że rodzina Kopernikow mieszkała w Krakowie za Jagiełły i Warneńczyka. Poznajemy tutaj mnicha Cystersa Kopernika i rodzinne jego stosunki. Wypisy te z akt odnoszą się do roku 1424, 1434 i 1438. Nowe to a bardzo ważne dowody dla rodowitości polskiéj Kopernika. Ciekawy też jest szczegół o uwięzieniu rajców krakowskich przez króla w roku 1403, za to, że go nie witali przed bramami miasta. Takich urywków pod alfabetem jest w Skarbniczce 48, a każdy z nich ma swoję niezaprzeczoną wartość.

Czy to już naprawdę ostatnie dzieło szanownego weterana archeologii?—nie sądzim. W przedmowie do Skarbniczki on sam pisze o sobie: „W poprzedniém dziele mojém zrobiłem pożegnanie się z piórem; przecież nawyknienie do miłéj pracy wzięło górę nad postanowieniem, i zebrawszy siły jeszcze wątłego wzroku, przejrzałem znaczną liczbę ksiąg archiwum krakowskiego." Nawyknienie to do miłéj pracy jeszcze raz się pewnie w szanownym starcu odezwie, i odezwać się musi, powinno, dla naszéj nauki i dla uwieńczenia nową zasługą, zasług tak poczciwego żywota.

26marca, 1854. *Julian Bartoszewicz.*

Prace Kommissyi Najwyżéj zatwierdzonéj przy uniwersytecie ś. Włodzimierza, dla opisania gubernij kijowskiego Naukowego Okręgu. Kijów. 2 tomy, 4ka. 1853 *r.*

Rok trzeci już upływa od zatwierdzenia przy uniwersytecie św. Włodzimierza kommissyi, złożonéj z professorów i innych wielu uczonych, dla opisania rozległych pięciu prowincyj składających okręg naukowy kijowski.

Mniemam, że choć pobieżny przegląd prac tych i celów jakie sobie kommissya ta założyła, a które w planach i programatach przez siebie ułożonych i wydanych rozjaśniła, będzie ciekawym i interesującym dla całéj publiczności, a uczonym naszym niejednę wieść z dziedziny nauk przyniesie. Przed laty trzydziestu uniwersytet wileński myślał o podobnych pracach. Jundzill i Eichwald z Wilna, a Besser i Andrzejowski z Kamieńca, niejednę exkursyą odbyli po Litwie, Wołyniu, Podolu i Bessarabii; prace też tych uczonych naturalistów są i dziś węgielnym kamieniem dalszych poszukiwań: bo choć dzisiejsi badacze wiele nowych rzeczy odkryli, a da-

wniejsze prace w niektórych miejscach poobjaśniali i podopełniali, wszakże zawsze są z wielkiém poważaniem dla tych dopiéro wymienionych mężów. Lecz myśl opisywania kraju pod każdym względem, tojest naturalnym, historycznym i statystycznym, w owych czasach dojrzéć nie mogła, i nikt prawie nie pomyślał o tém. Podole miało jednakże księdza Wawrzyńca Marczyńskiego, który napisał statystyczne, topograficzne i historyczne opisanie gubernii podolskiej, tomów 3, Wilno u Józefa Zawadzkiego, 1822 r. Jestto książka, która w niczém prawie nie odpowiada swemu tytułowi, a jednak mieści notatki ciekawe, na dziś już rzadkie, i opisujący miejscowość musi ją przejrzeć, już choćby dla samych nazwisk. Inne prowincye wydziału wileńskiego nie miały nawet takiego księdza. Lecz wracam do rzeczy.

Celem kommissyi o któréj mowa, jest opisanie pięciu prowincyj: wołyńskiéj, podolskiéj, kijowskiéj, czernichowskiéj i połtawskiéj. Ogromna ta przestrzeń kraju zwróciła na się myśl uczonych, a rząd wsparł to piękne i ważne przedsięwzięcie. Wykonane i już drukiem ogłoszone prace, świadczą z jaką gorliwością i zamiłowaniem nauki, uczeni kijowscy rzucili się na to nowe dla nich pole.

Przedewszystkiem zaczniemy od słów pana Bunge, uczonego sekretarza i sprawozdawcy z działań i prac kommissyi. „Przedstawiając niniejsze sprawozdanie, mówi pan Bunge, o działaniach i pracach kommissyi w ciągu dwuletniego jéj trwania; koniecznie wypada wspomnieć o celach téj instytucyi dlatego, że sprawozdanie to wykazać powinno stopień współczucia z jakiém przyjęta była myśl, która natchnęła to postanowienie, jak niemniéj i osiągnięte już rezultaty.

„W piérwszym paragrafie ustawy, nadanéj wolą Najwyższą, kommissyi przy uniwersytecie św. Włodzimierza utworzonéj, powiedziano: że celem jéj jest opisanie kraju składającego okręg naukowy kijowski pod względem statystycznym, przemysłowym, rolniczym i naturalnym: to więc wyjaśnia znaczenie i odrębność téj uczonéj instytucyi. Założona przy uniwersytecie, stanowi jego własność i mieści razem w sobie dwa główne warunki, które są koniecznemi w dopięciu podobnych celów i zamiarów naukowych. Piérwszym jest dobrowolne współpracownictwo uczonych; drugim czynna pomoc tych mieszkańców kraju, którzy są w stanie ocenić postęp nauk i umiejętności. Lecz instytucya ta ma jeszcze inne znaczenie dla uniwersytetu: służy bowiem za wyraz obudzonéj dążliwości ku dokładnemu poznaniu własnego kraju, nadto do uzupełnienia i zatwierdzenia wszelkich badań i poszukiwań. Uczony bowiem dzisiejszéj chwili, nie przestaje na rezultatach nauki podanych przez kogoś, lecz szuka i sprawdza wszelkie prawdy otaczającéj go rzeczywistości, i nie poprzestając na korzyściach, jakie mu nastręczają zebrane i wiadome już skarby wiedzy, stara się wzbogacać naukę nowemi odkryciami i złączyć jéj cele z celami życia bieżącego.

„Lecz aby działalność badacza odpowiadać mogła temu nowo rodzącemu się u nas ruchowi w naukach, koniecznie potrzeba, aby

pole dla dokładnych poszukiwań było przystępne i zupełnie swobodne; aby własności i cele tych prac uczonych mogły rozkryć i na jaw okazać znaczenie swoje, a tém samém obudzić ku sobie sympatyą i czynną pomoc oświeconych mieszkańców.

Ustanowienie kommissyi do opisania kraju rozwiązało to zadanie względem uniwersytetu: zostając bowiem pod wiedzą i opieką kuratora, który razem jest rządcą trzech gubernii, ułatwia uniwersytetowi tylostronne badanie kraju, w środku którego znajduje się sam uniwersytet. Pracujący nad statystyką mają otwarte skarby, od tylu lat nagromadzone, czekające oddawna uczonego pióra, które tyle obiecują nauce i poznaniu kraju.

„Nakoniec kommissya przyjmując na członków osoby nienależące do uniwersytetu w charakterze współpracowników, podała sposobność pracującym naukowo, poznania zblizka i w rzeczy„ te wszystkie przedmioty, które są najważniejszemi w opisywanéj miejscowości.

„Jakiekolwiek są rezultata dziś już osiągnięte przez kommissyą w ciągu dwuletniego jéj trwania, potrzeba przyznać, że była objawem prawdziwych potrzeb dzisiejszych, a wyrażonym tak w uczonych pracach, jako i w działalności ludzi oświeconych.“

Z tych kilku słów uczonego sekretarza i professora p. Bunge, można sobie wyobrazić, na jaką skalę kommissya opisowa swój plan osnuła; i rzeczywiście, nie było dotąd jeszcze instytucyi, któraby szérzéj i specyalniéj przedsiębrane opisy krajów i poszukiwania wykonać zamierzyła. Plan ten i ułożone programata, uderzają swoją jasnością i ogromem. Professorowie wypracowawszy ogólny plan, najstarann éj ułożyli programata; z tych niektóre już zostały obrobione i kilkanaście wielkich studyów drukiem ogłoszono, które niżéj wymienimy i wiadomość o nich podamy. Lecz ze statystyki, etnografii, geografii i historyi nic się jeszcze nie ukazało, tylko pan Bunge upewnia, że wiele materyałów i prac już gotowych czekają ostatecznego przygotowania i ogłoszenia; prace bowiem wszystkie przez członków podawane, wchodzą do właściwego komitetu redaktorskiego, wyznaczonego z professorów członków kommissyi, i po rozpatrzeniu należytém idą do druku.

Historya utworzenia i zatwierdzenia téj kommissyi jest następująca:

Dwaj professorowie Kesler i Rogowicz żądali uwolnienia kilkomiesięcznego, w celu udania się na Kaukaz dla poszukiwań naukowych. Uniwersytet to ich żądanie przedstawił ówczesnemu kuratorowi generałowi-adjutantowi Bibikow, który przyjął to żądanie względnie, lecz zapytał, czy nie byłoby lepiéj, iżby professorowie uniwersytetu zajęli się opisaniem gubernij składających okręg naukowy kijowski, a razem zażądał, iżby uniwersytet wygotował sprawozdanie objaśniające, w jakim są stanie prace opisowe tego kraju. Uniwersytet zaś przedstawił następujący raport:

„Natura gubernii kijowskiego okręgu niejednakowo jest zbadaną. Najczęściéj bowiem były zwiedzane i opisywane pod

względem historyi naturalnéj, trzy prowincye leżące po prawéj stronie Dniepru, tojest: wołyńska, podolska i kijowska, a to dla tego, że kraje te oddawna mieściły w sobie wyższe naukowe zakłady.

Gubernie kijowskiego Okręgu pod względem mineralogicznym i geologicznym dość są zbadane; pozostają tylko niektóre szczegóły potrzebujące specyalnych objaśnień. Większe lub mniejsze geologiczne badania znaleźć można w następujących dziełach: Rys botaniczny przez Antoniego Andrzejowskiego; Wilno 1822 r. Naturgeschichte von Lithauen, Wolhynien und Podolien von Eduard Eichwald, Wilno 1830 r. Conchiliologie fossile du plateau de Wolhynie et Podolie par M. Dubois de Montpereux, Berlin 1831 r. Polens Paleontologie von Georg Gotlieb Pusch. Stutgart 1837 r. Neues Jahrbuch v. Leonhard, (artykuł Blide). The geologie of Russia in Europa and the Ural Mountains by R. J. Murchison, London. 1845 r. i inne zoologiczne notatki tyczące się tych prowincyi, umieszczone są w pracach Eichwalda: Zoologia specialis i Naturhistorische Skizze. Andrzejowskiego kilka artykułów w Buletynach Moskiewskiego towarzystwa badaczów natury, Keslera Ornitologia rossyjska (1).

Ten krótki przegląd wykazał, jak daleko posunięte były prace opisowe rzeczonych prowincyj, a razem udowodnił, że nietylko dawniejsi professorowie uniwersytetu, a przedtém jeszcze byłego Liceum wołyńskiego, Besser, Zienowicz, i adjunkt Andrzejowski, lecz i dzisiejsi członkowie zgromadzenia uniwersyteckiego, professorowie Trautfetter, Kessler, Teofiłaktów, Rogowicz i ogrodnik Hochhut odbyli wycieczki po kraju niejednokrotne w celach naukowych. W czasie tych wycieczek zebrane zostały piękne i bogate kollekcye z trzech królestw natury, i wiele bardzo ważnych spostrzeżeń dla saméj nauki. Gdy uniwersytet przyznał, że opisowe prace otaczających go krajów, pod względem historyi naturalnéj i geologii, ciągle są wedle możności gorliwie naprzód posuwane; natenczas ówczesny kurator żądał, iżby i nadal professorowie wyłącznie się poświęcali uzupełnieniu opisów tych pięciu prowincyj, a bardziéj tych, które dotąd bardzo mało jeszcze badano, tojest gubernii za-Dneprskich, i aby ułożywszy plan stosowny, natychmiast rozpoczynali prace. Professorowie uniwersytetu bez odwłoki plan ułożyli.

Ogólny ten plan, w trzech wielkich oddziałach, mineralogii i geologii, botaniki i zoologii, jest pięknie pomyślany i odpowiadający

(1) Pod względem botanicznym, prowincye składające dzisiejszy okręg kijowski, równie posiadały znakomite już prace. Jundziłła Opisanie roślin w Litwie, na Wołyniu, Podolu, i Ukrainie dziko rosnących jako i oswojonych, Wilno 1830 r.; Bessera *Enumeratio plantarum hucusque* in Volhynia, Podol. Kijoviens. Bessarabia et circa Odessam collectarum. Wilno 1822, i Aperçu de la géographie physique de Volhynie et de Podolie; Eichwalda: Naturhistorische Skizze 1830 Wilna; Gildenstetter Reisen durch Russland i bezimiennego autora: Badania w przedmiocie rzeczy przyrodzonych w Galicyi, w Królestwie Polskiém, na Wołyniu i Podolu. Lwów 1845.

wymaganiom nauki w całym rozwoju. Każdy bowiem dział wielki rozłącza się na cztery lub pięć wielkich zadań, a te znowu rozpadają się na inne liczne studya, które dopiéro całość złożyć będą mogły. Każdy oddział nauk w planie ma: wstęp, systematykę, stosowanie; w mineralogii zaś jeszcze paleontologią, w botanice oddział geograficzny i rysunkowy. Zoologia zaś zawrze pięć oddziałów, tojest: wstęp, systematykę, anatomią, życioopisowość, geografią, w któréj będzie ze wszystkiemi szczegółami wypisane ogólne rozpostarcie się i miejscowy porządek siedzib zwierząt jednéj gromady, z wyłożeniem fundamentalnych przyczyn, zależących od klimatu, wegetacyi i zewnętrznego ukształtowania się okolicy.

Taki plan, jakkolwiek dobrze obmyślony, będąc wszakże jednostronnym, nie uzupełniał myśli ówczesnego kuratora; w opinii więc swojéj oświadczył on, że chociaż opis kraju wedle przedstawionego planu byłby pięknym, wszakże żąda, iżby była statystyka, geografia i historya. Tym sposobem powiększając ramy przedsiębranych prac, powiększono plan i wydano nowe dopełniające programata. Trzech professorów: Wernacki, Pawłow, i Stawrowski przedstawili dwa oddziały dodatkowego planu: I. opisania geograficznego i statystycznego, II. historycznego.

W piérwszym oddziale zamknęli sześć głównych kategoryj, i program siedmdziesięciu zadań, mających dopiéro złożyć całość. Sześć tych głównych kategoryj są: topografia, a w niéj topografia ziemi, astronomiczne oznaczenie miejscowości, wzniesienie nad poziom morza, stosunki i miara nachylania się ziemi ku słońcu, wymiar powierzchni, tojest obliczenie wszelkich wysokości i wklęsłości, geologiczne oznaczenie pokładów, skład ziemi czyli gruntów i ich rozległość, topografia wodna i klimat.

Oddział historyczny niemniéj ciekawy: I. Zbiór wiadomości, *a*) Zebranie wiadomości o czysto przedmiotowych pomnikach architektury, malarstwa, snycerstwa i rzeźbiarstwa. *b)* Badania zabytków obyczajowych. II. Historyczne badania wewnętrznego życia ludu: *a)* ze strony prawnéj, w stosunku do prawa cywilnego, karnego i ustaw państwa, nakoniec pod każdym względem prawnym, a tych autor wylicza jeszcze kilka; zresztą jeszcze wiele innych zadań trudnych, z których nie wiem jak się wywiążą ci, którym przyjdzie je opracowywać; w każdym razie jeśli zechcą opierać się na pisanych źródłach, będą musieli przewertować wiele ksiąg polskich: co im ułatwi pyszna biblioteka pod ręką i archiwa. Następują daléj plany z gospodarstwa i techniki. Po tych wszystkich przygotowawczych pracach, kommissya złożyła się i Najwyżéj zatwierdzoną została. Po takowém zatwierdzeniu przystąpiwszy do czynności, co do członków składających komitet następnie się organizowała: prezesem wyznaczony wice-kurator, rzeczywisty Radca Stanu Józefowicz, wice-prezesem rektor uniwersytetu uczony Trautfeter. Sekretarzem odznaczający się pracami statystycznemi Żurawski. Piérwszém zajęciem się kommissyi po uorganizowaniu się był układ i rozdział badań i przedmiotów, które się rozdzieliły na

stępnie: I. Oddział geograficzny: w tym geografia matematyczna i fizyczna. II. Oddział nauk przyrodzonych: mineralogia, geologia, botanika, zoologia. III. Przemysł, gospodarstwo, technika. IV. Statystyka.

W pierwszym roku towarzystwo to liczyło czynnych członków 39, honorowych 60, współpracowników 13; lecz w roku 1853 liczba członków czynnych doszła do 67, honorowych 71, współpracowników 22.

W 1853 roku zaszły niektóre zmiany w składzie kommissyi; między innemi sekretarz Żurawski, z powodu zdrowia usunął się, a miejsce jego zajął uczony Bunge, razem i redaktor wydziału statystycznego.

W długim spisie członków téj uczonéj kommissyi, czytamy nazwiska: M. Grabowskiego, Zienowicza, hr. Komorowskiego, hr. Jerzego Mniszcha, hr. Rzewuskiego, Rulikowskiego. Między współpracownikami umieszczeni są: pp: Belke, Manikowski, Regulscy i t. d.

W tym krótkim przeglądzie nie podajemy wszystkich ciekawych szczegółów, umieszczonych tak w sprawozdaniu p. Bunge, jako i w dwóch tomach wydanych prac; zwracamy tylko uwagę na najważniejsze rzeczy, aby nie wdając się w szerokie opowiadania, można było przecież wykazać cel i dążenie téj instytucyi: dlatego zwrócimy się do dania niektórych objaśnień co do wykonanych już przez kommissyą prac i wykonać się jeszcze mających, i już do ogłoszenia drukiem gotowych. W sprawozdaniu p. Bunge wymienione są wszystkie wycieczki po kraju dokonane przez uczonych professorów i naturalistów: Trautfetera, Keslera, Rogowicza i Teofilaktowa, a oraz obserwatora astronomicznego przy uniwersytecie Połuchtowicza i dwóch studentów, dla oznaczenia geograficznego miejsc rozmaitych, dotąd dobrze nie oznaczonych.

Z ciekawości zoologicznych, które zebrał pan Kesler, podajemy następujące.

Bobaki (Arctomys bobac. Pall,) nie znajdują się w takiéj liczbie w pięciu opisywanych prowincyach, jak to inni badacze opowiadają. Pan Kesler robi uwagę, że zwierzątka te ustąpiły dla dwóch przyczyn: już dobrowolnie, już dla ciągle wzrastającéj ludności; przynajmniéj wedle jego poszukiwań, bobaków nie ma ani w południowéj części Podola, ani w kijowskiéj i czernihowskiéj guberniach; w połtawskiéj w jednym tylko powiecie istnieją i tam mnóstwo widział tych zwierzątek p. Kesler.

Susłów znalazł dwa gatunki, a nie jeden: tojest susła centkowatego (Spermophilus guttatus) i susła grajka (Spermo. Menetr.): ten ostatni zupełnie szary. Oba te gatunki w niektórych miejscach mieszkają bardzo gromadnie, nawet ze szkodą pól i ogrodów, z tą tylko różnicą, że gdzie mieszka pierwszy gatunek, drugiego wcale nie ma, i wzajemnie.

Susłowi grajkowi chociaż przeznaczają za ojczyznę Kaukaz i brzegi Donu koło Rostowa, przecież on zajmuje całą południową okolicę półtawskiéj gubernii.

W półtawskiéj gubernii w dwóch powiatach: chorolskim i konstantynogradzkim, znalazł tak zwane zajączki ziemne, w dwóch gatunkach: Dipus jaculus i Dipus vexillarius. Ostatni okaz znaleziony był tylko na stepach między morzami Kaspijskiém i Aralskiém, a akademik Brandt twierdzi, że Dipus vexillarius jest tylko odmianą pierwszego.

W czernihowskiéj gubernii znalazł p. Kessler małą mysz, Mus betulinus, Pall. którą dotąd tylko w Syberyi znajdowano; a jedyny okaz tego zwierzątka, ile mu wiadomo, znajduje się tylko w muzeum akademii nauk w Petersburgu.

W Humaniu, w podziemnym kanale Cesarskiego ogrodu (niegdyś Zofiówki), znalazł kilka okazów nietoperza, należących do gatunku Vespertilio daubentoni, Leisl. Gatunek ten kiedyś był znaleziony przez Nordmana nad Dunajem, a raczéj przy ujściu.

Na Podolu, w powiecie bałtskim, znalazł p. Kessler niektóre ptaki, należące do najrzadszych i to południowych tylko gatunków europejskich, jakoto: Vultur fulvus, sęp szary; Falco cenchris, Naum., sokoł czerwony; i Aquila pennata, orzeł karlik. Piérwsze dwa gatunki mieszczą się na skałach dniestrzańskich, a ostatni w ślicznych dębowych zaroślach w okolicach Bałty. Dotąd więc nikt nie odszukał tych białych orłów, które się, wedle świadectw wszystkich mieszkańców nad-dniestrzańskich, na tych skałach gnieżdżą.

W lasach przyległych kijowskiéj i połtawskiéj gubernii, gnieździ się dość rozmnożona piękna muchołówka, Muscicapa parva; dotąd piękny ten ptaszek znany był w niektórych okolicach Węgier i południowych Niemiec, a znajduje się także w botanicznym ogrodzie odeskim.

P. Kessler zrobił wiele dziwnie ciekawych spostrzeżeń, przypatrując się obyczajom, życiu i organizacyi tarantuli tutejszéj, Lycosa sangarensis; powiada więc, że pająk ten znajduje się jeszcze pod $51\frac{1}{2}^{\circ}$ szérokości północnéj; że zarówno jak tarantula hiszpańska, jest ściganą od wielkiego owadu z rodzaju Calicurgus, który ukąszeniem odrętwia tarantulę, a złożywszy swe jaja pod jéj skórę, zakopuje w ziemię; i że tarantula buduje bardzo sztuczne schody czyli rodzaj wzniesienia nad swą norą, iżby w czasie powodzi ocalić się mogła. Zresztą przygotował całą monografią o tym pająku, tak w naszych prowincyach licznie rozrodzonym.

Znalazł także na Podolu jadowitą skolopendrę wielką (Scolopendra cingulata), która, będąc mieszkanką najcieplejszych okolic, zwykle ze skorpionem wycieczki odbywa, i jest jego nierozłączną towarzyszką.

Professor Rogowicz w exkursyach swoich zebrał z wielką starannością i umiejętnością mnóstwo najrzadszych roślin, i prace swoje już drukiem ogłosił.

Professor Teofilaktow zbadał wszystkie krystaliczne pokłady i formacye kijowskiéj gubernii od prawego brzegu Dniepru, oznaczywszy ich stosunek do pokładów i formacyj osadowych. Mówi więc, że gubernią kijowską pod względem geologicznym na dwa okręgi rozdzielić można: jeden, większy, składa się z formacyj krystalicznych; a drugi, mniejszy, z osadowych rozmaitéj dawności. Jeden i drugi przykryte są bardzo wielkim gliniasto-piasczystym zanosem, i dlatego skryta jest granica tych dwóch różnych od siebie okręgów. Nakoniec, dalsze postrzeżenia okazują, że granicą tych okręgów uznać można linię idącą przez Penzewicze, Bogusław, Korsuń, Horodyszcze i Kamionkę. Dlatego, mówi daléj, na mappie Murchisona, wschodnią granicę krystalicznych formacyj trzeba posunąć daleko wyżéj na wschód. Okręg krystaliczny ku północy, zachodowi i południu, łączy się z podobnemiż okręgami gubernii mińskiéj, wołyńskiéj, podolskiéj i chersońskiéj. Okręg zaś osadowy przylega do Dniepru.

W drugiém znowu miejscu, spotykamy tegoż samego professora bardzo zajmujące studya geologiczne nad Dniestrem. Wyjechawszy czółnem ze Żwańca koło Kamieńca, przejechał cztérysta wiorst aż do Kamionki. Mówi więc: „Dolina dniestrzańska, na przestrzeni od Żwańca do Kamionki, ma kształt zlanego osadu, który zalega rozmaicie od 1—3 wiorst. Ściany téj doliny najeżone są skałami, jużto nago i urwisto wiszącemi, już rozłożonemi i porosłemi. Wysokość szczytów, któremi jest dolina otoczona, stosunkowo prawie wszędzie jednaka. Stosunek skalisto-górzystego brzegu z łąkowym, stanowi uderzające zjawisko, a zależy na tém, że górzysty kolejno jest przepleciony łąkowym, a przechód z jednego w drugi formuje się stopniowo ukazywaniem się przy skałach wązkiego zielonego paska, który się rozszérza, potém znowu zwęża, i chowa się pod olbrzymie skały, co nowy skalny brzeg rozpoczynają, a to tak: że wysokość dwóch następnych brzegów kamiennych, łączy się mniéj lub więcéj oddalonemi od Dniestru, i łukiem ciągnących się wierzchołków, a górzyste brzegi w saméj ścianie doliny, formują jakby kąty ostre. Podobny układ charakteryzuje obie strony doliny, i bezustannie się powtarza, z tą różnicą, że górzyste brzegi jednéj ściany odpowiadają brzegom łąkowym drugiéj, i wzajemnie, i tylko bardzo rzadko obie ściany są skaliste, stromo lub zlekka rozłożone i mchem porosłe. Dniestr płynąc ciągle kręto, opłókuje stopy skał, kolejno prawéj lub lewéj strony.

Ściany doliny dniestrzańskiéj przedstawiają dwa tarasy, z których niższy wydatnie się odróżnia, i znajduje się nad pokładami formacyi przechodowéj, a wyższy nad pokładami krédowemi czyli niższemi członkami trzeciorzędnéj formacyi. Pokłady przechodowe formują urwiste bardzo ściany, innych zaś dwóch formacyj są mniéj więcéj rozłożyste.

Z lewéj strony dniestrzańskiéj doliny widać mnóstwo bocznych dolin i jarów; w niektórych płyną dość znaczne strumienie i rzeczółki. Zbadawszy kształt dolin i jarów, p. Teofilaktow przy-

pisuje im jednaki sposób formowania się: wynikły z ciągłego powiększania się, które się rozpoczęło od ścian samych, i stopniowo szło aż ku dzisiejszym wierzchowinom. Wielkość, a równie i początek każdego jaru dniestrowego, pochodzi jedynie od różnorodnéj grubości pokładów rozmaitéj formacyi, przeplatających się z sobą. Gdy się ściany rozwarły, to rozwarcie powiększając się na przestrzeni rozmaitéj, odkrywa mnóstwo źródeł, a ztąd wyrasta rzeczka; dlatego ostatni punkt jaru i doliny, znajdujący się w saméj ścianie Dniestru, jest samym początkiem i jaru i rzeczki, czyli, jest koniecznym punktem nastąpionego sformowania się tych obu. Ze zniszczeniem lub wznowieniem koniecznych warunków do dalszego powiększania się doliny lub jaru potrzebnych, niszczy się lub wznawia następnie wsteczny ruch obydwóch. Stosując to twierdzenie do saméj rzeki płynącéj doliną, znajdziemy, że dzisiejszy jéj początek jest ostatnim punktem jéj powiększania się, a samo ujście jest właściwie początkiem rozwinięcia się rzeki. Następnie ruch rzeki, przy jéj powiększaniu się, był wstecznym; powiększanie się zaś było skutkiem ciągłego odkrywania się źródeł.

Opierając się na tych twierdzeniach, znika konieczność przypuszczania rozmaitych wysokości przy początkowym biegu rzek, skutkiem których rzeka płynie szybko lub zwolna. Różnica bowiem ta może tylko miéć miejsce w pewnych okolicach, lecz nie jest warunkiem koniecznym, gdyż warunki pochyłości, sprzyjające biegowi wód, stosują się do formy łożyska, u nie do początku rzeki.

Wszakże p. Teofilaktow dalekim jest twierdzenie wyżéj wyłożone stosować do wszystkich w ogólności łożysk rzecznych; mówi tylko o łożyskach dniestrowych bocznych. Do tych zaś twierdzeń doszedł p. Teofilaktow badaniami nad uformowaniem się łożysk i jarów bocznych Dniepru i Rosi.

W dolinie dniestrzańskiéj są granity nagie koło Ożewa, Mohilewa i Jampola; a zatém granity zjawiają się na linii równoległéj naszego granitowego skraju, w tym więc kierunku płynie i Dniestr, zacząwszy od Ożewa.—Daléj prowadzi rzecz o formacyi dniestrowych ścian doliny, i szczegółowo objaśnia, a ztąd twierdzi, że dźwińska formacya powstała tu w jednym czasie.

Z tych wszystkich prac, trudów, exkursyj i studyów, ułożono dotąd dwa wielkie in 4-to tomy, które na świat wyszły. Tom piérwszy zawiéra następujące rozprawy i prace:

Z botaniki: O roślinno-geograficznych okręgach czyli prowincyach europejskiéj Rossyi, z mappą; przez rektora uniwersytetu i wice-prezesa kommissyi, Trautfettera.

O juraicznych i krédowych pokładach kijowskiéj gubernii, przez Teofilaktowa.

O formacyach krystalicznych gubernij: kijowskiéj, wołyńskiéj i podolskiéj; przez tegoż.

Zwierzęta ssące gubernij okręgu kijowskiego; przez Kesslera.

Ptaki drapieżne, kurowate i wróblowate w trzech rozprawach, przez Kesslera.

Plan statystycznego opisania gubernij kijowskiego okręgu, przez Żurawskiego.

Tom drugi:

Przegląd naturalnych familij wchodzących w skład flory kijowskiego okręgu; przez Trautfettera.

Ptaki brodzące i wodne; przez Kesslera.

Zwierzęta ziemnowodne; tegoż.

O dziko rosnących lekarskich roślinach w połtawskiéj gubernii; przez Augustynowicza.

O podziale familij w Małorossyi; przez Tarnowskiego.

Opisanie starożytnych rossyjskich monet w muzeum uniwersyteckiém, które znaleziono w wykopalisku w Nieżynie w r. 1852; przez Wołoszyńskiego.

Sprawozdanie przez p. Bunge.

Takie są prace kommissyi ogłoszone drukiem. P. Bunge, sekretarz i sprawozdawca, oświadcza, że wiele innych rozpraw i badań w każdéj gałęzi, podług planu wypracowanych, już są gotowe i do druku podane; będziemy więc mieli wkrótce nową seryą, równie ważną, równie piękną i pełną zasług w nauce. Lecz radzibyśmy oglądać prędzéj studya statystyczne, przemysłowe i historyczne, gdyż dotąd tylko same plany, programata i zadania wspominane są. Nie wątpimy wszakże, że się ukażą i wywołają wspomnienia zaszczytne.

Kraj więc nasz zyskał środki ku poznaniu siebie zewnątrz i wewnątrz; zyskał wiele, bo na téj podstawie rozwinąć się może wszystko, i przyśpieszyć kroku w oświacie i dążeniu ku zamiłowaniu prac i trudów, ścisły związek z nauką mających. Chodzi tylko o to, abyśmy, niosąc współczucie i pomoc téj instytucyi, wspiérali ją współpracownictwem i krytyką. Tak poważne i uczone zgromadzenie, tém bardziéj nie odrzuci krytycznych wszelkich uwag i spostrzeżeń, ponieważ z natury saméj rzeczy powołuje się na światło i doświadczenie mieszkańców tych prowincyj, o które rzecz idzie.

Dnia 4 lutego 1854 r.

J. W.

Roczniki Orzelskiego.—Policya St. Orzechowskiego.

Staraniem i nakładem Tytusa hr. Działyńskiego wyszło znowu kilka bardzo szacownych dzieł w Poznaniu. Piérwszém z nich są Roczniki rodziny Orzelskich, przez Jana Orzelskiego kasztelana rogożeńskiego, starostę kosteńskiego, w r. 1611 spisane w języku łacińskim. Wydawca, posiadając w kurnickiéj bibliotece swojéj

autograf tych roczników, wydał je ozdobnie i bardzo starannie w wielkiéj 4-ce u Ludwika Merzbacha w Poznaniu, 1854 r. Ważniejszą jeszcze publikacyą jest: „Stanisława Orzechowskiego policya królestwa polskiego, nakształt Arystotelesowych polityk wypisana, i na świat, dla dobra pospolitego, trzemi księgami wydana." Znającym choć cokolwiek literaturę polską, dobrze jest wiadomo, jakie miejsce zabiéra w niéj pisarz XVI wieku, Stanisław Oksza Orzechowski. Z licznych dzieł jego, które, z bardzo małym wyjątkiem, wszystkie niemal pisane są w języku łacińskim; Policya niniejsza, piękną i prawdziwie wzorową polszczyzną napisana, ukrywała się aż dotąd w rękopismach. Miał ją w bibliotece swojéj wydawca, i o inne tego dzieła rękopisma postarawszy się, i takowe ze swojemi porównawszy, wydał z różnicami tekstu i potrzebnemi objaśnieniami w wielkiéj 8-ce. W całym tekscie zachowana jest stara, XVI wieku pisownia, dość konsekwentnie przeprowadzona. Między dołączonemi rycinami widzimy na czele litografowany wizerunek Zygmunta Augusta, z podobizną podpisu. Temuto królowi Orzechowski dzieło swe poświęciwszy, mówi do niego między innemi tak:

„Pisałem Najjaśniejszy a miłościwy królu Policyą królestwa Polskiego nakształt sławnych onych i ode wszystkiego świata uwielbionych Arystotelesowych polityk, na troje ksiąg rozdzieloną. W piérwszych księgach pokazuje się we wszystkich członkach swych stan i ciało królestwa polskiego, tak, jako ono od Chrobrego Bolesława króla polskiego, przez wszystkie króle polskie do chwalebnych rąk Waszéj Królewskiéj Mości przyszło. We wtórych księgach pokazuje się przyczyna odmiany ciała tego polskiego, za którą przyczyną królestwo polskie ku skończeniu swemu już idzie. Ale do połowicy przyszedłszy ksiąg tych, w których mając wszystko pogotowiu, stanąćem musiał, ani daléj postąpić bez rozkazania Waszéj Królewskiéj Mości, które gdy będę miał, i w tych wtórych księgach, za pomocą Boską pokaże się jaśnie téj odmiany królestwa polskiego przyczyna. I trzecie téż księgi téjże Policyej, za rozkazaniem Waszéj Królewskiéj Mości, koniecznie się wyprawią."

Piérwsza księga obejmuje rozdziałów 31. W drugiéj księdze, jak ją dziś mamy, jest tylko 11 rozdziałów, a w końcu ostatniego następuje „ku bojaźliwemu czytelnikowi" domówienie autora:

„Nie wątpię, czytelniku miły, iż po przeczytaniu części piérwszéj téj Policyej, żądościw czekasz odemnie ostatka, w którym znacznie się pokazuje zaćmienie słońca onego, które nam przedtém w Polsce świéciło; które, iż się wszystko zaćmiło, w okrutnych a prawie w egipcyańskich ciemnościach, my Polacy dziś żywiemy, i w nich zginiemy, jeśliże Pan Bóg nad nami się nie zlituje. Ale iż prawda ludziom u nas w Polsce przykra jest, a kacerska nieprawda silno się u nas wzmocniła: ustąpić na ten czas muszę czasom cnocie nieprzyjaźliwym, czekając rozkazania urzędu wyższego. Za którém, nic nie mieszkając, wydam ku czytaniu tobie to, com przy sobie doma zadzierżał. A wszakoż, jeśliże ostatka tobie téj

Policyej, czasom folgując, nie wydam; wiedz o tém, iż to po śmierci mojéj doma u mnie, w Żurowicach, w przemyślskiéj ziemi znajdziesz, i to czytać będziesz, czegoć teraz, za żywota swego, grzbietowi swemu folgując, nie posyłam. A z tém bądź na mnie łaskaw, a to wdzięcznie odemnie przymi, coć na ten czas ku twemu dobremu dodam.—Dań z Żurowic, w ojczystéj wiosce mojéj, 15 die aprilis, lata Bożego 1566."

Dzieło to, zalecające się w wysokim stopniu powagą przedmiotu swego i pięknym, potoczystym, a jasnym wykładem, który poniekąd za wzór dzisiejszym naszym filozofom służyć może; co do swoich dążności błędne jest i nijakie. Orzechowski, który niedawno od duchowieństwa polskiego postraszony, do królewskiéj Zygmunta Augusta władzy uciekał się, dowodzi teraz temuż Zygmuntowi w swojéj Policyi, iż on, jako król, nie jest w Polsce najstarszym, ale starszy od niego jest arcybiskup gnieźnieński, a jeszcze starszy jest papież. Czytając tę książkę, nie można odmówić trafności zdaniu jednego z bardzo światłych i zasłużonych naszych rodaków, który powiedział: „Teorya Orzechowskiego podobna do japońskiéj: pokazuje mimo woli autora, do jakiego obsurdum może doprowadzić teokratyczna dążność nibyto pokutujących grzeszników."

Takąto teoryą w książce swéj, Zygmuntowi Augustowi poświęconéj, wyłożywszy, gdy przyszło do jéj zastosowania (które w księdze drugiéj i trzeciéj następowało, i gdzie, jak to już w początku drugiéj widać, z całą zaciętością na różnowierców powstawał); wstrzymał się Orzechowski z publikacyą téj części, i chciał, aby go piérwéj sam król upoważnił do jéj publikowania swoim rozkazem: czego, jak widzimy, rozsądny i wyższe pojęcie o celach społeczności mający Zygmunt, uczynić nie chciał. Urywa się więc w owych rękopismach na jedénastym rozdziale księgi drugiéj to dzieło, a czy dalsze półtoréj księgi Policyi, niegdyś w Żurowicach u autora przechowywane, znajduje się gdzie jeszcze? — nie wiemy.

ROZMAITOSCI.

Myśli i wrażenia z wystawy Cesarskiéj Akademii sztuk pięknych w Petersburgu.

„Poczucie piękna, tylko wzniosłych dusz jest udziałem.„
(Żukowski).

Nieraz zadawałem sobie pytanie, na które trudno mi było znaléźć zadowalniającéj odpowiedzi: dlaczego u nas tak niewiele dotąd piszą o sztuce i artystach? Powiadam że piszą niewiele; lecz wyrażenie to zbyt jest nawet pochlebne: gdyż możnaby rzec śmiało, że prawie nic nie piszą. Czyż posiadamy naprzykład życiorysy celniejszych naszych artystów, jak Ugriumowa i Jegorowa, założycieli szkoły naszego historycznego malarstwa, lub ich utalentowanych uczniów, Kiprieńskiego, Briulowa? Czy opisano i rozpowszechniono wiadomości o ich utworach? Cóż dotąd wiemy o Martosie, Galbercie lub Orłowskim (1)? Czyż kto ocenił gmachy, wystawione przez Kokorinę, Woronichina, Stasowa i tylu innych? Czy nawet znamy z nazwiska ludzi, z których nam prawdziwa urasta chluba? Zapytajcie mieszkańców Petersburga: kto stawiał sobory kazański, troicki, włodzimierski? Czyjego są pędzla mistrzowskie tych świątyń obrazy? Kto wystawił gmach akademii sztuk pięknych, giełdy, admiralicyi? Dziewięć dziesiątych towarzystwa mającego pretensyą do wyższego ukształcenia, odpowié ci, nie rumieniąc się, że tego nie wié. Lecz za to doskonale pamiętają opery Mozarta, Belliniego, Rossiniego, Donizettego, Bethovena; wiedzą kto robił plany na Louvre i Tuilleries. I czémże się to tak dzieje? Czy to nie obojętność ku rodzinnym talentom, i, co z przykrością przychodzi wyznać, ku ojczystemu postępowi? Odpycham tę myśl od siebie, zbytnie bowiem obraża godność narodową. Myślę raczéj, że... Ale dajmy pokój, niechaj na to każdy co chce powié. Bądź co bądź, zamilczanie o współczesnym postępie w dziedzinie sztuki, zdaje się bardzo niestosownem. Dla téjto i dla wielu innych

(1) W pismach polskich znaléźć można obszerniejszą o nim wiadomość. Drukujący się obecnie zeszyt „Pamiętnika sztuk pięknych," zawiéra kilka ważnych w tym względzie materyałów. *(Przyp. tłum).*

przyczyn, znów biorę pióro w rękę, aby się z czytelnikami podzielić wrażeniami, jakie z wystawy akademickiéj wyniosłem.

Nie jestem znawcą, ani też artystą; nie śmiem i nie mogę sądzić obrazu z piérwszego rzutu oka, a tém bardziéj ocenić dwieście z górą artystycznych utworów: i dlatego czekałem dość długo, ażali mnie kto, bardziéj w téj mierze kompetentny, nie wyręczy. Lecz czekałem napróżno; przeto zechcijcie darować i opóźnieniu się mojemu i niedoskonałości sądu. Może się znajdzie niejeden, co sobie w duchu przynajmniéj powié: „A co nam do twoich myśli i do twoich wrażeń? Lepiéjbyś uczynił, opisując bez wyjątku wszystko, coś widział na téj wystawie." I słusznémby może było poniekąd podobne żądanie; ale wierzcie mi, proszę, że stokroć łatwiéj chciéć, aniżeli spełnić. Podobny szczegółowy opis, utworzyłby dość sporą książkę; a gdybym jeszcze to wszystko suchym, urzędowym opisał stylem: znudziłbym tylko czytelnika, nie dawszy mu poznać prawdziwych sztuki utworów. Potrzebaby nadto do tego sił, śmiałości i czasu podostatkiem: czyli mówiąc krótko i węzłowato, każdy to czyni, co może, a nie to, co się innym przywidzi. Co do mnie, starałem się głównie zwrócić uwagę powszechną na prace uczniów akademii, będące najlepszym dowodem naszego postępu w sztuce. Piérwsze miejsce i główna wdzięczność należy się tu od miłośników sztuki professorowi Markow: albowiem obrazy jego uczniów, tak pod względem liczby, jakotéż i wykonania, stanowiły jednę z piękniejszych ozdób wystawy. Przemilczając o dziełach tych, którzy tu już w charakterze mistrzów i akademików występują, zwrócimy jedynie uwagę na obecnych jego uczniów, których liczba tak wielka, iż w jednéj sali możesz napotkać po kilka ich obrazów. Tak naprzykład w drugiéj sali starożytnéj, gdzie zwykle bywają wywieszane obrazy historyczne, na zadany temat malowane, z jedénastu przypada ośm na uczniów p. Markowa. Bardzo słusznie, iż się przy téj sposobności spytacie o rodzaj ich wykonania; ale fakt sam będzie tym razem wymowniejszym od wyrazów: akademia uwieńczyła większą ich część złotemi medalami i akademickiemi stopniami, odwiedzający zaś licznie wystawę, głośnemi pochwałami i silném współczuciem obdarzyli.

Idziemy porządkiem; oto obraz piérwszy: Śmierć Hektora, wykonany na zadany temat przez p. Ilińskiego, który w roku zeszłym dał nam się poznać z pięknéj etiudy z natury, oraz dwóch kobiécych portretów, odznaczających się wielką poprawnością rysunku. Jeżeli spoglądać będziemy bezwzględnie na rzeczony obraz, nie uważając, kto go, kiedy i w jakim celu malował: to bezwątpienia znajdziemy w nim wiele wad i niedokładności. Nie rozumiem naprzykład, dlaczego dano mu nazwę: Śmierć Hektora? Nierównie właściwiéj byłoby go nazwać Opłakiwaniem Hektora, albo też Płaczem Andromaki za Hektorem. Drugą wadą mocno bijącą w oczy jest brak pełności w obrazie: zabity Hektor leży na śmiertelném łożu, a przy nim Andromaka tylko, więcéj nikt a nikt: jak gdyby nie miał ani krewnych, ani przyjaciół,

krom żony, ten filar ojczyzny, najmilszy syn licznéj rodziny, zapomniany i porzucony od wszystkich. Dlaczegoż stary Pryam uniżył się przed zabójcą ukochanego syna? To nie tak było: Hektora wszyscy płakali. Daléj: Andromaka blondyna, bardziéj na Angielkę zakrawa, jak na córę nadobną Małéj Azyi. Wyobrażenie Hektora, zgodnie z wymaganiami pseudo-klassycznéj szkoły, która w sztuce nie dozwalała czynić obrażeń rażących zmysły, byłoby dobrém; sprzeciwia się jednak dzisiejszemu zwyczajowi, grzeszy bowiem pod względem prawdy historycznéj. Czyny i śmierć Hektora znane nam są z Iliady; Iliada zaś opiéwa, że zabity przez zapamiętałego Achillesa, i do jego wozu przywiązany Hektor, był wleczony po rozległém polu bitwy, i w ten sposób został przyciągniony do namiotu swego szybkonogiego zabójcy: tém samém więc ciało jego nie mogło pozostać bez uszkodzeń, tak jak je właśnie odmalował p. Iliński. Następnie, w Iliadzie powiedziano, że Achilles zadał mu w szyję ciężką ranę włócznią, że wielu Greków, dziwiąc się olbrzymiéj budowie ciała Hektora, powalonego o ziemię, zmarłego już, dzidami swemi kłuli; że dziki mściciel śmierci Patrokla, przez łydki jego rzemienie przeciągnął, aby niemi martwe ciało do wozu przywiązać; że piasek z kurzawą zapadłszy na krew, spiekły się na ranach! Artysta, nie obrażając piękności ciała ulubieńca Feba i Afrodyty, winien był oddać to wszystko w swym obrazie; a bynajmniéj nie rażąc przez to zmysłów, byłby mu więcéj prawdy przydał. Możnaby tu jeszcze i tę uczynić uwagę, że twarz Hektora poległego w tak dalece zapalczywéj bitwie, że aż się nią mieszkańcy górnego obruszyli Olimpu: nie mogła zachować spokojności, która się na obrazie maluje; powinny się na niéj wypiętnować wszystkie gwałtowne uczucia, niewątpliwie miotające bohaterem w chwili śmierci. Jeśli znów patrzéć będziemy na ten obraz jako na utwór ucznia, mającego jeszcze przed sobą całe lata pracy: odmienny o nim sąd wydamy. Znać tu, że Hektor już martwy, a ciało jego niepomierną musiało być obdarzone siłą. Śmierć przebija tu we wszystkiém: tak w kolorze skóry, jako i w zdrętwiałych członkach; łzy Andromaki tak są szczére, ona sama na duchu tak upadła, tak bez nadziei strapiona, iż na jéj widok żal cię za serce chwyta—zapłakać nawet gotów jesteś.

Na podobny temat wykonany obraz przez pana Pleszanowa (ucznia professora Bruni), daleko znów pełniejszy od poprzedzającego; oprócz Andromaki, przedstawieni są: stary Pryam, Hekuba i Astyanax. Postawa Pryama i wyraz jego twarzy, wyborne; ta figura udała się najlepiéj z całego obrazu. Starzec stoi oparty o wezgłowie łoża, wytężywszy wzrok tęskny na martwe ciało syna; nie jestto jednak owa płomienna boleść, wyrażona na twarzy młodéj i nieszczęśliwéj wdowy: to raczéj myśl smętna, co się do głowy tłoczy, na wspomnienie, że ta śmierć nieszczęść całego królestwa jest zwiastunką. Andromakę moglibyśmy posądzić o niestosowność ubioru: w tak okropnéj chwili zbyt nam się staranném zdaje jéj odzienie. Naprzykład wcale tu nie na swojém miejscu dyadem

i inne ozdoby z drogich kamieni. Najgorszym jednak jest sam Hektor; wygląda jakoś bardzo niepozornie: cienia tu nawet niéma jego wielkiego wzrostu i dzielnéj postawy, a zresztą mało na nim znać śmiertelności.

Ucieczka Przenajświętszéj Rodziny do Egiptu, służy nam za dowód, że p. Wejdemann z korzyścią ukończył ubiegły rok akademicki. Jakże ogromna zachodzi różnica między tym obrazem, a znajdującym się na zeszłorocznéj wystawie ś. Janem, opowiadającym słowo Boże na pustyni. Trudno wymagać od młodzieńca, aby malowane przezeń twarze Zbawiciela lub Matki Boskiéj były bez zarzutu; jestto trudność, o którą się i talent doświadczonych nawet rozbijał artystów; całkiem atoli zganić malowidło p. Wejdemanna trudno. Postawa Matki Zbawiciela ma w sobie dość godności i świętości, ale brak w niéj owéj siły, cechującéj ważność Jéj posłannictwa: tu ona tylko Matką Boga-człowieka. W twarzyczce Boskiego niemowlęcia znać jakąś zwykłą ludzką tylko przenikliwość, ale nie ową nadprzyrodzoną potęgę, przed którą pierzchali dzicy synowie pustyni, nawykli do łupieztwa. Zbyt trudném było dla młodego jeszcze artysty wywiązać się w zupełności z tego pięknego zadania. Doskonale on uwydatnił jednę jego stronę: strach, przerażenie i ucieczkę ludzi, którym przedtém strach był obcy, gdyż oni sami są strasznemi. Patrząc na gruppę uciekających rozbójników, poznajesz, że tak ogarnieni są strachem, iż się nawet poza siebie obejrzéć nie śmieją; ale gdy się bardziéj wpatrzysz w szczegóły obrazu, musisz dopiéro odgadywać przyczynę tego przerażenia; a to dlatego, że w twarzy młodego Zbawiciela nie ma nic strasznego: nawet blask bijący od głowy, pozbawiony jest świetności i przenikającéj potęgi. Dla widza niedość, że się tak lub owak dzieje; obchodzi go także przyczyna wypadków. Święty Józef patrzy się na to wszystko ozięble jakoś i niewymownie, bo nie jest napiętnowany żadném wyższém uczuciem, któreby go winno było przenikać na widok takiego cudu.

P. Sołdatkin, także uczeń professora Markowa, pojawia się piérwszy raz na wystawie z obrazem historycznym. Dotąd popisywał się tylko z swemi studyami z natury; a choć były dobre, zawsze jednak były jedynie studyami. Obecnie wykonał obraz historyczny: Fidyasza, pokazującego Peryklesowi posąg Minerwy. Przedmiot to, jak widzimy, wymagający zastanowienia się i wysokiego stopnia znajomości dziejów. Oprócz przejęcia się stroną techniczną sztuki, artysta powinien dobrze rozumiéć epokę tego wypadku. Kiedy w Atenach upadła prawie cześć innych bogów, jedna Pallada nie utraciła ich wiary; artysta winien był pojąć i ocenić stanowisko Peryklesa w rzeczypospolitéj, jego stosunek do ateńskich stronnictw i do Fidyasza. To, co w chrześciańsko-religijnych obrazach ma miejsce pod wpływem uczucia i chrześciańskiego namaszczenia, co dzieje się za popędem serca, które nieraz lepiéj kieruje pędzlem artysty, aniżeli rozum: tu wymaga gruntownéj znajomości faktów, nie dorywczéj, ani pochwyconéj w chwili

zaciągania płótna na ramę, ale tak dalece przetrawionéj, iżby się w niéj malarz mógł zagłębiać, jak kiedy zwykłe z siebie myśli wysnuwa. Pod tym względem, obraz p. Sołdatkina nie może zadowolić surowéj krytyki; lecz i ta ostatnia niéma jeszcze powodu być dla niego surową. Toć on uczniem dopiéro; a zresztą, znać po jego obrazie, że jeśli autor niezupełnie pojął daną epokę, to przynajmniéj odgadł charakter myśli i osób. W profilu, posąg Minerwy ma wejrzenie surowe; Fidyasz śmiało oczekuje bezstronnego sądu słynnego znawcy sztuk pięknych. Perykles zadziwiony tak pięknem wykończeniem znakomitego ideału, z zachwytem gieniuszu spoziéra na gienialny utwór; tylko, mniemam, owe teatralne podniesienie rąk w górę, wcale nie na swojém miejscu. Gdybyto w świątyni Perykles stał przed Palladą, byłaby rzecz inna: w zapale modlitwy mógł był podobne uczynić poruszenie; lecz tu nie staje on w charakterze Greka przed bóstwem mądrości, lecz jako znawca i sędzia przed dziełem sztuki. Twarz Aspazyi dobra, ale reszta figury przedstawia jakąś suchotnicę, wcale nienadobnéj postawy. Taka kobiéta nie mogłaby zachwycać estetycznego Peryklesa, nie zdołałaby pociągnąć ku sobie miłością Ateńczyków, hołdujących plastycznéj piękności. Za Aspazyą stoi Sokrates, udatny i bardzo na swojém miejscu: patrząc na figurę, czyni nad nią uwagi i objaśnienia jednemu z swych uczniów, zdaje się Alcybiadesowi; twarz młodzieńca wyraża natężenie myśli i chęć pojęcia wykładu filozofa. Między Fidyaszem i Peryklesem umieszczona jedna jeszcze osoba: to poseł ze stronnictwa przeciwnego Peryklesowi. Zapał czyni mu trudném zbliżenie się do rozmawiających, dlatego podejrzliwe rzuca spojrzenia na Sokratesa i Aspazyą, tych przyjaciół Peryklesa, spokojnie przyglądających się Minerwie; w duszy jego dojrzewa już zamiar oskarżenia. Ta postać tak jest charakterystyczną, iż żadnego nie wymaga objaśnienia. Nie zawadzi wyrzec słówko i o słudze Fidyasza: piękność podziwianego utworu czyni go, zdaje się, bardziéj nawet dumnym, aniżeli samego mistrza.

Uważam zbytecznem mówić o drugim podobnym obrazie. P. Wołkow całkiem nie pojął zadania: Perykles wygląda na przestraszonego leniwca, który co się zowie opuścił ręce. Za nim kobiéta jakaś: czyżbyto miała być historycznego sprytu i piękności Aspazya, któréj wdzięki na samego nawet oddziaływały Sokratesa? Wątpię, bo takie straszydło nie dostąpiłoby téj chwały. Przyznać trzeba, że zeszłoroczny obraz p. Wołkow, Powszechny potop, bez porównania był lepszy od teraźniejszego.

P. Marenschild, uczeń Markowa, wymalował Anioła, zwiastującego pasterzom narodzenie Zbawiciela świata. Obraz ten wiele posiada zalet; najbardziéj jednak przekonywającą cechą talentu i znajomości sztuki młodego artysty jest odmienność uczuć, piętnująca się na twarzach prostych ludzi, którym najprzód było przeznaczoném dowiedzieć się o ziemskiém posłannictwie Syna Bożego, i usłyszéć tę dobrą nowinę z ust aniołów świętych. W gruppie pasterzy wyborna plastyczność form; zdaje się, iż na

żywych patrzymy ludzi. Na ich twarzach jakiś pobożny strach, który ich nie szpeci, ale owszem większéj dodaje im siły, obudzonéj objawieniem się różnorodnych uczuć: i wielkie zadziwienie, i ogromną radość, i wszystkie te uczucia cieniują się odmiennością wzrostu, fizyonomii i stopniem zrozumienia, a raczéj niezrozumienia tego, co się wokoło nich dzieje. Szkoda tylko, że młody malarz nie nadał twarzom historyczno-miejscowego typu: ci ludzie wyglądają jak gdyby się zeszli z przeróżnych stron świata, a Rossyan pomiędzy niemi najwięcéj. Mało potrzeba, aby téj wady uniknąć: trochę znajomości rzeczy łacnoby temu zaradziło. Oglądając ten obraz, słyszałem jedno jeszcze zdanie, tyczące się anioła. Podług krytyki, anioł powinien wskazywać na gwiazdę, którą tu p. Marenschild umieścił w równi z jego plecami, i do tego z tyłu. Zdaje się mylném to zdanie: malarz bowiem obrał właśnie tę chwilę, kiedy tylko-co głosem anioła przebudzeni pasterze, napoły jeszcze leżący, usłyszeli pieśń niebiańską: „Chwała bądź Panu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom..." Wskazanie gwiazdy byłoby już chwilą następną, kiedy pasterze, powstawszy, przypatrywaliby się gwiazdzie, którą trudnoby im było nie spostrzedz, żyjąc prawie ciągle pod gołém niebem. P. Marenschild dał nam jeszcze, prócz tego obrazu, cztéry portrety, odznaczające się niezwykłą wypukłością form, ale niemiłe w kolorach.

Temat: Estera przed Artaxerxesem, bardziéj może niż inne, według mego zdania, jest odpowiednim dla uczniów. Estera, kochająca swój naród i bolejąca nad jego nieszczęściami, widząc grożącą mu zagładę i idąc za namową swojego wuja i opiekuna, odważyła się ująć krzywdy ludu Izraela, i stanąć przed obliczem surowego króla i małżonka. Wiedziała, że każdy, ktoby wszedł doń bez jego wiedzy, podpadał karze śmierci; królowa wchodzi jednak do komnat władcy, i nagle spotyka dwa złowieszcze spojrzenia: surową twarz króla i złośliwą postać Amana, wroga Hebrajczyków i Estery. Wrodzona słabość niewiasty ulega pod wielkością posłannictwa: przedstawczyni ciemiężonego narodu omdlewa, a służebne ją podtrzymują. Ale nad nią czuwa miłosierdzie Boże: jéj piękność i przestrach zmiękczają surowego monarchę, który w dowód łaski dotyka jéj się berłem: wtedy już nie było niebezpieczeństwa, i Estera mogła śmiało mówić. Oto chwila przedstawiona na obrazie. Tak nam ten fakt opisują dzieje; zobaczmy zaś, co nam powiedzą obrazy pp. Martynowa i Weniga, uczniów professorów Markowa i Bruni.

Na obrazie piérwszego, Estera cudnie jest piękną: na jéj foremném, delikatném i typowo-hebrajskiém licu maluje się dobroć, czułość, miłość, pokora, śmiertelną przyobleczone bladością. Upada prawie, ale ją ręce cztérech wiernych służebnic podtrzymują: purpura zsuwa się jéj z ramion; prześliczne jéj osłabione ręce są obnażone; przezroczysta i lekka szata dozwala przejrzéć rozkoszne i nadobne kontury ciała:—jest prawdziwie czarującą. Nie dziwimy się wcale, że groźny Artaxerxes spieszy ją uspokoić, i zstę-

puje z tronu, aby jéj się końcem berła swego dotknąć; w oczach jego przebija płomień rozkoszy i miłości. Jedna z służebnic przyklęka, aby królowę ująć za ręce, jeśliby się nie była w stanie na nogach utrzymać, i aby jéj nie dopuścić upaść na ziemię: twarzy jéj nie widać; druga pochwyciwszy rękami padającą, z trwogą, przestrachem i nadzieją na króla pogląda. Ileż dziécięcego przywiązania i duchowéj czystości w tém wejrzeniu! Ta twarz jest nadzwyczaj miła. Ale jest tu jeszcze jedna postać, nieodbicie potrzebna dla dopełnienia całości obrazu: każdy pozna w niéj Amana. Na jego twarzy, malarz połączył szczęśliwie dwa wprost przeciwne sobie uczucia: skoro Aman dostrzegł gniéw królewski, przybrał tak tryumfujący wyraz twarzy, że go nawet nie zmienił w chwili dostrzeżenia łagodniejszego uczucia w swym władcy. Choć to się niezawsze i doświadczonym udaje artystom, p. Martynow nader trafnie uwydatnił ową walkę popędów serca i duszy. Niektórzy ganią w tym obrazie zbyt lekkie Estery ubranie, mieniąc je nieprzyzwoitém i niezgodném z obyczajami hebrajskiemi. Gdyby nawet i tak było, to nie należy zapominać, że często najznakomitsi artyści poświęcają historyczną prawdę dlatego jedynie, aby miéć sposobność znęcić oko pięknością kształtów ciała; a co więcéj, wbrew wszelkiéj historycznéj prawdzie, nieraz nawet całkiem obnażają figury. Rzecz naturalna, iż podobna maniera nie jest naśladowania godną. Ale nie o to chodzi; panowie krytycy zapominają, że Estera była przyodziana w purpurę, która opadła w chwili jéj omdlenia; a pod purpurowym płaszczem lekkie ubranie nietylko nic nie szkodzi, ale jest nawet koniecznem, z uwagi na klimat. Nie mówię już o tém, że w charakterze królowéj perskiéj, Estera winna była mniéj lub więcéj iść za obyczajami téj okolicy.

Z przykrością, nie możemy nic podobnego wyrzec na pochwałę obrazu p. Weniga. Jego Artaxerxes suchy jakiś i chłodny; napróżno szukalibyśmy w nim uczucia, które zmiękczyło surowość prawa, mocą którego samowolnie do króla wchodzący, śmiercią byli karani. Esterę otaczają trzy służebne; ale, rzecz dziwna, wszystkie cztéry niewieście twarze tak jednakie mają wejrzenie, tak jedna do drugiéj podobne, że je można uważać za siostry rodzone. Przypuśćmy, że tak było co do służebnic, ależ przecie należało Esterę od reszty uwydatnić. Aman jest tu jedną z lepszych figur.

Młody Achilles uczący się strzelać od Centaura, obraz p. Kabanowa, ucznia prof. Markowa, odznacza się poprawnością rysunku i prawdą kolorytu. Te dwa przymioty wiele mówią na korzyść młodego ucznia-artysty; nie posiada jednak sztuki nadawania przedmiotom odpowiednich świateł i cieni, i dlatego w tym obrazie brak perspektywy. Ta sztuka tak łatwo i odrazu nie przychodzi; ale wielką pracą wszystkiego dokazać można.

Przystępuję teraz do opisania obrazu czysto-chrześciańskiego, i śmiem twierdzić, że z liczby prac uczniów, najtrudniejszego w zadaniu, a najlepszego wykonaniem. Jestto obraz Matki Bo-

skiéj Pocieszenia. Chociaż go osobno dwóch uczni professora Markowa malowało, Bronnikow i Sorokin, ze względu jednak na wszechstronne zalety, zamierzam jedynie opisywać obraz piérwszego. Myśl w dziele sztuki, to niby duch w człowieku; przyobleczona w pewną materyalną formę, i ulegająca swemu przeznaczeniu, bez szwanku wyjść z jego sfery nie może. Cała działalność, potęga i siła, albo téż słabość i nicestwo człowieczego ducha, przelewają się w rodzaj formy, po któréj rozmiarach sądzimy właśnie o ważności i przeznaczeniu ludzkiego ducha; a im jego objawy bliższe są niebiańskiéj siły, tém są wyższe i doskonalsze. Bywało nieraz, duch silny, zasklepiony w wątłém, niekształtném i słabém ciele, spożywa się zapomniany lub od innych porzucony. Tak i utwór artystyczny jest życiem cząstki ducha człowieczego: więc jako płód ducha, winien w sobie objawiać wyższość, nastrój i tchnienie jego, jako cząstki myśli Bożéj; i aby te wszystkie przymioty boskiego ducha, i wszystkie warunki sztuki pięknéj, jasne były i zrozumiałe: forma utworu sztuki ma w całéj pełni uwydatniać myśl jego. Zdaje mi się, nie zachodzi już potrzeba rozprawiać o stosunku formy do uczuć, jako przewodników wrażeń i narzędzi myślącego umu i twórczego ducha. Ale mówiąc o pełności myśli objawionéj w utworze, odróżnić potrzeba rzeczywistą pełność wrażeń od urojonéj. I tak artysta, biorąc naprzykład jaki przedmiot ze świata rzeczywistego, niéma potrzeby, a nieraz nawet i nie powinien troszczyć się o dokładność wszystkich drobiazgowych szczegółów. Celem sztuk jest podnieść duszę, oczarować zmysły i rozkołysać wyobraźnię: dochodzi się zaś do tego za pomocą wrażeń z rzeczywistego wyniesionych świata; drobiazgowość zaś i dokładność, obudzają jedynie ciekawość, i czynią jéj zadość, jako prozaiczne skutki rozumu i pamięci. Ideały ożywiają świat sztuki: bez nich byłby on tworem czysto-materyalnym, pożytecznym może, ale nigdy wzniosłym. Weźmy za przykład daguerotypy: ich dokładność zadziwia człowieka, ale obudzić zachwyt lub zapał niezdolna. W obecnym razie, zadanie artysty zależy na wystawieniu ludzkości w połączeniu z bóstwem. Przeznaczoném jest cierpiéć człowiekowi w czasie jego ziemskiéj pielgrzymki, i nosić cierpliwie krzyż swój; tak téż i Bóg-człowiek stąpał tą drogą cierpień, i zostawił człowiekowi modlitwę, jako osłodę w smutku. Podobne brzemię znosiła również i święta jego matka, od chwili narodzenia Boskiego dziécięcia, i stała się przez to orędowniczką wszystkich tych, co cierpią i uciekają się pod jéj obronę z modlitwą i gorącą wiarą. I teto różnorodne cierpienia ludzkie, pokorną do niebieskiego dworu Pani modlitwą kojone, winien był przedstawić, i rzeczywiście przedstawił artysta w swoim obrazie. Święta obronicielka spoczywa w wzniesieniu na gęstym obłoku, trzymając na ręku Boskie niemowlę; poniżéj widać dwanaście figur rozmaitego wieku, stanu, płci i położenia; modlitwa jednoczy wszystkich między sobą, i nadaje całemu obrazowi jednolity charakter. Czyż jeszcze trzeba co mówić o trudności przedstawienia świętych figur? O tém już tak

wiele mówiono i pisano. Lecz mówić można w ogóle o całym rodzaju przedmiotów, lub o każdym z nich poszczególe; w dziedzinie bowiem sztuki zachodzi podobna różnica. Wiemy, jak potężną jest różnica, kiedy się wyobraża Matkę Boską w chwilach jéj ziemskiego żywota, a kiedy w Jéj niebiańskiéj chwale; ale trzeba pamiętać, że we wszystkich szczegółowych wypadkach, w Jéj obrazach malują się odrębne myśli, do których trzeba zastosować nastrój świętego oblicza. Tak naprzykład, obraz Matki Boskiéj Pocieszenia winien wyrażać, krom świętéj wielkości, cechujących Maryą i Najświętszego jéj Syna, wystawionych w chwale majestatu, niebiańską słodycz ku ludziom, i gorącą do Boga modlitwę. Tak świetne połączenie tylu myśli, jeśli ma zgodnie a silnie oddziaływać na duszę patrzącego, stanowi dla artysty niełatwe do zwalczenia zadanie. Potrzebny ku temu śmiały, płomienny polot, wielka siła twórcza, połączona z żywą wyobraźnią, szczerém sercem, wrażliwym i ukształconym umysłem, oraz całą nieograniczoną wiarą; gdyż w świecie rzeczywistym takiego obrazu widzieć nie możemy, i ten tylko mocen jest go sobie wystawić, pojąć i oznaczyć wymiar i zgodę potrzebnych ku temu warunków, kto zdolny wznieść się duchem aż przed tron Boży.

Trudno wymagać, aby p. Bronnikow zwalczył wszystkie trudności, na jakie w tego rodzaju malowidle natrafił. Zupełnie zwycięzkie wywiązanie się z podobnego zadania, wymaga licznych prób, długich studyj i usilnéj wieloletniéj pracy. Nie biorąc na siebie odpowiedzialności za wrażenia wszystkich, którzy odwiedzali wystawę akademii, opiérając się tylko na własném przekonaniu i na zdaniu znawców, mniemam, że jeśli wolni od artystycznych napaści i uprzedzeń, bez poprzednio narzuconych wymagań, tylko z wiarą w treść i myśl obrazu rozważnie się weń wpatrzymy: to nas niewątpliwie napełni słodyczą i spokojem, pobudzając do szczéréj, rzewnéj modlitwy. Wystawia bowiem ludzi prawdziwie cierpiących, którzy się w złych przygodach pod obronę świętéj Bożéj Rodzicielki uciekają, w twarzy zaś Przeczystéj Dziewicy jaśnieje, jeśli niezupełnie niebiański wyraz, to przynajmniéj czuła dobroć, dodająca otuchy i nadziei tym, którzy do Niéj modły zanoszą. Z oczu małego Zbawiciela bije promień silnego ducha bożego i nadziemskiego spokoju. Zpomiędzy cierpiących, odznaczają się głównie trzy gruppy: zgrzybiały starzec z młodym synem, i podeszłego wieku niewiasta z umierającém dziécięciem: klęczy biédaczka z oczami wzniesionemi ku niebu, a chłopczyk leży przed nią na ziemi. Stężały już wszystkie jego członki, tylko w oczętach, z wiarą i modlitwą na królową nieba zwróconych, widać wstępujące napowrót życie; wiara matki i syna tak wielka, że po niéj gotowe tam jeszcze spłynąć życie. Po prawéj stronie obrazu, w cieniu, modli się brat z siostrą, dwoje małych siérot; ich czysta, cicha i krótka modlitwa, owiała już nadzieją ich twarze. Wszystko tu prześliczne, lekkie, naturalne: kontury śmiałe i rozmaite, w kolorycie utrzymany jednostajnie ton ciepły. Surowa sprawiedliwość każe nam tu zwró-

cić uwagę młodego artysty, na brak perspektywicznego oddalenia w obrazie, tak dalece, że modlący się wydają się zanadto pomiędzy sobą ścieśnieni. Można to było łatwo samemu dopatrzéć przy wykończeniu obrazu. Nic tyle nie szkodzi utworom młodych ludzi, jak pośpiech. Dziwną jest także sztuczność w ugruppowaniu obrazu: prawie wszystkie osoby ustawione są na nim parami. Te i tym podobne usterki z czasem znikną, skoro się artysta przyuczy wnikać w wymagania rzeczywistości, oraz prawdy w sztuce.

P. Sorokin trzyma się szczególniejszego zwyczaju, i nie wykończa swoich obrazów; przytém także zbyt wiele rachuje na efekt. Obraz jego, wykonany na powyższy temat, jest, mówiąc w ogóle, dobry. Nieprzyjemnie tylko uderza twarz dziewczynki wspaniale przybranéj...

Wisi jeszcze w salach akademii wiele innych obrazów, wykonanych przez uczni p. Markowa, za które poprzyznawano rozmaite nagrody; wstrzymać się jednak muszę od ich opisu, nie chcąc w téj mierze być zanadto rozwlekłym.

Z uczni zasłużonego professora Worobiewa, na szczególniejszą uwagę zasługują między innemi: Dawidow, Bogoliubow i Horowski. Piérwszy obdarzył nas na tegoroczněj wystawie widokiem wyspy Wałaam, najlepszym z widzianych w tym roku utworów tego rodzaju. Trzy są główne warunki każdemu pejzażyście nieodbicie potrzebne: zachowanie perspektywy, dobór kolorów i umiejętność nadawania kształtów przedmiotom takim naprzykład, jak woda i powietrze. P. Dawidow zręcznie władać niemi potrafi. Jego obrazek śmiało może stanąć w rzędzie pejzaży najcelniejszych artystów. Niektórzy ze zwolenników malarstwa mają to dziwne uprzedzenie, jakoby przy malowaniu krajobrazów, niepotrzeba było miéć twórczości; że miara oka i pewność ręki, wystarczają dla godnego odpowiedzenia zadaniu. Dla nich dość tylko wpatrzyć się w przyrodę, i wiernie z niéj wszystko przenosić na płótno, przy ścisłém zachowaniu wymiarów przedmiotów, które wyobrazić zamierzają. Na zbicie tego zdania można powiedziéć: że gdzie nie ma twórczości, tam téż i nie ma poezyi; a gdzie brak poezyi, tam téż i nadobnéj sztuki dopatrzéć się trudno: wierne bowiem odwzorowanie przedmiotów rzeczywistych nie jest sztuką, ale prozaiczném rzemiosłem. Daléj, wymierność pewnych części w świecie rzeczywistym i w dziedzinie sztuki, wielkie nieraz przedstawia różnice. Trafia się często, że najwierniejszy przerys z natury wydaje nam się niedokładnym lub przesadzonym. Pewien francuzki pódróżnik opowiada następującą anegdotę: Kilku turystów zachwycało się malowniczém położeniem gór alpejskich; szczególniéj zaś zwróciło na siebie ich uwagę odległe urwisko góry, otoczone lasem, z piętrzącą się na szczycie lepianką, otoczoną krzewami. W gronie ich znajdował się także dobry rysownik, a chcąc zrobić towarzyszom przyjemność, zamierzył zdjąć ten widoczek. Pochwaliwszy jego zamiar, zostawiono go samego, aby mu nie przerywać natchnienia. Ale jakże się srodze zdumiał, a nawet zasmucił artysta, skoro

po ukończeniu rysunku, dostrzegł na twarzach obecnych wyraz niezadowolenia; poczęli go bowiem obwiniać o brak uwagi i staranności w robocie, wyrzucając mu, iż górę zanadto zmniejszył, a natomiast chatkę i krzaki zbytnie uwydatnił. Malarz jął się sprzeczać i przekonywać, ale napróżno. Zamierzył wreszcie sprawdzić miejscowość trygonometrycznie. Okazało się z tego, że o ile można było, najproporcyonalniéj przedstawił wszystkie części rzeczonego krajobrazu. Przyszło mu jednak na myśl narysować drugi pejzaż, w którymby zadość uczynił wszystkim wymaganiom towarzyszy; jakoż nowy rysunek przyjęto z zadowoleniem. I cóż ztąd wynika? Oto, że artysta nie może malować przedmioty w ich drobiazgowéj rzeczywistości i nienaruszalnéj całości, ale uwydatniać wrażenia miotające jego duszą, dające jéj smutny lub wesoły nastrój, unoszące go daleko od otaczającéj rzeczywistości; ztąd téż się rodzi i twórczość w poezyi, jako polegająca na rozumném, śmiałém i nadobno-udatném połączeniu obrazów, malujących się w wyobraźni poety albo w natchnieniu artysty. Obraz p. Dawidowa tchnie cały poezyą, a uobecniona w nim przyroda, jest jak najlepiéj w formę sztuki przyobleczona. Szkoda tylko, że p. Dawidow wybrał obrazek tak niewielkiéj objętości.

Obrazy p. Bogoliubowa ściągnęły na siebie powszechne pochwały; i rzeczywiście jest w nich wiele dobrego, bo jakżeby inaczéj przyznano mu pierwszy złoty medal? Śmiem jednak mniemać, że brak w nich nieco smaku. Nie pochwalam także chęci naśladowania maniery Ajwazowskiego; wszelki przymus niemiło oddziaływa w sztuce: mieszanie własnych pomysłów z cudzemi, sprzeczności tylko wyradza, a zresztą wielkie talenta posiadają niektóre cechy, tak sobie tylko właściwe, że aby nie wpaść w śmieszność, drugorzędnym zdala się od nich trzymać należy.

O pejzażu p. Horowskiego: Widok jeziora Ruczejskiego, pod miastem Toropcami, w gub. pskowskiéj, to tylko można powiedzieć, że okazuje silny i śmiały talent tego ucznia szkoły malarstwa. Po tym obrazie widzimy, iż możemy się wiele od niego na przyszłość spodziewać; dlatego téż śmiem radzić pełnemu talentu młodzieńcowi, aby sił swoich sprobował w malarstwie historyczném. Nie powoduje mną w téj chwili moje szczególniejsze zamiłowanie do historycznego malarstwa, ale z jednéj strony to, iż ono jest wyższém nad inne rodzaje, i niepomału posługuje do rozwinięcia własnych sił; z drugiéj zaś strony, za najlepszy dowód służy mi tegoroczna wystawa. Chcę tu mówić o „portrecie rzymsko-katolickiego biskupa dyecezyi mińskiéj, ks. Wojtkiewicza," przez p. Horowskiego wykonanym. Na utwór ten można tylko patrzéć z zapałem; każdy tu dopatrzy śmiałość, łatwość i wprawę pędzla. Na twarzy biskupa wyryta myśl głęboka, z oczu tryska rozum, znajomość ludzi, i śmiałe, przewidujące spojrzenie w przyszłość. Takie portrety niewielu się artystom udają.

Mocno żałuję, że mi okoliczności nie dozwalają dać szczegółowego sprawozdania o pracach uczniów pełnego zasług professora

Worobiewa, i pana Wilwaldie. Boję się naprzykrzyć czytelnikom zbyt przewlekłym artykułem, i wrażeniami, których może podzielać nie zechcą; z tego też powodu muszę być treściwym. Nie wezmą mi jednak za złe, gdy pomówię słówko z artystami, którzy do prac swych biorą wzory z życia rossyjskiego ludu. Niewielu artystów, a nawet pisarzy, może powiedzieć, iż znają go dokładnie. Przedstawiają nam ten lud, jego ubiory i mieszkania w formach niebywałych, albo branych bez względu na kraj i okolicę rozległéj Rossyi. Stawiamy za przykład obraz p. akademika Gorbunowa: Powrót kmiotków z pola wieczorem, w gub. riazańskiéj. Może p. Gorbunow zna tę gubernią, ale możemy go upewnić, że jeżeli widział dwa lub trzy domy podobne do tych, jakie odmalował, to stanowiły wyjątek, nie zaś typ tamecznego budownictwa; stroje zaś ponadawał chłopom z okolic meszczerskich, tojest, po lewéj stronie rzeki Oki noszonych, a kobiétom ubiory mieszkańców prawéj strony téj rzeki, i t. p. P. Rizzoni znów odmalował wnętrze karczmy. Chociaż trudno przeciwko wodzie płynąć, w imię jednak świętéj sztuki i wiecznéj prawdy, bez któréj nic pięknego być nie może, śmiem nie zgodzić się na wrzawę, jaką ten obraz wywołał, chociażby mnie nawet kto i upartym nazwał. Według mego zdania, oprócz niektórych pojedynczych zalet, obraz ten nic nie wart w saméj osnowie swojéj. Obszerne wnętrze szynkowni, napełnione ciżbą pijanego i rozpuście oddanego ludu. Zostawiamy to do woli artysty, przedstawiać lub nie przedstawiać podobne sceny; powinnoby go jednak zawsze obowiązywać ogólowe prawidło: że wszystko, co jest zbyt prostacze, bydlęce, i niemoralne, w sztuce tylko niechęć, oburzenie lub chłostę znajdować powinno; a obok tego, samo nawet przedstawienie złego, w karby rzeczywistości ujęte być winno: ani się pytaj o to w karczmie p. Rizzoni. Czy może być, naprzykład, prawdopodobném i z prawami natury zgodném, żeby kobiéta, która sama sobą w karczmie frymarczy, tak dalece upadła, iż pozwala robić z sobą wszelkie bezeceństwa, i aby jeszcze na jéj twarzy malował się świéży rumieniec czerstwości i zdrowia? A na tym obrazku wszystkie kobiéty są takie, obok innych niestosowności, wręcz zasadom nadobnéj sztuki i prawidłom przyzwoitości przeciwnych. Sama znowu zgraja narodu tak jest różnorodną, iż trudno poznać, z któréj świata strony każde z nich tu przyszło. Dla tychto właśnie kilku powodów, bo o wielu jeszcze przemilczam, nie mogę się zgodzić na pochwały, jakiemi obsypano obraz p. Rizzoni.

Z rozkładu wystawy tak zawsze jakoś bywa, że sala Briułowa jest ostatnią; znaléźć też w niéj zwykle można coś takiego, co myśl widza długo na siebie zwraca, i miłe czyni wrażenie. Tym razem najwięcéj nas zajmowały portrety: generała-adjutanta Rostowcowa i sekretarza stanu Taniejewa, malowane przez p. Zariankę; niemniéj obrazy pp. Szamszina i Zawiałowa, malowane dla otrzymania stopnia professora.

Zmartwychwstanie Pańskie, obraz p. Szamszina, wielu osobom się nie podobał; ganiono w nim postawę strażników grobu Chrystusa. Na piérwszy rzut oka, ruchy ich w saméj rzeczy dziwnemi się wydają; dlaczego, naprzykład, jeden z żołnierzy wsunąwszy sandały pod pachę, daje z całéj siły drapaka, a inny znów, z rozpostartemi rękoma powalił się jak długi o ziemię. Zwykły przestrach nie mógłby spowodować takiéj sytuacyi. Ale musimy uniewinnić artystę: może się p. Szamszin omylił nieco w przedstawieniu, lecz miał niewątpliwie na myśli oddanie strachu niezwykłego, którym przejęci byli ludzie strzegący grobu świętego, widząc zmartwychpowstającego człowieka, owianego jasnością, któréj oczy znieść nie mogły. Daléj artysta chciał wyobrazić Chrystusa Pana z obliczem spokoju; może przez to zrobił Go zanadto chłodnym, lepiéj to jednak, aniżeli malować Zbawiciela w jakiémś rozrzuceniu, tak jak to nieraz czynią najlepsi artyści. P. Zawiałow odmalował w celu otrzymania stopnia professora, Zdjęcie z krzyża: jestto, śmiało rzec można, prawdziwie mistrzowski obraz. Patrząc nań, zda ci się, że słyszysz tkliwy śpiéw: „Błogosławiony Józef zdjął z drzewa przeczyste ciało Twoje," i pomimowoli pomyślisz: tak się zakończył ziemski żywot tego, który przyszedł na świat, aby zgładzić jego grzechy, będąc sam bez zmazy! Gdzież owe tysiące ludzi, co chciwie słuchali słowa zbawienia? Przerażeni okropnością nieprawnego sądu, straszną męką i śmiercią Zbawiciela, pochowali się i w różne rozbiegli strony: niewielu się przy nim zostało; a tę garstkę artysta wystawił w takiém natchnieniu, że każdy, obok właściwego sobie charakteru, przejęty jest duchem bożym, który jeszcze w dawnym uczuciowym świecie i plastycznych sztukach nie występował; znać tu już zarodek przyszłego chrześciańskiego żywota. Błogosławieni Józef i Nikodem, taką czcią i niezwykłą troskliwością otaczają przedmiot starań swoich, tojest ciało Chrystusa, które po przystawionéj do krzyża drabinie zdejmują, że bez świątobliwego natchnienia, niepodobieństwem było ich odmalować; te dwie figury są prześliczne. Każdy pozna po nich w p. Zawiałowie ucznia sławnego professora i rysownika, ś. p. Jegorowa. Młody professor, zdaje mi się, nie powstydzi się takiego mistrza; do jego bowiem zalet, przyłączył nadto umiejętne farbami władanie, co się niezawsze Jegorowowi udawało, a z czém się sam nawet nie ukrywał, wymawiając się, „że sam Pan Bóg mospanie rysuje." Dobrze się znał na kształtach istot przyrodzonych. A tak, obraz p. Zawiałowa piękną i pewną stawia porękę, że szkoła Jegorowa nie przepadnie, że jéj jeszcze jedna dzielna przybyła podpora, która się postara daleko sławę téj szkoły rozgłosić. Daj nam Boże więcéj takich artystów, których sztuka czerpie w obfitém i świętém źródle dziejów chrześciańskiego kościoła. Nie jesteśmy wielkiemi zwolennikami galeryj obrazów, ale miłą nam jest cześć domu Bożego.

(Moskwitianin z r. 1854, Nr. 7). *W. Płaksin.*

BALTAZAR OPEĆ.

(Wiadomostka o nim, podana przez *Ambr. Grabowskiego*).

Dotąd zaledwo uczonym znane jest to miano: lecz kto był ten, co je nosił?—przeszłość to w swojém łonie zataiła.

Żywot Pana Jezusa Chrystusa, przez ś. Bonawenturę po łacinie napisany, a przez Baltazara Opecia na język polski przełożony, według dotąd znanych źródeł jest drugą książką polską, którą poprzedziło dziełko: Rozmowy króla Salomona z grubym Marchołtem, it. d.; a Żywot ten wyszedł z druku w Krakowie, za staraniem Hieronima Wietora, r. 1522, in folio, i jest niezmierną rzadkością w tém wydaniu. O mężu tym małą wprawdzie co do treści dam wiadomość, którą może dalsze innych badania w dłuższe pasmo rozwiną; ale według niéj poznamy, jakiego był pochodzenia, i przybędzie do poczetu zasłużonych mężów imię, które w dopiéro-co zawiązującém się piśmiennictwie naszém w początku wieku XVI, chlubne zająć powinno miejsce.

Księga A, 8, akt radzieckich krakowskich, pod r. 1531 zawiéra pismo urzędowe przed temiż aktami zeznane, z którego okazuje się, iż B. Opeć rodem był Krakowianin (1). Treść jego jest następna: Anna, garbarka, córka piekarza, zeznaje kwit, którym oświadcza, iż Honorabilis Dnus Balthasar Opetcz Praepositus in Szienno (w województwie krakow.), brat jéj po matce, spłacił jéj część spadkową, na nią przypadłą ze sprzedaży jatki piekarskiéj, którą Wacławowi sprzedał. Niżéj znowu w téjże księdze zapisane jest, że Dnus Balthasar Praepositus in Sienno, plac pusty po spalenisku domu, aream combustam in Grunda sitam, sprzedaje cechowi piekarzy krakowskich. (Grunda, jest dawne nazwisko téj części miasta, czyli ulicy poprzecznéj, która leży pomiędzy ulicą Mikołajską i ulicą Sienną; a pożar, o którym wzmianka, był roku 1528, który prawie połowę miasta zniszczył, jak o tém Starożytnicze wiadomości o Krakowie, str. 77).

Dziwnie też piękną jest mowa w tym Żywocie Pana Jezusa, służąc za dowód, jak już na początku XVI wieku język polski był wykształcony. Dzieło to czyta się z niewymowną przyjemnością.

Przedmowę w piérwszém wydaniu, Hieronim Wietor zalecając to dzieło jego nakładem wyszłe, tak zakończa: „Niemniéjbych też podarował starego i młodego (Żywotem Pana Jezusa), jedno że się pisania teskliwego wstydam. Dałbych iście staremu kościeniek (laskę) ku podpieraniu jego, którymby się podpierał w padole tego świata; bowiem kto się podpiera laską żywota miłego

(1) Opeciowie byli rodziną miejską krajową. W dokumencie z wieku XV, dla miasteczka Chęciny wydanym, w liczbie rajców jego zasiada także Opecz.

Jezusa, nie obrazi na wieki kolana swojego... Dałbych zasię młodemu wieniec zielony z kwitnącego dęba, aby się upodobał nabożném rozmyślaniem żywota Panu swemu" (J. Lelewel).

Dzieło to w tłumaczeniu polskiém Opecia, wielokrotnie powtórzone było drukiem; najczęściéj w Krakowie, a także i w Częstochowie. Ostatnie wydanie téj księgi wyszło w miasteczku Mikołowie, w Szlązku pruskim, blizko granic Królestwa Polskiego, nakładem i drukiem Tomasza Nowaczkiego (tak), r. 1846, w ćwiartce, arkuszy $20\frac{1}{2}$; a jak tamże w przedmowie jest wspomniane, dzieło to dwunasty raz z prasy drukarskiéj wychodzi, i jest przedrukiem z edycyi dziewiątéj, która wyszła w Częstochowie r. 1838... Gdzieby zatém wyszło wydanie dziesiąte i jedénaste, nie jest mi wiadomo.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Dwie powieści J. K. Gregorowicza „Proszaki, i Tomek bez nogi," wyszły z drukarni Gazety Codziennéj w trzech tomikach. Tylko Proszaki były drukowane w r. z. w tejże Gazecie.

— P. Seweryna z Żochowskich Pruszakowa przygotowywa do druku „Obraz literatury polskiéj" dla kobiét. Dzieło to w obszerniejszych ramach, obejmie trzy spore tomy, albowiem przedstawi obraz piśmiennictwa naszego od najdawniejszych czasów aż do obecnéj chwili.

— W miesiącu czerwcu, w kościele XX. Karmelitów na Krakowskiém-Przedmieściu odkryto piękny pomnik dla ś. p. Józefa Kalasantego Szaniawskiego. Rysunek do tego pomnika dał p. Bolesław Podczaszyński, wykonał go zaś rzeźbiarz Kaufman. Ponad tablicą pomnikową umieszczono wizerunek olejny zmarłego, pędzla Xawerego Kaniewskiego.

— Nakładem G. Leona Glücksberga drukuje się powieść Alexandra Niewiarowskiego p. n. „Rotmistrz bez roty" w 3ch tomach.

— P. Ludwik Kondratowicz ukończył tom 2gi „Wędrówek po moich niegdyś okolicach," w którym obszerny ustęp poświęcił kronice miasta Mińska. — St. Moniuszko do „Rybaczki" przekładu z Goethego tegoż p. Kondratowicza, dorobił muzykę.—Apollo Nałęcz Korzeniowski napisał dramat p. n. „Komedya," który w następnych zeszytach Biblioteki będzie umieszczonym.— Drukarnia J. Zawadzkiego drukuje obecnie 3ci i ostatni tom „Rodzinnego Zagonu," Adama Pługa.

Kraków. „U p. Alexandra Ziębowskiego oglądaliśmy kilkanaście medalionów dobrego odlewu i ładnego cyzelerstwa; między temi są medaliony: Józefa Muczkowskiego, Wincentego Pola i Jana hr. Potockiego. Proby te co do wykonania powiodły się bardzo pomyślnie: szczególniéj podziwialiśmy zręczność i dokładność cyzelerską p. Ziębowskiego."

— Pismo wiedeńskie: „Der Salon-Wochenschrift," pod redakcyą Jana Nordman wychodzące, w zeszycie 14m na r. b. umieściło przegląd: „Wzorów sztuki średniowiecznéj przez Alex. Przezdzieckiego i E. Rastawieckiego wydawanych, a napisany przez K. Wurzbach'a, autora dzieła „O kościołach krakowskich." W przeglądzie tym pisze: „że powyższe dzieło zasługuje na uwagę nietylko badaczów starożytności, ale każdego prawdziwego nauk przyjaciela. Wydanie przepyszne, ryciny nieustępujące w niczém najpiękniejszym w tym rodzaju zagranicznym. Odbicie wybornie dokonane; odznacza się sumienną wiernością i rzadką artystowską w narysowaniu biegłością i smakiem dobrym. Dzieło tak bogate pod względem wydania, a zajmujące co do przedmiotu i treści, polecamy nietylko bibliotekom, ale wszystkim przyjaciołom starożytności,

badaczom gruntownym nauk, i zbieraczom dzieł pięknych i ciekawych, jako obfite źródło wiadomości.“

— J. I. Kraszewski nadesłał tom trzeci i ostatni powieści „Chata za wsią,“ którą w następnych zeszytach ogłosimy. Wykończył i już przygotował do druku dzieło „O sztuce i starożytnościach słowiańskich“ z 200 rycinami. Oprócz tego ma już gotowych także do druku 6 tomów drobnych powieści, rozpraw, sprawozdań i fantazyj p. n. „Zbiérana drużyna.“ Jestto zbiór już znanych i rozrzuconych różnych pism tegoż autora po rozmaitych pismach, lub téż świeżo napisanych.

— P. Gerson znany artysta, pracuje nad akwarellami formatu ćwiartkowego, przeznaczonemi na wzory do litografii, zamówione przez p. Dazziaro w Petersburgu, do dziełka w przedmiocie „ubiorów prowincyj polskich.“

— Ze Lwowa otrzymujemy wiadomość o rozpoczęciu druku w drugiém wydaniu „Słownika języka polskiego S. B. Lindego.“

— Zapowiedziane dzieło K. Wł. Wójcickiego: „Cmentarz powązkowski pod Warszawą,“ wkrótce w zupełności ukończone zostanie. Ryciny grobowców i nagrobków p. Matuszkiewicza, odbijane będą w zakładzie litograficznym M. Fajansa. Format dzieła z powodu rycin będzie w 4ce. Oprócz historyi cmentarzy naszych, składają to dzieło obszerne życiorysy, czerpane po większéj części z nieznanych dotąd źródeł.

— Karol Drzewiecki, autor dramatu p. n. „Kontrakty,“ napisał prozą komedyą w 2ch aktach p. n. „Pantofel.“ Gazeta Warszawska zamieściła ją w całości w odcinku swoim, a obecnie ma wyjść oddzielnie.

---

†. W piérwszéj połowie maja r. b. umarł w młodym wieku we wsi Diwoczkach, niedaleko Żytomierza, Seweryn Gołębiowski. Prace jego historyczne umieszczała nasza Biblioteka i inne pisma peryodyczne. Znanym jest jako autor dzieła: „Czasy Zygmunta Augusta,“ wydanego w Wilnie w 2ch tomach. W rękopiśmie zostawił wykończony „Żywot hetmana Żółkiewskiego,“ z materyałów zupełnie dotąd nieznanych, i żywot „Jana Zamojskiego,“ nad którym do zgonu pracował i wykończał. J. I. Kraszewski donosząc o śmierci tego sumiennego badacza tak wcześnie zgasłego, temi słowy zakończa swoje wspomnienie o nim: „Pokój ci, uznojony towarzyszu broni, a cześć poczciwéj pamięci twojéj, która za przykład służyć nam może! Wielu cię prześcignęło na polu, bo im Bóg dał sił więcéj i szczęśliwsze okoliczności, wśród których obracali się swobodnie; ale gdyby sprawiedliwie przyszło mierzyć zasługi poświęcenia miarą: wielu z nas a wielu przeszedłbyś i zagasił. Inni dają chwilę, tyś dał — całe życie.“

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Maj, 1854.

Maj 1854. **Dostrzeżenia Meteorologiczn**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich
1g. 14m. 45s., 7 czyli w łuku 18°4

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy			
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	godz
1		739.33	739.59	740.13	740.33	+ 3°.6	+ 8°.1	+ 11°.2	+
2		741.40	741.71	742.64	744.24	8.8	15.6	17.2	
3		746.15	747.17	747.28	747.77	10.4	17.6	22.7	
4		747.96	747.27	745.06	744.55	12.1	22.0	26.2	
5	☽.	742.81	741.43	738·83	741.20	13.4	21.8	26.4	
6		746.05	747.86	747.91	746.43	11.4	12.1	12.9	
7		744.67	745.37	747.31	749.28	9.6	11.5	12.9	
8		750.92	751.55	749.92	749.92	7.4	12.8	18.8	
9		749.15	749.17	746.61	746.58	10.3	16.1	20.5	
10		746.63	746.89	746.07	746.94	12.9	19.8	24.6	
11		748.15	749.89	750.23	752.03	13.9	15.2	19.6	
12	●.	753.45	754.31	752.96	753.53	9.8	16.1	21.0	
13		752.30	752.31	750.53	750.68	12.0	13.5	18.5	
14		750.89	751.18	749.79	749.83	12.4	18.5	24.2	
15		750.33	749.82	748.01	747.88	14.8	22.2	27.4	
16		747.23	747.04	745.26	746.27	18.3	24.8	26.8	
17		746.79	747.20	746.70	746.83	15.5	21.4	19.4	
18	☾.	745.78	746.04	744.57	745.66	15.2	20.2	22.8	
19		747.10	747.73	748.56	749.52	12.0	16.0	14.6	
20		750.45	750.78	750.71	751.54	6.5	12.7	13.7	
21		751.91	751.71	750.55	749.38	8.2	12.7	13.2	
22		746.69	746.65	746.65	746.78	7.8	9.7	13.1	
23		746.40	746.70	746.27	746.84	10.1	13.3	17.1	
24		747.59	747.85	747.70	747.88	12.4	16.6	20.0	
25		746.78	746.35	745.17	744.72	11.8	15.9	21.3	
26	☽.	744.46	745.95	747.46	748.29	12.0	13.3	12.9	
27		748.82	749.63	748.82	750.89	11.0	15.4	20.9	
28		751.79	752.39	750.23	749.86	14.4	21.3	24.3	
29		748.59	748.31	747.93	747.16	15.1	22.0	22.0	
30		745.68	746.76	747.01	748.93	17.3	20.9	23.4	
31		750.70	751.39	752.46	752.94	12.5	13.3	11.9	
Śre.		747.643	748.007	747.398	747.893	+ 11°.71	+ 16°.53	+ 19°.40	+ 1

…toryum Astronomiczném Warszawskiém.

…m morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie …schód względem południka paryzkiego.

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
6 …dz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé-szczu	śnie-gu
…ogodny	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Pd.	1.0	
…chmurny	na pół pog.	poch. dész.	pogodny	Pd.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	1.0	
…ogodny	smugi	pr. pogodny	pogodny	Pd.	PdZ.	PdZ.	—		
…ogodny	pogodny	pr. pogodny	na pół pog.	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
…ogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	PdW.	Pd.	Pd.	PdZ.		
…k. pochm.	smugi	pochmurny	poch. dész.	Z.	PnZ.	Z.	PnZ.	13.6	
…chmurny	pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	Pn.	15.6	
…ogodny	smugi	chm. miej.	pogodny	PnZ.	—	Pn.	Pn.		
…ogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	Pn.	Pn.	—		
…ogodny	chm. miej.	pogodny	pochmurny	—	PnW.	Z.	PdW.		
…ogodny	na pół pog.	pogodny	pogodny	Z.	PnZ.	PnZ.	—		
…ogod. mgła	na pół pog.	pr. pogodny	pogodny	Z.	PnZ.	—	—		
…chmurny	poch. dész.	pr. pogodny	pr. pogodny	Pn.	PnW.	PnW.	Pn.	1.0	
…ogodny	pr. pogodny	pogodny	na pół pog.	PnW.	PnW.	Pn.	Pn.	1.0	
…ogodny	pogodny	na pół pog.	pogodny	PnW.	W.	W.	—		
…ogodny	chm. miej.	na pół pog.	pochmurny	PdW.	PdW.	W.	Pn.		
…ogodny	lek. pochm.	pr. poch.dé.	pr. pogodny	Pn.	PnW.	PdW.	PnZ.	1.4	
…ogodny	smugi	chm. miej.	lek. pochm.	PdW.	PdZ.	PnZ.	Pn.		
…chmurny	lek. pochm.	pochmurny	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Pn.		
…a pół pog.	pr. pochm.	pochmurny	pogodny	PnZ.	PnZ.	Pn.	Pn.		
…mugi	pochmurny	pochmurny	dészcz	Pn.	Pn.	Pn.	Z.	2.8	
…chmurny	dészcz dr.	pochmurny	pr. pochm.	Pn.	Pn.	Pn.	W.	15.4	
…chmurny	pochmurny	pr. pochm.	pr. pochm.	PnW.	W.	Pn.	PdZ.	1.4	
…k. pochm.	pr. pochm.	pr. poch.dé.	pogodny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Pn.	9.6	
…ogodny	chm. miej.	na pół pog.	lek. pochm.	PnZ.	PnZ.	Z.	Pn.		
…chmurny	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	Pn.	Z.	Z.	Z.	0.6	
…ogodny	pogodny	na pół pog.	pr. pochm.	Z.	PnZ.	Z.	Pd.	2.2	
…ogodny	pochmurny	pr. pogodny	pogodny	PdZ.	PdW.	PdW.	—	—	
…mugi	smugi	pochmurny	pochmurny	—	Pd.	PdW.	—		
…chmurny	dészcz	pochmuruy	pochmurny	PdW.	Pd,	PdW.	PnZ.	18.0	
…chmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	PnZ.	PnZ.	Pn.	8.8	
								93.4	

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	747.735	27	7.467
Najwyżéj barometr dochodził d. 12 o g. 10 r.	754.31	27	10.382
Najniżéj — — d. 5 o g. 4 w.	738.83	27	3.520
Średnia zmiana dzienna barometru	2.558		1.134
Największa zmiana dzienna barometru d. 5—6 o g. 4 w.	9.08		4.025
Średnia wysokość barometru jest niższa o	1.540		0.683
od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	749.275	27	8.150
Średnia temperatura Maja wynosi	+ 15°.28 C.	+	12°.22 R.
i ta jest wyższa o	1.77 „		1.41 „
od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	+ 13.51 „	+	10.81 „
Największe ciepło było d. 15 o g. 4 w.	+ 27.4 „	+	21.92 „
Najniższa temperatura była d. 1 o g. 6 r.	+ 3.6 „	+	2.88 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.959 „		2.367 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 5—6 o g. 4 w.	13.5 „		10.80 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 22°.9 R. d. 16 po połud.
Minimum: + 1°.2 „ d. 1 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 69.7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 9.09 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest przeszło o 0.01 większa od normalnéj.

Ilość wody spadłéj z dészczu wynosi co do wysokości: 93.4 mil czyli 41.40 lin. par.; ilość ta wody jest o 14.99 lin. par. większa od téj jaka zwykle w maju spada.

Dni pogodnych było 9, napół pogodnych 9, pochmurnych 13.
— dészczu 18 (d. 1, 2, 6, 7, 14, 16, 17, 21, 22, 23, 24, 26, 27, 28, 29, 30, 31).
— mgły 1 (d. 12).
— gradu 1 (d. 24).
— grzmotów 7 (d. 6, 13, 17, 18, 19, 24, 30).
— błyskawic bez grzmotów 9 (d. 6, 9, 13, 14, 16, 18, 24, 28, 30).
Wichrów było 2 (2 Pd.).
Wiatrów mocnych 1 (1Pd.).
Wiatr panujący Północny, częste były Północno-Zachodnie.

Maj r. b. w piérwszéj połowie był pogodny, suchy i ciepły; w drugiéj, niepogodny i słotny, w ogóle blisko o półtora stopnia R. cieplejszy niż zwykle. Najcieplejsze dni były d. 4, 5, 15, 16, 28, 29, 30; najchłodniejsze d. 1, 7, 20, 21, 22. Trzy dni 11, 12, 13, ŚŚ. Mamerta, Pankracego i Serwacego, które zwykle bywają u nas chłodne, w tym roku były ciepłe. Pod względem pogody maj r. b. zbliżał się do stanu normalnego. Trzy dni 6, 24, 30 odznaczały się grzmotami, piorunami i dészczami ulewnemi. Wody spadło z dészczu co do wysokości 3 cale 4, 4 lin. par. o 15 lin. par. więcéj niż zwykle. D. 14, 27 i 28 widziano tęcze świetne. Oprócz jednéj małéj plamki widzianéj w d. 3 na słońcu, przez cały miesiąc nie pokazywały się plamy na tarczy słonecznéj.

SPIŻ.

PRZEZ

Ludwika Zejsznera.

II.

Spiż niemiecki. W części północno-zachodniéj Spiża, o południowy pochył Tatrów oparci, siedzą Niemcy przybyli w XII i XIII wieku do Węgier dla zaludnienia pustych krain; teraz znacznie rozrodziwszy się, stanowią gęstą ludność i odznaczają się staranną uprawą roli i przemysłem. Ze wszech stron otoczeni ludami słowiańskiemi, tojest: Słowakami, Rusinami i Polakami, przyjęli po większéj części ich zwyczaje. Oddaleni od Niemiec, nie postępują z niemi razem: pozostali jakby skrystalizowani w myślach, i są odbiciem czasu, w którym wywędrowali—średnich wieków. Wielkie tylko historyczne wypadki ich dotknęły. Reformacya owładnąwszy w XVI wieku całą ucywilizowaną Europę, zajęła także Niemców, żyjących w mało znanych dolinach Karpackich, i wtedy przyjęli zasady Lutra. Dotąd rozwój literatury jest jedynym węzłem łączącym część bardziéj oświeconą Spiża z rodzinnym krajem; ale są to w istocie słabe wpływy, i zaledwie w ostatnich odgłosach odbijają się o skaliste ściany Tatrów. Niemcy spiżcy zajmują się głównie uprawą roli i górnictwem; mniéj, chociaż stosunkowo jak na Węgrach dość znacznie rzemiosłami, a wyjątkowo umysłowemi zatrudnieniami. Do polepszonéj uprawy roli przyczyniły się głównie instytucye, nadające tym

przybyszom znakomite swobody, prawem niemieckiém zapewnione. Uprawiając nadane sobie obszerne role, pozakładali miasteczka, stanowiące teraz tak nazwane szesnaście miast spizkich. Pod tak sprzyjającemi warunkami rosła znakomicie ludność; trzeba się było rozpościerać, i ztąd kolonie ich dały początek wioskom, pozakładanym na gruntach odleglejszych od miasteczek, i wyrobiły pewien stopień cywilizacyi, która odznacza Spiż od innych hrabstw węgierskich. W skutku tych przywilejów stali się niemieccy Spiżacy majętniejszemi, powstało kilka porządnych miasteczek blizko siebie leżących, i wzmogły się w ludność; niektóre z nich wcale są piękne, mają porządne i wygodne domy, jakoto: Kesmark, Igło, Lewocza i Podhrad. Większy dostatek nadaje Niemcom wyższość nad słowacką ludnością, skazaną bardziéj na mechaniczną, mniejsze korzyści zapewniającą pracę. Uboższa ludność zajmuje w miasteczkach niemieckich na granicy słowiańskiéj leżących, przedmieścia, gdy w pięknych domkach siedzą potomkowie Sasów. Pomimo tego ludność słowacka dziwny na nich wpływ wywiera: wszyscy prawie Niemcy Spiżacy przyjmują ich język i zwolna zmieniają się w Słowaków. Wejrzenie miasteczek spizkich prawie jest jednakowe, z tą różnicą, że uboższe mało co się zmieniły; i wcale prawdopodobną jest rzeczą, że zachowały taką samą fizyonomią, jaką miały przed wiekami. W zamożniejszych miasteczkach widać pewne wpływy nowożytnego smaku i postępu. Prawie wszystkie składają się z jednéj szerokiéj a długiéj ulicy, stanowiącéj główną część miasta: do niéj zbiegają się jedna lub kilka poprzecznych. Ulica główna bywa tak szeroka, że na środku stoją wygodnie wielkie gmachy, pospolicie dwa kościoły: katolicki i luterski, i niektóre inne większe domostwa; niekiedy przyczepiają się do nich inne domy, i jakby niechcący ze szerokiéj ulicy powstają jeszcze dwie niezbyt wązkie, ciągnące się klinem w środku miasta. Tym sposobem przemieniła się główna ulica w dwie węższe równoległe, jak w Lewoczy, Iglie, i w niektórych innych. Domy w spizkich miastach stawiają zupełnie na podobieństwo wiosek, z których oczywiście powstały; nie wychodzi na ulicę dom długością, tylko szerokością, i dlatego pospolicie mają po trzy okna.

Z nad bramy wystaje na kilka sążni długa drewniana rynna. Dzięki szerokości ulic, podczas deszczu można po takich ulicach jeździć i nie zostać wykąpanym pod temi kaskadami, spadającemi w pewnych odstępach wzdłuż całéj ulicy. Uboższe miasteczka na Spiżu są całkiem z drzewa stawiane; bogatsze przybrały kroje domów teraźniejszych niemieckich miast. Wszystkie izby są sklepione, a schody i długie ganki wyrobione z kamienia ciosowego; w najnowszych czasach, po spaleniu się części Lewoczy i Igła, dachówki zastąpiły gonty. Nie mogę dosyć polecić sklepień wykonywanych na Spiżu i w niektórych przyległych miasteczkach, nader pożytecznych a ozdobnych; składają się z jednego łuku lekko zagiętego na dwóch ścianach, stanowiących długość pokoju. Budowa ta ze wszech miar pochwały godna, warta jest rozpowszechnienia.

Mieszkańcy bliżsi Tatrów zajmują się głównie rolnictwem; nie widać u nich tyle dobrego bytu, ile w miasteczkach południowego Spiżu, dotykających się gór kruszcowych, gdzie często spotykamy w dostatki obfitujących właścicieli kopalń. Pomiędzy podtatrowemi miasteczkami odznacza się przedewszystkiemi Kesmark nad Popradem, miasteczko bardzo malowniczo położone w ich stronie południowo-wschodniéj: nader wspaniale sterczą najwyższe ich szczyty, godne widzenia ztąd w czasie pogodnym. Do wzniesienia i obudzenia znaczniejszego ruchu handlowego w Kesmarku, przyczynia się głównie jego położenie geograficzne. Kesmark głównie zaopatruje w rozmaite potrzeby Podhale, i przyległe północne górskie okolice. Odbywają się w nim wielkie targi na zboże i inne produkta węgierskie, posiada wielkie składy win węgierskich i rozmaitych innych wyrobów. Kilkanaście sklepów kupieckich dobrze zaopatrzonych, świadczą, że można tutaj zaspokoić wytworniejsze potrzeby. Pomimo że tu istnieje oddawna wyższa szkoła ewangelicka, w któréj bardzo dobre postępy czyni młodzież, nie ma wszakże księgarza; zastępuje go introligator, u którego jest kilka pułek z książkami na sprzedaż dla szkolnéj młodzieży. Majętniejsi mieszkańcy Kesmarku są Niemcami; przedmieścia zajmują Słowaki, lecz prawie wszyscy mieszkańcy mówią po słowacku.

Nazwa tego miasteczka pochodzi prawdopodobnie z niemieckiego od séra, w dawnych bowiem nadaniach, według Szepezhazego, nazywano je Forum Caseorum czyli Kaesemark (targ serów), a przez skrócenie Kesmark; nasi górale znają je jako Kesmarek. Zapewne pasterze pasający bydło na przyległych tatrowych holach, sprzedawali tu swe sery; dotąd jeszcze wyborna bryndza węgierska wychodzi ztąd w odległe kraje. Widywałem w jesieni kupców, nabijających w beczki ten wyborny sér, dla rozsyłania go w świat.

Kesmark składa się właściwie z dwóch wielkich ulic; do głównéj wpada również szeroka, chociaż nie tak długa. Przy skrzyżowaniu się ich stoi ratusz z wysoką wieżą, przy którym w dni targowe rozciągają się tłumy sprzedających i kupujących; nieco daléj stoją wozy ze zbożem, kukurydzą, winogronami i z wielą innemi przedmiotami południowych Węgier. Miasto to starożytne, już król Bela IV obdarzył przywilejami w roku 1269. Król Ludwik panujący zarazem w Polsce w roku 1380 nadał mu przywileje wolnego miasta królewskiego, i odtąd zajmowało piérwsze miejsce pomiędzy temiż miastami. Królowie polscy i węgierscy często zjeżdżali się do Kesmarku dla odbycia narad; i tak w roku 1423 Zygmunt węgierski i Władysław Jagiełło zawarli między sobą przymierze; w roku 1436 przybyli do Kesmarku panowie polscy i węgierscy dla wykupienia od Polski trzynastu zastawionych miast; ale po bezskutecznych naradach, nie przyszło do zgody. W XV wieku po dwakroć zdobywali to miasto Hussyci: piérwszy raz w roku 1433, drugi raz w roku 1464, i wtedy spłonęły archiwa z starożytnemi nadaniami. W tak smutném położeniu zostając mieszczanie, otrzymali wiele dobrodziejstw od Zygmunta i Macieja Korwina królów węgierskich: piérwszy uwolnił ich od ceł, i obdarował w pobliżu leżącą wioską Rakusy (po niemiecku Rox), drugi darował wioskę Klein-Schlagendorf i nadał miastu prawo miecza i odbywania jarmarków w pewnych czasach.

Po nieszczęśliwéj klęsce pod Mohaczem, dostał się Kesmark w ręce Jana Zapolya, który się ogłosił królem węgierskim. Potém rządził nim Hieronim Łaski, a wreszcie Sebastyan Tékeli. Pod temi władcami nadzwyczajnie ucierpiało miasto, a mianowicie pod despo-

tycznemi rządami następców Tékelego, które trwały do roku 1655, czyli do wrócenia miasta pod władzę królewską cesarza Ferdynanda III, który napowrót włączył je do wolnych miast królewskich. W czasach niespokojnych musieli mieszkańcy ustawicznie miéć się na ostrożności; ztądto pochodzą wieże, liczne baszty i mur obwodzący miasto. Mury te po większéj części porozpadały się i teraz tylko szczątki z nich pozostały: wieże poznoszono, bo ścieśniały dostęp i widok na pyszne szczyty Tatrów. Jedna z baszt nad Popradem była bardzo umocowana; w spodzie było głębokie więzienie, w którém wielu ludzi śmierć znalazło. Teraz zmieniła się postać rzeczy: na zewnętrznéj stronie murów pozakładano same ogrody owocowe; prawie w każdym jest altanka, niejedna wcale ozdobna. Pomimo ostrości klimatu, udają się tutaj dosyć dobre owoce; pochodzi to od staranności i zamiłowania mieszkańców w ogrodnictwie, zamieniającego się tutaj nieraz w prawdziwą namiętność. Przy bramie głównéj pobudowała sobie zamożna okoliczna szlachta okazałe domy, w których zwykła spędzać zimę. Miasto oddycha teraz pokojem: mury okryły się zielonością winogrodu i brzoskwiń, kiedy dawniéj zasłaniały mieszkańców od napadu nieprzyjacielskiego. Tak za zmianą towarzyskich stosunków, gdy posiadanie zostało zapewnioném, dawne środki obrony zasłaniają dzieła pokoju od ostrości klimatu.

Do najcelniejszych budynków Kesmarku należy zamek, położony w końcu północnym miasta. Opowiadają, że stoi na miejscu klasztoru zakonnic, który według kroniki spizkiéj wystawiono w roku 1190. Kto i kiedy stawiał ten zamek?—nie ma żadnego śladu: wiadomo tylko, że za Tékelich przyszedł do największéj świetności, a mianowicie za Stefana Tékelego; lecz zniszczał, gdy jeden z następców, Emmeryk Tékel, w roku 1702 musiał uchodzić z kraju: wtedy sprzedany został i miasto nabyło go i po większéj części zniszczyło umyślnie, zachowując tylko kaplicę i obszerne piwnice. Jeszcze teraz świadczą ruiny o wytworności smaku tego zamku.

Historya miast średniowiecznych węgierskich żywo przypomina nam rzeczypospolite włoskie: odbywały się między niemi spory, które się wyradzały w bitki i wojenki. Najzacięciéj kłócił się Kesmark z poblizką Le-

woczą, spierając się nieustannie o piérwszeństwo: głównie szło im o składy towarów zagranicznych. Lewoczanie utrzymywali, że posiadają wyłączny przywiléj ich odpieczętowania; to samo utrzymywali Kesmarczanie. Podczas wojen między Ferdynandem I a Janem Zapolya, Kesmarczanie otrzymawszy od Hieronima Łaskiego wojewody sieradzkiego pomoc 400 ludzi, zaczęli wojnę prowadzić, która dopiéro ustała, gdy Ferdynand I sam nad Węgrami objął panowanie. Za wstawieniem się Łaskiego zyskali Kesmarczanie, że przyznane zostały obydwom miastom składy towarów zagranicznych.

Aby mieć wyobrażenie o sposobie prowadzenia tych sporów, przytaczam ustęp z pamiętników miasta Kesmarku, (Memorabilibus urbis Kesmark), zachowanych w archiwach tego miasta:

Roku 1530, dnia 31 maja po święcie Bożego Ciała. stoczyli bitwę Kesmarczanie z Lewoczanami pod miastem Nowa-wieś czyli Igło, i spędzili nieprzyjaciół z pola bitwy. Wielu poległo; Kesmarczanie 114 Lewoczan wzięli do niewoli, przywiedli do miasta swego, i w kajdanach pracować zmusili. Nowa wyprawa nastąpiła tegoż samego roku 8 października po święcie św. Franciszka: wypadłszy Lewoczanie zajęli stada koni i krów należące do mieszkańców wiosek Landok, Prybus i Rakusy, i uprowadzili je. Gdy przybyli do wioski Klein-Szlagendorf, dopadli ich Kesmarczanie, porazili, i w téj potyczce legło znów wielu Lewoczan. Nad Klein-Schlagendorf wznosi się kopiec, w którym pochowano w jednym dole 49 Lewoczan, a 19 niewolników odprowadzono do Kesmarku, z których ośmiu ścięto, ponieważ raz już byli do niewoli wzięci, i uszli z niéj potajemnie.

O miasteczkach na zachód od Kesmarku pod Tatrami położonemi, niewiele co da się powiedzieć; mniéj więcéj są do siebie podobne, i wszystkie charakteryzuje przewaga elementu rolniczego nad przemysłowym. Aczkolwiek widać w każdym jednę i drugą gałąź bardzo rozwiniętą, najznakomiciéj przeważają w nich farbiarze płócien i garbarze. W samym Kesmarku farbują corocznie 2 do 30,000 łokci ciemno-niebieskiego płótna, i sprzedają w Debreczynie i Peszcie; mniéj wyrabiają inne miasta. Powszechnie w tych miasteczkach

jest kilka porządniejszych domów, należących do lekarza lub majętniejszego poblizkiego obywatela wiejskiego. Prawie wszystkie te miasteczka były zastawione Polsce; nazwy bliższych Kesmarku są: Lubica albo Leibitz, Bela, Georgenberg albo Mons-Georgii i Spiżka Sobota, Telka albo Welka, Poprad także Deutschendorf; Werchowa nazywa się po niemiecku Menesdorf, Menishard, Villa Menhardi albo Michelsdorf, po łacinie Michaeli villa, Tworozna, po niemiecku Durlsdorf lub Durand, Kuskinowce albo Reindorf, villa Quirini. Odleglejsze miasta od stóp tatrowych są: Wallendorf z licznemi nazwy, po słowacku Włachy, Olasinum, Villa latina, Podhrad albo Kirchdorf, Kirchdrauf, Sepesz Vorallya, Nowa wieś albo Neudorf, tudzież Iglo (1).

Wszystkie te miasteczka posiadają bardzo rozległe pola; ich mieszkańcy uprawiają je wzorowo, i pomimo ostrości klimatu mają zwyczajnie bardzo piękne urodzaje. Wogólności nie jestto kraina zbożowa; nierównie lepiéj udają się owsy i jęczmiona od żyta; mianowicie len udaje się wybornie, i rzadko gdzie można widzieć większy i dorodniejszy. Podział gruntów, jest tutaj bardzo szczególny: mieszkańcy jednéj wioski aby się podzielić w równi dobremi i miernemi polami, pokrajali wszystkie grunta na pasy, ćwierć, a niekiedy i pół mili długie, i na 10, a czasem i 5 zagonów szerokie. Od stóp Tatrów ciągną się wstęgi obsiane różnobarwném zbożem. Jestto podział wprost przeciwny jak w Ameryce północnéj, gdzie właściciel siedzi w środku swéj roli, aby do niéj z łatwością chodził i bronił od szkód, których trudno, aby według spizkiéj metody był w stanie zawsze ustrzedz. Każde miasteczko i wieś ma spólne pastwiska; na nich widać nader liczne stada koni i wo-

(1) W Starożytnéj Polsce Lipińskiego i Balińskiego mnóstwo jest przemienionych nazw tych miasteczek. Widać, że się zawsze działo podobnie jak teraz; każdy sądzi, chociaż ledwie poznał imiona miast i gór pewnego kraju, że ma upoważnienie według siebie przemieniać geograficzne nazwy, których na miejscu nikt nie zna i z trudnością dorozumiewa się ich znaczenia. Madziarscy geografowie wszystkie te nazwy znów według siebie zmienili, i po kartach popisali, np. na pięknéj karcie Schedeusa po dwa kroć wydanéj. Nieraz się wydarza, mając w ręku podobną kartę, że nie można się dopytać mieszkańców o dobrze im znane miejsca. Ten obłęd widać nie ustaje i ma zawsze swoich czcicieli. Coś podobnego jest u nas i w umiejętnościach przyrodzonych; powierzchowni ich uprawiacze ciągle przemieniają nazwy, sądząc, że potomność o nich nie zapomni. Szczęśliwi!

łów; dla owiec mają zwyczajne swe hole w Tatrach, i od nich pochodzą niemieckie nazwy dolin albo szczytów.

Rox. Do najwspanialszych krajobrazów należy widok z Kesmarku na Tatry, i téj właśnie okoliczności przypisać należy owę chęć tutejszych mieszkańców wykrycia w tych górach drogich metali; bo ludzie ci marzący, sądzą, że jeżeli te szczyty odznaczają się olbrzymiością, również zawierać muszą to, do czego człowiek przywiązuje najwięcéj wartości. Zdanie to przekazują sobie od niepamiętnych czasów Kesmarczanie od jednego do drugiego pokolenia, a do tego usposobienia przyczyniła się także alchemia, i do reszty zabałamuciła umysły, niezbyt usposobione do zdrowego rozumowania, wolnego od przesądu. Niektóre familie potraciły dobytek dla wykrycia złota, srebra i dyamentów; a chociaż przykłady liczne okazały przeciwne skutki, nie powstrzymały się one od szukania: nie zraża to wcale młodsze pokolenie, i ciągle odbywają wyprawy na drogie metale. Naprzeciw Kesmarku wznoszą się najwyższe szczyty tych gór; w nich pokazywały się ślady kruszcu miedzianego, i to podsyca wiarę tę szkodliwą. Doliny do Kesmarku przynależące leżą na końcu wschodnich Tatrów; odznaczają się nadzwyczajną dzikością, a przyroda ich obrana prawie ze wszystkiego życia. Droga do nich prowadzi przez miasteczko Rox, które Słowacy nazywają Rakusy: znane nieco więcéj dla słabego źródła siarczanego, i kąpieli odwiedzanych przez mieszkańców okolicznych. Nad Rakusami wznosi się mała piramidalna góra Stösschen, gęstym lasem siarkowym okryta. Z górą tą zaczynają się wschodnie Tatry. Stösschen nie składa się z granitu, lecz z czerwonego piaskowca okrywającego granit. Wahlenberg oznaczył jéj wyniesienie nad morze 4871 stóp; gdyby ta góra była odosobniona, uchodziłaby za bardzo wysoką; jednakże przy dwa razy prawie wyższych szczytach, mało zwraca na siebie uwagi. Zstąpiwszy z téj góry, weszliśmy do nieco dłuższéj doliny, prowadzącéj do znanéj Jaworyńskiéj, przez grzbiet zwany Koperszady. Głęboka ta dolina ciągnie się na granicy pomiędzy wapieniami a granitem; na piérwszych skałach widać bujną roślinność, na drugich same prawie kamienie rozrzucone. Góry wapienne Jagnięcia, także Lämmersberg i Jatki, okrywają się

zwyczajnie bujnym kobiercem kwiatów. Grzbiet Koperszady ma nazwę od zarzuconéj kopalni miedzianéj rudy, i oczywiście pochodzi z niemieckiego Kupferschachte. Teraz nie ma najmniejszego śladu szybu lub kopalni, a w skałach wapiennych nie odkryto w Tatrach rud miedzianych, i dlatego sądzę, że może były daléj w granitach, a tu stały tylko mieszkania górników lub były składy kruszców.

Z Koperszadów zstąpiliśmy do kolistéj doliny, w któréj jezioro Weisse-See się rozciąga. Ramiona téj doliny opierają się o najwyższe szczyty Tatrów, o Łomnicki i Lodowatą. Rozrzucone siwe kamienie, sterczące skały, kupki skarłowaciałéj kosodrzewiny, tu i owdzie mały trawnik, smugi śniegu w gruzełki zamienionego, zwierciadło wody jeziora, i sklepienie niebios: to są przedmioty, na których spoczywa oko w tych wysokich stronach, gdzie zima siedzi, i chłody daleko na południe i północ, aż poza Wisłę wysyła. Sama nazwa téj doliny wskazuje, że tu się znajduje jezioro (Weisse-See, Białe jezioro), rozciągające się pod szczytami Weisse-See-Spitze 6,700 stóp, i góry Durlsberg 5586 stóp wysokiéj, według pomiarów szwedzkiego często wspominanego botanika. Jezioro to podłużne ma około 1,500 kroków obwodu, i leży na wyniesieniu 4,918 stóp. Wody jego w środku mają jasno-zieloną barwę, a na obwodzie czarniawo-zieloną od bagnistego spodu. Właśnie zmierzchało się, kiedyśmy przybyli do szałasu nad tém jeziorem stojącego, do szałasu kesmarskiego, należącego do tego miasta. Jak zwyczajnie, przyjęli nas juhasy z gościnnością, częstowali słodkiém i kwaśném mlekiem, świeżym owczym serem. Aby wieczór skrócić, dał się słyszeć jeden z juhasów na kozie; nie można zaprzeczyć, że ten instrument w górach niemały ma powab. Pasterze ci są tutaj z Podhala najęci z poblizkich wiosek. Nie mogę zbyt chwalić noclegu w szałasie na ławie; ta chociaż jest celném miejscem, niebardzo jest wygodną: jednakże zmęczenie dziwnie czyni ją lepszą niżeli się wydaje.

Gdy piérwsze promienie zajaśniały na otaczających szczytach, postępowaliśmy nad kosodrzewinę na wyższy próg téj doliny, gdzie leży jezioro Schwarze-See, znacznie mniejsze od poprzedniego; głębokość jego ma

dochodzić do ośmiu sążni. Niedaleko ztąd jest żyła w granicie, zawierająca miedź: kiedyś byłato kopalnia, ale dla małéj wydatności, jak pospolicie w tym pasmie, zarzuconą została, i teraz na ścianie zwanéj Kupferwand widać smugę zieloną od rozkładającéj się rudy miedzianéj.

Niedaleko ztąd uważałem w roku 1839 istotny lodnik (glacier); byłato podłużna massa lodu na pochyłości boku, 150 długa, a 30 kroków szeroka. W środku miała podłużne wydrążenie, tworzące pewien rodzaj sklepienia; na spodzie płynęła struga, podsycana wodą z topniejącego śniegu. Właśnie bardzo ciepły dzień czynił przyjemny pobyt pod tém sklepieniem lodu; ostrzegał nas przewodnik, że nie jest bardzo bezpiecznie zapuszczać się w głąb', gdyż nieraz zawalają się lody i zagrażają życiu.

Dolina Weisse-See dzieli się w końcu na dwa ramiona: prawe prowadzi do doliny Czerwonego jeziora (Rother-See-Thal) z wodami na dnie czerwonemi od porostu téj barwy, powlekającego kamienie jego dna. Według Wahlenberga jest 5,472 stóp wyniesione, a nad niém wznosi się piramida granitowa Rother Thurm (czerwona turnia) 7,200 stóp wysoka, i Karfunkelthurm (dyamentowa turnia), zakończona szczytem jakby cylindrowym; z téj przyczyny nikt nań nie wstąpił. Pomiędzy ludem krąży powieść, że na szczycie ostatniéj był niezmiernéj wielkości dyament, lecz spadł do jeziora i tylko podczas nocy roznieca tajemnicze i pełne uroku światło, odbijające się od gwiazd i księżyca.

W ramieniu lewém leży jezioro Grüne-See, znacznie niżéj jak poprzednie, 4,695 stóp wysokie, a nad niém sterczy turnia Grüne-See-Spitze 7,700 stóp wysoka. Małe to jeziorko ma obwodu około 300 kroków. Charakter dolin wymienionych jest prawie jednakowy; wielkość wymiarów nadaje im uroczyste wejrzenie. Ostrość klimatu przyćmiła życie organiczne i nie dozwala się rozwijać drzewom i krzakom; tylko po ziemi widać trawy gdzieniegdzie rozrzucone, a na nich pasące się najszybciejsze zwierzęta, dzikie kozy, dla których wraz z świstakiem jest właśnie pożądany stopień ciepła.

Schmecks. Dobra mila na zachód od góry Stösschen czyli od końca wschodniego Tatrów widać zdala

z niemieckiego Spiża w pasie leśnym, ciągnącym się na boku tych gór, a mianowicie na pochyłości góry Schlagendorfer Spitze kilka nieznacznych domków: jestto Schmeks, kąpiele, teraz należące do najwięcéj uczęszczanych w Węgrzech północnych. Trudność zachodzi w oznaczeniu, jakie słabości leczy ta szczawa: dlatego łatwo się domyśleć, że więcéj zdrowych aniżeli słabych do Schmeksu zwykło przybywać. Mało jest kąpieli otoczonych przyrodą bardziéj powabną; olbrzymie szczyty z bujną roślinnością zimnéj strefy, i znakomite ich wyniesienie (3,064 stóp) jest przyczyną lekkiego powietrza, które sprawia to wewnętrzne zadowolenie, jakie zwykli doznawać goście tutaj przebywający. Kto zna niemieckie, francuzkie lub angielskie kąpiele, nie znajdzie w Schmeksie tych wspaniałych gmachów lub wytwornych wygódek, odznaczających się zamożnością i wystawą; lecz znajdzie skromne kąpiele, gdzie przybywającego przyjmują jakby w własnym domu, z uprzejmością, cechującą narody bliższe swego początku; gdzie serce przeważa nad wyrachowanie rozsądku. Dwa długie drewniane pawilony od siebie równoległe, zostały na początku tego wieku wystawione i stanowią główny zakład; w samym końcu, pomiędzy niemi, stoją łazienki, oparte o wznoszący się bok góry. Główny pawilon wznosi się nad samą szczawą: w nim jest mieszkanie gospodarza i sala, a zewnętrzna część przyozdobiona na sposób szwajcarski. Z obwodzącego ganku jest widok na nieprzeliczone sioła i miasteczka Spiża niemieckiego, i wznoszące się niższe pasma, które zamykają widokrąg. Za drugim pawilonem stoi kilka mniejszych domków i stajnie. W pobliżu łazienek, około 100 kroków daléj wznosi się długi budynek o piętrze, przed kilką laty wystawiony na wzniesieniu, z wcale wygodnemi i miłemi pokojami, a z których Spiż przedstawia się w całéj świetności.

Panuje tutaj patryarchalne życie: goście zdają się składać jednę wielką familią; razem w jadalnéj sali obiadują. Po skończonéj wieczerzy, powszechnie wynosi służba długie ławki, stoły zsuwają, podłogę zamiatają, i daje się słyszeć wyborna muzyka cygańska. Ludzie ci aczkolwiek niepozorni, obdarzeni są niepospolitym talentem: wygrywają tańce z taką doskonałością, że tru-

dno gdziekolwiek słyszeć doskonaléj i z większém czuciem wykonanych mazurków, walców, a szczególniéj narodowego tańca węgierskiego, pełnego melancholiczności czardasza. Nie jestto taniec podobny do naszych, w których wszyscy razem tańczą; jedna lub dwie pary występują i popisują się nietylko tańcem, ale zmieniającemi się ciągle figurami. Gdyby nie czardasz, nie możnaby domyśleć się, że się na Węgrzech znajdujemy; zupełnie bawią się podobnie jak na europejskich wieczorach. Czasem wysunie się do walca niezbyt smukła gospodyni z jakim znajomym tancerzem; słychać szmer ogólnego zadowolenia i wszyscy poklaskują tańczącym.

Najliczniéj goście przybywają do Schmeksu w lipcu i sierpniu; na końcu września nie masz już nikogo, bo klimat tutaj jest zbyt ostrym. Sławę swoję winny te kąpiele dawniejszemu dzierżawcy a teraźniejszemu ich właścicielowi p. Rainer, który czystą chęcią wzniesienia tych wód i nieugiętą wytrwałością uczynił pobyt tamże bardzo przyjemnym i tanim; od pewnego czasu liczba gości powiększa się rok rocznie, gdy w innych bardziéj wziętych kąpielach, jakoto: w Bardyowie, Trenczynie coraz bardziéj upada. Schmeksu szczawa nie posiada wprawdzie żadnych szczególnie leczących własności, należy do rzędu kwaśnych wód żelasistych i wytryskuje z granitu, zawiera gaz kwas węglowy obficie, i jest smaczną i orzeźwiającą; w piciu można jéj z winem używać. Kwas węglowy téj szczawy rozłożył zupełnie granit z którego wytryska; zmianę tę widać na znacznéj przestrzeni, i z najtwardszéj powstała krucha i ziemista skała, otrzymawszy brunatną albo pomarańczową barwę. Feldspat do składu jego wchodzący, zmienił się na massę do iłu podobną lub rozpada się w piasek, gdy nań działa powietrze. W pierwotnych czasach kuli ziemskiéj, dobywanie się tego gazu musiało być nierównie potężniejszém, albowiem nietylko przy źródle, ale na przestrzeni 4 do 5.000 stóp długiéj, granit uległ téj zmianie. U stóp Tatrów, ćwierć mili niżéj od Schmeksu osadziły się potężne pokłady pewnego rodzaju ziemi porcelanowéj, z któréj przy kopalni Johannisstollen na Spiżu wyrabiają fajans średniéj wartości. Nie można dokładnie przekonać się o grubości pokładów téj białawo-szaréj glinki, bo ją zalapia woda deszczowa.

Prócz szczawy, nieprzeliczone źródła słodkiéj wody tryszczą przy Schmeksie. P. Rainer umiał z nich wybornie korzystać: urządził zakład na wzór Prysznitza, tusze różnego rodzaju i inne do tego potrzebne przyrządy, i przez kilka lat był lekarzem wodnym. Niemało przyczyniło się to do wzniesienia Schmeksu. Zakład ten rozpoczął się właśnie w czasie (1840), kiedy na Węgrach używanie zimnéj wody stało się rzeczą mody u ludzi lepszego towarzystwa. Wino oddano wtedy zupełnie gminowi, i wśród wodnistego szału, mianoby sobie za ujmę używać wybornego soku, nawet z jagody tokajskiéj. Jeszcze większa liczba gości zjeżdżała się odtąd, aby używać jednéj z najlepszych wód górskich. Picie wody a wzgarda wina trwało przez kilka lat; lecz niechcący wyszło to zupełnie z zwyczaju, hydropata lekarz nie był bardzo pilnym, wreszcie nie przybywał, i teraz wodne kuracye odbywa każdy sam według swego przepisu. Widać jeszcze niejednego jak biega pod wodospad, założony na większe wymiary.

Hydropatyi winien Schmeks założenie bardzo dalekich chodników do doliny Gross Kohlbach, i uczyniły te kąpiele miejscem najdogodniejszém dla zwiedzenia szczytu Łomnickiego. Wykonał to p. Rainer, gdy nawet nadziei nie mógł miéć, że kiedyś stanie się posiadaczem tych ponętnych kąpieli.

Kto zamierza zwiedzać doliny i szczyty Tatrowe na stoku południowym Tatrów, znajdzie tu wszystko co mu jest potrzebném do tego: przewodników obznajmionych z ścieszkami, prowadzącemi na najwyższe szczyty, konie umiejące się wspinać na szczyty, i pożywienie. Trzeba tylko dniem pierwéj zapowiedzieć gospodarzowi, a ze wschodzącém słońcem zastaje się wszystko i czekających przewodników. Wyborny gospodarz Schmeksu z największą przezornością stara się wyprawiać podróżnego na wysokie góry, i trudno iżby lepié można być z własnego domu opatrzonym. Ta ujmująca prostota obyczajów, ta dobrotliwość z jaką bywają podejmowani goście, ma w sobie coś nader przyciągającego. Życzymy tylko, aby ten stan rzeczy potrwał jak najdłużéj.

Nie ma nic wspanialszego a zarazem okropniejszego jak burza w Schmeksie. Deszcze zwyczajnie padają tutaj w nierównie większych kroplach, aniżeli pospoli-

cie w równiach: uderzania zaś piorunu tak są mocne, że się skały rozsypują. Nic straszniejszego nad to, gdy się szybko powtarzają uderzenia; wtedy każdy grzmot odbija się po nieprzeliczonych dolinach, a gdy jeszcze się nie ukończył, już daje się słyszeć drugi, trzeci i następny: wtedy nie ma między niemi przestanku, i trzaski zmieniają się w jeden ryk olbrzymi. Było to śród nocy, gdym doświadczył takiéj burzy: błyski piorunu oświecały na chwilę okolicę, aby ją okryć tém większą ciemnością.

W wysokich Alpach wszystko ma olbrzymie wymiary, i to się odbija w ludziach na nich przebywających.

Schlagendorfer Spitze nad Schmeksem. Dobra mila na zachód za górą Stösschen, właśnie poza bruzdą przedzierającą całe pasmo, czyli raczéj dolinę Grosse Kohlbach, nad którą sterczy szczyt Łomnicki, wznosi się nad samym Schmeksem, bardziéj od innych wysunięta piramida z granitu, Schlagendorfer Spitze. Pod jéj szczytem wystaje z boku skała; upatrują w niéj podobieństwo do nosa, i ztąd powszechnie jest nazywana Koenigsnase. Wstąpiwszy na tę górę, okazuje się ten pozornie mały wyskok jako potężna skała, oddzielona rozległą doliną od samego szczytu, według Wahlenberga około 7,200 stóp wysokiego. Potężna ta massa granitowa dzieli jakby klinem dwie wielkie doliny: Grosse Kohlbach i Fölkerthalu.

Dolina Grosse Kohlbach, i szczyt Łomnicki. Dolinę tę najcelniejszą na południowym stoku Tatrów, podobało się Staszicowi nazwać: wielki Kolibah. Sami tu Niemcy mieszkają, wszystkie strumyki, góry, skały, nazywają swym językiem, i dlatego téj doliny nazwa jest czysto niemiecka. Podobne przemienianie sprowadza zamieszanie. Dolina Kohlbach, albo jak inni chcą Kahlbach, zdaje się że stanowi część parku należącego do kwaśnéj wody. P. Rainer rozwinął dla wzniesienia tego zakładu niezwyczajne starania, w czasie nawet, gdy nadziei nie mógł mieć, że kiedyś na jego własność przejdzie zakład kwaśnéj wody Schmeksu. Istniała bowiem w Węgrzech ustawa, mocą któréj własność nieruchoma należała wyłącznie do szlachty, i nikomu nie mogła być sprzedawaną, bo ziemia nie była jako własność przywią-

zana do osób, lecz do familii, a gdy ta wygasła, przypadała do korony. Były to majoraty, które otrzymywali w spadku synowie właściciela, i niemi dzielili się w nieskończoność. Grunta Schmeksu i lasy aż do grzbietu tatrowego, należały do hrabiów Czakich, których przodek w X wieku przybył z Arpadem do Węgier, i otrzymał w lenność obszerną część Spiża wraz z zarządem téj krainy. W pamiętnym roku 1848 zaszła zmiana w odwiecznych stosunkach posiadania. Sejm węgierski zniósł lenne posiadanie nieruchomości, a młody p. Rainer nabył od hrabiego Czaki kąpiele Schmeksu, i odtąd rozwijają się jeszcze znakomiciéj. Co rok zaprowadza nowe polepszenia, powstają nowe gmachy, raz wraz zaprowadza nowe ulepszenia. Kto wié, czy z wygodami i wytwornością nie zatrą się owe serdeczne, pełne prostoty zwyczaje. Drożki, jak wspomniałem, od Schmeksu wychodzące do doliny Grosse Kohlbach, są bardzo długie: najcelniejsza prowadzi do wodospadu. Przypatrywać mu się wygodnie można ze skały zwanéj Kämmchen. Wody strumienia Kohlbach spadają z trzech potężnych granitowych progów; z skały 200 stóp wznoszącéj się nad strumyk, widać zarazem cały obszar doliny, i niezmierną massę skalną, z któréj wznosi się smukła piramida Łomnicka, w całych Tatrach najwyższa (1).

Na wszelki przypadek szczyt nad doliną Kohlbach należy do najwyższych w tém pasmie; według pomiaru Wahlenberga, wysoki na 7,942 stóp paryzkich (2). Na za-

(1) P. Grainer utrzymuje, że szczyt Batyaszowski jest wyższym od Łomnickiego, i twierdzenie swoje miał poprzeć dowodami; a że od kilku lat tego nie uczynił, zachodzi wątpliwość, czyli to twierdzenie jest rzeczywistém.

(2) Wielu autorów większe podaje wyniesienie tego szczytu, niepodając wszakże sposobu, jakim doszli do tego wypadku. Nic łatwiejszego, jak popełnić błędy w pomiarach za pomocą barometru, mianowicie bez dostatecznéj wprawy, a nadto, jak się często wydarza, bez ściśle zrobionego barometru i odpowiednich obserwacyj, na stale oznaczoném miejscu. Ztąd pochodzi ta rozmaitość podanéj wysokości różnych pisarzy dla szczytu Łomnickiego; i tak: Townsend oznacza jego wyniesienie nad poziom morza 8100 stóp, Lisganik 8311 stóp paryzkich, Csaplowicz w obrazie węgier (Gemaelde von Ungarn T. 1. s. 96) podniósł je do 9180 stóp, Szepezhazy i Thiele (Merkwürdigkeiten des Königreichs Ungarn t. 1. str. 90) zniżyli do 8200 stóp. Jakiś błąd musiał popełnić Beudant, gdy trygonometrycznie oznaczył wysokość Łomnickiego szczytu 7470 stóp paryzkich (Voyage en Hongrie t. II str. 113). I średni wypadek przez Sydowa obliczony 8194 stóp, nie ma również znaczenia, bo się opiera na samych niepewnych danych, wyjąwszy pomiaru Wahlenberga.

chodnim boku widać potężne ściany uwieńczone piramidami: jedna z nich ma jakieś podobieństwo do domku szwajcarskiego, i goście Schmeksu nazywają tę skałę domkiem szwajcarskim, Schweitzer Haüsschen. Naprzeciw zaś wyskakującą skałę zrówniny kamieniem zbójeckim, Räuberstein, dla przesiadywania na nim zbójców. Życzyćby należało, aby pomiar téj najwyższéj góry w Tatrach, a nawet we wschodniéj części został powtórzony. Postępując od kamienia Kämmchen i wodospadu w głąb' doliny, zdaje się że się ściany rozszczepią dźwigając piramidę Łomnicką. Potężny wirch Mittllerer Grad, rozdziela ją na dwa ramiona (nasi górale nazywają taki sposób występowania góry pośredni wirch, stoi bowiem w pośrodku między dwiema dolinami): prawe czyli wschodnie zatrzymuje nazwę Grosse Kohlbach, lewe czyli zachodnie ramię nazywają Kleine Kohlbach. Na końcu piérwszéj tych widłujących się dolin leży potężna piramida Lodowata, z południowéj strony, znana pod nazwą Eistalerspitze. Wirch ten uważa Wahlenberg za najwyższą górę w Tatrach; u jéj stóp leżą cztery jeziorka. Przyroda martwa rozwija się w zupełności w dwóch tych dolinach: na bokach i spodzie ich rozsiane bryły granitu, na wielu miejscach wyskakuje z boku skała, a pod nią zwykle widać kupkę zielonéj skarłowaciałéj kosodrzewiny, albo kępę trawy, lub zawadzimy o kwiatek mroźnéj strefy. Pod samą Lodowatą liczne są pasy i płaty śniegu, które zasycają strumienie na dół pędzące, i nieraz rozbijają swe szmaragdowe wody w białą pianę. Na samym końcu doliny są cztery małe stawy, blizko od siebie. Jeszcze dziksżą jest dolina Kleine Kohlbach, bardziéj wązka i nader kamienista. Na drodze ku Łomnickiemu szczytowi odkryli wieśniacy z wioski Alt Walldorf żyłę w granicie, zawierającą rudę miedzianą: ale jak zwyczajnie w tém pasmie nie była zbyt obfitą, i po wielkiém wysileniu musieli ją opuścić. Wstęp na szczyt Łomnicki aż pod piramidę nie jest trudny: można nawet jechać konno, ale odtąd trzeba iść pieszo, bo około sto kroków jest bardzo trudnych do przebycia, a nadto trzeba miéć dobre nogi i nie cierpiéć zawrotu głowy. Widok ze szczytu Łomnickiego jest wielki i wspaniały. Na znacznych wysokościach doznajemy niezwyczajnych wrażeń: lekkie i świeże powietrze jest nieporównane. Wszystkie

nierówności urodzajnego Spiża, poorane tyloma dolinami, zdają się spływać w jednę płaszczyznę; samo pasmo bardzo jest najeżone, tylko głębokie doliny rozdzierające massę granitu, przedstawiają się jakby szczeliny wązkie, a niejeden potężny szczyt wydaje się jakby nieznaczny kopczyk. Nadzwyczajny brak roślin powiększa nierównie silniéj samotność. Wstęp na Łomnicki szczyt nie jest tak trudny: corocznie wielu gości Schmeksu zwykło nań wstępować a nawet i damy. Właśnie kiedym był w tych ponętnych kąpielach, pokazywano mi młodą pannę z poblizkiéj wioski, pełną powabów, która na sam szczyt wstąpiła, a wróciwszy przybyła do sali na wieczerzę i do północy tańczyła. Wspominam o tym szczególnym wypadku, nie tak łatwo powtarzającym się.

Dolina Völkerthal. Trzecia wielka dolina od wschodu ma nazwę od miasteczka Volka albo Wielka; powszechnie jest znana na Węgrach od gości bawiących w Schmeksie, bo liczne ztąd towarzystwa zwykły udawać się do niéj. Nietylko odznacza się malownemi widokami, ale i pod względem geologicznym: nie przerywa bowiem samego granitu. Wyjątkowo w tem pasmie pokazują się potężne pokłady gnejzu, z dosyć obfitemi granatami w jednym z boków zwanym Granatenwand. Gnejz jak najściśléj łączy się z granitem, a tém samém jednocześnie powstały dwie te skały; piérwsza różni się tylko większą ilością miki, wchodzącéj do jéj składu, sprawiając oddziały warstw. Granaty te nie są piękne, bez żywéj barwy, zaledwie nieco przepuszczają światło i nie mogą służyć do ozdób. Wielu rozmyśliwało podczas pobytu w Schmeksie, czyby ten kamień nie dał się naprawić: daremneto kuszenie się, nie prowadzące do żadnego celu. Granatów podobnych nierównie więcéj jest na świecie, aniżeli sobie wystawiamy; doskonale do ozdób zdatne ograniczają się do niewielu miejsc, a jeszcze niezbyt są cenione.

Dolina, którą właśnie zamierzam kilkoma rysami skreślić, w porównaniu z doliną Kohlbachu jest bardzo wązka, i można ją uważać za szparę pomiędzy potężnemi piramidami granitowemi czyli wirchem Gerlachowskim, o którym utrzymują, że jest wyższym od Łomnickiego i Szlagendorfer-Spitze. Idąc od Volka w górę,

dolina z początku jest bardzo wązka i lesista; nie ma w niéj drogi wozowéj, tylko trzeba ją na koniu albo pieszo zwiedzać. Wśród bujnych świerków i jodeł otwierają się nieprzeliczone widoki, jeden od drugiego piękniejszy. Strumień spada w nieprzeliczonych wodospadach z okrąglic granitowych, a niczém niewstrzymany zmierza do celu nieustannie: raz wznosi się aby spadać, to znów omija w drodze leżące okrąglice, i zmienia swój szmaragdowy płyn w białą jak śnieg pianę. Wyższa część doliny zaczyna się z kresem lasów; odtąd są trzy potężne progi, a na każdym jezioro otoczone niezmiernemi kupami szarego granitu. Na najwyższym progu rozciąga się jezioro zwane Volker-See. Wahlenberg oznaczył 4,997 stóp paryzkich jego wyniesienia nad poziom morza; ma postać podłużną: 400 do 500 kroków długie, a 100 do 150 kroków szerokie, leży przy skale wznoszącéj się od wirchu Gerlachowskiego. Chociaż ma piękne zielone wody, niebardzo przecież jest głębokie. Bok wschodni wznoszący się nad tém jeziorem, zawiera granaty, i od nich otrzymał nazwę ściany granatów, Granitен-Wand. Wstęp na drugi próg, aczkolwiek jest dosyć przykry, bo trzeba wstępować prawie na prostopadłą ścianę śród brył granitowych, pomiędzy któremi rzadko trawkę albo kwiatek widać, nie jest wszakże bez uroku. Z boku sterczy potężny szczyt Gerlachowy kociół, tak nazwany dla wielkiego zagłębienia ze strony południowéj, z przeciwnéj zaś ciągnie się rzęd jakby potężnych wieżyc ku północy schylonych. Na znacznéj równinie 5,459 stóp wysokiéj, według często wzmiankowanego szwedzkiego botanika, rozpościera się także wyższe podłużne jezioro, wysyłające swoje wody zpośrodka wieńca kosodrzewiny w potężnym wodospadzie do niższego, właśnie co opisanego stawu. Fizyonomia otaczającego krajobrazu jeszcze smętniejsza: skały siwe, kosodrzewina w kupki zebrana i nadzwyczajna cisza, wywierają na umyśle jakieś dziwne usposobienie, którego trzeba doświadczać, aby je dostatecznie ocenić. Wirchy przy piérwszém jeziorze wznoszące śmiało czoło pod niebiosy tu widocznie zmalały: nie poznajemy ich prawie, iżby to były też same olbrzymy.

Nie tak trudny jest wstęp na trzeci próg jak na drugi, gdzie leży najwyższe jezioro, również podłużne;

ciągnie się ono wzdłuż doliny, wymiary jego nieco mniejsze od piérwszego, bo jest 300 do 400 kroków długie, a 80 do 100 kroków szerokie; leży na wyniesieniu 5817 stóp, i należy do najwyższych w Tatrach. Już i kosodrzewina go opuszcza, tylko przy niém skały i rzadkie trawki. Wśród samych kamieni, godzinę trwa droga na grzbiet najwyższy, dzielący dolinę Volkerthal od doliny Paduplaski, należącéj do Spiża polskiego. Kiedyśmy dnia 25 sierpnia 1851 roku spoglądali z tego grzbietu nazywanego ze strony spizkiéj polskim (polnischer Gral), według Wahlenberga około 6500 stóp wysokiego, widać było ze strony północnéj jezioro jeszcze nieodtajałe zupełnie, mające w środku jakby czarne oczko wody. Dziwna to rzecz, dlaczego w tak smutnéj i obumarłéj przyrodzie, zwiedzający doznaje niewymownego zadowolenia i jakiejś lubości, a przecież nic nie uderza niezwyczajną postacią lub bogactwem roślinności. Nie ma wątpliwości, że takie usposobienie głównie sprawia mniejsze ciężenie warstwy powietrza, i nieustanna zmiana widoków, utrzymująca ciągle umysł w pewnym rodzaju natężenia. Wchodząc na wysokie miejsca, potrzeba zwyciężać przeciwności, a ztąd obudza się dzielność ciała, o któréj sami nie wiedzieliśmy.

DWOREK I PAŁAC.

POWIEŚĆ

PRZEZ

K. W. Wójcickiego.

(Ciąg dalszy).

IV.

Nazajutrz chorąży raniutko zerwał się wraz z domownikami na łowy, i chciał budzić gościa, aby im towarzyszył; ale dowiedziawszy się od Zakliki, jak późno zasnął, cichaczem dwór opuścił nie budząc nikogo.

Zaręba snem twardym spoczywał, a dziwne obrazy snuły mu się w marzeniach nocnych. Śnił, że słyszy ulubiony, cichy szmer swéj puszczy, gdy słońce pogodnie w poraniu przyświeca, a rosa kroplista perli zboże, łąki i zioła; że słyszy gruchanie owych w darze przysłanych gołębi i karmi je rzucając groch z ganku dworku; że czuje oparłą o ramię bogdankę swoję, którą mu wolno nazywać słodkiém imieniem żony. Zdala, jak we mgle, przesuwały mu przed oczyma i sędziwa postać ojca, i rodziców Kasi, i pana Kacpra z dobytą szablą, i Malchera nawołującego strzelców do zboru myśliwską trąbką. Nagle ujrzał całe domostwo w pożarze: rzucił się z krzykiem, znikła postać Katarzyny, a oblany potem zbudził się i zerwał z łoża. Słońce zimowe uderzyło w okno, zegar wybił ósmą: porwał się co prędzéj, ubrał i wy-

szedł do jadalni, gdzie zastał już przygotowane dla siebie śniadanie i stojącego przy kominie Zaklikę.

— A gdzie pan chorąży?—zapytał z pochmurném obliczem Zaręba swego pachołka.

— Ho! ho! pan chorąży jeno świt ruszył do kniei, i niedługo wróci zapewne. Tylo co myśliwych nie widać.

— A panie?

— I panie dawno wstały. Wielmożna panna chorążanka sama przygotowała własną ręką dla pana śniadanie....

Na to wspomnienie uśmiech radości przebiegł na obliczu Zaręby, zapomniał o przykrém widzeniu we śnie, i rzeźwo zasiadł do spożycia śniadania.

— Czy my tu długo zabawimy, proszę pana?—zapytał po chwili Zaklika.

— Albo co?

— A bo proszę pana, pan chorąży kazał chomonta i całą uprząż nam schować; nawet biczysko staremu Grzeli zabrano, to téż chodzi osowiały, jakbyto kto inny w jassyrze bez szabli.

— O! prawda mój bracie, jestem tu w prawdziwym jassyrze.

I wymówiwszy te słowa Zaręba westchnął, oparł głowę na ręku i utonął w zadumaniu. Ale wkrótce rozbudził go z marzenia odgłos kilku trąbek myśliwskich, wygrywających piosnkę powitania, i grzmiący głos chorążego:

— A co, czy wstali spiochy we dworze? A wyjrzyjże do nas Waszeć Maciejku choć przez okno; patrz i podziwiaj, że my tu choć puszczy nie mamy, ale grubego zwierza nie braknie.

Zaręba wybiegł co rychléj i ujrzał na saniach tęgiego odyńca, starego rogacza i kilka zajęcy. Wybiegły na ten rozgłos i niewiasty, a chorąży ściskając i całując żonę, ze śmiechem serdecznym zawołał:

— A wiész Wasze Maciejku, dlaczego tak nam szczęśliwie łowy poszły?—bo na szczęście pocałowałem Ewusi kolanko, pan Kacper dostąpił zapewne tego szczęścia od panny Brygidy, a nasz hetman myśliwski od pani Piotrowéj.

— Co téż jegomość nie wygaduje—zawołały razem wszystkie kobiety i uciekły do pokoju.

— Nie chciałem cię obudzić, Wasze Maciejku, boś chrapał jak dzik, kiedy go dobrze osadzą w kniei żwawe a chwytne kundle—mówił chorąży do Zaręby wchodząc do izby.—No, i bez Waści Maciejku na ten raz się obeszło, ale drugi raz nie zasypiaj gruszek w popiele.

Gdy Zaręba podaną dłoń chorążego uścisnął i pocałował go z uszanowaniem w ramię; stary spojrzał nań z uczuciem, chrząknął, pokręcił wąsa i wesoło wykrzyknął:

— Hej! hej! Ewusiu! a dajże myśliwcom przegryzkę, a wołajcie pana Kacpra i Malchera, niechże przyjdą na śniadanie. Jużto pewnie przed gwiazdką ostatnie łowy, bo i słońce za mgłą, i wrony a kawki wrzeszczą jak najęte i zbijają się w gromady, i te bestye wilki wyją tak żałobliwie, jakby przeczuwali, że głodu namrą. Snadź, śnieżyca z zamiecią będzie wiać długo. No! ale my tu pod dachem i przy ciepłym kominie spokojnie sobie będziem gawędzić, ba! i tęgiego ciąć maryasza.

Wkrótce przybyli Kacper i Malcher, a nim stół nakryto i przyrządzono sute śniadanie, weszła chorążyna z Kasią.

Około południa, wedle przepowiedni gospodarza domu, nadpłynęły czarne chmury, zaciemniły cały horyzont, wichura poświstywać zaczęła i śnieżyca powiewać. W kilka godzin śnieg płatami sypiąc usłał niedługo ziemię, zrównał się z opłotkami, tak, że z dworu do oficyn, stajni i gumien przekopywać się trzeba było.

Odtąd po całych dniach wszyscy przesiadywali w jadalnéj komnacie, którą od porania do późnéj nocy oświecał i ogrzewał płomień wielkiego komina. Zaręba swobodny miał czas do rozmowy ze swoją bogdanką, gdy chorąży grał z rezydentem i nadleśnym w ulubionego maryasza; i począł przemyśliwać, kogoby wybrać na swaty dla prędszego skończenia zalotów, i spełnienia swych złotych marzeń o szczęśliwéj przyszłości pod słomianym dachem dworku w puszczy, obok ukochanéj Kasi.

Zbliżały się święta i dzień imienin pani chorążyny. Zaręba posmutniał, a pan Dzierżanowski zdziwiony jego tęsknotą, polecił tajemnie panu Kacprowi Płazie, zbadać zdaleka młodego gościa o powody troski.

Pan Kacper zręcznie się uwinął, i nazajutrz rano, kiedy wstawał Zaręba i odmawiał pacierz, usłyszał zdziwiony pozdrowienie starego wojaka:—Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

— Na wieki wieków Amen! A to gość pożądany— zawołał Zaręba—a siadajże kochany panie Kacprze. Bóg zapłać za odwiedziny.

Pan Kacper pokręcił wąsa, usiadł na ławie dębowéj przy kominie, podumał chwilę, i wyrzekł:

— Panie Macieju! nie umiem kłamanych słówek obwijać w bawełnę, bo nie nauczyłem się tego ani pod moją chorągwią, ani w obozach: owoż zaraz przystępuję ad rem. Ale poselstwo moje musi być tajemném, i musisz mi Waszmość podać rękę i dać verbum nobile, że co tu mówić będę, to za próg nie wyniesiesz.

Zaręba z podziwieniem podał rękę.

— No, tak dobrze, spadł mi kamień z serca! Pan chorąży uważał, żeś już od kilku dni osowiał, i chce wiedzieć powód i przyczynę, bo Waść kocha, panie Macieju jak syna, a i my kochamy — dodał zcicha starzec.

Zaręba rzucił się w objęcia wojaka, pełen wzruszenia westchnął boleśnie i rzekł po chwili:

— Dziękuję Waszmość panu za otwartość szczerą, a z równą odpowiem. Pan chorąży zna mój afekt dla swéj córki, ale klina mi w głowę zabił, bo żąda, abym przez godnego swata moje uniżone prośby złożył u nóg rodziców. Gdyby był z nami ten (i wskazał na zawieszony na ścianie obrazek męża w węgierskiéj czamarce) byłby mi swatem; ale teraz jestem sam, bez ojca, bez matki, bez przyjacioł, sierota!

I pełne łez oczy wzniósł w górę, jakby się chciał Bogu skarżyć na swe sieroctwo.

Pan Kacper powstał, pochwycił go za rękę, i drżącym od wzruszenia głosem przemówił:

— Nie bluźnij Waszeć panie Macieju, bo Bóg widocznie czuwa nad tobą, gdy skłonił ku tobie afekt serca chorążanki; a gdy masz przyjaciela w panu chorążym, we mnie i w panu Malcherze, masz cztery serca oddane sobie, a trzy szable na obronę i posługę! Obetrzyj oczy Waszeć panie Macieju; to babska rzecz płacze, a o swata Waść się nie turbuj.

— Ale zkąd wziąć go, zkąd wziąć—wołał Zaręba załamując ręce.

— Za trzy dni imieniny chorążyny, a z gości nikt się do nas nie przekopie na taką zamieć straszliwą: rano ja przyjdę do Waszeci, i jako swat oświadczę jego afekt Wielmożnemu chorąztwu.

Zaręba zaczął starca całować i ściskać; co duchu skończył ubranie, i gdy pan Kacper cicho wymknął się z komnaty, a ujrzał Zaklikę na progu, porwał go za rękę, wciągnął do sypialni, i pełen radości szepnął mu na ucho:

— Janku! ja się żenię. Kamień mi spadł z serca! Masz Waszeć dukata, ale ani słówka o tym nikomu; po oświadczynach będzie można.

— A któż będzie swatem Wielmożnemu panu?

— Głupiś Waszeć, to moja w tym głowa—i wyszedł rozweselony do komnaty, w któréj się już rozlegał radosny śmiech chorążego. Stał przy nim pan Kacper, i zcicha widać zdawał sprawę ze swego poselstwa.

— Grackoś się Wasze panie Kacper sprawił. Bóg zapłać! Nowy kontusz i żupan będzie jutro Waści w oficynie, a dziś przyjmiesz pas słucki niebieski w gwiazdki srebrne, boć się Waści dawniéj podobał.

Pan Kacper skłonił się głęboko, gdy wszedł Zaręba.

— No! no! teraz dobrze mi Waszeć Maciejku wyglądasz, nie tak jak wczora osowiały, zasępiony. Ale cóż będziema robili, kiedy nosa wychylić na dwór nie można. Ot pogwarzym przy kominie, a potém daléj do maryasza. A gdzie Malcherek?

W téj chwili właśnie stanął na progu wołany myśliwiec, ale ze strzelbą na ramieniu.

— A gdzieżto w czas taki?—zapytał chorąży.

— To już wracam z wyprawy. Sześciu wilków majaczyło pod oborą i owczarnią: jeden już leży, i kazałem ściągnąć z niego skórę, a ścierwo powiesić na postrach tym zbójcom leśnym.

— No dzięki Bogu, kiedy się bez szkody obeszło. Siadajże Waszeć, bo już nie puścim z pod dachu—przemówił chorąży.—Po admonicyi takiéj nie zajrzą burasy tu prędko do nas.

Pan Kacper po obiedzie dał znak Zarębie, i obaj przekopaną w śniegu ścieszką udali się do oficyny. Tu

gdy w izdebce starego wojaka stanęli, pan Kacper biorąc go za rękę wyrzekł:

— Potrzeba się przygotować panie Macieju do oświadczyn: staropolskim obyczajem złożymy wieniec, a ja przemówię po dawnemu. O wieniec już się postarałem przy pomocy pana Malchera: Waść czy masz pierścień na zrękowiny?

— Nie mam go z sobą, ale jutro rano przywieźć każę.

— No, to zawiń się Waszeć, bo pojutrze punktum jak wykuka kukułka jedénastą, u pana chorążego stawimy się solennie.

Uściskał starca Zaręba, wybiegł co rychléj, przywołał Zakliki, i błagał go na wszystkie świętości, aby co rychléj z puszczy pierścień i inne klejnoty, zachowane w szkatule, od któréj mu klucz wręczył, przywiózł, wraz z rzeczami wedle spisu; ale zarazem polecił, aby się z dworu tak wymknął, iżby nikt jego odjazdu nie spostrzegł.

Zaklika ruszył w téj chwili, gdy we dworze siadał chorąży z panem Kacprem i Malcherem do maryasza.

Z bijącém sercem oczekiwał Zaręba powrotu pachołka; ufał jego odwadze i przywiązaniu, a jednak całą noc marzył o różnych przygodach, jakie go w ciągu sześcio-milowéj podróży w czas taki spotkać mogły. Jakże się zdziwił, gdy nazajutrz w czas przed południem Zaklika stanął, i doręczył żądany pierścionek z pomyślną wiadomością z puszczy, że wszyscy zdrowi, ale tęsknią, że Wawrzyńcowa z Sochą dali już na wotywę za szczęśliwą przyszłość pana, a nadto przysyła dla młodéj pani szkaplerzyk z relikwią, ocierany o obraz Najświętszéj Panny Maryi Częstochowskiéj: dar wielkiéj ceny, bo otrzymany jeszcze od matki pana Macieja.

Pobiegł co żywo do oficyny z tak dobrą nowiną, i znalazł pana Kacpra głośno deklamującego. Pełen podziwu stanął na progu.

— Ha! ha!—zawołał starzec—widzisz Wasze dawno swatem nie byłem, więc przypominam sobie mowę, aby ją gładko i okrągłemi wypalić słowami. Wszystko pójdzie dobrze i składnie. Waszeć nie trać fantazyi, ja Waszeci zaraz wymusztruję, abyś przecie umiał się obracać jak staniemy przed Wielmożnym chorąztwem. Waszeć, panie

Macieju staniesz po prawicy, a pachołek Waści strojny trzymać będzie pudełko z pierścieniem i klejnoty. Po przemowie mojéj Waść upadniesz na jedno kolano, ale z godnością, bo trzeba Waszeci wiedzieć, że my tylko Bogu a rodzicom i siwym włosom taką jedynie czołobitność oddajemy. Pan chorąży odpowié; ja znów palnę replikę, potém puhar i..... skończyło się!

Zaręba słuchał uważnie, gdy nadbiegł Zaklika dając znać, że pan chorąży prosi na obiad. Z upromienionemi obliczami od radości zasiedli pan Kacper i Zaręba: piérwszy, że mu się wybornie udała przemowa; drugi, że zbliżał się czas ziszczenia najdroższych serca i myśli życzeń.

Pan Kacper sadził się na dykteryjki, a chorąży w złotym humorze krzyczał ciągle o nowe gąsiorki wina.

— Hej! Hej! będzieto lat niemało, kiedy w wigilią imienin mojéj Ewusi, z bijącém sercem zajechałem ze swatem, panem wojewodą, i przyjęto nas honeste. Co to za złotousty był pan wojewoda! Jak zaczął prawić, to wszyscy z otwartemi gębami słuchali, a w końcu rozpłakali się jak bobry. Po sutym obiedzie, w stodole obciąłem kasztelanica, który mi przymówił i chciał odpalić od Ewusi; ale tak obciąłem, że go wynieśli z klepiska i lizać się musiał u cyrulika w Warszawie pół roku. Ja na podziękowanie panu wojewodzie, wieczorem na jego instancyą przetańczyłem poloneza świéczkowego i szablowego.

— Cóżto za taniec, mój ojcze?—zapytała ciekawie Kasia.

— Ho! ho! zapytaj się pani matki: ona drżała wtedy jak listek, a nikt go tak dobrze nie umiał tańczyć jak ja. A wiész jak? Staje kilku pachołków, lub nawet i białychgłów śmielszych kołem, każde trzyma jarzącą świécę w ręku: wchodzę w pośrodek, muzyka grzmi, kłaniam się składnie, gładzę wąsy, dobywam szabli i zamachem pewnym ucinam knot tak nizko, że zapalić się już nie da, aż trzeba świécę obciąć lub obtopić. To raz: potém przyklękają, wznoszą świéce na głowach: tnij znowu, muzyka brzmi, a puhar krąży niepróżny.

— A nie trzymali w zębach?—zapytał pan Kacper.

— Cóż znowu Waszeci w głowie, to już nie przelewki—odrzekł chorąży—możnaby po zębach poorać.

— A ja jakem sodalis marianus gasił i obcinał knoty dwunastu świécom i to krótkim, co je w zębach dwunastu zacnych trzymało towarzyszy husarskich.

I to wyrzekłszy pan Kacper, powstał, wyprostował ramiona, a nucąc zcicha poloneza, ręką zaczął machać, jakby w szablę uzbrojoną. Chorąży dał znak: wszyscy ucichli i usunęli się nieco na bok. Pan Kacper posuwisto szedł żwawym krokiem i coraz głośniéj dobywał tonu; nagle zabrzmiał śpiew silnym i czystym głosem, a w nim rozpoznał chorąży i Zaręba ulubiony marsz z pod Żórawna Jana III.

Stary wojak za każdém przejściem i po prześpiewaniu zwrotki nabierał nowego zapału: oczy jaśniały, policzki zrumienione, a oblicze jakby w zachwyceniu. Zdawało się, że nikogo nie widzi: postać cała jak topola wyprostowana dodawała mu wzrostu; lewą rękę włożył za pas, prawą dawał takt sobie lub machał jakby trzymał szablę. Chorąży z zachwyceniem wpatrywał się w swego rezydenta, i mimowolnie zaczął mu wtorować. Zaręba dotąd patrzący w swoję bogdankę, na silniejszy śpiew starców odwrócił się, a znając dobrze marsz polonezowy, połączył swój głos melodyjny ze staremi wojakami. Zagrzmiała wtedy silnie pieśń rycerska; chorąży za przewodem pana Kacpra w odstępie posuwistym szedł w takt bijąc rękoma, a Zaręba w zapomnieniu puścił się za chorążym.

Kasia z iskrzącém okiem i bijącém sercem słuchając rzewnéj pieśni, którą znała z dzieciństwa, bo ją wyuczył ojciec nucąc od kolebki; panna Brygida dotąd milcząca i sama nawet chorążyna, porwane melodyą śpiewu połączyły swoje głosy.

Pan Kacper wpadał w coraz większy zapał: pochylając głową co kilka kroków, prostował się bardziéj i grzmiał pieśnią; wtorowali mu chorąży, Zaręba i kobiety. Stał tylko Malcher na uboczy, ale i ten zcicha dośpiewywał.

— Szabli dajcie, szabli, a ostréj i hartownéj!—wołał w zapale pan Kacper.—Zapalcie świéce woskowe: mężowie w zęby, niewiasty na głowę.

Chorąży poskoczył do alkowy, gdzie przemieszkiwał Zaręba, i wyniósł dwie szable w jaszczur oprawne: jednę podał Kacprowi, drugą sam dobył z pochwy.

— Ewusiu!—krzyknął—świéc jarzących i puhara, a wina króla Popiela z myszką! z myszką! Przypominam sobie, gdym oświadczał się o ciebie i gdym tego pudla francuzkiego, galanta kasztelanica ociosał....

Pan Kacper pochwyciwszy szablę zadrżał, jakby kochankę miał w młodych leciech w uścisku: dobył z pochwy, spojrzał, a ujrzawszy na niéj napis: „Jezus, Marya, Józef" skłonił głowę, przeżegnał się i pocałował klingę.

Wniesiono świéce, butel wina i puhar. Zaręba kiwnął na Zaklikę, który patrzył przez drzwi bokówki i dał mu znak. Ten zapalił świéce, wzniósł nad głową i przykląkł. Pan Kacper śpiewając ciągle przeszedł, machnął szablą i obciął knot jak brzytwą.

Chorąży obejrzawszy starannie świécę, stanął na drodze staremu wojakowi, a wznosząc pełny puhar, przyklęknął i zawołał:

— Pije zdrowie mego zacnego przyjaciela pana Kacpra Płazy, piérwszego rębacza na kuli ziemskiéj naszéj Rzeczypospolitéj: niech żyje w setne Matuzalowe lata. (1)

P. Kacper ujrzawszy klęczącego chorążego z puharem, opuścił szablę; zgasł na obliczu ów wyraz zachwytu, przerwał śpiéw, a klękając przed chorążym, ze łzawemi oczami zawołał:

— Wiész panie chorąży, że jakem cię zasłaniał w chorągwi, tak i teraz ani krwi, ani życia nie poskąpię dla ciebie i dla twojéj rodziny, dla Wielmożnéj chorążyny i naszéj kochanéj Kasieńki. Modlę się tylko Bogu, aby podał mi sposobność pokazania tego na oko.

Po tych słowach uścisnąwszy chorążego, przyjął podany puhar, a wzniósłszy w górę: „za pomyślność Wielmożnych chorąztwa i ich familii, w ręce kochanego pana Malchera, króla myśliwców!"

Nadleśny poruszył się w miejscu, ujął puhar, ale wzniósł oczy w górę jakby się chwilę modlił i spełnił do dna.

(1) *Świéczkowy polonez*, albo *karabelowy*, odbywał się tak jak go opisaliśmy. Szczegóły tego *rycerskiego tańca*, jak go zwano, powziąłem od starych konfederatów barskich, którzy synów swoich towarzyszów do chrztu św. na szablach podawali księdzu. Ten polonez świeczkowy widział głośny *Kuzma*, na dworze zamożnego szlachcica na Mazurach tańczony, i opisywał go w obecności mojéj rodzicom moim.

Dziesiąta wieczorna uderzyła na zegarze, niewiasty po życzeniu dobréj nocy odeszły. Chorąży zaklął wszystkich, żeby jeszcze gąsiorek opleśniały wypróżnili.

Nie wzdragał się ani pan Kacper, ani Malcher, a przy wesołéj gawędzie do dwunastéj zeszło.

Wtedy pan Kacper powstał od stołu:

— A gdzieżto Waszeć się zrywa, kiedy siedziema wieńcem przy dobrym madziarze?—zapytał chorąży.

— Trzeba się wywczasować, bo jutro stawię się uroczyście w innéj pozyturze i w innym charakterze; a myślę, że szanowne gospodarstwo tego domu przyjmie nas równie ochoczo jak dzisiaj.

Chorąży dorozumiał się rzeczy, popił reszty z puhara, i podając rękę na dobranoc, odrzekł:

— Włóż Waszeć, panie Kacprze, rogi djabelskie i ogon przypraw sobie, to cię przyjmę zawsze z chlebem i solą, ze szczerém sercem a dobrą wolą.

V.

Nazajutrz chorążyna za piérwszém ócknieniem ujrzała otoczone łoże swoje kwiatami, i klęczącą Kasię, która jéj łzami powinszowanie składała. Wszedł i sam chorąży, i z rozrzewnieniem uścisnął zacną żonę, i pobłogosławił razem z matką ukochane dziécię swoje.

— Trzydzieści się lat dziś kończy, jakeśmy się moja Ewusiu pobrali z sobą; ośmnaście się kończy, jak w ten sam dzień Bóg nam dał Kasieczkę. Żyliśmy szczęśliwie: jest za co Panu Bogu dziękować. Ale wkrótce wypadnie nam się rozdzielić: Kasia opuści dom rodzicielski, przejdzie w inne progi, a my Ewusiu pozostaniemy sami jak dawniéj, tylko starsi, wiekiem złamani, a siwizną pobieleni.

I spadła mu łza na wąs biały.

— O! ja was nigdy nie opuszczę—zawołało dziéwczę z głośnym płaczem,—wolę nigdy nie iść za mąż.

— Baj baju, będziesz w raju,—pomruknął z uśmiechem chorąży.—No, ja idę przygotować wszystko, bo ksiądz proboszcz przybędzie i we dworskiéj kaplicy odprawi mszą świętą na Ewusi intencyą, a potém tyle mam na głowie.... Kasia niech się schludnie ogarnie, bo to dzień dla nas uroczysty: i imieniny matki, i—ale nie skończył, machnął ręką, pokręcił wąsa i wyszedł.

Od samego świtu pan Malcher pracował nad utorowaniem w śniegach ścieszki, aby proboszcz miejscowy mógł przyjechać z plebanii. Dużo miał pracy, ale dokonał co zamierzył, i sędziwy kapłan saneczkami o jednym koniu przemknął się szczęśliwie wraz z organistą. Pan Malcher konno go poprzedzał ze czterema fornalami.

Czekano już proboszcza we dworze, i odsłoniono ołtarz kaplicy z wizerunkiem Chrystusa Pana na krzyżu. Punkt o dziewiątéj zaczęła się msza, do któréj służył pan Kacper okazale przybrany, wraz z Zarębą.

Piérwszy miał na sobie żupan perlisty z materyi jedwabnéj, pas lity słucki, na tym granatowy jasny kontusz i szablę w jaszczur oprawną. Zaręba na karmazynowym żupanie, spiętym bogatą brylantową pod szyję spinką, wdział z czarnego sukna kontusz, którego wyloty były białym podszyte atłasem; na piersiach jaśniał ze złotéj blachy ryngraf z wiernym wizerunkiem Matki Boskiéj Częstochowskiéj, który w boju nigdy ojca jego nie opuszczał. Na długim rzemyku wysadzanym koralami drobnemi wisiała szabla krzywa; pochwa jéj srebrna rubinami sadzona, równie jak rękojeść cała, zwracały uwagę na bogaty rynsztunek rycerski. Pas złotolity na tle karmazynowym ściskając mu składnie biodra, kończył się gustownym węzłem i sutą frędzlą. W całéj okazałości dorodnego młodziana stał Zaręba u stopni ołtarza, bacząc pilnie na każde skinienie kapłana. Kasia lubo szczerze się modliła, kilka razy rzuciła nań okiem.

Po mszy świętéj i odejściu domowników i czeladzi dworskiéj, z kaplicy otwarto drzwi do wielkiéj sali. Pan Kacper dał znak Zarębie, i obaj wymknęli się nieznacznie do jego alkowy.

— No, panie Macieju, nadeszła chwila stanowcza! Przywołaj Zaklikę, przeżegnajmy się i daléj marsz naprzód.

Stawił się pachołek na rozkaz, przybrał się jak dawniéj kiedy stawał do boju. Buty długie czarne juchtowe przystroił w stalowe ostrogi, kurta granatowa z ponsowym kołnierzem i mosiężnemi guzami, na których był herb Mazowsza. Dwie poły kurty z przodu były podwinięte i na guzy zapięte, tak, że podszewkę ponsową okazywały. Pas rzemienny z białéj glansowanéj skóry przez

ramię przewieszony, utrzymywał na lewém biodrze szablę długą, krzywą, z rękojeścią potrójną dobrze osłaniającą rękę. Czapka rogatywka amarantowa z czaplem piórem kończyła ubiór Zakliki.

Uradowany pan Kacper poklepał pachołka po ramieniu i rozkazał mu, aby poszedł do sali i prosił chorąztwa, czy pozwolą wnijść rotmistrzowi Kacprowi Płazie i jegomości panu Maciejowi Zarębie towarzyszowi chorągwi pancernych i dziedzicowi folwarku.

— A jakże u djaska Waści osada się zowie?

— Dotąd nazwy jeszcze nie ma; zwą ją Ustronek puszczowy, inni Zarębinem (1).

— No! zwijmy ją Zarębinem to lepiéj: więc—prawił daléj pan Kacper przywdziewając rękawice długie łosiowe—i jegomość pan Maciéj Zaręba dziedzic folwarku Zarębina cum attinentis, gdyż chcą złożyć swoję czołobitność.

Zaklika po chwili wrócił z oświadczeniem, że wszyscy czekają.

Posunął się pan Kacper naprzód, za nim Zaręba, a w końcu Zaklika niosąc pudełko misternéj roboty z hebanu i kości słoniowéj.

W sali stał na środku chorąży, na krześle obok siedziała jego małżonka, przy niéj stała drżąca i blada Kasia, a za nią panna Brygida i pani Piotrowa. Z drugiéj strony stał sędziwy proboszcz z panem Malcherem, przybranym w sutą czamarę, na zielonym papuzim żupanie; pas rzemienny z klamrą mosiężną, na któréj herb jego rodzinny ze srebra jaśniał.

Z uroczystą powagą wszedł na próg pan Kacper i oddał pokłon, ale w tym ukłonie było tyle powagi i szlachetności, że wymownie zdał się mówić: schyleniem w waszym domu witając, przychodzę jak przyjaciel z szczęsną dla was nowiną: przyjmijcież mnie radzi i z otwartém sercem.

Chorążyna na powtórzony ukłon powstała ze wzruszeniem widocznem, chorąży oddał pokłon.

(1) Wiele osad w puszczach i borach naszych długo bywały bez nazwy; oznaczano je nazwą starą: ustroni w puszczy, następnie to imieniem, to nazwiskiem, lub od herbu dziedzica. Bardzo często od przeważnego gatunku drzewa, albo od smolarzy, węglarzy, grubego zwierza, albo gatunku ptastwa, które się tam lęgło ochotniéj.

P. Kacper posuwisto się zbliżył, pocałował w rękę sędziwą matronę, pokłonił chorążemu głową, i stanął wyprostowany mając po prawéj ręce Zarębę i stojącego o parę kroków Zaklikę.

Wtenczas podniósł głowę i silnym przemówił głosem:

—„Z szczęściem w zapasy chodzić zamyśla, kto omylnego niepewnym będąc, przecie jak na pewne zmierza. Światowa to własność, tam kazać najostrzejszym się stawić razem, gdzie najśmielszym fortuna naciera impetem, aby animusz ludzki panem szczęścia, a oraz onegoż być się pokazał hołdowcą. Alternatą to w dzień u świata chodzi, dziś szczęście z sobą wodzić, jutro od szczęścia być wodzonym; dziś przez sprzyjającą fortunę nabyć przyjaźni, nazajutrz onę przez opaczne jéj utracić udanie. JM. pan Maciéj Zaręba, nie szczęściu, gdyż płocha w niém nadzieja, nie światowi, gdyż najpewniejsza w nim przegrana, ale saméj szczeréj Waszmość JM. panny polegając przyjaźni, w tém sobie nieomylnie tuszy, że te szczęśliwe jegomości w dom W. Mci panny ściągnione zamysły, na ten kres swoją zakierujesz chęcią, dokąd powolne zmierzają jegomości usługi, których kwitnącą gdy oddawa na skinienie powolności W. Mci panny obrotę, to sobie za pewne sądzi, iż mile usług onych przyjąwszy ofertę, szczeréj u Waszmości panny (o którą cale starać się powinien) nabędzie przyjaźni."

Snadź do serca przypadła chorążemu mowa starego wojaka, bo uścisnął mówcy rękę, matka ze łzą w oku skłoniła głową, Kasia zapłoniła się rumieńcem, pan Malcher z uśmiechem potakiwał głową, i zręcznie podał na małéj tacy, wyłożonéj złotogłowiem, wieniec splątany z róż, mirtu i zielonych liści. Pan Kacper z powagą spojrzał po wszystkich, postąpił krok naprzód, a skłaniając nizko głową przed chorążanką, wzrokiem zdawał się pytać rodziców, czy może ten dar ponieść ich córce. Chorąży na znak przyzwolenia zwrócił się ku dziewczęciu, matka ujęła za rękę, i posunęła ją przed siebie nieco; stary swat trzymając wieniec, z uroczystą zawsze powagą przemówił:

— „Nie patrza ten na kalendarz, ani zwarzonemu mrozem folguje czasowi, komu przyjaźń miasto wiosny,

swoje wije na głowę wieńce, Mościwa panno. Umié niebo swym usługować kochankom, których wrodzona wstrzemięźliwość niebu poświęca róże. Blednieją gwiazdy, kiedy księżyc na wschodzie; zwiędłe więdnieją gałązki, kiedy szczep usycha. Nic niebu po zwiędłych równiankach, jeśli ich panieńska swemi postępkami nie okrasi niwa: zblednieją i same serca życzliwości, jeśli blady księżyc na jasne, swym rzuci promieniem afekty. Nie zwiędłą uważając JMość pan Zaręba przyjaźń Waszmość MM. panny, dziś ją w tym symbolizuje wieńcu, wiedząc, iż nie insze ta wiosna (wysoka mówię WM. ludzkość) podczas tęgiéj zimy miała rodzić kwiecia, tylko takie, z którychby sama rosnęła przyjaźń. Dobrym zaiste jegomość ugadza fortelem, kiedy ten WM. pannie składa wieniec, który z samych wity życzliwości, tém miléj przyjęty będzie, im chętne i łaskawe przyjęcie do zobopólnego odbierze przeplatania (1).

Po tych słowach podał chorążance wieniec, ale ta ręki nie podjęła wzruszona i zapłoniona; wyręczyła ją matka, zdjęła go z złotogłowia i włożyła córce na głowę. Zaręba wtedy upadł na kolana, pan Kacper stał pochylony, jakby czekając odpowiedzi, kiedy chorąży, nie mogąc już wzruszenia i radości swéj utaić, zaczął po swojemu głośno wołać:

— A niech was Pan Bóg błogosławi! Dobrze! Dobrze! ale wina! Malcherku, każ popiela dobyć, a spleśniały gąsior. No księże proboszczu, ty pobłogosławisz nam dzieci. A chodźże, niech cię uściskam Maciejku. A panie Kacprze, i nieboszczyk Cycero w Rzymie, choćto był tęgi mówca, lepiejby rzeczy nie ogadał. Uściskajże mnie! A jak to okrągłemi słowy, gładko i składno od zimy do wieńca przejechał. Nie wiedziałem, że z Waści taki tęgi głowacz.

Pan Kacper z Zarębą po oświadczynach składali powinszowania chorążynie. Stary swat miał mieć mowę jeszcze przy złożeniu pierścienia i złotego łańcucha pannie chorążance, ale niecierpliwość gospodarza przerwała dalszą uroczystość, i Zaręba od siebie ofiarował na-

(1) Mowy rotmistrza są wyjęte z rękopismu współczesnego naszéj opowieści, kiedy przeplatanie łaciny przestało być modą, ale styl nadęty, panegiryczny był główną takich mów ozdobą.

rzeczonéj dary, które Zaklika wyprostowany jak żołnierz na czacie, trzymał w ozdobnéj szkatułce.

Chorąży zaraz przeniósł się ze swemi gośćmi do jadalnéj komnaty, bo tam go nęcił suty płomień komina i stół wygodny, i ulubione krzesło z poręczami.

— Tu mi jakoś raźniéj—mówił zasiadłszy zwyczajne miejsce—tu jakoś i lepiéj się popija i weseléj gwarzy.

Swobodnie i ochoczo zbliżyła się godzina obiadowa: na środku stołu stanął tort wysoki, na wierzchu którego cukrowy bocian, owe godło szczęścia rolnika na naszéj ziemi, trzymał cyfrę chorążyny w dziobie, dwie litery: E. D.

Długo się przeciągnęła uczta, bo zciemniało dobrze i wniesiono świeczniki, a jeszcze nie spożyto wszystkich potraw.

— Nadzwyczaj ucztujem dzisiaj: aleć to dzień uroczysty, boćto imieniny mojéj najukochańszéj Ewulki, urodziny mojéj Kachny i oświadczyny Maciejka syna mego przyjaciela. Pijmyż więc wszystkich zdrowie po kolei: niech im Bóg szczęści, jak to z serca życzym.

Zaręba lubo musiał każdy wzniesiony puhar spełnić, swobodnie jednak rozmawiał z narzeczoną, siedząc przy niéj ciągle.

Po skończonym obiedzie błagał na klęczkach chorążynę, o oznaczenie jak najrychléj dnia ślubu; a pokrywając własną niecierpliwość, dawał ważne do pośpiechu powody gospodarcze: jak prace w puszczy jeszcze urządzać musi, jak nie może opuszczać często domu bez wielkiéj straty, i że właśnie zimowa pora najlepsza do przeprowadzenia młodéj żony pod dach nowego dworu.

Chorążyna potwierdziła jego powody, ale z ostatniém słowem odwołała się do męża. Zaręba był więc pewnym, że w pośpiechu żądanym pomoc w nim znajdzie; jakoż nazajutrz ułożono dzień ślubu w ostatnich dniach zapust, w ciągu ośmiu niedziel.

Zaręba po świętach Bożego Narodzenia miał wyjechać do puszczy, ale w ciągu najdaléj tygodnia wrócić, i aż do wesela pozostać u chorąztwa.

Pan Kacper przyrzekł, że razem pojedzie do puszczy, i że na czas oznaczony dostawi Maciejka.

* * *

Otóż dzień wigilii, ów dzień uroczysty na całym obszarze ziemi naszéj.

Ściślejszy dnia tego post zachowywano we dworze chorąztwa wedle staropolskiego obyczaju, albowiem nic gotowanego nie dano do saméj wieczerzy: każdy otrzymał tylko lampkę miodu i grzanki oliwne. Jadalną komnatę od południa już przybrano w snopy zboża: w każdym kącie naprzemian stały pęki żyta, kłosistéj pszenicy, owsa i wąsatego jęczmienia. Stół cały wysłano sianem, na pamiątkę, iż narodzony Chrystus w żłobie był złożony. Biały obrus pokrywał woniejące nakrycie: pod stołem złożono żelazo płużne, owe godło rolniczego żywota ojców naszych, i dwór cały w cichości oczekiwał zabłyśnięcia piérwszéj gwiazdki na niebie, hasła do wieczerzy.

Pan Kacper z Malcherem tajemne dając sobie znaki, ciągle przestawiali talerze na stole, a uśmiechali się wesoło.

Piérwszy chorąży zawołał radośnie:

— Gwiazdka! gwiazdka na niebie! Dawajcież wigilią: opłatki na stół i wódki.

Na to hasło weszła pani chorążyna z kobietami, ksiądz proboszcz, a reszta domowników i czeladź dworska stanęła w bocznéj izbie.

Pan chorąży z małżonką i córką podawali opłatki obecnym, a łamiąc się z niemi, życzyli dosiego roku. Wesoło spożyto wystawną wigilią; nie brakło ryb, klusek z makiem, orzechów i bakaliów: słowem, wszystkich potraw przywiązanych do dnia tego. Przy powstaniu pan Kacper szepnął na ucho chorążemu, a ten zawołał:

— Hola! hola! niech każdy spojrzy pod talerz, co mu téż gwiazdka przyniosła: panny niech zaczną piérwsze.

Sięgnęła chorążanka, i zpod siana dobyła serce i domek woskowy: skraśniała uśmiechem. Panna Brygida ukazała kołyskę i małą laleczkę, i z krzykiem uciekła; chorążyna chléb i sól z groszem, a pani Piotrowa rożek z tabaką!

— No proszę—wyrzekł chorąży popijając węgrzyna, —jak to gwiazdka rozumnie rozdzieliła dary.

I ścisnął za rękę pana Kacpra i Malchera, gdyż ich w tém było staranie i pomysł.

Ochoczo i wesoło przeminęły święta. Na Nowy Rok już utorowano drogę i liczni przybyli sąsiedzi: sanna wyborna zachęcała do kuligów.

Chorążyna zajęta była przeglądaniem oddawna przygotowanéj wyprawy: mało co brakowało do uzupełnienia. W końcu stycznia panna Brygida wyjechała do Warszawy w tym celu, i w kilka dni wróciła. Zaręba z panem Kacprem ruszyli do puszczy, gdzie ich przybycie na dni kilka uprzedził i zapowiedział Zaklika.

Wawrzyńcowa z Sochą od świtu już się oboje krzątali na przyjęcie panicza i jego sędziwego swata, znając wszystkie szczegóły oświadczyn o pannę chorążankę, opowiedziane przez Zaklikę. Wygrzane były pokoje, podłogi wysypane drobną pachnącą jedliną, na kominie suty gorzał ogień, i obiad w kuchni stał na pogotowiu. W sieni na kołkach wisiał potężny rogacz, kilku zajęcy i ogromna wilczyca: byłyto trofea myśliwskie starego Sochy, któremi chciał się pochwalić paniczowi.

Zaręba z panem Kacprem szybko po wybornéj sannie przebyli drogę, i w samo południe zadzwoniły sanki na drodze, która się łamała w puszczy.

— Panicz! panicz jedzie!—krzyknął Socha i wybiegł na ganek, a za nim zdyszana nadbiegła Wawrzyńcowa i Zaklika.

— A przecież panicz przypomniał sobie o nas—przemówiła poczciwa kobiéta—a nam tu tęskno i smutno było. Pan Jędrzéj nie zagrzał miejsca w domu, tylko polował....

Chciała jeszcze więcéj rozwodzić swe żale, kiedy Zaręba przerwał:

— Panie rotmistrzu! patrzno co tu zwierzyny! Widać, że pan Jędrzéj darmo nie strzelał. A teraz moja gosposiu daj nam obiad, bośmy głodni.

— Już wszystko gotowe—odrzekła—tylko zasiąść i spożyć co Bóg dał.

Pan Kacper nie mógł się nachwalić piękności tego ustronia.

— Wiész Waszeć, panie Macieju, że ochoczobym tu zamieszkał na stare lata: tu tak cicho i spokojnie, jakoby wianki wił, że człowiek dzień Boży może się modlić swobodnie, a nikt mu i nic nie przerwie rozmyślań ani modlitwy.

Stół już był nakryty: Zaklika i Socha posługiwali. Pani Wawrzyńcowa chciała wystąpić i podziw gościa a stołownika chorążego obudzić. Dała więc barszcz

i grochówkę, po nich szczupaka po żydowsku, a węgorza po tatarsku; potrawę z kaczek, zająca z burakami, a w końcu pierogi ruskie z powidłami.

— A to Waszeć panie Macieju chyba z dworu króla Jegomości masz kucharza—zawołał pan Kacper.—To jakem sodalis marianus nie znać, że mieszkasz w puszczy, bo stół książęcy. Ja takiego obiadu od czasu świąt i Waszeci oświadczyn nie jadłem.

Wawrzyńcowa aż rosła z radości.

— Nie mam królewskiego kucharza, tylko naszę poczciwą Wawrzyńcową, gospodynię mojéj nieboszczki matki.

Pan Kacper powstał, zbliżył się do niéj, a gdy ta pokłoniła mu się do kolan, pocałował w głowę, a ująwszy za rękę przemówił:

— Wiész Wasze, panie Macieju, przy takiéj gosposi, to wasza przyszła pani nie będzie miała kłopotu w domu: może żyć tu jak w raju. Proszę pani Wawrzyńcowéj kochać naszę chorążankę, bo to anioł w ludzkiém ciele. To moja chrzestna, a jak się poznacie, to i pokochacie. Waszeć starsza wiekiem i doświadczeniem, wspieraj radą młodą panią, bo to pieszczoszek; już ja sławę pani Wawrzyńcowéj podam światu! A teraz panie Macieju w ręce Waści: pomyślność waszéj przyszłości i szczere zdrowie pani Wawrzyńcowéj.

Gospodyni z radości i wzruszenia zapłakała, i ocierając oczy fartuchem wybiegła do kuchni.

We trzy dni załatwił się w domu Zaręba, a choć Socha zachęcał do łowów, nie pomyślał o nich nawet. W sobotę po ranném śniadaniu wyruszyli z powrotem do dworu chorążego, gdzie na nich oczekiwano z tęsknotą.

Pan Dzierżanowski stał na ganku, bo znać dano, że jadą.

— A no, to przecie jak widzę Waszeć Maciejku, i pan Kacper, tośta prawdziwe karmazyny: verbum nobile debet esse stabile. I ja się zatęskniłem, i Kasieńka już popłakiwała, ale to pod sekretem: było to w kąciku, pocichu, ale ja widziałem. Ewusiu! masz naszych zbiegów. Kachno! patrzno jacy goście przyjechali.

Ale Zaręba zanim się obejrzał chorąży, już się witał z narzeczoną, a pan Kacper zaczął zdawać sprawę z podróży i przyjęcia. Z radością chorążyna słu-

chała pochwał z przyjęcia i dostatku przyszłego zięcia. Na wychwalania Wawrzyńcowéj odrzekła:

— Wiemci ja, a wié i nasz jegomość, co to za brylant ta Wawrzyńcowa: jedliśmy jéj ręką przyprawione potrawy, i zgadzam się z Waszecią, że kucharza zakasuje. A co jeszcze do pochwały, że robi wszystko prędko a cicho. Przygotowałam téż dla niéj prezent: myślę, że będzie rada temu.

VI.

Mijały dnie zapust wesoło: na dwóch kuligach wytańczyła się ochoczo chorążanka. Zbliżyła się wreszcie chwila ślubu. Przystrojono kościoł parafialny, i rano w towarzystwie tylko domowników, odbyto obrząd.

Na obiad sproszono sąsiadów i pokrewnych, a stary dwór chorążego brzmiał nieznanym oddawna gwarem i napełnił się rojem licznych gości.

W dzień popielcowy opuścili nowożeńcy dwór rodzicielski; nazajutrz mieli przybyć: chorąztwo, pan Kacper i Malcher.

Młoda pani przyjęta uroczyście przez Wawrzyńcową chlebem i solą na progu ganku tego dworu, w którym nazawsze miała zamieszkać: uprzejmością i wdziękiem anielskim umiała sobie serca zjednać wszystkich. Na oznaczoną godzinę przybyli rodzice, a z niemi rezydent i nadleśny.

Gościnne i otwarte przyjęcie rozweseliło wszystkich. Chorąży zaraz na drugi dzień zapowiedział łowy, i przeznaczył do nich pana Kacpra, Malchera, Zaklikę i Sochę, a zięciowi kazał żony i domu pilnować. Dobrał z osady celnych strzelców, i knieja cicha i spokojna grzmiała odgłosem trąbek myśliwskich i graniem gończych. Czas był wyborny potemu: słońce błysnęło już nie tak mdławém światłem, i zdawało się zapowiadać blizką a wczesną wiosnę.

Trzy tygodnie dzień po dniu orszak myśliwych hulał radośnie, i pod dachem chyba w święto spoczął. Chorąży zawzięty łowiec chciał wynagrodzić sobie długie legowisko (jak wyrażał) zimowe, kiedy musiał siedzieć cicho i ssać łapę jak niedźwiedź. Dotrzymywali mu pola

stary rotmistrz i Malcher, który przewodził tym łowom. Nie strudził się niemi, ale orzeźwiał stary Socha, a Zaklika popisywał się grą na trąbce myśliwskiéj, z czego w całéj słynął okolicy i podziw obudzał samego pana Malchera.

Zaręba czasem wybiegł téj drużynie ochoczych łowców w pomoc, ale krótko bawił i wracał zatęskniony do domu.

Nie postrzeżono, jakie zmiany podczas pobytu i zabawy, w trzech tygodniach nastąpiły wokoło.

Po długiéj i tęgiéj zimie umaiła się z wiosną puszcza. Śniegi roztajały w wodę, a ta pod promieniem ciepłego słonka parowała mgłą codzień. Zazieleniły się drzewa, trawa i zioła wyjrzały, a cisza zimowa z początku cichym gwarem pomrukiwałą wiosnę, aż wkrótce sama, wrzawą leśnego ptastwa zwiastowała puszczy odrodzenie swego życia.

Jakby anioł szczęścia i radości powiał wszędzie, tak rozweseliły się oblicza mieszkańców leśnych. Jużeś nie słyszał ponurego łomotu i trzasku łamanych gałęzi, druzgotanych drzew pod lawiną śnieżną: szum tylko w górze zwiastował czasem wichurę, co tak zimą hulała swobodnie.

Życie puszczy dniem i nocą echa leśne budziło. Zaledwie zorza prześwitywać poczęła, pokrzyk żórawi, tysiączny kwak dzikich kaczek, świst kosów, hukanie bąków w błotach, mieszał się z kukaniem kukułki, graniem głuszców i szumem potrząsanych gałęzi pod ich ciężkiém skrzydłem, albo w podrywie jarząbków. Nie ustawało to życie przyrody i przez noc całą: tysiące słowików w wygodnym cieniu puszczy głosiło ów śpiew uroczy, który tłumił i przygłuszał ponure i złowrogie kwilenie sów, i śmiech głośny licznych puchaczy.

Na karczunku świeżym, gdzie powiewała bujna pszenica i zieloną ścianą gęste żyto, gromada nowych śpiewaków zamieszkała świeże miedze; a z piérwszym promieniem słońca szare skowronki wzbite nad pola, nuciły swój hymn radosny, co tak rozwesela ziemię naszę i tak przemawia do serca rolnika. Nadleciały czarne jaskółki i pod nowemi strzechami ulepiały gniazda; i bocian, tułacz dotąd po błotach puszczy, przyjął po stodołach i na wysokich dębach przygotowane siedliska, aby

w nich, jako wróżbita szczęścia i pokoju, wychował młode plemię.

Wszystko sadowiło się przy nowéj osadzie, tuliło się pod strzechę, rozgościło w niwach niedawno dobytych. Gromady wróbli zajmowały okólniki przed wierzejami stodół, oczekując ziarna; i zwiastunka żniwa, owa cudna przepiórka, godło w pieśniach ludu wiejskiego pięknéj dziewoi, milcząca z początku wiosny, niedługo zaczęła nawoływać na niwy, które przebiegała: pójdźcie żąć! pójdźcie żąć!

Odsunął się tylko w puszczę głębiéj żarłoczny wilk, a chytry lis ostrożniéj i z bacznością szczególną podsuwał się bojaźliwie pod opłotki nowéj osady.

A we dworku Zaręby brzmi radość i wesele: myśliwi już spoczywają, bo czas zarzucić łowy i wziąć się do pracy rolnéj. Chorąży z małżonką wyjeżdżają nazajutrz wraz z gośćmi. Kasia smutna ze łzami żalu żegna rodziców i starych od kolebki przyjaciół. Osowiał patrząc na młodą żonę Zaręba, popłakiwała matka, tylko chorąży śmiał się a pocieszał, i wraz z panem Kacprem sypali jak z wora dykteryjkami, że nieraz wywołali serdeczny uśmiech na zasępione oblicza matki i córki.

— No! no! Kasienieczku moja, schowaj swoje łezki na cięższe przygody życia—mówił całując i pocieszając córkę.—Toćto niedaleka Ukraina, a przecie nas Maciejko kocha, to jak zażądasz, a pozwoli gospodarstwo, na obiadek wpadniecie, a my nawzajem do was. Nam boleśniejszy zawsze rozdział z tobą, dziécię moje, bo my z matką już starzy, nie ma kto nas pocieszyć, tylko Bóg jeden, a ty masz męża i gospodarstwo. Podnieś w górę oczki i obetrzyj łzy, boć ja na rozjezdnym płakać nie myślę. Na niedzielę czekamy was z obiadem; koniki rozstawię, to lotem gołębi przybędziecie do nas.

I to wyrzekłszy, usadowił w bryce brodzkiéj żonę nasamprzód, na koźle pana Malchera, a na przodzie rotmistrza, ucałował córkę i zięcia, i krzyknął na Maćka:

— Ruszaj, a żwawo!

Wkrótce zniknęli w puszczy, dworek opustoszał nagle, Kasia chowała się w komnatce, ukrywając łzy swoje. Zaręba usiadł na ganku, i smutny a zamyślony sypał groch gołębiom, i wabił je z wysokiego gołębnika.

PAN DWÓCHSET WYSP.

WALTER - SKOTTA.

PIEŚŃ II.

I.

Niech złote herby błyszczą po sztandarach,
Niech się pod srebrem uginają stoły,
Niech wino w drogich pieni się puharach
A trefniś w żartach przesadza wesoły;
Niech harfy dźwięczą, niech przyjemną zgodą,
Dowcip z godnością łączą się w przymierze;
Niech się weselą dostojni rycerze,
Dziewice błyszczą strojem i urodą:
Tylko ciekawość tajemnic niesyta
Niech się minstrela poufnie nie pyta,
Czy ta wesołość szczera i prawdziwa?
Czy te oblicza jasne i pogodne
Z serca skrytemi uczuciami zgodne?
Czy śmiéch tajonych cierpień nie ukrywa?
Wszak rozkosz ziemi, to kwiat tajemniczy,
Który nietylko wonię w sobie kryje,
A kielich jego piękny, lecz zwodniczy,
Zatrutą nieraz w głębi chowa żmiję!....

II.

I było wino, muzyka i pieśnie,
Połyski złota i świetność purpury;
A oblubieniec blady i ponury
Patrzy się, słucha jakby marzył we śnie.

Schyliwszy czoło w tajemnéj zadumie,
W jakoweś myśli posępno zapada;
A gdy doń który z rycerzy zagada,
Zmieszany głosu wydostać nie umie.
I nagle znowu zrywa się z siedzenia,
Jakby potężne urzekły go czary,
Podnieca błazny, napełnia puhary,
Minstreli darem zachęca do pienia,
I głośnym, hucznym wybuchem radości,
Przesadza wszystkich dostojnych swych gości.

III.

Więc biesiadnicy cieszą się weseli,
Że oblubieniec uczucia ich dzieli;
I żaden z gości nie dał mu przygany,
Że raz zbyt głośny, raz zbyt zadumany.
Przecież Edyta łagodna i tkliwa
Dosyć ma wdzięków i dosyć urody,
Aby w dzień ślubu kochanek jéj młody,
Kiedy się zbliża godzina szczęśliwa,
To się rozkoszném zadumał marzeniem,
To się radosném zdradził uniesieniem.
Nawet Allaster dbały o pozory,
I w dumie swojéj do podejrzeń skory;
Nawet Egidius, pan na Argentynie (1),
Co z cnót i męztwa w ziemi świętéj słynie,
(Rycerz szlachetny, dostojny i mężny,
Którego wysłał król Anglów potężny
Aby północne pilnując przymierze,
Szkocyą utrzymał w przysiężonéj wierze)
Lorda Ronalda dziwactwa i szały,
Brali za żywe kochanka zapały....
Lecz było serce smutkiem obciążone,
I było piękne, choć łez pełne oko,
Co tę zdradliwą uchylić zasłonę
I w myślach czytać umiało głęboko!!

IV.

Siedzi Edyta na wysokim tronie,
Z ślubnym pierścieniem i godowym wieńcem;

(1) Egidius z Argentynu uważanym był po Robercie Brucy i Henryku de Luxemburg za najszlachetniejszego rycerza swego wieku. Należał on do wyprawy krzyżowéj i umarł jako bohater, zabezpieczając odwrot Edwarda II.

Lecz snadź wstydliwa wzrok wodzi po stronie,
Aby za lubym nie spojrzéć młodzieńcem.
Lecz raz przypadkiem zbiegły się ich oczy,
Zbiegły się krótkiém, lecz dziwném spojrzeniem:
Edyta cichém jęknęła westchnieniem,
Lord Ronald zadrżał, z krzesła swego skoczy,
Największy puhar porywa ze stoła,
Puhar olbrzymi dziada Somerleda (1),
I natrętnego odrzuciwszy pleda,
Na podczaszego donośnie zowoła:
— „Hej! w tę królewskich przodków moich czarę
Lejcie mi wino wytrawne i stare!
Prędzéj służalcze!.... Niechaj napój świetny
W jasnym krysztale wspaniale się pieni,
I drogie perły po brzegach rumieni.
Do ciebie Lornie, bracie mój szlachetny!
Za węzeł, który domy nasze spaja,
A przyjaźń moję ku tobie podwaja!"....

V.

— „Niech kielich zwykłą koleją obchodzi—
Męzkim swym głosem pan Lornu powiada.—
Właśnie ten toast spełnić nam się godzi,
Bo róg zamkowy księdza zapowiada,
Który nareszcie czekany zbyt długo,
Ze swoją świętą przybywa posługą."
Istotnie słychać dźwięk rogu przewlekły.
Wtém czara, którą Ronald trzymał w ręku
Pada z łoskotem; przy szkła głuchym dźwięku,
Wina złociste strumienie pociekły....
On zbladł, jak gdyby zabrakło mu ducha!
Czyż sił już nie ma, aby kłamać daléj?
A wtém marszałek wsunął się do sali
I panu swemu szepnął coś do ucha;
Wesoła musi być to tajemnica,
Bo znów rumieniec powrócił na lica,
Jak słońce chmurą zakryte na chwilę
Wraca na niebo w żywszych blasków sile.

(1) W zamku Dunweganu, romantyczném siedlisku Mak-Loda wodza klanu tejże nazwy, długo przechowywał się starożytny puhar, nad wyraz pięknéj roboty. Podług dawnego zwyczaju, rycerze hebrydcy częstowali się kolejno w czasie uczty ogromnym kielichem, i wstydem byłoby dla nich, gdyby przy każdéj biesiadzie nie wypróżnili chociaż jednéj beczki.

VI.

— „Lornie! mój bracie!—książę wysp zawoła—
I wy panowie i rycerze mili
Cieszcie się! cieszcie! Do naszego koła
Nowi się goście przyłączą w téj chwili.
Błędnych rycerzy burza nam przywiodła;
Mówią, że płyną zdalekiéj krainy,
Sławnemi w świecie mają być ich czyny,
A wojowników używają godła.
Miejsce u stołu wyznaczyć im trzeba
I gościnnego nie żałować chleba"....
Wnet mistrz obrzędów uniósł laski swojéj,
Ku cudzoziemcom idzie do podwoi
I badającém, pilném okiem mierzy,
Młodą dziewicę i obu rycerzy.
Choć woda plami Izabelli szaty,
Chociaż starszego brata kaftan drogi
I płaszcz Edwarda rozdarł się bogaty;
Choć błoto plami im złote ostrogi:
Owen-Feraugt odgadł jednak snadnie,
Jakie im miejsce u stołu wypadnie,
I siwą głowę schylając w pokłonie,
Na piérwszych miejscach posadził przy tronie.

VII.

Damy, rycerze szeptają z urazą,
Że cudzoziemcy, tułacze bez miana,
Których ród obcy, a godność nieznana,
Pierwszeństwo biorą z wszelkich praw obrazą.
Owen-Feraugt dosłyszał i rzecze:
— „Ja dostojeństwa nikomu nie przeczę,
Lecz lat czterdzieści, że nie powiem więcéj,
Zostaję w służbie rodziny książęcéj,
I wiem wśród godów przy biesiadnym stole,
Jakie się komu miejsce przynależy;
Lecz ja godności nie biorę z odzieży,
Ale ją raczéj wyczytam na czole.
To laska moja ze srebra ulana:
Przecież ją w zakład stawićbym gotowy
Przeciwko prostéj gałązce dębowy,
Że ta dziewica obca i nieznana,
Że ci przybysze, tułacze wędrowni,
Księciom i lordom w dostojeństwie równi."

VIII.

Słysząc to Ferrand najstarszy z minstreli,
Z zdaniem się swojém wyjawić ośmieli:
— „I ja niemało obiegłem już świata,
Sławném harfiarza trudniąc się rzemiosłem;
Na dworach między rycerzami wzrosłem
A doświadczenia nauczyły lata.
Patrzajcie bracia na tego młodziana,
Jaka postawa wspaniała i świetna,
Jaka w tych ruchach godność nieudana,
Jaka w spojrzeniu odwaga szlachetna!
Kiedy wstępował pomiędzy rycerzy,
Jak się podniosło czoło jego dumne,
Jak oko jego piękne a rozumne,
Najwyniośiejszych, najwspanialszych mierzy:
Jak gdyby tylko obcował z takiemi,
Jak gdyby tylko tacy mu równemi!!
Lecz stokroć więcéj podziwienia godna
Starszego brata spokojność pogodna,
I ta powaga dostojna, wspaniała,
Którą oddycha postać jego cała.
Patrzcie! gdy siedzi przy stole biesiadnym,
Spokojném okiem prowadząc po tłumie,
Zdaje się niby królem wielowładnym,
Co dwór swój świetny łaską darzyć umie.
A ta dziewica!—piękność tajemnicza
Pełna powabu i godności pełna;
Choć pledu tego prosta, gruba wełna
Zakrywa kibić i wdzięki oblicza:
Przysiągłbyś prawie, że szkarłat bogaty,
To jéj zwyczajne, jéj codzienne szaty!"....

IX.

Na czole Lorna duma i pogarda.
Ponurym wzrokiem patrzy na rycerzy,
A podejrzenie twarz mu zdradza harda.
Najprzód się cicho Anglikowi zwierzy,
A potém ostrym i surowym głosem
Pyta rycerzy: czyli nie słyszeli
O zbuntowanéj zgrai wichrzycieli,
Którzy z wygnańca związawszy się losem,
Na Rat-Eryna schronili się brzegi (1).
Czy goszczą jeszcze w Ulsteru płaszczyznie?

(1) Trzeba koniecznie dla zrozumienia tego poematu znać dobrze historyą Szkocyi; ci, którzyby sobie nie chcieli zadać téj pracy, niech przeczytają przynajmniéj piękny romans Miss Porter: *Wodzowie Szkoccy.*

Lub też zuchwali przez zdradne zabiegi
Bunty chcą szerzyć w nieszczęsnéj ojczyznie?...

X.

Ogniem błysnęły źrenice Edwarda,
Rumieńcem twarz się zapłoniła blada;
I głosem, w którym gniéw wre i pogarda,
Na zapytanie Lorna odpowiada:
— „O buntownikach nic nie wiemy żadnych,
Ani nie znamy wichrzycieli zdradnych;
Lecz jeźli tutaj o Robercie mowa,
Dumny mój panie! mierzcie wasze słowa,
Bo Robert przysiągł: nim dziewięć dni minie
Chorągiew jego szkocki wiatr rozwinie,
I szkockie słońce błyśnie mu w puklerze,
Mimo zacięte jego przeciwniki,
Mimo angielskie włócznie i łuczniki,
Pomimo ciebie, Lornie Allasterze!"...
Dumny pan Lornu zrywa się z siedzenia,
Lecz wściekłość jego lord Ronald łagodzi:
— „Bracie mój! wstrzymaj gniewne uniesienia:
Czyż dzień dzisiejszy zakłócać się godzi?
Nie lepiéjż stokroć spędzić noc wesela,
Słuchając pieśni godowych minstrela,
Niżeli dawne budzić nienawiści
O marne słowa, których czas nie ziści?"
— „Dobrze—Lorn rzecze siadając na nowo—
Chociaż obrazy nie puszczam nikomu,
Ale gospodarz rządzi w swoim domu:
Zgadzam się bracie na twe mądre słowo.
Lecz chciałeś pieśni? Chodźno tu minstrelu,
Znam ja pieśń jednę w klanie moim sławną,
Choć niezbyt dźwięczną, ani zbyt jest dawną,
Ale na młodéj siostry méj weselu,
Właśnie tę piosnkę zaśpiewać się godzi!"
Więc siwy Ferrand wziąwszy harfę swoją,
Gdy inne bardy złote struny stroją,
Ku rycerzowi do stoła podchodzi;
A lord Allaster z niezwykłym pośpiechem,
Coś mu do ucha poszepnął z uśmiechem.
Ferrand bard siwy schylił tylko czoło,
Wraca pomiędzy towarzyszy koło,
Po strunach harfy przebiera palcami;
W sali biesiadne ucichnęły gwary,
Czekają wszyscy. Wreszcie minstrel stary,
Ciszę takiemi przerywa słowami:

XI.

KLAMRA LORNA (1).

1.

Jakażto klamra, klamra złocista
Na pledzie Lorna połyska?
Jak gwiazda jasna i promienista,
Co z łona nocy blask ciska!
Klejnocie drogi, świetny klejnocie,
Nieznany wpośród górali,
Czy cię Najada w perłowéj grocie
Gładziła dłutem z korali?
Może gór Nimfa, luba zwodnica,
W miłosnym dała cię darze?
Może irlandzki karzeł w pieczarze
Ukuł przy blasku księżyca?
Jeźli cię ludzka stworzyła ręka,
Nagrodo szczęścia lub sławy,
Czyś ty angielskiéj wiary poręka?
Czy dar francuzkiéj obawy?

2.

Nie, klamro świetna, nie klamro złota!
Obcy nas tobą nie darzy:
Tyś nie czarownych wieszczek robota,
Ale ozdoba mocarzy!
Gdy Robert pyszny, Robert zuchwały
Zasiadł tron Szkocyi szlachetny;
Tyś mu w dniach szczęścia, blasku i chwały
Spięła królewski płaszcz świetny.
Lecz na dumnego przyszły dni klęski:
Zadrżały lasy i góry
Kiedy pan Lorna, rycerz zwycięzki,
Zdarł cię z zhańbionéj purpury.
A przywłaszczyciel uciekł zbłąkany,
Wygnaniec, tułacz bez domu;
Krew mu ze świeżéj lała się rany,
Czoło chyliło od sromu!
Uciekł! Duartu trzęsły się skały,
Pierzchły daniele spłoszone,

(1) Fibula, czyli klamra zapinająca pled, była kosztownym klejnotem używanym tylko przez najznakomitszych wodzów. Historya i tradycya jednakowo opisują walkę, z któréj Robert Brucy uratował się jedynie zostawiając w ręku zwycięzcy pled swój i klamrę, przechowaną w familii Mak-Dugala.

A Ben-Darysu lasy zielone,
Z echem Tendrumu jęczały!
Uciekł! Choć wkoło bój huczał krwawy,
Odbieżał świetne swe godło,
Które do nowych zwycięztw i sławy
Waleczne hufce powiodło.

3.

Próżno się, próżno na przeciwnika
Sroży Kampbella dłoń sławna:
Nic nie pomoże stal Kirpatryka,
Do łatwych mordów zaprawna.
Daremnie Duglas strach blady nieci
I miecz swój zakrwawia świetny;
Pierzcha Barendown, Delache szlachetny,
Gdzie złota klamra zaświeci!...
A pan jéj dawny? Wstyd i przekleństwo!
Może mi słuchacz nie wierzy:
Na stosy, miecze, Anglii męczeństwo
Wydał swych wiernych rycerzy!
Dziś król bez tronu, rycerz bez sławy,
Po obcym błąka się brzegu;
Dziś cień Komyna straszny i krwawy,
W tułackim ściga go biegu!
A klamra świetna, klamra złocista
Na pledzie Lorna połyska,
Jak gwiazda jasna i promienista,
Co z łona nocy blask ciska.

XII.

Jak dziki tygrys, gdy łowców zobaczy,
Zanim się na łup strasznym rzuci skokiem,
Stawa, i rycząc z gniewu i rozpaczy,
Szuka ofiary zakrwawioném okiem;
Tak młody Edward w pośrodku rycerzy
Stoi, i straszną, ognistą źrenicą
To raz śpiewaka, to barona mierzy,
I za miecz drżącą chwyta się prawicą.
Brat go hamuje w gniewnych uniesieniach
I dłoń spokojną kładzie mu na rękę:
— „Edwardzie! czyliż po tylu cierpieniach
Znieść nie potrafisz płatnéj harfy dźwięku?
Starcze! ta twoja natchniona ballada,
Na wzór piosenki żebrzącego dziada,
Co piszcząc w dudki o jałmużnę prosi,
Przesławnie imię pana twego głosi,

VII.

Kiedy młodzi małżonkowie układali wyjazd do rodziców, Zaklika, który z listami wysłany był naprzód, powrócił w ciemny wieczór blady i pomieszany. Snadź spędził bułanka, bo cały był spieniony i potężnie bokami robił. Zeskoczył z konia przed samym gankiem i wywoławszy pana, zcicha wyrzekł:

— Nietrzeba, żeby pani nas słyszała.

Zaręba przerażony zbiegł ze schodków ganku i obaj ukryli się za węgłem dworu.

— Cóż się stało na Boga! — zawołał.

— Dwór w Polanowie w płomieniach... chorążyna uciekła.... słychać strzały. Banda jakaś napada dwory: już trzy wsie puściła z dymem. Wokoło bucha płomień i tylko jęk i płacz słychać. Zaledwiem z puszczy wyjechał i wysforował się w pole, spotkałem ludzi uciekających i prawiących dziwy niesłychane. Przeżegnawszy się ruszyłem daléj naprzód, chcąc dostać języka: nikogom ze znajomych nie spotkał, tylko ze wzgórza ujrzałem w dymie dwór w Polanowie pana chorążego. Wracam co koń wyskoczy, bo trzeba radzić, a pomoc nieść najrychléj.

Zaręba pomyślał chwilę i odrzekł:

— Zbierz z osady co umié na koniu robić szablą. Pójdziesz ty i Socha, mnie wierzchowca okulbaczyć, pistolety i szturmaki nabić, szable wyostrzyć, a cichaczem pod figurę na skręt drogi wynieść. A sza! cicho! żeby pani nic nie wiedziała. Zawołasz sołtysa, żeby tu czuwał, rozdasz im broń, proch i kule. Jak świsnę, wszystko na strzemiona i daléj w puszczę.

Sam wszedł do izby ze spokojném obliczem, gdzie młoda małżonka zajęta drezlowaniem siedziała, i zcicha wyrzekł:

— Kasiu! ja muszę jechać. Zaklika wrócił, ale mówił, że w stronie Polanówki gore. Tylko się nie lękaj, bo wypatrzył dobrze, że dwór cały i gumna, tylko we wsi pożar.

Katarzyna zbladła, ale powstała zaraz, i rzucając się w objęcia męża, zawołała ze łzami:

— Jedź kochany Macieju, a wracaj rychło, bo od wczoraj taki ciężar mam na sercu, że oddychać zaledwie mogę.

Zaręba pocałował ją w czoło, przycisnął do serca, wybiegł na ganek, a dawszy hasło gwiźnięciem, skoczył na siwka i z kopyta ruszył.

Pod figurą w zakręcie puszczy policzył swoich jeźdźców: było ich 20, a każdy z szablą, z pistoletem za pasem i strzelbą na ramieniu. Przeżegnał się, westchnął i ruszył z gromadą zbrojnych dobrego kłusa.

Cóż się działo w Polanówce, we dworze chorążego?

* * *

We trzy dni po powrocie z puszczy, pan Malcher jakiś niespokojny wrócił z objazdu leśnego; słońce było na zachodzie, gdy zlekka zapukał w okno oficyny, do mieszkania pana Kacpra.

Stary wojak roztworzył drzwi od swojéj sypialni, i z wielkiém podziwieniem ujrzał blade i wystraszone oblicze swego przyjaciela.

— Kulbacz Waszmość co rychléj konia, uzbrój się, zabierz co możesz unieść z sobą, bo już nocy téj nie prześpiemy pod dachem. Ja idę do pana chorążego.

Pan Dzierżanowski zbladł i zadrżał nieco, dowiedziawszy się, że banda zbrojnego żołdactwa już dwa dwory złupiła i krwią zalała! Co prędzéj kazał przestraszonéj żonie pakować co można na brykę i fury, aby jak najrychléj opuścić dwór zagrożony.

Kiedy drżąca i zalana łzami, zcicha się modląc siadała pani chorążyna wraz z panną Brygidą i starą Piotrową na bryczkę, wysławszy już dwa wozy fornalskie naprzód: siedział uzbrojony na koniu pan Kacper z sześcią dworskiemi dobrze zbrojnemi, a z nim niedługo połączył się chorąży i Malcher.

Noc już była, ciemność otaczała wokoło, kiedy naraz dwór poblizkiego sąsiada zajaśniał słupem ognistego płomienia, a wiatr przyniósł krzyk rozpaczy i wrzask rozbójniczéj gromady.

— W konie! — krzyknął pan Malcher. — Jegomość niech łąkami prowadzi brykę, a my tu z panem Kacprem będziemy wstrzymywać. Daléj w konie! Aby Bóg nam dozwolił dostać się na krawędź puszczy, będziemy ocaleni.

Chorąży dał znak i opłotkami ruszyła bryka; sam jechał za nią wyciągniętego kłusa, oglądając się na szczupły zastęp jeźdźców pod dowództwem Malchera i milczącego dotąd pana Kacpra.

Dął wiatr coraz silniejszy, płomień widziany potężniał z każdą chwilą: wreszcie ucichł krzyk rozpaczy, i słychać tylko było gwar cichy.

— To łaźnia gorąca u pana Jordana skończona— wyrzekł pan Kacper — teraz na Polanówkę idzie biada. Malcherku, szepnij chorążemu niech rusza galopa, a my w zaroślach przy roztajnych drogach musimy ich nieco powstrzymać, bo inaczéj państwo nie uciekną. Będziem tu mieli i ciepło i widno, bo patrz Waszeć, już są na naszém podwórzu i ot dwór już zapalili.

Malcher spełnił polecenie i w téj chwili zadudniała ziemia pod galopem rozpędzonych koni. Znikły wozy i bryka w zaroślach, tylko postać chorążego migała jeszcze na rosłym biegunie.

Sprawdziły się słowa starego wojownika: dwór w Polanowie stanął cały w płomieniach, a za nim oficyny, stajnie i stodoły.

Pożar rozjaśnił ciemność nocy. W małéj dąbrowie szczupły nasz zastęp ukryty przed oczyma najezdców mógł ich policzyć: byłato gromada liczna i należycie zbrojna.

— Ki to djabeł?—zapytał zcicha Malcher, patrzącego pilnie pana Kacpra.

— A wié Waszeć, to pewno jaka banda rabusiów. Patrzta mają i dwie śmigownice. Cofajmy się wolno a równo: czoła im stawić nie można. Już ślad nasz zgubili. Widzita zsiadają z koni: będą nocować, albo tylko spoczną wśród zgliszcza Polanówki. Spojrzyjno za się, czy nie widać już bryki chorąztwa?

Malcher podsunął się na koniec zarośli, obejrzał uważnie i wrócił z doniesieniem, że już jéj ani widno, ani słychu.

Dzięki Bogu!—przemówił starzec, przeżegnał się, zcicha odmówił krótką modlitwę, a odwiódłszy nieco na stronę nadleśnego, przemówił wolnym głosem:

— Mam jakieś smutne przeczucie, Malcherku, że nie przeżyję téj klęski; czy się sprawdzi, czy nie, posłuchaj co ci powiem. Jeżeli padnę nim się dostaniem do puszczy,

to zdejmiesz mi trzos; jest tam dwieście i coś czątych: a ciało jak będziesz mógł pochować uczciwie i dasz na mszą świętą. Sto czątych oddasz Kasieczce, pięćdziesiąt sobie weźmiesz, a resztę na pogrzeb i nabożeństwo. Słyszysz Malcherku, rozsyłają patrole, już nas zwietrzyli: teraz zażyjmy ich z mańki. Waszeć weź trzech i co koń skoczy ruszaj na Wilcze-doły, a ja drożyną bliższą w te pędy: tam się połączym, a zyskamy dużo czasu.

Patrol silny że trzydziestu jeźdźców zbliżał się właśnie gościńcem w zarośla. Dowodzący nim oficer usłyszał galop uciekających, rzucił się więc w zarośla, ale wkrótce kazał stanąć, bo droga rozstajna rozbiegała się na zakręcie i nikogo widać nie było, a ucichł nawet i tętent koni.

W ostępie wśród błot i zarośli, zwanym Wilcze-doły, piérwszy ze swemi stanął pan Kacper, a po chwili dopiéro dobiegł pan Malcher.

— Stój! równaj się—zawołał starzec rozweselony, że mu podstęp tak zręcznie się udał.—No, teraz obejrzéć strzelby, podsypać świeżym prochem. Spoczniemy nieco. Wieleż mamy jeszcze do puszczy?

Malcher przyjrzał się okolicy i odrzekł:

— Jak ruszymy smugami, nie masz i mili, ale gościńcem do dwóch się naliczy.

— Nie możem cofać się smugami, bo nie o nas tu chodzi, ale o chorąztwo: wszakże bryką po smugach jechać nie można?

Malcher kiwnął głową potwierdzając jego zapytanie.

— A więc widzi Wasze, musimy gościńca pilnować. Ale cyt! słyszę tętent, gonią nas ostro. Na konie teraz: dobrze wziąć na cel, a na komendę—ognia, żeby mi każdy zsadził swego, bo mu łeb rozwalę.

I wymówiwszy te słowa, dobył z olstra pistoletu i stanął na czele. Malcher milczący trzymał w pogotowiu ulubioną dubeltówkę.

Nieprzyjaciel powolnym ale równym nadciągał kłusem. Za zbliżeniem się na czterdzieści kroków pan Kacper krzyknął ognia, i ośm strzałów powaliło tyleż jeźdźców. Cały patrol zatrzymał się przerażony, gdy nasz zastęp galopem uskoczył kawał drogi, nie ścigany wcale.

— Teraz Malcherku co koń wyskoczy drzyjmy z kopyta, bo nie możemy stawiać czoła ani brać ich na szable!

Miesiąc w téj chwili wyjrzał z za obłoku, rozświecił drogę, i blade swoje światło zmieszał z krwawą łuną pożaru wokoło. Podjeżdżali pod wioskę; we dworze stojącym nieco na uboczy grzmiała huczna kapela: snadź obchodzą imieniny czy wesele czyjeś.

— Malcherku!—zawołał starzec—skierujmy tu konie, trzeba ich przestrzedz, bo w kilka pacierzy te psy rozbójnicze tu dojadą i pohulają jak u nas.

I wjechali na podwórze przez wrota otwarte.

— Hej panowie bracia! bierzta się od tańca do szabli i strzelby, a jeżeli was mało, to zabierajta żony i dzieci, a w nogi!

— A zkądże wy?—zapytał głos jakiś,—że nam przerywacie zabawę: dawajcie lepiéj kielicha.

— Spojrzyj tam!—zawołał gniewny stary wojak—to wytrzeźwiejesz zaraz. Widzisz czerwoną łunę: to z naszych wsi i dworów. Tam już więcéj krwi popłynęło niż u was węgrzyna.

Wybiegło na ganek kilku szlachty, a siwy gospodarz zawołał:

— Na Boga! jeżeli mnie oczy nie mylą, to pan rotmistrz.

— Tak, rotmistrz—odrzekł starzec—co nigdy w życiu nie bał się ani kuli, ani żelaza, a teraz na was woła: uciekajta do puszczy, bo oporu nie dacie! Daléj za nami, my uchodzim gościńcem.

VIII.

We dworze Brzechwy ucichła kapela, trwoga chwilowa opanowała wszystkich; piérwszy gospodarz zawołał:

— Zaprzęgać co żywo: na wozy i bryczki niewiasty i dziatwa, a my na koń. Poza ogrodami mamy zarośla, ścieszkę my tylko znamy. Daléj co żywo! Piotrze!—zawołał na wyrostka syna swego,—weź parę pistoletów i szablę, siądź na arabczyka a djabeł cię na nim nie zgoni. Jak ujrzysz tylko tych łupiezców, daj ognia dwa razy, to będzie hasło, że już idą, a sam leć gościńcem, to doścignięsz rotmistrza, któremu za przestrogę podziękuj od nas.

W kilka chwil później opustoszał dworzec. Bryki, wozy i konna szlachta już w bezpieczną ustroń ujeżdżała, gdy dwa strzały huknęły pod samą bramą dworu, i pomknął młody jeździec jak wichura na wronym arabczyku.

Gromada jeźdźców ostrożnie wjechała na podwórze, a widząc dwór otwarty, weszło kilku z odwiedzionemi pistoletami. Żywéj duszy nie było, ale nie brakło wina i miodu, stały kosze pełne i dzbany niepróżne. Po obejrzeniu wokoło, ufni i bezpieczni, zaczęli powoli gromadzić się do obszernéj jadalnéj izby. Dowódzca wezwał do wypoczynku, i wskazał na kosze, sam wypróżniając ochotnie zapleśniałą butelkę. Nie lękał się napadu, ufny, że nadchodzi cała chorągiew jazdy, bo po strzałach w Wilczym-dole, gdzie ośmiu towarzyszy stracił, wezwał pozostały zastęp w Polanówce, grzejący się i koczujący przy pożarze dworu i zabudowań gospodarskich. Ale spotkał we dworze Brzechwy gorszego jak rotmistrz i pan Malcher nieprzyjaciela, bo w koszach starego węgrzyna, a w dzbanach miód stuletni.

Nie żałowała sobie czereda łupiezców, ale téż wkrótce legła wszystka snem twardym, nie do zbudzenia.

Zaszeleściło pod oknem dworu, i ukazało się oblicze wąsate w jednéj szybie. Po chwili rozległo się kwilenie jakby sowy, i we wszystkich oknach coraz wyraźniejsze malowały się wąsate postaci. Zarżał arabczyk na podwórzu, a w otwartych drzwiach od ogrodu stanął nagle Brzechwa z dobytą karabelą, i okrzykiem „morduj najezdzców", rzucił się do komnaty jadalnéj. Za nim w ślady poskoczyła szlachta zbrojna, niedawno tegoż wieczora godująca ochoczo.

Ale Brzechwa stanął osłupiały, patrząc na całą czeredę opiłych i ujętych snem letargicznym, gdy syn jego Piotrek, co dał hasło dwoma strzałami, wbiegł co żywo przez ganek.

— Panie ojcze!—rzekł zcicha—spieszcie co rychléj, bo idzie ich nienaliczona chmara i armaty prowadzą. Już konie sprzątnęliśmy z podwórza, i uprowadzili w ługi, ale cóż z niemi zrobimy?

— Panowie bracia, zabierzcie resztę miodu i wina, to się nam przyda w naszych błotach, i daléj do naszéj ustroni: ja tu tylko chwilę zabawię.

Szlachta wkrótce znikła, starzec wpadł na górę i zapalił słomę na strychu; zbiegł szybko z komnaty, z nad łoża swego porwał wizerunek na blasze Matki Boskiéj Częstochowskiéj, i znikał już w cieniu drzew ogrodowych, gdy płomień ogarnął cały dach dworu. Kiedy się obejrzał, cały zastęp jazdy drogą od Polanówki wjeżdżał kłusem na podwórze, i zatętniała ziemia pod ciężarem dwóch armat i jaszczyków z amunicyą.

Rotmistrz już dojeżdżał krańca puszczy, gdy łuna rozświeciła nagle drogę.

— Patrz Waszeć Malcherku, to nowy pożar. Nie posłuchali biedacy zdrowéj rady, niech Bóg zbawi ich dusze.

— Kto jedzie? — krzyknął głos jakiś z gąszcza, a późniéj poznając dodał: — to wielmożny rotmistrz — i Zaklika stanął przed uradowanym starcem.

— A nie widziałeś gdzie chorąztwa?— zapytał.

— Już muszą być z naszym panem u nas w puszczy. Ja tu czekałem na pana rotmistrza i pana nadleśnego.

— A wielu masz z sobą?

— Jest nas dwudziestu jeźdźców dobrze uzbrojonych na koniach, a i strzelców z puszczy nadciągnęło do trzydziestu, Socha niemi dowodzi.

Rotmistrz dosłyszał, że pędzi jakiś jeździec co koń wyskoczy. Stanął więc na drodze.

— Stój! zkąd przybywasz?—zawołał.

Jeździec osadził dzielnego bieguna w miejscu, a rotmistrz w nim poznał młodego Piotra Brzechwę. Ten w krótkich słowach opowiedział wypadki we dworze ojca, i doniósł, że czterdziestu szlachty, wraz z Brzechwą, zaraz się połączą z rotmistrzem, którego oddają się rozkazom, bo zabezpieczyli już niewiasty i dziatwę, tak, że i lis ich nie zwietrzy; że w tym celu wysłał go ojciec, i że kiedy wydostał się na gościniec, widział jak w ściśnionych szeregach kłusem jazda ciągnęła gościńcem ku puszczy, więc wkrótce tych gości spodziewać się tu można.

Stary rotmistrz rozweselał, orzeźwiał temi nowinami: policzywszy co mógł mieć razem, nabrał otuchy, że będzie można stawić czoło i wziąć na szable, do czego gorąco wzdychał. Niebawem z oczeretów ukazał się zastęp Brzechwy, a z puszczy zastęp jeźdźców Zakliki:

było więc do stu koni razem. Piechota Sochy stała opodal, wpośród stuletnich dębów.

Rotmistrz, jako wódz doświadczony, nakazał milczenie, sam zsiadł z konia, ukląkł i przyłożył ucho do ziemi.

— Nie słychać nic, mamy więc godzinę najmniéj czasu—pomruknął jakby do siebie; poczém dosiadłszy konia, szepnął kilka słów Brzechwie, Zaklice i panu Malcherowi, i zaraz w porządnym szyku ruszono prostym gościńcem w gęstwinę puszczy.

Pan Malcher objął dowództwo nad pieszemi strzelcami, szedł więc równym a szybkim krokiem za jazdą, która w zakrętach leśnych wkrótce z przed oczu zniknęła.

IX.

O pół mili, już w posadzie saméj puszczy, rozliczne strugi zbiegały tu razem, a nabrzmiałe jak zwyczajnie w czas wiosny, wylały i tworzyły głęboki parów, na którym most dylowy ułatwiał przejazd. Tu zatrzymał się rotmistrz, kazał zsiąść z koni, wypocząć i czekać na piechotę Malchera; sam zaś zebrawszy w wieniec szlachtę, przemówił:

— Panowie bracia! tu musimy stawić opór i nie dozwolić kroku do jedynéj naszéj ustroni w puszczy. Jak tylko nasi strzelcy nadejdą, zdejmiem bale z mostu, osadzim strzelcami, i żeby ich było jeszcze dwa razy więcéj, to sprawim im tu gorącą łaznię. Mości cześniku— rzekł zwracając się do starego Brzechwy—Waszeć jeźdźców naszych weź pod swój ordynans, bo ja Zaklikę muszę mieć przy sobie. Jazdę swoję cofnij w las nieco, w bezpieczną ustroń, aby kule jéj nie raziły, a tymczasem przepatrz powyżéj brodu, by za danym znakiem uderzyć z boku. Hasło zebrania i uderzenia dam trąbką myśliwską. To grajek dzielny — dodał i uderzył z uśmiechem w ramię Zaklikę.

Pan Malcher już nadciągnął, a kiedy zabierano się do zdejmowania balów z mostu, usłyszano gęste strzały; dalekie wprawdzie, ale wyraźnie spłynęły po rosie i odbiły się w puszczy.

— Stać w miejscu—krzyknął rotmistrz.—Mości cześniku, wyśléj Waszmość ze 20 koni, ażeby dostały języka. Zaklika powiedzie ich naprzód, a ostrożnie, a chyżo. Tam muszą być nasi, bo to strzały ręcznéj broni, i broni myśliwskiéj.

Zaklika galopem most przeleciał z oddziałem swoim. Zaledwie zniknął w zakręcie drogi, zagrzmiały znowu strzały i powtórzone kilkakroć umilkły. Powiała cisza nocy: wszyscy w milczeniu nasłuchiwali uważnie.

Wpół godziny późniéj nadjechał Piotr Brzechwa z oddziału Zakliki, donosząc, że spotkali oddział Augustyna Zawadzkiego z brańszczykowéj puszczy, złożony ze 120 Kurpików i około 100 jazdy, który rozbił patrole, ale przed silną kolumną z działami cofa się do puszczy.

— Mości cześniku!—zawołał uradowany rotmistrz—com wyrzekł, to się sprawdzi: sprawimy im gorącą łaznię. Panie Piotrze, ruszaj Waszeć do pana Augustyna z pokłonem od nas, niech przyspiesza kroku, czekamy go radzi. A Waszeć Mości Socha na konia i do Zarębina: uspokój chorążego, poczciwego Maciejka i nasze niewiasty.

Socha dosiadł gniadosza i wkrótce stanął przed dworem Zarębina, gdzie na ganku stał zasmucony chorąży, a obok zięć jego.

— Cóż słychać, cóż słychać?—spytał niespokojnie Zaręba.

Socha opowiedział wszystkie szczegóły. Chorąży słuchając uważnie, rozjaśnił oblicze i wyrzekł:

— No! teraz Maciejku dobra nasza, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże: każ Waszeć mieć bryki w pogotowiu i konie podpasione: teraz już będziemy spokojniejsi, kiedy i Socha przy nas.

Weszli do izby. Chorążyna z córką spłakane, w gorącéj modlitwie zatopione były. Nagle zagrzmiał huk straszliwy w puszczy, jakby uderzenie piorunu; huk ten raz po razu odbijał się.

— Co to jest?—krzyknęły przerażone niewiasty.

Chorąży targnął wąsa, Zaręba zbliżył się do żony i spokojnie odrzekł:

— To nic Kasieńku, to wystrzały jakieś! Przyszedłem cię pożegnać: muszę jechać.

Gdzie? gdzie?— zapytała drząca Katarzyna.

— Tam, gdzie grzmią wystrzały i gdzie się nasi biją— odrzekł z zapałem.

— Ja cię nie puszczę — krzyknęła młoda kobiéta i pochwyciła go za ręce.

Zaręba przycisnął ją do serca, pocałował i z rzewnym uśmiechem odrzekł:

— Módl się moja dziéweczko, Bóg będzie czuwał nad nami.

Przykląkł przed chorążyną, która nie wyrzekłszy słowa, pocałowała go w głowę i przeżegnała. Zaręba wybiegł na ganek i dosiadł konia. Za nim wyszedł i kazał sobie podać wierzchowca chorąży, a gdy żona i córka wybiegły na przedsień, zawołał:

— No, bywajcie zdrowe, a módlcie się gorąco. Zostawiamy was pod strażą poczciwego Sochy.

I w towarzystwie jednego pacholika ruszyli na kraniec puszczy, gdzie ciągle grzmiały działa i ogień ręcznéj broni, zwiastując, że walka bez przerwy się toczy.

Po odjeździe Sochy wrócił z oddziałem swoim Zaklika, a za nim piechota i jazda Zawadzkiego. Natychmiast rotmistrz kazał zdjąć z mostu bale i rozstawił celnych strzelców, wzmocnionych nowym a silnym zastępem. Brzechwa na prawo stanął z oddziałem, Zawadzki dołączył jazdę swoję i objął główną komendę nad całą kawaleryą; zasilono nadesłaną żywnością od Zaręby strudzonych, i w głębokiém milczeniu oczekiwano nieprzyjaciela.

Księżyc wychylił się z za chmury, i widnie rozświecił okoliczne pola i gościniec, po którym gęste zastępy jazdy ciągnącéj zwolna i ostrożnie, jak na dłoni się pokazały.

Silny patrol zbliżył się do mostu, ale zaraz zwrócił, dając znać dowódzcy, że most popsuty i że nikogo nie postrzegł. Jazda bowiem cała była cofnięta w gęsty parów puszczy, a strzelcy rotmistrza za krzakami czatowali.

Natychmiast kilkudziesiąt zsiadło z koni, a dostrzegłszy po przeciwnéj stronie, umyślnie jakby na wabia porządnie ułożone bale mostowe, rzuciło się po belkach, chcąc most przebyć. Kiedy już byli na połowie mostu, zagrała pojezdnego myśliwska trąbka, po niéj zagrzmiały wystrzały, i ani jeden już nie stał na moście.

Rozruch wielki powstał w kolumnie nieprzyjacielskiéj, zadudniała ziemia pod ciężarem armat, i te wycelowane sypnęły po moście gradem kartaczy. Ale puszcza milczała, odbijając daleko grzmot działowy. Ogień armatni nie ustawał, kiedy rotmistrz podczołgał się na brzuchu do kupki leżących swoich strzelców, i zcicha wyrzekł:

— Miesiąc ślicznie świeci, widno jak na dłoni: teraz bierzta na cel kanonierów. Ja tu przyślę pomoc, a nie dajta już strzelać.

Po chwili ani jeden kanonier nie ustał przy działach. Daremnie jazda rzucała się chcąc je obsłużyć, ale ogień ręcznéj broni szedł nieustanny, i po daremnych wysiłkach, działa choć nabite, stały nieczynne.

W tę właśnie dobę przypadli w rozpędzonym galopie stary chorąży i Zaręba.

— Słyszysz Maciejku!—przemówił do zięcia—zły to znak: umilkły działa, czyż naszych rozbito.

— Zobaczymy, może zdobyto armaty.

Brzechwa nie próżnował w tym czasie: wynalazł bród płytki, przeprowadził swój oddział, a za nim Zawadzki poszedł z jazdą. Zaklika ostatni się przebierał, gdy doń nadbiegli chorąży z Zarębą.

W największéj ciszy uszykowano się na drugiéj stronie rzeczułki: Brzechwa objechał nieprzyjacielską jazdę i miał z tyłu uderzyć, Zawadzki czołem, a Zaręba objąwszy dowództwo nad oddziałem Zakliki, stał w odwodzie z rezerwą.

Ale i nieprzyjaciel ochłonął z przestrachu: jeźdzcy uzbrojeni w karabinki, korzystając z wzgórków i małych zarośli, zasłonieni niemi, rozpoczęli ręczny ogień i celny i żwawy. Mieli czas choć krótkiéj przewagi i wtedy z dział dali kilka razy ognia. Za drugim razem okrzyk jakby trwogi rozległ się w puszczy, gdy naraz zabrzmiała wrzawa z tyłu nieprzyjacioł, i silny oddział Brzechwy uderzył; równocześnie Zawadzki z lewego natarł skrzydła. Napad ten niespodziany zmieszał całą kolumnę, i gdy liczbą i szykiem opór jeszcze silny nieprzyjaciel stawiał, za uderzeniem oddziału Zaręby poszedł cały w rozsypkę.

Zwycięztwo było zupełne: naprawiono most co rychléj, przeprowadzono zdobyte działa, i chorąży piérwszy po nim powrócił na granicę puszczy.

Rozpalono ogniska. Jakiżto widok smutny uderzył! Na rozciągnionéj burce leżał rotmistrz krwią zlany, ranny w rękę karabinową kulą, a oprócz tego otrzymał cios śmiertelny w biodro od kartacza. Klęczał przy nim Malcher, tamował krew, obwijał rany i trzeźwił mdlejącego.

Chorąży zeskoczył z konia i przypadł do starca:

— Panie rotmistrzu! Kacprze kochany, mój przyjacielu! spojrzyj na mnie! Zwycięztwo!

Na to słowo roztworzył oczy, uśmiechnął się rzewnie i wyciągnął doń rękę. Chorąży przyklęknąwszy obok pocałował dłoń pomarszczoną, zimną, i zwilżył łzą serdeczną.

— A gdzie Maciéj?—zapytał słabym głosem.

— Jest! jest! Dokończył zwycięztwo w tym świetnym boju, którego cała sława powinna spłynąć na ciebie i Augustyna z Brańszczyka, co nas wsparł tak dzielnie (1).

Uwiadomiony Zaręba nadbiegł do ogniska. Ranny starzec przyciągnął go do siebie, i gdy pochylonego pocałował w czoło, szepnął na ucho:

— Każ mnie zanieść coprędzéj do twego dworku; tam pod dębem lżéj mi będzie konać, a chcę zobaczyć i twoję Kasię i panią chorążynę.

Sporządzono co rychléj nosze, utamowano krew i poniesiono starca pod czujném okiem chorążego i Malchera.

Zaręba zatrzymał się nieco dla narady z Zawadzkim i Brzechwą.

— Ja—przemówił Zawadzki—idę daléj, wam radzę rozjechać się do domów, dopóki nie usłyszycie, że coś ważniejszego zaszło w kraju. Oddział, któryśmy rozbili, już łupić nie będzie i więcéj ich w téj okolicy nie ma. Działa i niewolników zabieram z sobą, trupów każcie pogrzebać.

I pożegnawszy się z niemi ruszył napowrót gościńcem przez pola wiodącym. Brzechwa i Zaklika za oddziałami na resztę nocy zostali. Zaręba pognał do domu.

Już zorza poranna prześwitać poczęła, gdy równocześnie z niesionym rotmistrzem wracał w zagrodę

(1) Szczegóły oparte na podaniu rodzinném.

swoję Zaręba. Na ganku oczekiwały jego powrotu chorążyna i córka.

Pod dębem niedaleko dworu usłano wonnego siana, okryto skórami niedźwiedziemi i złożono rotmistrza tak, jak pragnął. Rozpalono ognisko, a starzec podniósł głowę i wyciągnął rękę, chcąc pozdrowić zanoszące się od płaczu chorążynę i córkę.

Podano mu wina starego w małym kubku: wypił kilka kropli, snać go orzeźwiło, bo trzymając głowę wspartą na kolanach Malchera, który z wlepioném okiem w oblicze przyjaciela nic nie widział więcéj wokoło, przemówił wyraźnym głosem:

— Widzę nad sobą łaskawą a opatrzną boską rękę, kiedy mi tu wśród was dozwala umierać. Pamiętajcie o mnie i módlcie się za zbawienie duszy mojéj.

Dał znak, podano kubek, wychylił go do dna; przez chwilę zamrużył oczy, ale zaraz jakby silniejszy przemówił:

— Szkoda! że nie ma księdza proboszcza: co się téż z nim stało! Ale Bóg mi przebaczy, bo lubom grzeszny śmiertelnik, szanowałem jego święty zakon i śmiało mogę stanąć na on popis generalny tam! wysoko! kędy się wszyscy spotkamy.

Na oblicze starca wybił słaby rumieniec, oczy nabrały nowego życia; przywołał bliżéj chorążego, ujął za rękę i mówił prędko:

— A cóż, czy chcesz się probować w świeczkowym polonèzie? Znasz tę nutę, zaśpiewam ci, panie nam zawtorują i pan Maciéj razem; ba! Malcherek dopomoże.

I zaczął nucić pieśń tę samą jak we dworze chorążego, ale nagle uciął, bladość śmiertelna okryła oblicze, zwisła głowa, a Malcher drżącym i bolesnym głosem zawołał: skonał.

— Tak! już skończył—przemówił chorąży.

A płacz rzewny rozległ się wokoło.

X.

Zaręba wiernie spełniając wolą zmarłego rotmistrza, pochował go pod tym samym dębem, i krzyż drewniany przy mogile postawił. Tam co wieczór wiosenną, letnią

i jesienną porą przychodził na modlitwę; tam w rocznicę śmierci starego wojaka kapłan święcił mogiłę, odprawiał modlitwę za umarłych, a Katarzyna wieńczyła ją kwiatami.

Chorąztwo zamieszkało we dworze zięcia, bo nie mieli gdzie schronić głowy: przebyli i zimę w puszczy. Jakkolwiek odbudowali sobie dwór i gospodarskie gumna, ale dla zamieszki w kraju nie mogli opuszczać schronienia, tém więcéj, gdy Katarzyna powiła syna. Wpośród powszechnego smutku w dworku Zaręby radość niezwykła, a obudziło ją kwilenie małéj dzieciny. Jakie uczucie w duszy pana Macieja powstało, jakie szczęście zorzą jasną opromieniło cichą zagrodę puszczy, to tylko pieśnią poety wypowiedzić możemy:

„Ozłocił Pan wspaniale moje ściany liche,
Bo zesłał mi dzieciątko z nieba, światło ciche;
Jedno dziécię! a weszło z niém takie wesele,
Jak kiedy w dom szlachecki zjedzie gości wiele,
I napełnią go wrzawą, uczciwą, świąteczną,
A sami się zespolą miłością serdeczną,
I tak się rozkochają w tém braterskiém gniezdzie,
Że starcy jak pisklęta, kwilą przy rozjezdzie.

Błogosławieństwem dom mój nawiédził widomem
Błyszczący anioł, co rzekł: „Pokój z twoim domem."
I zaledwie głos przebrzmiał, to nizka ta chata
Swą strzechę, jak ramiona dziękczynne, rozplata,
I podniosłszy je w górę, swą małość przyczynia,
Aż się stała modlitwą wielka jak świątynia.
I zaraz w niéj przybrało wszystko pozór święty:
Radosném przemówiły słowem nieme sprzęty,
Wszystkie skazy ponikły, kąty wyjaśniały,
I cedrami zapachły dębowe powały.
Każde usta dobroci pełne, myśli bielsze,
A piosenki czeladzi, co wieczór weselsze.

I od kiedy w niéj mieszka niewiniątko Boże,
Piérwsze blaski rzucają na tę chatę zorze,
Czeremcha więcéj kwiatu na jéj dachy sypie,
Słodka muzyka pszczołek ciągle gra na lipie,
Gołębie lubią teraz na podwórku siadać
I swe skrzydła tęczowe do słońca rozkładać,
A jaskółki przez okno wglądają ciekawe.
A ja chodzę jak senny, wielbię Pańską sprawę,
I upajam się kwiecia i gołębi bielą,
I tą z lipy na lipę lecącą kapelą,

I tém światłem ścian moich i wonnością pował....
O! jak ty Panie ducha mego rozradował (1)!"

Chorąży w uniesieniu wesołości odpędzał od kolebki kobiety i sam kołysał i przyśpiewywał wnukowi; ale zraził się tą zabawką od czasu, kiedy zaczął śpiewać poloneza z pod Żórawna i przypomniał sobie starego rotmistrza, jak go tańczył w Polanowskim dworze, jak go zanucił konającemi usty.

Zerwał się, otarł łzę rzewną i wyszedł na ganek; ale z ganku widno dąb rozłożysty i mogiłę wojaka. Poszedł więc do niéj, a ukląkłszy pod krzyżem, długo i gorąco się modlił.

Następnego roku z początkiem wiosny 1795 roku, przeniósł się z żoną do nowo zbudowanego dworu w Polanówce, a w oficynie zamieszkał już teraz samotny pan Malcher. Doręczył on sto dukatów w złocie Katarzynie, jak mu zmarły przyjaciel polecił, pięćdziesiąt oddał na kościół i nabożeństwo za jego duszę, a pozostałe pięćdziesiąt czerwonych złotych przeznaczone sobie, obrócił na wystawienie mu z kamienia ciosowego nagrobka, do którego chorąży napis ułożył.

Osamotniał dwór w Polanówce, u sąsiadów smutek i biada, bo wielu nie miało za co odbudować się z pogorzeli: nikt nie myślał o rozrywce i zabawie. Kościół tylko napełniał się w święto, a do dworów drogi zarosły murawą.

Zaręba oddał się teraz cały gospodarstwu i karczunkowi: potrzeba wskazywała powiększyć pola pod zasiew, walił więc przez zimę toporem sosny, jodły i dęby wiekowe. Tak idąc przebojem, całą połać puszczy dotykającéj do Narwi zwalił, i tylko pas wązki zasłaniał brzegi przeciwne rzeki.

W jesieni chcąc żonie miłą zrobić niespodziankę, w czasie kiedy chorąztwo zjechali w odwiedziny, kazał wyciąć i pozostały pas drzewa.

Upadły ostatnie strażnice nadbrzeżne, a cudny widok uderzył oczy siedzących na ganku. Katarzyna z zachwyceniem patrzyła w obraz nowy, niby czarami ze zwierciadła wody, na potężne zaklęcie, dobyty.

(1) Cały przywiedziony tu ustęp jest sielanką Kornela Ujejskiego.

Jak niebieska szeroka wstęga, wpośród zielonéj murawy, spływała Narew, rybitwy po ustępach uderzały białém skrzydłem z pokrzykiem, a na przeciwnym brzegu ukazał się pałacyk wśród angielskiego ogrodu, ocieniony lipami. W przymroce wieczornéj duże okna jaśniały mocném światłem: przed wspaniałemi podwojami liczna służba strojnie przybrana napełniała ogród.

Lekki wiatr powiał i z powiewem swoim przyniósł i woń kwiatów nieznanych, i bzów krzewistych i odgłos słaby melodyjnéj muzyki.

Katarzyna wsparta na ramieniu męża nie mogła oderwać spojrzenia: stary chorąży smutnie westchnął, odwrócił oczy na mogiłę starego rotmistrza pod rozłożystym dębem, Zaręba opuścił głowę na piersi w głębokiém zamyśleniu, chorążyna odmawiała wieczorne godzinki. Zdawało się, że jakieś przeczucie wszystkich opanowało, że ten pałac tak nagle pojawiony w gąszczu puszczy, wpłynie przeważnie na przyszłość skromnego dworku, i tych, co dotąd w nim cicho i szczęśliwie żyli.

Któremuś sprzedał harfy twojéj struny
I serca twego uniesienia wieszcze,
I głosu twego harmonijne tony.
Ale minstrelu! nie skończyłeś jeszcze!
Czemu nie śpiewasz trzech poddanych Lorna,
Trzech dusz szlachetnych, choć zrodzonych w gminie,
Których odwaga męzka, choć pokorna,
Nie wspominana, nie uczczona ginie!...
Czemu nie śpiewasz przy harfy twéj dźwięku
Jak pana swego z rąk króla wydarli?
Jak włocznie swoje z mieczem jego zwarli,
Jak z wojowniczym, rycerskim zapałem
Pierś Lorna własném zasłaniając ciałem,
Bohaterowie polegli bez jęku!
A w konających zmartwiałym już ręku
Została klamra i płaszcz purpurowy.
Kiedy z zasadzki hufiec wrogów nowy,
Króla Roberta zmusił do odwrotu;
A Lorn Allaster płynący od potu
I z pola walki bladą gnany trwogą,
Liczył pod zbroją głośne serca bicie,
I boki konia kalecząc ostrogą,
Unosił szczęsny ocalone życie.
Ale dość tego: masz ten łańcuch złoty,
Łańcuch kosztowny, misternéj roboty;
Odkąd go starcze na pierś twoję wdziejesz,
Nie kłam już nigdy, gdy o królach piejesz!!!"

XIII.

— „Przez wszystkich świętych w Pana Boga chwale!—
Krzyknie Lorn w dłonie klasnąwszy zuchwale—
Tożto sam Robert!! Nuże bracia moi!
Zdrajca, morderca między nami stoi:
Niech mu ostatnia wybije godzina
Za niepomszczoną dotąd krew Komyna!"
—Nie!— woła Ronald—w ojców moich domu
Gości mych nie dam znieważyć nikomu;
I póki dłoń ta mieczem przodków władnie,
Ani im jeden włos z głowy nie spadnie.
Ten, co schronienia szukał za mym progiem
Świętym jest dla mnie; a kto go obrazi,
Kto go zaczepi—moim będzie wrogiem!....
Póki ja żyję, murów tych nie zkazi
Krew w zbyt nierównéj walce wytoczona!.
Bo świętość prawa—to słabych obrona."
— „Co tam o walce nierównéj wspominasz—
Krzyknie pan Lornu—przeszłość zapominasz!

Przeszłość niedawną. Wszak Komyna serce
Trzema razami przeszyli morderce... (1)
Co o świętości powiadasz i prawie?
Kto myślał wtedy o prawach i sławie,
Gdy krew płynąca nieszczęsnéj ofiarze,
Świątyni Pańskiéj broczyła ołtarze!
A dziki zbójca dla sromu i wzgardy,
Trupa tratował mściwemi nogami
Mając wzrok taki posępny i hardy,
Takie oblicze zimne i ponure,
Taką na czole dumnych myśli chmurę
Jak ten, co teraz stoi między nami!
Do mnie mściciele! do mnie dzielne męże!
Na głowę zbrodnia szykujcie oręże."

XIV.

Wnet kilku panów ze stałego lądu
Powstało na głos dumnego rycerza.
Już do spełnienia straszliwego sądu,
Barkaldyn ramię żylaste zamierza;
Już Kinloch-Allin miecz z pochwy dostaje,
A Czarny-Murdok trzyma go w prawicy,
Dermid gotowy do boju powstaje;
Już się szczęk broni z gwarem łączy dzikiem.
Pobladła piękna twarz oblubienicy,
Trwożne niewiasty uciekają z krzykiem.
O ziemio szkocka! czyliż w téj godzinie
Najszlachetniejszy z synów twoich zginie?
O nie! bo dzielne męże oceanu,
Pomni na święte gościnności względy,
Stojąc wokoło wodza swego klanu,
Lorna krwi chciwe wstrzymują zapędy.

XV.

Obok młodego dwóchset wysep pana,
Torkil z gór Skii, władca Dunwegana:
Młodzieniec duchem, choć ciałem już stary;
Mak-Niel wyniosły, lennik dzikiéj Bary,
Duat Mak-Gillian, mąż w barkach szeroki,
Klanu swojego wódz śmiały i mężny,

(1) Brucy wychodząc z kościoła, gdzie po długich zatargach przebił sztyletem Komyna, spotkał Lindsaja i Kirpatryka.—„Co słychać?—zapytali go oba.—„Źle—odrzekł Brucy—zabiłem podobno Komyna!..—„Podobno! krzyknął Kirpatryk—zaraz to pewnością będzie,"—i pobiegł do kościoła, dotrzymać swéj obietnicy.

Fergus pan Kauny zamku i zatoki,
I z Kolonsaju lord Duffilk potężny:
Zastęp rycerzy, co jak hart ich stali
Nigdy się jeszcze nie ugiął skruszony,
A którym w sercach płomień niezgaszony
Dawnych niechęci ku Anglii się pali.
Otóż gdy wodze bebrydzcy zobaczą
Oręż angielski do góry wzniesiony:
Serca im w piersi dziwnie zakołaczą,
Krew w żyłach zawrze, zabłysną źrenice,
I same za miecz pochwycą prawice.
Straszny obrazie! Szczękają oręże,
Ognistym wzrokiem grożą sobie męże,
Długi włos wodzów w nieładzie opada!..
Nocy godowa! Biada tobie! biada!
Blask, co miał uczcie przyświecać wesela,
Teraz niestety odbija się w stali,
A stal go w drżących promieniach odstrzela
Na wzór ogniska, co się w bagnach pali.

XVI.

Wszystkie prawice do boju gotowe.
Ale któż piérwszy z tych śmiałych rycerzy
Współbiesiadnika nagą pierś uderzy?
Kto piérwszy szaty ubroczy godowe?
Kto piérwszy zdepcze gościnności prawa?
Kto, o rycerze, gdy klątwa minstrela
Czeka braterskich biesiad gwałciciela!
Powoli straszna ucisza się wrzawa,
Bo nikt piérwszego nie śmié zadać ciosu;
Stoją rycerze bez ruchu i głosu
I oczy tylko, oczy sobie grożą.
Ogień krwi chciwy w źrenicach się pali,
Jak gdyby nagle świętą wolą Bożą,
Ci zapastnicy dumni i zuchwali,
W głazów bezwładne zmienili się bryły,
A oczy tylko patrzały i żyły.

XVII.

Wtedy Edyta przelękła i drżąca,
Słodkiemi słowy gniewy chce ukoić;
Między rycerzy ciśnie się płacząca,
By ich potęgą łez swoich rozbroić.
Biédna dziewico! oczu twoich szkoda....
Bo w takiéj chwili nikt jeszcze, niestety!
Nie ważył sobie gorzkich łez kobiety!...

Za córą Lornów, nieznajoma młoda
Wstaje wzruszona, i ku któréjże stronie
Wyciągnie wsparcia błagające dłonie?
U kogoż będzie szukała pomocy
Przeciw zaciętéj wrogów swych przemocy?
U kogo?...Nagle pled z ramion jéj spada,
Błysnęły ogniem cudne czarne oczy,
I włos się kruczych rozwiewa warkoczy;
A ona chociaż wzruszona i blada,
Do Egidyusza z godnością się zbliża
I mówi smutnie:—„O rycerzu krzyża!
Obrońco świętéj Zbawiciela ziemi,
Najszlachetniejszy między szlachetnemi!
Ty! coś w turniejach za męztwa dowody
Odbierał świetne wieńce i nagrody,
A moja niemi darzyła cię ręka;
Czyż będziesz patrzał obojętném okiem,
Jak krew szlachetna popłynie potokiem,
A silna przemoc słabego ponęka?"....
Słowa te prosić Anglika się zdają;
Ale jéj cudne oczy błagające,
Łzami wilgotne a ogniem płonące,
Lorda Ronalda wśród tłumu szukają.
A Ronald stoi: krew bije na lica;
W oczach mu dziwna świeci błyskawica;
Lecz kiedy dostrzegł spojrzeń Izabelli,
I twarz tę cudną, którą boleść bieli;
Słodkiego głosu gdy dosłyszał dźwięku:
Nie może dotrwać wśród rycerzy koła,
Miecz Somerleda silnie ściska w ręku,
I drżącym głosem wzruszony zawoła:
—„O! Iza... raczéj o Edyto droga!
Póki to serce w młodéj piersi bije,
Dopóki Ronald, wierny rycerz żyje,
Ty się nie lękaj przemocy ni wroga!
Ty się nie lękaj, o luba dziewico!
Serca i duszy méj oblubienico!
Oblubienico".—Tu usta zadrżały,
Głos zamarł w piersi i słowa skonały....

XVIII.

Tutaj Egidius odstąpił od stoła,
Spokojnym wzrokiem prowadzi dokoła,
I głosem, w którym męzka brzmi odwaga,
Dwóch się rycerzy wydania domaga,
Ponieważ obaj w dumie swéj zuchwali,
Przeciwko Anglii królowi powstali!....

Lord Ronald brzmieniu słów tych nie dowierza,
Bo zna dostojną szlachetność rycerza;
Lecz stary Torkil gniewem się zachmurzy,
I swoje męzkie, piękne, wojownicze,
Wiekiem zorane zmarszczywszy oblicze,
Tak się prędkiemi słowami wynurzy:
—„My nieulękłe syny oceanu,
Posłuszni tylko wodzom swego klanu,
Myśmy słyszeli, że gdzieś po równinach
Anglia bezprawnie jarzmo swoje wtłacza,
I władzę swojéj potęgi roztacza
Po staréj Szkocyi swobodnych dziedzinach!
Ale zarazem głosiła nam sława,
Że wola Szkocyi i słuszność prawa,
Króla Roberta wzywają do tronu,
Choć go zeń strąca potęga Albionu.
Lecz choćby słuszném było twe żądanie
Dumny Angliku, Argentynu panie,
Niech sobie Anglia chwyta swych poddanych,
Czy wiarołomnych, czy téż zbuntowanych;
Niech sobie chwyta wszędzie gdzie dosięga
Władza jéj prawa i sił jéj potęga:
Ale nie tutaj, nie pomiędzy nami,
Wojowniczemi szkockiemi wodzami;
Nie w naszych zamkach, nie przy naszym stole.
I niechaj z tego co zechce wypadnie,
Ja siwy Torkil nigdy nie pozwolę,
Aby ktokolwiek, przemocą czy zdradnie,
Znieważył tego, kogo strzeże stara
Praojców naszych nieskażona wiara!"

XIX.

Ta mowa wodza znowu gniéw zapali,
Znowu zapasy gotują się krwawe:
Pazie i giermki wpadając do sali
Zwiększają jeszcze nieład, rozruch, wrzawę.
Wtém odgłos rogu ostry i ponury,
U bramy zamku rozległ się donośnie:
Echem mu stare odwtórzyły mury....
—To kapłan! kapłan!!—wołają radośnie,—
To kapłan boży, a weń duch proroczy,
Miłość i wiara, łaska i natchnienie!!
To kapłan boży, ten, którego oczy
Znają tajemnic świętych objawienie.
Błogosławionym w Panu lud go zowie,
Bo kiedy stary i siwy wędrowiec
Święty Kolumba nawiedza grobowiec:

To na obłokach płynąc aniołowie,
Drżącym pielgrzyma krokom towarzyszą,
A zakonnicy z przerażeniem słyszą
Wśród ciszy nocy posępnych i mglistych,
Jak na Ben-Duny wyżynach skalistych,
Himnów niebiańskich rozbrzmiewają chóry,
By uweselić czuwanie kapłana,
Kiedy u setnych krzyżów świętéj góry (1)
Pacierze mówi zginając kolana.
To sługa boży nad inne wybrany,
Co w świątobliwéj mądrości nie błądzi:
On niechaj nasze zatargi rozsądzi,—
Wołają zgodnie rycerze i pany!...

XX.

Na rozcież sali roztwarto podwoje.
Długim szeregiem wchodzą zakonnicy:
Pochodnie w rękach, pokutnicze stroje,
I czarne stuły na czarnéj kapicy.
Idą powoli krokami cichemi,
Przy świętych himnów uroczystym dźwięku;
Ów kapłan starzec, ostatni za niemi,
Krzyż Chrystusowy w drżącym dźwiga ręku!
Krzyż—znak pokoju; spojrzą wojownicy,
Wnet gwar wrzaskliwy ucichnął dokoła,
Z pokorą groźne schylają się czoła,
I miecze z zbrojnéj wypadną prawicy;
I cały straszny pożar wojny znika,
Na podobieństwo drżącego promyka,
Którym mignęła gwiazda spadająca,
Gdy moc jakowaś z błękitów ją strąca.

XXI.

Sługa ołtarza z wizerunkiem Boga,
We drzwiach komnaty wstrzymał się u proga;
Zrzucony kaptur na barki mu spada,
Drżąca pochodni na twarz bije łuna.
A twarz ta cicha, łagodna i blada,
Oczy przygasłe od łez pokutniczych,
Na czole tuman myśli tajemniczych,
I siwych włosów na głowie korona.
—„Pany! rycerze! mężni wojownicy!—

(1) Więcéj nad trzysta takowych krzyżów wznosi się na górze Duna.

Ozwie się starzec drżącemi słowami—
Niechaj opieka Najczystszéj dziewicy
I łaska Pańska niechaj będzie z wami!
Pokój wam.... Ale czyż wzrok starca myli?
Po co te miecze?—to śmierci narzędzie?
Czyliż w najświętszéj sakramentu chwili,
Oczy kapłana stal przerażać będzie?"

XXII.

Pychę swą kryjąc pod płaszczem pokory,
Allaster z Lornu głos zabiera skory: .
— „Ojcze! ty mniemasz, żeś dłonią kapłańską
Prawe kościoła dzieci błogosławił?
Ale o zgrozo! tu, pomiędzy nami
Prawowiernemi kościoła synami
Zbójca się kryje, co świątynię Pańską
Gwałtem znieważył, a mordem zakrwawił!
Ale kapłanie! kościół ma mścicieli!
Widzisz ten oręż, sztylety i miecze:
Krew bezbożnego strumieniem pociecze,
Zdrajca kto zbrodnia bronić się ośmieli!"...

XXIII.

Ronald przerywa:— „Kto w imieniu Boga,
W imieniu Boga łaski i pokoju
Dłonie braterskie śmié zbroić do boju,
Łakomy na krew bezbronnego wroga?
Kto w imię Boga śmié przysięgi łamać?
Gwałcić gościnność, czci rycerskiéj kłamać?
Kto? niech odpowié."—Wtém do stóp kapłana
Obca dziewica pada na kolana:
Głosu jéj brakło, tylko ręce wznosi
I czarne oczy przysłonione łzami.
Obok Edyta drżącemi słowami
Brata o litość i wspaniałość prosi;
Ale w tém sercu z kamienia czy lodu,
Co w egoizmie i pysze zakrzepło,
Niełatwo wzniecić tkliwszych uczuć ciepło!
— „Precz, precz, niegodna córo swego rodu!—
Woła i siostrę od siebie odtrąca—
Precz z oczu moich dziéwko szlochająca!
Małoż ci jeszcze zhańbienia i sromu,
Żem cię sam przywiódł do Ronalda domu
Jak niewolnicę, która u podwoi,
Kaprysu pana oczekując stoi;
I w oczy pańskie pogląda ze drżeniem,

Czy ją wzgardliwém przywoła skinieniem,
Czy obojętnie wypędzi od siebie.
Ale dość tego! dość przez Boga w niebie!
Wspaniały Klifford, władca pagraniczy,
Pan Kumberlandu ręki twojéj życzy:
Będzie mu zadość. Odpowiedzi żadnéj:
Nie chcę przyjaźni kłamanéj i zdradnéj!...
A teráz na bok!—niechaj nie obaczę,
Że córka Lornów sromu swego płacze!"
Kapłan w milczeniu słuchał ostréj mowy
I łkań Edyty, co się łzami skarży;
Twarz ma spokojną, ale wzrok surowy,
I Bóg wié tylko co tam w myślach waży.

XXIV.

Tymczasem mowa angielskiego posła
Brzmiała tak hardo, pyszna i wyniosła;
Tak dumnie groził władzą swego pana,
Że Ronald dłużéj wstrzymać się nie zdoła:
Krew mu serdeczna uderzy do czoła,
I dawna niechęć, długo przytłumiona,
Zawrze mu w piersi jako iskra owa
Co długie lata w krzemieniu się chowa,
A którą nagle uderzenie stali
Wzbudzi z kamienia i pożar zapali....
Więc gniewny krzyknie:—„Ha! czy jeszcze mało,
W sprawie się waszéj łez i krwi wylało,
Odkąd Will Wallas, miłość szkockiéj ziemi,
Najszlachetniejszy między szlachetnemi,
Zginął na pośmiech wiedziony w laurze,
Jak Jezus Chrystus na Kalwaryi górze!.... (1)
Gdzie Nigel Brucy? (2) Gdzie Delache szlachetny?
Gdzie młody Frazer kwiat rycerstwa świetny?
Seton? Somerwill? gdzie wspaniałe wodze?
Psy krew szlachetną chłeptają po drodze,
A dzikie sępy i żarłoczne kruki,
Rozpierzchłe członki szarpają na sztuki,
A Szkocya na to bezkarnie pogląda!
Czyż lampart Anglii wiecznie łupu żąda?

(1) Zobacz w kronice Stowa historyą nieszczęśliwego Wallasa, zdradą wydanego w ręce Anglików. Dzieło Miss Porter opisuje bardzo szczegółowo życie i zgon Wallasa; przeczytanie jego objaśniłoby wiele niezrozumiałych ustępów *Pana Dwóchset Wysp*, gdyż poemat nasz jest niejako jakby dalszym ciągiem romansu Miss Porter.

(2) Nigel Kampbell szwagier Brucego zginął pod Dalry; lord Douglas, Dobrym zwany, ciężko tam był ranny.

Czyż krwi Atola gorące strumienia
Nie ugasiły krwawego pragnienia?
Czyż.... brew zmarszczyłeś Argentynu panie
Walki chcesz widzę:—oto masz wyzwanie!"...
Mówiąc to dumnie pas odpina drogi,
I rękawicę rzuca mu pod nogi.

XXV.

—„Nie—woła Torkil—dzieje nie powiedzą,
Żeś szedł sam jeden na niebezpieczeństwo;
Niechaj się pyszne Angliki dowiedzą,
Że w piersiach Szkotów żyje dawne męztwo!
Nie, młody wodzu, nie opuszczę ciebie,
Ani samemu nie dam iść na wroga,
I mówię głośno: przez Chrystusa w niebie!
I przez Woodena, ojców moich Boga, (1)
Jeżeli Robert, wygnany, wyklęty,
W róg swój królewski raz jeszcze uderzy;
Jeźli do walki wyzwie los zawzięty
I wiernych swoich zgromadzi rycerzy:
Ja stary, siwy, władca Dunweganu
Lenne méj wyspy rycerstwo zgromadzę,
I wierny memu monarsze i panu,
Dwieście mu dzielnych mężów przyprowadzę!
Święty kapłanie, nie gań wojownika!
Krew Skandynawów we mnie nieodrodna!
Nie jestto żądza krwi i mordu głodna,
Lecz święty zapał, co mi pierś przenika.
Tak! święty zapał, co pod hartem stali
Wszystkich szlachetnych Szkotów serca pali".

XXVI.

Kapłan Chrystusa nic nie odpowiada,
Twarz mu się tylko zasępiła blada,
I drżącym naprzód posuwa się krokiem,
Roberta Bruce smutnym szuka wzrokiem.
Otworzył usta. O! znać, że surowem
Króla wygnań a gromić będzie słowem.
Otworzył usta, ale dwa kroć razy
Niedosłyszane skonały wyrazy.....
Czy mu zabrakło serca czy odwagi,
Czoło tułacza razić klątwy ciosem?

(1) Familia Mak-Lodów, jak niemal wszystkie znakomitsze rodziny hebrydzkie, pochodziła od starożytnych Skandynawów, i w owym jeszcze wieku wiele takowych niezupełnie było nawróconych.

Wreszcie surowym, uroczystym głosem
Rzekł, pełen smutnéj jakowéjś powagi:
„Powiedz nieszczęsny, jakiéj władzy siła,
Klątwę na ustach moich zawiesiła?
Klątwę! A wiész ty, co to klątwa znaczy?
Co duszę wiecznéj śmierci i rozpaczy
A serce żalom i zgryzocie wyda?
Klątwa—to hańba! klątwa—to ohyda!
Ona aniołów oddali od ciebie,
Boga na jęk twój głuchym zrobi w niebie;
Ona twe sługi z domu ci rozgoni,
Lennikom twoim da oręż do dłoni;
Ona szlachetne ojców twych nazwisko
Łupem na wrogów wyda pośmiewisko;
Przezeń twe druhy, przyjacioły twoje,
Pod twą chorągwią nie wyjdą na boje.
Zmazanym będzie, kto ci kroplę wody
W męczarniach zgonu poda do ochłody,
Bo klątwa w trumnie nie przebaczy tobie:
Ona ci herby rozburzy na grobie,
Ona pogrzebne uciszy ci pienia,
I w ziemi świętéj odmówi schronienia"

XXVII.

Na to król Robert z godnością spokojną
Rzekł, głowę swoję podnosząc dostojną:
—„Nie mnie kapłanie władzy ci zaprzeczać,
Ani o przeszłość nieszczęsną się sprzeczać;
Niech na mnie spadnie grzechu tego wina,
Bo ja ten ciężar na me barki wziełem;
Lecz wiédz kapłanie: zabójstwo Komyna
Nie było zemsty osobistéj dziełem,
Ale ofiarą, przez którą pomszczono
Krzywdę téj biednéj ziemi wyrządzoną!...
Lecz Bóg, co w sercach ludzkich czytać umie,
Co tylko podłéj, osobistéj dumie
I przedajnikom nigdy nie przebaczy:
Bóg grzéch zapału darować mi raczy,
I błogosławić będzie chęciom moim.
Niech Szkocya znowu zakwitnie pokojem,
Niech jéj powrócą dni chwały minione,
Hufce angielskie niech pierzchną zgromione:
Wtedy kapłanie w pokorze i skrusze
Modły zaniosę za Komyna duszę;
Wtedy wojownik krzyża, w imię Boże
Pójdę w dalekie ziemie Palestyny,
I pokutując za młodości winy,

Rycerskie czoło w prochu upokorzę.(1)
Wodzowie szkoccy! angielscy rycerze!
Ja Robert jestem: kto z was ma co do mnie?!!
A teraz ciebie Lornie Allasterze,
Coś sprawę Szkocyi zdradził wiarołomnie,
Teraz ja ciebie wyzwę zdrajcy mianem,
I lżę cię głośno kłamcą zaprzedanym!
Co mi odpowiész na twoję obronę?
Skończyłem—koléj na ciebie kapłanie,
Sługo pokoju! Broń, którą chcesz stronę,
Niech woli niebios zadosyć się stanie."

XXVIII.

Jakby przed nagłém niebios objawieniem
Kapłan stał milcząc z niemém przerażeniem,
A blask niezwykły na wybladłéj twarzy
I święty zapał w oczach mu się żarzy.
Siwy włos starca nad czołem się jeży,
Gorący oddech zwiędłe wargi pali;
Nie widzi niewiast, nie widzi rycerzy,
Błyszczącém okiem utonął gdzieś w dali....
Po wzdętych żyłach krew szybko przepływa,
A ciałem wstrząsa tajemnicze drzenie;
Nareszcie długie mieszając milczenie
Z ust pałających głos mu się wyrywa.
Nie ten głos cichy, przerywany, drżący,
Którym ochrypła pierś starca się sili,
Lecz głos, jakimby w uniesienia chwili
Młodzieniec zapał malował gorący!!...

XXIX.

— „Ty! co w bezbożnym uniesienia szale,
Przybytek Pański skalałeś zuchwale;
Ty! coś znieważył ołtarz twego Boga!
Chciałem na głowę twoję miotać gromy,
Chciałem krew twoję wydać zemście wroga,
Ale ogarnia mnie duch niewidomy:
Nieznany ogień w starą pierś wstępuje,
Jak Madianita, Boga mego czuję!
I sługa Pański—błogosławię ciebie!"...
Rzekł, szmer zdziwienia rozszedł się po sali,
Starzec promiennem okiem wkoło toczy,

(1) Robert Brucy umierając rozkazał Duglasowi zawieźć swe serce do Jerozolimy, jako zadosyćuczynienie za krew przelaną w przybytku Pańskim.

Coraz to żywiéj lice mu się pali
I duch przez usta przemawia proroczy.

XXX.

—„ Ty! coś po trzykroć w bojach zwyciężony,
Widział jak drogie sercu twemu druhy
Szli na męczeństwo pod katów obuchy;
Ty! coś po puszczy jako dzikie zwierze
Przez psy twe własne uciekał tropiony; (1)
Ty! coś na obce wygnany wybrzeże
Tułać się musiał o gościnnym chlebie,
Królu wygnańcze! błogosławię ciebie
A błogosławieństw ciche słowo moje,
Robercie szkocki, pójdzie z tobą wszędzie.
Ono ci wierne na walki i boje
I w zamki królów towarzyszyć będzie!
Ty pomścisz dawne krzywdy twéj ojczyzny,
Ty jéj serdeczne pozagajasz blizny,
I przed obcemi zasłonisz pociski!
A dzieł twych świetnych wiekopomna chwała,
Przez usta bardów będzie światu brzmiała,
I szkocka matka dziecku u kołyski
Będzie twe imię ze czcią powtarzała....
Idź teraz śmiało pomazańcze Boga,
Niebo zerwane wraca ci przymierze!
Idź synu Szkocyi! i wierne rycerze
Prowadź zwycięzko na zastępy wroga!
Ale duch Pański ustępuje ze mnie!
Ciemno mi.... siły opuszczają nagle....
O bracia moi... rozwijajcie żagle,
Już nam tu dłużéj bawić nadaremnie!...
Już święta nasza służba dokonana:
Stało się zadość rozkazowi Pana"....
Tu starzec omdlał. Ze czcią i pokorą
Zakonni bracia biorą ciężar drogi,
Szybko zamkowe opuszczają progi,
I chłodną, wietrzną, ciemnéj nocy porą,
Łódka klasztorna odbiła od brzegu:
Wiatry ją silne popychają w biegu....

(1) Nie jestto przenośnia, gdyż istotnie góry szkockie rozlegały się głosami psów tropiących uciekającego króla. Nawet jeden z ogarów Lorna należał kiedyś do Brucego, i król z wielkiém tylko wysileniem ujść przed nim zdołał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORYA

I

FILOZOFIA NAUK ŚCISŁYCH:

1) Whewel: History of the inductive sciences, vol. 3.
2) Philosophy of the inductive sciences, vol. 2.

(Dokończenie).

W wiekach średnich, w których niektórzy najnowsi pisarze widzą ideał cywilizacyi, szczyt doskonałości moralnéj, nie zajaśniała żadna myśl samodzielna: nauki nietylko były w kolebce, ale śmiało powiedzieć można, iż ich nie było. Dwóch wielkich filozofów greckich, Arystoteles i Platon, z niekompletnych i nieoryginalnych źródeł poznawani i po części źle rozumiani, naprzemian podbijali umysły, rozwijając coraz bardziéj ich bierność, zdolną tylko naśladować i tworzyć subtelne i oderwane formułki i orzeczenia. W podobnym stanie ubóstwa umysłowego, scholastycyzm rozszerzył swe oschłe konary, wstrzymując popęd myśli, trawiąc soki żywotne ducha ludzkiego. Czém była nauka w tych wiekach, co miała za przedmiot swych badań?—przechodzi zakres naszego pisma: dosyć w odpowiedzi na to pytanie wskazać nam na dzieła najznakomitszego i najgłębszego myśliciela owych czasów, św. Tomasza, na sławną Summa Theologiae, w któréj na 512 kwestyj jedna jest tylko poświęcona światu fizycznemu, kiedy po kilka przypada na hierarchią, mowę i czynność aniołów, na stróżów aniołów i inne tym podobne przedmioty.

Aby wydobyć Europę z tego letargu umysłowego, potrzeba było zelektryzować ją iskrą gieniuszu, naprzeciw powagom Platona i Arystotelesa postawić wyższą żywą powagę—naturę; naprzeciw mądrości czczéj i sztucznéj—mądrość odwieczną i nieomylną. Wielkie to i trudne zadanie z zapałem i poświęceniem aż do męczeństwa podjęli naturaliści, i wywiązali się z niego z taką pomyślnością i korzyścią, iż wdzięczne im być powinny ludy za wskazanie nowéj i prawdziwéj drogi, za udzielenie im światła, którego promienie ogrzewały i upiększyły nowszą cywilizacyą.

Znalazł się wielki człowiek, który rozpoczął tę nową inicyą ludów olbrzymiem odkryciem i wielką ideą, który owe sławne życzenie Archimedesa: „dajcie mi drąg i punkt podpory, a światem poruszę" w życie wprowadził. Tym nieśmiertelnym człowiekiem był Mikołaj Kopernik; w gieniuszu swym znalazł on ów drąg Archimedesa, a w harmonii nieba punkt podpory i poruszył światem. Odtąd ziemia wyrwana z swego spoczynku, przeznaczona krążyć w niezmierzoności światów, została nieznacznym i drobnym punkcikiem; człowiek, najznakomitszy jéj mieszkaniec porwany wraz z nią do ruchu, ujrzał się odrazu zbyt małym i wielkim: zarazem małym jako fizyczna, wielkim jako myśląca i rozumowa istota. Kopernik udowadniając nowy i prawdziwy system świata przenikał swym gieniuszem jego porządek, i na niebie i ziemi wypiętnował swe imię. Piérwszy prawie z ludzi wystawił najtrwalszy i największy pomnik dla samodzielności i szczytności rozumu ludzkiego. Piérwszy ogłosił zasady mądrości prawdziwéj, która pokazując z jednéj strony małość człowieka, rzeczywistéj i właściwéj uczy go pokory; drugi raz rozszerzając sferę jego widzenia i działania, pokazując czynem jego wartość moralną i umysłową, podwyższa go i podnosi, budząc w nim ufność w własne siły i poczucie swéj godności. Piérwszy raz poznał człowiek dotykalnie nieskończoność; odtąd dla myśli jego nie ma żadnych granic, droga po któréj dąży wytknięta palcem odwiecznéj mądrości nie ma kresu, duch jego swobodnie może kroczyć. Odkrywając coraz nowe przestrzenie i okolice, odsłania coraz więcéj tajemnic i praw odwiecznych, i uczy się tém samém i sie-

bie szanować, i uwielbiać Twórcę tych nieprzebranych cudów i dzieł.

Znakomity astronom francuzki Arago (1), w następujący sposób kreśli nam stanowisko i zasługi Kopernika:

„Astronomia jest umiejętnością, którą słusznie szczyci się rozum ludzki. Wyższość tę niezaprzeczalną winna ona zwłaszcza wzniosłości swego celu, wielkości swych poszukiwań, pewności, użyteczności i okazałości niezrównanéj swych wypadków. Od początku towarzystw, poznanie biegu gwiazd ciągle zajmowało rządy i ludy; lecz astronomia godna prawdziwie téj nazwy jest umiejętnością nową, zaczynającą się od Kopernika, który ręką silną i energiczną zniszczył większą część rusztowania dawnego i poważanego, którém ułuda zmysłów i duma ludzi napełniła świat. Odtąd ziemia przestała być środkiem, punktem głównym ruchów niebieskich, i skromnie poszła zająć miejsce pomiędzy planetami: jéj ważność materyalna wogóle i ciał stanowiących nasz system słoneczny, została prawie sprowadzoną do ziarnka piasku." Montuela (2) utrzymuje: „sławny Kopernik wolny od przesądów, tak długo ujarzmiających rozum ludzki, ośmielił się podciągnąć pod rozbiór powody uzasadniające dotychczasową wiarę, jakoby mieszkanie nasze miało być środkiem świata i ruchów niebieskich. Uderzony słabością takowych i ich niedogodnością, pracował nad podniesieniem prawdziwego systemu świata z jego ruin, i ogłosił go pomimo zarzutów na jakie się wystawiał. Epoka ta zasługuje bardzo na uwagę poważną filozofów, gdyż krok ten śmiały dał hasło do szczęśliwéj zmiany we filozofii, która wkrótce nastąpiła."

Według opinii Delambra (3) „Kopernik postawił astronomią na nowych podstawach, i swém ważném odkryciem otworzył drogę do wszystkich poszukiwań i spostrzeżeń następnych. Entuzyazmowi właśnie, jaki ta prawda nowa zrodziła w umyśle Keplera, zawdzięczamy poznanie istotnych ich figur, linii obiegu planet i praw ich ruchów." Drugi ten wielki gieniusz i prawodawca nieba uderzony harmonią ruchów ciał niebieskich, prawami niezmiennemi, które im przewodniczą, stosunkami, jakie

(1) Annuaire pour l'an 1844.
(2) Histoire des mathématiques.
(3) Histoire de l'Astronomie moderne. Paris. 1821. Tom I.

istnieją między ich odległością, wielkością i prędkością: z wielkim zapałem przyjął nową teoryą, i w chwili swego uniesienia upadł na kolana prosząc Boga, aby mu pozwolił odkryć nowe dowody na poparcie prawdy objawionéj przez Kopernika — „Deum semper oraveram, siquidem Copernicus vera dixisset uti ista succederent" (Prodro. wstęp).

Kopernik długo wahał się z ogłoszeniem swego nieśmiertelnego dzieła: De revolutionibus orbium coelestium, które zmienić miało postać świata, a jego autorowi zapewnić pamięć wieczną. Powody téj zwłoki wypowiada nam w liście swym do papieża Pawła III, w którym mówi: „długo wahałem się nad tém, czy mam ogłosić moje prace nad ruchami ciał niebieskich, lub czyliby nie było lepiéj i stosowniéj iść za przykładem niektórych Pytagorejczyków, którzy nic nie pisali, lecz ustnie tylko przekazywali swym uczniom i przyjaciołom tajemnice filozofii, jak to dowodzi list Lizida do Hipparka. Nie czynili oni tego, jak niektórzy myślą, ze zbytecznéj zazdrości, lecz aby pytania bardzo ważne, badane z wielką pilnością i staraniem przez ludzi sławnych, nie były nicowane przez próżniaków, którzy nie lubią oddawać się pracom poważnym, chyba że im zysk przynieść mogą, albo przez ludzi miernych, którzy poświęcając się niby naukom, niedołężnością swego umysłu wkręcają się między filozofów, podobnie jak trutnie między pszczoły."

W przedmowie do swego dzieła, przypisanego Ojcu Świętemu, autor energicznie przedstawia głębokość swego przekonania i pewność o prawdzie, którą objawia. „Poświęcam, mówi on, moje dzieło waszéj Świętości, aby świat cały, uczeni i nieuczeni mogli widzieć, iż nie unikam sądu i krytyki. Twoja powaga i miłość nauk w ogóle, a w szczególności matematyki służyć mi będą za puklerz przeciw złym i wiarołomnym obmówcom, pomimo nawet przysłowia, które opiewa, iż nie ma lekarstwa na ukąszenie potwarcy."

Wysłuchajmy teraz powody jego, które go skłoniły do odrzucenia dawnego systemu. W téj mierze słowa samego Kopernika najlepiéj pokażą donośność jego zarzutów i głębokość jego widzeń: „Ruch słońca i księżyca według ich hipotez, z tak małą dokładnością są oznaczone, iż nie można według nich ustanowić niezmiennéj i od-

wiecznéj długości roku. Do wytłumaczenia ruchów ciał niebieskich używają oni różnych zasad; raz przypuszczają koła mimośrodkowe, drugi raz epicykle, których zastosowanie nie zgadza się z istotą całego systemu. Nie mają oni żadnéj podstawy pewnéj, a co się tyczy najważniejszego tego pytania: jaka jest forma świata i symetrya ciał niebieskich, nie umieli jéj ani odkryć, ani udowodnić." Daléj wypowiada ważność i prawdziwość swéj teoryi i piękność harmonii i porządku świata w słowach następujących. „Uważając ruchy planet w związku z obrotem ziemi, nietylko uderza nas zupełna analogia i zgoda, lecz nadto znajdujemy w ogóle ciał niebieskich taki porządek i symetryą, iż stanowią one jednę całość harmonijną, któréj części tak z sobą ściśle są połączone, iż nie można naruszyć żadnéj bez zaprowadzenia między niemi nieporządku i zamieszania. Pewny jestem, że uczeni i głębocy matematycy przyklasną moim poszukiwaniom, jeżeli, jak przystoi filozofom, gruntownie rozważą dowody, które podaję w tém dziele. Gdyby zaś niektórzy ludzie lekkomyślni i nieucy chcieli nadużywać pewnych miejsc pisma świętego, przekręcając ich znaczenie: nie obchodzi mnie to, i zawczasu pogardzam ich zarzutami zuchwałemi i niedorzecznemi. Czyliż nareszcie Laktancyusz, zkądinąd pisarz znakomity, lecz słaby matematyk, nie chciał okryć śmiesznością ludzi wierzących w kulistość ziemi? Nie byłoby więc dziwném, gdyby mnie ten sam los spotkał. Prawdy matematyczne powinny być tylko sądzone przez matematyków."

Czytając te słowa pomimowolnie przychodzi nam na pamięć to zdanie Ptolemeusza: „iż filozof wolnym powinien być od przesądów". Najlepszy dowód tego widzimy w Koperniku, który pojmując nową ideę ogłosił ją z siłą przekonania i rezygnacyą zdolną znieść wszystkie potwarze i niesprawiedliwości, aby utorować tylko drogę nowemu światłu, powalić przesądy i zapewnić panowanie prawdzie.

Kopernik nietylko wyrwał ziemię z odwiecznéj nieruchomości, nietylko wykazał harmonią i porządek świata, ale oraz połyskiem swego gieniuszu przeczuł siły fizyczne władające niemi; zapowiedział niejako w którą stronę przyszłość zwrócić ma swoję uwagę, aby odkryć

następne prawa i wytłumaczyć to, co było ukrytem do tego czasu dla rozumu ludzkiego.

„Ciężkość, mówi on, jest ogólną dążnością, jaką twórca natury wlał we wszystkie części materyi, aby się łączyły z sobą i tworzyły massy. Własność ta nie należy wyłącznie do ziemi, ale oraz do słońca, księżyca i wszystkich planet. Za jéjto wpływem cząstki materyi składające te ciała połączyły się, otworzyły globy, i zachowują swą formę kulistą (1).

Dwadzieścia ośm lat upłynęło od dnia, w którym Kopernik konając trzymał w swych drżących rękach piérwszy egzemplarz dzieła swego, mającego stać się późniéj pomnikiem sławy wzniosłéj i czystéj dla naszego narodu, a piérwszém zaraniem światła dla całéj Europy, aż do téj chwili w któréj w Wittenbergu urodził się człowiek powołany do zrobienia w umiejętności postępu równie wielkiego i płodnego. Mężem tym był Kepler. Obdarzony dwoma przymiotami napozór przeciwnemi sobie: wyobraźnią wulkaniczną, i wytrwałością niezrażającą się najzawilszemi rachunkami, odgadł, że ruchy ciał niebieskich ulegać muszą prawom prostym i pojedynczym, lub używając jego własnych słów, prawom harmonijnym. Tysiące usiłowań bezowocnych, błędy w liczbach i obrachunkach nieuniknione w tak olbrzymiéj pracy, nie wstrzymały go na chwilę od dążenia do celu, który sobie raz wymierzył. Dwadzieścia dwa lat poświęcił na rozwiązanie tego wielkiego i trudnego pytania. Lecz cóż znaczą w istocie dwadzieścia dwa lat pracy dla tego, co ma zostać prawodawcą światów, którego imię służyć będzie za tytuł kodeksu nieśmiertelnego, który śmiało może odezwać się w języku dytyrambicznym: „Los jest rzucony: napisałem dzieło. Czy je czytać będą w tym wieku lub przyszłym, mało mnie to obchodzi: czekać ono może na swego czytelnika. Czyliż Bóg nie czekał sześć tysięcy lat na wielbiciela swych dzieł"?

(1) Etenim existimo gravitatem nihil aliud esse quam appetentiam quamdam naturalem terrae partibus inditam a divina providentia opificis universorum, ut in integritatem unitatemque suam sese conferant in globi formam coeuntes, quam affectionem credibile est etiam soli, lunae caeterisque errantium fulgoribus inesse, ut ejus efficacia in ea qua sese representant rotunditate permaneant. De Revolu. ca. 9.

Po pracach Kopernika i Keplera głównem zadaniem nauki było wynaleźć przyczynę fizyczną, w skutek której planety obiegają linie zamknięte, siłami udowodnić zasadę konserwacyi świata, a nie podporami stałemi, sferami kryształowemi, o jakich nasi przodkowie marzyli: jedném słowem, do ruchu gwiazd zastosować prawa ogólne mechaniki ciał ziemskich. Lecz nauka, która miała rozwiązać te ważne i wielkie pytania, daleko umiejętniejsze i wszechstronniejsze zakreślić stanowisko astronomii, od czasów Archimedesa aż do Galileusza i Stewinusa, a zatém blizko dwa tysiące lat nie zrobiła żadnego postępu, ale się nawet cofnęła. Ta nauka, która teraz wystąpić ma na widowni i nieznane prawdy ogłosić światu jest mechanika, którą słusznie Leonardo da Vinci nazwał rajem umiejętności (1): od niéj zawisł przyszły los astronomii, i dalsze jéj rozwinięcie.

Upadek ciał gdyby nie był zjawiskiem codziennem, obudzałby w ludziach wielkie podziwienie i ciekawość. Cóż może być więcéj uderzającego nad widok massy bezwładnéj, nie mającéj żadnéj woli, ani zdolności do postępowania w tym lub owym kierunku, która spada na ziemię, skoro przestanie być utrzymywaną?

Natura tworzy ciężkość ciał w sposób tak tajemniczy, tak przechodzący zakres zwykłego naszego pojmowania, iż filozofowie starożytni, którzy chcieli wszystko wytłumaczyć mechanicznie za pomocą atomów, wyłączyli ją ze swego systemu.

Aby odgadnąć tę tajemniczą siłą, któréj skutki najczęściéj widzimy, potrzeba było wprzód obalić powagę Arystotelesa, wstrzymującego wszelki postęp tak w naukach moralnych, jako i fizycznych. Wielki ten czyn zawdzięczamy Galileuszowi. Nieśmiertelny ten gieniusz pomimo wielu wielkich i pięknych odkryć, zasługuje zwłaszcza na pamięć i uszanowanie w potomności, bo najwięcéj przyczynił się do zachwiania dawnych przesądów i błędów, i stworzył prawdziwą filozofią umiejętności. Był on nietylko wielkim fizyzkiem i astronomem, ale oraz znakomitym filozofem; często powtarzał, iż pracował więcéj lat nad filozofią, jak miesięcy nad matema-

(1) La mecanica è il paradiso delle scienze mathematiche, perché con quella si viene al frutto delle scienza mathematiche. Libri, Histoire des sciences mathématiques en Italie, 1840.

tyką. On piérwszy wskazał naukom przyrodzonym właściwą podstawę, opierając ją na obserwacyi, doświadczeniu i indukcyi: dlatego słusznie uważać go można za reformatora filozofii umiejętności. Naprzeciw powagi Arystotelesa i różnych systemów scholastycznych wystawił naturę jako jedyne dzieło nieomylne, którego filozofia jest napisana w języku matematycznym. Błędne i fałszywe mniemanie fizyków, utrzymujących, że prędkość ciał upadających jest w stosunku ich ciężkości, zbił rozmaitemi znakomitemi doświadczeniami i nadto udowodnił, że prędkość upadających ciał jest w stosunku czasów, a drogi przebieżone przez nie w stosunku kwadratów z tychże prędkości.

Nietylko położył on zasady do statyki i dynamiki, ale był oraz gorliwym wyznawcą i obrońcą systemu Kopernika, nad którego upowszechnieniem pracował, i za którego zasady obelgi i prześladowania znosić musiał. Wykazując tak w astronomii jako i mechanice niedorzeczności i fałsze filozofii starożytnéj, obraził na siebie jéj zwolenników i wyznawców scholastycyzmu. Jakie było zaślepienie jego przeciwników, następujący przykład dostatecznym będzie dowodem. Caecini publicznie wystąpił z ambony we Florencyi przeciw niemu, i starał się w swojém kazaniu wykazać i udowodnić, że geometrya jest sztuką diabelską, a matematycy powinni być wypędzeni ze wszystkich państw, jako twórcy i rozsiewacze herezyi. Wielki ten astronom zasłużył się pod tylą względami nauce, iż imię jego śmiało może być policzone pomiędzy największemi jéj gieniuszami; cierpienia zaś jakie znosił w obronie prawdy, budzą dla niego współczucie i szacunek.

Samodzielność umysłu ludzkiego raz obudzona, śmiało postępowała naprzód, i szybkim krokiem kroczyła po drodze wytkniętéj i zdobytéj. Odkrycia i pomysły nowe zbogacając coraz bardziéj wiedzę, wywoływały dalsze prace i usiłowania. Popęd jaki Galileusz dał naukom fizycznym wzrastał w coraz większe siły i zmienił postać mechaniki. Borelli we Włoszech, Hooke i Wallis w Anglii, Huyghens w Holandyi, pracowali nad rozwiązaniem mechanicznego porządku świata, i przygotowali drogę do znakomitych odkryć, które Newton z taką świetnością i gienialnością wykazał i rozwinął.

Któżby się spodziewał, iż w tak zwyczajnym fakcie jakim jest upadek ciał, leży ukryta tajemnica porządku całego świata, i prawa, których odkrycie przynosi zaszczyt i chlubę nowszym czasom? Gieniusz dopiéro Newtona potrafił ją odgadnąć, i pokazać nową harmonią pomiędzy niebem a ziemią. Jeżeli gdzie bardziéj możemy się przekonać o potędze rozumu ludzkiego i o jego ideach, to bezwątpienia przechodząc najnowsze wynalazki i postęp nauk. Długo duch ludzki uśpiony w Koperniku naraz wystąpił jako olbrzym, i na niebie i ziemi rozpostarł swe panowanie.

Tajemnice siły ciężkości, których Leucyp, Demokryt, Epikur i ich szkoły nie mogły odkryć, Kartyzeusz starał się rozjaśnić i wytłumaczyć; w tym celu wpływowi wiru materyi, bardzo delikatnéj otaczającéj nasz glob, przypisywał przyczynę upadku ciał. Jakkolwiek Huygens rzucił wielkie światło na ten przedmiot, nie dał jednakże mu téj pewności i ścisłości, jakie odznaczają zwykle prawdę. Co większa, Newton nawet sam nie potrafił go w zupełności rozwiązać: późniejsze zaledwo czasy zdolne były przezwyciężyć wszystkie trudności i otrzymać pewne i ścisłe wypadki. Newton nie odkrył siły ciężkości, podobnie jak Galileusz; lecz uważając ciała spadające, nietroszcząc się o istotę siły, która rodzi ten wpływ, widział siłę rzeczywistą, i nazwał ją attrakcyą, nadmieniając przytém, że wyraz ten nie oznacza sposobu fizycznego, w skutek którego siła ciężkości powstaje i działa.

Przyjąwszy raz siłę attrakcyjną jako fakt, Newton bada ją i śledzi w zjawiskach ziemskich, w obiegu księżyca, planet, satelitów i komet, i z téj nauki nieocenionéj wyprowadza prawdy matematyczne, pojedyncze i ogólne, i wykazuje siły przywodzące gwiazdom, stanowiącym nasz system słoneczny.

Newton korzystając z prac równie wielkich poprzedników: Keplera, Huygensa; posiadając naukę analizy, któréj był twórcą, rozwinął i udoskonalił dotychczasowe pojęcia, i w nieśmiertelném swém dziele: Philosophiae naturalis principia mathematica, pozostawił zasady mechaniki i fizyki niebieskiéj. Powtórzyćbyśmy więc mogli dlatego za Lagranżem, że Newton nietylko był jednym z największych geometrów i fizyków, ale oraz naj-

szczęśliwszym z nich, ponieważ raz tylko i w jednéj epoce można mieć do wytłumaczenia świat, i materyały do tego zebrane i przygotowane.

Mówiąc o tym wielkim mężu, trudno aby nie zwrócić uwagi czytelnika na jego filozofią i zasady, jakie on jéj przepisywał; kilka następnych zdań dostatecznie to wyjaśni:

W trzeciéj księdze swego nieśmiertelnego dzieła mówi:

„Potrzeba te tylko przyjmować przyczyny, które są konieczne do wytłumaczenia fenomenów.

W filozofii experymentalnéj wypadki otrzymane przez indukcyą z fenomenów, uważane być powinny pomimo hipotez przeciwnych albo za zupełnie pewne lub prawdopodobne, dopotąd, dopóki ich inne zjawiska nie stwierdzą, lub nie wykażą potrzeby ich zmiany.“ Mówiąc o ciężkości dodaje. „Nie stawiam żadnéj hipotezy, albowiem wszystko to, co się nie opiera na objawach jest hipotezą; przypuszczenia zaś jakiegokolwiek one mogą być rodzaju nie powinny znajdować miejsca w fizyce doświadczalnéj, albowiem w téj filozofii wyciąga się prawdy z fenomenów, a potém je przez indukcyą się uogólnia!

Jakkolwiek pomysły pojedyncze porozrzucane tu i owdzie, tak w starożytnych jak i w nowszych czasach, począwszy od Lukrecyusza, Plutarka, aż do Keplera, Boullianda, Borellego i Huygensa, przygotowały okazały i wzniosły system Newtona; jednak jemu tylko zawdzięczamy rozwiązanie najważniejszego pytania w świecie fizycznym. Wielki ten mąż przypisując ciałom niebieskim własność przyciągania się, prawa Keplera zastosował do jéj oznaczenia, nadał im ściślejszą pewność matematyczną, i rozciągnął je do wszystkich cząstek materyi słonecznego świata.

Skoro Newton pomysłom swym nadał to wielkie i ogólne zastosowanie, do którego prawa Keplera nie wystarczały, przypuścił, iż różne planety nietylko przez słońce, ale nawzajem się przyciągają: umieścił wpośród ciał niebieskich siły, które z czasem zachwiać mogły ich porządek i harmonią. Astronomowie na piérwszy rzut oka widzieć mogli, że w żadnéj krainie świata, bliskiéj lub odległéj, linie krzywe, prawa Keplerowskie, nie

są dostateczne do wytłumaczenia wszystkich zjawisk; że ruchy pojedyncze i jednostajne, jakie wyobraźnia starożytnych przypisywała ciałom niebieskim, ulegają ważnym, licznym i ciągłym zmianom. Przewidzieć te różne perturbacye, oznaczyć ich kierunek, a w niektórych nawet razach ich wartość liczebną, było myślą Newtona, kiedy pisał swe nieśmiertelne dzieło. Pomimo jednak swéj niezrównanéj mądrości, zaledwo rzucił pojedyncze zarysy do przyszłéj zupełniejszéj budowy. Jeżeli nie rozwiązał on wszystkich pytań, nie wynikło to bynajmniéj z braku zapału i wytrwałości: usiłowania jego były prawie nadludzkie; lecz jedynie z téj przyczyny, że one nie mogły być rozstrzygnione w téj epoce. Skoro późniejsi,matematycy chcieli postawić system Newtona na podstawach niezachwianych, udoskonalić teoretycznie tablice astronomiczne, napotkali na trudności, których wielki ten nawet gieniusz zwyciężyć nie podołał.

Pięciu matematyków: Clairaut, Euler, d'Alembert, Lagrange i Laplace podzielili się światem, który Newton przywołał do życia. Zaczęli go śledzić we wszystkich kierunkach, przebiegać niedostępne jeszcze okolice, w których znaleźli liczne nieznane dotąd pojawy, i sprowadzili do jednéj zasady i jednego prawa wszystkie subtelności i tajemnice ruchów niebieskich. Geometrya odważyła się także przeniknąć przyszłość, a wieki następne potwierdziły jéj wyroki.

Gdyby jedna gwiazda, naprzykład księżyc, ciążyła tylko ku środkowi ziemi: natenczas matematycznie przebiegałaby elipsę stosownie do praw Keplera, a tém samém do zasad mechaniki rozwiniętych w piérwszych rozdziałach nieśmiertelnego dzieła Newtona. Lecz przypuśćmy teraz drugą siłę działającą, z uwzględnieniem oraz attrakcyi, jaką słońce wywiera na księżyc, w ogóle zamiast dwóch ciał, przypuśćmy trzy: naówczas elipsa Keplera słabe nam da tylko wyobrażenie o ruchu naszego satelity. W tym przypadku attrakcya słońca wpływać będzie na zwiększenie rozciągłości piérwszéj linii obiegu, i co istotnie nastąpi; w drugim zaś razie zmniejszy ją. W pewnych nawet razach siła słońca działać zacznie wówczas, kiedy gwiazda zmienia swe miejsce, a w skutek tego jéj ruch będzie prędszym. W ogóle przez wprowadzenie trzeciego ciała przyciągającego

powstaje wielka komplikacya, i w miejsce pojedynczego i jednostajnego ruchu, tyle powabnego dla umysłu ludzkiego, pokażą się ślady nieładu i zamieszania.

Newton rozwiązał dostatecznie pytanie tyczące się ruchów niebieskich wówczas, kiedy dwie gwiazdy przyciągają się nawzajem; lecz pozostawił niedotkniętem drugie daleko trudniejsze, które traktuje o trzech ciałach. Zadanie to trzech ciał, mające na celu oznaczenie obiegu gwiazdy uległéj wpływowi attrakcyjnemu dwóch innych, piérwszy raz rozwiązaném zostało przez Clairaut'a, co wpłynęło przeważnie w przeszłym jeszcze nawet wieku na udoskonalenie tablic księżyca.

Najpiękniejszém odkryciem astronomiczném starożytności jest bezwątpienia oznaczenie ruchu wstecznego punktów równonocnych. Hippark, któremu to odkrycie zawdzięczamy, określił wszystkie następstwa tegoż ruchu z wielką jasnością, z których dwie zwłaszcza najwięcéj ściągają na siebie uwagi.

Z powodu ruchu wstecznego punktów równonocnych, nie w każdéj porze roku te same pokazują się na firmamencie nieba grupy gwiazd i konstelacye; w ciągu wieków, konstelacye obecne zimy zostaną konstelacyami lata i nawzajem. Z téj równie przyczyny biegun niezawsze zajmuje jedno miejsce w sferze niebieskiéj: gwiazda dla swéj jasności słusznie dzisiaj nazywana polarną, była bardzo oddaloną od bieguna za czasów Hipparka, co równie na nowo nastąpi w ciągu wieków.

Kopernik wyrwawszy ziemię z mniemanéj nieruchomości, prostym bardzo sposobem wytłumaczył wszystkie okoliczności towarzyszące ruchowi wstecznemu punktów równonocnych. Przypuścił on, że oś rotacyi ziemi nie jest zupełnie równoległą od siebie, i że zbacza cokolwiek po każdym całkowitym obiegu naszego globu około słońca: czyli w miejsce ogółu gwiazd podbiegunowych zdążających w pewny sposób na spotkanie bieguna, przypuścił iż on postępuje ku nim. Hipoteza ta uwolniła mechanizm świata z największéj komplikacyi, jaką duch systemów do niego wprowadził. Drugi Alfons (1) nie znajdzie teraz stosownego pozoru, aby mógł

(1) Przeczuwając zapewne proste i harmonijne prawa, które kiedyś przywodzić będą ciałom niebieskim, Alfons powiedział: „Gdybym był przyzwany do rady Boga wówczas, kiedy świat tworzył, byłby lepiéj urządzonym."

się odezwać do swego synodu astronomicznego w słowach głębokich a źle rozumianych, które historya przypisuje królowi Kastylii. Jakkolwiek pojęcie Kopernika uległo wielkiemu polepszeniu przez Keplera: pozostała jednak jeszcze do odkrycia siła modyfikująca corocznie położenie osi świata, i każąca jéj opisywać w 26,000 latach koło całe, około 50 stopni średnicy. Newton odgadł, że siła ta wynika z wpływu słońca i księżyca na materye, które w stronach równikowych unoszą się zwyż sfery, któréj środek zchodzi się ze środkiem ziemi, i któréj promieniem jest linia poprowadzona od tegoż środka do jednego z biegunów; przypisał zatém ruch wsteczny punktów równonocnych spłaszczeniu globu, nadmieniając, że na planecie kulistéj miejscaby to miéć nie mogło.

Wszystko to jest prawdą, lecz nie potrafił on tego wykazać matematycznie. Udowodnienie więc jego idei zostało zadaniem nauki, które późniéj d'Alembert rozwiązał stanowczo i ze świetnością.

Jedno z najważniejszych i najciekawszych pytań jest bezwątpienia poznanie formy i konstytucyi globu naszego tak w czasach dawnych, jako téż i obecnym jego stanie; dlatego długo zajmowało ono umysły matematyków i astronomów. Prace Clairauta d'Alemberta, a szczególnie Legendra, dały nam teoretyczne oznaczenie figury ziemi zgodne z jéj praktycznemi wymiarami. Analiza odsłoniła nam także pierwotną postać ziemi i wykazała, że ona się początkowo znajdowała w stanie płynnym.

Wpatrując się głębiéj i wszechstronniéj w ruchy ciał niebieskich widzimy tyle wpływów różnorodnych, tyle zmian i zboczeń, iż pomimowolnie nasuwa nam się to pytanie: czy sama siła ciężkości wystarcza do utrzymania systemu słonecznego? czy nie zagraża mu jakiś kataklyzm, który zniszczy cały ten świat i inny natomiast wywoła do bytu? Myśl ta zajmowała równie Newtona; lecz nie mogąc uchwycić wątku i jedności w grze tych rozmaitych sił, które zdają się tylko cudem utrzymywać w równowadze, wnosił, iż system planetarny nie ma dostatecznych elementów do swéj wiecznéj trwałości, i że od czasu do czasu ręka Wszechmocna musi naprawiać tworzący się nieporządek i przedłużać istnienie świata. Euler jakkolwiek lepiéj pojmujący przyczyny perturbacyi

planet nie przyjmował, aby system słoneczny o własnéj potędze mógł się ostać wiecznie.

Czyliż inna nauka może miéć wyższe i ciekawsze pytanie do rozwiązania nad to? Los całéj ludzkości zawisł od najmniejszéj zmiany w działaniu sił niebieskich; zerwanie raz ich równowagi przewrócić może wszystko i zmienić całą postać świata. Nauka odpowiadając na te ważne pytania z pewnością matematyczną, najlepiéj stwierdza swój wpływ dobroczynny. Laplasowi zawdzięczamy tę wielką usługę, iż podciągając pod prawa rozmaite zmiany i zboczenia w świecie słonecznym, wykazał w nim harmonią i dostateczne warunki do jego istnienia. Pracom Laplasa winniśmy, iż obecnie nie potrzebujemy się spodziewać niebezpieczeństwa z téj strony: piękniejszego i wznioślejszego tryumfu zasada siły ciężkości miéć nie mogła nad ten, aby utrzymując zgodę na niebie, przywróciła zarazem spokój w duszach ludzkich. Według filozofii nauk przyrodzonych to tylko możemy przyjąć za prawdę, co fakta i doświadczenie stwierdzają. Stosownie do téj myśli, siłę ciężkości uważać możemy za właściwą tylko światu słonecznemu; kto wié, może inne przestrzenie niezmierzone nieba ulegają odmiennym wpływom i prawom, może inna siła daleko ogólniejsza im przywodzi? Łatwo z tego czytelnik widzi, iż system Newtona nie odrazu doszedł do téj doskonałości, którą mu późniejszo prace nadały; zasady jego nie były zdolne początkowo odpowiedziéć na wszystkie pytania, które ciała niebieskie zadają bezustannie astronomom: następne dopiéro obserwacye i odkrycia rozwinęły je i udoskonaliły. Z tych przyczyn śmiało powiedziéć można, iż od Newtona aż do dzisiejszego czasu astronomia pracowała nad wykryciem obszerniejszego i ogólniejszego panowania siły ciężkości, usiłowała ją wyrwać z granic naszego systemu planetarnego, i rozszerzyć ją na cały świat niebieski.

Odkrycia i prace obydwóch Herschelów dają nam poznać gwiazdy podwójne, potrójne, poczwórne i t. d. (1), i pokazały nam nowy świat zewnętrz naszego systemu planetarnego. Formuły algebraiczne, za pomocą których obrachowano obiegi eliptyczne podwójnych

(1) Astronomowie rozumieją pod temi nazwiskami grupy z dwóch, trzech, czterech gwiazd, *które zdają się być bardzo zbliżone do siebie.*

gwiazd, opierają się całkiem na téj hipotezie, że wielka i mała gwiazda przyciągają się do siebie w stosunku odwrotnym kwadratów z ich odległości, a zatém i tam siła ciężkości bezwzględnie panuje. Za czasów Alexandra Wielkiego, większa część filozofów greckich uważała komety za zwykłe meteory, powstałe w naszéj atmosferze. Średnie wieki mało się troszcząc o ich naturę, wyciągały z nich przepowiednie, uważały je za zwiastunów klęsk i nieszczęść. Tycho-Brahe naznaczał im miejsce poza księżycem; Hevelius, Doërfel przyjmowali, iż obracają się około słońca; Newton twierdził, iż ulegają wpływowi siły attrakcyjnéj téj gwiazdy, i prawom Keplera. Pozostawało jeszcze dowieść, czy ich linie obiegu są zamknięte, i czyli jedna kometa może być w różnych czasach widzianą? Na to odpowiedział Halley. Zebrawszy bardzo starannie rozmaite podania historyków, kronikarzy i roczników astronomicznych o okolicznościach towarzyszących ukazywaniu się komet bardziéj jaśniejących, udowodnił z głęboką pracą, że komety 1682, 1607 i 1531 były następnemi objawami jednéj i téj saméj gwiazdy! Ta tażsamość pociągała za sobą następstwo, przed którém niejeden zapewne astronom zdumiał; potrzeba było przyznać, że czas obiegu całkowitego zmienia się bardzo, i że ta zmiana może dochodzić aż do 2 lat na 76. Lecz zkądże powstają te tak wielkie różnice, i czyż one są skutkiem popływu planet? Clairaut odpowiedział na to ważne pytanie, i co większa odważył się w ciągu roku 1758 oznaczyć epokę, w któréj kometa z 1682 roku na nowo się pokaże, i z jakiemi ona się konstelacyami i gwiazdami w swym biegu spotykać będzie.

Wszędzie prawie gdzie tylko rozum doszedł, nowe światło rzucił na przedmioty, zbijając dawne wyobrażenia jednostronne i fałszywe. Dzisiaj te komety, które były powodem strachu przez tyle wieków, którym przypisywano klęski, zaraźliwe choroby, nieurodzaje, potop i t. p. inne marzenia, są najniewinniejszemi istotami, które żadnego wpływu wyraźnego na nasz glob nie wywierają. Przed odkryciami nauk fizycznych ustąpić musiała powaga wieków i uczonych: nic się z niéj nie ostało, co tylko nie było zgodne z prawami natury. Patrząc na te wielkie zmiany, jakim nauki przyrodzone uległy w nowszych czasach, na wszystkie znakomite odkrycia: podziwiać potrzeba, iż tak znaczny postęp w tak krótkim przeciągu

czasu mógł nastąpić. Dzisiejsze umiejętności fizyczne nic prawie nie zawdzięczają mądrości starożytnéj: odrzuciły one wszystkie jéj pojęcia, udowodniły jéj niedorzeczność i błędy. Rozum wieków i ludzi nie ostał się. Patrząc na te ruiny przeszłości, powtórzyć możemy tylko słowa Galileusza, powiedziane do swych słuchaczy: „Pamiętajcie panowie, lecz pamiętajcie dobrze, że w umiejętnościach powaga tysiąca, niewarta jest najlichszego rozumowania jednego."

Historya przeto umiejętności fizycznych nietylko jest ciekawą dlatego, iż daje nam obraz tworzenia i rozwijania się różnych pojęć i pomysłów; lecz pokazując nam pomniki samodzielności rozumu ludzkiego, utwierdza w nas wiarę w potęgę idei, zwiększa ufność w nasze siły moralne. Następnie idąc za wątkiem historycznym nauk fizycznych, natrafiamy na ślady tworzenia się nowszéj cywilizacyi, widzimy walkę pomiędzy mądrością starożytną a najnowszemi dążnościami. Piérwsze nauki fizyczne uwolniły się z pod wpływu i przewagi poganizmu, piérwsze odgraniczyły samodzielnym charakterem swych poszukiwań wieki starożytne od nowszych czasów. Im zawdzięczamy najgłówniejsze prace umysłowe kilku ostatnich wieków, one wywołały cywilizacyą odmienną od starożytnéj. Dwie epoki historyi ludzkości są najwznioślejsze i najważniejsze: świat grecki umiłował piękno i urzeczywistnił je w życiu; świat najnowszy uczuł potęgę idei, i pod jéj wpływem stworzył i rozwinął nauki przyrodzone. Historya umiejętności przedstawiając nam ich dzieje, które prawie zaczynają się od XVI wieku, odsłania nam najżywotniejsze strony umysłu naszego, uobecnia nam wszystkie jego koleje i losy, a tém samém usposabia nas do wszechstronniejszego i gruntowniejszego oceniania i zrozumienia czasów najnowszych. Obok tego przebiegając z uwagą jéj karty, przekonać się możemy, na czém prawdziwa mądrość zależy. Pewność i ścisłość wypadków i prawd nauk przyrodzonych najlepiéj nam wskazuje, iż najwłaściwszą metodą i drogą w poszukiwaniach naukowych jest iść za śladami natury, badać jéj tajemnice, i wyciągać z niéj zasady i prawa. Poznanie natury fizycznéj i ludzkiéj może tylko rozjaśnić przeznaczenie człowieka, wskazać mu powołanie i jego stanowisko w świecie.

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

W piérwszéj połowie czerwca odbyła się w Paryżu coroczna wystawa zwierząt domowych i narzędzi rolniczych. Tego roku była ona niejako examinem cząstkowym i przygotowawczym do wielkiéj wystawy, na rok przyszły zapowiedzianéj.

Z właściwym gustem francuzkim rozłożone na polach Marsowych namioty, objęły trzy działy rolniczego przemysłu: narzędzia, produkta i zwierzęta.

Piérwszy dział rozpoczynały machiny parowe, przewoźne na dwóch kołach, które młócą i mielą zarazem, a także dają się zastosować do tartaków, lub służyć do sprowadzania wody. Daléj szły pługi; było ich kilkaset, a prawie każdy inny. Daléj cały szereg radeł, bron, żniwiarek, sieczkarni, maszyn do robienia wydrążonych cegieł i rurek do osuszania lub irrygacyi służących; przyrządów do wyrywania pérzu, krajania buraków, siekania głąbiów dla bydła, wykrawania jarzyn w różne kształty do zup lub rosołu. Daléj maszyny wyrabiające naraz po 60 funtów masła, nakoniec grabie i motyki, któremi uprawiają z wielką korzyścią czwartą część Belgii, bez pomocy innego narzędzia.

Niepoślednie miejsce zajmowały także narzędzia ogrodnicze do gracowania, siania i sadzenia kwiatów, warzywa i t. p. (To mi przywodzi na myśl, że pewien właściciel ziemski w okolicach Paryża wynalazł maszynę, którą nie sieje, ale sadzi zboże. Doświadczenie pokazało, że tym sposobem $^1/_7$ zwykłego zasiewu, poczwórny zbiór mu przynosi). Były także plany budynków

ekonomicznych, sposoby uprawy lasów nawet na ruchomych piaskach, jak niemniéj plany osuszania, irrygacyi i t. d.

Dział drugi obejmował produkta surowe, począwszy od probek wszelkiego zboża, kosmyków bawełny otrzymywanéj z liści sosnowych, aż do wełny angorskiéj; od żywicy, aż do najbielszego wosku. Były także szczepy i płonki owocowe, rzepy i buraki na łokieć długie, a pół łokcia szerokie.

Dział trzeci obejmował zwierzęta, począwszy od hodowanych pijawek, pszczół pracujących w szklanych ulach, ryb sztucznie rozmnażanych i domowego ptastwa, aż do świń, owiec, krów i buhai po 16 i więcéj centnarów ważących, z których 173 sztuk dostało nagrody.

Bydło i produkta normandzkie najwięcéj nagród otrzymały. Powodzenie to nietylko szczęśliwemu położeniu, ale głównie systematycznym usiłowaniom obywateli téj prowincyi około ulepszenia gospodarstwa przypisać należy. Oni najpiérwsi o własnych siłach, bez zapomóg rządowych, wprowadzili i rozpowszechnili u siebie zwyczaj posiedzeń rolniczych.

Cyrkularz ministra Siméon w r. 1820 rozesłany do korrespondentów ogólnéj rady rolniczéj, wywołał w każdym departamencie zawiązek posiedzeń rolniczych, na wzór istniejących w Anglii. Te dobrowolne towarzystwa miały być złożone z właścicieli i dzierżawców, mających nieco doświadczenia, zdolnych nie do pisania memoryałów, ale do robienia praktycznych spostrzeżeń i uwag nad pracami towarzystwa. Wieś lub pole w czasie targu lub jarmarku, miało być miejscem posiedzeń.

Doświadczanie różnych metod uprawy, lub przyjmowanie ulepszeń, poprawa ras koni, bydła i zwierząt domowych, nakoniec obudzenie współubiegania się między rolnikami: oto cel posiedzeń, a zarazem początek konkursów ziemiańskich.

Nieodrazu rozszerzyła się po Francyi ta instytucya: bo rząd nie nakazywał, ale podawszy myśl, zalecał tylko jéj wykonanie. Zostawiona dobréj woli, znalazła przeszkody w obojętności jednych, w niedowiarstwie drugich. Nawyknienia, przesądy opóźniały jéj urzeczywistnienie. Rolnik wszędzie jednaki, wszędzie uparty i podejrzliwy. Potrzeba więc było perswazyi, nietrudnéj do

zniechęcenia gorliwości, często nawet i interwencyi rady ogólnéj, żeby znęcić rolników nagrodami do przedsięwzięcia, ich dobro na celu mającego.

Nieszczęściem, interes właścicieli i dzierżawców napozór niezawsze jest jednaki. Piérwsi nie chcieli przedsiębrać ulepszeń kosztownych, których owoce nierychło zbiérać mieli; drudzy twierdzili, że użyzniając grunt, narażali się po upłynionym terminie kontraktu na podwyższenie warunków dzierżawy. W końcu, rolnik przedewszystkiém ceniąc niezawisłość, chce robić po swojemu: nie rad, aby obcy, częstokroć współubiegacze, wizytowali jego pługi, wtrącali się do stadniny i innych części gospodarstwa. Ztąd ta wyraźna odraza ludności wiejskiéj do konkursów rolniczych, które przecie miały rozpowszechnić korzystniejsze sposoby uprawy, odkryć środki dotąd tylko uprzywilejowanym służące, ale zarazem jednemu uwieńczonemu, zrobić dziesięciu niechętnych.

Potrzeba było wielkich wysileń znakomitych obywateli i urzędników, aby pokonać uprzedzenia, i skleić piérwsze zjazdy; ileżto razy zjechawszy na naznaczone miejsce znaleźli się sami; ileż razy nieliczne zaprzęgi, nie znalazłszy współubiegaczy, wracały jako przedmiot pośmiewiska niechętnych!

Dopiéro w 1830 r. administracya departamentowa dała pochop kilku zgromadzeniom, które téż nareszcie naśladowców znalazły. Ale należało znów walczyć przeciwko wpływom, z rolnictwem nic wspólnego nie mającym. Posiedzenia rolnicze, jeżeli mają być prawdziwie użyteczne, nie powinny zajmować się ogólnikami, nie powinny rozbierać nowych systemów uprawy, ale poprostu stwierdzać otrzymane rezultata, nagradzać owoce pracy i doświadczenia.

Wzorowe są pod tym względem posiedzenia w Normandyi. Urządzone na obszerną skalę, odbywają się w każdym obwodzie, w każdym kantonie: władze zatwierdzają tylko ich zgromadzenia. Towarzystwa te jednoczą się w kongres, podzielają na sekcye, mają statut, budżet, biura; co rok naznaczają sędziów na różne okolice swego zakresu, zapraszają władze do przewodniczenia posiedzeniom, zwołują członków, a okolice na punkta zbiorów naznaczone, bogacą moralnie i materyal-

nie. Nie są to świetne turnieje, ale kilkanaście pługów porących ziemię pod okiem znawcy, i ubiegających się nie o to, który prędzéj, ale który prościéj zaorze, który głębiéj swoję bruzdę zajmie. Od siedmdziesięciu lat zwyczaj ten trwa w Anglii.

Następnie sędziowie przechodzą do oglądania zwierząt i płastwa domowego, narzędzi rolniczych, produktów surowych i t. d.

Bez wątpienia wielkie wystawy zwierząt do rozpłodu służących, jak naprzykład ta, która się odbyła w piérwszéj połowie czerwca w Paryżu, o wiele przewyższyły skromne posiedzenia wiejskie; ale i tych działanie niemniéj jest skuteczne. Wielcy tylko posiadacze uczęszczają na wielkie wystawy i konkursa. Uroczyste mowy przerażają skromnego praktyka, prostego rolnika, któremu łatwiéj dobrze robić, niżeli dobrze mówić; gdy tymczasem na zgromadzeniu obwodowém każdy się zna, rozprawia poufale bez obawy złośliwych słuchaczy, lub niewiary stenografa. Miejsce solennych obrzędów zajmuje wymiana poczynionych spostrzeżeń: ztąd rodzaj zażyłości, ztąd przyjaźń w miejscach ustronnych tyle pożądana.

Niewyczerpany przedmiot do agronomicznych rozpraw nastręcza reforma dawnéj uprawy trzechletniéj, wprowadzenie nowych doświadczeń płodozmianu, nawozu w stanie płynnym lub stałym, szczególniéj téż nawozu ludzkiego, o którego zastosowaniu książę Albert ciekawe poczynił odkrycia, i poddał obecnie pod rozwagę biegłych. Osuszanie, zarazem irrygacya za pomocą rurek glinianych, także do bardzo żywotnych kwestyi należy, jak niemniéj ulepszenie rasy zwierząt domowych, naprawa dróg, stawianie budynków wiejskich, konstrukcya narzędzi rolniczych. Niemniéj ważna jest kwestya ustalenia zwyczajów co do posiadłości gminnych, pastwisk, zbierania żołędzi, przestrzegania zbiórki liścia, jako wpędzającéj lasy w suchoty, i t. p.

Posiedzenia wiejskie nie poprzestają na krytyce małych posiadaczy i dzierżawców: napominają one i wzywają bogatych, aby zamiast nabywać renty, wkładali swoje kapitały w ziemię, jako w główny żywioł pomyślności rolnictwa. Głosy te są tém zbawienniejsze, że

duch gorączkowéj spekulacyi pcha kapitały w hazardowne przedsięwzięcia.

Dziedzic czy dzierżawca wsi nie może lepiéj ulokować gotówki, jak na samym sobie; inwentarz, budynki ekonomiczne, a mianowicie téż grunt, są kassą oszczędności, która kiedyś powiększy jego miano i spuściznę jego dzieci. Długie terminy dzierżawy zapobiegają ruinie gospodarstwa, godzą interes possesora z interesem dziedzica; dlatego posiedzenia rolnicze chcąc je upowszechnić, zalecają zniżenie ceny w piérwszych latach kontraktu, żeby zachęcić dzierżawcę do ulepszeń, któreby mu pozwoliły nagrodzić ten benefis w późniejszych latach. Właściciel i dzierżawca zyskują na téj kombinacyi, a postęp rolnictwa jest jéj koniecznem następstwem. Najgorzéj rozumié własny interes, kto z góry odbiera gotówkę swemu dzierżawcy; odebrać broń żołnierzowi, narzędzia fabrykantowi, żagle okrętowi, na jednoby wyszło.

Mniéj świetném zadaniem, chociaż niemniéj pożytecznem jest pieczołowitość, jaką posiedzenia gospodarskie otaczają czeladź wiejską. Nie uczucia filantropijne są tego powodem, ale wzgląd, że samo oko pana nie utuczy konia. Dobry sługa wszędzie i po wszystkie czasy był szanowany; wszakże znany z historyi, ba! z epopei nawet pastuch Ulissesa, a Elizer z biblii. Niesprawiedliwe byłoby narzekanie na złość i zepsucie téj klassy ludzi, zwłaszcza, że moralnie i materyalnie mało jéj dajemy, a bez względu na własne dobro skąpimy zachęty. W tak nizkiém położeniu skromne nawet zalety na miano cnoty zasługują; dlatego posiedzenia agronomiczne poszukują ich, zaszczycają publiczną pochwałą, dobrém świadectwem, nagrodą pieniężną. Zatwierdzone przez zgromadzonych świadectwo moralności, robi karyerę na całe życie parobkowi od pługa, lub dziéwce od drobiu. Dopiéro od dwudziestu lat zwyczaj ten jest w Normandyi powszechnym, a już wielcy i mali właściciele ogromne mu zawdzięczają usługi: wzbudza on emulacyą, sługi przywiązuje do domu, robi jakoby nieruchomość z téj koczującéj ludności.

Posiedzenia rolnicze z czasem doszły we Francyi do takiego rozwoju, że już dziś każdy garnie się do téj

obywatelskiéj służby, że już nietylko sam przemysł gospodarski, ale wszystkie rzemiosła pomocnicze, wynalazki ekonomiczne, ich egzaminowi ulegają, i w nagrodach udział biorą. Dzisiaj nie ma już kwestyi o ich skuteczności i pomyślności, ale raczéj o to, czy je należy skupiać, czy też rozszerzać po kraju: za czém odmienne położenie fizyczne różnych miejscowości zdaje się przemawiać. Tym posiedzeniom zawdzięcza rolnictwo we Francyi zastosowanie najwielostronniejszych pomysłów i wynalazków, których praktyczność zrazu wątpliwą się wydawała.

Galerya obrazów pani de Chavagniac wystawiona obecnie na sprzedaż po śmierci właścicielki, zasługuje na szczególną wzmiankę. Nie jestto jeden z owych podejrzanych zbiorów, złożonych z odnawianych lub umyślnie zaczernionych płócien, na których z krzywdą wielkich mistrzów, oszustwo czy głupota imiona ich wyryła. Zbiór pani de Chavagniac odznacza się znajomością sztuki i doborem, a co najważniejsza, są w nim cztery ogromne wzory Jules-Romaina: Jules-Romaina, najmilszego ucznia i współ-pracownika Rafaela, który za życia mistrza zrzekł się wszelkiéj oryginalności i sławy, i był tylko ręką mózgu jego, a późniéj dopiéro w mantuańskich freskach polot gieniuszu swego rozwinął na tytaniczne rozmiary.

Wzory Rafaela i Mantegna przechowane w Hampton-Court, galery inarodowéj londyńskiéj, i cztery wzory Jules Romaina w Luwrze, sąto jedyne kompozycye w tym rodzaju, które się dochowały do naszych czasów. Sławny wzór Michała Anioła przedstawiający wojnę pizańską, poszarpali zawistni rywale; karton Leonarda da Vinci także gdzieś przepadł: cztéry więc wzory Jules-Romaina znalezione obecnie, pominąwszy ich rzeczywistą wartość, należą do nadzwyczajnych rzadkości. Mianowicie téż dla tych, co nie byli we Włoszech są niezmiernie ciekawe, bo pokazują Romaina w zupełnie nowém świetle.

Najczystsze, najwzorowsze obrazy wielkich mistrzów włoskich, dają słabe wyobrażenie o ich talencie; dopiéro w freskach, na ogromnych ścianach, oprawione jak w ramę w pyszną architekturę kościoła lub pałacu,

jaśnieją w całéj pełni gieniuszu. Patrząc na nie, pojąć łatwo, czemu surowy mistrz Buonarotti wzgardził malowaniem na płótnie jak dziecinną zabawką. Jeżeli wzory Romaina nabędzie rząd francuzki, jak się należy spodziewać, do muzeów narodowych, będą one wyborną szkołą dla młodych malarzy; wskażą im ów styl wolny i wzniosły, cechujący prawdziwy gieniusz; owę śmiałość konturów i płodność pomysłów, do których rzadko dochodzą dzisiejsi artyści, gubiąc się w wymuskanych drobiazgach, przemieniających dzieło sztuki w dzieło cierpliwości, w dagierotyp bez ideału, bez poezyi, bez stylu.

Zanim przejdę do szczegółów wykonania, w kilku słowach opowiem historyą tych czterech wzorów. Są one częścią dziesięciu kompozycyj, przedstawiających historyą Scypiona Afrykańskiego, którą Jules-Romaine wykonał na żądanie księcia Ferrary, jako mające służyć za model na makaty w bruxelskiéj rękodzielni wykonane. Co się stało z resztą, nie wiadomo. Po ukończonéj robocie, te o których mówię, zwinął i zachował lubownik sztuki pan Desbusscher.

Wystawione w galeryi Apollina na wielkim jubileuszu sztuk za czasów konsulatu, uderzyły piérwszego konsula, i miały być przez rząd nabyte; ale gwałtowniejsze potrzeby pochłonęły przeznaczone na to fundusze. Wtedy można dama, pani de Chavagniac, bojąc się, żeby skarb taki nie zaginął, oddała zań jedne z dóbr swoich. Atoli dla braku stosownego miejsca znowu zwinięte i schowane, leżały przez pół wieku w ciemności: teraz dopiéro po śmierci właścicielki, na świat się pojawiły, i na publiczną sprzedaż wystawione zostały.

Piérwszy wzór przedstawia, „wylądowanie Scypiona na brzeg Afryki". Zwycięzca Hiszpanii, unikając nieprzyjacielskiéj floty, przybija do brzegu w łodzi o sześciu wiosłach; w drugiéj płynie Loelius z żołnierzami. Na łodziach morskie bóstwa w płaskorzeźbie bogato złobione, a u steru głowa lwicy rzymskiéj z rozwartą paszczą porze bałwany. Załoga czeka aż wódz wysiąść każe; na znak Scypiona, jeden z żołnierzy trąbi sygnał, w głębi widać miasto na wzgórzach.

Powyższy szkic dziwne czyni wrażenie nieprzywykłemu oku do tego rodzaju szorstkich kompozycyj.

Ogromny ten rysunek jakby jednym rzutem olbrzymiéj ręki nakreślony, bez efektów, bez cienia, bez sztucznych świateł, niemile nawet uderzy tych, co wierne naśladowanie natury za cel sobie wytknęli. I rzeczywiście: wszelkie złudzenie oka pogardliwie tu pominięte, ale za to jakie postawy tych ludzi! jaka rozmaitość ruchów, jaka tam pewność siebie, jaka erudycya anatomiczna, ile ciekawych szczegółów!

Uczta u Syphaxa wspaniale jest rozłożona. Scypion z Azdrubalem starają się pozyskać sobie numidzkiego króla. Przedsionek, w którym zastawiona biesiada, oświecają pochodniami niewolnicy; około stołów gnących się pod przepyszną zastawą, krąży służba: jedni podają półmiski, drudzy nalewają w czary napoje, inni kwiaty przynoszą. Jeden z nich, faworyt zapewne, oparty o krzesło Azdrubala, drażni wielkiego psa, który tam leży na ziemi jak w ucztach Veroneza. W głębi widać rozstawione sprzęty: misy, czary złote i srebrne, dzbany najdziwniejszych kształtów, i rzeźby mogące służyć za wzór Celliniemu, uderzają wytwornym smakiem.

Ubiór napół turecki Azdrubala, jest zapewne anachronizmem; ale któż-bo kiedy wiedział dokładnie jak się ubierali Kartagińczycy za czasów Scypiona?

Przegrana Syphaxa należy do najpiękniejszych kompozycyj Romaina. Gwałtowny gieniusz jego długo powstrzymywany przez harmonijną pogodę Rafaela, tutaj wybucha z całą potęgą. Znać, że mistrz w swoim tu jest żywiole; znać, że ze szczególném upodobaniem kreśli owe olbrzymie grupy walczące, z upodobaniem wywraca, miesza i łamie w konwulsyjne ruchy, wściekłe zastępy wojowników. Całą bitwę dziką, zażartą trzyma w ręku, i igra z nią jak z dziecinną zabawką.

Na przodzie Syphax na padającym koniu, z posiekaną głową, broni się jeszcze rozpaczliwie: wtém żołnierz rzymski za nogę go uchwycił, i wszelka nadzieja ratunku przepada.

Głowa starego króla, któremu siwa broda spada na piersi jak Barberussie lub Mojżeszowi Michała Anioła, ogromną ma powagę. Scypion spokojny na rozhukanym koniu, z bohaterską pogodą płynie po tém krwawém morzu zatracenia: młody i piękny, uśmiecha się wśród rzezi. Rozwiane chorągwie, bogate zbroje, ka-

ski z dziwacznemi grzywy, bronie szczególnéj formy: nadają bitwie téj owę cechę artystycznego zbytku, niezbędną w obrazie na ozdobę przeznaczonym; przepyszny jest i straszny zarazem: krew go zalewa jakby druga purpura!

Bitwa pod Zamą najważniejsza z czterech wzorów, przedstawia starcie się rzymskiéj oświaty, z oświatą afrykańską. Wojsko barbarzyńskie, otoczone słoniami, które wieże na ogromném cielsku niosą, wyziera z za tych żyjących okopów. Pośród walczących, słoń biały naturalnéj wielkości, potrząsa jak sztandarem postrzelanemi w boju uszami; trąbą uchwycił jednego wojownika, i jak boa konstryktor druzgocze go na miazgę w żelaznych skrętach, a tymczasem z wieży na nim stojącéj murzyny i żołnierze z bestyalską twarzą, wypuszczają chmurę strzał na nieprzyjaciela. Scypion piękny jak statua starożytna, przywodzi bitwie gestem. Przyszłość walki już niewątpliwa: słonie przelękłe ogniem, co im wzrok razi, gradem strzał pokłóte, zaczynają pierzchać na oślep.

Cóż to za przedmiot dla mistrza owéj potężnéj rzymskiéj szkoły, celującéj w pokonywaniu anatomicznych trudności; szkoły, co tak mądrze i prawdziwie naprężenie każdego muszkułu malowała, przed którą człowiek stał bez skóry, cały osnuty siatką drgających muszkułów i żył czerwonych!

Kto nie widział w Watykanie bitwy Konstantyna przez Jules-Romaina malowanéj wedle szkicu Rafaela, wyobrazi ją sobie przypatrzywszy się bitwie pod Zamą. Rzecz dziwna, pod koniec życia Rafaela, uczeń porwał za sobą mistrza. Namiętny pędzel Romaina zachwiał pogodę Peruginowego ucznia. Zmiana ta już czuć się daje w Hiliodorze i Atylli, a coraz daléj wzrasta. Gdyby Rafael był dłużéj pożył, byłby niezawodnie porzucił swoje Madonny greckiéj formy, a gotyckiéj czystości, i rzucił się w uczoną przysadę rzymskiéj szkoły. Trwożna wstydliwość prawie go już zupełnie odbiega w Przemienieniu Pańskiem.

Herkules duszący Anteę, dzieło Carragia, powinien być zawieszony obok wzorów Juliusza Romaina. Bohater lwią skórą odziany, trzyma za gardło wroga, i dusi go żelazną dłonią. Sina bladość jak obłok śmierci już rysy ofiary oblała... W konwulsyach konania

wytęża się; chce, ale napróżno fatalny uścisk przełamać.

Siostra Rembrandta wymalowana przez brata, ładnie odbija na tle brunatném, fantastycznie ubrana w czarny biret z niebieskiemi piórami. Na piersiach jéj gazą osłonionych, zaokrągla się perłowy naszyjnik, a po bogatych fałdach czarnéj jedwabnéj sukni, spływa złoty łańcuch. Głowa ta z krótkiemi blond włosami, z wielkiém staraniem i jasno jest narysowana, jak wszystkie utwory z młodych lat Rembrandta. Rzecz godna uwagi, że Rembrandt dopiéro na starość stał się gwałtowny i tajemniczy: szpony i grzywa dopiéro z laty mu wyrosły. Za młodu był artystą, a z wiekiem stał się czarnoksiężnikiem: same tylko wizye i na tajemniczym ogniu smażące się tygielki malował.

W galeryi pani de Chavagniac jest także widok morski Rembrandta (rzecz bardzo rzadka; z tym, o którym mówię, istnieje ich nie więcéj jak dwa czy trzy). Wzburzone bałwany rozpryskują się o powalony burzą okręt, co z odartym żaglem leży bokiem na mieliznie. Ze statku leci w morze postać jakaś biała; na piérwszym planie ogromny rekin płynie z otwartą paszczą, połknąć nieszczęśliwego rozbitka. Chaos wód morskich tworzy przepaść, i piętrzy się pod niebiosa; spieniona woda poszarpana u góry, wybornie jest oddana. Przez czarne niebo przedziera się pas światła i podnosi całość obrazu.

Są jeszcze dwa obrazy Poussina: męczeństwo świętego Erazma niemal piękniejsze od wykonanego w naturalnéj wielkości w Watykanie, i Tezeusz szukający ojcowskiéj zbroi.

„Pomijam i lepsze", jak mówi w Hernanim Don-Ruy-Gomez: wszystkich opisać niepodobna. Wspomnę więc tylko jeszcze o czterech porach roku Bouchera, które są jakby uśmiechem téj surowéj galeryi. Wiosna świeża, biała, pachnąca jak konwalia, siedzi w jasnéj spódniczce wśród kwiatów i Kupidynków. Zima w futerku i popielatéj sukience, pośliznęła się i upadła biedaczka wśród śmiejących się widzów. Lato i jesień niemniéj ładne: słowem, że kto z tych czterech obrazów jeden wybierze, reszty żałować będzie całe życie.

Hucznie i wesoło odbyły się tego roku w Bordeaux święta Girondynów, obchodzone co wiosnę na ich pamiątkę. Prześliczne, gorące słońce przyświecało zabawie. Tłum różnobarwny postrojonych lub poprzebieranych biesiadników, zaległ od samego rana place, ulice i morskie wybrzeża.

W takich razach, ramy często tyle, a może i więcéj warte niż obraz. Bordeaux prócz tego, że leży nad morzem, co najnędzniejszéj mieścinie nadaje powab i koloryt, jest wielkie i piękne miasto: ulice szerokie, bogate bulwary, place na wielkie rozmiary, rywalizują z Paryżem, i przypominają najwspanialsze królewskie rezydencye. Zamożność i bogactwo wszędzie przebija. Do tego kobiéty tamtejsze słyną z piękności na całą Francyą, a co większa, sławie swéj zupełnie odpowiadają. Mając te cztery rzeczy: bogactwo, klimat piękny, piękne miasto i piękne kobiety, łatwo ucztę wyprawić, łatwo najwspanialszą biesiadę urządzić. To téż szliśmy wolno, z kolei to na szczegóły, to na całość zważając, bo wszystko było warte widzenia, w każdéj grupie tkwiła myśl jakaś, lub jakie dziejowe wspomnienie.

Malowniczy strój kobiét najprzód tu uderza cudzoziemca. Jaskrawe barwy, już jak na południu, gęsto rozsiane, mile bawią wzrok, znużony trochę monotonią czarnych lub szarych północnych ubiorów, zapewne bardzo rozsądnych, ale smutnych i wcale nieładnych. Wyrobnice w Bordeaux noszą na głowie krasny fular, fantastycznie na wielką kokardę związany, i spadający na ucho jak frygijska czapka. Cera blada, owal twarzy pięknie narysowany, nos prosty, oczy żywe, usta figlarne, pełne gaskońskich przebiegów, które nawet w przysłowie poszły: oto typ powszechny tamtejszych kobiét. Dodać do tego potrzeba, że są jeszcze wymowniejsze od Paryżanek (rzecz do pojęcia trudna.)

Mieszczanki noszą czépki niemniéj oryginalne jak chustki gryzetek. Kto nie widział czépka w Bordeaux, nie wié co to czépek. Rzecz skomplikowana jak fregata, albo pięcio-aktowa melodrama, złożona z tylu przypraw jak sos wielko-postny. Napoleon nazywał kobietę duszą koronek; porównanie to niezawodnie przyszło mu na widok owych czépków, na których opis daremnie szukam wyrazu. Wszystkie te czépki lekkie, jasne, różowe,

purpurowe, niebieskie, żółte, rozkwitłe, fruwające jak ptastwo wesołe, trzepoczą się na głowach: zda się, że lada chwilę zaczną świergotać między sobą.

Dziewiąta bije, w bębny uderzono, otwierają się kraty ogrodów, i wybiega zeń chmara pierrotów (wyraz maskaradowy, któremu odpowiedniego nie stworzyliśmy dotąd). Ubrani w siennikowe materye, każdy niesie na długiéj tyce worek do kwestowania, który pod balkony i piérwsze piętra podstawia. Jestto awangarda pochodu najmniéj z dwustu ludzi złożona; zaczepiają przechodniów, śmieją się, rozmawiają z całą ulicą, srebrne pieniądze sypią się we woreczki, a tymczasem nadjeżdżają maskaradowe wozy.

Piérwszy pochód przedstawiał wjazd do Bordeaux Małgorzaty de Navarre w roku 1578. Przerzucono wszystkie archiwa i biblioteki miejskie, i wyjęto z nich opisy najparadniejszych strojów, żeby takowe z historyczną dokładnością przedstawić. Cały więc poczet średniowiecznych dworaków, paziów, doboszy, żandarmów, chevau-legerów, trębaczy, przeciągnął jakby wizya jaka starych czasów. Na czele orszaku szedł jak wtedy, burmistrz miasta w srebrnéj opończy.

W tym wirze przeróżnych strojów, złocistych karet, piór, halabard, chorągwi, proporców, ślepiących blaskiem, głuszących wrzawą, niepodobna wszystkiego widzieć, cóż dopiéro opisać. Słońce tylko tłum ogarnia i maluje: pióro zaledwie główny przedmiot uchwyci.

Zajrzyjmy więc najprzód do karety, w któréj siedzi królowa Małgorzata. Miała suknią z błękitnego aksamitu suto złotem haftowaną, na głowie perłowy dyadem. Najpiękniejszéj tancerce dostała się rola królowéj. Młodziutka, żywa jak skra, brunetka, miała przy boku cztery damy honorowe (także z baletu), niemniéj bogato przybrane. Terpsichora dnia tego kwestowała na ubogich: dlatego młodzież literalnie zarzuciła pięcio-frankówkami królewski powóz. Kobiety dziękowały uśmiechem i gestem, zręcznie wachlarzami zasłaniając twarze od srebrnych pocisków.

Za niemi jechali konno panowie dworscy i rycerze. Ubiory ich dokładnie historyczne, zupełne czyniły złudzenie. Byłto prawdziwy kurs historyi w żyjących obrazach.

Potém następowały allegorye. Najprzód ogromny okręt wyobrażający handel, a na nim bandery wszystkich narodów handlujących z Francyą. Za nim na wspaniałym wozie dwie kobiéty uwieńczone kłosami, siedząc na snopach, przedstawiały rolnictwo. Wóz ciągnęły zwolna cztery woły ze złocistemi rogami; przy nich na beczce wina siedzący rolnik, lał ze srebrnego dzbana napój rubinowy.

Daléj na ogromnym globie jechała fortuna. Przez sześć godzin nieubłagany Febus przeszywał biedaczkę ognistemi strzałami; mimo to nie zeszła z bajecznéj wysokości, na któréj siedziała ledwie dojrzana od śmiertelników. Wokół globu zawieszone cztéry okazałe piękności, wyobrażały cztéry części świata. Afryka mianowicie dobrze była reprezentowana: krucze jéj włosy, wzrok palący, ogorzała cera, zwracały ku sobie oczy.

Daléj ciągniono na białym wozie artystów i pisarzy z XVI wieku. Rubens w złotym łańcuchu na szyi, w kapeluszu z piórami stał na przedzie; przy nim blady i ponury Camoens; obok nich Paweł Veronese, Carragio, Michał Anioł, Aryost i francuzkie znakomitości artystycznie ustawione były. Cała ta grupa jechała w poważném milczeniu; tłum patrzał z uszanowaniem na tę perłę uroczystości, i jałmużny nie rzucał. Ponad białym wozem artystów wznosiły się trzy białe siostry: poezya, rzeźba i muzyka trzymając się za ręce.

Za niemi jechało miasto Bordeaux w allegoryi. Byłto olbrzymi wóz przepełniony ozdobami, przeładowany bogactwem. Na nim potężna kobiéta z wieżami na głowie, z księgą praw w ręku wyobrażała miasto; u nóg jéj trzy dziewice: sprawiedliwość, przemysł i sztuka.

Daléj następowały niezliczone fantastyczne grupy, jakoto: Nemrod, siedmiu mędrców greckich suto udrapowanych i brodatych, szkoła tańca ze starym nauczycielem, któremu uczennice figle płatają i t. d.

Między tém wszystkiém krąży tłum powozów pełnych młodzieży, sypiącéj cukrowym makiem na przechodniów i balkony: zaczepiają się społem, śmieją, i wadzą jak w karnawał na rzymskiém Corso. Cały orszak wysypał się nareszcie na wybrzeża, zkąd po jednéj stronie

widać roztaczającą się w półkole panoramę miasta, po drugiéj mnóstwo świątecznie przystrojonych okrętów, statków, łodzi i łódek, które muzyką witały orszak.

Wieczorem w ogromnéj sali kwiatami od góry do dołu ubranéj, był koncert, na którym śpiewali artyści paryzcy. Sali tak wielkiéj podobno niéma w całéj Francyi: 10,000 osób siedziało w niéj, wprawdzie niebardzo wygodnie, ale siedziało.

Nazajutrz był steeple-chase, na którym ścigały się osobiście lordy i vicomty; najwyższa wygrana była 10,000 franków. Wieczorem koncert instrumentalny; tłok tenże sam, ale dobór sztuk lepszy. Wykonywano dzieła samych wielkich mistrzów: Palestryna, Hayden, Mozart, Haendel, Rossini, Mendelsohn, Berlioz, naprzemiany zachwycali słuchaczy. Nakoniec pięciuset muzykantów zagrało uwerturę Meejerbera, i na tém zakończono dzień drugi.

Był jeszcze trzeci i czwarty, ale zważywszy że długie opisy nudzą, nadmienię tylko, że czwartego dnia znów krążyły maskaradowe orszaki, jeszcze piękniejsze, bo przy pochodniach: spacery i pomniki gorzały w tajemniczéj purpurze bengalskich ogni, niebo zasypane było skrami fajerwerków, a wspaniały bal pod gołém niebem, na którym tańcowało najmniéj 50,000 osób, zakończył święta Girondynów, przypominając wspaniałością rzymskie igrzyska.

Wyszła świeżo w Londynie książeczka pod tytułem: La Bourse de Lòndres przez pana John Francis. Wszystkie dzienniki angielskie nie mogły się odchwalić tego dzieła. Jedne mówiły: „Najżywotniejsza kwestya, kwestya finansowa, dramatycznie tam opowiedziana, i ma cały powab romansu; kupiec, minister, uczony i nieuczony, kobiety nawet czytać będą z równém zajęciem dzieło pana Francis". Inny dziennik znów woła: „Książka ta, jestto illustracya przewrotności i głupstwa ludzkiego". A inny: „Jestto nieprzerwana tkanina oszukaństw, zdzierstw i zepsucia przewybornie opowiedziana! Taka książka więcéj warta niż najlepsze kazanie!" Inny znów bardzo poważny tak się wyraża: „W niejednym sławnym poemacie mniéj jest poezyi niż w hi-

storyi londyńskiéj bursy; wiele mamy dramatów mniéj dramatycznych, że już nie wspomnę o romansach, z których żaden nie jest tak zajmujący; książka ta powinna była nosić tytuł: romans Mamony".

Otóż ów sławny romans Mamony przetłumaczył na francuzkie senator Lefebvre-Duruflé, i niemniéj podoba się Francuzom. Nie jestto przecież romans, ale bardzo rzeczywista cyframi najeżona historya, któréj bohaterkami są: bessa i haussa.

Początki finansowe W. Brytanii małe są, jak początki Rzymu: jak on z czasem w olbrzymie wzrastają rozmiary. W piérwszych czasach istnienia państwa, nie było w Anglii podatków: sprzedawano sprawiedliwość za gotówkę, a urzędy wielkie czy małe, nabywały się za podarunki składane monarsze. Rozumié się, że urząd odpowiadał prezentowi: kto najbogatszą złożył daninę, najwyższą otrzymał posadę. Jednakowoż taki sposób składania podatków, okazał się z czasem bardzo niedostateczny; kassa państwa prawie zawsze była próżną; uciekano się téż do rozmaitych wybiegów.

Edward I pod pozorem, że chce odbyć pielgrzymkę do ziemi świętéj, zabrał wszystkie srébra z klasztorów i kościołów, a mając je w ręku, więcéj o podróży nie wspomniał. Ryszard II pożyczał na fanty, tojest zastawiał koronne dyamenty: wyprzedał wszystkie meble ze swych pałaców, nareszcie składki na siebie zbierał. Henryk VII zbogacony przykładem przodków, nietylko używał wszystkich dawnych sposobów, ale nadto wiele nowych wymyślił. Elżbieta nałożyła znów nowy podatek pod niewinną nazwą noworocznych podarków. Każdy dworzanin obowiązany był składać w dzień Nowego Roku kosztowne dary królowéj. Ale i to nie wystarczało: niezadługo królowa tak podwyższyła opłaty od towarów, że ceny wszystkich produktów bajecznie podrożały. Prócz tego kazała kupcom składać sobie ogromne summy, a kiedy ci tłumaczyli się, że nie mają, „to pożyczcie" odpowiadała łaskawie. Tym sposobem skrzynie królowéj przepełniły się złotem; wtedy oddawała część wierzycielom z nakazem opłacenia procentów od kapitału, za który sama procentów nie płaciła. Karol I bez żadnéj ceremonii zabierał pieniądze kupców.

Karol II brał od wszystkich, i na nim kończy się system finansowy starego świata.

Od wstąpienia na tron Wilhelma III poczyna się era tegoczesna. Wilhelm rzucił piérwsze podstawy kredytu w Anglii, czyli założył kamień węgielny wymiany. Tutaj ma swój początek bursa londyńska. Jestże to świątynia, sklep, czy szynkownia?—Wszystkiego w niéj potrosze.

Około r. 1700 zaraźliwa gorączka spekulacyi zdeklarowała się w Anglii: każdy mocno był nią dotknięty. Na małą skalę już było prawie toż samo co dzisiaj, tylko, że nie mając jeszcze świątyni, zbiegali się i frymarczyli pod gołém niebem.

Piérwsza mistyfikacya polityczna na bursie lodyńskiéj wydarzyła się za panowania królowéj Anny. Pewnego dnia wykwintnie ubrany kawaler ze smutném obliczem, wyjechawszy konno z królewskiego pałacu, galopował co siły po mieście, wjeżdżał i wyjeżdżał wszystkiemi rogatkami, rozpowiadając wszędzie, że królowa nagle umarła. Wiadomość rozeszła się w mgnieniu oka. Powstał ruch nadzwyczajny w mieście, wojska przerwały mustrą i rozeszły się do koszar ze spuszczoną bronią, papiery zaś spadły niezmiernie, z czego korzystając żyd Mannassch Lopez, nakupił ich ile mógł. Tak więc ś. p. Manna..schowi Lopez należy się patent wynalazku, dość rozpowszechnionego za naszych czasów. Bursyści powinniby mu koniecznie pomnik wystawić, tém bardziéj, żeby ich to niewiele kosztowało; niech tylko każdy twórca i propagator fałszywych wiadomości giełdowych da szylinga na grobowiec dla gienialnego naddziada, to zaprawdę nigdy pamięć wielkiego męża wspanialszym nie zostanie uczczoną pomnikiem!

Ruch handlowy i spekulancka gorączka pociągnęły za sobą ogromne pożyczki. Na samą wojnę o sukcessyą hiszpańską wydała Anglia przeszło trzydzieści siedem milionów funtów szterlingów pożyczonych, a trzydzieści milionów z podatkowych pieniędzy. Z czego wypada, że przyprawa więcéj kosztowała niż ryby.

Tymczasem kredyt państwa w opłakanym był stanie; dla podniesienia go, Harlay założył kompanią tak zwaną: morza Południowego, jako przeciwstawienie francuzkiéj kompanii Missisipi. Spekulancka wście-

klizna coraz wzrastała. Newton zapytywany o rezultata onejże, odpowiedział, iż można obrachować obroty ciał niebieskich, ale obrot szaleństwa ludzkiego obrachować się nie da.

Jakoż kompania południowa ogromne poniosła straty, jak to zwykle bywa, jeżeli ludźmi ślepa tylko chęć zysku powoduje. Owładnięty pragnieniem złota człowiek, jest jak gracz przy zielonym stoliku: w głowie mu się zawraca, powstrzymać się w porę nie potrafi.

Gra na giełdzie doszła do tego stopnia, że członkowie obu Izb nie wahali się posyłać za granicę listy z fałszywemi wieściami, i takowe do kraju napowrót sprowadzać; na ich szczęście nie było wtedy elektrycznych telegrafów. Kapitaliści przekupywali służbę dygnitarzy państwa, sekretarzy, metresy, nawet żony ministrów. Grano o wszystko. Jeżeli naprzykład zachorowała jaka znakomita osoba, niezwłocznie assekurowano summy na jéj życiu; papiery spadały lub podnosiły się wedle stanu zdrowia dostojnego pacyenta. Dzienniki głosiły wygraną lub przegraną tych szczególniejszych zakładów, a chory mógł się dowiedzieć z gazety, że niewiele mu się należy, kiedy na życie jego dają zaledwie 90 za sto.

W ten sposób pisze pan Francis: cyfry i wizerunki kreśląc naprzemian, układa bardzo przyjemnie historyą angielskich finansów. Portrety sławnych albiońskich Geldhabów jakoto: Tomasz Guy, John Bernard, Samson Gedéon, wybornie są narysowane. Żywot naprzykład pana Fordyce, lorda-spekulanta, tak jest dramatyczny, że go można żywcem przenieść na scenę. Lord Fordyce z szaloną odwagą z spekulacyi w spekulacyą się rzucając, dochodzi szybko do ogromnego majątku, i traci go równie prędko. Nie jest to zapewne oryginalna strona powieści: takie powodzenie i straty nie są rzadkie na polu bursowych turniei, ale rzadki stoicyzm w nędzy byłego Krezusa i żony jego, zasługuje na uwagę.

Figura Abrahama Goldsmida niemałe także zajmuje miejsce w londyńskiéj bursie. Abraham Goldsmidt zwyciężył sam jeden potężną koalicyą bankierów, i nosił berło finansów z niesłychaną świetnością, dopóki we własnéj krwi go nie zbroczył; zwątpiwszy bowiem o powodzeniu najważniejszéj spekulacyi, życie sobie

odebrał. Zrujnowany, byłby jeszcze upadł na miliony, ale tu już nie o pieniądze, ale o ambicyą chodziło.

Z kolei opowiada pan Francis pochodzenie dynastyi Rothschildów. Piérwszy swéj rasy i imienia Nathan Meyer Rothschild przybył do Anglii z Frankfurtu, który dlań stał się zaciasném polem do operacyi finansowych, i osiadł w Manchester, a następnie w Londynie, gdzie go już poprzedziła sława. Świat obfitował wtedy w wielkich mężów: w Bonapartem przebijał się już Napoleon, Nathan Meyer był także Napoleonem w swoim rodzaju.

„Nathan, mówi p. Francis, w coraz to nowe rzucając się przedsiębiorstwa, wzrastał a wzrastał bez końca. Obdarzony ogromną bystrością umysłu, nigdy się nie mylił w rezultatach swych operacyj pieniężnych. Nabywszy za gotówkę mandaty wypuszczone przez księcia Wellingtona, w wypłacie których honor rządu był zaangażowany, wykupił także co prędzéj złoto na ich wypłatę potrzebne. Kiedy już miał takowe w skrzyni, zawiadomiono go, jak przewidywał, że rząd potrzebuje złota. Oddał mu je, ale łatwo zgadnąć, że nie zadarmo. Nathan przyznaje, że to najlepszy interes jaki mu się udał w długim spekulanckim zawodzie; nadto dodaje, że kupione od niego złoto jeszcze się rządowi na nic nie przydało, dopóki mu nie dał środków przesłania onegoż do Portugalii."

Z powyższéj acz niedokładnéj analiyzy można miéć wyobrażenie o dziele pana John Francis. Pan Lefebvre-Duruflé dodał do francuzkiego tłumaczenia bardzo dobrą przedmowę, w któréj dowodzi, że nabywanie papierów publicznych nie jest cyrkulacyą produkcyjną, ale zastępowaniem jednego wierzyciela państwa, drugim; że takie kupno wyradza się w wexlarstwo, (agiotage), skoro celem jego jest zarobek oparty na podnoszeniu się lub spadaniu papierów, a wtedy szkodzi państwu: najprzód dlatego, że zabiera kursującą gotówkę, stanowiącą część kapitału powszechnego, a nadto, jak każda gra daje tylko zyski będące stratą drugiego.

Znakomity pisarz i artysta Teofil Gautier wpadł na szczęśliwy pomysł ułożenia w balet, a raczéj w dramat pantomiczny, tajemniczych wpływów magnetyzmu. Myśl

ta zupełnie nowa, nadała Gemmie cechę wyższą od zwyczajnych baletów, bo w nim uosobiła i przedstawiła znowu przed oczy świata w żyjącym obrazie tę tylekroć badaną, a zawsze ciemną zagadkę, która od tak dawna upokarza rozum ludzki. Mimika i gra rysów malują wybornie działanie tajemne niewysłowionéj potęgi, którą człowiek krępuje i pozbawia woli drugiego. Wiele talentu i niepospolitych zdolności rozwinąć potrzeba było do urzeczywistnienia takiego obrazu. Gautier nakreślił główne zarysy, a genialna tancerka Fanny Cerito wzięła resztę na siebie.

Niemała to sztuka postawić i nadać ruch pięciu wielkim obrazom, z których każdy najmniéj ze stu osób złożony, każdéj z tych osób określić gesta, ruchy i kroki, począwszy od piérwszéj, aż do ostatniéj figurantki, która gdzieś tam w cieniu skacze. Twórca baletu musi być zarazem poetą, malarzem, muzykiem i nauczycielem: talenta, rzadko z sobą w parze chodzące. Cerito wywiązała się z trudnego zadania z zadziwiającą wszechstronnością.

Przedmiot baletu wzięty jest z romansu Alexandra Dumasa: Balsamo. Dwie sprzeczne namiętności w téjże saméj kobiécie, która kocha pod wpływem magnetyzmu, a nienawidzi obudzona, są kopalnią niewyczerpanych efektów, szerokiém polem dla tancerki.

Powszechnie znany romans Dumasa, uwalnia mnie od analizy libretta, które jest tém samém dla twórcy baletu, czém płótno dla malarza. Pomijam więc opis magnetycznych sposobów, do jakich ucieka się hrabia Santa-Croce, chcąc wykraść Gemmę, młodą dziedziczkę, któréj piękność i majątek bardzo mu do smaku przypadły; pomijam jak późniéj uśpiwszy ją magnetycznie, wyłudza od niéj podpisanie ślubnego kontraktu, jak wreszcie miłość prawdziwa wyzwala biédaczkę z zaklętego koła, w którém ją hrabia na uwięzi trzyma; jak nakoniec malarz kochanek zabija hrabiego: pomijam to wszystko, i przystępuję wprost do wykonania baletu.

Piérwszy obraz przedstawia Gemmę w gronie kobiét, przymierzającą stroje przed ogromném zwierciadłem. Obraz ten zdaniem znawców jest arcydziełem sztuki baletniczéj. Dwanaście par tańcuje razem; w każdéj parze druga osoba jest sobowtórem piérwszéj, każdy

jéj gest i skok odbija jak źwierciadło, co wymaga niesłychanéj akuratności, nieomal wcielenia się w tańcujące wzory, ale taki taniec dobrze wykonany nadzwyczaj jest oryginalny. Cerito z cieniem swoim zupełnie jednę stanowi istotę: nawet z twarzy i koloru włosów obie tancerki podobne do siebie jak dwie perełki. Wiele potrzeba było pracy i wytrwania, żeby dojść do takiéj podwójnéj jedności.

Bardzo jest także ładna scena w drugim obrazie, kiedy Gemma w śnie magnetycznym obsypuje hrabiego jakby umarłą pieszczotą, w któréj znać, że nie ma ani własnéj woli, ani chęci, tylko przymus. Tutaj Cerito posunęła swój talent do najwyższego stopnia.

Jak ptak wężowém okiem przyciągany, tak ona krąży niepewnym lotem około róży, w którą magnetyzer siłę swoję zgromadził, i zatruł zapachy. Zbliża się doń trwożliwie;... płochliwa, drżąca.... porywa, do ust ciśnie, i mimowolnie upaja się zdradliwą wonią, w któréj zamknięte namiętne nakazy. Z gorączkowém wysileniem kwiat do serca przytula.... a kiedy zazdrosny kochanek wyrywa jéj ów kwiat przeklęty, owę różę czerwoną ogniem piekielnym, z jakąż tkliwością ucieka się pod opiekę prawdziwéj miłości!

Ale krótko trwa ta niezależność. Magnetyzer potęgą woli porywa ją do walca, i w tym tańcu szalonym utraconą przewagę odzyskuje. Szczególne sprawia wrażenie widok téj blady dziewczyny, w białéj balowéj sukni, z martwém okiem: krok w krok bieży w ślady człowieka, który swą wolą zakreśla jéj koła i gzygzaki: to ją przyciąga, to odpycha, to ją nurza w wirze tańca, to znów jak posąg stawia skamieniałą. Artystka oddała wybornie ten bezduszny taniec nad pojęcie trudny. Brak życia i własnéj woli uwydatniła tak, iż rzekłbyś, że to cień wywołany wśród balu rószczką czarnoksięzką. Trudno lepiéj naśladować nieziemski chód lunatyka.

Trzeci obraz jest czysto dramatyczny; tańce wcale doń nie wchodzą. Tu znów znakomita jest scena, kiedy Gemma budzi się w posępnym pałacu, do którego nie wié jak weszła; spostrzega, że w ślubne suknie ubrana, że przy jéj boku nienawidzony stoi mężczyzna, i wpada w rozpacz.... Prosi go i grozi naprzemian, aie jedno i drugie rozbija się o nieubłaganą wolę hrabiego.

W czwartym obrazie prześliczna jest chwila, kiedy Gemma wyswobodzona, jak gołębica ze szponów jastrzębia, wbiega do swego kochanka malarza: wtedy kibić jéj łamie się w tak piękne kształty, tak czarowne przybiéra pozy, że przypomina Psychę Kanowy, schyloną nad Kupidynem. Białe muśliny artystycznie fałdowane, zdaleka zupełnie do karraryjskiego marmuru podobne, a gracya rąk podniesionych, pewno w niczém sławnemu posągowi nie ustępuje. To téż wywołano Gemmę po kilka razy, i nasypano jéj tyle kwiatów, że nagle taniec wstrzymać musiała, bo posadzki brakło pod lawiną róż i kamelii.

Co rzadko bywa w balecie, muzyka jest bardzo ładna. Hrabia Gabrielli, znany kompozytor baletów we Włoszech, usilnie się starał, żeby muzyka odpowiedziała mimice. W całéj kompozycyi przebija łatwość i włoska swoboda. W piérwszym obrazie mianowicie tony wybornie wtorują misternéj sztuce podwyższania wdzięków; muzyka jest lekka, powabna a zdradna, jak piękna kokietka.

W teatrze Gymnase występuje teraz trupa hiszpańskich tancerzy, a pomiędzy niemi prawdziwa córa Grenady Perea Nena, o któréj mówią Francuzi, że jest revoltante de beauté. Mimo to, skrzące jéj oko wabi i zachwyca wszystkich.

Jednoaktowa komedyjka służy za pretext tancerzom. Co to za sztuka?—nikt nie wié, bo nikt nie słucha ani patrzy na aktorów: mówią co chcą, grają jak im się podoba. Jakże tu uważać, kiedy za kulisami słychać szmer falban i stłumiony odgłos niecierpliwiących się kastanietów? Tam wzrok i słuch zwrócony: każdy radby żeby jak najprędzéj tańce rozpoczęto.

Nareszcie budkę suflera usuwają, podnosi się w głębi kurtyna, i całe stado hiszpanek leci ku scenie, wyrzucając naprzód końce maleńkich atłasowych trzewiczków, klaszcząc z rosnącym zapałem w kastaniety z kości słoniowéj.

Wpośród nich Nena w czarną hiszpańską mantylę uwinięta, biegnie ledwie ziemi tykając, jak sewilska

dziewczyna na umówioną schadzkę. Przybiega tak nad sam brzeg sceny; nagle zrzuca mantylę, i staje w całym blasku szalonego ubioru. Spódniczka jéj jak kwiat ojczysty, kaktus, mieni się w jaskrawe kolory: gorący pons walczy nań z fioletem. Aksamitny kaftanik haftowany złotem, srebrem, perłami i drogiemi kamieniami, rzuca tysiące świateł; na ramionach zwłaszcza gęste hafty i dyamenty błyszczą jak promień hiszpańskiego słońca.

Nena jest szczupła; ręce i nogi bajecznéj małości, tyle tylko, ile potrzeba żeby uchwycić kastaniet, i obuć lilipuci trzewiczek. Stanęła chwilę;... wtém muzyka zagrała żywiéj, a ona, zanim jeszcze na twarz spojrzałem, puściła się jak strzała w taniec: i nic już nie widać w tym wirze, tylko błysk dyamentów, błysk oczu i błysk białych zębów. Na szczęście uklękła. Teraz można jéj się przypatrzyć. W tył się przechyla tak, że plecami ziemi dotyka, a nad głową złotą szarfą powiewa. Cerę ma śniadą, brwi czarne jak węgiel, oczy skier pełne, a usta.... Usta tak maleńkie, że, jak mówi jakiś poeta o sewilskiéj dziewczynie „zaledwie na nich ćwierć pocałunku się zmieści".

Zaledwie uklękła, zaledwie odetchnęła, zbiegają się towarzyszki, w uszy kastanietami klaszczą; ona znów zrywa się i z podwojonym biegiem zawodzi nowy taniec, szybszy, wściekléjszy... Patrzącym w głowie się zawraca: pojąć trudno, że tancerka nie skona w takim tańcu, jak motyl trąbą wichrową porwany.

Perea Nena nie podobna w cale do Petry Camary, która zeszłego roku zachwycała Paryżanów, i któréj Dumas sardanapalską ucztę wyprawił, zgromadziwszy wszystkich artystów z starego i nowego świata. Wybór jednak pomiędzy niemi trudny: tamta powabniejsza, ta żywsza; oryginalność jéj leży w niesłychanéj lotności, i dziwnéj precyzyi tańca.

Pan Maury, znany w uczonym amerykańskim świecie, podał projekt ministrowi marynarki Stanów Zjednoczonych, w którym oświadcza, iż przeprowadzenie podwodnego telegrafu między Europą a Ameryką, uważa za rzecz wykonalną. Twierdzenie swoje rozbiera i zasto-

sowuje praktycznie. Linią telegraficzną zakreśla od przylądka położonego na północ cieśniny Belle-Isle, do Irlandyi. „Na przestrzeni 1600milowéj, dzielącéj Belle-Isle od Irlandyi, mówi p. Maury, dno morskie zupełnie równe jest jakby umyślnie przyrządzona podstawa do wyciągnięcia telegraficznych drutów. Woda ani nadto głęboka, ani nadto płytka, zabezpiecza telegraf od pływających lodów, a nie utrudnia założenia drutów. Głębokość morza na téj linii wynosi 1500, do 2000 sążni. Na dnie nie ma ani prądów, ani roślinności: spokojne jak jezioro. Przekonałem się o tém dokładnie, sądując wymienione miejsce długo i uważnie. Na téj przestrzeni dno morskie pokryte jest warstwą drobniuchnych muszli; nigdzie nie ma piasku lotnego, co najlepiéj dowodzi spokojności wody: inaczéj bowiem muszle zmieszałyby się z piaskiem lub żwirem.

„Z tego wynika, że druty telegraficzne raz położone, będą tam spoczywały bezpiecznie jak w pudełku. Zaprowadzenie więc telegrafu z cieśniny Belle-Isle aż do Irlandyi, nie przedstawia żadnych trudności".

W celu przyspieszenia tego tak ważnego połączenia starego z nowym światem, które nieobliczone korzyści przyniesie Ameryce, p. Maury proponuje, aby rząd Stanów Zjednoczonych naznaczył nagrodę kompanii, która piérwsza drut telegraficzny przez ocean przeciągnie.

Dziesiątego czerwca z wielką uroczystością otworzono w Anglii pałac Sydenhame. Jestto tenże sam pałac kryształowy, w którym była wielka wystawa, teraz na muzeum przeznaczony. Wedle ogólnych dotąd doniesień, żadne pióro nie potrafi dać wyobrażenia o tym nowym cudzie.

„Żaden gmach, piszą zachwyceni korrespondenci, ani starożytny, ani nowoczesny, nie może iść w porównanie z pałacem Sydenhame; mieści on w sobie: Niniwę, Alhambrę, Herkulanum, Pompeę, Parthenon, indyjskie i chińskie świątynie, i najpiękniejsze pomniki z epoki de la renaissance. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość spoczywa w łonie tego gmachu".

Sydenhame leży o 4 mile angielskie od Londynu, czyli, mówiąc dokładniéj, o 30 minut drogi koleją żelazną.

Dziesiątego czerwca o g. 11 zrana, bramy téj nowéj wystawy zostały otwarte przed tłumnie zebraną publicznością. O piérwszéj każdy zajął swoje miejsce, o trzeciéj przybyła królowa: wtedy 2000 muzykantów zagrało hymn narodowy „God save the queen“, a publiczność po gmachu krążyć poczęła.

Zostawiając sobie na późniéj szczegółowy opis pałacu Sydenhame, do którego umyślnie pociągi kolei żelaznéj urządzone będą z Paryża, dzisiaj na wzmiance tylko się ograniczam.

Odbyła się niedawno w Bytown (w Kanadzie) wielka wystawa niemowląt. Dwie nagrody po 60 dolarów otrzymali dwa najsilniejsze chłopaki: jeden 16, drugi 18 miesięcy liczący. Po rozdaniu nagród, prezydujący sędzia wystawy miał długą mowę, w któréj wyliczył mnogie korzyści nowéj instytucyi. „Prowadzi ona, zawołał, wprost do odrodzenia ludzkości! Konkursa w Anglii poprawiły rassę końską: my rassę człowieczą poprawiamy“!

Słysząc to matka jednego z Goliatów w kolebce, jeszcze cała rozradowana zwycięztwem syna, i wzruszona przemową, wyszła z tłumu i oświadczyła sędziemu, że jeżeli się cena nagród utrzyma, ona na przyszłą wystawę obowiązuje się przynieść jeszcze większego, rumiańszego i tłustszego chłopca niż ten, któremu piérwszą przyznano nagrodę.

Trzy salwy zadowolenia przywtórzyły téj patryotycznéj i naiwnéj obietnicy.

Rzeźbiarz Klessinger, zięć pani George Sand, odlał z alabastru piękny medal na pamiątkę Chopina. Głowa muzyka spoczywa na lutni. Piękną tę myśl podała matka, a zięć znakomicie wykonał.

DWA DWORY.

POWIEŚĆ.

(Dokończenie).

V.

Dworek w Wólce.

W małéj komnacie przy stoliku siedzi Stanisław i pali cygaro; naprzeciw niego rozparty pan Adolf w wygodnym fotelu; przed nim butelka szampańskiego wina. Przy kominku stoi pan Michał z fajką w ustach.

PAN MICHAŁ (*uśmiechając się*).

Owóż żywiebóg do swoich śmieci
Zakołatało serce Waszec';
Niech ptastwo buja sobie do licha,
Człeku najmilsza zagroda cicha!
Rzecz ci wiadoma, że to bez prace
Trudno spożywać smaczne kołace;
A i pieczone pono gołąbki
Nie spadną z góry same do gąbki
Wreszcie jam stary: starość nie radość,
Trudnoż wszystkiemu uczynić zadość.
Toż nie dziwota, że źle się dzieje:
Dobytek jakoś zwolna marnieje,
Pola nie rodzą jako przed laty.
Przestań bruk miejski gładzić zakaty!
Wszakci podobno idzie rok piąty
Jakeś domowe porzucił kąty
I w świat pojechał, aby wśród tłumu,
Obcego w głowę schwycić rozumu.
Dziwnoż ci oto jagody zbladły,
Zmarszczki przed czasem na czole siadły,
Oko zapadło: znać, że nie płuży
Miejskie powietrze. Toć nie goń dłużéj

Wiatru po stepie, lecz jak przystało,
Obejmij twoję dziedzinę małą;
Bo niedaremnie przysłowie uczy:
Że oko pańskie konia utuczy.

STANISŁAW.

Nie żartuj próżno, wuju mój drogi,
Wszak pełne ziarna spichrze i brogi,
Na łanach nowe faluje zboże,
Stadnina dzielna, bydełko hoże,
Zapasy doma, a w rzece ryba:
Ptasiego chleba braknie tu chyba.
Czegoż chcesz więcéj?

PAN MICHAŁ (*pokręcając wąsa*).

Wszystkoć z kretesem nie jest stracone;
Ale „im człowiek w las idzie daléj,
Więcéj drew spotka" ojce mawiali!
Wszak rządem stoją domy i kraje:
To téż szanować stare zwyczaje
Trzeba zakaty! Niegdyś pachole
Poduczywszy się łaciny w szkole,
Jeżeli jaka przyszła potrzeba,
Biegło na harce; a gdy kęs chleba
Był z pracy ojców: to wnet po wojnie
Młodzian zasiadał doma spokojnie,
I rad się wiązał małżeńskiém stadłem.

PAN ADOLF (*nalewa sobie wina, pije, a potém mówi*):

Brawo! z piérwszego słowa odgadłem
Do czego zmierza cała ta mowa:
Żeń się Stasieńku! Tak, ani słowa!
Weź się do roli, zasiewaj grykę,
Wprowadźże sobie w dom dobrodziejkę;
Komu spokojność próżnym ciężarem,
Niechaj się miłym otoczy gwarem.
Jakaż to rozkosz siąść przy ognisku:
Głowa na dwoje pęka od pisku,
Dziateczki krzyczą, żona się krzywi,
A świat powiada: jacy szczęśliwi!
Tak! małżonkowie szczęśliwi młodzi!
Pani na balach wszędy rej wodzi,
Świat jéj uwielbia dziwne zalety:
O! to doprawdy perła kobiéty,
Każdy wié o tém; tylko nieboże
Mąż swego szczęścia pojąć nie może.
Jakże ma pojąć, kiedy dla świata
Pani w zalety tylko bogata.

A gdy po balu wraca do domu,
Skoro się nie ma powdzięczyć komu,
Maskę ułudną zdejmuje z twarzy,
Dziwnie znudzona, duma i marzy.
Wreszcie nie czując się dość pojętą,
Łamie bez względu przysięgę świętą.
A świat małżonka za żony winy,
Gotów potępić każdéj godziny:
Jeśli pierzchliwa, alboli płocha,
On winien, bo ją niedosyć kocha;
Jeżeli słaba, każdy wraz powie,
Że mąż niewiele dba o jéj zdrowie;
Gdy w domu nieład, świat go obwini:
Że skąpiec, sknera. Co bądź uczyni,
Wszystko biédnemu idzie na szkodę.
O! bo umieją na młyn swój wodę
Obracać dzisiaj wszystkie kobiety.
Bóg dar wymowy dał im niestety,
Trzebaż go użyć!

(*Nalewa kielich*).

No Stasiu drogi,
Niech żyją święte domowe progi!
Trąćmy kieliszki!

(*Pije.*)

STANISŁAW.

Wiész, że nie piję.

PAN MICHAŁ (*do siebie*).

Radbym w proch zdeptał nikczemną żmiję,
Co wszystko święte chce zbluzgać jadem.

(*Głośno do Stanisława.*)

Nie gardź mój synu ojców przykładem:
Żyj jako oni przed laty żyli!

ADOLF.

Pij, jako twoje naddziady pili!
Wiwat! niech w późne lata prawnuki
Zechcą korzystać z ojców nauki.

(*Piją.*)

PAN MICHAŁ.

Tfu! do szatana! Mój panie młody,
Miały swa *ale* wszystkie narody,
Bo doskonałość Boga udziałem:
Człek duchem silny, lecz słaby ciałem,
Lgnie więc ku złemu, jak na lep mucha,
Kiedy mu szatan szepnie do ucha.
Bóg nam już stare policzył grzechy,
Co je znieważać głupiemi śmiechy?

Oneć nie wrócą: jako w dolinie
Potok już nigdy wstecz nie popłynie.
Niedarmo Noe Chamowe plemię
Przeklął; toż dźwiga niedoli brzemię,
Za urąganie błędom rodzica.
Zawdy znachodzi ludzka źrenica
Źdźbło w oku drugich, gdy w swém nie może
Dopatrzyć belki: toć mocny Boże,
Gorsze dziś błędy toczą was pono,
Nad ową chętkę nieposkromioną,
Z jaką się ojce jęli kielicha!
Brzegi podobno rwie woda cicha,
A ojce głośno pili miód stary,
Radzi trącali czary o czary.
Szlachta się dzbanem raczyła piwa,
Ale podnieta była poczciwa!
Człek rad był oddać serca połowę,
Toż po przyjaźni zakrapiał głowę;
Lecz odurzenia nie szukał w winie,
Jak to w obecnéj czynią godzinie!
Bo po co było durzyć się przecie,
Gdy był w sumieniu czysty jak dziecie.
A dziś do trunku zkąd chętka taka?
Ot piją, aby zalać robaka,
Co się w pierś wgryza i serce toczy.
O! czemuż moje widzą to oczy!
(*Ociera łzę*).

ADOLF.

I moje niby mgła kryje blada,
Powieka jakoś sama się składa;
Zdrzymnę się, kiedy sen oczy klei.
Obiad, butelka, i sen z kolei,
To mi zaprawdę wiejska uciecha,
(*Nalewa i pije*).
Wiwat! niech żyje gościnna strzecha!
(*Rzuca się na kanapę i zasypia. Chwila milczenia*).

PAN MICHAŁ, (*patrząc na Adolfa z założonemi rękoma*).

Podły nikczemnik! licha gadzina!
Zatop co rychléj w szklanicy wina
Resztę rozumu, byś zgubnym jadem
Nie zganiał braciom, nad czołem bladem
Aniola, co im stróżuje zcicha.
Gdzie gad przypełznie, trawa usycha!
(*Do Stanisława*).
Owoż zgaduję, czemu tęsknota
Znaczy twe lica:—Bóg strzegł od błota

Zacne twe serce. Pokrzepion wiarą,
Chowasz w niém na dnie poczciwość starą.
Jednak wiejące z zewnątrz zwątpienie,
Świat Boży w mroczne otacza cienie.
Źle miły Stasiu! niegdyś ojcowie,
Co mieli w myśli, jawili w słowie;
Otwartość była świętą ich cechą,
Każdy się dzielił bolem, pociechą,
A serca bratnie były gotowe
Przyjmować zawdy bolu połowę.
Lżéj się więc snuło życia przędziwo,
Gdy człek miał w pomoc rękę życzliwą.
Dziś każdy równo: w doli czy biédzie,
Zdala od drugich samopas idzie.
Toż nie dziwota, że brzemię krzyża
Bezsilne barki ku ziemi zniża,
Zamiast je dźwigać do góry stale.
Szatan zwątpieniem, żywota szalę
Chyli ku złemu; on wam rozumy
Omotał grzesznym obłędem dumy,
Mgłą samolubstwa osnuł was wkoło:
Możeż wam żywot bieżyć wesoło,
Jak starym ojcom zbiegał przed laty?!

STANISŁAW.

Trudno już owéj wetować straty!
Któżby nie pragnął niebieską wiarą
Napełnić serce, a życia czarą
Dzielić się z drugim! Lecz temu biada,
Kto rękę w rękę z ufnością składa,
A owa ręka pchnie go w bezdroże!
Kto dziś niewieście zaufać może?
Gdy próżność, niby robactwo liche,
Toczy jéj serce, i dolę cichę,
Co spromieniała prababek życie,
Zatrutym kałem plugawi skrycie!

PAN MICHAŁ.

Nie wszystkie takie niewiasty pono
Są, co wciąż snują nić nieskażoną
Jak te matrony, co pełne siły,
Wiarą małżonków serca krzepiły.

STANISŁAW.

O! i jam ufał, że znajdę jeszcze
Taką dziewicę; i mnie sny wieszcze
Szeptały o niéj. Jam ją w marzeniu
Ujrzał na ziemi! Jak anioł w cieniu

Ona przewiała nad moją głową!
Jéj to niewinne a święte słowo
Zbudziło we mnie sennego ducha;
Z nią mi spłynęła z niebios otucha.
Owiany tchnieniem mego anioła
Jąłem się pracy, i w pocie czoła
Pnąc się przez szczeble owéj drabiny,
Którą wciąż ludzkie przechodzą syny
Śladem Jakóba; darłem się w górę.
A cicha gwiazda, przez mgły ponure
Lśniła promieniem złudnym nadziei,
Wśród ciężkich życia burz i zawiei!
Przy jéj połysku, jak sokół młody,
Do zdroju żywéj pobiegłem wody,
I pokrzepiłem pierś uznojoną.
A oko moje za mgły osłoną
Dojrzało cuda, o jakich ludzie
Zaledwie w sennéj marzą, uludzie.
I zrozumiałem zaklęte słowo,
Które nad ziemią szepczą jałową
Anieli z nieba; i w piersi własnéj
Czułem z rozkoszą, jak w płomień jasny
Owa się iskra rozżarza wreszcie,
Którą zatliły dłonie niewieście
Drogiéj méj matki, gdy nad kołyską
Pieśń pod tą strzechą śpiewała nizką.
O! jam zawierzył, że także tony
Téj pieśni świętéj, a nieskażonéj,
Głos mi dośpiewa czystéj dziewicy;
Długom w milczeniu i tajemnicy
Chronił uczucie przed ludzkiém okiem;
Wtém moja gwiazda zaszła obłokiem:
O! toż mi ciemno na bożym świecie!

PAN MICHAŁ.

Żal mi cię szczerze! Owóżto dziecie,
Są inne gwiazdy jeszcze na niebie,
Co Bóg je właśnie chowa dla ciebie!

STANISŁAW (*z zapałem*).

O tak! zaprawdę świeci ich siła!
Choć się więc moja gwiazda zaćmiła,
Ja nie rozpaczam, czując jak w myśli
Coraz to szersze koło się kryśli!
O! chwilę jeszcze, a Bóg pozwoli,
Że już o własnéj niebacząc doli,
Zgodzę się z wiarą, że żyć mi trzeba
Jeno dla prawdy, jeno dla nieba.

PAN MICHAŁ.

Bóg nie wypuści nigdy z opieki
Tych, co ufają! Toż bracie młody
Wróć do rodzinnéj twojéj zagrody.
Dość zaczerpnąłeś mądrości świata;
Siądź pod tą lipą, co mnogie lata
Słoni twych ojców strzechę ubogą.
Tu Bóg ci wróci otuchę błogą,
Tu gdy użyjesz wczasu po pracy,
W polu pieśń tobie zanucą ptacy,
A szum dąbrowy wiatr ci przyniesie:
I będziesz śpiewał, jak w Czarnolesie
Śpiewał przed laty Jan nieśmiertelny!
Powiew rodzinny, czerstwy a dzielny,
W piersi twéj płomień rozżarzy snadno;
Tu zdradne żmije cię nie owładną,
I wszelka z serca ustąpi trwoga.
I lepiéj bracie pokochasz Boga,
I dobrych ludzi uczcisz prostotą;
A Bóg ci może znów gwiazdę złotą
Zatli na niebie w wieczornym mroku.

STANISŁAW.

Ona nie błyśnie już memu oku!
Lecz chęciom twoim stanie się gwoli,
Zacny mój wuju. Może powoli
Czas ukołysze zcicha me rany,
I wróci duszy spokój nieznany.
A duchy ojców płynąc w milczeniu
Nad ową strzechą, po gwiazd promieniu,
Wskażą méj myśli nowe obszary,
Skrzepią zwątpiałą u zdroju wiary;
Aż wyzwolona, orlemi loty
Wzleci nad ziemskie burze i słoty.

PAN MICHAŁ.

O! wierz mi synu, z własnego proga
Najsnadniéj człeku trafić do Boga!

VI.

Dworek w Woli.

W niewielkim pokoju ogień płonie na kominie; przy stole siedzi pani Natalia, kobieta w średnim wieku, wytwornie ubrana; obok niéj Helena z robotą w ręku. Nieco opodal siedzi pani Adamowa, i w milczeniu przysłuchuje się rozmowie.

P. NATALIA.

Zastanówże się tylko Halino:
Marnie dni twoje wkącie tym spłyną.

Będziesz Halino, istną królową,
Bo w dłoni berło odzierzysz mody.

HALINA.

Próżność nie spłaci błogiéj swobody,
Jaką ten tylko zachować umie,
Kto szczęścia w marnym nie szuka tłumie,
Ale po Bogu w pracy, w prostocie!

P. NATALIA.

Czcze to są słowa! Przecież i w złocie
Dziwna ponęta jasno nam świeci.
Kędy chęć jeno bystra doleci,
Wszystko za złoto naszém się staje:
Z niém, w lot dalekie przebiegniesz kraje,
Uzbierasz wiedzy zasób bogaty;
Myśl twoja nowe ogarnie światy.
Gdy zwiedzisz mnogie przybytki sztuki,
Owiana blaskiem sławy, nauki,
Dźwiękiem lub pędzlem, alboli w rymie,
Unieśmiertelnisz własne twe imie!

HALINA.

A wraz zapomnę prostoty staréj,
Cichéj modlitwy i świętéj wiary!
O nie! tych słusznie Pan Bóg ukarze,
Co cudzym Bogom stawią ołtarze,
Gdy tyle ziemi leży odłogiem
Do uprawienia przed własnym progiem.
Wszak tylko ziarnu w rodzinnéj roli
Bóg w kłos się bujny rozrość pozwoli,
Ku pożytkowi dla ludzi braci.
On sam tym żeńcom hojnie zapłaci,
Którzy z pokorą, w poczciwéj wierze,
Domowe plony zbierają szczerze.

P. NATALIA.

Nie ma więc rady! Zatém Halino,
Cieszże się cichą swoją doliną;
Ale pamiętaj, że gdy do świata
Znudzone serce znów zakołata:
Świat twe odtrąci przekwitłe wdzięki.

HALINA.

Ja nie wyciągnę daremnie ręki
Po marne hołdy i czcze oklaski.

P. NATALIA.

Chwytaj więc prawdy mniemanéj blaski,
W kraj mglistych marzeń puść myśli wodze.
Życzę ci szczęścia na owéj drodze:

Wolę ja złudy poszukać w świecie.
Żegnam cię, żegnam niebaczne dziecie!

Wychodzi rozgniewana; pani Adamowa i Helena wyprowadzają ją do sieni. Po odjeździe ciotki, Halina zasiada przy ogniu i duma. Pani Adamowa pogląda na nią w milczeniu.

PANI ADAMOWA (*po chwili*).

Coś mi tak zbladła, Halino droga?
O moje dziécię, wyznaj na Boga,
Co tak twe serce gniecie boleśnie!
Czemuż swoboda pierzchła przedwcześnie
Z twojego czoła? Czyż świat o tyle
Zmącił już twoje poranne chwile,
Że nawet ciche domowe progi
Nie mogą wrócić pogody błogiéj?!

HALINA.

O! nie świat tylko skłócił mi życie!
Dawno je smutek zamąca skrycie.

PANI ADAMOWA.

Czemuż mi boleść twoja nieznana?
Wyznaj ją wreszcie, córko kochana!
(*Halina tuli się w objęcia pani Adamowéj*).
Ale co tobie? Ty drzysz.... o Boże!
Czyż drogi życia nikt przejść nie może,
By stóp nie skrwawił o ostre ciernie?

HALINA.

Wszystko ci matko opowiem wiernie.
Ależ to boli. O! ciężko boli!

PANI ADAMOWA.

Zdawna mi powód twojéj niedoli
Wiadomy, dziécię! Toż ból twój dzielę,
Bom i ja w życiu cierpiała wiele.
Zgadłam ja zrazu, co cię skłoniło,
Żeś opuściła twą strzechę miłą!
Czyś go widziała?....

HALINA (*nieśmiało*).

Tak..... raz jedyny!

PANI ADAMOWA.

I czyliż nie wiész, z jakiéj przyczyny
On cię unikał?....

HALINA.

Nie, matko droga!
Ależ mię dotąd przejmuje trwoga,

Gdy wspomnę, jakiem zmierzył mnie okiem.
Czoło mu chmurnym zabiegło mrokiem,
Dziwnie mu zwiędłe pobladły lica;
Tylko spłonęła ogniem źrenica.
O! jam w przelotną dostrzegła chwilę
Tyle boleści i wzgardy tyle
W owém spojrzeniu, że dotąd jeszcze
Wskróś mnie tajemne przechodzą dreszcze.
Tego wspomnienia, nic już nie zatrze!...

Pomnę! było to wieczór, w teatrze,
A grano dramat nieznany, nowy,
Pełnemi ognia kreślony słowy!
Mnie zrazu dziwne przeczucie tknęło!
O! jam odgadła, czyje to dzieło.
Już on niemałą pozyskał sławę.....
Już świat ocenił to serce prawe
I owe pióro dzielne i lotne!
Już mu składano hołdy stokrotne....
Już imię jego wtórzono z cześcią;
A jam uczuła dumę niewieścią,
Pomnąc, jak niegdyś na moje słowo,
W wieczór sobótki, z płonącą głową
Pobiegł paproci szukać do lasu.
O! on ją znalazł!

Gdy wśród hałasu
Znane mi dobrze imię zabrzmiało:
Silniéż z radości serce mi drzało!
Spojrzałam: on stał wsparty o ścianę.
Dziwną w nim zrazu dostrzegłam zmianę:
Zdał się poglądać z wyrazem dumy,
Na owe głośno klaszczące tłumy;
A potém oko zatopił we mnie,
Jakby mnie w myśli przeklął tajemnie!

I młody hrabia był w loży ciotki;
A już dokoła krążyły plotki,
Że o mą rękę zabiegi czyni.
Kto wié, czy on mnie błędnie nie wini,
Że mnie światowe blaski znęciły,
Że méj próżności ów odmęt miły,
W którym tak duszno było mi przecie!
Kto wié, czy żyjąc na nowo w świecie,
On nie zatraci znowu pomału
Owéj płomiennéj iskry zapału,
Co w każdém słowie jego jaśnieje.
Wiém, jak chłód dziwny, co z świata wieje,

Serca gorące powoli studzi;
Jaką niewiarę zaszczepia w ludzi,
I póty święte uczucia ziębi
Aż człowiek lodem skrzepły do głębi,
Nie śmiejąc oka zwrócić od siebie,
W mgle samolubstwa sam się zagrzebie.

PANI ADAMOWA.

O! nie, dla ludzi on nie stracony:
Przecież w rodzinne powrócił strony!

HALINA.

On? droga matko! byćże to może?

PANI ADAMOWA.

Tak, moje dziécię: wyroki Boże
Wszystko na dobre obrócić mogą.

HALINA.

Jednak mnie dziwną przejmuje trwogą
Owo spojrzenie, pogardy pełne!

PANI ADAMOWA.

Wszak czyje serce nieskazitelne,
Ten się pogardy nigdy nie lęka!
Niewinnych strzeże anioła ręka!

HALINA.

O! matko, pomóż, niechaj zagłuszę
Niepokój, co mi zamącił duszę....
Czyż on zwodnemi łudził mnie słowy?
I któż mi kazał snuć z własnéj głowy
Pajęczą przędzę ułudy sennéj,
I ścigać myślą on blask promienny
Jego spojrzenia, gdy mnie wieczorem
Tam, przy ognisku, żegnał pod borem!
Ratuj mnie matko! skrzep mnie na sile,
Powiedz co czynić, gdy ciężką chwilę
Przetrwać potrzeba!

PANI ADAMOWA.

Modlić się dziecie!
To broń jedyna, jaką kobiecie
Przeciwko złemu, Bóg z nieba zsyła.
W modlitwie była prababek siła!

VII.

Urodziny.

Wiosna zbudziła ze snu dolinę.
Ciepły jéj powiew rozwiał mgły sine,

Co się skrzepłego czepiały łona.
Kwiatem murawa błysła zielona,
Brzozy nadobne przywdziały szaty;
Tylko dąb zmszony a rosochaty,
Wznosząc do góry krzywe konary,
Doświadczon laty, nie dawał wiary,
Czy znów nie zadmie zima chwilowo:
I tylko nagą potrząsał głową,
Patrząc na ufność drzewiny młodéj,
Co się przybrała wcześnie na gody.

Młoda Halina w tęsknéj niedoli
Ukołysana wiarą powoli,
Jak kwiat zabłysła z wiosną na nowo.
Choć nie tak lica kwitły różowo,
I nie tak oko płonęło młode,
I mgły osnuły hożą urodę;
O! ależ było odgadnąć snadno,
Że wnet przelotne mgły owe spadną,
Gdy je słoneczny promień rozprószy!
Znać hart niemały w dziewiczéj duszy:
Bo choć ją boleść zgniotła na chwilę,
Znowu o własnéj powstała sile,
Podniosła głowę; a trud codzienny
Zagrodził pole ułudzie sennéj,
By w rzeczywistych dni jéj kolei,
Nie tchnęła blaskiem marnéj nadziei,
Co człeku próżno życie okłamie,
I tylko dzielne zbezwładnia ramie!

Ależ jéj lśniła nadzieja owa,
Którą Bóg jeno wybranym chowa,
Gdy w niezmąconéj żyją pogodzie:
Podobni żywéj strumienia wodzie,
Co wciąż odbija o łono czyste
Promienną zorzą niebo gwiazdziste.
A gdy widnokrąg chmura osłoni,
Cień jego przemknie po wierzchu toni,
Ale czystego nie skłóci zdroju!

To téż Halina pełna spokoju,
Z wiarą się wyższéj poddaje woli,
Pewna, że jeźli Bóg jéj pozwoli
Odżyć pociechą; On ją z wysoka
Żegna opatrznym promieniem oka!
A jednak czasem, gdy zorza z góry
Zapali bystre łożysko Bzury;
Kiedy zachodni promień wieczorem,

Zawiśnie łuną nad blizkim borem:
Ona wybiegnie zcicha za wrota,
Patrzy w świat Boży, i myślą mota
Pasmo złocistych owych promieni,
Co po szerokiéj świecą przestrzeni.
I myśli: czemu, gdy wkoło jasno,
Jéj tylko w duszy pusto, a ciasno?
I spojrzy, kędy w powietrznéj fali
Szarzeje mała wioska w oddali.
Czasem jak widmo, ptakiem po błoniu,
Przeleci jeździec na białym koniu;
Niekiedy silniéj wiatr poruszony,
Przyniesie pieśni urwane tony.
I znowu pusto, głucho dokoła,
Jeno tajemnie skrzydło anioła
Koi dziewicy smutek i trwogę,
I w rzeczywistą zwraca ją drogę!
I wnet ku wiosce idzie z nad rzeki,
Leczyć niemocą zdjęte kaleki,
Powiedzieć smutnym słowo o Bogu,
Ducha zbłąkanych dźwignąć z barłogu.
I dni jéj w cichym spokoju płyną,
Jak wody Bzury kwietną doliną.

Nie doszedł pono takiéj swobody
W poblizkiéj Wólce, Stanisław młody:
Choć on z pod lipy, co dworek cieni,
Ściga gasnących odblask promieni:
Przecież mu w głębi duszy ponuro!
Jakby mu przyszłość zabiegła chmurą!
Darmo jak sokół radby lot śmiały
Wzbić pod obłoki, lub z szczytu skały
Patrzeć na łzawą a tęskną ziemię:
Skrzydła mu dziwne przygniata brzemię,
I nie dozwala bystremi pióry
Prosto ku słońcu lecieć do góry.

Za to ochoczo pan Michał stary
Krząta się wkółko, szczęśliw bez miary,
Bo już niepłonną żywi nadzieję,
Że Stasio doma miejsce zagrzeje.
Toż stary chętnie wszystkiemu radzi:
I z wiosną kwiaty w ogrodzie sadzi,
I w cieniu lipy, po dziennym znoju,
Obok bratanka marzy w spokoju.
Niekiedy milcząc porusza głową,
Czasem poszepnie modlitwy słowo.

Aż raz wieczorem zwolna zagadnie:
— „Słuchajno Wasze, owoż niełądnie
Jak niedźwiedź w jamie przykucnąć doma.
Zażyłość z ludźmi, to rzecz wiadoma,
Zawsze na dobre wychodzi człeku:
Owoż w Waszeci należy wieku
Chwilę rozrywki skosztować przecie."

— „Dość już bujałem jak ptak po świecie"—
Rzecze Stanisław:—„chcę dziś po Bogu
Kosztować ciszy w domowym progu.
Choć mi poranne nie zbiegły lata,
Ciężkie mi brzemię barki ugniata!"
— „Pleciesz mi Wasze, jak on Piekarski!
Patrz na mnie: tociem silny a dziarski,
A czyliż mniemasz, że w żywot cały
Ręce te wianki jeno splatały?
O! nie, mój bracie: i moje oko
Nieraz mi zaszło łzawą pomroką,
Niejednąm do dna wychylił czarę;
Alem miał w piersi głęboką wiarę,
Ta mnie ustrzegła, żem z ciężkiéj doli
Zawdy po Bogu wybrnął powoli.
I dziś choć stary, nie biadam wcale:
Co człeku marne pomogą żale?
Snadniéj odwrócisz fortuny koło,
Gdy na świat Boży patrzysz wesoło,
Choć serce boli."

I spojrzał stary
Het, na zasłane żytem obszary.
I milczał chwilę; potém powoli
Ukazał dworek w poblizkiéj Woli.
— „Toć—rzecze—Stasiu dziś urodziny
Naszéj sąsiadki, miłéj Haliny.
Wartoby było zajrzeć tam przecie:
Wszak nienależy chybiać kobiecie.
Już tydzień pono dobiega piąty,
Jakeś powrócił w rodzinne kąty.
Wszak ojce Wasi, społem wiek młody
Wśród niezmąconéj przeżyli zgody:
Niejednę soli spożyli beczkę.
Wreszcie, rodzice twoi, dziéweczkę
Do chrztu podali niegdy, przed laty:
Toż nie wypada, bratku, zakaty
Tak bez przyczyny zrywać ogniwa,
Któremi ojców przyjaźń życzliwa
Wiązała długo"...

— „Lecz wuju drogi—
Rzecze Stanisław—wszak obce progi
Zapóźno w owéj odwiedzać porze."
— „Co Wasze gadasz: nim zajdą zorze,
Przemkniem doliną lotem do Bzury."
— „Lecz się na niebie gromadzą chmury,
Wichura świszcze: będzie ulewa."
— „Zawsze się Waszeć złego spodziewa!
Otóż z młodemi Boże skaranie:
Cóżto, czy z cukru jesteś mospanie?
Czyliż się Wasze od deszczu stopi?
Wyrwał się niby Filip z konopi!
Mamże się stary wstydzić bratanka?
Co kiedyś rzecze Waści bogdanka,
Jak ją mieć będziesz, że na zaloty
Nie chciałeś jeździć w dnie dżdżu i słoty?"

— „Jużto nie dla mnie pono te gody!
Nie chcę zamącać błogiéj swobody,
Ani krępować polotu myśli.
Biada poecie! skoro zakreśli
Duchowi swemu zbyt ciasne szranki!"

— „I ptastwo buja w majowe ranki,
A potém rade ciągnie do gniazda":—
Rzecze pan Michał.

— „Raz tylko gwiazda
Pełnym urokiem zabłyśnie człeku,
W błogosławionym młodości wieku"—
Odrzekł Stanisław, skłaniając głowę—
„A kiedy zawód splącze osnowę
Złotéj ułudy: czyż nie szalony,
Kto płomień święty a nieskażony,
Co w czystém piersi ognisku tleje,
Pragnie przyoblec w ziemską nadzieję!"

— „Ej! mój kochany! Wszechmocna władza
Wszystko na Bożéj ziemi odradza!
Zda się, że zimą kwiaty zakrzepły,
A niech wiatr jeno zawieje ciepły,
Znów pełne świeżéj woni a krasy,
Barwią nadobnie pola i lasy!
Mnogie ja lata przeżyłem synu:
Wiem, że nad cudny wieniec z wawrzynu
Bywa cudniejszy i milszy Bogu
Ten, co człek wije w domowym progu,
Kiedy mu strzechę rozjaśni nizką
Strzeżone czystą ręką ognisko;

A gdy je dziatki obsiędą wkoło,
Wtedy to człeku doma wesoło,
Choć Bóg dopuści zamieć i słotę!
Jan z Czarnolesia miał swą Dorotę,
Przecież podziśdzień świat sławi pono,
Wielkiego piewcy lutnię natchnioną!"
—„Legły w grobowcach one białogłowy,
Co chodowały płomień domowy
Ręką przeczystą—młodzian odpowie.—
Inna rzecz dzisiaj kobietom w głowie:
Próżność im zwolna wystudza serce,
W słabéj już ledwie płonie iskierce
Prababek wiara, z któréj przed laty
Wieniec żywota snuły bogaty.
Dziś płomień z serca zbiegł im do głowy:
Każda zwodnemi tumani słowy,
Gotowa wszelką spełnić ofiarę.
Lecz połóż tylko niebacznie wiarę,
Zaufaj sercem szczerém a młodem;
Wnet je grobowym owieje chłodem:
Bo próżność serce w niéj zastudziła,
A w sercu tylko kobiety siła!"
—„Jest złe i dobre na Bożym świecie.
Owożto Waszeć trzy po trzy plecie,
A słonko schodzi pomału z nieba;
Toż się co żywo zabierać trzeba."
—„Ależ mój wuju!"
—„Żadnego ale!
Słusznych powodów nie widzę wcale,
Żeby uchybić zacnéj dziewoi;
Chyba się Wasze nie żartem boi,
By nie urzekło oczko Haliny!"
—„O! do obawy nie mam przyczyny.
Serce me dawno okulem stalą:
Żadne uroki już nie zapalą
Ognia, co niegdyś tlił w piersi młodéj,
Aż go zgasiły mnogie zawody.
Już ja się wuju czarów nie boję:
Gdy chcesz, wypełnię życzenie twoje.
Daléj więc na koń,—jedźmy do Woli!"

I wybiegł żywo. Stary powoli
Poruszył głową, pokręcił wąsa:
—„Oj! coś się chłopak nie żartem dąsa
Na ród niewieści (poszepnął zcicha);
Musiała mu tam któraś do licha
Zalać za skórę. Toć jako żywo,
Prędzéj czy późniéj wyszumi piwo!"

I łzawém okiem objął świat Boży,
Zrumienion w blaski gasnącéj zorzy.

* * *

Chyżo dwaj jeźdzce pędzą przez pole,
Za nimi drobne zdąża pachole.
Jadą przez rowy, miedze i żyta,
I tylko końskie tętnią kopyta;
A gdy się krzemień zetrze ze stalą,
Czasem się lotne iskry zapalą
I w chwili gasną. A ponad głową
Niebo się barwą słoni różową;
Chmurki by ptastwo strzępione złotem,
Z zachodniéj strony pierzchają lotem.
A słońce pysznym blaskiem purpury,
Rumieni ciche łożysko Bzury.

Oj dziwnież bije serce młodziana!
W duszy mu dźwięczy pieśń zapomniana,
I chciwie chwyta powiew doliny,
Kędy swéj wiosny przeżył godziny,
A wiatr mu chłodzi skronie płonące.
Zcicha mkną konie po miękkiéj łące,
Tylko niekiedy wiatr przerwie ciszę,
Gdy staréj olchy szczyt zakołysze.
Czasem słowicza piosnka doleci,
Lub na piszczałce chłopie zafleci.
I znowu cicho; a tuż przed okiem,
Owiana sinym dymu obłokiem,
Coraz się wdzięczniéj wychyla Wola,
Wkoło zasłana w pszeniczne pola.
Widzi Stanisław krzyż na rozstaju:
Tamtędy z Halką biegał do gaju;
I widzi wzgórze pode wsią blizko,
Gdzie sobótkowe lśniło ognisko.
I krew zawrzała w młodzieńczém łonie.
Wtém oba jeźdzce wstrzymują konie,
A mała łódka czeka nad Bzurą;
Czoło młodziana zachodzi chmurą.
Dziwnąż on walkę sam z sobą toczy!
Ale rad nie rad zawraca oczy
W stronę, gdzie dworek bieleje szary,
Skryty w jaworu bujne konary;
I silniéj serce uderza młode,
I dzielniéj wiosłem porusza wodę.

Pan Michał milczy, i tylko w myśli
Plany na przyszłość powoli kryśli.

Owóż i łódka stawa powoli.
Młodzian spogląda na dworek Woli,
Lecz na podwórku ni żywéj duszy:
Tylko bociany siedzą na gruszy,
I cichéj wiosce stróżują z góry;
Tylko się sroży Zabój ponury,
Warczy, bo obcych czuje zdaleka,
Za wrota bieży, i groźno szczeka.
Lecz gdy starego poznał sąsiada,
Wraca, i zcicha w budzie zasiada.

Dziwnież pobladły lica młodziana!
Patrzy: o! mała zaszła tu zmiana!
Tylko cokolwiek zapadł dwór stary,
Tylko jaworu nieco konary
Wybiegły w górę nad strzechą nizką;
Bo téż spłynęło ćwierć wieku blizko
Odtąd, jak społem dzieciny hoże,
W wesołym niegdyś pląsały dworze...

Większe on w sobie dostrzega zmiany:
Jemu pierzchł urok życia wiośniany,
Jemu sieroctwo nad czołem młodem,
Niby mogilnym powiało chłodem.
O! toż nad sobą westchnął głęboko,
I łzą mu jasne zabiegło oko!

VIII.

Spotkanie.

(*Ogród w Woli. Pani Adamowa i Halina siedzą obok siebie w altanie bluszczowéj*).

PANI ADAMOWA.

Jużeś spokojna, Halino droga,
Bo ciebie ręka dobrego Boga
Stale dźwignęła; już duch twój, dziecie,
Krąży wysoko w wybranych świecie.
Bolem ochrzczona u łaski zdroju,
Znów w niezmąconym żyjesz spokoju;
Nie w tym spokoju bezwładnéj duszy,
Gdy zdrój uczucia boleść osuszy:
Lecz w tym, co zsyła człeku duch Boży,
Kiedy się milcząc w cierpieniu korzy.
Tyś już szczęśliwa!..

HALINA.

—Tak, nieinaczéj:
Gdy Bóg boleścią duszę naznaczy,

Już ją wytrąca z zwykłéj kolei
Lśniąc jéj odblaskiem wyższéj nadziei;
Jeno kto ulgnie w grzechu a dumie,
Ten się cierpieniem podnieść nie umie!
Bo tylko kornych, na skrzydłach wiary
Co wznosi boleść w niebios obszary,
Kędy anieli tony srebrnemi
Szepczą pociechę stęsknionéj ziemi!

PANI ADAMOWA.

Już się nie lękam, dziécię o ciebie:
Kto jeno szuka nadziei w niebie,
Ten się zawodu lękać nie może:
Wszak przyrzeczenia nie mylą Boże!
(słucha)
Ale czy słyszysz jak Zabój szczeka?
Zda się głos obcy słyszę zdaleka.

HALINA (*blednąc*)

Obcy? nie matko!

PANI ADAMOWA.

To bez zawodu
Zacny pan Michał. Już od ogrodu
Uchyla furtkę: widzę go przecie,
Lecz jest ktoś drugi.
(*patrząc bacznie na Halinę*).
Co ci to dziecie?
Drzysz mi jak listek!

HALINA (*zcicha*).

—Nic matko droga.
To on!

PANI ADAMOWA.

Stanisław? Dziécię na Boga,
Zbierz całą siłę!
(*Wchodzi pan Michał, za nim Stanisław*)

PAN MICHAŁ. (*oddając Halinie wiązkę kwiatów*).

— Panno Halino!
Niechaj ci życia chwile upłyną,
Jakbyś z tych kwiatów wianki zwijała!
Daruj, że taka wiązeczka mała:
Niech słonko ciepléj błyśnie na niebie,
Więcéj ich pono zerwę dla ciebie.

HALINA.

O! czyż to mało! Dziękuję szczerze!

PAN MICHAŁ (*do pani Adamowéj*).

Może w piękniejsze pani ubierze
Nadobną główkę panny Haliny:
Wszakże to dzisiaj jéj urodziny!
Niech jak królowa wystąpić raczy.
Lecz co ta bladość na licu znaczy?
Co jéj być może?—

PANI ADAMOWA (*przypinając kwiat nad czołem Haliny*).

—Nic, dobry panie,
To wnet przeminie!
(*do Haliny*)
Pójdźmy kochanie,
Pokażem panom też nasze kwiaty.
Wprawdzie ich zasób niezbyt bogaty,
Jeno pod dworkiem, od wschodniéj ściany,
Rankiem zakwitły dziś tulipany.
(*Idzie naprzód z panem Michałem. Halina powstaje zwolna, Stanisław patrzy na nią*).

STANISŁAW (*nieśmiało*).

—Czyż przyjmiesz pani moje życzenia?
(*Halina blednieje coraz bardziéj*)
Zkąd taka bladość lica twe zmienia?
Co tobie pani?
(*Halina chce mówić, ale nie może*)
Powiedz!

HALINA (*zcicha*).

To minie!

STANISŁAW.

Czyliż wspomnienie, jak tu w dolinie
Niegdyś swobodne biegły nam lata,
Tak cię przejęło?
(*po chwili*)
O! bo utrata
Owéj niewinnéj serca prostoty,
Co życie w promień barwiła złoty,
Musi nas boleć!...—

HALINA.

Tak, ani słowa:
Choć kto ją w własnéj duszy dochowa,
Przecież nad temi boleję szczerze,
Co się wdziecięcéj zachwiali wierze!

STANISŁAW.

O! tak, zapłakać nad temi warto,
Co niegdyś śmiało z duszą otwartą,

Z niepokalaną wiarą dziecięcia,
Świat ogarniali w własne objęcia,
Aż nim pomału ciężkie zawody,
Cień rozpostarły na duszy młodéj!

HALINA.

Czas może cień ten rozwiać im z czoła.

STANISŁAW.

Prędzéj przeczysta ręka anioła.
(*Halina patrzy na niego z niedowierzaniem*)
Ty patrzysz na mnie z pogardą, pani!
O! dziwnież wzrok twój mą duszę rani!
Bo dotąd pomny, jak tam pod borem
Spojrzałaś wdzięcznie, kiedy wieczorem
Po kwiat cudowny pobiegłem z wiarą,
Gdyś roznieciła powieścią starą
Iskrę w méj piersi świętą, a jasną;
Jam ukorzony nicością własną
Poprzysiągł sobie wonczas tajemno,
Podnieść się duchem nad przestrzeń ciemną,
Gdzie się błąkała myśl ma uśpiona....
I wyciągnąłem z wiarą ramiona
Po promień światła; i czułem skrycie,
Jak się roznieca nieznane życie
W młodéj méj piersi gorącém tchnieniem.
I kołysany błogiem marzeniem,
Że kiedyś plony mych trudów, może,
Przed stopy twemi z radością złożę:
Jąłem się pracy szczerze, wytrwale,
Nie ustawając w świętym zapale.
Jakkolwiek lotne myśli méj skrzydła
Pragnęła podciąć zawiść obrzydła;
Chociaż krążyła burza wokoło,
Jam na pociski wystawiał czoło!
Chwyciłem pióro z dziwnym zapałem,
Z ludzką ślepotą walki staczałem,
I stokroć cięższe z własną niemocą.
Nad ksiąg stosami i dniem i nocą
Ślęczałem pilnie, otuchą wsparty,
Że przecież owe zbutwiałe karty
Cudzych doświadczeń bogate plony,
Ukażą myśli mojéj zemglonéj
Niebieskiéj prawdy święte oblicze!
Czy me nadzieje były zwodnicze?
Nie do mnie sądzić; to wiem, że przecie
Chęci me poklask znalazły w świecie.
Lecz mi poklaski szły mimo ucha,

Bo myśl wznioślejsza krzepiła ducha.
Tyś jéj jedynym była przedmiotem!
Gdy wyobraźnia bystrym polotem
Szukała prawdy po marzeń niebie;
Ja w blask jéj cudny zdobiłem ciebie:
Tyś była gwiazdą mojemu oku,
W któréj czerpałem w nocnym pomroku
Wsparcie i siłę!
Gdy pełen wiary,
Za ciężkie trudy, długie ofiary
Wróżyłem wreszcie nagrodę blizką;
Kiedy myśl moja, tu, nad tą nizką
Strzechą krążyła z dziwnym zapałem;
Wonczas cię w zgiełku świata ujrzałem,
Strojną w klejnoty, piękną, wesołą
Rój cię pochlebców otaczał wkoło;
Mówiono, żeś już hrabiemu rękę
Oddać przyrzekła.
Dziwnąż ja mękę
Uczułem w duszy na owe słowa!
Niby mi ogniem spłonęła głowa,
W oczach mi było straszno a ciemno.
By się rozwarła ziemia podemną,
Mniemałem, że mnie żywcem zagrzebie!
Wonczas spojrzałem zdala na ciebie,
Z gorzkim wyrzutem za bolu tyle,
Za owe w trudzie strawione chwile,
Za potargane sny i nadzieje.
O! bo wiedziałem, jak zgubnie wieje
Powiew światowy na serca młode!
Straciłem odtąd dawną swobodę!
Jeślim pracował, to tak, z nałogu.
Już ni ku ludziom, ani ku Bogu,
Serce, jak niegdyś, z wiarą nie biło:
Zwątpienie chmurą świat mi przyćmiło.
A ludzie rany jątrzyli jadem,
I zamiast zganiać nad czołem bladem
On mrok ponury przyjazną dłonią:
Jeszcze szyderstwa razili bronią.
Wszystko co czyste, jasne i święte,
Przetrwało w duszy rdzą nie dotknięte.
I zatęskniłem do méj zagrody,
Kędy mi błogo ubiegł wiek młody.
Tam myśl znękana i nieudolna,
Pod tchnieniem prawdy ożyła zwolna;
Ale wątpiłem jeszcze o tobie!
Aż raz w pomroku, na matki grobie,

Ujrzałem ciebie jak rzewnie, łzawo,
Mówiłaś pacierz. Twą duszę prawą,
Po téj modlitwie cichéj poznałem.
O! z jakże szczerym wtedy zapałem
Jam cię ocenił, a widząc ciebie,
Jak łzawa szukasz pociechy w niebie!
Czułem twą wyższość, Halino droga!
Chciałem się zbliżyć, lecz dziwna trwoga
Ścięła mi w ustach słowa gotowe,
Jeno w milczeniu skłoniłem głowę,
I gdyby nie to—już skrzepion w wierze,
Byłbym cię wtedy przebłagał szczerze!
(*Podaje jéj rękę.*)

HALINA.

O tak! kobieta przebaczać umie!
Gdy wy zwikłani w obłędnéj dumie,
Wszystko rozumu ważycie szalą;
Kobiety milcząc Bogu się żalą.
A On im zsyła w sierocéj doli
Skarby miłości i dobréj woli!

STANISŁAW (*z zapałem*).

Czyste anioły, co z łona ziemi
Niebios sięgacie skrzydły białemi,
Wykołysane piosenką starą,
Karmione bolem, łzą i ofiarą,
Okryte zbroją wiary dokoła!
Wy z niezmąconą pogodą czoła
Cicho, cierpliwie, w domowym progu
Wieniec niezwiędły wijecie Bogu.
Z łzawą modlitwą unosząc dłonie,
Wy zakładacie w niewinném łonie
Świętéj miłości czyste ołtarze!
Przez wasze cnoty, Bóg kiedyś zmaże
Cień samolubstwa, niewiary chłody,
Co nam powiały po duszy młodéj!
Bądź mi Halino stróżem-aniołem,
Roztocz mi skrzydła nad zwiędłem czołem;
A wnet rozniecim trudy wspólnemi
Zagaslą dolę na Bożéj ziemi!

HALINA.

Tak Stanisławie: skrzepieni wiarą,
Chowając w sercu prostotę starą,
Ujrzym znów gwiazdę nad strzechą własną,
Co niegdyś ojcom lśniła tak jasno!
(*Pan Michał i pani Adamowa zbliżają się zwolna*).

PAN MICHAŁ (*do pani Adamowéj*).

Jam to przewidział. Oj! jako żywo,
Coś już nie patrzą na siebie krzywo.

PANI ADAMOWA.

Zawsze na końcu prawda przez chmury
Blaskiem słonecznym zabłyśnie z góry.

PAN MICHAŁ (*do Stanisława*).

Ponom niedarmo mówił Waszeci,
Że cudna gwiazda rychło zaświeci!

STANISŁAW.

Ona mi zawsze świeciła stale!

PAN MICHAŁ.

Zkądże się brały te wieczne żale
Na zmienność niewiast, na ich niewiarę?

STANISŁAW.

Bo oko moje mgły zćmiły szare,
A nie chcąc własnéj przyznać ślepoty,
Rad zaprzeczałem niewieściéj cnoty.
Dziś się przed prawdy obliczem korzę!

PANI ADAMOWA I PAN MICHAŁ.

O! dzięki Tobie, Wszechmocny Boże!

* * *

Zabłysło nagle słońce z za chmury,
Rumieniąc ziemię barwą purpury;
Rosa unosi tumany woni
Z rozkwitłych wdzięcznie grusz i jabłoni,
A wiatr szeleszcząc zcicha skrzydlaty,
Śnieżne na ziemię otrząsa kwiaty,
I przez błękity powietrznéj fali
Przynosi odgłos dzwonu z oddali.

Klękają wszyscy z pochyłą głową,
I mówią zcicha: „stało się słowo!"
A anioł z góry spływa w milczeniu,
Zaszumi skrzydły, i po promieniu
Gasnącéj zwolna na niebie zorzy,
Do góry płynie znów przed tron Boży.
I czystéj pieśni tony srebrnemi
Zwiastuje Panu: że są na ziemi
Serca, niezgrzęźle w żywota kale,
Co zakon Boży chowają stale.....

***

KRONIKA LITERACKA.

Roczników Polski Klimakter 4. *Obejmuje dzieje Polski pod panowaniem króla Michała, przez Wespazyana z Kochowa Kochowskiego wojskiego krakowskiego, podkomorzego i dziejopisa królewskiego; z łacińskiego tłumaczenie polskie. Z portretem. Wydanie J. N. Bobrowicza. Lipsk. Nakładem księgarni zagranicznéj*, Librairie étrangère. 1853. 8ka. Str. XVI i 382 (textu samego str. 355).

Dawnoto powiedział mędrzec rzymski, że i książki mają swoję historyą (habent sua fata libelli): oto nowy dowód na Klimakterach Kochowskiego.

Uczony Wespazyan z Kochowa odbywszy wojaczkę, (bronił wolności staro-szlacheckich pod chorągwią Jerzego Lubomirskiego, a potém bił się z Turkami, był pod Montwami i Wiedniem), obdarzony od natury zdolnością historyka, wziął się na stare lata do spisywania tego, co widział, żeby pamięć ludzi i wypadków nie ginęła. Pracował ciągle, a co wypracował zaraz puszczał w świat pod imieniem pojedynczych Klimakterów. Piérwszy wydrukował sam w roku 1683, drugi 1688, wreszcie trzeci już za panowania Augusta II, 1698, a wszystkie u Schedla w Krakowie. Te trzy Klimaktery stanowią pełną interesu powieść o panowaniu Jana Kazimierza. Że stary wojski czuł się jeszcze na siłach, zaczął spisywać Klimakter 4 o królu Michale; są ślady kilkakrotne w texcie téj części dzieła, że pracował nad nim w r. 1699, bo już wspomina o wydaniu przez Turków Kamieńca, w skutku pokoju karlowickiego: ale widać już nie zdążył podać swojéj roboty w druk, gdy śmierć nadeszła. To dowodzi, że w miarę tego jak wykończał Klimaktery, nie ociągał się wcale z drukiem: skończywszy panowanie Michała wziąłby się z kolei do Jana Sobieskiego, tém bardziéj, że bohatér wiedeński nie żył w czasie wydania trzeciego Klimakteru, i że jego zawód był skończony. Ale widać, że zaraz

potém umarł, kiedy nawet panowania Michała nie zdążył wydać, choć je zupełnie ukończył. W istocie Ambroży Grabowski opowiada, że Kochowski zakończył życie w uroczystość świętéj Trójcy w Krakowie tegoż roku 1699.

Trzy drukowane poprzednio jego Klimaktery ktoś ze szlachty przetłumaczył na język polski, przerobiwszy po swojemu, to jest dodawszy do jego rzeczy trochę swojego zapału, swoich niechęci, swoich wyobrażeń, nietykając gruntu historyi. Wyszło to na dobre dla Klimakterów, bo przez to unarodowiły się nietylko w języku, ale w samym kolorycie szlacheckim, z czém im daleko więcéj do twarzy: bo Kochowski więcéj przejęty powagą, jaką powinien był mieć historyk, zresztą więcéj od naszego szlachetki tłumacza na wzorach wykształcony, lekko sobie nie cenił wielkiego powołania historycznego, i udawał Tacyta: chciał być zimnym, obojętnym, rozważnym; chciał pisać bez gniewu i zawiści. Tłumacz zaś jego wolałby wylać się na paszkwile, aby dogodzić tylko sercu, aby wylać żółć swoję, zemścić się chociaż pismem na tych, co podkopywali wolność szlachecką, i rany śmiertelne zadawali Rplitéj. Tłumaczenie to Kochowskiego znalazł Raczyński przypadkiem w jednéj z bibliotek poznańskich, i wydrukował je pod tytułem: Panowanie Jana Kazimierza. Po tém wydaniu, tłumaczenie Klimakterów nowe staje się zbyteczne; tém bardziéj, że wolimy Kochowskiego w przerobieniu, jak w dosłownėm, żeby i najlepsze było, tłumaczeniu.

Nie obawiali się więc pracujący nad historyą narodową o trzy dawne Klimaktery, kiedy je sam autor ocalił od zguby; ale obawiali się o stratę czwartego, który długo, bo przeszło aż przez półtora wieku chodził w rękopismie w kilku kopiach. Jedna kopia znajdowała się w bibliotece Załuskich, druga w Dreznie w bibliotece królewskiéj: ta ostatnia zdaje się pochodzi z piérwszéj ręki, bo dostała się w spadku siostrzeńcowi dziejopisa, Wojciechowi Zabielskiemu, który był Jezuitą w Lublinie, a więc zdaje się po wuju rodzonym. W piérwszym tomie swojéj Historyi literatury polskiéj, Wiszniewski w roku 1840 utyksując, że Klimakter ten niewydany jeszcze, bardzo ciekawą treść jego wydrukował (stronnica 85—88), jakby tém zachęcając uczonych polskich i księgarzy, żeby księgę pełną ciekawości wydali. W istocie Bobrowicz, księgarz lipski, wziął się do téj pracy, ale chciał Klimakter wydać po polsku, a nie po łacinie, żeby więcéj upopularyzować wydanie. Znalazł przecie po długich zachodach tłumacza, który dwie księgi przełożywszy, umiera. Nowy kłopot, bo znajomość łaciny coraz u nas rzadsza. Udawał się p. Bobrowicz do tego i do owego, i kilkakrotnych doznawszy zawodów, uprosił wreszcie p. Augusta Mosbacha, że mu wytłumaczył trzecią, czwartą i piątą księgę ostatniego Klimakteru, i przypisami objaśnił (1). Tak więc mogło przyjść do skutku przedsięwzięcie, które nam skompletowało po polsku całe dzieło Ko-

(1) Dziennik Warszawski, 1852 r. Nr. 47.

chowskiego. Zacny wojski krakowski pewno się niespodziewał, że po upływie lat wielu, oryginał jego będą jeść mole, a późne pokolenie czytelników, częścią w apokryfie, a częścią w tłumaczeniu będzie cieszyło się jego Klimakterami. Nie mamy albowiem żadnéj nadziei, byśmy tę czwartą część dzieła Kochowskiego ujrzeli kiedykolwiek drukowaną jak wyszła z rąk autora.

Ale podług nas źle zrobił wydawca, że szukał tłumacza dla tłumaczenia Klimakterów: niechby był poszukał historyka, a literatura miałaby mu za co więcéj podziękować, jak za takie, jakie nam dał wydanie. Poetę tłumaczyć może tylko poeta, historyą tłumaczyć może tylko historyk. Tutaj nie idzie tyle o słowny przekład wyrazów jednego języka na drugi: takiéj pracy podejmie się ladajaki czeladnik literacki; tutaj potrzeba, żeby w przekładzie historyi wiernie zachowały się rysy epoki. Jestto wielki błąd pisać dzieje własnego kraju w języku obcym, a największy w łacińskim. Każde społeczeństwo wyrobiło sobie pewne formy, obrzędy, instytucye, prawodawstwo: a więc wyrobić sobie musiało także własny język obrzędowy i prawodawczy. Rzeczą właśnie historyka jest, żeby wszystko nazywał po swojemu, nie pożyczając do rzeczy sobie nieznanych wyrażeń obcych, niezrozumiałych dla społeczeństwa, które maluje, niemających żadnego znaczenia w obcéj historyi. Kiedy obstalowany tłumacz jaki, przypuśćmy marszałka koronnego nazwie najwyższym marszałkiem państwa: razi to, i bardzo razi, lubo jeszcze niezupełnie zaciera wyobrażenie; ale są jeszcze grubsze błędy. Nasi np. historycy, którzy pisali po łacinie dzieje ojczystego kraju, silili się zastępować wyrażeniami i tytułami łacińskiemi tytuły, których nigdy nie było w państwie rzymskiém; upatrywali więc jakie takie podobieństwo pomiędzy urzędami polskiemi i rzymskiemi: wtenczas bez sensu starostów naszych przerabiali na prefektów albo gubernatorów, regimentarzy w trybunów, kuli wyrazy jakich w łacinie Cycerońskiéj nie bywało, np. dapiferów, pocillatorów. Tąże samą monetą płacili im tłumacze klassyków łacińskich na język polski, którzy znowu w odwet rzymskie urzędy polszczyli. Wargocki powiada np. że w Rzymie burmistrzowali, tojest byli konsulami, Ceraz, Pompeusz, a Ganimedes u nich był zawsze stolnikiem czyli podczaszym Jowisza. Jestto śmieszność. Historya danego narodu pisze się dobrze, i w całym rozwoju, w całéj szczerości, li tylko w języku tego narodu. Ztąd daleko logiczniejsi byli owi Francuzi dworscy za Jana Kazimierza albo Sobieskiego, którzy o sejmach polskich i kłótniach domowych pisali: czuli oni to dobrze, że obyczajów i uroczystości naszego narodu w swoim języku dobrze nie wyrażą, albo wyraziwszy, dadzą swoim ziomkom o rzeczy złe wyobrażenie. Ztąd w tekscie francuzkim zawsze pisali po polsku szopa, koło i t. d., uważając te wyrazy za techniczne nie do tłumaczenia. Pozwalali tylko sobie pisać diete, dietine, tojest wyobrażenia rzeczy więcéj utarte. Oddajmy im

choć pod tym względem sprawiedliwość; sądzili o nas ze swego stanowiska, to prawda, ale niezawsze rozmyślnie przekręcali fakta.

Przerobienie szlacheckie i polskie owych trzech Klimakterów, które wydał Raczyński, jest przewyborne, i nie mgło być inaczéj. Kontuszowy autor polski znał Rplitę, prawo polskie, historyą i całą obrzędowość swojego narodu. Żyjąc wśród świata, który żył jeszcze, nie dziw, że przejął się nim, że go znał, że dlatego rzeczy nazywał po swojemu: okupił więc zupełnie błąd Kochowskiego i dał nam dzieło swojskie, piękne i narodowe. Ale nie tak się rzeczy mają z tłumaczeniem Klimakteru ostatniego. Ani piérwszy pracownik p. Bobrowicza, którego z nazwiska nie znamy, ani pan Mosbach nawet nie miał najmniejszego prawa brać się do nie swojéj rzeczy, bo nie obeznał się z przeszłością do tyla, żeby nie popełniał licznych anachronizmów, które wprawdzie niekażdego czytelnika rażą, ale zawsze błąd o przeszłości rozszerzają. Klimakter czwarty polski nie jest to wcale studyum narodowe, ale, że tak się wyrazimy, jestto wolny przekład poety; przekład, który o tym poecie nie daje wcale wyobrażenia. Jużcić fakta tutaj zostały, bo je wytłumaczyć łatwo, ale za to znikł koloryt.

Piérwszy tłumacz musiał być świadkiem publicznego życia naszego od roku 1806—1830, albo przynajmniéj studyował to życie, bo pojęcia i zasady księztwa Warszawskiego i Królestwa poznać w nim zaraz od piérwszego rzutu oka, choćby się tego wypierał, a pan Mosbach poszedł krok w krok za piérwszym tłumaczem. Tak więc obadwaj życie Rzplitéj i Michała Korybuta wykuli w ramach, które bynajmniéj do Polski dawnéj nie przystawały. Nie nazywali rzeczy po swojemu językiem historycznym i spółczesnym epoki, ale językiem epoki na którą patrzali: ztąd czytelnik niewtajemniczony w historyą, nabędzie z ich tłumaczenia skrzywionych pojęć o epoce, a historyk co chwila gniewać się musi. W nich występuje zawsze zamiast rady senatu jakaś rada stanu, a czasami, co gorzéj, bo nawet nie podług aryngi księztwa Warszawskiego, rada państwa. U nich zawsze występują legie, podporucznicy, szwadrony, a Krasiński jest gubernatorem Warszawy, w roku 1609! Król u nich posyła nie uniwersały do województw albo na sejmiki, ale okolniki do rad wojewódzkich. W izbach senatorskiéj i poselskiéj mają głos pierwsi prezesi (to po francuzku znowu). Jest u nich sekretarz senatu i są raporta rady stanu. Jest i biurokracya nieznana w dawnéj Polsce, bo Sobieski na jakiś sejm przyprowadził cały tłum urzędników cywilnych. Są i takie bezsensa jak np. pułk dragonii zwany artyleryą. Jest nareszcie stan trzeci, nazwisko francuzkie; ale myliłby się każdy, ktoby przez stan trzeci rozumiał to, co we Francyi rozumié się przez ten wyraz: stan trzeci w Polsce jestto poprostu szlachta niemagnaci, tojest niekoniecznie szlachta zagrodowa, zaściankowa, ale stolnikowie, cześnikowie, chorążowie i t. d. wojewódzcy i powiatowi. Otóż to nazywa się pisać historyą!

Marszałek koronny jest tutaj pospolicie najwyższym marszałkiem państwa, hetman najwyższym wodzem wojsk całego króle-

stwa i t. d. Pojęcie, jakie Europa przywiązuje do tego wyrazu państwo w tych i tym podobnych wyrażeniach, także jest poprostu narzucone tutaj starożytnéj Polsce. U nas była Rzplita, korona, królestwo, ale nie państwo. Olszowski jest biskupem chełmskim. Tłumacz Bogusława Radziwiłła koniuszego księztwa litewskiego zrobił hetmanem, bo w oryginale musiało być pewnie generalis exercituum lub coś podobnego. Dziwna rzecz jak się nie spostrzegł, kiedy niżéj o kilka wierszy rozpowiada, że hetman wielki litewski Pac, nie życzył sobie mieć za towarzysza urzędu księcia Michała Radziwiłła, ale np. Potulińskiego. To samoby już mu powinno otworzyć oczy, że Bogusław nie był hetmanem. Jak można, tworząc urzędy i ludzi na tych urzędach, mieszać wyobrażenia; bo jeżeli np. sekretarza wielkiego koronnego nazwie sekretarzem senatu, historyk nie wié o kim tutaj właściwie mowa i kogo to tłumacz ochrzcił nazwiskiem sekretarza senatu. Przypuśćmy, że właśnie ta osoba była historyczną, że warta studyów: otóż i fakt jeden zatracił się, i tłumaczenia użyć niepodobna za źródło, bo zmyśla fakta niebywałe. A któryżto w Polsce szlachcic nie był historyczną osobą? Sekretarz wielki koronny jest ze swojego stanowiska poważny postacią, choćby to był najskromniejszy człowiek w całéj Rzplitéj.

Nareszcie z tłumaczenia widać, że zrobione jest z oryginału łacińskiego: peryody długie, okrągłe, wymierzone, Cycerońskie, nie mają wcale swobody właściwéj językowi naszemu. Byle jaką wziąć stronnicę, zaraz się o tém przekonać można: nawet pojedyncze wyrażenia są żywcem łacińskie. O Woli np. tłumacz powiada z powodu elekcyi Michała, że tam są Polaków igrzyska, tam ich publiczna mownica; do namacania więc, że tutaj w oryginale były wyrazy ludi, rostra. Dla Rzymian te wyrazy były zrozumiałe i malowały im rzecz; dla Polaków igrzyska publiczne, mownice, sąto rzeczy niezrozumiałe: trzeba je było innemi zastąpić. Są i błędy językowe, np. starszyzna wojskowa, porwali go i zanieśli (str. 290).

Teraz druga uwaga. W dzisiejszym stanie nauki chcemy wydań krytycznych. Wydanie krytyczne nie znaczy to wcale nagromadzenie wypisów z innych znanych książek: jakażto albowiem zasługa kompilować poprzedników naszych, szczycić się cudzą pracą! Zadaniem naszém jest mnożyć coraz więcéj kapitał historyczny: jeżeli jeden już wydrukował należycie listy, raporta albo jakie przywileje, cytować go można, ale nie przepisywać, bo inaczéj byłabyto podwójna i bez celu praca: szkoda czasu i atłasu. Krytyczne wydanie jakiego autora ma w przypisach sprostować błędy tego autora jeżeli są jakie, a najwięcéj dopełniać jego wiadomości i fakta innemi wiadomościami i faktami ze źródeł dotąd nieznanych. Pan Mosbach podjął się wyłącznie nadać cechę krytyczną temu wydaniu Klimakterów, i cóż zrobił? — wypisywał całe tyrady z bardzo ciekawéj i ważnéj do dziejów króla Michała książki Ambrożego Grabowskiego, którą wydawca przezwał Ojczystemi Spominkami. Tych wypisów najwięcéj; zresztą są rzad-

sze wypisy z Paska i Jemiołowskiego, a ledwie gdzieniegdzie zacytował listy Załuskiego. Niedosyć na tém: pod koniec książki idą osobne noty do dziejów Polski pod panowaniem króla Michała, i w tych notach nic nowego: znowu wypisy z Ojczystych Spominków. Wypis z Niesieckiego o biskupie Ujejskim, wypis z Sobieszczańskiego o Arciszewskim, nie wiemy dlaczego przylepione gwałtem do Klimakterów: bo Ujejski nie zajmował w tym czasie tak wielkiego stanowiska, żeby w Klimakterach zasługiwał na poważniejsze studyum, Arciszewski zaś umarł jeszcze za Jana Kazimierza, więc do Michała Korybuta wcale nie ma żadnego stosunku.

Weszło u nas w modę robić przypisy do wydań historycznych; robią je więc wszyscy: i ci co rozumieją rzecz, i ci, co jéj nie rozumieją. Historycy wiedzą co objaśniają; za ich przykładem poszli więc i niehistorycy, ale dyletanci, wydający historye i historyczne badania albo pomniki. Każdy z nich sili się na to, żeby przypisów mnożyć najwięcéj, i myśli, że buduje sobie przez to prawo do wielkiéj zasługi; a nie wiedzą, że tylko charakteryzują własne pojęcie i własną głowę. Do tego doszło nawet, że jeden z historyków naszych objaśniał czytelników w przypisku, co to jest cieśnina konstantynopolitańska albo morze Marmora i n. b. objaśniał źle. Jestto lekceważenie czytelnika na wielką skalę: kto się bierze do czytania książki historycznéj seryo, musi przecie coś wiedzieć, chociażby tylko to, gdzie leży cieśnina konstantynopolitańska. Pan Mosbach tak samo raz w przypisie objaśnia, co to jest towarzysz w wojsku (stronnica 166); drugi raz, co to jest konstytucya (stronnica 287), trzeci raz co to są wici (stronica 246), czwarty raz co to są exorbitancye i t. d. Kilka razy naiwnie pan Mosbach w przypisku swoim objaśnia rzecz o któréj miał wyżéj w tekscie, wyrazami tegoż samego tekstu: tojest ni mniéj ni więcéj, tylko powtarza się, erudycyą czerpie nie z siebie, ale z Kochowskiego. Tak np. na stronnicy 181, z powodu jednego słówka w tekscie, objaśniając to słówko, rozpisuje się o sejmiku srodzkim, na którym Grzymułtowskiego porąbano, temi samemi wyrazami, co tekst to samo wypowiedział na stronnicy 81. Żeby choć jaki szczegół inny rozjaśnił tą razą rzecz historyczną owego sejmiku! Tak samo karta 318 wypis z Czackiego: O litewskich i polskich prawach, z powodu testamentu króla Michała, który ni mniéj ni wiecéj obejmuje toż samo, co jest w tekscie na stronnicy 57 o sercu, które król Michał zawiesił na votum w Częstochowie. Nareszcie te ciągłe objaśnienia, że Hrubieszów jestto miasto policzone w dzisiejszéj gubernii lubelskiéj, że Bar znajduje się w powiecie latyczowskim, że biskupstwo piltyńskie jest w Kurlandyi, a Kamieniec Podolski (nawet Kamieniec) twierdzą na skałach wzniesioną ponad Smotryczem i t. d.; podobne objaśnienia, powtarzamy, wyglądają zbyt zabawnie w książce takiej wartości jak Klimaktery, boć to nie jest żaden kurs geografii, w którym potrzeba wskazać czytelnikowi miejsce, gdzie leży cieśnina konstantynopolitańska; a ileż przez te

niefortunne dodatki książka urosła! Bez najmniejszéj korzyści dla nauki, koszt wydania w dwójnasób jest większy.

Przy takiéj znajomości przedmiotu nic dziwnego, że tłumacze w tych objaśnieniach dużo pobłądzili. Alss (!) jest starostą kamienieckim na stron. 194, a o kartę daléj generałem podolskim (co jedno i to samo) Jan Potocki; Raczkowski kommissarz do Kozaków raz zowie się miecznikiem łukowskim (str. 163), drugi raz miecznikiem łęczyckim (str. 192).

Jedném słowem jestto przekład najniefortunniejszy, wydanie najniekrytyczniejsze.

Mimo tych wad bijących w oczy, książka wydana przez p. Bobrowicza ma treść, ale tutaj już cała zasługa po stronie autora, tojest Kochowskiego. Tłumacze nic dla Klimakterów nie zrobili; chociaż silili się wyraźnie na to, żeby ująć wartości książce, całéj wartości jéj nie zatarli.

Kochowski zanim przechodzi do rozwiązania dalszego obrazu dziejów przerwanych w Klimakterze trzecim, rozumuje, a to rozumowanie zaraz uderza czytelników i każe go bacznie śledzić w téj ostatniéj epoce życia. Nasz szlachcic kontuszowy, stronnik Jerzego Lubomirskiego jest tutaj jakimś legitymistą innego sposobu widzenia rzeczy: Kochowski wyraźnie gniewa się już na wolną elekcyą królów. Radby zawsze widział na tronie polskim Piasta; i dlatego rad wprawdzie Korybutowi, ale rodzi się w nim już niesmak do sejmikowania szlachty; jeżeli przyjąć elekcyą jako zasadę, wolałby spuścić się na rżenie koni, albo wyścigi, jakiemi zyskiwali koronę dawni przedchrześciańscy Przemysławowie. Brzydzi się daléj rzezią obywatelską, pojedynkami, które zagęściły się jakoś mocno za króla Michała przez naśladowanie z zagranicy (str. 128). Z tego stanowiska wychodząc, Kochowski ciska pioruny, o ile mu to wypada w granicach najwyszukańszego umiarkowania na konfederacyą gołąbską (str. 259), i chociaż nie jest wcale przyjacielem prymasa Prażmowskiego, broni go tutaj przeciw szlachcie, która już miarę w swojéj sprawiedliwości przebrała. Takie rozumowanie i widzenie rzeczy byłżeby to już wniosek poczerpnięty z rozumowania dziejów ubiegłych, byłożbyto już przekonanie lat starych, kwintessencyi żywota? Tak się zdaje. Nasz historyk coraz więcéj robi się konserwatystą, a im daléj w las, to więcéj drew, i bardzo naturalnie.

W tych utyskiwaniach i boleściach widać przywiązanie autora; więc chociaż się chce sprawiać zawsze po Tacytowsku, chociaż tutaj wyraźnie oświadcza: że biorąc się do pisania czwartego Klimakteru, po długim namyśle (bo chciał skończyć na trzecim swoje dzieło) oczyścił swój umysł ze wszelkich namiętności; że wyrzekł się względów, nie boi się nienawiści, i nie zważając na nikogo, pójdzie daléj drogą wskazaną dla historyi, tojest prawdą; chociaż wié, że nieprzystała historykowi barwa czołgającego się krasomowstwa, dlatego do dziejów swojéj ojczyzny nie myśli wprowadzać sztuki pochlebstwa albo lepianki fałszu: ztémwszy-

stkiém, powiadamy, ma Kochowski swoje przywiązanie, chociaż się z niém kryje. Przez udane zimno jego obrazów, koloryt miłości słońcem świeci.

Wyznajmy prawdę: ma Kochowski wiele zasługi jako historyk narodowy i pochwał za to nie potrzebuje; a przecież miléj daleko spoglądamy na niego za to, że jest tak serdecznym przyjacielem króla Michała. Myśmy zawsze z jakiémś rozrzewnieniem na tę szlachetną a nieszczęśliwą postać dziejów naszych spoglądali. Z najlepszemi chęciami i zdolnościami pan, mógł był wiele dobrego zrobić dla narodu, ale duma możnych i zuchwałych, zaklóciła krótkie dni jego panowania. Naszę téż sympatyą miał i Wyrwicz, pomimo całéj erudycyi swojéj i niesmaku za to jedynie, że bronił króla Michała w swojéj Konfederacyi gołąbskiéj.

Kochowski blizki teatru wypadków, niepodejrzanym jest dla owych czasów świadectwem: niepodejrzany tém bardziéj, że chce być Tacytem, a więc jak on dziejopis Rzymu, zimnym filozofem rachującym bicia pulsu narodowego. Obraz, jaki téż Kochowski maluje Michała Korybuta, bardzo za królem przemawia: chociaż nie ma w nim uniesień i z'orzeczeń, chociaż nie widać w historyku człowieka stronnictwa, owszem wybujał w nim duch konserwatywny, więcby pewno trzymał z panami, gdyby ci dobrze chcieli, a nie wichrzyli tylko dla własnych widoków. W młodości Korybut za Dnieprem dowiódł czynami, że serce jego nie odrodziło się od przodków i dzielnego Jeremiasza: to dosyć było dla rycerskiego narodu. A potém inne zalety charakteru króla także jaśniały: pobożny aż do zabobonu, prowadzenia się moralnego aż do ideału, był Michał skłonny do pobłażania, miał serce litościwe, łatwo zapomniał urazy, a nie zapomniał nigdy zasługi. Wrodzony w ojca, był hojnym i wspaniały, ale nie bez rozwagi, bo sprzyjał tylko poczciwości i zasłudze. Objąwszy władzę, dwie główne rzeczy miał na myśli: wynurzyć cześć dla swego poprzednika i umorzyć domowe waśni Rpltéj (stronnica 40). Piękny to był zaczątek, ale któż słuchał króla? Daléj Michał czuł to dobrze wśród zawichrzeń Rzplitéj, że zgody nie sprowadzi na łono ojczyzny, póki starych namiętności używać będzie. Sam nowy człowiek, obcy wszelkim intrygom, myślał działać przez nowych zupełnie ludzi. Król Michał nie byłto żaden gieniusz wielki, ale człowiek nadzwyczajnego taktu w postępowaniu, serca wielkiego i wyrozumiałości. Gdybyć on chciał, byłby silny miłością szlachty pod Gołębiem, królem samowładnym. Gdyby chciał, zgniótłby na miazgę Prażmowskich i Sobieskich; ale Michał grzeszył może tylko łagodnością względem śmiertelnych swoich nieprzyjaciół. Uzbrojony wielką mocą duszy, na sejmach burzliwych mężnie znosił nawałnicę, a zimny i napozór obojętny, nie zdradziłby najmniejszego na twarzy cierpienia. Kiedy serce zalewało się krwią, a oczy łzami, w mowie nigdy ani cień goryczy mu nie postał. Kiedy rozrzucano przeciw niemu pisma obelżywe w których ani cienia prawdy nie było: na oskarżenia najfałszywsze zabraniał stronnikom swoim od-

powiadać, żeby nie wywoływać jeszcze większéj zaciętości. Kiedy szlachta wielkopolska domagała się sądu na Grzymułtowskiego, który króla detronizować myślał: Michał upierał się przy tém, że na kasztelana dosyć kary w zniewadze, którą odebrał na sejmiku srodzkim. Król chciał sam cierpieć, aby tylko Rplita nie cierpiała. Chciał ginąć za nią w wojnie z Turkiem i chciał ją wewnątrz uspokoić, żeby się całkiem poświęcić załatwieniu postronnych niesnasek, ale pany nie dali. Gdyby nie umiarkowanie królewskie, skończyłoby się może rzezią magnatów (str. 140).

Kilkanaście razy Kochowski maluje ten wzniosły i jedyny może charakter, a raczéj w kilkunastu zdarzeniach, które opowiada, stawia go przed oczyma czytelnika. W Krakowie na koronacyi, w Częstochowie przed ślubem równie był Michał nabożny (stronnica 46, 57). Zanosząc modły o spokój Rplitéj, dzień i połowę nocy w Warszawie krzyżem leżał, a w Częstochowie przed obrazem Najświętszéj Panny klęczał do świtu (stronnica 133). A innych dowodów cnoty, łagodności i umiarkowania znajduje się w Klimakterach moc wielka: co karta to i dowód. Jest nawet ustęp, w którym król Michał o swojém stanowisku rozpowiada przed biskupami krakowskim i warszawskim; widać z niego, że pojął dobrze czém winien być był król, wybrany zpośród obywateli (stronnica 133). Czemuż Korybut miał tylko modlitwę i słowo na swoję obronę?

Ludwik XIV, kiedy mu doniesiono o elekcyi Michała, powiedział o Polakach: „dobrze, że wybrali króla zpośród siebie, bo z krajowcem i z rodakiem bliższe mają skłonności". Mówił to król urażony za odepchnięcie Kondeusza. Potém wpatrując się w rysy twarzy Korybuta na portrecie, rzekł: „Ta postać bardziéj maluje poczciwego męża, aniżeli dobrego żołnierza" (stronnica 112). Ludwikowi francuzkiemu ciągle na myśli był Kondeusz, a jednak i utyskując, dał drugi raz dobre słowo za Michałem.

Kochowski podzielał uprzedzenie spółczesnéj mu szlachty, że niebo cudownemi zdarzeniami i tajnemi przestrogami, Polakom elekcyą króla Michała przepowiadało. Oto rój pszczół zatrzymał się nad województwem łęczyckiém; oto biała gołębica ulatywała nad szopą; oto w sam dzień elekcyi Michał poszedł do kościoła Pijarskiego i zasnął mocno klęcząc, że go docucić się nie mogli, a śnił mu się wtenczas św. Jędrzej i przepowiadał koronę. Skrzętnie Kochowski zbiera te wszystkie oznaki czy dowody woli Bożéj. Znajduje ich pełno wszędzie, gdzie tylko się schyli. Oto wjazd króla do Krakowa świetny jak niczyi jeszcze, i nagle taką wezbrał ludnością; oto okrzyk radości, rzadki taki entuzyazm w stolicy. Długoby to wszystko wyliczać. Nam się zdaje, że w szukaniu takich drobiazgów cudownych, widać dobre usposobienie Kochowskiego dla króla, bo inaczéj po cóżby je zgromadzał.

Do tego obrazu koniecznie cień stanowi arcy-księżniczka Eleonora, żona Korybuta. Pobożna, dobra, przywiązana do męża

i do kraju, którego przeznaczenie zrobiło ją królową: Eleonora skromna, prześliczna, rozsądna, była wzorem niewiasty, córki, żony i królowéj. Wśród najcięższych przeciwności niosła mężowi radę i wsparcie. Potém za jego pozwoleniem pośredniczyła w pogodzeniu stronnictw, i towarzyszyła mu we wszystkich podróżach. Doprawdy, kiedy się wyczytuje w Klimakterach takie miejsca o Michale i Eleonorze, aż chce się zastosować do nich to, co w uniesieniu najwyraźniejszego pochlebstwa i niesprawiedliwie Wydżga zastosował do Jana Kazimierza i do Ludwiki. Tutaj każdy wyraz byłby prawdą: „A kiedyby Bóg dał pokój, żylibyśmy sobie w Polsce jak w raju, pod takim państwem, kędy wolny każdemu przystęp, kędy nie utają się, ani w niebaczenie iść mogą zasługi, bo się w oczu pańskich dzieją, kędy cnota rość gwałtem na złość adwersarzom musi, bo ludzi godnych i na ustroniu siedzących szukają, zażywają, ratują, zdobią, impetratur quod postulatur, offertur quod non postulatur; nie słychać chwała Bogu oppressyi, ani napaści, subordynowanych z pokoju; nie widać łakomych targów, handlów i exakcyi. Cnota a zasługa najlepiéj popłaca. Non haec privatis crescunt, aeraria damnis."

Kochowski streszczając pod koniec Klimakteru całą swoję charakterystykę króla Michała, którą poprzednio rozważał w faktach, w tych dobitnych słowach zawarł swój sąd o nim: „żył królem, umarł człowiekiem. Przymiotami tronu godnemi obdarzyła go natura: wrodzoną dobrocią, obyczajami by wosk do zacnych czynów lgnącemi, miłosierdziem zawdy skorem do wspomagania biednych. Zdobiły go: silna wiara w Bogu, stałość w nabożeństwie, wysokie przywiązanie do religii; dostrzeżono w nim nieomal wszystkie cnoty moralne, a jeżeli na jakich zbywało mu zaletach głowy ukoronowanéj, przypisać to należy ludzkiemu przeznaczeniu, które nic zupełnie doskonałego nie dopuszcza, a nawet bohaterów wizerunki szpeci wadami swemi i przywary. Atoli przez doświadczenie polityczne i dłuższe panowanie, bezwątpienia król nasz pozyskałby to, czego mu dotąd niedostawało." A daléj mówi Kochowski: „Był szczery, uczciwy, nikogo ani słowem, ni czynem nie urażał; krzywdy znosił tak dalece, iż wolał pobłażać niż złorzeczyć; nauki i ludzi w naukach biegłych wspierał, ztąd na koronacyi liczne otrzymał pochwały, a gdy umarł zamilkły uczonych głosy, które tak wymowne były, kiedy weszła gwiazda jego, że powściągnąć je było potrzeba. Ja także wydałem pod tytułem: Posługa obywatelska, penegiryk, winszując najlepszemu królowi wstąpienia na tron; ten obecnie zamieniając w pieśń żałobną, zawieszam nad grobem jego, a przekazując go potomnym, pragnę, aby pamięć imienia króla Michała długie przetrwała lata." Słowa te nie podlegają żadnemu tłumaczeniu; tém bardziéj, że jak uważaliśmy już, Kochowski spółczesny królowi brał rzeczy seryo, i na wiatr nic nie mówił, a pod koniec życia zmienił wiele szlacheckie swoje pojęcia na arystokratyczne.

Zatruły życie Michałowi Korybutowi intrygi panów, którzy zawsze myśleli o dziedzicznéj arystokracyi i lordostwach. Dokuczył mu prymas, ślepe oczko, ślepy bożek, który z krwią zimną probował swoich doświadczeń na żywém ciele Rzplitéj. Sobieski nietyle w Klimakterach winny: może go osłonił cokolwiek Kochowski przez cześć dla króla bohatera. Bądź co bądź, hetman występuje tutaj zawsze jako druga figura przez prymasa gwałtownie popychana do czynu. Charakter Prażmowskiego wart studyów. Burzliwy, zuchwały ten człowiek, płodny w tysiączne wybiegi, bezwstydny, chciał grać rolę Kromwela w Polsce. To nowy zarys charakteru, jaki na postać jego Kochowski rzuca; zarys zdaniem naszém bardzo trafny. Wówczas w całéj Europie władza królewska była narażoną na niebezpieczeństwa. We Francyi była Fronda, a Hiszpania i Portugalia zbudowała tron narodowy; Węgry zalane były przez Turków, niedawno Mazaniello powstał w Neapolu, a cóż mówić o Anglii. Zdaje się, że zaraza jakaś do awantur nawiedziła całą Europę, i to tu, to tam burzliwe ozuchwalała umysły. Ale wszędzie była jakaś do rozruchów przyczyna, a w Polsce nie było żadnéj: w Polsce była raczéj zawiść panów przeciw królowi, który z niczego wyskoczył nad ich głowy, a silny był miłością szlachecką. Panowie w téj epoce najwięcéj się pastwili nad Rzecząpospolitą, a raczéj teraz zaczynali na dobre wichrzyć. Łagodny król ośmielił ich, a duma kazała z okoliczności korzystać. Zepsucie przyszło do nas razem z elekcyami, bo przez elekcye tworzyły się zagraniczne stronnictwa; drugi krok stanowczy na téj drodze zepsucia postawił Siciński zerwaniem sejmu; ale było jeszcze tyle uczucia obywatelskiego w Polsce, że wszyscy na ten krok zuchwały jednego posła z oburzeniem patrzyli, choć stało się jak chciały losy. Zarazę rozwijają intrygi elekcyjne Maryi Ludwiki i rodzi się fakcya, która chce instytucyj francuzkich w Polsce; intrygi upadły, ale fakcya żyje. Drugi raz zbezczeszczona pod Wolą, kiedy Kondeusza szlachta z orężem w ręku z listy kandydatów wyrzuciła, fakcya szaleje, że motłoch postrachem był w przekonaniu panów, a stan rycerski Rzplitéj narodowego króla, reprezentanta wolności szlacheckich posadził na tronie. Oto klucz zagadki, która objaśnia postępowanie prymasa.

Ale jeżeli co było patryotyzmu w tych zabiegach panów powstających przeciw Michałowi (pozorem dobra publicznego intrygi swoje pokrywali), wszystko to prymas zwalał osobą swoją i robotami. I u niego ciągle na języku były wielkie słowa, jak np. dobro Rzplitéj, obywatelstwo, jęk kraju, a mimo to był prymas węgielnym kamieniem zguby i nieszczęść publicznych. Jeszcze nigdy prywata nie wygórowała u nas tak daleko, jak dopiéro za jego usiłowaniem. Kiedy za Jana Kazimierza oburzenie jeszcze władało tłumami na niecny postępek Sicińskiego, prawie pojąć niepodobna, jak zrywanie sejmów stało się rzeczą naturalną i łatwą za króla Michała. I wszystkie sejmy psuł prymas, występujący zawsze jako najzapaleńszy niby stronnik swobód szlacheckich,

a w istocie i w gruncie serca wróg tych swobód śmiertelny: broń Boże nie z zasady, ale naprzód przez dworszczyznę dla Maryi Ludwiki, a potém przez niechęć do Michała, którego w żaden sposób nie chciał mieć królem, bo zdawało mu się, że większą jest figurą, że ma więcéj prawa od księcia Wiśniowieckiego, żeby coś znaczyć w Rzplitéj. W Anglii były zatargi stanów, była walka zasad; u nas prywatę podnosił do godności zasady ślepy bożek. Chciał być dyktatorem Rzplitéj, jak Kromwel protektorem Anglii; ale gdzież było sumienie tak mścić się na najniewinniejszym królu, za miłość szlachty. Prymas Jana Kazimierza namawiał, by złożył koronę, dlatego, żeby przecie raz ujrzał się panem przeznaczeń narodowych; prymas potém w bezkrólewiu wbrew wyraźnemu prawu, pół słówkiem tylko cedził wyrazy do piérwszych senatorów Rzplitéj i ukrywał przed niemi sprawy koronne, o których radzić właśnie z niemi był powinien w gronie dostojników. Prymas mścił się obelżywemi przegryzkami na podkanclerzym Olszowskim, za to, że byłto człowiek szczeréj wiary i niepodkupny; za to, że w pisemku Censura Candidatorum radził obrać księcia Michała nowego i obcego elekcyjnym zabiegom; za to, że wydzierał zawczasu prymasowi przyszłość i appelował od niego do szlachty. On potém podmawiał kanclerza Leszczyńskiego przeciw królowi, chociaż mu się potém kanclerz zręcznie z zastawionéj łapki wymknął i na dwór powrócił; on śmiał detronizować Michała i rozwieść go z Eleonorą; on dlatego słał braci swoich za granicę, wojewodę płockiego do Francyi, księdza sekretarza koronnego do Wiednia; on rozrzucał pisma obwiniające króla, wszczynał kwestye, rodził zarzuty jakich nie było; on piekło poruszał, żeby postawić na swojém; on spiskował z Grzymułtowskim, gotował nawet rozbiór kraju, bo Kalisz i Poznań oddawał elektorowi. Historyi tych spisków trzebaby śledzić po archiwach. Dziś tylko prymasa łapać możem na gorącym uczynku, bo wiemy, że był wszędzie, gdzie była nikczemność i zdrada; ale to, co wiemy już o nim, dostateczne jest, by pamięć jego oddać na ohydę pokoleniom.

I jakiemiżto zarzutami wojował ślepy bożek? Bardzo ważnemi; naprzód: że król ożenił się, a potém, że ożenił się z austryaczką. Na to odpowiedzieć można było: że nie zrobił król tego bez wiedzy narodu, a Olszowski negocyował to małżeństwo; to dosyć, żeby wszelkie usunąć obawy. Krom tego historycznyto był fakt, że oddawna na tronie polskim zasiadały królowe z austryackiego domu, i trzeba przyznać, że najpoczciwsze, najzacniejsze królowe nasze były właśnie austryaczki. Bony, Marye Ludwiki i Kazimiery odznaczyły się smutną sławą w historyi narodu, a przeciw Eleonorze i związkom historycznym cóż walczyło? Pojmujemy obawy szlachty o dynastyą austryacką, ale nie było prawdy w utyskiwaniach prymasa na związek rodzinny Michała. Ale co było w téj sprawie ślepemu bożkowi nie na rękę? Oto właśnie to: że Korybut przez spokrewnienie się z domem cesarzów, stawał się po części osobą dla intryg niedościgłą, wstępował na pewną wy-

sokość; dlatego potém spychając z tronu Michała, w Wiedniu negocyował wprzód Prażmowski o rozwód Eleonory. Jakiż potém był drugi zarzut? Oto że król na sejmie koronacyjnym przysięgał na swobody Rzplitéj z restrykcyą, tojest, że usty wymawiał rotę, a myślał robić co innego. Zarzut Machiawelski, który sam już świadczy, jako silił się prymas gwałtem na dowody, żeby mieć co do zarzucenia i żeby się pozorem dobra publicznego osłonić. Oto narzekał, że król kazał matce z dóbr ekonomii samborskiéj, corocznie wypłacać 50,000 złp. (toż to zbrodnia, własnym groszem wesprzéć ubóstwo! jeszcze czyje? rodzonéj matki). Oto narzekał, że jakiemuś Rostockiemu król dał starostwo lelowskie; oto że nikogo dotąd nie nominował na kardynalstwo i tę prerogatywę królewskiéj dostojności zaniechał (tu pro domo sua orator prymas), bo na sejmie koronacyjnym była mowa, żeby go przedstawić do kardynalstwa; zaniechał więc król prerogatywy, bo prymas dotąd, tojest w r. 1671 nie był kardynałem, a miałże król chociaż chwilkę czasu żeby wolno odetchnąć, a dopiéro myśleć o czyjémś kardynalstwie, i czy rzeczywiście narażało to godność Rzplitéj? Narzekał, że król nie naprawił fortyfikacyi Kamieńca, (byłże czas potemu); daléj narzekał, że pensyi jeszcze Janowi Kazimierzowi nie wypłacił (o czuły opiekun!). Otóż stek obłudy i fałszu. Kochowski pomieścił w texcie wszystkie exorbitancye prymasowskie, których jest 50: wszędzie w nich przebija się najnikczemniejsza nikczemność.

Ten sam człowiek jednak był uniżony i najuniżeńszy tam, gdzie już prosto o jego skórę chodziło. Trzeba czytać opis Kochowskiego, jaki był grzeczny dla Michała w dzień elekcyi, kiedy szlachta szczękała nad głową jego w szablice (str. 32). Onto był grzeczny z restrykcyą, bo w dni kilka potém na nowo intryguje (36—37). Trzeba czytać szczegóły o upokorzeniu się prymasa, kiedy na jednym sejmie gwałtem był zaniesiony do pocałowania ręki królewskiéj.

Do biografii Prażmowskiego mamy tu nowy szczegół, że był synem Jędrzeja naprzód sędziego ziemskiego, a potém kasztelana warszawskiego. Niesiecki o tém nie wié.

Wogólności Kochowski w tym Klimakterze czwartym mniéj rozmowny w jak poprzednich i mniéj artysta; widać, że się zestarzał. Zawszeto erudyt, który ciągle robi porównania jakie ze Spartą, Xerxesem, Rzymem. Ale już nie rozwija w takiéj pełni wypadków; nauka została, talent zwietrzał trochę. Jest nawet nieład pewien w opowiadaniu; pod rokiem 1670 np. wprzód mowa o sejmikach przedsejmowych w lipcu, a potém dopiéro o listach królewskich pisanych na te sejmiki do województw. Jednak przyszły historyk w cywilizacyi narodowéj, chociaż nie obfite, znaleźć tutaj przecie może fakta do cywilizacyi. Owe sejmy zwane łajaniami (comitia-convitia) na których nie obradowano, ale wściekano się, (deliberatio-deliratio), na których dosyć było pozoru, aby Rzlitę na łup namiętności wystawić, dosyć zacząć pra-

wić coś od rzeczy; owe głośne już na plac występujące przekupstwa; owa obojętność dla sprawy publicznéj, kiedy nie wierzono np. w wojnę turecką, chociaż Turcy i renegaci przez litość dla Polski, Polskę ostrzegali o zbrojeniu się Porty, powrocie sułtana z Kandyi; owe zagęszczone za tego panowania pojedynki, o których w Polsce przedtém ani słyszano; owa konfederacya gołębska, któréj znaczenia dziejowego dobrze jeszcze nie zauważali historycy, a która mogła całą Rplitę przewrócić do góry nogami; owi egoiści u steru rządu, bo już Zamojskich i Żółkiewskich nie było, a jeden tylko Olszowski zawsze poczciwy nie może nic zrobić; ów Stefan Czarniecki dyktator Rplitéj przez kilka chwil, który poczciwością do Michała podobny, zgubił sprawę przez łagodność i brak zdecydowania się; owe burzliwe sejmiki na których senatorów szlachta rąbie; owe zjazdy w Łowiczu, tłumne zjazdy panów na sejmy, które tragedyą pachną:— wszystko to są materyały pełne poezyi dla dziejów cywilizacyi. Massa szlachty u spodu poczciwa, ani wiedziała co się u góry dzieje, i całéj wielkości niebezpieczeństwa nie pojmowała. Odtąd już sternikami sprawy publicznéj pozostają samoluby, aż po ostatnie chwile narodu. Panowanie Michała acz krótkie, stanowi tak barwną epokę w dziejach, że wpatrującego się baczném okiem w przeszłość, zaraz to uderzyć musi. W tych pięciu latach, przodkowie nasi wiek upadku przeżyli.

Da się także zebrać z tego Klimakteru więcéj nieco szczegółów do życiorysu Kochowskiego, jak ze wszystkich innych poprzednich. W Starożytnościach Polskich Ambroży Grabowski skreślił w krótkich słowach tę biografią: teraz mógłby ją dopełnić. Nasz historyk znajdował się na elekcyi Korybuta pod Wolą: sam widział ów tajemniczy rój pszczół Piasta (stronnica 30). Daléj pisze, że z powodu koronacyi moc była panegiryków, że 30 rozmaitych autorów wystąpiło na cześć Michała; nietylko wychowańcy muz, ale i mężowie dostojni Rplitéj przepowiadali wiek kwitnącéj literatury i powrót do dawnéj świetności narodu. I to także cieniuje ówczesne usposobienie dla Michała szlachty: wszyscy czuli, żeby mogło być lepiéj pod panem tak cudownie wybranym; wtedy i Kochowski napisał Munus civile regi Michaeli i wydał w Krakowie 1669, w ćwiartce (stronnica 51). Tutaj starając się potomnym przekazać pamięć o koronacyi Michała, wróżył z błogiego początku błogi koniec. Że Kochowski brał żywy udział w wypadkach tego panowania, więc znajdował się téż osobiście na burzliwym sejmie w roku 1670 w Warszawie. Niewiadomo tylko, czy jako poseł, czy jako obojętny wódz i historyk. Był téż osobiście na sejmiku proszowickim przed owym sejmem drugim lipcowym w roku 1670. Widział scenę, jak panowie z hufcami zbrojnemi zjeżdżali się tam, chcąc zaimponować szlachcie; ale tą razą nic nie wskórali (stronnica 80). Zdaje się prędzéj, że śledził tu i tam marmurowe twarze, jako spokojny postrzegacz, choć nie bez tego, żeby mu się serce krwią

nie zalewało. Kochowski był podżupnikiem w Wieliczce pod zarządem Jana Pieniążka wówczas starosty oświecimskiego, jednego z celniejszych polskich owego wieku statystów, który za Augusta II umarł wojewodą sieradzkim. Na tym będąc urzędzie przyjmowałby oboje królestwo w żupach, kiedy w roku 1671 Wieliczkę i Bochnię zwiedzali, ale wtenczas leżał chory w Krakowie, dręczony niebezpieczném kłóciem w boku (stronnica 123). Wspomina jeszcze potém Kochowski, jak pogrzebał w Krakowie dwóch przyjaciół, którzy pod Chocimem polegli: Floryana Maja i Stefana Białobrzeskiego i uczcił ich żałobną mową; a drukując wtedy swoje liryki, imiona też ich przekazał potomności (stronnica 34). Że był w wyprawie pod Wiedniem w r. 1683, także tutaj wspomina (stron. 197). Owładnął nim entuzyazm religijny i poszedł na Turków z królem Janem. Wracając po drodze spotkał w Węgrzech jednego z dworzan p. Lubomirskiego; byłto Piotr Jastrzębski, który piérwszy obrzezany został w Kamieńcu po zdobyciu tego miasta przez Turków. Ostatnich szczegółów jego żywota wcale nie mamy, i nic też o sobie sam Kochowski w tych latach nie wspomina. Wiadomo tylko, że starzec już, z Goleniowéj, wioski dziedzicznéj dedykował Klimakter trzeci Augustowi II. Co się zaś tyczy urzędu wojskiego krakowskiego, o dacie kiedy go dostał nikt nie wspomina. Zdaje się, że dopiéro August II dał mu ten urząd, bo w Sigillatach czytamy, że w roku 1695 abdykował wojstwo krakowskie Włodek, i że 12 maja 1695 r. mianowany po nim został Stanisław Ożarowski. Nie znamy zkądinąd daty śmierci Ożarowskiego; ale kiedy wojskim krakowskim podpisał się w roku 1698 w dedykacyi do Augusta II Kochowski, naprędzéj został wojskim po tym Ożarowskim i był nim jak widzimy lat niewiele. Jest też w Klimakterach druga dla nas cecha, która do charakterystyki Kochowskiego należy: wiek jego przesądny wierzył w przepowiednie gwiazd, w znaki niebieskie: więc i historyk nasz nie był wyjętym z pod wpływu cudownych pojęć, ale pod tym względem przystając na zdanie kościoła, rozumował przecie i wnosił po swojemu (str. 131).

Pod koniec sprawozdania naszego musim poprawić błąd, który nie wiemy jakim sposobem dostał się do Historyi literatury Wiszniewskiego. Podając treść czwartego Klimakteru, napisał Wiszniewski: że matka Eleonory wyjechała po weselu z Częstochowy, niekontenta z pewnéj niezręczności Michała. (Tom 1. stronnica 86). W Kochowskim nic o tém ani półsłówka; wypisujem z niego całe to miejsce: „Nie wszystko u nas podobało się cesarzowéj, więc na odjezdnem, lubo nie chciała tego widocznie pokazać, była mocno zasmucona, widząc nasz kraj rozdzierany wewnętrzną niezgodą; ztąd ubolewała nad losem nieustalonego jeszcze tronu, ubolewała także, przez zwykłą matkom troskliwość, upatrując pewne umiarkowanie w uczuciach króla dla swojéj dostojnéj małżonki.” Wiadomo, że przed odjazdem wyrzekła te słowa do podkanclerza Olszowskiego: „Trzeba, żeby król czémprędzej opuścił ten klasztor;

mam nadzieję, iż serce jego, wstrzymane tu zapewne widokiem zakonnych murów a może i obecnością teści, tém żywiéj odezwie się w wolniejszym ustroniu: uważam go za wymówionego, jeżeli przez wzgląd na świętość miejsca hamował wyraz swojéj miłości." Że Michał nie był w swoich uczuciach dla żony tak gorący, kilka razy powtarza to Kochowski; ale z tego nie idzie, żeby jéj nie miał kochać. Król nabył suchot w ciągu krótkich rządów, na wszystko już był wtenczas obojętny, prócz na losy ojczystego kraju.

Druga rzecz, którą tutaj nam zanotować przyjdzie jest, że w Klimakterze czwartym łapiemy ślad dwóch dzieł historycznych, które czasów naszych nie doszły, a których tytułami możnaby wypełnić spis źródeł do historyi polskiéj albo nieodszukanych, albo w rękopismach dotąd ukrytych Michała Wiszniewskiego, (Histor. lit. pol. t. 1. stronnica 45—97). Naprzód Wojciech Męciński podkomorzy wieluński, którego piękną biografią kreśli Kochowski, pisał historyą swego czasu, epoki bardzo ważnéj i ciekawéj wojen domowych i zewnętrznych (stron. 113); umarł Męciński w roku 1671. Potém Adam Stroński wojski lubelski a poufały króla Michała Korybuta, który dlatego samego, że był przy nim, mógł znać wiele tajemnic stanu i szczegółów biograficznych; pisał także swoje pamiętniki. Kochowski nawet przywodzi z nich dosyć obszerny wyjątek w Klimakterze czwartym, stronnica 153, z którego dowiadujemy się o kłopotach domowych króla Michała, jak je sam malował przed biskupem krakowskim, Trzebickim, który osobiście nie był stronnikiem królewskim, ale miłował prawdę i sprawiedliwość, i słuchał spowiedzi króla ze współczuciem. Z wielką szkodą dla historyi, pamiętniki Męcińskiego i Strońskiego zapewne już są stracone dla potomstwa.

Julian Bartoszewicz.

ROZMAITOŚCI.

Gawęda o rzeczach muzycznych.

„Ze wszystkich rozrywek dostępnych mieszkańcom wielkiego miasta, niezawodnie najszlachetniejszą jest teatr, chcę mówić przedstawiany w nim dramat, obraz życia. Bo życie, czujemy to wszyscy, fenomen tak powszechny i niby zrozumiany dokładnie od wszystkich, którzy go używają albo nań patrzą, tyle ma miejsc ciemnych i tajemnych zaułków, tyle przedstawia niespodziewanych wybryków nawet w tém, co już wyczerpniętém się zdaje, co niby jednakowo przez wszystkich pojmowane być powinno, że mu się nigdy dosyć napatrzyć nie można. Wreszcie ludzie żyją jak im się zdarzy, rzadko myśląc o pobudkach i wynikłościach; na scenie widzą jedne i drugie, więc się uczą pojmować życie. Ztąd dramat podobno zawsze najwyższe w literaturze zajmował miejsce, jakkolwiek w różnéj postaci; on ożywia wszelką naukę i uzacnia sztukę, przenikając je wskróś swym pierwiastkiem, bez którego byłyby martwe jako niezastosowane. Zastosowanie wprawdzie nieodrazu upładnia każdy nowy nabytek nauki i sztuki, ale to musi niebawem nastąpić: inaczéj nabytek zmarnieje, zostanie zapomniany jako ciężar nieużyteczny. W zastosowaniu do życia wszystko się przemienia wedle jego potrzeb, więc i dramat, obraz życia tego jedynego perpetuum mobile; bo ono przyswajając sobie każdy nabytek tak nim kręci, tak go urabia, że go zmusi przyjść sobie w pomoc, w skutek któréj sam także przemianom ulega."

„Muzyka jedna z piérwszych wezwaną została do pomocy słowu i akcyi, jako najnaturalniejszy ich sprzymierzeniec, bo także z dźwięku rozwieszonego na czasie powstała. Chodząc z niemi w parze od tak dawna, nauczyła się także po swojemu życie przedstawiać, i to tak wybornie, że się bez pomocy dawnych swych towarzyszek obchodzić umié; stała się sztuką samoistną jak i one. Ale samoistność pojedynczości nie usuwa: gdy

muzyka szeroko się roztoczyć zapragnęła, musiała wezwać do wzajemnéj pomocy akcyą i słowo, by niemi ściśle oznaczyć, co w jéj orzeczeniach niezupełnie jasnego, a przynajmniéj niedosyć determinowanego było, i czego czasem nawet określić nie umiała, jako leżącego za granicą jéj środków. I wstał dramat muzyczny. Daleko mu wprawdzie jeszcze do tego, czém z czasem rzeczywiście się stanie, bo muzykalna strona opery cierpieć musi pewne ograniczenia tam, gdzieby przeważnie i jakby bezwzględnie roztoczyć ją należało; bo znów roztaczaną bywa tam, gdzieby ją należało ścieśnić. A wszystko dlatego, że świat nie może jakoś wejść na nowy, odpowiedniejszy wykształceniu muzyki sposób przedstawiania dramatu. Świat się trzyma mniéj więcéj tradycyj, pierwszemi tworami w tym rodzaju narzuconych; nie ma dosyć siły do zmienienia formy dramatu muzycznego, nie chce zaradzić niedogodnościom, choć je tu i owdzie pojedyncze głosy wytykają, i używa opery cząstkowo, zamiast w całości muzyczno-dramatycznéj. A mimo to urok jéj, zbiorowy wypadek wszystkich sił estetycznych, które człowiek po różnych sztukach pięknych rozprószył; cudowne prawie zestrzelenie ich do jednego celu—przedstawienia życia: podniosły dramat muzyczny do najwyższej godności między starszemi i młodszemi dramatu rodzajami. One kompozytorom i śpiewakom dramatycznym nadały nietylko większą w ogóle wziętość niż innéj braci muzykalnéj, ale i większe znaczenie, większą potęgę niż innym reprezentantom życia na scenie. Dowodem tego upowszechnienie się opery z krzywdą innych dramatu rodzajów, jakby w nią wsiąkały pomału. I byłyby już dotąd może zupełnie w nią wsiąkły, gdyby nie tak wiele wymagała zachodów i sił różnorodnych, i gdyby był dramat dawniejszy nie wyratował się nowością, którą mu nadał zwrot do romantyczności, czyli mówiąc wyraźniéj i więcéj stanowczo, do swobody. By jéj użyć ile można, dramat nowszy rzucił się już na fantazyi a nawet fantastyczności pole: tam właśnie, gdzie się rozciąga samowładne muzyki panowanie. Wprawdzie bywał na niém już nieraz i dawniéj, ale się ostać nie mógł, co chwila ściągany z tego wyniesienia zbytnią praktycznością, konwencyalnością słowa. Więc zawarł z idealną muzyką sojusz na czas nieograniczony, który jednak prędzéj czy późniéj skończyć się będzie musiał, a mianowicie wtenczas, gdy sztuka swéj praktyczności na usługi ideału wyłącznie używać zechce, gdy ogół lub przynajmniéj większość ludzi do tego wykształcenia umysłowego dojdzie, takiego dobije się położenia towarzyskiego, że będzie spełniać warunki życia materyalnego tak, jak i dziś już nieraz spełniają je ludzie duchowemi zwani; tylko z konieczności, nie z zamiłowania. Wtenczas i dramat z materyalizmu się wydobędzie i do tego podobno przyjdzie, że nie będzie szlachetniejszego dramatu bez muzyki, a zatém nie inaczéj, jak w postaci

opery. Nim to nastąpi, musi się świat otrząsnąć z barbarzyńskich o sztuce pojęć i nie mówić, że jedna wyższa od drugiéj, dlatego, że nie umié przedstawić tego co inne umieją albo nie z taką dokładnością; ale zrozumieć, że każda musi dać swój kwiat najpiękniejszy, by uwity z nich wieniec umilił człowiekowi żywot na ziemi, otaczając jego skroń aureolą, w któréj blasku przepaść winno to, co wyłącznie ziemskie, a raczéj pod formą ziemską, błyszczeć ideałem. On, to właśnie ma do siebie, że się w nim wszelkie praktyczności znajdują stopnie, bo jest summą wszystkich. Więc summa sztuk pięknych złożyć się musi na ideał sztuki, na dramat szlachetnie pojmowany, mający przedstawiać życie w jego praktyce, tojest w tém wszystkiém, co jego stronę rozumową i uczuciową stanowi. Jak i co w operze czyli w najwyższym dramacie winno podżegać do działania siły rozumu i uczucia, nie będę tu rozbierał: to pewna, że to drugie głównie muzyce się należy. Uczucie bowiem ciągle przemiennéj grze ulega, więc sztuka mająca je przedstawić musi być w dziełach swoich ruchomą i przemienną. Taką jest właśnie muzyka w najwyższym stopniu; po niéj w zdolności idzie poezya słowa, ale ona więcéj skokami, węzłami uczucie przedstawia, nie cały sznur jego. Najmniéj tu mogą sztuki plastyczne; ich rzeczą schwycić jednę uczucia chwilę i zatrzymać ją na wieki. Szczęśliwe! jeśli za pomocą dodatków konwencyonalne mających znacznie, do chwili głównéj dodać zdołają wspomnienie chwili poprzedniéj, pomogą odgadnąć następną. Muzyka przedstawia szereg chwil nieprzerwany uczucia ze wszystkiemi odcieniami, jakie mu życie nadaje, i dlatego nietyle zdolna do pochwycenia faktu. Że jednak fakt każdy jest koniecznym myśli i uczucia wypadkiem i w nie się przedzierzga: więc muzyka i do przedstawienia faktu użytą być może. A dramat czemże jest w przedstawieniu życia?—zbiorem faktów niby punktów stałych, połączonych z sobą liniami uczucia; te drugie więcéj niż pierwsze zajmują miejsce: tamte wytykają im kierunki. Muzyka ustalając punkta główne i łącząc je z sobą, robi wszystko co dramat musi zrobić, by życie przedstawić. Dlatego to z jéj pomocą dramat najlepiéj się udaje, dlatego mówiłem poprzednio, że dramat muzyczny pochłania w sobie wszystkie dramatu rodzaje, i utrzymuję, że przyjdzie czas w którym nie będzie innego dramatu jak tylko muzyczny, tojest taki, w którym muzyka główne zajmować będzie miejsce, jak się to w operze dzisiejszéj dzieje. Powtarzam, nie jest ona tém, czém być przeznaczona, ale już i dzisiaj jéj ponętom oprzeć się niepodobna: Dlategoto nic dziwnego, że zjawienie się śpiewaczki dramatycznéj takiéj jak pani Lagrange, pierwszéj śpiewaczki opery włoskiéj w Petersburgu zelektryzowało całą Warszawę, a raczéj wszystkich jéj mieszkańców, dramat i muzykę kochających. Raczéj dziwném i smutném byłoby, gdyby się stało ina-

czéj, bo dowodziłoby małego ważenia sztuki. A u nas tylu jéj miłośników ubiegających się za chwytaniem nawet mniéj świetnych jéj darów, że tłumu na zwyczajny koncert biegnącego teatr nasz czasem objąć nie zdoła, a cóż dopiéro na koncert dramatyczny! Doświadczeni a starowni i lubiący wygodę, mogący ją sobie zrobić, wcześnie zabiegają o miejsca numerowane; ale że takich zbyt wielu, więc koniecznie ci i owi daremnie się kłaniają o bileta wejścia. Widziałem nieraz, jak zamiast odpowiedzi kassyer wzruszył ramionami z wpół litościwą, wpół ze znudzoną miną, i zamiast krzesła, paradyz ofiarował; szczęśliwy niejeden, że mu się i to przynajmniéj dostanie. Chciałbym, żeby to spotykało zawsze budowniczych, toby może pomyśleli o jakim ruchomym i elastycznym teatrze, któryby w miarę potrzeby rozszerzał swe gościnne łono na przyjęcie zapamiętałych zwolenników sztuki, goniących za nią jako za piérwszą potrzebą duchowego życia. Niepotrzebaby wtenczas godziną a nawet dwiema przed rozpoczęciem widowiska przychodzić, by znaleźć miejsce jakie takie, bo czekać niezawsze jest przyjemnie. Zawsze to jednak lepiéj niż wcale się nie dostać.“

Tak mówił do swego sąsiada jakiś poważny jegomość, łysy trochę i mogący miéć lat mniéj więcéj pięćdziesiąt; z całéj jego miny przebijał się spokój i pewność zdania, półgłosem wypowiadanego, jakby już oddawna wyrobionego. Gdy mówił, marszczyło się jego wysokie czoło, może w skutek pracy mózgu; ale gdy przestał mówić, czoło się znów wyrównywało, a na ustach osiadał dobroduszności wyraz. We wszelkich jego ruchach i wyrazach przebijała się uprzejmość pociągająca ku sobie, ale razem jakaś godność trzymająca zdaleka zbyt skłonnych do zażyłości. W jego głosie nie mającym już jędrności było tyle jeszcze dźwięku, by wyrzeczone zcicha wyrazy dokładnie sąsiad drugi nawet mógł rozumieć; a jednak nikomu to nie przeszkadzało, bo to był szept raczéj tonący w mnóstwie różnych szeptów, gwarnych rozmów, a nawet wykrzykników zewsząd się wyrywających, jak to bywa zwykle na nienumerowanych miejscach teatru, na jaką godzinę przed rozpoczęciem sztuki. Sąsiad tamtego znacznie młodszy, bo podobno trzydziestki jeszcze nie dobiegł, miał także w obliczu właściwą sobie powagę, może nieco bojaźliwości; trochę myśli, trochę smętności, trochę żywości oka czyniły jego fizyonomią spokojną i ruchomą zarazem. Mówił także zcicha i niewiele, zawsze jakby się chciał spierać z drugim o zdanie, a zawsze kończył tak, że to jako zapytanie wyglądać musiało. Zdawało się, że zupełnie inaczéj mniema, ale nie chce swéj opinii popierać, jakby sam sobie nie zdał z niéj sprawy, a może przez uszanowanie i oględność na tamtego. Czy się znali z sobą dawniéj, czy téż dopiéro teraz piérwszy raz z sobą mówią?—zgadnąć nie mogłem anim pragnął, bo mnie głównie zainteresowała ich rozmowa, a ra-

czéj skłonność do niéj w owym starszym jegomości widoczna. Że zaś mówili o sztuce, więc nadstawiałem ciekawie ucha, udając, że nie słucham. Żem jednak dobrze słuchał dowodem to, com już wyżéj przytoczył i daléj przytoczę. Nie przyszedłem na sam rozmowy początek i nie mogę zgadnąć, jakim sposobem na tak poważny tor weszła; ale mnie uderzyło w mówiącym starszym jegomości jego pojęcie dramatu, które zupełnie podzielam, i ważna podług niego rola, jaką w nim muzyce daje, co mi się trochę przesadzone zdawało. Widocznie (pomyślałem sobie) to jakiś meloman, tém ciekawszy, że rozumuje co rzadkie; że ma własny pogląd, co rzadsze jeszcze między melomanami. Spisując com posłyszał i zapamiętał, winienem dodać tylko, że to było na przedstawieniu opery Napój Miłosny, wktóréj po raz już drugi występowała pani Lagrange w roli Adiny.

— Zapewne, że lepiéj paradyz niż nic; a nawet tu lepiéj niż w loży, gdy o słuchanie muzyki idzie: takie jest przynajmniéj zdanie powszechne, może okolicznościami finansowemi bywających tutaj popierane. Ja tutaj zwykle przychodzę, bo mi inne miejsca są zakosztowne, ale mając nawet na to nie poszedłbym gdzieindziéj, gdybym był pewny, że znajdę tutaj tak miłe sąsiedztwo i nauczające, jak w osobie pana Dobrodzieja.

— Miłe i nauczające? Oh! chciéj pan być szczerszy, jeśli dosyć pobłażającym być możesz na moje gadulstwo. Znam to do siebie, że gdy o muzykę chodzi, to nieprędkobym ustał. Ale mniemam, że wygodny być mogę dla tych, którzy lubią gawędkę; tutaj ona więcéj jakoś jest swobodna i rozmaita niż gdzieindziéj. Jest tu jakieś sans façon, które ja bardzo lubię; a co rozmaitości naokoło! Czasem to i dokucza, ale najczęściéj bawi; istna komedya! Przed podniesieniem zasłony, za którą się przygotowuje przedstawienie udanéj rzeczywistości, zebrani wcześniéj widzowie i słuchacze, sami zamieniają się w aktorów i odgrywają sceny improwizowane z okoliczności chwilowych i dziwnych, w jakich się znajdują. Sceny te nieraz tak prawdą i żywotnością przesiąkłe, że aż żal, iż nie na scenie się dzieją. Ale ja wolę pogadankę. Dawniéj bywało, zbieraliśmy się tu w kilku, zasiedli wkółko w jednéj i drugiéj ławce, a nuż paplać! Oh! panie łaskawy, co się to nawygadywało nieraz! Ja sam naplotłem banialuków co nie miara, bom już urodzony gaduła. Ale to uważałem i uważam, że taka gawędka bez planu obejmuje zwykle mnóstwo szczegółów sztuki dotyczących, szczególniéj dramatycznéj i muzyki. A jak zmienne obrazy w kalejdoskopie zawsze z tych samych powstają szkiełek; tak i gawędka taka na tych samych osnuwana zawsze szczegółach, rozmaicie się wywija. Uważałem jeszcze i to, że w natłoku ró-

żnorodnych zdań, życzeń, widać w ogóle niezmiernie wyrobiony sąd o tém, co się sztuki dotyczy; a choć on się bez systematu, ucinkowo nieraz objawia, daleko więcéj nieraz spotkać można w nim treści, niż w ukwieciony sprawozdaniach gazet, Bóg wié pod jakim wpływem napisanych!

— A czytał pan Dobrodziéj, co o pani Lagrange było?

— Oh! czytałem; ja czytam wszystko, co się u nas o muzyce pisze: nie dlatego, bym pragnął utworzyć sobie zdanie ze zdań cudzych, ale dla zrozumienia, jak téż postępują nasi sprawozdawcy muzyczni za sztuką. I widzę, że od lat dwudziestu dla każdéj śpiewaczki mają ten sam worek z imionami słynnych poprzedniczek, a którego po kilka wydobywają, a czasem wszystkie, i to samo wieczne choć poetyczne porównanie ze słowikiem. A tu każda śpiewaczka znakomita ma coś w sobie szczególnego i odrębnego, co trzebaby określić głęboko i szeroko, gdy chodzi o zastosowanie do dramatu muzycznego, o którym już pan wiész moje zdanie. Co zaś do porównania ze słowikiem, mam je za kapitalne głupstwo; przepraszam za wyrażenie! Bo słowik, panie łaskawy, innemi tonami śpiewa niż człowiek: śpiewa instynktem natury podżegnięty i w pewnéj porze roku; słowik jeśli ma uczucie to je zawsze jedno i to samo w śpiewie swoim oddaje, śpiewie ponętnym, to prawda, ale i monotonnym. Ale co tam daléj to rozmazywać: lepiéj się uśmiać!

— Ztémwszystkiém gazety nasze mówią o pani Lagrange jako o cudzie jakim, i myślę, że nie bez powodu. Czy pan Dobrodziéj już ją słyszał?

— Nie jeszcze; podobno i pan tak samo: no, to ją posłyszymy dzisiaj. Oby nam się cudem wydała, czyli co na jedno prawie wyjdzie, wielką śpiewaczką dramatyczną. Tyle potrzeba warunków by nią była, tyle wymagań dramatycznych i muzycznych musi zaspokoić, by ją uznano! Ci naprzykład chcą głosu świeżego, a głos taki długo trwać nie może; instrumentacya téż zwykle dzisiaj przepełniona każe śpiewającym robić wysilenia, a więc głos zużywa. Ci chcą głosu mocnego, by nad rozpasaną orkiestrą i wrzeszczącemi chórami panował, a tu Pan Bóg takiéj siły odmówił; choć to podług mnie nie jest koniecznym warunkiem, bo siłę względnie pojmować i używać jéj można. Inni pragną głosu wyrobionego do najwyższego stopnia, a na to trzeba rzadkiego daru natury i rzadszéj jeszcze wytrwałości w pracy. Ja kwituję ze wszystkiego prawie, bylem w tym głosie znalazł dramatyczność różnostronną, tojest zdolność przedstawienia samym już głosem różnéj natury uczuć. Różnice tu powinny być wydatne; ale żeby je głos umiał pochwycić, potrzebuje kształcenia się w charakterystyce. Jest to głównie pojęcie, które się w gło-

sie uwydatnia; niemniéj jednak potrzeba do tego studyów wokalnych, wielkiéj szkoły, szerokiéj metody w kształceniu śpiewaczki, do któréj jakoś ludzie nie mają cierpliwości. A może nie widzą potrzeby długiemi ofiarami dobić się wszechstronności i rzetelnéj wielkości. Niegdyś narzędzia muzyczne kształciły się na wzór głosu ludzkiego; dziś głos ludzki raczéj instrumentalnie niż wokalnie się kształci, a dla sztuki dramatycznéj nie jest to wszystko jedno. Wszystkie te mniéj więcéj mozolnie nabyte sztuczności, któremi śpiewacy rozpychają pomysł kompozytora, któremi sam kompozytor względny czasem na śpiewaka pomysły swoje nadziewa, rzadko niezmiernie dają się zastosować z prawdą do sytuacyi dramatycznéj, a nadużycie ich jest jednym z powodów, dlaczego opera nie jest jeszcze tém, czémby być mogła. Instrumentalizacya głosu rzadko czemu przepuści, do wszystkiego się przyczepia a że sobie wyrobiła pewne formułki i stale się ich trzyma: więc niestosowną jest przynajmniéj pięć razy na dziesięć. Zważmy teraz, że indywidualność śpiewaczki, natura jéj głosu, jego wyrobienie, znów z między nielicznych formułek niektóre tylko sobie obiera i te stosuje wszędzie, a zrozumiemy ile tam będzie prawdy; zapewne nie więcéj jak dwa razy na dziesięć. Tymczasem są inne środki i prostsze, mojém zdaniem, dramatyzowania śpiewu, udramatyzowaniem głosu; to jest rzeczą śpiewaka, a reszta zadaniem że kompozytora. Przypuszczam nawet, co się téż i zdarza dosyć często, że kompozytor użył pewnego tonu i zawsze tego samego na skali głosu do oddania różnych uczuć, że mu nadał te samą długość w czasie, że go w tym samym umieścił akkordzie, tym samym rytmem go otoczył, tę samą mu dał przygrywkę: słowem, jednéj i téj saméj muzyce rozkazał różne przedstawiać uczucia; to rzeczą jest śpiewaka dramatycznego zrobić ją różną za pomocą tylko głosu bez najmniejszéj w samym pomyśle zmiany. Niech go i deklamacya podeprze, gdy są wyrazy, tém lepiéj! Ale już sam głos powinien mnie oświecić, czy miłość, czy nienawiść, czy radość, czy boleść przemawia. W tém ja p. Dobr. widzę ideał śpiewaka dramatycznego, najpiękniejszą i najpotężniejszą jego stronę, największą téż dla niego trudność. Więc taki głos winien mieć prócz piękności, rozległości, siły, równości, inny jeszcze przymiot, któryby nazwać można wrażliwością na pojęcia, lekkością, sprężystością, giętkością, i coby się tam jeszcze wymyśleć dało z fizycznych głosu przymiotów. Każdy z nich do wartości drugich się przykłada, a wszystkie stawiają śpiewającego w możności uczynienia zadosyć różnym dramatu potrzebom, byle tylko miał wprawę, a choćby i instynkt zastosowania. Więc że taki głos winien mieć najwyższe wyrobienie mechaniczne na jakie się człowiek zdobyć może, nie ulega wątpliwości; ono to bowiem daje śpiewakowi moc nad głosem, łatwe nim władanie; ale na tém koniec

być powinien w dramacie prawie zawsze. Miłoto wprawdzie posłuchać, gdy śpiewak w troskliwie obmyślaném miejscu poskacze lub popłynie lotną ruladą, słowiczy, jak go nazywają tryl zadzwoni, uwikła słuch zgromadzonych w siatkę z wywijających się w arabeski tonów, zadziwi niesłychaną rozległością skali, jednym susem dwa jéj krańce połączy i t. d.; ale przyznasz pan Dobr., że to na każdym prawie instrumencie lepiéj, pewniéj, dosadniéj się zrobi, a nie będzie znać pracy i wysilenia, choćby się ono tylko rzucaniem głowy wydało, bo to najczęściéj prawdzie akcyi zaszkodzi, albo bynajmniéj niewdzięczném, bezmierném ust rozwarciem. Uniknie się téż i fałszywych tonów, których w śpiewie wyforsowanym uniknąć niepodobna. A jeśli takich brzydot znoszeniem opłacać trzeba marną przyjemność posłyszenia wykwintności, jeśli użycie jéj tak ma narażać śpiewaka, to dziękuje: wolę już instrument, choć on nigdy nie sprosta głosowi ludzkiemu w jego czułości i życiu mienioném.

— A dlaczegoż publiczność tak suto przyjmuje to, co pan Dobr. wykwintnością, sztucznością nazywa? Pewnie to nie bez kozery?

— Oh! kozer tu pełno: naprzód publiczność uznaje zasługę pracowitości, uznaje może rzadkość talentu. Przypomniéj pan sobie, jak szalano za Hermanem, co to łykał igły i noże, czy tam coś podobnego dokazywał. Uwielbiano, bo tego nikt nie umiał i nie rozumiał; ale nacóż się to zdało? Daléj, publiczność sama proteguje sztuczność, nią tylko żyje; gdzież szukać na świecie prostoty, naturalności? Może to jest koniecznym wypadkiem względów towarzyskich, ale pewnie nie potrzebą natury ludzkiéj. Tłum zawsze od prostoty ucieka, bo jéj nie rozumié, bo mało jest ludzi z myślą i sercem w porównaniu do liczby tak zwanych ludzi praktycznych, którzy się ubiegają za wykwintem w ubraniu, mieszkaniu, pożywieniu, stąpaniu, patrzeniu nawet. Toć takie ciągłe wysilenie w naturę już im przejść musi; nadzwyczajność jest ich hasłem, a jeśli ją jeszcze gazety lub gębacze jacy poprą, upoetyzują, to cóż się i dziwić, że się podoba. Cóż dopiéro, gdyby coś podobnego naprawdę się zdarzyło, co mówią o śpiewie pani Lagrange? taki rarytas jeszcze więcéj pociąga. Ale co za najważniejszy powód przyklaskiwania sztucznościom uważam, co je nawet usprawiedliwia, to instynktowe przekonanie publiczności, że tam, gdzie tyle mechanicznego wyrobienia w śpiewie się znajduje, znajdują się tém samém wszelkie warunki śpiewu istotnie wielkiego; bo prawie wszystko co jeden stanowi rodzaj, drugiemu jest także konieczne. W tém różnica, że tam go się używa jako cel, a tu jako środek; tam widna przyczyna, tu skutek. Cel i środek, przyczyna i skutek tak są z sobą związane, tak nieraz podobne do siebie, że się łatwo omylić i wziąć jedno za drugie.

— Widząc tak jasno, pan Dobr. musi mieć chwile niepospolitéj rozkoszy, bo wiedzieć, jestto używać.

— Jabym raczéj powiedział, że zapomnieć trzeba, by użyć. Postawiłem mój ideał tak wysoko, że go rzadko bardzo widzę w czyn się zamieniający. To téż abym nie był głodzien wrażeń biorę to, co dostać mogę, i rozkoszuję się razem z innemi, na chwilkę przynajmniéj, bo zaraz mi staje na myśli: coby to było, gdyby!.... Jeśli mi się zdarzy, że to gdyby do głowy mi nie przyjdzie, to wówczas czuję rozkosz jak mało kto zapewne; wtenczas dla mnie jest prawdą, że wiedzieć jest to używać. Naturalnie takie chwile rzadkie są dla mnie, i szczerze nieraz zazdroszczę tłumowi, który się dla niczego zapala. Przeczuwam, że i dzisiaj będę miał tego przykłady; ale téż i dla siebie coś spodziewam się znaleźć. Gazetom wprawdzie nawpół tylko wierzę, bom już nieraz dostrzegł, że mają jakieś pół-słowa, pół-wyrażenia, pół-znajomości rzeczy; że lubią mówić pół-prawdy, do czego téż i powody mieć muszą; to jednak widzę, że gdyby i teraz połowa tylko z tego co mówią o pani Lag. prawdą było, jużbym się tak wysoko nadaremnie nie drapał; przeczuwam, że posłyszę znakomitą śpiewaczkę dramatyczną. A nie? to mi zostaje uwertura Müncheimera, kompozycya rodaka, a ja na to jestem bardzo łakomy. Kompozytorów własnych mamy tak mało, choćbym i najlichszych nie przepomniał, że każdy nowy domowy talent w tym rodzaju powinniśmy zachęcać współczuciem przynajmniéj, kiedy inaczéj nie możemy, a jeśli się godzi, to i uznaniem wesprzeć: to drugi powód, który mnie tu dziś koniecznie sprowadził. Pani Lag. pewnie nieraz jeszcze wystąpi, a na uwerturę Müncheimera może długo czekać przyjdzie. Słyszałemci ją już raz wykonaną w domu prywatnym, ale środkami niekorzystnemi dla kompozycyi na wielką orkiestrę ułożonéj: więc mam dopiéro pół zdania; dzisiaj je sobie dopełnię.

— Czyż dlatego, że cała orkiestra grać będzie, uwertura lepszą się stanie? Ja myślę, że to tylko głośniéj będzie, a pan Dobr. sam mówiłeś niedawno, że siła to rzecz względna. Mnie się to samo zdaje. Pamiętam, słyszałem dawniéj nieraz panią Poźniakowską grającą uwertury z Wolnego strzelca i z Wilhelma Tell; to panie Dobr. tak doskonale wyglądało, że się ani pomyślało o orkiestrze.

— To sprawiło dzielne wykonanie pani Poźniakowskiéj, bo to fortepianistka pierwszego rzędu u nas. Ma potężny mechanizm, rycerski rzekłbym, który rośnie niejako razem z trudnościami; a przytém ma dziwną energią, rzadką między kobietami grającemi na fortepianie, głębokość poglądu raczéj niż czułość; ogół raczéj widzi niż szczegóły, albo i szczegóły ale te tylko, które przeważnie cechują całość swym charakterem. Ztąd wykonanie jéj zawsze jest pełne znaczenia i jedności, zanadto ściśle

niekiedy pilnowanéj, a raczéj pilnującéj się, ale nigdy zato nie ma tam czczości. Talent pani P. téj jest natury, że mu lepiéj przystoją szalone kompozycye Liszta, niż eleganckie Thalberga; namiętne raczéj niż wdzięczne, burzliwe raczéj niż pogodne. Gdyby jéj talent miał więcéj tkliwości, tobym ją chciał słyszeć grającą Szopena Balladę lub Sonatę; ale w niéj raczéj marzenie, gorączkowość: więc Beethowen lepiejby się wydał szczególniéj tam, gdzie jak lunatyk po przepaściach się błąka. W uwerturach które grała pani P. massowość orkiestrowa doskonale się wydała; ale ja wolałem słuchać Webera dzikich wyrażeń, niż tumultu Rossiniego. Marsz w jego uwerturze całkiem mi się niestosowny zdaje do reszty, daleko bogatszéj w odrębny charakter; taki marsz dobry dla wojska na paradzie, ale nie dla zapalczywych, rozpacznych górali. A jednak tym marszem artystka porywała słuchaczów, bo wlała weń swoję energią, stopniowała go jakąś nerwową siłą ciągle wzrastającą, i z tryumfem wejść umiała w tumult, który po nim następuje. Ale w Weberze panie Dobrodzieju duch kompozycyi daleko przeważniéj wychodził z pod palców pani P.; z przerażającą prawdą oddane bywały szatańskie sztuki i dzika strzelca ochota, groźba psująca pieszczotę, wrzenie odmętu. A jednak mimo takiego wykonania tém więcéj pragnąłem orkiestry, może dlatego, żem się jéj nasłuchał tyle razy w téj uwerturze i czułem, że mi brak dzikich jéj głosów, ostrych jéj kolorów. Jakkolwiek obmyślane było aranżowanie Liszta i Henselta, nigdy orkiestry nie zastąpi w zupełności; a to nietylko co do szczegółów o których dopiéro mówiłem, ale i co do życia wewnętrznego. Kto zna się na partyturze, to dostrzeże w niéj mnóstwo szczegółów na które fortepian nie ma miejsca, a grającemu zamało dziesięciu palców. Zręczny na fortepian przekład polega na upodobnieniu ważniejszych rzeczy, na wyborze niektórych, skoro wszystkich niepodobna zamieścić; a to już jest sztukowanie, coś podobnego do tłumaczeń z obcych języków, w których wyrażenia oryginału przepaść muszą. Wprawdzie znający rzecz swoję tłumacz zastąpi je innemi właściwemi swemu językowi, ale nigdy prawie nie znajdzie malujących rzecz tak samo, bo każdy naród złożył w swym języku swe cechy sobie tylko właściwe. Kto nie zna oryginału albo go nie pojmuje jak należy, temu tłumaczenie wystarczy, nawet lepsze jak oryginał zdawać się może. Z przekładem na fortepian z orkiestry rzecz się ma inaczéj: tam nigdy lepiéj być nie może, bo zawsze musi być to samo, ale bledziéj.

— Dziwne rzeczy mi pan Dobr. mówisz! Toć słyszałem tyle razy ludzi fachowych mówiących, że fortepian to orkiestra?

— Tak! orkiestra, w któréj brak połowy instrumentów i tego wszystkiego, co one robią. Porównać go można z mappą na małą skalę; granice państw zdają się tam iść jak linia, a je-

dnak pełno tam powinno być wycięć, zakrętów; ale cóż? miejsca na nie nie było, nie było miejsca na mnóstwo miast, rzek, gór, jezior i t. d. nie znać gdzie kanał, droga bita lub żelazna: słowem, kraju szkielet tylko widoczny, ale nie jego istotne znamiona, nie jego cywilizacya. Kto lepiéj nie zna, ten kontent i z tego co widzi, bo się więcéj nie domyśla; ale kto zna dokładnie jak być powinno, to z tego co jest ledwie sobie przypomni resztę. Żeby pana przekonać, że fortepian i orkiestra niezupełnie jest jedno, to pana poproszę, byś patrząc tu na mnie i widząc nawet nieco z tego co się z boku dzieje, powiedział mi, co tam jest za panem i wokoło pana. Wszak to niepodobna! otóż i fortepianowi niepodobna oddać orkiestry chyba wtenczas, gdy nie ma w niéj życia jakie miéć powinna. Dlatego téżto utwory większe instrumentalno-orkiestrowe lepiéj wyglądają na cztery ręce fortepianowi oddane; a i to mało jeszcze: więc kilka fortepianów używają nieraz, co znowu wkrótce przesytem jednotonności przy takiéj massie dźwięku obarcza słuchaczów. Lepiéj już wygląda przerobienie na kwartet lub kwintet narzędzi smyczkowych, bo one są rdzeniem orkiestry; a jeśli się doda jeszcze fortepian, to pół biédy. W takimto półorkiestrowym składzie słyszałem uwerturę Müncheimera, ale przecież dzisiaj będzie to daleko lepiéj. Ale ja tu rozprawiam,—rzekł wstając i kierując lorynetkę ku orkiestrze— a tu widzę zaczną niedługo; trzeba dobrze uważać, bo się zacznie pianissimo, jeśli dobrze pamiętam.

— To większa część słuchaczów straci początek uwertury nim się spostrzegą.

— Czy pan myślisz, że będą wszyscy słuchać? że ich to co obchodzi? Toć z góry wiedzą że słuchać niewarto! Biedni kompozytorowie! Słuchajmyż my przynajmniéj jeśli nam inni pozwolą!

I od piérwszego poruszenia dyrektora battutą usiadł ów starszy jegomość, zasłonił sobie oczy dłonią, łokieć na kolanach wsparłszy; alem dostrzegł z boku, że je przymknął jakby się do snu zabierał i tak nieruchomy został aż do końca uwertury. Ale po ostatnim akkordzie, jakby się nagle zbudził, dłonią w dłoń uderzył kilka razy jeden z piérwszych i niewielu, którzy uważali za stosowne tą oznaką współczucia dla rodaka kompozytora pokryć milczenie większości. Drugi, który z nim przed uwerturą rozmawiał, idąc za jego przykładem jął przyklaskiwać także; ale się spóźnił nieco, to téż zaraz prawie sam pozostał. Zawstydzony swojém solo, spojrzał na zegarek i rzekł:—„No! to teraz przecie posłyszymy panią Lagrange." Że jednak zasłona nie podnosiła się jeszcze i ktoś tam w orkiestrze dostrajał swoje skrzypce, więc po chwili milczenia zagadnął znów swego towarzysza:—Jakże się panu Dobr. zdaje teraz ta uwertura? Chłodno ją jakoś przyjęto!

— Nie wiem czy będziemy mieli czas do rozmowy, bo się pewnie opera niebawem zacznie, a kilkoma wyrazami zbywaćbym nie chciał. Musiałeś też pan słyszeć tych dwóch panów siedzących przed nami, bo dosyć głośno rozprawiali podczas saméj uwertury. Nie wiem który, ale mówił, że to bez melodyi, że harmonii nie ma; a drugi, jak z odmiennego głosu wnosiłem, bom nie patrzył, porównywał ją z uwerturą Dobrzyńskiego z Filibustierów i mówił, że w uwerturze Münchejmera nie ma instrumentacyi.

— Ja panie Dobr. nie wiem czy rozumiem dobrze te wyrażenia techniczne, ale zdaje mi się, że gdyby nie było melodyi, harmonii i instrumentacyi, toby i uwertury nie było.

— Masz pan słuszność; to też z dwojga jedno (dodał ciszéj i pochylając się ku sąsiadowi): albo ci panowie także nie rozumieją znaczenia wyrażeń których użyli, co się nietylko potocznie gawędzącym zdarza; albo istotnie je rozumieją, ale ich nieoględnie, może dla krótkości użyli. W tym drugim przypadku znaczyłoby to, że tam melodya nienowa albo jéj zamało, że harmonia niesilna, niedosyć urozmaicona, instrumentacya nieświeża i ogołocona z nowych efektów. Jeśli tak, to prawiebym się zgodził z temi panami, lubo mego zdania do każdéj chwili téj uwertury stosowaćbym nie rad z całą surowością, jaka z niego może wyglądać. Trzebaby tu mieć partyturę pod ręką, by wskazać miejsca słabsze i powiedzieć, dlaczego są takiemi, bo niepodobna od piérwszego razu i od drugiego nawet więcéj spamiętać niż ogólne wrażenie i kawałek melodyi, a tego na dowodzenie zamało. To jednak uważałem, że w téj uwerturze jest myśl jedna od początku do końca, ale niedosyć urozmaicona w rozwinięciu, lubo imitacyj nie brakuje. Myśl druga dla ucieniowania piérwszéj wprowadzona, niezmiernie już jest zużyta i właśnie w uwerturach. Rozwinięcie też szczupłe: brak mu świetności i w ogóle całéj kompozycyi brak wynalazku, lubo nie godzi się jeszcze odmawiać go autorowi. To też mówię to tak sobie, poufnie; gdybym miał dać zdanie moje publicznie, tobym raczéj szukał przymiotów, za które możnaby śmiało autora pochwalić. Sama już praca, chęć zrobienia czegoś większego niż polka lub kontredans, a choćby i piosneczka, zasługują na uznanie; cóż dopiéro, gdy się pomyśli że tam widać i źdźbło nauki kiełkujące i pilnowanie się zadania bez gonienia za popisem, bez smażenia się nad effektem, to się zrozumié, że tam jest sumienność, która przy ciągłéj pracy daleko zajść może. Żal mi tylko jednéj rzeczy, że pomysły blade nieco w téj uwerturze. Niewiadomo wprawdzie o ile one stosownie tłumaczą widzenie lub usposobienie autora przy pracy, i nie można nikomu robić zarzutu z tego, że się poprostu i naturalnie wyraża. Ale ja panie Dobr. pragnę, a raczéj szukam w każdym nowym kompozy-

torze czegoś nowego, właściwego jemu tylko, pomysłów odrębnych jak i indywidualność człowieka. Dlatego jak spotykam rzeczy znane już oddawna, to sobie je tłumaczę albo naśladowaniem, a więc brakiem siły osobistéj, albo trudnościami walki z techniką, co znaczy niedostateczne jeszcze wyrobienie. Już się to jednak niejednemu kompozytorowi zdarzyło, że mu te same robiono zarzuty z powodu piérwszych prac jego, a potém znalazła się i oryginalność i mistrzowstwo techniczne. Kompozycya prawdziwa, panie Dobr. to rzecz trudniejsza niż mniema wielu; by nie mówić już o talencie wrodzonym, którego nabyć nie można tylko wykształcić; tak, że gdy młody człowiek zapragnie czémprędzéj sił swoich sprobować, może i party głosem wewnętrznym, któremu oporu stawiać nie powinien, to mu wiele rzeczy stanie jak kolce jeża. Wówczas natchnienie i zapał odbiegną pracownika, i zostawią go z niewyrobioną wprawą, z biedzącą się myślą. A tu zamiast otuchy spotka go milczenie lekceważące, albo wymówka bez sensu, że tam nie ma melodyi, harmonii ani instrumentacyi. Bo nie myśl pan, by ta opinia spadła tylko z języka tych panów co tu siedzą (wskazał na piérwszą ławkę); ręcze panu, że wszyscy którzy tę uwerturę przyjęli obojętnie, to samo myślą i będą rozgadywać. To powszechna sądu formuła; znacząca ona w ustach znawcy.....

— Takiego jak pan Dobrodziéj!—wtrącił drugi.

— Komplement niezasłużony! To także krytyka w swoim rodzaju (odrzekł tamten z lekką niechęcią). Gdybym był mniéj prawdomowny, tobym powinien panu takim samym odpłacić, bo każdy z nas równy znawca dla siebie.

— Ale nie każdy znawcą jest dla innych; to pan Dobrodziéj przyznać musisz, choćbyś szczere moje wyrazy co do siebie, koniecznie za komplement chciał uważać. Ja naprzykład z mojém znawstwem nic powiedzieć nie umiem, coby pana zainteresować mogło, a słucham obu uszami, dziwiąc się pańskiéj dla nieznajomego względności.

— Nie mów pan całkiem nieznajomego; widuję pana czasem na wieczorach muzycznych, choć sam rzadko na nich bywam. Co zaś do mojéj względności, nazwij ją pan gadulstwem. Ah tak! (dodał udobruchany), to już moja passya, albo słuchać muzyki, albo o niéj rozprawiać, kiedy jest z kim. Spostrzegam się czasem, ale i zapominam niebawem. I to panie Dobr., coraz gorzéj ze mną, szczególniéj od lat dziesięciu jak mi los pozwolił nie myśleć o utrzymaniu się z pracy. Co to daléj będzie! Ludzie mnie będą unikać—dodał już do siebie i zasępiony.

Niespodziewany ten zwrot rozmowy bardzo był nie na rękę dla nas obudwu, cośmy słuchali owego jegomości. Sąsiad jego wyraźnie sobie przypisywał rozdraźnienie w jakie wpadł tamten,

to też chciał się wytłumaczyć.—Przepraszam pana jeślim był powodem.....

— Dopiéro pan będziesz powodem, że nie posłyszę introdukcyi!—i schwycił przepraszającego zarękę jakby chciał go także przeprosić za swój zły humor, a może i zniewolić do milczenia. Orkiestra zaczęła swoje, a niebawem dyrektor pociągnął za dzwonek, zasłona się podniosła, a z nią i my wszyscy z miejsc naszych jakbyśmy z maszyneryą związani byli. Wszyscy zwrócili się ku scenie, sypnęli oklaskami, i tacy podobno, którzy jeszcze nie wiedzieli sami przez się co o śpiewaczce mniemać. Ja tak się zapatrzyłem i zasłuchałem, żem zupełnie zapomniał o znawcy i jego towarzyszu; mimowoli tylko dostrzegłem, że ten piérwszy wstawał i siadał od czasu do czasu, a drugi ciągle stojący zwracał tylko do niego głowę niekiedy, kiwając nią znacząco i tsykając: wyraźnie był zachwycony.

To też ledwie się akt skończył, zwrócił się natychmiast do swego sąsiada i zawołał:—Przyznam się panu Dobr., żem takiéj śpiewaczki jeszcze nie słyszał.

— Mnie się zdaje,—odrzekł drugi,—żem już słyszał podobną.

— Jakto zdaje się? Mniemam, że pan Dobr. pewny siebie być musisz; pewnie za granicą, któż to taki?

— Polka, panie łaskawy, polka! Dziwna rzecz, jak u nas mało osób ma wiarę w zdolności domowe; jak tylko o czémś znakomitszem mowa, to zaraz przyznają to zagranicy. Ja panie Dobr. mam słabość zupełnie przeciwną; zagranicznemu szukam podobnego u nas i najczęściéj znajduję. Choć za granicą byłem, alem nie patrzył na rzeczy i ludzi przez szkło powiększające i nie myślę, by podróż mogła co wpłynąć na moje zdanie o śpiewaczce lub śpiewaku, by sąd mój wykształciła. Przecież co najznakomitszego jest w tym rodzaju u innych, przybywa także i do nas. Wprawdzie najczęściéj resztki jakieś się nam dostają, ale to tylko resztki głosu; sztuka zawsze ta sama, a może i większą bywa wtenczas, gdy ma pokryć szczerby głosu. Czém jest głos i może być, nauczyć się możemy przez porównanie głosów, których przecie i u nas nie brakuje; porównaniem także nabieramy pojęcia czém jest i może być sztuka, rozumowaniem i uczuciem zgadujemy czém być powinna, a przykład jaki znakomity, przeczucia nasze potwierdza niekiedy. Jeśli się jeszcze wié czego w kompozycyi, czego w śpiewie szukać należy, to się i bez zagranicy obejdzie. Śpiewaczkę podobną talentem do pani Lagrange słyszałem u nas, a byłato rodaczka nasza, amatorka, jedna z ozdób dawniejszych poranków muzycznych resursy, jedném słowem panna S..... Jéj głos był równie lekki w skokach i stakkatach, tryle robiła lepiéj, ale w biegnikach mniéj miała lotności, skalę mniéj rozległą. Głos też jéj był cieńszy, niby ostrzejszy, lubo bardzo wygładzony. Wykonanie mimo chłodu

tyle miało elegancyi i wykończenia, że nie można wybaczyć ludziom czy okolicznościom tego, że tak piękny talent w ukryciu zagrzebały.

— Ja nie słyszałem wprawdzie téj śpiewaczki, ale z wyrazów pana Dobr. wnoszę, że mamy czego żałować; tém bardziéj, że to podobno jedyny przykład tak wysokiéj u nas muzykalności.

— Przepraszam pana, że się nie zgadzam na to. Zdolność znakomitą w wykonaniu, a nawet w kompozycyi należy odróżnić od muzykalności, która znaczy niejako rozum sztuki, gdy tamte raczéj na natchnienie wskazują. I znowu gdybym przyjął wyraz muzykalność w znaczeniu jakie mu pan nadajesz, to mógłbym się powołać na mnóstwo naszych rodaków między nami, a więcéj za granicą żyjących, którzy sławę zyskaną lub zyskiwaną codziennie i na nas przelewają. Kątscy, Wieniawscy, Herman, że już ani dawniejszych, ani młodszych, ani znakomitszych, ani mniéj nieco głośnych nie wspomnę, są już dowodem zdolności naszéj do muzyki, alias muzykalności.

— Ach! co do muzykalności tak szeroko rozumianéj, tom nigdy nie wątpił, by nam Pan Bóg odmówił usposobienia do niéj. Ale ja mówiąc dawniéj, że panna S..... jednym podobno u nas wysokiéj muzykalności była przykładem, rozumiałem tylko sztukę śpiewania, a na to podobno i pan Dobr. się zgodzisz.

— Bynajmniéj! Nie tak częste wprawdzie u nas osoby dobrze śpiewające, jak się to mówi, ale bywają. I czemużby nie? Do śpiewania potrzeba obok ogólnéj do muzyki zdolności, któréj tu więc roztrząsać nie będę, dwóch rzeczy; głosu i nauki. Co do piérwszego choćbyśmy i przyznali, że Włochy w całéj Europie są ojczyzną najpiękniejszych głosów, to przecie i w Niemczech się one znajdują, a czemużby u nas także znaleźć się niemogły. Albożto raz przechodząc ulicą wieczorem szczególniéj letnią porą, słyszeć można cudne śpiewy na przygrywce fortepianu pływające, że aż człowiek mimowolnie stanie i złorzeczy turkotowi miejskiemu, że mu psuje rozkosz? Alboż na naszych wieczorach muzykalnych w domach prywatnych, w każdéj prawie ile tyle muzykalnéj rodzinie nie spotykają się głosy godne posłyszenia na scenie, a nieraz nawet godniejsze tego od tych, które tam się znajdują, choćby i z Włoch pochodziły?

Widząc, że sąsiad mu potakuje, tak daléj mówił: — No! więc o tém nie ma co więcéj się rozszerzać; pomówmy o sztuce śpiewania, a raczéj o nauce. Głos, chcę mówić krtań jest tak dobrze narzędziem muzyczném do pewnego stopnia, jak każde inne; żeby go nauczyć się wprawnie używać, trzeba go poddać ćwiczeniom właściwym i jego naturze i przyszłym celom. Cele mogą być widoczne i powszechnie uznane, w jednym celu się zlewać wymagającym jak największego i wszechstronnego wykształcenia, o którego potrzebie już dawniéj panu mówiłem, ale środki

czyli ćwiczenia dla głosu muszą być różne, jak różne są głosy. Trzeba bowiem wiedzieć, że jak nie ma dwóch liści na jedném drzewie zupełnie sobie podobnych, tak nie ma dwóch głosów całkiem jednakowych. Że zaś nigdy prawie się nie zdarza głos zupełnie ukształcony przez naturę, tak, by do różnorodnych celów muzycznych był gotów, i dopiéro go kształcić trzeba, by go sprowadzić do tego samego stopnia, do tych samych wypadków, jak i głosy inne: więc każdy głos inaczéj kształcić potrzeba, ot tak np. jak każdą niemal rękę mającą grać na fortepianie, każdą niemal mającą smyczkiem wodzić po skrzypcach. W tém tylko różnica i tém większéj oględności konieczność, że kształcenie głosu jest nietylko urobieniem mechaniczném pewnych części ciała, ale nadto i wychowywaniem i narzędzia samego, jak to już wspomniałem. Tak naprzykład soprany, najpospolitsze z głosów kobiecych, w rozległéj skali do któréj zwykłe z łatwością dochodzą, najmniéj mają tonów piersiowych i to bardzo liche; albo jeśli je mają jakie-takie (co się raczéj mezzo-sopranom zdarza), to niezmiernie różne od tonów falsetu. Nauka powinna nietylko doprowadzić do swobodnego na wszelki sposób używania każdego z pojedynczych tonów, ale nadto do zatarcia różnicy dwóch owych tak zwanych regestrów tam właśnie, gdzie ona jest najwydatniejsza, w ich tonach granicznych. Tony te graniczne nie w każdym sopranowym głosie są te same i téj saméj natury: chciéj sobie to pan Dobr. zanotować w pamięci. Daléj głos sopranowy każdy ma jednę część skali gładszą, świetniejszą, mocniejszą niż druga; trzeba je wyrównać także i zbadać, odkąd dokąd takie lub inne postępowanie zastosować należy. I tu nic stałego nie ma, a mnóstwo rozmaitości, bo nieraz między dwoma tonami gładkiemi jeden się znajdzie trzeszczący, jakby kto piaskiem po szybie szorował. Daléj, każdy głos sopranowy ma pewne tony fałszywe, a to tak fałszywe, że bez wielkiéj pilności nigdy czystemi się nie staną. Cóż pan powiész? oto nie każdy taki ton fałszywy do czystości dochodzi temi samemi środkami, bo tu nietylko wada jakaś, a raczej odmienność w organizacyi krtani się trafia, ale słuch poniekąd właśnie dla tego jednego tonu fałszywy, a tak oporny, że mu trzeba wynajdywać różne dyscyplinarne środki. Tyle co do wykształcenia instrumentu. A biegłość w jego używaniu, i to nietylko biegłość mechaniczna do któréj także usposobienie nie w każdém indywiduum jednakowe i jednostajne! Są wprawdzie szczęśliwe pod tym względem istoty, do których i panią Lagrange i naszę dawniéj wspomnianą amatorkę liczyć trzeba; mają już z natury pewną łatwość, pewną giętkość głosu, które nauka tylko rozwinąć potrzebuje. Czasem, natura zrobiła prawie wszystko. Może pan sobie przypominasz, (bo to ledwie cztery lata będzie temu, i gadano o tém wiele), zjawiła się tu w Warszawie jedénastoletnia izraelit-

ka, wykonywająca z niesłychaną łatwością najtrudniejsze pasaże instrumentalne i to czysto, wyraźnie, i natychmiast po przegraniu jéj wyszukanych, wydziwaczonych trudności. To było tak cudowne i tak niezmierne, że się wielkiéj sztuce pani Lagrange dziwić prawie niepodobna. Ale to wyjątki, wybryk natury; dziecińśtwem byłoby koniecznie starać się im sprostać, większém jeszcze, uważać tę stronę śpiewu za najważniejszą. Ale pracować trzeba i stosownie do różnéj natury głosu różnie go prowadzić. Cóż mam panu Dobr. mówić o stronie estetycznéj, najgodniejszéj człowieka, jedynéj jaką skutecznie może do ludzi przemawiać? Ale ona także polega na mnogich szczegółach, których elementarne wyrobienie nauka na siebie wziąć musi, by utorować drogę uczuciu gdy śpiewaka odwiedzić raczy, by mu wspomnienie uczucia naśladować ułatwiła, gdy ono przyjść nie chce. A do czegóż ja to wszystko prowadzę?—oto, żeby pana przekonać, że nauka śpiewu bardzo jest mozolna i potrzebuje nauczycieli jakich u nas nie mamy. Bo nie myśl pan, że skoro tyle osób śpiewa, więc i nauczycieli dostatek być musi. Nauczyciel śpiewu, chciéj mi pan wierzyć, musi być arcymuzykalnym człowiekiem, to jedno; musi być i śpiewakiem, to drugie. Gdzie pan u nas znajdziesz to oboje? Prócz Teichmana dzisiejszego nauczyciela w Instytucie Aleksandryjskim wychowania panien, zaledwiebym śmiał jeszcze jednego u nas wymienić nauczyciela śpiewu, gdyby mnie gwałtem naciśnięto, i pewnie nie żadnego z tych ptaków wędrownych, które u nas szczebioczą, każąc sobie płacić nieraz po sześć rubli czy podobno i więcéj za godzinę. O! znam ich! a uśmiałem się nieraz z ich lekcyj: albo się drą jak opętani trąbiąc w ucho uczniowi swoje fa i la, albo jednym palcem wykuwają z rozstrojonego fortepianu wzór do naśladowania, albo fałszywie brzmiącemi skrzypcami jak liną, wloką głos nieszczęśliwy. Wiedzą, że solfedżia i solmizacye śpiewać uczeń powinien, a raczéj nie wiedzą lecz wierzą; ale cóż mogą sprawić solfedżia i solmizacye zbyte jako tako? co pomoże arya wykwintna na drugiéj lub trzeciéj, mówię raz jeszcze, na drugiéj lub trzeciéj lekcyi dana uczniowi? Ale wracam do dawnego. Że nie mamy nauczycieli śpiewu, więc nie mamy wykształconych głosów a więc i śpiewaków. Rzadko wrodzone zdolności ucznia brak ten mniéj dotkliwym czynią. Tak to jest prawda, że z naszych śpiewaczek praktykujących już nawet na scenie i mało obiecujących, zagraniczni nauczyciele jeśli nie pierwszorzędne, to znakomite prawie tworzą śpiewaczki. Może téż to i niekoniecznie nauczyciele, może to własna praca, rada przyjacielska, emulacya, doświadczenie, częstsze przykłady, a podobno i nadzieja sowitéj nagrody robią taki skutek; dość, że tak się dzieje. Ale wtenczas nasi śpiewacy wolą zostać gdzieindziéj, a do nas przybywają

tylko wieści o nich pochwalne, którym ufać można, bo są w gazetach zagranicznych. Ci, którzy nas nie opuszczają te same mają bodźce, ale nie wszystkie i nie tak zaostrzone jak za granicą. U nas nie ma nauczyciela, jak mówiłem, a krytyka, lepsza dla artystów mających już pewne położenie niż najlepszy prawie nauczyciel, nie tyka się opery albo tak dziecinnie, że nie może przynieść im korzyści. Jeśli nikt zdolny do tego się nie bierze, to należałoby wyszukać takiego człowieka, a może i dwóch. Niechajby jeden jako oppugnas, drugi jako opponens występował, toby się sprawa wyjaśniła jak przed kratkami sądowemi, a publiczność byłaby sędzią. Umiałaby nakoniec i ona sformułować wyraźnie swoje widzenie, wykształciłaby się i nabrała żywszego i istotniejszego do sztuki zapału. Teatr na tém niezmiernieby skorzystał finansowo, artyści estetycznie. Dowodów na to z zagranicy pełno możnaby naściągać, ale na co je zdaleka zwozić, gdy są w domu. Wszak nasza Gazeta Warszawska niemało narobiła rejwachu niegdyś, gdy się zajęła rozbiorem dramatów i gry artystów. Zakrótko to trwało, by widoczny postęp wywołać, ale zbudziło trochę umysły. Z operą tego nigdy nie było i dziś nie ma. Dzisiejsze nieme oznaki niezadowolenia publiczności nie nauczą artysty czego mu brakuje, równie jak i oklaski nie powiedzą zkąd się wzięło i co warto istotnie to, co w nim cenią. Przykłady znakomite rzadkie u nas, podrzędne daleko nie posuną; emulacya stępiona, gdy tylko poklask nagrodą zostanie; praca jako ciężar uważaną być musi. Nawet doświadczenia trudno nabyć, gdy się raz a choćby i dwa na miesiąc występuje. Dlatego nie mamy kompletu zdolnych artystów do opery polskiéj, chcę mówić po polsku śpiewanéj. Dlatego, lub dla innych jeszcze powodów, głos piękny znakomitym podniesiony talentem, wyhodowany szczęśliwym zbiegiem okoliczności nie chce się operze naszéj oddać; a gdy marzy o sławie i tém wszystkiém, co za nią idzie, to mu najlepsi przyjaciele radzą nieopatrznie wyjazd do obcych, jako piérwszy powodzenia warunek.

— I mają słuszność podług tego, coś pan Dobr. sam przed chwilą rozpowiadał o zagranicy, o łatwiejszych kształcenia się środkach, o świetniejszém powodzeniu....

— Chciéj pan zwrócić uwagę na to, że radę wyjazdu za granicę nazwałem nieopatrzną dla tych, którzy już głosem, wykształceniem jego wysoko stanęli, a nie o tych, którzy dopiéro kształcićby się powinni. Niechby się tacy u nas znaleźli i do naszéj opery wstąpili, tobyś pan Dobr. zobaczył, jakby wkrótce przyciągnęli wszystko za sobą. Przypomnij pan sobie niedawne czasy, kiedyto pani Rywacka, albo pan Dobrski z podróży artystycznéj wrócili. Publiczność nacieszyć

się niemi nie mogła, bo godnie odpowiadali miejscu, jakie zajęli. A jak jest dobry sopran, dobry tenor i choćby jeden dobry bas, to reszta ról zyskuje od tamtych oprawę i opera łatwiéj da się przedstawić. Przy jednéj, drugiéj, trzeciéj ten i ów się poduczy; nie bez tego też, by nowy obiecujący talent się nie znalazł, personał coraz się mnożyć będzie, i nakoniec do najliczniéj obsadzonych dramatów muzycznych wziąć się można będzie. Przecież gdy szczęśliwych okoliczności braknie, gdy ci, którzy mają być koryfeuszami starczyć nie mogą albo opuszczą ręce, wtenczas stanie się, co się u nas stało: pierwszeństwo dostanie się przychodniom, im wieńce i nagrody wszelakie, a śpiewakowi, który nie umiał zrozumieć swego stanowiska, zostanie gorzki przydomek l'Italiano, może niewyłącznie własną winą wywołany, ale porządną jéj dozą. Hola! opamiętajmy się: toć ja pana prościuteńko za kulisy prowadzę.

— I to być może nieraz ciekawe, bo przecie tam się gotuje wszystko, co się na scenie pojawia; życie zakulisowe na scenie też widoczne, lubo nie bezpośrednio.

— Więc lepiéj głębiéj nie zachodzić, kiedy i tak zgadnąć można więcéj nawet, niż się zdaje. Na scenie widome i zabiegi dyrekcyi i gorliwość artystów wszelkiego rodzaju, a nawet posługa najniższych. Ah! co to zachodów potrzeba, by przedstawić w przybliżeniu prawdę życia! Jaka szkoda, kiedy się prawda nie uda!

— Ale za to kiedy się uda, to już doskonale. Co to za rozkosz naprzykład słuchać takiéj pani Lagrange! Ja myślę, że nasi artyści wiele od niéj skorzystają.

— A ja myślę, że jeśli jéj słuchali z chęcią korzystania, to w wielkim będą kłopocie. Ja przynajmniéj gdybym był śpiewaczką, nie wiedziałbym co naśladować. Pani Lagrange niezła widać aktorka, ależ dotąd nic takiego w jéj grze nie było, coby bardzo uderzało. Rola Adiny łatwa jest w ogóle i nie ma szczegółów wydatnych; a któréjże artysce trudno będzie schwycić charakter lekkiéj kokieteryi, wtrącić weń chwilami istotnéj czułości wyraz? To każda córka Ewy potrafi. Co zaś do wokalnego téj roli oddania przyznam się panu, żem także nic szczególnego dotąd nie posłyszał. Chwalić piękność i świeżość głosu niebardzobym rad, bo on tém nie celuje; lekkość, rozległość, wyrobienie? à la bonne heure, ale to naśladować się nie da tak łatwo, bo albo jest darem natury, albo nabytkiem wielkiéj pracy. Jeśli zaś nasza która artystka zechce naśladować panią Lagrange w jéj wiecznych fioryturach, w ciągłém urabianiu frazesów kompozytora dla przyczepienia gdzie można choć nie należy swoich passażów i wywijantusów, które zawsze są niepotrzebne, a tutaj psują prostotę roli: to nam zgotuje wiele chwil przykrych, a sobie niezawodny upadek. Więc nie widzę dotąd w czémby naśladować się godziło panią Lagrange.

— Jabym panie Dobr. powiedział, że raczej pani Lagrange tak jest odrębna śpiewaczka, że jéj naśladować nie można, że po-

zostanie niedościgniona. Chciéj pan Dobr. przypomnieć sobie tylko, jak śpiewała mazurka Schulhoffa.

— Zgoda, na to się piszę; ale nie powiem, żeby była nienaganną. Naprzód passaże bywały wątpliwéj jasności, szczególniéj gdy drugi raz tego mazurka śpiewała.

— Bo też to szkaradne nadużycie ze strony naszéj publiczności żądać czegoś podobnego dwa razy raz-po-raz. To takie trudne, że widać było jak artystka zbierała wszystkie swoje siły, nawet za piérwszym razem.

— Zgoda i na to; dlatego też się niezupełnie udało, że takie trudne, że trzeba było zbierać wszystkie siły. Wysilenie do niczego dobrego nie doprowadzi, przykrość tylko sprawia słuchaczom; cóż naprzykład miały pięknego najwyższe tony? Piszczące, cienkie jak włosek, miały barwę zupełnie podobną téj, jaką mają najwyższe tony skrzypiec, które ledwie najzdolniejszy wydobyć z nich umié smyczek i to z trudnością. To tak czysto popisowe, że nie wiem gdzieby się dało zastosować w sztuce istotnéj. Ale pomińmy to tour de force; co ślicznie zrobiła, to stakkato w części trzeciéj tego mazurka, którém urozmaiciła powtórzenie frazesu legato zrazu wprowadzonego. To było i wdzięczne i po mistrzowsku zrobione, jak w ogóle nie można jéj zaprzeczyć, że passaże wybornie oddaje. A jednak zagwazdała początek téj części trzeciéj, najstosowniejszéj do zaśpiewania z całego tego instrumentalnego mazurka.

— A te tryle cudowne przy końcu? Pamiętam coś pan Dobr. mówił o porównaniu śpiewaczki do słowika, a jednak mimowolnie mi się ono nasuwa.

— Ach! nie żenuj się pan Dobr. Com mówił o słowiku było ogólne; jabym także gotów przyrównać do niego śpiewaczkę pod pewnym względem, ale nie co do trylu. To co nazywają trylem słowika jest szybkiem biciem jednego i tego samego tonu, a tryl w muzyce ludzkiéj polega na dwóch przyległych sobie tonach szybko się przemieniających, a zawsze tych samych, dopóki tryl stanowiska swego nie zmieni. Każdy ton z krtani ludzkiéj wypchnięty innego potrzebuje układu narzędzi głosowych, zależącego na ich rozsuwaniu i zwężaniu, od czego wysokość tonu zależy. Gdy tony w jednę biegną stronę, układanie się narzędzi głosowych jest naturalniejsze, a raczéj łatwiejsze i potoczystsze, niż gdy ciągle w kierunkach sprzecznych działać im przychodzi, bo wtenczas co chwila to zwężać, to rozsuwać się muszą. Ztąd tryl niezawodnie najtrudniejszą jest ze wszystkich sztuczności wokalnych, i tak trudny, że nigdy prawie nie jest tém, czém być powinien. To zadziwia pana co mówię, a jednak tak jest w istocie. Trzeba być bardzo źle uposażonym w zdolności pojmowania intonacyi muzycznéj, żeby tego nie ostrzedz, że wszyscy śpiewacy fałszywie tryl robią po niejakiém przez krótką chwilę wysileniu, że nakoniec strudzone narzędzia głosowe jakimś bębnieniem tryl naśladują. Wten-

czas zaiste śpiewaczka bardzo się do słowika zbliża, mianowicie jeśli ten surrogat trylu na wysokim tonie osadza; gdyby mogła mu dać przynajmniéj rozdźwięk słowiczego głosu i chciała śpiewać między liśćmi drzewa ukryta!

— Zmiłuj się pan Dobr. przecież wszyscy śpiewacy używają trylu, wszystkie szkoły śpiewu go uczą, a jeszcze się dotąd nikt tak srogo o trylu nie wyraził.

— Używają trylu łudząc najczęściéj siebie i innych; a że nikt (o czém wątpię) tak srogo jak ja o nim się nie wyraził, to dlatego, że albo się nie zna, albo nie chce w poprzek stanąć powszechnemu urojeniu, albo, co najprawdopodobniejsze, nikt tak wiele nie żąda wiedząc, że to jest prawie do nieosiągnięcia. Ale ja panie łaskawy nazywam rzeczy właściwém ich nazwiskiem; to moja natura. Że zaś szkoły uczą trylu, to raz dlatego, że nie jest tak całkiem niepodobny chociaż tylko na chwilę, a po drugie dlatego, że nauka trylu wyborném jest dla narzędzi głosowych ćwiczeniem.

— A więc tryl pani Lagrange?...

— Niewiele więcéj wart od trylu innych śpiewaczek. Pani Lagrange dłużéj niż inni utrzymuje się w rzeczywistości nim w chimerę upadnie, robi żwawiéj niż inni, więc się na chimerze poznać nie umieją, a nadewszystko robi mniemany ów tryl dłużéj niż ktokolwiek z tych, którzy go kiedykolwiek probowali; więc się dziwią sprężystości narzędzi głosowych i wytrwałości oddechu, co w istocie podziwienia godne; ale szkoda, że na igraszkę expensowane. By już raz o trylu pani Lagrange skończyć to tyle powiem jeszcze, że zadziwia swobodném zastosowaniem go w tonach tak wysokich, że na 1,000 śpiewaczek, 999 nawet wspiąć się ku nim nie waży, tryl długi urozmaica wzmaganiem i ujmowaniem siły, co jest najdzielniejszym środkiem ożywienia śpiewu, a mianowicie jednego tonu, martwego inaczéj: środek to nietylko wyborny, ale i trudny zarazem. Gdyby nie spadała w tonie coraz niżéj podczas trylu, tobym się i ja mu dziwił.

— To pana Dobr. żałuję, bo jak widzę, nic się nie znalazło coby pańskie uwielbienie, a choćby podziwienie dla pani Lagrange zbudziło.

— Żebym mógł panu zazdrościć, chciéj pan powiedzieć: co w niéj podziwiasz i wielbisz?

— Ja podziwiam to, co i wszyscy: wysokie przymioty głosu, sztukę śpiewania, aktorkę nakoniec.

— I ja cenię przymioty głosu, lubo dotąd do samych prawie figli go używała: zadowolony jestem z aktorki, lubo dotąd wielkiéj sztuki okazać nie mogła. Co zaś do sztuki śpiewania, to nie wiem w czém pan ją dostrzegłeś, kiedy dotąd nie śpiewała prawie....

— Cóż więc robiła dotąd, przez Bóg żywy?....

Uważałem to już, że od chwili gdy między temi panami przyszło do rozmowy o celebrującéj artystce, w miarę jak starszy w krytykę się zapędzał, duch oppozycyi rósł w młodszym jego słuchaczu. Widać to było z gestów żywszych, to z wyrażeń co-

raz jawniéj charakter zaprzeczenia słowom tamtego przybrać pragnących, to nakoniec z samego głosu, teraz więcéj szparko niż dawniéj wyrzucającego wyrazy, coraz dosadniéj oddającego ważniejsze. Ale się powściągał czy przyzwoitością, czy bojaźliwością charakteru, a może łagodnością i zimną krwią drugiego miarkowany. Mnie także brała ochota kilka razy wtrącić moje trzy grosze do rozmowy, alem się lękał ją przerwać, albo i zwrócić do czego innego. Choć mnie więc język świerzbiał, nakazałem mu spokojność, tém bardziéj, że rozmawiający trzymali się wciąż przedmiotu choć pośrednio, a teraz na najgorętszą dla zgromadzonych w teatrze kwestyą wpadli. Wnosiłem po ostatnim wykrzykniku młodszego, że straci kontenans i starszego swą gorączką rozpali; alem się omylił. Z niezachwianą zimną krwią ujął swego sąsiada poufnie za rękę i patrząc mu łagodnie w oczy, z uśmiechem i niezniżając głosu, choć dostrzegł że się przysuwam, rzekł:

— Gdybyś pan tak gorąco rzeczy nie brał, tobym panu powiedział jednym wyrazem, co robiła. Ale toby pana nie przekonało; pozwól więc parę pytań sobie zrobić. Wszakże pan nie piérwszy raz słyszysz śpiéw oklaskami nagradzany; czy śpiew pani Lagrange różni się i w czém od śpiewu innych?

— Niezmiernie, panie Dobrodzieju! W czém zaś? to panu Dobr. powtarzać nie potrzebuję, bom mówił przed chwilą, co w niéj podziwiam. I pan się na to zgadzasz mniéj więcéj, lubo pańska zgoda wyjątkami i zastrzeżeniami najeżona niezmiernie. Sztuki śpiewania pan Dobr. jéj zaprzeczasz, a raczéj mówisz, że dotąd nie śpiewała prawie. Ja to wiem, żem ją słyszał śpiewającą, a śpiewającą z taką pewnością, łatwością i z takiém wykończeniem, jak żadna śpiewaczka. Więcéj panu Dobr. nic powiedzieć nie umiem; a czy zaprzeczenie śpiewu za żart albo za prawdę przyjmę, zawsze proszę o objaśnienie, bonic nie rozumiem.

— Z całego serca; ale żebym moje wyrażenie istotnie nieco złośliwe mógł usprawiedliwić, muszę się przekonać, czy pan zwróciłeś uwagę na jeden ale ciągle obecny szczegół jéj śpiewu. Źle mówię szczegół, bo to ogół raczéj, a mianowicie nieustanne drganie głosu czyli wibracye tonu, niby wieczny tryl; jak się to panu podoba?

— Przyznam się panu Dobr., że mnie to zrazu dziwnie uderzyło, a nawet tu i owdzie mniéj stosownem mi się zdawało; w ogóle jednak uważałem to za dowód gorejącego pojęcia, może istotnego przejęcia się sytuacyą. Drugi raz zdawało mi się, że to być musi jakiéj nowéj metody śpiewania skutek, albo dawnéj metody włoskiéj przypomnienie, o któréj słyszałem, że zgubioną została. Tak myślałem, bom nie słyszał nigdy jeszcze na tak szeroką skalę zastosowania téj wibracyi. Zamierzałem nawet zapytać o to pana Dobr., ale jakoś rozmowa inny kierunek wzięła; szczęściem dla mnie przyszliśmy i do tego.

— Żeby to miało być skutkiem nowéj jakiej metody, nie myślę, bobyśmy więcéj takich śpiewaczek słyszeli. Używają wprawdzie

śpiewacy takiego drżenia głosu, ale tylko rzadko i w scenach patetycznych; tam sposób ten może sprawić effekt, bo się może zdawać, że to wzruszenie wewnętrzne tak na głos oddziaływa, co też się istotnie w życiu nieraz trafia. W Normie, w któréj pani Lagrange ma także wystąpić, jak słyszałem, może to być tu i owdzie zastosowane, ale nie w Napoju Miłosnym; tu wcale nie powinno mieć miejsca. Zdaje mi się jednakże, że to nie chęć oddania głębi uczucia do takiego śpiewu powiodła artystkę, boby także wybierała stosowne miejsca, ale poprostu strudzenie głosu nie wiem czy przedwczesném i natężoném śpiewaniem, czy, co podobniejsze, wysileniem w młodych leciech, a może i zbytniém ubieganiem się o rozległość skali. Jakikolwiek wreszcie jest powód, zawsze śpiewaczka odstąpiła niezmiernie od przepisu dawnéj metody włoskiéj, każącéj każdy ton wydać, wytrzymać i skończyć: formare, fermare, finire. I zważ pan, że wszyscy śpiewacy do tego przepisu zdążają, bo czują, że w tém jest prawda, natura i urok najwyższy. Słuchać śpiewu pani Lagrange, to rzecz tak morduj̨ąca, że nie wiem cobym dał za jeden ton długi, równy, szlachetny. Czyż tak gardzi nim, że go ani razu nie użyła jako rzeczy zużytéj, (jak gdyby wielkość prostoty kiedykolwiek zużytą być mogła), czy nie może?—nie wiem i wiedzieć nie chcę, bo to mi jako słuchaczowi na jedno wyjdzie. Ale powiadam panu, że z tą jedną manierą, a raczéj wadą, nie może być nigdy wielką śpiewaczką, choćby miała wszystkie inne wielkiéj śpiewaczki zalety. Pewność, łatwość, wykończenie nawet (ale frazesu nie tonu), o których pan mówiłeś żeś je dojrzał w śpiewie pani Lagrange, są istotne jéj przymioty. Szkoda, że nie ma większego tonu; ale ma cudowne mezza-voce, ów półgłos do najpiękniejszych zdobyczy włoskiéj metody należący, i ma rzadkie pianissimo pełne tajemniczego uroku, jakby ukradkiem uciekający poszept miłosny. Ma nawet cieniowanie dramatyczne głosu, lubo dotąd mało je okazać mogła, ale to nieszczęśliwe vibrato wszystko psuje, przynajmniéj dla mnie. Jużbym darował jéj i owo zbyteczne obładowywanie tekstu muzykalnego własnemi dodatkami, które go nieraz zaciemniają, bo służą tylko do pokazania niezmiernéj biegłości mechanicznéj, i mówię to raz jeszcze, nie wszędzie są stosowne. Ciekawy będą posłyszeć ją w jakim cantabile lub larghetto.

— Mnie się pomieścić w głowie nie może, żeby taka wytrawna śpiewaczka jak pani Lagrange nie wiedziała, jak sobie począć, albo wiedząc, nie umiała. Toć dwa razy starsze śpiewają jeszcze, mimo głosu koniecznie więcéj strudzonego długim zawodem scenicznym. Przypuszczam raczéj, że ten rodzaj śpiewu wybrała dla Donizettego lekkiego utworu, ale innym odzieje tęskne Belliniego melodye. Szkoda, że raczéj Normą nie rozpoczęła albo inną operą paważną, byłbyś pan Dobr. mniéj pewnie zadowolniony, a śpiewaczka korzystniejby się przedstawiła.

— Nie wiem jak będzie Norma, ale lepiéj, że Adina ją uprzedziła. Bo choć w téj roli niewiele jest tkliwości, to za to jest wiele

swobody do igraszki głosem, miejsca nawet do popisu. Artystka dobrze rozumiejąca publiczność naprzód ją usidlić zapragnie zadziwieniem, by potém zyskać hołdy w wielkim śpiewie. Wszak zawsze powierzchownemi przymiotami musi człowiek zyskiwać sobie zwolenników, nim ich istotną wartością do miłości pobudzi. Biada temu, kto wszystko w wielkości, w prostocie widzi, a o fatałaszki się nie stara. Artyści muzyczni są bardzo roztropni w tym względzie i szczęśliwi, że w swéj sztuce znajdują niewyczerpaną dziecińśtw kopalnię.

— Że też to pan nic nam nie powié— rzekł daléj ów jegomość nagle zwracając się do mnie.—Uważam, że pan słuchasz pilnie jakbyś chciał protokół z nas spisać,—dodał uśmiechając się;—prosimy bardzo zostań pan naszym wspólnikiem, to nas mniéj szkaradnie przedstawisz.

— Na takie dictum acerbum zaczerwieniłem się po uszy, a że to mi się już dawno nie zdarzyło, więc się przeląkłem i tém więcéj straciłem jakoś sposobność znalezienia się zręcznego. Ten nagły zwrot do mnie nieprzygotowanego, to oskarżenie o podsłuchiwanie, któregom się wyprzeć nie mógł, bo mnie już kilka razy ów jegomość podstrzegał, a przed chwilą miał wyraźny dowód, bom go nawet trącił głową nadstawiając ucha (by posłyszéć zciszone jego wyrazy może ze strudzenia długą mową, a może i szmerem nas otaczającym, bo mnóstwo osób do miejsc swoich wracało), obawa czy nie poznał we mnie pismaka czasem o muzyce bazgrzącego, nakoniec wezwanie do pogadanki: to wszystko zmąciło się razem i nabawiło mnie kłopotu. Ale trzeba było coś odpowiedzieć; więc aby zrozumieć w jakiém znajduję się położeniu, zapytaniem się zastawiłem:

— Nie wiem, czy mam szczęście znanym być panu Dobrodziejowi?

— Znam pana dopiéro od dwóch godzin, ale mniéj niż mego oto sąsiada (wskazał na tego z którym mówił), bo ten pan łaskaw przynajmniéj pospierać się ze starym gadułą, a pan nie rzekłeś ani słowa.

— Nie śmiałem się wtrącać do rozmowy nieznanych mi osób, tém mniéj przerywać rozmowę tak nauczającą.

— Co to za grzeczni teraz ludzie na paradysie! To już drugi!

Ale ja mówiłem daléj: — A gdybym chciał też spisać co posłyszałem, to pewniebym nikomu tém nie ubliżył; wszak to zwykła gazeciarska manipulacya. Nie wiem tylko, czybym pamiętał, tyle tu było pięknych rzeczy!

— Zapewne że to niełatwo, ale ja panu poradzę: upstrzyj to co spamiętasz własnemi dodatkami, i udaj za swoje.

— Ani jedno, ani drugie. Mozart spisał kiedyś z posłyszenia Miserere Allegrego i za swoje go nie udał; ja mam także dobrą pamięć, i....

— Ale tu nie było muzyki, pan nie jesteś Mozart, ani ja Allegri.

— Allegro pan Dobr. jesteś! Wyzwałeś mnie do mówienia, a mówić mi nie dasz!

— To prawda! No, panie sostenuto (skoroć się pan tak jednego trzymać lubisz), powiédzże nam pan co; a jeśliś pan muzyk, co być może, to powiédz nam pan co o pani Lagrange.

— Muzyk nie jestem (postanowiłem go mistyfikować, bom sobie zaraz ułożył projekt ciągnąć ztąd korzyści); ale mam brata muzyka i dlatego oswoiłem się nieco z wyrazami technicznemi i niektóremi nazwiskami. Żeby zaś coś o pani Lagrange powiedzieć, trzebaby albo pańskie wyrazy powtórzyć, albo im zaprzeczyć. Środka nie widzę. Piérwsze gotowem zrobić, by pana przekonać, że pamiętam, ale to inaczéj zrobię; zaprzeczać się nie poważę, bobym nie dał rady, a wreszcie zdanie pańskie prawie zawsze podzielam. Słuchając coś pan Dobr. mówił poprzednio o dramacie muzycznym, pewny jestem, że pan zganisz wtrącenie do Napoju Miłosnego cudzych kompozycyj.

— Zapewne! jakże to chwalić? alboż to opera dla śpiewaczek? Wprawdzie powiadają, że kompozytorowie piszą jakąś rolę umyślnie dla téj a téj primadonny; ale to tak trzeba rozumieć, że znając jéj głos i zdolności, do nich się zastosowali, nie poświęcając jéj ani swéj myśli, ani swego dramatu. Tylko znów nie mówmy bardzo naprawdę o dramacie, gdy idzie o operę, szczególniéj włoską, a najczęściéj i każdą francuzką, czy niemiecką. Rzadko ona bywa tkaniną jednolitą, w któréjby każde miejsce miało wzgląd na to, co poprzedziło, i na to, co nastąpi; by każdy śpiew stosowny był nietylko do chwili dramatu, ale i przyczynił się zarazem do oznaczenia charakteru osoby śpiewającéj. Charakter bowiem osób utrzymany być winien muzyką tak dobrze, jak słowem. Weźmy Hugonotów Meyerbeera, to tam spotkamy takiego Marcella, takiego Raoula muzyką jakby dłutem wykutego. Albo osoby w Don Juanie Mozarta (może panu brat dał go poznać i zrozumieć), to wszystkie tak sobie wierne od początku aż do końca, tak sobie samym podobne, jakby pędzlem malarza w różnych sytuacyach przedstawione. Oh! Mozart bodaj czy nie największy z największych dramaturgów muzycznych. Gdzież w jego operze miejsce na cokolwiek obcéj kompozycyi, coby nie popsuło całości i jedności, coby nie zwichnęło charakteru? Ale i Donizetti nieboszczyk także był człowiek z talentem i dobry muzyk choć popsuty; i jemu i żadnemu kompozytorowi opery niegodzi się takiéj krzywdy robić. I słuchaczom to niedogodne, bo wtrzymuje bieg właściwy dramatu; szczęściem, że dzisiaj mało kto zrozumiał, bo śpiewano po włosku.

— Mimo to opera ta wszystkim już znana oddawna i treść rozumieją—odezwałem się.

— To dosyć dla muzyki: kiedy jest treść mniejsza o wyrazy— wtrącił ów młody.

— Zdanie to wielu, ale nie moje—rzekł starszy jegomość;— a że jest mylne zaraz panom dowiodę. Kiedy poeta pisze operę, nie wiedząc jaka się jego wyrazom muzyka dostanie, to....

— Jakto?—wtrącił młodszy—albożto piérwéj są słowa niż muzyka? Ja myślałem, że odwrotnie?

— Ale gdzie tam!—odparł starszy—jakżeby niedeterminowane orzeczenia muzyki zdołał poeta bez pomocy szczególniéj kompozytora odziać słowami. Gdyby muzykę piérwéj pisano, to kompozytor musiałby obmyśleć sobie naprzód cały dramat, aż do najdrobniejszych szczegółów; a coby za pracę podjąć musiał by poetę wprowadzić w swoje widzenie? Toćby już lepiéj było, by sam dramata pisał, jak to robi niemiecki kompozytor Wagner. Przepraszam pana za to co powiem, ale mniemanie, a raczéj pytanie pańskie dowodzi, żeś pan mało się zastanawiał nad naturą muzyki i stosunkiem jéj do poezyi.

Chciałem wyprowadzić z kłopotu owego młodego jegomości, bo go ta reprymenda starszego widocznie dotknęła i zawstydziła. Chciałem téż przytrzeć nieco rogów tamtemu, bo mnie zaczynał gniewać jego ton mowy zbyt swobodny z nieznajomym sobie, jakkolwiek całe jego wzięcie się było bardzo grzeczne, dykcya łagodna, a to, co mnie raziło była raczéj dobroduszność, niż rubaszność, prostota obrana ze wszelkiego ceremoniału, niż przekonanie o wyższości. Mimo to rzekłem:

— Darujesz pan Dobr., ale niezawsze tak się dzieje, jak pan utrzymujesz. Ten pan i wielu innych téj saméj będących opinii zapewne wiedzą o tém, ale biorą to za pospolite, co się wyjątkowo zdarza. Żeby długo nie szukać, to przytoczę Hajdena, który swoje siedm słów Zbawiciela na samą orkiestrę tylko zrobił na żądanie kanonika jakiegoś w Kadyxie, a dopiéro w kilka lat potém i na jego żądanie tekst mu do muzyki dorobiono. Do kantaty Beethovena: „Der glorreiche Augenblick" na uroczystość kongresu wiedeńskiego zrobionéj i raz tylko wykonanéj, dorobiono późniéj tekst inny na pochwałę muzyki, lubo już bez wiedzy kompozytora, bo po jego śmierci. A kanon z chórem nieboszczyka Tomasza Nideckiego nie byłże u nas z innym tekstem wykonywany niż ten, do którego muzyka dorobioną była? Więc widzi pan Dobrodziéj...

— Widzę, że to są wszystko rzeczy czysto liryczne, lubo i to prawda, że to w gruncie na jedno wyjdzie. Ależ pan widać bardzo skorzystał od swego brata?

— Oh! ja panu więcéj powiem: ja sam do kompozycyi dramatycznéj u nas przedstawianéj w teatrze dorabiałem słowa!

— A to historya! że téż ja o tém nic nie wiem! I do czegóż to?

Alem już odpowiedzieć nie mógł, bo orkiestra zaczęła grać wstęp do aktu drugiego, i mój słuchacz odwrócił się odemnie nagle, mniéj może chęcią słuchania wiedziony, jak zmuszony tłoczeniem się owych dwóch młodych ludzi, którzyto poprzednio o uwerturze Müncheimera rozumowali tak krótko i węzłowato. Wyszli byli po piérwszym akcie, ale raz-wraz wracali do miejsc swoich tłocząc się bez ceremonii i przełażąc przez zapełnione już

ławki. Jeden z nich podnosząc nogę by przekroczyć baryerę, zawołał: „Może już walca śpiewała?" „Co panom po walcu, kiedy się wam i tak w głowach kręci", odezwał się głos jakiś za niemi. Nie mieli czasu odpowiadać, ale gdy się już usadowili, jeden z nich się obrócił z miną wyzywającą, jakby chciał wyczytać z fizyonomii, kto téżto poważył się karcić ich swobodę. Że jednak nie ucichły jeszcze śmiechy owym konceptem wywołane, a na innych twarzach dostrzegł surowy ustrój, więc się odwrócił skonfundowany.

Myśmy się znów zasłuchali. Minął walc, a raczéj nagromadzone w toku walca trudności wszelkiego rodzaju, które sobie pani Lagrange sama wybrała, by jak najlepiéj i najwdzięczniéj pokazać swego śpiewu przymioty, któremi przewyższała wszystkie podobno dzisiejsze śpiewaczki. Minął i akt cały z równém zajęciem wysłuchany, z równym zapałem przyjęty jak i piérwszy; a gdy jedni jęli się wywoływań i oklasków, drudzy mieli się ku wyjściu. Do ostatnich należeli dwaj młodzi z piérwszéj ławki. Torując sobie drogę, mówił jeden drugiemu:—„Ale wiész co, porządnie fałszowała w walcu! O! ja mam uszy". „A jakie długie!" dodał głos prześladowczy. Powstał znów śmiech, a tamci pchnęli się ku drzwiom co prędzéj. Tymczasem ruszyli się wszyscy z miejsc swoich, i ów gadatliwy jegomość, i jego potulny słuchacz, i ja także.—„Jaka szkoda, że już nasza gawędka się skończyła" rzekł młodszy. „No, cóż robić, wszystkiemu koniec raz być musi; ale wiecie panowie co? zejdźmy się tutaj na Normę: tam p. Lagrange zupełnie inną być powinna. I pan także?—dodał zwracając się do mnie.—Winieneś mi pan odpowiedź na moje ostatnie pytanie i na jedno jeszcze. Ale czy się znajdziemy, czy dostaniemy miejsce?"—„Ja panom zatrzymam to samo, cośmy dzisiaj mieli—odezwał się ów młody;—przyjdę przed szóstą. —„Zgoda! na mnie niedługo pan czekać będziesz." „A pan?—rzekł do mnie—przecież tres faciunt collegium."—„No, to i ja przyjdę przed szóstą—odpowiedziałem; i znów was opiszę, pomyślałem sobie.

(Dokończenie nastąpi.)

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

W zeszycie Biblioteki Warszawskiéj na miesiąc czerwiec r. b., pan Władysław Wieczorkowski w swoich Notatach bez ładu z wycieczki po kraju, użył nazwy Stobnica w miejsce właściwéj nazwy Stopnica. Ta mylna przemiana nazwy, nie samemu tylko pana Wieczorkowskiemu przytrafiła się: daje się ona często zauważyć tak w różnego rodzaju pismach, jakotéż i potocznéj mowie. Poczytuję więc sobie za obowiązek udzielić sza-

nownéj redakcyi wiadomość, jaką w miejscowości o nazwie tego miasta i przyczynie téj nazwy powziąłem.

Stopnica jest niewątpliwie miastem dawném, wzniesioném na wzgórzu, pomiędzy innemi wzgórzami na odnodze Kamiennéj-góry. Otóż według ustnego podania, miejscowość tę przed założeniem miasta pokrywać miały obszerne lasy; tak, jak dziś jeszcze pokrywają część Kamiennéj-góry. W lasach tych ukrywali się rozbójnicy, którzy korzystając z niedostępnéj miejscowości, skutkiem licznie przecinających wzgórza parowów i kryjówek, jakie porobić sobie zdołali w zgórzach składających się z obszernych pokładów kamienia wapiennego i piaskowca, wzmogli się w liczbę i dopuszczali się znacznych bardzo łupieztw. Lasy i miejscowość podobna, wzgórzysta, przecinana wszędzie parowami, ciągnąca się w stronę: Miechowa, Ojcowa, Pieskowéj Skały i w stronę gór Świętokrzyzkich; sprzyjały bardzo rozbójnikom, co ich uczyniło tak śmiałemi, że podróżni, a mianowicie kupczący, zmuszeni byli zaopatrywać się w silne straże, chcąc przebyć drogę od Krakowa w głąb kraju. Poszukiwania kryjówek tych zbrodniarzy były prawie zawsze bezskuteczne: przy usiłowaniu jednak nieustanném, po śladach stóp wyciśniętych przez rozbójników na śniegu, odkryto lochy za kryjówkę im służące, w miejscu, gdzie dziś leży Stopnica. Schwycono z nich wielu i stracono, a w miejscowości téj założono miasto i nazwano je Stopnicą, od stóp na śniegu przez rozbójników wyciśniętych, po których szczęśliwie ich wykryć i ich łupieztwa ukrócić zdołano.

Podaję co mi opowiadają: za nieomylność tego podania nie ręczę, lecz to jest pewna, że dziś jeszcze istnieją znaczne lochy pod miastem Stopnicą, i że nazwa tego miasta jest Stopnica, a nie Stobnica.

Stopnica, d. 7 czerwca 1854 r.

Czarnowski.

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

O stosunku cukru, kwasu i wyskoku znajdujących się w winach i piwie: przez Dra Bence Jones.

Wspomniony autor oznaczył nasamprzód ilość kwasu w napojach powyższych, za pośrednictwem roztworu sody gryzącéj, znanéj gęstości. Objętość cieczy dochodzonéj wyrównywała 1000 granom wody w 50° Far.

Oto są niektóre wypadki powyższych dochodzeń.

Stopień zakwaszenia nie był jednakowy w różnych probkach win, bo zobojętniał:

		grany		grany	
Xeres.....	od	1,95	do	2,85	sody gryzącéj
Madera.....	—	2,70	—	3,60	
Porto.....	—	2,10	—	2,55	
Bordeaux	—	2,55	—	3,40	
Burgundzkie ..	—	2,55	—	4,05	
Szampańskie ..	—	2,40	—	3,15	
Reńskie.....	—	3,15	—	3,60	
Mozel.....	—	2,85	—	4,50	
Wódka.....	—	0,15	—	0,60	
Piwa angielskie.	—	0,90	—	2,25	

Możnaby więc taki ułożyć porządek w powyższych napojach ze względu na ich kwaskowatość: wódka, wina xeres, porto, szampańskie, bordeaux, madera, burgundzkie, reńskie, mozel. Zważać należy, że pewne gatunki mocnego piwa zdają się miéć tak mało kwasu, jak wina najmniéj kwaśne.

Ilość cukru oznaczono cukromierzem Soleil'a; z czego okazało się, że:

w uncyi wina xeres, było	od	4 gran	do	18 gran	
— madery	—	6	—	20	—
— szampańskiego	—	6	—	28	—

— porto od 16 gran do 34 gran
— małmazyi — 56 — — 66 —
— tokajskiego — 74 — — — —

Nie wykryto zaś ani śladu cukru w winach bordeaux, burgundzkiém, reńskiém, i mozel.

Ze względu na zachowanie się jako pokarmu, przypuszczając że cukier zmienia się w kwas w żołądku, ciecze dochodzone uszykowane być mogą z uwagi na ilość kwasu w nich średnią, w następującym porządku: zaczynając od tych, które go mają najmniéj.

Wódka różnych gatunków.
Wina Bordeaux,
— burgundzkie,
— reńskie,
— mozel,
— xeres,
— szampańskie,
— porto,
Piwa różnych gatunków.
Wina: madera i małmazya,
— tokajskie.

Ilość wyskoku zawarta w tychże cieczach oznaczona została wyskokomierzem p. Gejsler'a z Bonn, i jest:

Porto	miało od	20,7	na sto do	23,2	na sto
Xeres	— —	15,4	— —	24,7	—
Marsala ...	— —	19,9	— —	21,1	—
Madera.....	— —	19	— —	19,7	—
Szampańskie .	— —	14,1	— —	14,8	—
Burgundzkie .	— —	10,1	— —	13,2	—
Reńskie	— —	9,5	— —	13	—
Mozel	— —	8,7	— —	9,4	—
Piwo angielskie (mocne)		12,3	— —	6,5	—
Wódka	— —	50,4	— —	53,8	—
Rum	— —	72	77,1 —	77,1	—

Zwrócić należy uwagę, że stosownie do powyższych doświadczeń, wino burgundzkie i bordeaux, oraz wino marsala i porto, zawierają mniéj wyskoku, niż znalazł go *Brande* przed czterdziestą latami. Xeres zaś ma go więcéj, równie jak rum, i piwo mocne angielskie (ale). *(Bibliotheque Universelle de Genève. Avril 1854).*

* *O liściach kawowych jako środku do zastąpienia kawy i herbaty; przez J. Stenhouse.* P. S. zastanawiał się nad liściami wysuszonemi kawy, których używają na Sumatrze do przyrządzania pewnego rodzaju herbaty. Probka ich otrzymana ztamtąd była ciemno-brunatna, mieściła zaś oprócz liści, ogonki tychże, i wydawała woń przypaleniżny; co pochodziło od mocniejszego wyprażenia. Pod tym względem podobne są one do herbaty paragwayskiéj, która jest liściem i gałązkami rodzaju ostrokrzewu (Ilex paraguayensis).

Odwar liści kawowych jest ciemno-brunatny, i ma wielkie podobieństwo ze względu na zapach i smak, do mięszaniny herbaty i kawy. W połączeniu z cukrem i mlekiem wydaje napój bardzo znośny. Ponieważ więc liście uprażone kawowe mogą być do Europy wprowadzone po cenie 20 centymów za funt, zastąpić przeto mogą w pewnym względzie kawę i herbatę. P. Stenhous sądzi, że gdyby też liście nie były suszone w tak wysokiém cieple, smak odwaru byłby daleko przyjemniejszy.

Liście kawy zawierają dwa pierwiastki odznaczające ziarna kawy, tojest: teinę i kafeinę, oraz kwas kawowy. Pod względem powyższym różnią się głównie od cykoryi i innych rozmaitych korzeni prażonych zastępujących kawę, ale nie mających śladów jéj pierwiastków. W rozbiorze sposobem używanym przy herbacie i kawie, liście kawowe wykazały od 1,15, do 1,25 na sto, teiny; a od 2,12, do 2,17 na sto, saletrorodu. Kawa zawiera 0,8, do 1 na sto teiny. Herbata ma 2, do $2\frac{1}{2}$ na sto, a herbata paragwayska 1,1 do 1,23 na sto.

Liście więc powyższe kawowe mają nieco więcéj teiny od ziarn kawy, a nieco mniéj od herbaty paragwayskiéj; ale prawdopodobną jest, że gdyby były mniéj prażone, wydałyby 1,50 na sto teiny.

Co się tyczy kwasu kawowego, który także znajduje się w znaczniejszéj ilości w ziarnach kawy; p. S. okazał, że to nie jest kwas garbnikowy, ponieważ z galaretą nie tworzy mętów, ale podobniejszy jest do kwasu chinowego.

Aby zaś powziąć wyobrażenie względnéj ważności liści kawowych i ziarn kawy do otrzymywania napoju; Stenhouse oznaczył w nich ilość ciał rozpuszczalnych w wodzie wrzącéj.

Po wytrawieniu równą ilością wody wrzącéj, ziarna kawy rozpuściły 29,1 części na sto, a liście 38,8, na 100.

Ztąd te ostatnie zawierały blizko 10 na 100 ciał rozpuszczalnych w wodzie wrzącéj więcéj niż ziarna kawy, a przeto są korzystniejsze do użycia. Z drugiéj znowu strony, liście zawierają nieco garbniku, a zaledwo ślady cukru i tłustości, ziarna zaś mają około 12 na 100 tłustości, a 8 na 100 cukru.

Wogóle liście kawowe mogą korzystnie zastąpić kawę i herbatę, zwłaszcza gdyby nie były mocno wyprażane, bo wówczas nabrałyby wiele ciał z przypalenia powstałych; i smak ich odwaru byłby bardziéj zbliżony do wyciągu herbaty niż kawy. (Ann. der Chemie und Pharm. Tom 89, str 244).

J. B...a.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1853.

128. *Do nru 51 Kroniki bibliograf. z r. 1853.*

Bajarz polski. Zbiór baśni, powieści i gawęd ludowych. Opowiedział A. J. Gliński. 8ka. Tom II, III i IV. Wilno. 1853. T. II, str. 254. III, 254. IV (z portretem hr. Adama Chreptowicza) str. 258. Rsr. 3

129. Dzieje starego i nowego Testamentu czyli wybór przykładów i nauki z Pisma Świętego, według wydania T. Derome. Ułożone przez K. Brodzińskiego. Wydanie szóste. 2 tomy. Warszawa. 12ka. 1853. Tom I, str. 191. II, 224. Rsr. 1 kop. 80.

130. Konfederacya Gołąb'ska. Obraz historyczny skreślony za czasów Stanisława Augusta przez niewiadomego pisarza. 12ka. 1853. Nakładem N. Kamieńskiego i Spółki w Poznaniu (drukiem tychże). Str. VIII i 258. Rsr. 1 kop. 50.

131. Przewodnik w rozbiorach chemicznych jakościwych ciał nieorganicznych, krótko zebrany dla początkujących, przez Władysława Bażana. Adj. przy kat. chemii w Uniw. Jag. 16ka. Kraków. 1853. Wydawnictwo dzieł katolickich, druk Czasu. Str. 69 (do str. XI znaczono rzymskiemi liczbami). Kop. 50.

132. Zbiór zadań arytmetycznych, zastosowanych do wszystkich reguł niższéj i wyższéj arytmetyki; dla użytku uczącéj się młodzi ułożony przez Ignacego Jabłonowskiego. 12ka. Wilno. 1853. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. 113. Kop. 60.

133. Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku. Wizerunki historycznych osób skreślone przez Juljana Bartoszewicza. Tom I. 12ka. Petersburg. 1853. Nakład B. M. Wolffa (druk E. Wejmara). Kart 2 i str. 330. Rsr. 2.

1854.

58. Dwie koronacye Sasów Augusta II i Augusta III królów polskich. Ze współczesnego rękopismu ogłosił z przedmową i kilku objaśnieniami Władysław Syrokomla. 12ka. Wilno. 1854. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 80. Kop. 40.

59. Estetyka czyli umnictwo piękne przez Karola Libelta. Tom I. Część ogólna. Wydanie drugie poprawione. 12ka. Petersburg. 1854. Nakładem B. M. Wolffa (druk J. Jaworskiego w Warszawie). Kart 3 i str. 405. Tom II. Część I. Piękno natury. 12ka. Petersburg i Mohilew. 1854. Nakład B. M. Wolffa (druk K. Kraja). Kart 2 i str. 352. Rsr. 5.

60. Fizyologija układu nerwowego wyłożona przez Dra J. Majera, Professora fizyologii w Krakowie. 8ka. Kraków. 1854. Nakład D. E. Friedlejna (druk Czasu). Str. XV i 487. Rsr. 3 kop. 90.

61. Laokoon. Szkic obyczajowy przez Aleksandra Niewiarowskiego. 16ka. Warszawa. 1854. Nakład G. L. Glücksberga (druk J. Jaworskiego). Str. 275 i nap. kart 2. Rsr. 1 kop. 20.

62. Nowe Listy o chemii zastosowanéj do przemysłu, fizyologii i rolnictwa, przez Dra Justusa Liebiga professora chemii w uniwersytecie w Monachium, etc. przełożył Ludwik Natanson, Dr. Med. 8ka. Warszawa. 1854. Nakładem H. Natansona, (druk J. Jaworskiego). Napisów kart 2, str. II i 261. Kop. 90.

63. Pieniądze czyli sztuka dorobienia się majątku. Praktyczny traktat o interesach. Przekład z wydania francuzkiego. 8ka. Warszawa. 1854. Nakład Bernstejna, druk J. Jaworskiego. Napisów kart 2, przedmowy str. V i 241. Rsr. 1.

64. Skorowidz mieszkańców miasta Warszawy z przedmieściami, na rok 1854, zawierający: 1. Spis mieszkańców z oznaczeniem numeru domu zamieszkania. 2. Spis szczegółowy lekarzy, prawników i t. p. oraz ludności przemysłowéj i rzemieślniczéj. 3. Taryfa domów. Ułożony pod kierunkiem urzędu Policyi. Rok pierwszy. 8ka. Warszawa. 1854. Napisów kart 2 i str. 452. Taryffy domów str. 31. Rsr. 1 kop. 50.

65. Słownik geografii powszechnéj. Opis geograficzno-statystyczny państw, krajów, okolic, miast, wysp, mórz, rzek, jezior. Ułożony według najlepszych dzieł niemieckich, francuzkich, angielskich i polskich przez Romana Lisickiego i Wojciecha Szymanowskiego. 8ka wielka. 2 tomy. Warszawa. 1852—1854. Nakład Henryka Natansona (druk J. Ungra). Tom I, str. 730. Hgi 811, i napisów po kart 2. Rsr. 10

66 Treść Roczników Gospodarstwa Krajowego z pierwszych lat XIIIu. 1842/54. 8ka. Warszawa. 1854. Główny skład u R. Friedlejna, druk J. Ungra. Karta 1, przedmowy str. VI i 231.

67. Zofia Morsztynówna ( ) Dramat w czterech aktach napisał Dr. Stanisław Pilat. 8ka. Lwów. 1854. Nakład W. Manieckiego, druk Zakładu narod. Ossolińskich. Str. 132. Kop. 90.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

— Komedya Ponsarda p. n.: „Honor i pieniądze", któréj autorowi przyznano w Paryżu piérwszą z nagród, 5,000 franków, przełożoną została wierszem przez Wacława Szymanowskiego i ma być w r. b. na teatrze warszawskim przedstawioną.

— Z litografii M. Fajansa wyszedł: Obraz cudowny Matki Boskiéj Częstochowskiéj, odbijany z zastosowaniem chromolitografii. Obraz ten jest oddrukiem z wydawanych teraz przez A. Przezdzieckiego i E. Rastawieckiego: „Wzorów sztuki średniowiecznéj". Sprzedaje się oddzielnie po rub. sr. 1.

— Wyszło dzieło ks. Jana Dolinowskiego p. n.: „Chów pszczół".

— Znany wydawca i księgarz Maurycy Wolff, oddał już pod prasę drukarską przekład historyków polskich, którzy pisali po łacinie. Piérwszy tom już w druku skończony. Oddział ten składać mają: Rudawski, Sobieski, Fredro, Heidenstein i Sulikowski, tłumaczenia bowiem ich dzieł już są gotowe. P. Wolff od lat kilku przygotowywa illustrowane Album poetów polskich, w którém począwszy od sielanki Brodzińskiego Wiesław, zamieści wybór najpiękniejszych utworów poetów naszych. Illustracye do tego Album wykonali: Juliusz Kossak, Leonard Straszyński, A. hr. Fredro i w. in.

— Wyszła w tych dniach z drukarni Józefa Ungra „Nowa mnemonika, czyli sposób ułatwiający naukę języków obcych, tudzież spamiętanie imion własnych i cyfr w geografii, statystyce i t. p., przez W. Dawida. Zawiera wyłożony łatwy i prosty środek za pomocą 9cio kolorowanéj tablicy pamiętania najtrudniejszych słów, imion i liczb. Pożyteczna może być ta metoda dla wykładających przedmioty czystéj pamięci dzieciom.

których pamięć jeszcze słaba i zdolności nierozwinięte, tudzież dla każdego może służyć środkiem notowania sobie w pamięci wszelkich adresów, dat i t. d. Jest do nabycia po cenie kop. sr. 40, a na papierze welinowym z tablicą kolorowaną po kop. sr. 50 we wszystkich księgarniach warszawskich i na prowincyi.

— Tom IIIci Starożytności Warszawy wydał p. Alexander Wejnert z rycinami. Szczupłą liczbę wydrukowanych egzemplarzy, bo tylko w liczbie 200, przeznaczył na wydanie tomu IV, do którego rękopism ma już w zupełności ukończony, a do tomu V i VI materyały prawie już wszystkie zebrane.

— P. Seweryna z Żochowskich Pruszakowa, autorka „Domowéj zagrody i Dwóch dworów", wykończyła powieść poetyczną z XVIII-go wieku p. n.: „Powiśle", którą w następnych zeszytach Bibl. War. podamy.

— Spór wytoczony o nazwisko Marcina Urzędowa, wywołał ze strony p. Juliana Bartoszewicza ważną rozprawę dziejów naszych dotyczącą: „Jak się tworzyły nazwiska w Polsce", którą częściami ogłosił ten badacz w Dzienniku Warszawskim.

— Gazeta Warszawska ukończywszy druk powieści J. I. Kraszewskiego p. n: „Powieść bez tytułu", zapowiedziała nową powieść Zygmunta Kaczkowskiego. Dziennik Warszawski ogłosił w swoim odcinku na miesiąc lipiec szkic historyczny (J. Bartoszewicza) z XIII wieku: Iwo z Końskich Odrowąż biskup krakowski. J. I. Kraszewski nadesłał Gazecie Codziennéj wyjątek z dzieła swego o Starożytnościach słowiańskich, w którym zachwiał autentyczność wykopalisk prilwitzkich. Czas wskaże po czyjéj stronie prawda.

— Nakładem G. Sennewalda już wyszły lub wyjdą wkrótce z pod prasy drukarskiéj następujące dzieła: 1) Biblia dla dzieci ks. Noirlieu, z francuzkiego. 2) Nauki ks Piramowicza. 3) Wzniesienie myśli do Boga, wydanie piąte. (Jestto zbiór modlitw ułożony przez profes. A. Wagę). 4) Elementarz ks. Bogdana, z rycinami. 5) Wesołe powieści dla dzieci przez S. z rycinami.

— Nakładem S. Orgelbranda wyszedł tom VI Historyi Powszechnéj, a wkrótce pod prasę drukarską idzie tom VIII. — Pamiętników lekarza Polaka już wydrukowano tom III; całe dzieło obejmować będzie tomów cztery. Jestto utwór znanego w literaturze naszéj Dr. Teodora Tripplina.—Tegoż autora dalszy ciąg „Asmodeusza", w 4ch także tomach p. n.: „Pamiętniki lekarza w Szwajcaryi", niedługo pójdzie do druku.—Nakładem tegoż księgarza wkrótce wyjdą: Kazania ks. Koenigsdorfera, przekład ks. Rzewuskiego w 4ch tomach; i Książka do nabożeństwa dla dzieci przez autorkę Pamiątki po dobréj matce, nowe wydanie ozdobne.

— Jan Kanty Gregorowicz wykończa obecnie dzieło: „O rolnictwie" w wykładzie popularnym.

— Leon Kunicki przygotował do druku Zbiór powieści i obrazków, które w 3ch tomach zamierza ogłosić.

— P. Marcinkowski, znany pod pseudonymem Antoniego Nowosielskiego, wykończył rękopism obszerny: „Lud ukraiński, jego podania, klechdy, obrzędy, zwyczaje, przysłowia, zabobony, dumy, pieśni, bajki, zagadki, zamawiania, sekreta lekarskie, ubiory, tańce, gry" i t. d. który nabył p. Teofil Glücksberg, i w 3ch tomach zamierza ogłosić. Pragnąć należy, aby wydanie tak ważnéj pracy było staranniejsze od dotąd wydawanych dzieł przez tegoż p. Glücksberga.

— W jednéj z bibliotek większych znalazły się kazania ks. Albertrandego; rękopism własnoręczny tego uczonego historyka. Księgarz G. Sennewald ma je ogłosić swoim nakładem

— W pracowni naszego artysty J. Gerdziejewskiego, z wykończonych kartonów szczególniéj dwa następne zwracają uwagę znawców. Ustęp ze starożytnego hymnu, „Święty Boże" (Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie) posłużył za temat do piérwszego. Morowa dziewica na wynędzniałym koniu powiewa białą chustą; wściekłą wojnę pędzącą za morem na rozhukanym rumaku, powstrzymuje

wyschłe śmierci widziadło: złowieszczy głód sypie nasiona głogu i cierni, a całą grupę niknącą w powietrzu nad obnażonym krajobrazem, uzupełnia czwarta klęska, ogień, z żagwią w jednéj, a płomieniem w drugiéj ręce. Podanie ludowe o topielicach w Wiśle jest przedmiotem drugiego kartonu. Z wody wznoszą się w powietrze czarodziejskie istoty tańcem kolistym. Na przodzie kawał galaru, pod budką flis uśpiony, nad brzegiem chłopek pod urokiem nadziemskiéj grupy, w mdławych promieniach miesiąca, już ma wskoczyć do wody.

— P. Prosper Górski, pod napisem „Album Ukraińskie", wiele ołówkiem wykonał kompozycyj, tak z treści poezyi J. B. Zaleskiego, jak z pieśni ludowych. Zebrał także kostiumy włościan i żydów ukraińskich, w charakterystycznych scenach ich życia.

— W drukarni Gazety Codziennéj wyszło z druku zapowiedziane już przez nas dzieło p. Oskara Flatta p. t.: „Brzegi Wisły od Warszawy do Ciechocinka, z dopełniającym poglądem na przestrzeń od Torunia do Gdańska. Przewodnik Żeglugi Parowéj." Dzieło to w 4-ce, ozdobione jest sześcioma widokami powiśla, jakoto: Warszawa od strony Pragi, Bielany, Płock, Włocławek, Bobrowniki, Ciechocinek; oraz dwiema mappkami koryta Wisły. Ryciny po większéj części z natury zdjęte, rysowane i odbite zostały w zakładzie litograficzno-artystycznym M. Fajansa; mappki zaś wypracował S. Oleszczyński dyrektor litografii Banku Polskiego. Skład główny dzieła w księgarni komissowéj i antykwarskiéj na placu Bankowym; podróżnicy zaś żeglugi parowéj nabyć je mogą u pp. konduktorów statków osobowych. Cena exemplarza rubli srebrem 2.

— We Lwowie nakładem W. Manieckiego, a w drukarni Zakładu Ossolińskich, wyszedł z druku podarek dla młodzieży: „Kilka słów o życiu ś. Stanisława Kostki," przez ks. Jakóba Nowakowskiego.

(Z listu). „Członek Komissyi statystycznéj w Kijowie p. Afanasijew, tłumacz na język rossyjski powieści Kraszewskiego i Korzeniowskiego, z polecenia rzeczonéj Kommissyi odbywa podróż po Małorossyi, w celu rozpoznania kurhanów czyli starożytnych mogił, których niezliczona ilość pokrywa kraj ten cały. Pracy téj niemało trudów i czasu poświęcił znakomity nasz badacz śp. Zoryan Dołęga Chodakowski (Czarnocki): obszerne materyały dotąd zebrane przez niego, w ukryciu zostają. W gubernii połtawskiéj, przy ujściu rzeki Sleporoda do Suły, na stromym prawym brzegu piérwszéj, wznosi się wał ziemny zwany Horodok, a dokoła rozciągają się jeszcze nietknięte kurhany. Przy kopaniu ich okazały się skielety, wszystkie obrócone głową ku zachodowi, na prawym boku. Znaleziono na nich pozieleniałe naszyjniki i pierścionki. Tenże p. Afanasijew wykończa słownik małorossyjski, do którego zebrał wielkie materyały w wędrówce swojéj po tym kraju, i w zbliżeniu się do włościan tamecznych. Będzie to ważny przyczynek do przyszłego słownika narzeczy słowiańskich.

— Nakładem księgarni Kallenbacha we Lwowie wyszły: Dzierzkowskiego J. Dwaj bliźnięta; powieść, 1854.— Tegoż: Znajda, powieść. —Piątkowski R. Praktyczna nauka o wyrabianiu wódki z kukurydzy, i powieści Mieczysława R.: Chorąży, Chart watażki.

— Nakładem Towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego wyszedł: Rozpraw Towarzystwa tom 15.

— W Krakowie, w drukarni Czasu wyszła: Odezwa pasterska biskupa dyecezyi Viviers we Francyi, w przedmiocie pukających stolików; przełożył ks. Alfons Skórkowski.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

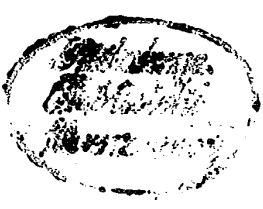

Wolno drukować.— Warszawa, d. 15/27 lipca, 1854 r.— *J. Papłoński.*

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIÉM.

Czerwiec, 1854.

Czerwiec, 1854. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w O**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad p
1g. 14m. 45s., 7 czyli w łuku 18°41'25,"5

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				Wiatr. Stopień. Dzienna
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	
1		752.17	752.66	751.00	750.67	+ 10°.6	+ 15°.1	+ 18°.1	+ 13°.1	73
2		749.49	748.66	744.70	741.49	13.1	17.8	21.8	15.8	79
3		734.85	734.40	736.36	739.10	16.1	17.5	13.5	12.2	83
4	☾	742.44	744.11	745.76	746.90	8.5	9.2	9.8	6.0	75
5		745.68	744.72	742.80	743.21	8.7	13.0	12.2	6.9	73
6		744.73	745.04	743.73	744.47	6.3	9.4	12.0	8.1	69
7		738.89	738.90	739.74	741.17	8.4	10.3	13.4	8.3	75
8		742.77	743.88	744.11	744.28	6.7	6.9	11.4	6.6	81
9		743.58	743.73	743.17	742.83	7.9	10.4	11.4	9.1	71
10		742.50	742.91	744.08	746.72	8.0	12.5	10.0	9.2	80
11	☉	747.75	748.21	748.92	750.05	11.7	15.8	15.7	9.1	70
12		750.50	750.69	749.81	749.52	9.9	15.7	17.4	12.2	63
13		747.93	747.67	746.34	746.51	11.2	15.2	18.2	12.3	75
14		746.18	746.10	746.48	747.21	13.1	16.9	17.0	13.1	74
15		748.43	748.56	748.10	747.86	12.8	17.7	18.1	14.1	72
16		746.84	746.48	744.79	745.70	15.8	19.2	24.9	17.5	65
17	☽	745.99	746.65	746.55	748.46	17.3	20.8	25.2	17.6	63
18		749.36	750.24	750.67	752.06	18.0	22.3	26.3	18.5	63
19		753.00	753.53	752.72	753.56	19.2	24.8	29.0	20.2	58
20		753.57	753.68	752.14	751.14	20.6	25.7	29.4	19.4	59
21		749.43	748.86	749.66	751.06	19.9	24.8	22.7	17.5	73
22		753.01	753.82	753.39	753.24	14.4	17.9	19.5	15.6	74
23		752.05	752.74	753.39	753.50	11.9	12.9	14.1	12.7	90
24		753.52	752.91	751.47	751.31	13.3	18.2	22.7	15.0	73
25	♍	750.85	750.60	749.79	750.00	14.9	21.8	21.6	17.0	71
26		749.09	748.86	747.83	747.62	16.0	21.2	21.0	18.5	69
27		748.05	748.73	748.01	749.17	17.2	22.5	26.1	19.9	59
28		750.26	750.63	749.61	750.46	17.5	21.8	27.4	19.5	65
29		746.58	745.53	745.30	745.65	18.5	26.8	26.8	19.7	70
30		744.48	744.61	742.82	739.94	16.7	17.7	21.7	17.9	76
śre.		747.466	747.604	747.108	747.495	+ 13°.47	+ 17°.39	+ 19°.28	+ 14°.09	71

oryum Astronomiczném Warszawskiém.

m morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie chód względem południka paryzkiego.

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
6 dz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé-szczu	śnie-gu
hmurny	pochmurny	lek. zam. sm.	pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	Z.	1.4	
odny	chm. miej.	smugi	lek. pochm.	PnW.	PdW.	PdW.	PdW.		
hmurny	pochmurny	dészcz	poch. dész.	PdW.	PdZ.	PdZ.	Z.	14.6	
hmurny	pochmurny	pochmurny	lek. pochm	Pn.	PnZ.	Pn.	PnZ.	1.8	
hmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	4.4	
ół pog.	pr. pogodny	napół pog.	pochmurny	PnZ.	Z.	PnZ.	PdZ.		
hmurny	pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	PnZ.	Z.	PnZ.	PnW.		
szcz	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	PnZ.	PnZ.	Z.	Z.	1.6	
hmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Z.	Z	Z.		
hmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	Z.		
pogodny	pr. pochm.	napół pog.	pr. pogodny	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.		
ół pog.	napół pog.	pochmurny	dészcz	Z.	Z.	Z.	Pn.		
hmurny	pr. pochm.	pochmurny	pr. pogodny	PnZ.	Pn.	Z.	Z.	5.4	
odny	lek. pochm.	pochmurny	napół pog.	Z.	Z.	Z.	Z.		
odny	pogodny	pochmurny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.	5.0	
odny	chm. miej.	pr. pochm.	pochmurny	Z.	PdW.	PdZ.	Pd.		
odny	napół pog.	pr. pogodny	napół pog.	Z.	Pn.	Z.	Z	4.0	
odny	chm. miej.	chm. miej.	pogodny	Pd.	—	PnW.	W.		
odny	pogodny	lek. zamat.	lek. pochm	W.	W.	PdW.	—		
. pochm.	napół pog.	pr. pogodny	pogodny	—	Pd.	PdW.	—		
. pochm.	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PnZ.	PnZ.	3.2	
chmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Pn.	PnZ.	Pn.	4.2	
szcz	poch. dész.	pochmurny	pochmurny	Pn.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	9.7	
chmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	Z.		
chmurny	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	Z.	Pd.	Pn.	W.		
. pochm.	napół pog.	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Z.	—		
. pochm.	lek. pochm.	pogodny	pogodny	—	PnZ.	Z.	PnZ.		
odny	pogodny	smugi	pogodny	Pn.	Z.	PdZ.	—		
ugi	pr. pogodny	napół pog.	pochmurny	PdW.	Pd.	Z.	—		
szcz	dészcz	napół pog.	pochmurny	PnW.	PnZ.	PnZ.	—	15.4	
								70.7	

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	747.418	27	7.327
Najwyżéj barometr dochodził d. 22 o g. 10 r.	753.82	27	10.166
Najniżéj — — d. 3 o g. 10 r.	734.40	27	1.566
Średnia zmiana dzienna barometru	2.810		1.246
Największa zmiana dzienna barometru d. 2—3 o g. 6 r.	14.64		6.490
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	1.066		0.472
	748.484	27	7.799
Średnia temperatura Czerwca wynosi	+ 16°.06 C.	+	12°.85 R.
i ta jest niższa o	1.57 „		1.25 „
od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	+ 17.63 „	+	14.10 „
Największe ciepło było d. 20 o g. 4 w.	+ 29.4 „	+	23.52 „
Najniższa temperatura była d. 4 o g. 10 w.	+ 6.0 „	+	4.80 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.331 „		1.865 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 29—30 o g. 10 r.	9.1 „		7.28 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 23°.5 R. d. 20 po połud.
Minimum: + 3°.9 „ d. 5 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 71.4 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 9.82 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest przeszło o 0.01 większa od normalnéj.

Ilość wody spadłéj z dészczu wynosi co do wysokości 70.7 mil. czyli 31.34 lin. par.; tojest o 2.21 lin. par. więcéj jak zwykle w czerwcu u nas spada.

Dni pogodnych było 2, napół pogodnych 10, pochmurnych 18.
— dészczu 19 (d. 1, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 15, 17, 21, 22, 23, 29, 30).
— gradu 1 (d. 5).
— grzmotów 2 (d. 15, 29).
— błyskawic bez grzmotów 3 (d. 12, 15, 16).
Wichrów było 3 (2 PdZ., 1 Z.).
Wiatrów mocnych 3 (1 PdZ., 1 Z., 1 PnZ.).
Wiatr panujący zachodni, częste były także północno-zachodnie.

Czerwiec r. b. w ogóle był niepogodny, słotny, wilgotny, o 1.25 stop. R. chłodniejszy niż zwykle. Piérwsze 15 dni były niepogodne, w dészcz obfite i bardzo chłodne; średnia temperatura tych dni wynosi tylko 9.77 stop. R. i jest niższa o 2.52 stop. R. od temperatury piérwszych 15 dni maja r. b. a o 2.29 stop. R. od temperatury drugiéj połowy tegoż miesiąca. W drugiej połowie, czerwiec był dość pogodny i ciepły i zaczynał u nas właściwe lato, gdyż piérwsza połowa dla nizkiéj temperatury, więcéj do pory wiosennéj była podobna. Szczególnie dzień 8 był chłodny; średnia jego temperatura wynosiła tylko 6.3 stop. R. Najcieplejsze dni były d. 17, 18, 19, 20, 21, 27, 28, 29; najchłodniejsze d. 4, 6, 8, 9, 10. Grzmoty i błyskawice, które w maju r. b. były częste, w miesiącu czerwcu były bardzo rzadkie i krótko trwające. Wilgotność powietrza przeszło o jednę setną była większa niż zwykle. Wody z deszczu spadło o 2,21 lin. par. więcéj niż w stanie średnim. D. 27 po blizko dwu miesięcznym upływie czasu od zniknienia plam na słońcu, znowu dwie małe się pokazały.

STRONA MORALNA

JANA KAROLA CHODKIEWICZA,

WYCZYTANA Z JEGO LISTÓW.

PRZEZ

Serweryna Gołębiowskiego.

Ludzie, którzy swojemi czynami imię sobie zdobyli, którzy źle lub dobrze zasłużyli się społeczeństwu, przechodzą na własność powszechną, i stoją na widowni: każdy ma prawo o nich sądzić i ukochać, potępić lub pogardzić. A wielcy ludzie są to wielcy przodkowie: każdemu przystało wpatrywać się w ich czyny i wzbudzać się myślą, jeśli nie do dzieł wielkich, bo to nie każdemu jest dano, to przynajmniéj do pracowitego i niezamiłowanego w sobie żywota. Ci ludzie zarówno mi są drodzy jak i tym, którzy od nich pochodzą; zarówno do mnie należą jak do tych, którzy jedno z nimi noszą imię: lekkiém słowem obelgi na nich nie rzucę. Niechaj spią w grobach otoczeni szacunkiem i miłością ludzką. Lecz inna jest czcić i szanować, inna wszystkich i wszystko bez wyjątku chwalić: do téj roboty nie jestem zdatny. To téż nikt mnie nie posądzi, żebym miał kiedy pisać panegiryki.

Nikt mi téż nie zarzuci, że ci o których piszę są podobni tak, jak gdyby w jednéj formie ulani. Wielkość nie zaślepia mnie do tego stopnia, żebym nie miał widzieć wad w ich charakterze, błędów w ich postępowaniu, a nie jestem powodowany żadnemi względami, któreby

mnie skłaniały do zakrycia prawdy. Daję ludziom to, co w dziejach znalazłem,—szczerą prawdę. Ale niedosyć proch i kości między gruzami dziejowemi odszukać: trzeba żeby ten proch i kości w ciało się zrosły, trzeba to ciało natchnąć życiem, trzeba żeby powstał z martwych mąż, i przed waszemi oczyma roztoczył całe pasmo swojego żywota, żeby odsłonił przed wami głąb swojéj duszy, tajniki serca, skryte pobudki działań. Wtedy dopiéro opisanie żywota będzie dziełem artystyczném.

Wracam do założenia, że moi wielcy ludzie nie są do siebie podobni, i że nie jestem dla nich z bezwarunkowém uwielbieniem. Piszę w dobréj wierze, a jeśli komu te postaci inaczéj się wydadzą, niech mnie przekona i prawdę wyświeci. O pióro i papiér nietrudno, a jak w dawnych czasach szlachcicowi przystało dobrze bronią robić i koniem dzielnie toczyć; tak dziś, kiedy żyjemy w epoce szermów umysłowych, człowiekowi z ukształceniem przystoi zręcznie się wysłowić i dobrze się wypisać.

Żeby raz skończyć ten wstęp może zadługi, przejdźmy do strony moralnéj Jana Karola Chodkiewicza, wyczytanéj z jego listów, których miałem księgę pod tytułem: „Kopia z oryginału metryki listów pisanych od j. w. Jana Karola Janowicza hrabi na Szkłowie, Bychowie, Myszy Chodkiewicza wojewody wileńskiego, hetmana w. ks. lit., do różnych osób, w przeciągu lat czterech, zaczętych w roku 1613, przepisana przezemnie Kaźmierza Borzechowskiego w roku 1780, 1 februarii w Czarnobyli".

W dziele Naruszewicza: Życie Jana Karola Chodkiewicza jest historya polityczna narodu; człowieka z krwią, kościami i duchem, ze słabościami i potęgą moralną, darmo byłoby szukać. Z księgi listów, jakkolwiek prawie wyłącznie pisane były w sprawach publicznych, człowiek już na jaw występuje. Starałem się schwycić jego fizyognomią i odszkicować ją w głównych zarysach.

Z przeszłości mało zostało śladów życia rodzinnego; sprawy publiczne na piérwszym planie, życie rodzinne kryje się gdzieś w cieniu, i z listów nawet nieśmiało wyziera. Przekonałem się o tém studyując pisma znakomitych mężów XVI i XVII wieku. Bój, rada, wybory posłów ziemskich i deputatów na trybunał, zajścia między możnemi panami, zwrot opinii publicznéj, wypadki za-

graniczne: oto jest treść tych listów; uczucia osobiste zostają w głębi serca ukryte, bo przodkowie nasi nie zwierzali ich papierowi. Ludzie rycerscy, których pierś w zbroję była zakuta; mężowie stanu, których głowa schyliła się pod ciężarem myśli: nie pieścili się z temi uczuciami jak my dzisiaj, dla których życie zawarte jest kółkiem rodzinném.

Gdybym miał środki nakładowe Edwarda Raczyńskiego, wydałbym księgę listów Chodkiewicza; dzisiaj daję co mogę, owoc mojéj pracy, częściowe obrobienie. Łatwiéj u nas o piszących jak o ludzi z dobremi chęciami, którzyby chcieli przyjść w pomoc pożytecznemu przedsięwzięciu. A gdyby nawet było inaczéj, takie jest bogactwo źródeł, że niepodobna ograniczyć się wydawaniem surowych materyałów. Wiek i siły pojedynczego człowieka zaledwie wystarczyć mogą do wyrwania z niszczącéj ręki czasu cząstki nieprzebranych bogactw.

Wybitną stroną w charakterze Chodkiewicza jest duch ofiary, zaparcia się siebie samego, poświęcenie dla dobra pospolitego. Piękna to strona i cześć dla niego wzbudza; ale zamiłowanie dobra pospolitego jest rzeczą tak zwyczajną w owych ludziach ze stalowym hartem duszy, że rozszerzać się nad tém nie widzę potrzeby.

Zalecały go pobożność i gorliwość o wiarę. Przed bitwą zawsze żarliwie się modlił, i zadając sobie umartwienie, na gołéj ziemi przy łożu sypiał, a w dzień bitwy nic nie jedząc ani pijąc, czy to kańczukiem, czy paskami od szabli, czy ostrym cierniem, ciało swoje okrutnie ranił. Co sobota przystępował do spowiedzi i do stołu Pańskiego; mszy świętéj codziennie słuchał (1).

Kiedy się wybierał na wyprawę inflancką, odebrał z rąk biskupa chorągiew i szablę poświęconą, a na ewangelii wprzód położoną. Do N. Panny szczególnie nabożny, pieśń Bogarodzica i inne, do potrzeby idąc z wojskiem, nabożnie śpiewał. Z więźniami obchodził się łaskawie. Po zwycięztwie kircholmskiém, poległym nieprzyjaciołom wspaniały pogrzeb wyprawił (2).

Dla rozszerzenia chwały bożéj i dla pożytku bliźnich nie ściskał dłoni. Jałmużny hojne sypał, tak, że gdy szedł z żoną i z synem do kościoła, inszy worek

(1) 2) Niesieckiego Korona polska.

z pieniędzmi za nim, inszy za jego żoną, a inszy za synem niesiono (1). Kościoły rozmaite fundował i wspierał, był patronem Jezuitów, założył kollegium jezuickie w Krożach na Żmudzi i nadał im majątek Kotonawę (2).

Wiarę ku panu statecznie chował. Gdy na konwokacyi wileńskiéj 1613, ludzie radzić chcieli o odmianie pana; Chodkiewicz chociaż nieobecny oświadczył się za królem, przestrzegając blizkich i obowiązanych sobie, aby na same tylko pobory naciągali rzeczy, a gdyby co nowego podawano, aby protestacyą uczyniwszy odjechali (3).

„...Wiarę ku panu zawsze pro sacro sancto miał dom mój, toż i ja sam. O rokoszach, o fakciach, o zamieszkach nigdyśmy nie myśleli i nie myślimy, jak to się dworskim widzi, którzy ucho pańskie piastują. Że we wnętrznościach prawie nieprzyjaciela mając, prosimy pokornie pana, aby nakoniec ściągnął ku obronie naszéj ręce, których się związaniem wymawia; nie ma w tém nic przeciwnego wierze ku niemu. Mój prywatny żal jaki jest, nie jest taki, abym go darować nie miał ojczyznie. Dworscy walą na mnie to, czemu sami byli przyczyną, urągając cnocie, zasługom, pracy, i rozsypanéj dla pana i ojczyzny chudobie mojéj. Tyle mam w zysku miasto wdzięczności, miasto nagrody, która i u pogan dobrze zasłużonym otwarta bywa, gdym z konia nie zsiadając siwego dopędził włosa, gdym zdrowie stracił, gdym się ze wszystkiego wyzuł, a prawie przy ostatniéj desce rozbitego został okrętu" (4).

Litwin zacięty nie mógł tego zapomnieć, że jeszcze za Jagiełłów Wielkie Księztwo było oddzielną Rzplitą; a lubo bronił się z wielkiém oburzeniem od porozumienia, jakoby usiłował unią rozerwać: nienader serdecznie umiłował braci koroniarzów. „A tośmy prawie bez obrony, powiada, na ciężki raz od nich rzuceni. Sam Pan Bóg niechaj o nas radzi, bo ludzkie rady już

(1) Niesieckiego Korona polska.

(2) J. K. Ch. do Adama Dyrmy podstarościego żmudzkiego, 12 czerwca 1614.

(3) J. K. Ch. do Alexandra Sapiehy starosty orszańskiego, 17 października 1613.

(4) J. K. Ch. do Zbigniewa Ossolińskiego wojewody sandomierskiego, 16 maja 1614.

ustały (1). Nie wiem kogo taka gorąca miłość ciągnie ku koronie polskiéj — powiada w inném miejscu — żeby naszemi pieniędzmi ich potrzeby opatrywać."

Charakterystyczny jest list do Lwa Sapiehy, z dnia 4 września 1613 r., o ratowaniu pochyłéj Rzptéj, w którym wyraża obawę, aby nie było jakiéj zmowy na wyniszczenie narodu litewskiego.

Był czas, kiedy na wagę złota ważono Chodkiewiczów. Rzecz tak się miała. Iwanowi Chodkiewiczowi, który był namiestnikiem na Kijowie, Tatarzy jedynego synaczka wzięli do niewoli. Złotem odważony przez ojca wrócił do piérwszéj swobody. Razem z takiemi podaniami przechowywała się między niemi duma rodowa: ze sławą przodków spadała z ojca na syna.

Karola Chodkiewicza kłuła w oczy równość szlachecka; nie był jéj wyznawcą ani zwolennikiem, a lubo nie mógł zaprzeczyć, że się szlachcicem urodził, zwykle dodawał, że jest szlachcic starożytny i patrycyusz (2).

Trudno było płynąć przeciw wodzie. Chodkiewicz wyznawał, że zostaje na równi z drugimi pod jednym filarem praw i swobód szlacheckich; wszakże w stosunkach z równemi sobie, przebijała się jego rogata duma. „Osiadłym jest szlachcic" powiada do Szukszty, który prawem chciał dochodzic kilku wiosek należących do starostwa żmudzkiego „nie rzekę starożytny, i zasług jakichkolwiek w ojczyznie: masz mnie Waszmość zkąd pozwać. Szkoda tylko było sumienie w liście wspominać, bo i starostwo i wioski i Waszmość sam nie jesteś u mnie w takiéj wadze, żebym o nie miał dbać" (3).

Brat Karola, Alexander Chodkiewicz wojewoda trocki, pojął za żonę Katarzynę Korniaktównę, upatrując nie posagu, ani dziedzicznych majętności, ale cnoty, wzajemnego przywiązania, i dożywotniego w żonie przyjaciela. Siostra jéj wyszła za Zbigniewa Ossolińskiego wojewodę sandomierskiego, którego zaciągnął Chod-

(1) J. K. Ch. do księżny Koreckiéj, 1 kwietnia 1613; do Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, 13 kwietnia 1613.

(2) W erekcyi funduszu kollegium jezuickiego w Krożach, Chodkiewicz o stanie szlacheckim tak się wyraża, jak gdyby sam do niego nie należał: że „założenie kollegium będzie z wielkim pożytkiem dla stanu szlacheckiego, od którego my i przodkowie nasi wielkiéj doznawaliśmy miłości i życzliwości." Naruszewicz życie J. K. Ch. T. II, ks. II. § 8.

(3) J. K. Ch. do Szukszty, 28 września 1613.

kiewicz w te związki. Tak więc Korniaktowi, dom szlachecki na Rusi, wsparli się dwiema rękami na dwóch filarach potężnych w Rzplitéj domów.

Między wojewodą trockim a Korniaktem nastąpiły jakieś zajścia. Z tego powodu hetman pisał do Korniakta: „Pamiętaj Waszmość, że ze szwagrem sprawa, a ze szwagrem Chodkiewiczem, którego obraza i mnie ciężko dotyka (1)". W tych kilku słowach przebija się gwałtowna i nieukrywana duma.

Wojewoda trocki, który dla spraw pani mateńki przesiadywał na Rusi, zaniedbawszy spraw swoich domowych, po jéj śmierci dopominał się o wynagrodzenie swoich utrat, a gdy ich nie otrzymał, najechał na Sośnicę majątek Korniakta, i pozabierał rozmaite rzeczy, na które wydał rekognicyą ze swoim podpisem, powiadając, że te rzeczy należą jego żonie ze spadku. Korniakt to nazwał łupieztwem, przed sąd go pozwał, a siostrę odesłał z grubemi słowy, żeby wojewoda do Sośnicy nie jeździł, bo każe przed nim zamknąć wrota.

Hetman wielce się obraził, boćto tylko przed niegodnemi zamykają wrota. Więc pisał do Korniakta, że kiedy Pan Bóg tak chciał, a szczęście mu przyniosło, że Chodkiewicza miał za szwagra, należało go inaczéj szanować; przypomniał mu, że jak z domu Chodkiewiczowego i Zborowskiego wielką miał ozdobę, tak za odtrąceniem ich niewieleby mu zostało (2).

Otwarcie wyznawał, że nie pochwala związków w nierówności rodu zawartych, że takie związki nie przynoszą nigdy pociechy. „Ta nieszczęsna nierówność, bodaj nigdy w domy nasze nie wstępowała" (3).

Przekładał bratu, że cała ta sprawa zacząwszy od ożenienia, na djabła się nie zdała. Ganić w szwagrze to, coby się honoru tykać miało, a cóż innego jest jak tą naganą swoję małżonkę mazać. Przed prawem się rozprawiać, obu stronom nie przyniesie zaszczytu; wyzwać na rękę krewni nie dopuszczą: lepiéj więc bez hałasu ugodą przyjacielską skończyć, zwłaszcza gdy druga strona schyla się do zadosyćuczynienia" (4).

(1) J. K. Ch. do Korniakta, 14 czerwca 1616.
(2) J. K. Ch. do Korniakta, 21 lipca 1616.
(3) J. K. Ch. do Zbigniewa Ossolińskiego, 18 lipca 1616.
(4) J. K. Ch. do Alexandra Chodkiewicza, 20 lipca 1616.

Sam dwa razy był żonaty; naprzód wziął za żonę Zofią Mielecką, wdowę po Szymonie książęciu Słuckim; potém w podeszłym już wieku Annę księżniczkę Ostrogską. Mielecka zostawiła mu dwoje dzieci: syna i córkę.

Syna nie chciał w domu chować. Właśnie miał go za granicę wysłać i szukał człowieka, któremuby go mógł śmiało powierzyć, kiedy śmierć przecięła dni 16 letniego chłopca (2 lipca 1613 r.), który był nadzieją i dumą starego ojca. Opłynęło żalem jego serce, ale z męzką odwagą zniósł tę stratę. Tylko zmarszczek kilka przybyło na czole myślami pooraném, tylko większa surowość osiadła na twarzy.

Bóg dał, Bóg wziął! Dotknienie Pańskie znosił cierpliwie, a choć głęboko żarzyła się boleść w ojcowskiém sercu. nie pokazywał jéj przed ludźmi.

Pamięć przodków wysoko szanował. Powracając z sejmu 1615 r., jechał przez majętność gnieźnieńską, która przedtém była w jego domu, i z ciężkim żalem patrzał na spustoszenie kościoła, w którym były groby rodziny Chodkiewiczów, i w którym leżało ciało jego matki. Kościół stał pustkami, bydło pasło się w ogrodzeniu kościelném i deptało święte miejsce. Hetman pytał ludzi i dowiedział się, że żyd jest arendarzem, i że dziedzic Okuń nie dba o tę majętność. A więc, lubo nie był w kopę zamożysty, i raczéj przedawać dla Rzptéj niż kupować majętności zwyczajny; ochraniając kościół od dalszéj ruiny, a mogiły od nieszanowania, oświadczył Okuniowi, że radby odkupił Gnieznę, i o pieniądze, jak tylko odpowiedź odbierze, pilne staranie uczyni (1).

Złe przygody, a bodaj i niedostatek przy ogromnéj, ale zadłużonéj fortunie, z dumą znosił. „Co czynić, mój Pawle,—pisał do towarzysza broni,—gdy na takie czasy przyszło, że największéj cnocie najgorzéj się płaci. Ale nie zapadło jeszcze w oczach naszych słońce wszystkich dni, będzie jeszcze tak fortunny czas, że szabla chléb zarobi, pozyscze nagrodę, przynajmniéj wdzięczna potomność wiekuistą odmierzy pamiątką; ale ciężko cnotliwie służąc, zdrowie i chudobę tracić" (2).

Brał ze skarbu jurgielt zabezpieczony na Upicie i na Mohilewie, ale zwykle czekać musiał, a wydatki he-

(1) J. K. Ch. do Okunia, 14 kwietnia 1615.
(2) J. K. Ch. do Pawła Ruckiego, 21 lutego 1614.

tmańskie opędzał z własnéj szkatuły. A gdy w skarbie zawsze brakowało pieniędzy, nieraz trzeba było udawać się to do osób prywatnych, to do OO. Bernardynów, i z jałmużny, niemal z ołtarza brać i płacić żołnierzom (1). Tu znowu, żeby wystąpić na sejmie, hetman wioski sprzedawał, a przyjaciół z sobą zaciągał, żeby pokazać się jak przystało Chodkiewiczowi z ozdobną komitywą (2).

Król jak zwykle zostawiał go bez opatrzenia. „Im daléj, tém więcéj ekspensów panu i ojczyznie przychodzi mi czynić;—pisze do podskarbiego—więc jeśli mi nie wstyd wspierać ojczyznę chudobą, nie wstyd także o swoje się upomnieć. Szczupłości skarbowéj dawno wiadomym, i o to tylko proszę, abyś Waszmość kilką tysięcy złotych raczył gwałtownym potrzebom moim miłościwie wygodzić" (3).

Uskarżał się na króla, że nie ma względu na jego zasługi (4), więc na szycie butów przez ciche praktyki (5). Wolno JKMości, dodawał, szafować jako chce łaską swą pańską, wolno i mnie cnotą zacierać zawiść i złośliwość.

Nie skrycie u dworu, ale jawnie na sejmikach starał się o to, żeby król pamiętał na jego zasługi i utraty, że tak wiele majętności zbył i zbywać nie przestawał na opędzenie długów (6).

W kilku słowach streszczam stronę moralną Chodkiewicza. Byłto pan dumny, patrycyusz, który uważał siebie za coś wyższego od szlachcica; Litwin rozmiłowany w swojéj prowincyonalnéj narodowości, straszliwy impetyk, który łajał jak bohaterowie Homera, a w razie potrzeby gotów był buzdyganem dojechać przeciwnika; ale zarazem mąż prawy, wykształcony na wzorach starożytnych, daleki od wszelkiéj chciwości i ambicyi, wielkiéj cnoty, silnéj woli, żelaznéj prawicy; wódz, który przed bitwą nie liczył nieprzyjacioł, a w bitwie jak piorun uderzał i zawsze wygrywał.

W Polsce pomimo zmian, jakie czas z sobą przynosił, był silny żywioł zachowawczy; majestat królewski

(1) J. K. Ch. do Jarosza Wołowicza podskarb. w. lit. 19 lutego 1614.
(2) J. K. Ch. do Adama Dyrmy podstarościego żmudz. 1 listop. 1614.
(3) J. K. Ch. do Jarosza Wołowicza, 27 marca 1613.
(4) Bez adresu, 3 listopada 1614.
(5) J. K. Ch do Alexandra Gosiewskiego.
(6) J. K. Ch. do Jewłaszowskiego sędziego ziemskiego nowogrodzkiego, 17 grudnia 1614.

i powaga urzędów były szanowane, a jeśli je kiedy zaczepiono, czołem stawali tacy ludzie jak Zamojski, Sapieha, Chodkiewicz. Więc ten ostatni wielce stał przy tém, aby urząd hetmański, który uważał za drogi klejnot w koronie, nie został z powagi wyzuty; z tego powodu zanosił protestacyą przeciw uchwale sejmowéj z 1613 r. Bronił powagi urzędu z przeświadczeniem, że to jest jego święty obowiązek. „Co od przodków podane nam jest, niechaj sacro sancto będzie. W urzędzie moim żadnemu gmérać nie dopuszczę; więc i lata i zasługi moje inakszego godne są poszanowania".

Szlachta żmudzka obawiając się napadu od Szweda w jego nieobecności, uchwaliła postanowienie, żeby w razie nagłéj potrzeby wybrać pułkowników, i stanąć pod chorągiew ziemską. To postanowienie jemu jako staroście podała do zatwierdzenia. „Postanowienia tego, odpowiedział Chodkiewicz, które jest z uszczerbkiem władzy méj starościńskiéj, przyjąć żadnym sposobem nie mogę. Za najdroższy klejnot od przodków Waszmość to mieć raczycie, że chorągwi bez woli i upoważnienia starosty żadnemu podnieść niewolno. Trzyma tam ramię moje p. Dyrma; onemu należy w niebytności méj, gdyby co takowego zachodziło, podnieść chorągiew i zabiegać złemu. Gdzie nas starodawne instytucye nie skrzepią, nowe wynalazki prędzéj zagubią" (1).

Z wielką obrazą przyjął żądanie szlachty żmudzkiéj, żeby została zniesiona dyrekcya sejmików przez podstarościego. „Bywało to za moich poprzedników,—odpowiedział,—jam tylko wadził. Wygadzając jednak apetytom Waszmościów, zaniechęciem téj dyrekcyi kazał. Niech już tam idzie przez marszałka zgodnemi głosy obranego. Ale dobrzeby na dalsze czasy spojrzeć, jako samych Waszmościów będzie bolało, gdy któremu po mnie to miejsce zasieść przyjdzie. Przy bytności jednak swéj, dyrekcyą sobie w całości zostawuję" (2).

A jako wypiastował w sobie dumę rodową i uczucie godności osobistéj, tak nie starał się o to, żeby pohamować w sobie gwałtowność charakteru, popędliwość niczém nieobuzdaną. W szkołach jeszcze, ksiądz Lesiew-

(1) J. K. Ch. do szlachty żmudzkiéj, 7 marca 1614.
(2) J. K. Ch. do szlachty żmudzkiéj, 30 marca 1615.

ski jezuita jego nauczyciel, kiedy Chodkiewicz w impet wpadał kazał mu oczy zawiązywać. Ta jego cholera była usposobieniem wrodzoném; a pod koniec życia, gdy wzmogły się dolegliwości fizyczne, zamieniła się w stan chorobliwy i podwładnym silnie uczuć się dawała. Wielu z rycerstwa nie lubiło go za to, że był surowy i przestrzegał ściśle karności wojskowéj, a bardziéj jeszcze za to, że był impetyk i sam nad sobą panować nie umiał.

Kiedy w gniew wpadał, nierachował się ze słowami: dochodzić krzywdy swojéj na cudzym grzbiecie, zostawić komu pamiętne na grzbiecie, dać w gębę, pokazać zęby, to są w listach jego pospolite wyrażenia.

Chłop z wioski Chodkiewicza przeszedł do Zacha obywatela inflanckiego. Chodkiewicz kazał chłopa za chłopa zabrać, a gdy mu poddanego wrócono, list napisał prosząc Zacha, żeby zachował się po sąsiedzku, bo on nie da despektowi na grzbiecie swoim usychać (1).

Ta jego popędliwość dobrze się maluje w liście do Sanguszki księcia kowelskiego.

Sanguszko książę koszerski, synowiec księcia kowelskiego, urodzony z Chodkiewiczównéj, mając od króla przyznane lata, wstąpił do klasztoru i rozporządził majątkiem. Siostra jego Anna przez Karola Chodkiewicza została oddana na opiekę w dom księżny Hołowczyńskiéj, wdowy, zaręczonéj Hieronimowi Chodkiewiczowi kasztelanowi wileńskiemu, która miała być dla niéj zwierciadłem cnót wszelakich, bogobojności i uczciwych postępków.

„Książę koszerskie, że będąc w opiece j. m. pana wojewody trockiego (2), za pozwoleniem mojem, nie za zleceniem Waszmości do klasztoru wstąpiło, z woli się to bożéj działo i daléj dzieje. Iż za przyznaniem lat od J. Kr. M. i opiekunów dyspozycyą dóbr swych czynić chce, swojem już zdaniem, nie podlegając żadnym opiekunom, z których się w. m. przyrodzonym chrzcisz; nie odrzekam się i ja krwie swéj, tem bliższym jéj będąc, im większe z testamentu na sobie obligamenta noszę; a jeśli w. m. z dziwnéj miłości swéj czynisz, czynić i ja chcę z podwójnego węzła spowinowacenia (3). Co się tknie księżny Anny, nie jest to z honorem jéj, aby po Lwowach

(1) J. K. Ch. do Zacha, 10 września 1614. (2) Alexan. Chodkiewicza. (3) Ex duplici vinculo necessitudinis.

i Lublinach w pierwszym tym lat swych kwiecie biegać miała; nie jest to i kandorowi w. m. życzyć jéj tego. Jejmość pani mińskiéj (1) méj miłościwéj pani nietylko żebym miał radzić wydanie jéj do rąk w. m., ale owszem gorąco proszę i prosić będę, aby pod skrzydłami łask swych do końca ją chować raczyła, i miejsca jéj uczciwszego i ćwiczenia w cnotach większego nie widzę. Miłując sławnéj pamięci nieboszczyka pana małżonka swego, miłuje krew jego (2) jako wielkich cnót i wysokiego rozumu pani; przy wszelakiem uszanowaniu takie wychowanie daje, jako na stan jéj przynależy. Wolę ją tam widzieć, niżby obce kąty pocierać miała; bo chociaż w. m. nie jest wyrodkiem domu Sanguszkowskiego, jednak głębszych lat będąc, a pono i większéj w rzeczch nad w. m. wiadomości, to czynię, co mi samo sumienie czynić każe. Rozumiem téż o książęciu koszerskim, że dając miejsce racyom i perswazyom nas powinnych swych, nie ściągnie oka i z siostry swéj, i tak ją zostawi, jakoby w pociechę subtelnym targom nie poszła. Nakoniec wiedzieć trzeba, że jako niżéj w linii téj krewności nie staną nad w. m., tak gmérać w opiece żadnemu nie dopuszczę; zaczem w. m. jeśli zechcesz nawiedzić ją, będziesz mógł, w rękach swych jednak nie będziesz miał. Oddaję zatem powolne służby swe w łaskę w. m. pana. Z Bychowa, 12 septembra a. 1613.

„Na cedułę Waszmości jako na grubo pisaną nie odpisuję i napominam tylko, abyś w. m. pan skromniéj (3) drugi raz ręką do pióra ściągał, bo kto pisze co chce, odniesie czasem czego nie chce, a z takich przycinków przychodzić więc zwykło do załebków. Ostatek sensu wytłumaczy pan wojewoda trocki i da o sobie sprawę, że jako nie gmérał nigdy w domostwie w. m., tak żaden baczny zaprószyć mu tem oka nie może".

Z Lwem Sapiehą kanclerzem, Chodkiewicz zwykle nie zgadzał się w zdaniu; była między nimi zawiść i niechęć w sercach tajona. Żółkiewskiego nie lubił, a od czasu wzięcia w niewolę Samuela Koreckiego, dziwne rzeczy na niego wygadywał.

Samuel Korecki był siostrzeńcem Chodkiewicza. Gdy skarżył się, że hetman koronny niechęć ku niemu

(1) Księżnie Hołowczyńskiéj. (2) Matka księżniczki Anny była z domu Hołowczyńska, cioteczna siostra Chodkiewicza. (3) J. K. Ch. do starosty mińskiego, 18 maja 1615.

chowa, Chodkiewicz odpowiedział: „O niechęciach nie wiem i wątpię, aby jakie były, jeśli pan hetman czyni co powinność jego niesie" (1). Były to słowa rozsądne i umiarkowane.

Dowiedziawszy się o wzięciu w niewolę Koreckiego, wziął do serca ten wypadek, i z oburzeniem powstawał na Żółkiewskiego, przypuszczając do głowy najdziksze niedorzeczności. „Teraz,—pisze w liście do brata,—to rozumiem czynić za najpotrzebniejsze, aby starać się o jego uwolnienie; bo jeśli ten dobry pan pisał do Skinder baszy, aby go na pal wbić kazał, cóż w. m. rozumiesz, jeśli się dowié o nim, że jest u Imbraim baszy, jeśli nie rzuci kamienia, aby mógł nienasyconemu krwi ludzkiéj sercu dosyć uczynić. Taić tedy dla Boga o tem kędy jest, a o uwolnieniu pilno myśleć". Pisał do matki Samuela gorące listy, żeby puściła w niepamięć obrazy, jeśli jakie były między nią a synem, i użaliła się krwie własnéj. „Panie Boże odpuść te białogłowskie fumy, powiada Chodkiewicz: nigdy nie trzymają się pomiarkowania i zawsze w ostateczności idą".

„Nie dziw, że krwi pragnie, gdy się na krew zaprawił w domu naszym, na Samuelu Zborowskim. Teraz na Koreckim radby pragnienie swoje nasycił; ale nie będzie na tych godach, nie odstąpię krwie swéj póki mię jeno stawać będzie". Więc wszelkich sprężyn poruszył żeby ratować Koreckiego, a Żółkiewskiemu finfę pod nos puścić; sejmików mocno pilnował, praktyki rzucił między powinne, związał się ze Zbaraskimi, którzy byli w otwartéj nieprzyjaźni z Żółkiewskim, przez wysłańca u dworu pilnie ucha nakładał na tę sprawę. „Nie zażyje pociechy ten dobry pan, powiadał, acz rozumiem, że pełną gębą będą wytrąbywać urojony pokój z Turkiem, mianowicie Ożga, zatem wieczności barskiéj zażądają(2). Trzeba wejrzeć dobrze w te pakta, i rychléj na nim, jak na Koreckim poszukiwać (3)".

Ibraim pasza u którego Korecki był więźniem, okazywał mu wielką życzliwość; zaszła już nawet umowa o wykupienie go z niewoli i pieniądze przez matkę były

(1) J. K. Ch. do Samuela Koreckiego, 22 kwietnia 1616.
(2) Zamojski za zwycięztwo pod Byczyną otrzymał na wieczność starostwo zamechskie i krzeszowskie.
(3) J. K. Ch. do Alexandra Chodkiewicza, 27 lipca 1616.

przygotowane. Niespodzianie rzeczy inny obrot wzięły: Chodkiewicz obwiniał Żółkiewskiego, że to jego sprawa. „Trwożyłem się ja zawsze, pisał do Karola Koreckiego, patrząc na niechrześciański affekt pana hetmanów, i dlatego radził, aby w głębokiem utajeniu miejsce pana Samuelowe było. Aż oto złości swojéj dał dalszą wolą; zaczem ja już zupełnie wątpię, i prawie jako za umarłego Pana proszę; bo jeśli taka złość tego Żółkiewskiego nie mogła się zahamować bojaźnią bożą, że krew chrześciańską podał praktykami w ręce nieprzyjacielskie, a cóż się będzie oglądał na żywot pana Samuelowy, za któregoby zwróceniem ponoby ten pan we dzwonie chodzić musiał (?). Zwątpiłem tedy zgoła i już nadziei żadnéj nie mam. Co zatem czynić, trudna rada. Wywiedzieć się trzeba pilno, jeśli myśl i affekt pański nie jest jednaki z hetmanem, o czem wątpię, gdyż pisze mi sługa, któregom ja posłał do j. kr. m. w sprawach moskiewskich, że nie ma ten niezbożnik pana sobie przychylnego, Suplikować tedy pana, aby poruszony litością upadłemu poddanemu podał rękę, a lubo pismem, lubo gońcem do Turek starał się o jego swobodę. Jeśli zaś jednakiego z hetmanem jest zdania, starać się przez królewicza, który zawsze przychylny był panu Samuelowi. Jeśli to nie pomoże, praktyki przez posła angielskiego i francuskiego czynić, by też i do samych monarchów posłać o listy; przez Ormiany traktować, bo u tamtych ludzi wszystko przedajne; więc przez Wołoszę, która była życzliwa potomstwu Jeremiego. Starać się też o to, aby na więzienie tam gdzie p. Potocki siedzi nie był dany, bo powrót ztamtąd trudniejszy" (1).

Od Jarosza Wołowicza podskarbiego lit. któremu zawsze rad służył, doznał wielkich przykrości. Więc gdy 15,000 zł. przez króla darowane, podskarbi przy wypłacie zasług chciał mu strącić, oświadczył, że od tych 15,000 odstępować nie myśli (2). Uskarżał się na niego przed Wołowiczem sędzią ziemskim żmudzkim, że wydarłszy mu krwawą wysługę, na honor jego następuje, obwiniając go o uszkodzenie skarbu publicznego. „Nie ma téj godziny, nie ma tego posiedzenia, mówi daléj, przy obiedziech, przy wieczerzach, żeby mnie jegomość nie

(1) J. K. Ch. do Karola Koreckiego, 22 października 1616.
(2) J. K. Ch. do Jarosza Wołowicza, 22 lutego 1614.

szarpał, z krytyką, ironicznie, jako mu to dała natura. Wszystkie inne snadniéj człowiek przenieść może: uraz uczciwego, jako postrzał w sercu szlacheckiém, boli. Nie ten u mnie nieprzyjacielem kto zdrowie swoje ważąc na moje następuje, ale ten, kto pod farbą przyjaźni sławę mą nieprzyjacielsko zabija. Oświadczam się przed Waszmością, że wolny będę od wszelakiéj winy, jeśli stojąc przy honorze moim odgryzę się jegomości" (1).

Jakoż jak tylko zręczność się zdarzyła rwał zębem podskarbiego, oskarżając go, że z poborów litewskich znaczną summę do Polski wysłał, składając na niego winę, że granice bez obrony nago odarte leżały.

Nastąpiło pojednanie, stare zajścia poszły w niepamięć, i Chodkiewicz postąpiwszy na województwo wileńskie, wstawił się za Jaroszem Wołowiczem do króla o starostwo żmudzkie (2).

Gdy Gabryel Wojna podkanclerzy litew. ofiarował, że starać się będzie dla niego o województwo wileńskie; Chodkiewicz odpowiedział: „Uniżenie Waszmości dziękuję, ale ja już na takiéj łasce j. kr. m. przestaję, na jakiéj jestem postawiony. Ja j. kr. m. uprzykrzać się nie chcę i wnieść na się opinią chciwości" (3). „Wolę przy tytule dawniejszym pozostać, nie biorąc nowych, które nakształt cyprysów wysokie są, a nie dają owocu" (4).

Mianowany wojewodą, wjazdu do Wilna zaniechał. Niebezpieczeństwa pograniczne na Ruś go odwołały, wyjechał więc z Lachowicz niefolgując zdrowiu, chociaż kamień na który często cierpiał, mordował go od dni kilku. „Odbywszy tę wyprawę—pisze w przyjacielskiém zwierzeniu—ostatek spracowanego żywota radbym gdzie w kąciku przytaił. Pracowało się i harowało dosyć gwoli sławie i ojczyznie: czas ostatek zachować sobie i miłym przyjaciołom, i podpić czasem; a jako starosta żmujdzki z podkanclerzym w. ks. lit. jadał i pijał, tak i wojewoda wileński z biskupem téjże do końca chce zażywać krotochwili" (5).

(1) J. K. Ch. do Wołowicza sędziego ziems. żmudz. 6 marca 1614.
(2) J. K. Ch. do Jędrzeja Lipskiego, 27 czerwca 1616.
(3) J. K. Ch. do Gabryela Wojny 22 kwietnia 1616.
(4) J. K. Ch. do Chreptowicza, 2 lipca 1616.
(5) J. K. Ch. do Benedykta Wojny biskupa wileń., 5 listopada 1616.

WSPOMNIENIA

Z PODRÓŻY NAD WOŁGĄ.

PRZEZ

A. Połujańskiego.

Pożegnawszy gród Piotra W. który zgromadził w sobie przepych i bogactwa południowych i zamorskich krajów, a gdziem czerpał w świątyni nauk zasoby na dalszy ciąg życia: ruszyłem w podróż traktem moskiewskim. Trzydniowa podróż drogą bitą do Moskwy w dyliżansie czyli karecie pocztowéj niewiele utrudziła (1), lecz daléj przez Włodzimiérz nad r. Klaźmą aż do Niższego-Nowogrodu, chociaż już nie drogą bitą, ale w tarantasie, bardziej czuć się daje. Od tego ostatniego miasta aż do Kazania przedstawia się pod każdym względem obraz dawnéj Azyi. Te częste góry z lasami przypominają Syberyą; lud mową i fizyognomią od Rossyan różny: wszystko to naprowadza na myśl przybyszowi, że jest w Azyi. O tych właśnie ludach, po obu stronach rzeki Wołgi osiadłych chcę mówić; ich bowiem religia i obyczaje wiele mają podobieństwa z życiem naszych przodków, do czasu przyjęcia religii Chrystusa.

Fińskie plemiona, znane w starożytności pod imieniem Scytów, po długich walkach od wschodu z Tatarami i innemi azyatyckiemi narodami, od zachodu zaś z Gotami i Słowianami, osiadły wreszcie nad brzegami pięknéj Wołgi, w kraju żyznym. Szczepy tych plemion

(1) O urządzeniu drogi żelaznéj, która dziś istnieje między Petersburgiem i Moskwą, wówczas jeszcze nie myślano.

stanowią: Czuwasze, Czeremisi, Wotiacy, Mordwacy, Zyrianie, Iżemcy, Permiacy i t. d. Obok nich osiedli Bulgarowie, Tatarzy, Mongołowie, Nowogrodzianie, Ukraińcy, w małéj liczbie Moskwicianie i inni.

Przedewszystkiém obszerniejszy opis udzielę tych narodów, które w większéj massie przetrwawszy, niewiele z pierwiastkowéj swéj narodowości dotąd utraciły.

I.

Czuwasze.

Chociaż według powszechnego zdania uczonych, Czuwasze pochodzą od Finnów, bo z powierzchownéj postaci wielkie mają podobieństwo do Czuchnów i innych plemion tego rodzaju; niemniéj jednak mową zbliżyli się do Tatarów, a z pierwotnéj religii i obyczajów stanowią istotny szczep Słowian.

Czuwaszyn wzrostu średniego, rzadko wysokiego, włosów czarnych lub światło-rudych, twarz ma niewielką, bladą, rysy i cały obraz więcéj go zbliżają do europejskich niż azyatyckich narodów; nos proporcyonalny, oczy małe, włosy na brodzie zbyt krótkie, niekształtnie ułożone.

Kobiety pospolicie mają włosy czarne, twarz bardziéj niż u mężczyzny zaokrągloną, zęby białe, oczy większe także niż u mężczyzn, lecz niezbyt wielkie.

Odzienie mężczyzn stanowi koszula płócienna długa, niżéj kolan, któréj rękawy wyhaftowane czerwoną bawełną, na grzbiecie zaś z brudno-żółtych lub ponsowych tasiem naszyty kąt rozwarty, którego ramiona kończą się na ramionach człowieka, a wierzchołek u dołu pacierzowéj kości V; z przodu na piersi takiż haft jak na rękawach. Pod koszulą spodnie z płótna; na nogach onucze, latem płócienne, a zimową porą z wojłoku, z wierzchu zaś łapcie z łyka. Jeśli się w drogę puszcza, to wkłada na głowę w lecie kapelusz, w zimie zaś czapkę z czarnego aksamitu, zamiast waty pierzem lub puchem podbitą i krojem mazowieckim uszytą, którą nosi na bakier. Oprócz tego odziéwa się w sukmanę, z światło-szarego lub białego samodziałowego sukna, zwaną kaftanem, do litewskich siermięg podobną, tylko nie-

co krótszą. W lecie zaś idąc w pole, rzadko kiedy głowę przykrywa, i oprócz koszuli, niczém się z wierzchu nie odziewa.

Kobiety i dziewczęta w zimie do podróży ubierają się bez różnicy tak jak mężczyzni, i tak śmiało używają konnéj jazdy jak oni; tylko latem wszędzie, a zimową porą w domu, odróżniają się od mężczyzn ubiorem głowy, którą wdowy i mężatki obwijają kilkakrotnie ręcznikiem, zapinając końce pod brodą. Dziewczęta zaś noszą spuszczony w tył warkocz, pokrywając głowę kaszpą lub tufiją, tojest czapeczką z nici czerwonych, któréj wierzch, stosownie do zamożności, prawdziwemi lub fałszywemi, srebrnemi lub cynowemi pieniążkami, wartości 5, 10, 15, 20 i t. d. kopiejek jest przyozdobiony. Pieniądze te najczęściéj bywają z dawniejszych epok i mogłyby niejednokrotnie przydać się użytecznie do zbiorów numizmatycznych.

Czuwasze po większéj części osiedlili się na prawym brzegu rzeki Wołgi, tam, gdzie do ich przybycia zamieszkiwali starożytni Bulgarowie; co właśnie dowodzi pochodzenie Czuwaszów od Słowian, lub w wielkiéj części zlania się z niemi. Obecnie ten naród przemieszkiwa w guberniach: symbirskiéj, samarskiéj, penzeńskiéj, saratowskiéj, orenburskiéj, lecz najliczniéj w gubernii kazańskiéj, gdzie we trzech powiatach: czeboksarskim, cywilskim i jadryńskim, liczy się do 300,000 dusz obojga płci; z tych około 2,000 pogan, a reszta wyznaje religią prawosławną. Oprócz tych, mała liczba osiedliła się w powiecie czystopolskim.

Czuwasze przyjęli wiarę chrześciańską w 1745 r. lecz tak słabo w nich przyjmują się zasady religii Chrystusa, że ustanowiona od rządu missya duchowna, w ciągu przeszło wieku pracując nad ich nawracaniem, dotąd swego dzieła nie uskuteczniła zupełnie.

Czuwasze gub. kazańskiéj dzielą się na dwa główne plemiona: na Wereałów i Anatrów: pierwsi mieszkają w powiatach czeboksarskim i jadryńskim, drudzy zaś w pow. cywilskim, i tak z ubioru jak i z mowy więcéj są niż piérwsi zbliżeni do Tatarów. Największą między niemi różnicę stanowi obuwie; u Wereałów bowiem onu-

cze i wojłoki pospolicie bywają czarne, u Anatrów zaś białe. Pomimo téj różnicy, wszyscy Czuwasze uważają miasto Czeboksary za swą jedyną stolicę i przenoszą je nad wszystkie inne miasta: dlatego nie od rzeczy będzie przytoczyć tu legendę o założeniu téj stolicy.

Miasto Czeboksary, po czuwasku zwane Szoboszkar, leży na prawym brzegu rzeki Wołgi, nad rzeczkami Czeboksarką i Sugutką czyli Kajbałką, na pocztowym trakcie z Moskwy do Kazania. Zbudowane przez cara Iwana Bazylewicza Groźnego w 1556 r.; lecz w latach 1669 i 1773 uległo zniszczeniu od pożaru. Podanie niesie, że w tém miejscu mieszkali dwaj główni jomsy (1) czuwascy: Czebak i Sar. Piérwszy z nich mieszkał w świątyni leśnéj, zwanéj wielki keremiet, na miejscu któréj stoi dziś cerkiew soborna czyli katedralna; Sar zaś mieszkał w drugim keremiecie, nieopodal od wielkiego, tam, gdzie teraz stoi cerkiew w gaiku, zwana pustynią Włodzimierską. Czuwasze twierdzą, że gdy Rossyanie miasto budować zaczęli, wszczęła się okropna burza z błyskawicami, grzmotem, deszczem i gradem, łamały się od wiatru święte drzewa w keremiecie, a mieszkający w nim zły duch, ze świstem i piskiem w powietrze się uniósł.

Obecnie w mieście Czeboksarach znajduje się 13 cerkwi, a przeszło 800 domów, z tych kilkanaście murowanych; szkoła powiatowa cywilna i takaż dla duchowieństwa, monaster i do 4,600 mieszkańców. Ulice krzywe, niekształtne, bez bruku, zbyt błotniste. Mieszkańcy tutejsi mając dogodną przystań na Wołdze, prowadzą handel zbożem, miodem, sadłem, woskiem, drzewem budulcowém i opałowém, oraz wyrobami z drzewa, kory i łyka. Są tu także fabryki dzwonów, cegielnie, wyroby juchtowe, srebrne niewielkiéj wagi, rozmaite rzemiosła i t. d.

Inne miasta czuwaskie są: Tetiusz, Mamadysz i Łaisz.

Czuwasze zajmują się rolnictwem; wielka ich część z początkiem wiosny najmuje się za flisów na statki, i dopiéro w lipcu i sierpniu do domu z pieniędzmi powracają. Kobiety wyrabiają z wełny owiec domowych wojłoki

(1) *Jomsa*, ofiarnik, kapłan, lekarz i wróżbiarz.

czyli koce i samodziałowe sukna; także tkają niezbyt cienkie dla swéj potrzeby płótna, a nadewszystko bez żadnych wzorów haftują koszule męzkie i żeńskie, oraz ręczniki.

Latem mieszkają w spichrzach i altanach zwanych łaczuga, gdzie mają urządzone ogniska do gotowania jadła: zimową zaś porą w ciemnych i po większéj części kurnych izbach, w których okienko blizko drzwi, dla świeżego powietrza i światła bywa zawsze otwarte; dwa zaś inne od wschodu i północy rzadko się otwierają, chyba dla wypuszczenia dymu, gdy się w piecu pali. Drzwi urządzają się w poprzecznéj, nie w podłużnéj ścianie; front zaś zawsze od dziedzińca, nie od ulicy, od któréj żadnego okna nie ma. W izbie wszystko ma cechę nieochędóstwa: podłoga mokra i brudna, zawalona śmieciami, wówczas tylko starannie zamiataną bywa, gdy do izby wejdzie urzędnik lub inny godny poważania gość; co właśnie, niepojmującemu czuwaskiéj etykiety, zdaje się wielką niegrzecznością. Naokoło izby, około ścian urządzone są ławy, nakształt szlabanów, w których cała ruchomość Czuwaszów schowana; a w końcu izby, także pod klapą szlabanu są ukryte schodki, wiodące do piwnicy, która się mieści pod podłogą izby.

Wsie czuwaskie zbudowane bez żadnego porządku i symetryi, noszą cechę patryarchalnéj swobody i egoizmu. Żadnéj w nich nie ma ulicy, tak, że nieświadomemu łatwiéj tam niż w wielkiém mieście zabłądzić.

Naród ten niezbyt skłonny do pracy; i gdyby sama przyroda szczodremi darami nie zaspokoiła jego potrzeb jużto gruntem niepotrzebującym wielkiéj uprawy, już obfitością pszczół a tém samém miodu, już wreszcie nieocenioną Wołgą, która oprócz najsmaczniejszéj ryby i innych potrzeb do życia, gotowy pieniądz z łatwością dostarcza: Czuwaszyn bez wątpienia umarłby z głodu.

Niemało się jeszcze przyczynia do dobrego ich bytu obfitość i taniość drzewa, którego niemało kradną, oraz wyborne łąki i pastwiska.

Religia chrześciańska, pomimo tak dawnego już wprowadzenia, zbyt słabo w Czuwaszach zaszczepioną została. Każdy z nich w przygodzie, nie do cerkwi lub księdza, lecz do keremietia i jomsy udaje się. Gorli-

wość miejscowego duchowieństwa czuwa nad utrzymaniem w tym narodzie chrystyanizmu.

Czuwasze uznają wiele bóstw, lecz najwyższym bogiem jest Tora, po którym następują: Tora-Amoże, matka boska; Pilikse, pomocnik boga, bóg leśny; Szaługa-Ara, bóg dróg, Terkula, b. gumien zbożowych i opiekun bydła, Chwiel, słońce, Chwiel-Amoże, matka słońca, Asładi, piorun, Asładi-Sozimbe, bóg błyskawic, Choar, zły duch przy drodze, Esrel, śmierć czyli duch, który wyjmuje duszę z tyłu głowy; Sil, bóg wiatrów, Kebe, aniołowie, Kebe-Amoze, matka ich; Irich, kawałeczek cyny do gałązki jarzębinowéj przywieszony, który posiada moc odpędzania złego ducha od pomieszkania.

Z tego, co wyżéj powiedziano, widzimy, że Czuwasze uznają dwa główne bóstwa: Tora, dobry bóg, i Keremiet, zły bóg czyli zły duch, tak jak Słowianie, którzy wierzyli w Białego-boga i Czarnego-boga.

Tora i powyżéj wyliczeni jego podwładni, będąc dobrymi, nie wymagają od ludzi ofiar i karać ich nie będą: dlatego Czuwasze dziękują im za otrzymane łaski, lecz się ich nie lękają. Keremiet zaś, dręcząc świat cały, wymaga od ludzi ciągłéj ofiary, którą ubłagany, zostawia ich na chwilę w pokoju. Tora nie ma świątyni; Keremietowi zaś poświęcone są gaje i oddzielne części wiązowych lub brzozowych lasów, mianowicie takie, które przylegają do źródeł i strumieni i nie są zbyt odległe od wsi.

Jeśli się przytrafi jaka przygoda, wówczas Czuwaszyn udaje się do keremetia, kładzie pod wiąz pieniądz i ukłoniwszy się nizko, odchodzi pełen wiary i nadziei, że złe przeminie. Lecz jeśli jaka powszechna klęska wszystkich mieszkańców dotknie, jak np. gradobicie, susza, nieurodzaj, morowe powietrze, zaraza na bydło i t.p. wówczas keremiet wymaga większych ofiar. W tym celu zebrani starcy z całéj parafii, tojest ze wszystkich wsi do keremetia należących, udają się do jomzy czyli kapłana swego, i zapytują go: ile sztuk i jakich bydląt przynieść mają keremetiowi na ofiarę? Po otrzymaniu żądanéj odpowiedzi, wnet po całéj swéj parafii zbierają potrzebną ilość pieniędzy, za które kupują, bez targu, woły, cielęta, barany i drób'. W dzień modlitwy

czyli zamierzonéj ofiary wszyscy pobożni, w liczbie kilka tysięcy osób, zbierają się do keremetia czyli świętego gaju, gdzie nieopodal w dolinie stawiają stół, na którym kładną chléb, sól i noże do zakłócia bydląt, także wiadro z wodą i czerpak. Potém modlą się, obróciwszy twarze na wschód. Po skończonéj modlitwie przyprowadzają wołu do stołu, przy którym jomza zająwszy miejsce, nabiera czerpakiem wody z wiadra i leje na grzbiet bydlęcia: jeśli wół wstrząśnie się, to dobry znak, że ofiara keremetiowi przyjemna i bydlę wnet nożami kolą; lecz jeśli wół się nie wstrząśnie, to znowu wszyscy się modlą, aby Bóg przyjął ofiarę. Po drugiéj modlitwie inny już starzec polewa wodą grzbiet wołu, i ten obrzęd póty się powtarza, aż póki wół nie wstrząśnie się; lecz jeśli bydlę pomimo ciągłego nalewania wody na grzbiet nie wstrząsa się, wówczas przyprowadzają na ofiarę innego wołu, ba rana lub cielę, a piérwsze pozostawiają przy życiu. Drób' bez żadnych wstępnych obrzędów zabijają. Zabite ofiary wnet gotują pod odkrytém niebem, i tuż na miejscu zjadają. Przytém wiedzieć trzeba, że każdy chcący uczestniczyć w tych obrzędach Czuwaszyn, powinien poprzednio wymyć się w cieplicy lub łaźni parowéj, (które u Czuwaszów acz liche się znajdują), i naczczo iść do keremetia.

Czuwaszy chrześcianie, chociaż nie są gorliwi w pełnieniu obrządków teraźniejszéj swéj religii, niektórzy jednak umieją Modlitwę Pańską, która tak się zaczyna: Adij pirin, piultsam-sincze boriza turaggan! i t. d. tojest: Ojcze nasz, który na niebiosach stoisz, żyjesz i t. d.

Codzienna zaś ich modlitwa jest następująca:

„Tora sirłach!	Boże zmiłuj się!
Tora anbrach!	Boże nie opuszczaj!
Siułdi Tora!	Najwyższy Boże!
Sirłach sirdi Padsza,	Zbaw monarchę ziemskiego,
Ywołdan, chirdan!	Synów, córki!
Tyreran, pyłran,	Chleba, miodu,
Tora badyr!	Boże daj!
Ismiaszkan, simiaszkan,	Pić, jeść,
Sywłychne Tora, badyr!	Zdrowia, Boże daj!
Wylichran, czirlichran	Bydłem zdrowém
Tołyjach karda;	Napełnij dwory;
Utba karda,	Koni pełną stajnię,
Iniaba karda,	Krów pełną oborę,
Sorychba karda,	Owiec pełną owczarnię,
Tora badyr!	Boże daj!

Karadan kił szałdan
Wyśsia kilaggana jaras,
Tora, badyr tuduch!
Szajtajdan sirłach,
Chuza jader Tora!"

Pielgrzyma zdaleka przychodzącego
I podróżą znużonego w dom przyjąć,
Boże, zawsze daj!
Zbaw nas od czarta,
Wypędziwszy go, o Boże!

Czuwasze niewiele mają świąt uroczystych narodowych. W miesiącu czerwcu obchodzą Sinza, uroczystość pogańską w celu uproszenia urodzaju; w czasie któréj przynoszą keremetiowi wyżéj opisaną ofiarę i popiół ze spalonych kości ofiary rozsiewają po polach. Swięta niedzielnego tak chrzczeni jak i niechrzczeni Czuwasze nie zachowują. U nich piątek dniem świątecznym, który już we czwartek od południa zaczyna się i trwa do poranku soboty. Przez ten przeciąg czasu Czuwaszyn, chociażby najpilniejszą miał robotę i niezżęte na polu kłosy już śniegiem przyprószone były, (czego byłem świadkiem w początku jesieni 1842 r.), za nic nie weźmie się do pracy. Dlatego w piątki ustanowione są po wsiach czuwaskich targi, na które okoliczni mieszkańcy licznie się zbierają, i oprócz zamiany wiejskich produktów na rozmaite domowe potrzeby, radzą o opłacie podatków, o wypełnieniu jakiegokolwiek nowego przepisu miejscowéj władzy, lub o zaniesieniu skargi na jakiegobądź urzędnika. Oprócz Sinza i piątków, chrzczeni Czuwasze obchodzą: Wielkanoc, Bożę Narodzenie, Zielone Swiątki, dzień św. Mikołaja i patrona swéj parafii, lecz z wielką różnicą i nie z taką czcią, jak Rossyanie.

Obrzezania u niechrzczonych Czuwaszów nie ma. W ostatniéj chwili położnicy, wzywają swego jomzę czyli mułłę wraz z akuszerką, i gdy dziécię się urodzi, mułła obmywa je w nieckach ciepłą wodą, i nadawszy mu imię, oddaje akuszerce, od któréj druga kobieta, za chrzestną matkę czyli kumę przybrana, przyjmuje dziécię, wkłada nań koszulkę i oddaje je matce, darząc ją pieniędzmi.

Imiona Czuwasze przyjęli po większéj części od Tatarów, a niektóre od Słowian, jakoto: męzkie: Achmet, Aniej, Dobrys, Dieducha, Choras, Chazandaj, Ebli, Gawdinga, Ilendiéj, Iliuk (1), Imiuszka, Jarucha, Jamuk, Igimeń, Igimułła, Janodar, Jagiper, Jemar, Jeptisz, Jameń, Jarosław, Ilumurza, Jertaus, Kormi, Majuk, Nejder, Obchan, Obrywan, Ochliwan, Oliał, Ochtijar, Oto-

(1) *Iliuk* pochodzi od Илья, Eliasz.

man, Pisnułła, Płot i t. d.; żeńskie: Albacza, Arniasłu, Adzerbi, Czeczeń, Gullejka, Illekka, Ilgiabi, Irgiasłu, Kulnewer, Kułbeka, Kasko, Okka, Pinias, Pinnazer, Similba, Siaszma i t. d.

Gody małżeńskie odbywają się wesoło, z muzyką, pieniem i skakaniem, przy pijatyce wódki i zbyt gorzkiego domowéj fabryki piwa.

Dwużeństwo czyli bigamia, chociaż według zasad czuwaskiéj religii jest dozwoloném, jednak w gubernii kazańskiéj nie ma przykładu.

Według ich przekonania, każdy człowiek wiecznie żyje, i śmierć doczesna nie przerywa ani zmienia jego losu; tojest, kto opływa w bogactwa na tym świecie, temu i po śmierci na niczém nie zbraknie, a czém się za życia trudnił, tém samém i po śmierci zajmować się będzie. Dlatego Czuwasze kładą do trumny umarłemu pieniądze, ulubioną za życia fajkę, tabakierkę z tabaką, nóż, rozmaite narzędzia rzemieślnicze, wołynkę i t. d. Kobietom zaś i dziewczętom kładą płótno, jedwab', igły, kądziel i t. d.

Dziady po umarłych obchodzą z wielką uroczystością cztery razy w rok: na wiosnę, latem, w jesieni i zimą. Na ten cel przywożą na cmentarz wódkę, piwo, i rozmaite jadła, których połowę oddzielają dla zmarłych, kładąc im i wylewając napoje na mogiły, resztę zaś sami na miejscu zużywają przy dźwiękach muzyki i skokach.

Czuwasze rzadko pomiędzy sobą biją się i kłócą; zwady ich godzi pisarz włości (1). Jeśli zajdzie pomiędzy niemi kłótnia, to obie strony jadą do urzędu wójta gminy na skargę, i po drodze w karczmie się godzą. Jednak niejednokrotnie zdarzało się, że w wielkim zapędzie gniewu Czuwaszyn pogroził swemu sąsiadowi, lub całéj sąsiedniéj wsi: postoj, zdiełam tebie biedu, i dotrzymując swego słowa, na dziedzińcu wroga powiesił się.

Ulubione ich potrawy są następujące: oreń, kwaśne mleko z wodą; bołdran, barszcz z rozmaitych liści warzywnych, zakraszony mlékiem i masłem; jaszkał, rozmaite placki, i jaszka, najpospolitsza zupa z kaszy, mléka, kapusty i cébuli. Mięsa mało używają.

(1) Zpomiędzy Czuwaszów zbyt mała liczba umié czytać i pisać, ztąd wynika, że *głowy włości* czyli wójci gmin zdają zupełnie zarząd na swych pisarzy, którzy przeznaczają się z Rossyan.

Znacznego gościa, jak np. urzędnika, traktują chlebem z praśnym miodem, oraz zbyt gorzkiém domowém piwem.

Napój mocny przenoszą nad wszelkie najsmaczniejsze jadło; za wódkę gotowi najnieznośniejsze przykrości znosić i największą ofiarę z siebie zrobić. Piwo domowe im więcéj ma w sobie chmielu i goryczy, tém lepiéj im smakuje. Z powodu téj skłonności do mocnych napojów, oraz od kurnych i dymnych izb, wielka liczba Czuwaszów na oczy cierpi.

Ogrodnictwo, pszczolnictwo i uprawa chmielu stanowią ulubiony przedmiot zatrudnień Czuwaszów.

Muzyka jest im oddawna znana; za dowód tego służyć mogą nazwiska instrumentów w właściwym ich języku, a mianowicie: szypra, wołynka, szychłycz, fujarka czyli dudka z klonowego drzewa, kobza i najwięcéj używana gęśl.

Tańce ich zbyt proste, nakształt kozaka ruskiego, zwykle odbywają się przy poklaskiwaniu w dłonie jednéj z grona bawiących się osób.

Język czuwaski składa się z wyrazów fińsko-czuwaskich, tatarskich i bardzo małéj liczby słowiańsko-rossyjskich. Pierwiastkowych słów czuwaskich czyli zrzódłosłowów nie więcéj nad 1000. Czuwasze własnych liter nie mają; Finnowie zaś używają w swéj literaturze litery łacińskie; lecz w krainie czuwaskiéj, mianowicie w Czeboksarach i Kazaniu, gdzie się wykłada ten język dla młodzieży duchownéj, na proboszczów sposobiącéj się, używane są ruskie litery, któremi wydane zostały dziewięć dzieł i broszurek w tym języku.

Najulubieńszy śpiew Czuwaszów jest następujący:

„Ajda inge wurmana
Chora sirła pustiarnia,
Chora sirła pył begech,
Eza inge czon begech."

To znaczy:

Pójdziem synowo do lasu
Maliny zbierać,
Malina słodka jak miód,
Nie masz piękniejszéj nad ciebie, synowo.

Ulubiona jest także piosnka weselna, którą w dosłowném tłumaczeniu tu przytaczam:

„Gniadoszu, gniadoszu, koniu gniady!
Zmordowałeś się od skoków na gody;

Gniadoszu, gniadoszu, gniadoszeczku!
Mówim, nieświadomi miejskich grzeczności:
Ach, narzeczona! zaiste tyś pięknie ubrana,
Myśmy za tobą pędzili, jak na tysiącu saniach.
Bijcie, klaskajcie w dłonie i podskakujcie!
Weselcie się, weselcie się i śmiejcie się!
Ojcowski koń, siwy koń,
Jakby zmordowany na lodzie stanął.
Ojcowski koń, kary koń
Jakby w błocie uwiązł;
Ojcowski koń, kasztanek,
Na którym zięć jechał, poderwał się.
Chmiel leśny, jak jabłka,
Objąwszy mię wpół, zgiął;
Sadowy chmiel, jak sałma (1),
Który biorąc za sałmę, jadłam,
Lecz on ująwszy się moich jasnych włosów,
Przychylił mię do ziemi.

* * *

Pijany nie ma rozumu.
Umarły nie ma duszy.
Zgasłe łuczywo nie świeci.
W ciemném miejscu nic nie widać;
Na odkrytém miejscu bardzo jasno.
Poduszki i piernat miększe od puchu,
Lecz spanie na nich nie sprawia rozkoszy.
Jak przy płomieniu
Nie można się ogrzać.
Jesień i wiosna, wszystko razem.
Wyszedłem, pobiegłem,
W łaźni piec rozbiłem;
Ojciec to usłyszał
I kijem wiązowym mię obił
Zaśpiewałem: zostań piosneczko moja we wsi,
A ręce niech zostaną przy dziewczynie."

Dla dokładniejszego wyobrażenia o brzmieniu i harmonii czuwaskiego języka, przytoczę tu szereg wyrazów czuwaskich:

Bóg, *Tora.*
Szatan, *szajtan.*
Ojciec, *ate.*
Matka, *amoże, apaj.*
Syn, *ywoł.*
Córka, dziewczyna, *chir.*
Brat, *pidziej.*
Siostra, *agaj.*
Najmłodsza siostra, *jemox.*
Pan, *otbut.*
Człowiek, *sin.*
Rossyanin, *wyrys.*
Gospodarz, *choziá.*
Gospodyni, żona, *arum.*
Pisarz, *tiek.*
Woźnica, *ławzie.*
Przyjaciel, *dos.*
Złodziéj, *wuru.*
Koń, *łażà.*
Wół, *muggyr.*
Krowa, *inie.*
Owca, *sóroch.*
Pies, *jida, ánczyk.*
Świnia, *sysná.*
Gęś, *chor.*
Indyczka, *kurká.*
Kaczka, *kawagát.*
Kura, *czyhá.*
Chléb, *siukùr.*
Piwo, *śra.*

(1) *Sałma*, zupa z mąki pszennéj nakształt *zacierki*; zwyczajna potrawa Tatarów i zamożnych Czuwaszów.

Masło, *siu*
Woda, *szywa, szu.*
Ogień, *wod.*
Wódka, *erégie.*
Jaje, *simardá.*
Jajecznica, *simardá chabardas.*
Drwa, *woda.*
Pieniądze, *oksi.*
Jagody, *sirli.*
Kapusta, *kopusta.*
Mleko, *syt'.*
Porzeczki, *chołhan.*
Dąb, *juman.*
Wiąz *chorama.*
Osieć, *awyn.*
Książka, *knigge.*
Trzewik, *paszmak.*
Przysięga, *prisok*
Wiorsta, *sechrom.*
Sioło, *sała.*
Wieś, *jał.*
Kościół, *czerggiu.*
Dzwon, *czan.*
Las, *wurman.*
Daj, *bar.*
Weź, *il.*
Mów, *kałá.*
Kłaniaj się, *sałam-kała.*
Przynieś, *izekil.*
Zawołaj, *czin-izekil.*
Wypędź, *chużegłar.*
Siądź, *łar.*
Chodź tu, *kil kunda.*
Pójdź precz, *toch.*
Syp, *jar.*
Zaprzęgaj, *kiul.*
Kocham, *joradatyp.*
Zdrów jestem, *sywa.*
Jak się masz? *łaich burnatny.*
Bądź zdrów, adieu, *suboł.*
Dobrze, *łaich, jorat'.*
Bardzo dobrze. *łaich-rach.*
Nieźle, *siapłà.*
Dosyć, *sidiet'.*
Prędzéj, *czaztrach.*

Rok u Czuwaszów zaczyna się w listopadzie i dzieli się na 13 miesięcy:

1. Jobaoich (miesiąc posłuszeństwa) listopad.
2. Czuk oich (m. ofiary) grudzień.
3. Muń-kyrłacz-oich (m. wielki kręty) część grudnia i stycznia (1).
4. Kiziń-kirłacz-oich (mniéj kręty m.) część stycznia i lutego.
5. Nors-oich (miesiąc odwilży) luty i część marca.
6. Poży-oich (m. próżny) marzec.
7. Aga-oich (m. roli) kwiecień i część maja.
8. Siul-oich (m. letni) maj i część czerwca.
9. Chyr-oich (m. godów małżeńskich) czerwiec i część lipca.
10. Uda-oich (m. sianokosu) lipiec.
11. Siorli-oich (m. sierpa) sierpień.
12. Bidan-oich (m. lnu) wrzesień.
13. Awyn-oich (m. młocki) październik.

Tydzień czuwaski, tak jak i powszechny, zawiéra w sobie dni 7, a mianowicie:

1. *Arnia-kon* (dzień niedzielny) piątek.
2. *Szumat-kon*, sobota.
3. *Werys-arne-kon*, niedziela Rossyan.
4. *Tundy-kon*, poniedziałek.
5. *Utłari-kon* (dzień zbywający) wtorek.
6. *Jon-kon* (dzień krwi) środa.
7. *Kizin-arne-kon* (młodszy ostatni dzień) czwartek.

Matematyka u Czuwaszów pozostaje na nizkim stopniu. Liczą zaś tak: 1 pyr, 2 ikkie, 3 wisi, 4 twatte, 5

(1) Ponieważ to porównanie uczyniono z kalendarzem dawnym Juliańskim, zatém ten trzeci miesiąc czuwaski, według nowego kalendarza odpowiada naszemu styczniowi. Toż samo rozumieć należy o innych następnych miesiącach.

billik, 6 ołte, 7 sicze, 8 sakar, 9 tuchur, 10 won, 20 sirem i t. d.

W ogólności zwyczaje i obrzędy religijne tego narodu, którego obszerniejsze opisanie przechodziłoby granice tego pisma, przypominając nam pogańskie zwyczaje Słowian i Litwinów, naprowadzają na wniosek, że Czuwasze pochodzą od Finnów, Scytów, Sarmatów i innych słowiańskich protoplastów.

II.

Czeremisi.

Czeremisy, fińskie plemię, w starożytności mieszkali razem z Tatarami w hańśtwie kazańskiém, i pomagali im w wojnach, lecz w późniejszym czasie przez Tatarów, Mordwę i Wotiaków gnębieni, prawie wszyscy osiedlili się w głuchych puszczach ponad rzeką Wołgą, zaczynając od gubernii niżegorodzkiéj aż do stepów saratowskich. Ci, którzy pozostali na prawym zachodnim brzegu Wołgi, nazywają się Czeremisami górnemi; mieszkający zaś na wschodnim lewym brzegu, obfitym w niziny i łąki, przybrali nazwisko łąkowych. W gubernii kazańskiéj piérwsi mieszkają w powiecie kozmodemiańskim; ostatni zaś w powiatach: carewokokszajskim, czeboksarskim i kazańskim.

Czeremisi są wzrostu średniego, bruneci, twarzy pociągławéj, któréj kształtne rysy, oraz proporcyonalny nos i broda, bardziéj niż Czuwaszów zbliżają do innych europejskich narodów, tak, iż na piérwszy rzut oka wielkie mają podobieństwo do Włochów.

Odzienie Czeremisów mało się różni od czuwaskiego: siermięga z bielszego sukna, któréj kołnierz pospolicie czarną tasiemką oblamowany; na głowie latem kapelusz, a zimą podobna do czuwaskiéj plisowa czarnego koloru czapka, na nogach czarne wełniane lub z płótna onucze i łapcie: stanowią oprócz zwyczajnéj bielizny, prawie cały ubiór męzki.

Kobiety czeremiskie ładniejsze są od Czuwaszek, ubierają się jednakowo z tamtemi, oprócz ubioru głowy, którym się różnią. Koszulę noszą haftowaną, krótką, po-

wyżéj kolan, którą przepasują wązką taśmą zbyt nizko. Z tyłu na przepasce, podobnie jak u Czuwaszek, wisi płaski lecz szeroki kutas, z rurek mosiężnych na sznurki naciąganych zrobiony, który przez stąpanie czarnookiéj sprawiając brzęk do ostróg żołnierskich podobny, według pojęcia azyatyckiego podwyższa jéj wdzięki. Szyję przyozdabiają rzędem białych drobnych konch zwanych wężowemi główkami; na głowę wkładają szarpan czyli ręcznik, na brzegach drobno haftowany, którym połowę tylko głowy od tyłu pokrywają, z wierzchu przypinają naszmak czyli szeroką taśmę zupełnie zahaftowaną. Zamiast zausznic, wieszają na uszach, kilkakrotnie wkoło zwinięty drut, do ¾ łokcia długi, do którego przyczepiają nakształt gwiazdki, kawałek gęsiego, zajęczego lub wiewiórczego puchu. Obuwie kobiét zgoła się nie różni od obuwia mężczyzn, tylko że piérwsze daleko grubiéj swe nogi obwijają.

Domy i wsie czeremiskie zbudowane są bez symetryi i porządku: wewnątrz nieochędóstwo je cechuje. Każda wieś dzieli się na kilka tak zwanych okolic czyli porozrzucanych tu i owdzie w głębi lasu osad, tak, że wioska zawierająca w sobie około 300 głów obojéj płci lub mniéj, rozciąga się na milę kwadratową.

W gubernii kazańskiéj Czeremiszów chrześcian liczą 66,650, i pogan 10,020.

Czeremisin, mieszkaniec lasu, wyziewami jego oddycha, wonią drzew napawa się, drzewem czyli raczéj handlem onego swój byt podtrzymuje i z gruntu leśnego pokarm sobie zdobywa: ten więc przedmiot, któremu według swego pojęcia winien życie, uznaje za swe bóstwo i jemu się kłania. Otaczający go las, bez wyboru gatunku drzew, jest świątynią bóstwa jego.

Takim sposobem świątyniami czeremiskiemi bywają gaje lub kępy sosnowe, świerkowe, jodłowe, dębowe, lipowe i brzozowe; bo te gatunki drzew w największéj ilości po lewym brzegu Wołgi rosną. Świątynia taka nazywa się czedra jumnota, tojest las boski.

U Czeremisów, podobnie jak u innych pogan, ilość bóstw odpowiada głównym potrzebom człowieka i zjawiskom przyrody.

Bóg czeremiski zowie się juma, któremu przypisując władzę nad jakimbądź przedmiotem, wyobrażają go

jako jedynego opiekuna. I tak hierarchią niebieską stanowi szereg następujących bóstw: juman-juma, bóg bogów; juma kydyrcza, b. piorunów; juma bołgancza, b. błyskawic; tiuna juma, b. światła; mordeż juma, b. wiatrów; kecza juma, b. słońca; telcza juma, b. księżyca; szudiur juma, b. gwiazd; miuksz juma, b. pszczół; wiud juma, b. wody; mołanda aba, matka ziemi; juman piambar, prorok boży; juman sakcza, anioł boży; kaba juma, piérwszy święty boski.

Każdy z tych bogów ma w leśnéj świątyni poświęcone sobie drzewo: starszym i ważniejszym bogom pospolicie poświęcają użyteczniejsze drzewa, jakoto: dąb, sosnę, innym zaś drugie gatunki. Drzew tych świętych ścinać nikomu niewolno: pomimo tego jednak handlarze niekiedy potajemnie dopuszczają się tego świętokradztwa.

Ponieważ każdy Czeremisin, według swéj religijnéj ustawy, modlić się winien obrócony ku południowi; więc dla oznaczenia południa, na świętych drzewach zwanych anapu, zawieszają o pięć łokci od ziemi iszta, tojest: pęczek świerkowych, lipowych, porzeczkowych, kalinowych i innych gałązek z jagodami, pomiędzy któremi umocowany bywa cynowy krążek, do starego rubla podobny, który się zowie bułna. Ta iszta corocznie się odmienia na inną, a przy odlewie cynowéj bułny, Czeremisi zwracają baczną uwagę na odlaną figurę, która jeśli wyobraża głowę lub coś podobnego, to jumie taka iszta jest miłą; lecz jeśli się odleje ogon, to iszta nieprzyjemną będzie, i w takim razie przetapia się i na nowo odlewa, aż nim żądany kształt nabierze.

Do wszystkich tych dobrych bogów sami tylko mężczyzni modlą się raz w rok, a mianowicie dnia 9 lipca w uroczystość wypędzenia szatana, zwaną surem lub szurem; przy obchodzie któréj byłem naocznym świadkiem, i dlatego nie od rzeczy będzie tu ją opisać.

Dzień 9 lipca 1843 roku we wsi rządowéj Ismieniec-Bielek (1) w powiecie czeboksarskim był pogodnym i pięknym. Do południa tego dnia, jak

(1) Czeremisi miast swych nie posiadają: *Kazmodemiańsk* i *Carewokokszajsk*, dwa miasta w kraju są rossyjskie. Za stolicę ich uważać można wieś *Ismieniec-Bielak*, *po* czeremisku *Jembłak*.

i w przeddzień cały, głucha cisza panowała we wsi, przerywana niekiedy to szumem wiatru pomiędzy sąsiednie drzewa przelatującego, to lotem kawek i wron około jeziorka z krakaniem żerujących, to wreszcie świergotaniem drobnych ptasząt. Wieś cała zdawała się być wyludnioną, bo prawie wszyscy Czeremisi poszli do lasu na modlitwę, pozostawiwszy w domu same kobiety, które czas nudny i długi we śnie i w samotności przepędzały. Lecz zato w świątyni kilkaset świeczek na gałązkach drzew jakby gwiazdy zdala jaśniały, a pobożni zabiwszy kilka owiec, i po rozebraniu na cząstki, włożywszy je do kotła, zawieszonego nad roznieconym w pobliskiéj jamie ogniem, za tiulegardem czyli swym kapłanem głośno wtórzyli w swym rodowitym języku następującą modlitwę:

„Kto przyniósł Bogu ofiarę, temu daj Boże zbawienie, litość i zdrowie.

„Nowonarodzonym dzieciom zsyłaj szczęście w pieniądzach, zbożu, pszczołach i chowie bydła.

„Oby pszczoły w roku przyszłym roje puściły, a gdy się obroją, wówczas daj obfitość miodu.

„Daj szczęście w polowaniu na ptastwa i zwierzynę.

„Obdarz nas srebrem i złotem i szczęść nam w onych.

„Daj Boże, aby się udało wziąć potrójną wartość za sprzedający się towar.

„Dozwól nam, abyśmy otrzymali wszystkie skarby, jakie się znajdują w ziemi i na całym świecie.

„Dopomóż Boże podatki cesarskie opłacić.

„Gdy przyjdzie bóg wiosny, dopomóż nam bydło trzech gatunków (1) wypuścić na trzy drogi, i uchowaj je od niedźwiedzi, wilków i złodziejów.

„Aby z tego bydła jałowice ocieliły się!

„Chude zaś aby dziecinném szczęściem potłuściały!

„Ześlij Boże nam dobroczynnego człeka lub przyjaciela, żebyśmy mogli mu jedną ręką jałowicę sprzedać, drugą zaś ręką pieniądze od niego wziąć.

(1) Bydło trzech gatunków, tojest: krowy, owce i trzodę chlewną, Czeremisi nigdy nie pasą, i gdy z początkiem wiosny do lasu wypuszczą, to aż ku jesieni dopiéro do domu przypędzają: chyba gdy nadzwyczajna potrzeba znagla jednę lub kilka sztuk do domu przypędzić.

„W dalekiéj podróży uchowaj nas od złych ludzi, od choroby, od głupich ludzi, od złego sędziego, od swarliwego człeka i od złośliwego języka.

„Jak chmiel jest puszysty i pulchny, tak mi udziel rozumu i szczęścia.

„Jak świéca jasno się pali, tak uprzyjemnij mi życie i nagródź mię zdrowiem.

„Jak wosk gładko osiada; tak obdarz mię szczęściem stałego życia.

„Przysporz mi wszystkiego, abym mógł zadosyć uczynić proszącemu".

Po skończonéj modlitwie nastąpiła krótka uczta barania, po któréj, gdy już słońce miało się ku zachodowi, naokoło przylegającego do wsi pola, które ugorem stało, wielka powstała wrzawa. Niepostrzeżenie, prawie w jednéj chwili, zebrało się do 1000 Czeremisów. Prawie wszyscy, tak mężczyźni jak kobiety, przybyli konno, oprócz małéj liczby biédnych, którzy nie mając koni, pieszo zdążali na pole, aby mieć udział w uroczystości i pełnieniu religijnych obrzędów. Wszyscy, nie wyłączając i dzieci, których także niemała liczba zebrała się, mieli w ręku i zanadrzem gomułki z séra i pszennéj lub owsianéj mąki, zwane ujaca, które chciwie zajadali i innych niemi częstowali. Oprócz konnych i pieszych, jednocześnie kilkanaście osób, mianowicie wiekiem podeszłych przybyło w teleżkach, w których zarazem przywieźli potrzebne do téj uroczystości gotowane jaja. Serdeczne przywitania zamieniały się, gomułki idąc z rąk do rąk w głodnych żołądkach prawie bez żucia tonęły, śmiech i wrzawa powiększały się, powszechna wesołość na wszystkich twarzach malowała się. Rzekłbyś na piérwsze wejrzenie: oto szczęśliwi!.... Tak, nie szukaj szczęścia w pałacach, nie szukaj między narodem oświeconym; nie, z rozumem i oświatą szczęście nie przebywa: lecz pójdź do ludu ciemnego, tam znajdziesz szczęście....

Chwila upłynęła, wrzawa ucichła, i z tłumu zebranego ludu wystąpiło na pole trzech jeźdźców, którzy obrawszy metę puścili się w szranki dość szybko i jak Pegazy lecieli w cwał do końca pola, około 300 sążni od mety odległego, zkąd, nie zatrzymując się ani na chwilkę, w tumanie kurzawy z krzykiem i piskiem,

co tylko tchu koniom wystarczało, powracali do piérwszéj mety, strzegąc się oglądania za sobą, gdyż to byłoby godłem wielkiego nieszczęścia dla całéj familii na cały rok. Podobnie jak ci, inni odbywali takież wyścigi, w których przyjmowały udział wyćwiczone w konnéj jeździe dziewice-amazonki. Chociaż Czeremisi nigdy nie widzieli europejskich wyścigów konnych, które zwykle przy brzmieniu muzyki odbywają się, jednak i w czasie tych wyścigów kilku trubadorów, na lipowych 2 łokciowych dudkach czyli fujarkach brzozową korą obwiniętych, dzikie melodye przygrywało. Po tych turniejach, które około 3ch godzin trwały, o zmierzchu cała czereda rozsypała się do swych mieszkań, gdzie rozpoczęła się ulubiona przez nich w radości i smutku pijatyka, zwana popojką.

Czeremisin mający zamiar dać u siebie popojkę czyli wieczorynkę, zaprasza na przeznaczony dzień do swego domu przyjaciół i życzliwych sąsiadów, którzy chętnie zbierają się, przynosząc z sobą, każdy ze swego domu piwo, wódkę i przekąski, któremi raczą się wzajemnie, gospodarz gości, a ci gospodarza. Taki piknik niedrogo kosztuje gospodarza, tak, iż najbiédniejszy bez przeciążenia może mieć u siebie około 50 osób.

Po takiéj popojce w kilku domach wsi Ismieniec-Bielak, przy dźwiękach opisanéj fujarki i pląsach odbytéj, kiedy noc swą zasłonę na cały widnokrąg rozpostarła i księżyc z za obłoków wyjrzał, nastąpił obrząd wypędzenia szatana. Słowianie twierdzili, że upior i djabeł lękają się osinowego koła; Czeremisi zaś twierdzą, że się najwięcéj obawia lipy, i dlatego mężczyzni pobrawszy przysposobione na ten cel lipowe kije, wyszli na dziedziniec i tam uderzając o wszystkie budowle, wypędzali szatana z mieszkań i zabudowań gospodarskich: następnie, gdy już byli pewnemi, że djabełek, czyli jak go zowią szajtan uciekł do lasu; tłum zebrawszy pozostałe od uczty gomułki i jaja, ruszył ku temu polu, na którém religijne wyścigi odbywały się, i tam usadowiwszy się w przyległym wąwozie, ciskali z pewnéj odległości do drzew święcone jadło, i skoro od sześciokrotnych pocisków echo od drzewa zapewniło pobożnych, że już szajtan nasycił się i tak przyległe pola jak i lasy opuścił: wówczas Czeremisi pełni dobrych nadziei, w radości

powracali do swych domów, gdzie kończyli surem oddając się powtórnéj popojce.

Gdym się zapytał jednego ze starców, na jaki cel tę uroczystość obchodzą? odpowiedział mi, że corocznie na ugorach muszą surem obchodzić, bo inaczéj nie byłoby urodzaju w polu, ani dostatku w domu.

Oprócz opisanéj uroczystości, Czeremisi obchodzą jeszcze inne, jakoto: w kwietniu kon-kecza w celu ubłagania o dobry chów bydła; w Wielki Czwartek przed Wielkanocą sorta-kecza, piérwsze dziady po umarłych; aga-pariam, wiosenne święto roli; siemik (1) we czwartek przed Zielonemi Świątkami, drugie dziady po umarłych; w jesieni dziękczynienie za zbiór płonów rolnych, po którém kolejno u wszystkich gospodarzy bywają popojki zwane parausz, które aż do zimy trwają; szoronjeł, noga owcy, trzecie święto o urodzaj, które obchodzi się w czasie świąt Bożego Narodzenia, i nakoniec zapusty, jednocześnie z Rossyanami, lecz tylko do wtorku włącznie, po których jednak nigdy postu nie zachowują.

Z opisanéj uroczystości surem, mamy przekonanie, że Czeremisi uznają szajtana czyli złego ducha, którego, podobnie jak i Czuwasze, zowią keremiet, i podobne jak tamci mają o nim wyobrażenie, że dla przebłagania gniewu wymaga krwawéj ofiary.

Gdy kto z familii zachoruje, Czeremisin chcąc przebłagać keremieta, z rady swego kapłana zwanego tiulegard lub mużan, kupuje bez targu na rynku młode, pospolicie jednoroczne lub półroczne źrebię, które prowadzi do lasu i tam na długim powrozie przywiązuje do jednego ze świętych drzew. Zbiera się wnet do świątyni cała familia chorego i z nożem w ręku otacza w pewnéj odległości ofiarę. Wtedy najstarszy rozpędza się i zadaje silny cios nożem; to samo inni po kolei czynią, aż póki ofiara nie padnie: wówczas szyndują, smażą i jedzą pieczeń popijając piwem domowém. Choremu zaś pozostawiają do spożycia tę część źrebięcia, która najwięcéj odpowiada schorzałéj części jego ciała, tojest

(1) *Siemik* przyjęty od Rossyan семикь, od wyrazu семь *siedm*, to samo co u Litwinów *siekminie*, siódmy tydzień po Wielkiejnocy, tojest około Zielonych Świątek.

komu najwięcéj ból w ręku dolega, to otrzymuje na lekarstwo przednią nogę źrebięcia i t. p. Jeśli zaś całéj wsi grozi jakie niebezpieczeństwo, jak np. gdy na polu czeremiskiém znaleziony będzie trup lub odkryje się ślad skradzionych koni (które właśnie stanowią ważną gałąź ich przemysłu), lub gdy okaże się zaraza na bydło: wówczas Czeremisi przynoszą keremetiowi na ofiarę konia lub krowę. Po przywiązaniu do drzewa bydlęcia, już go nie kolą, lecz rozniecają naokoło wielki ogień i wykrzykując: haj! haj! haj! pędzą ofiarę z płomienia na płomień, dopóki pozbawione tchu nie upadnie; wtedy wyjęte serce i wątrobę palą na popiół, i tym zarażone bydło posypują, resztę zaś ofiarnego mięsa sami zjadają.

Gdy się im dziécię urodzi, przywołują tiulegarda, który wziąwszy na ręce niemowlę, odmawia cichą modlitwę, po któréj wstrząsa je umyślnie, aby zapłakało. Następnie, aby utulić płacz, kołysze je wymieniając rozmaite imiona: przy którém imieniu dziécię płakać przestanie, to imię mu dają.

Chrzczeni Czeremisi, podobnie jak i Czuwasze, mają dwa imiona: jedno chrześciańskie na chrzcie św. otrzymane, drugie zaś pogańskie narodowe, i to ostatnie tylko pomiędzy sobą używają; do chrześciańskiego zaś imienia tak mało wagi przywiązują, że niejednokrotnie z urzędu zapytany Czeremisin nie wié o swém imieniu, lecz zapytuje krewnych lub sąsiadów swoich, jak go po rusku zowią?

Sian-marej czyli gody małżeńskie Czeremisi wesoło odbywają. Jak u Rossyan przed ślubem bywa na kilka tygodni, lub na rok wprzód między ojcami narzeczonego i narzeczonéj zmowa zwana сговоръ, tak i Czeremisi w obec świadków umawiają się o zaślubieniu swych dzieci i dla pewności darzą się wzajemnie rożkiem z tabaką; co właśnie upoważnia ich do nazywania się swatem. Zaręczyny zaś czyli rzeczywisty ślub odbywa się po otrzymaniu od narzeczonego podarunków, których jeśli ten nie jest w możności dania, lecz oboje czują wzajemną ku sobie miłość: wtedy pomimo oporu rodziców córka ucieka do domu swego kochanka, i tam spełniają się ich zobopolne życzenia. Jeśli zaś

związek zawierają z woli rodziców, wówczas na zaręczynach narzeczona smaruje masłem kilka skib chleba i kładzie je na stół. Kicza czyli narzeczony bierze jednę z tych skib i podaje narzeczonéj; ta zaś ukąsiwszy trochę, oddaje ją ojcu, i tak następnie wszystkich krewnych i swatów ten przysmak obchodzi, aż wreszcie powraca do rąk narzeczonego, który go dojadą.

W dzień ślubu swaci i zaproszeni goście zbierają się do domu narzeczonego, zkąd orszak godowy w kilkunastu kibitkach, przy dźwiękach muzyki narodowéj, z znacznym zapasem żywności udaje się do domu rodziców narzeczonéj, gdzie panna-młoda przyjmuje wszystkich gości piwem. Podawszy każdemu z biesiadników pełny czerpak, narzeczona obraca się tyłem i zakrywa sobie oczy; tymczasem gość wypija piwo i położywszy do czerpaka pieniądz, oddaje go pannie-młodéj. Następnie wszyscy udają się, latem do świrna czyli spichrza, zimową zaś porą do drugiéj izby, gdzie przygotowany dla nich ogromny stół, zastawiony mnóstwem drewnianych misek, napełnionych sałmą i kaszą, oraz watruszkami i (1), plackami, a także brzozowemi kozubkami czyli szklankami z piwem. Narzeczeni zajmują piérwsze miejsce u stołu, wszyscy zaś inni siadają bez wyboru, gdzie się komu podoba. Zaczyna się biesiada, w czasie któréj muzyka złożona ze skrzypców, wołynki i bębna przygrywa wiejskie narodowe tańce. Dla lepszéj harmonii i większego wrażenia, wtórzy jéj dziki krzyk kilkunastu parobczaków z tupaniem nóg i klaskaniem w dłonie, co wszystko powiększa wesołość biesiadników i mimowolnie nogi ich drgać zaczynają. Idą więc w pląsy; walcują tak zgrabnie, jak kosmata marucha (2) nie potrafiłaby lepiéj, i dla podkrzepienia sił wypróżniają naprzód wszystkie stojące na stole szklanki piwa, następnie z piwnicy gospodarza zapasowe beczki i wiadra, a nakoniec z kabaku czyli karczmy sztofy, półsztofy i kosuszki (3).

Gdy się już porządnie uraczą i do syta zabawią, wszyscy wychodzą na dziedziniec, gdzie także stoi nakryty stół, a na nim bochenek chleba, sól, piwo, a niekie-

(1) *Watruszka*, ruski placek z twarogiem i jajami.
(2) Niedźwiedź.
(3) *Sztofy*, *półsztofy* i *kosuszki*, flaszki rozmaitéj miary, w których w Rossyi wódkę sprzedają.

dy domowy miód pitny, oraz dwie zapalone świece. Naten raz przy obrzędzie ślubnym, dziedzieniec staje się świątynią, a wzmiankowany stół ołtarzem; przed który, gdy narzeczeni za przewodnictwem swego tiulegarda wiodącego ich za ręce, staną: kapłan odmawia ślubną modlitwę, prosząc jumę o szczęście, miłość i pokój małżeński. W czasie téj modlitwy tak narzeczeni, jak i wszyscy świadkowie ziemne pokłony Bogu oddają. Po skończonéj modlitwie panna-młoda, która miała dotąd głowę odkrytą, oddala się do blizkiego namiotu umyślnie na ten cel urządzonego i tam ubrawszy swą głowę w szarpan i naszmak, powraca przed obrzędny stół, i wobec wszystkich zebranych, za pozwoleniem kapłana, całuje pana-młodego; co właśnie jest dowodem, że ślub małżeński, zwany piurasz-wata już się odbył. Potém państwo młodzi traktują gości święconém piwem; pan-młody robi honory płci pięknéj, pani zaś młoda mężczyznom, przed każdym przyklękając, za co ci, po wychyleniu podanego naczynia, kładą weń pieniądze.

Opisany ślub nietylko u niechrzczonych, lecz i u chrzczonych Czeremisów ma tyle wagi, że jeśliby nie lękano się kar duchownéj i cywilnéj władzy, to zaledwie kto z Czeremisów udałby się do cerkwi dla zawarcia powtórnego ślubu chrześciańskiego. Pomimo jednak czuwania pasterzy parafialnych nad cnotliwém życiem parafian, często się zdarza, że ślub Czeremisów według obrządku kościoła prawosławnego spełnia się aż po roku małżeńskiego życia.

Po ślubie w cerkwi zawartym, cały orszak godowy przy śpiewach i muzyce powraca do domu, gdzie do późnéj nocy trwa wesoła uczta. Potém prowadzą młodych do śpichrza, gdzie dla nich przygotowane łoże małżeńskie. Jeśli młoda okazała się niewinną, to wszyscy krewni i goście ją całują; w przeciwnym zaś razie mąż i drużka (1) biją ją. Po téj ceremonii młoda małżonka bierze nosidła z wiadrami i idzie do rzeczki lub studni po wodę, któréj zaczerpnąwszy, póty ją wylewa, dopóki nie dadzą jéj goście na nosidła pieniędzy. Wówczas niesie wodę do izby, gdzie naprędce przygotowywa sałmę czyli zacierkę, którą wszyscy goście ze czcią spożywają.

1) *Drużka*, dziewczyna assystująca przy obrzędzie ślubnym.

jeśli młoda małżonka wyszła za mąż niewinną; w przeciwnym zaś razie nikt nie jé sałmy, a nawet pijani mężczyzni na nią plwają. Pamięć o tak haniebnéj karze jest hamulcem niewinności czeremiskich dziewcząt, tak, iż rzadki bywa przeciwny temu przykład. Lecz przeciwnie wdowy, żony wojskowych Czeremisów i Czuwaszów zbyt wolne życie prowadzą.

Pogrzeb u niechrzczonych Czeremisów odbywa się skromnie. Gdy kto umrze, kładą wnet ciało na szeroki lipowy tapczan i wynoszą na dziedziniec, gdzie obmywają i odziewają w czystą bieliznę i sukmanę; następnie znowu wnoszą do chaty, wkładają do trumny, z jednego kloca nakształt żłobu zrobionéj i zapalają około niéj jednę lub więcéj, według dostatku, świéc. Potém gotują rosół z kury i nalawszy go do misy, stawiają przy umarłym; sami zaś wychodzą z domu po tiulegarda. Gdy już cały orszak pogrzebowy się zbierze, tegoż dnia wywożą umarłego do lasu na cmentarz, gdzie po odprawionéj przez tiulegarda modlitwie, spuszczają trumnę do mogiły.

Po pogrzebie odbywa się stypa, na któréj zjadają poprzednio zgotowaną dla nieboszczyka kurę.

Gdy zaś upłynie sześć tygodni od skonu, krewni zmarłego chodzą na jego mogiłę i zapraszają go, aby niewidomie przyszedł do ich domu dla przypatrzenia się obchodowi dziadów po nim.

Chrzczeni Czeremisi podobny pogrzeb umarłym sprawiają, z tą różnicą, że z domu dwaj lub trzej podchmieleni mężczyzni, przywiązawszy do duhy dzwonek, wiozą ze śmiechem umarłego do parafialnéj cerkwi, gdzie po spełnieniu przez duchowieństwo obrzędu religijnego, sami odwożą nieboszczyka na cmentarz.

Dziady po umarłych uroczyście obchodzą. Około ósméj godziny wieczorem d. 31 maja, ofiarnicy zabijają kilka sztuk baranów, gęsi, kaczek i kur, patroszą i gotują je na dziedzińcu pod gołém niebem. Przy zmroku zbierają się z kilku wsi pobożni do altany zwanéj łaczugą, gdzie także w kotlinie rozniecony ogień, na którym warzy się krupnik czyli wódka z miodem. Frontową ścianę téj łaczugi oświecają wewnątrz taką ilością woskowych świeczek, po ilu duszach odbywać się mają dziady, na co każdy przychodzień czyto mę-

czyzna, czy kobieta, tyle świeczek z sobą przynosi, ilu zmarłych krewnych pamięć drogo sobie ceni. Takim sposobem każda świeczka będąc godłem duszeczki, przybiera nateraz jéj imię. Oprócz tego poprzek łaczugi zaciągają sznur, do którego przylepiają w pewnych odległościach zapalone trzy długie woskowe stoczki. Gdy już potrawy na dziedzińcu ugotują się, tiulegardzi wnoszą je do łaczugi i ustawiwszy na nakrytym przed drzwiami stole, drobią mięso na drobne kawałki. Tuż obok stawiają gotowany krupnik, zwyczajną wódkę i piwo; bliżéj zaś palących się świeczek, czyli raczéj tuż pod niemi, kilka próżnych misek.

Zaczyna się tedy obchód dziadów. Wszyscy zebrani, pojedynczo przybliżają się do stołu i uszczypnąwszy kawałeczek mięsa, wymawiają głośno imię zmarłéj duszeczki, na posiłek któréj kładną do próżnéj miski święcone jadło, i aby lepiéj jéj smakowało, zalewają mięso wódką i piwem. Następnie czy to z wiary w obcowanie dusz, czy dla ukojenia po nich żalu, każdy łyka porządny haust świętego nektaru.

Gdy ta kolej się skończy, tiulegardzi wychodzą z altany i po chwili powracają, przynosząc z sobą świąteczne odzienie po zmarłych pozostałe, które podnoszą do palących się świeczek, jakby duszeczkom je pokazywali, i nareszcie w męzkie odzienie ubrawszy się, żeńskie zaś na plecy zawiesiwszy, biorą w ręce palące się świece i skaczą. Za przykładem tiulegardów wszyscy inni toż samo czynią, tylko kobiety przebierają się w właściwe sobie odzienie, męzkie zaś na plecy zawdziewają.

Po skokach kapłani z ludem wynoszą ofiarowane duszeczkom potrawy na dziedziniec, i tam wyrzuciwszy w kąt, oddają psom na pożarcie. W czasie zaś téj psiéj uczty, tiulegardzi potrząsają odzieniem zmarłych nad bankietującemi kundlami.

Gdy już duszeczki przygotowaną ucztę za pośrednictwem psów spożyją, wszyscy powracają do łaczugi, i pogasiwszy zbyteczne światło, oddają się weselu i zabawie. Rozlewają do misek i czerpaków wódkę, piwo i miód; zaczyna się pijatyka, a z nią razem skoki i smutne bez wyrazu śpiewy: jedném słowem wszczyna się w zupełném znaczeniu nierozsądna wrzawa, która dla

Czeremisów ma swój urok i do serca mile przemawia, bo jest narodową.

Czeremisin od czasu podbicia przez Jermaka Syberyi pod panowanie Rossyi, osiedliwszy się na łąkowym czyli lewym brzegu Wołgi, przywykł uważać otaczający go las za swoję własność i gospodaruje w nim według swego upodobania. Zimową porą ścina tyle budulcu, ile mu się podoba i stosownie do tego, jak mu czas od innych zatrudnień pozostały dozwala. Ścięte drzewo obrabia na miejscu w zrąb i daje mu wyschnąć. Z właściwą Syberyakowi zręcznością poluje na ptastwo i zwierzynę, i opatruje miasta w jarząbki, cietrzewie, głuszce, dzikie kaczki, tudzież futra kun czyli tumaków, soboli, wilków a nawet niedźwiedzi. Na wiosnę główne zatrudnienie ich stanowi zdzieranie z lipowego drzewa łyka, które stosownie do grubości czyli wieku drzew dzielą na trzy gatunki, a mianowicie:

1. łyko czyli kora z młodych lip pospolicie używana do robienia łapci;

2. moczyło, kora ze średniéj wielkości lip, która po zdjęciu moczy się w wodzie aż do połowy następującéj zimy, i potém po oczyszczeniu od wierzchniego słoju, używa się do tkania rogóżek i cynówek, i

3. łub, kora z grubych i starych lip używana do pokrycia mąki i innych produktów na wodnych statkach transportowanych, do dachów na budowlach, do bokowych ścian, sanek, oraz do wyrabiania rozmaitych pudełek.

Latem mało i tylko z przymusu trudnią się rolnictwem, uważając je za uciążliwą dla siebie pracę i niezgodną z otoczającą ich przyrodą. Istotnie leśne niziny z wiosny długo zalane bywają, przez co grunt robi się iłowatym i błotnistym, a promienie słoneczne przez szpary drzew słabo działając na ziemię, nie mogą jéj do stopnia roślinności doskonale osuszyć, i przez to grunt bywa mało urodzajnym. Lecz zamiast tego, Czeremisin trudni się sprowadzaniem z lasu do domu wyciętego zimą budulcu, buduje z niego domek i sprzedaje go mieszkającym na przeciwległym brzegu Czuwaszom. Oprócz tego zajmują się tkaniem z moczyła worków rozmaitéj wielkości. Pszczolnictwo także stanowi ulubio-

ne Czeremisów zatrudnienie. Nadto niektórzy zajmują się handlem drzewa na summę rs. 3,000 rocznie.

W ogólności Czeremisi, chociaż są mieszkańcami lasu, więcéj jednak niż Czuwasze przyjęli cywilizacyą i lepiéj mówią po rossyjsku; chociaż i do występków, mianowicie kradzieży koni w wielkich partyach, są także więcéj od tamtych zdolnemi.

Literatura czeremiska zdaje się być na niższym stopniu od czuwaskiéj, bo oprócz praktycznéj grammatyki przez nauczycieli szkół duchownych dla użytku tamecznych alumnów ułożonéj, żadnego więcéj dzieła nie znam. Śpiewy ich, jak wyżéj wspomniałem, oprócz melodii charakterystycznéj, żadnych słów nie zawierają. Sama tylko rachunkowość, przy sprzedaży produktów leśnych koniecznie potrzebna, jest znaną Czeremisom. Liczą tak: jeden-ik-tyt, 2 kok-tyt, 3 kumut, 4 nilit, 5 wizit, 6 kudut, 7 szimet, 8 kandaksze, 9 indiksze, 10 łuo, 11 łatik-tyt, 12 łatkok-tyk, 13 łatkumut, i t. d.

* * *

Aby mieć wyobrażenie o dźwięku czeremiskiego narzecza i porównać go z językiem jednoplemiennych im Czuwaszów, przytoczymy tu szereg czeremiskich wyrazów:

Bóg, *Juma.*
Ojciec, *ati.*
Matka, *abaj.*
Syn, *erge.*
Starszy brat, *iziaj*
Młodszy brat, *szoliom.*
Córka, *judur*
Starsza siostra, *ingaj.*
Młodsza siostra, *szużar.*
Pan, *pajarin* (1).
Koń, *imne.*
Krowa, *uszkat.*
Owca, *szorok*
Świnia, *sysná.*
Pies, *pi.*
Kura, *czybe.*
Kaczka, *łudo.*
Gęś, *taga.*
Jarząbek, *miże.*
Wiewiórka, *ur.*
Pieniądze, *oksia.*
Chleb, *hinde.*
Piwo, *syrá.*
Masło, *ju.*
Wódka, *arakam.*
Mléko, *szużer.*
Jajka, *muno·*
Las, *czedra.*
Drzewo, drwa, *pu.*
Kloc, *brewno.*
Gospodarz, *ozia.*
Gospodyni, *ozia wate.*
Przynieś mi, *kondo-myndenem.*
Wypędź, *pokto* albo *łuk.*
Pójdź precz, *lek.*
Zaprzęgaj, *kiczke.*
Biegaj, *kaj.*
Kocham, *juratam.*
Jak się masz? *sáje ilet.*
Dobrze, *saje.*
Źle, *osat.*
Prędzéj, *waszke.*
Gdzie, *buszto.*
Tam, *tuszto.*
Ztąd, *kużeczyn.*

(1) Z ruskiego боярин.

Pomimo tego wnioskując z postępów w innych gałęziach umiejętności przez Czeremisów dotąd uczynionych, przypuścić można, że ten naród za półwieku niczém się nie odróżni od Rossyan, z któremi po miastach częste ma stosunki (1).

(1) W naszym kraju także znani byli jeszcze w XVI wieku Czeremisi. Za czasów Zygmunta Augusta, posiłkując Bulgarom i Tatarom kazańskim w wojnie przeciw Mongołom i Tatarom krymskim, upodobali sobie kraj Podolski, i w m. *Barze* nad r. Rowem osiedli. Znaczna część ich ludności stanowiła oddzielną część tego miasta, zwaną *miastem Czeremiskiém*, w którém, podług lustracyi z r. 1569 było domów czeremiskich 51, lackich zaś i ruskich 68. Czeremisi żadnego czynszu ani podatków nie płacili, owszem mieli jeszcze jurgielt od króla naznaczony fl. 200. Mieli też swoje role, młyn i staw na swój użytek; żadnych zaś powinności nie spełniali, oprócz że przy staroście jechać obowiązani byli przeciwko Tatarom. Zjednoczenie miast: lackiego, ruskiego i czeremiskiego w jednę całość nastąpiło w skutek postanowienia króla Stefana 1576 r. (Patrz *Starożytna Polska* M. Balińskiego. Warsz. 1844. T. IIgi).

(Dokończenie nastąpi).

CHADŻY ABREK (*).

(PRZEKŁAD Z LERMONTOWA).

I.

Auł Dżemata wielki, bogaty,
Nie płaci dani, własną ma wolę;
Murami jego—ręczne bułaty,
Meczetem jego—jest bitwy pole.
A jego wolni, dzielni synowie,
Zahartowani w krwawych walk żarze;
Ich sławę cały Kaukaz opowie,
Zna ją i sąsiad, i ludy wraże.
A strzał ich pewny, każdy uśmierca,
Bo nigdy wrogów nie chybił serca.

* * *

Niebo aż płonie; dzień tak gorący,
Że ze skał spiekłych para się wije;
Orzeł, na skrzydłach w chmurze wiszący,
Jak punkt czerniejąc, zwolna się kryje.
Cisza, gdzie tylko zwrócisz oczyma,
W aule (1) tylko spokoju niéma:
I lud w popłochu zwraca swe kroki,
Gdzie strumień bije z twardéj opoki.
Powoli tłum się w krąg jeden splata;
O czémże radzą męże Dżemata?
Czyli się w góry chcą puścić znowu
Dla trzód sąsiednich śmiałéj grabieży?
A może, chciwy krwi i połowu,
Z mordem i ogniem wróg wieczny bieży?

(*) *Abrekiem* nazywają Kabardyńcy górala, który uczynił ślub, że i chwili nie odpocznie dopóki nie zabije oznaczonéj przez siebie liczby nieprzyjaciół.

(1) *Auł*, wieś, osada.

O nie! bo tylko smutne spojrzenie
Rzucają wszyscy dzielni uzdzienie (1).
W obcego aułu odziany szaty,
Siedząc na głazie pomiędzy niemi,
Siwy Lezginiec, schylony laty,
Przemawia do nich słowy rzewnemi;
A z oka, które ogniem mu błyska,
Dokoła tęskne spojrzenie ciska.
Wszyscy, współczując starca boleści,
Słuchali smutnéj jego powieści:
„Trzech dzielnych synów, trzy krasne córy,
Na stare lata to mój skarb cały;
Wtém nadciągnęły piorunne chmury,
Wszystkie gałęzie drzewa złamały:
I teraz stoję oto jedyny
Jako pień nagi pośród doliny.
Niestety! dzisiaj już jestem stary,
A włos mój bielszy niż śnieżne szczyty;
Lecz czasem pędząc kipiące wary,
Pod śniegiem strumień bywa ukryty.
Wzywam was, dzielne syny Dżemata!
Kto mi odwagę swoję pokaże?
Który z was szacha zna Bej-Bułata,
Córkę niech wróci, hańbę mą zmaże!
W niewoli dwoje zwiędło mych dzieci;
Syny zginęli w walce zaciętéj:
Dwaj z nich w obczyznie, a przy mnie trzeci,
Przez wroga w piersi bagnetem pchnięty.
Konając, uśmiech taki miał szczery!
Bo pewno widział biédny młodzieniec,
Jak się doń rajska zbliżała Peri,
Trzymając w ręku tęczowy wieniec.
Z aułu, nieszczęsnym znękany bojem,
Uciec musiałem precz na pustynię
Z córką, jedyném dziécięciem mojém.
Jam ją czcił, wielbił, jako świątynię;
Nic nie ceniłem na świecie po niéj,
I nic nie wziąłem prócz wiernéj broni.
Z córką w jaskini dzikiéj się mieszczę,
Na wszelką biédę była wytrwałą;
Wtém cios spadł na mnie ostatni jeszcze:
Miłe mi pisklę precz uleciało!
Było to w nocy: we śnie me łono
Tchnęło spokojem; śród ciszy błogiéj,
Tylko szeleścił wicią zieloną
Siedząc nademną mój anioł drogi.

(1) *Uzdzień*, naczelnik albo człowiek wolny.

Nagle szmer jakiś ze snu mię budzi,
Słyszę krzyk słaby i tętent konia;
Biegnę i widzę, co? czy wzrok łudzi?
Jeździec na koniu pędzi śród błonia,
W objęciach drogie me dziécię trzyma!
Zaraz za niemi gońca posłałem,
Ale broń wierna chybiła strzałem;
Próżnom ich ścigał klątwą, oczyma.
Z pragnieniem zemsty w piersi ukrytem,
Niezdolny pomścić krzywdy co plami,
Włóczę się odtąd między górami
Jak wąż, zdeptany końskiém kopytem.
Odtąd już pokój odbiegł odemnie,
I dziś go w świecie szukam daremnie.
Wzywam was, dzielne syny Dżemata!
Kto mi odwagę swoję pokaże?
Który z was szacha zna Bej-Bułata,
Niech córkę wróci, hańbę mą zmażę."

— „Ja!"—nagle młodzian wrzasł czarnooki,
Chwytając ręką kindżał szeroki.
W niemém milczeniu tłum zadziwiony,
Na dwie się przed nim rozstąpił strony.

— „O! ja znam szacha! ja pomszczę ciebie!
Za dwa dni będziesz miał wieść odemnie.
Nieulękniony Chadży zna siebie:
Na konia nigdy nie siadł daremnie.
A jeśli na czas tu nie przybędzie,
Nie sądź, że słowa jego cię zwiodły;
Lecz przed podróżą pamiętaj wszędzie
Wznieść do Proroka za nim twe modły."

II.

Już wstaje zorza; nikną tumany.
Na głębi niebios już lazurowéj
Wstają olbrzymie granitów głowy,
A każdy w wieniec z lodu przybrany.
Chmurka zbudzona w skał rozpadlinie,
Jakby różowy żagiel nadęta,
Pędzi ku jasnéj niebios wyżynie;
Cała natura snem nawpół zdjęta;
I jeszcze słońca promień złocisty
Ze wzgórz nie schłonął rosy srebrzystéj.
Za jarem, w góry, noga za nogą
Czerkies na dzielnym rumaku dąży;
Ze skał wysokich zwieszon nad drogą,
Dziki winograd nieraz okrąży

Jeźdzca i konia gałęźmi swemi,
Obsypie łzami rosy srebrnemi.
Niedbale wodze wypuścił z dłoni,
Zdobną plecionkę w swym ręku kręci:
To się ku grzywie rumaka skłoni,
To tęskną pieśnią cześć dziadom święci;
Odległe echo sąsiednich wzgórzy,
Ponuro jego śpiewowi wtórzy.

* * *

Droga się skręca, gdzie ślad wyryty
Głęboko arby (1) skrzypiącém kołem;
A obok szczytów świetne granity,
Jak w wieniec śnieżném łączą się czołem.
Ztąd, jakby miał go już pod nogami,
W dole spokojny auł spostrzega,
I pył wzniesiony bydła śladami,
I tabun koni, co śród łąk biega.
Spojrzenie jego nagle dolata
Do krańca aułu, sakli (2) Bułata.
I jako orzeł z wierzchołka góry
Zagłębił w saklę swój wzrok ponury.

* * *

Na progu dziéwczę z Lezginów rodu
Siedzi i tęsknie w dal topi oczy.
Kogo to czekasz, o gwiazdo wschodu,
Że taki smutek twą duszę tłoczy?
Może ma przybyć twój druh zdaleka?
Albo powrócić brat z bitwy srogiéj?
Senna od skwaru twoja powieka,
Głowa chce spocząć na piersi drogiéj;
I osunęła się ręka biała,
I nagle słodka rozkoszy siła
Z więzów zasłony ramię wyrwała:
A ociężałość wzrok twój przyćmiła,
Oblawszy oczy rosą perlistą;
Policzki grają krwią płomienistą
Krain południa; usta czarowne
Milczą, a jednak takie wymowne!
Tchną samą lubość. A twoje łono
Wznosząc się, z lekką igra zasłoną.
„Gdzieżeś jedyny, o mój kochany?“
Lecz ot już tętent słyszeć się daje,
Na drodze pędzą kurzu tumany.
„To szach“ Lezginka szepcze i wstaje.

(1) *Arba*, wóz o dwóch kołach.
(2) *Sakla*, chata.

Próżno się marną nadzieją cieszy,
Bo łatwo oczy zwodzą zdaleka;
Dostrzega jeźdzca, co ku niéj spieszy;
Ale to nie szach którego czeka:
To jakiś obcy strudzon śród drogi,
W gościnne do niéj przybywa progi.
Rumak zmęczony, aż cały w pianie,
Jeździec chce skoczyć, zda się wnet stanie.
Zsiadajże jeźdzcze!... I czegoż zmudzi?
Ta sakla, zda się, w nim przestrach budzi.
Spojrzał.... westchnienie krótkie, stłumione
Z ust wpół otwartych nagle wypada,
Jak listek gdy nim wicher owłada,
I szybko niesie w nieznaną stronę.
„Czegóż wędrowcze zwlekasz u proga?
Zsiadajże prędzéj z twego rumaka,
Wszak przypadkowy gość darem Boga?
Jest miód i kumys (1), strawa wszelaka;
Tyś widzę biédny, lecz jam bogata:
Uczcijże, proszę dach Bej-Bułata!
A kiedy znowu puścisz się daléj,
Pomnij, żebyśmy w twych modłach stali."

Chadży Abrek.

Niech Ałła Lejlo tobie nagrodzi,
Że tu odpocznie jeździec strudzony;
Ale niepróżno on tu przychodzi:
Od twego ojca niesie pokłony.

Lejla.

Od mego ojca? Powiedzże, czyli
On nie zapomniał mię do téj chwili?
A gdzie on mieszka?

Chadży Abrek.

Po twojéj stracie
Mieszka w pustyni lub w obcéj chacie.

Lejla.

Czy szczęśliw, wesół?

Chadży Abrek.

On dotąd żyje,
Choć nieraz w głowę wiatr z burzą bije.
A ty?

Lejla.

Jam szczęśliwa.

(1) *Kumys*, mocny napój z mleka kobylego, fermentowanego.

Chadży Abrek (*pocichu*).

Tém gorzéj.

Lejla.

Co mówisz?

Chadży Abrek.

Nic!

* * *

I gość milczący siedzi przy stole,
A czychir (1) z ryżem stoi nietknięty;
Dziwny to człowiek i niepojęty!
I zmarszczki tłumem błądzą po czole.
Czy wiek je wyrył? albo téż ręka
Zawistnych losów groźnie go nęka?

* * *

Lejla chcąc gościa rozjaśnić czoło,
Chwyta bębenek, bije palcami,
Wznosi do góry, obraca wkoło,
Tańczy lezginkę, wtórząc pieśniami.
Jak gwiazdy oczy jéj blaskiem płoną,
A lekkie drzenie wznosi jéj łono.
Z dziecięcą myślą, z pogodném czołem,
Tonąc z zapałem w tém uniesieniu,
Przed gościem wdzięcznie kręci się kołem,
Jako w zachodnim motyl promieniu.
Znowu bębenek dźwięczny podnosi,
I białą ręką wkoło nim toczy;
I czarne w gościa utkwiła oczy,
Milczy, lecz miłym uśmiechem prosi:
„Ponury gościu, rozjaśń oblicze,
Wszak ciosy losu—mary zwodnicze."

Chadży Abrek.

Dość tego, przestań, przestań Leile,
Porzuć wesołość twoję na chwilę.
Powiédz, czy kiedy cię przestraszyła
Myśl śmierci, dręcząc mary groźnemi?

Lejla.

Nigdy! bo na co chłodna mogiła,
Kiedym znalazła mój raj na ziemi.

Chadży Abrek.

A czy tęsknota dręczyła ciebie,
Kiedyś wspomniała o twéj rodzinie,
O Dagestanu gór jasném niebie?

(1) *Czychir*, wino gruzyjskie czerwone.

Lejla.

Dlaczego? kiedy lepiéj mi ninie,
Choć tu wokoło mgliste tumany.
Wszędzie jest pięknym, wdzięcznym świat Boży.
Wyraz ojczyzna sercu nieznany,
Nie wié co przymus: jak ptaszek hoży
Wyrwie się, umknie.. .. Tam jest ojczyzna,
Gdzie kto z ufnością miłość nam wyzna.

Chadży Abrek.

Miłość!... a wiész ty, jakie téż inne
Szczęście na ziemi znajdzie dla siebie
Ten, co już wszystko, wszystko pogrzebie,
W co wierzył, kochał, w lata niewinne?
Rozkosz pewniejsza to od miłości!
Ona łez tylko i krwi pożąda.
I radość wtedy w duszy zagości,
Gdy na zgon szczęścia drugich spogląda.
W niém cały urok życia się mieści,
W nim mojéj duszy i raj i piekło.
Ono nam zawsze wierne; czy pieści,
Czyli męczarnią gnębi zaciekłą.
Za chwilę zemsty co czeka lata,
Nie wziąłbym nawet całego świata!

Lejla.

Jakżeś ty blady.

Chadży Abrek.

Słuchaj! Już dawno
Jam jedynego utracił brata;
Ale śmierć jego nie była sławną:
Jak dzikie zwierzę, nieznając wroga,
Poległ od kuli Beja-Bułata!
Lecz mnie przekazał zemstę przy zgonie,
A taka wola święta jak Boga!
Odkryłem zbójcę. Już w jego łonie
Mój kindżał wierny utopić chciałem;
Alem pomyślał: czyżto pomszczenie?
I cóż śmierć znaczy? czyż jedno mgnienie
Równać się może z mém życiem całém?
Stanież za moje smutki, męczarnie?
Na całym świecie wszak coś istnieje,
Wczém jego szczęście, jego nadzieje.
Więc niech to zemsta moja ogarnie.
Stało się! chwila zemsty już blizka:
Wczoraj wybiła twoja godzina.
Patrz! oto zachód krwawy blask ciska!
Już czas! głos brata mnie napomina....

Kiedym na wdzięczne oblicze twoje
Dzisiaj me piérwsze rzucił spojrzenie:
Ciężka tęsknota i niepokoje
Objęły duszę w bolu płomienie;
Lecz to wrażenie już uleciało,
I mą przysięgę wypełnię śmiało.

Jak śniég na górach Lejla blada;
Drząc na kolana przed nim upada.
Od strasznéj groźby cała truchleje,
Błaga, zaklina, rzewne łzy leje.

„O jakże patrzysz na mnie grobowo,
Odwróć twe oczy! Biadaż mi, biada!
O! każde groźne, coś wyrzekł słowo,
Jako jad zimny na mnie upada.
Straszneż to żarty, co nic nie znaczą?...
Więc nie rozczulą cię łzy niewinnéj?
Zmiłuj się! powiédz! powiédz jak płaczą
Kobiety w twojéj stronie rodzinnéj?
Umrzeć! by zemście uczynić zadość!
Umrzeć tak młodo! Daruj mi życie!
Powiédz, czy wiész ty co znaczy radość?
Byłżeś kochany w życia rozkwicie?"
Lecz Chadży milczy, stoi ponury,
A czoło jego osiadły chmury....

„Litościm w oczach twych nie ujrzała,
Mimo rozpaczy, łez i prośb tyle....
Zmiłuj się! czekaj, czekaj o Alła!
Jeszcze godzinę! jeszcze choć chwilę."

Wtém miecz zabłysnął: cios jeden, drugi....
I spadła głowa. Wnet z krwawéj strugi
Podniósł ją z ziemi; włosy rozpostrze,
I o nie szaszki (1) ociera ostrze.
I głowę, co już życiem nie świeci,
Bierze, w kosmatą burkę okrywa,
Skacze na konia i nazad leci.
Koń rży, szczeciną staje mu grzywa,
Bo strach nieziemski włada rumakiem:
Chrapie, całego okrywa piana,
Gryzie wędzidło, nie słucha pana,
Mknie bystro w góry, że zda się ptakiem.

(1) *Szaszka*, szabla czerkieska.

III

Już słońce gaśnie; i oto zrazu
W ciemnościach ginie cała natura;
Pełzną milcząco z szczytów Kaukazu
Jak węże jedna za drugą chmura,
Dziwną grę tworząc pomiędzy sobą.
Potém spadając w ciemnych skał jarze
Po ostrych krzakach, pereł ozdobą
Darzą ich listki zeschłe w dnia żarze.
I z hukiem pędzi tam strumień szary;
Piana z pod trawy nad nim się toczy,
I błyszczy we mgle ciemnéj pieczary
Martwo, jak w głowie uciętéj oczy.
Lećże, leć daléj, jeźdzcze po drodze!
Okryj twe ciało burką szeroką,
I dzielną dłonią schwyć silnie wodze,
Popędzaj konia, miéj baczne oko;
A choć nie gonią jeszcze w twe ślady,
Ni gór tych duchy, ni dzikie zwierze;
Jednakże jeźdzcze posłuchaj rady,
I jeśli możesz odmów pacierze.

* * *

„Lećże mój koniu! Lękliwém okiem
Czemu przed siebie spoglądasz wciąż?
Wszakto głaz martwy nad wód potokiem,
A tu znów grzbietem błyszczący wąż!

* * *

„Na polu boju, o włos twéj grzywy
Nieraz otarła krew męzka dłoń;
Na dzikim stepie, w chwili straszliwéj,
Nieraz mnie zbawił wierny mój koń.

* * *

„My odpoczniemy w ojczystéj ziemi,
A wydartemi z wrogów mych rąk,
Uzdę-ć ukraszę znaki srebrnemi,
I śród zielonych znów będziesz łąk.

* * *

„Co to się znaczy? zkądże ta zmiana?
Mój towarzyszu drogi, mów téż,
Że cię tak prędko okryła piana,
I że tak ciężko podemną tchniesz?

* * *

„Wnet z za mogiły wyjrzy księżyca lice,
I drzew osrebrzy zielony wierzch;
Wtedy zobaczym znów okolicę,
Gdzie śpi nasz auł ukryty w zmierzch.

* * *

„Pasterskie zdala ujrzym ogniska,
Co jako błędne światełka mkną;
Potém usłyszym gdy będziem zblizka,
Jak dziko nasze tabuny rżą.

* * *

„I wokół ciebie zbiegną się konie;
Lecz gdy powstanę bez znaku, słów:
Wszystkie je nagły przestrach owionie,
I wnet w popłochu odlecą znów.
O! bo poznają one zdaleka,
Że nas obudwu jeden los czeka."

IV.

Jeszcze dolinę ciemna noc skrywa,
W śnie pogrążone aułu domy;
Lecz jeden tylko tam nie spoczywa,
Jeden, jak grobu głaz nieruchomy:
Przed wsią przy drodze siadał na kamieniu,
Patrzy na drogę z smutkiem w spojrzeniu.

* * *

Co to za jeździec z pochyłéj góry
Zjeżdża powoli jakby trwożliwie?
Jego towarzysz o długiéj grzywie,
Z spuszczoną głową stąpa ponury.
Jeździec pod burką coś w ręku trzyma,
I jak skarb strzeże jeszcze oczyma.
Pomyślał starzec „to córka miła
Drogi podarek ojcu przysyła."
I niecierpliwie starzec go czeka.
Tak wolno jedzie i czegoż zwleka?
Już blizko: staje, burki odsłoni,
I oto nagle ze drżącéj dłoni
Upuszcza ojcu podarek krwawy,
Co martwo toczy się śród murawy.
Nieszczęsny bieży, spogląda zblizka,
Poznaje głowę drogiéj Leili:
W szale boleści nagle w téj chwili
Chwyta ją, do ust swoich przyciska,
Jakby całując jéj martwe wdzięki,
Chciał z nią ostatnie podzielić męki.

W ten pocałunek, westchnienie jedne,
On nagle wylał swe życie biedne.
O! bo już nieraz ludzie i losy
W zbolałe serce zadali ciosy!
I nić żywota za jednym razem,
Jak nić przez ogień strawiona, rwie się.
A w martwych zmarszczek oblicza lesie,
Śmierć się maluje tęsknym wyrazem.
Dusza tak szybko jakoś ulata
Od zgnębionego boleścią ciała,
Że myśl, co w starca życie się wplata,
Z oblicza uciec już nie zdołała.

Chadży nad starcem stał niewzruszony,
Współczuciem pierś się jego nie wzdyma;
Na konia, szaszkę rzucił oczyma,
I bystro w inne popędził strony.

V.

Już rok upłynął. W skał rozpadlinie
Znaleźli, wszedłszy w lasu manowce,
Dwa martwe ciała jacyś wędrowce,
I pogrzebali w ciemnéj gęstwinie.
Trupy te leżąc zdala od drogi,
Złączone były w uścisk ostatni;
Zrazu się zdało, że w uścisk bratni:
Twarze wskazały, że to dwa wrogi.
Może to tylko błędne domysły,
Ale wędrowcy owi sądzili:
Że na ich ustach groźby zawisły,
Że twarz mieniła się każdéj chwili.
Obudwu odzież była bogata:
Czapki ich baszłyk (1) okrywał długi.
W piérwszym poznano szach Bej-Bulata.
Lecz nikt nie wiedział czyj był trup drugi.

Bolesław - Wiktor.

(1) *Baszłyk*, kaptur jakim mieszkańcy przykrywają czapki dla ochrony w czasie burzy i dla ozdoby.

KŁOPOTY

STAREGO KOMENDANTA (*).

PANNA PUŁKOWNIKÓWNA.

Opowiadanie.

I.

Kilka lat upłynęło od owych imienin i niespodziewanéj lustracyi generała, a kilka lat, jak wyrzekł znakomity nasz powieściopisarz, dzisiaj kilka dziesiątków znaczy. Jam ukończywszy już szkoły wracał do domu na nieograniczone wakacye, z patentem starannie w trąbkę zwiniętym i pielęgnowanym przez całą drogę. Było to w początkach lipca: przed świtem jeszcze ostatniego dnia podróży, ruszyłem z popasu w znajomą mi dobrze okolicę. Teraz, wcale inném okiem spoglądałem wokoło siebie, niż przed siedmią laty, gdym raz piérwszy wybierał się do szkoły. Dzień téż był piękny: pokropiona nocnym deszczykiem ziemia, spulchniała widocznie, nabierając sił nowych dla wykarmienia godnie swéj licznéj dziatwy. Bujne niwy złocistym kłosem pokryte, z wiszącemi perełkami rosy, błyszczały tęczowo, oblane purpurową szatą wschodzącego słońca; lekki powiew wiatru, fałdując gładką powierzchnię zboża, nadawał jéj kształt wolno biegnących bałwanów, od końca do końca stajań. Ptastwo śpiewało wiecznie świeżą nutą, dziękczynną

(*) Obacz Bibl. Warsz. zeszyt z miesiąca maja r. b.

piosnkę dla Stwórcy; cała natura tak urocza i uśmiechająca się, doskonale harmonizowała z usposobieniem méj duszy, w owéj chwili pełnéj życia, zapału i uwielbienia dla świata całego. O! bo może rozbudzić takie uczucia widok téj pięknéj krakowskiéj ziemicy! Na każdéj piędzi znać szczodrą rękę Opatrzności, która chciała ustroić pieszczone swoje dziécię, ten istny Egipt polski. Cóżto tu przecudnych pagórków umajonych różnobarwném kwieciem, co to za świeża zieloność drzewek rozsianych między niwami, co za rozmaitość obrazów, co krok przedstawiających się w odmiennym stroju! A te jasne drożyny wijące się między górami, a te przeświecające wskróś gaje, przyczepione od niechcenia po wznioślejszych miejscach; a te ocienione bujném drzewem młynki po łąkach, i wreszcie rzędy wierzb oskubanych z gałęzi na wiosnę, pokrytych w lecie piękną wikliną i tak smętnie nachylonych nad wodą:—zdają się płakać swéj straty, i żalić na niewdzięcznych gospodarzy. Tam każdy krzaczek, każda trawka lub kwiatek mówią do ciebie śpiewną nutą krakowiaka, nęcą półtęskném, półwesołém „dana moja dana," i każą się kochać na zawsze całą duszą i sercem. Rzewnaż bo to nuta krakowskiéj piosenki! To nie zagraniczne walce, kadryle lub kaczucze! Tych my nie czujem sercem, choć uwielbiamy melodyjne tony wpadające w ucho; najmniejsza zaś zwrotka krakowiaka, ledwo posłyszany jęk téj pozornie wesołéj śpiewki, znajduje odgłos w naszych sercach, poruszając wszystkie tętna naszego czucia; słuchamy go nie uchem, lecz całém jestestwem, całą mocą rodzinnéj miłości. W miarę rozwijania się wszystkich zwrotek wesołych, tęsknych lub rzewnych, dusza nasza cieszy się i boleje naprzemiany: gra z niemi jednakiemi tony, jakby stanowiła instrument nigdy nierozstrojonych i wspólnych im dźwięków.

Nie dziw więc, że w tak pięknéj krainie, i osad gęsto jak mrowisk po lasach. Spojrzyjno z podniesionego miejsca na ten obszar kilkomilowy proszowskiéj okolicy! Co to tam folwarków, wiosek, miasteczek? Zda się, to jedna olbrzymia siedziba rozrzucona tak długo i szeroko. Wszystko się łączy prawie: wieś z wioską, dwór z dworem, cmentarz z cmentarzem; kościoły co kilka kroków niby, a laski?—to ogród angielski z mnóstwem

sadzawek i olbrzymich ulic. Tu ziemia zanadto wdzięczna, tysiąckroć odpłaca rolnikowi podjęte koło niéj starania. Na kilkunastu zagonach chłopek więcéj zbierze dobytku, niż gdzieindziéj na tyluż morgach. Wioski też choć małe, grunta do nich należące szczuplutkie; dzielą się jeszcze na folwarki i osady, oddzielne gospodarstwa stanowiące: bo kto raz przewrócił tę pulchną i czarnokruczą skibę, już więcéj porzucić jéj nie może. Dziedzictwa wiekami przechodzą z rąk do rąk jednéj familii; a jeśli którego z właścicieli wypadki zmuszą wyjść w inną okolicę: nie przestanie tęsknić do swojéj siedziby i zachęcać dzieci, aby w Krakowskiém kiedyś majątki kupowali.

Para maleńkich koników zaprzężona do lekkiego wózeczka, ciągłym truchtem umykała daléj ku domowi. Stary Jakób śmigał i śmigał nad głową krótkiém biczykiem, przerywając milczenie zwyczajną furmanom z końmi rozmową, i szarpaniem jedynym lejcem, skręcające z kolei. Nie będę wam tu opisywał marzeń przechodzących pełną nadziei duszę; nie powtórzę tych uczuć serca, tych wspomnień dzieciństwa, gdym znajome strony zobaczył: bo każdy prawie z czytelników przechodził w swém życiu podobną probę, gdy z patentem ukończonych szkół do domu ojcowskiego powracał; każdy zna tę radość niezmyśloną młodego człowieka, co wyszedłszy już z pod opieki szkolnéj, czuje się swobodnym, jak ptaszek ręką litościwą uwolniony z klatki. Droga wydawała mi się nieskończoną; konięta pogrzały się widocznie, stary Jakób wyglądał karczemki, by popaść, ja zaś dąsałem się co chwila, że tak długo jedziemy, a jeszcze dwie mile do domu.

— Mój Jakóbie—rzekłem do niego—zajedziemy też aby na wieczór?

— Jak Bóg da, mój paniczku!—odpowiedział uśmiechając się stary.

— Eh, bo się wleczemy i wleczemy jak ze smołą; nie moglibyście też zaciąć koników, Jakóbie?

— Co nie, to nie, paniczu; i tak się zagrzały setnie, a owsa nie ma teraz na przednowku, to nie dziwota, że słabe. Bywało paniczu tak-rok w jesieni, jakem z mamą panicza jeździł do Krakowa, to szły jak ogień!..

— A teraz niech idą choć jak woda—dodałem zniecierpliwiony.

— Jużto widzę natura ojca panicza—przemówił Jakób zżymając się —i on też rychtyczek taki. Jedź, a jedź, krzyczy, rzuca się, wysiada, odrzeka, że nigdy z Jakóbem nie pojedzie, a przecie taki bierze mię zawsze....—Od siebie łysa! lezie kieby nie widziała; od siebie!—dogadywał stary.

Nie ma rady, pomyślałem: chłop uparty jak kozieł, trzeba, zdawszy się na Opatrzność Boską i siły dwojga szkapiąt, wlec się powoli. Usadowiłem się tedy jak mogłem najwygodniéj, i zacząłem dumać. Przebiegłem myślą przebyte lata w szkołach, te uciechy, swawole, utrapienia nieodłączne każdego człowieka; westchnąłem pomimowolnie za temi uroczemi chwilami życia, a przyszedłszy myślą na ostateczny examen, i nie mając co lepszego do zajęcia, rozwinąłem mój patent, widomy owoc siedmioletniéj nauki. Droga zbliżała się ku górce, ziemia rozmięknięta od deszczu coraz utrudzała jazdę, to też stary Jakób zszedł z wózka, a oparłszy rękę na drabince, postępował obok popędzając koniki. Jam przebiegał stopnie od religii aż do kalligrafii: wszędzie celujący, tylko coś koło łaciny ten dostateczny raził moje oczy. Źle będzie—pomyślałem—ojciec się najniezawodniej zgniewa, zwłaszcza on, co to łacinę ma przedewszystkiém.

— A co to panicz ogląda?—zapytał Jakób przypatrując się patentowi—Mój Boże, jakie to galante pisanie z orzłem.

— To mój Jakóbie patent, czyli świadectwo, żem już nauki ukończył!

— A, a, a, rozumiem—pomruknął stary—musiałci się paniczyk tęgo pocić, kiedy mu takie ładne świadectwo wydali! A ja słyszałem od mamuni przeszłego roku, że paniczek łepsko się spisywał.

— Tak, tak mój Jakóbie, starałem się wprawdzie jak mogłem, ale to zawsze jest niesprawiedliwość. Widzicie, jeden professor co się nazywa Kudelski, był zły na mnie i nie dał mi celującego z łaciny.

— O to niedobrze paniczu!.... A stary jegomość to taki jak ksiądz nasz pleban; jakci się zejdą z sobą, jak

zaczną gadać i gadać po łacinie, to człek aż głupieje: będzie się gniewać stary!

— Wiem ja to dobrze, wiem, ale cóż poradzić? Miał złość do mnie i miał, bom mu raz jego krewnego zapisał za niespokojność na karteczce: podobno go tam oćwiczyli za to. Ale wy tam tego nie rozumiecie, Jakóbie!

— Dlaczego nie? Panicz myśli, że ja chłop, to głupi jak tabaka w rogu! Przecie się to chłopakiem sługiwało w Krakowie u ks. prefekta, co do niego nasza wieś należała; nasłuchałem się też rozmaitych rzeczy, a bili też bili, mój mocny Boże!

Nareszcie pokazała się wioska, za nią dębowy lasek, trzy krzyże na rozdrożu, a za niemi kopułka dzwonnicy, biała smuga Wisły, i daléj jeszcze sine wierzchołki Tatrów. Serce zadrzało na ten widok dobrze mi znany; zeskoczyłem z wózka i co sił starczyło pędziłem ku białemu domkowi, rysującemu się jasno na szarém tle miasteczka.

Gdym przybiegł w opłotki i cwałował po niebrukowanych ulicach, zapewne wzięto mnie za waryata, lub uciekającego przed natarczywą pogonią. Lecz wtedy nic mnie tam nie obchodziło; mnie tak spieszyło się powitać ukochanych rodziców, twarz tak pałała pomieszaną radością i szczęściem, żem w téj chwili zapomniał o świecie całym, a nawet o łacinie.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!" wyrzekłem wpadając do pokoju, i rzuciłem się w objęcia matki. Na okrzyk „Jaś przyjechał!" zbiegło się wszystko co żyło w domu: Małgosia, a teraz już Małgorzata, z potężną łyszką w ręku, weterani z odwachu, siostrzyczka, po kolei wyrywali mię z rąk do rąk, witając, przypatrując się i dziwiąc zmianie, jaka we mnie zaszła po tak długiém niewidzeniu.

— A jak też wyrósł i zmężniał mój Janio—odezwała się matka, patrząc na mnie tym wzrokiem miłości i szczęścia, jakim tylko matka na swoje dziécię patrzéć może.

— Mój Jasiu—przemówiła siostra z nieśmiałą minką, przybliżając się do mnie—jak ja cię też wyglądałam i wyglądałam tak dawno! A co mam nowych lalek z ubiorami! Pójdźże ze mną to ci pokażę, tylko się już bawić nie będziesz ze mną!

— Dlaczego? moja Julciu.

— Bo widzisz, tata powiedział, żeś ty został człowiekiem, to już z dziećmi bawić się nie możesz! Prawda to Jasiu, żeś ty już człowiek, co?—i przy tych słowach spojrzała badawczo na mnie dużemi błękitnemi oczyma.

— Tak, tak, moja Julciu, ja człowiek, ale się jak dawniéj z tobą pobawię, tylko uporządkuj swe lalki.

Z prawdziwą radością pobiegła do swojego pokoiku, a ja tymczasem rad nie rad musiałem wypić kilka garnuszków kawy, zjeść ze trzy obiady naraz, wszystko w skutek wmawiań matki, że musiałem się wygłodzić.

Ojca nie było w domu, nie powrócił bowiem jeszcze z kościoła. Z dziecinną prawie ciekawością oglądałem zakątki mieszkania, dziwiłem się mocno, że wszystko tak pomalało: stołkom i stołom zdawało się ktoś nogi poobcinał, bo były zanizkie dla mnie, piec jakoś się przysiadł, okna zniżyły; a gdym to matce oświadczył, uśmiechnęła się naiwnie i zaprowadziwszy mię do szafki na któréj przed dwoma laty położony krzyżyk wzrost mój oznaczał, przystawiła pod miarę, a pokazując na ośmio calowy może przedział, rzekła:

— Mój Jasiu, wszystko jak było tak i jest, tylko tyś podrósł znacznie, więc rzeczy dawne mniejszemi ci się zdają. Pamiętaj więc, żeby i umysł twój równemuż z ciałem uległ powiększeniu. A pokażże mi przecie swój patent.

Z wielkim tryumfem rozwinąłem ozdobny arkusz i podałem matce. Przebiegła szybko następujące po sobie stopnie, i gdy spostrzegła dostateczny z łaciny, pokręciła głową, mówiąc:

— Czemużeś się téż nie postarał o celujący; wiész, że to ojciec najwięcéj na nią zważa.

Opowiedziałem już znaną wymówkę, prosząc, żeby wstawiła się za mną do ojca, i złagodziła ile możności gniéw jego, bo—dodałem—ja się bardzo boję.

— Nie bój się, nie bój, poradzimy temu—odrzekła całując mnie w głowę.

Niebawem powrócił porucznik. Wybiegłem na jego spotkanie, ze czcią ucałowałem drogą rękę rodzica; on zaś podobnie jak wszyscy przycisnąwszy do łona, długo, długo przypatrywał się mojéj postawie bujnéj jak trzcina,

i téj twarzy, co wyrażała w pełni siłę dorastającego młodziana. Lecz jakże znowu zmienionym uważałem ojca pod względem powierzchowności! Dwa lata wprawdzie upłynęło od ostatniego naszego widzenia się, a tyle się zestarzał, tyle stracił swojéj żywości i energii, jaka przedtém błyszczała w jego oku!..

Ach prawda, jam dotąd nie opisał powierzchowności komendanta. Darujcie mi proszę, zapomniałem zupełnie, że obraz zewnętrzny człowieka, zwłaszcza głównéj osoby opowiadania, więcéj uwydatnia jego charakter. Powiadam więc, że porucznik już teraz był jeszcze w tym wieku, co starością nazwanym być nie może. Miał około pięćdziesięciu lat, lecz nieco starszym się wydawał. I nie dziw: stérany wojaczką i połączonemi z nią niewygodami, ranny po kilkakroć, zabrany do niewoli—nie mógł być takim jak ten, co cały swój żywot spędził w błogiéj zaciszy domowéj, w gronie familii i przyjaciół, wolny od wszelkich kłopotów, otoczony zbytkownemi wygódkami. Kto zwalczając co krok tysiące niewygód i trudów, kto z bronią w ręku o głodzie i chłodzie, na własnych tylko nogach, przeszedł kawałek ziemi z Hiszpanii do krańców północnéj Azyi: ten nie może wyglądać inaczéj jak mój porucznik, ten nosi na sobie piętno wszystkich walk fizycznych i moralnych upłynionego żywota. Liczne téż marszczki osiądłe na całéj twarzy komendanta, wiązały się, przecinały w najrozmaitszych kierunkach, a między niemi szczególniéj odznaczała się rozległa i pokręcona na środku czoła szrama, zadana lancą nieprzyjacielską. Oczy duże niebieskie, choć pozbawione młodego zapału, błyszczały jeszcze dość żywo włosy blond, pół siwe, prosto spadały na czoło, i w części zakrywały ową szramę. Na całéj twarzy jego, rozlana była jakaś szczerota i swoboda, odpowiadająca wewnętrznemu usposobieniu ducha, odznaczała się szczególniejszém współczuciem dla wszystkich, tą otwartością staropolską i niezmyśloną wesołością. Kto raz go tylko zobaczył i przepędził z nim jaką godzinkę, już nie mógł zapomnieć owéj miłéj postawy starego wojaka. Zresztą cała fizyonomia nie miała w sobie nic uderzającego; podobnéj twarzy wiele osób napotkać można. Ja sam, choć z najdrobniejszemi szczegółami rysów jego obznajmiony, nieraz spotkawszy

w Saskim ogrodzie przechadzających się dawnych inwalidów, tych żyjących pomników Napoleonowskiéj epoki, nie mogę wstrzymać się od zadziwienia, dostrzegłszy tyle podobieństwa z moim ojcem. Już to jest prawdą, że niektóre osoby z wiekiem, podzielając wspólne życie, doświadczając jednakich ciosów i jednakich chwil szczęścia, których umysł niejako zleje się w jedną istotę, przybierają również fizyczne podobieństwo rysów; co często daje się widzieć na twarzach małżonków, tak, że wziąłbyś ich oboje za rodzonych braci i siostry.

— A cóżto Jasieńku, jak widzę wziąłeś się do fajeczki, kochanie—zapytał po chwili.

— Nie, proszę ojca—odrzekłem pomieszany.

— Gdzie tam nie! poco to zmyślać. Czy tego się w szkołach nauczyłeś? A cóżto za cybuszek wygląda z kieszeni tam na prawo? Tak, tak zaczynaj, chwałaż Bogu! Od fajeczki do wódeczki, od wódeczki do karteczek, pójdzie to łatwo. Pokażno ją, pokaż!

Wyjąłem skonfundowany zgrabniutką fajeczkę, którą na wyjezdnem kupiłem, bo jakżeż mógłem się odróżniać od innych współkolegów, co tytuń palili jak huzary.

— A pieniędzy nie ma u mnie; pisało się, że książek potrzeba, że papiér podrożał, a to na zbytki mosanie! Prawda że piękna, ale to nie dla waszecia: grammatyka powinna być jeszcze w głowie, nie głupstwa! Ho! ho!—dodał unosząc się—wczas Waści zaczynasz. Ja gdym był w twoim wieku, to ani wyobrażenia nie miałem o fajce. Słuchajno ty paniczu! tylko jeszcze raz coś podobnego zobaczę—zawołał potrząsając fajką—nie będę uważał żeś aść skończony, a orznę jak ojciec, rozumiész!

— Niech ojciec będzie pewny, że ja tam wcale do fajki się nie biorę; ot kupiłem sobie zwyczajnie z fanfaronady—rzekłem całując go w rękę.

— Dobrze, dobrze, zobaczymy! Rozgośćże się tymczasem w swoim dawnym pokoju, boć przecie nie będziesz tu długo popasał: w świat mosanie, w świat; trzeba szukać kawałka chleba, bo on tu sam podobno nie przyjdzie! Tylko jak widzę tyś wielkie jeszcze dziecko; ośmnaście lat skończył, a porządku w głowie za szeląg,

ba! i na wierzchu mniéj jeszcze. Patrzajno kochanie — rzekł wskazując na piersi starego mundurka znacznie poplamione—co to za ochędóstwo! Dalibóg, to cały szpejscettel wypisany. Acan możebyś go nie przeczytał, ale ja choć bez okularów, wszystko ci wyrecytuję: widzisz, tu rosół, tu pieczeń, tu barszcz, tu kawa — i po kolei wyliczał różne potrawy, oprowadzając palcem każdą z większych plam na surducie.

— To już stary, proszę ojca, przecież mi nie będzie potrzebnym.

— Co to znaczy mosanie?—stary czy nowy, powinien być czystym. Nie znasz przysłowia: „ubogo, byle chędogo", a nie miałeś karty nad łóżkiem przybitéj, hę? nie trąbiłżem ci w uszy od urodzenia, „że porządek jest duszą wszystkiego". Widzę dużo się zmieniłeś, a exkuzy są na pogotowiu; to trzeba zmienić mosanie, o trzeba! Jak starsi mówią, a zwłaszcza ojciec, acan stać powinieneś jak kołek i milczeć bez żadnych ale. Więc jutro żeby mi karta była nad łóżkiem przybita jak dawniéj, bo jeszcze i rózgę każę położyć, rozumiész!

Lubo znałem oddawna porywczość ojca, i oswojony byłem ze sposobem jego postępowania trochę za surowym; jednak przyznam się, w téj chwili jakiś nieopisany żal ścisnął me serce: stałem jak wryty, nie mogąc ni słowa przemówić na swoje usprawiedliwienie, a łza gorzka pomimowoli zakręciła się w oku. Widząc to ojciec, uczuł zapewne niejakie dla mnie politowanie, bo zapytał po chwili:

— A pokażno mi swoje świadectwo szkolne! Wszyscy mi gadali i gadali o twojéj pilności i postępie w naukach, niechże się téż przekonam.

Drżącą od wzruszenia i bojaźni ręką podałem zwitek papieru. Ojciec rozwinął go z miną najobojętniejszą, przypatrywał się okalającym pismo ozdobom, i zaczął przebiegać wzrokiem następujące po sobie przedmioty, za każdym poruszając głową. Gdy przyszedł do łaciny, oko jego zaświeciło żywszym blaskiem, twarz nieco się zarumieniła, z niecierpliwością ścisnął w ręku trzymany papiér i zapytał:

— A kto to Waści uczył łaciny?

— Kudelski, proszę ojca.

— Musi to być głupiec jakiś, mosanie!—odrzekł hamując uniesienie.—Bo jużciż, żeby lepiéj miał w głowie, toby się poznał na tobie i twojéj łacinie. No, no, widać już się świat do góry nogami przewrócił, kiedy ty, mój uczeń, z łaciny masz złą kreskę. Muszę téż napisać temu panu Kłaczyńskiemu, żeby sobie poszedł jeszcze na naukę do Pijarów wprzód, nim drugich ma uczyć.

— Proszę ojca, on miał złość do mnie, żem jego kuzynka na kartecz....

— Co tam złość, złość — przerwał rozgniewany —prywata nigdy iść nie powinna przed słusznością! Ale dajmy pokój temu, bo ja i innym nie wierzę; tyle tu rozmaitych nauk, o których w życiu nie słyszałem, a żyję chwała Bogu blizko lat sześćdziesiąt: jakieś zoologie, technologie, metrye, statyki, figielki, kugielki, a toć tego ze trzydzieści! U nas bywało sześć, a dobrze; tu zaś taka summa, któréj pewno i połowy nie umiész. Ho, ho! nie tak bratku, nie tak, tylko wolną znajdę chwilkę, sam cię wyegzaminuję, a zobaczymy, co to Waść umiész. Nie wierzę temu, nie!

Na to przyszła matka z drugiego pokoju, a widząc mnie tak zasmuconego, i rumianą twarz komendanta, wystąpiła z obroną:

— Mój Jędrusiu, że téż ty ciągle już gdérać musisz; dopiéro chłopiec co przyjechał, zdrożony, zmęczony, spieszył się jak mógł, by uścisnąć swoich rodziców i pochwalić się, że koszta na niego łożone straconemi nie zostały, a tu zamiast uciechy i przyjemności, spotyka gniewy może i niezasłużone. Wstydź się takim być ojcem: wszystko złe tylko widzisz w twych dzieciach, a od dobrego odwracasz oczy!

— Eh moja Imość gadaj sobie gadaj—odrzekł zupełnie rozbrojony—ty wiész swoje, ja swoje. Cóżemto Herod, a nie ojciec, czy co? Czy ja to nie radbym dzieciom nieba przychylić, mosanie; a że złe widzę zawsze, to dlatego, że jest złe. Człowiek powinien być dobrym, więc to dobre nie jest zaletą, a własnością każdego; złe zaś trzeba wykorzeniać, bo czego skorupka za młodu się napije, tém na starość trąci! Tylko mi nie becz ty psotniku—dodał zwracając się do mnie.—Pójdźże pójdź, niech cię uściskam, boś ty przecie już człowiek, nie ten malutki Jasio.

I zaczął tulić mą głowę na swojém łonie, a jam widział również, że oczy jego łez pełne, i czułem spadające na twarz moję.

— Widzisz mój synu, jam stary, a gdéranie to wadą starych: więc nie martw się, nie płacz, tylko postępuj tak jak ja chcę, a będziesz szczęśliwym, i mnie uprzyjemnisz kilka chwil jeszcze na téj ziemi. Teraz pójdźmy do mego pokoju, bo mam dla ciebie mały prezencik.

Zupełnie już uszczęśliwiony, obtarłszy oczy, ucałowałem po kilkakroć rękę kochanego ojca, podziękowałem i matce za skuteczne wstawienie się, a tak pojednani poszliśmy do pokoju rodziców.

— Jak ci się téż podoba ten zegarek?—zapytał ojciec wyjmując z ozdobnego pudełka nowy srebrny cylinder.

— Prześliczny, prześliczny!—zawołałem pochłaniając wzrokiem błyszczący zegarek—otóżto taki jest zupełnie, o jakim tyle lat marzyłem!

— Więc niech ci służy—rzekł ojciec podając mi takowy.—Pamiętaj strzedz go przez całe swoje życie, jako najpiérwszy dar ojca, gdy ten uznał cię już człowiekiem. Być może, że późniéj będziesz miał inne bogatsze zegarki, lecz przy nich nie będzie tyle życzeń, tyle szczęścia ojcowskiego, jak przy tym, który ci dziś ofiaruję. Widzisz tę moję dużą cebulę co wisi nad łóżkiem?—to podobny dar mojego ojca. Lat czterdzieści pięć jakem go dostał, od tego czasu w wielu to byłem nieszczęściach, w wielu potrzebach gwałtownych, i choć głód cierpiałem, okrycie ze mnie spadło—nie pomyślałem nawet o pozbyciu się onego. Pod Saragossą, gdy Hiszpan rannego wziął do niewoli, chciał mi go odebrać koniecznie, ostatek sił wydobywałem na obronę téj drogiéj puścizny, i Pan Bóg dopomógł, bo walcząc z nim już siła na siłę, gdy wspólnie osłabieni trzymając się w objęciach, upadliśmy na ziemię, szamocząc się jeszcze, nadbiegła nam poczciwa wiara, i wyrwała zemdlonego ze szponów zajadłego hildalga. Nigdy on mię nie opuścił; nawet gdym się dostał pod Możajskiem do niewoli, resztką pieniędzy jaką miałem przy sobie, okupiłem natrętnych amatorów. O! gdyby on mógł wypowiedzieć to wszystko gdzie był, co widział i słyszał, dużaby z tego urosła historya!

Za ojca przykładem, jak z rogu obfitości zaczęły się sypać podarki dla mnie. I matka miała jakąś drobnostkę, i stary dziekan, który mię najserdeczniéj przyjął, obdarował ślicznym krzyżykiem ze słoniowéj kości. Biédaczek nie mógł już odbywać zwyczajnéj musztry z ojcem, bo nogi wymówiły posłuszeństwo, głowa pochyliła się ku téj ziemi, która go ciągnęła w swoje objęcia. Stary dziadek kościelny, co rano prowadził go do kościoła, przy mszy podtrzymywał rękę, gdy trzeba było wejść po stopniach ołtarza, a potém odprowadzał na plebanią, zkąd nie wychodził wcale, chyba na taras przed oknami będący, z widokiem na Wisłę. Gdy zaś chciał znajomych odwiedzić, to parę koników tłuściutkich czekało z maleńką dryndulką, i dziarskim chłopaczkiem, podobno ostatnim wychowańcem proboszcza. Kundusia téż wcale nie dała się uprzedzić jegomości w latach. Krzątała się wprawdzie po kuchni, robiła kożuszki na śmietance, gotowała polewkę jak dawniéj, lecz wszystko to nie szło tak żywo. Od dwóch lat ogłuchła zupełnie; a że ciekawą była wszystko wiedzieć, co się w parafii działo: turbowała swoję czeladkę ciągłemi dopytywaniami o nowe zdarzenia. Krzyk téż bezustanny rozlegał się po plebanii; bo z wiekiem, gdéranie stało się prawdziwą i konieczną potrzebą codziennego życia kochanéj gosposi. Młode parobczaki i dziéwki śmiali się z Kundusi, która najczęściéj przekręciwszy niedosłyszany wyraz, robiła najdziwaczniejsze uwagi. I tak naprzykład gdy pytała:

— A gdzieżto Tomaszek?

— Proszę pani poszedł do roli.

— Co co? w piersi go boli! A dlaboga to może suchoty! Zagotujże też dziewanny Jagna, niech pije póki może; trzeba mu i kozłowego łoju dostać ze spiżarni: leży tam koło okienka na pułce. Czegóż stoisz jak malowana, nie słyszałaś jagem rzekła, żeby kozłowego dostać!

— Ale proszę pani on zdrów jak ryba, tylko poszedł w pole—wrzasnęła jéj do ucha Jagna.

— E! bo to gadacie Bóg wié po jakiemu: roli, boli; uczę was i uczę poczciwie i wyraźnie mówić, a wy po swojemu zawsze. Co to za roli?—mówi się w pole.—Nie chciała bowiem staruszka przyznać się, że jest głuchą

i starą. I gdy mówiono do niéj cichszym głosem, zwłaszcza kto nieznajomy, uśmiechała się tylko, kiwała głową, jakby to wszystko rozumiała, a tylko nie chciała odpowiedzieć.

— Jak mi téż Jasio wyrosł, wyładniał—zawołała widząc mię u dziekana.—Mój Boże! rychtyczek taki jak mój brat Felix; żeby tylko kaci go gdzieś w świat nie ponieśli, co byto za kawaler był w te czasy! No mój Jasiu, jak uważasz, bardzom się podstarzała?

— Bynajmniéj, moja panno Kunegundo—rzekłem do ucha staruszce—osoby podobnego prowadzenia się, nigdy się nie starzeją w naszych oczach.

Uśmiechnęła się mile Kundusia pomrukając: „Pochlebnik, a taki młody" i pobiegła żywo do spiżarni, wyniosła pełen talerz smażonych owoców, które stawiając przedemną, rzekła:

— Jédz, jédz Jasieńku, pewnoś tam na pensyi ani widział tak ładnych gruszek; bo to w mieście oni nie potrafią tego: męczą i suszą gruszęta, ale nie tak jak trzeba. Jużto ja nie chwaląc się mam spryt do tego, a choć mówią na Kundzię stara, stara: czy to nie ma starszych odemnie na świecie czy co? A babka Słowikowska, a siostra burmistrzowéj, a nasz kanonik nieprzymierzając—rzekła ciszéj!—Co téżto będzie za bałamut z tego Jasia—dodała po chwilce, wspomniawszy zapewne na mój komplement—Oho! dziewczęta skakać za tobą będą, boć Kundzia zna się na tém; i nie chwaląc się jak tu zajrzy na plebanią jaki młodzik np. poczciarz tutejszy, to jak spojrzę na niego, nie wytrzyma wzroku, nie wytrzyma! Ale to widzisz trzpiotowate bardzo; choć i ręce całuje i mizdrzy się, ja to tam nie wierzę mężczyznom: oni tylko aby rozkrwawić serce, rozkochać i uciec!

Ten zaś młokosik Kundzi, poczhalter roztrzepany, miał około sześćdziesiąt lat z górą; lubił śliwowicę przedewszystkiém, a że w spiżarni na plebanii jéj nie brakowało, wraz z suszonemi śliwkami, to téż i oczka gospodyni błyszczały jak dyamenty, podług zapewnień poczciarza.

Słówko jeszcze o komendzie. Przez czas pobytu mojego w szkołach, komenda zupełnie się zmieniła.

Trzech tylko zostało dawnéj daty, reszta wymarła, przekazując swe miejsce następcom, których jeszcze nie brakło.

W dzień mojego przyjazdu, a raczéj téj nocy, przypadła kolejna warta na Duszaka. Zgarbiony, z ogromną laską w ręku, przylazł starowina na odwach, i gdy się dowiedział o moim przyjeździe, pospieszył mię powitać.

— Panie Jasiu! poznajesz téż starego?

— Poznaję, poznaję, Duszaku. Jakże się miewacie mój kochany majsterku; są tam dla mnie fuzyjki drewniane?—zapytałem uścisnąwszy starego.

— Wolne żarty paniczu; gdzie to tam w głowie fuzyjki teraz—zawołał uśmiechając się Duszak.

— A jak się téż miewa Włodarczyk, Kownacki, Gawlik?

— Oho! Włodarczyk fiu! na cmentarzyk.

— Co, umarł?

— I kiedy! a przecieżto na święty Józef będzie temu lat trzy. Niedługo za nim poszli Romsza, Trojański i Wiśniewski; biéda panie, biéda: nas trzech zostało dawnéj daty. Kownacki jak pił tak pije, kłóci się z kumoszkami, breweruje jak dawniéj; Gawlik w młynie mieszka, miele i jé boćwinę; ja zaś, jak panicz widzisz, wyglądam rychło tam staruszka kościstym pałaszem zachrzęści nad głową: chrzyp! chrzyp! pójdź Kuba do wójta!

— Niechże Bóg broni, mój Duszaku—odrzekłem.

— E! co tam w bawełnę obwijać: przecie to siódmy krzyżyk za pasem; nażyło się już dosyć na świecie.

— A nowi koledzy czy tacy jak dawniejsi?

— Jak niebo do ziemi, mój panie Jasiu! Zwyczajnie jak rekruty.

— Co znowu rekruty w weteranach!

— A rekruty paniczu: wszystko to z 14go., z 15go., 16go roku. Co oni tam wiedzą o Napoleonie i jego armii: żaden nie był w Hiszpanii, Italii, ani nawet w Rossyi. My z 6go, 7go i 8go roku, np. ojciec panicza pan kapitan, ja, Gawlik, to co innego. Wszystko to nowe, młode, chłop w chłopa; boć ten mospanie Skorodzki, Wanecki nie mają więcéj jak pięćdziesiąt lat.

— I to młode, mój Duszaku?

— Jużciż młode; to nie tak jak my 67, 70 i 73.

Cały wieczór w towarzystwie poczciwego starowiny przepędziliśmy na wspólnéj pogawędce. Obadwaj z ojcem rozmawiali o Hiszpanii, o Somo-Siera, o Saragossie; sprzeczali się o jakieś zamczysko ze dwie godziny, że stało po prawéj stronie nie po lewéj, potém o ilość armat pod Borodinem, wreszcie skończyli na rewii pod Wolą. Ja słuchałem z uwagą tych sprzeczek starych wojaków, dumałem o téj garstce dziś niedołężnéj, co to kiedyś na czele małego kaprala Francyi trzęsła Europą. Nareszcie znużony podróżą i całodziennemi wrażeniami, usnąłem szczęśliwy na dawném łóżeczku z tą samą myślą swobody, a sen błogi, sen młodości igrał sobie z moją duszą, przedstawiając mordercze walki w Hiszpanii, śmiejącą się postawę ukochanéj matki, Kundusię w dużym czépku z żółtemi wstążkami, zegarek srebrny, lalki siostrzyczki, i zgarbionego z drewnianą fuzyjką Duszaka.

II.

Anim się spostrzegł, jak ubiegł tydzień jeden i drugi, wśród uciech rodzinnych i nieprzerwanych rozrywek, które mi wynajdywał poczciwy ojciec.

Odwiedzałem sąsiedztwa, polowałem chartami z majorem Wolickim, gotowałem tytuń i gospodarowałem z ojcem; chodziłem do dziekana na miłą pogawędkę, rysowałem piękniejsze widoki okolicy, a o zmroku codziennie, jeżeli pogoda sprzyjała, razem z rodziną udawaliśmy się na przechadzkę, nad brzegi srebrzystéj Wisły. Ojciec całkiem był ze mnie zadowolony. Przy każdéj téż sposobności starałem się mu dać poznać z mojemi wiadomościami, żeby przecież wiecznie nie miano mię za dziecko. Stary porucznik słuchał z natężoną uwagą moich dowodzeń, zarzucał kwestye, powątpiewał; lecz w końcu przekonać się musiał, że i te fizyki, zoologie i t. p. na coś przydać się mogą. Zresztą byłem dla niego z największym szacunkiem i miłością, na które zasługiwał raz jako ojciec, drugi raz jako stary wojak i człowiek z najpoczciwszém sercem. Puszczałem mimo siebie gdérania, umiałem tak zręcznie trafić w jego przekonanie, tak rozbroić gniéw pochodzący z nadzwyczajnéj żywości: że matka nie przestała odda-

wać mi codziennych pochwał, jak potrafiłem rozruszać komendanta, który już od niejakiego czasu stracił wiele z téj dawnéj swobody i żywości.

To téż jednego dnia, gdyśmy znużeni wrócili z polowania, po wieczerzy już, porucznik zapaliwszy ulubioną lulkę, pociągnął mię przed sień, i kazał siąść przy sobie na ławeczce ustawionéj przed gruszką. Już z miny jego mogłem wyczytać, że coś ważnego ma mi powiedzieć, bo z niezwykłą powagą wziął mię za rękę, i patrząc śmiało w oczy zapytał:

— No, i cóż mój synu? Skończyłeś szkoły, to prawda, ale nie koniec jeszcze twego zawodu na świecie; powiédźże mi tak szczerze, otwarcie, do czego téż masz ochotę udać się teraz?

Zagadniony niespodzianie, wybąknąłem wahając się, że sam jeszcze o tém nie pomyślałem, i że rada ojca, jako doświadczonego w tém życiu, najwięcéjby mi dopomogła.

— Eh! gadasz jak dziecko, mój Jasiu: cóżto ja będę żył za ciebie na świecie? Tu wola twoja najwięcéj znaczyć powinna.

Milczałem, a porucznik puszczając wielkie kłęby dymu i pukając ustami przy każdém otworzeniu, obrócił się nagle ku mnie, mówiąc:

— A co? nie miałbyś ty ochoty iść na księdza?

Lubo wcale się nie spodziewałem podobnéj ze strony ojca propozycyi, jednakże śmiało i stanowczo odrzekłem:

— Nie, proszę ojca. Ja nie czuję się na siłach wydołać tak wielkim obowiązkom, jakie stan duchowny na nas wkłada. Co się tyczy mnie samego, możebym się odważył zostać księdzem. Dzięki twéj staranności kochany ojcze, podjętéj przy mojém wychowaniu, dzięki téj religii, jaką wpoiłeś w młode me serce, nakoniec dzięki téj wytrwałości i tęgości charakteru w ważniejszych postanowieniach, których nauczyłem się od ciebie: pomimo burz i namiętności młodego wieku, możebym wytrwał w tym stanie, jeśli nie duchem i sercem, to przynajmniéj zewnętrzną formą. Lecz ja widzę w powołaniu duchownego inne daleko ważniejsze obowiązki: tojest obowiązki względem bliźnich, tych owieczek przez Boga jego pieczy pozostawionych! Tym nie zdołałbym

zadosyć uczynić, bo potrzeba urodzić się już ofiarą, skazaną na stos całopalny dla ludzkości, a jam zanadto słabego ducha; potrzeba zaprzeć się siebie, stracić uczucie własnego ja, a mój umysł zanadto próżnością świata zajęty. Czuję to, powiadam. że tak szlachetna z życia swojego, duszy i ciała ofiara, jest wielką i godną najwyższego uwielbienia; lecz uderzywszy się w piersi, muszę powiedzieć sobie z całą otwartością: zasłabyś! upadniesz!

Z wielkiém zajęciem słuchał poczciwy ojciec téj z serca płynącéj mowy, a gdym skończył, westchnąwszy głęboko powiedział:

— Dobrze mówisz, mój synu: tyś nie na księdza. Szkoda, marzyłem twoję przyszłość ot taką, jak naszego dziekana; lecz darmo, pod wodę płynąć nie można: nie odpowiedzieć swemu powołaniu duszą i głową, gorzéj jak wcale nie rwać się do tego. Ale koniec końcem do czegóż ty masz ochotę?

— Otóż proszę ojca — odrzekłem śmiało — jabym chciał słuchać prawa, bo ten zawód najlepiéj odpowiada moim skłonnościom.

— Dobrze, dobrze mój synu, tylko co wyjąłeś mi z ust toż samo — zawołał ojciec ze szczerą radością i uścisnął mię serdecznie. Ten zawód szlachetny przystoi tobie: jurysta, mosanie, dawniéj był poważany bardzo; mój ś. p. ojciec a twój dziadek, do śmierci pełnił zaszczytny urząd konserwatora hypotek, a ludzie go czcili, Bóg błogosławił; dziś jeszcze w Krakowie zapytaj o starego W., a każdy ci powié: „to była tęga głowa, mosanie, uczciwości człowiek; szkoda że nie umiał pamiętać o sobie, bo podobno dzieciom żadnéj fortunki nie zostawił, choćto i akcydensa były potemu." Bądź tylko mój synu takim jak twój dziad, umrzéj biédnym, a z wdzięczném wspomnieniem ziomków — więcéj nie żądam. Widzisz, nic nie wziąłem od ojca, a chwała Bogu żyję uczciwie, i jaki taki grosz znajdzie się w szkatułce. Postępuj tylko jak ci Bóg i wiara święta nakazują, bądź sprawiedliwym i litościwym dla drugich, a będziesz szczęśliwym i bez majątku! Majątek, mosanie, psuje nas prawie zawsze: mając więcéj sposobności dogadzania swym namiętnościom, brniemy w nie coraz bardziéj, nie czując tego wcale; oswajamy się z występ-

kiem, bo go przykryć możemy garścią złota, nie boimy się złéj opinii, bo łatwo zamknąć usta ludzkie naszém bogactwem. Nie marz mój synu nigdy wielkości zmysłowych, pragnij tylko mierności przy spokojném sumieniu i cnocie; bo powiadam ci, niezawsze jest szczęście w złoconych karetach i wspaniałych pałacach, niezawsze spokój i wewnętrzne zadowolnienie w sercach tych półbożków ziemskich! Nie pnij się nigdy wyżéj nad stan twój majątkowy; twoją pozorną blichtrą nie zdołasz oszukać drugich, tak jak siebie samego: wcześniéj czy późniéj, prawda wyjdzie na wierzch jak oliwa z wody, i czém wyżéj się wspiąłeś, tém niżéj upaść musisz. Rozum twój, postępki twoje szlachetne, prawdziwa zasługa, niech cię wywyższą nad innych, bo taka sława pewniejszą jest i trwalszą, niż miliony próżnujących i bezczestnych bogaczów!

Umilkł, a jam z natężoną uwagą słuchał jeszcze. W duszy mojéj słowa te brzmiały jak melodyjne tony czarownéj pieśni, która wlewając drugie życie w nasze jestestwo, każe zapomnieć obecności. Wszystko to trafiało do méj duszy i przekonania tak łatwo, tak piękne dawało pojęcie życia, żem po raz piérwszy dopiéro uczuł stanowisko człowieka na téj ziemi. Umysł przedarł pokrywającą go zasłonę dzieciństwa, a pokazał w świetnie umajonéj barwie cel świętego posłannictwa, opartego na prawdziwych zasadach wiary.

— Kiedy więc masz zamiar uczęszczać na kursa prawne w Warszawie, to za kilka miesięcy będziemy musieli udać się tam obadwaj, żeby jakoś ulokować cię w uczciwém miejscu; bo to świat wielki zaraza dla niedoświadczonéj młodzieży. A mamci ja tam jednego przyjaciela, nawet krewniaka urzędnikiem w którémś z biur tamtejszych; musi już być teraz emerytem jeżeli żyje, bo znacznie odemnie starszy. Człowiek to uczciwy, bogobojny, choć trochę mantyk. U niego cię tedy ulokuję, a będę spokojny o twoję przyszłość. Przypomnijże mi w niedzielę, abym napisał do niego w tym względzie, to on nas objaśni o wszystkiém. Teraz już chłodno, więc pójdźmy do pokoju; zaś kładąc się spać, nie zapomnij mój synu zmówić modlitwy dziękczynnéj do Boga, od którego wszystko pochodzi, i który wszystkiém

kieruje. Jutro poproszę dziekana, aby na tę intencyą odprawił mszą świętą, na którą wszyscy pójdziemy.

Tak więc ułożoną została moja przyszłość, ale tylko ułożona. „Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi", mówi przysłowie, tak też i z mojém sądownictwem się stało. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Jeżeli dotąd prowadziłem czytelnika za sobą z ławek szkolnych aż do ostatecznéj rozmowy z ojcem, dość ckliwo opowiadając zdarzenia nikogo obchodzić, ani zajęcia wzbudzić nie mogące; jeśli to ja dotąd figuruje na każdéj stronnicy: to przyznaję się zupełnie, inaczéj napisać nie mogłem. Tu jestem prostym opowiadaczem, więc tylko myśli i uczucia jednéj osoby mogę malować dokładnie; innych zaś przedstawiam zewnętrzne objawy tych uczuć, tojest działania. Cała niniejsza powiastka będzie niejako pamiętnikiem pewnéj epoki młodości; więc jeżeli macie chęć poznać historyą serca jakich wiele na świecie, czytajcie daléj. Lecz jeżeli spodziewacie się czegoś nadzwyczajnego, ostrzegam, możecie się zawieść. Tu będzie wyjątek z życia kilku osób jednéj familii, tak, jak o nim słyszałem z ust samego syna komendanta, z szczerą prawdą opowiedziany. Prawda jest mojém hasłem, więc jeśli ją lubicie, proszę za mną.

* * *

Po pięknych dniach lipca i sierpnia nastał słotny wtedy wrzesień. Siedziałem sobie u rodziców jak u Pana Boga za piecem, nie myśląc o jutrze, nie troszcząc się o nic, bo uprzedzano prawie moje życzenia i chęci, dogadzano pod każdym względem. Pamiętam dobrze, było to we czwartek w wigilią Narodzenia Najświętszéj Panny Maryi. Deszczyk drobniutki, co to kości przejmuje, padał sobie już od trzech dni, jakby go kto najął: ani sposób gdzie się wyruszyć. Drogi popsuły się bardzo, a trzeba wam wiedzieć, że jak tamtejsze gliny i rędziny rozmokną, choćbyś miał najlepsze konie, nie ujedziesz dziennie więcéj jak trzy mile. Nudziliśmy się też wybornie z ojcem. Stary porucznik już trzy razy przerzucił swoję szafkę, wszystko otrzepując z kurzu najstaranniéj; zajrzał do zegara, ale ten jak na złość szedł wyśmienicie, bił tyle godzin co było potrzeba; stołki w zwyczajnych sze-

regach stały w bawialnym pokoju, recepty nie miał żadnéj do fabrykacyi tytuniu: słowem, wszystko było w zwykłym porządku. Zapaliwszy więc fajkę po obiedzie, chodził zachmurzony po pokoju, głośniéj jak zwykle pukał ustami, widocznie myślał o nowéj majsterce. Naraz stanął przed zwierciadłem, popatrzył się w nie czas niejaki, rzucił fajkę na obok stojącą komodę, i szybko pobiegł do swego kącika.

— Muszę sobie sporządzić węgierkę—mówił do siebie zcicha, widocznie uradowany—jak raz nie mogła się lepiéj podrzeć jak dzisiaj. Słuchajno Jasiu!—rzekł obracając się do mnie—weźno jaką książkę np. Żywoty sławnych Polaków i przeczytaj co o Zamojskim, a ja tymczasem narządzę mój surducik.

— Wstydziłbyś się też mój mężu zajmować robotą, która ci wcale nie przystoi! Zdejmże ten surdut, to sama go zeszyję lub każę Małgosi.

— Jeszcze też tego brakowało!—zawołał z żywością porucznik—żeby Małgosia dotykała się moich rzeczy: jeszcze tego!—powtarzał.

— Przecież twoja węgierka nie żadna świętość—przerwała matka—żeby się jéj nikt nie mógł dotknąć.

— A właśnie, że świętość, moja imościeńku. Że też to nie możesz się odzwyczaić od tych babskich narowów; od 25 lat chwała Bogu jakeśmy się pobrali, ciągle mi musisz oświadczać się z swoją reparacyą, a ja imości powiadam, że choćbyś drugie 25 lat żyła, ani jednego ściega nie dam ci zrobić w téj węgierce! Jak wy tam umiecie sporządzać, niech Pan Bóg broni! Zwyczajnie po babsku, palec ścieg od ściega.

— Ale zawsze lepiéj od ciebie, mój mężu, bo jak ty zeszyjesz, to w trzy dni się popruje.

— Eh! co tam imość mię będziesz uczyć! Jeszcześ na świecie nie była, gdym ja lepiéj szył od ciebie. A któżto tam w pułku daje rzeczy do reparacyi, hę? Sam każdy musi się oporządzać i dobrze jest: czysto, zgrabnie, jakby żadna z was na bal nie wystąpiła, mosanie! Proszę cię raz nazawsze, zaprzestań swoich narzucań. Jużto taka moja natura i przyzwyczajenie, od których na krok nie odstąpię. Zresztą co w tém złego, powiédz? Któż to wié, jaka dola czeka na świecie każdego z nas: dlaczegóż nie umieć tego samemu, coby od drugich pro-

śbą zyskiwać można. U mnie mosanie biéda, a nie prosić nikogo, bo jak ci co dadzą, tysiąc razy wymówią i pewno większe z tego tytułu będziesz miała nieprzyjemności, niż przyjemność przy pomyślnym rezultacie prośby.

Matka umilkła, jam trzymał książkę i czekał rychło zacząć, a stary tymczasem wydobył z szuflady swoje jak nazywał michałki. Byłto płatek granatowego sukna, długości może dwunastu cali, obszyty tasiemką i w środku przedzielony. Po obu stronach, naszyte jedna na drugą małe kieszonki, i założone jak u żaluzyi, mieściły w sobie różne krawieckie przyrządy, jakoto: igły, naparstki, wosk, nici i t. p. Porucznik zdjął surdut, obejrzał ranę pod jego pachą, włożył na nos podwójne okulary, i usiadłszy przy oknie, wydobywał nici, dobierał do koloru sukna, woskował, jak najlepszy krawiec. Potém nadziawszy naparstek, założył pasemko nici na szyję, nawlókł igłę, i wziął się w milczeniu do pracy, rozmawiając z surdutem według swego zwyczaju: „Jak się ty mogłeś rozhulać tak szeroko, mój szaraku! Poczekaj, dam ci łatkę! Ale zkąd wziąć u diabła takiego sukna? Poczekaj, znajdziemy wewnątrz".

Więc wyrznął kawałek z pod spodu, i przykrajał nożyczkami, a mnie kazał czytać.

Już doszedł połowy swojego dzieła, gdy wpadła do pokoju Małgosia z niezwykłą żywością, wołając:

— Proszę państwa jakaś młoda pani przyjechała do nas, i schodzi z wózka!

— Co u kroć furbeczek, ktoby to był taki?—pomruknął porucznik i włożył z pośpiechem swą węgierkę napół zrestaurowaną, z zapiętą pod pachą igłą, i wiszącym kawałkiem sukna. Wybiegł szybko do piérwszego pokoju, a matka, ja i siostra za nim. W istocie młoda jakaś kobieta, omatulona płaszczem, w kapturze nasuniętym na oczy, z białą tasiemką u dołu sukni, wymykającą się z pod płaszczyka, przemoknięta zupełnie, weszła nieśmiało do pokoju, pytając miłym głosikiem: „Czy tu mieszka pan kapitan R*".

— Takjest, tu— odrzekł ojciec dość chmurno, gniewając się zapewne, że mu przerwano tak ważne zajęcie—cóż pani żądasz od niego?

— Ja chciałabym się z nim samym widzieć—wymówiła pomieszana nieznajoma—mam list do niego bardzo pilny!

— Ja nim jestem, moja pani!

Kobieta odsłoniła kaptur ręką, spojrzała załzawioném okiem na kapitana, tak dziwacznie wyglądającego w podwójnych na nosie okularach, z pasemkiem nici na szyi, i naparstkiem na palcu, że pomimo boleści malującéj się w twarzy jéj i całéj postawie, uśmiechnęła się nieco. Matka prosiła aby zrzuciła z siebie przemoczone suknie, i sama jéj w tém pomogła; a następnie przeprowadziwszy do bawialnego pokoju prosiła siedzieć. Nieznajoma wydobyła list z za gorsu, i podając go zdziwionemu tém milczącem obejściem się ojcu, wyrzekła z płaczem:

— Ten list objaśni pana o wszystkiém; racz go przeczytać, bo sama mówićbym nie potrafiła!

Ojciec spojrzał z współczuciem na tego dziwnego gościa, pochwycił z niecierpliwością list czarną pieczęcią opatrzony, i niebadając już herbu na pieczątce, nie dumając nad adresem, z chciwością zaczął przebiegać pismo. Tymczasem miałem sposobność przypatrzyć się panience, która z największą niespokojnością i trwogą prawie wodziła nieśmiało wzrokiem po wszystkich otaczających ją twarzach, zdawając się chcieć przeniknąć myśl tych osób, do których los ją przybliżył; tę myśl, jak ją téż przyjmą po przeczytaniu listu. Mogła mieć nie więcéj jak szesnaście lub siedmnaście lat. Ciemne włosy do góry środkową pręgą zaczesane, odkrywały wydatne i piękne czoło, pełne szlachetności i powagi prawie nad jéj wiek. Oczy duże modre, ocienione długą rzęsą, miały jakiś szczególny i pociągający urok, zwłaszcza w téj chwili, gdy badały nieśmiało otaczające ją osoby. Nosek nieco zadarty klassycznéj regularności, usta małe koralowéj barwy i doskonały owal twarzy, uzupełniały całość bardzo miłego oblicza, na którém rozlany prawdziwy smutek i żałość głęboka, zjednywały serdeczne współczucie, i kazały kochać osobę, nie znając jéj wcale. Może jaki znawca piękności, lub młody a skrupulatny taksator powierzchownych wdzięków kobiecych, zarzuciłby jéj nieregularność troszkę wystających kości policzkowych; może uznałby te świeże ru-

mieńce zanadto parafiańskiemi, ale jawowéj chwili wcale nie zwróciłem na nie uwagi. Mnie postać téj bolejącéj dziewicy wydawała się zachwycającą; ten wzrost bujny, ze szczupłym stanem, najpiękniejszą figurą kobiety, jaką kiedykolwiek widziałem. Ubrana w czarny kamlotowy szlafroczek, z szeroko rozwartemi rękawami, przewiązana na głowie chusteczką takiegoż koloru, i sznurkiem zarzuconych na szyi koralików, dziwnie odbijających przy nadzwyczajnéj białości jéj cery. i wreszcie z smętną minką i oczami łez pełnemi: zdawała się być tą cudną Peri, tęskniącą za utraconym rajem.

Twarz ojca w miarę dalszego czytania listu przybierała coraz trwożliwszą minę: oczy mimowolnie się mgliły, tak, że nie mógł daléj czytać, bo gęste krople łez jak grad padały na trzymany w ręku papier.

— Mój wielki Boże!—zawołał rozdzierającym głosem, padając na kolana przed siedzącą nieznajomą— więc pan pułkownik nie żyje? Droga panno pułkownikówno, królowo moja! ja twój sługa do śmierci!—i wysilony żalem, zakrył twarz rękoma, skłaniając siwą głowę na kolana zanoszącéj się od płaczu panienki.

— Co się takiego stało, co?—zawołaliśmy wszyscy razem, z nieudaną trwogą.

Lecz nic się dowiedzieć nie można było, gdyż głośne łkania tłumiły odpowiedź.

— Masz, czytaj głośno—rzekł ojciec podając pismo.

Schwyciłem list z skwapliwością nie do opisania, i otóż co się dowiedziałem:

Kochany mój i najdroższy przyjacielu!

„Nie dziw się mój przyjacielu, że przypominam ci tu chwilę najmilszą mojemu sercu. Pamiętasz ty przejście gór Samo-Siera? pamiętasz młodego adjutanta, biegnącego na koniu z rozkazem naczelnego wodza, do drapiącego się na górę walecznego naszego wojska; pamiętasz zapewne i tę chwilę, gdy przeszyty kulą ów adjutant, upadł przy nogach twoich, zalany potokiem krwi buchającéj mu z piersi?

„Co do mnie pomnę to doskonale, tak, jakbym czuł jeszcze twe szlachetne ręce, które niosły mię do ambulansu pośród gradu kul, sypanych z nieprzyjacielskich bateryj. A pamiętasz Andrzeju owe słowa, które wy-

rzekłeś przy łożu wracającego do zdrowia adjutanta? Jeśliś zapomniał, to ci je powtórzę dzisiaj: „Panie majorze, do trzeciego pokolenia jam twój duszą i ciałem!"

„Widzisz, ja wszystko to mam przed oczami, ja przedstawiam to dziś twojéj pamięci, bo.... daruj méj otwartości, bo chcę korzystać z tego.

„Od dwóch tygodni czuję się słabym, i bardzo słabym nawet; czuję, że moja godzina wybije niezadługo, że muszę opuścić tę piękną ziemię, na któréj chciałbym żyć wieki jeszcze, nie dla siebie wprawdzie, bo ja dość żyłem, lecz dla kochających mię i kochanych przezemnie osób, których żal wielki opuszczać!

„Mój Boże! a ja mam córkę, tego anioła opiekuńczego mojéj starości, któregom wychuchał własném tchnieniem, wychował żołnierską dłonią, tego anioła mówię, na któregom przelał swą duszę, wolę, życzenia i całą istność. Patrz, moja Stefcia płacze w drugim pokoju, ocierając starannie łezki, bym nie gromił ustami jéj żalu. Patrz, ona przeczuwa sieroctwo, tuli się do mego łona z rzewnością, która wstrząsa dogorywające moje nerwy: chce w tym uścisku ponowić wszystkie minione pieszczoty, i zabrać tyle nowych, by jéj na przyszłość wystarczyły. Biédna sierota bez matki, bez krewnych, bez majątku nawet! Jak ten ptaszek zabłąkany na puszczy, gdzież skieruje lot swój nieśmiały, gdzie znajdzie schronienie przed burzami świata, które zawisły na jéj dziecięcém czole? Andrzeju! myśl ta rozdziera do reszty ojcowskie serce. Mój Boże! mój Boże! całe życie spędziłem jak tułacz, nie znając co dom, co spokój, co familia; całe życie pracowałem ciężko na kawałek chleba, odmawiałem sobie najdrobniejszych przyjemności, skąpiłem na wszystkie strony, aby nadal zabezpieczyć jako tako los mój przyszłéj dziedziczki: i wiész com zebrał? 15,000 złotych, 15 i nic więcéj!.... Lecz bluźnię narzekając, bluźnię przeciw Bogu i tobie. Czyż nie większy skarb znalazłem od milionów, kochany Jędrzeju, nie większy jak wyobrazić sobie można? Tak jest, znalazłem serca, które kochały mię jak brata, więcéj nawet niż brata: temi zaś jest twoje, i twéj zacnéj małżonki. W zaufaniu więc téj przyjaźni, pomnąc na owe słowa na początku przytoczone, oddaję ci mój skarb jedyny, moję Stefcię; nie wątpiąc, że znajdzie u was

drugiego ojca i matkę, i że zajmiecie się jéj losem, jak losem własnych dzieci. Nie daję tu żadnych rozporządzeń, żadnego nie objawiam życzenia co do przyszłości méj ukochanéj jedynaczki: wszystko to zostawiam twemu uznaniu i twemu popędowi własnéj woli. Rozrządzaj nią jak swoją, obmyśl los i przyszłość jakie za najlepsze uważać będzie twe serce, a ja z góry się zgadzam najsolenniéj bo.... bo, inaczéj nie mogę. Kapitalik jaki pozostanie, i ruchomości, zabierz do siebie lub sprzedaj, jak ci tam dogodniéj będzie. Zanadto znam dobrą twą stronę, abym na chwilę mógł powątpiewać o twojéj prawości; lecz proszę cię, chroń nadewszystko téj małéj spuścizny Stefci, bo wszyscyśmy śmiertelni: i tyś już stary, i zacna twa żona nie piérwszéj młodości, a któżby potém chciał opiekować się biédną sierotą? Wiész, na samę myśl twojéj śmierci drżę przeczuwając moję! Lecz dobry Bóg nie dopuści téj klęski na niewinne stworzenie jego; coś mówi do méj duszy, że moja Stefcia będzie szczęśliwą, i że to szczęście winna będzie tobie.

„Teraz pomówmy o sobie, drogi mój przyjacielu! Na śmiertelném posłaniu złożony czyż mogę powiedzieć więcéj jak to: żem kochał cię i kocham jak nikogo w świecie. Składam ci zatém ostateczne dzięki za te chwile szczęścia, jakie mi przyjaźń twoja uwieńczyła na téj ziemi; przepraszam stokrotnie za wszystkie błędy moje, które ci jakąś przykrość przynieść mogły, bo wszyscy jesteśmy słabemi i niedołężnemi istotami! Więc przebacz Andrzeju sercem i myślą, a spokojniéj dusza moja spoglądać będzie na ten znikomy padół łez i utrapień. Nie smuć się moim zgonem, nie dodawaj żalu swemi łzami ukochanéj méj Stefci, bo ja tam z góry zawsze patrzeć będę na was, cieszyć się waszém szczęściem, lub ubolewać nad waszą niedolą. Nie, nie! duch ludzki nie może zapomnieć węzłów łączących go z doczesnością; on przebywa zawsze z miłemi mu osobami, spogląda na wszystkie ich kroki, i ochrania od zguby. I ja też nie rozdzielę się z wami, choć ciało zniszczeje: będę gościł u was, jak ten anioł stróż każdego człowieka.

„Gdy list ten czytać będziesz, już ręka co go kreśliła, zamarła nazawsze. Śmierć sparaliżowała wiecznie te członki, które wysiliły się, by przelać serce na ten

milczący papiér. Przyjm więc tu ostatnie pożegnanie twojego pułkownika; przyjm je tak, jakbyś zostawał w jego objęciach, patrzał w zamglone śmiertelnym całunem oczy! Poszepnij wieczny odpoczynek za duszę przyjaciela, zwierzchnika i ojca; pożegnaj odemnie twoję rodzinę i dobrych przyjaciół; powiedz im, że ostatnie słowo moje było dla nich, że ostatnie uderzenie pulsa zamarło, pałając miłością nieskończoną i szacunkiem bez granic. Przytulcie moję sierotę do waszego poczciwego łona, zapłaczcie nad jéj sieroctwem, aby łza prawdziwéj przyjaźni i miłości, poświęcona jéj biédnemu ojcu, spłynęła na niewinną główkę. Oh! widzę was, słyszę łkania przerywane wybuchami żalu i boleści, i to mnie cieszy, bo nie żal umierać, zostawując na ziemi podobne wspomnienia!"

Poniżéj już drżącą ręką dopisane były następujące słowa: „Przeczuwam, że dziś skończę! Zaklinam cię więc Andrzeju, pamiętaj téż o mojém dziecku; bo nie tyle lękam się zbliżającéj śmierci, ile drżę wspomniawszy na przyszłość méj jedynaczki. Żegnam cię więc jeszcze; do zobaczenia w lepszym świecie, bo przecież się kiedyś zobaczymy!... Módlcie się za mnie"....

Bukowski.

Ledwie że mogłem dokończyć czytania, taki żal ogarnął me serce; oczy zaćmiły się, i papiér mimowoli wysunął się zpod palców. Nie mogłem zebrać przytomności, pojąć téj katastrofy tak szybkiéj i niespodzianéj; zdawało mi się niepodobnem, aby człowiek ten, który wylał swoję duszę z taką rzewnością i bolesną prawdą, którego żywy oddech prawie czułem na mojéj twarzy, mógł umrzeć! Nie byłem w stanie wyobrazić sobie pułkownika, którego niedawno widziałem w pełni życia, z całym zasobem wesołości, tak kochanego od wszystkich, dziś już znikłego nazawsze z widowni świata!

Widać, że i sercami innych miotały podobne uczucia, bo przez chwilę nie mogliśmy słowa wyrzec, spoglądając po sobie z wyrazem osłupienia. Nakoniec matka porywając w objęcia zapłakaną Stefcię, zawołała z uczuciem nie do opisania:

— Stefciu, Stefciu! moje kochane dziécię, nie płacz! Boskie to rozrządzenie: trzeba mu się poddać z pokorą

i ufnością! Masz oto we mnie matkę, w mężu moim ojca, a w dzieciach naszych rodzeństwo; my kochać cię będziemy bardzo, tak jak kochaliśmy szlachetnego twojego ojca!

— Mój Boże! ktoby się też był spodział—przemówił ojciec potrząsając głową—pan pułkownik niestary jeszcze; jak to znikome to życie ludzkie!... No, no, ukój się panno pułkownikówno, otrzyj te łezki i kochaj nas nawzajem za ojca i siebie. Da Bóg, będziemy sobie radzić, jak będzie można; widzisz, to moje dziatki jedyne—rzekł wskazując na nas—miałem ich dwoje, przybyło teraz trzecie, i za to składam niebu dzięki. Uważaj dom ten za swój, rządź nami wedle swéj woli, a wszyscy słuchać cię będziemy, jak rozkazów ojca twego nieboszczyka pułkownika.

To słowo nieboszczyka jakoś nie chciało wyjść śmiało z ust jego; biédny nie mógł go jeszcze wymówić bez pewnego wahania się i żalu.

Otoczywszy przybyłą, długo, długo słuchaliśmy z zajęciem rzewnego opowiadania o ostatnich chwilach pułkownika. Tyle w niém było rozdzierających serce szczegółów, w tak jasném świetle wystawiona niezachwiana wiara wojaka, i pewność szczęśliwéj przyszłości, tak budującemi owe ostatnie nauki i przestrogi, dawane jéj na śmiertelnéj pościeli: że tylko usta córki zlewając wyrazy z czuciem, mogły to wypowiedzieć. Ja nie potrafiłbym ich tu powtórzyć, bo to nad moje siły. Dość tylko postawić się wjej miejscu, odświeżyć te uczucia, żale i boleści, jakie przebiegały nasze dusze, gdyśmy szczątki ukochanych nam osób przykrywali ziemią zroszoną własnemi łzami; dość wspomnieć na tę myśl, jaka wówczas rodziła się w naszém łonie, że ich nie obaczę więcéj takich, z jakiemi przeżyliśmy najpiękniejsze i najboleśniejsze dni i lata, że nie spojrzymy więcéj na te miłe oblicza, które samą miłością patrzyły na nas tak długo: aby mieć wyobrażenie téj przerywanéj łkaniami mowy, przywiązanéj i kochającéj córki. To też i my wszyscy zapomnieliśmy o całém Bożem świecie; uderzeni niespodziewanym wcale ciosem, zasmuceni, siedzieliśmy milcząco; i Bóg wié dokądby stan ten potrwał, gdyby nie oznajmienie Małgosi, że obiad na stole, i zapytanie: „gdzie rzeczy panienki umieścić?

— Ach prawda—poszepnął sobie ojciec, zrywając się szybko z siedzenia, i ocierając chustką mokre jeszcze powieki—prawda, dość płaczu, teraz trzeba działać! No poruczniku, pokaż cu umiész: otwiera ci się pole; dowiedź jak się to ceni przyjaźń takich ludzi, jak pułkownik. W imię tedy Boga naprzód.

Wybiegł szybko z pokoju, wydał potrzebne rozporządzenia, furmana opłacił, i wracając do nas siedzących już przy stole, jeszcze we drzwiach powtarzał, żeby ostrożnie znoszono kufry panny pułkownikówny, lub nie wyrzucono czego z pudełka i t. p.

Milcząco odbył się ten obiad stypowy; każdy zamknąwszy się z swą myślą, nie zwracał uwagi na potrawy, a tém bardziéj na Małgorzatę, która sprzątając nietknięte półmiski, mruczała pod nosem: „a któż to widział nic nie jeść! No widzicie moi państwo, wartoż było smażyć się przy ogniu na taki obiad"! Nareszcie znudzona ciągłém naszém milczeniem, gdy przyniosła rumianą, potężnie wysoką leguminę i postawiła przed matką, odezwała się z gniewem:

— Żeby tam nie wiedzieć co mi było za to, nie odejdę, aż ani krzty nie zostanie na półmisku! Bo téżto dawno podobna mi się nie udała legumina: jaka pulchna, gorąca!

Uśmiechnęliśmy się wszyscy na podobny argument, tylko ojciec nie zważając wcale na jéj arcydzieło, lecz zajęty swoją myślą, powstał z krzesła mówiąc:

— Pójdźno za mną do alkierza, uprzątniemy miejsce dla panny pułkownikówny!

— Ależ proszę jegomości, legumina opadnie na nic.

— A niech przepadnie do milion fur b..... A... a.... przepraszam!—zawołał połykając ostatnią syllabę, i zatykając usta ręką—przepraszam najmocniéj pannę pułkownikównę, bo to wojskowe djabl...No i znowu to samo—rzekł do siebie.—Z takiém przyzwyczajeniem niech cię milion fur b..... A to już skaranie Boskie!—zawołał wreszcie szarpnąwszy wąsa, machnął ręką, zasłonił usta, i szybko uciekł do drugiego pokoju.

Dziéwczę ze smutnym uśmiechem zwróciło się do matki.

— Już poznaję pana porucznika doskonale—rzekła—ojciec tak mi go opisywał zawsze, tak wystawiał jego

nadzwyczajną żywość, że mimowolnie musiałam się uśmiechnąć. Ale niech też pani poprosi męża, żeby dokończył obiadu: ja się przecież ulokuję sama!

— Nic to nie pomoże moja Stefciu: on jak poczciwy i dobry człowiek, tak więcéj jeszcze żywy i uparty; lecz pobrobujmy.

Ale gdzietam było perswadować ojcu o odstąpieniu od zajęcia; już poodstawiał liczne swoje sprzęty w sypialnym pokoju, porozrzucał wszystko, i najenergiczniéj brał się do przenosin.

— Panie kapitanie! proszę cię bardzo, daj pokój— odezwała się Stefcia stawając na progu.

— Dobrze, dam pokój panno pułkownikówno, dam, jak skończę. Weź się na lewo, Małgosiu! Ostrożnie! do góry teraz!—komenderował ojciec, trzymając silnie jednę stronę biurka.—Ja to już dawno myślałem się wynieść z tego pokoju—dodał po chwili—bo Bogiem a prawdą, niebardzo mi tu dogodnie było. Imość żona fajki mi nie dała palić, gdérała na nieporządek, to i kontent jestem z okazyi. Trzeba tu wymyć podłogę Małgosiu, tylko zaraz a czysto, jak to ty umiész....

— Proszę pana teraz słota na dworze, nieprędko wyschnie!

— Co tobie milion fur b.....— i znowu zasłonił usta, szarpnąwszy jeszcze mocniéj wąsa—już chyba koniec świata, że ja się tak zapominam; nie gniewaj się tylko panno pułkownikówno—dodał odsuwając żelazne łóżko— już tego więcéj nie będzie.

— Ależ mój panie kapitanie, to mię wcale nie gniewa: jam przywykła do podobnych wyrażeń, owszem miło mi słyszeć to, com słyszała zawsze w domu ojca. Proszę cię więc, nie rób sobie żadnych ze mną ceremonij!

Uśmiechnął się stary podnosząc na nią oczy i pomruknął: „Znać mosanie żołnierskie dziecko, znać"! Lecz w téjże chwili nieostrożnie przysunął się do łóżka, które miał przenieść, tak, że igła zapięta pod pachą, a o któréj zapomniał zupełnie, ukłuła go widać mocno, bo syknąwszy głośno, puścił łóżko ze swojém zwyczajném: „ażeby cię".

Kobiety wysunęły się na to z pokoju, nie chcąc mu przeszkadzać, a porucznik tymczasem z gniewem zrzucił węgierkę z ramion, i oddając służącéj, kazał natychmiast dokończyć reparacyi.

— Tylko staraj się Małgosiu, żebyś tak samo przyszyła jakem zaczął; moja kochana, tak samo!

Służąca uszczęśliwiona niezwykłą łaską, poniosła do kuchni zranioną suknię, a ojciec tymczasem nie nadziawszy innéj, jak Maryusz na zwaliskach Kartaginy usiadł na przewróconym kufrze, dumając również o znikomości świata tego. Do samego wieczora było krętaniny co niemiara: wszystko co żyło w domu, musiało przyjąć udział w przygotowaniach dla panny pułkownikówny. I ona nawet, choć znużona podróżą, przygnębiona boleścią, mimowolnie przyczyniła się do ogólnéj roboty; rozpakowywała swoje tłumoczki, rozstawiała w przeznaczonym jéj pokoiku różne przedmioty, a tym sposobem nie miała czasu oddawać się żalom, i uczuć dotkliwie swoje sieroctwo. Właśnie to było zamiarem matki, by odwrócić od niéj ten smutek różnemi zajęciami.

Praca, to najlepszy lekarz na wszystkie boleści nasze; pracując nieustannie, gorliwie, chociaż przymusowo, niepodobna nie zwrócić uwagi i myśli do przedmiotów naszego zajęcia. Tym zaś sposobem, jak powiedział Syrokomla, choć chwilkę wykradnie się smutkowi, a taka chwilka jak błysk jasnego promienia słońca wśród burzy, jest drogą dla serca miotanego wewnętrznym, a gorszym w swych skutkach niepokojem. Nic tak nie rozognia ran serdecznych, jak samotność i bezczynność: dusza nasza, skłonna do imaginacyjnych marzeń, i do analitycznych rozbiorów każdego odcienia myśli, oddana sobie saméj, tworzy najdziwaczniejsze domysły, przypuszcza najbardziéj niepraktyczne następstwa; chce koniecznie ogarnąć dotykalnie cały ogrom swych utrapień, a nie mogąc podołać téj olbrzymiéj pracy, mąci się, zaciemnia sama w sobie, targa zuchwale wszystko to, co tam zgromadziły doświadczenie, nauka, miłość, i sprowadza najzaciętszego wroga rezygnacyi, rozpacz. Szczęśliwy zaiste i bardzo szczęśliwy ten, kto ma drugie serce na ziemi takie, przed którém odkryć się może, które podzieli z nim jego cierpienia, słodką łzą współczucia przygasi ten pożar, mogący zniszczyć naj-

piękniejszy plon przyszłości! Kto zaś posiada tyle zdolności, że potrafi znaleźć przyjaciela w kawałku papieru, i w stanie jest przelać zbytek uczuć, jaki przepełnia jego zakrwawione serce: niech chwyta za pióro, niech poskarzy się przed niém, niech pisze myśli bez ładu, tak jak cisną się do głowy i duszy, a stworzy dzieło, co trafi do uczuć i serca innych nieznanych mu współcierpiących. Poeta piszący głową, który wysila i nagina imaginacyą i myśli do form, choć obrobi swój przedmiot podług znanych i nieznanych prawideł poezyi, nie będzie wszakże poetą. Czytając jego że nie powiem utwory, ale lepianki, przyznamy mu dobrze obrobioną całość, nie zaprzeczymy talentu, nie wynajdziemy najmniejszéj wady w stylu, wyrażeniach i obrazach: a dlaczego powiedz mi, rzucamy książkę z pewną niechęcią, jakbyśmy czuli jakowyś zawód? dlaczego zapominamy za chwilę o niéj tak, jakbyśmy jéj wcale nie czytali? Oto dlatego, że nie było tam serca, nie było prawdy, tylko kłamane uczucia kształtnie przystrojone. Serce lubi prawdę; gdzie jéj nie ma, nie ma i serca, bo serce sercem się pojmuje.

Nie mówimy tu o takich, co nic nie czują; dla nich tam wszystko jedno: prawda czy kłamstwo, dobre czy złe, jasne lub ciemne; oni nie rozumieją jednych i drugich! Bo proszę was, jak można znać ciepło, nie doświadczywszy zimna?

Znowu się rozgadałem po swojemu, i muszę podobnie jak pan porucznik, gdy miał wystąpić z furbeczkami w obec panny pułkownikówny, zatkać usta ręką i zawołać: a! a! a! przepraszam, zapomniałem się.

Nazajutrz rano ni ztąd ni zowąd zajechał Jakób przed okna, ojciec wsiadł do wózka, pożegnał całą rodzinę, i ruszył wykonać ostatnią wolę zmarłego z wielkiém podziwieniem nas wszystkich, i zdumieniem Małgorzaty, która nie była w stanie wytłumaczyć sobie, jak pan kapitan mógł pojechać bez zrazów.

Wieść o przybyciu pułkownikówny, lotem błyskawicy rozniosła się w miasteczku i po całém sąsiedztwie. Przez kilka następnych dni nie mogliśmy się opędzić wizytom, które jak grad sypały się co godzina. Najprzód pani burmistrzowa, niezmiernie ciekawa zobaczyć, jakto pułkownikowskie dziecko wygląda, z całą czere-

dą swawolnych dzieci, w nowéj jedwabnéj sukni, zawitała w parę godzin po odjeździe ojca. Choć przyszła z wewnętrznem uprzedzeniem o pańskości Stefci, choć piérwsze wyrazy wyrzeczone przez nią nosiły cechę jakiegoś szyderczego lekceważenia, i niewytłumaczonéj zazdrości; jednak zobaczywszy pułkownikównę, poznawszy jéj słodziutki charakter, i tę niezmyśloną uprzejmość z jaką przyjmowała grzeczności burmistrzowéj; gdy nadto z udaném może zajęciem wysłuchała jéj opowiadania o owym pojedynku za Francuzów: zmieniła swe zdanie, bo wychodząc szepnęła do matki odprowadzającéj ją aż przed sień:

— To wcale przykładna panienka, wcale, i bardzo się cieszę, że moje miasteczko takim skarbem wzbogacone zostało.

Po niéj nastąpiły odwiedziny państwa kontrolerów, pisarzów, dzierżawców z Sadka i innych znajomych; a wszyscy odjechali z dobrém usposobieniem dla młodziutkiéj sieroty. Przyjechał téż niebawem i Wolicki z większemi niż zwykle żabotami, i wyżéj posuniętemi pod oczy kołnierzykami. Bywalec, dowcipniś choć staréj daty, zdołał jednakże rozśmieszyć panienkę swoimi komplementami bez miary, i pociesznemi anegdotkami, których miał zapas niewyczerpany. Tak kręcił się i nadskakiwał z miną pretensyonalną, tak strzelał buremi oczyma na przedmiot swoich zabiegów, że z początku śmiejąc się serdecznie z niego wraz z Stefcią, a późniéj, porównawszy jego gracyą i śmiałość w obejściu się, z moją studencką nieśmiałością i niezgrabném uszanowaniem dla niéj, uczułem pewną zazdrość w sercu, i jakąś niechęć objawiającą się w każdym ruchu i słowie. Postanowiłem sobie, bądź co bądź, nabyć téj lekkości i zgrabności w obcowaniu z kobietami, aby nie stać niżéj od tego starego majora, którego choć lubiłem dawniéj, teraz pragnąłem prędkiego odjazdu. Może to nie była prosta zazdrość i chęć postępu, może to inne uczucie przebijało się już w téj myśli, lecz wtenczas jam nie zwrócił na to uwagi. Matka nadzwyczaj była zadowolniona z różowego humoru majora, bo widziała jak rozweselił nieco ukochaną Stefcię; kiedyniekiedy dorzuciła słówko, które on łapał starannie, i rozwijał właściwym sobie sposobem. Miał szczególniejszy dar prędkiego zapoznania się

z każdym; i umiał tak szybko zbadać charakter, usposobienia wewnętrzne, upodobania piérwszy raz widzianéj osoby, i w tak odpowiedni sposób trafiał do ich przekonania, że po kilku godzinach obcowania, już był dla nich tak dobrze znajomym, jakby zjedli z sobą z dziesięć beczek soli. To téż i panna pułkownikówna ujęta jego uprzejmością, ośmielona wesołém obejściem, mimowolnie żywiéj z nim rozmawiała, pozwalając sobie nawet niektórych żarcików niewinnych z jego wieku, tak niezgodnego z młodzieńczemi nadskakiwaniami.

— Jak téż pani mię uważa?—zapytał major—mógłbym ja się ożenić jeszcze?

— A dlaczegożby nie—odrzekła z uśmiechem Stefcia—przecież serca nie siwieją razem z włosami.

— Eh proszę pani, czy to takie włosy siwemi się nazywają—przemówił z żywością, gładząc dobrze szpakowatego czuba.

— Nie siwe panie majorze, nie siwe, więc jakież? może jasno-blond?

— Doskonale!—zawołała matka—pan major jasny blondynek teraz, wybornie!—i wszyscy śmiać się poczęli. Napróżno major się tłumaczył, wymawiał, dowodził; napróżno wyrywał włosy i pokazywał, że nie siwe: nic to nie pomogło, został jasnym blondynkiem nazawsze.

Po odjeździe majora, zaproponowała matka odwiedziny proboszcza. Sędziwy starzec niewymownie się ucieszył z naszego przybycia. Znał bardzo dobrze pułkownika Bukowskiego, wiedział już o jego śmierci, przybyciu Stefci, i odjeździe ojca, gdyż ciekawa Kundusia nie omieszkała uwiadomić go o wszystkiém. To téż uściskał ją serdecznie, mówił tak pięknie i z serca o tym koniecznym długu śmierci, któréj każdy okupić się musi, tak umiał wlać balsam religijnéj pociechy w zbolałą duszę sieroty: że odetchnęła wolniéj, oblicze jéj zajaśniało błogiém przekonaniem lepszéj przyszłości, czekającéj nas na drugiéj stronie żywota. Kundusia ubrana w nowy czepek z dużemi żółtemi kokardami, ciekawie spoglądała na przybyłą, wynosząc coraz nowsze przysmaczki, na jakie tylko jéj spiżarnia się zdobyła; zapytywała Stefcię o różne gospodarskie zajęcia kobiety, jakoto: robienia konfitur, powideł, smażenia owoców i t. d, a widząc, że zna się na wszystkiém doskonale, uznała

właściwem objawić jéj również niektóre sekreta, doświadczeniem swojém nabyte.

— No, no, jagem rzekła, to wcale panienka rozumna; ktoby się to spodziewał tego po miejskiéj pannie: no, no—i pokręcała głową.— Ażebyto moja siostra Jagusia żyła, toby rychtyczek taką musiała być gospodynią.

Dziekan rozmawiał z matką o przyszłym odjeździe moim do Warszawy, a my tymczasem pobiegli do ogrodu, obejrzeć owe cuda ogrodnicze starego proboszcza. W istocie ogród choć mały, utrzymywany był w największym porządku: wszystko tam znalazłeś, co tylko potrzebnem się okazało do kuchni, wygody i przyjemności. Były kwiaty i ogrodowizny, owocowe drzewa, winogrona, melony, arbuzy, truskawki i t. p. Prześliczna altana, ocieniona dzikiém winem i powojem, z białemi słupkami brzeziny, przynęcała do siebie zalotnie. To téż i dziekan z matką przyszli do nas na kawę, i Kundusia zaglądała często pytając, czy czego nie potrzebujemy; a tak swobodnie, z weselszą myślą, pod piękném niebem, przepędziliśmy aż do wieczora.

Żegnając nas ksiądz proboszcz, zapowiedział częstsze swoje odwiedziny, polecił mi przychodzić po kwiaty dla Stefci, którą bardzo polubił, a stara Kundusia patrząc za odchodzącemi, szepnęła do niego:

— Patrzcie moi państwo, ten Jasio znalazł sobie bogdankę! A jagem rzekła ładna to będzie para; bo wszystko mi się widzi pokochają się strasznie! Już Kundzia choć stara, zna się na tém dobrze!

W kilka dni powrócił ojciec. Interesa poszły mu najpomyślniéj; z wielkiém zadowoleniem Stefci, nie sprzedał ani jednego płatka z pozostałych ruchomości, wszystko kazał wpakować na fury, spisawszy skrupulatnie, i przywiózł ze sobą, aby droga panna pułkownikówna, jak ją zawsze nazywał, miała po ojcu pamiątki.

Czas niejaki jeszcze zszedł na pomieszczeniu przybyłych świeżo sprzętów do użytku Stefci służących, bo inne porucznik kazawszy starannie opakować, złożył do oddzielnéj szopy. Ustawiono tedy fortepian w bawialnym pokoju, jak można najdogodniéj, nawet z poświęceniem szeregowego porządku krzeseł; zawieszono bielutkie fi-

ranki w drugiém oknie sypialnego pokoju, postawiono szafkę z książkami Stefci, stoliczek jéj, tualetę i różne drobnostki kobiece. Nad łóżkiem pojawiły się wizerunki świętych Pańskich, i kanarek z mosiężną klateczką znalazł miejsce w oknie, i wazony kwiatów dwoma rzędami, roztaczały balsamiczną woń wokoło. Pokój wcale inną teraz przybrał powierzchowność: wszędzie znać było ten delikatny gust kobiety, co oddycha jakąś niewypowiedzianą błogością, tak, że wszedłszy tam, ogarniało cię uczucie pewnego poszanowania, jako w przybytku poświęconym niewinności, i uczuciu nieziemskiéj swobody.

Powoli, powoli, dzięki staraniom matki w wynajdywaniu różnych zajęć dla Stefci, znikał smutek z jéj czoła, umysł zdawał się oswajać z teraźniejszością; wróciła wesołość i żywość panienki. Młodość, czas, modlitwa, praca, zwyciężyły boleść. Bo taki jest na świecie porządek rzeczy: rozkosz i smutek mijają szybko, zostawując czasem tylko ślady swojego przejścia. Ślady te z początku żywsze, przytomniejsze, ściemniają się powoli, mącą z teraźniejszością, zacierają w pamięci, jak te przedmioty pięknego krajobrazu, co oddalając się od naszego wzroku, nikną i nikną w przestrzeni mgły pomrokowéj, i w końcu zlewają się z niebem. Z całego gmachu naszych pamiątek zostaje ruina tylko, z któréj najlepszy architekt nie mógłby odgadnąć całości. A wspomnienia gdzie?—zapyta niejeden. Otóż wspomnienia, odpowiém: to pamięć oczu, to obraz na którym wypełzły farby, zostawując szkic niewyraźny. Dawno zdarzone wypadki, które silnie wstrząsały naszym umysłem, duszą i sercem, niepodobna obecnie przedstawić w wyobraźni naszéj takiemi, jakiemi wówczas się wydawały. Człowiek co chwila się zmienia, co chwila inaczéj pojmuje siebie i swoje uczucia; co dawniéj zajmowało go szczerze, co stanowiło jego szczęście lub boleść, dziś wydaje się niedorzecznem lub śmiesznem, i dziwi nas to samych, jak można było tak myśleć i czuć przed laty.

Życie nasze dotąd spokojne, jednostajne, zupełnie nową przybrało barwę. I nie dziw: taka dziéweczka jak Stefcia mogła przeważny wpływ wywrzeć na otaczające ją osoby. Żywa i wesoła jak czeczotka, umiała dziwnie połączyć te przymioty z powagą i rozsądkiem,

może nad wiek jéj. Wychowana w dzieciństwie przez zacną siostrę pułkownika, która ją dość wcześnie odumarła, nabyła od niéj prawdziwéj wiary w Boga i wszechmocność Jego, nauczyła się wielbić wszystko co piękne i dobre, miłować wszystkich jak współbraci swoich. Serce jéj z natury skłonne do szlachetnych uczuć, jak ta pulchniutka gąbka, pochłaniało wszystkie nauki, wrażenia i czułość, wlewane szczodrze przez ukochaną ciocię. Kierowana znowu rozsądną radą pułkownika, który jak troskliwa ptaszyna o swoje pisklęta, krok w krok śledził jéj młodociany umysł, wpajał najpiękniejsze zasady moralności, cnoty i szlachetności, starannie ochraniał niewinne serduszko, ażeby żadne nasionko brudu nigdy go nie skalało: odziedziczyła po nim, że tak powiem, tę prawość charakteru, wygórowaną miłość prawdy, i energią do zastanowienia. Z tego podwójnego i tak różnego wychowania, nastąpiła w swych skutkach doskonała całość. Pełna pobłażliwości, uniewinniająca każden postępek drugich, nie czuła nigdy żadnéj niechęci, żadnego gniewu lub obrazy. Postępowanie zaś swoje z otaczającemi ją osobami, umiała z całą otwartością i naturalnością zastosować do ich usposobień, charakteru i pojęć; w każdéj choć najnudniejszéj napozór rozmowie, znajdowała przyjemność, potrafiła tak zręcznie ją skierować na jakiś zajmujący przedmiot, tak ożywić nic nieznaczącą drobnostką, że każdy choć najbardziéj zarozumiały umysł, musiał jéj przyznać tę pewną wyższość, i uczuć pomimowolny wpływ miluchnéj dziewicy. To téż począwszy od rodziców, kochali ją serdecznie wszyscy, nawet i zazdrosna burmistrzowa.

Pracowita, wesoła, kochająca, musiała zajrzeć codziennie w każdy kącik mieszkania, pomagać matce w gospodarskich zajęciach, bawić się jak dziecko lalkami z moją siostrzyczką, rozmawiać z porucznikiem i Duszakiem o hiszpańskiéj wyprawie Napoleona; a przytém z taką dokładnością cytowała daty i miejsca batalij, jak gdyby nie z opowiadań ojca swego, lecz z własnego przekonania je znała.

Naukowa strona umysłu Stefci nie leżała również odłogiem. Pułkownik dobierał jéj najzacniejszych i najzdolniejszych nauczycieli, przewodnicząc im swojém do-

świadczeniem i nauką. To téż w téj pięknéj główce było wiele, wiele wiadomości, ale i skromności jeszcze więcéj; każde zdanie wychodziło z ust jéj nieśmiało, w całéj rozmowie nie było najmniejszego odcienia pedanteryi, tak zwyczajnéj więcéj ukształconym umysłowo panienkom, nie było żadnéj chęci popisywania się z swoją nauką. A znała wybornie historyą i literaturę krajową, posiadała gruntownie języki francuzki i niemiecki, i nauki przyrodzone obcemi dla niéj nie były. Lecz długo o tém nikt z nas nie wiedział, ani się tego mógł domyśleć, bo starannie ukrywała wszystko, czémby się mogła wywyższyć nad innych.

Pan porucznik z całym zapałem i poświęceniem oddał się swéj pułkownikównie: o niczém nie myślał jak o wynajdywaniu dla niéj przyjemności, o niczém nie mówił, jak o niéj; z tą myślą kładł się spać, z tą wstawał, i z tą się modlił. Gdy spotkał kogo ze znajomych, zaraz wyliczał mu przymioty nieocenionéj Stefci.

— To złotko, mosanie, czyste złotko — powtarzał — i w głowie pięknie, i w serduszku jeszcze lepiéj; kto to weźmie, szczęście zabierze samo! A ciepła mosanie! boć tu jest summka porządna—mówił klepiąc ręką po kieszeni—piętnaście tysięcy okrąglutkie i czyściutkie jak szkło!

Wszystkie dawne przyzwyczajenia, które nawet matka wykorzenić nie zdołała, składał na ofiarę u nóg swéj wychowanki. Już i wąsy przystrzygł tak jak pan pułkownik nosił, bo tak Stefcia chciała, i węgierki sobie nie restaurował, bo panna pułkownikówna uznała to za niewłaściwe, i tytuniu nie przyrządzał, bo Stefcia powiedziała, że kupny jest lepszy i przyjemniéj pachnie. Kochała go téż za nas wszystkich może. On zaś był ciągle z winném uszanowaniem dla pułkownikowskiego dziecka; nie poważał się nigdy sam bez jéj prośby pocałować pięknego czoła dziewczęcia, gdy spała chodził na palcach, zaglądał przez dziurkę od klucza, podsłuchiwał czy nie wstała, aby powiedzieć przezedrzwi dzień dobry, i oznajmić jaką przyjemną nowinkę. Gdy mu raz wymawiała owe żołnierskie honory, jakie dla niéj robił, i te formy uszanowania; rozśmiał się tylko pociesznie, odpowiadając:

— W osobie panny pułkownikówny jest dla mnie sam pan pułkownik; a znam karność mosanie, na tém się zęby zjadło!

— Dajże pokój panie kapitanie z tą panną pułkownikówną—odrzekło śmiejące się dziéwczę—to takie długie imię: chciałabym coś krótszego!

— Nic nie pomoże, moja panno pułkownikówno—odpowiedział robiąc front porucznik—to tak się należy.

— A gdybym ja prosiła o krótsze.

— Tobym odmówił, z przeproszeniem panny pułkownikówny.

— A gdybym jako pułkownik rozkazała —zawołała śmiejąc się Stefcia.

— To.... to..... pomruknął zdziwiony ojciec—to być nie może!?

—Właśnie że być może, ja tego chcę, bo będę płakać.

— Dobrze, dobrze moja panno pułkownikówno, rób co chcesz ze mną, a nie płacz, mosanie!—przemówił żywo porucznik i spojrzał na nią z uczuciem.

— Więc proszę mi mówić poprostu Stefciu.

— Nie mogę, panno pułkównikowno!

— Cóż znowu!—przemówiła niby zagniewana—to rozkazuję!

— Tak to co innego—odrzekł smutnie ojciec—muru głową nie przebiję.

— A widzisz panie kapitanie, widzisz, że musiałeś się zgodzić! Wygrałam zakład! — i poczęła klaskać w rączki podskakując po pokoju.

— Jaki zakład, mosanie?

— Przed chwilą mówiliśmy o tém z mamą; ona dowodziła, że nie potrafię tego wymódz, ja zaś przeciwnie, że pan kapitan dla mojéj miłości to zrobi, i wygrałam, wygrałam!—powtarzała wesoło.

— Eh!—zawołał machnąwszy ręką — ale i panna pułkow.....

— Stefcia—przerwało dziéwczę.

— Niechże będzie panna Stefcia.

— Żadna panna, bardzo proszę! Pan kapitan zmienia rozkazy.

— No! to już i Stefcia—mówił rumieniąc się porucznik—niechże Stefcia również nie zna żadnego pana ka-

pitana, bo chociem porucznik mosanie, ale i ten tytuł zniknąć musi, gdy pułkownikównę z kontrol wykreślamy.

— Ślicznie! ślicznie!—zawołała wesoło Stefcia chcąc pocałować starego w rękę, którą jéj ze wstydem odsunął.—Ojcem będę cię nazywać, kochanym ojcem! —i nie zważając na zdumienie porucznika, rzuciła mu się na szyję, objęła rękoma jego głowę, a całując poorane lica, wołała z radością: „Miałam matkę drugą, mam teraz i ojca, mam!

Porucznik nie wiedział co z sobą zrobić; wszystko to odbyło się tak niespodzianie, tak nie mogło się pomieścić w jego głowie, żeby on, porucznik, miał być nazywany ojcem prześlicznéj panny pułkownikówny, że przez chwilę nie bronił uścisków Stefci, i nie pojmował jak tu z tego wybrnąć.

— Tfu! do milion furbeczek okrętów batalionów!— zawołał z gniewem, gdy Stefcia wybiegła do matki, i pociągnął mocno siwego wąsa.—Djablo się złapałeś! ot i nowy kłopot. Nie ma sposobu, stało się: głupiś stary!— fuknął uderzając się w czoło.—A co sobie też pomyśli pan pułkownik w niebie, żeś tak się zapomniał?

— Ucieszy się niewymownie—dokończyła smutnie wracająca Stefcia.—Złe masz wyobrażenie, kochany ojcze....

Tu wzdrygnął się i zarumienił porucznik, przerywając:—Daj pokój, daj pokój panno pułko..... Stefciu.

— Niechże dokończę przecię kochany ojcze,—mówiła daléj Stefcia,—złe masz wyobrażenie o moim piérwszym ojcu; on tak cię kochał, tak mi kazał cię również kochać, więcéj nawet jak siebie, a ty za to niewdzięczny jesteś, i gniewasz się na jego córkę!

— Gdzie się tam gniewam, moja panno pułk..... Stefciu,—ktoby się też na ciebie drogie dziecię mógł gniewać—rzekł ojciec przytulając ją do piersi,—na siebie się gniewam, żem pozwolił się złapać.

— Eh! to niepotrzebne wcale! Pójdź, pójdź—powtarzała ciągnąc go za rękę—przedstawię cię mamie: dopiéroż się ucieszy!—I śmiejąc się wesoło, i spoglądając przenikająco w chmurne oblicze ojca, poprowadziła go do pokoju matki.

Nie dziw więc, że ja w wiośnie życia, z duszą pełną młodzieńczych marzeń, z miłością całego świata, patrząc codziennie na tyle wdzięków Stefci, na te coraz jaśniéj odkrywające się przymioty jéj pięknéj duszy, mimowolnie, nie wiedząc o tém pokochałem ją całém sercem i zapałem piérwszéj miłości. Pomijam tu owe drobniutkie ścieszki, po jakich uczucia wpływają do duszy; nie będę opisywał tych rumieńców na widok ukochanéj osoby, tych ognistych i niemych spojrzeń, co to dla obcych niezrozumiałe, a dla kochanków najwymowniejszą rozmową się stają: bo to wszystko tak oklepane, tak znane, nietylko z doświadczeń osobistych każdego człowieka, lecz i z tysiącznych opisów. Zresztą jeżeli prawdę mam powiedzieć, sam wtedy ich nie rozumiałem; czułem wprawdzie skutki, lecz przyczyny dojść nie byłem w stanie. I niebardzo usiłowałem je odgadnąć: mnie tak było dobrze przestawać z prześliczną i wesołą Stefcią, tak szczęśliwy byłem najdrobniejszą jéj łaską, jaką mię kiedyniekiedy obdarzała, że nie pragnąłem nic więcéj, nie myślałem nawet o innéj rozkoszy nad tę, aby patrzeć wiecznie w ocienione długą rzesą modre oczęta, starać się uprzedzać każdą jéj myśl, każde żądanie wprzód, nim one wyroiły się w nadobnéj główce dziewczęcia.

Każdego ranku, gdy jeszcze spała, biegłem do ogrodu dziekana, zwijałem bukiet z najpiękniejszych kwiatów, jakie tam znaleźć mogłem, i kazałem służącéj stawiać na stoliczku jéj obok tualety, by przebudziwszy się, spojrzała na swoje rówieniczki, tak piękne i niewinne jak ona.

O godzinie siódméj już cały dom był w ruchu; albowiem taki porządek zaprowadziła matka, że rano ubierała się już na cały dzień, bez tych wybrednych negliżów, które zajmują tyle drogiego czasu na przebieranie się. Za przykładem matki, Stefcia i siostra również rano kończyły swą tualetę. Wszystko było w zwyczajnym porządku: pokoje uprzątnięte czyściutko, schludnie, i niepotrzeba było obawiać się rannéj wizyty, bo każda rzecz była na swojém miejscu tak, jakby umyślnie na kogoś oczekiwano. Potém chodziliśmy na mszą z ojcem i matką, a wróciwszy, zabieraliśmy się do właściwych sobie zatrudnień.

Stefcia z małą moją siostrą, poruczone miały gospodarstwo drobiu. I trzeba było widzieć te obie dziewczynki, z jakąto radością wybiegały przed sień, niosąc w fartuszkach różne przysmaczki dla swoich ulubieńców, gromadnie czekających na nie. Kury, kurczęta, kaczki, gołębie, znały je doskonale; podskakiwały wesoło, szarpały za suknie, świergocząc i ciesząc się po swojemu; one zaś każdemu poszczególe nadawały rozmaite nazwiska, pieściły się z niemi, rzucając obficie ziarnka i pilnując porządku. A co to było żalów, nawet i płaczu, gdy jakiéj czubajki zabrakło nazajutrz, i gdy domyśliły się, że padła pod nożem srogiéj Małgosi! Już wtedy nie można było namówić żadnéj do skosztowania nawet kawałeczka pieczystego przy obiedzie: kiwały smutnie główką, wyliczając nieoszacowane przymioty nieboszki, i półgłodne wstawały od stołu.

Do południa, każdy gorliwie zajmował się swoją pracą: kobiéty szyły, haftowały, siostra się uczyła pod kierunkiem matki lub Stefci, my zaś z ojcem wychodziliśmy w pole obejrzeć urodzaje lub dopilnować robót tam prowadzonych.

Po obiedzie dopiéro czytywaliśmy książki w ogrodzie gdy pogoda, a gdy słota, w domu. Ileżto razy spłakaliśmy się serdecznie nad nieszczęściami bohaterów powieści; ile razy ucieszyli lub uśmiali z ich dziwacznych przygód, jak np. Robinsona Kruzoe. Zwykle matka wprzód czytała sama każdą książkę, nim ona nam się dostała; nie były to żadne Balzakowskie, ani Sandowskie i im podobne romanse: poprostu powiastki nieoszacowanéj Tańskiéj, coś z Magazynu dla dzieci, Robinson szwajcarski, Rózia na Tenenburgu i wiele innych w tym rodzaju.

— W tym czasie i tym wieku, jak są moje dzieci,— mówiła—lepiéj żeby nie znały złego, pod jakąbądź formą ono się ukrywa, chociażby nawet przedstawiane było w celu obrzydzenia sobie występku i unikania go. Umysł ich młody pochopniejszy do tego wszystkiego, co niewolno, może kiedyś najniewinniéj korzystać z tych sposobów i zabiegów, jakich używali bohaterowie powieści, dla dopięcia niecnych zamiarów. Młodemu sercu obcém ma być wszystko to, co oburza prawość, szlachetność i cnotę; niech ile możności najdłużéj pozosta-

nie w błogiém przekonaniu dzieciństwa i niewinności, niech się nie zraża złością i podłością ludzką, bo to ich całe szczęście, to wiek ich najpiękniejszy, gdy wszystko widzą dobrem i pięknem na ziemi.

Po czytaniu następowała przechadzka w pole, lub nad brzegi Wisły. Tu już moja znajomość botaniki na coś się przydała: rwaliśmy kwiatki, ja objaśniałem ich układ, wyliczałem gatunki i użytki z niejaką dumą nawet, bo miałem tak nadobne uczennice, które z chciwością prawie pochłaniały nauki mało starszego od nich mentora. W wieczór wróciwszy znużeni, słuchaliśmy z zajęciem prześlicznych śpiewek Moniuszki, mazurków Nowakowskiego lub skocznych krakowiaków, oddanych z całém uczuciem i wdziękiem przez młodą artystkę. Pamiętam dziś jeszcze te poważne, pełne rzewności i smutku polonezy Ogińskiego, odbijające wdzięcznie duch owych czasów, gdy były pisane. Stary mój ojciec chodził po pokoju z smutnie zwieszoną głową, rozpamiętywając owe szybko ubiegłe chwile młodości, w których podobna nuta może inaczéj pojmowana, ożywiała jego pierś, i prowadziła w życie późniejsze, pełne zapałów i burz, pod osłoną honoru i sławy. Wkrótce zmienia się ton dźwięcznego fortepianu, wesoła piosnka żołnierska z całą mocą i energią oddana, wygładza z serca dawną tęsknotę. Porucznik się zatrzymuje, słucha, mimowoli marszczki znikają z czoła, oko żywszym zaświeci ogniem, noga do marszu naprzód się wysunie, i stary drżący głos wojaka, łączy się z dźwięczną nutą dziéwczęcia:

Idzie żołniérz borem, lasem,
Przymierając głodu czasem,
Suknia na nim nie blakuje,
Wiatr dziurami wylatuje i t. d.

Skończyli. Wzruszenie ogarnęło wszystkich, porucznik w postawie marsowatéj zda się gotów przypuścić szturm z bagnetem w ręku, porywa zdumiałą Stefcię w objęcia, tuli do siebie okrywając całusami, i ledwie dosłyszanym głosem powtarza: „Dziękuję ci moje złotko, dziękuję, niech ci Bóg zapłaci za to szczęście, jakiém napełniłaś mą duszę!“ I z tego nieznacznie przypomni sobie jakąś wyprawę, pogładzi wąsa, rozpowiada z takiém zajęciem i żywością, że niepodobna słuchać go obojętnie, i nie czuć jakiegoś uwielbienia dla téj walecznéj

garstki, co to choć z fałszywą i źle pojętą ideą, narażała tylekroć swój honor i życie, Bóg wié dla kogo i za co!

Takto upływały nam chwile, przerywane kiedyniekiedy odwiedzinami łaskawych sąsiadów, maleńką wycieczką w okolicę lub inną nową rozrywką, bez cienia smutku, bez nadzwyczajnych trosk i kłopotów. Ojciec nie widział, ani domyślał się mojéj skłonności do pułkownikówny. Wszystkie zabiegi, grzeczności, zabawy, uważał tak naturalnemi i tak właściwemi, że nieraz oddawał mi szczere pochwały, jak umiem pojmować myśl jego, starając się uprzyjemniać chwile ukochanéj jego sierocie. Matka, jako kobieta więcéj mająca przenikliwości, może i dostrzegała to niewinne i szczere uczucie, budzące się w mém sercu; bo trudno dziecku ukryć przed okiem matki swe myśli, gdy te objawiają się w każdém jego słowie i czynie. Lecz najmniejszém słowem, giestem nawet, nie objawiała tego i nie krępowała niczém dotychczasowych naszych stosunków. Może cieszyła się niemi, może marzyła piękną przyszłość, może... bo któż tam odgadnąć potrafi tysiączne marzenia matek o szczęściu swych dzieci. Dość, że w tym stanie swobody upływały szybko dni, tygodnie i miesiące; nastąpiła smutna jesień, minął czas udania się na kursa prawne, a ja siedziałem w domu rodziców niepomyślawszy o przyszłości, nie naglony przez nikogo do wyjazdu, gdyż ojciec zaprzątnięty swą wychowanką, zdawał się zapominać o wszystkiém, co nie dotyczyło kochanéj Stefci; matka zaś, ani razu nie wystąpiła z podobną propozycyą.

Ale niestety! wszystko na świecie musi mieć swój koniec! Mały napozór i śmieszny wypadek, odkrył cały ogrom mojego uczucia, pozbawił uroczych chwil szczęścia jakich dotąd kosztowałem, i sprowadził burzę na głowy tych, którym życia nie wahałbym się poświęcić.

Było to w początkach listopada. Chociaż wedle wyrażeń ojca byłem człowiekiem, choć ukończyłem szkoły i miałem lat ośmnaście, jednak pustota młodości nie wywietrzała z głowy, figle dzieciństwa, nierozsądek, siedziały sobie w zakątku duszy, i kiedyniekiedy pokazywały się dość smiesznie w mojém postępowaniu. Otóż jednego dnia po obiedzie, zwabiony pięknością zimowych jabłek, będących w naszym ogrodzie za domem,

a których jeszcze nie otrząśnięto, wymknąłem się nieznacznie, i dalejże drapać się na drzewo jak ten dziesięcioletni chłopaczek. Urwałem już kilka postępując coraz wyżéj po rozłożystych gałęziach, aż tu naraz zda mi się spojrzeć ku drzwiczkom, i widzę wchodzących do ogrodu matkę, Stefcię i młodszą siostrę, a za niemi z fajką w ustach wolno postępującego ojca. Zimny pot wystąpił na czoło; poznałem nierozsądek mojego postępku, a tu już nie było czasu zejść z drzewa, żeby mię nie dostrzeżono, bo jak na złość, jabłonka stała przy prostéj uliczce wiodącéj od furtki. Nagle przyszła mi wyborna myśl, ukryć się na drzewie spokojnie, i czekać póki nie przejdą. Polazłem więc wyżéj na drzewo, usadowiłem się jak można najlepiéj, i z bijącém sercem czekałem ich przejścia. Aż tu na nieszczęście, gdy byli może na pięć kroków od jabłonki, czuję że gałąź trzeszczy pod mojemi stopy, za chwilkę łamie się, a ja z ogromnym łoskotem padłem jak długi przed oczami przelękłéj rodziny. Z początku krzyk przestrachu, późniéj serdeczny śmiéch doleciał mych uszu. Wystawcie sobie moje krytyczne położenie, gdym czerwony jak pons, z wypchanemi kieszeniami jabłek, podniósł się z ziemi, nie śmiejąc spojrzeć przed siebie.

— A to mi ptaszek, mosanie!—zawołał ojciec pół gniewno—Czyś ty się chciał powiesić czy co?

Ja ani słowa przemówić nie mogłem, tylko stojąc pośrodku złamanéj gałęzi, spuściłem smutnie głowę, gdy tymczasem kobiety nie przestając chichotać, usiadły na poblizkiéj darniowéj ławeczce.

— Ot masz tobie!—mówił daléj ojciec—to młodzieniec dorosły, a figle w głowie: taką prześliczną gałąź złamać! Tfu! do milion furbeczek, kazałbym sobie za to dwadzieścia porządnych kijów przylepić! Wstydź się drągalu łazić jak kot po drzewach! No i czegóż stoisz jak niemy? Pozbieraj jabłka, uprzątnij gałąź, i ruszaj z Bogiem!

Machinalnie wypełniłem rozkaz, i nie spojrzawszy za siebie, zgniewany, zawstydzony, wolnym krokiem przeszedłem uliczkę aż do furtki, nie zważając wcale na wołania matki i wesołe żarty porucznika. Za progiem dopiéro, nacisnąwszy czapkę na uszy, jak strzała puściłem się w bezludną ulicę miasta, i słyszałem tylko zda-

leka, jak śmiejąc się porucznik uspokajał kobiety wołając:

— Nie kłopoczcie się o niego, pewno się nie utopi; pobiegł na pole, nie ku Wiśle!

Ujrzawszy się samotnym, dopiéro rozpuściłem wodze moim żalom. I jak to zwykle się dzieje, zamiast obwiniać siebie, szukałem przyczyn pochodzących od innych. Naturalnie że zwróciłem je ku Stefci, śmiejącéj się tak serdecznie z mego niefortunnego wypadku.

Jak ona mogła śmiać się ze mnie—myślałem—ona, dla któréjbym wszystko oddał, żeby sprawić jéj jakąś przyjemność! Rodzicom to wolno, ale ona? fe! nie spodziewałem się tego po jéj sercu!—i zakończyłem ten gorączkowy monolog mimowolnym wykrzyknikiem: Takieto są kobiety, wierz im!

Do późnéj nocy wałęsałem się po polach, nie śmiejąc wrócić do domu; nareszcie gdym uważał, że wszyscy spać już muszą, wszedłem cichaczem do mego pokoiku, postanowiwszy naprawdę gniewać się na Stefcię.

Nazajutrz w dopełnieniu téj obietnicy, nie przyniosłem jéj świeżych kwiatów, nie powitałem zwyczajnym dzień dobry, nic spojrzałem na nią, tylko chmurny, milczący, zaraz z rana wynalazłem jakiś powód, i wydaliłem się z domu. Nie uszło to uwagi chwilowéj méj nieprzyjaciołki, bo gdy odprowadziła mnie wzrokiem do drzwi, i pytała jak prędko powrócę, znać było niejakie drżenie w głosie, i smutek malujący się w tych drobnych oczętach. Ma się rozumieć, że jéj nic nie odpowiedziałem, ani spojrzałem w jéj stronę wychodząc, co tém bardziéj potwierdziło jéj domysł, że się gniewam.

Nie wiem co się tam działo w domu podczas mojéj nieobecności, to tylko wiem, że całe dopołudnie zdawało mi się nieznośnie długiém, choć chwila powrotu na obiad niebardzo mnie przynęcała. Z zamyśloną więc twarzą, z bolesnym odgłosem w sercu wczorajszego wesołego śmiechu, wracając ani się spostrzegłem, gdy niedaleko mieszkania uczułem na ramieniu rączkę méj Stefci, i usłyszałem przenikające jéj słowa: „O co się gniewasz tak na mnie, mój panie Janie"?

Chociaż z myślą urojonego gniewu, choć z wielkim zapasem ułożonych wymówek, któremi miałem ją obsy-

pać przy piérwszéj lepszéj sposobności, spojrzawszy w téj chwili na tę piękną twarzyczkę, wymownie odbijającą wewnętrzny smutek, stałem się jak niemy, a słowa gniewu skonały na ustach.

— No i o cóż się gniewasz, panie Janie?—powtórzyła dobitniéj przeszywając mnie swym wzrokiem.

— Jakże się nie mam gniewać —odpowiedziałem drżąco—gdy wczoraj miałem tak oczywisty dowód jéj życzliwości.

— To dzieciństwo, mój panie Janie! Nie spodziewałam się wcale, byś pusty wczorajszy śmiech brał na seryo, i tak surowo mnie sądził.

— Alebo nie godziło się tak żartować ze mnie, zwłaszcza gdy jabym dla panny Stefanii wszystko poświęcił, byle widzieć ją wesołą i szczęśliwą.

— Więc przebacz kochany panie Janie! Bóg widzi, nie miałam najmniejszego zamiaru cię obrazić. Ot widzisz, pustota młodości i nic więcéj; nie gniewaj się, nie gniewaj, podnieś to czoło, rozwesel oczy!—mówiła daléj, podnosząc ręką do góry rozdąsaną moję głowę.

— Ja się téż wcale nie obraziłem,—odrzekłem nieco wzruszony,—i tylko.... tylko przekonałem się, że jestem dla pani tak sobie, studentem, z którego śmiać się można do woli, i że nie mogłem dotąd zasłużyć na iskierkę jakiegoś..... współczucia.

Dziéwczę oblał żywy rumieniec, spuściła oczy, jakby się namyślała przez chwilkę, nareszcie porwawszy szybko obie me ręce, spojrzała tym wzrokiem, co to poruszy wszystkie tętna naszego serca, i przemówiła z wyrzutem:

— Więc pan takeś przypuszczał naprawdę?

Milczałem.

— I pan mogłeś pomyśleć nawet o tém,—dodała potrząsając me ręce—wstydź się! Ja całą noc płakałam, myśląc o mojéj wczorajszéj pustocie. Mało mię znasz jeszcze, och mało!

Drżąc, czułem napływającą krew do głowy, nieprzytomny, nie wiedziałem na którym jestem świecie.

— Panno Stefanio!, Stefciu!—wymówiłem ledwo dosłyszanym głosem i ze łzą w oku przebacz mi, przebacz, bo ja cię, bo..... cię.... zanadto kocham!—dokończyłem zakrywając twarz rękoma.

— I ja..... także.....—poszepnęło po chwili dziewczę, spuszczając oczy i skubiąc trzymaną rękawiczkę.

— Czy tak, czy tak?—zawołałem uszczęśliwiony z pałającym wzrokiem, i opromienioném nieziemską rozkoszą obliczem.—O! powtórz, powtórz to słowo!

— Tak, kocham cię,—powiedziała już śmieléj, i porwała szybko pod rękę, prowadząc ku domowi.

Szliśmy milcząco; bo i cóż można było mówić w téj uroczystéj chwili, w któréj tysiąc tysięcy myśli leciało tłumem do głowy, gdzie wszystko zmieszane w ogromny chaos, rwało się, łączyło, nurtowało i przenikało w niepojętych kształtach i barwach nie do opisania. Podobną rewolucyą uczuć, raz tylko w życiu doświadczyć można; więcéj się ona nie powtórzy, bo raz tylko człowiek kochać może z tą siłą niezrównaną, i zapałem młodéj nieskażonéj żadnym występkiem duszy.

Wy! którzyście wprzód, nim to święte uczucie miłości zaświtało do serc waszych, dotknęli ustami czary przepełnionéj rozkoszą grzechu, żałujcie téj szczytnéj a bezpowrotnéj chwili, bo ona byłaby dla was ową gwiazdą polarną, tą magnesową igłą w dalszéj żegludze życia! Onaby przewodniczyła wszystkim szlachetnym czynnościom i wyższym polotom duszy; ona we wszystkich dolegliwościach waszych byłaby tym bezpiecznym portem, w którym skołatany umysł mógłby się schronić przed natarczywością burz świata tego; onaby nakoniec wpoiła w was błogie przekonanie, że śmiało urągać możecie śmierci, gdyż lepsza przyszłość was czeka, któréj już probkę mieliście na ziemi!

Porucznik widząc nas wspólnie wracających z zarumienionemi twarzami, na których błyszczało samo szczęście, mówił do matki:

— Widzisz moja Zosiu, już są w najlepszéj komitywie; wiedziałem o tém, bo to młodzi jak skorzy do gniewu, tak jeszcze prędsi do przeprosin.

Jakże wtedy pragnąłem samotności! Cóżbym nie oddał za jednę godzinkę wolną, bym mógł uporządkować jakotako swe myśli, i ogarnąć choć cząsteczkę tego uczucia, jakiem przepełniona była dusza. Lecz gdzież są róże bez kolców, światła bez cieni, lub bez chmur pogoda? Otóż temi kolcami dla mnie był podówczas obiad, i wesołość nadzwyczajna ojca.

— Aha! jesteś nam zbiegu!—mówił uśmiechając się, —wstyd było wczorajszych jakłek, i gniewało się na nas mosanie! Czy to potrzebne takie figle? Widzisz, zmartwiłeś Stefcię, że biedaczka miejsca sobie znaleźć nie mogła!

Jakto tam szedł obiad, łatwo sobie wyobrazić. Jedliśmy nie jedząc, co dawało powód do serdecznego śmiechu obecnym, nie mogącym pojąć naszego roztargnienia.

— Stefciu kochana! kto to widział pieprzyć naleśniki. Jasiu uważaj! kładziesz tyle fasoli na talerz, że nic nie zostanie dla drugich. Co u Boga im się dziś stało?— mówił śmiejąc się porucznik.—Patrzaj, patrzaj żono, podniósł widelec z pieczenią do ust, mięso upadło na talerz, a on pusty widelec wpakował!

— Daj mu pokój, mój mężu—odrzekła matka, spoglądając bystro na nas, i potrząsając głową—widocznie jest rozdrażniony, niech się uspokoi!

Skończył się wreszcie ów nieznośny obiad, zerwałem się prawie naprzód, lecz zamiast podziękować matce, musnąłem ogniście czerwoną rękę Małgosi, która sprzątając nakrycie, uwijała się koło stołu. Tuż już i Stefcia powstrzymać się nie mogła od śmiechu, i ja sam musiałem towarzyszyć ogólnym wybuchom wesołości.

— A to straszne rzeczy—zawołał ojciec trzymając się za boki—co ci się stało chłopcze, powiédz?

— Nic, proszę ojca, zamyśliłem się to o tém, to o owém....

— Ciekawym, co ty tam masz do myślenia—mówił daléj porucznik—chyba znowu o jakich gruszkach, hę?

— Nie, proszę ojca, wcale nie.

I chcąc zwrócić na inny przedmiot rozmowę, zapytałem, czybyśmy co nie przeczytali, bo dostałem śliczną powiastkę pani Tańskiéj.

— Dobrze, dobrze—odpowiedział ojciec zapalając fajkę—czytaj, tylko uczciwie!

Piérwsza i druga stronnica poszła jako-tako, lecz na trzeciéj myśl moja pobiegła gdzieindziéj: czytałem bez najmniejszego zastanowienia się, opuszczając przecinki, średniki, kropki; przekręcałem nielitościwie wyrazy tak, że stary nie mogąc powstrzymać gniewu, wyrwał mi z rąk książkę, mówiąc:

— Waćpan dziś do niczego, mosanie! Idź spać i kwita!—a podając ją Stefci, dodał:—Słuchaj jakto Stefcia będzie czytać, to aż miło słuchać nie tak jak ty: me, me, me, jednym głosem jak baran!

Usunąłem się na bok skonfundowany, lecz zadowolniony poczęści, że swobodnie będę mógł myśleć o sobie. Stefcia z początku czytała z uczuciem; porucznik zdawał się cały przelać w zmysł słuchu, bo w lepiwszy swe oczy w twarz pułkownikówny, siedział bezwładny, połykając każde słowo wychodzące z ust jego wychowanki. Lecz powoli, powoli, zaczęła się mieszać, przekręcać wyrazy, niestosować głosu do opisywanych tam uczuć: słowem, myśl jéj również uleciała za obręb książki. Porucznik to się podnosił, to sykał, to poprawiał na krześle, widocznie zniecierpliwiony; nareszcie zerwał się szybko i zakrywając dłonią czytaną stronnicę, przemówił z żywością:

— Nie! coś się w tém święci! To niepodobna, i ona tak samo czyta. Daj pokój, daj pokój Stefciu!— a obracając się do matki, dodał:—moja Zosiu, co im się mogło zrobić? może ty wiész kochanie, powiédz, bo ja gubię się w domysłach. Mówią, że się nie gniewają, prowadzili się tak pięknie pod ręce, to chyba pozór? Oni się gniewają, i tylko dla oszukania nas tak twierdzą. Oho! mosanie, nie oszukasz starego lisa, nie!

I gdy matka nic nie odpowiadając uśmiechnęła się na tę zarozumiałość ojca, on tymczasem porwał mię za rękę, przyprowadził przed Stefcię, wołając:

— Przeproś zaraz! przeproś ty zuchwalcze!

Naturalnie że parsknęliśmy oboje śmiechem, spojrzawszy sobie w oczy, a porucznik odskakując bił się ręką w czoło, mrucząc:—komedya, mosanie, istna komedya!

Wtedy dopiéro matka wystąpiła w roli pośredniczki, pogodziła zwaśnione umysły proponując spacer w pole, dla obejrzenia kopiących się kartofli.

Ileżto przez całą drogę nagadaliśmy sobie pięknych rzeczy, ile to przypuszczeń, widoków na przyszłość snuło się w tych młodych głowach kochanków, to już wypowiedzieć trudno! Lecz jak każde szczęście jest zamałe dla nas gdy je osiągniemy, żądając coraz większego; tak i w tych rozmowach wmieszać się mu-

siało natrętne pytanie: „co to z tego będzie?“ Uradziliśmy tedy, by znalazłszy sposobną ku temu chwilę, objawić naszę miłość rodzicom: tojest ja ojcu, a ona matce; tymczasem zaś kochać się szczerze, okazywać sobie nawet niejaką obojętność w ich przytomności, i starać się ile możności podobać rodzicom, by łaskawszém okiem patrzyli na nasze uczucia. Podobne żądanie bardzo sprawiedliwie wydać się może zbyt prozaicznem, lecz że tak było przyznaję, bo dzisiaj już nikt nie umié czekać tak, jak bohaterowie średniowiecznych czasów; dziś wiek rachuby, a my byliśmy jego dziećmi.

W istocie przez cały następny tydzień, mało co zajmowaliśmy się sobą, wynagradzając tę udaną oziębłość wymownem spojrzeniem, tajemném ściśnieniem ręki, lub jedném cichém słówkiem, które starczyło za wszystko. Gorliwość moja w ujęciu ojca przybrała nieograniczone rozmiary; reparowałem z nim zegar, robiłem ćwiczenia łacińskie, uczyłem się nawet rozmówek, by zagadnąć czasem jego ulubionym językiem, słuchałem z zajęciem już kilka razy powtarzanych przez ojca dykteryek, prowadziłem dyskursa filozoficzne z zadziwiającą trafnością: słowem, osiągnąłem cel moich zabiegów. Porucznik bowiem nie mógł się wydziwić téj nagłéj zmianie i pewnéj rezolutności w odpowiedziach, ani pojąć tego, jak nazywał taktu, w całém mojém postępowaniu. Przypisywał wszystkie odmiany ostatniemu wypadkowi w ogrodzie.

— Chłopiec się utemperował, mosanie, głupstwo napędziło rozumu do głowy; dobrze, dobrze mój synu, lubię takie serce, lubię podobną mowę, kontent z ciebie jestem zupełnie. A to wiele znaczy mosanie, bo wiész, oszczędny jestem w pochwałach dla drugich. Pomyślimy o twoim wyjeździe, bo byłby już czas kochanie!

Właśnie téż najwięcéj się bałem owego wyjazdu; ani przypuścić mogłem, że musiałbym pozostawić samą Stefcię, która kochała mię tak bardzo, że nie mógłbym patrzeć w jéj śliczne oczy, które były dla mnie całym światem, słyszeć jéj głosu dźwięcznego, który przenikał moję duszę, i znajdował w niéj tak wierne odbicie.

Ale inaczéj myślała Stefcia: ona choć młodsza odemnie, jednak wychowana pod okiem rozsądnego ojca, pojmowała zdrowo nasze położenie, i nie wahała się po-

wiedzieć, że wcale nie podziela mych rozkosznych marzeń przyszłości.

— Ojciec twój—mówiła—ani matka, nie pozwolą teraz na nasz związek. Choć nie tak dawno przebywam z niemi, jednak znam ich doskonale; zresztą widzę to sama, że mamy nierozsądne żądania. Proszę cię, tyś młody jeszcze, niedoświadczony w życiu praktycznem; ja toż samo dziecko, cóżbyśmy zrobili z sobą, cobyśmy przedsiewzięli dla naszego przyszłego bytu?

— Więc chyba mnie nie kochasz?—odrzekłem zadąsany.

— Jak możesz tak myśleć Jasiu! Przysięgam ci na pamięć najdroższego ojca, na wszystko co tylko kocham, że niczyją nie będę nigdy jak twoją!

Ucałowałem tylko jéj rączęta, przepraszając za tak niewczesne powątpiewanie, i dowodziłem gorąco: iż moja nieskończona miłość doda mi tyle odwagi i wytrwałości, że pracując usilnie, potrafię przy Boskiéj pomocy zapewnić wygodny byt jéj i sobie.

— Wierzę twym słowom, mój Jasiu, wierzę—odpowiedziała smutnie—lecz pewna jestem odmowy ze strony ojca. On choć nas tak kocha, choć chciałby każdemu nieba przychylić, jednakże zanadto wielki uroił sobie przedział między nami. Widziałeś sam, co go to kosztowało, nim pozwolił się nazywać ojcem; cóż dopiéro będzie, gdy się dowié, żety oświadczysz się o moją rękę. Daléj przyznaj sam, nie masz żadnego stanowiska na świecie, majątku nie posiadamy oboje, bo ten mały kapitalik należący do mnie nic nie znaczy w porównaniu z przyszłością, jaka się przed nami otworzy.

— A matka czyż nie przyczyni się za nami—przerwałem—matka co nas kocha nad życie?

— Prędzéj mój Jasiu ojciec samby zezwolił, niż matka; ona zbyt rozsądna, by w tém żądaniu nie widziała nic więcéj, prócz dziecinnych zachceń.

— Eh! wszystko to są twoje urojenia kochana Stefciu, zbyt czarno spoglądasz na całą sprawę; ja przeciwnie jestem przekonany, że się dobrze uda i będziemy szczęśliwi.

— Oby to Bóg dał! — dokończyła Stefcia — wtedy większa byłaby dla mnie radość, jako nieprzewidziana; jednakże czy tak czy owak się stanie, jestem spokojna:

znam twoje serce, i wiem że wcześniéj czy późniéj my się połączymy! Wszak młodzi jesteśmy oboje, cóż znaczą dla serc kochających się stale, dwa lub trzy lat przewłoki?

—Nie mówmy już o tém moja Stefciu, nie zrażaj mię swoją przewłoką, tylko jutro wyznaj przed matką, a ja ojca biorę na siebie.

Całą noc tedy przeleżałem, myśląc o jutrzejszéj rozprawie. Ułożyłem sobie cały porządek rozmowy; powtórzyłem go, kategorycznie rozebrałem, prawie nauczyłem dosłownie. Widząc taką przychylność dla mnie ojca, ani wątpiłem o pomyślnym rezultacie. To téż już naprzód odpowiadałem sobie za niego, według moich zamiarów, wyobrażałem radość, jaka mię spotka, układałem wcale poetyczny obraz naszéj przyszłości, i różne, różne następstwa, które tak cudnie umié roić nasz umysł, gdy mu pozwolimy puścić nieograniczone wodze i przebiegać całe lata w sekundzie, zostawiając na boku rozsądek i lodowate oblicze rzeczywistości.

Nazajutrz, gdyśmy udali się jak zwykle do kościoła, dopiéroż modliłem się gorąco, jak nigdy może. Poznałem wtenczas, że nic tak jak miłość prawdziwa i czysta, nie zbliży człowieka do swego Stwórcy. Kochając kobietę jako cudowny utwór Boga, uwielbiając ją, czcimy tylko w niéj i kochamy tę Boską potęgę i niepojęte źródło wszelkiéj piękności. Zaiste, wielkie to jest, i z zadziwiającą przezornością obmyślane urządzenie Wszech Pana, zaszczepiać w serce zmiennego w dziełach swych człowieka iskierkę téj świętéj sympatyi, która go zwróci ku Niemu i da probkę zaziemskiéj szczęśliwości.

Nareszcie po nieskończenie długich godzinach śniadania, po wzajemnych spojrzeniach dodających odwagi, wysunąłem się do ogrodu, gdzie właśnie ojciec zajmował się otrząsaniem reszty owych nieszczęsnych jabłek. Gdym wszedł i stanął przed porucznikiem z zafrasowaną postawą, poznał zaraz że chcę go o coś prosić, bo spojrzawszy na mnie z miną zachęcającą, odezwał się:

— No i cóż powiész mój Jasiu?

— Mam do ojca wielką a wielką prośbę—odrzekłem pomieszany.

— Mówże więc—odparł siadając na darniowéj kanapce, z pełnym koszykiem jabłek—słucham!

Pomimo długiego przygotowania, pomimo tak przychylnego usposobienia ojca, nie wiedziałem od czego zacząć.

— To o co chcę prosić, kochany ojcze—przemówiłem całując go w rękę—stanowi całą moję przyszłość, całe nadzieje, całe szczęście.

— Dobrze dobrze—odpowiedział nieco zainteresowany—mów: czy chciałbyś już wyjechać do Warszawy, hę? bo i ja o tém myślałem przed chwilą.

— Nie, proszę ojca, zmieniłem zamiar.

— Jakto? już nie masz chęci uczyć się prawa?—odrzekł zadziwiony,—jakoś zmienny jesteś mój synu! Ale to nic nie przeszkadza, wiész, że nic tak nie pragnę, jak twojego szczęścia; a może...—dodał po chwili z uradowaną twarzą—może zdecydowałeś się iść na księdza, co?

— I to nie—mówiłem zapłoniony.

— Cóż więc u kata mosanie! Gadaj sam, bo pewno nie zgadnę.

— Kiedy nie śmiem, kochany ojcze.

— To musi być coś złego, mosanie!

— Wcale nie, tylko się boję, żeby się ojciec nie gniewał.

— Eh! co się mam gniewać znowu—odrzekł zniecierpliwiony—nudzisz tylko, a nie gadasz; kończże już, albo mi daj pokój, bo nie mam czasu!

Postałem chwilkę zamyślony, wreszcie rzucając się na kolana przed nim i całując spracowaną rękę, wymówiłem z największém drżeniem, zaledwie słyszanym głosem:

— Ojcze kochany, proszę cię serdecznie, pożeń nas oboje z Stefcią, bo my się bardzo kochamy!

— Czyś ty zwaryował chłopcze? czy dopiéro myślisz?—zawołał porucznik zrobiwszy wielkie oczy; za chwilę zerwał się gwałtownie z kanapki, aż koszyk przewrócił, a jabłka potoczyły się na wszystkie strony.

Milczałem klęcząc na ziemi, jakby piorunem rażony.

— Słyszysz ty!—wrzasnął chwytając mię silnie za ramię i podnosząc z kolan—odpowiadaj zaraz!

— Nie, proszę ojca—bąknąłem spuszczając oczy—tylko ją bardzo kocham.

— Co? ty! ty ją kochasz— wołał porucznik trzęsąc mię obiema rękami—ty? I śmiałeś to powiedzieć mnie? ojcu?

A gdym ja ciągle milczał, nie wiedząc co z sobą zrobić i co odpowiedzieć, ojciec poruszał głową na prawo i lewo z dziwnym uśmiechem ironii, szarpał wąsa nielitościwie, nakoniec zbliżywszy się ku mnie, pochwycił za ramiona i biorąc pod brodę nachyloną mą głowę, spojrzał ogniście w oczy z gniewem i oburzeniem nie do opisania.

— Słuchajno niegodziwcze! pomyślałeś ty, zastanowiłżeś się nad tém, coś wyrzekł? A wiész ty kto jest ta Stefcia, którą poważyłeś się kochać, hę? wiesz? Ona pułkownikówna, bogata, piękna, cnotliwa; a ty co?—hołysz, smarkacz i głupiec, rozumiész!—i wyciągnął ręce za siebie nachylając twarz swoję ku mnie, tak, że czułem jego ciężki oddech, palący tchnieniem gniewu.

— To straszne są rzeczy, jak Boga kocham. Co się w téj głowie mogło wymarzyć mosanie, to nie do uwierzenia!

I znowu kołował po ścieżce, i znowu potrząsał głową z założonemi w tył rękoma. Mnie łzy się puściły z oczu, w głowie zrobił się odmęt bezdenny, z którego ani probowałem się wydostać.

— Płaczesz mazgaju teraz, a żenić się chciałeś; i proszę cié powiedz mi, cobyś ty robił na świecie?

— Proszę ojca—rzekłem nieprzytomnie, pamiętając wszakże ułożoną sobie rozmowę—za te pieniądze co ojciecby wyłożył na moje utrzymanie w Warszawie, i za posag Stefci, wziąłbym dzierżawę i pracował bez.....

— Widzisz go, jaki on gospodarz za cudze pieniądze! A zarób sam, zapracuj w krwawym pocie czoła, to będziesz chodził dzierżawami! Tymczasem od Stefci i od jéj piętnastu tysięcy wara mosanie, wara, bo do milion furbeczek..... zobaczysz!..... Ktoby się spodziewał tego po takiéj trusi mosanie, żeby jak żmija podpełzał pod nogi ojca, i wpoił żądło w jego styraną wiekiem głowę. A jak się to lizał, nadskakiwał, układał; a jakto ani na pomknął o wyjeździe! Oho! mosanie! poradzimy na to skuteczne lekarstwo, odetniemy zbutwiałą gałązkę od drzewa! wywieziemy zarazę, tak, wywieziemy kochanku!

Ruszaj do domu mój amorowy paniczu, pakuj manatki co żywo, bo jutro dodnia marsz w drogę, rozumiész! A jak on to sobie ułożył, żeby mu dać pieniądze, które mam wydać na niego, jak to wymędrkował! Poczekaj kochanku! nic nie dam i odwiozę; pracuj jak ja pracowałem! Dalibóg, że nie dam!

I porzuciwszy fajkę, trzęsąc się od gniewu, pobiegł do domu.

— Słyszałaś ty Zosiu!—zawołał wpadając do pokoju matki—słyszałaś co nasz kochany synek sobie wykoncypował? A to zbrodnia, mosanie, niesłychana zbrodnia!

— Co takiego?—zapytała spokojnie, snać już uwiadomiona od Stefci.

— Wiészże ty, że on mi się śmiał oświadczyć o pannę pułkownikównę!

— I cóż to za zbrodnia?

— Więc to nie zbrodnia kobiéto, nie?—krzyknął porucznik odskakując w tył, z zadziwionym wzrokiem. Przez Boga, Zosiu! czyś ty z kamienia czy co, że ciebie nic nie gniewa, nie zadziwia?

— Uspokój się mój Jędrusiu, wszystko zabardzo seryo bierzesz; nie jest to zbrodnią przecie, daj pokój,— ja wiem o wszystkiém.

— A to już przyjdzie mi zwaryować z wami, mosanie! No, no, imość taki majsterek; nie wiedziałem, dalibóg anim się spodziewał—mówił z szyderczym uśmiechem chodząc po pokoju.—Darmo! wszyscy się sprzysięgli na mnie, darmo! Biedny ty jesteś poruczniku: opuszczony, zhańbiony, przygniecony, toż się doczekałeś miłéj starości!

— Nie wyrzekaj Jędrusiu, wstrzymaj się—zawołała matka biorąc go za ręce—zreflektuj się, to ci opowiem wszystko.

— Co imość pleciesz zreflektuj się, zreflektuj! Cóż to ja smarkacz, lub jaki raptus? Nie bój się, widzę zdrowo jeszcze chwała Bogu.

Po chwili milczenia, porucznik wybuchnął znowu gniewem:

— To mi synek! to mi pociecha, mosanie! On śmiał podnieść oczy na to dziecko, on tak mię zmartwił! Panie Boże—zawołał składając ręce—daj mi przeżyć tę chwi-

lę, bo widzisz jak mię to boli, jak to nurtuje po mnie. Odwróć tę klęskę!

— Słuchaj mój mężu—przerwała matka—porzuć wyrzekania; to dzieci, jak przyszło prędko do głowy, tak prędko wywietrzeje. Ja dopiéro przed chwilą dowiedziałam się o wszystkiém od Stefci; biédna dziewczyna kocha go bardzo.

— Co, i ona ci to powiedziała?

— Takjest, ona sama i....

— To być nie może! nie wierzę, mosanie. Chyba sobie uroiła, ale i to nie, nie—mówił potrząsając głową.

— Ależ tak jest Jędrusiu, cóż w tém dziwnego? Przypomnij sobie tylko młode lata, czyś i ty nie kochał podobnie?

— Pewno że nie, mosanie!

— Oto mi piękna nowinka! więc i mnieś nie kochał?

— Ej! nie podchwytuj moja imość za słówka; ty co innego: nie byłaś pułkownikówną, a ja byłem porucznikiem, rozumiész!

— A czy to miłość idzie po stopniach oficerskich, i szlify nosi?

Tak, idzie, idzie, i nosi—powtarzał zapérzony—a imość nie peroruj, ani wydrwiwaj, bo jak mi Bóg miły.....

— Więc cóż myślisz zrobić?—przerwała matka.

— Wydziedziczyć i wypędzić na cztery wiatry!

— A z czegóż to wydziedziczysz?—zapytała uśmiechając się.

— Ze wszystkiego, mosanie; nic nie dam i wywiozę! Małgosiu! Małgosiu!—zawołał uchylając drzwi od kuchni—ruszaj natychmiast do Jakóba i powiedz, żeby dodnia przyjechał, rozumiész!

— Rozumiem, proszę pana, ale kura.....

— A niech się przekuruje do milion furbeczek okrętów..... Ty idź kiedy każę. Ażeby na trzy dni obroku zabrał!—wołał za strwożoną sługą.

— I gdzież go zawieziesz mój mężu?

— Gdziebądź, byle z domu! Imość przysposób bieliznę i rzeczy, dodnia w świat.

— Teraz posłuchaj mię mój kochany: przeciw oddaleniu jego nic nie powiem, dobrze robisz, samabym ci to poradziła; lecz na Boga cię zaklinam, nie dręcz go, nie

martw, bo on i tak już ma za swoje. Widzisz i dziewczyna się martwi: płakała przedemną bojąc się o niego.

— To dopiéro niegodziwiec! — przerwał gniewnie porucznik—patrzaj co to kłopotów narobił. Już ja mu dam pamiątkę, zobaczy!

— Ty zawsze swoje; właśnie że tym sposobem rozdrażnisz ich, i gotowi się pochorować. Wam starym zdaje się, że młodzi mają tak jak wy postępować: młodość pali, trzeba ostrożnie gasić, bo zamiast stłumienia, zgubić można oboje!

— Eh! co tam się imości marzy—zawołał żartobliwie—a cóż to, umarł kto z miłości, hę?

— Ale może umrzeć! Powtarzam ci, załagódź to wszystko: oddal go, lecz zostaw jakąś nadzieję.

— Nigdy, nigdy, żadnéj!—wykrzyknął porucznik.— Jeszczeby tego brakowało, zastanów się kobieto co mówisz: wiész kto ona, a kto on? coby to ludzie powiedzieli!

— Kiedy się bardzo kochają powiadam ci.

— Facecye moja imość, koszałki opałki w młodéj głowie i nic więcéj!

— Zobaczymy, byleś tylko nie żałował tego. Co do mnie, nie widzę w tém nic nadzwyczajnego: to dobre dzieci jakby dla siebie. Niech tylko on zapewni sobie byt jakiś na świecie, niech nabędzie doświadczenia pomiędzy ludźmi, to jabym wcale się nie sprzeciwiała. Kilka lat mogą czekać, są młodzi jeszcze.....

— Tralala, tralala! jak z nut imość wyśpiewujesz. Nic z tego nie będzie powtarzam, głowy mi nie susz, tylko pakuj na jutro i kwita; ja rządzę nim, ja ojciec!

Matka umilkła, czekając sposobniejszéj chwili zapewne dla rozpoczęcia nowego ataku; ja zaś siedząc w drugim pokoju i słysząc całą rozmowę, nabrałem niejakiéj otuchy, bo przekonałem się, że matka jest za nami, i prędzéj czy późniéj zdoła pokonać upór porucznika. Marzenia moje, przed godziną tak piękne i urocze, jakże zmieniło jedno słowo ojca! Smutno zaiste, smutno spoglądałem po wszystkich kątach pokoju, żegnając w myśli owe szczęśliwe chwile, spędzone na łonie miłości! Nie mogłem się nawet widzieć ze Stefcią bo znikła gdzieś z siostrą, a szukać ich nie śmiałem. Płacząc układałem tłumoczek, nie patrząc na przedmioty; myśl

moja tak była rozerwana, tak odurzona tym nieprzewidzianym odjazdem, że nie wiedziałem co robię, i jak robię. Popakowałem precz halsztuki ojca, sukienki i lalki siostry, akta komendy, i Bóg wié jakie fatałaszki, które matka późniéj powyjmowała, układając bieliznę. Ojciec umartwiony do żywego, pobiegł do proboszcza snać oznajmić mu o wszystkiém, a matka tymczasem zawołała mię do swego pokoju, gdzie już zastałem szlochającą Stefcię, z główką pochyloną na kolana naszéj jedynéj przyjaciółki.

— Słuchaj mój Jasiu!—mówiła matka po wielu słowach pociechy—jedziesz do Warszawy, jedziesz w świat sam, bez téj opieki rodzicielskiéj, jakąśmy dotąd kierowali twemi postępkami. Będziesz od nas zdaleka, wśród ludzi obcych ci zupełnie, którzy cię może nie pojmą i nie ocenią według zasługi. Pamiętaj więc, że zostawiasz nas wszystkich osieroconych i patrzących na każdy krok twój; pamiętaj, aby w twojém życiu nie było żadnéj plamki, za którąbyś się musiał wstydzić przed sobą samym i nami! Wiara przedewszystkiém w Bogu i Jego Opatrzność, modlitwa mój synu, niech gości w twéj duszy, i kieruje całém postępowaniem; żyj prawdą i uczciwością, nie zważaj na innych wyśmiewających szlachetne uczucia i prawość: ty postępuj tą drogą, na jaką wprowadziła cię ręka rodziców. Kochaj nas zawsze jak dotąd, kochaj i szanuj najbardziéj ojca, bo to najzacniejszy i najlepszy człowiek w świecie; choć prędki, uparty, jednakże zanadto cię kocha, i ręczę ci, jutro już inném okiem na ciebie spojrzy. Kochaj Stefcię, kochaj mój Jasiu: ona godna jest tego, a ja cię upewniam, że do siebie należeć będziecie, jeżeli tylko godnym się okażesz jéj szlachetnego serca. Pisuj do nas co miesiąc, tylko szczegółowo, wszystkie myśli, wszystkie wrażenia wiernie odbijaj na papiér, i przysyłaj nam łaknącym twojéj rozmowy. Z nich poznamy twe życie, pochwalimy co dobre, a wytkniemy błędy w listach do ciebie pisywanych.

— Dobrze kochana matko!—zawołałem ze łzami—bądź pewna, że nie zapomnę nigdy tych nauk, które mi dziś powtarzasz; bo i jakżeż mógłbym was zapomnieć, was co po Bogu najbliżsi jesteście mojego serca.

— Wierzę ci mój Jasiu, wierzę, i również zapewniam, że co miesiąc regularnie, odbierać będziesz nasze doniesienia o wszystkiém, co nam się tu przytrafi; powierzać ci będziemy myśli i uczucia nasze tak, jakbyś tu był z nami. Ale pamiętaj też starać się o przyjaźń szlachetnych i uczciwych ludzi; ze wszystkiemi bądź grzecznym, z serca, nie powierzchownie, lecz ostrożnym w doborze przyjaciół, bo nic tak nie psuje młodego jak złe towarzystwo! Starszych szanować nadewszystko, bo oni dla samego już wieku godni są tego; w każdym starcu przedstaw sobie ojca, a w każdéj podeszłéj kobiecie— matkę, która cię tak kocha, i która sercem przebywać będzie z tobą! Teraz pożegnaj Stefcię, pożegnaj siostrzyczkę, i idź spać, bo pewno dodnia wyjedziecie. Pomódl się też za nas, poproś Boga o szczęśliwą przyszłość, i ufaj, że On cię nie opuści! Jutro jeszcze się zobaczymy, ale Stefci pewno ojciec nie pozwoli pożegnać się z tobą.

Rzewneż to było pożegnanie, milczące, smutne, jakby z przeczuciem wiecznego rozstania. Przyrzekliśmy sobie w obec matki wierność, przeszli pamięcią wszystkie spędzone chwile, wszystkie uciechy i wszystkie marzenia przyszłości. Matka uspakajała rozdrażnione umysły, wlewała nadzieję, zachęcała do wytrwałości i przekładała, że to oddalenie jest koniecznem dla naszego szczęścia. Jéj dowodzenia były tak jasne, tak mówiły do serca i rozumu, że potrafiły rozpromienić zasmuconą duszę małą iskierką nadziei, i złagodzić okropną chwilę rozstania.

Nazajutrz ledwo zajaśniało na niebie, już Jakób zajechał, już i matka wstała i porucznik spokojniejszy widocznie, dokończał pacierzy. Wszystko było gotowe do drogi; kochana matka nie zapomniała o niczém: upakowała sama podróżny tłumoczek, zaopatrzyła w zapasy jedzenia, Małgorzata wstawiła zrazy, bez których, jak twierdziła, obejść się nie mogło. Poszliśmy do kościoła, gdzie sędziwy dziekan odprawił mszą swiętą na moję intencyą, a potém do niego na pożegnanie. Lecz jakie było zdumienie wszystkich, gdyśmy tam zastali obie zapłakane dziewczynki, rozmawiające z również zasmuconą Kundusią.

— No, moi państwo, jagem rzekła, ci mężczyzni to z kamienia! Kto widział tak raptem wywozić! Widzicie, pan porucznik jak żywe srybło: sakum pakum i w drogę. Okrutnik jakiś!

Ojciec się trochę zmarszczył ujrzawszy panienki, a jam spojrzeniem przesłał im podziękę. Stary proboszcz pożegnał mię z serdecznym żalem i błogosławieństwem.

— Jedź, jedź kochany mój wychowańcze—mówił drżący od wzruszenia—podobno my się już nie zobaczymy na tym świecie! Taki to porządek: starzy muszą ustępować młodym, nic nie pomoże! Błogosławię ci więc mój synu, jak Abraham błogosławił Jakóba: niech ci Przedwieczny udzieli swych łask na całą drogę żywota, byś dobił szczęśliwie do tego portu wiekuistéj chwały, do którego wszyscyśmy wzdychać powinni! Miéj w pamięci nauki, które wpajałem w twą młodzieńczą duszę, postępuj podług przykazań naszego Wielkiego Zbawcy, kochaj Boga i ludzi, a będziesz szczęśliwy! Gdy cię troska lub jakie nieszczęście nawiedzi, wznieś swoję myśl do Niego: on nasz ojciec, on nasz dobroczyńca, to cię pocieszy i zmniejszy cierpienia! Widzisz, ja 90 lat kończę, tyle przebyłem prób ciężkich w tém życiu, a nigdy, nigdy nie zawiodła mię modlitwa: patrzę na śmierć, jak ty patrzysz na życie, które się odkrywa przed tobą. Jestem szczęśliwy, jak tylko szczęśliwym być można na téj ziemi. Pamiętaj na przestrogi rodziców, postępuj za ich radą, bo oni najlepiéj ci życzą, i najlepiéj wiedzą co dla ciebie może być dobrem. A kiedy usłyszysz, że stary proboszcz już zasnął na wieki, zmów jaki wieczny odpoczynek i wspomnij, że on patrzy na ciebie tam z góry, i prosi Boga o twoje uszczęśliwienie!

Wzruszenie i łzy nie pozwoliły mu daléj mówić, położył tylko ręce na mojéj głowie, ucałował w czoło i podniósł klęczącego. Wszyscy milczący, owiani tém uroczystém tchnieniem mowy świątobliwego kapłana, połykali łzy cisnące się gwałtem do oczu. Stefcia szlochała głośno, bo zapewne stanął jéj w myśli drogi ojciec, który podobnież żegnał ją na łożu śmierci.

Już kilkaset kroków uszliśmy ku domowi, a jeszcze widziałem starca siedzącego w ganku i kłaniającego się swą baranią czapką za odchodzącemi. Kundusia z zało-

żonemi rękoma, z podpartą brodą, stała przy nim, z wlepionym wzrokiem ku naszemu domowi. I ona nie zapomniała o swoim Jasiu, wsunęła spore pudełko siostrze, aby mi go oddała na wsiadanem.

Lecz nie tu był koniec pożegnań. Przed domem gromadka starców o kijach, zgarbionych, w żołnierskich płaszczach, stanęła rzędem odedrzwi na czele Duszaka; poczciwi chcieli mię również pożegnać i pobłogosławić na drogę. Wszystkich nas ujęła ta przychylność staruszków, sam ojciec nawet coś posmutniał, i zdawał się żałować mojego wyjazdu; lecz chcąc wytrwać w swoim zamiarze, gdy Duszak, nie mogąc nic przemówić, ściskał mię tylko serdecznie w objęciach, powtarzając: „niech cię Bóg prowadzi szczęśliwie mój paniczu, niech ci tam błogosławi we wszystkiém", przybrał poważną i niby zadąsaną minę, mówiąc:

— Cóż u kaduka tak płaczecie, jakby się wybierał gdzieś na wieczne czasy; przecież Warszawa nie Ukraina mosanie: przyjdą święta Wielkanocne, to i przyjedzie; tylko mi go rozżalacie i nic więcéj!

— Daj pokój mężu,—odezwała się matka—dzień jeden wiele znaczy dla starych, a cóż rok dopiéro? Kto jest pewny jutra? Daj im pokój niech płaczą poczciwcy, dla mnie każda ich łza jest drogą, bo z serca płynie!

Nareszcie wyrwawszy się z objęć matki, spojrzawszy na Stefcię z wyrazem nieopisanéj miłości i żalu, ucałowawszy zapłakaną siostrę, wsiadłem na bryczkę z porucznikiem. Jakób zrobił znak krzyża przed końmi, śmignął biczem, i lekki wózek potoczył się po bruku oddalając co chwila drogie sercu mojemu osoby. Długo, długo jeszcze widziałem stojących przed domem i patrzących za nami; długo odbijał się w méj duszy ich płacz i smutek rozstania; nakoniec, gdy znikli mi z oczu, gdy powoli, powoli, chować się zaczęły domki miasteczka, kościołek, jasna smuga Wisły i lasy galicyjskie; znękany, z rozpaczą w sercu, rzuciłem się na wózek, a zakrywszy twarz rękoma, płakałem jak dziecko.

Nie będę tu opisywał całéj mojéj podróży, nie poprowadzę czytelników po tych błotnistych drogach, brudnych karczmach i najniegodziwszych noclegach: bo to dość wspomnieć każdemu na swoję podróż, aby mieć

wyobrażenie tysiącznych nieprzyjemności jesiennéj jazdy, gdy to deszcz drobniutki siecze po twarzy, zimno przenika każdą kosteczkę, a w dodatku czeka głodny nocleg, i pijana zgraja hałasujących gości karczemnych. My wprost przyjedziemy do téj ślicznéj kokietki Warszawy, co to opasana zielonym wiankiem drzewiny, spogląda na każdego przybysza zalotném okiem, i wabi układną minką rozkoszy, obiecuje wiele, wiele w swojém spojrzeniu, a żąda tak mało, bardzo mało, bo tylko—pieniędzy!....

(Dokończenie nastąpi).

KOMEDYA.

DRAMAT

Kapellina Korzeniowskiego.

OSOBY.

PREZES, lat 55.
LIDIA, siostrzenica prezesa lat 18.
BASIA, synowica prezesa, wdowa lat 26.
HENRYK, proletaryusz.
SŁUŻĄCA Lidii, służący prezesa.
(Rzecz dzieje się na Podolu 185...,).

AKT Iszy.

SCENA I.

Teatr przedstawia salon w domu prezesa. Na lewo drzwi do pokojów prezesa; na prawo do mieszkania Lidii. W głębi wejście do jadalnéj sali, którą widać za odsuniętemi portyerami.

Pani Barbara, pieszczotliwie Basią przezwana, wdowa lat 26, siostrzenica prezesa, zamieszkała przy nim od niedawnego czasu. Zmarły mąż zostawił jéj dwie ogromne pociechy po swéj stracie: majątek i wolność.

Lidia, siostrzenica prezesa, panna mająca lat 18, sierota. Prezes opiekuje się jéj znacznym majątkiem na korzyść swoję, i wychowaniem na szkodę jéj. Szuka on dla niéj bogatego męża, któryby niebardzo wglądał w opiekuńcze rachunki.

(Lidia i Basia zamyślone obie siedzą na kanapie otoczonéj kwiatami Basia często z pod oka spogląda na Lidią i uśmiecha się szyderczo)

LIDIA, (*budząc się z zamyślenia*).

Jak cicho: pewno anioł przeleciał nad nami.

BASIA.

Musiał ziewać biedaczek. Takiemi nudami
Nie każda okolica poszczycić się może.
Pusto, jakby na stepie; dészcz leje na dworze;
W południe szare światło; ociężała głowa.
Ach! gdyby dla rozrywki, choć figura nowa
Zawitała na dzisiaj.

LIDIA.

I ja lubię gości,
Lecz przyznam ci się szczerze, że téj samotności
W tym zakątku mym lubym, nie dałabym przecie
Nawet za świetność balu.

BASIA.

Boś kapryśne dziecie!
I co tu można robić? Chyba, żeś nabożna,
To różaniec odmawiać.

LIDIA.

A marzyć, nie można?

BASIA.

Marzyć!! O czémże! O kim?

LIDIA.

O nikiém, o niczém.

BASIA.

I tonąć w urojeniu chorobném, zwodniczém:
To podobne do ciebie. Nicość i marzenie,
Różnych to brzmień dwa słowa—jedno ich znaczenie.
(po chwili milczenia)
Jednakże cel być musi, musi być przyczyna
Tych marzeń samotności?

LIDIA.

Naprzód, ma jedyna,
Samotną tu nie jestem.

BASIA.

Kto z tobą tu bywa?
Panna Borel?

LIDIA.

Jéj ranek przed lustrem upływa.

BASIA.

Stryj Prezes?

LIDIA.

Nie. Wujaszek zajęty jest z rana.

BASIA.

Widzę, chcesz mą ciekawość zajątrzyć, kochana.
Łacno ci się to uda; ciekawość przyjaźni
Jest lekką do zbudzenia, gdyż ją wszystko drażni.

LIDIA *(uśmiechając się)*
A wiedzieć chcesz koniecznie.

BASIA.
Koniecznie, koniecznie!
Kochamy się jak siostry: zwierzyć się bezpiecznie
Możesz, duszko, przedemną. Co w serce me wpada,
Zostaje tam nazawsze.

LIDIA.
Więc, rada nie rada,
Muszę ci wreszcie wyznać....
(po chwili wahania się)
Bywam z mym kochankiem.

BASIA.
Z kochankiem?..
(z niedowierzaniem)
I on z każdym przybywa tu rankiem?

LIDIA.
Jak tylko sama jestem.

BASIA.
Nie wierzę, nie wierzę!
Bajkami mię chcesz bawić.

LIDIA.
Nie. Mówię ci szczerze,
Jak cię kocham, najszczerzéj.

BASIA.
Wolne pani żarty;
Tylko trwają zadługo.

LIDIA.
Ależ to nie żarty:
Kochanek, to rzecz ważna.

BASIA.
Ważna, niesłychanie.

LIDIA.
Czyliż mi za kochanka wypalisz kazanie?
Jeden tylko.

BASIA *(zasłaniając uszy)*
Nie słucham.

LIDIA *(odrywając jéj ręce od uszu)*
Bo się przyśni jeszcze.
(seryo)
Moja Basiu! Już dawno z tą myślą się pieszczę,
Że jak siostrze, jak matce, tak zwierzę się tobie.....

BASIA *(ciekawie)*
I bardzo w nim gustujesz?

LIDIA.

Wyobrażam sobie,
Że nie kochać kochanka, rzecz byłaby płocha.

BASIA.

Taki zwyczaj przynajmniéj.
(po chwili milczenia, z ironią)
Ale on, czy kocha?

LIDIA *(coraz bardziéj unosząc się)*

O! i jak czule jeszcze! Wiem, że się nie mylę:
Wiele duszy w nim tylko, kocha mię o tyle.
Piękny, według méj myśli. Rządzę nim, skinieniem.
Gdy mówić mu pozwolę, przemawia natchnieniem
Jakby z méj duszy wziętém. O! bardzom szczęśliwa,
Gdy w jego sercu własna myśl ma się odzywa.
Wiem, że jego istnienia całą jestem treścią:
Mój uśmiech, jego niebem; mój smutek, boleścią!
A ty, nie masz kochanka?

BASIA.

Mój z twoim w przyjaźni;
Z jednego kraju.

LIDIA.

Jakto?

BASIA.

Z kraju wyobraźni.

LIDIA.

Zgadła! nareszcie zgadła!
(zamyślona)
Prawda, kraj cudowny?
Wszystko w nim owinięte we wdzięk niewymowny!
Ludzie tam tacy wielcy! O! to kraj uroczy!
(żywo)
Twój brunet?

BASIA.

Jasno-włosy; ma błękitne oczy.
Strasznie blondynów lubię.

LIDIA.

U twego wzrok żywy,
Rozkazujący, pewno?

BASIA.

Nie, przeciwnie: tkliwy.

LIDIA.

Któż on—tułacz, poeta?....

BASIA.

Hrabia i bogaty.

LIDIA.

O! moje dziwne gusta.
(po chwili milczenia)
W tajemnicze szaty
Ubieram wszystkie moje myśli i marzenia;
Jasnych barw ja nie lubię, i żyję śród cienia.
Niespodziane mię cieszy; niezwykłe, zachwyca.
Kochanek mój posępny; ogorzałe lica
Pod nieznaném mi niebem. Twarz cierpieniem stara.
Myśl na niéj tajemnicza. On—Byrona Lara!
Uśmiech jego złowróżby; słowo—miłość nieci,
Lecz mrozi serce lodem i plącze jak w sieci.
Szyderstwo ma na ustach, a gorzki śmiech w głosie.
Wesoły w swych postępkach, a nieszczęsny—w losie.
Zkąd idzie? niewiadomo! Dokąd? nikt nie zgadnie!
Porywa mię za sobą, gwałtem, samowładnie.
Spojrzenie ma jak otchłań ciemną i głęboką!
Jak najstraszniejsza zbrodnia, jego czarne oko!.....
(namyśla się)

BASIA *(n. s.)*.

Wiem już o kogo idzie.
(głośno)
Znajże w żartach miarę!
I nazywasz kochankiem tę straszną poczwarę?
Okropne twoje żarty.

LIDIA.

To nie żart jest przecie,
Tu przynajmniéj pół-prawdy.

BASIA.

Dziwniejszéj na świecie
Nie widziałam kobiety: upodobać mary!

LIDIA.

Jużci wiész, że istnego ja nie żądam Lary,
Ale zarówno nie chcę powszedniego człeka,
Który podobny wszystkim. Gdy ma stąpić,—czeka,
By kto inny już stąpił; gdy ma kichnąć—słucha,
Czy kto inny już kichnął. Trzyma się łańcucha
Codziennych konwenansów, jak prawideł wiary.
Co niebrzydki, niepiękny, niemłody, niestary,
Nierozumny, niegłupi; którego świat zowie:
„Un homme trés comme il faut," chociaż nikt nie powie,
Co to znaczy; lecz mówią: „partya doskonała!"
Wolę, sto razy wolę, abym pozostała
Starą panną i zrzędną sierot opiekunką,
Lub piesków, kotów, papug zaciętą piastunką,
Niżeli tak wyjść za mąż, „los," jak mówią, „zrobić",
I życie swe nazawsze i w cóżto ozdobić?

W przyjemności tak błahe, a tak przewidziane
Jak dobry dzień, w codziennem użyciu zszarzane,
Śród których serce więdnie, hart duszy się ściera,
A wyobraźnia z głodu i nudów umiera.

BASIA.

Tamto był rys ponury, a ten, sarkastyczny;
Ten dosyć śmiesznie brzydki, tamten straszno śliczny;
Lecz portret nieskończony. Jeżeli się godzi
Dodam doń kilka rysów: to nic nie zaszkodzi.
Owszem, w prawdziwszém świetle twój wzór się objawi.

LIDIA *(zmieszana)*

Nie portret malowałam.

BASIA.

Straszne,—często bawi.
I z ponurém spojrzeniem szydercą być można!
Lecz najlżéj krytykuje ta głowa, co próżna.
Najlżéj najpowszedniejsza dusza, ma pozory
Niby wzniosłych pomysłów. Twarz nędzna—bo chory.
Gdy mówi o chciwości ze zgrozą tak świętą,
Serce marzy o zysku. Tą duszą niezgiętą
Lgnie do téj i do owéj, jak uczą przykłady.
Posępny jest zawiścią, a zużyciem blady.
W każdym kroku, spojrzeniu, rachunek widomy;
Pozornie—umysł wielki; a w istocie—chromy,
Bo na prawość kuleje.

LIDIA.

Nie rozumiem, czemu
Chcesz nadać rzeczywistość marzeniu mojemu?
A z wrażeń myśli moich kształtując osoby,
Ichże kosztem odbywasz satyryczne proby?

BASIA *(z przyciskiem)*

Jak i w każdéj satyrze, tak i tu przestroga.

LIDIA.

Ale tak zawikłana, że ja dość uboga
I w dowcip, i w domyślność, pojąć jéj nie umiem.
Szczera przyjaśń inaczéj poczyna, rozumiem.

BASIA.

Przyznaję się do winy. Lecz, kiedy tak blizko
Dotknęlam uczuć twoich; więc tylko nazwisko
Muszę jeszcze powiedzieć, by odsłonić wszystko.

LIDIA.

Nazwisko?!

BASIA.

Czegoż dziw ten? Przekonana jestem,
Że tam ono w twéj duszy kłamliwym szelestem,
Ale lubym, brzmi pewno.

LIDIA.

Gubię się w domyśle.
Najniewinniéj przed tobą marzenia me kreślę;
Ty mi do nich dorzucasz rysy dosyć brudne,
Chcąc je zmienić w człowieka. Ale to przytrudne:
Pewno żart, żartem płacisz?

BASIA.

Nie żartuję wcale.
Choć się zmartwię chwilowo, lecz postąpię stale.
Boli mi, że twych marzeń muszę rozwiać raje;
Lecz, gdy patrzę na ciebie, serce mi się kraje.
Dosyć dwóch lat ułudzeń; niech ręka przyjaźni,
Ze wzroku ci zasłonę zdejmie wyobraźni.
Ten, czyje chmurne rysy, twoja myśl ognista
Ubiera w cudne barwy, tylko egoista!
Milczałam, bo nie wracał; myśli swéj zaniechał....

LIDIA *(zarumieniona)*

O kim mówisz?

BASIA.

A jużci.....

(wbiega służąca Lidii)

SŁUŻĄCA.

Pan Henryk przyjechał.

(przechodzi do pokoju Lidii)

BASIA.

Masz imię, a nazwisko domyślisz się może?

(Lidia blada i pomieszana, zerwała się z kanapy i stoi nieruchoma: Basia bierze ją za rękę)

Chodźmy przebrać się trochę.

(Obejmuje Lidią i uprowadza ją do jéj pokoju. Lidia daje się powodować; Basia odprowadziwszy ją, wraca na scenę.)

SCENA II.

BASIA. *(sama)*

Gdyby on, broń Boże!
Zobaczył to zamieszanie, tę twarzy jéj bladość,
Ten jéj przestrach radosny; byłoby mu zadość:
Potrafiłby korzyści wyciągnąć z wrażenia.
(z uśmiechem)
Ale od czegóż przyjaźń?
(namyśla się)
Gdy trza rozczulenia,
Rozczulić ją potrafię; rzecz zmącić—to zmącę,
Ją przed nim, jego przed nią tak nizko potrącę,
Że nie zbiegną się w myśli.
(po chwili milczenia)

Może się niegodzi,
Lecz któż w środkach przebiéra, kiedy o cel chodzi,
A jeszcze o cel jaki?!—Do roboty teraz!
(odchodząc do pokoju Lidii)
Trza mi Lidią ustroić i nastroić.

SCENA III.

Prezes lat 55. Ideał obywatela: urzędnik od wyborów, egoista, chciwy, rozumny rozumem codziennego wybiegu, nazywany u sąsiadów zacnym człowiekiem, imponujący majątkiem, urzędem, urodzeniem i kucharzem.

Henryk proletaryusz lat 30. Dawny sąsiad prezesa.

(Obadwa wchodzą, prowadząc zaczętą rozmowę).

PREZES.

Nieraz
Wspominaliśmy pana. Dwa lata, to tego
Panie drogi, nie żarty. Już za umarłego
Mieliśmy. Siadaj, proszę.
(siadają)
Ni śladu, ni wieści.
Chodziły wprawdzie u nas o panu powieści
I straszne, i wesołe.

HENRYK.

A! bardzo rad jestem,
Że łaskawi mi ludzie, języków szelestem
Budzili pamięć o mnie; pamięć, spioch nielada:
Nieobecni, to zmarli.

PREZES *(z głupowatym uśmiechem)*

To tego, wypada,
Że pan oto zmartwychwstał.—Było tu podanie:
Że pan zgorzał z kretesem, in persona, panie;
To znowu: że pan zamarzł, błądząc w zawieruchy;
To tego, trudno wątpić. Człek, panie nie głuchy,
Musi słuchać, a wierzy: bo to zdetalami
Mówią słuszne osoby, co były świadkami,
Albo tak jak świadkami. To tego, pacierze
Za duszę pańską nieraz odmawiałem szczerze.
Śmierć gwałtowna, to tego, bez spowiedzi może;
A człek grzeszny, bo człowiek. Nuż, uchowaj Boże,
Znajomy dobry, w piekle! Fe! brzydko! to tego.
Aż tu znów ludzie mówią, z tego ni z owego
Żeni się! raz, raz drugi, aż tu raz i trzeci.

HENRYK.

A niewiadomo panu wiele miałem dzieci
Z tych potrójnych zaślubin? Dzięki ci, prezesie,

Za twój pacierz pośmiertny. Tak więc fama niesie,
Że pięć razy umarłem?

PREZES.

Dwa razy, mówiłem.

HENRYK.

Przepraszam: raz zamarzłem, raz się usmażyłem,
A trzy razy grzebiono mię w małżeńskie łoże;
Nietrzeba i cholery.

PREZES.

At! pożal się Boże,
U nas wieści?! To człowiek zawsze jak w obłędzie.
Myślałem, że to prawda; powtarzałem wszędzie,
Bo co mówią, powtórzyć, to godziwa przecie.
Już się zwykłem z tą myślą.

HENRYK.

Tak zawsze na świecie:
Same zawady tylko. Ten bardziéj mię boli,
Bo z méj winy. Lecz umrzeć nie było w méj doli,
Choć na chęci nie brakło.

PREZES.

Jak? umrzeć? To tego,
Chęć pan miałeś?! doprawdy? A to coś dziwnego!
Życie, panie, rzecz dobra: tak mniemam i czuję.
To tego, szczerze mówiąc, wcale nie pojmuję,
Jak może człowiek młody chcieć umierać, panie!
Życie, to jest użycie. A z śmiercią ustanie
Wszystek ciąg przyjemności. Nie można to tego
Żadnym zmysłem nic, a nic! I cóż w tém dobrego?
W grobie nie ma zajścia, dochodów, honorów,
Ni urzędów, obiadów, kontraktów, wyborów,
Nie ma gdzie, ni czémkolwiek wystąpić przed światem.
Śmierć, rzecz niedobra, głupia.

HENRYK.

A zatém
Żyj prezesie najdłuższe, nieskończone lata!
Życzę, choć nię kichnąłeś.
(Prezes kłania się)
Lecz, kiedy do świata
I ziemi już zeszliśmy z kwestyi śmierci ślizkich,
Pozwolisz się zapytać o wszystko, o wszystkich?
Dawno widziałem państwa. Jakże się powodzi?
Jak się mają znajomi i starzy i młodzi?
Krewna pańska?...

PREZES.

Dziękuję, Basia mi jest zdrowa:
Hoża wdówka, mój panie! To tego, i głowa,

O! głowa nie kobieca. Teraz tylko marzę,
Jakby drugi raz za mąż.....

HENRYK.

O pani Barbarze
Przyjemna mi wiadomość. Zawszeć piękną była;
Przypomina prezesa.
(*Prezes się kłania*)
Dowcipna i miła;
Pewno te jéj zalety wzrosły razem z laty:
Próżna troska, mąż będzie młody.

PREZES.

I bogaty,
Bo bez tego i szczęścia nie ma tu, mój panie.

HENRYK.

A panna Lidia?

PREZES.

Lidia?
(na stronie)
To boże skaranie!
Jak mówić? Basia wprawdzie nakładła mi w ucho.
Jak to ona mówiła? A! sucho i głucho.
(głośno),
Lidia? Cóż, zawsze przy mnie. Bardzo się zmieniła
Na awantaż, i zmiana nieskończenie miła.
Pochlebia mym staraniom, wynagradza trudy.
Gdybym miał własną córkę, szczerze, bez obłudy...

HENRYK *(na stronie)*

Coś skłamie.

PREZES.

Nie chcę innéj. Rozsądek nad lata:
Rachunkowa, wymyślna; a tak lgnie do świata,
Bo wié, że błyszczeć będzie. A za błyskiem w tory,
Wié, że idzie pozycya świetna i honory!
Choć trochę uszczypliwa, ale to nieszkodzi,
Bo zalotna jest w miarę, to, tamto łagodzi.
Ażeby, jedném słowem, skreślić ją wymownie:
Z charakteru, to tego, podobna jest do mnie.

HENRYK.

I cóż ją tak zmieniło?

PREZES.

A! moje staranie,
Moje rady. I kosztu nie szczędziłem, panie!
Nająłem guwernantkę, panna Borel, złoto,
Paryżanka, a akcent!!! To téż i z ochotą
Płacę jéj tysiąc rubli. To tego, rzec można,
Że matkę jéj nająłem.

HENRYK.

Zasługa pobożna,
Sierocie, matkę nająć.

PREZES.

Prawda, panie, sztuka!?
Ale od czegóż głowa? Wprawdzie i nauka
W las nie poszła, i Lidia dziś jest, proszę pana,
Jakby mi tu z Paryża w pudełku przysłana:
Żadnych marzeń, poezyi, sercowych wyskoków;
To tego, nie zna wcale koloru obłoków;
Ale za to na ziemi, jak wié swoje cele!!

HENRYK *(na stronie)*

O! cóż z ciebie zrobili biedny mój aniele?..
(głośno)
Winszuję i podziwiam. Gniewam się na siebie,
Żem sam nie małoletni: ubłagałbym ciebie,
Byś mi był opiekunem, mój szanowny panie!
Rzadkobo kto tak pojmie swoje powołanie:
Duszę boską przetworzyć w opieczéj czułości
Na kopyt powiatowéj, panieńskiéj mądrości,
Piękności, światowości, i doskonałości,
To nielada! to sława, która zacnie świeci.
O! gdyby Bóg dał ci téż co najwięcéj dzieci,
Powiat miałby filary.

PREZES *(na stronie)*

Kpi, czy drogi pyta?
(głośno, skromnie)
To tego, mą powinność zrobiłem i kwita!
No przepraszam cię teraz: masz tutaj gazety;
Ja muszę cię opuścić. Lecz wkrótce kobiety
Zapewne wyjdą do nas. Pozwól wyprządz konie.

HENRYK.

Niech stoją, ja się spieszę.
(Prezes odchodzi).

SCENA IV.

HENRYK *(sam)*

Czego mi tu, w łonie,
Tak się zrobiło pusto, tak czczo i boleśnie!
Jeden zawód, nic więcéj, i lepiéj że wcześnie
Wiem, iż aniół mych marzeń odrzucił swe skrzydła!..
(zamyśla się)
A jeśli to nie prawda? Jeżeli to sidła,
Któremi prezes chciałby oplątać me nogi,
Abym stanął w méj drodze? Wszak wié, żem ubogi.

Coś nadto mądrze mówił. To nie zwyczaj jego;
I mało się namyślał z pomocą: „to tego“.
Tak: to rzecz usmażona w narady fajerce.
(*słychać szelest za drzwiami od ogrodu*)
Otóż ona, jak piękna! Ostrożnie me serce!
(*chwyta gazety i siada odwrócony do wchodu*).

SCENA V.

HENRYK. LIDIA. BASIA.

HENRYK (*do Lidii*)

Czym poznany, czy mam się prezentować pani?

BASIA (*podchwytując*)

Nie szkodziłoby może.

HENRYK (*kłania się Basi; do Lidii*)

Prawda, niespodzianie?
Pomyślałem: siurpryza miléj jest przyjęta
Niźli rzecz przewidziana. Więc poczta najęta,
Siadam i jestem tutaj. Cóż pani powiada?

LIDIA.

Że przybyciu pańskiemu bardzo jestem rada.
(*siadają*)

HENRYK.

I nic więcéj?

BASIA.

Nie dosyć?

LIDIA.

Radam niewymownie.

HENRYK.

Szczerze powiedzieć pani: rada pani skromnie.
Lecz dwieście wiorst z gorą lecę jak szalony,
Wywracam się, znów lecę, zziębnięty, stłuczony;
I, czym przyjechał cały, gdy nie jestem pewny,
Widzę pani wzrok zimny,
(*do Basi*)
pani, prawie gniewny;
(*do Lidii*)
Pani mię wita świętéj pielgrzymki obliczem:
Cudownie obojętném.....

BASIA.

A że téżto niczem
Zadowolnić nie można? Panowie poeci
Nienasyceni nigdy, jak łakome dzieci.

HENRYK (*do Lidii*)

Nawet mi ręki pani uścisnąć nie dała.

LIDIA.

A, niechże sam pan przyzna: jam zdumiona cała
Niespodzianém przybyciem. Wszak dwa lata prawie
Jak pan o nas zapomniał?

HENRYK.

Przecie, że łaskawie
Raczy pani pamiętać czas méj niebytności.

BASIA (*zcicha do Lidii*)

I cóżto oto pleciesz, aż mię biorą złości!
Prosiłam: bądź ostrożną! On pomyśli sobie,
Żeśmy tylko tęskniły za nim, i to obie.

HENRYK.

Pani Barbara zawsze lubi tajne sprawy:
A ja nie mogę wiedzieć?

BASIA.

Zawsze pan ciekawy!
Lecz dostatecznéj jeszcze nie masz pan powagi,
By mu można powierzyć sprawy takiéj wagi.

HENRYK.

O! dosyć postarzałem; niech się pani zwierzy.

BASIA.

Któż w XIX wieku już poetom wierzy?

HENRYK.

Niemiłe dla poetów o nich przekonanie.
(*do Lidii*)
Czy i pani tak trzyma?

LIDIA.

Podzielam jéj zdanie.

HENRYK.

To boleśnie. Lecz wyrok taki nieżyczliwy
Nietyle mnie dziś smuci, bom szczerze szczęśliwy!
Tu jestem, widzę panią; przeszłości zwrócony
Żyję dawnemi dniami. Zda mi się, stęskniony
Po wczorajszéj bytności, dziś znowu tu staję
I te same, co wczoraj, pytania zadaję:
Co pani przeczytała? Jakie jéj wrażenia?
I jakie myśli śliczne poetów natchnienia
Obudziły dziś w pani? I co pani grała?
Czy raz, choćby ziewając, o mnie przypomniała?
Pani nie odpowiada?

LIDIA.

Liczę zapytania;
Tak ich wiele i razem, iż trudne zadanie
Na które odpowiedzieć? Dogodzićbym chciała,
Jak grzeczna gospodyni; dlategom myślała,
Co go więcéj obchodzi: czy moje czytanie,

Czy muzyka, czy wreszcie moje poziewanie?
O! wiem, żeś pan kapryśny; dogodzić mu trudno:
Boje się wydać śmieszną, a co gorzéj nudną!
A wspomnienie o panu.....

BASIA (*przerywając*)

Ja zaręczam za to,
Żeśmy go wspominały. Czy zima, czy lato,
Zawsze myślimy o tém: gdzie pan jedziesz teraz,
Gdzie szukasz śmiesznych ludzi? Tak, że nawet nieraz
W Odessie, gdy znajomy przybył na okręcie,
Pytamy, czy w podróży po morskim odmęcie
Nie spotkał nejtyczanki, która wiozła pana?

HENRYK.

Podróż dosyć szczególna, przez panią wydana;
Wynalazek nielada: i wartoby pani
Na lat piętnaście—mało! dać przywiléj dla niéj,
Wozić swoich znajomych w téj lokomotywie.
Miałaby pani dochód.

BASIA.

Łaskaw pan, prawdziwie.
Wynalazek mój darmo daję publiczności.

HENRYK.

Miło w przemyślnym wieku nie widzieć chciwości.

BASIA.

Chciwość,—rzecz nie tak czarna, jak ją nam malują.
Przyznam się do niéj chętnie. Dusze, co pojmują,
Qu'il n'y a jamais assez du brillant et du beau,
Désirent toujours un mieux, s'envolent toujours plus haut.
Chcieć wzlecieć z nędzy ziemi, można nazwać cnotą,
A skrzydłem jéj najlepszém....

HENRYK.

Wiadomo,—że złoto!
Trza go mieć wiele, wiele, moje takież zdanie,
By być wyższym, godniejszym. Ależ, moje panie,
Czy zawsze tu języka mieszanina zdrożna
Panuje jak i dawniéj? I zawszeż nie można
W towarzystwie wysokiém wymówić by słowo,
Nie żeniąc Franków mowy z Szarogrodzką mową?
Pod karą okrzyczenia za gbura, nieuka,
Trzeba mieć dwa języki?

BASIA.

Lecz byłaby sztuka
Wykroić z tych dwóch jeden taki jak u pana.
Jak téż panu nie zbrzydnie ta rola bociana,
Chcącego z wad i wadek świat czyścić koniecznie.

Jak się panu nie znudzi przechadzać się wiecznie
Na szczudłach swych przymiotów, swéj doskonałości?
Szukać przedmiotów szyderstw, celu złośliwości?
Z wiecznym śmiechem na ustach ze wszystkiego w świecie?

HENRYK.

Bardzo przepraszam panią: nie wiedziałem przecie,
Że ten zwyczajny u nas bigosik języka,
Czułego serca pani tak blizko dytyka:
Nie śmiałbym powstać na to, co pani uważa
Za święte, nietykalne! Gdy ją to obraża,
Solennie odwołuję wyrzeczone słowa,
I twierdzę: że paryzko-szarogrodzka mowa
Jest ideałem mowy, i, że mową inną
Obywatelskie grono mówić nie powinno.

PREZES (*z za drzwi swego gabinetu*)

Basiu! proszę na moment.

BASIA (*na stronie*)

Sprytniutkiś prezesie!
Wywołuje mię teraz; jak ze zbójcą w lesie
Zostawia tutaj Lidią. O! widzę w téj chwili,
Że głupotę mężczyzni pierwsi wymyślili.
(*głośno do Henryka*)
Pewno mię potrzebują chorzy i kaleki;
Przepraszam, że opuszczę.

HENRYK.

Wszakże nie na wieki?
I ta myśl mi osładza rozstania się chwile.

BASIA.

Wiem, że na zawołanie masz pan pociech tyle,
Że go nie zasmuca.
(*wychodzi*)

SCENA VI.

HENRYK I LIDIA.

HENRYK.

Co za przekonanie,
Że już mię nic i nigdy zasmucić nie w stanie?
Krewna pani niedobre ma o mnie pojęcie.
Serce me dziś wesołe w uroczystém święcie
Widzenia się, o którém już marzę od roku;
I jeśli łzy radości nie ma w mojém oku,

Jest to hołdem zwyczaju, co ukrywać zmusza
Gdy serce silniéj bije; gdy serce i dusza
Zleją się w jedne czucie, silne, rzewne, święte,
Tajemne....

LIDIA.

Tak tajemne, że aż niepojęte!
Dlaczegoż tu, to czucie rozkwita w kwiat cudny?
Wszak pan rzucił te strony, gdyż mu były nudne?
Czemuż dziś wywołują witań słowo rzewne?
Szukał pan nowych ludzi, o! i serc zapewne;
Przywiózł pan wrażeń niebo, wspomnień wielką cnotę;
Niech pan będzie jéj wierny.

HENRYK.

Przywiozłem tęsknotę
Tę, z którą wyjechałem z musu, a nie z woli;
Tęsknotę, co mém szczęściem, choć tak często boli!
Żyłem tutejszych wspomnień obłokiem owiany,
Na świat i urok jego patrząc zadumany;
Tęskniłem i czekałem; a spiesząc w tę drogę....

LIDIA.

Szczęśliw byłem.—Chcę wierzyć, lecz wierzyć nie mogę!
Taka czułość pasterska panu nie do twarzy;
Mówisz pan o niéj pięknie, gdy się mówić zdarzy,
Lecz nieprawdopodobnie. O! gdy się pan śmieje,
To prawda wtedy w słowie i w twarzy jaśnieje.
(*Henryk chce przerwać*)
O! to nietylko moje, lecz i innych zdanie.
Smiéj się pan! Czy mu trudno?

HENRYK.

O! na zawołanie!
I jabym śmiać się nie miał, ja? Czy to się godzi!
Sama myśl tak pocieszna, że wesołość rodzi.
Niechże mi pani powié, jak tu państwo żyją,
Gdzie bywają, co robią, co jedzą, co piją?

LIDIA.

Przyniosę panu książkę: Wyborna Kucharka,
Znajdziesz pan tam odpowiedź, wszcząwszy od sucharka,
Aż do rosołu włącznie i kategorycznie.
Będziemy wspólnie czytać.

HENRYK.

Wybornie, prześlicznie.
Po długiéj niebytności, gdy wracam w te progi,
Nawet mi dym kuchenny lubych stron jest drogi.
Lecz odłóżmy lekturę. A wujaszek pani,

Wstaje zapewne coraz i raniéj, i raniéj
Do swego gospodarstwa: bo człek postępowy.
Gdy się liczy z gromadą, czy wice-mundur nowy
Upoważnia rachunki? Zawszeż urzęduje?
Zawszeż wiecznie i wszędzie dochody rachuje?

LIDIA.

Wujaszek się nie zmienił: to rzadka zaleta.

HENRYK.

A krewna pani, zawsze ideał kobieta,
Karmiąca pieski, koty, papugi, sieroty,
Uzdrawiająca chore, dająca na poty,
Przyczepiająca piawki? Czy dobroć bez granic
Podziela między znaczną liczbę wychowanic
A faworytów: pudla, pudlicę i męża?
Kto z tych trzech zacnych osób w jéj sercu zwycięża?
Kto trzyma piérwsze miejsce? A ówże odludny
Przyjaciel, sąsiad państwa, tak cudownie brudny
Z rublem w oku, na twarzy, w dłoni i po uszy,
Z rublem w herbie, i w głowie, i w sercu, i w duszy,
Razem wszystko w kieszeni—ta kieszeń chodząca?
A tenże drugi, miły, jak szafka grająca,
Która kilka sztuk jednych gra na zawołanie
Ze znajomych motywów? A te wszystkie panie
Z intencyi młode bardzo, jeszcze młodsze w stroju,
W wiecznym, gotowalnianym z laty swemi boju?
A ten, jakże? ów kwiatek okolicznéj młodzi,
Co go nigdy nie sieją, a wszędzie się rodzi;
Pełne go wszystkie domy, tancerz wyśmienity,
Na bale, jak na poty, biorą go kobiety?
A ci znowu modnisie, panicze, paniątka,
Ukształcone, wymyte, jak uczone psiątka;
W ukłonie, w wejściu, w wyjściu każdy takim mistrzem,
Że zdaje się, *cher papa* musiał być tancmistrzem?
A tenże co niedawno wrócił z zagranicy,
Dziw, cudo, zakochanie całéj okolicy,
Angloman, we swym fraku jak w worku motyka,
Z uszami podciętemi ostrzem kołnierzyka;
Mało mówi, co powié, to głupstwo, aż miło!
Czyli go wielbić paniom już nie dokuczyło?
A ten stary przyjaciel, przeciwnik oświaty,
Co to seryo zamyślał przed kilkoma laty
Podać gromadzką prośbę...
By popalono książki, oprócz kalendarza?

LIDIA.

Lepiéj niech mi pan powié, czy czasem, przypadkiem,
Choć od niechcenia jakiém wydarzeniem rzadkiem,
Choćby raz w życiu swojém, jedno dobre słowo
O kimkolwiek pan wyrzekł?

HENRYK.

Ja, życia połową
Zapłaciłbym zaszczytną chwilę rozrzewnienia,
W któréj wszystko tak piękne, tak pełne natchnienia,
W któréj ludziom i światu wszystko się przebacza
Za te szczęście, co duszę nam w dobroć otacza.
I gdy z takiém uczuciem stanąłem przed panią,
Gdy serce dobrze bije, kiedy patrzę na nią;
Trzebaż oziębłém okiem, urągań wyrazem
Zabić świętość téj chwili i me szczęście razem!
Czyż pani zapomniała już te dni tak błogie,
Pełne nadziei? Wié pani: ja mówić nie mogę,
Tak mi w sercu i w duszy, i święto, i rzewnie!
O! czy pamięta pani?

LIDIA.

Ja pamiętam pewnie;
Lecz pan, co te dni szczęścia tak spieszył porzucić,
Nie wiém czyli za niemi mógł się bardzo smucić!
Jednak było nam dobrze! Moja matka święta
Żyła w on czas.
(*Po chwili milczenia*)
Wszak matkę moję pan pamięta?

HENRYK.

O! w takiém zapytaniu zanadto goryczy,
Aby uśmiéch szyderski, ten uśmiech zwodniczy,
Pod którym częste troski ukrywałem nieraz
Mógł skryć ból mego serca! Szczerze cierpię teraz!
Gdy to było jéj celem, dopięłaś go pani!
Nic tak mocno nie boli, tak srodze nie rani,
Kiedy na zacnych uczuć szlachetne wyrazy
Odpowiadają: niewiara, płocha chęć obrazy.
Pani, któréj wdzięk duszy tak świeci w spojrzeniu,
W każdém jéj słowie, w ruchu, w każdém niemal tchnieniu,
Masz prawo mi powiedzieć, że ta przeszłość cała
Nadziei, marzeń, szczęścia, jak dym się rozchwiała,
Że nawet pamięć o mnie już niemiłą dla niéj;
Lecz nie wierzyć, nie wierzyć nie masz prawa pani.

LIDIA.

Ja wierzę, ale temu, co mi bije w oczy.
Kiedy niebo jest czyste, a chmura je zmroczy;
Gdy raz słońce dogrzewa, znów burza ulewna:
Nie wierzymy pogodzie, mówiąc, że niepewna.
Takiego dnia jesieni jesteś pan obrazem:
Nie wiem jakim wewnętrznym zmuszony rozkazem,
To świetnych uczuć słońca rozsiewasz promienie,
To znów chmurzysz się w czarne, obojętne cienie;
Chwilkę sercem zaświecisz, aby późniéj, mglisty,
Poszarpać natchnień wstęgę w burz szyderstwa świsty!

HENRYK.

Okropnie! Myśli moich rwie się już osnowa.
Kiedy mówię do pani ludzkie tylko słowa,
W sercu szepczę modlitwę, by Boże natchnienie
Odkryło jéj, choć cudem, całe me istnienie;
Abyś się przekonała, jedną wiary chwilką,
Że w niém, jedna ty pani, jedna jesteś tylko!
Słyszę na tę tak święte uczuć mych wyznanie
Żarcik atmosferyczny! Jednak porównanie
Sprawiedliwe! Tak pani: w życia mego doli
Mało tego, co szczęściem; obficie, co boli!
Trudno ciągle udawać w prawdy poniewierce!
Mimo mych usiłowań i w duszę, i w serce
Spadają czarne chmury i pełzną na czoło!
Wonczas wszystko mi smutne, gorzkie naokoło,
I ja cierniem połową, trucizną połową!
Smutkiem są myśli moje, a szyderstwem słowo!
To burze! Ale jednak i ja Boże dziecie,
Choć obojętny ludziom, nie ważony w świecie,
Mam chwile mego słońca! Skrzydło mojéj myśli
Wysokie, podniebiańskie, jasne kręgi kreśli;
Czuję siły do lotu, bo w serca złudzeniu
Zdaje mi się, że widzę współczucie w spojrzeniu,
A zachętę w jéj słowie! I że wierzysz pani,
Że gdym zacny i wyższy, to jedynie dla niéj!
Ja wieszczem: i okryty wymarzoną chwałą,
Mam śmiałość jéj powiedzieć.....

LIDIA (*słabym głosem*)

Co?

SCENA VII.

CIŻ SAMI. BASIA, PREZES i SŁUŻĄCY.

BASIA (*śmiejąc się*)

A cóż się to stało,
Że się już pokłócili? Fe! To nie wypada.
Pan płomienie ma w oku, ona drżąca, blada!
Tak pan dawną znajomość rozterką odnawia?

PREZES.

Tego to, dawny zwyczaj!

HENRYK.

Niech się nie obawia
Pan prezes, ani pani. Sprzeczka bardzo mała;
Zdaję się na sąd państwa. Wierzyć mi nie chciała

Panna Lidia, żem nieraz i szczerze się smucił
I tęsknił za tą stroną; żem wierny powrócił
W méj przyjaźni dla państwa. A mnie to bolało,
Że ufano tak słabo, tak wierzono mało
Mnie, który w ogień dla nich rzucić się gotowy!

BASIA (*śmiejąc się*)

Dobrze, gdy się pan spalisz; a gdy wyjdziesz zdrowy?

SŁUŻĄCY.

Do stołu już podano.

HENRYK (*podając rękę Basi*)

To, wylany dla niéj,
Jak dziś, znowu do stołu podam rękę pani!
(*wychodzą*).

KONIEC AKTU Igo.

Nieruszek na Podolu,
d. 22 kwietnia 1854.

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Od kilku miesięcy dzienniki i rozmaite pisma umieszczały ciekawe szczegóły o budowie i potwornych rozmiarach pałacu Sydenham, i wewnątrz cuda obiecywały. Jak zwykle bywa, opisy rosły w umysłach czytelników, wyobraźnia dopełniła niedokładne obrazy; przyszło do tego, że o pałacu w Sydenham opowiadano sobie jako o zaczarowanym zamku zaklętéj królewny. Ci, co go tak sławili jeszcze przed otwarciem, zapomnieli, że tym sposobem łatwo zgubić mogą ów raj obiecany jako rzecz przechwaloną, bo urzeczywistnienie ideału trudniejsze nad wszystko. Dziwnym trafem inaczéj się stało: tą razą rzeczywistość przeszła oczekiwanie!

Pałac Sydenham jestto ów sławny pałac kryształowy, nabyty i przeniesiony do Sydenham, przez prywatną kompanią; powiększony niezmiernie, wygląda jak tamten przez mikroskop widziany. Powszechnie znana struktura pałacu wystawy, uwalnia mnie od opisu jego budowy; przebiegnę więc wnętrze olbrzymiego muzeum, ażeby dać o niém wyobrażenie czytelnikom, wyobrażenie tylko, gdyż opis kilkuby tomów potrzebował.

Sydenham leży o 20 minut drogi koleją żelazną od Londynu; pociąg zajeżdża kołem, i staje przed prawém skrzydłem pałacu, jak najtyczanka przed gankiem polskiego dworku. Gmach tak jest ogromny, że choć zbudowany na znaczném podwyższeniu, zdala nawet nie można całości jego uchwycić.

Piérwsze wrażenie oślepia przybyłego. Oko wszystko naraz ogarnąć pragnie, a każdy szczegół nęci go

i przyciąga; wzrok błądzi w tym labiryncie linii, które się łamią, krzyżują, zbiegają i rozbiegają, tworząc trójkąty, koła, kwadraty. Dach przezroczysty ponad którym widać ciągnące chmury, inny zwrot myśli nadaje: radby człek dumać w oszołomieniu jakiémś pogrążony. Ale nie tu miejsce na rozmyślania próżniacze: tu trzeba siły żeby podołać, żeby nastarczyć coraz to nowym wrażeniom, żeby ogarnąć myślą cały szereg ubiegłych wieków.

Przy głównéj drodze, która przecina na dwoje piérwszą nawę, ustawiono długim rzędem naprzemian posągi i pomarańczowe drzewa. Wiedzie ona do drugiéj, podzielonéj na sale podwórzami zwane, z których każda innéj epoce poświęcona, i we właściwym stylu zbudowana, mieści w sobie owego czasu pomniki.

Po prawéj stronie od wnijścia jest sala włoska. Zbudowana na wzór rymskiego pałacu Farnezów, przepełniona ozdobami i rzeźbą, wabi i nurzy zarazem oko zbytkiem bogactwa. W środku dokładna kopia fontanny rzymskiéj Tartarugh rozpościera marmurowe konchy nabiegłe różowemi żyłami, i spragniona czeka na wodę, która dotąd nie przyszła.

W głębi sali stoją dwa pomniki: grobowiec Wawrzyńca Medyceusza, którego wzór znajduje się w kaplicy Medyceuszów we Florencyi, a naprzeciw niego nagrobek Juliana Medyceusza, także we Florencyi kopiowany: obadwa dłuta Michała Anioła. Dwa te ogromne grobowce zajmują prawie całe dwie ściany. Obok nich stoi Jonasz i wieloryb, Rafaela; Chrystus z krzyżem, Michała Anioła, Litość tegoż, i Niewolnik w Luwrze kopiowany. Daléj uderzają cztéry ogromne piedestały na których w pałacu św. Marka w Wenecyi pozatykane są zdobyte chorągwie. W przedsionku porozwieszane kopie sławnych obrazów szkoły włoskiéj.

Z sali włoskiéj przechodzi się do sali de la renaissance, u któréj wnijścia stoją nagrobki Elżbiety i Maryi Stuart. Przy dumnych i twardych rysach angielskiéj monarchini, dziwnie odbija słodki uśmiech szkockiéj królowéj.

Fasada sali de la renaissance wzięta jest ze staro żytnego hotelu Bourgtheroulda w Rouen, sławnego bogactwem architektonicznych ozdób. Na środku wzno-

szą się dwie fontanny bronzowe z weneckiego pałacu Duków doskonale naśladowane. Okno w téj sali wzięte z klasztoru pawijskiego, przecudny czyni efekt. Karyatydy dłuta Jana Goujon podpierające ogromne drzwi wchodowe, grobowiec Viscontego i wiele innych rzeźb Gujona, stanowią główną ozdobę téj sali, która wszystkie swoje piękności Francyi zawdzięcza.

Po niéj następuje wspaniała średniowieczna sala, przybytek sztuki gotyckiéj, na którą składały się zarówno Francya, Anglia, Niemcy i Włochy; styl każdego z tych cztérech narodów jednaki w podstawie, różny w wykończeniu, przedstawiają licznie zgromadzone pomniki. Rzeźby z katedry Lincoln uderzają jaskrawością kolorytu; dają one wyborne wyobrażenie o ówczesnéj ornamentacyi, mianowicie téż drzwi na których najdziwniejsze postacie gonią jedna za drugą, rozczochrane, fatalne, jak Makbeta jędze, świadczą o bujnéj wyobraźni średniowiecznych artystów. Na środku stoją cztery grobowce: królowéj Eleonory, Edwarda Ilgo, Wilhelma Wikenham, i księcia Czarnego; ostatni mianowicie lśni się od złota i pretensyonalnych ozdób. W oddziale sztuk francuzkich są piękne rzeźby z katedry Notre-Dame de Paris, ułamki z katedry Reims i płaskorzeźby z roueńskiéj, których gust surowy i poważny uderza wielkością kompozycyi. Z Włoch średniowiecznych wybrano statuę sprawiedliwości dłuta Giovanniego z Pizy; stoi na ołtarzu jednego z pizańskich kościołów. Niemieckie zabytki ułożone są w krużganku wiodącym do sali byzantyńskiéj. Są tam rzeczy niezrównanéj piękności, jakoto: rzeźby kaplicy Trzech króli z katedry kolońskiéj, ułamki z katedry mogunckiéj, i drzwi klasztoru Dinkindorf w Wirtembergu.

Salę byzantyńską stroją jaskrawe mozajki, których wzory na wieczystą pamiątkę swéj sławy bracia Zuccaty w kościele ś. Marka ze szkła i drogich kamieni złożyli. Na boku oparta brama katedry mogunckiéj, w środku nagrobek Ryszarda Lwie serce, i pyszna marmurowa fontanna Heislerbacha. Posadzka ułożona jest z normandzkiéj mozajki, w rogu ogromna chrzcielnica winczesterska, a przy niéj w starożytnéj urnie zatknięty stary krzyż irlandzki, szacowny zabytek świętéj wiary w kolebce.

Z sali byzantyńskiéj jest wyjście do egipskich kolosów. Tutaj dopiéro powziąć można wyobrażenie o rozmiarach pałacu: ogromne egipskie monumenta obszernie tu jak pod gołém niebem rozstawione. Zdziwiony, przygnieciony ich wielkością wędrowiec, stoi jak przykuty, i oczu oderwać nie może od tych olbrzymich dziwolągów! Widok od drzwi byzantyńskich jest niezrównany.

Jak okiem zasięgniesz biegnie ulica, a przy niéj dwoma rzędami szpaler rozłożonych na piedestałach potężnych Sfinxów z ogromnemi głowami, a wejrzeniem pełném spokoju i słodyczy; na nich tajemnicze rodowody popisane hieroglifami.

Długą tę aleę zakończa grobowiec egipski, a na nim dwa kolosy z wzorów Ibsambulskich kopiowane. Sztuka to była niemała odlać takie posągi przeszło siedemdziesiąt stóp wysokie. Patrząc na nie rzekłbyś, że to Tytany weszły do pałacu przed ukończeniem, i złapane w klatkę ze szkła i żelaza, teraz już zeń wyjść nie mogą. Czasami promień słońca oświeci im granitowe twarze, jakby urągał olbrzymim niewolnikom wielkiéj myśli. Skalą ich rozmiarów są z egipskiego grobowca wychodzący ludzie, którzy przy kolosach jak istne mrowisko wyglądają.

Widok to jedyny w swoim rodzaju; żeby jednak złudzenie było zupełne, wypada nadać tło kolosom, tojest rozwiesić poza nimi jakąś draperyą naśladującą kamień. tak, żeby szyby i żelastwo do których je wzrok odnosi, nie psuły efektu całości. Zdaje mi się także, iż niepotrzebnie poprzegradzano Sfinxy palmowemi drzewami. Sfinxy w kamiennym śnie pogrążone, nie potrzebują ani chłodu, ani zieloności: obecność zielono-włosych pustyni mieszkanek, nie podwyższa ani ujmuje wielkości obrazowi. Palmy stosowniejsze miejsce zajęłyby w botanicznym dziale wystawy. Dwa powyższe kolosy są jednym z najciekawszych zabytków pałacu Sydenham, tak pod względem trudności, jako i dokładności wykonania.

Przeszedłszy aleę Sfinxów, i ogródek z rzadkich kwiatów, wędrowiec przybywa do assyryjskich krużganków, których podwoje podpierają skrzydlate i rogate potwory, święte pogańskich bożków wizerunki. Wedle nowych odkryć i nowych wykopów, złożono tu cały pałac assyryjski: czworo drzwi doń wiedzie, każde zapi-

sane hieroglifami, i strzeżone przez mitologiczne bóstwa. Wewnątrz, ściany pałacu zdobią płaskorzeźby naśladowane z British-Museum; w komnatach wszystko ustawione jak było przed kilką tysiącami lat za życia dostojnych właścicieli tych gmachów. Na tym prostokątnym budynku wznosi się piętro z persepolitańskich kolumn, w środku, wedle ówczesnego gustu, sufity pomalowane w jaskrawe bukiety kwiatów, i różnokolorowe ptastwo.

Ztąd wchodzimy do jednego z arcydzieł expozycyi, do Alhambry.

Tutaj najtłumniéj zbierają się widzowie, bo prócz przecudnych arabesków, któremi ściany i sufity pokryte, jest tu jakby w powietrzu rozlane wspomnienie rycerskich czasów, coś z ich awantur miłosnych, coś z bohaterskich zapasów. Wyjąwszy rozmiarów, które są mniejsze, kopija jest tak wierna, że tym nawet co znają oryginał, zupełne czyni złudzenie. Koloryt, niezrównane bogactwo ozdób, w których celowali Maurowie, ogromne sieci misternych jak koronka deseni, wdzięk i harmonia szczegółów z których ogromna całość złożona: czynią z téj sali wzór piękności i gustu.

Ileżto pracy i cierpliwości potrzeba było, żeby z papierowych kartonów na części pociętych, utworzyć w gipsowéj płaskorzeźbie, tak wierne tamtych odbicie, żeby ani jednego listka, ani jednego ząbka nie brakowało, i takowe spoić bez skazy!

Sławna w Alhambrze fontanna lwów, na lwiém podwórzu, z szarego kamienia wyrobiona, czeka także na wodę, która lada dzień napełni basseny, i nada właściwy koloryt Alhambrze. Nader szczęśliwy był pomysł nakrycia całego dachu téj sali różową draperyą: światło przez nią leje się tak miłe, tak wdzięcznie płonie na złoceniach i alabastrach, jak zachodzące słońce Grenady.

Drugiém arcydziełem expozycyi jest dom pompejański, cały, ze wszystkiemi szczegółami, meblami, taki zupełnie, jakim go zastał pod ziemią rydel robotnika. Żaden drobiazg tu nie pominięty. Na przodzie podwórze z fontanną, daléj przedsionek pełen kolumn i kwiatów, wokół domu sypialne pokoje, kuchnia, łazienka, framuga dla bogów domowych: słowem wszystko z czego się składał dom Rzymianina. Obrazy wiernie przekopiowane z neapolitańskich muzeów ubierają ściany.

Fotografia tak rozpowszechniła widoki greckich, egipskich i rzymskich pomników, że wymieniać i opisywać tu zgromadzonych, nie będę. W egipskiéj sali najpiękniejsza jest kolumnada karnaku; w greckiéj Wenus de Milo, i fryzy Parthenonu.

Przebiegłszy kolejno wszystkie zabytki sztuki zebrane z całego świata, i nakryte jednym szklanym dachem, wędrowiec radby spocząć chwilę w zielonym gaju, który go czeka u wyjścia; ale i tu spokoju nie znajdzie, bo oto nowy przedmiot do patrzenia go zmusza: cały lasek zaludniony, tu i owdzie widzi twarze dziwne, nieznane ubiory, ludzi jakby nie z tego świata spostrzega wokół siebie. Z wystawy pomników wchodzi na wystawę ludzi.

Anglicy słusznie mniemali, że niedosyć zebrać i pokazać ludowi pomniki rozsiane na powierzchni globu, potrzeba jeszcze przedstawić mu różne odcienia rasy człowieczéj, która ten glob zamieszkuje. Zgromadzili więc najciekawsze, a mało znane typy różnych dzikich plemion, tojest oddali z drzewa jak tylko można najwierniéj ciała ich, ubrali tak, jak się noszą, i potworzyli z nich gruppy mogące służyć za przedmiot dla etnografa.

Na wstępie uderzają przychodnia mieszkańcy wyspy Borneo, napół nadzy, okryci błyskotkami, jedni w kapeluszach słomianych ozdobionych muszlami, inni w koronach z zębów zwierzęcych, w pancerzach ze skóry rekina, w koszu z piórami na głowie. Daléj mieszkańcy Jawy z miedzianém obliczem, daléj Sumatry w dziczych skórach, z prostymi włosy, bez zarostu. Przy nich ludzie z Nowéj Gwinei z pierścieniami u nosa, z piórami na głowach. Daléj Australczycy: kształty ich szczupłe, wychudłe, nos spłaszczony, usta szerokie, ciało pokłóte w desenie, poorane wyciskami, cały ich ubiór stanowi kawał żółtego płótna obwinięty koło bioder.

Wszystkie te gruppy, jak powiedziałem, ze skrupulatną wiernością oddane, ustawione są w rozmaitych pozycyach, każda z nich przedstawia scenę jakąś obyczajową, często dramatyczną. W Indyach naprzykład, spotykasz słonia z podniesioną trąbą szarpiącego kłami tygrysa; Indyanin mierzy doń siedząc na czerwonym czapraku, który grzbiet słonia okrywa; drugi strzelec

łuk naciąga. W Afryce, spalony Negr ściga zwierzynę, obok niego żona z dzieckiem zawieszoném na plecach, bieży niezmordowana po gorącym piasku pustyni.

Z Afryki przechodzimy do Ameryki. Tu różne plemiona wschodniéj, zachodniéj, południowéj, i środkowéj części nowego świata obficie zebrane, koloryt miejscowy zachowany starannie: znać, że przedewszystkiém prawdę miano na względzie. W końcu przybywamy do Eskimosów, zwiedzamy ich chaty wśród lodowisk rozrzucone, spotykamy psy, lisy, niedźwiedzie białe, słowem cały szereg ponurych téj strefy mieszkańców, bo o niczém nie zapomniano: nawet narzędzia myśliwskie i rybackie siecie widzisz rozwieszone na ścianach domostwa.

Żadna z tych scen przeróżnych nie jest ani śmieszna, ani trywialna, jakby to łatwo przypuścić można: dlatego, że te lalki drewniane nie są ani wystawne, ani teatralnie ubrane; ubiory ich dziwne prawda, ale znać, że wiernie z natury zdjęte, często szare i brzydkie. Każda gruppa pośród ojczystych krzewów ustawiona, a wokół nich zwierzęta, te które się w domach chowają, i te z któremi walczyć przywykli; na drzewach ich ptaki się kołyszą, te mchy, te kamienie, te muszle, znalezione w ich kraju, lub z wód miejscowych wyłowione. Nie ma śmieszności, bo nie ma przesady: wszędzie prawda, harmonia i nauka.

Nasuwa się tylko pytanie: czemu na téj wystawie samych tylko dzikich przedstawiono? Czemu nie pokazano kilku scen z domowego życia twórców starożytnego muzeum, znanych nam dotąd jedynie w posągowéj formie? Pelazgi, Egipcyanie, Grecy, Rzymianie więcéj przecież zasługują na miejsce w muzeum, niż Eskimosy lub Negry.

Długo błądząc po labiryncie drzew i kwiatów, pełnym dziwnych ludzi, dziwnych zwierząt i ptaków, wędrowiec przybywa do portyku, w którym w ozdobnych framugach stoją długim rzędem króle i królowe Anglii w białych całunach, i patrzą marmurowym wzrokiem na lud swój, co tam jak rzeka płynie, a płynie bez końca! Po obu stronach królewskiéj galeryi, wśród pomarańczowych drzew i posągów, widzisz dwa ogromne basseny z marmuru, obszerne jak dwa jeziora: są to rezerwoary

na wodę, która ztamtąd po całym gmachu rozchodzić się będzie. Niezadługo wytrysną z nich wspaniałe fontanny, a od nich świeżość i chłód przyjemny powieje dokoła.

Dotąd nie dotknąłem wcale części przemysłowéj wystawy, która z czasem wielką tu grać będzie rolę: raz dlatego, że o rozmaitych gałęziach przemysłu tylko specyalni ludzie mówić mogą; powtóre, część ta nie jest jeszcze dostatecznie reprezentowana. Ci co w kryształowym pałacu całe dnie spędzali na oglądaniu nowych wynalazków, i nowych produktów handlu, ułożonych tam w takiéj massie z przepychem i gustem, nicby się nie dowiedzieli z opisu sal prawie próżnych, i sklepów czekających na towary w sydenhamskim gmachu. Każda gałąź przemysłu ma tu swoje miejsce naznaczone, ale dotąd niektóre dopiéro przyniesione, jakoto: szale, jedwabie, papier, klejnoty, pachnidła, wyroby rymarskie, chińskie, i nożownicze.

Zbiór fotograficzny jest już bardzo liczny: zajmuje prawie całą galeryą. Tutaj także miano naukę na piérwszym względzie, dlatego zbiór sławnych architektonicznych pomników najbogatszy. Najwyżéj w téj sztuce stoją dotąd Francuzi, jakoż ich roboty otrzymały palmę pierwszeństwa. Z maszyn uderzała mnie najwięcéj hafciarka; przyrząd to nader prosty, całą sztukę materyi haftuje nadzwyczaj szybko, gładko, i na obie strony jednako. Wynalazek ten ważny jest niesłychanie dla płci obojéj, bo jedna ubiega się za haftem, a druga płacić go musi drogo.

Przebiegłszy pośpiesznie wnętrze pałacu, wejdźmy na dach gmachu, a ztamtąd po krętych i stromych schodach do belwederu. Tu jeżeli nam się w głowie nie zakręci, i tchu nie braknie, używać będziemy przecudnego widoku, który sowicie podjęte trudy odważnym wynagradza. Zawieszeni o sto stóp nad pałacem, najlepiéj strukturę jego obejrzymy.

Pod sobą mamy szklane morze, a na dnie jego widzimy jakby mrówcze processye, krążące pomiędzy gęstwą pałaców, posągów, drzew, i rozmaitego kształtu budowli. Tysiące ludu tam się roi, pałac jednak nigdy nie zdaje się pełen. Wy co je znacie, wyobraźcie sobie Pola Elizejskie w Paryżu, przykryte jednym szkla-

nym dachem w dzień świąteczny, kiedy cała ogromna ludność miejska tam się zbiegnie, szukając uciechy lub wypoczynku. To jedyny widok do którego można przyrównać ów gmach bajecznych rozmiarów!

Zgłodniały, zmęczony, zszedłszy z owego dachu, ujrzałem w oddaleniu pośród tych cudów starego i nowego świata, smacznie zajadających Anglików; na ten widok uczułem co czuć musi żeglarz, kiedy po długiéj podróży spostrzeże ziemię rysującą się na horyzoncie, i skwapliwie ku nim kierować się począłem. Tutaj dopiéro pole na zbieranie szkiców obyczajowych! Tutajbym muzy prosił o sto języków, gdybym nie był głodny, gdybym mógł przy tych stosach rozbefu, baraniny, gołębich pasztetów, szynek, i serów czesterskich myśléć o czém inném jak o nich, zwłaszcza pośród Anglików których apetyt, jak wiadomo, wyrównywa produkcyi. Każdy pokrzepiwszy siły, w najgłębszém milczeniu wychodzi na dalsze wycieczki.

Uczyniłem jak oni. Wyszedłszy z pałacu ujrzałem przed sobą las tropikowy, górujący nad zaroślą rododendronów, kamelij, mirtów, metrozyderów, magnolij i azorskich jaśminów. Od klombu do klombu biegając, tu wabiony zapachem, tam kształtem, owdzie kolorem, doszedłem do obszernego budynku całego pnącemi różami osłonionego: ztąd go zowią pałacem różanym. Daléj otwiera się park przepyszny! Nieprzejrzane łany murawy ciągną się jak aksamity zielone; wszędzie wodospady i wodotryski, z których wreszcie aż rzeka urasta i rozlana w liczne koryta tworzy mnóstwo wysepek.

Tutaj nowe zjawisko: na wyspach sterczą ogromne potwory, których rodzaj oddawna zaginął na świecie. Są to przedpotopowe zwierzęta, złożone z odkopanych kości, a raczéj ich wierne naśladowanie.

Rozpoczyna szereg ogromny pterodaktyl, rodzaj płazu, czy skrzydlatego smoka z wężową głową; daléj iguanodon, gatunek krokodyla: sam korpus jego ma długości przeszło czterdzieści stóp, głowa trzy, a ogon piętnaście. Daléj z ogromnemi kłami megalozoron, zwierz olbrzymi, któremu Cuvier daje pięćdziesiąt stóp długości. Daléj ogromne ropuchy z rodziny pterodaktylów, pomalowane zielonawo i napół we wodzie

zatopione; widząc je zdala człowiek bezbronny, kroku postąpić nie śmié, takie straszne te potworne płazy.

Ale niedosyć było Anglikom złożyć i przedstawić ich formy: chcieli jeszcze pokazać w czém żyły te potwory. Pokopali więc fosy na brzegach rzeki, a w nich włożyli warstwami pokłady ziemne w jakich kości tych zwierząt znaleziono.

Jestto niezawodnie najciekawszy szczegół sydenhamskiego parku. Ale w końcu to ciągłe naśladownictwo poczyna działać na imaginacyą: zdaje się człowiekowi, że wszystko co widzi sztuczne, wszystko naśladowane: drzewa, kwiaty, łąki i jeziora. Pod wpływem tego wrażenia, kiedym się schylił chcąc kwiatek uskubnąć, a policmen wstrzymał mnie, mówiąc, że tu nic ruszać nie wolno, nie zważałem wcale na niego: zdawało mi się, że on także naśladowany.

Wszystkim tym cudom, których ledwie tysiączną część wymieniłem, zarzucićby można, że są nadto na efekt obrachowane; w tak poważném muzeum, efekta psują, a nie podwyższają rzeczy. Mianowicie też razi wykończenie starych pomników, które zbytek erudycyi starał się odbudować na nowo, a zatarte barwy świeżemi podłożył kolorami, wprawdzie wedle tradycyi i opisów, ale nie tak częstkroć, jak się dzisiaj przedstawiają oku w oryginale.

Błędem także wydaje mi się otworzenie pałacu przed jego zupełném ukończeniem. Nic tak nie psuje całości dzieła jak przyglądanie się jego wzrostowi, obecność, że tak powiem, przy narodzinach jego. Jestto toż samo, co iść za kulisy przypatrywać się zmianie dekoracyi, którą za chwilę można zobaczyć z parteru we właściwém świetle: wrażenie napół stracone. Dzieło ludzkie zmaleje, jeżeli ciągle śledzić będziemy drogi, jakiemi do doskonałości dąży.

Drobne te błędy wykonania nikną zupełnie obok wielkiéj myśli ogólnéj, która przewodniczyła założeniu olbrzymiego muzeum. Celem jego oświata powszechna, a temu celowi zupełnie odpowiada. Pominąwszy naukę, którą każdy dla siebie ztamtąd wyniesie, artyści i rzemieślnicy, którym brak czasu i pieniędzy na dalekie podróże, mogą tu czerpać codziennie natchnienia, brać wzory z dawnych arcydzieł do nowych utworów.

Po trzech miesiącach ciągłéj słoty i zimna przeszliśmy nagle do trzydziestu stopni gorąca. Lato oczekiwane z upragnieniem przyszło nareszcie. Każdy téż kto może wynosi się ze stolicy, a jeżeli nie wyjechał to udaje, że go nie ma, bo dobry ton w Paryżu zostać nie dozwala. Na modnych ulicach zamiast okien ujrzysz długi rząd zamkniętych okiennic, a na bruku już trawa porastać zaczyna.

Opera wielka, i wiele innych teatrów, pozamykane; teatr francuzki nawet zamknięty z powodu odnawiania sali, ale przez litość dla pozostałych plebeuszów, przeniósł swe widowiska na czas reparacyi do opróżnionego teatru włoskiego. Bulwarowe teatra także puste, ledwie od czasu do czasu jakąś mizerną sztuczkę ogłaszają afisze; sztuczkę, któréj nie ma komu oglądać, ani krytykować, bo krytycy chmurą polecieli do niemieckich Aten na dramatyczny jubileusz, mówiąc stylem germańskich gazet, które tak szumnie nazwały wystawę dzieł wielkich mistrzów, teraz na scenie w Munich przedstawionych.

W literaturze także ogromna stagnacya. Rzadko ukaże się na literackiéj widowni choćby mało ważna książeczka, lub czasowéj wartości broszura; ale za to stary Paryż wali się dokoła, a nowy na jego gruzach w oczach podrasta. Nowe ulice, gmachy, ogrody, sztuczne góry, rzeki, jeziora i kaskady wytryskują jakby cudem, nieludzką pracą dokonane. Luwr złączony z Tuleryami, ulica Rivoli biegnie z jednego na drugi koniec miasta szeroka a prosta. Większa część ciasnych, ciemnych i niezdrowych ulich zwalona, odbudowuje się obszernie i widno. Całe miasto otacza dokoła kolej żelazna: słowem, gdzie spojrzeć wszędzie jakaś robota ku wygodzie lub upiększeniu miasta rozpoczęta.

Cóż, kiedy tych wszystkich ulepszeń nie dozwala podziwiać dészcz, który tu trzy czwarte roku pada; dészcz, który te wszystkie piękne budowle uszkodzi i poczerni! Paryż dopiéro wtedy będzie prawdziwie przyjemny, jak Francuzi wynajdą sposób odwracania deszczu, skoro rozwód człowieka z parasolem dokonany zostanie.

Od XIV wieków dészcz ciemięży Paryżanki. Każdy Paryżanin rodząc się jest skazany przez dészcz na 10 lat więzienia. Wielkie stolice mają jak ludzie właściwe

sobie choroby; Paryż choruje na słotę, może najdotkliwszą z 7 plag, bo psuje mury, dziurawi dachy, sprowadza nudy, reumatyzmy, kaszle, katary, dokucza wszystkim, wszystko niszczy i psuje, cieszy zaś tylko dyrekcye teatrów.

Franklin wydarł piorun niebiosom: czemużby im deszczu wydrzéć nie można, a raczéj czemuby nie można odwrócić chmury? Wiele nad tém przemyślano tutaj w czasie 100 dniowéj powodzi. Jeden nawet z ulubionych paryzkich pisarzy Méry, oznajmia w bardzo dowcipnym feiletonie, że rozwiązał już olbrzymi problemat, że nieomylném lekarstwem na odwrócenie chmur są strzały armatnie.

Bajki, powiecie, wierutne bajki! I ja tak sądziłem, ale mnie przekonał Monitor. Kto nie wierzy niech przejrzy Monitora. Tam od niepamiętnych czasów znajdzie powtarzany tenże sam frazes: „Skoro orszak wyruszył, niebo chmurne wypogodziło się jakby cudem, prześliczne słońce zajaśniało na horyzoncie i t. d.“ Trudno przypuścić, żeby słońce z równie jasną twarzą witało wszystkich, a więc poprostu zwyczajne przy takich obchodach 101 armatnich strzałów rozpędziło chmury.

Jak w każdym, tak i w tym żarcie jest połowa prawdy. Pan Arago w świéżo wyszłym tomie Notices scientifiques, między ciekawemi postrzeżeniami o grzmotach, wspomina, że chciał się dowiedzieć o ile prawdziwe jest mniemanie, jakoby ruch w powietrzu przez wystrzały sprawiony rozpraszał chmury. W tym celu robił postrzeżenia w obserwatoryum, kiedy codziennie odbywały się ćwiczenia wojskowe w tamtéj stronie miasta. Powiada, że notował ile dni pogodnych przypadło na dnie manewrów, a ile ich było kiedy nie strzelano, z czego pokazało się, że strzały wywierają rzeczywiście niejakiś wpływ na rozrzedzanie atmosfery.

Méry rozwijając daléj swoję teoryą z właściwym sobie brylantowym dowcipem, proponuje, żeby w każdym okręgu Paryża wybudowano po jednéj wieżycy, i takową uwieńczono 100 działami; jak tylko chmury gromadzić się poczną, radzi takowe witać kanonadą. Pewien dobrego skutku, kłopocze się już tylko, że kupcy deszczochronów z głodu poumierają, ale w końcu pociesza ich większą sprzedażą parasolików.

Niemniéj ważna jak odwrócenie deszczu, jest kwestya sprowadzenia do Paryża wody do picia. Jakże się to dzieje, że Paryż, który we wszystkiém Rzym naśladuje do tego stopnia, że gdyby Rzymianie nie byli wymyślili tragedyi, kolumny Vendôme, izby deputowanych, geniuszów wolności, Brutusów, Kassiuszów, wierszy Alexandryjskich, pól marsowych, Saturnaliów, i wojen domowych, byłby przez czternaście wieków siedział z założonemi rękoma; jakże się to dzieje, mówię, że Paryż zapomniał o wodociągach, może najpotrzebniejszéj ze wszystkich imitacyj. Rzymianie mieli także taką żółtą rzekę jak Sekwana, mogli także pić wodę z Tybru, ale nadto siebie szanowali. Ażeby tego upokorzenia uniknąć, pobudowali ogromnym kosztem olbrzymie wodociągi, które, jak się wyraża Chateaubriand: „Podawały ludowi kryniczną wodę na tryumfalnych łukach."

Lepiéj późno niż nigdy, mówi francuzkie przysłowie; dlatego czasby pomyśleć o czystéj wodzie w departamencie Sekwany. Sekwana tak jak Tyber dobra jest do kąpieli, lub na szkołę pływania, ale nie do picia. Ktoby widział przez mikroskop jakie atomiczne potwory w niéj pływają, umarłby niezawodnie z pragnienia nad szklanką takiéj wody. Na południu wyborna woda źródlana trzeźwemi czyni ludzi; pijaków bardzo tam mało: szkaradny zwyczaj dawania na piwo tak powszechny na północy, nieznany tam wcale. Rzecz wiadoma, że piwem ani wódką nikt się jeszcze nie wzmocnił; żaden gladiator rzymski nie pił wina ani wódki, a pięścią wołu zabijał, jak niesie podanie (przypuśćmy, że to było ciele, to i tak dosyć).

Wzgórza otaczające Paryż podobne rzymskim wzgórzom, są jak tamte rezerwoarami wody, czekają tylko na wodociągi. Opatrzność nigdy źródła od ust łaknących nie odsuwa.

Taż sama Opatrzność, co spragnionych poić każe, czuwa dotąd z macierzyńską pieczą nad tłumem pieszych, krążącym wśród przepełnionych jezdnemi ulic Paryża. Dlatego proponuje także pan Méry, żeby pobudować mosty na bulwarach jak na Sekwanie. Nie weźmie tego za paradox kto widział ruch na głównych paryzkich bulwarach. Środkiem jadą, lecą, galopują w wielkiém zamieszaniu dorożki, wozy, powozy, dyliżanse, milordy,

kabryolety: słowem wszystkie maszyny na kołach wynalezione do zabijania koni, oszałamiania uszu, zatrzymywania, lub rozjeżdżania pieszych. W téj wrzawie przesuwa się na palcach z parasolem w ręku odważny piechur w większém niebezpieczeństwie, niż pod bateryą armat.

Na chodniku kobiety i mężczyzni nieruchomi jak cienie nad Styxem, czekają na przeprawę przez tę czarną przepaść, w któréj dwoje oczu zamało, żeby na prawo Charybdę, na lewo Scyllę wyminąć. Cóżto będzie na przyszły rok podczas wystawy? Nieszczęśliwe pietony stać będą po całych dniach na brzegu ulicy, nie upatrzywszy pomyślnéj chwili przeprawy. Prawda, że cienie czekały czasem całe wieki nad Styxem, ale były cierpliwsze, bo nie miały ani interesów, ani śmierci przed sobą.

Czemuż więc rzeczywiście kiedy są mosty przez rzékę, nie rzucić mostów przez bulwary, które są niemniéj niebezpieczną przeprawą? Pomysł Mérego zupełnie słuszny mi się wydaje; tém bardziéj w tych czasach, kiedy gorączka budowania napadła Paryżanów. Lada dzień zbierze się kompania, wybuduje owe mosty własnym kosztem, i niezawodnie nie zbankrutuje, gdyby tylko centyma pobierała od przejścia.

„Na takie mosty, w olbrzymie łuki zbudowane, powiada Méry, wchodzić się będzie po szerokich schodach. Całe szklanym dachem pokryte, mieścić będą restauracye, kawiarnie, i czytelnie z oknami i balkonami na obie strony drogi. Najciężéj postawić piérwszy, skoro ten stanie pojawią się wnet drugie. Nie wątpię, że za lat kilka przechodzić sobie będziemy bulwary wygodnie na całéj rozciągłości, jak Sekwanę. Mosty bulwarowe nietylko bezpieczeństwo publiczne zapewnią, ale zarazem stworzą nowy rodzaj architektury monumentalnéj; łącząc poboczne gmachy potężnemi łukami, dodadzą nowego uroku téj czarodziejskiéj perspektywie."

Takim sposobem usunięte zostaną niebezpieczeństwa przeprawy zarówno na wodzie i na lądzie. Tego obiecanego Paryża my już pewnie oglądać nie będziemy, co nie przeszkadza, że go przyszłe obaczą pokolenia.

Skoro cały nowy Paryż stanie jak z igły zdjęty, taki piękny, że go tylko kloszą nakryć: pocznie się siódmy

dzień nowéj Genezy—nie będzie już nic do roboty. Ale czterdzieści tysięcy robotników bez pracy powiedzą, że tak niedobrze. Natenczas powtórzy się w Paryżu, co się niegdyś działo w Memfis i w Rzymie. Kiedy Egipt tysiące miast pobudował nad turkusowym Nilem, kiedy z pokrajanych na sztuki gór granitowych wystawił Teby, Luxor, Labirynt, Hermopolis i miasto Słoneczne; kiedy wszystkie swe skały w Sfinxów poprzemieniał, z wszystkich cegieł czternaście wystawił piramid, także chciał spocząć, i zaprawdę nigdy pracujący naród słuszniéj na wypoczynek nie zasłużył; ale sto tysięcy robotników upominało się o chléb, a raczéj o cebulę, bez któréj z głoduby pomarli. Wtedy żeby cebuli darmo nie jedli, zamiast wież przeciw deszczowi, ponieważ w Egipcie deszcz nie pada, kazano im stawiać sztuczne góry: Cheops i Scheffrem, dwie piramidy po 500 stóp wysokie, mające służyć przeciw innéj pladze: zawiewom lotnego piasku pustyni. Po ukończeniu piramid byliby Faraonowie niezawodnie nowe jakieś monumentalne nicości tworzyli, zawsze je oszczędnie cebulą opłacając, gdyby im był Kambizes roboty nie przerwał.

Toż samo działo się w Rzymie. W roku 80 ery chrześciańskiéj, Tytus nie wiedząc co począć ze stoma tysiącami bezczynnych robotników, kazał im czteropiętrowe stawiać kolizeum. W r. 270, mądry Aureliusz, zwycięzca Zenobii, nic już nie mając do budowania w zapełnionym pomnikami Rzymie, murem go opasać kazał; murem, który miał tylko sześćdziesiąt mil obwodu. Tym sposobem nie sto, ale dwakroć robotników zatrudnił.

Toż samo powtórzy się w Paryżu. Skoro się przebuduje, pomyśli pewno o jakiéj olbrzymiéj pracy. Mur już stoi w formie fortyfikacyi, piramidy już wyszły z mody, świątynie, teatra pobudowane. Cóż więc budować?—strzelnicę do rozpędzania chmur deszczowych.

Takieto ogromne ulepszenia obiecuje Paryżowi przyszłość. Przyszłość, która zawsze zapóźno przychodzi dla żyjących, obaczy w Paryżu pogodę, wodociągi, mosty bulwarowe, i wiele innych rzeczy, bo któż odgadnąć potrafi świat przyszły, narodzony z pary i kolei żelaznych? Dzisiejsze wynalazki usuwają wczorajsze, już interes każdego w interesie wszystkich; znikła odległość, koła są skrzydłami, góry kurytarzami, ocean

stawem. Jeżeli daléj świat pójdzie tym trybem, każde niepodobieństwo przypuścić można w przyszłości, śnić apokaliptycznych cudów urzeczywistnienie. Dzieci nasze nowy świat stworzą na świecie. Czemuż nie jesteśmy dziećmi!!

Alexander Erdan wydał książkę: Les revolutionaires de l' a-b-c. Celem jéj jest przysposobienie umysłów do lingwistycznego kongresu zapowiedzianego przez dzienniki. Autor traktuje o reformie ortografii francuzkiéj, o alfabecie języka powszechnego, metodach stenograficznych, i t. p. Noty filozoficzne przyłączone do każdéj z powyższych materyj, są bardzo jasno i rozumnie napisane.

Bracia Escudier, autorowie teoretyczno-historycznego Dykcyonarza muzycznego, wydali książkę pod tytułem: „Rossini, sa vie et ses oevres". Piérwsze to tak obszerne dzieło o Rossinim; warte jest czytania tak pod względem wiadomości muzycznych, jako i szczegółów z życia domowego autora Wilhelma Tella.

Juliusz Gérarad, nieustraszony zabójca lwów afrykańskich, następca Herkulesa, który zamiast lwiéj skóry, nosi poprostu mundur kapitana spahów; Gérard, któremu starożytni byliby pewnie świątynią gdzieś wznieśli, wydał polowanie swoje. Jestto bardzo zajmująca książka, prosto, i po żołniersku napisana, ale czuć w niéj pustynię i ryk lwa słychać niekiedy.

Piérwszyto raz podobno człowiek tak blizko się spotkał ze strasznym królem pustyni. Wyobrażając sobie Gérarda czekającego na lwa z karabinkiem na plecach, wśród zarośli, w nocy... mimowolnie przychodzą na myśl owi naturaliści, co to swe spostrzeżenia w menażeryach czynili; przychodzi na myśl Buffon w koronkowych mankietach, kroczący wspaniale po swych ogrodach w Montbard, i zamyślony o lwiéj naturze. Gdyby tak wtedy jaka złośliwa ręka podsunęła mu polowanie Gérarda, zarumieniłby się pewno, że zamiast lwa

pustyni, lwa wolnego w całéj dzikiéj wolności, malował lwa z królewskiego ogrodu.

Nie ujmuję tu bynajmniéj geniuszowi Buffona, wybija on mianowicie w całości dzieła jego, w rozległém pojmowaniu natury: mówię jedynie o sławioném dawniéj obrazowaniu jego, o opisach, które dziś nie mają ani świeżości, ani powabu, bo w nich więcéj erudycyi niż życia, i pod tym względem lwy Gérarda niezawodnie wyżéj stoją.

W ośmnastym wieku historya naturalna nie różniła się wiele od poezyi. Mówiąc o koniu Buffon, tak się wyraża: „Najpiękniejszą zdobyczą człowieka jest ów zwierz pełen ognia i dumy, który z nim dzieli wojenne znoje, i chwałę wygranéj podziela". Téj prozie, rymu tylko brakuje. Zwierzęta Buffona są tém, czém była sielanka opiewana wierszem w zeszłym wieku: gładka, przyjemna i kwiecista, ale sztuczna. Wszędzie przesada, nigdzie prostoty. Buffon zowie Ludwika XV „wzorem bohaterów, wzorem monarchów", a panią Genlis „aniołem światłości", co świadczy wyraźnie o tendencyi jego idealizowania wszech rzeczy.

Kapitan spahów Gérard nie należy wcale do téj szkoły; nie jest ani naturalista, ani poeta opisowy: jest poprostu myśliwy. Dzika rozkosz jakiéj w walce z lwem doznaje sprawiła, że stał się historykiem straszliwych mieszkańców pustyni, których nam się zdaje, że znamy, bośmy ich w klatkach widzieli. Ale jeżeli kto pragnie poznać lwa jakim jest w istocie, niech przeczyta co o nim Gérard pisze; chyba, że woli sam w noc księżycową, siedząc na dębie w afrykańskiéj puszczy, przypatrywać się lwim obyczajom.

ZASTOSOWANIE ANALOGICZNE

art. 1257 kod. cyw. do wypadków, w których wierzyciel nie może długu odebrać.

Częste są wypadki, w których dłużnik chcąc zaspokoić dług, znajduje w tym względzie przeszkodę w osobie wierzyciela.

Przeszkody mogą być rozmaite. Kodex cywilny tylko jednę przewiduje, kiedy wierzyciel nie chce odebrać długu. W takim przypadku, wolno dłużnikowi gotowy dług zaznaczyć art. 1257 do art. 1264.

Kodex postępowania cywilnego przewiduje inną przyczynę, ale także jednę tylko, a mianowicie, zapowiedzenie lub areszt, skutkiem którego wierzyciel nie może domagać się zapłaty, przed ukończeniem rozprawy o ważność zapowiedzenia art. 557 do art. 582.

Lecz dwa wypadki te nie wyczerpują wszystkich okoliczności tamujących dłużnikowi oddanie długu, a w szczególności, kiedy wierzyciel znikł lub zmarł, kiedy nie ma opiekuna, albo kiedy spadkobiercy jeszcze się nie wylegitymowali, albo kiedy znowu jeden z wylegitymowanych spadkobierców umarł, albo kiedy nie ma jeszcze działów spadkowych, lub z kilku sukcessorów jeden jest obecny, drugi nieobecny, trzeci siedzi w areszcie albo kiedy, się postępowanie spadkowe w hypotece odbywa; słowem, kiedy nie ma osoby wierzyciela w prawném znaczeniu ustalonéj.

Tymczasem w ciągu zachodzących tego rodzaju okoliczności i przeszkód, termin do oddania długu

nadszedł, i dłużnik zaopatrzywszy się w gotową do wypłaty summę, chce się z długu uiścić.

Ma do tego bardzo słuszne powody, a między innemi, ażeby się od dalszéj opłaty procentów uwolnił, albo ażeby nie popadł zastrzeżonéj przeciw niemu karze wadyalnéj, na przypadek uchybienia terminu lub uciążliwszemu jeszcze zastrzeżeniu, np. że na przypadek nie zapłacenia długu w terminie, wierzyciel weźmie jego dobra w dzierżawę za pewną nizką cenę; albo ażeby uniknął niepotrzebnéj exekucyi i starcia się z komornikiem sądowym.

Jakże dłużnik ma sobie postąpić w celu wyzucia się z długu i dalszego obowiązku?

Nadstawia się tu przedewszystkiém pytanie: czy dłużnik, pomimo zachodzących w osobie wierzyciela przeszkód, ma prawo wyzuć się z długu natychmiast? W przepisach o zapłaceniu od art. 1235 do 1248, wprawdzie kodex cywilny nie wyrzekł tego dobitnie, że dłużnik mocen jest oddać dług w terminie albo też w każdym czasie, jeżeli nie ma terminu oznaczonego; jednakże zasada ta w żaden sposób zaprzeczoną być nie może, wypływa bowiem tak z ducha powołanych artykułów prawa o zapłaceniu, jako też w szczególności z artykułu 1187 kod. cywil. objaśniającego, że termin uważa się zawsze za ustanowiony dla korzyści dłużnika, chybaby z umowy lub okoliczności się okazało, że był ustanowionym i dla korzyści wierzyciela.

Wyradza się więc następnie trudność prawna co do postępowania dłużnika w celu prawnego wyzucia się z długu.

Kodex cywilny, jak się rzekło, nie obmyślił środka postępowania wyraźnie na zbiorowy wypadek, kiedy wierzyciel nie może długu odebrać, czyli kiedy dłużnik chce zapłacić, i gotową do wypłaty summę z należnemi procentami i kosztami przedstawia, a nie ma osoby wierzyciela w prawném znaczeniu ustalonéj do przyjęcia długu. Lecz wypadek ten jest zupełnie podobny do wypadku tego, w którym wierzyciel nie chce długu odebrać: albowiem jak w drugim, tak i w piérwszym wypadku, dłużnikowi służy prawo wyzucia się z długu, bądź w terminie, bądź w każdym czasie, skoro

terminu nie umówiono, i okoliczności nie okazują, ażeby chwila oddania długu i dla korzyści wierzyciela miałaby być przewidzianą.

A zatém w przypadku przeszkody prawnéj w osobie wierzyciela do przyjęcia długu ważnie według art. 1239 i 1247 kod. cywil. osobiście lub przez pełnomocnika lub za upoważnieniem przez sąd, oraz w właściwém zamieszkaniu, analogia postępowania wprost i bezpośrednio z art. 1257 kod. cywil. miejsce znajduje, i dłużnik wyzuwa się z długu i obowiązku swojego ważnie, skoro przypadający gotowy dług, po spisaniu aktu wypłaty przez rejenta w Banku złoży do wydania go wierzycielowi, który się do odbioru zgłosi i wylegitymuje.

Od daty zaznaczenia gotowych pieniędzy w Banku, dłużnik wolnym być powinien od wszelkiéj odpowiedzialności, chybaby się dopuścił uchybień przeciwko istotnym warunkom zaznaczenia, w art. 1258 pod nr. 3 kod. cywil. wyszczególnionym. Pomniejsze wszakże pomyłki w obrachowaniu procentów i kosztów, nie mogą za sobą pociągać unieważnienia całéj czynności zaznaczenia, ile że samo prawo w powołanym dopiéro artykule, przy każdém zaznaczeniu dozwala zastrzegać ukończenie obrachunku.

W analogii téj zachodzą niektóre konieczne zwolnienia, a mianowicie, że skoro nie ma wylegitymowanego wierzyciela, dłużnik nie może nikogo wezwać do odebrania długu, ani wręczać nikomu aktu zaznaczenia.

Dopiéro za zgłoszeniem się wierzyciela wylegitymowanego, bezpośrednio lub przez komornika sądowego, wręczenie aktu zaznaczenia nastąpić może i powinno. Skutkiem tego i rozprawa o ważności zaznaczenia pozostawioną być musi aż do rozpoczęcia środków procesowych lub exekucyjnych przez wierzyciela wylegitymowanego.

Wywiedzione tu zasady analogiczne znajdują swe usprawiedliwienie w zupełném podobieństwie wypadków, że wierzyciel nie chce lub nie może odebrać długu, z którego dłużnik wyzuć się ma prawo, i dlatego tak po niższych, jak po wyższych instancyach sądowych, mocą jurysprudencyi, na uznanie i przyjęcie zasługują.

Jedynie dlatego, że jurysprudencya praktyczna czyli prawnictwo wykonawcze nie dostarcza rękojmi pewności niezachwianéj, i że analogiczne zastosowanie prawa dopuszcza możności sprzecznego sądu, wypadałoby uzupełnić prawo cywilne w materyi ofiarowania i zaznaczania długów wyraźną ustawą: że kiedy wierzyciel nie może długu ważnie odebrać, wolno dłużnikowi zaspokoić dług, sposobem zaznaczenia.

I ta krótka rozprawa prawnicza, częstą potrzebą praktyczną wywołana, przekonać powinna, że jednym z najistotniejszych żywiołów legislacyi cywilnéj, jest i będzie doświadczenie i udoskonalenie jurysprudencyjne.

August Heylman.

ROZMAITOŚCI.

Etnografia Turków i ich pobratymców.

Turcy stanowią przejście od naszego plemienia ludzi białych, inaczéj kaukaskiém zwanego, do plemienia żółtych czyli mongolskiego. Insze plemię jest czarne czyli etyopskie w Afryce i Australii, insze amerykańskie, insze malajskie. Dwa ostatnie mają także swoje kolory, miedziany i oliwkowy. Do plemienia białych liczy Berghaus (1), którego się trzymamy, 12 pokoleń:

1. Indyjskie: do tego należą w Europie szczepy, jakoto: 1) Grecy, 2) Romany, w którém narody: Włosi, Francuzi, Hiszpanie, Romany w Szwajcaryi, i Rumuny (Wołochy) w Zalesiu (Transilvania) w Mołdawii i Wołoszczyznie. 3) Teutony czyli Niemcy, do których też należą narody angielski, szwedzki, duński i holenderski. 4) Słowianie, których narody niżéj znajdziesz wyliczone. 5) Celtowie, których narody: Galowie w Szkocyi, Ersy albo Iry w Irlandyi, Cymbrowie w Anglii w księstwie Wales i Bretańcy we Francyi zachodniéj. 6) Litwini do których też należą Lettowie albo Łotysze i Żmudź. Albańcy albo Arnauci, którzy się zowią Skypetary, w Turcyi europejskiéj.

W Azyi tegoż są pokolenia szczepy 1) Ossetów od Tyflis na północ w górach kaukarkich (u Berghausa tabl. 15) 2). Ormian znanych i w Europie. 3) Kurdów. 4) Tadżyków (ludu perskiego) 5) Afganów 6) Hindusów (Indyan w Azyi). 7) Syapuszów (w północnych Indyach na zachód od gór himalajskich i bolorskich.

2. Pokolenie Drawidów w południowéj części Indyj Wschodnich przedgangeskich. Szczepy ich są: 1) Tamil; 2) Malajalam, 3) Tulawa 4), Karnatak, 5) Telugu.

(1) Grundlinien der Ethnographie. Stuttgart. 1849. 8.

3. Syngalezy na wyspie Ceylon.

4. Za czwarte pokolenie uważa Berghaus Baskow (Biskajczyków, sami zowią się Euskaldunak) w górach Pirenejskich. Niektórzy jednak przerzucają ich do pokolenia Finnów czyli Czuchońców plemienia mongolskiego.

5. Pokolenie Semitów. Szczepy jego są 1) Araby; 2) Aramejcy, których narody są: Chaldejcy nad Eufratem i Syryjcy w górach Libanu, jakoto: Druzy, Maronici i t. d. 3) Kanaanici t. j. żydzi w Palestynie, rozproszeni i po Europie. Do Semitów czyli Arabów mają też należeć i Abissyńcy, Mapuleis, albo Moplais, w Indyach między Drawidami żyjący, Maltańcy i Fezzanie (w Afryce). Języki hebrajski, chaldejski, syryjski i arabski są względem siebie dyalektami.

6. Koptowie albo Kopty dawni mieszkańcy Egiptu.

7. Berbery (berber ma znaczyć na Wschodzie tygrysa i ztąd zapewne powstała u starożytnych nazwa barbarów). Szczepy ich w Maroko, Algierze i t. d. na brzegach północnych Afryki. Rzecz osobliwsza, że w Tunis i Algeryi wschod. jeden szczep tego pokolenia zowie się Suaven (2), którą to nazwę w Algierskiem często na Szowija przekręcają.

8. Audżila i Siva czyli Libijcy starożytnych autorów w Afryce na wschodniéj stronie Sahary.

9. Biszaryni na północ od Abissynii w Afryce, między morzem Czerwoném a Nilem.

10. Gruzińcy (Georgianie). Sami zowią się Kartuli albo Kartli. Persowie zowią ich Gurdży (od rzéki Kur?); Ossetowie ich sąsiedzi zowią ich Assami (Ass), a Ormianie (Armeni) na południe względem nich żyjący zowią ich Wirkami (Wirk, ma to być staro-

(2) Suaven zapewne to samo co Slaven, Slawin, Sławin, Sławian. Wandalowie a więc Słowianie, których wodzem był Genserich (Gąsiorek)? przeszli 427 r. po Chr. do Afryki północnéj i kraj ten opanowali. P. Maciejowski w rozprawie swojéj „Swewi są Słowianie" umieszczonéj w Bibliotece Warszawskiéj w r. prz., przytacza w końcu dzieło P: Dareste de la proprieté en Algerie i znajduje, że mieszkańcy tamtejsi co do *własności* rządzą się do dziś dnia prawem zupełnie słowiańskiem; ob. Szaf. 335; ob. Albertj Crantzii Wandalien od. Wendische Geschichte. Lübeck 1600 fol.

Pan *Dareste* mówi „il ést à remarquer, que le meme, d'apres César et Tacite, existait chez les anciens Germains." A cóż to za naród był Germanów? czy Niemców? jak teraz głoszą uczone Teutony? Posłuchajmy Eginharda co mówi w życiu Karola W: „Wszystkie barbarzyńskie i dzikie narody, między rzekami Renem a Wisłą, tudzież między oceanem (morzem Północnem) a Dunajem żyjące (Germania magna) podobnego prawie są języka (lingua poene similes) Germaniją osiedlają. Między temi głównie są: *Weletabi*, *Sorabi*, *Abodriti*, *Bohemani*." A wszakże te 4 ludy bez żadnéj wątpliwości, przez wszystkich za Słowian uznane. Cóż więc znaczy *Germania*? Czy Teutonią? Niemców? Bynajmniéj! bo któż nie widzi, że to jest ziemia słowiańska. Pobratymy słowiańskie przez Rzymian Germanami nazwani od wyrazu *germanus* brat rodzony. I dlategoto nad Renem nawet znajdujemy nazwy miejsc zupełnie słowiańskie.

żytne Iber. Zyją na wschodnim brzegu morza Czarnego i ztąd daléj ku wschodowi gdzie miasto Tyflis. Insze szczepy tego pokolenia są Mingrelcy, Lazy i Suanie w kraju kaukazkim.

11. Kaukazcy. Szczepy ich: 1) Lesgincy w Dagestanie; 2) Midżegi, Czeczeńcami przez Rossyan nazywani, na północny zachód od Lesginców żyjący aż do rzeki Terek (u Bergh. Tabl 15); 3) Czerkiesi (Adige) po ross. Gorcy, i Abazy albo Abhazy w zachodniej części gór kaukazkich dotąd swobodni.

12. Dwunaste i ostatnie pokolenie ludzi białych stanowią Turcy. O nich dosłownie przytaczam co pisze Berghaus (p. 63—72).

O Turkach w ogólności.

Turcy stanowią przejscie od ludów białych kaukazkiego plemienia do żółtych mongolskiego: bo są w tém pokoleniu szczepy, które zupełnie po europejsku wyglądają, a są znowu insze, które wyraźnie mongolski charakter w budowie ciała okazują. Podzielone są zdania, czy Turcy pierwiastkowo do mongolskich ludów, czy do pięknego plemienia europejskiego białych Kaukazców należeli: ale to pewna, że część ich większa oddawna nosi na sobie cechę mongolską. Twierdzi wszakże wielu, że niektóre tego pokolenia oddziały i hordy (szczepy albo raczéj narody) pierwiastkowy ale zatracony charakter europejski (biały) napowrót odzyskały, częścią przez klimat, a bardziéj jeszcze przez mieszanie się z ludami białéj rasy (plemienia) z powodu wędrówki ich ku zachodowi. Przypuszczenie, że pierwiastkowo należeli do biały h, daje się tém usprawiedliwić, że przez mieszanie się białych z rasą żółtych pozostają zwykle mocniejsze ślady téj ostatniéj.

I królestwo Wandalów we Włoszech było słowiańskie, i Gelimir czytaj Żelimir ich król, co był przez Belizaryusza 533 r. pokonany, był wyraźnie słowianinem. Nazwiska i prawa pozostały, ale język tak w Afryce jak i we Włoszech został zagłuszony. Wszakże pilni badacze znajdują jego ślady i u Berberów algierskich i w dyalektach włoskich. Nadto niektóre nazwy miejsc w Algieryi i Tunis bardzo na język słowiański zakrawają. We włoskim zaś języku mnóstwo słowiańszczyzny okazali badacze języków. Ob. Jana Kollara Staro-italia Sławjanskà, ve Vidni 1853 4to, stronnic 884 z tabulami 34ma.

Wandalami w języku urzędowym łacińskim zowią się do dziś dnia Słowieńcy w Węgrzech zachodnich. O czterech głównych narodach słowiańskich w Germanii ob. Gebhardi Gesch. alter Wend: Staat. Halle 1790: 4to tom 1: p. 103. Szafarzyka Staroż: Słow. p. 871. Mappę w dziele Vinzent Kadlubek v. Linde Warschau 1822. Lelewela Geographie du moyen age tom III p. 21 i Atlaș. tabl. VI. Tegoż Polska wieków śred. tom II p. 370, przytem mappę do pag. 361. O Weletabach *Annales fuldenses* pod r. 789 mówią „Natio quaedam Sclavonorum sedens super littus Oceani, qui propria lingua Veletabi, francica autem *Vilsi* vocabantur" Weletowie żyli u niższéj Odry na brzegu zachodnim. Obotryci (Bodrzycy?) na zachód od Weletów. Porów. *Szulca* o Pomorzu Zaodrzańskiem w Warsz. u Friedleina, 1850. 8ka. Bohemani są Czesi.

O Turkach bardzo dawne w Rocznikach chińskich znajdujemy podania, a mianowicie już na lat 1134 do 1736 przed Chrystusem, pod imieniem Chi-un-ju, późniéj Chian-jun, a jeszcze późniéj, a mianowicie między latami 256—263 przed Chr. Chiung-nu a podług inszéj pisowni Hiong-nu. Wszyscy dziejobadacze jednomyślnego są zdania, że owi Hiong-nu byli Turcy (nie Hunnowie, będący plemienia żółtych mongolskiego i pokolenia fińskiego, tegoż samego co i Madziary; ob. Szafarz. Słow. Staroż. p. 266).

Hiong-nu mieszkali pierwiastkowo na północ względem Chin, i we wschodniéj części gór Ałtajskich, gdzie stanowili silne państwo, które w końcu Igo wieku po Chr. przez Chińczyków upadło. Skutkiem tego kraj ich obsadzony został przez naród tunguski, plem. mong. któremu roczniki chińskie dają imię Sian-pi, i zlali się owi Sian-pi z różnemi hordami Hiong-nu w jeden lud, i była to najdawniejsza mieszanina białych z żółtemi. Insza horda Hiong-nu zbiegła na zachód i osiadła pod opieką silnéj hordy Szeu-szen tunguskiego ludu pod górami Ałtaj (złotemi), a mianowicie u stóp góry, któréj postać podobna była do hełmu; a ponieważ w ich języku hełm zowie się tu-kiü, tedy cała ludność przyjęła to nazwisko. (Tu-kiü, z czego późniéj u Greków powstało Turki). Tutaj pod dowództwem swego naczelnika Tuman, sławnego w dziejach wodza, stali się znowu potężnym narodem. Wódz ten żył około 545 r. po Chr. i niedługo po nim r. 569 wielki han Tu-kiü (po grecku Turkoj) zwany Dizabulus od cesarza Justyna młodszego (II) poselstwo przyjmował. W połowie VIII wieku państwo to Tu-kiü czyli Turków pod Ałtajem przez inszą hordę i pochodzącą także od Hiong-nu, upadło. Ta zwycięzka horda żyła na południe od Bajkału, nad Selengą i rzekami wpadającemi do Amur, i zowie się u Chińczyków naprzód Chuj-che, a potém Kao-czang, lecz sama nazywała się Ujgur. Uj-gury osnowali pod górami Ałtajskiemi także wielkie państwo, które 847 przez Chińczyków połączonych z Kirgizami zawojowane zostało. Tu niemożemy daléj wchodzić w bieg politycznych wypadków, którym ulegali, i w ich wędrówki, które od gór Ałtajskich ku południowi i zachodowi przedsiębrali i które ich aż do środka prawie Europy zawiodły (3): ale poprzestaniemy na wykazaniu ich teraźniejszego położenia i stałych siedzib.

Po indyjskiém pokoleniu największą przestrzeń ziemi w starożytności zajmowało tureckie pokolenie. Rozciągali się Turcy od Barkul i Kamil na wschodnim krańcu gór Niebieskich (Tengritagh albo Tian-szan, gdzie góra Bogdo-Oola, a ztąd na wschód leży m. Barkul i Kamil, w północno-zachodniéj stronie państwa chińskiego), a więc od wnętrza Azyi, aż do Adryatyckiego morza, i od ujścia rzeki Irtysz do Ob (w gub. tobolskiéj) aż do górnego Iranu (Persyi) po którego stepach koczują pasterskie hordy. (Ob. Physikal. Atlas von Berghaus Gotha, 1848, 2 B. 8 Abth.

(3) Powiemy o tém w ich historyi.

Ethnographie tabl. 1 i 2 i str. 228). Na téj ogromnéj przestrzeni ziemskiéj stanowią prawie nieprzerwaną massę ludu. Ale nadto ku południowi w Arabii i w północnéj Afryce są panującym ludem i daleko na północ starego świata (w Syberyi) znajdujemy ich oddawna osiedlonych, gdzie u niższéj Leny formują płachtę wpośród innych narodów około Jakutska, i ztąd na północ w górach werchojańskich.

Wyjąwszy język Jakutów mają tureckie dyalekty tę osobliwą własność że chociaż nawzajem od siebie przestrzenią miejsca najbardziéj oddalone, są przecież do siebie tak co do słów, jak i budowy języka bardzo podobne. I kiedy w indyjskiém pokoleniu np. Niemiec, dyalekta słowiańskie, albo indyjskie w Azyi dopiéro po długiéj nauce rozumieć może: tymczasem Turek carogrodzki, Uzbeka swego pobratymca w Bucharyi i Tatara kazańskiego powoli mówiących, dobrze pojmuje: a przeto pokolenie tureckie co do języka nie dzieli się na szczepy, ale jeden tylko szczep jego na narody, których jest 16. (Tak pisze Berghaus w swojéj etnografii. Niżéj jednak zobaczymy, iż uczony oryentalista rossyjski Berezin z większą ścisłością narody i dyalekty ich określa).

1. Ujgury (4), albo ci Turcy, którzy są pod panowaniem chińskiém, w tak nazwanéj Sijü albo nowéj granicy (linii między Ross. i Chin.), na któréj, z południowéj strony gór Niebieskich leżącą prowincyą (Tian-szan-nan-lu) częścią wyłącznie sami, częścią pomieszani z Tadżykami, nad któremi pierwéj panowali, zamieszkują. Wyłącznie sami żyją w Kamil, Barkul, Turfan, Karaszar, Kucze; pomieszani w Aksu, Uszi, Kaszkar, Jarkiang, Koten. Od nich nazywa się także ten kraj linią turkestańską albo turecką. Chińczycy zowią ich teraz Hoei-cen. t. j. muzułmanami. Książęta niegdyś nad nimi udzielnie panujący zwani chodżas stali się od Chińczyków zawisłymi, i jeżeli rządzą krajem, to pod ich zwierzchnictwem i imieniem. Ci Turcy mówią ujgurskim dyalektem, który jednak utracił już swoję pierwiastkową czystość: ponieważ z zaprowadzeniem islamizmu przez całe prawie pokolenie tureckie przyjętego, weszło do niego mnóstwo arabskich, a nawet perskich wyrazów, których jednakże liczba daleko większa w zachodnich niż w ujgurskim dyalekcie.

Ci Ujgurowie nowéj linii, tudzież Nogajcy (Tatarzy nogajscy) nad Czarnem morzem, Kumyki na Kaukazie, Tatarzy syberyjscy, Jakuty i Kirgizy są jedynymi Turkami, co zostają pod obcém zwierzchnictwem. Wszyscy inni panują nad innemi ludami, są udzielnemi i niepodległemi, i po większéj części trzymają inne ludy pod swojém panowaniem. Wielu Ujgurów znajduje się także w północnych prowincyach chińskich, ale tu nikną w wielkiéj ma-

(4) Nietrzeba mieszać Ujgurów tureckich, kaukazkiego plemienia z Ungurami (Uchrami) czyli Węgrami (Madziarami), plemienia mongolskiego, pokolenia czuchońskiego (czudskiego czyli fińskiego) szczepu ugorskiego, pobratymstwa co do narodowości uralskich Wogułów albo Woguliczów (dawniéj Jugorów), a bardziéj jeszcze Obskich Ostyaków.

sie ludu chińskiego. Wszyscy Ujgurowie prowadzą mniéj więcéj życie osiadłe, a ich dyalekt, chociaż nietyle ukształcony, co dżagatajski Usbeków w Turkestanie czyli wolnéj Tartaryi, i Bucharyi, jest przecież od wieków językiem piśmienniczym i ma swoję literaturę.

2. Turkomanie (Tarakame) czyli Truchmeńcy (tak ich bowiem zowią Rossyanie) są szeroko rozgałęzionym tureckiego pokolenia narodem. Wyłącznie prowadzą życie koczujące (nomadyczne) i przechodzą ze swemi trzodami po równinach Turanu od kraju Kokan albo Chokand (dawnéj Żergany), aż do Kaspijskiego morza (wschodnich brzegów), lecz szczególniéj stawają na puszczy Deszt-Kowar, gdzie się znajdują obfite pastwiska ich najznakomitszych rodzin, używających dżagatajskiego dyalektu. Pokrywają swemi namiotami płaszczyzny Chorasanu i pustynie Iranu, i równiny wnętrza Azyi mniejszéj, i ztąd sięgają aż do zachodnich stron Armenii, i przez południową Gruzyą (Georgien) aż do zachodnio kaspijskich krain Sziwanu i Dagestanu, i wszędzie gdzie się znajdują, stanowią główną massę ludności. Różne rodziny tego szczepu, (albo raczéj narodu), rozproszone są po Syryi i Libanie, a nawet niektóre z nich szerzą się aż po puszczach arabskich. Z hordy Efszar, która w zachodnich stronach Iranu (Persyi) ma swoje pastwiska, pochodził dziki Szach-Nadir władzca Persyi, co zburzył w Indyach miasto Deli, a do rodziny Chadżar należy teraz w Persyi panująca dynastya. Widzieliśmy zaś wyżéj, że naród perski Tadżik należy do naszego indyjskiego pokolenia. Tak więc w Persyi naród Tadżików pokolenia indyjskiego, zostaje pod panowaniem Truchmeńców pokolenia tureckiego, albo jeśli się podoba tatarskiego. Rzecz się ma podobnież w Turanie, a mianowicie w krainie zostającéj pod panowaniem

3. Usbeków, którzy stanowią trzeci bezpośrednio od Ujgurów znad gór Niebieskich pochodzący naród, od których się w końcu XV wieku oderwali: pociągnąwszy ku zachodowi przez rzekę Syr i szerząc wszędzie postrach i spustoszenie. Oni stali się panami wszystkich części: Turanu, Buchary, Kokanu, Chiwy-Kuraduz, i innych mniejszych krain, które do gór Bolorskich sięgają, i dlatego te strony Azyi wewnętrznéj zowią się także Usbekijską Turcyą, albo Turkestanem. Usbekowie nie różnią się od Truchmeńcow, tak jak ci mówią dżagatajskim dyalektem, i prowadzą także tenże sam sposób życia koczowniczy.

4. Nogajcy przez Rossyan Tatarami nogajskiemi zwani, mieszkają na równinach zachodnich od morza Kaspijskiego, na południowéj stronie rzeki Kumy niższéj, i na północ od morza Czarnego, tojest w kraju Kaukazkim i gubernii tauryckiéj, (Tatarzy krymscy, a więc na europejskiéj ziemi (Bergh. Tabl. 15). Nazywają się sami Mankat, i twarz ich okazuje znaczny wpływ plemienia mongolskiego, chociaż w języku ich wyrazy mongolskie dosyć rzadko napotykamy.

5. Bassyanie. Ich siedziby są w dolinach północnego Kaukazu, na górze Elbrus, i około niéj. Elbrus jest najwyższym szczytem gór kaukazkich. Ossetowie zowią ich Karaczaj-Turkami, tojest Czarnowodnemi, a Suanie (ob wyżéj pok. 10 Gruzińcy) zowią ich Alanami (czy nie stąd ułan?). Bassyanie (Basten) byli pierwiastkowo Finnami, pobratyńcami Madziarów czyli Węgrów, lecz potem przyswoili sobie język turecki. Toż samo uczynili

6. Baszkiry, którzy od niepamiętnych czasów południowe strony gór uralskich zajmują, i ztąd nawet ta część ich baszkirskiemi się zowie. Poturczenie się tych Finnów późniéj nastąpiło niż Bassyanów, bo jeszcze około środka XIII wieku, kiedy Wilhelm Ruysbrock w czasie swego poselstwa do hana Mongołów w Karakorum przez ich kraj przejeżdżał, mówili Pascatin (tak nazywa Baszkirów) językiem węgierskim. Obacz Szafarz. Słow. staroż. p. str. 267.

7. Kumyki są prawdziwym staro-tureckim narodem w północno-wschodnich stronach podgórza Kaukazkiego nad rzekami Sundża, Aksaj, i Koisu żyjącym, (ob Atlas Bergh. Etnograf tabl. 15. Mówią nieukształconym, od innych tureckich dyalektów dosyć odstępującym językiem. Nietrzeba Kumyków mieszać z Kałmukami (Ölöt), tak nazywanymi zamiast Chalimak (co po turecku familią oznacza, którzy są plemienia mongolskiego, (ob. niżéj).

8. Meszczeraki. Podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, byli także pierwiastkowo narodem fińskim czyli czuchońskim i potém dopiéro przyjęli język turecki. Mieszkają jako ruscy poddani w gubernii permskiéj i orenburskiéj.

9. Kazańscy, albo Wołżcy Tatarzy. Niemcy dają im ogólną nazwę Turków. Są to szczątki ludu tureckiego, który w Turkomanach (Truchmeńcach) i Usbekach swoich pobratymców uznaje: i który ze swoich siedzib ze środka Azyi przez mongolskie tłuszcze pociągnięty, do utworzenia niegdyś potężnéj hordy tatarskiéj, albo mongolskiéj Kapczaku (Kipczak) we wschodniéj Europie znacznie się przyłożył. Stanowili téż carstwo Kazańskie.

10. Syberyjscy Tatarzy, także przez Niemców Turkami zwani: dlatego, że nazwa Tatarów pierwiastkowo służyć miała tylko Mongołom. Zaludniają całą południowo zachodnią część Syberyi, zdawiendawna tu osiedli i za najdawniejszych téż mieszkańców téj strony uważani. Dzielą się na 15 rodzin znanych pod tyluż nazwiskami.

11. Teleuty żyją w górach Ałtajskich, około jeziora Ałtyn (złotego), które Rossyanie Teleckim (od Teleutow) nazywają. W języku ich jest wiele słów mongolskich.

12. Sojoty, Matory, i Koibały, także w południowéj czyli Ałtajskiéj Syberyi. Byli to pierwiastkowo Samojedzi (tak podobno od suowac bagno nazwani), ale język ojczysty przez wpływ tureckiego zaginął; i teraz mówią po turecku czyli tatarsku, lecz bardzo zepsutym dyalektem.

13. Jakuty zowią się sami Socholar, żyją odrębnie od innych Turków i Tatarów w Syberyi około Jakutska, i ztąd na północ około rzeki Leny. Znakomitszemi od nich na PdZ. są:

14. Kirgizy zajmujący ogromną krainę od rzeki Ural, aż do gór Altajskich, i od Omska i wyższego Irtyszu, aż do jeziora Aralskiego i gór Bolorskich; dzielą się na:

1) Burutow albo Kara-Kirgiz tojest czarnych Kirgizów (kirgaz znaczy namiot), zajmujących wschodnio i południowo-wschodnią część kraju od wyższego Irtyszu do gór Bolor. Należą częścią do Rossyi, częścią do Chin, i hana Usbeków w Kokand.

2.) Kirgizy albo Kirgiz-Kajsaki: są to liczniejsi od Burutow Kirgizy zachodni. Dzielą się na trzy hordy (dżius): małą, średnią (urtadzius) sięgającą aż do Aksa-gul (Aksakul) od Aral na PnW. i wielką, która leży w stronie wschodniéj i zowie się też Koerger albo Brut Erdene. Uznają zwierzchnictwo i doznają opieki państwa rossyjskiego.

15. Kara-kałpaki (po polsku czarne czapki) żyją nad jeziorem Aral, (na PdW.) i w niższych stronach rzeki Syr (Syr-Darja) i Kuwan. Niektórzy z nich zostają pod rossyjską opieką; inni poddani hanowi Usbekow w Chiwie żyją w wielkim ucisku.

16. Osmany, których my pospolicie i prawie wyłącznie Turkami zowiemy, stali się panami cesarstwa wschodniego (greckiego, Bizantyńskiego) Tureckim od nich nazwanego. Ich ogromne posiadłości rozciągają się po Europie, Azyi, i Afryce. Lecz w Europie tworzą Osmani tylko oderwane po miastach grupy, z których największe w Carogrodzie (Stambuł, Konstantynopol). Są to urzędnicy, kupcy i rzemieślnicy. Głównem siedliskiem Osmanów (po naszemu Turków) jest Azya mniejsza (Anatolia, Natolia) gdzie się i rolnictwem zajmują. Na wschód sięgają aż do Armenii: na południe aż do rzeki Eufratu i Tygru i granic Syryi. W Afrykańskich posiadłościach ich państwa mała jest ich liczba. Po większéj części są to tylko urzędnicy. Ktoby chciał poznać obyczaje i zwyczaje Turkow osmańskich, czyli drugą część etnografii narodów, niechaj czyta dzieło Berghausa: die Völker des Erdballs, 2 tomy w Lipsku 1845-47 8 maj. Z dawniejszych czasów dzieło Happela: Raritäten Schatz-Kammer, fol. z drzewo-rytami, wiele ciekawych szczegółów o Turkach obejmuje. W dziele tém znajduje się i Al-Koran piérwszy raz na język niemiecki przełożony.

Na tém kończy się o Turkach wiadomość Berghausa w jego Grundlinien der Ethnographie. Lecz w atlasie fizycznym części etnograficznéj tom 2 str. 228, czytamy nadto między innemi o Turkach co następuje: „Ruski oryentalista Berezin, który przez trzy lata (1842-1845) kraje wschodnie pod względem języków objeżdżał, dzieli język turecki na 3 główne dyalektów klassy: 1) na wschodnią w Dżagataj (Turkestan czyli Tartarya wolna), 2) na północną, którą Tatarską zowie i 3) na zachodnią czyli właściwie turecką. Piérwsza składa się z 6, druga z 8, trzecia z 5, wszystkie więc trzy z 19, a z jakulskim, którego p. Berezin nie

obejmuje, z 20 dyalektów. Do klassy 2 tatarskiéj liczy Berezin, Kirgizów, Baszkirów, Nogajców, Kumyków, Karaczajów (Bassyanów Basten), Karakałpakow, Meszczeraków i Syberyjskich Tatarów. Najuboższym jest język ujgurski, najbogatszym osmański (ottomański czyli turecki) (5).

Dla tych, którzy są ciekawi jak brzmi język turecki, kładziemy tu Modlitwę Pańską w 7 jego dyalektach, ortografią polską.

I. Po turecku (osmańsku, ob. wyżéj 16) z dzieła Henselii Synopsis Philologiae. 1754, p. 373:

Bizumatamuz ki gluglerde-sin: 1) Senun adun mukades olsun. 2) Senun melkutun gelsun. 3) Senun iradetun olsun, nitegim gugde dahi jerte. 4) Hergungi bizum et megemuzi ver bize bug jun. 5) Va bizum burgslerumi bize bagiszle nitegim bizdahi bizum burgslulerumuze bagiszlerus. 6) Va bizi tagskribe adchaletma. 7) Lekin szerinden bizinc gsaiteile.

II. Po tatarsku jak mówią w Syberyi (ob. nr. 10) podług Szniclera statystyki Rossyi: Essai i t. d. Petersburg. 1829. 12mo, p. 427. (Z tegoż dzieła wypisałem i proby następne).

Ja ata-muz ki kiokda sen. 1) Adin senun ari olsun. 2) Padisza linin senun kelsun. 3) Boiruklerin senun olson kiokda kibi dahi jirda. 4) Hergiunagi ekmeki musi vir bise bu giun. 5) Va burgileri musi bise bagiszla niczaki biz dahi burgi lureri musi bagiszleris. 6) Va bizi sinisza giturma. 7) Lakine jaramazdane bisi sali vir.

III. W języku Tatarów kazańskich i permskich (ob. nr. 8 i 9). Busume ata, kaj sui kuklerdekii sen: 1) Rehen lonsun senun isumun. 2) Kelsun senun szalugun. 3) Olsun ichtyar sentkii kukdai uvni erdai. 4 Besum harkungii nefakamesni bergiul bisèe. 5) Bujavmude gam besium guna laremesni nia czukdur uvai bes kuczemus besum megiu blen muszle remesni. 6) Gujam dżesub itmegul itvaga. 7) Emma kutkar besni iblisdin.

(5) Nasz uczony Franc. Meniński, ten sam co Grammatykę polską napisał, wydał także Grammatykę turecką i Słownik turecko polski, z przydaniem kilku innych języków wschodnich i zachodnich p. t. *Thesaurus linguarum Orientalium.* Viennae Austr. 1680 fol. 3040 str. Dzielą je na 2 lub 4 tomy. Jest teraz bardzo rzadkie i kosztuje od 100 do 150 dukatów. Do tego dzieła jest tegoż autora *Complementum* thesauri Ling. Orien. sive Onomasti-con. Viennae 1687. fol.

Przedruk słownika Menińskiego wyszedł w Wiedniu 1780—1801. w 4 tom. fol. (cena 150 reń sr.) ale nie ma w nim polszczyzny. Grammatyka przedrukowana także p. t. Institutiones Linguae Turcicae, naprzód w Wiedniu 1756 II tomy 4to, a potem w Lipsku 1756 fol. Po rusku wydał Grammatykę turecką Reinch. Gablic 1777 w Moskwie in 8-vo Tatarskiego zaś języka Grammatyki, po rusku znanemi są 2. 1) Józefa Giganowa. Petersbg. 1801. 4-to. 2) Aleks. Trojańskiego w Kazanie 1824. 4-to Józef Giganów napisał także Słownik Rossyjsko-Tatarski w Petersbg. 1804. 4-to. Statystyczne podania o tatarskim szczepie i różnych narodach tatarskich (27) zostających pod panow. Ross. znajdziesz w dziele Tad. Bułgarina p. t. *Rossya.* Petersbg. 1837, tom I. str. 301. O literaturze tureckiéj ob. Ludw. Wachlera: Handbuch der Geschichte der Litteratur, Leipz. 1833. tom III. str. 505.

IV. W języku Tatarów nogajskich na Kaukazie (ob. nr. 4). Ata mes, olan koklerde: 1) Adenumokades olsun. 2) Mamleketen itesze sun. 3). Mraden erdu olsun kbi oldugi kokdu. 4) Va ver bisu bukun etmre erkumgi gemsi. 5) Bagiszla bisu mesi boriczlar, dachi bis bageszladugamis misa boriczlalar. 6) Va kulurma bisu snamaga. 7) Amma kurtar bisu jaramasdane.

V. W dyalekcie Tatarów krymskich (ob. nr. 4). Bsim peredimis kioklerde: 1) Sanin olan emin mukades smin. 2) melk jotlugun gelsin. 3) kiklorde emin netarsi issu olszekilerde. 4) Omin kiudelak asigumusu vir bisu bukiun. 5. Ve borczlarimis of eglu ve borczlarimisi bis bachi of iderus. 6) Kasa kama suna virmu. 7) Ol maletbe kurtar.

VI. Po baszkirsku (ob. nr. 6). Atabus bsnum sire bardur goklerda: 1) Jaliurar senin atun gam gelur padża lukin senin. 3) Va bulur iriklikine sinin, bessalen guklerda va dżirlerda. 4) Ikmek bisniki nabaka birgendiur bisga asir 5). Va gagul banlerda bireczaklermusi amma bidai dażedalmis bireczak kimsemermisa. 6. Va żiteklema bisni basbassaga. 7) Amma guchar szaitandane.

VII. Po kirgizku (ob. nr. 14). Atabas besuin, itor barde asmanda: 1) igurtur aton sunun. 2) Kiliril uczmachtna sunun. 3) Bular irsze sunin, kam asmane-ustunde gir-ustunde. 4) Bérir sin bisza kunlada. 5) Kaldorgun bisza usok bisga art kambuma anakamtrabeż burcla besnin kildiurmagin. 6) Besne kaigoda saklagane besne altaisztan.

Porównanie.

Ojcze I atamuz, II ata, III *id.*, IV *id.*, V peredimis, VI atabus, VII atabos.

nasz I bizum, II mus, III buzum, IV mes, V bsim, VI bsnum, VII besnim,

który I ki, II *id.*, III kaj suj, IV zamiast któryś jest stoi będący olan, V—VI sire, VII itor.

jesteś I sin, II sén, III *id.*, IV ob. który V—VI bardur, VII barde.

w niebiesiech I guglerde, II kiokda, III kuklerde, IV koklerde, V kioklerde, VI goklerda, VII asmanda.

święć się I mukades olsun (t. j. święte bądź), II ari olsun, III rehen lonsun, IV jak I, V mukades olan, VI jalturar, VII igurtur.

imię I adun, II adyn, III isumun (z arab.), IV aden, V emin (z arab.), VI atun, VII aton.

twoje I senun, II *id.*, III *id.*, IV en połączone z aden (imię), V sanin, VI senin, VII sunun.

przyjdź I gelsun, II kelsun, III *id.*, IV etiszesun (fr. fais le venir), V gelsin, VI gam gelur (fr. fais venir), VII kiliril.

królestwo I melkutun, II padisza ligin (z pers.), III szah lugun (z pers.), IV mam leketen (z arab.), V melk (z arab. cf. hebr. melech, król) VI lukin (z pers.), VII uczmachtna.

twoje ob. wyżéj I senun, II *id.*, III *id.*, IV ten połączone z mamleke (królestwo) V? VI senin, VII sunun.
bądź I olsun (fr. se fasse=niech się stanie, II *id.*, III *id.*, IV *id.* V? VI bulur, VII bular.
wola I iradetun? II bairuklerin, III ichtyar (z arab.), IV mraden (z arab.), V? VI iriklikin, VII irsze.
twoja I senum, II id, III seniki, IV en połączone z mradem (wola) V? VI sinin, VII sunin.
jako I nitegim, II kibi, III, IV, V? VI bessalen, VII kam, (cf. fr. comme).
w niebie (ob. wyżéj w niebiesiech). I gugde, II kiokda, III kukde, IV kokdu, V kioklerde, VI guklerda, VII asmane-ustunde.
tak i I dach i II id, III uvni, IV kbi, V ?, VI va-dzir, VII kam, (ob. wyżéj jako).
na ziemi I jerde (cf niem. Erde), II jirda, III erde, IV erdu, V lerde, VI lorda, VII gir-ustunde (ustunde znaczy pol. na).
chleba I etmege, II ekmeki, III nefakamesni (żywność) IV gemsi, V asigumusu, VI ikmek, VII sine (pożywienie).
naszego I muzi, II musi, III besum, IV etme, V ominenam (ob. niżéj), VI bismiki, biszu, pol. wam ob. niżéj.
powszedniego I hergungi (codzienny), II hergiunagi, III harkungi (z arab.), IV erkungi, V kiudelak, VI nabaka (potrzebny) z arb. VII...
daj I ver, II vir, III bergiul, IV ver, V vir, VI birgendiur, VII berir.
nam I bize, II bise, III bisée, IV bisu, V bisu, VI bisga, VII bisza.
dzisiaj I bug-jun (fr. ce jour), II bugiun, III, IV bukun, V bukiun, VI asir, VII kunljada, pol. codziennie cf. pol. kolęda.
i I va, cf. pol. a, II id, III ?, IV, V ave, VI va VII
odpuść I bagiszle, II bagiszla, III bujavmude? IV bagiszla, V boriszlarimis? VI banlerda, VII koldorgun.
nam ob. wyżéj, I bise, II *id*, III gam? IV bisu, V ve? VI? VII bisza.
nasze I bisum, II musi, III besium, IV mesi, V bisu, VI musi, VII bisga.
winy I burgslerumi, II burgileri, III? IV boriczlar, V borczlarimis, VI bireczlakler, VII usok (urazy).
jako ob. wyżéj I nitegim, II niczaki, III uve, IV dakhi, V? VI amma, VII
i my I biz dahi (my także), II id, III uvebes (jak my), IV dahibis, (jak my), V bis bahi, VI, bide (my) VII?
odpuszczamy, I bagiszlerus, II bagiszleris, III? IV bageszladugamis, V borczlarimis, VI dażedalmis, VII kildiurmagin.
naszym, I bizum, II musi, III besum, IV misa, V bis bachi? VI kimsemermisa, VII besnin.
winowajcom, I burgslulerumuze, II burgililuleri, III? IV boriczlular, V borczlarimis, VI bireczak, VII burisla.
i, I va, II id, III? IV va, V? VI va, VII—

nie wódź, I adżaletma, II giturma, III? IV kelurmu V? VI żiteklema, VII?
nas, I bisi, II i d, III? IV bisu V? bismi, VI bismi, VII besne.
na pokuszenie, I tagskribe, II sinisza, III igvaga (z arb.) IV snamaga, V? VI bas bassaga, VII kaigoda?
ale, I lekin, cf pol. lecz, II lakim, III emma (cf franc. mais, ital ma) IV amma, V ol cf pol. ale, VI amma VII?
zbaw nas, I gsaiteile bisme? II salavir bisi, III kutkar besni, IV kurtar bisu, V kurtar, VI gukkar, VII suklagane besne.
ode złego, I szerirden, II jaramazdane, III iblisdin, (od biésa), IV jaramazdane, V maledbe, VI szajtandane, od szatana, VII altajsztane.

Dla lepszego pojęcia rzeczy, mianowicie jakie miejsce zajmują Turcy pomiędzy innemi narodami, załączamy tu nadto nazwiska pokoleń i niektórych szczepów i narodów bliżéj nas obchodzących, plemienia mongolskiego.

Do plemienia żółtych czyli mongolskiego liczy Berghaus 20 pokoleń: 1) Właściwych Mongołów, których szczepy: Mongoły, Buryaty i Kałmuki (sami zowiący się Olöt); ci ostatni żyją w stepach gub. astrachańskiéj. 2) Chińczycy przez Rossyan Kitajcami zwani. 3) Tybetanie. 4) mieszkańcy Korei. 5) Japońcy. 6) Annam. 7) Siam. 8) Marama. 9) Mon. (Moan, Man). 10) Komen. (Kambodżanie. 11) Indochincy. 12) Zaindyjcy (Hinterindier). 13) Tunguzy. 14) Samojedy. 15) Jenisejcy.

16) Finny. Wyraz ten zdaje się tyle znaczyć co Chinny czyli Chinczycy, co tegoż samego są plemienia. Rossyanie zowią Finnow Czuchońcami; historya zowie ich Czudami i sądzi, że to jest to samo co Scytowie. Tego pokolenia szczepy są:

1. Jötuny, czyli Czuchońcy (Finnowie) zachodni nad morzem Baltyckiem żyjący. Tego szczepu narody są: 1) Liwońcy (liw, zn. piasek). 2) Estońcy (Someles set, Eesti-ma-mes) dwu dyalektów estońskiego i dorpatskiego. Żyją w Estonii i północnych Inflantach (Liwonia). 3) Iżorny albo Ingercy od Ingryi czyli Ingermanlandyi tak nazwani. 4) Finlandcy (Suomalaj set po est. Somelanne w W. księstwie finlandskiem dwu dyalektów: Tawassy (Hämälaj-set, i Kwäny albo Kajany (Kajnulaj-set). 5) Karelcy (Karjalaj-set). Lecz sami zowią się Somaeme-jes. 6) Lapońcy (Samelatjeh) inaczéj Lapalaj-set, co znaczy Krainey, na krajnicy (granicy) żyjący.

2. Drugim szczepem pokolenia Czuchońców są Wołżscy albo Bulgarscy Finnowie. Są to szczątki dawnéj ludności wielkiéj Bulgaryi nad Wolgą i niższą Kamą. Przodkowie ich przybywszy na prawy brzeg niższego Dunaju nadali swoje nazwisko żyjącym tam Słowianom, lecz sobie przyswoili język słowiański, wpłynąwszy dosyć znacznie na jego zmianę. Zowie się teraz bulgarskim, lecz należy do dyalektów słowiańskich (6).

(6) Dyalekty słowiańskie (plemienia białego, kaukazkiego, pokolenia indyjskiego ob. wyżéj) są następujące: 1) Wielkorossyjski przez

Finnowie bulgarscy nad Wołgą żyjący w gub. niżenowogrodzkiéj, kazańskiéj, simbirskiéj i penzańskiéj aż do Saratowa i Penzy dzielą się na Czuwaszów, Czeremisów (Mari) Mordwinów i Teptjarów z Turkami czyli Tatarami pomieszanych.

3. Szczep Permiaków, dzieli się na Wotjaków (Ud-murd) między Wiatką i Kamą żyjących: na Zyrjan (Komi-Murd) i właściwych Permiaków (ni-Ulir). Szczep ten w ogóle zowie się Suda albo Sudani.

4. Szczep Finnów Ugorskich dzieli się 1) na Wogułów (Woguliczy), Mansi albo Mansi-kum zowiących się, 2) na Ostyaków Obskich nad rzeką Ob, sami zowią się Ass-jach, a Zyrjanie zowią ich Jögra-jas.

Trzecim narodem tego szczepu są Madżiary w Węgrzech po niem. Ungern (Ungaren) po słow. Uhry, po pol. także Węgrami zwani.

Język węgierski czyli madżiarski najwięcéj do ostyackiego przybliżony. Niedawno czytaliśmy w Dzienniku Warsz. artykuł o Literaturze madżiarskiéj. Lecz wróćmy się do reszty pokoleń żółtych.

17) Siedmnastym pokoleniem żółtych są Kurylcy (Aino) 18) Kamczadale na półwyspie Kamczatce. Sami zowią się Itälman, co jakoś ná Italią i Italców (Italian) zakrawa. 19) Jukagiry. Sami zowią się Ardoe Domni: podobna nazwa do łacińskiego Ardu-i Domini. Żyją w Syberyi nad rzeką Indigirką i mowią już teraz

Rossyan ruskim zwany. 2) Małorossyjski nietylko w południowéj Rossyi, lecz i w Galicyi wschodniéj i Węgrzech wschodnich. 3) Bulgarski w Bulgaryi, Tracyi, Macedonii i Bessarabii. 4) Serbski w Serbii, Bośnii Zachlumie (Hercegowinie) w Cernogórze, Dalmacyi Slawonii, w południowych Węgrzech i pograniczu wojskowem (Militärgränze) cesarstwa austryackiego. 5) Horwacki (kroacki) w królestwie Kroackiem którego stolicą Zagréb (Agram) i Węgrzech zachodnich około Soprona (Oedenburg) i jeziora Pleso (Lacus Peisonis, po niem. Nausiedler t. j. Nowosielskie. po węg. Fertö) z tąd u Niemców zowią się Wasserkroaten t. j. Wodni Horwaci. 6) Kraiński Słowiańskim pospolicie zwany w królestwie illiryjskim (t. j. w Krainie i Karyntyi) w południowéj Styryi i Węgrzech zachodnich na pograniczu Styryi. 7) Słowiański w północnych Węgrzech, Słowackim pospolicie zwany. 8) Czeski w Czechach, Morawii, Śląsku Austryackim i miejscami w Węgrzech północnych. 9) Górnołużycki (Oberlausitzisch Wendisch) pospolicie serbskim zwany, w królestwie Saskiem około Budziszyna (Bautzen) i w części górnych Łużyc pruskich do Śląska przyłączonych, gdzie miasta Wojerecy (Hoyerswerda) i Mużaków (Muskau). 10) Dolnołużycki (Niederlausitzisch wendisch) w Łużycach dolnych około Chociborza (Cottbus) należących teraz do Pruskiego Braniborska (Brandenburg) rejencyi frankfurtskiéj. 11) Polski w królestwie Polskiém w W. księstwie Poznańskiém, w Śląsku górnym w Prusach zachodnich i wschodnich (w części południowéj), w Galicyi Zachodniéj, w Węgrzech na pograniczu północném i miejscami w Galicyi Wschodniej i Zachodnich gubernijach rossyjskich. 12) Nareszcie dyalekt starosłowiański, cerkiewny albo kościelny, w nabożeństwie prawosławnem u Rossyan, Rusinów, tudzież u Bulgarów i Serbów, i w katolickim kościele u Dalmatów szczepu słowiańskiego używany.

prawie wszyscy po rusku. 20) Korjaki. Do nich należą Czukcze, co sami zowią się Tajnami (Taina) i Olutory (Kongichwalo) nad rzeką tegoż imienia w północno-wschodniéj Syberyi.

Pisałem w Warszawie w końcu października 1853 r.

Andrzéj Kucharski.

Gawęda o rzeczach muzycznych.

(Dokończenie).

Nie ja jeden zapewne z ciekawością biegłem na owo w teatrze warszawskim przedstawienie Normy, w którém pani Lagrange w głównéj roli wystąpić miała. Niecierpliwy byłem dowiedzieć się, jak też w roli tragicznéj, w operze serio, wydadzą się wielkie zdolności i wyjątkowe usposobienie téj śpiewaczki; chciałem sobie dopełnić pojęcia o niéj. Z rozgłosu po mieście wiedziałem, że nie wszyscy bezwarunkowo zachwyceni byli Adiną w Napoju Miłosnym, słyszałem nawet zdania tak nizko ją stawiające, że im się równie dziwić musiałem jak i zapałowi, którego byłem świadkiem na samém przedstawieniu. Objawy te zdań tak krańcowych nie wypływały widocznie ze znajomości rzeczy, a przynajmniéj nie obadwa, a jak mi się zdawało, żadne. Dać się otumanić kilku figlom, nie odgadnąć zasługi pod niemi ukrytéj, równym podług mnie jest grzechem, którego się wszędzie ogół publiczności dopuszcza. Dlatego też najmniéj mnie dobiegło zdań środek trzymających między dwiema ostatecznościami, zdań chłodnych, umiarkowanych i dlatego sprawiedliwych; zdań opartych na rozumowaniu, wynikających ze systematycznego na całą sztukę poglądu, jak zdanie owego jegomości w piérwszéj połowie niniejszéj gawędy opowiedziane. Zdanie to może nie najtrafniejsze, bo nieskończone i nieostateczne jeszcze, ale pewnie nie z uprzedzenia, nie z koteryjności wynikające. Człowiek ten jednym więcéj był powodem, że właśnie na piérwszém przez panią Lagrange przedstawieniu Normy być pragnąłem. Zimna jego krew, powściągliwe, a jednak śmiałe wyrazy, znajomość techniki muzycznéj dosyć rozległa jak się zdawało, znajomość płodów sztuki nie z nazwiska tylko; chwalebne odnoszenie wszystkiego niemal co mówił do nas: to wszystko mocno mnie zainteresowało i tak dalece, żem ciągle o nim myślał i różne sobie układał względem niego projekta. Do ich spełnienia pomódz mi miała jego łatwość w zawieraniu znajomości i gadatliwość; obiecywałem sobie wyciągnąć go na słówko o tém i owém, postanowiłem go naciskać, rodrażniać nawet zaprzeczeniem: bom mniemał, żem szczęśliwie znalazł obfitą kopalnię artykułów muzycznych, którą tylko zręcznie trzeba było umieć prowadzić.

Gdym przybył na umówioną godzinę i w to samo miejsce, gdzieśmy opery Donizettego słuchali, znalazłem już młodszego z owych dwóch panów na stanowisku przestronném jeszcze, ale zagrożoném liczbą przybywających ciągle. Zasiedliśmy miejsca tyle, by go dla trzech starczyło i odpierali z jaki kwadrans natarczywość mężczyzn, i tęskne kobiet wejrzenie. Aż nakoniec przybył jakiś jegomość bywalec jak widać, twierdząc, że daremnie zatrzymujemy miejsce dla kogoś, bo on przyjść nie może, i jego z tém doniesieniem umyślnie wysłał, nie chcąc nam robić zawodu.

— Zmieniłem zamiar i przyszedłem—odezwał się jakiś głos z boku.

— Aha! liczyliśmy na to i dzielnieśmy się trzymali. Ten pan.. ale on się rozśmiał i poszedł.

— Dziękuję panom i przepraszam, żem się opóźnił—rzekł sadowiąc się między nami—przykroby mi było nie być razem z panami. Bo ja oprócz gawędki chcę tu jeszcze interes jeden ubić i to z panem—rzekł do mnie.

— Ze mną?—zapytałem zdziwiony—ja się interesami nie trudnię.

— Ale mi pan pośrednikiem być możesz i to w interesie wcale łatwym. Oto chciéj mnie pan z bratem swoim zapoznać. Widzę już z pańskiéj twarzy, że go tu nie ma, to przynajmniéj powiedz mi pan jak się nazywa? Może ja go i znam?

Tak z nienacka zagadnięty i nieprzygotowany na odpowiedź, bom nawet zapomniał o tém, żem się za brata jakiegoś muzyka podał, rzekłem na los szczęścia:—Boćkowski, do usług pana Dobrodzieja.

— To chyba nie w Warszawie mieszka, bobym go znał choć z nazwiska jeśli nie z osoby; znam prawie wszystkich muzyków tutejszych.

— Może znakomitszych; ale mój brat Jacek Boćkowski mierny i cichy sobie człowiek; daje lekcye na fortepianie i basta.

— Co u licha! że też tu z panem nie jest?

— Słaby trochę i nie wychodzi; ale odżałować nie mógł, bo i on ciekawy poznać panią Lagrange, któréj dotąd nie słyszał. Jak też pan Dobr. myśli, czém się nam ona w Normie zdawać będzie? rzekłem daléj chcąc gwałtem go odwieść od mego brata.

— To zobaczymy niedługo; na co nam ryby łowić przed siecią? Ale wracając do pańskiego brata, tak ma uderzające nazwisko, że gdybym je raz tylko posłyszał, to byłbym go nie zapomniał. Gdyby to nie było niedelikatnie, tobym rad wiedział z których stron panowie jesteście i czy pański brat dawno w Warszawie mieszka.

— Ja i mój brat rodziliśmy się w Warszawie i ciągle tu mieszkamy, ale familia nasza pochodzi z Litwy i jak mówią od boćwiny nazwisko swoje bierze. Boćwiną też nazywali uczniowe u OO. Jezuitów w Pułtusku jednego z mych przodków, który był kalafaktorem. Widać, że się tęgo sprawiał, jak utrzymywał nieboszczyk mój dziadek, i musiał być słynny na całą Polskę, gdy od jego nazwi-

ska oręż kalafaktora Boćkowskim przezwano. Wspomniony dziad mój zwykł był dodawać, że umiano ocenić zasługi owego przodka naszego, bo mu na jakimś sejmie nadano herb, którym się dotąd szczycimy: jestto ptak na wysokich nogach i z długą szyją, a w dziobie żabę trzyma; jedném słowem jestto bocian, który, jak wiadomo, świat czyści. Boćkowski także to samo czyni, i zapewne to podobieństwo było powodem do nadania memu przodkowi takiego herbu.

— Dziękuję panu; ja jestem Bartłomiéj Pokrzywiński a właściwie Pokrzywa, syn chłopa z pod Tarczyna—rzekł starszy jegomość. Rodzina moja tyle się pewnie wsławiła, co każda inna rodzina wieśniacza: pracując, modląc się, a na pociechę wygrywając sobie na fujarce jak i dotąd jeszcze moi bracia grywają. Ztąd to podobno moje zamiłowanie do muzyki, od której nas licho jakieś odprowadziło. Chociaż to z chłopem, nie odmówi może brat pański znajomości ze mną.

— Szczycić się nią będzie panie Dobr., ale nie wiem, jak do tego przyjdzie, bo to taki dziki człowiek, że szukać drugiego. Nikomu się nie udziela; koncert, teatr, to jego wizyty; lekcye wiele zabierają mu czasu, a resztę różne szpargały w których ustawicznie grzebie. Towarzystw nie lubi, bo utrzymuje, że one czas kradną, a nadziewają nudami albo co gorzéj, goryczą napawają.

— To zależy od towarzystw jakie się wybiera—rzekł młodszy; —ale czyż brat pański nie żyje z artystami swemi braćmi w sztuce?

— Nie panie, a przynajmniéj tak mało, że tego nie ma za co liczyć. Probowałci dawniéj, ale mu nieszczęśliwie poszło, a teraz utrzymuje, że gonił za wiatrem. On pragnął, jak mówił, od pojedynczych ludzi dowiedzieć się ich pojęć, by swoje rozszerzyć, nauczyć się szczegółów im lepiéj znanych, rozgrzać się przy ich ogniu gdy stygnął, może którego także podnieść jeśliby upadał; jedném słowem żyć całkowicie tém co po kochał, co mu chleb daje, a co takie niewyczerpane. Ale jak mówił, zawiódł się najokropniéj; zamiast pojęć znalazł ciemnotę, zamiast szczegółów nieokrzesane ogólniki albo drwinkowanie, zamiast ognia dla sztuki znalazł inny sztuczniejszy, a gdy chciał jako człowiek i kolega podnieść którego, to mu wyrzucano, że razem z nimi nie upada. Więc wyrzekł się stosunków z ludźmi, a jął przeglądać dzieła, których muzyka na wszystkie strony mnóstwo znakomitych posiada; biorąc to, co najlepszego znaleźć może buduje się wielkością muzyków, gdy żyjąc z temi, których ma wokoło siebie, nie może wybierać, a nie chce przyjąć co jest. Dziwak, jak panowie widzicie, zawsze się też z nim o to kłócę; kiedy inni mogą żyć z sobą, czemużby on nie mógł żyć z niemi?

— To znów zależy od tego, jak kto rozumié to wyrażenie: żyć z kim. Brat pański powiedział czemu nie może, a żyć jakby można, nie chce. Zdaje mi się, że rozumiem jego położenie; i pan także, tylko w bawełnę owijasz. Zapewne nie ma co pokazywać, bo trzeba panu wiedzieć, że ja znam to wszystko, ponieważ jak pa-

nu mówiłem, znam wszystkich niemal muzyków w Warszawie, tych szczególniéj, co nie od wczoraj w niéj żyją, co nie od onegdaj muzyką się zajmują. I wiem to także dobrze, że i oni z sobą nie żyją, tak jak się to zwykle rozumié. Gdzie nie ma powodów do częstego widywania się, to się znają z ulicy lub z księgarni, rzadziéj z salonu towarzyskiego. A gdzie jest sposobność, konieczność nawet wspólnego działania, tam stosunki że częstsze, nie są dlatego już samego serdeczniejsze, ani milsze, ani gładsze.

— No, choćby i tak było—wtrącił młodszy—to przecież ja zawsze przy tém obstaję, że bez towarzystwa żyć niepodobna. Przyznam się panom, że jabym się urwał, gdyby mnie kto w domu chciał przywiązać, wieczór szczególniéj; i nie rozumiem jeszcze, jak może pan Jacek...

— Ja panu to zaraz objaśnię—rzekł starszy.—Kto jest prawdziwym artystą, ten nie rad nim być przestaje. Zamiłowanie sztuki, jéj rozważanie, karmienie się jéj płodami podniosłemi, samo już przypuszczać każe w człowieku usposobienie poważne i szlachetne, które się jeszcze ciągle umacnia. Można upaść na chwilę, bo to rzecz ludzka, ale każdy taki upadek ranę w duszy artystycznéj po sobie zostawia, i powtarzać się często nie może bez jéj skalania, bez zguby szlachetnych myśli, bez całkowitego obłąkania duszy, choć nie zmysłów. Różne są stopnie upadku: czas marnie spędzony na czczém zajęciu, jakiemu najlepsze nawet towarzystwa hołdują, także do upadku się liczy; a czas dla artysty takiego jakim zwykle muzyk u nas bywa, droższy jest podobno niż dla wielu ludzi innego zawodu. Dzień oddaje pracy na chleb dla ciała, wieczór znów pracy na chleb dla duszy, któréj potrzeby także są niemniejsze. A rzadko, bardzo rzadko znajdzie się towarzystwo w którémby człowiek myślący do dzieciństw, do głupstw nawet zstąpić nie musiał, jeśli chce być dobrze widziany; rzadziéj znajdzie się takie towarzystwo, któreby zastąpić zdołało artyście to, co przez kilka godzin samotnéj myśli zyskać może. Jeśli jeszcze jakie szczególne usposobienie nim rządzi, jeśli pojęcie obowiązków powołania swego albo słodycz życia rodzinnego, poznana czczość gonitw ludzkich, gorycz doznanych zawodów, zamiłowanie pracy i t. d. zatrzymują go w domu: to któż mu się dziwić będzie, kto mu jego odosobnienie za złe weźmie?

— A jednak pan Dobrodziéj przyznasz—odezwałem się—że nietylko u siebie człowiek myślący znaleźć może materyał do swoich myśli; i owszem jabym rozumiał, że powinien opuszczać od czasu do czasu domową skorupę, by nie zapomnieć jak świat żyje; wszakże onegdaj sam pan odmalowałeś życie jako niepojętego Sfinxa. A cóż wart artysta, który zetknięcia się z nim obawia i unika? Nie pójdzie ze światem, drobnemi jego sprawami pogardzając, wielkich potém z nich wypadków nie zrozumié, a trudno by w szczupłém kółku domowém spotkał odbicie się wszystkiego. A cóżto za artysta, który patrzy na życie ze stanowiska dawniéj zajmowanego, dobrego kiedyś, ale dziś źle pokazującego rzeczy

i ludzi? A cóżto za artysta, który czując w sobie wyższość nad innemi, choćby ona nie była urojoną, mniema, że nic się od nich nie nauczy, że mu się godzi wiadomości i siły swoje zamknąć wyłącznie dla siebie i nie wpływać na innych? Gardzić ludźmi jest to niekiedy nie być ich godnym.

— Piękne to, ale tylko pozornie silne argumenta—rzekł pan Pokrzywa—które kilkoma wyrazami zwalić można, które już tém samém słabną, że się do nikogo zastosować nie dadzą. Nie ma bowiem człowieka, któryby całkiem z towarzystwem zerwał, ani najsurowszéj reguły zakonnik, ani pustelnik w lasach żyjący; nie on do ludzi, to ludzie do niego przyjdą. Kto ludzi unika niekoniecznie już niemi gardzi, ale może gardzić ich sprawami drobnemi, którym się zatém już przypatrzył i z których żadnéj dla siebie nie wyciśnie nauki; ludzie się bowiem zmieniają nie ich sprawy. Wielkie wypadki człowiek z myślą zrozumié, albo objaśnienie ich znajdzie w stosowniejszém miejscu niż salon najmodniejszy, bo tam właśnie o niczém ważném nie mówią. Co zaś do wpływania na innych swą myślą i światłem, na to jest wiele sposobów daleko skuteczniejszych, niż chętne udzielanie się towarzystwu. Jakikolwiek jest obręb i natura działania człowieka, nie może się ono odbywać bez wpływu mniéj więcéj widocznego, choćby na pojedyńcze indywidua; wpływ ten nawet tém skuteczniejszy niekiedy, że się na massy nie ogląda, albo je traktuje jak indywiduum, bo ono sobie wybiera co mu przystoi, a nie przywłaszcza sobie sił, które dla tysiąców użyteczne być mogą. Żeby zaś te siły tak przeważnie działać mogły, należy je skupić, uorganizować, czyli zostawać jak najczęściéj z własną myślą już myślami innych podkarmioną, a nie rozsiewać ją okruszynami i bez ładu, na rolę najczęściéj do przyjęcia ich nieprzygotowaną. Wystawmy sobie muzyka chętnie udzielającego się towarzystwu, czyli mówiąc wyraźniéj, bywającego w liczniejszych zgromadzeniach; jakaż tam jego rola jako artysty? I gospodarze i goście starają się z niego skorzystać, wziąć w rekwizycyą jego palce lub głowę, jeśli jedno lub drugie coś warto według ich pojęcia. Cóż zrobi pierwszemi?—pomoże zebranym ciężką chwilę nudów skrócić, albo im dostarczy sposobności do tém głośniejszego rozmawiania zupełnie o czém inném; cóż im zagra?—jak można najlżejsze pomysły, bo nieco tylko ważniejszych nie zrozumieją, bo one nie są dla salonu. Jakaż ztąd korzyść dla zebranych?—wysilili się na kilka francuzkich wykrzykników, na parę komplementów, a potém znów wracają do gawędki równie trywialnéj jak dawniéj, a biedny muzyk wyciśnięty jak cytryna w kąt poszedł. Szczęście jego jeśli ma głowę, a raczéj nieszczęście, bo się znów do niéj zabiorą, a to nudniejsze jeszcze niż granie i trudzące tém więcéj, że go sobie przerzucają jak studenci piłkę. Dziś muzyka jest w modzie, więc i rozmowa o niéj gęsta. I oto przyczepi się do biednego artysty jakiś dylletant ciemny jak tabaka w rogu, i wdaje się w rozprawę; i żebyś mu się jak wąż wywijał, to on cię jak pijawka nie popuści aż cię zmęczy pytania-

mi, na które odpowiedzi nie jest zdolny zrozumieć, albo nawet wysłuchać jéj nie raczy. Ja nie jestem muzyk z zawodu; wiedzą tylko że muzykę lubię nadewszystko, i jak im się zdaje, znam się na niéj. Więc mnie także jako fachowego człowieka traktują, mówię zatém z doświadczenia. Nie ma temu tygodnia, na jednym muzykalnym wieczorze taką np. miałem rozmowę:—Proszę pana, co to jest kompozycya?—Jestto obraz uczucia lub myśli przedstawiony tonami.—Ja wiem, ale chciałbym się dowiedzieć, jak się to robi? —Tak jak się pisze powiastkę, poemat i t. p. są myśli, więc się je notuje, potém poprawia, może przemienia, wykształca, słowem z kompozycyą muzyczną dzieje się jak z każdą inną.—Ja wiem, ja to pojmuję, ale nie o to mi chodzi; chciałbym wiedzieć jak można powiedzieć tonami to, co chcę? Malarz naprzykład, mówić chce o koniu, to go narysuje, poeta napisze wyraz: koń, a muzyk co zrobi? chyba rżenie tonami naśladować będzie? ale kiedy koń nie rzy?—Takie jedno pytanie jasno już pokazuje z kim się ma do czynienia. Odpowiedzieć krótko niesposób, bo tam kwestyj kilka trzeba wyróżnić i każdą roztrząsnąć. Dodajmy do tego, że każda z tych kwestyj na mnóstwo innych naprowadza, które także trzebaby rozbić; to się pokaże, że dla odpowiedzi ile tyle objaśniającéj owego biedaka, trzebaby mu cały kurs muzyki wyłożyć, poczynając od elementów i rudimentów; to nie sposób! Zechcesz się poświęcić, i treściwemi orzeczeniami szybko do końca się zbliżyć, to ci nie pozwoli, a tyle nawtrąca bredni napozór o estetykę i znawstwo potartych, tyle twemu rozumowaniu lub zdaniu stawi wpoprzek zdań i rozumowań wlot gdzieś tam schwyconych a potwornie wyglądających tam gdzie je przyczepia, mących ci całe wysilenia logiki, że nic bardziéj mordującego nad taką o muzyce gawędę. I mów mi pan teraz o udzielaniu swych wiadomości tym, którzy ich nie mają.

— Przyznam się panu Dobrodziejowi—odezwał się młodszy gdy pan Pokrzywa znużony długim bez oddechu prawie wywodem ustał na chwilę—żem chociaż amator, nigdy tak śmiesznego pytania artyście nie zadał. Kto gra trochę na fortepianie, ten rozumié jak się komponuje. Ileżto mamy takich? by nie daleko szukać, to panom wymienię moją siostrę, osobę arcymuzykalną choć się już oddawna zaniedbała, bo to przy gospodarstwie, dzieciach, inaczéj nie można. Ale jeszcze i dzisiaj umié sobie złożyć niejedno, i do tańca dzieciom grywa swoje tylko kompozycye. Ja sam jak czasem do fortepianu zasiądę, to mi się złoży parę n u t, reszta się wypuka, bas się jako tako dobierze i coś się zrobi; tylko napisać nie umiem. Z moją siostrą to samo, choć to damy daleko muzykalniéjsze od nas; widać z natury mają więcéj daru, co już wielu autorów dowodziło. Powinienbyś się pan Dobr. raczéj z damami w gawędkę wdawać.

Spoglądając na mnie z pod oka, rzekł pan Pokrzywa:—„Zapewne, od nich czasem pięknych rzeczy nauczyć się można. Wystaw pan sobie—rzekł daléj już wprost do mnie—że jedna z pań

warszawskich chcąc u siebie wykonać nie pomnę już jaki chór na głosy, w kłopocie z powodu małéj liczby śpiewających których miała pod ręką, proponowała na seryo swemu mężowi, jako śpiewającemu czasem, by do sopranów należał i gniewała się naprawdę, gdy jéj powiedział, że to być nie może, równie jak i ona tenorem śpiewać nie zdolna; „panowie najczęściéj nie chcecie tego zrobić o co żona prosi; żebyś chciał bym śpiewała tenorem tobym ci pokazała że można" I żadną miarą perswazyom jego uwierzyć nie chciała, aż ja mojém świadectwem go poparłem, które także z niedowierzaniem przyjęła...

Długośmy się jeszcze chęci do śmiechu opędzić nie mogli, aż ja widząc, że czas na niczém upływa, rzekłem: „Tamta pani musiała coś słyszeć o sopranach męzkich dawniéj ulubionych, a może i o tym u nas jegomości, co to kiedyś ogłaszając koncert w Płocku, kazał wydrukować na afiszu: Fałszywa Catalani, czyli ten i ten, będzie miał zaszczyt odśpiewać sopranem i t. d. Albo może pan pamięta koncert jakiejś damy, tu w Warszawie przed kilkoma laty, w którym odśpiewała aryą tenorową do nizkiego *c* idącą. Naśmieliśmy się z tego niepomału, bo głos gruby tak przypada do pojęć naszych o charakterze kobiety młodéj zwłaszcza, jak wąsy, któremi figlarna natura uposaża niektóre.

— W tym samym stosunku jest do mężczyzny głos kobiecy, a raczéj naśladujący uroczy głos kobiét, rzekł pan Pokrzywa. Niektórzy dojrzali nawet mężczyzni z powodu różnic niewiadomych mi w ukształceniu narzędzi głosowych, a może większéj ich wilgotności, zdolni są wydawać bardzo wysokie tony. Głos wtenczas inną ma barwę, niż sopran kobiecy i zwie się falset, albo fistuła; kilkoma jego tonami posługują się zwykle tenorzyści, którzy już wyższe tony piersiowe stracili, albo ich już z łatwością wydawać nie mogą, a krzyczyć nie chcą. I dziś pan Ciaffei da go nam słyszeć. Rodzaj ten głosu używany z umiarkowaniem i zręcznością nie jest bez niejakiego uroku, z którego korzystają śpiewacy gór niektórych, naprzykład Tyrolczycy. Takieto głosy zastępowały prawdziwe soprany w gronie śpiewaków papiezkich już w wieku XVI, a byli to po największéj części Hiszpanie, i podobali się wówczas powszechnie. Służba muzyczna w kościołach włoskich najświetniejsza wówczas, nie mogła pod zarządem ściśle form pilnującego duchowieństwa wzywać do pomocy kobiét; a że muzyka polegająca głównie wówczas na śpiewie, prawie wyłącznie dla kościoła istniała: mało więc znano urok głosów kobiecych do śpiewu zastosowanych, i śpiewacy hiszpańscy podobać się mogli. Wkrótce jednak musieli ustąpić miejsca protegowanym przez Klemensa VIII sopranom męzkim innego rodzaju, dla których obszerniejsze popisu pole otworzyło się z powstaniem opery. Oddawano im role żeńskie i w kostium kobiecy przebierano. To zapewne było powodem choćby nie jedynym, że kobiety długo jako śpiewaczki sceniczne sławy szukać nie chciały, lubo przykłady przeciwne możnaby przytoczyć. Jakkolwiek śmieszne i niezgrabne być musiało takie

kobiet udawanie, śmieszniejsi podobno i nienaturalniejsi byli bohaterowie historyi starożytnéj, lub mitologii zwykle w operach ówczesnych przedstawiani, a śpiewający sopranem, lub altem. Niepodobna przypuszczać, by to nie raziło baczniejszych, ale wolano znieść nienaturalność zwyczajem uświęconą, niż pozbawić się rozkoszy słuchania cudownego śpiewu. Ten jeden szczegół dokładnie przedstawia wysokość estetyki, rzekłbym cywilizacyi, oświecenia: śpiewaków tych nagradzano pieniędzmi i godnością nawet, ale w ogóle brzydzono się niemi. We Włoszech gdzie główna ich była fabryka, zwano takiego soprana musico; ztąd ten wyraz poszedł w powszechną pogardę i do dziś dnia w niéj zostaje, (bo tam podług wszelkiego prawdopodobieństwa i sam powód pogardy jeszcze istnieje, choć w kilku może tylko egzemplarzach). Nie wiedzący o téj wzgardzie wyrazu Vogler, znakomity muzyk niemiecki z drugiéj połowy XVIII wieku, mocno się musiał zdziwić, gdy myśląc, że się dowcipnie przedstawi w pewném towarzystwie włoskiem, wyrzekł naśladując Corregia: anch jo son musico! i dziwne jakieś oburzenie na wszystkich twarzach wyczytał. Może to ztąd i u nas wyraz ten: *muzyk*, jeszcze nie jest zupełnie utarty, nie zdaje się przynajmniéj dosyć szlachetnym. Uważałem bowiem, że ludzie, których zawód oznacza, z trudnością przepychają go przez gardło i daleko chętniéj artystami muzycznemi się mianują, choć Bóg widzi, najczęściéj niemi nie są.

— Ludzie zawsze radzi zwać się mianem, które ich więcéj zaszczyca—rzekłem—a inni schlebiają téj słabości. Sekretarza zwą naczelnikiem, adjunkta komisarzem, kopiistę referentem i t. d., lubo żaden z nich sam się tak nazywać nie śmié. Że zaś muzycy nazywają się sami artystami, to może i dlatego, że to jakoś brzmienniej wygląda, pokrywa ich nicość, a może i od lekceważenia chroni. Bo, że ten wyraz: muzyk dla niejednego ucha nie brzmi dosyć wystawnie albo szlachetnie, wątpliwości nie ulega. Jednym z powodów może być i ten, który pan Dobrodziéj podajesz. Bywały czasy, że u nas obyczaj włoski bardzo był w modzie, tém więcéj co do muzyki i pojęć z nią związanych; bo pod tym względem Włochy całéj Europie ton dawały. A że mamy żyłkę do naśladowania i wystawności, więc ledwie opera na południu się zjawiła, pokazała się i u nas niedługo; z operą i operzyści, a więc prawdopodobnie i soprany męzkie zwane musici, choć o tém na pewno nic nie wiem. Wyraz ten daleko dawniéj, bo kilkoma wiekami piérwéj był u nas używany, ale w formie łacińskiéj musicus; jednak nie zdaje się, by przeto wiele zaszczytniéj stan przedstawiał. Dziwna rzecz! muzyka powszechnie była ulubioną, po szkołach nauczaną, a jednak muzycy nieosobliwego używali poważania, przynajmniéj nie więcéj jak rzemieślnicy do któregokolwiek cechu zaliczani. Ale prawda! co to ma być dziwném, kiedy muzyka chociaż już oddawna po drodze przez artyzm wskazaną idąca, wlokła się po niéj omackiem raczéj niż z wiedzą o sobie biegła? Kiedy muzycy zwykle należeli do liczby dworzan pańskich, do liczby sług ko-

ścielnych i na jednéj ławie z organistą siadali, razem z nim w dyalogach wyśmiewani bywali. Alboż dzisiaj uznano już powszechnie muzykę jako sztukę? Toć nawet poważni autorowie, krytycy, estetycy, choć muzykę i muzyków szanują niby, nie nazwą piérwszéj sztuką, drugich artystami. Mógłbym podobno nie jednego przytoczyć i to z najpopularniejszych autorów; przynajmniéj nie pamiętam by u niektórych ten wyraz: sztuka, odnosił się do czego innego jak do malarstwa, rytownictwa, snycerstwa, medalierstwa, budownictwa; by artystą był kto inny jak człowiek jednę ze sztuk wymienionych uprawiający. Że w tém nie ma pogardy, to rozumiem; ale, że to oznacza ich widzenie, pewny jestem. A przecież pisarze ci i sami muzykalni bywają: często gęsto o muzyce pisują, lubo prawda, że tylko dorywczo i jakby od niechcenia. Wprawdzie używając tego wyrazu artysta dla muzyków, musieliby go zponiewierać, uczcić nim i chórzystę, który już sam się nazywa artystą chóru, i grajka szynkownego, i organistę każdego. Ale któż uzna za niepodobieństwo, by chórzysta niekiedy nie mógł być artystą, tak dobrze, jak nim nie jeden organista bywa? Wiadomo i to, że wyraz użyty w pewném zdarzeniu nie obowiązuje do używania go w każdém zdarzeniu do té saméj kategoryi należącém, bo się ma wzgląd i na indywidyum. Co czynią piszący, to samo czyni rozprawiających mnóstwo. Cóż dopiero mówić o téj klassie ludzi niby wykształconych dlatego, że się ubierają modnie, umieją się ukłonić, albo należą do nazywających się szlachtą, lub obywatelami? Jak im się dziwić, gdy oni w muzyce rozkosz tylko zmysłową widząc pomiatają nią jak każdéj podobnéj rozkoszy narzędziem, gdy tylko mazur i to nie każdy jest im zrozumiały? Jak im się dziwić, gdy ludzie istotnie naukowi, ale w specyalność nauk ścisłych lub moralnych zbyt zapędzeni, nie mają estetycznego zmysłu do muzyki? Dla tych wszystkich muzykus, albo muzykant, jednym jest wyrazem na oznaczenie człowieka muzyce się oddającego, i uczy pojmować, co u nas mniemają o zawodzie i sztuce. Boże uchowaj bym obojgu wiekszą nadawał ważność niż na nią zasługują. Ale mnie boli, gdy szlachetną, najdealniejszą ze sztuk pięknych świat tak mało rozumié, że kucharz, albo żokiéj więcéj nieraz jest poważany i ceniony, niż człowiek, który myślą za światy sięga, uczucia skarbnice ludziom roztwiera, nieba przychylić im gotów. Ale co tam! lepiéj zostawić własnemu losowi nierozumiejących swego dobra.

Nie pamiętam, czy i co jeszcze w tym względzie mówiłem; zdawało mi się, żem zimną krew zachował, bom przekonany, że nazwisko nie zmienia natury rzeczy, że ten wyraz: muzyk, choć nie polski, bardzo jest stosowny a ludzie których oznacza uszlachetnić go mogą, zrobić zaszczytnym; że pojęcia mass ciemnych więcéj na litość niż na oburzenie zasługują. Ale być może, żem się cokolwiek uniósł, bo pan Pokrzywa przemówił Wirgiliusza słowy:

— Tantaene animis coelestibus irae? A przypomnijno pan sobie, jakeś niedawno dowodził obowiązku wpływania na bliźnich!

Ale przysłowie polskie niedarmo mówi: uderz w stół, a nożyce się odezwą.

— Jak to pan Dobrodziéj rozumiész?—zapytałem pospiesznie i z przerażeniem, którem chciał ukryć—za kogo mnie pan bierzesz?

— Za człowieka, który gorąco mówi o rzeczach zbliska go obchodzących, gorąco broni zawodu swego brata—dodał z flegmą i dobrodusznym uśmiechem właściwym sobie. A gdym mu z niedowierzaniem patrzał w oczy, tak daléj ciągnął:

— Prawdą jest co pan mówiłeś; muzyka u nas bardzo mało jeszcze pojmowaną bywa, artyści mało mają znaczenia, a raczéj nie mają położenia należnego sobie. Ale czy pan nie przyznasz, że temu nietylko społeczeństwo winno, ale więcéj może okoliczności a nawet i muzycy sami?

— Jakto sami? —wtrącił trzeci nasz kolega — przecieżby oni radzi, by się muzyce jak najlepiéj działo i im przy niéj!

— Zapewne, że radziby byli, ale czy sobie dobrze radzą, radbym panom kilka słów o tém powiedział, ale widzę, że już zaczynają; odłóżmy napotém.

I jak to było na Napoju Miłosnym, po wysłuchaniu uwertury o któréj pan Pokrzywa ledwie miał czas kilka słów rzucić, znaczących, że tam jest barwa ale rozkład niepocieszny i wyrobienie słabe, choć się w pozorną odziało siłę; z podniesieniem się zasłony i myśmy się podnieśli i nie usiedli aż po niespodziewanéj przerwie aktu piérwszego. Wiadomo, że on się kończy dopiero ze sceną w któréj Norma obarcza Severa wyrzutami za zdradę i Adalgisa go odpycha jako świętokradzkiego przeniewiercę. Naturalny to dramatu podział; w téj pierwszéj połowie expozycya dokonaną została całkowicie, w drugiéj połowie rozwinięcie treści i zakończenie. Podział na trzy akty szkodził tyle dramatowi, że akt pierwszy skończony na modlitwie Normy i wzywaniu nieprzytomnego kochanka, prawie żadnego z głównéj figury nie ciągnie światła na dalszy ciąg dramatu, i bez interesu upływa, bez tego naprężenia ciekawości ze strony słuchaczów, które powodzenie dramatu wspiera i zadanie artystów wykonywających łatwiejszem czyni. Że jednak niezawodnie wszyscy na przedstawieniu pani Lagrange obecni. już operę tę nieraz słyszeli i treść jéj doskonale znali, więc nie było na co nastawać.

Taka była treść krótkich spostrzeżeń pana Pokrzywy, z któremi się odezwał niepytany i natychmiast po spadnięciu zasłony. Widocznie był dziś więcéj niż kiedykolwiek usposobiony do rozprawiania. By nie ustawał, rzekłem.

— Ciekawy jestem poco ta zmiana? Zdaje mi się że tak nigdy nie bywało?

— I ja nie pamiętam, by w Normie było kiedykolwiek więcéj niż dwa akty; dlaczego zaś dzisiaj na trzy ją rozcięto powiedzieć nie umiem, ale wnoszę, że to zgodnie być musi z życzeniem pani Lagrange. Co pan chcesz by śpiewaczka myślała o dobru dramatu albo chęciach kompozytora? ona sama sobie

najczęściéj jest celem, i tém więcéj resztą pomiata, im za znakomitszą się uważa albo ją uważają. Pewnie pan wiész jakto niegdyś żelazny Gluck zmuszał śpiewaków, aby mu tańczyli jak im zagra; bo sobie pozwalali już nadużyć, na których zniesienie tylko włoski kompozytor mógł się zgodzić. Ale nauka przeżeń dana w las poszła: nie było po nim ludzi, którzyby z równą sprężystością praw swoich bronić umieli, albo śmieli ich bronić w obec wszechwładnéj śpiewaczki, od któréj zależało i zależy jeszcze powodzenie ich pracy, jeśli nawet nie przyjęcie jéj do repertoaru teatralnego. Nie było po Glucku kompozytorów umiejących nagrodzić czém inném to, czego się wyrzec kazali; a wreszcie Gluck właśnie wówczas przestał pisać w rodzaju włoskim, i dla scen włoskich, co znaczy to samo, jak pozbyć się stosunków kapryśnych bardzo łatwych do zerwania wówczas, gdy są najpotrzebniejsze, uwolnić się od warunków, których rozległości nigdy stanowczo wyrozumieć nie można. Dramat francuzki, któremu się z miłością oddał, mniéj zdolny był do odmian i przetwarzań; pierwsze dowcipy dbały niezmiernie o jego zacność i byłyby w proch obróciły każdego, ktoby się nań targnąć poważył, a do ich rzędu nie należał. Idąc za takiemi przewodnikami nieżałującemi pióra i języka gdy o scenę chodziło, publiczność nawykała do pojęć stosownych i samaby odtrąciła z pogardą każde widzimisię aktora czy śpiewaka. Od tego téż czasu datować można przybliżenie się opery do dramatu rzeczywistego, choć z tego przykładu skorzystali najwięcéj Francuzi i Niemcy. Włosi bowiem zakochani w swoim Metastazym nie widzieli jego wad jako dramaturga, a cieszyli się jako poetą doskonaléj od innych pod muzykę piszącym. To téż u nich dramat muzyczny zawsze jeszcze na obie nogi kuleje, gdy u innych na jednę tylko utyka. Za tém idzie, że z opery włoskiéj łatwiéj kaprys zmian chciwy zadowolnionym być może, niż z innéj, bo w niéj zmiany inprowizowane nowe dodając szczerby do licznych stałych, najczęściéj dotykają to, co dotkniętém być może, musi nawet, jak to spodziewam się w dalszym ciągu opery panom w zastosowaniu pokazać. Taka mała zmiana jak rozłożenie dramatu na trzy akta w miejsce dwóch, prawie nikomu nie przynosi szkody, a pożądaną być powinna wszystkim, jeśli pani Lagrange jéj pragnęła, bo musi mieć w tém swoje wyrachowanie, widzieć jakąś dogodność. Najprędzéj to dlatego, by miała czas wypocząć przed gwałtownemi scenami mającemi nastąpić; bo jak onegdaj mówiłem, głos jéj strudzonym mi się zdaje, a co niezawodna, że czas największéj jéj świetności już minął, choćby od bardzo niedawna. Można to było odgadnąć z wykonania wtrąconych do Napoju Milosnego obcych ustępów, któremi świetnieć chciała. Niezupełne powodzenie w miejscach niebezpiecznych, to ustawiczne vibrato trafiające koniecznie i na miejsca mniéj do tego stosowne, ostrzegały słuchacza bacznego. Dziś w tém co dotąd śpiewała najzupełniejsze znalazło się przynajmniéj dla mnie potwierdzenie obaw i wątpliwości, a mianowicie w słynnéj owéj aryi casta Diva, któ-

rą Bellini jakby umyślnie napisał, by była kamieniem probierczym śpiewaczki. Jeśli mam prawdę powiedzieć, to cała opera a raczéj główna w niéj rola Normy, jest tego rodzaju, że w niéj i sztuka śpiewania i usposobienie dramatyczne śpiewaczki ma się gdzie pokazać. Proszę nie zapominać jednak, że to mówię tylko co do opery włoskiéj i najnowszéj, a do tego tragicznéj; bo co do komicznéj, to nie ma dotąd jak Cyrulik sewilski Rossiniego. I w operach seryo tego autora ma gdzie śpiewaczka zdolności swoje okazać, ale podobno w żadnéj tyle co w roli Normy, jedynéj rzec można bohaterki dramatu, roli wypieszczonéj, i często znakomicie oddanéj.

Ustał pan Pokrzywa na chwilę, jakby dla zaczerpnięcia oddechu, a może dla opatrzenia się gdzie zdąża. Ja chcąc go naprowadzić na panią Lagrange już miałem się zapytać o szczegóły w przedstawionym dotąd początku opery, z których tak niekorzystne o śpiewaczce czerpał mniemanie. Miałem bowiem pod tym względem moje widzenie, w rezultacie zgodne z jego zdaniem, ale byłem ciekawy, co on dostrzegł. Otwierałem już więc usta, gdy nasz trzeci towarzysz zepsuł mi pomysł odzywając się pospiesznie:

— Bądź pan Dobr. łaskaw objaśnić mnie, jak to rozumieć należy, że Norma jest kamieniem probierczym śpiewaczki i więcéj niż inna rola innéj opery?

— Z całego sercabym to uczynił, alem dostrzegł, że pan Boćkowski coś mówić pragnie i słuszna rzecz, bym się powściągnął i oddał mu pierwszeństwo. Nic pan na jego objaśnieniu nie stracisz; ja także zyskam i przestanę nadużywać cierpliwości panów, bom się już kaducznie rozgadał.

— Złego pan Dobr wybrałeś we mnie zastępcę; anibym umiał sformułować mego zdania, ani je mam rzeczywiście. To, cobym powiedział, byłoby tylko słabém echem opinij mego brata, człowieka nader wymagającego. Jemu podobno Bellini nietyle smakuje co panu, co nam, chcę powiedzieć; a wreszcie nie słyszał pani Lagrange, więc zdanie jakie dotąd żywił o roli Normy nie mogło uledz odcieniom, które prawdopodobnie musiałyby na nie wpłynąć. Więc bądź pan łaskaw zadowolnić tego pana, a potém może zechcesz pan i mnie oświecić co do szczegółów dotychczasowych opery, z których pan Dobr. wnosisz o pani Lagrange a mianowicie o jéj głosie.

— Ha! kiedy się pan wymawiasz, to ja muszę, boby nam gawędka ustała; odpowiem panom obudwom za jednym zamachem. Wprzód winienem jednak sprostować pańską opinię (mówił do mnie) co do mego rozmiłowania w operze włoskiéj. Nie wiem zkąd się panu wzięło pomówić mnie o to? bo ilem z panami rozmawiał, tom się raczéj ujemnie niż dodatnio o niéj wyrażał. Nie chcę pana w takim błędzie co do mnie zostawić, boby to było może niezgodne z tém, co mam daléj powiedzieć. Nie jestem ja z liczby tych krzykaczów, jakich w Niemczech pełno, a u nas także się znajdą, którzy utrzymują, że w operze włoskiéj nic nie ma, coby

się na coś zdało, dlatego już samego, że Włosi nie nauczyli się jeszcze muzyką dramatu przedstawiać tak, jak niektórzy z Niemców a mianowicie Mozart. Ale to pewna, że w operze włoskiéj zbyt jest mało ważnego, bym ją mógł cenić na równi z arcydziełami innych narodów. Dotąd w Normie nic jeszcze nie było takiego, a początek wiele znaczy. Rozumieć to należy w ten sposób, że rysy muzyczne pierwsze nawet z określających figurę dramatu winny być tak odrębne, by tylko do téj figury jak posąg stojącéj w myśli kompozytora przydać się mogły; by rysy odznaczające sytuacyą, li tylko do niéj się zdały i zapowiadały niemal z pewnością niezawodną, jakie szczegóły charakteru w określanéj figurze się pokażą lub pokazaćby powinny, jakie sytuacye późniéj na nici dramatu się znaleźć mogą. Trudno zaprzeczyć, by w tém nie było słuszności, tém niepodobniéj, że są dowody przekonywające że to być może. Już przeszłym razem przytoczyłem panom don Juana Mozarta jako niedościgniony dotąd wzór muzyki dramatycznéj; i dzisiaj się jeszcze do téj opery odwołam chcąc przykładem wesprzeć to, co mówię. Pierwsze odezwanie się tam Leporella pokazuje sługusa tak ucharakteryzowanego, że nie można nie widzieć z jego tam gniewu na pana wyglądającéj potulnéj usłuszności, z jego pychy przyszłéj podłości, tchórzostwa z jego determinacyi, co wszystko potém na scenie w przybywających sytuacyach się znajduje. A samże don Juan? cały jego charakter, wszystko późniejsze postępewanie widoczne jest z wykrzykników w scenie pierwszéj z donną Anną, dopełnione w następującéj z kommandorem rozprawie. Więcéj jeszcze w tercecie między umierającym ojcem, zatwardziałym zabójcą lekceważącym swój straszny występek i Leporellem, drżącym w swój sposób w ukryciu. Marcello w Hugonotach Meeyrbeera, samym swym chorałem cudnie a poprostu prowadzonym, pokazał czém będzie i jest w całym dramacie.

— Ja myślę—rzekł coraz gęściéj wtrącający się do rozmowy trzeci nasz towarzysz—że to głównie autora tekstu zasługi pan Dobr. wylicza, skoro on piérwéj niż kompozytor pracuje, jak to pan Dobr. mówiłeś na onegdajszém naszém posiedzeniu. I drugą mam także wątpliwość. Wprawdzie nie znam żadnéj z oper przytoczonych, alem nigdy nie myślał, by muzyka tak jak wyraz malować mogła. Sam pan Dobr. opowiadałeś nam niedawno z pogardą o kimś pytającym, jak muzyk konia tonami odda?

— Koń, panie łaskawy—rzekł niecierpliwiąc się trochę pan Pokrzywa—jest przedmiot zmysłowy, a muzyka w to się wdawać nie może i nie powinna, chyba bardzo rzadko i wtenczas tylko, gdy za przedmiotem idzie wrażenie dające się muzyką odtworzyć. Wrażenia, uczucia, pojęcia nawet, to właśnie rozległe dla muzyki pole; maluje je tak dokładnie, jak żadna inna sztuka, bo ze wszytkiemi ich odcieniami jak one po sobie następują. Żałuję, że nie mogę w téj chwili więcéj panu o tém powiedzieć, bo muszę wrócić do mojego przedmiotu; dodam tyle tylko, że opinia pańska, jakoby kompozytor nic powiedzieć nie mógł, czegoby autor tekstu po-

wiedzieć mu nie kazał, jest opinią wszystkich nieznających muzyki zblizka, ani jéj arcydzieł. Na co im się wreszcie zdało proste posłyszenie? Co to panu pomoże, że pan poznasz opery o których mówiłem? Wprawdzie niepodobna, by ich mistrzostwo obwijając słuchacza wokoło, nie wpłynęło nań w sposób taki w jaki nie mógłby nań wpłynąć ten sam dramat inną, słabszą muzyką odziany. Dobrem powietrzem inaczéj się oddycha, inaczéj ono niż złe na zdrowie wpływa, choć to niekoniecznie w chwili oddychania czuć się daje. Ale żeby zrozumieć rzecz dobrze, potrzeba naprzód zdrowych pojęć o rzeczy, a potém nawyknienia do oglądania jéj wynikłości; to różnice między zasługą a zasługą jawne się staną, wtenczas wiedzieć, jestto używać nietylko rozumem, ale i całą istotą .Że zaś w przedstawieniu charakterów już wyrazem opowiedzianych może muzyka swój wpływ na szalę położyć, to pan poznasz rozważając, czy nie możnaby oto tego Severa z Normy, w tych samych sytuacyach, z temi samemi wyrazami, słowem tak jak go Romani utworzył, inaczéj muzyką oddać? Nie mógłże Bellini zamiast miękkiego, młodzieńczego, idealnego kochanka zrobić z niego rozpustnego przeniewiercę Normie, napastnika Adalgisy, skoro muzyka ma po temu środki, jak to don Juan Mozarta pokazał? Nie mógłże zrobić z niego zdecydowanego, pewnego siebie i swéj władzy prokonsula, zamiast kazać mu śpiewać jak zagorzałemu studentowi? Nie byłożby to zgodniejsze z jego tytułem, przypuszczalnym wiekiem, godnością dowódzcy wojsk zwycięzkich, pana podbitégo narodu, nawykłego do zaspokajania swych namiętności, człowieka bez zgryzoty sumienia, zrywającego długie z poprzednią kochanką związki, niepamiętnego na dzieci ojca?... Tak jest, można, należało to było zrobić muzyką, i Mozart pewnie tak byłby uczynił. Wówczas nazywałoby się to scharakteryzowaniem zależącém na tém, by nie pierwsze lepsze rysy położyć, ale te, które z prawdą, logiką są zgodne, które z kilku prawdopodobnych są najnaturalniejsze. Tak pojmowany Sewer byłby i stosowniejszy do treści dramatu, a nie zmuszałby mimo to do zmiany wyrazów poety. On bowiem zwykle tak wyrażenia swoje układa, by zostawić kompozytorowi zupełną swobodę do zastosowania muzyki jaka mu się zdawać będzie. Na tém też zależy po części sławiona w Metastazym muzykalność dramatu; na niestosowności zaś muzyki do niego, stoi głośna w Europie małość dramatyczna kompozytorów włoskich. Mówiłem o prawdzie sytuacyi; toć pan znasz pewnie Łucyą z Lammermooru Donizettego? Przypomnij pan sobie, jak tam w ostatnim akcie, gdy Edgar wyjęczał swoje ostatnie na ziemi wyrazy, odzywa się pogrywka orkiestry? nie brzmiż to jakby się zabierał do tańca z pięknością jaką z przyjacielskiego baliku, słodkie jéj prawiąc androny? Oto macie panowie kompozytora włoskiego; a jednak Bellini, Donizetti największe talenta nowéj

szkoły włoskiéj. Przykładów mógłbym panom więcéj wyliczyć, gdyby była potrzeba, gdyby nie było widoczne, że kto raz tego rodzaju dzieciństwa się dopuści, ten się go często dopuści; bo to już w jego widzeniu leży. W operze włoskiéj cała baczność kompozytora, cały jego zapał, chwytają jednę chwilę dramatu lub kilka po sobie idących; ztąd się rodzą kawatiny i arye. We Włoszech tak to jest przyjęte że nawet publiczność reszty nie słucha: sami śpiewacy o resztę nie dbają, więc i kompozytorowie. Może pierwsi dlatego rzecz lekkoważą, że ostatni nie uważają jéj za godną starania. Gdyby nie pretensya do szumnéj nazwy: drama per musica, tragedia in musica ridotta, gdyby nie zwyczaj w całéj Europie przyjęty, do którego pierwsi Włosi byli pobudką: to pewnie ich kompozytorowie łatwoby się zgodzili na ograniczeniu się do samych aryj i kawatyn. Bo u nich prawie zawsze po zagranicami tych pojedynczych ustępów, nie ma nic godnego uwagi, nawet w rolach głównych, lubo nie brak zakroju. Recitatiwa, owe wybuchy uczucia, z których się potém ma wylać strumień jego w aryi, są zwykle bessilne, a dyalogi tak blade, jakby to jakie baraguły rozprawiały. Część instrumentalna w przygrywce ma ledwie pozór barwy potrzebnéj; ale ta barwa jest natury ile można dyletanckiéj i coraz krzykliwsza, że już nie wiadomo jak śpiewakom piersi starczą. Gdy zaś część owa instrumentalna działa symfonicznie, tojest bez części wokalnéj, i malować pragnie, to bierze się zwykle do tego grubo, powierzchownie a dobiera sobie farb krzyczących, jakby to był kram ze wstążkami dla naszych dziewuch. Widząc to wszystko i więcéj jeszcze, pytam się pana (rzekł zwracając się do mnie), jak mogę być zwolennikiem opery włoskiéj? Jak pan mogłeś mnie o to posądzić, mnie com tak szeroko rozprawiał przeszłym razem o ważności muzycznego dramatu, com tak gorąco nastawał na nadużycia śpiewaków? A przecież pan wiesz, że w operze włoskiéj nie ma pierwszego, drugich pełno.

— Słysząc pana dziś mówiącego o aryi Casta diwa, a nawet o całéj roli Normy, jako o kamieniu probierczym śpiewaczki, na któréj nietylko sztuka śpiewania, ale i usposobienie jéj dramatyczne ma się pokazać, mniemałem, że pan Dobr. rolę tę za arcydzieło dramatyczne uważasz. Myśląc sam inaczéj, wnosiłem, że kiedy panu tak dalece Norma się podoba, to pan być musisz wielkim opery włoskiéj przyjacielem. Lubo przyznam się, żem nie mógł pogodzić opinij, jakie pan z różnych powodów objawiałeś, opinij silnych i zdrowych, które najzupełniéj podzielam, z uwielbieniem dla opery włoskiéj, które zdawało mi się nakoniec dostrzegać. Teraz zgaduję dalszy ciąg, rozumiem zespolenie sprzeczności. Pan Dobr. mało cenisz operę włoską wogóle, ale niektóre jéj ustępy chwalisz, arye masz za nieporównane.....

— Przepraszam pana! nic nie chwalę, toleruję tylko, biorę co mogę dostać, niemogąc dostać czegobym pragnął. Zdaje mi się, żem już dosyć jasno powiedział, że dramat muzyczny nie jest tém czém być powinien. Przecież pomiędzy rodzajami takich dramatów jakie dzisiaj mamy, muszą być jedne lepsze od drugich. Ja operę włoską za najsłabszy dramat uważam; nastawałem na jéj wady, alem nie myślał jéj całkiem wszystkiego odmawiać, boby to było nie rozumieć rzeczy: to pana w błąd wprowadziło. Nie mogłem, przytaczając kilka przykładów jakie mi się nawinęły, pokazać do jakiego stopnia operę włoską mało cenię; ale gdyby mi przyszło nawet samą wytknąć Normę i po szczegółach ją tu rozbierać, to pewnie nie wielebym w niéj bezwarunkowo pochwalił, albobym musiał odwołać moje zdanie co do kompozytorów włoskich dzisiejszych, którego szczegóły główne i dowody wymieniłem. Bo proszę pana, co może być jeszcze w operze godnego uwagi, jeśli nie ma prawdy charakterów, wydatnego przedstawienia sytuacyj, jeśli nie ma tego mistrzowskiego zarysu, z którego odrazu poznać można co i jak będzie? jeśli....

— Za pozwoleniem pana Dobr.! Nie każdy dramat tak jest ułożony, by odrazu główne roztaczał rzeczy; osoby wchodzące do piérwszéj sceny mogą być podrzędne, więc niezdolne, niegodne dźwigać rysów stanowczych, których pan Dobr. wymagasz niepotrzebnie podobno. Stopniowanie interesu dramatycznego równie niezbędne jest operze, jak każdemu innemu dramatowi; więc lepiéj kiedy w piérwszéj scenie, w piérwszym może akcie, jeśli ich jest kilka, nie napadnie się obces słuchacza, nie wyczerpnie sił jego, których już potém nie ma czém podtrzymać. Zatém idzie, że bladość pomysłów piérwszych, brak w nich stanowczości, co wszystko pan Dobr. za wady uważasz, na przymiot podobno da się wykierować, byle po tem istotnie nastąpiły rzeczy ważne. Jeżeli zaś koniecznie pann potrzeba pojęcia o tém czém jest, a raczéj będzie dramat, piérwéj nim się rozwinął i do końca posunął, to ja panu Dobr. pokaże coś lepszego, co pana oświeca o treści jego dosadniéj, niż pojedynczych figur, lub sytuacyj zarysy; uwerturę.

— Czy czasem nie Belliniego z Normy?—zapytał pan Pokrzywa.

— Alboż to nie śliczna uwertura?—wtrącił trzeci jegomość.

— Kiedy mowa o uwerturze w ogólności, rzekłem, to możebym Normy przytoczyć nie rad; żebyś pan Dobr. jednak nie powiedział, że się cofam, to panu przypominam w téj uwerturze zrobił Bellini skład materyałów z których potém operę wybudował....

— A jeszczem téż nigdy nie słyszał—przerwał pan Pokrzywa—żeby kto z małéj komórki tyle materyału wyniósł, żeby mu na gmach starczyło! Herman tu umiał podobno tyle z jednéj nalać butelki....

Teraz ja mu przerwałem: — ile w niéj było, nie więcéj. Ale pan wiész, że temat ma czarodziejską siłę: rośnie do niesłychanych rozmiarów. Toć Beethoven z kilku nut tyle wydobyć umiał, że cały kwadrans jeśli nie więcéj orkiestra miała co prawić. Temat to jak gąbka mocno nasycona wodą; pozornie nic w niéj nie ma, ale zacząć ją tylko wyciskać, to i strumień pocieknie, i jeszcze gąbka mokra będzie.

— Prawda, prawda; ja hojniejszy nawet będę, i porównam temat do lewara jednym końcem w niewyczerpany ocean zanurzonego; woda nigdy płynąć nie przestanie, bo jéj nigdy nie braknie. Ale cóż temat i Bellini mają z sobą wspólnego? a raczéj gdzie mi pan pokażesz w Normie albo uwerturze do niéj, temat opracowany tak, by można to o nim powiedzieć? A przecież umiał to Mozart w uwerturze do Fletu czarnoksięzkiego!

Spostrzegłem, że mnie chęć spierania się skompromitować gotowa; alem głowy nie stracił.—To tylko dowodzi, że Bellini nie widział potrzeby takiego opracowania; bo przecież temat nie jest na to, by się koniecznie stał ćwiczeniem ucznia w kontrapunkcie, albo fantazyjnym obrazem jak powołana uwertura Mozarta, do któréj mi pan nie pokażesz nic podobnego między uwerturami, nie wyłączając nawet owéj z kwartetu Mozarta fugi, któréj Radziwiłł użył za uwerturę do swego Fausta, nie wyłączając nakoniec w tym samym rodzaju lub bardzo zbliżonym uwertur Haendla do jego oper. Temat niekoniecznie téż jest przeznaczony stać się lirycznym poematem jak symfonia Beethovena; to się nawet w dramacie zastosować nie da, bo tam coraz nowe naciskają się żywioły, coraz nowe myśli płyną, nowe tryskają temata, by niebawem inne je spędziły. Życie to kalejdoskop to pańskie podobno zdanie?

— Nie mam potrzeby go się zapierać; ale kalejdoskopu obrazy zawsze z tego samego powstają tematu, a życie jakkolwiek różnie się objawia, zawsze te same poruszają niém motory: potrzeby i namiejętności.

— Ale pan zważ, jak te motory są różne i liczne! Przyznaj pan, że niezawsze te same pobudki chwilami życia rządzą. Więc i obraz życia, dramat, nie może się jednym tematem posługiwać, ani ograniczoną ich liczbą; zależy ona od różnych dramatu przypadłości, a także i od tego, jak je malarz sobie wyobraża. W gruncie, rzekłem daléj, spieramy się o dwie różne rzeczy, o różne sposoby korzystania z tematu, kiedy nam nic na tém nie zależy; bo tak, czy tak, użyć go można. Wróćmy zatém do uwertury Belliniego. Wszakże w niéj autor pomieścił niektóre ważniejsze myśli, których potém w operze saméj użył; streścił zatém swoje widzenie dramatu całego i przedstawił je przed jego rozpoczęciem. Nie można się więc żalić na brak staranności pod tym

względem; nie brak tego, coby się dało expozycyą całego dramatu nazwać, gdyby nie było lepsze jeszcze od właściwéj expozycyi czyli owéj dramatu części, która go od początku aż do punktu przesilenia prowadzi. Jeśli jeszcze każda exponowana sytuacya streszcza się w aryi, to nie widzę dlaczegobyśmy mieli szukać mistrzostwa aż w dyalogach. Przecież kompozytor nie może wszystkiego muzyką swoją oddać, albo oddać z równą mocą. A cóż pocznie jeśli mu poeta dyalogi popisał, bo mu potrzebne były do związania scen w których główna dramatu spoczywa siła? Dyalog taki, to smutna konieczność w operze; czuli to dawniejsi kompozytorowie zostawiając mowie zwyczajnéj ustępy tego rodzaju, a tylko wydatniejsze w muzykę, jak w złoto oprawiając. Tak téż zrobił i Mozart ze swoim Don Juanem. Ale gdy późniejsi estetycy znaleźli i słusznie śmieszną i barbarzyńską taką mieszaninę mowy i muzyki, więc dzisiejsi kompozytorowie muszą komponować to, coby aktorowi zostawić należało. Nawet dawniejsze opery uledz muszą nowemu widzeniu; gdy wznowiono u nas Don Juana po raz ostatni jeszcze za dyrektorstwa Nideckiego w operze polskiéj, to dyalog na muzykę jak na rożen nadziano. Choć to ona podobno samego Mozarta była dziełem, wyglądałożto wszędzie dobrze? Zapewne tego pan Dobr. utrzymywać nie zechcesz i zwolnisz Belliniego od zarzutu zrobionego mu pod tym względem.

— Ach dziękuję panu—rzekł do mnie z zapałem młodszy z dwóch słuchaczy mojego szermierstwa—stokrotnie panu dziękuję! Ja tak lubię muzykę włoską! ją tylko rozumiem i byłem już w rozpaczy, gdy mi pan Dobr. (rzekł wskazując na Pokrzywę) tak dosadnie dowodził, że ona mało warta; jakby mi kto drzazgi za paznogcie wbijał! Ale trafiła kosa na kamień! To téż mnie się w głowie pomieścić nie mogło, żeby taka Norma nie należała do najpiękniejszych oper na świecie. Już ja widzę, że gdybyś pan zechciał, tobyś podobno i panią Lagrange obronił od zarzutów, któremi ją pan Dobr. (znów ku tamtemu głowę na chwilę obrócił) obarczył. Zmiłuj się pan! uczyń to, bym nie myślał, że ci wszyscy tu oto zgromadzeni nie znają się na rzeczy.

— Hola! moi panowie—rzekł nieco głośniéj pan Pokrzywa, że aż się na nas obejrzano—chcecie mi odrazu wszystko odebrać; bądź pan cierpliwy, rzekł do młodszego, i na nią kolej przyjdzie, bom winien jeszcze odpowiedź panu Boćkowskiemu na poprzednie o nią pytanie, chyba że mnie z tego zwolni. To niech sam mówi, byle gawędką zapchać co nam zostaje czasu do aktu drugiego. Ale nie ustępuję z pola, i jak pan skończysz, rzekł do mnie, to ja zacznę i przekonam pana, jakkolwiek muszę oddać sprawiedliwość pańskiéj dyalektyce, że łatwiéj bronić zasad w które się wierzy, niż forytować zdania przekonaniu swemu przeciwne.

Zbyt daleko się zapędziłem w méj obronie opery włoskiéj, mając zrazu zamiar podrażnić tylko pana Pokrzywę i naprowadzić go coprędéj na drogę na któréjby spotkał więcéj szczegółów popierających naszę wspólną opinią. Widząc teraz, że się na spór może nieużyteczny dla mnie zabiera, chciałem załagodzić całą sprawę i zbić go z tropu; więc rzekłem pokornie:

— Czyż moje opinie warte, byś się pan roztrząsaniem ich trudził? Chciéj pan Dobr. powiedzieć nam raczéj, co o dotychczasowém przedstawieniu Normy przez panią Lagrange mniemasz? Międzyakt się skończy niedługo może....

— Przyjdziemy i do tego, ale pozwól mi pan piérwéj odeprzeć to, co swoją opinią nazywasz, a co pańską opinią być nie może i nie jest. Jestto widzenie bardzo dylletanckie, (nie przepomniałem ukłonić się uniżenie), i dlatego łatwo je zbić przyjdzie.

— To być może, ale zkądże pan Dobr. wnosisz, że to opinia nie moja?

— Z własnych ust pańskich; przecieżeś pan powiedział na chwilę przed naszym niby sporem, że podzielasz moje mniemania, któreś raczył nazwać silne i zdrowe, i dziwiłeś się jeszcze, jak mogłem z niemi być zwolennikiem opery włoskiéj; nie prawdaż?

— Prawda—odpowiedziałem skonfundowany.

— Więc te późniejsze zdania, pańskiemi nie są; ani pan możesz mieć nadzieję przekonania mnie, żeś mi tylko chciał potakiwać; bo siły, jakieś pan rozwinął w obronie fałszywych opinii pokazują, że znasz czego gdzie potrzeba, i musisz widzieć gdzie czego brakuje. Zapewne pan chciałeś mnie złapać może? zaimponować mi Haendlem, gdym ja o Mozarcie mówił; a Haendel, to mój stary znajomy. I Bellini nienowy, znam go na wylot; a jak Mozart pisał niegdyś ustępy á la Haendel, by pokazać jak oswojony z tym mistrzem, tak ją gotówbym pisać á la Bellini, gdyby mi Pan Bóg dał był tyle talentu ile jemu.

— A więc go pan Dobr. cenisz — rzekł nasz towarzysz— oddycham, ale nie rozumiem. Wzięliście mnie panowie na tortury prawdziwe.

— No! to położymy im koniec niebawem—rzekł uśmiechając się pan Pokrzywa—proszę tylko o chwilę cierpliwości. Bo ja mojego darować nie lubię i muszę odpowiedzieć na pańską (moję) obronę opery włoskiéj, dla wyprowadzenia z błędu naszego towarzysza; a choćby tylko dla przekonania panów, żem ten przedmiot rozważał.

Prawdą jest, że nie każdy dramat, muzyczny czy nie, od głównych zaczyna się rzeczy, od głównych osób. Jestto wada; poco mamy słuchać rzeczy podrzędnych, patrzeć na figury nie znaczące? to tylko czas zabiera i usypia baczność; jedném słowem nudzi, a to dowód, że na nic się nie zdało. Często drama-

turgowie tego sposobu używają, by niezgrabny plan niezgrabniejszém wykonaniem pokryć. Zdaje im się to konieczne dla expozycyi dramatu, jakby to była gawędka, która zaczyna od pogody, choć potém na duszy skończyć może. W dramacie muzycznym jeszcze to nudniejsze, bo dłuższe; prędzéj się bowiem mówi a nawet pisze, niż śpiewa. Ale zdarzyć się może, że figury niby podrzędne, istotnie znakomite zajmują w dramacie miejsce, należą do sprężyn choćby nie na jawie działających. Muzyka wtenczas odrazu zająć się powinna ich charakterystyką dosadną, która bynajmniéj nie przeszkadza stopniowaniu interesu dramatycznego, jeśli on istnieje. Ani to wyczerpnie baczność słuchacza, tylko obudzi ją odrazu i ciągle pobudzać będzie. Baczność ciągła nie trudzi, chyba wtenczas, gdy jest zbyt długo wytężana albo na jeden przedmiot wyczerpnięty już, skierowana. A przecież parę godzin baczności nikogo nie zabije! Nie po to wreszcie jest dramat, by na nim drzémać lub się bawić, jak się bawiemy anegdotą lub facecyą, ale by się bawić szlachetnie: pojęciem i uczuciem. Rozbudzić jedno i drugie jak można najwcześniéj, powinno być zadaniem dramaturga każdego, a więc i kompozytora opery, i tém więcéj, że ma potemu tak potężne środki, jakich gołe słowo giestem nawet wsparte mieć nie może. Środki te leżą w zespoleniu mowy i muzyki; i dlatego uwertura, ustęp wyłącznie instrumentalny, posiadać ich nie może. Inne téż jéj zadanie; jest ona tém dla opery, czém treść dla książki, czasem spis rozdziałów. Jedno i drugie wskazuje metodę raczéj niż ducha, jest skróceniem lub spisem z których widoczna rozległość całości, ale nie jéj dążność i zasługa. Książka się bez obojga obejść nieraz może, i opera nieraz właściwéj nie ma uwertury, naprzykład Robert Djabeł. Czasem ona jest fantazyjnym obrazem jak pan nazwałeś uwerturę do Fletu czarnoksięzkiego, (a jabym dołożył: z rzeczywistości wysnutym); tém téż bywają najwięcéj uwertury. Ale gdyby równe były tamtéj mistrzowstwem, to zawsze będą fantazyą, a nam o szczerą rzeczywistość idzie. Uwertury bywają czasem cieniem dramatu jak w Nieméj z Portici i Wolnym Strzelcu, a z cienia nic wnosić nie można o kształcie, który go rzuca; czasem składem rupieci rozmaitych, Bóg wié zkąd pozbieranych i zużytych, jak w tylu operach Rossiniego. Uwertura najlepsza podobna jest rycinie przedstawiającéj ustęp powieści; objaśnia wprawdzie, ale i sama objaśnienia potrzebuje i podobnoby nieraz dogodniéj było zagrać uwerturę po skończeniu opery, jako reprodukcyą całego dramatu, sąd o nim kompozytora; lubo mało która wytrzymałaby taką probę, a pewnie nie uwertura Belliniego do Normy. Nakładłci do niéj autor myśli, których potém (trafniéj byłoby powiedzieć pierwéj) w operze użył; ale że je zostawił w całéj nicości pierwotnego pomysłu, więc je ogołocił ze znaczenia w dramacie tekstem, giestem, deklama-

cyą zyskanego, a nie umiał go im nadać opracowaniem, albo przymieszaniem ustępów stanowczo przemawiających. Co zaś do miejsc streszczających sytuacye exponowane, mianowicie aryj, duetów i wszelkich ustępów zbiorowych.... Ale, ale! to mi przypomniało dyalogi. Coś pan mówił o ich smutnéj konieczności prawdą jest na dzisiaj, ale nie będzie nią z czasem, bo to jest jedna z wad tekstów do oper, którą także usunąć trzeba będzie. Nie dlatego jednak, by dyalogi nie były użyteczne; owszem, są koniecznością, ale niech ona smutną być przestanie. Niech dyalogi będą krótsze, treściwsze i tak ułożone, by je muzyk nietylko na podobieństwo recitatiwa mógł ubrać, ale w formę utoczoną muzycznego obrazu mógł urobić, jak to się i teraz zdarza. Swobodna forma recitatiwa istotnego, owego wybuchu uczucia nie dającego się odrazu ująć w karby, zyskałaby na świeżości i sile, tak jak każdy wykrzyknik niezużyty. Ale do tego trzeba staranniéj zrobionych tekstów, które są trudniejsze do złożenia niż dramat zwyczajny. Że ich dotąd tak mało dobrych, że tyle wad muzycznemu dramatowi przynoszą, pochodzi ztąd, że autorowie poezyi zwykle niemuzykalni bywają. Znów mi tu przychodzą na myśl dramata Metastazego; byłto człowiek wysoko w muzyce ukształcony, jak podobno żaden z piszących dla opery. Gdyby był miał zręczność Scribe'go, gdyby za jego czasów nie uważano jeszcze opery więcéj jako cacko niż dramat, to byłby nam zostawił arcydzieła niejednostajną tylko zaletę dogodności dla kompozytora i śpiewaka mające. Sam kompozytor nie ma zazwyczaj zdolności do pisania dramatów, wprawy albo może i czasu. Bo mu się zdaje, że on co lepszego robić może, jak gdyby dobry tekst nie ułatwiał napisania dobréj opery! Objaśnienia, przestrogi jakie gotów dać poecie niekoniecznie z potrzebą jego i fantazyą będą zgodne, a nawet pojęte. Trzeba będzie przerabiać, wyrzucać, dodawać, słowem kręcić tak długo, aż wszystko będzie dobrze na pozór, a istotnie zepsute. A gdzież szukać w poecie takiéj uległości zmiennym kompozytora kaprysom, nie dającym się dobrze wyłożyć wymaganiom, jak znalazł Weber u pani Chezy, która mu tekst do jego Euryanty napisała, a raczéj tyle razy pisała! Oto są powody, dlaczego teksta do oper tak bywają słabe dramatycznie lub muzycznie. Wróćmy do dyalogu, by przezeń do aryi się zbliżyć.

Słuszna była uwaga pańska, że dawniejsi kompozytorowie czując, że niepodobna nieraz muzyką podpierać dyalogów, zostawiali je mowie zwyczanéj. Ale niesłusznie pan mówiłeś, że dziś inaczéj się dzieje, gdyż to i dzisiaj bywa także, bo natura rzeczy się nie zmieniła. I to prawda jednak, że upowszechnia się coraz więcéj mniemanie, jakoby niegodziło się jednę część dramatu mową zwyczajną, a drugą część śpiewem i muzyką przedstawiać. Mniemanie to nie jest bez zasady; bo jeśli to ma

być dramat muzyczny, to nie na połowę; inaczéj stosunek istotny między częściami przepadnie, a zostanie tylko przybliżony; zniknie jedność konieczna płodom sztuki. Dramat wprawdzie muzyczny, a szczególniéj wystawniejszy, jest zlewkiem sztuk kilku; ale je muzyka jednoczy, zapełnia luki jakie między niemi pozostają skutkiem mniejszego powinowactwa. Odjąć muzykę tu i owdzie, jest to zrobić dramat podobny do obrazu, któryby miał jedne osoby malowane, a drugie z gliny ulepione. Ale z drugiéj strony, czyż się godzi zużywać muzykę na fatałaszki? czy warto jéj użyć gdy każdy czuje, że ona tam nic nie mówi? Że zaś małą ważność muzyki w dyalogach uznano, dowodem i to, że ją zwykle w wyciągach na fortepian, czyli tak zwanéj partyturze fortepianowéj opuszczają. Mniejsza o to; ale opuszczają i wyrazy, które stanowią związek między scenami, i nie można zrozumieć dokładnie położenia osób i rzeczy. To wybornie przemawia na dowód pojmowania dramatu muzycznego! nieprawdaż? Więc baczyć trzeba, by dyalogi tyle tylko użyte były, ile konieczność wymaga. Na co przedłużać nudy, a może i zanieczyszczać bieg dramatu dla słuchacza? Przecież wiadomo wszystkim, że śpiew nie pomaga do wyraźnego wymawiania zgłosek, dzięki niedbalstwu śpiewaków i nieoględności kompozytorów i dyrektorów...

— A cóż oni temu winni? Śpiewacy to jeszcze; czemu ust nie otwierają?—rzekł młody nasz towarzysz, że go tak nazywam nie umiejąc inaczéj.

— Jakże wymówić swobodnie otwartemi ustami samogłoski ściśnione, jak i, lub u; a jeszcze jeśli na wysokie padają tony? Prócz tego kompozytor może złą deklamacyą, któréj daje rysunek, utrudzić śpiewakowi wymawianie, a nawet oddychanie któremu miejsce oznacza, a które przecież do dobrego wymawiania jest konieczne. W tém wszystkiém śpiewak sobie radzić może nieco, a nawet zbieg twardych spółgłosek z winy poety, a czasem i z nie jego winy nagromadzonych zwycięża; przecież to także nie pomaga, ale szkodzi. Pod tym względem język włoski szczęśliwszy od naszego.

— Ta ostatnia przeszkoda niby z języka pochodząca, rzekłem, nie jest właściwą przeszkodą, a czasem pomocą; i nigdy nie powiem, by język włoski miał pierwszeństwo nad innemi, a szczególniéj nad naszym.

— A to pan widzę zupełnie inaczéj mniemasz niż wszyscy? odparł pan Pokrzywa; radbym posłyszeć dowody.

— Dowody odłóżmy na inny raz, a wróćmy do wymawiania. Zapomniałeś pan Dobr. między przeszkody dla słuchaczów włączyć przygrywkę instrumentalną, zwykle dyalogom towarzyszącą. Choć się kompozytor stara, by ją w przerwach, między frazesem a frazesem wprowadzać sucho i krótko, jako przezna-

czoną głównie do utrzymania śpiewającego w tonie, do pomożenia mu w nagłych czasem modulacyach, bywa i tak przecie, że w miejscach które kompozytor chce uwydatnić, przygrywka płynie razem z wyrazami i niewiele potrzeba, by je zanieczyściła.

— Prawda, byłbym zapomniał o tém, a to rzecz tém ważniejsza, że w dyalogach zwykle bardzo wiele jest wyrazów i coraz innych, a często spiesznie wymawiać je trzeba. Albo w tak zwaném parlante! wydziwić się nie mogę śpiewakom, jak oni niekiedy mielą językiem! Jak tu żądać od nich, by wyraźnie wymawiali, gdy nieoględny dyrektor tempa nie miarkuje, albo śpiewacy towarzysze w wygodném arioso swojém zatopieni nie myślą, że który ich kolega język połknąć może. Wracając jeszcze do dyalogów, by już raz o nich skończyć, dobrzeby było, aby przygrywka instrumentalna zamiast w kwartecie smyczkowym, na fortepianie tylko się odzywała, lub na harfie. To i zgrabniéjby było; bo kilkunastu ludzi mniéj zgodnie nagły akkord uderzyć mogą w chwili taktem obliczyć się akuratnie nie dającéj, i nie potrzebowaliby się mordować wysiloną bacznością, kiedy to sam dyrektor mógłby zrobić.

Tyle oto niedogodności dyalogu muzyką osnutego przemawia za pozostawieniem go mowie zwyczajnéj, i nie wiadomo, co gorzéj: czy poświęcić jedność muzykalną, czy narazić się na zarzut o niestosowność i na mnóstwo drobnych usterków. Sama ta niepewność powinnaby zwrócić baczniejszą na dyalogi uwagę. Czemu jednako w operze komicznéj pozwalają sobie mówić, a w poważnéj nie, pojąć dotąd nie mogę.

— Ja myślę, rzekłem, że to dlatego, że w rodzaju lekkim, niestosowności prędzéj ujść mogą; tam się każda śmieszność pomieści. Lubo i to prawda, że w operze komicznéj mogą być także i bywają istotnie powody do łez, a więc powagi. Ale mniejsza o to, idźmy daléj.

— Tylko słówko moi panowie!—rzekł nagle wtrącając młody — mnie się zdaje, że właśnie powinno bywać przeciwnie: W operze komicznéj należałoby więcéj śpiewać, a w poważnéj więcéj mówić. Boć przecie łatwiéj człowiekowi wesołemu muzyką się zajmować, niż kiedy smutny. Ja naprzykład, kiedy mam zmartwienie, co się przecież każdemu człowiekowi zdarzy, to ani grać, ani śpiewać mi się nie chce, chyba dla rozerwania się trochę. To samo pewnie z innemi, boć tacy ludzie jak i ja. Gdzież tedy stosowność i prawdopodobieństwo? Norma się gniewa, rozpacza, a śpiewa; chce zamordować dzieci, idzie na stos, a śpiewa! Toć tam płakać zamało!

Spojrzeliśmy po sobie ja i pan Pokrzywa; jam się rozśmiał półgłosem, ale on z powagą zabrał się do odpowiedzi:—Zaraz to panu objaśnię.

— Protestuję!—zawołałem pospiesznie. A gdym wstrzymał jednego, zwróciłem się do drugiego.— Daruj pan memu wykrzyknikowi i pozwól sobie zrobić uwagę, że to można odłożyć na inny międzyakt, bo się nie dobierzemy dzisiaj do pani Lagrange, a pewnie panbyś chciał posłyszeć zdanie o niéj; szczęście, że przerwa jakaś długa, ale korzystajmy, bo się skończy!

— No! to na późniéj —rzekł pan Pokrzywa— tylko mi panowie przypomnijcie, bo za siebie nie ręczę. Już tu oto dwie godziny siedzimy, a jeszczem się pana nie zapytał, do jakiéjto muzyki dramatycznéj dorobiłeś pan wiersze?

— Już ja sam panu Dobr. przypomnę, ale teraz mówmy o pani Lagrange.

Lękałem się, by mi się gaduła nie wymknął z tém, co mnie najwięcéj obchodziło. a natarczywość moja uderzyła go widać, bo rzekł z flegmą i nieco chmurno, choć łagodnie:

— Albożbyśto pan zdania swego nie miał? Ale prawda, może chce się pan pospierać—dodał ze swoim znaczącym uśmiechem— jam na to jak na lato. Muszę jednak tém oględniéj mówić i tém zasadniéj; dlatego wprzód aryą opery włoskiéj przejść winienem, już panom daruję chóry i finały, o których bardzo wiele mówić można. Ale to napotém: niech nam się zbiera!

Otóż z dyalogu, z recitatiwa (o którego bezsilności włoskiéj już mówiłem, bo znam recitatiwa Bacha, Glucka i Mozarta) przechodzi się do aryi; dla pośpiechu nie będę wyróżniał jéj rodzajów. Jak w dyalogu słów wiele a treści muzykalnéj a często i dramatycznéj mało, tak znów w aryi słów niewiele a treści muzycznéj ile się zmieści, ile z serca i głowy kompozytora wydobyć się zdoła. Wyrazy zwykle się powtarzają, boby ich na długą szczególniéj aryą nie starczyło; to powtarzanie wyrazów popiera ich zrozumienie przez słuchaczów, jeśli rozumieją język.....

— I o tém mieliśmy mówić; to jeszcze z przeszłego posiedzenia — dodał po małéj przerwie — to mamy już dwie kwestye języka dotyczące, do roztrząśnienia.

— Będziemy mówić i o tém; już ja nie zapomnę; prosimy daléj.

— W aryi dlatego łatwiéj język rozumieć można, że się wyrazy powtarzają, więc je przygrywka tu i owdzie odsłania, a same dobitne orzeczenia muzyki uwydatniają. Że arya jest obrazem w pełni płynącego uczucia, uczucia stosownego do sytuacyi z któréj wybiegła, więc musi być bogata w rysy stosowne i tém odrębniejsze, że one mają przedstawiać indywidualność osoby, figury dramatu, czyli charakter tak wydatny, by go z żadnym innym pomieszać nie można, przynajmniéj w téj saméj operze. Mistrze w dramatyzowaniu, znawcy ludzi, wielcy malarze charakterów i namiętności, nie pozwolą sobie nigdy i tego nawet, by w poemacie taką samą figurę osadzić, jaka już gdziein-

dziéj była, choćby w ich własném dziele; nie potrzebują okradać innych lub samych siebie. Wiedzą, że nie ma dwóch charakterów podobnych sobie chyba pozornie; żeby zaś odtworzyć swą sztuką charakter nowy, oryginalny, trzeba go umieć wymyśléć, stworzyć niemal tak jak Bóg Adama stworzył, z niczego, prócz z własnéj mocy wspartéj bystrym na naturę ludzi ogólną poglądem i umiejętnością wnoszenia o charakterze człowieka ze spraw jego. Utrzymują, że chcąc prawdę powiedzieć należy ją czuć i pojmować, a nie udawać; temu nikt nie zaprzeczy. Ale jeśli to nie będzie jedna z tych wielkich prawd na prawie natury opartych, których tak mało; jeśli to nie będzie choć jedna z tych prawd w całéj cywilizacyi jakiéjkolwiek przyjętych, których także niewiele więcej; lecz jedna z prawd do osoby lub rzeczy przywiązanych, prawd względnych, których takie mnóstwo: to osobiste jéj uczucie i pojęcie tylko indywidualnie trafném być może, wytwornéj liryczności wyrażeniem udarować poetę, ale na urozmaicenie dramatyczne wpłynąć nie zdoła. Dramaturg nie powinien zatém tworzyć charakterów podług siebie, ale podług tych, których chce określić; więc musi je brać poza obrębem samego siebie, stworzyć je fantazyą jeśli modelować nie woli, swoim rozumem je uorganizować, obdarzyć tém, co mu do zupełnego prawdopodobieństwa jego utworu konieczne się zdaje, a dopiéro ten twór martwy jeszcze, wsadzić w samego siebie, albo sam przejść w niego, oddać mu swoje życie i czucie, by się urobiły wedle nowego organizmu którym wstrząsać mają. Sam zbyć się powinien wszelkiéj indywidualności, stać się sługą i wykonawcą woli swych stworzeń przed chwilą, a teraz władców. Wolno mu zatrzymać sobie tylko siłę naśladowczą i zdolność władania środkami swéj sztuki. Im wyższa w człowieku poecie twórczość i siła organizowania, im zupełniejsze zaparcie się samego siebie, tym potężniejszy i udatniejszy wstanie utwór. Nigdy wprawdzie on wyższy od swego twórcy być nie może, ale niższym nie będzie nigdy; a więcéj téż nie potrzeba. Człowieka Bóg wielkim uczynił, olbrzymem, i on sam tylko na pigmejczyka schodzi własną winą.

Niechże teraz tak obmyślany i utrzymany charakter wrzucony będzie w dramat i do działania znaglony; to choćby sam jeden tylko znalazł się obok innych zużytych, to je odnowi i okrasi; cóż dopiéro, gdy kilka takich się znajdzie? Wtenczas sytuacye nie będą bez siły, bo nie będą bez prawdy i powabu nowości.

Com tu powiedział ściąga się w operze równie do poety jak i do kompozytora; do tego drugiego więcéj przecież. Poeta, jak już mówiłem, stara się przygotować kompozytorowi swobodne do działania pole; więc choć tworzy figury i charakterem je

odziewa, sznurki maryonetek porusza tylko; kompozytor dopiéro ludzi z nich robi. Więc mu należy charaktery określić stanowczo i utrzymać, a jeśli poeta wdarł się w jego prawa i źle z nich korzystając skrzywił i pogmatwał, rzeczą jest kompozytora sprostować i jasno okazać. A jeśli poeta poświęcając się dla kompozytora wyrzekł się szczegółów własnéj fantazyi, któremiby w dramacie zwyczajnym nie zaniedbał opatrzyć swych figur, to kompozytor pamiętać powinien o dopełnieniu. Żebym panom to co mówię poparł choć jednym przykładem, to się znów do Mozarta zwrócę; bo gdzież mistrz nad tego mistrza, gdzie dramaturg muzyczny nad niego, gdzie opera nad Don Juana? Więc patrzcie panowie! Elwirę, ową reprezentanktę ofiar zwodziciela licznych, autor tekstu, da Ponte, śmiesznością okrył; bo to był człowiek jak mówią lekkiego charakteru i podobno samego siebie w głównym opery bohaterze przedstawił. Czy tak było istotnie, czytéż mu legenda hiszpańska dostarczyła wątka, mniejsza o to; dosyć, że Elwirę zponiewieraną, jeszcze bardziéj zponiewierać pragnął. Ale Mozart ją nagrodził za tę ostatnią zniewagę; uczynił ją szlachetną ile można było uszlachetnić ją wyrazem gorejącéj miłości i łzami cierpienia. A zaręczam panom, że nie ten jedyny raz Mozart odstąpił od tekstu, ale wymieniać więcéj nie chcę; wszak jeden przykład wystarczy! Jeden także dam na pokazanie, jak muzyk pamięta o szczegółach zapomnianych przez poetę, albo takich, że ich nie miał sposobności objawić. W finale drugiego aktu, zanim Don Juan zapadł do piekielnych otchłani, Mozart chcący drobne niby jego w obliczu płochych ludzi przewinienia, okazać zbrodnią zasługującą na tak srogą karę, może chcąc mu głosem spóźnionego sumienia przypomnieć jego występki, zwołał je wszystkie na scenę ile ich na niéj przedstawionych było, odgłosem: zamordowanego kommandora, pozbawionéj ojca, tchnącéj żalem i żądzą zemsty Anny, skarg Elwiry. Jestże to myśl autora tekstu? Otóż jak się sytuacye malują muzyką.

Gdyby oba przytoczone przezemnie przykłady, naraziły Mozarta na zarzut o krzywy pogląd na sytuacyą, o złe pojęcie osoby (a daj Boże każdemu kompozytorowi podobne Mozartowskim błędy), to jeszcze dowodziłyby, że kompozytor może co innego zrobić niż autor tekstu zamierzał. Wszak to i z Severa w Normie było widać.

Ale okrucieństwemby było najlepszego nawet z kompozytorów włoskich, porównywać z takim jak Mozart olbrzymim dramaturgiem, bo porównanie takie każdego z autorów oper albo poniżyćby musiało, albo nabawić kłopotów. Ale dla żadnego z nich nie można spuścić z pojęć o kompozytorze dramatycznym i muzycznym dramacie, z pojęć, których niektóre szczegóły starałem się przywołać panom do pamięci. Przymierzcież do nich

Belliniego i jego Normę, skoroć z jego powodu tu jesteśmy, to pokaże się jak tu wszystko karłowate, chorowite, niedołężne. Wprawdzie takie rzeczy jak pojęcie, zasada, jak zastosowanie i znaczenie kompozycyi nie dadzą się przemierzać cyrklem od jednego do drugiego przenoszonym, ale rzecz tak nieraz widoczna, że cyrkla nie potrzeba. Na coby się zdał ten język w gębie, te pojęcia na wyrazach z głowy płynące, gdyby niemi takich rzeczy dowieść nie można było? Wprawdziem ja nie orator, ale tu prosty język wystarczy, tém łatwiéj, że nie ma potrzeby mówić o wszystkiém. Jużem wspominał, że czém kto jest raz albo kilka razy, tem będzie najczęściéj, bo to mu już we krwi leży.

Już mówiłem panom, że się nie piszę na tak pojmowanego Severa jak go Bellini pojmował; na to i Włoch każdy zgodziłby się ze mną podobno. Aleby mi nie przyznał, że i Adalgisa, Norma nawet inne także byćby powinny, nie pojęciem wprawdzie, ale oddaniem; alboby przestał być Włochem, w muzyce swego narodu, w tradycyach jego zakochanym, wierzącym zapamiętale, że sama zdolność wszystko zrobi, choć nie tak snać myśleli Spontini Rzymianin, i Cherubini Florentczyk. Tamci ludzie mieli ogień i energią, mieli dar spojrzenia głębokiego w otchłanie serc ludzkich, mieli naukę, i mądrość jéj z pomysłami natchnienia splatali. Co to za potężna postać Medei Cherubiniego, jaka dzielność w Spontyniego Westalce! Porównać z niemi także do podniosłości zdolny Normy charakter, jest to zrozumieć jego miękkość, którą daremnie udana siła pokryć pragnie. Ale dla miłości pani Lagrange pominę Severa i Adalgisy postacie, jako mniéj ważne, tém bardziéj podrzędniejsze jeszcze figury Orowista i Flawiusza z pod mego rozbioru wyzwalam o ile to będzie można, by się Normą tylko zająć. Przyznaję z góry: kreacya to sympatyczna bardzo; kapłanka dzierżąca losy narodu i ulubionego w swéj dłoni, kochanka zbrodnicza w obec ołtarza, ojczyzny i ludzi, czuła, a nieszczęśliwa w miłości, matka dzieci bez imienia, zamieniająca się w gwałtowną, bo pogardzoną, tchnącą zemstą i nienawiścią, w zbrodniarkę niemal, a potém w dobrowolną ofiarę; sama jedna popycha całą dramatu machinę, a raczéj ją za sobą ciągnie. Machiny téj nie będę dotykał, bo się rozlecieć gotowa, ale to powiem, że cośmy dotąd słyszeli, najsłabszą, najnudniejszą jest jéj częścią; dopiéro Adalgisa wszystko ożywi. Norma dotąd kapłanka i wzdychająca za mającym ją odtrącić zdrajcą, nie miała jeszcze czasu pokazać czém będzie w istocie. Cudowny śpiew casta diva i kawatina ah bello! a me ritorna są piękne muzyczne ustępy, ale całkiem liryczne nietylko przez muzykę, ale z saméj natury swojéj. Tutaj elegiczny Belliniego talent w całym jaśnieje blasku, ale téż na tem prawie koniec. Gdy mu w dramatyczność przyjdzie wkroczyć, zobaczycie panowie jaki słaby, jaki zawsze liryczny i nic więcéj.

Tam będzie pora przypomnieć sobie co mówiłem o niepodobieństwie dramatyzowania, stworzenia figur oryginalnych, kiedy się je do jednego typu, do samego siebie ciągle przymierza; a taką jest w ogóle muzyka Belliniego, taka i Norma zatém. Indywidualność kompozytora dosyć silną, odrębną była, by go uchronić od naśladowania swych współrodaków, ale niedosyć można, by mu na niego i postać którą określał starczyła. Być może, że nie chciał się sam z sobą rozstać jako zbyt zatopiony w tęsknéj muzyce swéj duszy, co mu bystrość widzenia osłabić musiało. To téż zbyt sam sobie jest podobny, nie formą melodyi, to jéj duchem. Zobaczycie panowie, że czy Norma się pieści wspomnieniami przy spowiedzi miłosnéj Adalgisy, czy wybucha niepohamowanym gniewem dowiedziawszy się o zdradzie Severa, tak się odzywa, że muzykę tam użytą, możnaby tutaj przenieść i odwrotnie, gdyby tylko język podłożonéj melodyi na to zezwolił; możnaby ją do innéj opery przenieść. Widoczne to udawanie prawdy, a nie prawda szczera. Dowód tego widzieć będzie można w scenie, w któréj Norma ubolewa nad sobą i nad Adalgisą; ta przenikniona jest niepewnością wyroku Normy i strapiona miłością swą dla Severa, a on z zimną krwią przekłada Normie, że nie ma się o co gniewać? Sąż ich uczucia, ich pobudki, dążności, charaktery jednakowe, że wszyscy jedno i to samo śpiewają? Ale nie chcę nastawać, żebyście mie panowie nie posądzili, że na małostce moje zdanie opieram; sytuacya to spokojniejsza, uczucia niezupełnie wyprężone. Ale stan rzeczy zmienia się niebawem: Sever pragnie zuchwale uprowadzić Adalgisę w oczach pogardzonéj Normy, zelżonéj gestem, a przynajmniéj wyrazem; Norma gwałtownie mu przypomina przysięgi złamane i honor dzieci, grozi mu i przeklina go; Adalgisa błaga jéj o przebaczenie, że się stała niewinną przyczyna jéj cierpień, na które patrzy. Rozważcie panowie, czém są te trzy osoby ze swego charakteru i położenia dopiero co opisanego i powiedźcie, ile są sobie podobne? a jednak wszystkie trzy znów śpiewają jedno i to samo! Dowiódłże tu Bellini, że ma choć odrobinę dramatycznego sprytu? Gdyby był przynajmniéj w czém w tém melodyą przemienił, a nie to harmonią, a i to nie, to choć rytm, choćby nakoniec formułę przygrywki!... ale nic i nic! Cóż panom powiem więcéj? To chyba, że Bellini i wszyscy kompozytorowie włoscy, prawie za dostateczne uważają wynaleźć melodyą jakąkolwiek byle muzycznie piękną była, chcę mówić wdzięczna dla ucha, i przystawała miarą do poezyi; wytłumaczenie jéj, a raczéj nadanie jéj znaczenia, stworzenie go, zostawiają śpiewającym. Oni téż są najprawdziwszemi dramaturgami opery włoskiéj; szkoda, że nie mogą nic więcéj zrobić, tylko to co od nich zależy; a to bardzo niewiele, choć także jest ważne. Wysilenia ich przynoszą owoc, którym się napół z kompozytorami dzielić muszą, za to, że im nieraz ledwie połowę melodyi wynaleźli istotnie, a resztę zkądkolwiek urwali i przyczepili

do początku. Taką jest melodya w duecie Normy z pochwyconym w jéj moc Severem.

In mia man alfin tu sei!

Piérwszy tam tylko frazes ma siłę istotną i prawdę, a ma ich tyle, że jego zręczne dyalogowanie pokryło słabość dalszego ciągu, wzmocniło namowy i groźby Normy, uporowi Severa dało stałości szlachetną cechę. Co prawda, to przyznać trzeba. Z idących daléj ustępów zwrócę uwagę panów na duet nowy między Normą głoszącą rozkosze ochydnéj zemsty nad obojgiem kochanków; i między Severem błagającym ją za Adalgisą. Melodya, jedna z tych które się i w uwerturze znajdują, znów obojgu jest wspólna; to budujące! Ale teraz następują innéj wartości miejsca godne tego, cośmy najlepszego dotąd słyszeli, wyższe nawet nad nie. Jestto znow duet; Norma mówi: qual cor tradisti, Sever odpowiada: ah troppo tardi... Melodya czująca, pełna tęsknego melancholii tchnienia doskonale odpowiada usposobieniu Normy, poświęcającéj samą siebie w miejsce rywalki, co właśnie pokazuje Severowi, że nie poznał się na sercu wielkomyślném biegnącéj na stos, który i kochanego choć przeniewierczego Severa ma pochłonąć. Już teraz dla nich wszystko się skończyło tu na ziemi prócz miłości na nowo zobopólnie rozżarzonéj, jakby dlatego, by nie czuli męczarni ognia ziemskiego, który ich niedługo strawi. Tutaj znów melodya dla obojga wspólna, (więc bez żadnéj w niczém odmiany, jak to już zwyczajem jest szkoły włoskiéj); ale to właśnie jest stosowne tak dalece, że gdyby każde inaczéj przemawiało, autor uchybiłby prawdzie. Bo dla nich obojga już teraz wspólny interes, wspólne uczucie; śmierć blizka ich pogodziła. Sever mówi:

L'estremo accento sarà: ch'io t'amo!

Gdym tyle już na Belliniego nagadał, nie godzi się pominąć nic, co mu zaszczyt przynosi. Ostatni śpiew Normy do najpiękniejszych ustępów opery należy. Wzniosła jest prostota melodyi za pomocą któréj matka poleca swe dzieci arcykapłanowi, i błaga zagniewanego swego ojca o przebaczenie winy.

Mniéj więcéj w tym duchu mówił pan Pokrzywa o kompozycyi Belliniego, ale nie skończył tego w piérwszym międzyakcie. Wysłuchawszy drugiego aktu już stojący, napastowany znów przez naszego towarzysza o zdanie co do pani Lagrange, którego się doczekać nie mógł, grzecznie lecz stale zapytania jego odpierał, tłumacząc się, że przecież wpród musi skończyć o jedném, niż zacznie o drugiém. Jam téż na niego nie nacierał, pewny, że czasu nam wystarczy, albo, że zejdziemy się na Cyrulika Sewilskiego w którym znów nazajutrz miała pani Lagrange wystąpić. Zapatrzyłem się jednak na pana Pokrzywę; a jak on nie chciał sobie czém inném swego wywodu przerywać, tak i ja go tu nie przerwałem, lubo strudzony mnogością szczegółów

które cytował, i uwag które z nich wydobywał, nie mogłem spamiętać wszystkiego. Czułem, że potrzebowałbym muzykę Belliniego mieć w ręku, bym nic nie stracił ze słów opowiadającego; to wiem przecież, żem nic ważniejszego nie pominął. Jużeśmy byli dobrze w połowie drugiego międzyaktu, gdy skończywszy o Bellinim, rzekł pan Pokrzywa do owego młodego:

— Widzisz pan, żeśmy nareszcie przebrnęli; nie gniewajże się pan na mnie żem pana dotąd zadowolnić nie mógł. Mówiąc o śpiewaczce w operze trzeba się na operze oprzeć przedewszystkiém, zwłaszcza gdyśmy się już co do czysto wokalnych szczegółów jeszcze na Napoju Miłosnym uprzątnęli. Chciałeś pan się dowiedzieć jak to rozumiem, że rola Normy jest kamieniem probierczym śpiewaczki dramatycznéj; teraz dopiéro panu odpowiedzieć mogę; choć co do pani Lagrange zatrzymać się przyjdzie może ze stanowczém zdaniem aż do końca opery, bo tam właśnie są najpiękniejsze miejsca, jak mówiłem, i więcéj śpiewaczkę niż aktorkę odznaczyć zdolne.

— Tak!—rzekł z żałosnem zwątpieniem ów drugi; po skończeniu aktu trzeciego czas będzie iść do domu, a ja zostanę na koszu.

— Nie zostaniesz pan, ręczę za to, boś pan przecież nie panna na wydaniu.

Rozśmieszyło nas to wszystkich, a gdy dobry humor wrócił na zasępione trochę oblicze młodszego, rzekł starszy:

— Po skończeniu aktu zatrzymamy się tu trochę; nim inni zejdą, to my skończymy. Ale zacząć trzeba.

— Mówiłem, że piękne są melodye Belliniego, słodkie, rozkoszne nieraz, a nie potrzebuję panom dowodzić, że to niezmierna zaleta, w ogóle szkole włoskiéj właściwa. Nie każda wprawdzie melodya jest taka, nie każda oryginalna; ale gdy się zdarzy jedno i drugie, to urokowi oprzeć się trudno choćby on był tylko przelotny, jak nim bywa najczęściéj jako rzadko głębokością muzyczną przytrzymany. Sama ta prostota owych melodyj, ich jasność rzadko kiedy wymagająca do zrozumienia zupełnego więcéj czegoś niż ucha, jest wędką dla publiczności lubiącéj łatwe rozkosze, nieprzygotowanéj dostatecznie do innych. Że zaś w ogóle słyszymy nietylko u nas, ale i w całéj Europie, ba! i w Ameryce i Azyi najwięcéj melodyj włoskich: więc takeśmy już przesiąkli tą manierą, że nam się jedyną i najlepszą zdaje. Śpiewacy znów, rozumieją to zamiłowanie publiczności i radzi z niego korzystają, mając przytém inne własne powody, by się oper włoskich trzymać. Umieją je najlepiéj, bo są najłatwiejsze i najwięcéj ich śpiewają, a od czasów Rossiniego upowszechniło się mniemanie nie bezzasadne, że nikt tak dobrze jak Włosi do śpiewu pisać nie umié. Nie dlatego, by inni także dobrze nie pisali, ale włoscy kompozytorowie używają giętkich formuł wokal-

nych choć nic nieznaczących, ale melodye ich w ogóle są płynniejsze, i co najważniejsza pozwalają śpiewakom zmian jako dramaturgom przeważnym. Ztąd też to pochodzi, że śpiewacy tak wielki wywierają wpływ na powodzenie opery. Bo proszę zważyć, jeśli, jak pokazałem to panom w Normie saméj i jakeśmy to nawet już dzisiaj nieraz słyszeli, jedna i ta sama melodya różnych charakterów, różnych sytuacyi ma nieść wyrażenie, to tam talent deklamatorski śpiewaków, zdolność ich dramatyzowania głosem, giestem, dodatkiem, w największém świetle na jaw wychodzi. Natura melodyj takich zmusza śpiewaka do odmian, jakie mu jego pojęcie o chwili dramatu i o charakterze przedstawianym nasuwa. Że te odmiany zwykle są na jedno kopyto, winą jest małego wykształcenia istotnie muzykalnego śpiewaków; jednak nikt na nic nie narzeka, a najmniéj kompozytorowie, bo musieliby dać dobry przykład, dać dowód pracy, któréj taki Bellini nie pojmuje jako wysilenie umysłu, ale jako oczekiwanie na świętą natchnienia chwilę i korzystanie z niego. Oto powody dla których opera włoska równie śpiewakom jak publiczności jest miła, a tém milsza im więcéj tych powodów w sobie łączy, im więcéj wymaga talentu ze strony śpiewających, im słodszą jest dla ucha, im bardziéj wyprężone i pokaźne ma sytuacye, im więcéj nakoniec ma numerów istotnéj choć względnéj wartości. A taką właśnie jest Norma, oczywiście nie dla śpiewaka, ale dla śpiewaczki sopranistki, jaką właśnie jest p. Lagrange. Ale co z całéj téj opery najwięcéj zdolność śpiewaczek probuje, to niezawodnie *casta diva*, pyszny śpiew o charakterze szlachetnym, rozległy, patetyczny niemal, a spokojny. Jestto śpiéw liryczny żadnym dramatyzmem niezmącony; zbyt odrębnego charakteru od zwykłych dramatycznych aryj, by go się poważyć przemieniać, zbyt oryginalny i natchniony pokojem o który błaga, by zniósł jakiekolwiek dodatki. Przecież i tu kompozytor nie mógł się oprzeć pokusie, a może i życzeniom Pasty, dla któréj Normę napisał. Do ritornelli wokalnéj z towarzyszeniem chóru, przyczepił arabeski głosowe, zgrabne to prawda, ale zawsze arabeski; pani Lagrange pewnie mu wdzięczna za nie, bo tu mogła po wysileniu na poprzednią prostotę odetchnąć, bo to właśnie rodzaj śpiewu w którym celuje, ale one źle przystają do początku. Bez nich to *casta diva* jest dla artystki próbą stylu wielkiego, szlachetnego, stylu daleko trudniejszego niż tamten żwawy, namiętny, burzliwy. Takie *cantabile*, wymaga uwydatnienia każdego ździebełka, co już jest rzecz nielada. Że zaś taki śpiéw płynie na tonach długich, więc głos musi je wydać czysto, czująco, by martwo nie brzmiały; śpiewak nie mogący zastosować mnóstwa drobiazgów, które ma w zapasie na każdy groźny sobie wypadek, stoi tu odsłonięty jak żołnierz na czystém polu. Otoż panu powiedziałem pokrótce, dlaczego Nor-

ma, a w niéj *casta diva* są probierczym kamieniem śpiewaczki. I w sam raz skończyłem, bo już znów podstrajają skrzypce. Ale jeszcze nie grają, to powiedzże nam pan ale szczerze, jak się panu zdaje pani Lagrange?

— Mniéj mi się podoba niż w Napoju Miłosnym; tam jakoś więcéj było ognia, tu jak dotąd chłodno idzie opera. Wprawdzie w tercecie mnie zachwyciła, ale ja się więcéj spodziewałem.

— Teraz ja panu powiem moje zdanie. Najważniejsze chwile dopiéro przyjdą, a co do tercetu o którym pan mówisz; to mnie więcéj zajęła aktorka niż śpiewaczka; na Normę ma głos za słaby i niedosyć imponujący kolorytem. Wprawdzie uczucie, pojęcie głos jéj cieniują i pod tym względem nic jéj do zarzucenia nie ma. Zobaczymy daléj. To gorzéj, że w cantabile mi się nie spisała. Wiesz pan co—rzekł daléj pan Pokrzywa zwracając mowę do mnie—jam to onegdaj z jéj *vibrato* przewidział, że się jéj *casta diva* nie uda.

I wstał, bo podniesiono zasłonę. Zdziwiłem się niepomału, widząc go kilka razy potężne bijącego bravo i niecierpliwie końca czekałem. Gdy nadszedł, wziął mnie pan Pokrzywa za rękę i zmuszając mnie jako narożnego do zejścia z ławki, pchał pod ścianę a tamtego ciągnął. Co mu się stało u licha? pomyślałem.

Gdyśmy nareszcie stanęli, rzekł wlepiając we mnie oczy: —Niech sobie idą, my zaczekajmy chwilę. No! powiedz mi pan teraz, ale szczerze, co pan o niéj myślisz?

— Ja? właśnie pana zapytać się chciałem; pan to doskonale rozumiész.

— A kiedy ja pana proszę, —rzekł—nalegając znowu; jamtyle mówił o różnych rzeczach, powiedz pan téż raz przecie słowo stanowcze. Winieneś mi pan odpowiedź na co innego i nieprzypomniałeś, chociażeś przyrzekł....

— Nie było kiedy.

— No to ja pana zwalniam, ale mi pan powiedz, co mniemasz o pani Lagrange? Inaczéj pana nie puszczę, choćbyśmy tu nocować mieli.

— Ha! jeślić panu idzie o moje skromne zdanie, to panu powiem: Śpiewaczka dobra, lecz popsuta przez publiczność, ale lepsza jeszcze aktorka, i w niéj tonie śpiewaczka jakkolwiek godna uwagi. Ztémwszystkiém nie mieliśmy już dawno takiego połączenia znakomitych przymiotów w jednéj osobie.

— Tegom się po panu spodziewał i najzupełniéj z panem się zgadzam. Winienem jéj kilka chwil bardzo miłych; porwała mnie kilka razy, mnie nawykłego do zimnego rozważania. Wprawdzie w scenie z dziećmi przesadziła; kto tak poskoczył jak ona ze sztyletem, ten powinien był powrócić z nim, ale we krwi zbroczonym. Za to wyborna była w duecie z pojmanym Sewerem.

Wściekłość niepohamowana Normy doskonale wybiegła z gry i ze śpiewu; do takich miejsc *vibrato* zastosować, to rozumiem! Ale więcéj może zajęła mnie w duecie w którym Norma i Sewer rozpamiętują się wzajemnie w ostatnią chwilę życia. Ale gdzie niewątpliwie była najpotężniejsza, to u nóg ojca, gdy go błaga za sobą i dziećmi. Tam cała we łzy rozpłynęła, tam się największą śpiewaczką pokazała, a przynajmniéj najwięcéj effektowo grało jéj *vibrato* jakby śmiertelnemi podskokami głos targające. Tam i aktorka nic pomódz nie mogła, bo twarz u nóg ojca klęcząca ukryła. Jeśli nie wyjadę, to przyjdę jeszcze raz na Normę. Na Cyrulika się spieszyć nie będę, bom pewien, że się niczego nowego nie dowiem. Jeśli pan będziesz, to zważaj pan pilnie na orkiestrę; jest tam szczególniéj jedno miejsce, gdzie pan Quattrini zapomina o niéj zupełnie i tak pędzi tempo, że figura skrzypiec w żaden sposób wypłynąć nie może. A jednak mamy wybornych w orkiestrze skrzypków. Dobra noc panom.

Młodszy żwawo ku wyjściu poskoczył spiesząc się jak mówił na resztę jakiegoś muzykalnego wieczoru, ale starszy stanął, bom go przytrzymał. Spojrzałem na niego znacząco i rzekłem:

— No! panie Dobrodzieju, porzućmy mistyfikacyą; dlaczego pan mnie masz za muzykalnego, czemu chciałeś koniecznie wiedzieć moje zdanie o pani Lagrange?

— Bo pana znam. Nie mówiłżem panu, że znam wszystkich muzyków tutejszych? Co do mistyfikacyi, toś pan sam jéj winien; sameś ją zaczął i podtrzymywał do końca. Jam był szczerszy i powiedziałem prawdziwe moje nazwisko. Co do reszty, pozwól pan sobie zataić ją jeszcze czas jakiś; ale nienadługo, przecież z dzisiejszéj i onegdajszéj rozmowy wielu pozostało maruderów, których pozbierać musimy; będę się starał, by nie poginęli, a pan mi pewnie pomocy nie odmówisz. Ale dzisiaj nic panu więcéj nie powiem—dodał podając mi rękę na pożegnanie. —Niech to będzie jedyną moją zemstą. Mniejsza ona przecież od téj nawet, jaką Henryk IV odpłacił Mayennowi kłopoty, których mu narobił.

J. Sikorski.

Stobnica czy Stopnica?

W poprzednim zeszycie Biblioteki Warszawskiéj zamieścił p. Czarnowski artykuł, w którym powstaje na tych, co zamiast właściwéj podług niego nazwy *Stopnica*, piszą Stobnica. Na dowód swego twierdzenia przytoczył ustne podanie o rozbójnikach, których ślady *stóp* wyciśnięte na śniegu, wskazały miejsce ich

przebywania w wydrążeniach góry, i że w miejscowości téj założono następnie miasto i nazwano je Stopnicą.

Jestto legenda czyli poprostu bajeczka ludowa, która żadną miarą służyć nie może za dowód historyczny i pewnik niezachwiany powstania i nazwy miasta. Tym podobnych powiastek i gadek dałoby się o wielu innych posadach zebrać; lecz czyż za tem idzie, ażeby to, co gmin w swéj wyobraźni wyrobił, (choć nie przeczę, że czasem i cząstka jakaś prawdy mieści się w podaniu) miało służyć za fakt pewny i niczem nie zbity?

Ale wróćmy do głównego zadania, jak się ma właściwie pisać starożytne to miasto: oto Kazimierz W. w przywileju swoim 1360 r. zowie je *Stobnycza*, i wzmiankuje o przyległéj wsi Staréj Stobnicy. Późniejsze nadania i potwierdzenia praw przez królów, jako też lustracye tutejszego starostwa, mianują zawsze Stobnica. Zajrzyjmy do dziejopisów naszych, a znajdziemy: że Długosz, Bielski, Stryjkowski i Naruszewicz piszą Stobnica. *Płata wojska i chleb zasłużonych* 1771 r., zawiera urzędowy spis starostw z wyrażeniem, ile które wnosi kwarty do skarbu Rzplitéj; następują potem: Taryfa hybernowa, Pogłówne żydowskie i Podatek łanowego. Pod temi kategoryami, tak miano starostwa, jak i samo miasto pisane są przez *b*, jakoto: stobnickie, Stobnica. Nakoniec niech stanie w obronie rodzinnego swego gniazda i głośny z nauk professor wszechnicy krakowskiéj Jan ze Stobnicy, który żyjąc w XV wieku pisał się *Stobnicensis*.

Czyż przytoczone tu poparcia niedość są dostateczne, ażebyśmy pisać nie mieli Stobnica, jak to już przed wiekami utorowali do tego drogę nasi prawodawcy i dziejopisarze? Że zaś wieśniak okoliczny wymawia po swojemu *Stopnica*, a nawet i w niektórych książkach zeszłego stulecia znajduje się podobnież mianowana, pochodzi to ztąd, że w potocznéj mowie częstokroć głoska *b* przekręconą bywa na *p*, jak tego mamy dowód na wyrazie łeb. Są bowiem tacy, co mówią, i wbrew zasadom gramatycznym piszą *łep*; toż samo się dzieje i ze Stobnicą.

Przy téj sposobności zwrócę uwagę, jak dla łatwości wymawiania zachodzi przemiana a nawet wyrzutnia głosek w nazwie różnych posad, a ztąd i skaleczenie pierwotnych nazwisk; i tak *Andrzejów* stał się Jędrzejowem, *Janpol* Jampolem, *Płoskirów* Proskirowem, *Teofilpol* Tofipolem, *Milanów* Wilanowem, *Włodzisław* Wodzisławem, *Ilkusz* Olkuszem, i t. d. *Koprzywnicę* mianują niektórzy Pokrzywnicą, a na mappach Galicyi przez Niemców robionych wyryto *Błazów* zamiast Płazów. Dwie te ostatnie zwichnięte nazwy miast, w błąd niejednego wprowadzić mogą; poprzednio zaś wyliczone dobrze już czas utarł.

Tymoteusz Lipiński.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Sędziwy nasz nestor literacki Kajetan Koźmian, ogłosił w Gazecie Codziennéj: Trybunał lubelski; opis nadzwyczaj zajmujący, i wielkiéj wartości dla dziejów naszych. Jestto wyciąg ze wspomnień starca 82-letniego, jak czytamy w nadpisie. Wspomnienia te, biorąc miarę z danego wyjątku, będą nieocenionym nabytkiem do zarysów przeszłości ubiegłéj!—Gazeta Warszawska ogłosiła ciekawy dla dziejów teatru polskiego, „Krótki rys dziejów sceny krakowskiéj" w ostatniém stuleciu; Dziennik Warszawski E. Rulikowskiego nowe materyały do życiorysu hetmana Mazepy.—„W Księdze Swiata" J. Sikorski zamieścił ważną treścią, a zajmującą obrobieniem obszerną rozprawę swoję p. n. „Splecenie muzyki z życiem dawnych Polaków".

— Znany w świecie muzykalnym i literackim, zamieszkały w Petersburgu p. Wiktor Każyński przygotował do druku piosennik p. n. „Przypomnienia starym przyjaciołom". Jestto zbiór piosnek na temata ludowe polskie i litewskie; tekst wzięty z Kraszewskiego, Syrokomli, i. w, i. Pomiędzy nowemi naszych poetów utworami, pomieścił pan Każyński i ową znaną religijną pieśń Karpińskiego: „Kiedy ranne wstają zorze." Niektóre numera będą ozdobione winietami J. Kraszewskiego.

— Wiadomą jest rzadkość drobniejszych pism Marcina Bielskiego, pomiędzy któremi Sprawa rycerska i Sejm niewieści, do białych kruków przez bibliografów naszych są policzone. Donosimy, że oba te pisma w wiernym przedruku wyjdą w „Archiwum Domowém" obok nieznanych dotąd rękopismów z tajnego archiwum króla Stanisława.

— Dzieje Mazowsza od początków do 1526 r. czyli do przyłączenia do Korony dają obraz wielce rozmaity, zajmujący, i nadzwyczaj ważny. Podjął tę pracę dawniéj zmarły Hippolit Kownacki, i ogłosił w Pamiętniku Warszawskim F. Bentkowskiego; od owego czasu przybyły wielkie a nieznane mu materyały, które nietylko znakomicie szczegółami rzecz samą zbogaciły, ale zupełnie inny dziejom tym dają pogląd i stanowisko. Jeden z literatów naszych od lat wielu opracowywa ten przedmiot, i wkrótce podamy w piśmie naszém wyjątki z dziejów Mazowsza, skreślonych podług nowych źródeł.

— Przejrzeliśmy własnoręczny rękopism kazań Albertrandego znanego historyka: zbiór ich wyniesie dwa spore tomy. Nie ma w nich dni i świąt oznaczonych na które były pisane, na czele są tylko teksta krótkie z pisma św. które w kazaniach swoich rozwija. Jest tu kilkanaście kazań w języku francuzkim przez Albertrandego napisanych i powiedzianych.

— Maurycy Wolff drukuje nieznaną powieść Zygmunta Kaczkowskiego p. n. „Mąż szalony". oraz znane z felietonów gazet naszych „Djabła" Kraszewskiego: i „Starościca Wołyńskiego" J. Korzeniowskiego. —Tenże Zygmunt Kaczkowski wykończa powieść p. n. „Wnuczęta" w któréj daleko późniejszą pokazuje epokę, wprowadzając na scenę już wnuczęta owych znanych nam tak dobrze Nieczujów.

— W litografii M. Fajansa, z rysunków P. Matuszkiewicza odbijają się ryciny do 1go zeszytu „Opisu cmentarza powązkowskiego pod Warszawą". Przedstawiają: kościołek powązkowski, katakumby, pomnik Szymanowskich, którzy darowali ziemię na piérwszy zakład tego cmentarza, i grobowiec Jana Majorkiewicza.

— Tomu XXV, N. 1. Roczników Gospodarstwa Krajowego wyszedł z druku i zawiera: Odezwa redakcyi. Niektóre uwagi nad gospodarstwem trzypolowém i przejściem do płodozmiennego wielopolowego;

przez *St. Górskiego.* O drzewie i jego użytkach, przez *B. Alexandrowicza.* Zdanie sprawy Fr. Delessert o odziałaniach kassy oszczędności paryzkiéj za rok 1852. Wiadomość o kongressie statystycznym w Bruxelli 1853 r. O nowéj statystyce Belgii z lat 10ciu od 1840 do 1850 r. Świeżo założona szkoła handlowa w Antwerpii. Wiadomości handlowe, p. H. T. Przedpłatę roczną w kwocie rs. 3 przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i księgarnie.

— We wsi Dębe pod Kaliszem odkryto grób murowany z kamienia, i przykryty płaskiemi kamieniami, w którym były dwie małe urny z czarnéj massy, bronzowa czara i miseczka szklana. Czara bronzowa podobna do łyżki wazowéj z krótszą nieco rękojeścią, otoczona jest u wierzchu obrączką z deseniem delikatnéj roboty, a na rękojeści mały Bachusek spoczywa na winogronach; miseczka jest ze szkła mieszanego kolorowego: urny z delikatnéj lekkiéj czarnéj massy dosyć połyskujące z małym uszkiem, w którém przedziurawienia do drutu, lub sznurka, zawierały spalone kości i popioły. Całe to wykopalisko obecnie jest w Kaliszu w ręku lubownika starożytności krajowych.

— We właściwym czasie donieśliśmy o „Album Kielesińskiego", wydaném w Poznaniu nakładem Żupańskiego. Obecnie ma wyjść zeszyt dodatkowy, który uzupełni prace rytownicze zmarłego, a pełnego talentu artysty.

— Maurycy Orgelbrand księgarz wileński nadesłał do Warszawy popiersie z gipsu znanego poety Syrokomli (Ludwika Kondratowicza) mające się odznaczać nadzwyczajném podobieństwem.

— Zapowiedziane przez nas w przeszłym zeszycie dzieło „Lud Ukraiński pana Marcinkowskiego wyjdzie pod pseudonymem Antoniego Nowosielskiego nie nakładem Teofila Glücksberga, ale sam autor ogłasza prenumeratę w cenie rs. 5 za trzy tomy, zaręczając, że wydanie będzie staranne i duchowi czasu zupełnie odpowiednie.

(Lwów, z listu). „Słownika Lindego druk już się rozpoczął w 2000 egzemplarzach. Wyszła tu broszura, ale tylko w stu egzemplarzach drukowana p. n. „Rajnold Hajdenstejn i Franciszek Bohomolec pisarze żywota Jana Zamojskiego kanclerza i hetmana W. koronnego": z dodaniem kilku ważnych dokumentów. Dlaczego w tak szczupłéj odbito liczbie egzemplarzy nie wiemy, bo wydawca żałował chyba na papier, gdy druk opłacił; w tém widzę tylko owę starych bibliomanów naszych słabostkę, co w naszych czasach tworzą dla przyszłości bibliograficzne rzadkości. —Dokładny słownik francuzko-polski i polsko-francuzki podług najlepszych źródeł przez W. Janusza dwa oddziały w wielkiéj 12.—Jako o osobliwości donoszę, że wyszedł tu także w języku rumańskim kalendarz dla W. X. Bukowińskiego: „Kandariu pentru Dukatul Bukowinù".

(Poznań). Tom 3ci dzieła: „Zbiór wiadomości do historyi sztuki lekarskiéj w Polsce Dr. L. Gąsiorowskiego wkrótce opuści prasę drukarską, nakładem księgarza Żupańskiego: tom 4 i ostatni już jest przygotowany do druku.

— Znany artysta Rodakowski rozpoczął wielki obraz „Wzięcie Chocima", który ma być ukończony na przyszły rok. Rysunek zebrany na miejscu, ma zaletę historycznéj wartości. Obraz przedstawia chwilę, w któréj po nieudaniu się ataku od frontu, Jan Sobieski prowadzi atak od strony Dniestru. Scena jest dramatyczną i wspaniałą.

— Tłumacz poematu Chadży-Abrek, któryśmy umieścili w niniejszym zeszycie, przygotował do druku przekład wierszem tragedyi Oelenschlegera: „Corregio".

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

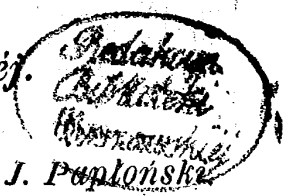

Wolno drukować.— Warszawa, d. 15/27 sierpnia, 1854 r.— *J. Pantoński.*

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Lipiec, 1854.

Lipiec, 1854. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obse**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad po
1g. 14m. 45s., 7 czyli w łuku 18°41'25,"5 m

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	
1		736.96	736.65	738.70	737.92	+ 15 .0	+ 16°.1	+ 13°.4	+ 12°.9	94.0
2		741.32	743.75	745.74	748.15	15.2	19.3	16.5	15.4	84.2
3	☽.	749.78	750.26	750.41	751.11	14.2	20.3	20.0	15.8	72.0
4		751.48	751.63	750.07	749.54	16.7	22.9	24.4	17.3	68.8
5		748.18	747.50	746.24	746.55	18.1	23.3	26.5	19.6	60.5
6		746.72	746.98	747.87	749.24	18.5	25.3	16.5	16.5	75.2
7		749.06	749.10	748.05	748.27	17.4	19.9	22.7	18.7	80.5
8		745.36	744.38	741.98	740.08	19.2	24.2	27.5	20.7	67.5
9		739.70	741.53	740.73	743.77	16.7	18.1	19.7	14.3	82.8
10	○.	746.26	747.33	747.97	748.55	14.1	19.0	22.0	15.3	71.7
11		749.11	749.41	748.23	748.13	15.6	19.7	23.5	14.2	69.8
12		746.92	746.82	744.63	743.69	15.4	19.9	24.4	17.1	66.5
13		741.73	741.59	740.82	741.55	16.6	16.7	18.3	15.5	85.2
14		743.01	744.13	744.50	746.42	14.1	19.0	20.3	17.9	71.3
15		746.92	748.45	748.41	749.54	16.1	19.0	22.8	18.8	78.2
16		749.34	749.28	748.57	747.63	17.3	21.1	21.3	16.9	85.0
17	☾.	745.42	745.64	745.32	745.98	18.1	21.0	22.2	19.8	93.5
18		745.66	746.24	745.83	747.09	19.2	24.0	30.3	22.4	76.5
19		748.35	749.62	750.04	751.72	21.2	25.4	20.6	18.6	87.3
20		752.46	754.26	753.68	754.98	19.2	24.5	26.0	21.8	78.5
21		755.50	755.94	755.08	755.89	19.0	23.6	27.0	21.4	68.2
22		756.80	756.50	755.82	756.77	18.7	23.7	26.9	21.6	63.5
23		757.30	758.00	756.59	756.69	20.8	24.5	28.7	22.6	61.8
24		756.88	757.11	755.97	755.86	21.0	26.3	30.4	23.4	59.2
25	☾.	755.27	754.98	752.91	751.41	22.0	28.0	30.7	22.4	58.8
26		749.92	749.56	748.97	748.71	22.3	27.5	30.2	20.6	68.2
27		748.55	749.29	749.04	749.16	17.1	19.6	22.6	16.1	71.3
28		749.76	750.23	749.53	751.26	15.5	20.0	21.6	15.8	56.7
29		752.81	753.21	753.42	754.31	12.3	17.3	17.4	13.3	65.0
30		755.26	755.24	753.85	753.73	14.1	16.8	20.8	14.6	57.8
31		753.75	753.43	752.58	752.17	13.7	18.8	24.0	15.6	62.0
śre.		748.888	749.298	748.760	749.222	+ 17°.22	+ 21°.45	+ 23°.20	+ 17°.97	72.3

Obserratoryum Astronomiczném Warszawskiém.

d poiom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w c
"5 rschód względem południka paryzkiego.

Wilgotność na 100 cz. Średn. dziennа	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				W
	6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	s
94.0	och. dész.	dészcz	dészcz	dészcz	—	Pd.	PdZ.	Z.	
84.2	ogodny	smugi	poch. dész.	pr. pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	
72.0	mugi	smugi	lek. pochm.	pochmurny	—	Z.	Z.	—	
68.8	ek. pochm.	pochmurny	pogodny	pogodny	—	Pd.	PdW.	—	
60.5	ogodny	pogodny	pr. pogodny	pr. pochm.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	
75.2	ek. pochm.	lek. pochm.	dészcz	poch. dész.	PdW.	PdW.	PnZ.	Z.	
80.5	ochmurny	poch. dész.	lek. pochm.	pogodny	PnW.	PnW.	Z.	—	
67.5	ogodny	pogodny	pogodny	pochmurny	W.	PdW.	PdW.	P dZ.	
82.8	ochmurny	pochmurny	pochmurny	dészcz	PdZ.	Pd.	Pd.	Z.	
71.7	ek. pochm.	napół pog.	pr. pochm.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.	
69.8	ogodny	napół pog.	napół pog.	napół pog.	—	Z.	Z.	Z.	
66.5	ogodny	chm. miej.	pr. pogodny	pr. pochm.	PdZ.	PdZ.	PdW.	PnW.	
85.2	ochmurny	pochmurny	pochmurny	napół pog.	W.	PnW.	Pn.	Pn.	
71.3	r. pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	PnZ.	PnZ.	Pn.	
78.2	ochmurny	pochmurny	lek. pochm	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.	
85.0	ochmurny	pochmurny	pochmurny	poch. dész.	PnZ.	PnZ.	Pn.	Pn.	
93.5	észcz	pochmurny	pogodny	napół pog.	Pn.	Pn.	PnZ.	PnZ.	
76.5	och. l. mg.	pr. pogodny	pr. pogodny	pogodny	—	Pn.	PdW.	PnZ.	
87.3	ogodny	smugi	dészcz	pochmurny	—	PnZ.	Pn.	PnZ.	
78.5	r. pogodny	napół pog.	pr. pogodny	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	—	
68.2	mugi	pr. pochm.	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	PnW.	Pn.	
63.5	ogodny	pogodny	pr. pochm.	pogodny	PnZ.	Pn.	Pn.	—	
61.8	ek. pochm.	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	Pn.	Z.	—	
69.2	ogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	PnZ.	Pd.	—	
68.8	ogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	Pd.	Pd.	—	
68.2	ogodny	chm. miej.	pr. pochm.	pochmurny	—	Z.	Z.	PnZ.	
71.3	ochmurny	pochmurny	pr. pogodny	pogodny	Pn.	PnZ.	PnZ.	Z.	
76.7	ek. pochm.	pochmurny	pogodny	pr. pochm.	Pn.	PnZ.	PnZ.	Pn.	
75.0	ogodny	chm. miej.	lek. pochm.	pogodny	PnZ.	PnZ.	Pn.	PnZ	
77.8	ogodny	pogodny	pochmurny	pr. pogodny	—	—	Pn.	—	
82.0	ogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	Z.	—	—	PnZ.	
82.3									1

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.042	27	8.047
Najwyżéj barometr dochodził d. 23 o g. 10 r.	758.00	28	0.018
Najniżéj — — d. 1 o g. 10 r.	736.65	27	2.554
Średnia zmiana dzienna barometru	2.857		1.266
Największa zmiana dzienna barometru d. 1—2 o g. 10 w.	10.23		4.535
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	748.857	27	7.965
Średnia temperatura Lipca wynosi:	+ 19°.96 C.	+	15°.97 R.
i ta jest wyższa o	1.27 „		1.02 „
od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	+ 18.69 „	+	14.95 „
Największe ciepło było d. 25 o g. 4 w.	+ 30.7 „	+	24.56 „
Najniższa temperatura była d. 29 o g. 6 r.	+ 12.3 „	+	9.84 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.315 „		1.852 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 5—6 o g. 4 w.	10.0 „		8.00 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 24°.8 R. d. 24 po połud.
Minimum: + 8°.1 „ d. 31 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 72.3 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 12.36 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.01 większą od normalnéj.

Ilość wody spadłéj z dészczu wynosi co do wysokości: 120.5 mil. czyli 53.42 lin. par.; ilość ta wody jest o 13.70 lin. par. większa od téj jaka średnio w Lipcu spada.

Dni pogodnych było 9, napół pogodnych 12, pochmurnych 10.
— dészczu 15 (d. 1, 2, 6, 7, 9, 10, 11, 13, 15, 16, 17, 19, 26, 27, 29).
— mgły 1 (d. 18).
— grzmotów 5 (d. 2, 6, 9, 19, 26).
— błyskawic bez grzmotów 5 (d. 6, 8, 11, 18, 26).
Wichrów było 3 (2 Z., 1 PnZ.).
Wiatrów mocnych 10 (4 Pn., 3 Z., 2 PnZ., 1 PdZ.).
Wiatr panujący północno-zachodni, częste były także północne.

Lipiec r. b. w ogóle był dosyć pogodny, ciepły, wilgotny, w dészcz obfity, przeszło o jeden stop. R. cieplejszy niż zwykle. W piérwszych sześnastu dniach przy nizkim stanie barometru, był niepogodny, wilgotny, słotny i dosyć ciepły; w następnych dziesięciu między ostatnią kwadrą a nowiem księżyca i przy wysokim stanie barometru pogodny, suchy i bardzo gorący; średnia temperatura tych 10 dni wynosiła 18.75 stop. R. Najcieplejsze dni były: d. 8, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26. Najchłodniejsze d. 1, 2, 29, 30. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był pogodniejszy niż w stanie średnim; albowiem stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest 5.5:13.5:12.0; w r. b. stosunek tychże dni jest 9:12:10. Dzień 1 odznaczał się szczególnym stanem, gdyż od rana do wieczora dészcz obfity padał; ilość wody spadłéj z deszczu w tym dniu wynosi 12 lin. par. tojest trzecią część całéj ilości miesięcznéj wody. Pod względem wiatrów, te były zmienne, najczętsze były północno-zachodnie; podczas dni gorących, powietrze zwykle było spokojne. Najwilgotniejsze dni były: d. 1, 2, 13, 16, 17; najsuchsze d. 5, 23, 24, 28, 30.

D. 31 ukazała się plama na słońcu.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1854.

Tom czwarty.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LVI.

P
11752

WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNEJ.

1854.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa, d. 14 (26) września 1854 r.

Starszy Cenzor,

RADCA DWORU, **J. Papłoński.**

JAN NARGIELEWICZ

WIADOMOŚĆ
O KOŚCIELE Ś. KATARZYNY
NA KAZIMIÉRZU PRZY KRAKOWIE.

PRZEZ

W. P.

Przystępując do podania wiadomości o kościele i klasztorze XX. Augustyanów pod wezwaniem św. Katarzyny na Kazimiérzu przy Krakowie, musimy się uciec do najdawniejszych podań przywiązanych do tego kościoła; gdyż one tłumaczą nam i myśl wieku, i myśl założyciela, a po części i architekturę téj okazałéj budowy.

Po założeniu i nadaniu prawami miasta Kazimiérza przy Krakowie, pragnął król Kazimiérz W. kościołem ozdobić nowo przez siebie założone miasto. W tym kościele nie miała nigdy ustawać chwała Boga, dla sprawdzenia w życiu i w dziejach narodu słów psalmisty: „Od wschodu słońca aż do zachodu chwalebne jest imię Pańskie!"

Takie zadanie miał budowniczy, i do świątyni założonéj w duchu tego psalmu, miały przytykać dwa klasztory, a zakonnicy tychże mieli się mieniać w kościele na duchownéj straży, tak, żeby chwała Pańska nie ustawała we dnie ani w nocy.

Wielkie znaczenie słów psalmu natchnęło budowniczego równie wysokim pomysłem: zakreślił plan i przystąpił do dzieła. Dzisiejszy wszakże kościół ś-téj Kata-

rzyny jest tylko połową zamierzonego kościoła, i to tłumaczy nam jego strukturę.

Główna nawa, do któréj prowadzi z boku od strony południa bogato ozdobiony przedsionek z ciosu, miała być wspólną nawą kościelną dla obudwu wielkich ołtarzy, z których jeden miał być obrócony ku wschodowi słońca, a drugi ku zachodowi. I taka sama presbiteryalna nawa, jaka od środkowéj części dzisiejszego kościoła wychodzi ku wschodowi, miała i ku zachodowi wychodzić, aby już sama budowa wyrażała słowa psalmu: „od wschodu słońca aż do zachodu chwalebne jest imię Pańskie!" Dzisiejszy boczny przedsionek od strony południa jest tedy rzeczywiście głównem wejściem do kościoła, a gdzie ze środkowéj nawy na zachód wychodzi wielkie okno gotyckie, tam miała przytykać zachodnia nawa presbiteryalna, jak to świadczą w tym kierunku i planie założone pod nią fundamenta.

Osobliwy jednak wypadek przerwał ukończenie téj budowy w zupełności podług pierwotnego planu, jaki dla niéj zakreślono.

Między oktawą Bożego Ciała została z kościoła WW. SS. ukradziona puszka z przenajśw. Sakramentem. Wypadek ten pomieszał bardzo i przeraził pobożnych mieszkańców Krakowa i Kazimiérza; król nakazał ścisłe poszukiwanie surowo, a biskup krakowski nakazał post trzy-dniowy całemu duchowieństwu, i wszędy szukano zguby. Zdaje się, iż tém poszukiwaniem przerażeni sprawcy podrzucili puszkę z przenajśw. Sakramentem, i znaleziono ją w bagnach na Kazimiérzu porzuconą, a ks. biskup przeniósł ją napowrót do fary WW. SS. w uroczystéj processyi całego duchowieństwa na wielką radość licznie zewsząd gromadzącego się ludu.

Wypadek ten skłonił króla Kazimiérza W., iż na przebłaganie niejako świętokradztwa, które zaszło, i dla oddania czci jak największéj przenajświętszemu Sakramentowi w miejscu, gdzie puszka znalezioną została: kazał wystawić okazały kościół pod wezwaniem Bożego Ciała w 1349 r.

Zajęcie się tą nową budową, którą nakazywały względy czasowe, przeszkodziło królowi Kazimiérzowi W. ukończenia kościoła św. Katarzyny podług pierwotnego planu. Wiadomą jest nawet rzeczą, że materyały

już przygotowane do niego użyto na budowę kościoła Bożego Ciała, gdy król życzył tego, aby ten kościół jak najprędzéj stanął, który miał dać w narodzie świadectwo wielkiéj czci przenajświętszego Sakramentu.

Jak największa liczba średniowiecznéj gotyckiéj budowli, tak téż nie został ukończony i kościół św. Katarzyny; brak zaś mianowicie wieży i drugiéj presbiteryalnéj nawy, lubo fundamenta pod oboje założono równocześnie z dzisiejszym kościołem. Pomimo to jednak należy kościół św. Katarzyny do najokazalszych gmachów gotyckich w kraju naszym, tak pod względem ogromu budowy, jako téż pod względem wielkiéj prostoty stylu i ozdób architektonicznych, któremi bogato jest wyposażony, mianowicie przedsionek kościoła.

Główna nawa jest podłużna, i wspiera się na dziesięciu wyniosłych kolumnach, które tkaniną żeber gotyckich przechodzą w sklepienia. Obok niéj idą w całéj długości dwie poboczne nawy o niższych sklepieniach, od filarów i pobocznych ścian zasklepione ozdobnie, i na sposób kaplic oświecone dwoma rzędami okien.

Jak cała budowa kościoła miała wyrażać myśl psalmu plastycznie; tak téż odpowiadała liczba ołtarzy w tym kościele liczbie apostołów. Każdy ołtarz bowiem miał wyrażać jednę cnotę apostolską w pojęciu ewangeliczném; a że dwa zakony miały się na duchownéj straży mieniać przy służbie bożéj: ztąd téż wzięto tę liczbę podwójnie, i 24 ołtarzów zdobiło pierwotnie ten kościół.

Dziś sklepienie głównéj nawy spadło; sklepienia przedsionka i obu naw pobocznych zachowały się dotąd, a sklepienie nawy presbiteryalnéj zostało świeżo odrestaurowane, równie jak cała ta nawa otynkowana aż do posadzki i oszklona na nowo.

Do niéj przytykają od strony północnéj krużganki klasztorne i zakrystya, równocześnie z kościołem postawione; a daléj jeszcze w tym kierunku ciągnie się gmach klasztorny.

Kościół jest obecnie pusty, i nabożeństwo odprawia się po jednéj stronie w krużgankach przez XX. Augustyanów, a po drugiéj w małéj kaplicy, przytykającéj do pobocznéj nawy kościoła od strony południa, która korytarzem jest połączona z klasztorem zakonnic reguły św. Augustyna, gdzie też zakonnice chór swój mają.

Krużganki są jak cały kościół architektury gotyckiéj. Piérwszą jest kaplica Pocieszenia N. P. M., która dziś jest wielkim ołtarzem, gdzie się Sanctissimum przechowuje; jestto kaplica bracka pod wezwaniem Pocieszenia N. P. M. bractwa paska rzemiennego. Tu spoczywa ciało błogosławionego Marcina Baryczki.

Drugą jest kaplica św. Doroty, dzisiaj także kaplicą św. Izajasza zwana, gdyż w niéj znajdują się relikwie św. Izajasza Bonera, niegdyś przełożonego tego zakonu.

Daléj znajduje się w krużgankach tychże ołtarz miłosiernego P. Jezusa, łaskami słynący, a w końcu kaplica czyli kapitularz św. Jana Jałmużnika, szacowny zabytek szkoły niemieckiéj, tak pod względem rzeźby, jakotéż malarstwa.

Od tego ogólnego zarysu budowy klasztoru i kościoła św. Katarzyny, przechodzimy teraz koleją lat kronikę miejscową podług religijnych zabytków, podług miejscowego archiwum bogatego w dyplomata i pomników sztuki, które się dotąd przechowały mimo różnych kolei losów, jakie ten kościół przechodził (1).

Klasztor i kościół pod wezwaniem św. Katarzyny założył tedy, jak mówiłem, król Kazimiérz W. r. 1342, i osadził w nim zakonników św. Augustyna eremitów, których z Pragi czeskiéj do Polski sprowadził. Gdy kamień węgielny pod gmach zakładano, zdjął Kazimiérz W. pierścień z palca i rzucił go pod fundamenta. Piérwotny wszakże erekcyjny przywiléj gdy zgorzał wraz z konwentem, ponawia Kazimiérz W. na dniu św. Marcina biskupa i wyznawcy 1363 r. w Krakowie piérwszy swój przywiléj pożarem zniszczony, mocą którego nadaje zakonowi św. Augustyna na wybudowanie klasztoru

(1) Daty do wiadomości tu podanych są czerpane z archiwum klasztoru xx. Augustyanów na Kazimiérzu, które posiada przeszło 70 dyplomatów oryginalnych, pargaminowych, a nadto jeszcze całą seryą dekretów i oblatowanych aktów, które w treści koleją lat tu przytaczane, posłużyć mogą za wskazówkę i do innego rodzaju studyów historycznych. Starsze dyplomata są tu do tyla opisane, aby znawcy mogli osądzić ich ważność pod względem historyi i archeologii; nowsze dokumenta są tylko w treści podane; a „ex libro Beneficiorum" Długosza wiadomość o klasztorze i kościele św. Katarzyny jest całkowicie wypisana. Rzadko się zdarzy, aby konwent przechował tak cało swoje archiwum; z akt tych możnaby napisać dzieło, a ten krótki nawet opis rzuca światło mianowicie na to, jakto powstawały duchowne majątki, jaką historyą ma już każdy pojedyńczy klasztor.

grunt na Kazimiérzu przy Krakowie, między bramą tegoż miasta Kazimiérza przy moście na Wiśle, i kościołem św. Stanisława na Skałce, uwalniając na wieczne czasy klasztor rzeczony od wszelkich powinności miejskich, od podatków i wszelkich opłat (1).

Tym przywilejem poczynają się właściwie dzieje miejscowe kościoła i klasztoru. Archiwum wszakże klasztorne przechowuje kilka bull i przywilejów odnoszących się do reguły tego zakonu z wieków wcześniejszych (2), a mianowicie:

1) Henryka biskupa ratysb. list, w którym ogłasza bullę Mikołaja IV pap. z r. 1288.

2) Bullę Alexandra IV pap. potwierdzoną przez Klemensa V r. 1310.

3) Przywiléj Karola IV cesarza rzymskiego i króla czeskiego, datowany w Pradze 1353.

4) Bullę Jana XXII pap. potępiającą nauki Jana de Polliaco, datowaną w Awinionie 1320 r.

5) Kopią dyplomatu Fryderyka biskupa ratysbońskiego, który zakonom św. Augustyna w Bawaryi i Czechach udziela odpis bulli Alexandra IV pap. (1254), potwierdzającéj wszelkie przywileje tymże zakonom przez monarchów nadane, lub nadanemi być mające, oraz przepisującéj sposób postępowania rzeczonych zakonów w stosunkach z świeckiemi i duchownemi władzami. Dyplomat ten Fryderyka biskupa ratysbońskiego datowany 1364 (3), a więc w rok po odnowieniu przywileju przez Kazimierza W. danego XX. Augustyanom.

W r. 1378, tojest w lat dopiéro 15 po piérwszym pożarze, został kościół i klasztor znowu odbudowany, i w tydzień po Wielkanocy za zezwoleniem Floryana Morskiego biskupa krakow., poświęconym przez Jana bisk. bodyceńskiego, sufragana krakowskiego.

(1) Dyplom na pargaminię; pieczęć majestatyczna na czerwonym z białym sznurku, zniszczona. Świadkowie: Jan krak., Wilczko sandom. kasztel.; Jan sandom., Jędrzéj krak. wojew.; Jan krak., Floryan łęczyc. kanclerze, Mik. Bohemus Notarius nadw.

(2) Wszystkie te bulle i przywiléj w kopii w jednym dyplomacie umieszczone, dotyczą zakonów ks. Augustyanów w Niemczech, mają jednak moc obowiązującą i dla prowincyi polskiéj tego zakonu. Kopia zdaje się być z początku XVI wieku.

(3) Kopia na pargaminie bez pieczęci.

W r. 1387 w dzień św. Bartłomieja, w Nowém-Mieście (Korczynie) Władysław Jagiełło nadaje klasztorowi św. Katarzyny na własność ogród swój na Błoniu przy Kazimiérzu (1).

W r. 1394 w dzień św. Jana Chrzciciela w Krakowie, Władysław Jagiełło nadaje klasztorowi św. Katarzyny 2 łany na gruntach czyżowskich przy Kazimiérzu (2).

W r. 1395 w dzień św. Szczepana, Tomasz biskup chełmski, sufragan Bodzanty bisk. krakow. poświęcił kaplicę św. Doroty.

W r. 1396 w oktawę Wielkiéjnocy w Sandomierzu, Władysław Jagiełło nadaje Mikołajowi Bonerowi, przełożonemu mennicy, za zasługi jego, wieczyste prawo na 4 górników (otroków, parobków) do zup wielickich, z tym dodatkiem, że gdyby w oznaczonym szybie zabrakło soli, ma być jemu i potomkom jego na wieczyste czasy przez podkomorzego krakow. z uwiadomieniem zupników wielickich wyznaczony szyb nowy na wyżéj rzeczonych 4 górników. Przywiléj ten jest ważny. bo przechodzi następnie na własność klasztoru św. Katarzyny (3).

W r. 1399 w dzień św. Michała na Kazimiérzu, konsulowie m. Kazimiérza pozwalają konwentowi zakupywać miejsca dla rozszerzenia klasztornych zabudowań.

W r. 1420 w wigilią Oczyszczenia Najświętszéj Panny Maryi w Krakowie, Gniewosz z Dalowic z Elżbietą małżonką nadaje klasztorowi ś. Katarzyny łąkę, Olszówkę zwaną, położoną przy drodze wiodącéj z Krakowa do Wieliczki.

W r. 1423 w wigilią Oczyszczenia Najświętszéj Panny Maryi w Krakowie, Wojciech (Jastrzębiec), bis. krak. odnawia list pasterski swego poprzednika Piotra (Radolińskiego) przypadkiem zagubiony, a przepisujący usta-

(1) Świadkowie: Spytko krak., Sędziwój kaliski, Jan Ligęza łęczycki wojew.; Piotr Kmita łęczycki kaszt., Krzesław podsędek krak., Petrascius Rozen star. łęczycki, Zaklika kancl. Klem. z Moskorzewa podkancl.

(2) Świadkowie: Spytko krak., Jan sandom., Sędziwój kaliski., Jan Ligęza łęczycki wojew.; Krystyan sandom., Krystyan sandecki kasztelanowie.

(3) Świadkowie: Jan z Tarnowa sandom., Spytko z Mielsztyna krak. wojew.; Krystyan sandom. Jan wiślicki kaszt.; Albert z Wamborka sędz.; Prandota podsęd. sandom.; Klem z Moskorzowa podkanclerz.

wy dla bractwa Najświętszéj Panny Maryi przy kościele św. Katarzyny (8).

Jak się okazuje z aktu Mik. Kruseniusza, wizytatora apostolskiego dla zakonu XX. Augustyanów do prowincyi polskiéj zesłanego, istniało bractwo literackie św. Moniki, także pod tytułem: Gloriosissimae V. M. znane, przy kościele św. Katarzyny już od r. 1423, za zezwoleniem ówczesnego biskupa krakowskiego. Wizytator apostolski potwierdził to bractwo r. 1629, jak to niżéj przytoczony akt dowodzi, bo Urban VIII papiéż polecił to bractwo osobliwéj jego pieczy i protekcyi.

Ustawy obowiązujące bractwo, trudniące się naukami, były głównie następujące: mieli obowiązek co niedziela i święto śpiewać officium s. de B. V. M. zwane Maturą, przyczém wszyscy bracia musieli być obecni, tudzież za pomyślność rzeczypospolitéj polskiéj odmawiać 5 Ojcze nasz, 5 Zdrowaś; w suchedni odmawiać Offic. Defunct. za braci, mszą żałobną odśpiewywać, ciała ich w jednym grobie chować, i następnie exekwie odprawiać; ofiary w tym klasztorze dobrowolnie składać; w święta Najświętszéj Panny Maryi z osobliwą solennością ze światłem przy ołtarzu assystować; w czasie adwentu Rorate uroczyście odprawiać; wielki ołtarz swym sumptem ubierać i oświetlać. Nadto obowiązani byli przy zgromadzeniach swoich złoty bieżącéj monety klasztorowi płacić, a klasztór był im obowiązany dawać obszerną izbę do ich posiedzeń, na których seniorów obierali i czynności swoje odprawowali w obecności i pod przełożeństwem każdorazowego przeora zakonu. Przy klasztorze miało bractwo literackie swoje schówki na archiwum, apparata i światło.

W r. 1425 fer. II ante f. s. Joannis w Krakowie, Mikołaj z Brzezia (Lanckoroński, syn Zbigniewa) cum suis

(8) Dyplom na wielkim arkuszu pargaminowym, nieco uszkodzony; z pieczęci zaś na różnobarwnych sznurkach jedwabnych zawieszonych (których według tekstu dyplomatu 5 być miało) dwie tylko pozostały: jedna na czerwonym wosku wytłoczona, podłużna, przedstawiająca osobę biskupa stojącą, pod którą herb Jastrzębiec ma wkoło napis: *St. Jarosłai. epi. laudicensis;* druga okrągła na białym nicianym sznurku zawieszona, na czerwonym wosku wytłoczona, wyobraża św Katarzynę, u dołu herb Wieniawa, wokoło zaś napis: *S. Joannis de elgoth. canonici. crac.* +

fidejussoribus zapisuje klasztorowi św. Katarzyny summę 140 grzywien (1).

W r. 1426 fer. VI post f. Concep. B. V. M. na Kazimiérzu, konwent św. Katarzyny ustępuje Zbigniewowi z Brzezia (Lanckorońskiemu), marszałkowi król. pols., miejsca na wybudowanie domu (2).

W r. 1427 w dzień 11,000 Panien M. w Krakowie, Mikołaj i Jan z Brzezia (Lanckorońscy) bracia, nadają klasztorowi ś. Katarzyny wieś Wróblowice na własność (3).

W r. 1435 w dniu 30 marca w Krakowie, Michał z Czyrli, adwokat wielicki, obywatel krakowski, zapisuje testamentalnie klasztorowi św. Katarzyny prawo służące mu na 4 górników na zupach wielickich, zobowiązując zakon do odprawiania mszy św. codziennie za duszę jego, rodziców i syna w kościele lub w kaplicy przez niego wystawionéj lub wystawić się mającéj (4).

W r. 1435 fer. VI ante Dm. Dnc. ne longe, w Wieliczce, Piotr Szafraniec z Pieskowéj Skały, podkomorzy krak. assygnuje klasztorowi św. Katarzyny posiadanie prawa na 4 górników w zupach wielickich, wedle treści przywileju króla Władysława i testamentu Michała z Czyrli.

W r. 1435 dnia 2 kwietnia w Bazylei, generałowie 4 zakonów, t. j. ks. Dominikanów, Franciszkanów, Augustyanów i Karmelitów zebrani, przepisują postępowanie i wzajemne stosunki między rzeczonemi zakonami (5).

W r. 1436 fer. IV post f. s. Doroth. w Krakowie, Piotr starszy wojewoda i Piotr młodszy podkomorzy krakow. dziedzice z Pieskowéj Skały zapisują klasztorowi św. Katarzyny czynsz 8 grzywien na wsi dziedzicznéj Sidzinie przy m. Skawinie, wraz z łąką Giglowką zwaną.

W r. 1436 fer. II post f. s. Simon. et Jud. na Kazimiérzu, Piotr Wieszyn zapisuje klasztorowi zakonu ś. Augu-

(1) Świadkowie: Mikołaj i Piotr z Sirczy, Jan z Ujazd, Tomko z Mysłom: Mik. z Wróblowic.

(2) Świadkowie: Mik. i Jan (Lanckorońscy) synowie, Piotr z Kossosic, Mik. Przechocki, Mik. Grella z Racławic.

(3) Świadkowie: Jan Hanko z Chełmu, Dobiesław z Jeżowa, Zaklika z Biały, Mik. Wroch z Wojsławic.

(4) Świad Mik. Werzing z Śledziowic, Chruskesing obyw. krakow. Henryk z Strzelec, Jan z Popowy z dyecezyi gniezn, Matth. de Nova Eccl., Clericus Vratisl. publ. auctoritate imperialis notarius.

(5) Jestto kopia na pargaminie w XVII w. pisana, znacznie uszkodzona i bez pieczęci.

styna dom swój na Kazimiérzu położony (blizko kościoła na rogu za dzwonnicą stojący) (1).

W r. 1440 w wigilią św. Wawrzyńca na Kazimiérzu, zgromadzenie XX. Augustyanów przy kościele św. Katarzyny przyjmuje od Piotra Hersberg, obywatela krakow. dar 120 grzywien w gotowiznie, i obowiązuje się msze św. na jego intencyą odprawiać (2).

1440 r. Gdy ze wszelkich autentycznych źródeł staraliśmy się korzystać, przytaczamy w tém miejscu, co in Libro Benefic. (3) Długosz mówi o kościele św. Katarzyny.

„*Casimirus II. Poloniae rex, fundata Civitate Casimiria et ex suo nomine appellata, vastitatem ejus et infrequentiam sacris saltem templis et locis impleturus, monasterium fratrum Heremitarum sub regula B. Augustini sub paupertate et mendicitate viventium, anno Domini millesimo trecentesimo sexagesimo tertio, in die s. Martini epis. in praefato oppido Casimiriensi, dato nobili spatio et pro monaterio et pro templo, fundat, novumque ordinem, fratribus ex praga praefati ordinis accersitis, apud regnum suum Poloniae fundat. Templum insuper altae et pulchrae habitudinis et fectum ex cocto latere, Jakszo de Melszthyn, castellanus Cracoviensis, datis trecentis marcis, de domo Leliwa fabricat; in qui fratres ordinis praefati et rem exequerentur divinam, et horas canonicas tam diuturnas quam nocturnas personarent, illudque B. Virg. Catharinae intitulat et dedicat. Quod quidem templum ejusque monasterium in processu temporum et dierum per fratrem — de — dicti monasterii priorem notabilibus fabricis murorum quae etiam in praesentiarum cernuntur, fuit adornatum, sed aere casuali et alieno.—enim de Dalowice, succamerarius Cracov., miles nobilis de domo et familia Strzegomya, thesaurum suum et clenodia pecuniamque et*

(1) Mały dyplom na pargaminie, z okrągłą na rzemyczku pargaminowym zawieszoną pieczątką z literą K., nad którą korona, a po bokach dwie głowy ukoronowane; wokoło napis: *S. Scabinorum.* KAZIMIRIE. CIVITATIS, nieco uszkodzoną.

(2) Dyplom na pargaminie. Z 2 pieczątek na rzemykach pargaminowych, jedna tylko podłużna uszkodzoną pozostała z resztą napisu: *S. Prioris...* KAZIMIRIA +.

(3) Tom III str. 398, 399 opisujący *monasteria.*

aliam nobilem supellectilem per Guilhelmum, ducem austriae, qui in regno Poloniae, mortuo Ludovico, Poloniae et Ungariae rege, assumptus fuerat, et cui Ludovicus ipse, Poloniae et Hungariae rex, filiam suam Hedvigim, minorem natu. in consortem vivens adhuc cum regno Poloniae tradiderat, et cum qua Guilhelmus ipse, dux Austriae, in Cracovia diebus quindecem, priusquam Jagiello, dux Lithuaniae, ad regendum regnum Poloniae accersitus fuerat, matrimonialiter habitabat, sibi et fidei suae creditum, aliis etiam conditionibus congregatum et quesitum, duobus filiis minorennibus et impuberibus distractionem illius, praesertim a filio natu majori Gnevosio, insolenter se jam gerente, et qui usque ad nostra tempora vivens sub certis temporibus in dementiam incidebat, sed nec uxori propriae, ne in alterius viri transiret amplexus, audens credere, illud in monasterium praefatum s. Catharinae et in fidem atque curam prioris monasterii secretius quo poterat nonnisi una virgine antiqua, quae suae consortis erat pedesequa, et quam sibi rebatur fidelem in cista satis lata et ampla deposuit, lata eidem virgini ab omnibus obseratulis dictae cistae clave, data insuper instructione et mandato, ne cuiquam mortalium depositum vulgaret, sed rem usque ad perfectam aetatem filii sui natu minoris Joannis, quem et nos novimus militem satis legalem et qui patri videbatur sua prudenti indole patrem expressurus, nonnisi perfectae aetatis filio Joanni thesaurum praedictum et cistam, in qua continebatur, sibi tamquam paternam haereditatem et in illius necessitates atque utilitates servatum et revelatura et ostensura. Transeuntibus autem et effluentibus in tali mora annis et temporibus plurimis cum praedictus frater prior monasterii s. Catharinae a relicta (vidua?) *Gnevosii succamerarii frequentius requireret, an aliquod depositum apud se et monasterium primum habuissent, et matrona ipsa constanter aliquid virum suum aut se inficiaretur, credens praedictus prior jam nullum conscium depositi superesse, et existimans se opus bonum agere, si thesaurum praefatum et depositum in salutem eorum, quorum fuit, in profectum et necessitatem templi et monasterii convertisset, fundum cistae rupit et omnem thesaurum et supellectilem illi auferens, muros notabiles templi et monasterii ejusque*

officinas construendo convertit, non sine admiratione mortalium, qui prioris praefati ignorantes, unde sumptus procederet quasi providentiam et industriam mirabantur. Dum vero Joannes praefatus Gnievosii aetatem perfectam impleret, virgo illa antiqua, deposito et secreto filio Joanni patefacto, ad monasterium s. Catharinae cum eodem Joanne venit, sed cistam violatam et fractam reperiens, et quo thesaurus in ea conditus conversus esset diligentius inquirens, a priore praefato responsum accepit, omnem illum thesaurum et supellectilem in templi et monasterii necessitates falsa opinione deceptum, quod nemo illius haeres et superstes existeret, expendisse; se nudum et pauperem atque mendicum fore nec sufficere ad illius thesauri aut alicujus ejus partis solutionem: eoque responso usus praefatus Joannes Gnevosii, in sua spe et deposito pno deceptus et illusus, non sine cordis sui grandi amaritudine discessit, recuperationem tanti depositi amplius (cum eam existimaret impossibilem) non requirens. Habet autem monasterium praefatum villam unam eidem monasterio a Sbigneo de Brzezie, regni Poloniae marschalco donatam dictam Wróblowice.

Wróblowicze. *Villa sub parochia de s. Jacobo in Casimiria sita. Cujus proprietas ad Monasterium s. Catharinae ex donatione Sbignei de Brzezie, Regni Poloniae Marsalci pertinet. In qua sunt tantum duo lanei Cmethonales, et quilibet solvit pro censu; item duae hortulaniae habentes agros; item solvit quilibet de laneo ova; item caseos; item gallos; item omnes cmethones sex tantum dies per annum universum laborant proprio curru aut aratro; item taberna una habens agros, de quibus decimatur praeposito s. Jacobi: item praedium coenobiale est, de cujus agris decimatur praeposito s. Jacobi; item omnes agri villae cmethonales, praediales tabernarum, hortulaniarum solvunt decimam manipularem et canapalem pro praeposito s. Jacobi et valor ad sex marcas. Confinat cum Wroblowicze, Luschina, Raysko, Swoszowice.*

Taberna Wroblowicze. *Per Stanislaum de Krzeslawicze nobilem pro monasterio s. Catharinae pro sexaginta marcis coëmpta, habens agros et prata, et solvit pro censu qua-*

tuor marcas, laborat sex dies in anno, ova, gallos et decimam.

Hortulania in Blonye. *Duo lanei agrorum extra muros oppidi Casimir, quae omnia Vladisl. II. Pol. rex, A. D.* 1394 *Mstrio s. Cath. in Eleemosynam contulit et privilegiavit, de quibus solvuntur pro Mstrio sex marcae pro censu et decimae de laneis praefatis.*

Wieliczka, *Oppidum regium, in quo sales effodiuntur et habet illu. Mstrium s. Catharinae in montibus quatuor salicidas sive fusores per Mich. longum militem, Consulem Crac. et advocatum de Wieliczka cum consensu Vladislai I, Pol. regis, Mstrio s. Cathar. perpetuo donatos et inscriptos.*

W r. 1441 fer. II post festum Joan. Bap. na Kazimiérzu, Franciscus, praepositus s. Floriani zapisuje klasztorowi św. Katarzyny miejsce i dom przy tymże klasztorze położone.

W r. 1441 Jędrzéj Borowiec zapisuje klasztorowi ś. Katarzyny dom przy ulicy Krakowskiéj na Kazimiérzu położony.

W r. 1441 w dzień ś. Doroty, prokurator generalny ziemi krakowskiéj łącznie z rajcami miasta Kazimiérza przy Krakowie, potwierdzają zapis klasztorowi ks. Augustyanów przez Kiliana obywatela kazimiérskiego zrobiony, mocą którego tenże czyni darowiznę jednego łanu gruntu przyległego gruntom tegoż klasztoru, a wedle drogi publicznéj do Łagiewnik prowadzącéj, i obok gruntów Czyżowa zwanych położonego, za murami kazimiérskiemi i sadzawką królewską (1).

W r. 1442 sabb. p. f. OO. SS. w Budzie, Władysław Warneńczyk przywilejem exempcyjnym uwalnia dobra Wróblowice i Błonie z pod prawa polskiego, zamieniając takowe na prawo teutońskie (Srodskie) (2).

W r. 1442 we Florencyi, Bartłomiéj de Kmitis de Urbe veteri, kanclerz papiezki, poświadcza 10 bull doty-

(1) Dyplom pargaminowy z 2 pieczęciami na rzemykach pargaminowych zawieszonemi: mniejsza z herbem Odrowąż i napisem wokoło zatartym; druga zepsuta zupełnie.

(2) Świadkowie: Simon agriensis, Mat. bisk. wesprymski, Wawrz. Hederwara palatyn. węg.; Wawrz. z Kalinowy sieradzki, Mikołaj z Ściborza, Władysław, Przedbor z Koniecpola Rospierski kaszt., Piotr Skóra z Gaju sędzia, Jan z Koniecpola kancl. i Piotr z Szczekocina podkanclerz.

czących zakonu ś. Augustyna: bulle Innocentego IV. (1254), 2 bulle Alexandra IV (1255 i 1260), bullę Klemensa IV. (1265), 2 bulle Bonifacego VIII. (1297), bullę Klemensa VI. (1342), bullę Innocentego VI (1352), bullę Bonifacego IX (1400), bullę Eugeniusza IV (1442) (1).

W r. 1443 w dzień ś. Jana na Kazimiérzu, Wojciech z Luboczy odstępuje klasztorowi XX. Augustyanów 2 półłanki gruntu na Czyżowy, za co się msze na jego intencyą odprawiać mają (2).

W r. 1443 f. r. p. f. s. Barbar. na Kazimiérzu, Katarzyna Czypczyna z córką zapisuje klasztorowi ś. Katarzyny pół łanu na Czyżowéj.

W r. 1443 w czerwcu w czasie trzęsienia ziemi, które się czuć dało gwałtownie w Krakowie, spadło sklepienie w kościele ś. Katarzyny (3).

W r. 1444, 2 marca, Michał Sarna obywatel Kazimiérski, sprzedaje klasztorowi ś. Katarzyny za 18 grzyw. pół łanu na Czyżowéj, położonego przy drodze myślenickiéj i gruntach skawińskich.

W r. 1448 dnia 1 lipca w Krakowie, Baptysta de Roma nuncyusz papiezki z władzą posła w królestwie polskiém, potwierdza ustawy bractwa Najświętszéj Panny Maryi przy kościele ś. Katarzyny (4).

W r. 1450 f. II. p. Dm. Oculi, w Krakowie, Kazimiérz król polski, nadaje Mikołajowi z Brzezia (Lanckorońskiemu) marszałkowi król. polskiego, wyspę (kępę) na Wiśle pomiędzy zamkiem królewskim a kościołem ś. Stanisława na Skałce położoną (na mocy którego nadania tenże Mikołaj w r. 1458 wyspę tę klasztorowi XX. Augustyanów na Kazimiérzu zapisuje) (5).

W r. 1450 dnia 4 września w Sienie, Julian de Salem z Sycylii, generał zakonu ks. Augustyanów, nakazuje temuż zakonowi krakowskiemu (Carchoviae) odprawiać

(1) Dyplom na wielkim arkuszu pargaminowym, pieczęci szczątki.

(2) Dyplom na pargaminie pięknie pisany i dobrze dochowany; z trzech pieczęci na rzemykach zawieszonych, żadna się nie utrzymała.

(3) Bielski ks. III.

(4) Dyplom na wielkim arkuszu pargam. (W nim powtórzony dyplom wyżéj przytoczony przez Wojc. Jastrzębca r. 1423 nadany). Pieczęć zupełnie oderwana i zagubiona.

(5) Świadkowie: Zbigniew bisk. krak. Jan z Czyżowa kaszt. krak. Jan z Tęczyna wojew. krak., Jan z Oleśnicy wojew. sandom., Przedbor z Koniecpola kaszt. sand. Jan z Koniecpola kanclerz, Piotr z Szczekocina podkanclerz. Dyplom na pargaminie, pieczęci brak.

nabożeństwo za Teodoryka kapłana i współziomka swego, który 1000 zł. i 200 grzyw. testamentem na ten cel zapisał (1).

W r. 1452 f. II. p. f. Vincen. na Kazimiérzu, Stanisław Ziółko sprzedaje klasztorowi dom swój na Kazimiérzu przy ulicy Skawińskiéj położony.

W r. 1454 f. II. post Epif., Krystyn Szolla, konsul miasta Kazimiérza, zapisuje klasztorowi dom swój przy kościele katedry krakowskiéj położony (2).

W r. 1458 dnia 15 grudnia w Krakowie, Mikołaj z Brzezia (Lanckoroński) marszałek król. polskiego zapisuje klasztorowi ś. Katarzyny wyspę na Wiśle przy Stradomiu w takiéj rozległości, w jakiéj mu ją król Kazimiérz nadał (3).

W r. 1459 w Krakowie, Marta wdowa po Bartoszu kupcu krakowskim leguje klasztorowi pół łanu na Czyżowy.

W r. 1459 w Rzymie, Jakób de Muciarellis, camerae apost. generalis auditor, udziela Piotrowi z Krakowa, przeorowi klasztoru XX. Augustyanów transsumpt odpustów do kościoła Najświętszéj Panny Maryi de populo w Rzymie przywiązanych (4).

W r. 1459 Ant. de Laciosis, apostol. cancel. clericus, poświadcza transsumpta bull papiezkich Bonifacego VIII, Urbana VI, Alexandra IV, Marcina V, Eugeniusza IV, dotyczących zakonu ś. Augustyna w ogólności (5).

W r. 1461 w dzień ś. Wita w Krakowie, król Kazimiérz zezwala Stanisławowi Wątróbce na zapisanie klasztorowi czynszu od summy 70 grzyw. na dobrach swych Strzelce (6).

(1) Dyplom na pargaminie, pieczęci brak. (*Vobis et vobis* jednako pisane; nie można więc odgadnąć, komu ten zapis zrobiony).

(2) Dyplom na małym arkuszu pargaminowym, pieczęci brak.

(3) Świadkowie: Stan. Swiradzki pleban kościelecki, Jan syn maroszałka, Stan. Żarnowiecki, Stadnicki. Dyplom na pargaminie, pieczęć derwana.

(4) Dyplom na pargaminie, pieczątki reszta przedstawia wyobrażenie św. Piotra i Pawła.

(5) Pieczęć podłużna na czerwonym wosku, w dolnéj połowie uszkodzona, przedstawia N. P. M., po bokach zaś śś. Wawrzyńca i Michała; napis: *Sigillum an...*

(6) Świadkowie: Jan bisk. Władysław i kanclerz, Dersław z Rytwian sandom. Jędrz. Odrowąż z Sprowy lwows. wojew. Hinko z Rogowa sandom., Piotr z Kurowa lubelski kaszt., Jan z Rytwian sandom. starosta, Jan Lutko z Brzezia S. U. D. archidyakon gniezn. i podkanclerzy.

W r. 1462 dnia 1 września na Kazimiérzu, Jadwiga wdowa po Przecławie rajcy kazimiérskim leguje testamentem klasztorowi dom zwany na Blechu, położony na przedmieściu kazimiérskiém.

W. r. 1463 we czwartek po ś. Marcinie w Krakowie, Ulryk pleban gebułtowski zapisuje klasztorowi czynsz roczny 8 grzywien na połowie sołtystwa swego w Bronowicach pod Krakowem.

W r. 1467 w Wrocławiu, Rudolf biskup lawantyński, poseł papiezki, nadaje na prośby królowéj Elżbiety odpusty kościołowi ś. Katarzyny (1).

W r. 1467 w Rzymie, Guillermus Oltiensis, Alanus Peneltrinus, Nikolaus tituli ś. Ciciliae, Bernardus tit. s. Clementis presbiteri, s. rom. Ecclesiae cardinales, udzielają 100 dni odpustu odbywającym nabożeństwo na cześć Najświętszéj Panny Maryi w kaplicy przy kościele ś. Katarzyny, lub przyczyniającym się do pomnożenia funduszów na utrzymanie téjże kaplicy (2).

W r. 1468 w Rzymie, kardynałowie udzielają 100 dni odpustu bractwu Polaków Najświętszéj Panny Maryi przy kościele ś. Katarzyny (3).

W r. 1468 we wtorek po niedzieli Reminiscere w Krakowie, Zbigniew kanonik krakowski i Andrzej, bracia Oleśniccy obowiązują się klasztorowi XX. Augustyanów płacić rocznego proc. 11 grzyw. od summy 200 grzyw. pożyczonéj i na wsi tychże Oleśnickich, Podolany zwanéj, zabezpieczonéj (4).

W r. 1468 we wtorek po WW. SS. w Krakowie, Kazimiérz i Wacław książęta zatorscy wraz z mieszczanami zatorskiemi zapisują klasztorowi czynsz roczny 12 czerw. złot. na dobrach Zatorze, od summy 180 zł. węgiersk.

W r. 1469, 28 listopada w Krakowie, Janusz Przypkowski robi zapisy klasztorowi ś. Katarzyny na dobrach Przypkowicach i Sosnowicach (5).

(1) Pieczęć na czerwonym wosku, okrągła, z 2 tarczami herbowemi i napisem: *S. Rudolphi dei gracia episcopi Lavantinensis.*

(2) Z kilku pieczęci jedna tylko bardzo uszkodzona pozostała na czerwonym wosku z wyobrażeniem N. P. M.; na boku św. Barbara, i drugie wyobrażenie świętego trudne do poznania; reszta napisu: HI EPI ROTHO...

(3) Szczątki dwóch na czerwonym wosku pieczęci.

(4) Świadkowie: Mik. Dzikowski z Mikluszowic, Stan. Kot z Przybienic, Mik. i Jakób z Polanowic, Piotr z Ossowa, Jędrzéj z Lednicy; pieczęci brak.

(5) Pieczęci brak.

W r. 1472 w Krakowie, Marek kardynał udziela 100 dni odpustu bractwu Najświętszéj Panny Maryi przy kościele ś. Katarzyny (1).

W r. 1472 w Krakowie, Marek kardynał przywiązuje odpusty do ołtarza ś. Anny i Elżbiety w kościele ś. Katarzyny (2).

W r. 1472 dnia 20 października w Krakowie, Mikołaj Bliwicz, obywatel kazimiérski, zapisuje klasztorowi czynsz roczny 2 grzyw. na kamienicy „Piekło" na Stradomiu.

W r. 1473, 4 listopada w Krakowie, Jan prałat przy kościele ś. Michała i Stanisław Wątróbka, bracia, zapisują klasztorowi czynsz roczny 10 zł. węg. od sumy 200 złot. węg. na dobrach swych Górka, Strzelce i Przewóz.

W r. 1482 Przecław z Dmoszyc starosta lubowelski, testamentem leguje klasztorowi 1200 zł.

W r. 1487 dnia 26 czerwca w Krakowie, Prokop i Bernard Przypkowscy bracia zapisują klasztorowi czynsz 3 zł. węg. od summy 61 grzyw. na dobrach Przypkowicach.

W r. 1490 dnia 8 stycznia w Krakowie, Kazimiérz książę zatorski, zapisuje klasztorowi czynsz roczny 5 zł. węg. od summy 100 zł. węg. na Bachowicach lokowanéj.

W r. 1494 w poniedziałek po ś. Trójcy w Krakowie, Piotr z Wisnicza Kmita, marszałek król. polskiego, starosta spiski, zapisuje klasztorowi na dobrach swych Lipniki czynsz roczny 16 grzyw. od summy 1200 zł. węg.

W r. 1495 dnia 15 grudnia w Krakowie, Tomasz Rafałowski zapisuje klasztorowi czynsz 28 zł. 15 gr. od summy 460 zł. węg. na dobrach Zebrzydowice i Brody lokowanéj.

W r. 1505 w Rzymie, Juliusz II papiéż nadaje odpust ołtarzowi ś. Jana Jałm. w kościele ś. Katarzyny (3).

W r. 1510, dnia 27 maja w Krakowie, Machna, księżna raciborska, leguje testamentem klasztorowi na ołtarz w kościele ś. Katarzyny czynsz roczny 10 grzyw. od summy 400 zł. na zupach kraków. za konsensem Zygmunta (4).

(1) Pieczęci brak. (2) Pieczęci brak.

(3) Pieczęć zwykła ołowiana, na jednéj stronie są głowy śś. Piotra i Pawła, na drugiéj napis: IVLIVS PAPA II.

(4) Pieczęci brak. Świadkowie: Maciéj bisk. przemyski i podkanc. Krzysztof z Szydłowca sandom., Jędrzéj z Kościelec wiślicki,

W r. 1512 dnia 25 kwietnia w Krakowie, Stanisław z Brzezia Lanckoroński podchorąży sandomierski i starosta kamieniecki zapisuje klasztorowi czynsz 8 grzyw. od summy 400 zł. na dobrach Szarów, Dąbrowa, Łyszczekanie i Czerców, w celu wystawienia ołtarza ś. Grzegorza w kościele ś. Katarzyny.

W r. 1512 w niedzielę przed ś. Janem Chrzcicielem w Krakowie, Zygmunt król polski zapisuje klasztorowi na zupach wielickich czynsz 30 zł. węg. od summy 1000 zł. węg. przez Elżbietę z Dmoszyc, wdowę po Piotrze Kmicie wojewodzie krakowskim, na kaplicę w kościele ś. Katarzyny testamentem przekazanéj (1).

W r. 1518 w poniedziałek po Kwietniéj niedzieli w Krakowie, Piotr Kmita z Wiśnicza marszałek i starosta przemyślski dodaje za zezwoleniem króla Zygmunta do zapisu powyższych 16 grzyw. wuja swego Piotra, wojewody krakowskiego, jeszcze 4 grzyw., zabezpieczając je klasztorowi na dobrach Lipniku, na sołtystwie tamże będącém.

W r. 1530 w środę po Zielonych Świątkach, Obligatio tabernatoris in Wróblowice (2).

W r. 1533 w poniedziałek po ś. Michale, w Krakowie, Mikołaj Sierakowski obowiązuje się klasztorowi płacić czynsz roczny 16 zł. od summy 400 zł. na dobrach Ziempniowek, Miłonin i Wrzoski lokowanéj (3).

W r. 1534 w poniedziałek po niedzieli Rem., Stan. Górski zapisuje klasztorowi czynsz 5 grzyw. od summy

Jak. z Siechluka wojnicki, Mik. Jordan z Zakliczyna biecki kaszt.; Jan Podlodowski scholastyk sandom. Jan Karnkowski kanon. krak. sekr., Stan. Jarocki marszałek nadw.

(1) Pieczęci nie było, chociaż w akcie jest wspomnianą; jestto więc kopia. Świadkowie: Erazm płocki, Maciéj przemyski bisk. i kanc. Krzysztof Szydłowiecki kasztel. sandom. i podkancl., Mik. Szydłowiecki radoms. kaszt. i podkomorzy krak, Jędrzéj z Tęczyna biecki kaszt., Piotr Tomicki decretorum dr., archidiakon, Jan Karnkowski kan. krak. sekretarze król.

(2) Dyplom w połowie tylko pozostały. Pieczęć okrągła na zielonym wosku przedstawia biskupa siedzącego z sercem w prawém ręku i pastorałem w lewém; po bokach krzesła rozłożone litery S...A. (S. Augustinus) i rok 15..15 (1515), wokoło napis w części dolnéj uszkodzony: *S. Conventus S. Cather... eremitarum S. Aug.*, zawieszona na rzemyczku pargaminowym.

(3) Pieczątki dwie: jedna z herbem Strzemię Mik. Taszyckiego sędziego krak., druga z herbem Wieniawa, Jana Słabosza z Putniowic podsędka.

200 zł. na karczmie w Kunczycach (na tłukach zwanéj) lokowanych.

W r. 1540, dnia 16 sierpnia na Kazimiérzu, Małgorzata, karlica przy królowéj Elżbiecie, robi darowiznę 100 złp. klasztorowi XX. Augustyanów, którzy się obowiązują na jéj intencyą mszą odprawiać (1).

W r. 1540 w Krakowie, Felix i Jerzy Sierakowscy dziedzice dóbr Ziempniówka, Miłonina i Wrzosków, po ojcu Mikołaju ponawiają zobowiązanie się płacenia klasztorowi czynszu rocznego od summy na dobrach tych zapewnionéj (2).

W r. 1550 w poniedziałek po niedzieli Kwietniéj w Krakowie, Zygmunt Aug. uwalnia od opłaty przy spławie drzewa dla klasztoru, Wisłą sprowadzanego.

W r. 1556 dnia 3 maja zgorzał kościół i sklepienie spadło; 24 ołtarzy wraz z bogatemi apparatami spłonęło (3).

W r. 1559 klasztor XX. Augustyanów wynajmuje dom swój, Rajem zwany, przy ulicy Krakowskiéj na Kazimiérzu, Tobiaszowi Foxowi, z zastrzeżeniem rocznego czynszu (4).

W r. 1563 w Piotrkowie 1 lutego, Zygmunt August potwierdza klasztorowi XX. Augustyanów zapisy poczynione przez Przypkowskiego (1469) i przez Kazimiérza i Wacława książąt zatorskich (1470); dnia 3 lutego potwierdza nadanie 2 łanów na Czyżowéj przez Władysława Jagiełłę (1394); dnia 13 lutego zaś darowiznę kępy na Wiśle Mikołajowi z Brzezia (1450) i ustąpienie jéj przez tegoż klasztorowi (1458) (5); dnia 27 lutego potwierdza cztery przywileje (sprzedaż karczmy w Wróblowicach Mikołajowi i Janowi z Wróblowic 1420; sprze-

(1) Pieczęci brak.

(2) Pieczęci dwie: jedna z herbem Strzemię i napisém: S. NICOLAI TASCHICZKI IVDIC. TERE. CRACOV.; druga z herbem Wieniawa ma napis: IOA. SLABOSZ. DE. PVTHNO. SVBIVD. TER. CRAC. Świadkowie: Bernard Maciejowski z Chodel lubelski, Stan. Stadnicki z Zmigroda zawichostski, Piotr z Kopytan warszawski, Piotr Ligęza z Bobrku czechowski kaszt., Winc. Wieruski z Wieruszyc, Krzysztof Niewiarowski z Niewiarowa.

(3) Pruszcz Klejnoty, k. 61.

(4) Pieczątka mała na rzemyku pargaminowym, w połowie uszkodzona, ma resztę litery K i napisu wokoło:... CIVITATIS. KAZ...

(5) Pieczęć koronna na czerwonym wosku, nieco uszkodzona, zawieszona na pargaminowym rzemyku. Podpisał Jan Ocieski kanclerz.

daż między Franciszkiem a Janem i Mikołajem braćmi 1423; zapis klasztorowi Wróblowic przez Jana i Mikołaja 1427; darowiznę karczmy w Wróblowicach przez Dobiesława z Jeżowa (1435) klasztoru ś. Katarzyny dotyczące. We czwartek ante Dm Reminiscere potwierdza 7 przywilejów dotyczących gruntu na polach czyżowskich (Wicher 1430—Klem. Chada 1435—Katar. Czypczyna 1439—Kilian 1441—Wojc. z Luboczy 1443—Katar. Czypczyna 1443—Marta po Janie Bartoszu kupcu 1459).

W r. 1565, 2 kwietnia w Piotrkowie, Zygmunt Aug. w ogóle potwierdza wszystkie przywileje, darowizny, zapisy i uwolnienia klasztorowi XX. Augustyanów poczynione (1).

W r. 1568 w poniedziałek po ś. Michale w Krakowie, sukcessorowie po Spytku Jordanie z Zakliczyna, kasztelanie krakowskim, zapisują klasztorowi XX. Augustyanów dom i ogród położony poza murami Kazimiérza, nad wyspą na Wiśle.

W r. 1578 dnia 31 stycznia, klasztor wypuszcza na dożywocie Baltazarowi Jazdzowiczowi grunt leżący przy ulicy ś. Katarzyny za opłatą czynszu rocznego (2).

W r. 1578 na Kazimiérzu, Jan Mrowiński, rajca kazimiérski, robi zapis 100 złp. dla klasztoru ś. Katarzyny na kamienicy swéj na Kazimiérzu, od któréjto summy czynsz roczny 4 złp. płaconym być ma przezeń i następców jego (3).

W r. 1585 w Rzymie, Grzegórz XIII. papiéż nadaje odpusty ołtarzowi ś. Grzegorza w kościele ś. Katarzyny (4).

W r. 1586 w poniedziałek przed Przemienieniem Pańskiem na Kazimiérzu, Małgorzata Ziemlanka zapisuje klasztorowi dom drewniany z ogrodem.

(1) Pieczęć okrągła na rzemyczku pargaminowym, na czerwonym wosku; herby orła i Pogoni, wokoło napis: SIGISMVNDVS AVGVST. D. G. REX. POLONIAE. MAX. DVX. LITHVA. etc. +. Podpisał Piotr Myszkowski podkanclerz.

(2) Pieczęci dwie: jedna większa na czerwonym wosku wyobraża popiersie św. Katarzyny z napisem wokoło zatartym, jest pieczęcią prowincyała, druga mniejsza klasztoru, z wyobrażeniem św Augustyna; po bokach litery rozdzielone S. A. i rok 15...15...Napis: *S. Conventus S. Katherinae ordinis fratrum Heremitarum S. Aug.*

(3) Pieczęci brak.

(4) Pieczęć zwykła ołowiana na czerwonym i żółtym sznurku.

W r. 1592 w dzień ś. Egidiusza na Kazimiérzu, Jan Kamieński rajca kazimiérski, testamentem leguje klasztorowi czynsz 2 złp. 15 gr. od summy 500 złp. na domu swym zapewnionéj.

W r. 1596 na Kazimiérzu. Z powodu nadużyć Gabryela Wenecyanina, prowincyała zakonu ś. Augustyna, kapituła tegoż zakonu w klasztorze ś. Katarzyny zebrana stanowi, aby nigdy prowincyałem nie obierać cudzoziemca (1).

W r. 1600 na Kazimiérzu, Jan Rucki rajca kazimiérski, zapisuje klasztorowi na swéj kamienicy na Kazimiérzu summę 100 złp. z czynszem rocznym 4 złp.

W r. 1604 zgorzał kościoł i klasztor ś. Katarzyny (2).

W r. 1609 w Krakowie, Franciszek Simoneta, nuncyusz apost. przy dworze Zygmunta III, potwierdza bractwo paskowe przy kościele ś. Katarzyny (3).

W r. 1612 we czwartek po Trzech Królach, Stanisław Ruszkowic rajca m. Kazimiérza zapewnia klasztorowi czynsz roczny 200 zł. na domu swoim na Kazimiérzu, z których 100 z dawniejszéj fundacyi Jana Mrowińskiego klasztorowi przypada, a drugie zaś 100 pochodzą z niniejszego zapisu.

W r. 1613 dnia 2 października w Krakowie, Paweł Dębski biskup laodycejski, sufragan krakowski, potwierdza uczyniony klasztorowi zapis 300 złp. lokowanych przez ks. Stanisława Rudzkiego, podkustosza i altarzysty kościoła katedry krakowskiéj, na realności na Kazimiérzu położonéj, a należącéj do Reginy z Gizowskich Sebastyanowiczowéj (4).

W r. 1615 w Rzymie, Jan Dominik Spinola, protonotaryusz apost., oceniając zasługi zakonu ś. Augustyna, uwalnia go od wszelkich władz duchownych, zostawiając go jedynie pod władzą papiezką (5).

W r. 1616 w dzień ś. Elżbiety na Kazimiérzu, Jan Zmuda ubezpiecza na domu swym i ogrodzie na Kazimie-

(1) Z 6 pieczęci żadna się nie dochowała; tasiemki tylko różnobarwne pozostały.

(2) Kronika Zelnera k. 25.

(3) Pieczęci brak.

(4) Pieczęć na czerwonym sznurku wisząca, na czerwonym wosku wytłoczona, z herbem Prawdzic i napisem wokoło: *Paulus Dembski epi. Laod. suffrag. et administrator Crac.*

(5) Z pieczęci podłużnéj szczątki tylko w puszce pozostały.

rzu legat summy 100 złp. z czynszem rocznym 6 złp. przez Zofią Flawiuszową klasztorowi uczyniony.

W r. 1617 w wilią narodzenia Najświętszéj Panny Maryi na Kazimiérzu, Urszula Rudawska lokuje legowaną klasztorowi summę 60 złp. z czynszem 3 złp. na domu Szymona Wągrowskiego.

W r. 1618 w sobotę przed ś. Jadwigą, Katarzyna Rucka upewnia na domu swym murowanym w Krakowie przy ulicy Grodzkiéj położonym czynsz roczny 24 złp. od summy 400 złp. przez Zaorskiego klasztorowi legowanéj.

W r. 1618 dnia 22 czerwca w Krakowie, Jan Jaskółka zapisuje klasztorowi dom z niektóremi ruchomościami i leguje summę 100 zł. węg., lokując takową z czynszem rocznym 13 zł. na domu Jana Markowicza przy ulicy Krakowskiéj na Kazimiérzu położonym.

W r. 1618 we czwartek przed ś. Marcinem na Kazimiérzu, zapis czynszu rocznego 20 złp. od summy 400 zł. na domu Wąsowska zwanym, klasztorowi zabezpieczonéj przez Wawrzyńca.

W r. 1618 dnia 18 maja w Krakowie, Mikołaj Taranowski kanonik krakowski upewnia klasztorowi summę 300 złp. z czynszem 6 od 100 na domie na przedmieściu w Wieliczce położonym.

W r. 1621 w poniedziałek przed Podwyższeniem krzyża ś., na Kazimiérzu, Samuel z Chorągwicy Łodziński leguje klasztorowi 150 złp. z czynszem 10 zł. 15 gr. lokowanym na kamienicy Mar. Stachnowicza albo Sarkały, przy ulicy Wielickiéj na Kazimiérzu położonéj.

W r. 1623 we czwartek przed ś. Jadwigą na zamku siewierskim, Stanisław Siemoński zabezpiecza summę 500 zł. z czynszem 35 zł. na dobrach Trzebisławice i Sikorka (1).

W r. 1626 we czwartek przed Wniebowzięciem Najświętszéj Panny Maryi na Kazimiérzu, Mikołaj Pikulik zapisuje na domu swym na Podbrzeziu 50 zł. z czynszem rocznym 4 zł.

W r. 1626 we czwartek po ś. Marcinie nastąpiło tranzlokowanie summy 400 zł. zapewnionéj na domu W. Zawadzkiego, na kamienicę zwaną Skowronkowską.

(1) Przywiléj w języku polskim.

W r. 1627 w Rzymie, Grzegórz Narus, protonot. apost., przypomina duchowieństwu całemu bullę Celestyna V. papieża, która członków zakonu ś. Augustyna uwalnia od władz duchownych i świeckich, zostawując ich jedynie swojego zakonu władzom, z rekursem do stolicy apostolskiéj (1).

W r. 1628, dnia 15 marca Fryderyk Cyglar zapisuje 400 zł. z czynszem 8 zł. na kamienicy w Olkuszu.

W r. 1629 w Rzymie, Scipio kardynał Burghesius, bisk. sabiński, rozgrzesza pewnego zakonnika św. Augustyna prowincyi polskiéj, który obowiązków swoich zakonnych zaniedbał (2).

W r. 1629 w Krakowie, Mikołaj Crusenius, Urbana VIII papieża delegat, wizytator zakonu św. Angustyna w królestwie polskiém, ponawia ustawy bractwa paskowego św. Moniki przy kościele św. Katarzyny (3).

W r. 1630 w Rzymie, kardynałowie inkwizytorowie odszczepieństwa udzielają ks. Augustynowi Senecyuszowi, krakowskiemu zakonnikowi św. Augustyna, pozwolenie czytania książek zakazanych (4).

W r. 1630 w Rzymie, Urban VIII papiéż nadaje odpust kościołowi św. Katarzyny (5).

W r. 1630 d. 25 lutego w Krakowie, Anna Rozmusowiczowa wdowa zapisuje klasztorowi czynsz roczny 35 zł. od summy 500 zł. na kamienicy przy ulicy św. Jana w Krakowie lokowanéj.

W r. 1630 w sobotę przed św. Marcinem na Kazimiérzu, Ottilia Staszynowna zakonnica zapisuje klasztorowi część swą dziedziczną na Krowodrzy.

W r. 1632 w Rzymie, Scipio kardynał Burghesius, biskup sabiński, zakonnikowi św. Augustyna z dyecezyi krakowskiéj (którego nazwiska nie wymienia) naznacza pokutę za przewinienia przeciw przepisom duchownym popełnione (6).

W r. 1633 ukończony został klasztor zakonnic reguły św. Augustyna przy kościele św. Katarzyny, który

(1) Pieczęci brak.
(2) Pieczęcl brak.
(3) Pieczęć z czerwonego wosku, na sznurku czerwonym i zielonym zawieszona, wyobraża osobę stojącego biskupa z napisem wokoło: SANCTVS AVGVSTINVS EPI.
(4) Pieczęci brak. (5) Pieczęci brak. (6) Pieczęci brak.

Szymon Mniszek, zakonu Augustyanów prowincyał, za zezwoleniem króla Stefana Batorego budować począł, piérwsza przełożona tego klasztoru Katarzyna Kłobucka daléj prowadziła, a Wiktorya Trojanowska ostatecznie doprowadziła do skutku.

W r. 1637 król Władysław potwierdza wszelkie prawa i przywileje klasztorowi przez poprzedników swych nadane.

W r. 1638 zgorzała biblioteka klasztorna, którą był niedawno (bo 1627 r.) Józef Senecyusz tegoż zakonu prowincyał zbudował.

W r. 1638 w Warszawie, król Władysław potwierdza przywiléj na 4 górników w zupach wielickich klasztorowi XX. Augustyanów przez poprzedników swych nadany, na mocy którego Jan Wiżemberg, sekretarz i administrator, i Alexander z Raciborska Morsztyn, rachmistrz zup wielickich, mają im wyznaczyć szyb nowy do kopania soli, gdy dawny wyszedł (1).

W r. 1639 we czwartek po św. Tomaszu, Katarzyna Boczkowszczonka leguje klasztorowi 400 zł., zapisując je na kamienicy Skowronkowskiéj.

W r. 1640 w środę po niedzieli Invocavit w Krakowie, Stanisław z wielkiéj Lipnicy Lipnicki zapisuje na Górnéj Lenczy summę 1000 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1642 w piątek po nawróceniu św. Pawła w Krakowie, Anna Szembekowa zapisuje klasztorowi summę 1000 zł. z procentem 7 od 100, lokowaną na wsi Górka w województwie krakowskiém.

W r. 1647 d. 12 listopada w Krakowie, Piotr Lopechowski zapisał klasztorowi dom drewniany przy ulicy Sławkowskiéj.

W r. 1648 we wtorek po niedzieli Invocavit w Krakowie, Michał Zebrzydowski zapisuje klasztorowi na wsi Przypkowicach 2000 zł. z procentem 5 od 100.

W r. 1649 Jan Kazimiérz król polski potwierdza wszystkie przywileje i nadania klasztorowi przez swych poprzedników poczynione (2).

(1) Dyplom w języku polskim na papierze, pieczęć koronna większa na opłatku; przywiléj nieco uszkodzony, ale jeszcze czytelny.

(2) Przywiléj ten Jana Kazimiérza, jako też i królów następnych: Władysława, Michała, Jana III i Augusta II złożono w oryginale w urzędzie cyrkularnym w Ludwinowie r. 1782, jak to poświadcza kwit tamże na to wydany.

W r. 1650 w Rzymie, Innocenty X papiéż nadaje odpusty kościołowi św. Katarzyny (1).

W r. 1664 we środę po św. Małgorzacie w Krakowie, Jan Dąbrowski zapisuje klasztorowi na wsi Kempanowie w województwie krakowskiém summę 500 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1667 w sobotę po św. Mateuszu w Krakowie, Adam Jerzy z Rajska Rajski zapisuje na wsi Rajsko w księztwie zatorskiém summę 500 zł. z procen. 7 od 100.

W r. 1670 w piątek przed św. Bartłomiejem na Kazimiérzu, na kachale żydów kazimiérskich 6,700 z procentem 7 od 100.

W r. 1671 król Michał potwierdza prawa i przywileje klasztoru św. Katarzyny.

W r. 1673 w Rzymie, Mikołaj kardynał uwalnia od kary Alexego Opornowskiego, prowincyała zakonu św. Augustyna, za postępek niemoralny nań wymierzonéj (2).

W r. 1674 d. 24 września w Krakowie, Grzegorz Dobiński zapisuje na kamienicy przy ulicy Grodzkiéj summę 2000 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1675 we wtorek przed Ofiarowaniem Najświętszéj Panny Maryi w Krakowie, Franciszek Biberstein Starowiejski zapisuje klasztorowi na wsi Tłuczan w księztwie zatorskiém 1000 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1675 we środę po św. Katarzynie w Krakowie, Stanisław Kalinowski zapisuje klasztorowi na wsi Sławkowicach w województwie krakowskiém summę 1200 złotych.

W r. 1676 Jan III król polski potwierdza wszystkie prawa i przywileje klasztorowi służące.

W r. 1676 we wtorek po św. Krzyżu na Kazimiérzu, zapisano na kachale żydów kazimiérskich summę 4000 zł. z procentem 8 od 100.

W r. 1682 w poniedziałek po niedzieli Judica w Krakowie, Bonawentura Bryganty rajca krakowski, czyni zapis klasztorowi summy 1000 zł. z procentem 60 zł.

W r. 1685 d. 7 września w Krakowie, Władysław na Raciborsku Morsztyn, kowalski starosta, rachmistrz zup wielickich, naznacza XX. Augustyanom nową komorę

(1) Pieczęci brak.
(2) Pieczęci brak, puszka tylko próżna została.

solną, wynalezioną de novo, nazwaną święty Augustyn. W r. 1685 we wtorek po św. Michale w Krakowie, zapisano w aktach zamku krakowskiego na kachale żydów kazimiérskich summę 2000 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1687 w sobotę po Trzech Królach, Jan z Dębian Dębiński zapisuje klasztorowi na wsi Tory i Polichno w województwie krakowskiém summę 12000 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1687 w dzień św. Wita i Modesta w Krakowie, Jan Leszkowic, mansyonarz katedry krakowskiéj zapisuje klasztorowi ogród Dubielowski (7 zagród) na Łobzowie.

W r. 1692 po niedzieli Invocavit w Krakowie, Mikołaj z Brzezia Rusocki zapisuje klasztorowi na wsi Tomicach w księztwie zatorskiém summę 1500 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1694 w poniedziałek po niedzieli Rogationum, Michał Radwan z Chorągwicy Łodziński zapisuje na wsi Osep w województwie sandomierskiém summę 3000 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1695 w sobotę po niedzieli Judica w Krakowie, Teodora Boratyńska, Katarzyna Krasowska i Apolonia Gnoińska zapisują na wsi Giebułtowie pod wielkim Xiążem w powiecie krakowskim summę 1500 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1695 w piątek po Wielkiéjnocy, zapisano w aktach zamku krakowskiego na kachale żydów kazimiérskich summę 3000 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1695 w piątek po niedzieli Invocavit w Krakowie, Joachim z Pisar Pisarski zapisuje na wsi Pełczyska pod Wiślicą 2000 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1695 d. 20 września w Krakowie, Mikołaj Alexander Schedel, ławnik krakowski, zapisuje na swéj kamienicy w rynku Krakowa summę 1108 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1696 w dzień św. Walentego, zapisano w akt. urzędu województwa na kachale żydów kazimiérskich summę 3000 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1697, August II król polski potwierdza klasztorowi wszelkie prawa i przywileje.

W r. 1697 w Krakowie, August II król polski uwalnia klasztor od opłaty spławu drzewa na potrzeby kla-

sztoru Wisłą sprowadzanego, potwierdzając téjże treści przywiléj Zygmunta Augusta.

W r. 1698 d. 6 września w Krakowie, Agnieszka Michurska zapisuje klasztorowi ogród na Czarnéj Wsi pod Krakowem, mający zagonów 29.

W r. 1697 w Rzymie, Innocenty XII papiéż odpowiada na prośbę o unieważnienie wyboru prowincyała zakonu św. Augustyna prowincyi polskiéj, na kapitule w Krasnostawie wybranego (1).

W r. 1701 w piątek po niedzieli Judica w Krakowie, Michał Radwan z Chorągwicy Łodziński zapisuje klasztorowi na wsi Palczowice i Smolnie w księztwie zatorskiém summę 3000, z procentem 7 od 100.

W r. 1701, d. 9 listopada na Nowéj Wsi, Zuzanna Młoczkowska zapisuje klasztorowi ogród Sobolerzowski na Nowéj Wsi królewskiéj pod Krakowem, summę 600 zł. z procentem 5 od 100.

W r. 1702 w sobotę po niedzieli Misericor. w Krakowie, Jędrzéj Jakliński zapisuje klasztorowi na wsi Frydrychowicach w księztwie zatorskiém 1000 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1702 d. 14 października w Krakowie, Andrzéj Bajorkiewicz, obywatel krakowski zapisuje klasztorowi sklep w Sukiennicach.

W r. 1702 w poniedziałek po Trzech Królach w Krakowie, Bogumił z Werbna Pawłowski zapisuje klasztorowi na wsi Aleksandrowice, w powiecie chęcińskim, summę 2000 zł. z procentem 6 od 100.

W r. 1704 we środę po niedzieli Exaudi w Krakowie, Jan z Leśniowa Leśniowski zapisuje klasztorowi summę 718 zł., lokując ją na wsi Wierzbicy w województwie krakowskiém.

W r. 1704 we środę po św. Małgorzacie w Krakowie, zapisano na kachale żydów kazimiérskich 3000 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1704 we środę po św. Małgorzacie w Krakowie, Jędrzéj Jan z Żydowa Żydowski zapisuje klasztorowi na wsi Bączynie w województwie krakowskiém 1000 zł. po 5 od 100.

(1) Pieczęć zwykła ołowiana.

W r. 1709 d. 2 września w Pawlikowicach, Jakób Władysław Morsztyn starosta kowalski, rachmistrz zup wielickich, wyznacza XX. Augustyanom komorę nowo znalezioną za kaplicą św. Antoniego, nazwaną św. Augustyn, do 4 ich łojów, wolne im dając téj komory używanie, dopókąd soli stanie.

W r. 1711 w wilią św. Mateusza, w Krakowie, Alexander Chełmski zapisuje summę 10000 zł. na wsi Niedźwiedź w województwie krakowskiém.

W r. 1713 d. 19 grudnia w Krakowie, Barbara Łącznikiewiczowa zapisuje na swéj kamienicy przy ulicy św. Jana 1000 zł.

W r. 1714 w Rzymie, Mikołaj Spinola arcybiskup tebański, wyrokuje w sprawie między klasztorem św. Katarzyny i klasztorem XX. Paulinów na Skałce, wytoczonéj z powodu zaszłego sporu między zakonnikami tychże klasztorów (1).

W r. 1718 d. 9 marca w Krakowie, Stanisław Szymański rajca krakowski lokuje na sklepie Cyglerowskim przy Sukiennicach w Krakowie 500 zł. z prowizyą 5 od 100, zapisując je klasztorowi.

W r. 1726 we czwartek po św. Małgorzacie w Krakowie, Katarzyna z Kumorowa Grudzieńska zapisuje na wsi Słomie; Jan z Kownut Komecki zaś na wsi Niegoszowicach (pod Krakowem 2 mile) 1000 zł. z procentem 6 od 100 dla klasztoru XX. Augustyanów.

W r. 1729 w wigilią św. Mateusza w Krakowie, Konstancya księżna Lubomirska zapisuje klasztorowi św. Katarzyny summę 1500 zł. po 7 od 100, lokując ją na wsi Szyku w województwie krakowskiém.

W r. 1729 w sobotę po św. Franciszku, Jan i Józef z Rzeczycy Olszewscy zapisują klasztorowi 1000 zł. z procentem 7 od 100 na wsi Węgrzynowie pod Wielkim Książem.

W r. 1733 we czwartek po św. Magdalenie, Samuel Starowiejski zapisuje klasztorowi 3000 zł. z procentem 7 od 100, na wsi Tomice w księztwach zatorskiém i oświecimskiém.

(1) Pieczęć owalna na opłatku wytłoczona, ma herb Spinolów i napis: NICOLAVS SPINOLA ARCHIEPVS. THEBARVM. CAVS. CVR. CAM. AP. GNLIS. AVD.

W r. 1736 w Warszawie, August III król polski potwierdza prawa i przywileje klasztorowi św. Katarzyny (1).

W r. 1738 w poniedziałek po Nowym Roku, Józef z Dydnia Dydyński zapisuje na wsi Gogolowie w powiecie pilznieńskim summę 2000 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1739 w poniedziałek przed św. Łukaszem w Krakowie, Kazimiérz z Bnina Smigielski zapisuje klasztorowi summę 1500 z procentem 7 od 100, lokując ją na wsi Borku w województwie krakowskiém.

W r. 1750 w poniedziałek w dzień św. Jadwigi, Anna Kiełczewska zapisuje klasztorowi św. Katarzyny 1000 zł z procentem 3 od 100, na wsi Grabie w województwie krakowskiém.

W r. 1751 w poniedziałek przed św. Małgorzatą w Krakowie, Józef z Wilkonic Wilkoński zapisuje XX. Augustyanom 3000 zł. z procentem 7 od 100 na Stryszowie w księztwie zatorskiém.

W r. 1752 we czwartek po Zmartwychwstaniu Pańskiém w Krakowie, Jan Mościcki zapisuje na wsi Jankowie w województwie krakowskiém 1000 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1760 we środę po niedzieli Jubilate w Krakowie, Damian Starowiejski zapisuje 1000 zł. z procentem 5 od 100 na wsi Libiertów w województwie krakowskiém.

W r. 1761 w Warszawie, dyplom na pargaminie przygotowany do podpisu Augusta III, w celu potwierdzenia praw i przywilejów klasztorowi św. Katarzyny służących.

W r. 1761 we czwartek po św. Modeście i Wicie, w Nowém-Mieście Korczynie, Teressa z Zborowa Lubieniecka zapisuje klasztorowi XX. Augustyanów 15,000 zł. z procentem 7 od 100, lokując je na wsiach Łąki i Lipiny w powiecie pilzn.

W r. 1763 we wtorek po niedzieli Laetare w Krakowie, Jan z Bystrzanowic Bystrzanowski zapisuje na wsiach Owczary i Górna Górlica czyli Górna Wieś w powiecie krakowskim summę 1000 złp. z proc. 5 od 100.

(1) Pieczęć wielka koronna wytłoczona na opłatku. Podpis króla i Kazimierza Młockiego sekretarza.

W r. 1764 w piątek przed niedzielą Exaudi w Oświecimie, Warcin z Górnéj Kleczy Rottermund zapisuje klasztorowi 500 złp. z procentem 5 od 100 na wsi Przybradz w ks. zatorskiém.

W r. 1765 dnia 16 kwietnia na Kazimiérzu, Jędrzéj Wolf zapisuje 500 złp. z procentem 5 od 100 na kamienicy swéj na Kazimiérzu.

W r. 1765 w poniedziałek po niedzieli Exaudi w Krakowie, Jan z Żywca i Piaskowéj Skały Wielopolski zapisuje klasztorowi 4000 złp. z procentem 5 od 100, lokując takowe na wsi Bobrek w województwie krakowskiém.

W r. 1765 w piątek po ś. Wicie i Modeście w Krakowie, Stanisław z Korabnik Waxmann zapisuje klasztorowi na wsiach Konary i Kopań w województwie krakowskiém 1000 złp. z procentem 5 od 100; w piątek zaś po niedzieli Judica, 14000 złp. z procentem 5 od 100 na tychże wsiach.

W r. 1766, dnia 28 listopada w Krakowie, zapis 300 złp. na kamienicy przy ulicy Krakowskiéj na Kazimiérzu przez Marcina Rzepeckiego, z procentem 5 od 100.

W r. 1766 we środę przed ś. Marcinem w Krakowie, Szymon z Woli Kmita zapisuje klasztorowi na połowie wsi Chechłowa w województwie krakowskiém, summę 1500 złp. z procentem 5 od 100.

W r. 1766 we wtorek przed ś. Jadwigą w Sączu, Hieronim Sędzimir zapisuje na wsi Łukawicy w województwie krakowskiém, summę 1000 złp. z proc. 7 od 100.

W r. 1767 w sobotę przed niedzielą popielcową w Krakowie, Franciszek Rychter zapisuje na wsi Jasień i Pomianowa w województwie krakowskiém summę 1500 złp. z procentem 5 od 100.

W r. 1767 w sobotę przed ś. Rozalią w Krakowie, Alexander Muszyński zapisuje na wsi Barwałdzie w księstwie zatorskiém summę 2000 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1767 w piątek po Trzech Królach w Krakowie, Floryan z Straszewy Straszewski zapisuje na wsi Łuczyce summę 5000 złp. z procentem 5 od 100.

W r. 1769 we wtorek po niedzieli Remin. w Krakowie, Teressa z Stadnickich Dzianotowa zapisuje na wsi Porębie w województwie krakowskiém, summę 9000 złp. z procentem 5 od 100.

W r. 1772 dnia 5 grudnia w Krakowie, Paulina Pękosławska zapisuje na wsi Rudze w księztwie zatorskiém, summę 550 zł. z procentem 8 od 100.

W r. 1773, dnia 6 maja w Krakowie, Ignacy z Stadnik Stadnicki, starosta nowogrodzki, zapisuje na wsi Łaganów w powiecie krakowskim summę 1000 zł. z procentem 7 od 100.

W r. 1775 dnia 3 marca, w Krakowie, Szymon z Janowic Chwalibóg zapisuje na wsi Sławkowicach summę 2000 zł. z procentem 5 od 100.

W r. 1785, we czwartek po ś. Jadwidze w Krakowie, Antoni Maryani, rajca krakowski, zapisuje klasztorowi na kamienicy przy ulicy Grodzkiéj w Krakowie 2000 złp.

W r. 1786, dnia 26 czerwca w Krakowie, Adam z Pruszyn Pruszyński zapisuje na wsi Waganowicach w województwie krakowskiém summę 11000 złp. z procentem 5 od 100.

W r. 1786, dnia 3 grudnia, w czasie trzęsienia ziemi, sklepienie w kościele ś. Katarzyny porysowało się, a późniéj spadło.

W r. 1782 postradał klasztor Augustyanów największą część swoich funduszów, lokowanych na majątkach częścią do królestwa pruskiego, częścią do cesarstwa Austryackiego przypadłych, a mianowicie:

DO KRÓLESTWA PRUSKIEGO.

Kapitał lokowany na dobrach.

500 złp. lokowanych na Trzebisławicach.

DO CESARSTWA ZAŚ AUSTRYACKIEGO.

200	grzyw.	lokowanych	na Podolanach.
161	grzyw.	—	— Przypkowicach.
180	zł. węg.	—	— Zatorze.
200	zł. węg.	—	— Strzelce, Przewóz i Górka.
460	—	—	— Zebrzydowicach i Brodach.
100	—	—	— Bachowicach.
1,200	—	—	— Lipniku.
3,200	—	—	— zupach bocheńskich.
400	zł. pol.	—	— Dąbrowy.

400 zł. pol. lokowanych na Żempniowku.
300 — — — przedmieściu w Wieliczce.
1,000 — — — wsi Górce.
12,000 — — — wsi Górach.
2,000 — — — Przypkowicach.
1,000 — — — Jankówce.
1,000 — — — Tłuczanie.
1,000 — — — Frydrychowicach.
1,200 — — — Isep.
3,000 — — — Smolicach.
4,500 — — — Tomicach.
1,000 — — — Łenczach górnych.
2,000 — — — Barwałdzie.
1,200 — — — Sławkowicach.
2,000 — — — Janowicach.
1,000 — — — Libiertowie.
500 — — — Rajsku.
1,000 — — — wsi Grabie.
1,500 — — — Oroszkach.
2,000 — — — Gogolowie.
550 — — — Rudze.
300 — — — w Wieliczce.
2,000 — — — Przybradzu.
3,000 — — — Stryszowie.
1,500 — — — Jasieniu.
1,000 — — — Łukawicy.
500 — — — Kępanowie.
1,000 — — — Bęczynie.
15,000 — — — Konarach.
15,000 — — — Łękach.

Zatém odpadło od klasztoru XX. Augustyanów na Kazimiérzu przy Krakowie do religijnego funduszu w Galicyi:

1) grzywien czystego srebra 361
2) zł. węg. czyli duk. 5,340
3) zł. pol. . . . . 79,550.

W r. 1784 odpadła i wieś Wróblowice.

Po tych stratach pozostało dziś z procentów i czynszów tylko 3,620 złp. 14 gr. i grunt pomiędzy dwiema rzekami położony, a ztąd często wylewem Wisły uszkodzony, który łącznie z ogrodami, z miejscami pod zabu-

dowania i na podwórze, oraz z wszelkiemi nieużytkami wynosi 43 morgi. Jednakże pomimo tak szczupłych funduszów, pomimo ponoszenia wszelkich ciężarów, prawie cudem Opatrzności utrzymuje zgromadzenie 12 członków i ratuje ile możności od ostatniego upadku tak wspaniałe gmachy.

Od r. 1802—1809 został kościół obrócony na magazyn rządowy wojskowy i w sposób śpichrza na piątr kilka podzielony, do których nowe okna i wejścia powybijano w starych murach, co tak bardzo osłabiło budowę, że odtąd ruiną stanęła.

Dopiéro w r. 1834 zawiązał się komitet w Krakowie pod protekcyą JW. JM. księdza Karola Saryusz Skórkowskiego b. biskupa krakowskiego, a prezydencyą JW. Kaspra Wielogłowskiego prezesa b. senatu, w celu zachowania od zupełnego upadku téj starożytnéj budowy, i wezwał pobożnych do dobrowolnych składek. W skutek usiłowań tego komitetu, został cały kościół nowym dachem opatrzony i dachówką pokryty, lecz w r. 1836 komitet zawiesił swe czynności i ustała dalsza reparacya, a pozostała reszta z uzbieranych składek, w kwocie złp. 13,265 ulokowaną została na realnościach w Krakowie i jego okręgu.

W r. 1852 zgromadzenie XX. Augustyanów rozpoczęło na nowo reparacyą, i z procentów od kapitałów lokowanych, oraz z dobrowolnych ofiar, wyrestaurowało nawę presbyteryalną o tyle, iż w téj części kościoła nabożeństwo wkrótce odprawianém być może; ułożenie bowiem posadzki, na którą są przysposobione materyały i odświeżenie ołtarza 36 łokci wysokiego, będzie dopełnieniem téj restauracyi. Ale zgromadzenie nie poprzestając na wyrestaurowaniu samego presbyteryum, ma zamiar zająć się w tym roku główną nawą, aby świątynia Pańska z gruzów podźwigniona, dała świadectwo dzisiejszéj pobożności i gorliwości wiernych Chrystusowych.

Z licznych pomników i dzieł sztuki, któremi ta świątynia niegdyś ozdobioną była, pozostały niejako tylko szczątki; ale te szczątki świadczą o dawnéj świetności kościoła i pobożności przodków.

Relikwie SS. Pańskich, które kościół posiada, sprowadził z autentycznemi świadectwami Wojciech Lanckoroński i obdarzył niemi kościół: znajdują tu się relikwie

św. Jędrzeja apostoła, św. Hilaryana męcz., św. Pantaleona męcz., św. Chrystofora męcz., św. Szczepana, św. Maryi Magdaleny, św. Łucyi panny, SS. 10,000 żołnierzy MM., SS. 11,000 panien MM., św. Wojciecha relikwia i część dalmatyki, w któréj był pogrzebiony; daléj św. Lucyusza męcz., św. Anastazyi panny i męcz., św. Innocentego pap. i męcz., św. Peregryna męcz., św. Felicydy panny; daléj znajduje się w oddzielnéj kaplicy trumienka, w któréj są relikwie błog. Izajasza Bonera i błog. Marcina Baryczki.

W wielkim ołtarzu, który przez koleje, jakie kościoł przechodził bardzo uszkodzonym został, przechował się piękny obraz ś. Katarzyny wielkich rozmiarów, prawdziwie kościelnego stylu XVII wieku, a jak się domyślają znawcy, pędzla ks. Lekszyckiego.

* * *

Do południowéj ściany pobocznéj nawy kościoła przypiera z pińczowskiego kamienia wystawiony familijny grobowiec przez Wawrzyńca Jordana Spytka († 1568), pod względem rozmiarów mogący się tylko równać grobowcom hetmana Tarnowskiego i książąt Ostrogskich w Tarnowie, bo wysokość jego zajmuje 30, a szerokość do 22 stóp. Tak całość, jako téż najdrobniejsze szczegóły są w stylu „odrodzenia sztuki", po mistrzowsku wykonane r. MDLVIII.

W kaplicy ś. Izajasza znajduje się w ścianie kamienna tablica grobowa, która znać po podniesieniu jego relikwij tu wmurowaną została, a pierwotnie na posadzie jego grób oznaczała; na niéj znajduje się w konturowym tylko zarysie wizerunek Bł. Izajasza z następującemi napisami w literach gotyckich dokoła kamienia:

A. D. M. CCCC. L. X. X. I. MEN. FEBRU. IX. OBIIT. VENERABILIS. PATER. ISAJAS. SACRAE. THEOLOGIAE. PROFESSOR. Z prawéj zaś ręki mieści się napis z następującém zdaniem przez tegoż w kazaniach swych często powtarzaném: „TEMPUS BREVE, JUDICIUM DIFFICILE" (1).

(1) *Izajasz Boner*, Augustyanin, na cześć którego dawniéj kaplicę św. Doroty nazwano kaplicą św. Izajasza, urodził się roku 1380 w mieście Krakowie z Floryana Bonera i Bronisławy z Brzezia Lanckorońskiéj, z rodziny więc starożytnéj, która tak wiele dobrego czyniła dla klasztoru i kościoła św. Katarzyny. Nauki swe rozpoczął błogosławiony Izajasz pierwiastkowo w akademii kazimiérzowskiéj 1395 r., a około 1406

Najszacowniejszym jednak zabytkiem sztuki średniowiecznéj jest w krużgankach ołtarz ś. Jana Jałmużnika. Jestto ołtarz składający zię z pięciu obrazów szkoły niemieckiéj z XV wieku na złotém tle malowanych. Pierwotnie widać, że był cały w stylu gotyckim ozdobiony, i prawdopodobnie służyły niniejsze 4 obrazy obok środkowego umieszczone za drzwi, a ołtarz był do zamykania urządzony. Koronki gotyckie na złocistém tle obrazów u góry rozpięte, należą do najmisterniéjszych tego rodzaju rzeźbionych ozdób i świadczą, jaką być musiała artystyczna całość tego ołtarza przed teraźniejszą jego restauracyą.

Ołtarz ten jest fundacyi Wojciecha Lanckorońskiego, którego rodzina zdawna była osobliwym dobrodziejem tego zakonu. Zdaje się, że 10 stacyj obrazów męki Pańskiéj, które w krużgankach dokoła są rozwieszone, pochodzą także od niego. Są one także szkoły staroniemieckiéj, lubo wcześniejszéj nieco epoki od obrazów w ołtarzu ś. Jana Jałm., który podług cech jego artystycznych przenieść wypada w czasy przed Albrechtem Dyrerem. Tak ołtarz, jak obrazy stacyi potrzebują restauracyi; należą one do najszacowniejszych zabytków sztuki w Krakowie, a kiedy najgorsze czasy przetrwały, wierzyć w to należy, że dziś właściwie ocenione, nie zniszczeją już do reszty.

Jeżeli te pomniki i zabytki sztuki budzą zajęcie znawców i miłośników rzeczy ojczystych; każdego poczciwie wierzącego musi rozrzewniać pobożność ludu, który się aż dotąd w czasie odpustów w pustym gromadzi i modli kościele, przywiązany do miejsca uświęconego szczątkami SS. Pańskich, pamiętnego czcią pobożnych naddziadów, i słynącego szeroko łaskami, których tu po wszystkie czasy doznawali wierni przed obrazami Najświętszéj Panny Maryi Pocieszenia i miłosiernego Pana

w Jagiellońskiéj został bakałarzem. Na soborze Konstancyjskim dysputował z Hussytami. Napisał dzieła „Magister Sententiarum" i „Comentarii de s. Trinitate", które w pożarze klasztornym zgorzały. Onto będąc przełożonym tego konwentu, przyczynił się wiele do ozdoby kościoła i klasztoru. Jegoto staraniem odmalowano na murze obrazy Najświętszéj Maryi Panny i Pana Jezusa Miłosiernego, które słyną od dawnych czasów cudami, zgromadzają wiernych do opustoszałego kościoła, w celu otrzymania łask Boskich. Umarł r. 1471, a bracia zakonu, dla uczczenia jego świątobliwości cudami stwierdzonéj, wystawili mu nadgrobek z przytoczonym tu napisem.

Jezusa, tudzież przy grobie ś. Izajasza Bonera i Bł. Marcina Baryczki.

* * *

Przed wieki stawiali możni kościoły, dziś dźwiga je z gruzów nie możnych, lecz wiernych pobożność! Dziś dźwiga je grosz wdowi, i z małych ofiar odnawiają się w oczach naszych stare kościoły! Tém świadectwem wieku zachęceni, które o odrodzeniu się religijném, o odrodzeniu się w łasce Boga i kościoła świadczy, niechaj się wierzyć godzi, że się i kościół ś. Katarzyny jeszcze z ruiny podźwignie, kiedy przez wyrestaurowanie nawy presbiteryalnéj już jest dany początek dziełu Bożemu na nowo, kiedy czas upadku kościołów przeminął, a wiek nasz przemyśliwa nad wynagrodzeniem krzywd i szkód, które poprzednik jego kościołowi i ludzkości bezbożnością swoją wyrządził!

KŁOPOTY

STAREGO KOMENDANTA.

PANNA PUŁKOWNIKÓWNA.

(Dokończenie).

Opowiadanie.

III.

Jeżeli czytelniku nie czujesz pewnego wstrętu do ulic brukowanych, a niewyłożonych gładkim marmurem; jeżeli masz dobre nogi, i zechcesz drapać się po pionowych schodach aż na drugie piętro: to proszę za sobą do Kanonii.

Wejdźmy w piérwszą sień od Jezuickiéj ulicy, dosięgnijmy drugiego piętra, i daléjże dzwonić na lewo. Otworzy nam figlarna kuchareczka z czarnemi kruczemi włosami, i takiemiż oczami, uśmiechnie się zalotnie, a gdy spytamy o pana naczelnika Rygorskiego, powié, że jest w domu. Przejdźmy potém przez obszerny bawialny pokój czy tam salon, tylko ostrożnie po narzuconéj sukiennéj ścieżce, bez zmarszczenia jéj, jeżeli chcemy być dobrze przyjętemi od pana Tomasza. Pokój ten o trzech oknach z widokiem na Wisłę, perłowym papierem obity, jest sobie taki, jak wszystkie salony, podobnéj klassy urzędników: duże źwierciadło w ramach w guście rococo, zawieszone między dwoma oknami, niżéj kanapa, przed nią okrągły stół z dziwnie sparaliżowanemi no-

gami, para foteli koło niego, z poczetem 10 krzeseł rozrzuconych po wszystkich zakątkach. W rogu serwantka oszklona, źwierciadłem wyłożona, w któréj odbijają się jak w kalejdoskopie filiżanki, dzbanuszki, herbatniki, nalewki, stoczki, cukiernice i tym podobne drobnostki. Z drugiéj strony, sofa pokryta jaskrawych kolorów kobierczykiem, z czerwoną i pucołowatą twarzą jakiéjś amazonki, daléj znowu komoda jak inne meble mahoniowa, na niéj wielka słoneczna lampa, z pięknie ułożoną papierową umbrelką, dwie kanapki pod oknami, i kilka olejnych obrazów starych bardzo, bo prócz ciemnego tła nic na nich nie dojrzysz. W oknach białe siatkowe firanki, a we framugach od góry do dołu, z jednéj i drugiéj strony, pozawieszane litografowane wizerunki marszałków francuzkich lekko oprawne. To już i wszystko: bo fortepianu, stolików do kart, nigdzie nie dopatrzysz, a nawet i sążnistych portretów gospodarstwa. Otwórzmy teraz drzwi prowadzące do gabinetu pana exnaczelnika. Wprost zaraz, uderzy wasze oczy biurko olszowe na palisander pomalowane, zupełnie takie, jakich po biurach używają. Jest tam pulpit zieloném suknem wybity, szuflada pod nim większa, dwie poniżéj mniejsze, i wysuwany blat do pisania, również suknem pokryty. W pokoju jedno okno także od strony Wisły, z zieloną papierową roletą; we framudze na goździku uczepiony, wisi kalendarz z przedziurawionym grzbietem, i przeprowadzoną jak zawłoka czarną tasiemką do wieszania; na nim nożyczki duże, a około biurka z jednéj i drugiéj strony, po kilkanaście arkuszy konotatek, z porobionemi u góry otworami, również przechylają się ze smutną minką. Obok biurka sofka zielonym safianym wybita, z takąż poduszką; za nią drzwi prowadzące do pokoju żony, a na drugiéj stronie łóżko mahoniowe pana Tomasza z czarną niedźwiedzią skórą na podłodze, dywanikiem u góry, na którym dwa ogromne pistolety od lat 10 nietknięte, patrzą srogiemi otworami w stojącą za łóżkiem szkatułkę, przyśrubowaną do podłogi. Kilka krzeseł trzciną wyplatanych, mały stoliczek w kącie z tacką i karafką bez wody, nizkie poręczowe krzesło, podobno safianem pokryte, a przed biurkiem stojące; stanowią cały sprzęt gabinetu. Na ścianie tylko duży obraz Niepokalanego Poczęcia Maryi, z zawieszoną na łań-

cuszku lampą, krucyfiks na biurku z szczątkami świętych Pańskich, oznaczają pobożne usposobienie gospodarza. Pokój ten, choć obity zielonym papierem w kwiaty, choć miał posadzkę gładziutką, wyglądał jakoś niebardzo porządnie, z téj przyczyny, że niewolno było nikomu z domowych wchodzić do niego, a cóż dopiéro porządkować! Pełno kurzu po wszystkich sprzętach, łóżko nierówno posłane, podłoga brudna, świadczyły o męzkiéj dbałości pana Tomasza. Bo téż powiedzmy pod sekretem, że on sam raniutko słał sobie łóżko i paczką piór starannie zamiatał posadzkę.

Teraz przejdźmy koleją całe zatrudnienia pana Tomasza Rygorskiego, byłego urzędnika kontrolli, a od dwóch lat emeryta. Najprzód przypatrzmy się jego powierzchowności: wysoki, szczupły, w wieku może sześćdziesięciu kilku lat, pan Tomasz już dobrze staro wyglądał. Twarz jego szeroka, krótka, z również szeroko rozłożonemi częściami, wyglądała tak, jakby ją kto wziąwszy jedną ręką za czoło, a drugą pod brodę, ścisnął mocno, i ona w tym stanie pozostała. Włos nizko przystrzyżony, całkiem biały, pokrywał głowę, małe zostawujac czoło; faworyty również siwe i krótkie, przylegały dobrze do obu policzków pożółkłych od starości; szyja długa, ręce kościste, cała postawa nachylona, dowodziły, że większą część swojego życia spędził nad stolikiem. Jak pobożny, pracowity, sumienny i litościwy, tak również był nudziarz i rygorzysta w całém znaczeniu tego wyrazu. Jego zatrudnienia obrachowane na godziny, minuty i sekundy nawet, dzieliły się na zimowe i letnie. Zacznijmy od zimowych:

Godzina 5 rano: naczelnik się budzi, wyskakuje z łóżka żegnając się, kładzie ogromne trzewiki, zapina surdutowy szlafrok, zażywa tabaki i zaczyna pacierze. Mimowolne uszanowanie, i jakieś uwielbienie przejęłoby każdego patrzącego na tego szanownego starca, który dwie godziny prawie, klęcząc w postawie kornéj przed obrazem Bogarodzicy, modli się tak gorąco, tak szczérze i z takiém zapomnieniem o wszystkiém co go otacza. Nieraz téż pani Tomaszowa zniecierpliwiona długiém nabożeństwem, amając jakowyś interes do niego, wpadała z furyą do gabinetu, trzęsąc gniewnie starego za ramię; lecz on ani się obrócił, ani mruknął, tylko jak ta

maszyna kierowana niepojętą siłą, ruszał wargami, przewracając kartki swéj książki. Choćby dom gorzał, choćby płomienie paliły na nim odzież, nie wstał wprzód, dopóki naznaczonych modlitw nie dokończył.

— A to już się zamodlisz mój stary—mówiła gniewnie małżonka—myślałby kto że to aniołek, mój Boże, a broił w młodości! No, no, proszę, modli się przed figurą, a diabła ma za skórą.

— Proszę cię moja Urszulko, co ci téż przeszkadza moja modlitwa?

— Jakto nie przeszkadza, gdy kawa stygnie, i dziesięć razy ją trzeba odgrzewać.

— To na chwałę Pana Boga ofiaruj: On wszystko przyjmie.

— Ty tam wszystko na chwałę obracasz! Trzeba było tak dawniéj mówić, kiedy się to szalało za.....

— Przestań, przestań kobieto! już idę, nie bluźnij!

I pan Tomasz wypijał kawę, umawiał się z żoną co ma być na obiad, odbierał polecenia jakiego mięsa przynieść i powracał do siebie ubierać się. Najprzód się umywał a raczéj kąpał w ogromnéj miednicy stojącéj przy piecu, potém zabierał się do golenia: wyjmował z szuflady biurka toaletkę, dobywał trzy brzytwy, pociągał każdą kilka razy po czerwonéj i czarnéj stronie paska, mydlił twarz systematycznie, ostrożnie, i zaczynał skrobać numerem piérwszym. Dociągnąwszy od ucha do brody, brał drugą, powtarzał tę czynność z drugiéj strony twarzy, kładł ją znowu, bo trzecią dopiéro kończył główną operacyą brody. Myślicie, że to koniec. Gdzie tam! Pociągnąwszy brzytwy na pasku, tym samym porządkiem golił pod włos, i znowu dobywał czwartéj nazwanéj rewizorką, suwał palcem po całéj twarzy, szukając niezgolonéj kępki, poprawiał skrupulatnie, a otarłszy wszystkie cztery numera, chował przyrządy do biurka. Potém mył się powtórnie i ubierał. Ale ale! zapomniałem powiedzieć o ręczniku pana Tomasza: ręcznik ten był podzielony na czternaście równych części wyraźnie zagiętych i przeprasowanych; żeby tam nie wiedzieć jaki wypadek się zdarzył, on nigdy jednego dnia nie zbrudził więcéj jak jednéj części, bo takowy musiał na dwa tygodnie wystarczyć. Ponieważ ręcznik był mały, więc i przedziały nie wynosiły nawet szerokości

dłoni; możecie sobie przeto wystawić, z jaką to oględnością nasz emeryt się obcierał, żeby nie naruszyć następnego dnia.

Ubiór pana Tomasza był prawdziwie urzędowy: biała chustka zimą czy latem, stojące kołnierzyki po uszy, frak mundurowy z zielonym aksamitnym kołnierzem i wstążeczką u guzika, kamizelka sukienna i szarawary wytarte czarne: to jego zwyczajny uniform.

Około pół do ósméj kończył ubieranie się, zarzucał granatowy płaszcz na ramiona, naciskał z dużém rondem kapelusz, i wychodził do kościoła. Trzeba wam wiedzieć, że pan ex-naczelnik był członkiem jednego bractwa, i członkiem bardzo czynnym; musiał sam, codziennie zimą oczyścić ołtarz, zdjąć pokrowiec, przyrządzić ampułki, a nawet w braku kościelnego, czasami pozapalał świece. Gdy mszy wysłuchał i krzyż ucałował, wychodził pochylony do miasta. Pamiętając na dyspozycyą swarliwéj Urszulki, wstępował do jatek po mięso. Niech was to nie dziwi moi czytelnicy, że taki emeryt, były naczelnik zajmował się podobnemi sprawunkami, już od lat dwudziestu to powtarzał co rano, i tak przywykł do swego Jakóba rzeźnika, że gdy się trafiło, iż dla słabości lub innéj nadzwyczajnéj przyczyny, nie mógł sam wybrać mięsa, pewno ani się dotknął obiadu.

— Co to za rosół? jaka to żylasta pieczeń?—gdérał przewracając widelcem kawałki na półmisku leżące— gdzieżeście téż oczy mieli kupując podobne mięsiwo? Och Jakóbie, Jakóbie! niewdzięczny jesteś!

To téż przyszedłszy do jatek, witał się za rękę z owym Jakóbem, częstował tabaką, rozpatrując wszystkie części mięsa rozwieszone w jatce, a dobierając od krzyżówki, od mostku, przy kościach. w miarę odebranéj dyspozycyi od żony, wydobywał jednę i drugą serwetkę z bocznéj kieszeni płaszcza, pakował towar, umieszczał pod obie ręce pod płaszczem, i mało uczęszczanemi uliczkami zmykał na Kanonią. Zdarzało się bowiem, że w ludniejszych ulicach spotkawszy kogo ze znajomych, nie mógł mu ręki podać z obawy, aby mięso się nie wysunęło. Późniéj zmienił sposób noszenia, bo zawiązawszy rękawy płaszcza, pakował w nie swoje krzyżówki, i szedł śmieléj, potrącając tak obładowane-

mi rękawami przechodzących, którzy wydziwić się nie mogli grubości sukna, z którego płaszcz był zrobiony.

Ledwo że zdążył położyć mięso w kuchence, już chwytał zwyczajną swą laskę trzcinową z zakrzywioną rączką, oczyszczał płaszcz miotełką, i jak strzała biegł w ulicę. Myślicie że miał jaki ważny interes do uskutecznienia, lub kto na niego czekał?—Nie, zupełnie nie, tylko uderzyła dziewiąta na zamkowym zegarze, a panu Tomaszowi zdawało się, iż spóźni się do biura. Biédny nie mógł zapomnieć, że od dwóch lat emerytem; dla niego dziesiąta godzina była dotąd hasłem pośpiechu. Żwawo starowina zawijał nogami, zdążając Senatorską ulicą aż na plac przed Bankiem; przybywszy przed kratki gmachu jego dawniejszéj władzy, zatrzymał się w swym biegu, i dopiéro przypomniał, że tam nie ma dla niego miejsca. Pomimo to, nazajutrz znowu biegł przed kraty, stawał, patrzył z zajęciem po wszystkich oknach pałacu, i tu decydował się stanowczo, gdzie się ma udać.

Otóż w kilka dni po moim przyjeździe do Warszawy, gdy uradzili obadwaj z ojcem, aby mię tymczasowo umieścić w którém z biur rządowych, pan Tomasz obstawał usilnie, abym wszedł na aplikacyą do tegoż wydziału kontroli, w którém on zaszczytnie lat trzydzieści pięć przesiedział.

— Najlepiéj w kontroli, mości dobrodzieju: tam kawaler nauczy się porządku, systematyczności; pewno hulaką nie zostanie, bo rachunki pozna doskonale, i sam się będzie kontrolował.

Ojcu tego tylko było potrzeba: on, co przestrzegał porządku w najdrobniejszych zajęciach, on, co powtarzał: „że porządek, materya i siła mosanie, świat stanowią" z największém zadowoleniem uściskał starego pana kontrolera za taką radę, kazał przygotować prośbę, i umówiwszy się z krewniakiem o wynagrodzenie za moje utrzymanie, spokojny, uszczęśliwiony nawet odjechał. Na wsiadanem tylko powiedział mi perorę, tak coś na wojskową instrukcyą wyglądającą: że potrzeba zapomnieć o wietrznych amorach, wziąć się do pracy ochoczo, bo z miłości nie będzie chleba; a zresztą dodał: „zobaczymy, jak asan się poprowadzisz". Pana Rygorskiego prosił usilnie, by opiekował się mną jak ojciec,

i ciszéj poszepnął: żeby się starał wybić mi z głowy niepotrzebne i nierozsądne myśli kochania.

W dopełnieniu więc téj prośby, pan Tomasz ani na chwilkę mnie nie odstępował. Ponieważ nie miałem jeszcze odpowiedzi władzy co do przyjęcia, przeto musiałem towarzyszyć szanownemu emerytowi we wszystkich jego wycieczkach, i właśnie jednego dnia o godzinie 10 zrana, zdążałem za nim w zwyczajną stronę, ku gmachowi dawniejszéj jego siedziby. Gdyśmy się już zatrzymali przed kratą i gdy pan Tomasz obejrzawszy wszystkie okna pałacu, pukał po bruku laską, decydując się co ma przedsięwziąć: nadbiegł stary woźny niosący pliki papierów pod pachą. Ex-kontroler z widoczną radością zahaczył swą rączką laski za kołniérz biegnącego szybko woźnego, i zapytał:

— Jak się masz Kuliński?

— Zdrów, do usług wielmożnego pana kontrolera!— odpowiedział żwawo woźny, spoglądając na niego.

— No i cóż tam mości dobrodzieju?—dodał pan Tomasz, wskazując na okna po lewéj stronie gmachu.

— Nic, proszę łaski pańskiéj osoby: biéda.

— Tak, biéda, źle, wiedziałem o tém—mówił urywając kontroler—cóż, jakże tam idzie?

— Jak z nowemi, proszę pana naczelnika; człowiekowi aż nóg zabraknie: lataj i lataj, dźwigaj, znoś, a tu już starość na karku.

— A widzisz Kulnisiu! za mnie to nie tak bywało, co?

— Oh prawda, święta prawda! Teraz rady sobie dać nie mogą: do domu papiery noś, przynoś, na pocztę idź, po cygara idź, słowem, człek jak popychadło jakie!

— A zaległości nie ma?—zapytał żywo pan Tomasz.

— Eh! gdzie tam, proszę łaski pańskiéj osoby, a to tam ze sto numerów leży; dyrektor woła, naczelnik woła, aż uszy bolą. Och! to nie tak jak za pańskiéj dyrekcyi, nie! Wielmożny pan siedział jak mól do czwartéj i piątéj nawet, odrobił wszystko, do domu nie brał, nie, nie—powtarzał stary kiwając głową.

— A widzisz Kulinsiu, nie mówiłem, że tak będzie, co, nie?

— A tak, a tak święta prawda, panie naczelniku.

I Bóg wié dokądby podobnie gwarzyli, gdyby ktoś nie zawołał woźnego, i ten nie był zmuszony go porzucić; jednakże pan Tomasz zdążył dobyć sakiewki i dać staremu złotówkę, który z tysiącznemi dziękami wielmożnemu naczelnikowi składanemi, uśmiechając się lisowato, biegł ku pałacowi.

— A widzisz Jasiu—przemówił zadowolony pan Tomasz—jak to tu człowieka znają; bo też trzeba ci wiedzieć, tęgi był ze mnie rachmistrz. Jakto bywało pomylą się w dzienniku, brakuje pięćdziesiąt groszy: rwetes mości dobrodzieju w całym wydziale, latają, szukają, kręcą się, a ja sobie siedzę cichuteńko; nareszcie przypada Sakowski....., a znasz Sakowskiego tego tłustego?

— Nie, proszę pana.

— A prawda, boś ty dopiéro przyjechał, ale jak tam wejdziesz, to go poznasz: krzykała, rezonat, a mówiąc między nami, głupiutki sobie... Widzisz, on mię wysadził na emeryturę, niech mu tam Bóg nie pamięta, dodziś-dnia miałbym tam biurko swoje i lepiéjby szło; ale co się stało... Otóż przychodzi do mnie i prosi:—„bój się Boga Tomaszu, wyszukaj tych 50 groszy"! Ja się uśmiechnę i jak wezmę papiery, przejrzę, to i jest. Spytaj tylko o mnie pana dyrektora; a prawda, ty go nie znasz, ale to nic nie szkodzi, poznasz go jeszcze. Zacny to człowiek, mości dobrodzieju, zarazby ci powiedział: „O! pan Rygorski to to nudna sztuka, lecz porządny, pracowity"—Tak tak, mój Jasiu—kończył zażywając tabakę i uśmiechając się wesoło—znają mię wszyscy, znają.—I pan Tomasz brał mię pod rękę, i znowu tą samą drogą prowadził ku domowi.

Gdyśmy przybyli przed teatr, spojrzawszy ex-kontroler na wielką liczbę stojących z drzewem furmanek, nie mógł ukryć wewnętrznéj radości, bo puściwszy moję rękę, i założywszy laskę na plecy, jak strzała wbiegł między fury.

— Po cóż my tam pójdziemy?—zapytałem zdziwiony.

— Po co? po co? a naturalnie po drzewo!

— Kiedy wczoraj pan kontroler kupił dość spory kloc, który na długo wystarczy.

— Ej! co tam wiész mój kawalerze: czy się to zepsuje drzewo leżeniem? A widzisz tyle fur, więc sprze-

dać nie mogą, a gdy nie mogą sprzedać, muszą oddać taniéj; zresztą cóż to szkodzi potargować. Pójdźże prędzéj, zobaczymy!

I pan Tomasz wciskał się między fury rąbanego i sągowego drzewa, wcale ich nie oglądając, bo on wyszukiwał kloców.

— Widzisz! powiedział cicho stawając przed jednym.

— Tak, widzę—odrzekłem głośno—kloc jak wszystkie kloce: okrągły, duży, gładki.....

— Ciszéj, ciszéj przez Boga! oni mają słuch dobry, usłyszą że chwalisz, i drożyć się będą, mości dobrodzieju: to przebiegłe chłopstwo, oho!

Więc zaczął obchodzić furę, dotykać ręką, pukać laską w jeden i drugi koniec kloca, a to wszystko z pewném skrzywieniem się, niechęcią, tak sobie niby od niechcenia. Obejrzał jeden, odszedł ani się oglądając, ani słuchając zaproszeń kmiotka; powtórzył tę czynność przy drugim, trzecim, dziesiątym, i dopiéro wrócił do piérwszego.

— A co to chcecie człowieku za ten patyczek?—wymówił obojętnie, trącając laską umieszczone drzewo.

— Bój się wielmożny pan Boga, gdzież też to patyczek?—zawołał smutnie chłopek,—a dyćto panie kloc co się zowie, ani jednego takiego nie ma na targu.

— Eh! co ty tam wiész człowieku! Nie chwal, bo ja się znam dobrze, mów tylko co chcesz.

— Piętnaście, wielmożny panie!

— Czy groszy?—przerwał śmiejąc się dobrodusznie pan Tomasz.

— Wielmożny pan żartuje sobie z biédnego.

— Co tam żartuje czy nie, dam ci ośm złotych.

— Nie mogę, wielmożny panie.

— Kiedy nie, to nie—mówił obojętniéj i odchodził do drugiego. Tu powtarzała się taż sama ugoda, znowu dawał zamało, i znowu tym sposobem wszystkie przetargował. Czasami zdarzyło się, że i chłopek zgodził się na podaną cenę: wówczas wiódł go do domu, uszczęśliwiony z taniego kupna, choć przewidywał burzę od pani Urszuli, i narzekania innych współlokatorów, że im miejsce w dziedzińcu zajmuje.

Wróciwszy, zabierał się do czynności urzędowych. Codziennie rano, żona musiała mu spisać najmniejsze

wydatki z poprzedzającego dnia; takowe na wązkiéj a długiéj karteczce kategorycznie ułożone, stanowiły brulion; z niego wciągał je do dziennika, a późniéj do wielkiéj księgi. Nie można zaprzeczyć, że rachunki te były bardzo porządnie prowadzone, z najdrobniejszemi szczegółami, rubrykami, rubryczkami, bilansami miesięcznemi i rocznemi, i z kategorycznie ułożonemi podziałami: osobno były wydatki na bułki rano, osobno na wieczór; osobno same obiady, i znowu oddzielnie kolacye; bo téż codziennie poświęcał im trzy lub cztery godzin czasu przed obiadem. Po obiedzie znowu odrabiał korrespondencye, czyli czynności tak nazwane prezydyalne. Szczególniéj lubił listy pisywać, a mało odbierać; listów przepisanych na czysto nigdy nie czytał, ufny w biegłość i pewność swoję; lecz że miał wzrok nadpsuty, a okulary niezawsze go zdołały godnie zastąpić: to często się trafiało, iż pół listu odesłał, a druga połowa zostawała na podkładce papierowéj. Stary bowiem, nic nie zważając, pisał precz po podkładce, gdy wiérsz się na właściwym papierze ukończył. Dyktował sobie głośno, powtarzając wyraz tak długo, póki go nie napisał; i tak: dobro... dobro.... brodzie.... brodzie.... brodzieju! dodawał stawiając wykrzyknik. Zarzynając pióro, krzywił ustami jednocześnie, wolniéj lub prędzéj, w miarę większego lub mniejszego zacięcia; a gdy ucinał koniec, to tak się skrzywił komicznie, jakby mu kto ząb wyrywał. Jużto każdy list przechodził przez dziennik, na każdym odebranym pisał datę, kładł pod przycisk pod spód, i żeby Bóg wié jak pilny interes, nie tknął go się wprzód, nim kolej na niego nie przyszła.

Raz trafiło się za mojéj bytności, że brat jego rodzony, mieszkający w Krakowie, dla załatwienia interesów familijnych wezwał go, aby przyjechał najspieszniéj do granicy, donosząc, że nań z rejentem oczekuje. Pan Tomasz list przeczytał, i ani słowa nikomu nie powiedziawszy, włożył go pod spód przyciska. Upłynęło trzy dni, on nie jedzie; zniecierpliwiony brat zmuszony był przybyć do Warszawy osobiście, i zabrać go z sobą.

— A cóż ty myślisz — odpowiadał na wymówki brata — że ja taki sobie trzpiot jak ty? U mnie mości dobrodzieju porządek; trzeba było napisać bardzo pilno, tobym pojechał!

Pani Tomaszowa, kobieta w wieku, malutka, pękata, swarliwa i zazdrosna o męża, ciągle go prześladowała, i ciągle mu dokuczała różnemi wymówkami.

Dawniéj widać, gdy pan Rygorski był w sile wieku, trzymał żonę ostro, i kierował całym domem; teraz zaś osłabiony fizycznie, stetryczały, nie mógł się obejść bez pomocy kochanéj Urszulki, i poddał kark swój pod jarzmo małżonki. Ona téż nie omieszkała korzystać z swéj władzy, i odpłacać sowicie dawniejsze upokorzenia; wtrącała się do każdéj rozmowy, przerywała ciągłemi zaprzeczeniami każde jego twierdzenie, i to tak dalece, że nigdy nie mógł dokończyć co zaczął, tylko zgniewawszy się do żywego, porywał kapelusz i laskę, i zmykał zatykając sobie uszy. Musiała téż być jakaś mała plamka w dawniejszém życiu pana Tomasza, którą żona zamykała usta mężowi; bo gdy zaczęła mówić: „a latało się dawniéj za"... to stary machał ręką, wołając: „przestań Urszulko, nie bluźnij, daj pokój!

Jednakże pomimo tych wad starości, byłato sobie poczciwa niewiasta, kochająca męża nadewszystko, ceniąca wysoko jego rachunkowe zdolności, pamiętająca o domu z troskliwością zawołanéj gospodyni, szczególniéj o wygodach męża. Bez wyższego ukształcenia, ot tak sobie prostym rozumem, pojmowała zdrowo każdą rzecz, kierowała rozsądnie i bogobojnie wychowaniem syna, który właśnie kończył już szkoły; mnie zaś, jako syna dawnych przyjaciół męża, miała na równi z domowemi, dogadzała jak mogła, z prawdziwie macierzyńską pieczołowitością. Życie moje choć nie powiem wesołe, upływało jednak dość mile, w towarzystwie zacnych kontrolerów. Z początku, trochę przykro mi było patrzéć na codzienne niesnaski obojga małżonków, nie mogłem przywyknąć do téj zegarowéj punktualności emeryta; lecz powoli, powoli gdym poznał ich charaktery, gdym się oswoił z ich napozór gniewnemi sprzeczkami, polubiłem oboje bardzo, i tryb życia systematyczny wcale niezłym mi się wydawał. Codziennie wieczorem przychodził stary do nas na pogawędkę: rozpowiadał o swojéj młodości, o koleżeństwie z moim ojcem, o jego żywym temperamencie, i o swoich tryumfach biurowych, w odrabianiu najzawikłańszych czynności. Lubił, żeby go słuchano z uwagą i zajęciem; a gdy się trafiło, żeśmy z sy-

nem coś ciszéj szeptać zaczęli, wstawał ze swego krzesła, przybliżał się do nas pytając ciekawie: „o czém rada?" Zwykle bez ceremonii brał mię za guzik od surduta, przerywał naszę rozmowę, zaczynając coś swojego.

— Bo wy to młodzi nic nie wiecie. Otóż u nas w biurze, w roku.... w roku.... coś 1824, tak, tak dobrze mówię, w dwudziestym czwartym, był jeden młody sekretarz..... Jakże on się nazywał? Ku.... Kie.... Kra.... Nie, a bodajże cię, tak go znałem jak ciebie mój kawalerze....

— Mniejsza o to—rzekłem—jak się on tam nazywał.

— Ale nie, nie! ja sobie muszę przypomnieć—mówił szarpiąc mię coraz bardziéj za guzik — Kor, Kier... a niechże cię, mam go na końcu języka... Tak coś na K, na K... Zaleski!—krzyknął uradowany szarpnąwszy guzikiem tak mocno, że cały się poruszyłem.—Tak, Zaleski! Otóż ten Zaleski, mości dobrodzieju, był rodem z Krakowa; a trzeba ci wiedzieć kawalerze, że ja mam rodzonego brata Kazimiérza w Krakowie malarzem.

— Wiem, proszę pana.

— Widzisz, a ten Kazimiérz brat mój, ma trzy ładne córki; dalibóg śliczne dziewuchy. Jedna najstarsza Paulina.....

— Ale nie Paulina—krzyknęła pani Tomaszowa, która już od niejakiego czasu stała za nami, czyhając na sposobność wtrącenia się do rozmowy.

— Nie przeszkadzajno Urszulko!

— Kiedy nie Paulina, mówię ci, bo widzisz mój Jasio, on nic nie wié: to Józefa!

— Kiedy to się musisz zawsze sprzeczać, a ja ci powiadam że Paulina!—przemówił mlaskając niesmacznie ustami pan Tomasz.

— No i widzisz go, będzie mnie gadał, mnie, co ich znam od tylich berbeci—mówiła unosząc się pani Tomaszowa, i pokazując dłonią na łokieć od ziemi.

— Niechże będzie już i Józefa, kiedy tak chcesz.

— Nie niech będzie, ale tak jest.

— A nie kłóćże się kobiéto, nie przerywaj!

— Co nie przerywaj! Widzisz go, jaki mi stryj: bratunek nie zna.

— To mówże sama, mów, kiedyś taka mądra, boby tu do obrazy Boga przyszło!—zawołał rozgniewany pan kontroler, porwał kapelusz i w nogi.

— Widzisz Jasiu, co to za sprzeka stary; a jakie to dawniéj było! Ho ho! ani mu palca zakrzyw; zwyczajnie sobie jak nudziarz; bo téż powiedziawszy prawdę, on już i tu ma nietęgo—dodała wskazując palcem na czoło—Nie, nie! dawniéj to co innego.

— Ale Teresa! zagrzéj téż kamionkę z wodą na nogi, bo tam przemarznie latając, i podbiału zagotuj!

Takim sposobem kończyła się zawsze rozmowa z nami: starzy się pogniewali rozchodząc, lecz wróciwszy pan Tomasz, zapomniał już o sprzeczkach, całował żonę w rękę z pewną gracyą, i upominał o regularność konotatek; ona zaś, z największą troskliwością wypytywała go o kaszel, czy mu nie pomaga kwiat bzowy, i o inne drobnostki, oznaczające żywe zajęcie się zdrowiem małżonka.

Mało kto ich odwiedzał, i to jeszcze starzy emeryci z żonami. Rozmowa męzka szła o biurze, o polityce, o zmianach, o śmierci znajomych osób; kobieca zaś, o dzieciach, płótnach, babach, plackach, sługach, a często gęsto i o sąsiadkach nieobecnych, które dostawały jakąś łatkę za różowy kapelusz, lub jasną jedwabną suknię, wcale dla staréj nieprzyzwoitą.

* * *

Listy z domu odbierałem regularnie co miesiąc; ojciec utyskiwał na brak funduszów, zalecał oszczędność i pracę, więc ani było myśléć o wyjeździe na nadchodzące święta Wielkanocne. Za to listy matki i Stefci wynagradzały mi wszystko: pisywały zwykle w jednym liście, snać bez wiedzy ojca. Donosiły najdrobniejsze szczegóły z życia domowego, każdy ich wyraz tchnął prawdziwą szczerotą i miłością; ubolewały nad uporem ojca, który zezwolić nie chciał na mój przyjazd, opisywały swoje zajęcia, i różne wybryki żywości porucznika. „Wiész—pisała Stefcia—dostałam tytuł acanny od twego ojca: przed kilką dniami oświadczyłam się z chęcią uczenia Julci muzyki; porucznik się zgniewał niesłychanie:

— A co to mosanie! masz być guwernantką méj córki, hę?

— Takjest—odpowiedziałam śmiejąc się—przecież godna jestem tego zaszczytu.

— Ale nie o tém mowa, moja panno; wiem, żebyś potrafiła i zanadto potrafiła; lecz zarazby ludzie powiedzieli: sprowadził pannę pułkownikównę, żeby mu dzieci uczyła! Nic z tego nie będzie, co jéj tam po muzyce, niech lepiéj umié chléb piec, koszule szyć, nie grać: to nie dla niéj, mosanie!

A gdym nie przestała nalegać, dowodząc, że dziewczyna ma chęć wielką, okazuje zdolności, i że mię wcale nie obchodzą mowy ludzkie; zgniewał się naprawdę i krzyknął:

— Co mi tam acanna będziesz tłumaczyć! Ja lepiéj wiem co robię; bo kiedy ciągniesz mię za język, to ci powiem, że wcale mi się niektóre rzeczy w postępowaniu twojém nie podobają! Kto to widział, żeby panna pułkownikówna beczała jak jaka mieszczanka, nad odjazdem takiego nieprzymierzając dzieciucha jak Jasio? Jeszcze się zachciéwa guwernantkować méj córce! Dalibóg, co to w głowach tych młodych się roi, no no?.— Lecz spostrzegłszy mój rumieniec na podobne oświadczenie, jak mię zaczął przepraszać, całować, jak zaczął klękać przedemną, to ja musiałam się wstydzić za siebie, że mogłam pomyśléć o jakimś gniewie na tego zacnego człowieka.

— Widzisz kochana Stefciu, ja już taki prędki jestem, jak djabeł; a przypomniałem sobie Jasia i twoje płacze, więc się wymknęło głupstwo. No, no, już tego nie będzie moja kochana córeczko, nie będzie.

Wystąpiłam znowu z muzyką, ale słuchać mię nawet nie chciał, powtarzając: —„póki żyję nie pozwolę!"

Nie zważałam na wszystkie perswazye, tylko rozpoczęłam pokryjomu naukę; chcę Julcię wyuczyć naprzód owéj żołnierskiéj piosnki, co ją najlepiéj lubi, i tę jak zaśpiewa mu na imieniny, zobaczysz, pozwoli, bo ja go znam doskonale.

IV.

Minęła już posępna zima, zajaśniało weselsze słonko na niebie, natura zaczęła ożywiać swą pupilkę, okrywając ją cudnie piękną szatą zieloności, a z nią nastał

niezwyczajny ruch w domu pana Tomasza, bo szanowny gospodarz wybierał się na wieś.

Jeszcze przed dwoma laty, właśnie gdy wziął emeryturę, kupił był sobie kolonijkę o trzy mile od Warszawy odległą. Jako zawołany miłośnik ogrodnictwa, przepędzał tam całe lato gospodarując, zkąd przyjeżdżał do Warszawy, chyba po odbiór kwartalnéj pensyi, lub na jaką sessyą bractwa. Za to, co sobota wieczorem przysyłał konie i bryczkę po żonę, która dla edukacyi syna, zmuszona była przemieszkiwać w Warszawie.

Zaopatrzony w znaczny zapas nasion i różnych narzędzi ogrodniczych, poruczywszy mnie, jako koledze, prowadzenie dalszych rachunków domowych, ma się rozumieć brolionów, gdyż wielką księgę sam na wsi kontynuował, wyjeżdżał uszczęśliwiony, zostawując nas opiece Boskiéj, z tysiącznemi zastrzeżeniami porządku, rządności i oszczędności. Niezmordowany wielbiciel ogrodów północnych Strumiłły, ani kroku bez nich nie zrobił; siał, sadził różne warzywa według jego metody, obiecywał żonie niestworzone rzeczy, że ją zarzuci włoszczyzną, sałatą, ogórkami, a rzeczywiście przysyłał olbrzymią kukurydzę, chmiel, krokosz, pieprz węgierski, i inne mniéj użyteczne na domowe potrzeby rośliny. Z tego tytułu pełno było kłótni między małżonkami, zwłaszcza gdy się zjechali w niedzielę: żona chciała selerów, pietruszki, cébuli, a on jéj dowodził, że sprzedawszy do apteki sam tylko rumbarbarum, dziesięć fur podobnych fatałaszek zakupi; lecz potém, wiatr północny dął całe lato, deszcze rzadko padały, robactwa się namnożyło, i rumbarbarum się nie udał. Wszakże to nie robiło żadnych przeszkód do zmiany gospodarstwa: on co rok nowe wynajdywał rośliny, i uśmiechając się litościwie nad błędną rezoną kobiety, z całym zapałem oddawał się swojemu dziełu. Tego roku znowu, wszystkie prace poświęcił na uprawę słonecznika.

— To mości dobrodzieju najużyteczniejsza roślina! Patrz Jasiu co to pisze Strumiłło:—„z ziarnek wyśmienita oliwa, z liści doskonała karma dla bydła, z łodyg papier być może", i cóż tu więcéj brakuje? Człowiek ucywilizowany, prawie połowę potrzeb swych w nim znajdzie gotowych, a jeszcze i resztki po wyciśnieniu oleju na coś się zdadzą, nie prawda?

I dla uprawy téj użytecznéj rośliny, oddzielał znaczny kawał ziemi w swym ogrodzie; z książką w ręku wyciągał sznury, dzieląc na równe łokciowe kwadraty, pilnował, by sługa wrzucała ziarnka kiełkami do góry, bo, jak twierdził, mogłyby słoneczniki rość w ziemię. Nic nie pomogły wyrzuty pani Urszuli, nie zastraszały trudności uprawy; on zaniedbywał wszystko tak dalece, iż żona musiała nająć gospodynię, któraby coś z ogrodowizn mogła zasadzić, i takowe na potrzeby domowe przysyłać.

Co niedziela prawie jeździliśmy do pana Tomasza, a za każdą razą, prócz zwykłych rachunków domowych, musiałem mu przedstawiać szczegółowy raport o czynnościach biurowych, cenach drzewa przed teatrem, i o zdrowiu jego przyjaciela rzeźnika pana Jakóba. Często przywoziłem pakiety listów od przyjaciół z różnych stron Królestwa, którzy obsypywali go tysiącznemi interesami. Ma się rozumieć, ich dopełnienie, wkładał na mnie, jako kolegę: musiałem więc po całych dniach chodzić po biurach: temu za assygnacyą z Kommissyi Skarbu, temu o paszport, innemu o odbiór piéniędzy, innemu znowu o zniesienie kar; i choć pan kontroler gniewał się bardzo, że ciągle go zarzucają interesami: jednakże z całą skrupulatnością je wypełniał, i ani jedném słówkiem nie dał poznać, że podobne obarczenia go są dlań uciążliwemi.

Jak tylko raport się skończył, stary wiódł mię do ogrodu; pokazując już podrastające słoneczniki, rozpowiadał co on to ma kłopotów w odpędzaniu wróbli, które mu niszczą tak piękne łodygi.

— Przecież—mówiłem—jeszcze nie mają co jeść. kwiat ledwo się pokazuje.

— Ej! co tam mości dobrodzieju: ja téż odpędzam ich dlatego, żeby się nie nęciły, i nie psuły, jak dojrzeją słoneczniki.

Potém prowadził mię do drzewiny, którą oczyszczał z suchych gałęzi, umyślnie urządzonym na to nożem, oprawnym na wysokiéj tyczce; lecz służący jego pod sekretem mi opowiadał, że jegomość nie dowidzi, i z pomiędzy 10 obciętych gałęzi, pewno ze sześć zdrowych odpadnie. Po południu, na polowanie zapraszał kolegę, na kaczki, co niedaleko od kolonii, gromadami żerowa-

ły po bagnisku, lub na kuropatwy, obficie znajdujące się po polach.

— Kuropatwy mądre to ptaki—mówił—ale i ja nie w ciemię bity. Widzisz, znalazłem na nich sposób: tłukę mości dobrodzieju po trzy dziennie, patrzaj ktoby się na to zdobył!

I wyjmował z za łóżka ogromną płachtę, okręconą na drewnianych wałkach, rozwijał z pewném zadowolnieniem, i dowodził, że to jest kształt i wielkość skóry z krowy wiśniowego koloru, że on wziąwszy fuzyą pod pachę, okrywa się nią zupełnie nachylając, a tak wygląda jak krowa, i kuropatwy nie spodziewając się człowieka, dosiadają w miejscu.

— To dobrze—mówiłem niedowierzająco—jednakże nie widzieliśmy dotąd tych kuropatw, które pan kontroler zabija!

— Ale, bo widzisz kawalerze, nie mam psa; trafię prawie zawsze, lecz to mocne ptaki, lecą jeszcze, zapadną Bóg wié gdzie, a ja mości dobrodzieju znaleźć ich nie mogę!

Pan Tomasz tak był szczęśliwy podobném życiem na wsi, tak się rozkochał w słonecznikach, że coś przez kilka tygodni wcale po nas nie przysyłał. Dziwiliśmy się mocno jego milczeniu, nie mogąc dociec powodu onego, on zaś tymczasem gotował nam niespodziankę, bo słoneczniki dojrzały zupełnie, i chciał odrazu pokazać swoje arcydzieło ogrodnicze. Więc też przy końcu lata, gdy wypadło jakieś święto uroczyste z odpustem w jego parafii, odebraliśmy list pełen tajemniczości, z zaproszeniem. O świcie stanęliśmy w kolonii; pan Tomasz z uśmiechem wiele obiecującym przyjął nas w progu, raczył czém mógł, i poprowadził na ranną mszę do kościoła. Lecz widać srogie przeznaczenie kierując dotąd jego gospodarką, i tą razą nie dozwoliło mu zakosztować owocu całorocznych prac i usiłowań. Zaledwie bowiem weszliśmy do kościoła, szanowny emeryt spojrzawszy na ołtarz Bogarodzicy przystrojony rzęsisto słonecznikiem, stanął jak wryty, wodząc osłupiałym wzrokiem dokoła. Coś piknęło go w duszy, że te słoneczniki, od których żółta łuna tak jasno odbijała się na białem tle ścian kościoła, są jego. Jednakże zdobył się na tyle mocy, że usiadł w ławce i wyjął książkę do

modlitwy. Choć nadzwyczaj nabożny, choć widocznie usiłował zapomnieć o słoneczniku, jednakże co chwila odrywał wzrok od książki, z wyrazem nieopisanego żalu i boleści, spoglądał na przeciwległy ołtarz. Msza się skończyła, pan Tomasz nie pocałowawszy patyny, nie czekając na żonę i syna, porwał mię gwałtownie za rękę, i zdziwionego tą niezwykłą żywością starca, ciągnął za sobą ku domowi.

— Widziałeś! widziałeś!—powtarzał gorączkowo.

— Nie widziałem proszę pana—odpowiedziałem machinalnie.

— To pójdź prędko, a zobaczysz!

Zadyszani, przybiegliśmy przed furtkę ogrodu; jak na złość była zamkniętą, emeryt wstrząsnął nią silnie, stare drzwi zatrzeszczały w zawiasach, pochwiały się i runęły z wielkim łoskotem. Jak szalony wpadł do ogrodu, pędził co sił starczyło w lewą stronę ogródka, i nagle zobaczywszy las gołych łodyg słonecznika, stanął załamując ręce, aż kości w stawach trzeszczały.

— I to mój Boże tyle pracy, tyle znojów na nic! No i widzisz kolego, jaki to lud niegodziwy; gospodarujże tu, rób doświadczenia, mozól się, a przyjdzie piérwszy lepszy hultaj, i wszystko zniweczy. O nie daruję! jak mi Bóg miły nie daruję: napiszę skargę choćby do saméj Kommissyi!

Stałem milczący, żałując tego poczciwego starca, bo pojmowałem jego boleść; on zaś naraz umilknąwszy, smutnie głowę zwiesił na piersi, i z wyrazem pełnéj rezygnacyi przemówił:

— Nie, nie, tego nie można zrobić! Jak bądź, tak bądź, jednak to poszło na chwałę Boga, ołtarz ubrali, a Stwórcy należą się najlepsze pierwiastki; dać pokój, powtarzał—dać pokój! i cóż mi z tego przyjdzie, że tam jednego i drugiego obiją?

I z zasmuconą wszelako twarzą poszedł ku domowi, rozwodząc się nad pięknością byłych słoneczników.

— Wiész kawalerze, nie przesadzam, ale były jak czapki, mości dobrodzieju; a co to za ziarnka!—jak laskowe orzechy! Darmo, Bóg tak chciał, niech się dzieje wola Jego przenajświętsza.

Lecz nie tu był koniec umartwienia pana Tomasza: przy rewizyi szczegółowéj ogrodu okazało się, że i piękną latorośl jabłonki, co to jak sosna bujnie, prościutko wyrosła, ścięto zapewne na laskę.

— Och hultaje! o zbrodniarze! oni śmieli zniszczyć tak ładną drzewinę? Ażeby był taki nicpoń przyszedł do mnie i powiedział, że mu laski potrzeba, jak Boga kocham—zawołał— a wielkie to słowo, kupiłbym mu bambusową ze złotą gałką, żeby mi tylko nie psuł drzewiny! Nic nie pomoże, mości dobrodzieju, trzeba sprzedać kolonią, bo ja tu chyba rozum stracę z takim ludem; i to lud, lud, patrzaj kawalerze, lud!

Ledwo zdołaliśmy go uspokoić, przekładając, że potrzeba dobrze opasać murem ogród, to i nie będzie podobnéj szkody.

— Chyba fortecę zbuduję, mości dobrodzieju, bo inaczéj się nie uchronię od téj szarańczy; tak, trzeba mur wyciągnąć!—i biegł do szafki, wydobywał ulubionego Strumiłłę, szukając zapewne nowéj rośliny, którąby już po obmurowaniu ogrodu bezpieczniéj mógł pielęgnować.

Przeszła znowu tym porządkiem druga zima, nastała trzecia wiosna podczas pobytu mojego w Warszawie, a ja doprosić się nie mogłem o pozwolenie odwiedzenia rodziców. Wreszcie Opatrzność zlitowała się nad nieszczęśliwym, otrzymałem posadę, a z nią i pensyą, mogłem więc bez nadwerężenia kieszeni ojca, odbyć podróż w znajome mi strony, gdzie biły serca kochające mię szczérze, i gdzie spoczywały wszystkie młodzieńcze marzenia i nadzieje przyszłości. Blizko trzyletni pobyt w mieście, ciągłe stosunki z ludźmi, nareszcie i wiek obfitszy w doświadczenie: zmieniły znacznie mój charakter i pozwoliły zdrowiéj zapatrywać się na bieg wypadków. Byłem mężczyzną w pełni życia, sam dziwiłem się już podobnie dziecinnym myślom, jak naprzykład mojemu oświadczeniu się o rękę Stefci; pusty śmiech osiadał na licach, gdym wspomniał ową chwilę upadku z jabłoni, lub zamiar gospodarowania na wsi. Teraz w inném świetle widziałem życie, pojąłem choć cząsteczkę wielkiego celu Stwórcy, do którego przeznaczył człowieka; umysł mój przeczuwał że nie same przyjemności zmysłowe, i zaspa-

kajanie czysto materyalnych potrzeb życia, są nieodzownym warunkiem naszego bytu, lecz walka krwawa duchownéj strony z cielesną, pasowanie się tych dwóch szermierzy w szrankach żywota, pasmo dobrowolnych ofiar, z tego wszystkiego co najmilszém dla nas sądzimy, mogą urzeczywistnić, mogą wykazać przeznaczenie jego, i mogą wlać nadzieję zwycięztwa, a z nią i lepszéj przyszłości. Bo i rozpatrzywszy się uważnie we wszystkich kolejach życia ludzkiego, tak w biédnym jak w wysokim stanie społeczeństwa, czyż nie spostrzeżemy tych samych dążeń, tych zabiegów i udręczeń, dla osiągnienia marnego kawałka kruszcu, za który moglibyśmy żyć wygodniéj, i łatwiéj dogadzać cielesnym potrzebom i namiętnościom naszym? I czyż nie widzimy, że zawsze czegoś nam brakuje, zawsze szukamy więcéj i więcéj, nie pojmując granic tych żądań? A proszę was, pomyślcie tak szczerze, bez uprzedzeń, czy warto dobijać się o to mniemane szczęście, gdy ono nas nie zadowolni nigdy, i nie położy kresu, nieustannie zjawiającym się potrzebom? Nie zaiste, nie tu źródło szczęścia i obowiązków człowieka!

Myśląc o mojéj matce, mówiłem: przypatrzcie się téj kobiecie z wiarą i uczuciem w sercu; biedna, ledwo wystarczyć może na wyżywienie swych dziatek, nie zna co dostatki, nie zna co kosztowne ubiory, co chwila błogiego wytchnienia; noga jéj nie zbrudziła nigdy pysznych kobierców salonów, myśl nawet nie pobiegła za krańce domowéj zaciszy. I cóż myślicie, że wzdycha za tą ponętną rozkoszą świata, że zazdrości bogaczom ich wygód lub majątku? nie, pewno nie! Ona pojęła życie, zrozumiała że jest matką, że nie należy do siebie, lecz do swych dzieci, a przez nie do całego społeczeństwa. To jéj najpiérwszy cel, do którego stosuje wszystkie swoje myśli, życzenia i dzieła. Z wesołym umysłem, z wiarą w Opatrzność, spogląda śmiało przed siebie, uczy pacierza drobne niemowlę, pokazuje mu z ufnością niebo, że tam mieszka wielki Bozia, co go widzi i słyszy na każdym kroku, co zażąda kiedyś rachunku z udzielonego sobie życia, i daru przelewania go innym istotom! Umartwienia, nieszczęścia, znosi z stoicką odwagą bohaterki, bo jest przekonana, że kogo Bóg zasmuci, tego i pocieszyć nie omieszka! Litosném okiem spojrzy na biédne-

go współbrata, widzi w nim człowieka podobnego sobie, nie odtrąci słowem pogardy lub wstrętu, bo wspomni na siebie, na otaczającą ją dziatwę, i pomyśli: kto wié, czy i one nie pójdą kiedyś zmuszone fatalnością losu, wyciągać rękę żebraczą po kroplę litości innych? Otóż to mi jest chrześciańska kobieta, to jest matka, to jest obywatelka! A co jéj podobnych znaleźć można na świecie, szczęśliwych, zadowolnionych, choć bez majątku? Zapytajcie się serc waszych, i spojrzyjcie na życie wasze, one wam za mnie odpowiedzą.

A ileżto znowu takich, co są przedmiotem zazdrosnych spojrzeń, i przykrych westchnień naszych; choć w złocistych salonach, z czeredą sług i przyjaciół, wszakże nie jednę noc przepędzą narzekając smutnie, że tak koło nich zimno, że nigdzie, nigdzie serca, uczucia, łzy, tylko interes, pieniądz i duma. Biédni! godni są więcéj litości i współczucia nędzarza, niżeli zawistnych spojrzeń, liczących mniéj milionów. Bo i to prawda, że biédak cierpi, że czuje swoję ciężką niedolę; lecz mniéj mając wykształcenia umysłowego, pojmuje tylko całość, nie odróżniając najdelikatniejszych jéj odcieni. I to co dla niego fraszką, tamtym prawdziwym bywa nieszczęściem.

Zgadzam się, co już tysiąc innych powiedziało, że tylko kobieta jako matka, jest w stanie wlać nam to piękne pojęcie przeznaczenia człowieka. Ona, zapatrując się sercem na życie, dostrzegając w niém najbardziéj piękną i uczuciową stronę, może skutecznie wpoić w młodociany i giętki umysł dziatek, wiarę w Boga i Opatrzność Jego, może zaszczepić święte uczucie miłości bliźniego, dać poznać cnotę nakazującą się kochać, a tém samém zwrócić umysł na duchową i właściwą mu drogę. Na ich więc przezorności spoczywa dalsze szczęście i nieszczęście synów i córek naszych, na nich opiera się byt społeczeństwa, i na nich téż cięży sroga odpowiedzialność, gdy chybią celu, do jakiego powinny dążyć z obowiązku matki. Bo chociaż nie wszystkim przeznaczono być słońcami ogrzewającemi ludzkość, lecz wspólnie wszystkim dano serca i uczucia, któremi mogą przyjmować godnie, dobroczynne dary Stwórcy. A powtarzam wam te słowa Chrystusa: „że ziarnko zdrowe, rzucone w dobrze uprawną rolę, musi plonne wydać owoce."

Takieto wnioski robiłem sobie wówczas, patrząc na tyle młodzieży w sile wieku, z zdolnościami, majątkami, piękném imieniem i postawą, tracących te wiosenne chwile życia na zabawach bezustannych, brudnych intrygach, lub próżnowaniu. Żyli aby żyć, z dnia na dzień, aby daléj, aby daléj, bez myśli, bez zastanowienia się co to jutro będzie? poco się to żyje? Zwyczajnie dobrze im było: jedli, pili, tańczyli, kochali się, grali, i cóż tu więcéj żądać dla młodzieńca pięknie wychowanego? Książkę do ręki wziąć czasu nie ma, zresztą poco?— przecież żaden z nich literatem nie będzie. Cha! cha! cha! śliczna mi rzecz autor: każdy inaczéj na niego patrzy, panny się śmieją nazywając nudnym moralistą, a w dodatku można umrzéć z nędzy, jak nieboszczyk Malczewski. I cóż mu tam z Maryi przyszło, że świat ją uwielbia? Dziękuję za taką sławę, dziękuję; wolę ja się bawić, żyć póki młodość, a jak się zestarzeję, wtedy co innego: będę się modlił po całych dniach, psy, kanarki chował—i rzecz skończona.

Otóż tak mi jeden mówił, gdym się dziwił jego sposobowi życia. „Widzisz mój panie, możeby się to i pomyślało o zmianie, lecz tak trudno odwyknąć od tego, z czém się wzrosło, na co się patrzało od niemowlęcia, i co popłaca na świecie. Bo przyznam się, z tém mi jest bardzo dobrze: ludzie starsi mię chwalą, matki za wzór swym synom pokazują, a im téż coś wierzyć potrzeba!"— Ale zresztą dajmy już pokój temu, zaszlibyśmy Bóg wié jak daleko, a tu trzeba kończyć kłopoty.

Nie donosząc nic ojcu o mojéj pensyi, i czekając tylko na piérwszy jéj odbiór, postanowiłem puścić się w drogę, i sprawić rodzicom prawdziwą niespodziankę. Przygotowania do téj podróży, drobne podarki dla wszystkich znajomych i przyjaciół, którem skupował, zajęły prawie tydzień; zbliżająca się chwila odjazdu wydawała mi się nieznośnie długą. Niecierpliwiłem się mocno, zwłaszcza że już półtora miesiąca upłynęło, jak ani jednego listu z domu nie otrzymałem. To téż pewnego dnia rano, spostrzegłszy wchodzącego posłańca z listem, nie posiadałem się z radości. Z żywością więc niezwyczajną rozdarłem pieczątkę, i przejrzałem kilka wierszy skréślonych ręką Stefci w téj osnowie:

Panie Janie!

„Coś nadzwyczajnego stać się musiało w naszym domu; od kilku dni widzę niezwykły ruch i zmartwienie rodziców. Prośby moje, płacze, nic nie mogły z nich wydobyć; przyjeżdżaj więc jak najprędzéj, może twoja obecność zdoła ich rozweselić, a może potrafisz złagodzić to nieszczęście, które ich dotknęło. Czekam więc niecierpliwie twego przybycia i o sekret upraszam."

Łatwo sobie wyobrazić, jaką trwogą przejęła mię podobna wiadomość. Myśl o nieszczęściu ojca i kochanéj matki utkwiła w głowie tak dalece, że zapomniałem o wszystkiém. Gdyby porucznik się smucił, prędzejbym sobie to wytłumaczył jego żywością, bo jak prędko się gniewał, tak prędzéj jeszcze pocieszał; lecz droga matka tak rozsądna i tak cnotliwa gdy cierpi, pewno ma ważną do tego przyczynę. Gniewał mię ten list pełen tajemniczości, każda chwila zdawała się dniem; więc aby raz położyć koniec méj niepewności, postanowiłem natychmiast prosić o urlop, i ruszyć w drogę. Poczciwemu panu Tomaszowi pomieścić się nie mogło w głowie, jak można wyjechać tego samego dnia, w którym myśl podróży w nas powstała.

— To, to mości dobrodzieju prędko, prędko, bez ładu i składu, a kto to widział kawalerze! Wczoraj ani wspomniał o wyjeździe, a dziś hola w drogę o 40 mil! Kto cię to wyuczył téj metody?—pewno nie kontrolla.

— Ależ proszę pana kontrollera—odrzekłem niecierpliwie—czyż mogę się wahać i odwlekać podróż, gdy rodziców żywych może i nie zobaczę.

— Wszelki duch Pana Boga chwali, mości dobrodzieju! A co to ja słyszę! Jędruś mój chory czy co? Mówże prędko!—wołał przybliżając się ku mnie i szarpiąc za guzik od surduta.

— Nie wiem co się stało, tylko doniosła mi Stefcia, że jakieś nieszczęście wielkie na nich spadło, i prosi na wszystko bym przyjeżdżał.

— Ej! głupstwo kawalerze! Ona pisała tylko, nie rodzice?—bądź spokojny, taki list nie posiada urzędowéj cechy; zwyczajnie sobie młode, mości dobrodzieju!—mówił daléj uśmiechając się stary— radaby cię obaczyć, i zwodzi.

— Ty tak zawsze o kobietach rozprawiasz srogo — odezwała się mieszając pani Urszula — Zły języczek u pana dobrodzieja; co to, żeby listy kobiece nie miały urzędowéj cechy, kto cię tego uauczył?

— A nie mają, nie, nie, i jeszcze raz nie!—wołał głośno emeryt, bijąc pięścią jednéj ręki o drugą.

— Doprawdy? jaki mi teraz filozof, a przed dwudziestą laty takeś może myślał?

— Tak, tak — odpowiedział śmiało.

— A pocóżeś latał za tą, tą.... i pisywał....

— Daj pokój kobieto! Urszulko!—mówił prędko pan Tomasz machając rękoma przed sobą, i wynosząc się do drugiego pokoiku; lecz wrócił się jeszcze do mnie z napomnieniem, żebym o serdelkach i bułkach nie zapomniał, bo mógłbym z głodu umrzéć nim dojadę. Podziękowałem za radę i troskliwość, szczęśliwy, żem się uwolnił od nudnéj perory pana Tomasza; wybiegłem w miasto, i w kilka godzin paszport, zapisanie się na pocztę, i inne formalności odjazdowe załatwionemi zostały. O godzinie szóstéj ruszyła kuryerka, a jam swobodniéj odetchnął, przebiegając myślą już przebytą podróż, i przenosząc się w te miejsca, gdzie cierpiały kochające mię serca.

Trzeciego dnia podróży, gdy niespokojność moja przybierała nieograniczone rozmiary, ukazał się znowu widok rodzinnego miasteczka, owa srebrzysta Wisła, poważne a urocze Tatry, i biały domek z błyszczącemi oknami. Boleść i radość naprzemiany przejmowały duszę: zbliżałem się do tych miejsc, tyle pamiętnych w mém krótkiém życiu, które opuściłem ze smutkiem i nadzieją, a drżałem teraz na samą myśl o rodzicach. Słońce miało się ku zachodowi, przeczysty błękit nieba, z lekkim powiewem wiatru, uprzyjemniał jazdę; gdzieniegdzie pokazująca się gwiazdeczka, patrząc żałosném okiem na moje myśli, zdawała się wléwać nadzieję w udręczone serce i mówić: „nie trwóż się, jesteś na swojéj ziemi, w swojéj atmosferze, między swojemi; tu żadne złe spotkać cię nie może, tu wszystkie żywioły znają cię jak brata: one nie dopuszczą, abyś z tęskną myślą do nich powracał“!

Bryczka z wściekłemi podskokami, jak rekoszująca kula, biegła po gliniastéj drodze; tumany kurzu obło-

kiem ją przykrywały wraz z nami i końmi, warstwa białego pyłu osiadła całkiem odzienie, i tłumiła oddech. Trzy krzyże tuż blizko podnoszą swe wzniosłe ramiona, jakby chciały niemi objąć ten świat uroczy, i przytulić do swego łona; pod niemi, migają jakieś białawe przedmioty, poruszając się ku stronie od któréj jechałem. Serce przeczuło, że to Stefcia z siostrą. Wyskoczyłem więc z bryczki, i jak nieprzytomny biegłem na ich spotkanie.

— Jasio! Jasio!—wołały dziewczynki wyciągając ręce.

Po piérwszych uniesieniach przywitania, z trwogą i niezwykłém biciem serca zapytałem o rodziców. Stefcia skłoniwszy głowę milczała, jam zdawał się pojmować w tém milczeniu cały ogrom nieszczęść, jaki mię oczekuje.

— I cóż przez Boga?— zapytałem godnym litości głosem.

— Nic—odrzekła pomieszana—jak było tak jest, a podobno coraz gorzéj.

— Objaśnijże przez litość, co to być może? Czy się nie dorozumiewasz tego nieszczęścia, nie przypuszczasz zkądby pochodziło, i jak dawno to się stało? Mów, mów, bo nie uwierzysz, ile mię dręczy ta niepewność!

— Pójdźmy ku domowi—rzekła biorąc mię pod rękę—każ zajechać służącemu na pocztę, żeby się nie dowiedziano o twoim przyjeździe, a ja przez drogę wszystko ci opowiem, co tylko wiem, lub przeczuwam.

Widzisz mój Jasiu kochany—mówiła przyciskając mą rękę—będzie temu może ze dwa tygodnie, gdy przybył do nas jakiś wędrujący zegarmistrz, prosząc o robotę. Ojciec uczepił go się zaraz, chcąc korzystać z jego umiejętności, i zaproponował reparacyą tego zegara, co to wisi w twoim pokoju około drzwi prowadzących do sali. Przez trzy dni siedział z nim zajęty majsterką, raczył mistrza czém mógł, pokazywał wszystkie swoje osobliwości, fajki, pistolety, szkatułki; słowem zrobił go prawie powiernikiem swoim.

— Wiem, wiem—przerwałem—ojciec dla zegarów wszystkoby poświęcił, to jego słabość.

— Otóż przed dziesięcią dniami, ten zegarmistrz nagle zniknął, jak się domyślam coś ukradłszy, bo zaraz ojciec rozesłał pogoń za nim, śledził, jeździł sam dni

kilka, lecz pokazuje się wszystko było napróżno. Powrócił zmartwiony, przygnębiony zamknął się z matką w pokoju, i coś długo, długo z sobą rozmawiali. Po téj naradzie gdy wyszedł, oczy łez pełne, zaognione, i cała ta poczciwa twarz, dowodziły głębokiéj boleści, i niepowetowanéj straty. Matka również przygnębiona smutkiem, płacze po całych nocach, modli się, i nigdzie miejsca sobie znaleźć nie może. Prosiłam, zaklinałam, klękałam przed niemi wraz z Julcią, by się uspokoili, lub powiedzieli przyczynę umartwienia: wszystko było napróżno. Porucznik mię uściskał, zapewniając, że to minie, żeby się nie troszczyć o niego, i nie donosić tobie. Matka choć w stanie godnym politowania i pociechy, tyle jednak potrafiła uzbroić swą rezygnacyą, że uspakaja mię serdecznie mówiąc, że to mało znacząca drobnostka, o któréj najlepiéj zapomnieć; stara się być wesołą a przynajmniéj spokojną. Dziś nawet, choć prosiła nas z Julcią abyśmy wyszły na przechadzkę, umiała pokryć tę prośbę taką obojętnością i naturalnością, iż gdybym nie znała jéj serca i charakteru, mogłabym uwierzyć, że niebezpieczeństwo minęło, i spokój zawitał do skołatanéj duszy. Tymczasem wiem, że posłano po Jakóba, aby konie przygotował jutro na godzinę 10tą, i że matka ma gdzieś wyjechać w podróż daleką, bo widziałam większe niż zwyczajne przygotowania.

Nie słuchałem już więcéj, tylko ile możności przyspieszając kroków zdążałem ku domowi.

— Mój Jasiu—mówiła błagająco Stefcia—nie wpadnij téż nagle do pokoju, bobyś ich mógł przestraszyć swém niespodzianém przybyciem; idź sam, my tu przed domem pozostaniemy: ja zawsze obcą jestem dla was, a podobne sceny nieszczęścia, nie lubią mieć świadków.

Spojrzeniem tylko podziękowałem za tak rozsądną radę, a sam z bijącém sercem i trwogą, wszedłem w znajome mi pokoje. Lubo już kilkanaście lat minęło od owéj chwili, lubo inne również bolesne ciosy uderzały kilkakroć o biédną moję duszę, jednakże nie mogę zapomnieć najdrobniejszego szczegółu ówczesnego spotkania. Dobrze już było ciemno, w piérwszym i drugim pokoju pusto, nigdzie żyjącéj istoty: jakieś złowrogie przeczucie nieszczęścia owionęło wszystkie sprzęty. Uchyliwszy lekko drzwi od bawialnego pokoju, po narzuco-

néj ścieżce, bez stuku, podsunąłem się ku drzwiom sypialni kobiét. Tak byłem nieprzytomny, że nie wiedziałem co daléj przedsięwziąć. Myśl odkrycia powodu umartwień rodziców, przedewszystkiém zabłysła w skołatanym umyśle; uklęknąwszy więc na suknie, przez dziurkę od klucza zapuściłem wzrok do sypialni.

Obok stołu, umieszczonego wprost drzwi wchodowych, z jednéj strony, siedziała matka z podpartą oburącz głową i pełnemi oczami łez. Łkania jéj głośne dochodząc moich uszu, jakby ostrém sztyletem raniły serce; na całéj twarzy rozlana boleść głęboka, prawdziwa, serdeczna, wzbudziłaby litość najmniéj obojętnego człowieka. Blizko pięćdziesięcio-letnia kobieta, ze śladami mozołów i ciężkiéj pracy na wzniosłém i szlachetném czole, z włosem czarnym poprószonym siwizną, niedbale spadającym na oczy i rozsypanym po stole, wreszcie z tém rozpaczającém okiem, i głośném a rzewném łkaniem, wydawała się tą Magdaleną pokutnicą, żałującą ciężkich przewinień nie swoich, lecz całego rodu ludzkiego. Z drugiéj strony, porucznik trzymając pióro w ręku, pisał coś na dużym arkuszu papieru, rachował, podkréślał, mazał, i znowu wpisywał.

Czoło pomarszczone w ogromne fałdy, oczy zapadłe, policzki wklęśnięte, dowodziły, że smutek już dawno nurtując duszę, głębokie w niéj zapuścił korzenie. Co chwila rękawem szaraczkowéj węgierki ocierał łzy spadające na papiér, spoglądał z ukosa na matkę, a gdy jéj wzrok napotkał, zdawał się gniéwać na siebie, że tyle jest słabym i nie potrafi pohamować boleści. Przed nimi, cały stolik założony był różnemi kosztownemi sprzętami: staroświecka cukiernica, tuziny łyżek, widelców i nożów srebrnych, broszki, kolczyki, spinki, perły ślubne matki, lichtarze, łańcuszki, nawet pas złotolity po dziadku moim, czepiec ślubny babki, pistolety kością słoniową wybite, zegarki i pudełko z krzyżem legii: wszystko to ułożone w kupki, było przedmiotem rozmyślań rodziców.

— No i cóż?—zapytała niespokojnie matka, śledząc każdy ruch pióra porucznika.

— Zaraz, zaraz—przemówił prędko i liczył daléj: —czterdzieści ośm a dziewięć, pięćdziesiąt siedm.—Znowu toż samo milczenie.

Chciałem już otworzyć drzwi, upaść im do nóg, płakać z niemi wspólnie, i poświęcić życie za jeden wesoły uśmiech na ich twarzach, lecz jak na złość, ani jedna łezka nie zaświeciła w oku; obłęd jakiś ogarnął cały umysł, nogi się zachwiały, i zmuszony byłem usiąść na ziemi. Wkrótce jęk długi ojca wrócił mi przytomność; podniosłem więc ociężałą głowę, i postanowiłem wytrwać do końca téj okropnéj sceny.

— Darmo kochana Zosiu! darmo, tylko dwa tysiące się zbierze; czterech brakuje!—zawołał porucznik powstając, i załamując ręce z przeraźliwym trzaskiem.

Matka wybuchła jeszcze głośniejszym płaczem, a on schwyciwszy się oburącz za włosy, ze wzrokiem niemego wyrzutu wzniósł oczy do góry, wołając nie głosem, lecz prawie całą wewnętrzną mocą wszystkich organów:

— O Boże, Boże wielki! za cóż mię téż tak srogo ukarałeś? Cóżem Ci Panie zawinił, że mnie lichego robaczka dotknąłeś palcem Twojego gniewu?

— Jędrusiu! mężu mój! nie urągaj Bogu, wstrzymaj się, nie bluźnij—zawołała matka chwytając go za ręce.

Lecz on odepchnął ją lekko od siebie, z wyrazem nieograniczonéj rozpaczy, spojrzał na leżące przed nim sprzęty, i znowu począł wyrzekać:

— W tylu bataliach ochraniałeś mię Panie od zguby, odsuwałeś zabójcze kule od mego łona, pozwoliłeś zsiwieć się téj staréj głowie, a dzisiaj zesłałeś cały ogrom Twéj zapalczywości na to skołatane serce! Czyż Panie nie ma iskierki litości dla mnie, czyż wyczerpnęła się miarka Twéj łaski dla biédnego stworzenia Twego?

— Jędrusiu, Jędrusiu! nie zapominaj się, błagam! wołała poczciwa matka, chwytając go w objęcia—wstydź się starcze schylony nad grobem, urągać Wszechwładcy twemu! Czyż On nie ocalił tylu mu wiernych na ziemi, czyż miłosierdzie Jego ma jakie granice? I takażto wiara twoja w Opatrzność, i takażto religia w sercu? Wierz mi, więcéj cię ceniłam!

— Masz racyą droga Zosiu! Tak jest bluźnię, nikczemnik jestem, daruj mi kochanie, ja nie wiem co mówię!

— Nie mnie błagaj nieszczęśliwy, lecz tego Boga, którego tak ciężko obraziłeś! Uspokój się, On nas nie opuści: sprzedawszy wszystko, podwojemy oszczędność,

pracować będziemy od rana do zmierzchu nieustannie, a mam nadzieję, w rok uzupełni się kwota. Teraz pokaż mi regestr.

Ojciec już troszkę spokojniejszy, podał swój rachunek i głośno wyliczał przedmioty, oznaczając ceny.

— Zamało liczyłeś—mówiła słuchając matka—spodziewam się, że więcéj da się utargować. Jutro pojadę, a ty mój mężu nie rozpaczaj, bo widzisz i Stefcia już coś zaczyna się dorozumiewać; udawaj spokojność, zdobądź się na odwagę, do Jasia napisz jak zwykle: odjęcie mu pensyi wytłumacz nadzwyczajnemi wydatkami z powodu dorastania Julki. On poczciwy, on nas kocha bardzo, pewna jestem, o suchym kawałku chleba pracowałby lata, żeby znał powód téj oszczędności.

— A niech Bóg zachowa, żeby się miał kiedy dowiedzieć prawdy; wiész, ja ojciec jego, ja porucznik dotąd niczém niesplamiony, musiałbym się wstydzić przed własném dzieckiem, za moję nieostrożność!

— Bóg tak chciał—poszepnęła matka,—niech się dzieje wola Jego. Co się stało, nie odstanie: obojeśmy winni; trzeba było ulokować Stefci pieniądze wszystkie, a nie mielibyśmy dzisiaj powodów opłakiwać ich straty.

— Ach żebym znalazł tego łajdaka, dziesięć razybym go zabił, mosanie!—wykrzyknął wściekle porucznik.

No, już daj pokój, nie wspominaj niegodziwca; ot lepiéj idź spać, bo to jedénasta godzina.

— Gdzież tu mnie spać moja kochana, gdzie tu dać pokój, jakby on usłuchał naszych chęci. Tobie tylko dziękuję droga przyjaciołko, żeś uchroniła mię od hańby, radząc zachować tajemnicę. Bo słuchajno, czyby to uwierzył kto, że mi skradziono pieniądze? Powiedzieliby zaraz: schował sam, dowodów nie ma, i kwita. Ja teraz nawet nie mogę oczu podnieść na nikogo; zdaje mi się, że na każdéj twarzy czytam szyderski uśmiech powątpiewania o mojéj uczciwości. Panie pułkowniku, święty mój patronie! ty jeden widzisz niewinność, ty jeden przebaczysz nieroztropność twojego przyjaciela; tyś to przeczuwał, tyś pisał w ostatnim liście: „chroń przedewszystkiém małéj spuścizny Stefci, bo biédna, w cóżby się obróciła!“ Jam zdradził twą przyjaźń, jam nikczemnik, morderca, zabójca twojego dziecka! Jam za-

bił przyszłość mojego Jasia, bo cóż on teraz bez naszéj pomocy przedsięweźmie? Pracując nad siły, przeklnie niegodnego ojca...

— Błogosławić będzie twéj szlachetności, i kochać cię jeszcze bardziéj!—zawołałem wpadając do pokoju z rozognionym wzrokiem, rzucając się do nóg jego.

— Wszelki duch Pana Boga chwali—przebąknął żegnając się strwożony porucznik, i cofając się na kilka kroków:

— Co to jest? kto ty jesteś, czyś ty mój synu?—mówił nieprzytomnie.

— Zkąd się ty wziąłeś u nas?—zawoła z pewném niezadowoleniem matka, podnosząc mię z ziemi.

— Przebaczcie! darujcie, kochani rodzice i dobrodzieje moi, ja wszystko słyszałem.

— Coś słyszał? co?—krzyczał zaczerwieniony porucznik z wzrokiem, któryby przestraszył najodważniejszą duszę, i potrząsając silnie mojemi ramiony.

— Wszystko kochany ojcze!

— I tyś śmiał być tyle podłym, człowieku? tyś śmiał podsłuchiwać pode drzwiami rodziców? To taki jest mój syn, cała nadzieja, całe szczęście nas obojga!

— Ojcze kochany uniewinnij mię: zrobiłem źle, przyznaję, ukarz mię jak ci się podoba, lecz nie zabraniaj cierpiéć razem z wami, nie dopuszczaj, abym mógł mniéj was wielbić i kochać, znając tyle szlachetną i uczciwą stronę waszego postępku.

— Jakiego postępku?—mówił spokojniéj nieco porucznik, zakrywając serwetą rozłożone na stole przedmioty.

— Tego—rzekłem wskazując na stół.

— Ach to okropność, to już nad siły moje! Zosiu! on wié o wszystkiém: darmo, hańbę moję własne dziecko odkryło! darmo, nic nie zostaje tylko w łeb...

— Przez Boga mężu nie kończ,—zawołała matka przystępując do niego, i zasłaniając mu usta ręką.— Wszakże on syn nasz, on pojmuje naszę boleść; Jędrusiu! ty krzywdzisz jego miłość rodziców!

— Matko droga! kochana! — mówiłem rzucając się w jéj objęcia—tyś zrozumiała moję boleść, i dziękuję ci za to serdecznie. Zlitujcie się drodzy moi dobroczyńcy,

i przestańcie odsuwać mię od tajników dusz waszych! Już przecie człowiekiem jestem, synem waszym, i wiecznym dłużnikiem; przecież godzi się i mnie choć w części podzielić wasze cierpienia, zapłakać nad wspólną naszą niedolą; moje życie i istnienie ściśle połączone z waszém życiem, i ja jestem ogniwem tego łańcucha boleści, który obwija wasze serca! Słyszałem wszystko, nawet wiedziałem o tém po części w Warszawie, i mój dzisiejszy przyjazd jest skutkiem tych wiadomości.

— Więc ona ci doniosła, Jasiu?—zapytał z uczuciem przygnębionéj lecz spokojnéj boleści ojciec.

— Tak—rzekłem—ona; lecz domyśla się tylko, nie wiedząc na pewno.

— Chwałaż tobie Boże!—mówił składając ręce i podnosząc oczy do góry—bo gdyby inaczéj było, spaliłbym się od wstydu spojrzawszy na nią.

— Mój ojcze kochany—odezwałem się po chwili, nie ma co rozpaczać: to się już stało, i przecież da się naprawić. Wiem, że skradziono pieniądze Stefci, ale nie wiem ile; proszę was powiedźcie mi otwarcie, a może da się zkąd pożyczyć? Mamy tyle przyjacioł, znajomych, niepodobna, by nie znalazła się między niemi ani jedna poczciwa dusza, któraby nie przyszła z pomocą.

— To prawda mój Jasiu—odrzekła matka—myśmy o tém myśleli; lecz zkąd oddać, kochanie?

— Tak, tak, zkąd oddać—powtórzył ojciec — i myśmy już starzy oboje, zapracować nie potrafimy; ty sam jeszcze od nas potrzebujesz, a potrąciwszy wszystkie zapasy nasze i kosztowności, które sprzedamy, brakuje 4000 złotych. Tak, tak, biéda mój synu—mówił daléj westchnąwszy—nie chciałbym oszukiwać ludzi, pożyczając bez zamiaru oddania; z jednéj ostateczności wpadłbym w drugą...nie, nie.

— Widzisz mój Jasiu, myśmy już obliczyli cały nasz zapas gotowizny, i te oto drobnostki, które jutro mam sprzedać w Krakowie; więcéj nawet zrobiliśmy: poświęciliśmy ciebie, bo nie będziemy posyłać ci zwykłéj pensyi. Pracuj mój synu jak możesz: w Warszawie tyle jest sposobności zarobkowania dla młodych ludzi, to i dla ciebie się coś dostanie; znieś dla nas tę ofiarę cierpliwie, pocieszaj się myślą, że wielu jest jeszcze biedniejszych od ciebie, co kawałka chleba do ust nie mają! Nie na-

rzekaj na nas, to wola Opatrzności; podobało się Bogu dotknąć nas plagą, myśmy z pokorą winni przyjąć Jego wyroki!

— Ależ ja nic od was nie potrzebuję, kochani dobroczyńcy: jam nie donosił, a tu od miesiąca mam pensyą, która zanadto wystarcza na moje utrzymanie, co więcéj, zamierzyłem połowę jéj poświęcić dla was. Pożyczę teraz potrzebną kwotę, a późniéj cząstkowo ją upłacę; tylko o jednę łaskę śmiém was upraszać.....

— O jaką, jaką?—zapytał niespokojnie ojciec, myśląc zapewne, że o rękę Stefci.

— Oto żebyście nie sprzedawali tych przedmiotów— rzekłem wskazując na stół—one dla was są bardzo drogą pamiątką: każdy sprzęcik jest okupiony krwawą łzą potu waszego! Ja pojmuję żal wasz i wielkość ofiary, jaką robicie z tych przedmiotów dla zadośćuczynienia powinności waszéj, dla spokojności waszego sumienia, żeby nie powiedziano kiedyś, iż skrzywdziliście sierotę! Wszak dziś te pieniądze są jéj niepotrzebne, można się wstrzymać czas niejaki: przecież w każdym czasie spieniężyć je łatwo; a może tymczasem Bóg litościwy, innym sposobem da zastąpić niedostatek. Czyż i córce waszéj nie należy się jakaś cząsteczka spuścizny po rodzicach, dziadach i pradziadach?

Matka spojrzała na ojca z wyrazem pewnego tryumfu, jakby mu chciała powiedzieć: nie miałam słuszności? On zaś stał i milczał, przypatrując się rozłożonym na stole przedmiotom. Walka powinności z posiadaniem drogich pamiątek czynnie odbywała się w głowie nieszczęśliwego starca; zdawał się lubować i pieścić wzrokiem z temi drobnostkami, które przez całe życie nagromadził, i które kosztowały go tyle pracy, znojów, łez i dolegliwości. Wziął pudełko z krzyżem legii, obejrzał, obtarł z kurzu brzeżki pięciopromiennéj gwiazdy, i położył na dawném miejscu; podniósł znowu pas złotolity dziadka, obejrzał również, rozciągnął w obu rękach, złożył starannie, i westchnąwszy głęboko, spojrzał po nas żałośnie i badawczo, jakby chciał dowiedzieć się, czy my nie pojmujemy jego myśli. Widocznie, nie mógł przenieść spokojnie utraty tyle szacownych pamiątek. Staliśmy zamyśleni, śledząc z niespokojnością każdą okru-

szynkę jego myśli, tak wybitnie malujących się na twarzy.

— Nie, nie—przemówił wolno, potrząsając głową z przymuszonym uśmiechem—odwlekać sprzedaży nie wypada: przecież takie rzeczy zawsze kupić można! prawda Zosiu?

Matka nic nie odrzekła, tylko łza błyszcząca w jéj oku mogła przekonać porucznika, że serce jéj nie zgadza się na podobne twierdzenie. Umysł obojga widocznie się wahał w wyborze; uznałem za stosowne odezwać się znowu z prośbą o zwłokę, i tylem dokazał, że zgodzili się pozostawić rzeczone sprzęty do niejakiego czasu u siebie, a tymczasem starać się o potrzebny fundusz na założenie skradzionego ubytku.

Już dwunasta w nocy wybiła na domowym zégarze, wszystko spało snem spokoju i swobody, a my jeszcze, jak te rozbitki na ostatniéj desce z okrętu, siedzieliśmy, upatrując najmniejszéj iskierki nadziei ratunku. Miliony myśli, w najdziwniejszych barwach i kształtach, krzyżowały po tych trzech głowach, splecionych z sobą wspólném nieszczęściem; wybuchy boleści, łzy, czasem wyrazy rozpaczy i ciężkie westchnienia, odbijały się ponuro od tych ścian milczących, w których przed niedawnym czasem rozlegało się tyle szczęścia, błogości, spokoju. W takim natłoku różnorodnych uczuć, nie można było znaleźć najmniejszego porządku; niezliczone projekta, jedne za drugiemi snuły się w myśli, i wychodziły nieśmiało z tych trzech serc bolejących, a każdy w swych skutkach był niewykonalnym, bo rozbijał się stanowczo o niedostatek materyalnych zasobów, których stworzyć niepodobna. Mój Boże, pomyślałem sobie, jaką to błahą drobnostką wydałby się podobny cios takim, co rzucają garściami złoto bez celu, potrzeby i przekonania; jakbyto przemknął się niepostrzeżenie przez umysł mało ceniącego prawość i szlachetność egoisty; piérwszy powiedziałby „zapłacę", drugi „skradziono" i rzecz skończona. A tu, widziałem dwoje ukochanych istot dręczonych nieograniczoną boleścią, i tak dotkliwie czujących stratę, która bezpośrednio ich nie dotyczyła, i o którą niktby się pewno nie upomniał. Stary porucznik uważał za zbrodnię, że pozwolił uszczuplić funduszu sierocie, którą mu z nieograniczoną ufnością

powierzono; dusza jego zraniona w samym szczycie uczucia prawości i uczciwości, zezwoliła chętnie na pasmo poświęceń tego wszystkiego, co tylko ukochało serce, co zgromadziły lata pracy, narażenia życia i honoru! I pomimo takich rezygnacyjnych ofiar, pomimo wyzucia się z posiadania najdroższych pamiątek, zabicia przyszłości jedynéj córki, któréj nic zostawić nie mógł, widział dobrze, że nie potrafi wynagrodzić straty, pochodzącéj jedynie z fatalności wypadków i małéj z jego strony przezorności. Podobne udręczenia szlachetnego człowieka, czyż nie są godnemi największego współczucia naszego, i nie mogą mu zjednać już na téj ziemi korony męczeństwa? To téż czuliśmy je z matką serdecznie, i musieli ocenić cierpienia porucznika. Ona znowu, kobiéta kochająca, z całym szeregiem poświęceń; kobiéta, któréj życie przeszło jak dzień jeden pogody, w zaciszu domowych obowiązków żony, matki i gospodyni, widząc i podzielając podobne udręczenia małżonka, po raz piérwszy może zakosztowała napoju z tego kielicha goryczy, jaki każdy człowiek wychylić musi do dna na téj ziemi. Znikły marzenia szczęścia dzieci, zaćmił się horyzont ich niedalekiéj przyszłości; widziała boleść męża, czuła jego rozpacz, targającą zuchwale wątek dotychczasowéj swobody i szczęścia, a nie mogła w niczém mu dopomódz, nie mogła żadną ofiarą swoją przyczynić się do rzędu jego ofiar, chyba potokiem łez z akordami westchnień i żalów. A jednak, pomimo tylu powodów do wyrzekań i urągań losowi, widziałem ją pełną rezygnacyi, pełną wiary i otuchy w miłosierdzie Boga; słyszałem, jak z serca odpuszczała przestępcy, który przywiódł ich do téj ostateczności. Największą pomstą za to wszystko było hamowanie gniewu męża, gdy ten groźnie odzywał się o nim, i słowa: „niech mu Bóg tego nie pamięta!"

Jakże wielką była jéj wiara, i jak szczytne pojęcie sprawiedliwości Wszechwładcy świata, który rozkazał miłować nieprzyjaciół! A ja miałżem obojętném okiem spoglądać na tych ludzi z wygórowaném pojęciem prawości, uczciwości i wiary? Nie musiałżem czcić ich, kochać i płakać z nimi razem, poświęcając wszystko? Och! takie chwile nie często się zdarzają, o takie serca trudno na naszéj ziemi, i warto przecierpieć tyle co prze-

cierpiałem, bom poznał prawie ostatni kraniec duchownéj wartości człowieka!

Nazajutrz, ledwo piérwsze brzaski zaczęły pokazywać się na niebie, przebudził mię głos dzwonka, wzywający pobożnych na modlitwę. Rodzice jeszcze spali, a srébrzyste dźwięki rozbudzając w duszy dziecinne uczucia swobody, coraz rzewniéj wpadały w ucho, uderzając po kolei we wszystkie coraz drażliwsze struny wspomnienia. Pobiegłem więc żywo do kościołka, poprosić wspólnego ojca o pociechę, i podziękować mu za przepędzone dotąd chwile życia. Świątynia napełniona ubogim ludem, gorące pienia z serc ich płynące do podnóżka Pana nad Pany, prostota i szczérość ich oblicza, a wreszcie niezwykły urok i powaga mszy świętéj: wlały niejaką otuchę w utrapioną duszę, i kazały zapomnieć teraźniejszości. Nie wiem, czy każdego, czy tylko mnie, wychowanego pod strzechą wiejskiéj zagrody, widok skromnych ścian kościołka ubranych jaskrawém kwieciem, drewnianych ołtarzy z fantastycznemi przyborami świecideł, i prostego pendzla wizerunkami świętych, mimowolnie zachwyca i pociąga; duch mój, zda się więcéj sympatyzować z podobną ubogą, a szczerą ofiarą rolników, niż z imponującéj wielkości rozmiarów kościołami; te różno-dźwięczne pienia prostego ludu, większe na umyśle moim robią wrażenie, niż harmonijne chóry uczonych śpiewaków. Bo téż potrzeba słyszeć ten rozdzierająco błagalny śpiew suplikacyi: „Święty Boże, św. mocny! św. a nieśmiertelny!“ gdy on zabrzmi całą mocą w szczupłym kościołku wioski, gdy wszystkie usta pobożnych, z głęboką wiarą i przenikającą prośbą podniosą swe modły do miłosierdzia dobrego Ojca! Och pewny jestem, że On ich wysłucha, że spojrzy litości okiem na ten rój wiernych mu stworzeń, błagających Go z szczerością i prostotą serc swoich.

Nabożeństwo się skończyło, lud powoli opuszczał podwoje świątyni, spiesząc do zwykłéj pracy, a jam rozrzewniony do żywego, bez cienia już wczorajszych udręczeń, postępował jak przed 10 laty ku plebanii, do staruszka dziekana, żeby mu powiedzieć dzień dobry, i zapytać o zdrowie.

Na tarasie wychodzącym na Wisłę, ujrzałem świątobliwego kapłana, siedzącego w krześle z różańcem

w ręku. Zgrzybiały starzec, z garstką srébrzystych włosów na wysokiém czole, z słabym rumieńcem na policzkach, zdawał mi się owym patryarchą w pierwotnych czasach chrześciaństwa, co to już czeka z upragnieniem chwili, w któréj cnotliwa jego dusza ma uciec do rąk Stwórcy, z których wyszła.

— Dzień dobry księdzu kanonikowi!—przemówiłem głośno, stawając przed nim.

— Dzień dobry, dzień dobry—powtórzył machinalnie starowina, przymrużając oczy, i zasłaniając się ręką, aby mi się przypatrzyć.

— Czy ksiądz kanonik mię nie poznaje?—zapytałem przysuwając się bliżéj.

— Głos znam—odrzekł drżąco—lecz nic nie widzę. —I przy tych słowach wziął mię za rękę przysuwając do siebie.

— To ja, Jaś, uczeń kochanego....

— A, a!—zawołał radośnie, chcąc się poruszyć—to to ty kochanku z Warszawy! A jakież szczęście dla mnie Jasieńku! a witajże mi witaj! Och mój Boże, że téżto nie mogę cię obaczyć; musiałeś urość—i zaczął mię macać po twarzy, piersiach i rękach!

— To mi niespodzianka, to mi radość mój wychowańcze—mówił rozczulony, całując mię w głowę i przyciskając do piersi.— Że téżto Bóg mi pozwolił jeszcze cię oglądać i słyszéć. A mówże kochanku jak się tam miewasz, jak ci tam idzie; a siadajże tu bliżéj, bo widzisz nie dosłyszę już i nie dowidzę; darmo! podobało się Panu dotknąć mię tém nieszczęściem, cóż robić: więc ja się téż nie martwię wcale, zdrów jestem, apetyt mam.....

Opowiedziałem mu pokrótce moje przybycie, otrzymanie posady, i widoki na przyszłość, zamilczając wszakże o kłopotach ojca; lecz starzec snać wiedział o jego utrapieniach, lub ich się domyślał, bo zapytał:

— No, a jakże téż zastałeś rodziców? Prawda smucą się biédaczyska?

Jam nic nie odrzekł, a on tymczasem zwróciwszy ku mnie swe siwe zamglone oczy, zdawał się czekać odpowiedzi, i badać, czy wiém lub nie wiem o powodach nieszczęścia.

— I cóż, nie mówili ci nic, nie uważałeś w nich zmiany; jakże cię przyjęli? Gadajże u Boga, bo ty wiész o wszystkiém.

— Tak jest wiém—przebąknąłem nieśmiało—lecz na to nie ma ratunku, i ojciec zakazał mi o tém wspominać.

— Ha więc zgadłem!—zawołał żywo proboszcz przysuwając się ku mnie—widzisz, ciągle się zapierał przedemną, udawał wesołego, wczoraj nawet; chciał mię musztrować jeszcze. No, no, jaki to majster; a brzydko dobrodzieju, a nieuczciwie tak mię zwodzić! On myślał, że jak ja nie dowidzę, to się i nie dorozumiewam; bajki prześwietny sądzie, bajki, ja to po głosie poznałem.

Wzruszony i rozgniewany staruszek, niejaki czas jeszcze żywo się poruszał, bawiąc się różańcem i mruczał: „To się nie należy, to brzydko, to niegodziwie“, nareszcie zwrócił się ku mnie, i uroczystym tonem przemówił:

— Jasiu! tyś poczciwy chłopiec, ty mię kochasz szczérze, i dobrze mi życzysz, więc powiedz otwarcie co tojest, bo powiadam ci, ja tego nie zniosę i nie przeżyję!

Zagrożony podobną mową, i widząc nadzwyczajne wzburzenie jego, musiałem rad nie rad opowiedzieć całe zdarzenie. Ledwo mógł dosłuchać stary, trzęsąc się z żalu.

— To, to, to, to ojciec twój dobrodzieju jest zdrajca, i kat samego siebie; to, to, to.... nie mógł przyjść do mnie i powiedzieć, przecież to nie summy neapolitańskie, wielka rzecz 6,000 złotych! i tyle się gryźć, martwić, przez dwa tygodnie, i twoję poczciwą matkę ciągnąć za sobą! O, nie spodziewałem się tego, nie, nie—mówił coraz gwałtowniéj poruszając głową.

— Proszę księdza kanonika, ojciec nie chciał pożyczać od nikogo, bo nie byłby w stanie oddać.

— Co to znaczy oddać? a któżby mu o tém gadał; czy nas to nie ma, hę? tobyśmy się złożyli, i zapłacili z kretesem....

Naraz umilkł, chwilkę podumawszy wzniósł oczy do góry, jakby ztamtąd czekał natchnienia, westchnął i głośno powiedział do siebie: „Niech się dzieje wola

Boska; kościół kościołem będzie, a tu się biédnemu dopomoże."

— Kundzia, Kundusiu!—zawołał donośnie, podnosząc się z ciężkością z krzesła.

Wybiegła przerażona gospodyni niezwykłém wołaniem, a stary nie dając jéj nawet czasu przemówić, rozkazał natychmiast zaprzęgać.

— Co się stało takiego mój Boże?—mówiła przelęknięta Kundusia, wodząc wzrokiem po nas. A to Jasio! pan Jasio!—wykrzyknęła radośnie poznawszy mię dopiero.—A skądże się tu wziąłeś!

— Nie rozprawiajno moja panienko, o tém potém, każ zaprzęgać prędko—przerwał niechętny pleban.

Zwróciła się poczciwa Kundusia wypełnić rozkaz, a on wsparłszy się na moim ręku, z nadludzką prawie siłą, dążył do swojéj izdebki. Zaledwie próg przestąpiliśmy, starzec drzwi zamknął na haczyk, kazał sobie podać kluczyki będące pod poduszką, i poprowadził mię do drugiéj stancyjki.

— Wysuń tę szkatułkę z pod szafy?

Wydobyłem skrzynkę dość sporą, żelazem mocno okutą; dziekan kazał ją otworzyć, i z podziwieniem, ujrzałem wielką ilość błyszczących dukatów.

— Bierz, pakuj gdzie możesz, i ile możesz!

— Kiedy niemam w co?—odrzekłem nieprzytomnie.

— Masz, syp tu!—zawołał żywo, zdejmując baranią czapkę zgłowy.

— Czy wszystko?—zapytał po chwili.

— Złoto wszystko—odrzekłem.

— Dobrze, to wystarczy; zamknij teraz szkatułkę, wsuń na swoje miejsce, i jedźmy, bo tu chwila dużo stanowi.

Zaturkotała bryczka, starzec wsiadł zamyślony bez czapki nawet, gdyż mojéj przyjąć nie chciał, i kazał ruszyć galopem ku naszemu domowi. Kundusia w trwożnéj postawie stanęła w ganku, nie mogąc pojąć co się tu święci, a my tymczasem zajechali już przed mieszkanie porucznika. Jeszcze siodméj godziny nie było, weszliśmy szybko do pokoju od nikogo niespostrzeżeni, bo rodzice znajdowali się w sypialni, a dziewczęta spłoszone tak ranną wizytą, schroniły się do kuchni.

Proboszcz z niezwykłą żywością i trzaskiem, otworzył drzwi do bawialnego pokoju, i z twarzą rozognioną, wzrokiem choć zamglonym, jednak pełnym wyrzutu i żalu, zbliżył się do ojca zdziwionego naszém przybyciem, i przemówił.

— Ach ty nic dobrego Jędrusiu! ty ty ty..... — i nie mógł dokończyć z żalu, bo łzy rzęsisto potoczyły się z oczu, a usta ruszały się machinalnie, nie wydając żadnego dźwięku.

Ojciec snać zrozumiał wszystko, bo rzucił na mnie ognistym wzrokiem gniewu i chciał coś przemówić, lecz widząc takie współczucie staruszka, i łzy cieknące strumieniami po zarumienionych licach jego, rzucił mu się w objęcia, i milcząco uścisnął poczciwego przyjaciela.

— Masz, bierz co ci się podoba!—zawołał rozczulony dziekan, podając mu czapkę do połowy napełnioną złotem.

— A to co mosanie!—krzyknął zdumiony ojciec.

— Dukaty Jędrusiu—mówił już spokojniéj uszczęśliwiony proboszcz—weź je, załataj sprawę ..... i nie krzyw mi się—dodał żartobliwie.

— Zosiu, Zosiu! pójdźno moja kochana, słyszałaś ty!

— Matka przybiegła z kuchni na pół ubrana, jednym rzutem oka poznała zamiar i dobrodziejstwo proboszcza, bo wypogodziwszy twarz, z wdzięcznym uśmiechem rzekła do niego.

— Ksiądz dziekan zawstydza nas swoją szlachetnością i współczuciem, lecz podobnéj ofiary na żaden sposób przyjąć nie możemy; my tak biédni jesteśmy, że zwrot podobnéj summy, będzie dla nas zawsze niemożebnym.

— Tak, tak—dodał smutnie ojciec—nie będziemy nigdy w stanie oddać, myśmy już starzy, zapracować nie potrafimy, a darowizny .....

— Nie marudźno mój stary, a któż ci tu mówi o oddaniu, lub darowiznie!, bierz kiedy daję, o więcéj nie pytaj; trzeba ci jeszcze wiedzieć, że i to złoto nie moje.

— Tym bardziéj — przemówiła matka, myśląc że dziekan od kogo pożyczył.

— Ale nie przerywajcie!—mówił niechętnie starzec —wszystko byście chcieli odrazu dociec i wiedzieć, posłuchajcie mię wprzód, a potem będziecie sobie myśléć

co wam się podoba. Od lat czterdziestu co miesiąc, chowałem dukata z tą myślą, żeby uciułać sumkę, na wystawienie dzwonnicy, która gwałtem woła o nową sukienkę; nikomu o tém nie mówiłem, nawet tobie Jędrusiu, bo by mię posądzili o sknerstwo, a i tak wielkiemi oczami patrzą na nas, zebrałem tedy około dziesięciu tysięcy złotych.

— Kiedy tak—przerwał ojciec—ani się dotknę tych pieniędzy, jegomość chciałeś nam święte pieniądze dawać mosanie, i myślałeś, że ja wezmę, co?

— Musisz! weźmiesz! — zawołał zniecierpliwiony dziekan—ciebie w gorącéj wodzie kąpano dobrodzieju, nie da dokończyć i nie da.

— No już słucham jak trusia:

— Otóż gdym się dowiedział, że się wam przytrafiło nieszczęście, i gdy honor wasz dotąd nieskalany, może ucierpieć na tém, pomyślałem sobie: dzwonnica, pochwieje się jeszcze z jakie lat dziesięć, i stać będzie dobrze, a tu się zrobi uczynek chrześciański, dopomoże biédnemu, co pewno Bóg równie, a może lepiéj przyjmie jak dzwonnicę.

— Więc jegomość chcesz ze mnie dzwonnicę zrobić?—krzyknął pół gniewnie porucznik.

— Dajże pokój gorączko jakiś—mówił śmiejąc się starowina—na tobie nie może się utrzymać przez chwilkę dzwonek cierpliwości, a jakżebym zawiesił dzwony dla chwały Boga, w któreby wieki dzwoniły!

— Tak prawda, jegomość zawsze mię zbijesz z tropu! słucham daléj—wyrzekł prostując się, z widocznym zamiarem nieprzyjęcia pieniędzy, a tylko chcąc słuchać jego mowy przez grzeczność.

— Ponieważ pieniądze te mają już przeznaczenie właściwe, więc choć ci je dziś ofiaruję, jednak potrzeba, aby mi zwróconemi zostały.

— Dobrze, dobrze—przerwał znowu nieco ironicznie ojciec—cóż daléj.

— To daléj, że choć mi ich ty nie oddasz, będą tacy, co za ciebie zwrócą takowe.

— A ja nie potrzebuję takich dobroczyńców mosanie, rozumiesz!—zawołał gwałtownie porucznik, nachylając się do twarzy dziekana, i wyciągając ręce za siebie.

— Odda mi taki—mówił starzec nie zważając na wybuchy ojca—który jest twoim dłużnikiem.

— Ja nie mam żadnych dłużników!

— Mój Jędrusiu umiarkuj się—prosiła matka ciągnąc go za rękę—pozwól skończyć!

Dziekan uśmiechnąwszy się tylko spojrzał na mnie wzrokiem wyzywającym. W tém spojrzeniu, dostrzegłem jego myśl, i zaraz wystąpiłem do ojca:

— To ja jestem dłużnikiem, o którém ojciec przez swoję dobroć zapomniał, ja oddam wszystko co do szeląga!—krzyknąłem w zapale klękając przed dziekanem.

Porucznik się zdumiał; spoglądając kolejno to na proboszcza, to na mnie, nie wiedział któremu z nas dziękować; matka uszczęśliwiona podobnym zwrotem interesu, który zapewne przeczuła, z wypogodzoną twarzą, uśmiechem wdzięczności i rozrzewnienia, również patrzyła na nas nie mogąc słowa przemówić, a starzec tymczasem, opromieniony urokiem wewnętrznéj radości z tak szlachetnego czynu, uśmiechał się zwycięzko i zacierał ręce.

— Cóż, nie mówiłem, że wezmiesz hę?

— A niech cię Bóg sekunduje dobrodzieju, jak ty umiesz kierować sercami—zawołał wesoło porucznik, tylko—mówił poważnym tonem, ciągnąc mię za rękę—tylko mi chłopcze przyrzeknij uroczyście, że póty spokojnie nie zaśniesz, póki, ani jeden grosz, nie będzie ciężył na twojém sumieniu!

— Przyrzekam, przysięgam nawet!—wołałem uradowany—to najpiérwszy mój obowiązek, i da Bóg wypełnić go tak, jak mi synowska miłość i wdzięczność dla was rozkazują.

— Już ręczę za niego—dodała matka.

— I ja, i ja—dorzucił dziekan.

— No teraz uściskajmy się wszyscy, podziękujmy Bogu, i dziekanowi, że tak szczęśliwie zakończyliśmy sprawę, która mię tyle umartwień kosztowała; bo to nie bagatela od trzech tygodni nie mieć, ani jednéj chwili spokojnéj w głowie!

— Co tam wspominać podobne rzeczy—przemówił dziekan całując ojca—co było, a nie jest, nie pisze się w regestr dobrodzieju, pieniądze schowaj, i pamiętaj na drugi raz być więcéj otwartym dla przyjaciół; bo gdyby

nie ten młodzieniec, Bóg wié do czego by cię to doprowadziło.

— Prawda, prawda dziekanie, on mądrzejszy od nas, widać taki już świat teraz mój jegomość. A komuż to winienem jeżeli nie tobie mój kanoniku? tyś go wychował prawie, a nie ja, tyś go nauczył kochać Boga i ludzi, tobie więc należy się chwała, i tobie nasza wdzięczność do śmierci.

Jedna chwila, zmieniła wszystko w domu: wesołość i szczęście, zawitały znowu pod ubogą strzechę naszego mieszkania. Porucznik tak był uradowany, tak zadowolniony, że zaraz po odejściu dziekana, zapakowawszy skarb do szkatułki, przyszrubował ją coś ze trzy razy do podłogi, opieczętował najmniéj w dziesięciu miejscach, i zapaliwszy ulubioną lulkę, porozpakowywał sprzęty, które miały iść na sprzedaż; każden po szczególe czyścił, całował, witając się z niemi serdecznie; krzyż legii, znowu zajaśniał na ścianie, pistolety również ustawił w szafce, chodził koło nich, lubował się niemi, cackał i rozmawiał: „a mosanie! złapał was dziekan z Jasiem, chciałybyście się wysunąć kochanki, napróżno, nic z tego, musicie siedzieć". Potém spojrzawszy na swoją cebulę, która także była zaliczona na stracenie, nagle coś sobie przypomniał, bo porzuciwszy fajkę, jak strzała pobiegł do piérwszego pokoju mrucząc przez drogę: a żebyć ty milion furbeczek, batalionów okrętów zjadł, dam ja ci dopiero!

Przerażeni tak nagłą zmianą, zdążaliśmy za nim; on zaś przystawiwszy stół, na nim stołek, a na nim jeszcze stołeczek, wstąpił żwawo na tak urządzone rusztowanie, porwał z zaiskrzonym wzrokiem ów stary zegar, i z całéj siły uderzył nim o ziemię: „masz hultaju, masz przyczyno moich utrapień, niech cię już raz diabli biorą!" I potrącał z pogardą rozrzucone kółka, i deptał z gniewem drewniane cząstki, rozkoszując się ich trzaskiem; potem kazał wynieść Małgosi, wyrzucić precz do śmietnika, bojąc się zapewne, aby nie wzięła go chętka zebrać je znowu, i rozpocząć reperacyę.

Matka po takich cierpieniach i tylu ciosach, odżywszy na nowo, nacieszyć się nie mogła moją obecnością; zwołała panienki, które widząc szczerą radość na

jéj licach, i słysząc wesołe wykrzykniki porucznika, wypogodziły swe niewinne twarzyczki, i oddały się niezmyślonym uciechom i dziecinnym prawie pieszczotom. Kochana matka z uczuciem tkliwéj i macierzyńskiéj miłości, całowała ich główki, tuliła mnie do łona, z pełnym tajemniczości uśmiechem, lecz ani wspomniała o naszém połączeniu. Naturalnie, że i ja, po takiém okropném przejściu, dopiero pomyślałem o Stefci, choć kochałem ją z większą jeszcze mocą niż przedtém. Zawsze, jedna pomyślność, ciągnie za sobą żądanie drugiéj, ta znowu trzeciéj i tak następnie wzmagałyby się one bez końca i granic aż do grobowéj deski, gdyby nieszczęścia i utrapienia, nie spychały nas nieustannie, z tych wyższych szczebli drabiny życia na najniższe, i nie przymuszały na nowo drapać się do jéj szczytu. Szczęśliwy pewno, kto posiada tyle energii i mocy ducha, że na nowo z większą jeszcze pracą weźmie się do dzieła, i wejdzie wyżéj niż przedtém, bo spadając z nowu, dążyć potém będzie, przynajmniéj do tego samego szczebla, na którym stopa jego już raz spoczęła.

Z trzpiotowatéj i wesołéj dziéweczki, jakąm zostawił Stefcię, zrobiła się teraz dziewica i kobieta, w całem znaczeniu tego wyrazu. Myśl poważna, zajęła miejsce dziecinnéj fantazyi, szczéra a skromna wesołość i swoboda, dowodziły czystości jéj serca i niewinności duszy. Świat dla niéj, był jeszcze tém błyszczącém cackiem, do którego wzdycha każde dziecko, i drży z radości na samą myśl posiadania go. Umysł tylko, wykształcony poprzednio nauką, zastosowując teraźniejsze życie do zasad dawniéj nierozumianych, nabył pewnéj giętkości i delikatności, w rozpoznawaniu otaczających ją cudów natury; uczucie piękna, szlachetności, prawości, a z niemi uwielbienie bez granic, gościły w jéj duszy naprzemiany, poetyzując każde zajęcie, umilając każdą chwilkę i chroniąc od zmazy. Rozumie się, że i miłość jéj dla mnie, przy tak sprzyjającém rozwinięciu się ducha i uczuć, przybrała rozleglejsze i więcéj trwalsze rozmiary; wzrok jéj, twarz cała, każden ruch, każden uśmiech lub spojrzenie, świadczyły wymownie, o wielkości tego boskiego ognia, który gorzał w niewinnéj jéj piersi. Radość moja z powodu téj zmiany, podsycana jeszcze szczęśliwém usunięciem cierpień kocha-

nym rodzicom, podobno nie miała granic. Nie mogliśmy nacieszyć się, rozpowiadając wzajemne tęsknoty, z powodu tak długiéj rozłąki; w jéj pięknéj duszy, odkrywałem co chwila nowe skarby, na które dawniéj gruba zasłona dzieciństwa, spokojnie patrzéć nie dozwalała. Nigdy nie zapomnę tego tkliwego, a pełnego wyrzutu spojrzenia, którém obdarzyła mię, dowiedziawszy się powodu utrapień rodziców.

— Mój Boże—mówiła z westchnieniem, i błyszczącą kropelką przeczystéj łzy w oku—jaka to biéda, że człowiek jedno ma tylko serce, oddałam go wam całe z nieograniczoną ufnością i wiarą, a czuję że zamało ofiarowałam, że tym darem, nie mogłam jeszcze zjednać sobie prawa do waszego współczucia!

— Droga Stefciu—rzekłem przerywając jéj to narzekanie—złą stronę widzisz tylko, w postępku naszych rodziców. Oni chcieli oszczędzić ci zmartwienia, na które nie zasłużyłaś; za cóż miała by cierpieć twoja niewinna dusza, i tak wcześnie wplatać ostry cierń w koronę męczeństwa, która nie powinna nigdy dotknąć twojego czoła?

— Wszystko to dobrze—odpowiedziała rozczulona—dziękuję wam serdecznie, za tę dobroć dla mnie, uwielbiam szlachetność i prawość kochanego ojca, lecz zawsze mam żal do niego. Czy myślisz, że ja mniéj cierpiałam niż on, że niepewność nie więcéj mię dręczyła, niż jego utrata moich pieniędzy, które najmniejszéj wagi nie mają dla mnie, i które z radością poświęciłabym, dla złagodzenia jego umartwień.

— Przez Boga, nie mówże tego!—zawołałem przestraszony—właśnie téż, ojciec najwięcéj się lękał, abyś mu nie zechciała ofiarować kwoty, którą postanowił koniecznie sam zwrócić, choćby podobny zamiar życiem przyszło mu opłacić; widać nie znasz go zupełnie: to zagorzały purytanin prawości i honoru; zaręczam, podobna propozycya więcéj by go zmartwiła, niż utrata wszystkiego co posiada.

Dziewcze się zamyśliło, rozbierając dopiéro słyszaną moję uwagę, bo chwilkę milczała knując nowy zapewne projekt przyjścia z pomocą, a wreszcie odezwała się poważnie:

— Już ja wiem co zrobię, tylko mi skrzydełka podrosną; tajemnica za tajemnicę—tyś skrywał przedemną istotny powód nieszczęścia, i ja również mój zamiar dla siebie zatrzymam.

— Dobrze—odrzekłem i zwróciliśmy rozmowę na inny przedmiot.

Porucznik zadowolniony zupełnie, jak ów cyrulik króla Midasa, co to w dołek zakopał tajemnicę oślich uszu, wyjawił swoję radość, ma się rozumiéć pod sekretem, panu sekretarzowi, ten z urzędu swego, powierzył ją burmistrzowéj, a w pół dnia, całe miasteczko i okolica, zachowując wspólną tajemniczość, wiedziały o wypadku porucznika. Już mu ukradziono 40,000, już się chciał zastrzelić, już cały dom zrujnował i kanonika na klęczkach prosił o pomoc, a nawet dodawano, że panna pułkownikówna wyjechała od niego, i podobno proces ma mu wytoczyć. Żałowano poczciwego kapitana, litowano się nad nim, ruszano ramionami z uśmiechem ironii i powątpiewania, gdy kto w obronie jego wystąpił; a w końcu, obsypano nas odwiedzinami, starając się wybadać prawdę, aby ploteczka z większą pewnością, mogła rość sobie do nieskończoności.

Trzpiotowaty pan poczthalter, myśląc tylko o śliwowicy i przysmaczkach, na których mu bardzo często zbywało, skoro się dowiedział o szczęśliwym obrocie sprawy, przybiegł zadyszany do nas i w szczérych uściskach, od których porucznik poczerwieniał jak burak, oświadczył niezwykłą radość i szczęście, obdarzył tysiącem wymówek, że jego przyjacielskie chęci zniszczył dziekan, bo by on również z pomocą przyszedł. Ojciec rozczulony podobnie szczéremi dowodami przyjaźni, dziękował za życzliwe wywnętrzenia, i częstował śliwowicą.

— Bo to mosterdzieju, niezwykła uroczystość panie kapitanie, wartałoby ją czemś uświęcić!

— Tak, tak—przerwał ojciec—dam téż na nabożeństwo, pójdziemy wszyscy do kościoła mosanie, a spodziewam się, że i pan nam nie odmówisz swojego towarzystwa.

— Ma się rozumiéć mosterdzieju—mówił krzywiąc się poczthalter że nie zrozumiano jego myśli—tak, tak,

pójdziemy, a po nabożeństwie zabawimy się wesoło, nieprawda?

— I owszem, i owszem—dorzucił ojciec—proszę, proszę czém chata bogata, tém rada....

— Ale bo ja to żartowałem—zawołał śmiejąc się rubasznie pan poczthalter.

— Co to znaczy: ja sam już myślałem o tém—mówił porucznik—takie fatum mosanie, powinno się okupić.

Matka słuchając téj rozmowy w drugim pokoju, uśmiechała się wesoło, i wyszedłszy do nich, usilnie zapraszała na jutro, wymawiając zwłokę, potrzebą stosownych przygotowań.

Po odbytych modłach dziękczynnych, gdy z wielkiém mojém zmartwieniem zebrała się wesoła drużyna znajomych, przyjechał i dziekan z Kundusią, ubraną w czepek z różowemi już wstążkami, która uśmiechem pełnym tajemniczości przywitała mnie ze Stefcią. Wolicki również uroczyście przybrany, z białą chustką na szyi i z wstążeczką legii, zabawiał towarzystwo pocieszнemi dykteryjkami, i kiedyniekiedy przysuwał się do matki, szepcząc z nią i rozkładając rękoma jakby na ambonie. Dziekan z panią burmistrzową rozprawiali szeroko o Francuzach z 12go roku, ojciec, jako uprzejmy gospodarz krzątał się na wszystkie strony, nalewał kieliszki coraz hojniéj, a pan poczthalter nie mogąc się odchwalić węgrzyna zacierał ręce, czekając niecierpliwie obiadu. Przeczuwałem, że knują jakąś niespodziankę, lecz domyślić się nie mogłem jéj celu; tymczasem obiad przeciągnął się aż do wieczora: ja nie mogąc się zbliżyć do Stefci, każdą minutę rozłąki okupiłbym nie wiedzieć czém, aby skrócić tę ucztę. Zaczęły się zdrowia, biesiadnikom rumieniły się policzki, kurzyły czupryny, języki plątały; porucznik pokręcając wąsa wnosił coraz nowsze wiwaty za zdrowie dam, za pomyślność, za zdrowie dziekana, i nawet pana prezydenta z familią. Kiedy już miano wstawać od stołu, i gdy wszystkich oczy lśniły się bladawo, jak gwiazdy w noc chmurną: wniesiono tackę przykrytą białą serwetką, i postawiono przed majorem. Mnie zapukało mocniéj serce, bo przeczuwałem rozwiązanie tylu szeptów z matką i niezwykłéj wesołości dziekana.

— Léj ty Jędrusiu!—zawołał Wolicki, podstawiając potężny puhar staroświeckiéj roboty— teraz wypijemy najgodniejsze zdrowie!

Ojciec z pośpiechem napełnił kielich, wszyscy powstali, czekając tego najgodniejszego zdrowia, a Wolicki tymczasem podnosząc się również z siedzenia, odchrząknął głośno i z miną niezwykłéj powagi przemówił:

— Kiedy nam tak szczęśliwie przychodzi kończyć kłopoty szanownego kolegi, a naszego komendanta; kiedy łaskawa skrzętność przytomnéj tu gospodyni, i wspaniałość nieocenionego kanonika i proboszcza naszego, dodaje animuszu sercom: potrzeba.....

I uciął nagle, dobywając chustki z kieszeni dla obtarcia spoconego czoła; a słuchacze z rozwartemi ustami, i natężonym wzrokiem czekali końca téj przemowy:

— Potrzeba, mówię, ten dzień uświęcić jeszcze godniéj, obchodząc zaręczyny téj oto pary, która kochając się tkliwie przez lat trzy, a to nie żarty przez lat trzy, mówię, zasłużyła na podobne szczęście, jakie ich spotyka: tą zaś parą jest obecny syn naszego komendanta i wielce miłościwa panna pułkownikówna Bukowska. Wiwat niech żyją narzeczeni!

— Wiwat! wiwat! — powtórzyli gromadnie obecni, zbliżając się do nas szumno, z trzaskiem, stukiem, brzękiem i suwaniem.

Przez kilka minut nie mogłem zebrać przytomności, i pojąć co się to dzieje; gwar nie do opisania wzrastał co chwila, tak, że niepodobna było ani mówić, ani kroku postąpić daléj. Najpiérwsze słowa, które boleśnie wstrząsnęły moją duszą i wróciły mi spamiętanie, były gwałtowne wykrzyki ojca:—Veto mosanie! nie pozwalam! atande! kto się odważył! co robicie!—Lecz każdy wyraz jego zagłuszał hałas przytomnych, i brzęki kieliszków.

— Co to veto! żadne veto!—krzyknął najgłośniéj Wolicki—Jędrusiu! nic nie znaczysz! my rządzimy i kwita!

— A ja nie pozwalam!—wrzasnął jeszcze mocniéj ojciec, uderzając pięścią w stół, aż szyby w oknach zabrzękły.

— Musisz, musisz!—górował głos majora—ja przydany opiekun Stefci, ja pozwalam i lepiéj jak ty pobłogosławię!

— Wszyscy pobłogosławimy—wtorowała podchmielona drużyna!

— Słuchajno gorączko—mówił dziekan biorąc ojca za rękę,—nie sprzeciwiaj się, powiadam ci, bo oni warci siebie: to Boskie zrządzenie.

— Co ma być Boskie: to wasze, to bunt mosanie, przeciw ojcowskiéj władzy—wołał rozogniony porucznik, wyrywając się z rąk starca i miotając konwulsyjnie na wszystkie strony—ja nie pozwolę i nie, choćbyście mię na drobne kawałki poszarpali!

Lecz Wolicki nie zważając na takie dictum acerbum, pochwycił stojącą przed nim tackę, zrzucił serwetkę, i przybliżając się z dwoma pierścionkami do dziekana, prosił z miną uroczystą, aby jako najstarszy wiekiem, i jako mój piérwszy nauczyciel, zastąpił ojca dopełniając obrzędu.

— A żebyście milion fur beczek kartaczów bomb zjedli!—krzyczał nieprzytomnie porucznik, przedzierając się do tacki, i chcąc schwycić pierścionki—czyście poszaleli moi kochani, czy co? To już skaranie Boskie na mnie, to zanadto ubliżać mi podobnie we własnym domu!

— Któż ci ubliża? Jędrusiu — przemówił łagodnie dziekan—powiédz, co masz przeciwko nim? Przysięgam na wszystko, że jeśli znajdziesz coś takiego, sam piérwszy ustąpię od nalegań.

— A nie bądźże tyranem własnych dzieci—dorzuciła matka zbliżając się do niego ze łzą w oku, i prawie rozpaczającą postawą zranionéj miłości macierzyńskiéj.

— No, mów, mów, co masz?—powtarzał drżąc od gniewu dziekan.

— Mów! gadaj!— powstały zewsząd głosy przytomnych, otaczając porucznika.

Zaskoczony podobną napaścią ojciec, stanął milczący; pocierał czuprynę, targał wąsa, krzywił się nieznośnie, gdy tymczasem ja ze Stefcią z pierścionkami na palcach staliśmy pomieszani ze spuszczonym wzrokiem i pałającemi twarzami. Ojciec widocznie szukał w pamięci jakiego wypadku, któryby mu posłużył za wymówkę; lecz tą razą żywość jego wcale nie przychodziła w pomoc.

— A gadajże u Boga! — zawołał zniecierpliwiony bardzo dziekan!

Porucznik marszczył czoło jeszcze gęściéj, chciał koniecznie okazać gniéw, gdy on dalekim był od serca, szeptał dość głośno do siebie, przebiegając myślą prawie całe moje życie: „Utrzymanie ma, porządnie się prowadzi, wyratował mię z biedy; ale, ale.... ona półkownikowna! Nie, nie, to być nie może!

— Słuchajno Jędrusiu!—zawołał żywo Wolicki przysuwając się prawie pod sam nos porucznika—gadaj co masz, lub się nie sprzeczaj, bo jakem major i jak honor kocham, choćby po moim trupie, to ich zaprowadzę do ołtarza

— A żeby was..... Bóg błogosławił!—dokończył ojciec, ciśniony ze wszystkich stron; machnął ręką i porwał nas w swoje objęcia, tuląc do szlachetnéj piersi— Stało się, kiedy tak zapisano dla was, to się już i żeńcie!

— Wiwat, wiwat, niech żyją młodzi!—zlało się razem z gorącemi całusami poczciwych dobrodziejów, i radosném łkaniem obecnych kobiét.

— Widzisz dobrodzieju, nasze na wierzchu!—mówił śmiejąco dziekan, klaskając w ręce.

— Ale bo i ja tak myślałem, i tak sobie ułożyłem mosanie—powtarzał ojciec, szarpany na wszystkie strony przez gości z kielichami w ręku—tylko to mnie zgniewało, że tak ni ztąd ni zowąd, bez mojéj wiedzy wszystkoście pokleili, pomatali, jakby ja nie był jego ojcem.

— Chcieliśmy ci zrobić niespodziankę mój mężu— zawołała matka, ściskając jego rękę.

— Już to wy wszędzie musicie wsadzić swoje trzy grosze! Jak się baby uwezmą: djabła przegadają, młyn przekrzyczą, świat zrujnują, aby na swojém postawić. A nie mogłaś to imość przyjść do mnie, i powiedzieć otwarcie tak a tak, tak a tak, toby się bez podobnych korowodów obeszło; zawsze po swojemu.

— Dobrze, dobrze Jędrusiu, gdéraj sobie zdrów— odrzekła matka uszczęśliwiona—już się stało, nie ma co przypominać.

— Jeszcze zdrowie gospodarstwa!—wołał poczthalter trzymając się ledwo na nogach.

— Z trzewika, zdrowie dam!—krzyknął Wolicki.

Matka czmychnęła do kuchni, a oni tymczasem pochwycili Stefcię, posadzili na stole i gwałtem ściągnęli trzewiki; biédaczka musiała im jeszcze dziękować za

zdrowie i wypić mały kieliszek. Kundusia mniéj zważając na czepek, który według systematu Kopernika zmienił swoje położenie, cackała się ze Stefcią, dając jéj stosowne nauki, jako przyszłéj gospodyni, i składając w darze przy tak wielkiéj uroczystości ogromną księgę sekretów gospodarskich, którą lat 42, własną ręką spisywała. Nie wiem czy dziesiąty wyraz słyszała Stefcia, bo co do mnie, tak odurzony byłem niespodziewaną radością, tak miałem rozstrojony umysł, że dużo upłynęło czasu nim zdobyłem się na podziękowanie szanownym protektorom, którzy korzystając z mojéj nieprzytomności, kazali spełnić coś ze trzy duże i kilka małych kieliszków wina, a te zaciemniwszy do reszty przytomność, wcale niepoetyczne zostawiły po sobie wspomnienie.

Przed pięcią laty, a w rok po opisanych wypadkach, zmartwiwszy się niesłychanie mojemi klęskami gospodarstwa, czego nam, wieśniakom, sowicie los udziela; wziąłem niniejszy skrypt do ręki, i chciałem w wspomnieniach czerpać nową pociechę dla serca. Myśli żalu za minioną chwilą szczęścia owiały pióro, i gorzkie słowa narzekań strumieniem polały się na papiér. Gdym doszedł już samego zenitu onych, wsunęła się nieznacznie Stefcia, żona moja, i przeczytawszy zapewne takowe, trąciła mię lekko po ramieniu, mówiąc z pewnym wyrzutem:

— A ty niewdzięczniku jakiś! jak możesz narzekać podobnie, gdy doświadczyłeś tyle szczególnych łask Pana Boga?

Porwałem się zawstydzony, chowając skrzętnie rękopism, lecz ona zatrzymała moję rękę i groźnie zawołała:

— Przekréśl to zaraz, i przeczytaj za karę całe opowiadanie, bo piérwszy raz w życiu pogniewam się na ciebie!

Cóż miałem robić; musiałem podrzéć kilka ćwiartek, i z miną winowajcy, od deski do deski przeczytać całą powiastkę.

— I na tém koniec?—zawołała zdziwiona gdym przestał.

— A na tém, moja Stefciu: cóż tu więcéj pisać?

— Gdzież opis wesela, gdzie ślub, gdzie mowa dziekana?

— Eh! to niepotrzebne, moja duszko, ktoby to czytał! Nie wiészto, jak się teraz podobne rzeczy wydają?

— Nie wiem, nie rozumiem cię mój Jasiu.

— Oto widzisz, jak czytelnicy domyślą się tylko rozwiązania intrygi, rzucają książkę z pewną niechęcią, że autor nic nowego nie napisał; tu moja droga, trzeba coś oryginalnego, niezwykłego. Publiczność jestto piękna kokietka, która dwa dni w jednéj sukni chodzić nie może: jéj trzeba nowości, a przyznam się niebardzoby mi pochlebiało, gdyby ktoś powiedział, żem skończył jak zwykle na weselu; więc ja téż zaręczynami zamykam opowiadanie.

— Chyba że tak, lecz mógłbyś co dodać o twoim podarunku dla starych żołnierzy, o Wolickim i Julci...

— Dobrze, dobrze: kiedy tego żądasz napiszę, ale i o oddaniu przez ciebie owych sześciu tysięcy na wybudowanie dzwonnicy nie przepom.....

— Przestań złośniku!—zawołała prędko zamykając mi usta rączką—już nic nie pisz, to najlepiéj będzie. Ach!—dodała po chwili—Rygorskiego poczciwego opuściłeś! Przecież należałoby coś opowiedzieć o nim, zwłaszcza że tyle.....

Tą razą znowu powtórzyłem podobną scenę, zamykając jéj usta.

— Jak widzę, wy dotąd jeszcze nieodrodne córki Ewy: chciałybyście naraz wszystko wygadać, i wszystkiego się dowiedzieć; poczekaj kochanie, i o nim będzie: przecież to nie koniec kłopotów komendanta. Znajdzie się i pan ex-kontroler, i jego żona, i Wolicki; odrazu tak nie można: trzeba obejrzéć się na przyszłość, napisać gdy gratka się zdarza jakie 15 tomów, bo teraz wiek spekulacyi i przemysłu! Nie wiészto, co Dumas napisał Muszkieterów?—w dwadzieścia lat, w dziesięć, w pięć....

— Kiedy tak, to co innego: rób jak chcesz mój drogi, tylko pisz prawdę!

Nie lękajcie się szanowni czytelnicy! Jam żartował tylko, mówiąc żonie o piętnastu tomach: zkądżebym

czerpał na nie materyałów? Porucznik przecie kiedyś umrze, a zresztą na to potrzeba niepospolitych zdolności lub zasługi w piśmiennictwie, żebyście raczyli taki ogrom przeczytać! Niedługo was już ponudzi komendant, bo przyjdzie zima, wieczory będą dłuższe, balów pełno, to znużywszy się tańcem, lub inną towarzyską zabawą, zaśniecie i bez czytania. Wszelako pod jesień dostarczę wam jeszcze kłopotów komendanta, bo i cóżbym robił, sprzątnąwszy pszenicę? A chwała Bogu, pamiętam doskonale trafne wyrażenie Adama Pługa, że: lepiéj zostać jakimbądź bazgraczem, niż lwem, bałagułą, lub w podobnym rodzaju czworonożnym.

W Warszawie, d. 2 maja 1854.

PAN DWÓCHSET WYSP.

WALTER - SKOTTA.

PIEŚŃ III.

I.

Znacie wy owę uroczystą ciszę,
Która po nagłém pioruna zagrzmieniu,
Przyrodę całą trzyma w oniemieniu?
Złotych się kłosów fala nie kołysze,
Nie szumią gaje, nie chwieją się drzewa;
A bluszcz zielony, co po wieżyc murze
Krętemi sploty wspina się ku górze,
Z ciepłém wietrzyka tchnieniem nie powiewa.
Ale czy wiécie co ta cisza wróży?—
Straszliwe gromy drzémią tylko w chmurach.
Już szum złowieszczy, zwiastun blizkiéj burzy,
Szum jakiś głuchy, groźny, tajemniczy,
Z przeciągłym hukiem budzi się na górach;
Aż nagle orkan od morza zaryczy,
Silném zadęciem wali drzewin czoła,
Śmierć i zniszczenie roznosząc dokoła.

II.

Takiémto, takiém milczeniem grobowém
Zaległy ściany komnat biesiadniczych:
Bo nikt po starca wieszczbach tajemniczych
Nie śmié wrzaskliwém odezwać się słowem.
Już łódź kapłańska spuszczona na morze
Silnemi wiosły wartkie fale porze;
Już cichą Arros zatokę opływa,
Do Świętéj wyspy kierując wybrzeży;

A nikt z przytomnych panów i rycerzy
Onéj milczącéj ciszy nie przerywa.
Lecz wkrótce szmer się budzi niespokojny,
I wszystkie oczy w jeden punkt zwrócone;
Wszyscy ciekawie poglądają w stronę
Gdzie młody Ronald, książę wysp dostojny,
Zniżonym głosem Lorna o coś błaga.
Na jego czole szlachetna powaga,
Lecz twarz barona zimna i ponura;
Na brwi zmarszczonéj wisi gniewu chmura.

III.

Pyszny pan Lornu w obrażonéj dumie
Długo się z gniewem hamować nie umie;
Odskoczy na bok nasrożywszy czoła,
I ostrym głosem donośnie zawoła:
—„Książę! słów próżnych nie rzucaj daremnie!
Może chcesz jeszcze, ażebym nikczemnie
Splamił rycerską moję rękawicę,
Ściskając zbójcy zbroczoną prawicę?
Nie!.. niech przysłowie wypełni się stare!...
Ty złam wyspiarzu płochą twoję wiarę,
Ale ja góral, a góralskie słowa
Nie jestto zmienna oceanu fala....
Ja góral jestem, a serce górala
Głęboko na dnie pamięć krzywdy chowa!
Pamiętaj o tém młodziku niestały:
Często deszcz wielki bywa z chmury małéj,
Lecz częściéj piorun rodzi taka chmura!
Gdzie jest Edyta? gdzie jest Lornów córa?
Gdzie siostra moja? cóżto jest? milczycie!
Podli służalcy, gdy wam miłe życie
Bieżcie, szukajcie, przywiedzcie ją do mnie!...
Chodź Argentynie, dosyć tego sromu,
Nie dla nas gościć w przeniewiercy domu,
Co przyjazń Anglii zdradza wiarołomnie!"

IV.

Pieśń nie wyśpiewa gniewu, co zapala
Niecierpiącego przeszkody górala,
Gdy mu doniosą że Edyty nie ma,
Nie ma w komnatach, galeryach, na wieży!
—„Zdrada!—zakrzyknie i w dłonie uderzy,
A krew mu żyły na czole rozdyma

I strasznym ogniem rozpłomienia lice—
„Porwano Lornów dostojną dziewicę!
Zemsty! o zemsty! a kto ją dokona,
Nadam mu włości dziedziczne barona"...
Lecz drżące sługi donoszą nieśmiało
Że mamka również zniknęła w rozruchu;
A tajemnego chodzi wieść posłuchu,
Że dwie niewiasty przysłonione biało
Na łódź kapłańską potajemnie wsiadły.
—„Lećcie! ścigajcie!—woła Lorn zajadły—
W pogoń na morze, spuszczajcie galary!
Głową mi tego przypłaci mnich stary"...

V.

Tak dziedzic Lornu gniewy swe rozwodzi,
A Kormak Doil na okręty siada,
I pełnym żaglem na morze wychodzi.
Wędrowne statki! o biada wam, biada!
Bo Kormak Doil to zbójca prawdziwy,
Łupów nie syty i krwi ludzkiéj chciwy,
A rad, że mu się sposobność nadarza
Przebiegać morza późną nocy porą,
Aby z gawiedzią do grabieży skorą
Bawił się niecném rzemiosłem korsarza. (1)
I on też tylko z wszystkich wodzów Lorna
Na głos lennego służebnicząc pana,
Ściga za łodzią świętego kapłana.—
Czy innych trzyma lękliwość przezorna,
Aby szukając starca i dziewicy
Gdzie się wśród nocnéj nie zbłąkać ciemnicy?
O nie! góralo nie znają co trwoga,
Kiedy im trzeba wyruszyć na wroga,
A serce gniewem lub zniewagą boli.
I dziś nie męztwa brakło, ale woli.
Bo się spokojnie na ławie gromadzą
I cicho szepcząc między sobą radzą:
—„Edyta uczuć swoich kwiat dziewiczy
I piérwszą miłość lękliwego serca
Już zaręczyła; a brat przeniewierca,
Dziewicę oddać Anglikowi życzy.
Ona się biédna kędyś ukryć pragnie,
Bo widać milszą jéj cela klasztorna
Niż posłuszeństwo groźnéj woli Lorna,
Do któréj serca młodego nie nagnie.

(1) Zanim wpływ oświaty złagodził obyczaje i ustalił prawa narodów, wielu wodzów Hebrydzkich bawiło się rzemiosłem korsarzy.

Niechże ją Pan Bóg ma pod swoją pieczą,
A my do domów; nie rycerską rzeczą
Jak zbójcy morscy wałęsać się nocą
I słabą dziéwkę uciskać przemocą.—"

VI.

Kiedy tak wodze góralskiego klonu
Radzą lennemu nieprzychylni panu;
Kiedy Lorn szerzy mściwe groźby swoje
I giermka woła o tarczę i zbroje:
Pan Argentynu, dzielny rycerz krzyża,
Do króla Szkocyi z godnością się zbliża
I mówi: —„Książę! w gniewném uniesieniu,
Króla mojego bluźniłeś imieniu!—
Rycerz angielski, słyszałem te słowa:
Mój honor twoja obraziła mowa,
I przez Jezusa Chrystusa na niebie
Słów tych zaprzeczam i wyzywam ciebie!...
Równemi w walce są nasze prawice,
My sobie równi w dzieł wojennych chwale;
Weź tę rycerską moję rękawicę
I na książęcym zatknij ją szyszaku;
A kiedy książę, w krwawych walk zapale
Zdala się po tém rozpoznamy znaku
I miecz mój zmierzę z mieczem twoim świetnym:
Powtórzę głośno choćby pokonany,
Że Robert Brucy dumą obłąkany
Jest i był zawsze rycerzem szlachetnym."

VII.

—„A ja— król rzecze, a lica pogodne
Rozjaśnia jakieś spojrzenie łagodne—
Ja gdybym dzierżył miecz twój Argentynie,
Co po wszech ziemiach z cnot rycerskich słynie,
Dla innéj może oddałbym go sprawy....
Ale niech każdy strzeże swojéj sławy.
Twój honor moje obraziły słowa:
Zadość rycerzu obrazie twéj będzie.
Patrz! Robert szkocki zakład walki chowa
By go na piersi swojéj nosił wszędzie.
I wierz mym słowom: że w dniach méj młodości
Pamiątka wzięta z rąk lubéj piękności,
Pewnieby sercu mojemu nie była
Więcéj żądana, ani bardziéj miła.

Lecz nie czas o tém! I jakąż znów dobą,
W jakiejż godzinie spotkamy się z sobą?...
Ha! któż odgadnie wolą przeznaczenia?
Niech się wyroki spełnią tajemnicze!...
Sławy i szczęścia broni twojéj życzę
Szlachetny wrogu: żegnam do widzenia."

VIII.

Tak się rozstali. Już góralscy wodze,
Już ze stałego lądu dumne pany
Rzucają zamek, a każdy po drodze
Nad dziwną zmianą losów zadumany
Myśli, jak łatwo człowieka nadzieje
Tchnienie Bożego rozkazu rozwieje.
A książę Ronald, młody lecz przezorny,
Bramy zamykać, mosty spuszczać każe,
Na wałach warty rozstawia i straże;
Potém gospodarz uprzejmy a dworny,
Damy, rycerzy, pozostałych gości,
Do nieskończonéj zaprasza biesiady,
Którą nieszczęsne zakłóciły zwady.
A wreszcie wedle staréj gościnności
Komnaty zamku daje do noclegu,
Gdzie dla rycerzy wrzos z skórą danielą,
A puchy miększe i bielsze od śniegu,
Dla pań szlachetnych służebne rozścielą.
Więc się rozchodzą. Pazie z pochodniami
Przodem długiemi świecą galeryami,
I wreszcie wszyscy po dniu pełnym znoju,
Zasnęli w błogiéj ciszy i pokoju.

IX.

Północ na górnym wybiła zegarze,
Wartownik rogiem ozwał się na wieży;
Hasłem mu czujne odpowiedzą straże,
A król bezsenny na wezgłowiach leży:
O losach Szkocyi myśli zadumany,
Wspomni na wojnę domową i wzdycha.
A wtém obicie ustąpi ze ściany,
Drzwi skryte w murze zaskrzypiały zcicha.
Robert się zerwał—„Bracie!—krzyknął,— bracie!
Nocne tu jakieś widmo się zakrada!"
Edward mu szczękiem miecza odpowiada,
A wtém pochodnia błysnęła w komnacie.

—„Stój!—król zawoła—to pan zamku młody,
Któremu ślubne zmieszaliśmy gody".—
Tak, to pan zamku, a z nim Torkil stary
Cicho przez skryte wsunęli się progi,
A na znak hołdu i lenniczéj wiary,
Miecze składają pod monarsze nogi.
—„Królu!—rzekł Ronald—pomazańcze Boga,
Czyż nie darujesz młodości méj błędy?
Gdy przez szalone uniesion zapędy,
Miecz przeciw tobie wzniosłem zbuntowany,
Zamiast na twego obrócić go wroga!....
Ale wiédz panie: wtenczas gdy poddany
Przeciwko memu królowi walczyłem,
W młodém tém sercu bohatera czciłem,
Który z zaciętym passując się losem,
Olbrzym, pod żadnym nie zachwiał się ciosem".—
—„Król twój—rzekł Brucy—wszystko zapomina!
Wszak doświadczeńszych zwieść się dało wielu.
Wojna domowa, młody przyjacielu,
To wszystkie głowy schylająca wina.
Ja sam młodzieńcze"—nagle zmarszczył czoło,
Zadrżał i ciche zatłumił westchnienie;
Może go, może otoczyły wkoło
Ofiar Falkirku zakrwawione cienie.—

X.

—„Szlachetny Ronald i Dunwegan mężny,
Mąż bez przygany i rycerz bez zmazy,
Oręż swój dzielny i wpływ swój potężny
Pod króla swego oddają rozkazy.
Lecz zanim wierne zgromadzą zastępy
I sztandar wojny rozwiną zuchwale;
Trzeba się pierwéj namyśléć dojrzale:
Bo złoto Anglii i Lorna podstępy
Działając na gmin płochy i niestały,
Niejedno serce w wierności zachwiały".
Tak radzi Torkil wódz siwy i stary,
A król mu tajnie myśli swych odsłania
I skryte serca objawia zamiary:
—„Przebywszy zimę na ziemi wygnania,
Jak młody orzeł ze złamaném skrzydłem,
Co się już nigdy w niebiosa nie wzbije,
Lub dziki rumak, który pod wędzidłem
Stoi i ziemię kopytami ryje:
Byłbym tak może przeżył całe życie,
Patrząc ku morzu smutnemi oczyma,

I tłumiąc w piersi tęskne serca bicie,
Ilekroć wietrzyk białym żaglem wzdyma.
Lecz raz ten wietrzyk, gdzieś, od znanéj strony,
Przywiał tak smutne, tak bolesne tony,
Niby płacz niewiast, Koronachu jęki,
Zgrzyt konających i łańcucha brzęki:
Że ja, com przywykł wśród pobojowiska,
Straszniejszym jękom przysłuchać się zblizka,
Nie mogąc westchnąć, ani pożałować;
Ja, którym musiał po trupach tratować,
I brodzić koniem w ciepłéj krwi potoku:
Ja starcze, nagle uczułem łzę w oku,
I zapłakałem jako nikt gorącéj!...
Ach! bo ten wietrzyk wiał gór szkockich echem!
Lecz jak niewiasta płakać i nic więcéj,
Byłoby, starcze, gorzéj niźli grzechem!
Więc przywołałem wierne mi rycerze,
I tułacz gnany tęsknéj żądzy szałem,
Najpiérw powitać, najpiérw ujrzyć chciałem
Raj méj młodości—Karryku wybrzeże.
Chciałem zobaczyć jak w ojców mych domu,
Gdzie króli szkockich władały pradziady,
Klifford żołdakom wyprawia biesiady;
I uczuć tyle boleści i sromu,
Bym bez zgryzoty, téj wybladłéj mary,
Co nieraz nocą u łoża mi staje,
I głucho jęczy i spać mi nie daje,
Wojny domowéj rozwinął sztandary.
Lecz gdy na Arran kierowałem nawy,
Gdzie wierny Lennox czeka nas z pomocą,
Burza się nagle poderwała nocą,
Statki rozpędził wicher niełaskawy,
I łódkę moję obłąkaną w biegu,
Do was zburzone przygnały żywioły;
Snać Bóg tak zrządził, abym na tym brzegu
Wierne méj sprawie znalazł przyjacioły.

XI.

—„Święte—rzekł Torkil—są zrządzenia nieba;
Ale nam królu radzić sobie trzeba,
I każda chwila winna nam być drogą,
Bo nas tu w zamku wrogi obledz mogą.
Lorn z góralskiemi swemi zastępami
Zanadto blizko sąsiaduje z nami,
A nieprzyjaciel to groźny i dziki;
Przytém Anglicy koło brzegów krążą.

Niechże nam przystęp do morza zawiążą?
Niechże osadzą ujścia i przesmyki!
Cóż poczniem wtedy? Zanim nasze wrogi
Wydadzą hasło baczności i trwogi,
Inne ci panie trzeba miéć ukrycie.
Tylko na Skii wybrzeżach skalistych,
Wśród dzikich jarów i pustyń górzystych,
Torkil za króla odpowiada życie.
Przyjm dobrą radę, i gdy piérwsze zorze,
Niebios gwiazdziste zapłonią błękity,
Nawa ma ranne uprzedzając świty,
Niech przez błękitne uniesie cię morze.
Starato nawa, bo i Torkil stary,
Co u jéj rudla stać będzie sternikiem;
Lecz ty się nie bój, bo ich przewodnikiem
Jest stara prawość staréj szkockiéj wiary.
—„Nie—rzecze Ronald—mnie raczéj przystoi,
Abym z tych murów króla uprowadził,
Mężów Sleatu do boju zgromadził,
A mądrość twoja radą nas uzbroi.
I gdy już wierne zwołamy zastępy,
Ty starcze kieruj zapałem ich męztwa,
Ty wrogów naszych odkrywaj podstępy,
I ukaż drogę pewnego zwycięztwa."

XII.

—„Dzięki—rzekł Robert—przyjaciele moi,
Przezorność wasza dobrze dla mnie wróży;
Lecz przed wybuchem strasznéj onéj burzy,
Jedna mnie jeszcze troska niepokoi:
Mam siostrę z sobą. Przy pomocy nieba,
Inne schronienie obmyśléć jéj trzeba.
Nie dla niéj bowiem skaliste wybrzeża,
Ani namiotu żołnierskiego ściany;
Tobie Edwardzie, bracie mój kochany,
Czułość ją moja troskliwa powierza.
Wsiądź z nią na okręt i bezpiecznym szlakiem,
Zawiedź na brzegi Erynu gościnne;
A gdy ze swoim złączy się orszakiem,
Gdy znajdzie względy płci swojéj powinne,
Powracaj do nas i gromadź po drodze,
Wierne nam druhy i przychylne wodze."
Z oczu Ronalda łatwoby wyczytać,
Że mu się układ niebardzo podoba;
Ale już mija ciemna nocy doba,
Jutrznia na wschodzie zaczyna rozświtać,

A niebo jasne i morze spokojne.
I wkrótce potém z zamkowéj odnogi
Wychodzą razem dwa okręty zbrojne:
Ale znać różne wytknięto im drogi:
Jeden do Skii skalistych wybrzeży,
A drugi widać do Erynu mierzy.

XIII.

Jasna, wesoła poranku pogoda,
Królewski statek modra niesie woda,
A wonny wietrzyk w białe dmie im żagle.
Lecz gdy minąwszy szczyt Mullu ponury,
Andramukanu opływali góry;
Fale się burzyć poczynają nagle.
Gwałtowna siła wiru ich uniosła:
Trzeba na maszty lotne żagle zwinąć,
Pilnować rudla, krzepko jąć się wiosła,
I przeciw wodzie z ciężkim trudem płynąć.
Tak się ze zdradnym spierając żywiołem,
Dzień i noc całą męczą bez ustanku;
Już pot się perli nad wioślarzy czołem,
Kiedy o świcie drugiego poranku,
W drżących promieniach niepewnego brzasku
Ujrzęli wyspę. Tumanem zamglona,
Z wód błękitnego wychodziła łona,
A szczyt Kulinu w purpurze i blasku,
Wznosił się dumnie jak głowa olbrzyma:
Siwizną jego—wiecznych śniegów zima.
Choćto już przestrzeń napozór niedługa,
Choć wzrok żeglarzy dobija do lądu,
Tak zmudnie trudna idzie im żegluga,
Tak statkiem szarpią sprzeczne siły prądu,
Że nim dosięgli Skawigu odnogi,
Słońce już dziennéj domierzało drogi,
I ognistemi falami purpury,
Zwolna ku morzu chyliło się z góry,
Liliowe smugi malując po niebie.
Wtedy lord Ronald patrzący przed siębie,
W takiém do króla odzywa się słowie:
—„Jeźli mnie panie błędny wzrok nie myli,
W bok Stradnardylu jesteśmy w téj chwili.
A ta część wyspy Dunskią się zowie.
Jestto pustynia posępna i dzika;
Nikt tu nie mieszkał od stworzenia świata:
Nigdy wygnańca, nigdy pustelnika,
Na nagim gruncie nie wzniosła się chata.

Ale gdy panie wiatry niełaskawe
Tak długo w błędnym uwodzą nas biegu;
Tu skołataną zatrzymajmy nawę,
A na tym pustym i samotnym brzegu,
Łatwiéj zasadzki unikniem zdradzieckiéj.
I jeźli panie lekki łuk łowiecki
Może rozrywki przysporzyć ci chwilę:
Czas nam upłynie wesoło i mile,
Bo sarn na górach musi być dostatek.
Niechaj w przystani zanocuje statek,
A Allan, paź mój, chłopiec nieleniwy,
Niechaj nam (wziąwszy kołczan) towarzyszy;
Umié on zręcznie naciągać cięciwy,
I pnąc się w góry niełatwo zadyszy.
A jeźli tylko napotkamy zwierzę,
Ręczę ci panie za dobrą wieczerze."
Królowi widać rada się podoba,
Bo się na łowy uzbrajają oba,
A paź Ronalda wybiera się z niemi.
I wkrótce czółno przybiło do ziemi,
Rycerze zwinną wyskoczyli nogą;
A okręt z wierną królowi załogą
Pozostał w miejscu, gdzie potok wezbrany,
Wijąc się w głębi skalistego łoża,
Z głuchym łoskotem rzuca się do morza,
Srebrne u brzegu zostawiając piany.

XIV.

Skały i głazy, pustynia dokoła!
Obraz posępny dziki i ponury.
Rycerze milcząc pną się na szczyt góry,
Aż nagle Robert spojrzy i zawoła:
—„Ha! cóż za widok? przez Boga na niebie,
Lordzie Ronaldzie spojrzyjno przed siebie:
Znam już niemało okolic górzystych,
I w krajach obcych i w ziemiach ojczystych,
Nieraz na strome darłem się urwiska,
Nieraz w wędrówkach tułaczego życia,
W skał rozpadlinach szukałem ukrycia,
Strasznym przepaściom przyjrzawszy się zblizka;
Lecz nigdy pono nie sięgnąłem okiem
Za tak ponurym, a szczytnym widokiem (1).

(1) Dzika i romantyczna okolica wyspy Skii nie ma w całéj Szkocyi nic równego sobie.

XV.

I prawdę mówił: nigdy ze skał szczytu
Oko nie mogło ogarnąć odrazu
Więcéj wspaniale dzikiego obrazu,
Jak to jezioro ciemnego błękitu
Pasem skalistym dokoła ujęte,
I jakby czarów potęgą zamknięte.
Jedyna droga, któraby wędrowca
Przez te posępne powiodła manowca,
Gdyby na trudy nie bacząc zuchwały,
Chciał ku jezioru śmiałe pomknąć kroki,
Była to ścieszka, którą w wnętrzu skały
Jakieś straszliwe żywiołów wzburzenie,
Wybuch wulkanu czy ziemi trzęsienie,
Wykuło w głębi rozdartéj opoki.
A każda przepaść z bezdenném swém łonem,
A każda skała z czołem roztrąconém
Przypominały grozę chwili owéj,
Kiedy te skały z jękiem się padały,
Kiedy te góry chwiały się i drżały,
Kiedy tych otchłań ryły się parowy,
A toń jeziora kipiąc w swojém łożu
Odpowiadała piorunom i morzu!..
Najdziksze jary, najskalistsze góry
Noszą ślad przecież ożywczéj natury:
Wszak na Glenkoju jeszcze się wrzos pleni,
Czoło Benmoru jeszcze mech zieleni,
A tu jak tylko zasięgniesz spojrzeniem
Próżnobyś szukał drzewa, krzaczku, kwiatka:
Nic, nic, co przecież byłoby znamieniem,
Że to jest ziemia, zawsze płodna matka!
Tu w tym kamieni bezładnym chaosie,
Nagich skał szczyty srome czoła jeżą;
Tu czarne bryły, stos głazów na stosie,
Gromami niebios potrzaskane leżą.
Złomy granitów wiszą na urwiskach,
Potoki ryczą w skalistych łożyskach,
I czarno-bokie łamią się pieczary:
A wszędzie kamień i kamień bez końca,
Ogniem spalony, bezbarwny i szary.
Czyliż więc nigdy nad tym krajem dzikim,
Ożywcze ciepło porannego słońca
Nie zaświeciło złocistym promykiem?
Czyliż tych głazów kamienista puszcza
Nie zna co oddech wietrzyka majowy?
Czyż niebo rosy wiosennéj nie spuszcza
Na ten grunt dziki, zakrzepły, jałowy?

XVI.

Im głębiéj śmiałe zapuszczają kroki,
Tém straszniéj nagie jeżą się opoki;
Im daléj w góry mkną się ku jezioru,
Tém straszniejszego nabiera pozoru
Szlak, coraz przykrzéj nierówny i stromy.
Ogromne bryły zwaliły się drogą,
Że skakać muszą, przejść bowiem nie mogą.
A skał olbrzymich granitowe złomy
Leżą jak spadłe wież strąconych mury,
Z czarnego łona rozoranéj góry
Wyparte siłą tajemniczéj mocy,
Onéj straszliwéj burz szalonych nocy,
Gdy drżące sarny w dolinach się kryły
A głodne wilki w legowiskach wyły.
Niektóre na stos powalone razem,
Dawnych Druidów wydają się głazem;
A na tak wątłéj wsparte są podporze,
Że ręka dziecka w bezdenne otchłanie
Jedném popchnięciem postrącać je może;
Lecz nawet między góralami nie ma
Tak muskularnie silnego olbrzyma,
Coby je ztamtąd wydźwignąć był w stanie.
Mgła nadwieczorna sinawym błękitem
To się słaniała nad gór nagich szczytem,
To znów jak lekka srebrzysta zasłona,
Nad huczącemi wisiała wodami,
A góry stały z łysemi czołami.
Nagle, w tumany białe rozprószona,
Podobna duchom, z powiewem wieczora
Ulatywała po brzegach jeziora;
Potém jak jakiś obłok nieruchomy,
Pomiędzy niebem a ziemią zawisła.
Lecz właśnie słońce było na zachodzie,
Może się jeszcze chciało przejrzyć w wodzie,
Bo drżąca światłość z wysoka zabłysła
I rozjaśniła gór ponure szczyty;
Różowa łuna świeciła na niebie,
A martwy obłok padł na dół rozbity
I mętną falą potok wpił go w siebie.

XVII.

Robert na chwilę wstrzymał się w pochodzie,
Sparł się o głazy i dech w piersi chwyta;

A wzrok powiódłszy po skałach i wodzie,
Tak się młodego towarzysza pyta:
—„Jak nazywacie to sine jezioro,
Co się tam w dole rozlało pod górą?
A jak tę górę? Wierzchołek wysoki
Pod same prawie pnący się obłoki,
Zdaje się patrząc jak głowa olbrzyma,
Co straż tych głazów i kamieni trzyma;
A te przepaści, te czarne parowy,
Które snać ogień orał piorunowy,
To niby blizny na Tytana czole!"
—„Jezioro w skałach błyszczące na dole
Zdawien się dawna Koryskinem zowie;
Górę Kulinem przezwali bardowie,
Dla Kukulina zapewne pamięci.
Nieraz wieszcz bowiem, igrzysko natury,
Potok, jezioro, lub szczyt dzikiéj góry,
Jeszcze dziwniejszém nazwiskiem uświęci
Rycerza, ducha albo błędnéj mary.
Gdyby o królu! Dunwegan nasz stary
Zwiedzał téj pustéj wyspy okolice:
Wnetby nam białe ukazał dziewice,
Które za ręce ująwszy się społem,
I cicho milcząc, z zadumaném czołem
Słuchają piosnek karmicielki swojéj.
Owe dziewice pieśni słuchające,
Są to pagórki marglem bielejące,
Których rzęd razem połączony stoi,
A dołem strumień przepływa niewielki;
Strumień ów dostał miano karmicielki,
Co mlekiem swojém białe dziewki poi.
Tak wyobraźnia górala wyspiarza,
Dla któréj widok téj dzikiéj natury,
Szum oceanu, wiatrów świst ponury,
Jest jak pieśń niańki co dziécię rozmarza;
To swoje dzikie posępne siedlisko,
Matki przyrody niemoc czy igrzysko,
Przetwarza w jakieś czarodziejskie kraje,
Gdzie tłum widziadeł wita cię co kroku,
A białe widmo co ze mgły powstaje,
Straszne zaklęcia szepcze ci o zmroku."

XVIII.

A Robert na to:—„Umysły marzące,
Na tém tle dzikiem kształtów fantastycznych
Mogą snuć łatwo w barwach poetycznych
Rojeń tysiące, obrazków tysiące.

Spojrzyj Ronaldzie na gór nagie szczyty,
Pod same prawie idące błękity,
Co na kamiennych swych podstawach stoją,
Dumne wielkością i martwotą swoją.
Nigdy im burza czoła nie zachwieje,
Nigdy nie zadrżą olbrzymim ogromem,
Pod wichrem ziemi albo niebios gromem;
Lecz nigdy za to pierś się nie rozgrzeje
Łagodném ciepłem słonecznych promieni!
Spojrzyj i powiédz: te wyniosłe głazy
Nie szkockichżeto królów są obrazy?
Nad poziom życia zanadto wzniesieni,
By cichych uczuć poić się rozkoszą,
Stoją samotni w tęsknych dumań chmurze,
Wielkością swoją przynęcając burze;
A choć dla gminu patrzącego z dołu
Grom przez koronę nie zaszkodzi czołu:
Śladu piorunów czyż w piersi nie noszą?
Lecz źle mi służą posępne widoki,
Gorycz się jakaś w sercu mojém budzi....
Ale patrz książę! tam u stóp opoki,
Czy mi się zdaje.... widzę jakichś ludzi!
—„Ludzie!—rzekł Ronald—tu, i o téj porze!
Niechaj mi Wasza Dostojność przebaczy,
Możeto stado kozłów lub rogaczy
Chcących pragnienie ugasić w jeziorze.
Lecz ja myśliwiec, strzelec z powołania,
Dobre mam oczy, i choć mgła się słania,
Mój wzrok, o panie, odrazu rozróżni,
Jacyto w drogę wchodzą nam podróżni."
Rzekł i pół ciałem naprzód się pochyli,
Patrzy się chwilę i rzecze po chwili:
—„Wzrok króla mego pono się nie myli....
Myśliwcy jacyś powracają z łowów;
Racz spojrzéć panie, jelenia ubili
I prosto ku nam dążą wzdłuż parowów,
A zdobycz swoję na ramionach niosą,
Kamienie krwawą pokrapiając rosą."
—„Widzę to wszystko—rzecze Robert znowu—
Jeden, dwóch, czterech, pięciu wśród parowu.
Choć do podejrzeń myśl moja nie skora,
Lecz co tu robią porą chłodną, ciemną,
Na pustych brzegach dzikiego jeziora?
Wódz Dunweganu powiadał przedemną
Chwaląc tę ustroń cichą i tajemną,
Że nigdy stopa żywego człowieka
W tych dzikich pustyń jary nie zacieka!

I ty sam, jeźli pamięć mnie nie myli,
Utrzymywałeś to samo w téj chwili".

XIX.

— „Tak — rzecze Ronald, a widać mu z twarzy,
Że owi goście niebardzo go cieszą—
Może to kilku sąsiednich wyspiarzy,
Co się na łowach zapóźniwszy, spieszą.
Może rybacy, których w błędnym biegu
Do samotnego wiatr zapędził brzegu;
Może.... lecz baczność nie szkodzi przezorna,
Bo widzę zdala—barwę klanu Lorna!"...
—„Nie chciałbym walki—rzecze król—choć mniejsza,
Że tamta strona liczbą jest silniejsza;
W te nieszczęśliwe, niespokojne czasy,
Już nierówniejsze widziałem zapasy;
Bo przecież trzech nas jest przeciwko pięciu,
Albo dwóch raczéj;.... bo temu dziecięciu
Trudnoby było podołać orężem
Z dojrzalszym w sile i odwagę mężem.
Trzeba więc wcześnie plan walki ułożyć;
Jeźli zuchwalcy zastąpią nam drogę,
Weź dwóch na siebie, bo ja wiem że mogę
Tym starym mieczem trzech wrogów położyć."
—„Trzech! o nie, królu: czyż myślisz, że może
Tak się nikczemnie o to życie trwożę
Abym pozwolił. Jeżeli mym losem
Paść pod zabójcy szczęśliwszego ciosem:
Kilka łez cichych spadnie nad mogiłą,
Kilka serc wiernych żalem się zasmuci,
Kilka mi bardów Koronach zanuci,
I znowu wszystko będzie jako było.
Lecz królu, w twoje poświęcone dłonie,
Bóg, ojciec ludów, losy Szkocyi złożył;
Tobie niewolno pomyśleć o zgonie,
Dopókiś szczęścia ziemi téj nie dożył.
Ale dlaczego smutne mary roić?
Nie tak do walki należy się zbroić!
Przytém ci nasi hebrydzcy wyspiarze
Do wojennego kształcąc się zawodu,
Z łukiem jak z cackiem igrają od młodu;
I jeźli król mój pozwoli i każe,
Allan dwie strzały wypuści, o panie!
I równa liczba wrogów się zostanie."
—„Nie!—król zawoła, a twarz zwykle bladą
Żywy i jasny rumieniec zapalił—

Nie! nie powiedzą, aby niecną zdradą
Robert się szkocki przed śmiercią ocalił!
I tak już dosyć, młodzi przyjaciele—
Dodał powoli, a lice bledniało—
I tak już dosyć, a może zawiele,
W imię się moje łez i krwi wylało.

XX.

Tymczasem pełni trudu i mozołu,
Krętą a wązką drużyną po skale,
Obcy przybysze wspinali się z dołu.
Dwaj jacyś widać przedniejsi górale (1),
Dobrze odziani, dobrze uzbrojeni,
W miecze i łuki, klajmory i strzały,
A tartan pledu na barkach się mieni;
Lecz wyraz oczu dziki i zuchwały,
A twarze jakieś gminne i ponure.
Przodem po skałach wspinali się w górę.
Za niemi wolniéj posuwając kroki,
Trzech niższych stanem, jak widać z pozoru,
Pięło się na szczyt skalistéj opoki.
Licho okryci, uzbrojeni marnie,
Na barkach mieli twarde skóry sarnie,
A chód pospieszny i powiew wieczoru,
Targał włos brudny, kudłaty i długi;
Topory tylko mieli i maczugi.

XXI.

Szli ciszy żadném nie mieszając słowem,
I okiem chytrém jak u wilka płowém,
Nawpół zuchwali, a nawpół nieśmieli,
Szlachetnych mężów mierzyli ukosem.
A gdy już prosto na ścieżce stanęli,
Król spojrzał groźno i męzkim swym głosem
—„Stójcie!—zawołał—stójcie! kto jesteście?
Na téj odludnéj wyspy brzegu dzikim
Inaczéj ludzi wita się jak w mieście,
Gdzie z dobrym druhem, albo rozbójnikiem,
Wędrowiec równo spotykać się może."
Górale na to z niezręcznym ukłonem
Rzekli obłudnym nieco, drżącym tonem:
—„Błędnych żeglarzy rozhukane morze,

(1) Cały obraz rozbójników naśladowałem z Barbura.

Na niegościnne zaniosło wybrzeże;
I was zapewne taka naszła dola;
A więc rycerze, jeśli dobra wola,
Przyjmijcie braci rozbitków wieczerzę:
Bo jak widzicie ubiliśmy zwierzę“—
Dodał nieśmieléj pod spojrzeniem króla.
A Robert znowu: — „Nieraz to się zdarza,
Że wiatr przeciwny, burza niełaskawa,
Z wytkniętéj drogi sprowadzi żeglarza;
Ale gdzież stoi błędna wasza nawa?“—
Dodał bystrzejsze zatapiając oko.
— „Nawa—rzekł wtedy góral ogorzały—
Na dziesięć sążni pod wodą głęboko
Wicher ją wczoraj roztrącił o skały.
Ale rycerze o tém będzie potém;
A teraz, kiedy ciemna noc zapada,
Nie pogardzajcie gościnnym namiotem:
Zaraz tam w lewo, droga niedaleka.“
— „Dziękujem—Brucy krótko odpowiada—
Okręt nasz bowiem u przystani czeka.“
A góral znowu z szczególnym uporem:
— „Pozwólcie jeno dostojni rycerze,
Waszże to okręt, który nad wieczorem
Wyspy skaliste opływał wybrzeże?“
— „Tak, to nasz okręt w Skawiga odnodze.“
— „Ho! ho! panowie! daleko on w drodze.
Właśnie przed chwilą ze szczytu opoki
Na mętne morza patrzyliśmy fale,
I na wasz statek, któremu wspaniale
Woda spokojne kołysała boki.
Aż tu ujrzymy po zdradnéj głębinie
Znów okręt jakiś od zachodu płynie,
Okręt angielski z banderą czerwoną!
Wtedy wasz statek jakby zadrżał nagle,
Zerwał kotwice, białe rozdął żagle,
Szybko przeciwną puszczając się stroną.“

XXII.

—„Przez krzyż Chrystusa!—szepnął Ronald zcicha—
Co teraz zrobim? co poczniemy z sobą
W tak małéj liczbie i tak późną dobą?- -
Król się zadumał—złe wieści do licha!
A nawet prawdy dochodzić nie możem
Bo już zmrok szary słania się nad morzem!
Ha! lecz ci ludzie tak prości z pozoru
Mogą mieć dobre i gościnne serca;

Wszak częściéj zdrajca albo przeniewierca
Kryje się w szatach złocistego wzoru,
Albo w dworaka stroju wyszukanym,
Niźli pod grubym górala tartanem.
Więc chodźmy z niemi: pozór bywa zwodny
I nieraz ludzi omylił; a przytém
Po dniu burzliwym i w trudy obfitym
Miło jest znaleźć spoczynek wygodny.“
Posłuszny Ronald skłonił tylko głowę,
A król obawy nie zdradzając niczém,
Z spokojnym wzrokiem i jasném obliczem,
Obraca znowu do górali mowę:
— „Noc już zapada i ciemność się szerzy,
Chętnie więc dobre przyjmujemy chęci;
I tę gościnność wśród pustych wybrzeży
Niełatwo z wdzięcznéj puścimy pamięci.“

XXIII.

Kraina dzika, posępna i smutna
Leżała w cieniach letniego wieczora,
A na samotném wybrzeżu jeziora
Stał prosty namiot z żaglowego płótna.
Pod tym namiotem oparty o skałę
Młodzian, a raczéj dziécię niedojrzałe
Stał, gasnącego pilnując ogniska.
Ktoby nań tylko okiem rzucił zblizka
Poznałby zaraz z postawy i lica,
Że to nie jemu na tym brzegu dzikim
Być góralskiego namiotu strażnikiem.
Szczupły jak dziécię, biały jak dziewica,
Tok miał zielony z piórami białemi,
Płaszcz aksamitny takiegoż koloru,
A na minstrela wyglądał z pozoru:
Bo lutnia przy nim leżała na ziemi.
A on w jakowychś bolesnych marzeniach
Spuścił ku piersiom zadumaną głowę,
I włosy jasne jak włókna lnu płowe
Spadały na twarz w złocistych pierścieniach.
A twarz ta smutna, łagodna i blada,
Po któréj zwolna łza płynęła cicha,
Podobną była do lilii kielicha,
Gdy na nią kropla srebrnéj rosy pada.
Pan wysep spojrzał, i pomimowoli
Czuje, że zadrżał i serce go boli!
Wspomnienie jakieś dawno zapomniane
Budzi się w myśli ciemne, tajemnicze....

On już gdzieś... kiedyś... widział to oblicze!
Ale czy takie smutne i spłakane?
Nie wié, nie pomni o tém, nie pamięta!...
Żal, czy zgryzota jakaś niepojęta
Myśli mu nawet zebrać nie pozwala.
Aż powstrzymując dziwne serca bicie,
Wzruszonym głosem pyta się górala
Co to za piękne i szlachetne dziécię?
Na ten dźwięk głosu łagodny i miły,
Z cichych swych marzeń zbudził się młodzieniec,
Lice gorący oblał mu rumieniec,
Błękitne oczy przez łzy zaświeciły;
Ale natychmiast drżący i zmieszany
Jasną swą głowę ku stronie odwrócił;
Czyliż się lęka, by nie był poznany?
Albo marzyciel do dum swoich wrócił?

XXIV.

— „Co to za dziécię?“—pan wysep powtarza,
Badawczém okiem patrząc za młodzieńcem.
— „Wojna go naszym uczyniła jeńcem—
Niechętnym głosem góral się wyraża—
I na to dzikie i puste wybrzeże
Razem się z nami schronił jak widzicie;
Lecz jeźli tylko szlachetni rycerze
Słodki dźwięk lutni nad złoto cenicie
I worków waszych nie będziecie skąpić:
Możem się zgodzić i chłopca odstąpić.
Dobry lutnista nie codzień się zdarzy!
A niech się Wasza Łaskawość nie boi
Że taki cichy i blady na twarzy,
Patrząc w ognisko na uboczu stoi:
Bo choć zrządzeniem okrutnego losu
Młode te usta zamknięte dla dźwięku,
Lutnia w niemego pacholęcia ręku
Złotych strun swoich nie poskąpi głosu.“
— „Niemy!—rzekł Ronald, i znać że nowina
Nić mu domysłów plącze do ostatka.
— „Tak, tak, rycerzu; własna przecież matka
Płacząc wyznała nam kalectwo syna.“
— „Matka?...zginęła panie przy rozbiciu;
Szczęściem lutnista został się przy życiu
I może jaki grosz zarobim na nim!“
Tutaj młodzieniec cichém jęknął łkaniem,
Jakby górala wyrazy niewczesne
Wzbudziły w sercu wspomnienie bolesne.
A Ronald czuje, że go serce boli

I coś go dziwnie do sieroty nęci;
Jakieś wspomnienie zatarte w pamięci
Myśli rycerza plącze mimowoli.
I smutnym wzrokiem na chłopca pogląda
I nie wié prawie sam dlaczego żąda,
Aby te oczy ku ziemi spuszczone
Błysły ku niemu choć przez łez zasłonę.
A chytry góral znać poznał ze wzroku
Jak mu niemiłe łzy w lutnisty oku;
Więc słodszym jakimś odzywa się głosem,
Żaląc się niby nad sieroty losem:
— „Ot biedak! matki zapomnieć nie może,
Którą zdradliwe zabrało mu morze.
Wyrazy moje dosłyszał, i pewnie
Na jéj wspomnienie zapłakał tak rzewnie.“
Ronald się w ciche pogrążył dumanie,
I już natrętnie nikogo nie bada;
Ale król Robert zadaje pytanie,
A góral widać nie rad odpowiada.
— „Jakto, więc słyszy?“ — „O słyszy wybornie!..
Lecz gdy tak wszystko czynicie przezornie
I Godność Wasza tak bardzo ostrożna,
Łatwo o prawdzie przekonać się można.
Niechaj kto z panów zapytać go raczy,
Odpowié łzami lub skinieniem głowy,
Bo to jedyne dźwięki nieméj mowy
Którą nieboże myśl swoję tłumaczy.“
— „A zkąd on rodem?“ — „Nic nie wiem rycerzu,
Wczoraj dopiéro został naszym jeńcem,
A w dzień rozbicia, na pustém wybrzeżu
Nie pora z niemym rozprawiać młodzieńcem.
Lecz co tam próżna trudzi nas rozmowa,
Na marne słowa szkoda trwonić czasu;
Zanim wieczerza stanie nam gotowa
Użyjmy lepiéj przy ognisku wczasu.
Daléj rycerze! Ale zdanie moje
Odpaszcie pierwéj oręże i zbroje“...
W téj chwili lice niemego młodzieńca
Spłonęły ogniem nagłego rumieńca,
Ciałem wstrząsnęło niespokojne drżenie;
Szybko łzy otarł, a jasne wejrzenie
Jakieś proszące, jakieś tajemnicze,
Utopił w męzkie Ronalda oblicze.

XXV.

Ronald zrozumiał mowę tego wzroku
I myśl ukrytą w tém błękitném oku,

Jasném i czystém jak gwiazdy niebieskie;
Więc nie czekając na słowa królewskie
Tak góralowi spiesznie odpowiada:
— „Miła nam wasza gościnna biesiada
I chęć życzliwa o gościa wygodę;
Lecz ja i brat mój, i to chłopię młode,
Zdalekiéj strony pielgrzymy podróżne,
Chowamy nasze obyczaje różne.
Ślub pokutniczy wszystkich trzech nas wiąże;
I tak naprzykład, przyjaciele moi,
Póki z przysięgi czas nas nie rozwiąże
Nie możem mieczów odpasać ni zbroi,
Lub z cudzoziemcy bratając się zblizka
Chlèb u jednego pożywać ogniska.
Niechaj was zatém nie obraża wcale
Że pledów ani oręża nie złożym,
I nieco daléj... tam... przy tamtéj skale
Osobne sobie ognisko założym.“
— „Dziwaczne śluby! — rzecze góral stary—
Cóżbyście na to odrzekli rycerze,
Gdyby zrażeni oznaką niewiary,
Samiśmy naszę spożyli wieczerze,
Nie chcąc się z temi dzielić naszą pracą,
Co nam gościnność nieufnością płacą.“
— „A ja, rzekł Ronald, i w oczy górala
Które gniéw krwawym płomieniem zapala,
Patrzył spokojnie z dumną wzgardą chłodu,
Co mu w błękitném świeciła się oku—
Jabym powiedział, że mam miecz przy boku!!
A żadne śluby nie każą mrzéć głodu,
Gdy chléb jest blizko, i podług wyboru
Można go dostać złotem lub żelazem.“
Góral się wstrzymać nie może tym razem,
Pled w tył odrzuca i głownię klajmoru
Dziko się patrząc drżącą dłonią ima.
Ale towarzysz daje znak oczyma.
Wnet gniewne lica zciemniały, wychłodły,
Zgasł wzrok przed chwilą srogi i namiętny
A wyraz jakiś nikczemny i podły,
Niby niedbały, niby obojętny,
Usta w zbójeckim wykrzywił uśmiechu.
— „Nie chcę, rycerzu, brać na siebie grzechu
Od przysiężonéj odmawiając wiary!...
Do mnie Gregory!.... dać flaszę i czary,
Wiatr czuć od morza i chłód mocny bierze,
A mnie się nudzi czekać na wieczerze.

XXVI.

Wnet u stóp skały jasny ogień błyska,
Król, paź i Ronald legli u ogniska
Paląc wrzos suchy i smolne jałowce.
Przy drugim ogniu góralscy wędrowce
Siedli ścieśnioném a milczącém kołem.
Najstarszy z groźném i pochmurném czołem
Srogiéj a dzikiéj i zuchwałéj twarzy,
Patrząc ponuro w płomień co się żarzy,
Żylastą rękę trzymał u klajmoru.
Młodszy co synem zdawał się z pozoru,
Drzémając niby grzał się u ogniska;
Lecz ktoby tylko chciał się spojrzyć zblizka
Na tę twarz chudą, kościstą i bladą,
Napiętnowaną lisią jakąś zdradą:
Wnet, rycerskiego żałując oręża,
Zgniotłby go nogą jak żmiję lub węża.
Trzej słudzy nogi trzymając w popiele
Jako psy milczkiem ogryzali kości,
I wzrokiem głupiéj a nikczemnéj złości
Na orszak króla patrzyli nieśmiele.
Ale powoli ogień się dopala,
I za rozkazem starego górala,
Wszyscy się społem na spoczynek kładą,
Spać, lub sen tylko niecną kłamać zdradą.
A nawet biédny młodzian jasno-włosy
Suche opodal ściele sobie wrzosy,
I owinąwszy się w swój płaszcz zielony,
Błękitne oczy zamyka strudzony.

XXVII.

Król nie ufając ciemnościom i nocy,
Płomień podsycać bez ustanku każe;
Ronald ma piérwszy czuwać do północy,
Potém z kolei król odbędzie straże,
A wreszcie Allan w przed-porannéj chwili,
Gdy młode dziécię wczasem się posili.
W długiéj, samotnéj godzinie czuwania,
Kiedy sen cichy na oczy się słania,
Jakiéjżeż myśli, jakiegoż anioła,
Pan dwóchset wysep do siebie przywoła?...
Płomień połyska, noc ciemna i głucha!...
Próżno strażniku wytężałbyś ucha:
Żadnego w ciszy nie ułowisz dźwięku.
Więc Ronald czoło oparłszy na ręku

Duma i marzy, i oczy tęsknemi
Wodzi po niebie i morzu i ziemi;
Aż w cieniach nocy i mgle co się bieli,
Zobaczył nagle postać Izabelli!!...
Z rozchwianym włosem, cudną bladą twarzą,
Jak biała lilia od wiatrów złamana,
Do stóp Anglika pada na kolana,
A czarne oczy gorzką łzą się skarżą.
Wyciągnął ręce:— zniknęła! I znowu
Ujrzał ją w jasnéj szacie złoto-głowu:
Dumna i piękna, z promienistem okiem
W szrankach Woodstoku na ganku wysokim,
Z wieńcem nagrody na zwycięzcę czeka....
O! już sen cichy daleko ucieka!
Onby tak chętnie chciał marzyć do świtu....
Wtém od gwiazdzistych przestworów błękitu,
W drżących promieniach srebrnego księżyca
Spuszcza się białe widziadło—dziewica,
Z okiem tak modrém, jak niebo majowe:
Ku piersi schyla jasno-włosą głowę,
A łezka cicha, jasna, przezroczysta,
Spływa po twarzy jak rosa po kwiecie.
Ronald się zerwał. Co to jest? lutnista??...
Gdzie tam! lutnista śpi cicho jak dziécię
I marzy może o ogródku matki,
Gdzie ptaszek śpiewa i kwitną bławatki.
Ronald twarz zakrył; ach! ten obraz luby,
Może to wróżka? może anioł biały?
Nie—to Edyta, z którą święte śluby
Na wieki wieków połączyć go miały.
Ale już księżyc na niebie wysoko,
Topi w jeziorze srebrne swoje oko,
A nad jeziorem nocnych ptaków stada
Huczą ponuro: lis im odpowiada.
Północ! Król Robert, który cicho drzymał,
Wstaje ażeby straż przy ogniu trzymał.

XXVIII.

Jakiegoż Robert przywoła uroku,
By sen męzkiemu nie przykrzył się oku:
Jakież widzenie, czarodziejka jaka?
Obudzi żywsze bicie serca w łonie?
Czoło przywykłe do stali szyszaka
Jakiejżeż myśli promieniem zapłonie?
Król Robert duma o ubiegłych czasach,
O krwawych z losem i ludźmi zapasach;

Duma o walkach i bitwach stoczonych,
O polach szkockich bratnią krwią zroszonych,
O starych grodach i zamkach w perzynie,
O cichéj chacie wieśniaka w dolinie,
Na któréj zgliszczach wdowa i sieroty
Płaczą krwi ojca i szkockiéj sromoty.
Płaczą i jęczą; aż nagle dokoła
Z gruzów, popiołów, powstają widziadła.
Król szkocki zadrżał i twarz mu pobladła
I dłoń rycerską przyciska do czoła.
Czyż chce uśmierzyć nagłą boleść głowy,
Albo odpędzić przykrą myśl co nudzi?
Wtém jasny płomień buchnął od ogniska,
Król Robert zadrżał jak rumak stepowy,
Jęknął, pięść scisnął, oko blaski ciska,
Strasznéj się jakiejś chwili pamięć budzi
I zgrozą wzdyma łono bohatera!
Ha! William Wallas na stosie umiera,
A Szkocya płacze swojego wdowieństwa!
Robert pled zrzucił, wzniósł królewskie skronie,
Patrzy ku niebu i wyciąga dłonie!
Czyliż to będą modły? czy przekleństwa?
Lecz zwolna twarz mu łagodnieje blada,
Słodszym już blaskiem promienieją oczy,
I łza, łza cicha na lica opada
I po rycerskiéj zbroicy się toczy.
Król Szkocyi ukląkł w prochu i bałogu,
Cicho pacierza szepcze słowa ciche.
Darował krzywdę—a zemstę i pychę
Dał na ofiarę, i zaufał Bogu.....
Tymczasem wdali głuche szumi morze,
Fale się z lekkim kołyszą wietrzykiem,
Kulik z wrzaskliwym przebudza się krzykiem,
Nad Ben Kulinem jasne świecą zorze;
Król Robert czując, że go niewczas trudzi,
W pled się owija i Allana budzi.

XXIX.

Trudniéj, o trudniéj oczom pacholęcia
Od leniwego bronić się zasnięcia!
Smolne na ogień przyrzuca polana,
A kiedy płomień żywszym blaskiem pali
Jasne i czyste źrenice Allana:
W głębi namiotu szukają górali.
Patrzy się na ich pledy i klajmory,
I na żylaste, muskularne dłonie,

Ale mu serce nie zadrzało w łonie;
Bo młody wyspiarz do strachu nie skory:
Krew bohaterów w jego żyłach płynie,
I jeźli tylko Pan Bóg go uchowa
Niejedna będzie po Angliku wdowa,
A imię jego daleko zasłynie.
Lecz dzisiaj jeszcze sława go nie nęci
I milszy obraz stawa mu w pamięci:
Wspomina sobie siwą matkę swoją
I stary zamek, sady nad strumieniem,
Gdzie młode siostry pod lip wonnym cieniem
Piosenki nucą i w kwiatki się stroją;
Nutę tych piosnek zna on i pamięta,
Minstrel ją nieraz śpiewał u ogniska.
Allan podumał, łza mu z oczu tryska.
Ach! łza to czysta jak modlitwa święta.
Wkrótce łza oschła, on przypomniał sobie
Karą swą klaczkę tęskniącą przy żłobie,
Psa towarzysza i kraciastą burkę,
Trąbkę; a potém organy w kościele,
Święcone palmy na Kwietnią niedziele
I modrookę u sąsiada córkę.
I pierś Allana tęsknotą się wzdyma,
Ale na sercu coś młodziéj i miléj.
I marzy cicho chwilę, a po chwili
Płomień mu zwolna blednie przed oczyma.
Znać chciał zadrzymać: zrywa się co żywo,
Smolne na ogień przyrzuca łuczywo,
Zmorzone oczy przeciera z pośpiechem,
I chcąc wytrzeźwiéć nocnym tchnieniem chłodu,
Czoło obraca za wiatrów oddechem,
A wiatry właśnie wionęły ze wschodu.
I ku jezioru spojrzał Allan młody;
Już téż jutrzenki różowawe świty
Złociły jasne niebiosów błękity
I kryształowe tonie cichéj wody.
A woda złotą purpurą się pali,
Gładką powierzchnią ranny wietrzyk fali,
I srebrne piany ku brzegom przegania;
Blednieją gwiazdy, srebrny księżyc gaśnie,
A gdzieś zdaleka jeszcze mgła się słania
Jak czarodziejki, wróżki rąbek biały.
I Allan sobie przypomina baśnie,
Które go niegdyś do snu kołysały.
Cudowne baśnie! o tych dobrych czasach,
Gdy śliczne wieszczki po zielonych lasach,
Złe czarownice w grotach między skały,
A w czarnych basztach olbrzymy mieszkały.

Ach! onby kochał wieszczkę krasawicę,
Krzyżykiem matki zwalczył czarownice,
A mieczem ojca pokonał olbrzyma,
Który królewnę przecudnéj urody
Porwał przemocą i w więzach swych trzyma.
Królewna piękna, rycerz Allan młody;
Przecież nie bawiąc i jednę godzinę,
Królowi córkę odwiózłby jedyną.
A król potężny w złocistéj koronie
Rzekłby na własnym sadzając go tronie:
Gdyś taki mężny, a taki szlachetny,
Każę cię oblec w płaszcz purpury świetny,
I dam ci mego królestwa połowę,
I córkę moją dziécię jasnogłowę.
Ale on, Allan, rycerz nieskażony,
Nie chciałby tronu, nie chciałby korony,
Złotego berła i świetnéj purpury,
Ani królewskiéj złotowłosy córy,
I wróciłby się do swojego kraju,
Gdzieby na niego czekała już w gaju
Wróżka piękniejsza nad wszystkie królewny,
Z łonem tak białém jako śnieg zimowy,
Z okiem tak modrém jako kwiat z dąbrowy,
Którego urok tak luby i rzewny,
Że razem uśmiech i łzy przypomina.
Ach! takie same oczy ma Alina,
Nadobna córka starego sąsiada...
Aż wtém nie wiedzieć dla jakiéj przyczyny,
Paziowi na myśl przychodzi ballada,
Ballada, którą słyszał od Aliny.
Gdy raz wieczorem z młodemi siostrami
Siedzieli sobie nad morza brzegami,
A ona cudném czarodziejki okiem,
Tonąc w wód cichych szafirze głębokim,
Śpiewała cichym jak szum fali głosem,
Który tajemne tłumiło wzruszenie;
Śpiewała starą piosnkę o syrenie,
Z łabędzią piersią i złocistym włosem.
Allan przypomniał cichą piosnkę ową,
I wyobraźnia młodzieńca skrzydlata,
Już gdzieś daleko.... daleko ulata.
I Allan widzi grotę kryształową,
Kędy syrena czesząc warkocz złoty,
Zwodnica, słodki głos puszcza po fali,
I rzewną jakąś piosenką się żali
Samotnéj nudy, serdecznéj tęsknoty.
On przestróg matki zapomniał szalony,
Dziwną gorączką młoda pierś się pali;

I czy tak pragnie pereł? czy korali?
Wyciągnął ręce, zgubiony!! zgubiony!!
Chwyta zdrajczynią w objęcia z płomieni.
Serce do serca, wzrok się ćmi i mieni,
A głowa mąci pijanym zawrotem.
O marzycielu! biada tobie! biada!
Krzyk co się nagle rozległ pod namiotem,
Czyliż go gniewna wydała Najada?
O nie! niestety, ów krzyk przerażenia,
Co z ust niemego wyrwał się młodziana,
Zanadto późno biednego Allana
Zbudził z cudnego snów jego marzenia.
Ciepła krew serca ucieka mu z łona,
On wzrok gasnący ku niebu obraca,
Chce łuku szukać: nadaremna praca.
— O matko moja!—poszepnął i kona!!

XXX.

Straszna to chwila śmierci i zagłady,
Gdy Robert Brucy zerwał się na nogi;
Żalem przejęty, oburzeniem blady,
W czarném mu oku gniéw płomieni srogi;
Daremnie góral klajmorem się broni,
On miecz naddziadów wzniósł w królewskiéj dłoni,
I ostrzem szuka nikczemnego serca:
Na wskroś przeszyty upada morderca.
Rycząc i wyjąc krwi łaknącém kołem,
Otacza króla wściekła zbójców rzesza;
Ale pan wysep na pomoc pospiesza,
Z bezbronną dłonią, ale dumném czołem.
Wszystko orężem jest w rękach rycerza:
Płonącą głównię porywa z ogniska,
Wznosi ją w górę, rozmachuje, ciska!
Głownia skry sypiąc pada i uderza
Zaklęsłe czoło nikczemnego sługi.
Pomiędzy oczy bluznęły krwi strugi,
A włos splątany nędznego górala
Strasznym na głowie ogniem się zapala.
Oślepły cały we krwi i płomieniach,
Miota się, rzuca w wściekłych uniesieniach,
Aż wreszcie bolem straszliwym przejęty,
Pada na ziemię jako kloc podcięty.
A Ronald cios chcąc ostatni wymierzyć,
Miecza dostaje; o biada ci! biada!
Bo drugi zbójca z tyłu się zakrada,
I dłoń nikczemną wznosi by uderzyć!

Biédny młodzieńcze, dlaczegóż w téj chwili
Robert dwóch razem pokonać się sili,
I na ratunek spieszyć ci nie może?
Czyliż ty na to pozwolisz mój Boże,
Aby ten młodzian w jasnym dni swych kwiecie,
Zginął tak marnie od zbójeckiéj dłoni?
Nie, bo stróż aniół czuwa i obroni!
Niemy lutnista, słabe, drżące dziecię,
Rzuca się, chwyta prawicę górala,
I nieszczęsnego rycerza ocala.

XXXI.

Ronald za barki chwyta przeciwnika,
Rzuca o ziemię, następuje nogą,
I swoją złotą, rycerską ostrogą,
Depcze dyszące piersi nikczemnika.
— „Starcze! ostatnia godzina wybiła!
Przyznaj się szczerze jaka zdrada podła
Zbójecką twoją prawicą powiodła?
Czyliż cię żądza łupu tak nęciła,
Że dla niéj chciałeś nieznanych mordować?"
Góral ściął wargi, nic nie odpowiada,
Niemą wściekłością twarz się mieni blada;
Wreszcie nie mogąc złości pohamować:
—„Znam was", zawoła: „choć nieraz z ochotą
Klajmor mój we krwi broczyłem za złoto,
Dziś, dłoń mą inna powiodła przyczyna!!
Ja krwi twéj chciałem zabójco Komyna!
Wrogu, mojemu nienawistny panu!
Jam sługa Lorna, lennik jego klanu!"
—„Starcze nie bluźnij w godzinę konania!
Gdy już cień śmierci oczy twe zasłania,
Żałuj za grzechy w skrusze i pokorze,
A Pan Bóg jeszcze darować ci może
Zbrodnię, co plami głowy twéj siwiznę.
Wyznaj nam prawdę, zkąd masz tego jeńca,
Wyznaj nam jego ród, miano, ojczyznę;
Abyśmy kiedyś biédnego młodzieńca
Mogli powrócić na rodziny łono."
—„Dajcie mi skonać.... zapóźno już pono,
Ażebym myślał o Bogu i skrusze!
Niech sam Lucyper porwię moją duszę,
Niech ją zaniesie na samo dno piekła,
Byle co prędzéj z ciała się wywlekła.
Ach cierpię strasznie.... krew się w żyłach ścina....
Młodzieńca zwano mianem.... Amadyna....

Na tym okręcie.... który.... ach jak ciemno!
W piersiach mnie pali.... ziemia drży podemną....
Przebacz mi! przebacz! o mój Bo.."—I słowa
Niedokończona skonała połowa.
Straszne są Panie twe sądy! Znać zbrodzień
Imienia twego wyrzec był nie godzien!
Jak żył tak umarł. I czyliż śmierć taka,
Śmierć bez pokuty gorala Kormaka
Była to kara, czy nauka może?
Którą ty ludziom chciałeś zesłać Boże!

XXXII.

Król Robert wsparty na swym mieczu krwawym,
Rzekł do Ronalda, który okiem łzawem
Patrzył na zbójcy zakrwawione ciało,
Co wzdłuż namiotu rozciągnięte drgało:
— „Dość już Ronaldzie smutnego widoku;
Spojrzyj tam oto obraz milszy oku:
Na twardym złomie szarego granitu,
W jasnych promieniach porannego świtu
Klęczy lutnista i białe swe ręce
Rzekłbyś kobiece—nie, raczéj dziecięce
Składa pokornie, i jak anioł boży
Bogu się niemém dziękczynieniem korzy."
Mówiąc to Robert, z łagodném wejrzeniem
Do klęczącego zbliża się powoli;
Lecz chłopiec oczy odwraca ze drżeniem,
Tajną odrazą zdjęty mimowoli.
Król na miecz spojrzał, ze krwi go ociera,
Wzrokiem współczucia na chłopca spoziera
I tak do niego odzywa się smutnie:
— O! biédne dziécię! czyż było potrzeba
Aby ci takie serce dały nieba,
Kiedy los tobą rządzi tak okrutnie?
Niewolnik zbójcy, przeszłeś w ręce Pana,
Którego ciężka i tułacza droga
Cierniami trudów i ofiar usłana.
Ale młodzieńcze! klnę się w imię Boga,
Że ja wygnaniec, monarcha zdradzony,
Król bez poddanych, berła i korony,
Jakabądź dla mnie wybije godzina
Będę cię kochał i strzegł jako syna!!
Ale w tych miejscach smutno i niemiło;
Chodźmy Ronaldzie, wszak pamięć Allana
Łza już uczciła z oczu twych wylana,
A ramię twoje zgon jego pomściło.

Chodźmy; już słońce przyświeca nam z nieba,
Przytém okrętu poszukać nam trzeba;
Bo kłamca góral oszukał nas może
Mowiąc, że wczoraj wypłynął na morze.“

XXXIII.

Ciało Allana leży rozciągnięte,
Blada twarz ogniem życia nie zapłonie;
Ręce boleścią śmierci zaciśnięte
Na zakrwawioném krzyżują się łonie.
A włos złocisty, wijący się długi,
Na brudnym piasku wala się splątany.
Ronald nad ciałem klęcząc zadumany
Długo się patrzy w martwe lica sługi;
Nareszcie powstał i takiemi słowy
Na długie z sobą żegna go rozstanie:
— „Młody mój paziu, bywaj mi zdrowy,
Bywaj mi zdrowy, biedny Allanie!
Ani na boje, ani na łowy
Już jasnowłosy wyspiarz nie wstanie.
Któż w Donagala ponurym gmachu
Zawiedzie pierwszy jęk koronachu?
Kto powié matce staréj i siwéj,
Że Allan syn jéj leży nieżywy?
Martwy, nieżywy, na obcym brzegu,
Kędy jedynie szum morskiéj fali
Lub wiatr huczący w szalonym biegu
Teskną się nad nim dumą użali.
Bądź zdrów Allanie! bądź zdrów na długo!
Wiernym za życia byłeś mi sługą,
A ja po śmierci będę o tobie
W twoim samotnym pamiętał grobie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Dwudziestego czwartego sierpnia r. b. odbyło się w Instytucie Francuzkim roczne posiedzenie Akademii, na którém nagradzano najważniejsze w tym roku wydane dzieła, jak niemniéj poświęcenie i odwagę.

Natłok słuchaczy zaledwie pomieścić się mogących w amfiteatrze, dziwnie odbijał od niekompletnego akademickiego grona; członkowie bowiem po większéj części nieobecni w stolicy, na posiedzenie nie przybyli. Znać, że publiczność większą przywiązuje wagę do uroczystości nauce i cnocie poświęconéj, niż sami członkowie instytutu. Niemniéj uderzającą była sprzeczność ubiorów; po jednéj stronie widziałeś wystrojonych jak na bal słuchaczy, po drugiéj, akademią w głębokim negliżu. Zaledwie kilku członków przywdziało strój oficyalny, reszta była w paltotach. Takie lakceważenie zgromadzenia ubliża zarówno publiczności i nauce, mianowicie téż w narodzie tak bardzo na powierzchowność zważającym jak Francuzi. Czyż członek Instytutu Francyi przestaje być członkiem społeczeństwa? Czyż przyzwoicie jest, żeby świątecznie przybranych gości, gospodarze przyjmowali w rannym stroju? A nawet to pominąwszy, czyż akademia nie powinna duchem i formą zarazem uczcić naukowego święta? Wreszcie na cóż chowają wspaniałe ubiory: czy na to, żeby w nich po salonach paradować? Niech lepiéj popalą togi, jeżeli im w solenny dzień wieńczenia cnoty i natchnienia nie są

potrzebne. Alfred de Vigny sam jeden wystąpił w kompletnym akademickim ubiorze.

Pan Villemain sekretarz rady, piérwszy zabrał głos, i z właściwą sobie wymową, która już niemal w przysłowie weszła we Francyi, z zadziwiającą łatwością zwrotów w najtrudniejszych przedmiotach, odmłodniony świeżém powodzeniem swych Pamiątek, odczytał wedle niezmiennego zwyczaju raport. Czytanie trwało półtory godziny; mimo to, nikomu, nawet kobietom, nie zdawało się zadługie.

Oddawszy należną cześć pracom Augustyna Thierry, któremu słusznie przyznano piérwszą nagrodę z historyi, pan Villemain rozbierał dzieło księdza Gratry de la connaissance de Dieu, i Le Devoir Juliusza Simon, o którym dawniéj czytelnikom naszym wspominałem. Rzecz godna uwagi, że dzieło księdza i dzieło filozofa, równe otrzymały nagrody. Wieńcząc tąż samą ręką kościół i filozofią, akademia dowiodła niepospolitego sceptycyzmu; snać trzyma się przysłowia; „i diabłu świeczkę". Zestarzała się biédaczka: dziś już chodzi jéj tylko o to, żeby tronować spokojnie.

Rozbiór dzieła ks. Gratry nie udał się p. Villemain; widać było, że nie wierzy w to, czego dowieść usiłuje: ale za to skoro o historyi i poezyi mówić począł, skoro puścił wodze fantazyi i przytoczył piękne wiersze Wiktora Hugo: wielkie sprawił na słuchaczach wrażenie, wymową i dowcipem porwał wszystkich za sobą. Potém rozbierał Poemata Starożytne pana Lecomte de Lisle, zastanawiał się nad tłumaczeniem Dantego Piekła, przez Ludwika Ratisbonne, przyznając mu wyższość nad innemi florenckiego poety tłumaczami.

Z kolei rozbierał l'Acropole d'Athènes, poemat napisany przez panią Ludwikę Colet. Wychwalał go niezmiernie, widocznie poezyi od muzy nie rozłączając; w końcu powiedział, że najlepszym panegirystą pięknych wierszy jest ten, co je dobrze czytać potrafi.

Jakoż, zaledwie otworzył usta pan Patin, któremu czytanie poematu poruczone było, zrozumieli wszyscy, że p. Villemain do niego swój epigram zastosował; źle odczytany poemat, bardzo niekorzystnie się wydał.

Następnie pan Salvandy odczytał znakomity raport o nagradzaniu cnoty. Mówił żywo, często z zapałem,

nieustannie mu też przerywano oklaskami. Ale chociaż ominął 21 stronnic w 4ce, zapał nie wytrwał do końca. Wszelka admiracya, mówi Balzak, ów znawca ludzkiego a zwłaszcza francuzkiego serca, jest zawsze wysileniem ze strony człowieka; stało się więc, że pod koniec czytania niektóre damy wynosić się poczęły. Widząc to pan Salvandy zawołał tonem rozkazującym: „Proszę mi nie przerywać! Pragnę, żeby mnie słuchano zwłaszcza przy końcu." Jakoż raport rzeczywiście na uwagę zasługuje; przytaczam z niego wyjątek.

Nagrody za poświęcenie.

„Akademia mając do rozdania dwie nagrody po 1500 fr., jednę przyznaje Rozalii Auber, z departamentu l'Eure, liczącéj lat 72; drugą Magdalenie Grobot, z Angoulême, liczącéj lat 61, których życie było nieprzerwaném pasmem pracy i poświęcenia.

Rozalia urodziła się w 1782, właśnie w roku fundacyi nagród dla cnoty; jakby przygotowując się do zasłużenia kiedyś na takową, wzrosła i wychowała się pośród najboleśniejszych obowiązków rodzinnych. W roku 1822, po śmierci matki i ciotki, które własną pracą aż do ostatniéj chwili żywiła, licząc już wtedy 36 lat, poszła w służbę do piekarzy M., których rodzinie dotychczas służy, poświęcenie bowiem Rozalii z rodziców na dzieci przechodzi: dla niéj służba jestto zaofiarowanie całego bytu, zupełne zaparcie się siebie. Zaledwie weszła do tego domu, państwo jéj prawie całe postradali mienie. Mogła ich wtedy opuścić, została jednak. Podwojoną czynnością i pracą, starała się zaradzić złemu. Była podporą sędziwych państwa, pielęgnowała ich, nieomal utrzymywała własną skrzętnością aż do grobu. Potém życie swoje poświęciła ich synowi, który z dziewięciorgiem dzieci w wielkiéj znajdował się nędzy, i do téj pory u niego w służbie pozostaje; dzisiaj jeszcze, siedemdziesiątletnia, złamana wiekiem, gorliwie mu służy. Że po nocy dla swoich państwa już pracować nie może, nocna bowiem praca odjęła wzrok biédaczce, w dzień za to podwaja starania około gospodarstwa, ostatek sił zbiéra na utrzymanie biédnéj a licznéj rodziny, czemu jednak

już podołać z wielkim smutkiem nie może. W miarę utraty sił, odwaga i wytrwałość wzrasta w szlachetném sercu Rozalii.

Widząc takie przykładne i rzadkie wytrwanie w poświęceniu, akademia mniema, że godnie użyje powierzonych jéj na ten cel funduszów, przyznając téj wzorowéj niewieście piérwszą nagrodę. Pan August Leprévost szanowny członek naszego grona, i siostrzenica pana Geoffroy Saint-Hilaire, znakomita i powszechnie znana dama, byli codziennemi świadkami cnoty i poświęcenia Rozalii. Ja sam urodziłem się i mieszkałem w sąsiedztwie, nie słyszałem jednak o niéj, bo o prawdziwéj zasłudze mało wiedzą, a jeszcze mniéj mówią ludzie; szczęśliwy jestem, że uwieńczoną mogę pokazać światu! Szczycimy się i słusznie, skoro w naszéj wiosce zrodzony żołniérz zabłyśnie walecznym czynem; jakże się nie chlubić z 30-letniéj walki, którą stacza słaba niewiasta w imię cnoty i miłości bliźniego.

Magdalenie Grobot, niemniéj odważnéj i zacnéj niewieście, przysądzoną została takaż sama nagroda. Ta tylko między niemi zachodzi różnica, że Rozalia obcym, a Magdalena własnéj się poświęciła rodzinie.

Ojciec jéj umarł zostawiając 11 dzieci bez sposobu do życia. Matka zwaryowała z rozpaczy. Magdalena najstarsza z rodzeństwa, zaledwie 16 lat licząca, ale wychowana w pobożności, pełna głębokiéj wiary, matką dla reszty rodzeństwa być postanowiła. Ciężar, pod którym pękło serce matki, jéj odwagi nie złamał. Jedénaście sierot własną pracą żywiła, a co większa, wychowała wedle przykazań świętéj wiary; nawet obłąkanéj matki powierzyć nie chciała litości obcych. Dziś jeszcze dzieli nędzną swą izdebkę z 90-letnią obłąkaną matką, która nie wié, jak wiele od blizko pół wieku czyni dla niéj przykładna córka!

Zacny przykład zbawiennie wpłynął na całe rodzeństwo; każde z nich pracuje poczciwie, wspiera jedno drugie; każde kocha i wielbi siostrę opiekunkę, która ich wychowała, pożeniła braci, powydawała siostry ubogie, ale pracowite i szanowane powszechnie.

Nie chcąc zaciągać nowych obowiązków, dopóki najświętszych nie spełni; Magdalena nie chciała połączyć

się z człowiekiem, którego bardzo kochała. Później dopiéro, kiedy już zamężne siostry same sobie radzić mogły, oddała rękę kochanemu, z tym atoli warunkiem, że matkę razem pielęgnować będą.

Nagrody tysiąco-frankowe przyznane zostały pięciu innym kobietom, których zasługi pan Salvandy wylicza także w swoim raporcie. Siedmnaście nagród po 500 franków rozdano ubogim, którzy się odznaczyli jakimś pięknym czynem.

Dzienniki francuzkie mocno powstają na małość rozdanych nagród za napisane książki. Mówią, że dziś kiedy wszelka praca, a mianowicie praca umysłowa, stała się źródłem wszech-rzeczy, nie można jéj wynagradzać tak, jak wtedy, kiedy ją uważano za ubliżającą godności człowieka. O nagrodach cnoty nie wspominają wcale dziennikarze; a jeżeli które, to zapewne rozdane przez akademią nagrody cnoty, nie odpowiadają zasłudze, bo zaprawdę trudniéj dzień dobrze przeżyć, niż napisać dzieło!

Na kilka dni przed wielkiém posiedzeniem instytutu, akademia umiejętności i wydział napisów rozdały także nagrody, któremi rozrządzają. Między innemi coroczny fundusz przeznaczony przez ś. p. pana Lambert, za napisanie jakiegoś ważnego dzieła, dla autora lub wdowy jego, przyznany został wdowie znakomitego romansopisarza Emila Souvestre.

Olbrzymi Louvre, na którego budowę 9 królów francuzkich się składało, Napoleon IIIci dokończy. Od niepamiętnych czasów rozpoczęta budowa, postępuje teraz szybko, jakby nagrodzić chciała czas stracony. Bo téż żaden gmach może tak powolnie jak Louvre nie był budowany. Stawiali go kolejno: Franciszek I, Henryk II, Henryk III, Katarzyna Medycejska, Henryk IV, Ludwik XIII, Ludwik XIV, Napoleon I, Ludwik XVIII i wiele jeszcze do ukończenia brakowało: mimo to, na rok przyszły ukończony będzie ostatecznie.

Poza siatką rusztowań, rozmiarami wieżą Babel przypominających, Louvre z czarodziejską podnosi się szybkością. Już za belkami i schodami, po których kręci się mrowisko robotników, odgadnąć można zarysy

gmachu większego od sławionych pałaców Niniwy, Rzymu, lub Palmiry. Wszelkie niepodobieństwa silna przełamuje wola.

Tusz zaledwie wysechł na planie, a już góry kamienia ociosano, sprowadzono, i zestawiono, jakby na zaprzeczenie tym, co budowę Luwru na wieki rozkładali. I oto jedno skrzydło już stoi. Robotnicy kamiennym bukietem chcieli uczcić pamięć zmarłego cesarza; w dzień jego święta zdjęli tajemnicze płótna osłaniające statuy i rzeźby na pawilonie Rohan. Od 15 sierpnia tłumnie stający przechodnie podziwiają tę piękną, jasną, i starannie wykończoną fasadę.

W budowie Luwru każdy z architektów trzymał się wprawdzie głównego planu, ale każdy inaczéj swoję część wykończał; inny jest Luwr Henryka II, inny Ludwika XIV, inny ten, który dzisiaj budują. Zmiany te nie psują przecież całości. Dzisiejsi architekci nie starali się bynajmniéj o złagodzenie przejścia pomiędzy starym a nowym gmachem; przeciwnie, starali się, żeby nagłym kontrastem uderzone oko, nie miało czasu zważać na połączenie; w niczém przecież nie uchybiono symetryi. Nowe skrzydło odpowiada w głównych zarysach pawilonowi na przeciwnéj stronie placu leżącemu. Skutkiem oddalenia, ogólna tożsamość linii wystarcza oku, bo różnicy szczegółów dojrzeć nie można. Zresztą, rozmaitość w jedności jest zaletą, a nie wadą architektury.

Na środku nowego pawilonu wznosi się misternie wyrobiona wieżyczka, na któréj błyszczy wielkie N. złote z koroną. We frontonie leżą obok herbu państwa dwie allegoryczne statuy skrzydlate, wyobrażające intelligencyą i pracę; piérwsza rozwija plan Luwru, druga trzyma róg obfitości. Wokół nich porozrzucane rozmaite narzędzia architektoniczne i rzeźbiarskie, jakoto: rylce, ekierki, gruntwagi i t. p. Poniżéj téj gruppy, trzecia statua, większa od dwóch poprzednich, ze spokojném, szlachetném obliczem, stoi oparta na berle: wyobraża ona Francyą. Mur o który oparta, zasiany jest złotemi pszczołami; kapitele kolumn i pasy arabesków odznaczające piętra, powtarzają cyfrę cesarską uwikłaną w nieskończone zakręty. Cesarskie N. stroi nową połać gmachu tak, jak przeciwne skrzydło od strony Sekwany, zdobi zręcznie wmieszane do misternych ozdób królewskie H.

Henryk II piérwszą, Ludwik Napoleon ostatnią kartę Luwru podpisał.

Nad główną bramą na czarnéj marmurowéj tablicy czytamy napis: Pavillon de Rohan. Wyżéj, widać prześliczny balkon, arcydzieło dobrego gustu, a nad nim ogromne okno piérwszego piętra w przepysznych ramach. Po obu stronach stoją dwie nimfy: sława i zwycięztwo, których pełna wdzięku postawa przypomina wysoko cenione we Francyi utwory Jana Goujon. Girlandy kwiatów i owoców, trofea, gruppy geniuszów pokrywające ściany gmachu, tworzą całość ornamentacyi, którejby jedynie zarzucić można zbytnie bogactwo. Cały ten pawilon taki jakim go widzimy, wybudowano i wyżłobiono w przeciągu czterech miesięcy, nigdzie atoli nie znać pośpiechu; przeciwnie, grzeszy może zbytniém wykończeniem.

Trzy statuy na frontonie, dłuta pana Dieboldta, zalecają się szczególniéj wyrazem spokoju, słodyczy; prawdziwe i strojne zarazem, łączą dwie rzadko z sobą w parze idące zalety: prostotę i wytworność.

Bogactwo, piękność zarysów, a mianowicie téż nowość pawilonu dziwi, chociaż przyjemnie uderza oko. Nie jesteśmy przyzwyczajeni oglądać nowe arcydzieła, nowy budynek budzi w nas niedowierzanie, podejrzliwość;... choć widzimy, że piękny, nie śmiemy go chwalić głośno, bo zdaje nam się, żebyśmy przez to uchybili dawnym, które same jedne posiadają i posiadać mają do końca świata wyłączny monopol piękności. A przecież i owe stare uwielbiane pomniki niezawsze pleśń wiekowa pokrywała.

Pan Visconti znakomity architekt, któremu powierzona była olbrzymia praca dokończenia Luwru, umarł, zaledwie nakreśliwszy plan ogólny gmachu. Jemu przynależy sława pierwotnego pomysłu. Pan Lefuel następca jego, zdolny i uczony budowniczy, wiele wprowadził ulepszeń w planie poprzednika, wiele praktycznych zmian w nim poczynił; pod jego okiem nowy Luwr się buduje, i on jest rzeczywistym jego architektem.

Największe trudności w nowéj budowie przedstawiła nierówność gruntu, o którą dawni architekci, nie dbający o całość któréj oglądać nie mieli, wcale się nie troszczyli. Jednakowoż potrzeba było koniecznie zrównać,

lub zamaskować owe nieszczęsne nierówności. Dokazano tego nie bez trudu, łamiąc sztucznie ogólne architektoniczne linie; zniżać się one będą symetrycznie począwszy od Tuileryów, a podnosić w miarę przybliżania do starego Luwru.

Na ogromnym placu pomiędzy dwoma połączonemi pałacami, założone być mają, na wzór angielskich Squarów, dwa wielkie klomby otoczone kratą żelazną. W tych klombach, pośród zieloności, wznosić się będą dwa posągi: Ludwika XIV, i Napoleona I, obaj na koniach i w olbrzymich rozmiarach. Statuy przedzieli droga publiczna. Zielona oaza wśród ogromnego placu, miłym będzie dla oka wypoczynkiem, oraz bardzo korzystnym dla architektury kontrastem. Ten plac przyjmie nazwę Napoleona trzeciego.

Wielka galerya tworząca taras piérwszego piętra, podparta korynckiemi kolumnami, ma okrążać wokoło wnętrze Luwru. Pod tą wspaniałą kolumnadą przechodnie znajdą cień w upał, a w niepogodę pożądaną ochronę przed słotą; w największe błoto będą mogli suchą nogą przebyć przestrzeń dzielącą dwa ramiona gmachu. Galerya ta, czyli właściwie mówiąc portyk, nie znajdzie odpowiedniego w świecie, chyba kolumnadę około placu świętego Piotra w Rzymie. Przy każdéj kolumnie będzie wmurowana kamienna płyta przeznaczona na podstawę dla jakiéj statuy sławnego lub użytecznego człowieka. W ten sposób podwórze Luwru stanie się nowym francuzkim Panteonem.

Cały bok pałacu dotykający do galeryi obrazów, ukończony będzie na 15 maja 1855 roku, i przygotowany dla wielkiéj wystawy obrazów; właściwy bowiem pałac wystawy powszechnéj, okazał się zaszczupły, aby i obrazy mógł pomieścić w swych salach. Artyści przeto z całego świata zawieszą swoje utwory na ogromnych ścianach nowego Luwru.

Potrzeba energicznéj pracowitości francuzkiéj, żeby na czas zamierzone dzieło ukończyć. To też dziewięćdziesięciu siedmiu rzeźbiarzy wyższego rzędu pracuje bez ustanku nad wyrobieniem posągów, trzystu ornamencistów żłobi, haftuje, i wystrzyga kamienne ozdoby, które znosi i na przeznaczone przylepia miejsca trzy tysiące sześciuset robotników.

Taż sama część gmachu mieścić będzie oprócz sal poświęconych wystawie malarstwa i rzeźby, sale urzędowe, i pomieszkania urzędników dworskich. W przeciwległém skrzydle będzie ministeryum spraw wewnętrznych, i biblioteka Luwru; drugie zaś piętro téj części gmachu przeznaczono na nieustającą wystawę obrazów i rzeźby, celem ułatwienia sprzedaży początkującéj sławy artystom.

Wiele zajmujących szczegółów o teatrach paryzkich znajdujemy w dziełach p. Veron. Między innemi mówi obszernie o pannie Rachel. Summę ogólną za wystąpienia sławnéj artystki od 12 czerwca 1838 r., dnia w którym piérwszy raz ukazała się na scenie, aż do 28 listopada 1852 r., podaje pan Veron na 3,814,048 franków. Daléj rozbierając grę jéj, i charakter, mówi w te słowa:

„ Panna Rachel przedewszystkiém chce się podobać każdemu, bez względu na znaczenie, majątek, lub pozycyą socyalną człowieka. Jeżeli dostrzeże w zakątku salonu nieznajomego, który się tam ukrył nieśmiały czy obojętny, Rachel zarzuci go niezawodnie pociskami swych wdzięków, ku niemu skieruje całą potęgę rozumu i kokieteryi. Można o niéj powiedzieć, co mówi Saint-Simon o księciu Conti „że zarówno stara się podobać szewcowi, lokajowi, woziwodzie, jak ministrowi, wielkiemu panu, lub marszałkowi, i bierze się do tego tak zręcznie i naturalnie, że niezawodnie dokaże swego.” Pospieszam dodać, że ta chęć podobania się wypływa koniecznie z zawodu panny Rachel; chodzi jéj również o poklaski galeryi i parteru, jak o poklaski piérwszych loż i krzeseł.

„Umysł jéj żywy i świetny, trafność i łatwość w odpowiedziach wielka; nigdy jednak mimo dowcipu bystrego nie bierze za przedmiot żartów nikogo: co większa, że sztuką go hamuje, żeby nie zaćmił innych. Nigdy nie widziałem tyle wyrachowania ukrytego pod pozorem prostoty i naiwności, tyle prawdziwéj wyższości ustępującéj pierwszeństwa każdemu.

„Hrabia Molé spotkawszy raz u mnie pannę Rachel, powiedział jéj z właściwą wielkim panom uprzejmością: „Zbawiłaś pani język francuzki.” Rachel głębokim odpowiedziała mu ukłonem, a odwracając się do

mnie „Co za szczęście—rzekła—nigdym go się nie uczyła!" W tych kilku słowach odepchnęła zręcznie przesadzoną pochwałę, przesadzoném wyznaniem.

„Rachel posiada w wysokim stopniu ową filozofią, do któréj dochodzimy zazwyczaj, przeszedłszy wiele różnych kolei, wiele sprzecznych położeń; nie dziwi się też niczemu, ani z niczego nie pyszni.

„Nie zapomnę nigdy sceny, któréj byłem naocznym świadkiem. Rachel wychodziła z Teatru Włoskiego podczas reprezentacyi; powóz jéj zaszedł, już stawiała elegancko obutą nóżkę na stopnie, kiedy sprzedająca pomarańcze kobiecina, poznając ją, zawołała z właściwym przekupkom paryzkim drwiącym tonem: „Patrzcie! to Rachel!" Artystka odwraca się i tym samym tonem odpowiada „Jakbyście wiedzieli;" a potém zwykłym głosem dodała: „dużoście dziś rozprzedali pomarańcz?"—i nie czekając odpowiedzi rzuciła sztukę złota między owoce. Biédna kobieta w łachmanach, zdziwiona i uradowana, obsypała najczulszemi dzięki siadającą do powozu poczciwą i serdeczną panią, jak ją nazwała.

„Może się kto zadziwi porównaniu, jakie mi się nasuwa; powiem jednak, że pominąwszy naukę, znalazłem w pannie Rachel niejednę z tych zalet, które podziwiałem w Thiersie. Posiada ona tenże sam umysł przenikliwy i praktyczny, tęż samą jasność widzenia rzeczy, wytrwałość w dążeniu do zamierzonego celu; też same naiwne wybiegi, wyrachowane podboje, płodność wynalazków, pobłażliwość filozoficzną, która nie rozumié ani zemsty, ani nienawiści, ograniczając się na układach z nieprzyjaciołmi, usiłując uśmierzyć urazy, i podbić wszystkich, bo każdy na coś przydać się może.

„Nawet w życiu domowém uderzyło mnie nieraz to podobieństwo. W rodzinnych pogadankach panna Rachel rozwija niemniéj dowcipu, zdrowego sądu, niespodziewanych spostrzeżeń jak wielki mówca, minister lipcowéj monarchii. Nic w tém dziwnego: sztuka oratorska i sztuka dramatyczna prawie tychże samych wymagają nauk, tychże samych przygotowań, wyjąwszy róża; jeżeli nie są siostry, to bardzo blizkie krewne. W gniewie Rachel także przypomina Thiersa niepowściągliwością języka. Raz pamiętam rozgniewała się na mnie, sprzeczaliśmy się ząb za ząb; w końcu tak się uniosła,

że mnie kanalią nazwała. Kiedyśmy się pogodzili, mówię jéj: „Wszystko to dobrze, aleś mnie pani zelżyła słowem, którego nikt mi jeszcze nie śmiał powiedzieć". „Tak, skarż się pan jeszcze—powiada śmiejąc się—od téj chwili dopiéro należysz do rodziny."

Niedawno jeden z pisarzy francuzkich starał się rehabilitować kardynała Dubois w opinii publicznéj, i dowodził zacności i prawości francuzkiego ministra, płatnego przez rząd angielski. Dzisiaj niemniéj śmiałą obronę ogłasza pan Capefigue; pod tytułem: Louis XV et la société du dix—huitième siècle, napisał panegiryk Ludwika XV.

Wiele, bardzo wiele możnaby powiedzieć przeciw tak niewczesnéj obronie człowieka, o którym sąd powszechny już wyrzekł ostatnie słowo; ale dowodzić rzeczy dowiedzionych nie warto. W dziejach Francyi opłakane zajmuje karty panowanie Ludwika XV; rozumié się uważane ze stanowiska politycznego, bo w sławie literackiéj swojego wieku, w ogromnym rozwoju idei filozoficznych, Ludwik XV nie brał najmniejszego udziału.

Rozpatrzywszy się bliżéj w panowaniu Ludwika XV, widzimy same straty, same upokorzenia Francyi. Ważne jéj posiadłości w Indyach, Afryce i Ameryce odpadły, fortyfikacye w Dunkierce rozrzucono dla przypodobania się Anglii, całe państwo większemi jeszcze ciężarami obarczone niż za Lukwika XIV, gnie się pod ciężarem jarzma, metresy królewskie bezwstydnie zbogacone, składają i rozwiązują dowolnie ministeryum, godność monarsza styrana w rozpuście:—oto obraz wewnętrzny.

Ludwik XV nie posiadał nawet dumy rodowéj. Kiedy Karol Edward król angielski przybył do Francyi i oddał się pod straż honoru narodowego; oficer królewskiéj gwardyi dostał rozkaz aresztowania ostatniego potomka Stuartów, bo Anglia zażądała jego wydania.

A jednak znalazł się pisarz, który pod pozorem prostowania historycznych pomyłek, opiewa wielkość Ludwika XV, pani Pompadour i Dubarry. Szczęściem, dzieło pana Capefigue napisane jest w taki sposób, że nikogo w błąd nie wprowadzi. Uprzejmość dla wszelkiéj rozpusty, byle tylko eleganckiéj i uperfumowanéj, nadto

razi od początku do końca. Na dowód przytoczę kilka ustępów.

Mówiąc o ówczesnych wypadkach politycznych, którym Ludwik XV, zdaniem pana Capefigue, nie mógł zapobiedz choć im nie sprzyjał, autor tak mówi:

„Wśród tych trudnych okoliczności, Ludwik XV postarzał, z wiekiem przyszły choroby; śliczne jego niebieskie oczy straciły blask, i ledwie o kilka kroków już rozpoznawały przedmioty; ogłuchł. On, dawniéj wyborny jeździec, siadać musiał na konia po stopniach! Słabe zdrowie jego wymagało nieustannéj pieczy lekarskiéj, a kuracya coraz to nowe nakazując prywacye, sprzeciwiała się gustom i zwyczajom monarchy. Jeżeli chciał jak dawniéj pić przy kolacyi ulubione wino szampańskie, nielitościwy doktor nie dawał mu wychylić kielicha! Co więcéj, wyrzec się musiał buduarowych drogich sercu pogadanek!"

„Po dwudziestu latach ścisłéj zażyłości, mówi autor, pani Pompadour nie utraciła jednak swéj władzy nad królem; zamłodu nabyta przewaga nie zmniejszyła się z wiekiem, choć zniknął powód uroku. Pani Pompadour zabawiała jak mogła znudzonego monarchę. Trudneto było zadanie, zwłaszcza, że biédaczka coraz to bardziéj zapadała na zdrowiu; w końcu śmiertelna słabość rozwijała się, i pożerała ją widocznie. Wiedziała że umrze, jednak nie wspominała o tém królowi, obawiając się go zasmucić. Nareszcie dłużéj taić nie było podobna: musiano oznajmić królowi, że jest blizka śmierci. Zdziwił się niezmiernie.... Ale skoro umarła, męzka obojętność wzięła w nim górę nad wszelkiém inném uczuciem. Z wersalskiego balkonu król suchém okiem poglądał na skromny karawan téj, która niegdyś rządziła Francyą."

O pani Dubarry tak się znów wyraża:

„Hrabina Dubarry mieszkała zwyczajnie w swym pałacyku w Lucienne. Pałacyk ten był arcydziełem gustu. Hrabina lubiła niezmiernie kruche porcelany, czarne pagody z brylantowemi oczyma; lubiła salony wysadzane hebanem i kością słoniową, dywany z indyjskiego kaszmiru, perskie obicia, zwierściadlane buduary, Negrów z czerwonemi wachlarzami i ponsowe senegalskie

papugi. Pałacyk w Lucienne złożony tylko z pięciu pokoi, stał się, dzięki gustowi pani Dubarry, najrozkoszniejszą rezydencyą. Król bywał tam codziennie na kolacyi, gdyż rad uciekał od swych wspaniałych pałaców i urzędowych recepcyj. W Lucienne czekała go swoboda; bez przymusu, bez męczącéj dworskiéj etykiety, bawił się wedle upodobania; w Lucienne zapomniał o Wersalu i koronie. Bo téż przyznać potrzeba, że hrabina robiła honory domu z nieporównanym wdziękiem! Piękna, zawsze wesoła, każdego wnet ośmielała. Nienawidziła wszelkich ceremonij; każdy téż był u niéj jak u siebie. Dowcipna jak szatan, naiwna jak dziecko, śmiała się ze wszystkiego; żartowała z Negra co ją od owadów oganiał, figlowała to z pieskami, to z papugą, to z kolibrami swemi nacieszyć się nie mogła; to znowu przebrana za pasterkę, podawała bukiety kwiatów, lub szklankę mléka królowi, który wolno oddychał, i był szczęśliwy wśród młodości i kwiatów".

Parc aux Cerfs także bardzo przyjemnie opisuje pan Capefigue. „Richelieu, powiada, natchnął Ludwikowi XV myśl owego ogrodu. Pani Pompadour popierała ją usilnie; sądziła bowiem, że król znajdzie tam nowość i przyjemną rozrywkę. Taki był początek owego ustronia, tak sławnego późniéj w historyi".

Koniec końców, autor osięgnął zupełnie cel zamierzony; pospolitością, któréj nad wszystko nienawidzi, nie zgrzeszył: książka jego jest rzeczywiście przeciwstawieniem téj niecnéj szkoły historycznéj, która od pięćdziesięciu lat błąka opinią publiczną.

Jeżeli prawda, że czas jest skrzydlaty; to niezawodnie każdém skrzydłem w przeciwną bije stronę: jedno ku przeszłości, drugie ku przyszłości wyciąga. Dlatego w dziwnych błądzi złudzeniach, kto w jednę tylko patrzy stronę, bo wedle tego w które skrzydło wzrok wlepi, popadnie albo w zaślepienie, albo w zbytek niewiary. Skoro skrzydlaty starzec mocno skrzydłem w przyszłość uderzy, stronnicy postępu sądzą, że już u celu życzeń stanęli; skoro się cofnie, ogarnia ich rozczarowanie, i gorzki sceptycyzm. Jak jedna, tak druga ostateczność jest zgubna; prawdziwa mądrość na tém zależy, żeby umiéć uchwycić rzeczywisty kierunek wypadków.

Dekret z d. 10 czerwca 1853 r. nakazał połączenie nicią telegraficzną Francyi z Algierem, a raczéj Europy z Afryką. Dwie kompanie oświadczyły się z gotowością wykonania téj wielkiéj pracy. Piérwsza z inżynierów francuzkich złożona, chciała część linii przeciągnąć wzdłuż brzegów hiszpańskich, aby tym sposobem skrócić rozciągłość podwodną telegrafu; według jéj projektu, część konduktora elektrycznego zanurzyć się mająca w morzu Śródziemném, zaczynałaby się w Gala, (Hiszpania), a kończyła w Oran, nie przechodząc 20 mil długości.

Druga kompania, złożona z inżynierów angielskich, mająca na czele pana Walkins Brett, twórcę telegrafu z Duwru do Calais, projektowała aby nić podmorska zaczynała się od przylądka Spezzia w Piemoncie. Rząd zatwierdził plan drugi. Z tego więc punktu nić prowadzona będzie do przylądka korsykańskiego; lądem z północy na południe przejdzie wyspę Korsykę, zanurzy się w cieśninie Bonifacego między Korsyką a Sardynią, którą znów lądem przejdzie, a ostatecznie wydobędzie się z morza na brzegach Algieru między Bon, a granicą tunetańską. Cała długość podwodna nie dojdzie mil 60ciu.

Korzyści drugiego projektu widocznemi są dla Anglii: późniéj będzie ona mogła ciągnąć daléj telegraf ponad brzegami Afryki, ażeby go doprowadzić aż do swoich posiadłości w Indyach. Królestwo sardyńskie także skorzysta łącząc się z wyspą Sardynią, a tak projekt ten jednoczy szczęśliwie różne interesa.

Praca około tego telegrafu postąpiła już znacznie. Dokonane sądowanie okazało, że przestrzeń między Piemontem a Korsyką nie przedstawi wielkich trudności, bo głębokość jest niewielka, a dno jednostajne. Głębokość największa między Spezzia a Korsyką jest 819 sążni, między Korsyką a Sardynią 450.

Nić mająca przebyć piérwszą odległość już jest zrobiona w Greenwich; ma długości 20 mil przeszło, a waży 2,000 centnarów; grubość nici ma przeszło cal średnicy. Konduktor ten składa się z 6ciu drutów miedzianych, otoczonych powłoką z guttaperki, która znów ukrywa się w grubéj tkance z konopi; tak utworzony sznur obwija się ściśle 12stą drutami z żelaza galwanizowanego, które nie rdzewieje. Nadano znaczną długość sznuro-

wi, aby nastarczyć usterkom, które podać może dno morskie.

W tym miesiącu właśnie, statek parowy Persian zakłada tę część nici telegraficznéj. Ażeby kąty ostre nie przechodziły ciągliwości metalu, pan Walkins Brett dał miedzianym niciom kształt helissy.

Sznur do przebycia cieśniny Bonifacio, robi się obecnie w Londynie, i ma być długi na 13 mil. Wkrótce więc wykonaną będzie piérwsza część wielkiego dzieła, które swoim kosztem uskutecznia Francya.

Angielskie obyczaje biorą wyraźnie górę, jeżeli nie na całym Zachodzie, to przynajmniéj w Paryżu. Wrodzona szczebiotliwość i wesołość francuzka znika w miarę wzrastania klubów. Za 10 lat Paryżanie niezawodnie na spleen zachorują jak Anglicy, a co większa, jak oni wyrzekną się życia rodzinnego. W Londynie gospodarza nigdy nie znajdziesz w domu: zamożny Anglik mieszka, obiaduje, przyjmuje, spędza wieczory, ledwie że nie nocuje w klubie. Żona sama jedna, smutna i skłopotana, biédzi się w domu z dziećmi, podczas kiedy mąż w klubie gra w karty, pije i bawi się jak na gentelmena przystało. Słowem, klub zabija życie rodzinne w Anglii. Zaraza ta zastraszające czyni postępy.

W Paryżu zajmują się mocno założyć się mającemi lub założonemi świéżo klubami. Do tych ostatnich należy tak zwane koło cesarskie, gromadzące się w pięknym hotelu d'Osmont, który na ten cel nabyło Towarzystwo kredytowe ruchomości (crédit mobilier). Crédit mobilier jestto nowy patent finansowy, ledwie od roku istniejący we Francyi, a już silny jak Krezus.—Czyj ten ogromny dom? spytasz—Towarzystwa kredytowego. —A ten hotel?—Także.—A ten plac obszerny?—Także towarzystwa. Tak więc jaśnie wielmożne towarzystwo, jeżeli go gorączka nabywania nie ominie, będzie niedługo wyłącznym właścicielem Paryża, co uprości niezmiernie i porówna ceny pomieszkań. Niedługo Paryż jak Londyn stanie się własnością jakich trzydziestu bogaczy, takich naprzykład jak markiz de Westminster, właściciel głównéj części West-End w Londynie, rozległéj mniéj więcéj jak połowa Warszawy. Wytykają go

też palcami skoro raczy spacerować w Hyde-Parku, i mówią: „Ten oto milord wart dwa miliony funtów szterlingów“. Anglicy bowiem zwyczajnie oznaczają cenę człowieka wedle dochodu. Podczas wyścigów w Londynie, na które najwykwintniejsza zjeżdża publiczność, sam słyszałem jak jeden z uprzejmych widzów wymienił nazwisko każdéj Milady, i dodawał wiele warta: ta sto tysięcy liwrów, tamta dwakroć, owa trzykroć; a cóż dopiéro skoro zaczął rozbierać wartość Bedforda, Richemonda, księcia Northumberland, i innych, któż spamięta te potworne cyfer szeregi? Na to trzeba angielskiéj biegłości w szacowaniu.

Ale wróćmy do klubów.

Koło cesarskie zawiązało się pod przywództwem księcia Murata; członkami jego między innemi są: książę Mouchy, ks. de la Moskowa, ks. Plaisance; hrabiowie: Bacciochi, d' Ornano, Montebello, Morny, Persigny; panowie: Baroche, Billault, Achille Fould, markiz de Loevoestine, i t. d.

Każdy członek płaci wpisu 300 fr. i tyleż corocznie na utrzymanie klubu; rozumié się, że wszelką konsumacyą płaci osobno. Nazwy dziesięciu klubów paryzkich są następujące: Jockey-Club, Club des Echecs, Cercle de Paris, Cercle agricol, Club d' Union, Cercle des Arts, Cercle de la Réunion, Cercle Montmartre, Cercle des Deux Mondes, i Cercle Imperiale, złożony z samych dostojników państwa.

Kluby te, choć bardzo zbytkownie urządzone, a mianowicie też ostatni, nie dorównywają jednak angielskim; tych przepych z niczém się porównać nie da. Kluby angielskie nie jedno piętro, ale cały pałac zajmują. Zaledwie bramę otworzysz, już cię przepych uderzy. Ogromne sienie, wspaniałe schody dywanami wysłane, oświecone i ogrzane ukrytemi piecami, dolne sale pełne obrazów i kwiatów, a z nich wyjście do ogrodu z królewskim zbytkiem utrzymanego. Na piérwszém piętrze urządzone są salony do gry i rozmowy, ze szklanemi drzwiami na tarasy, po których goście przechadzają się wśród drzew pomarańczowych, mirtów i granatów.

Ogromne zwierciadła, nadzwyczaj drogie w Anglii, zasłaniają ściany, freski, i bogate płasko-rzeźby stroją sufity: wszędzie, jakto mówią, kapie złoto. Prócz tego

każdy klub angielski ma swoję bibliotekę, i wszystkie dzienniki krajowe i zagraniczne. Na drugiém piętrze są łazienki i sypialne pokoje, gdzie członkowie klubu nocować mogą, jeżeli są nadto napojem zagrzani lub wzruszeniami gry zmęczeni, żeby do domu powracać.

Cena wpisu jednéj osoby zmienia się stosownie do klubu, od dwunastu do dwudziestu funtów szter. rocznie. Obiad zawsze wykwintny i na srebrze zastawiony, wina w przednich gatunkach. Stosunkowo obiad w klubie angielskim bardzo mało kosztuje.

Dzięki stowarzyszeniu, gentelmen z średnim majątkiem żyje tam po królewsku, i to mu zupełnie wystarcza. Ściślejsza zażyłość, że już nie powiem przyjaźń, wcale nieznana w angielskich klubach; każdy jest tam dla siebie: jest, bo mu miękko, ciepło, wygodnie, jasno, i smacznie. Wchodzący ledwie raczy kiwnąć głową; poczém bierze zaraz w rękę dziennik lub książkę jaką. Członek pisze listy w klubie, przyjmuje znajomych, załatwia interesa, spaceruje po ogrodzie, śpi, pali cygaro, gra w karty, ale nigdy nie mówi. W każdym z takich zakładów cicho jest jak w klasztorze. Powód tego milczenia bardzo prosty: członkowie nie znają się po większéj części między sobą. Ażeby zostać członkiem klubu dosyć być wprowadzonym przez dwóch dawniéj przyjętych, którzy stanowią niejako kaucyą, że nowo przybyły zapłaci wymagane opłaty; poczém przyjęty zostaje przez komitet, co zupełnie zaspakaja innych względem honoru nowego członka. Nigdy jeden z drugim nie mówi, ani o polityce, ani o żadnéj żywotniejszéj kwestyi. W Anglii żeby wyjawić przed kim swoje zdanie, potrzeba wiedzieć naprzód: czy on bogaty, czy ubogi? czy do Torrysów, czy Whigów należy? czy protestant, czy katolik? Anglicy mają sobie za punkt honoru, żeby nikogo nie obrazić, nie zadrasnąć w jego opiniach, co jest chwalebne do pewnego stopnia, ale w końcu ta zbytnia delikatność zamyka wszelkie stosunki, wszelką rozmowę, i z klubu czyni zakon Trapistów.

Główniejsze kluby w Londynie są: klub marynarzy, klub reformy, klub wschodni, Portland, Royal Naval, Alfred, Panthenon, klub cudzoziemców, Athaeneum, gdzie zgromadzają się uczeni, literaci i artyści; klub Oxford, do którego ci tylko, którzy na oxfordzkim uniwersytecie

skończyli nauki należéć mogą; klub Indyj Wschodnich, Albion, i wiele innych, których nazwiska wyszły mi z pamięci.

Oprócz tych klubów piérwszego rzędu, jest niezliczona liczba innych, jakoto: klub szachistów, podróżnych, pływaków, klub kawalerski, klub filantropów, excentryków, kosmopolitów, jockei, pijaków, boxerów, żarłoków, psów, kotów, kogutów, szczurów, i t. d.

Pan Emil de Girardin, sławny publicysta francuzki, podaje projekt założenia na polach Elizejskich w Paryżu klubu pod nazwą Pałac klubów, który przepychem i wielkością ma zakasować wszystkie inne. Koszta takiego gmachu obrachowano na dziesięć do dwunastu milionów franków. Każdy człowiek miałby za pomierną roczną opłatę swój osobny apartament w nowym zakładzie; ogrody, bilardy, czytelnie i salony wielkie, byłyby wspólne; tym sposobem wedle ochoty, każdy miałby do wyboru samotność, lub liczne towarzystwo.

Za pięć tysięcy franków rocznie, klubista miałby wszystkie wygody milionowego pana: wyborne jadło, obszerne apartamenta, cieniste ogrody, liczną służbę, konie, powozy i t. d.

Jeżeli p. Girardin doprowadzi do skutku swój projekt, i założy ów falanster milionerów, będzie to rażące zaprzeczenie równości o jakiéj codziennie mówi, jakiéj się domaga, jaskrawe przeciwstawienie nowo założonego stowarzyszenia robotników, któremu niedługie rokują istnienie.

Zapewne pałac klubów mniéj dozna trudności w założeniu, i przyszłość miéć będzie świetną, chociaż w chwili obecnéj wystawa powszechna nadto zajmuje wszystkich spekulantów, żeby o budowie tego gmachu myśleli. Tymczasem nowe table d'hôty, i tanie restauracye mnożą się codziennie, licząc na zjazd przyszłoroczny, i na indyferentyzm gastronomiczny nowego pokolenia. Smakosze staréj daty patrzą z politowaniem na nowe szyldy; jeden z nich mówił niedawno wzdychając głęboko: „wszystko nikczemnieje we Francyi, nawet obiady!“

Jak kluby od Anglików, tak znów hotele przejmuje Paryż od Amerykanów. Budują teraz na ogromnym placu, zakupionym przez crédit mobilier, przy ulicy

Rivoli, potworny bazar, czyli dom zajezdny, który pomieści przeszło dwa tysiące łóżek. Tam także będą salony, bilardy, czytelnie, ogrody i table d'hôte na tysiąc dwieście osób.

Po skończonéj wojnie, spekulant jaki kupi niezawodnie pola Marsowe, i wybuduje na nich hotel mogący pomieścić stotysięcy podróżnych; każdy zapłaci po dziesięć franków za dobę, co uczyni milion dochodu dziennie, czyli 365 milionów na rok.

Literatura drzémie ciągle. Książek wyszło bardzo mało w tych ostatnich czasach, samę tylko przedruki i przedruki! Wydawcy częstują publiczność jak gospodarz, coby raczył zaproszonych gości drugi raz nalaną herbatą. Zdaje się jednak, że letarg literacki niedługo już potrwa. Dziennik La Presse zapowiedział publikacyą pamiętników pani George Sand, które drukować zacznie 4 października w swym fejletonie. Histoire de Marie, taki jest tytuł pamiętników; kupione jeszcze w 1846 roku za 100,000 franków, składać będą pięć tomów w 8ce.

Pani Harriette Beecher Stowe, która, jak wiadomo, przybyła do Europy zaproszona przez angielskie damy, wydała świeżo podróże i spostrzeżenia swoje o Anglii i Szwajcaryi. Revue Britannique mocno powstaje na tę książkę; powiada, że autorka przez jakieś sobie tylko właściwe okulary patrzała na rzeczy, i widziała je w zupełnie przeciwném świetle jak wszyscy. Daléj wyśmiewa naiwność porównań i łatwowierność, z jaką dobroduszna autorka przyjmowała przesadzone pochlebstwa wielkiego świata. W końcu przytacza wyjątek z podróży, w którym pani Stowe wyraża oburzenie, jakiego doznała na widok swego portretu wywieszonego za oknami w Londynie. Wié, powiada, że nie jest piękna, ale przecie nie taka znów brzydka jak ten portret nieszczęsny, do zrobienia którego chyba jakiś hipopotam przyczynić się musiał.

Dziwna próżność w tak biblijnéj niewieście!

Zdobienie domowego zakątka nie jest tylko oznaką dobrego bytu, ale zarazem miarą wyrobienia gustu powszechnego; jeżeli się rozciąga nawet do klas najniższych, dowodzi umoralnienia, bo jest znakiem, że życie rodzinne nad życie zadomowe przenoszą. Z tego punktu widzenia dość ciekawe są cyfry wskazujące handel kwiatami w Paryżu.

Dziennie sprzedają tutaj w przecięciu za 12,000 fr. kwiatów na placach publicznych, co wynosi około półczwarta miliona na rok; w sklepach sprzedają ich rocznie za półtora miliona, a konsumcya róż obciętych przechodzi rocznie trzy miliony.

Handel kwiatami jest więc ogromną gałęzią wymiany między okolicami a stolicą; ma swoje targi w pewne dni tygodnia, które są zasycane regularnemi dowozami, tak jak targi żywności; prawie każda gospodyni domu lub jéj kucharka kupując dzienne potrzeby do życia, robi zarazem dzienną prowizyą kwiatów, ku rozweseleniu oka i upiększeniu domostwa.

W dni świąteczne, jak n. p. święty Jan, Piotr, Paweł, w święto Matki Boskiéj Zielnéj, w święta korporacyj, cechów, jak cieśli (ś. Józefa), stolarzy (ś. Anna), kowali (ś. Alojzy), muzyków (ś. Cecylia), mularzy i blacharzy (Wniebowzięcie), perukarzy (ś. Ludwik), praczek (środopoście), sprzedaż kwiatów odbywa się na każdym punkcie miasta, na każdéj ulicy, w każdéj bramie. W takie dni sprzedaje się kwiatów za 500,000 fr. i więcéj.

W zimie, w dzień balowy nie jest rzeczą nadzwyczajną, że sprzedający w sklepie, robiąc wieczorny obrachunek, znajdzie w kassie 10,000 franków.

Wielka ta konsumcya sprawia, że na ogromnym promieniu okolic Paryża, każdy rolnik zatrudnia się hodowaniem kwiatów, bo sami ogrodnicy nastarczyćby nie mogli: ztąd konkurencya i ciągłe zniżanie się cen, które uczyniło ten miły produkt przystępnym dla każdéj kieszeni, i o każdéj porze roku.

POWRÓT WIOSNY.

Słońce się z mglistych otrząsa chmur.
Z dolin i gór
Zimowe, śnieżne spada okrycie:
Jasnym połyskiem srébrzą się wody,
W łonie przyrody
Wre życie!

I znów na ziemię powraca raj.
Pola i gaj
Napełnia nuta jakaś radosna;
Kwiat swe tulące zrzuca osłonki,
Wonią tchną łąki:
To wiosna!

Skowronek wzbił się w powietrzny szlak!
Miły to ptak,
Gdy na skrzydełkach zawieszon śpiewa,
I cały urok rozkwitłéj wiosny
W swój śpiéw miłosny
Przelewa.

O! gdyby serce mogło tak żyć,
Tak słodko śnić,
Z uwiędłych marzeń, z uczuć zawodu,
Po burzach życia znów się ocucić,
Kochać i nucić,
Jak z młodu!

Gustaw Zieliński.

SPOMINKI HISTORYCZNO-ARTYSTYCZNE.

VII.

Andrzéj Kurpski książę jarosławski i jego testament. — Dwa obrazy wizerunków rodzinnych królów polskich, Jana III Sobieskiego i Stanisława I Leszczyńskiego.

Testament Kurpskiego.— W drugiéj połowie XVIgo stulecia, w dziejach państwa rossyjskiego jako i rzeczypospolitéj polskiéj niepospolite zajmuje stanowisko Kurpski Andrzéj książę jarosławski. Zostaje on w całém znaczeniu dziejową z tamtéj epoki postacią, w obu krajach jeden z główniejszych spraw publicznych czynników; ztąd téż i w opisach panowań Zygmunta Augusta, a zwłaszcza Iwana Groźnego, postać nieominiona. O życiu Kurpskiego różne szczegóły dochowali dziejopisarze tak rossyjscy jak polscy: Karamzyn w dziejach Rossyi mówi o nim wiele, Ustriałów skréślił oddzielny jego pamiętnik; wspominają go: Bielski, Kojałowicz; zamieścili go w swoich herbarzach: Okolski i Niesiecki; wreszcie, że pominę innych, Seweryn Gołębiowski tak przedwcześnie zgasły, treściwy jego życiorys przekazał (1). Atoli ciekawém uzupełnieniem wiadomości o życiu Kurpskiego jest pozostały po nim testament. Nie wiém, czy ten dokument znany jest uczonym rossyjskim: to pewna, że u nas dotąd nigdzie ogłoszonym nie był, że nie wiedzieli o nim Niesiecki i Gołębiowski, którzy wątpić nie można byliby zeń braknące im podania udokładnili. Testament rzeczony w odpisie urzędowym dostał się do rąk moich i mniemam, że jest z wielu względów godzien ogłoszenia, już jako zabytek języka polskiego

(1) Obszerny także życiorys Kurpskiego skreślił p. J. Bartoszewicz w Dzienniku Warszawskim w r. 1851. *P. R.*

od niedawna do akt urzędowych wprowadzonego, już jako przechowujący liczne szczegóły do żywota w dziejach pamiętnego męża. Otóż dosłowna treść jego.

Testament księcia Andrzeja Michajłowicza Kurpskiego Jarosławskiego z rozporządzeniem dóbr Kowelskich.— A° 1583 de. 24 Mai in Castro Vlodimiriensi.

Wypis z ksiąg grodzkich zamku Włodzimirskiego.

Lata Bożego Narodzenia tysiąc pięćset ośmdziesiąt trzeciego, miesiąca maja dwudziestego czwartego dnia.

Pisała i przysyłała do mnie Aleksandra Kurcewicza podstarościego, a Łazarza Iwanickiego sędziego urzędników grodzkich Włodzimierskich, jejmość księżna Andrzejowa Kurpska Jarosławska Alexandra Piotrowna Siemaszkowna, przyjaciela swojego imci pana Andrzeja Piotrowicza Zahorowskiego, opowiadając zejście z tego świata małżonka jejmości sławnéj pamięci jegomości księcia Andrzeja Michajłowicza Kurpskiego i Jarosławskiego, i testament ostatniéj woli jegomości pod pieczęcią i z podpisem własnéj ręki jego i pod pieczęćmi ludzi dobrych sprawiony i śmiercią jegomości potwierdzony, prosząc aby ten testament ostatniej woli nieboszczyka jegomości księcia Kurpskiego małżonka jejmości do ksiąg grodzkich Włodzimierskich przyjęty i wpisany był, którego my testamentu oglądawszy przed sobą czytać kazali i tak się w sobie ma:

„W imię trzy-istotnego bóstwa, Ojca i Syna i świętego Ducha, Amen. Ja sługa boży Andrzéj Michajłowicz Kurpski Jarosławski i Kowelski, będąc z dopuszczenia bożego nawiedzion chorobą, a wiedząc to, iż nic pewniejszego na świecie nie jest nad śmierć, która nikogo minąć nie może, i bacząc, że wszystkie sprawy łacnoby z pamięci ludzkich zeszły, jeśliby wprzód będącém pismem objawione i objaśnione nie były; przeto za całego rozumu i zupełnéj pamięci mojéj, ostatnią wolę moją tak miéć chcę i na piśmie tym testamentem moim zostawuję, zeznawam i wszystkim wobec i każdemu z osobna komuby to wiedzieć należało, teraz i napotém będącym, oznajmuję. Najpierwéj poruczam duszę moją Panu Bogu, a ciało moje ziemi, które gdy Pan Bóg z duszą moją rozłączy, małżonka moja miła księżna Alexandra Piotrowna Siemaszkowna z Ichmość Pany Opiekunami odemnie Jéj, Dziatkom i majętnościom moim ustanowionymi niżej opisanymi, także z Przyjacielmi moimi i swoimi, ma chrześciańsko pogrześć

i pochować w Monastyrze Kowelskim u Świętéj Trójcy w Werbce w Cerkwi, u nogach Ojca mojego Duchownego Swiaszczenno-Inoka Ojca Alexandra. Na Sorokoust w tym Monastyrze z majętności mojéj Żona moja miła Xiężna Alexandra i Panowie Opiekuny zaraz przy pogrzebie ciała mojego mają dać pięć kóp groszy Litewskich, także na Sorokoust do Cerkwi Sobornéj w Kowlu pięć kóp groszy Litewskich mają dać. A Swiaszczennikom którzy będą przy pogrzebie ciała mojego, każdemu po złotym Polskim dać; na rozdział ubóstwa którzy będą także przy pogrzebie ciała mojego, kóp piętnaście Litewskich, dać; a osobliwie Ojcom moim Duchownym Karpowi Swiaszczenniku Smidyńskiemu, a Protopopie Kowelskiemu Ojcu Sile, tym po dziesięciu kóp groszy Litewskich dać; a na wieczny Synonik w tym Monastyrze Werbskim, Ihumenowi dziesięć kóp groszy Litewskich dać; a w Kowlu do Cerkwi Sobornéj także na wieczny Senonik także dziesięć kóp groszy Litewskich dać; w szpital Kowelski ma być dano dziesięć kóp groszy Litewskich, które ma ubóstwu Kowelskiemu rozdzielić Protopopa Kowelski Ociec Siła, za dozorem Pana Kiryła Zubcowskiego; a w Wilnie na szpital u Świętéj Przeczystéj Boga-Rodzicy w Sobornéj Cerkwi między ubóstwo ma być dano dziesięć kóp groszy Litewskich; w Wilnież na szpital przy Cerkwi Sobornéj Trojeckiéj ubóstwu dziesięć kóp groszy Litewskich ma być dano. A co się dotycze Małżonki mojéj miłéj Xiężny Alexandry Siemaszkowny i dziatek moich miłych, którem z nią małżonką moją uczciwie w stanie małżeńskim mieszkając, syna Xięcia Dymitra i córkę Xiężnę Marynę spłodził, także Imienij wszystkiéj majętności mojéj; jeno iżem ja Jego Królewskiéj Mości Hospodaru mojemu Miłościwemu, wiernie, cnotliwie, a sprawiedliwie swoim własnym kosztem i nakładem według możności mojéj służył, czego Sam Jego Królewska Mość Pan mój miłościwy jako Pan Chrześciański świadom być raczy, a mając dobrą nadzieję o przyrodzonéj dobroci i o łasce Jego Królewskiéj Mości Pana mojego Miłościwego, uniżonemi prozbami mojemi Jego Królewskiéj Mości Pana mojego Miłościwego proszę, żeby Jego Królewska Mość jako Pomazaniec Boży, a Pan mój Miłościwy, jako za wieku swojego mnie najmniejszemu, a podnożnemu słudze Swojemu Panem moim Miłościwym być raczył, tak po żywocie moim temu Testamentowi ostatniéj woli mojéj Exekutorem być raczył. A ja Małżonkę i Dzieci moje w Miłościwą łaskę i obronę wprzód Panu Bogu

i Jego Królewskiéj Mości Panu mojemu Miłościwemu podaję i poruczam, będąc tego pewien, iż Jego Królewska Mość Pan mój Miłościwy żonie i dziatkom moim, mając miłościwe baczenie na wierne służby moje, miłościwym Panem być raczy i zwierzchności Swojéj Królewskiéj od wszystkich krzywd bronić i aby się we wszystkiém temu Testamentowi ostatniéj woli mojéj dosyć stało, tego wszystkiego przestrzeć z pobożności i miłościwéj łaski Swojéj Królewskiéj rozkazać będzie raczył, co wszystko Pan Bóg hojnie Jego Królewskiéj Mości jako Pomazańcowi Swojemu z szczodrobliwéj łaski Swojéj Świętéj płacić i nagradzać będzie. A Opiekunami téj Małżonce mojéj Xiężnie Alexandrze Siemaszkownie, Dziatkom moim i majętności mojéj tym Testamentem moim naznaczam i ich wstanawiam, w nadzieję łaski Ichmościow Panów Dobrodziejów moich miłościwych, których ja wielkiéj łaski i znacznego dobrodziejstwa za żywota mojego zawżdy doznawał, to jest Jaśnie Wielmożnego Pana Pana Konstantyna Xiążęcia Ostrogskiego Wojewodę Kijowskiego Marszałka Ziemi Wołyńskiéj, i syna Jegomości Pana Pana Konstantyna Xiążęcia Ostrogskiego Krajczego Jego Królewskiéj Mości Wielkiego Xięstwa Litewskiego Starostę Włodzimirskiego, Jegomość Pana Stanisława Krasickiego Obożnego Jego Królewskiéj Mości Starostę Lubomskiego i Bolenowskiego, i szwagrów moich Jegomości Pana Iwana Chrynnickiego Podsędka Ziemskiego Łuckiego, a Imci Pana Wasyla Piotrowicza Siemaszka, Pana Kiryła Zubcowskiego Horodniczego Łuckiego powinnego Przyjaciela Mojego, pilnie uniżenie za to Ichmościów Panów Opiekunów jako swoich Mościwych Panów proszę, żeby Ichmość jako za żywota mojego mnie Miłościwymi Panami i Dobrodziejami być raczyli, także po żywocie moim Małżonkę moją, także dziatki moje w opiece swojéj miéć i ich od krzywd bronić i o wszystkiém dobrém, pożyteczném Małżonki i Dziatek moich obmyśliwać i staranie z miłościwéj łaski swojéj działać raczyli, za co ichmość zapłatę od Pana Boga miéć będą. A co się dotycze imienij moich zamku i miasta Kowla, zamku i miasteczka Wyżwy i Sioł knim należących, Dworu i Miasteczka Mielanowicz i Sioł ktemu Imieniu należących, a w Litwie Dworu i Miasteczku Kryniczyna, i Dworu Upito, Potok, i Sioł ktym Dworom należących, mnie od Hospodara Króla Imci Świętéj sławnéj pamięci zeszłego Zygmunta Augusta przywilejami za moje własne Imienia ojczyste, które ja na Moskwie zostawiwszy a za upewnieniem i glejtem

Jego Królewskiéj Mości także za przysięgą Ichmościów Panów Rad tu do Państwa Jego Królewskiéj Mości przyjechał danych, z pozwoleniem pewném na tych Imieniach Małżonce mojéj zapisy działać i ich w dzierżawe i używanie podać, jako to szerzéj i dostateczniéj na przywilejach moich od Jego Królewskiéj Mości mnie danych opisano i dołożono jest. Jeno iżem ja pojmując za siebie w stan małżeński Małżonkę moją miłą Xiężnę Alexandrę Siemaszkownę, a wziowszy po niéj niemałą summę pieniędzy zapisał jéj wyjowszy za część trzecią Imienia moje Litewskie wierzchu pisane w dwonastu tysięcy kopach groszy Litewskich, tedy ja i tym Testamentem moim te jéj prawo i zapis na Imieniach moich Litewskich wyżéj pomienionych potwierdzam. Za którém prawem swojém i za tym Testamentem moim ma Małżonka moja miła te Imienia Dwór i Miasteczko Kryniczyno, Dwór Upito, Potoki, i Sioła ktym Dworom należące w téj summie pieniędzy w dwonastu tysięcy kopach groszy Litewskich dzierżyć i po woli swojéj używać, wolna będąc tę summę pieniędzy tak wszytkę ogółem jako i poczęściam komu chcąc oddać, darować i zapisać; więc że ja mam tę nadzieję o Małżonce mojéj miłéj że ona tego od Dziatek moich i swoich nie oddali. Ktemu mając ja baczenie na powolne służby i wierne, cnotliwe przeciw mnie zachowanie Małżonki mojéj miłéj Xiężny Alexandry Siemaszkowny, która jako za dobrego sposobnego zdrowia mojego powolnie i wiernie i cnotliwie się zachowała, także i w téj chorobie mojéj pilnie życzliwie mnie usługiwała i usługuje, i wielkie staranie o poradzenie zdrowia mojego z niemałym przykładem majętności swojéj czyniła, czego wszystkiego ja po niéj będąc wdzięczen, a chcąc to Jéj nadgrodzić, po mojéj dobréj woli daruję i zapisuję Jéj Małżonce mojéj tym Testamentem ostatnią wolą moją dożywotnie mieszkanie i używanie na Dworze i Miasteczku Mielanowiczach, i na wszystkich Siołach ktemu Imieniu należących, i wszystkich pożytkach które Imienie, Dwór i Miasteczko Milanowiczy ze wszytkiemi Sioły i pożytki po żywocie moim, ze wszytkim na wszytko nic niewyjmując ani zostawając ma Małżonka moja miła na siebie wziowszy spokojnie dzierżeć i używać aż do żywota swojego, a w tém dzierżeniu i używaniu Jéj nie mają Jéj Ichmość Panowie Opiekunowie w wierzchu mianowani ani Dzieci moje lat dorosłszy ni jakiéj przeszkody i zatrudnienia czynić aż do żywota Jéj. A po żywocie Jéj Żony mojéj te Imienie Mielanowiczy Synowi

mojemu Xięciu Dymitru zostać się i wolno w dzierżenie i używanie przyjść ma. A co się dotycze Zamku i Miasta Kowla i Sioł ku niemu należących, także Zamku i Miasteczka Wyżwy i Sioł ku niemu należących, ktemu Imienie Smiedyn na które jednakie jako i na Kowel prawo mam, i jeszcze gdy w ręku zeszłego Imci Xiążęcia Michała Czartoryskiego te Imienie było summe pieniędzy tysiąc kóp groszy Litewskich która była na tém Imieniu Smidynie uiszczona, także za dożywocie jego osobliwie pięćset kóp groszy Jegomości zapłacił, ktemu Imienie Dobratyn które u mnie w zastawie od Szwagrów moich Ichmościów Panów Siemaszków jest, którego ja Imienia połowice Małżonce mojéj z potrzeby mojéj pożyczywszy u niej cztery tysiące złotych Pol. zastawił, i to listem moim Jéj warował i na Urzędzie wyznał, co Jéj i tym Testamentem moim potwierdzam, a połowicę tego Imienia Dobratyna aż po ten czas na siebie miał i dzierżał, tedy te wszystkie Imienia ma Małżonka moja Xiężna Alexandra siedząc na wdowim stolcu z Dziatkami mojemi do lat Dzieci mo ich mianowanych dzierżeć i używać, dając im uczciwe wychowanie, a wszystkie płaty z Imieniej przychodzące ku pożytku Dziatkom moim przywłaszczając. A te summy pieniędzy mianowane na Dobratynie i Smidynie zapisuję Dziatkom moim Xięciu Dymitru i Xiężnie Maruszy na poły, któremi oni dorosłszy lat między siebie rozdzielić się mają. I jeśli to Pan Bóg da, żeby Dziatki moje lat dorosły, tedy syn mój Xiąże Dymitr Córce mojéj a Siostrze swojéj Xiężnie Maruszy z czwartéj części wszystkich Imienij swoich wiano i posag według statutu Prawa Pospolitego dać ma i powinien będzie. Z rzeczy téż moich ruchomych, których niewiele mam, bom służąc Jego Królewskiéj Mości i chowając niemały poczet sług, także wiodąc prawa z różnemi osobami, to com jedno miał wyłożył i utracił; to jest łańcuchów złotych dwa, konewek śrebrnych dwie, kubków śrebrnych małych dwa, czarę jedną wielką śrebrną, czarek śrebrnych dwie, talerzy śrebrnych dwanaście, łyżek śrebrnych dziewiętnaście, Małżonce mojéj miłéj Xiężnie Alaxandrze Siemaszkownie daję, daruję i na wieczność zapisuję. Wolna Ona tém wszytkiem jako własną swoją według woli i upodobania swojego szafować, mając w tém nadzieję że tego Małżonka moja od Dziatek moich nie oddali. Niźli co się dotycze szat moich, pieniędzy gotowych i na długach, rynsztunków wojennych śrebrem oprawionych i nieoprawionych, zbroi, koni jezdnych, stada klaczéj, bydła rogatego i drobnego,

i cokolwiek w Kowlu i w Wyzwie jest, to wszytko na regestrze moim pod pieczęcią i z podpisem ręki mojéj jest opisano, daję, daruję i odpisuję Synowi mojemu Xięciu Dymitru. A uchowaj Boże na Dziatki moje pierwéj niżliby lat dorośli śmierci, tedy jako summę pieniędzy na połowicę Dobratyna, także summę pieniędzy na Smidynę i on wszytką Majętność moją Jéj Małżonce mojéj Xiężnie Alexandrze Siemaszkownie daję, daruję, na wieczność zapisuję. A jeśliby Małżonka moja nie siedząc na wdowiem stolcu zamąż poszła, tedy Ichmość Panowie Opiekunowie w wierzchu pomienieni: Imć Xiąże Konstantyn Ostrogski Wojewoda Kijowski i Syn Jegomości Xiążę Konstantyn Ostrogski Krajczy W°. X^a. Lit°. Panowie omi miłościwi Potomstwo moje do siebie do miłościwego wychowania wziąć mają, a Imienia moje i Majętność wyżéj pisaną kogożkolwiek między sobą obiorą, tylko to jednemu zlecić i poruczyć w dzierzenie i używanie podać mają, któreżby pożytki w tych Imieniach pomnażał i wszytko coby jeno zebrał i przybawił za wiadomością wszytkich Ichmościów Panów Opiekunów ku pożytku Dzieci moich cało dochował, tak żeby u tych Sierot pożytki nie ginęły. Jakoż mam zupełną nadzieję u Ichmościów przerzeczonych Panów Opiekunów Potomstwa mojego, iż to życzliwie i przystojnie wedle Boga wybierać i w całości chować będą. Także mam zupełną nadzieję w Jegomości Xiążęciu Konstantynie, iż te Potomstwo moje w miłościwém wychowaniu swojém mieć będzie raczył. A słudzy moje cnotliwi i wierni, którzy mnie wiernie i cnotliwie, także i Jego Królewskiéj Mości i Rzeczypospolitéj przy mnie będąc służyli, którzy podemną w Kowlu i w innych Imieniach moich osiadłości mają, na com im i listy moje podawał, tych sług żon i dzieci ich Żona moja i dzieci moje i Potomki moje; i niktożkolwiek inszy nie mają ich ruszać i krzywdy żadnéj czynić, a oni mają wedle powinności i przystojności Żonie i Potomkom moim służyć z tych Imienij. A niektórzy też słudzy moje na Imieniach summy pieniędzy mają, za dozwoleniem i listami Jego Królewskiéj Mości i mojemi listy, ci wedle opisu zachować się mają, a chociażby tym sługom moim i summa pieniędzy ich była oddana, tedy przedcie oni na tych Imieniach zostać i Dziatkom moim z tych Imienij służyć mają. A tym sługom moim tak Dworskim jako i osiadłym, którzy mnie z jurgieltu służyli, którym zasłużonego winienem został, tym wszytkim

Ichmość Panowie Opiekunowie zasłużone własne według regestru, jako się któremu pokaże, zapłacić mają; także i nadgrodę według lat i zasług każdemu, według baczenia swojego Ichmość Panowie Opiekunowie końmi jezdnemi, woźnikami, zbrojami, nadgradzać mają. A czeladź moja niewolna, jako brańcy i jacyżkolwiek są, nadzieliwszy ich wedle baczenia swojego Panowie Opiekunowie odpuścić mają, żeby żaden przy Małżonce mojéj i przy Potomstwie mojém przy śmierci mojéj przy nich w niewoli nie ostał. A służebniku mojemu Jaśku piętnaście kop groszy Litewskich, konia z siodłem i zbroję. Służebniku Oleksyju także pietnaście kop groszy Litewskich, konia z siodłem i zbroję. Służebniku mojemu Jumszanu pięć kop groszy Litewskich. Chłopcu mojemu Petroku dziesięć kóp groszy Litewskich Panowie Opiekunowie oddać mają. Co się téż tycze, Żona moja będąca Xiężna Marya Jurjewna Holszańska pozywała mnie do Jego Królewskiéj Mości taktéż i do Metropolity; tedy z Jejmością ugodę wieczną wziął podług Metropolitańskiego Dekretu i listów między nami danych, jakoż jest na nich te nasze wieczne postanowienie dostatecznie opisano, która już do mnie i do majętności mojéj nic nie ma. A co mi winien kupiec Gdański Jerzy Arkieli siedemset dwadzieścia i sześć złotych Polskich, na co i kwit jego jest, a Panu Kiryłu Zubcowskiemu Horodniczemu Łuckiemu tenże kupiec Gdański Jerzy Arkiel winien sześćset i ośm złotych Polskich na tymże kwicie; przeto Pan Zubcowski wiedząc co na moją część przyjdzie, to w całości odzyskawszy ma do Ichmościów Opiekunów oddać, a Ichmość Panowie Opiekuny do inszéj Majętności mojéj ruchoméj Potomstwu mojemu należącéj oddać mają. Umarsara Hozyn winien sto złotych i opis na niego mam. To wszystko Panowie opiekunowie wyprawić i Dziatkom moim przywłaszczyć mają. A które Imienia w Powiecie Wileńskim leżące Kieny i Barkałabiszki ja od Pana Zarzeckiego Skarbnika Jego Królewskiéj Mości w tysiącu kopach groszy miał, inom ja tę tysiąc kop groszy u Przyjaciela mojego Pana Kiryła Zubcowskiego wziowszy i one Imienia w téj summie pieniędzy tysiącu kopach groszy Litewskich zawiódł i listem swoim opisał, które Imienia mianowane Pan Zubcowski w tysiącu kopach groszy Litewskich od oddania jemu zupełnéj zapłaty dzierzeć i używać ma. A co onże Przyjaciel mój miły i powinny Pan Kirył Zubcowski od czasu niemałego mając urząd odemnie w Kowlu i za wiadomością Jego wszyscy

urzędnicy dworów moich do rąk Jego, jako pieniądze gotowe tak i insze rzeczy majętności mojéj należące oddawali, z tego wszystkiego podostatku Pan Zubcowski mnie liczby jako z urzędu Kowelskiego, tak téż i z inszych Imieniéj majętności moich liczbę dostateczną uczynił, i już mnie, Małżonce i potomstwu mojemu, ani Panom Opiekunom, ani komu innemu liczby żadnéj czynić nie powinien, a w tem jemu nikt nijakiéj trudności zadawać nie ma. A co téż służebnik mój Iwan Moszniński za poruczeniem w skarbie moim będąc, zawiadywał tak pieniądze gotowe, złoto, śrebro, szaty, zbroje, cynę i miedź, i wszystkie rzeczy ruchome od kilku lat na rękach swoich miał, i z tego mnie liczbę zdał, więc, że wszystkie rzeczy majętność moją które teraz na rękach w schowaniu i za wiadomością jego są, w całości dochować, żebyto Dziatek moich spełna doszło on ma. Który, że ten Testament ostatniéj woli swojéj wszędzie i na każdém miejscu przy zupełnej mocy i całości we wszystkich Artykułach dzierzan i chowan być ma. A ktożbykolwiek ten Testament ostatnią wolą moją naruszyć ważył, ten się ze mną rozsądzi przed Jezusem Chrystusem na strasznym i nieograniczonym sądzie nas prawowiernych Chrześcian. A com był pierwej tego Testament sporządził, który na urzędzie Grodzkim Włodzimierskim opowiadał i w Xięgi wpisan był, jeno dla pewnych przyczyn odmieniéjem musiał, który już żadnéj mocy i ważności mieć i nigdzie za słuszny przyjmowan być niema, jakoż ja jego tym Testamentem moim teraźniejszym poślednim i ostatnią wolą moją kasuję, umarzam i w niwecz wiecznie obracam, i na to dałem Małżonce mojéj miłéj Xiężnie Alexandrze Siemaszkownie i Dziatkom moim Xięciu Dymitru i Xiężnie Maruszy ten mój Testament ostatniéj woli mojéj, do któregom dla lepszéj wiary, pewności i wiadomości Pieczęć swoją przyłożył i rękę swoją podpisał literami Polskiemi, a przytém będąc i tego dobrze świadomi za ustną oczewistą prozbą moją, Ichmość Panowie a Dobrodzieje moi Pieczęci przyłożyć i ręce swoje podpisać raczyli Jegomość Pan Jan Boki Pieczyfortski Podkomorzy Włodzimierski, Pan Eustafii Jełowicz Małyński Sędzia Grodzki Łucki, Pan Łazarz Iwanicki Sędzia Grodzki Włodzimierski, Pan Semen Drozdoński, Pan Michajło Łaskowicz, a Pan Żdan Cyrski Woźny Powiatu Włodzimierskiego. Pisan w Milanowiczach Lata Bożego Narodzenia Tysiąc Pięćset Ośmdziesiąt Trzeciego, Miesiąca Aprilis, Dwodziestego Czwartego Dnia. Andrzej Jarosławski Kurpski ręką swą. Jan Fedorowicz Boki Pieczyfortski Podkomo-

rzy Włodzimierski własną ręką. Eustafij Małyński Sędzia Łucki Grodzki własną ręką. Łazarz Iwanicki Sędzia Grodzki Włodzimierski ręką własną. Semen Hulewicz Drozdeński własną ręką. Michajło Łazsko ręką własną. Zdan Cyrski Woźny Włodzimierski ręką własną. Z których i ten wypis pod pieczęcią Grodzką Włodzimierską jest wydany, pisany w Zamku Włodzimierskim. Correxit Macewicz mp. Legicum Actis Szwal Zasławski. m. p.“

Z powyższego dokumentu czerpiemy co do osoby Kurpskiego wiadomości następujące:

1) Że się sam pisał Andrzéj Michajłowicz Kurpski Jarosławski i Kowelski. Jak więc dawniéj mylnie pisali go Bielski i Okolski Krupskim, tak również błędnie pisze go Gołębiowski Kurbskim.

2) Że dwukrotnie zawierał śluby małżeńskie: naprzód z Maryą księżniczką Holszańską (jak zkądinąd wiadomo, bogatą po dwóch już mężach wdową), z którą rozwiódł się, i jak powiada zupełny z nią rozdział majątkowy zrobił; powtóre z Alexandrą Piotrowną Siemaszkowną. Była ona córką Piotra Siemaszka pisarza litewskiego, starosty łuckiego i krzemienieckiego, posła do Moskwy. Niesiecki przywodzi tą Alexandrę jako najmłodszą Piotra Siemaszka córkę i pannę; ale nie wiedział, iż wyszła była za Kurpskiego.

3) Że z drugiego małżeństwa pozostawił dwoje dzieci: syna Dymitra i córkę Maryą. Ten Dymitr jest niewątpliwie późniejszy marszałek upitski, o którym mówi Kojałowicz, a za nim Niesiecki, przywodząc go ogólnie między następcami Andrzeja Kurpskiego.

4) Że z szczodrobliwości króla Zygmunta Augusta, w wynagrodzeniu dóbr utraconych w Rossyi, otrzymał na Wołyniu dobra kowelskie z zamkiem i miastem, dobra Wyżwy z zamkiem i miasteczkiem, dobra Mielanowicze z dworem i miasteczkiem; na Litwie dobra Kryniczyn z dworem i miasteczkiem, dobra Upoit i Potok z dworami.

5) Testament przerzeczony objawia dwie daty: jednę r. 1583 d. 24 kwietnia, w którymto dniu testament został podpisany; drugą w miesiąc późniéj, tojest r. 1583 d. 24 maja, a ta data dwukrotnie jest powtórzona na wstępie przy zaciągnięciu do akt testamentu. Ztąd wnosićby wypadało, że Kurpski zrobiwszy ostatnie swe rozporządzenie d. 24 kwietnia 1583 r. „będąc z do-

puszczenia Bożego nawiedzion chorobą“ wkrótce potém umarł; że jego wdowa po jego śmierci posłała zaraz z Milanowicz testament do urzędu grodzkiego włodzimierskiego celem jego przyjęcia i wpisania; że ta czynność nastąpiła d. 24 maja tegoż r. 1583. Gołębiowski kładzie datę śmierci Kurpskiego roku 1587, nie wiemy na jakiéj zasadzie i czyli ta data u niego jak się wydaje mylną nie jest.

6) Jakiekolwiek w pasmie jego żywota były postępki, zachowanie i sprawy Kurpskiego, zaprzeczyć nie można, iż czytając jego testament nabywa się przeświadczenia, że umierał jako gorliwy chrześcianin, wdzięczny poddany królewski, mąż ku *miłéj* swéj żonie przywiązany i szacujący, ojciec czuły, o dobro dziatek wielce troskliwy, umiejący cenić przyjaźń, przychylności sług pamiętny, a po zgonie jeszcze zawdzięczyć ją pragnący.

Dwa wizerunki rodzinne królów polskich. Przed kilkoma miesiącami pojawiły się w Warszawie dwa wielce ciekawe obrazy, wizerunki rodzinne królów Sobieskiego i Leszczyńskiego przedstawiające. Z rozbitków tylu przeminionych wielkości dotrwałe, długo w zapomnieniu spoczywające, zasługują one z wszech względów, czy jako cenne pamiątki, czyli téż jako sztuki niepoślednie twory, ażeby nadal troskliwie przechowywane były, ażeby bliższa o nich wiadomość upowszechnioną została. Tą myślą a uczuciem powodowany, opowiem jak je uważam i co się o nich zbadać udało.

Znaną jest duża arkuszowa rycina Benedykta Fariat, przedstawiająca rodzinę króla Jana III: wpośrodku na podstawie wsparty jest obraz króla owalny, na saméj podstawie herb królewski, pod którym napis:

Joannes III Rex Poloniae invictissimus et C.

Poniżéj dwuwiersz:

Gloria par gestis compar Virtutibus Uxor
Aemula natorum fama, parentis erit.

Ten na podstawie stojący portret, otaczają dokoła dzieci królewskie z ich matką, w całych postaciach wyobrażone. U góry ryciny, po stronie prawéj, nazwiska artystów: St. Gascar pinx. Benedictus Fariat sculp.; zaś pod ryciną długie przypisanie w języku francuzkim kardynałowi de Forbin de Janson, podpisane Henri Gascar, a datowane Romae anno 1693. Otóż szczęśliwem zdarzeniem poznajemy dziś sam oryginalny obraz, z które-

go dopiéro co przywiedziona rycina wykonaną została. Obraz ten pierwotnie należący do rodziny Sobieskich, był na zamku w Żółkwi czyli też w Złoczowie. Po wygaśnieniu królewskiego rodu Sobieskich, w rozsypce ich dostatków, dostał się on w wieku zeszłym Wincentemu Potockiemu podkomorzemu W. Kor. Tu nie zawadzi dodać, że Potocki pan bardzo zamożny, posiadał niepospolite sztuk pięknych znawstwo i zamiłowanie; przez żonę Massalską synowicę biskupa wileńskiego, odziedziczył doborową galeryą, którą tenże w pałacu swym Werki pod Wilnem był zebrał. Te wszystkie obrazy i inne tego rodzaju nabytki, zgromadził Potocki w Kowalówce, w dobrach swoich Niemirowskich na Podolu. Atoli fatalnością do wszelkich tego rodzaju u nas zasobów przywiązaną, i ten kosztowny zbiór Potockiego pójść miał w rozproszenie: po jego śmierci była w Kowalówce wyprzedaż publiczna, a na niéj obraz Sobieskich nabyty został przez obecnego jego posiadacza marszałka Wincentego Korwin Sarneckiego. Zacny sztuk i pamiątek podobnych lubownik, przywiózł obraz do Warszawy, i zajął się troskliwie umiejętném jego odnowieniem. Takiemi kolejami znajduje się dziś ten obraz w Warszawie. Gdym go oglądał przed odnowieniem, był on spłowiały, podniszczony i miejscami nawet przedarty. Na obrazie samym nie było żadnego podpisu, czy artysty znaku, ani też daty; lecz po stronie odwrotnéj znalazły się napisy ręką ówczesną skreślone:

Joannes tertius Rex Poloniae.
Maria Casimira Regina.
Jacobus Princeps major natus.
Alexander Princeps minor natus.
Constantinus Princeps minimus.
Maria Teresia Cunegunda filia Regis.

Poniżéj: H. Gascar pinxit Vandio. Ao. 1691.

Tak więc obraz rzeczony jest pierwotworem, przez francuzkiego malarza Henryka Gascar r. 1691 malowanym, z którego w dwa lata późniéj dał sam wykonać sztych w Rzymie Benedyktowi Fariat.

H. Gascar odznaczony malarz portretowy, urodził się w Paryżu r. 1635. Gdy sława jego zdolności ustaliła się we Francyi, powołany został do Anglii, gdzie wiele znalazł zajęcia. Ostatek życia strawił w Rzymie i tamże umarł r. 1701. Malował on

w smaku zepsutéj szkoły francuzkiéj, która za Ludwika XIV tyle była upodobaną. Wytworne jego postacie mają w sobie coś teatralnego, w bogate draperye przybrane. Że sam w Polsce nigdy nie był, wnosić wypada, iż na obstalunek królowéj malował obraz przerzeczony z portretów na ten koniec mu nadesłanych. Obraz ten ma odbitnie wszystkie pędzla artysty zalety i wady. Na piérwsze zaraz wejrzenie uderza w nim jakaś teatralność sceny, którą przedstawia. Na posągowéj podstawie widzimy oparty owalny portret królewski; a kiedy wieńczą laury skronie króla bohatera, okala go najdroższy mu wieniec żywy, z dzieci i żony złożony. Jakoż dochowuje się podanie, że razu pewnego wpośród wspaniałego festynu, gdy w wieczór przechadzał się król po ogrodach tysiącami świateł błyszczących, czekała go niespodzianka przez żonę przygotowana: ujrzał żywy obraz złożony z dzieci swych i żony, portret jego z uwielbieniem otaczających. Scena ta rozczuliła rzewnie serce tak kochanego męża i ojca, uradował się nią nieskończenie; ztąd téż królowa chcąc mu przedłużyć pamiątkę zdarzenia, postanowiła przenieść je na płótno i utrwalić w obrazie. Mogła to była łatwo uczynić w miejscu, polecić dzieło artyście swojskiemu, na których podtenczas niezbywało w Polsce. Lecz Francuzka, wolała szukać artystę swego rodaka: ztąd więc choć daleko od osób, poleciła wykonanie obrazu malarzowi Francuzowi. Wizerunek królewski jest tu, jak się rzekło, portretem w obrazie; odznacza się on wielkiém podobieństwem, a ma tę w portretach jego rzadkość, że w nim król ma włosy i wąsy siwe. Zwraca téż tu uwagę wielkie podobieństwo córki i dwóch starszych synów do matki. Ale sama królowa nie jest tu tyle piękną, jak o tém głoszą dzieje, a jaką ile wiadomo w oczach męża była. Popiera téż to nasz wniosek, że Gascar nie z żywéj osoby, lecz raczéj z nadesłanego portretu malował, w przesadném zaś może podobieństwie dzieci pragnął podnieść ogólne podobieństwo dzieła. Na podpisie artysty czytaliśmy miejsce gdzie obraz malował, wyrażone *Vandio*: atoli wyznaję, iż téj miejscowości wytłumaczyć nie umiem. Obecnie ku pocieszeniu znawców i miłośników, obraz Gascara wyrestaurowany jest wybornie przez znanego portrecistę prof. Xawerego Kaniewskiego.

Dla łatwiejszego rozeznania wieku osób tu portretowanych przytoczymy główniejsze życia ich daty: król Sobieski urodzony d. 2 czerwca r. 1629 w Olesku z ojca Jakóba kaszt. kra-

kowskiego i Teofili Daniłowiczówny; ożeniony z Maryą Kazimirą de la Grange d'Arquien, wdową po Janie Zamojskim wojew. sandomierskim, d. 5 lipca 1665 r. Dzieci ich: Jakób Ludwik ur. 1667 † d. 19 grudnia 1737 w Żółkwi; Teressa Kunegunda ur. 1676, wydana za Maxymiliana Emmanuela księcia elektora bawarskiego r. 1695, zmarła w Wenecyi d. 10 marca 1730 r.; Alexander ur. 1677 w Gdańsku, † w Rzymie d. 19 listopada 1714 r.; Konstanty ur. 1680, † w Żółkwi d. 22 lipca 1726 r.

Drugi obraz o którym mówić zamierzyliśmy, jest rzecby można sceną rodzinną koronacyjną innego Piasta, króla Leszczyńskiego. Wpośród okazałéj królewskiéj komnaty, widzimy siedzącą królowę, tuż przy niéj stoi sam król o krzesło żony oparty, oboje w koronacyjnych strojach, jakby dopiéro co z uroczystego obrzędu wrócili. Po stronie królowéj siedzi młoda takoż bardzo strojna pani, trzymając na kolanach maleńką dziecinę, dwu-letnią Maryą, co następnie królową francuzką została; po stronie ojca jest druga córeczka starsza, Anna lat wieku 6 podtenczas mająca. W głębi sali na ścianie zawieszone są dwa wizerunki: jeden Rafała Leszczyńskiego, który Stanisławowi dał życie, drugi króla szwedzkiego Karola XII, któremu znowuż tamten zawdzięczał koronę; wtóry zaś ów portret jakby z umysłu, zawieszony jest znacznie wyżéj. Jest więc widocznie ten obraz pamiątką chwili, kiedy poraz piérwszy w majestacie ujrzeli się Leszczyńscy u siebie.

Przypomnieć tu sobie wypada główne daty z życia téj rodziny. Stanisław Leszczyński przyszedł na świat we Lwowie d. 20 października 1677 r., z Rafała wojew. poznańskiego, podskarbiego w. kor. i Anny Jabłonowskiéj hetmanówny kor.; ożeniony r. 1698 z Katarzyną Opalińską kasztelanką poznańską, urodzoną r. 1680, † w Lunewilu d. 19 marca 1747; koronowany wraz z żoną w Warszawie d. 4 października 1705 r. Dzieci ich: Anna ur. d. 25 maja 1699, † w Dwóch-Mostach d. 20 maja 1717. Marya ur. d. 23 czerwca 1703, zaślubiona Ludwikowi XV królowi francuzkiemu d. 5 września 1725, † d. 24 czerwca 1768 r.

Do uzupełnienia w rzeczonym obrazie grona rodzinnego, należy bezwątpienia młoda pani obok królowy siedząca. Jestto zapewne siostra cioteczna króla, Katarzyna Jabłonowska, córka Jana wojew. ruskiego i Joanny de Béthume siostrzenicy królowéj Maryi Kazimiéry Sobieskiéj. Wniosek ten nasz popiera,

że król Stanisław, jako też i jego żona, nie mieli siostr rodzonych, a ta jego siostra cioteczna przywiązaną była stale do swych krewnych Leszczyńskich, i z nimi potém wyjechała do Francyi, gdzie wyszła za mąż za księcia Talmond.

Uważany pod względem sztuki obrazek nasz, gdyż wcale małego jest rozmiaru, objawia pędzel wprawny, doświadczeniem effektów uposażony; całość ułożona zgrabnie, mile się też oku przedstawia, a choć jest tu wielkie bogactwo strojów i szczegółów, nie rażą one przecież natłokiem. W postaci jednak króla samego dopatruje się nieco przesady i wymuszenia. Obraz ten malowany był niewątpliwie ku końcowi r. 1705 w Warszawie, a dochowuje cyfrę malarza, głoskę W. na stronie prawéj ku dołowi widzialną. Któryby był ten zdolny artysta, powiedzieć wcale nie mogę. Domysł że to był Willmana Michała, nie zdaje mi się wszakże zasadny; zapewne ten znakomity malarz posiadał wszelką sposobność do wykonania podobnego tworu, a nadto wiadomém jest, że zdawna osiadły na Szlązku, przyjeżdżał ztamtąd do Polski i w niéj pracował. Jednak w r. 1705 był on już podeszłym starcem, 75 rok życia liczącym, który w roku następnym umarł; wątpić więc wypada, żeby podtenczas odbywał jeszcze podróże i drobne obrazy tak pracowicie malował.

Dodamy, że przerzeczony obraz nasz przeszedłszy niewiadome losy, pomyślnym trafem dostał się w końcu do zbiorku mojego. Musiał on być zawsze w pewném poszanowaniu, bo poszkodowanym wcale nie był. Jest dziś odświeżony sumiennie przez zdolnego warszawskiego malarza p. Bonawenturę Dąbrowskiego.

Ed. Rastawiecki.

KRONIKA LITERACKA.

Garbaty. Powieść J. Korzeniowskiego. *Diabeł. Powieść z czasów panowania Stanisława Augusta przez* J. I. Kraszewskiego, *ogłoszone w Gazecie Warszawskiéj z* 1853 *roku i osobno w* 1854 *r.*

I.

Dwoiste jest nasze ziemskie życie: jestto życie łez i wesela, wiary i zwątpienia, namiętności i wzniosłego podniesienia ducha. Układ fizyczny przedstawia to piękne i ujmujące, to szpetne i poziome postaci i kształty. Budowa społeczeństwa sprowadza różnice bogatszych i uboższych jednostek, wyższych i niższych stanów. W życiu zaś prywatném sam charakter narodowy, acz na jedném wielkiém tle, barwi się w różne odcienia: to cichéj i skromnéj cnoty, to bujnéj swawoli, to zupełnego wylania się dla ogółu, to zbytecznego zamiłowania domu, nałogowego utrzymywania zastarzałych wyobrażeń i wad, to myśli rwącéj się do doskonalszych acz zawsze swojskich kształtów.

Wyrobienie się w kraju jak nasz partyi magnackiéj, szukającéj dla siebie podstawy w cudzych krajach, w obcych zwyczajach; wpływ żon królewskich z obcych narodów pochodzących, duch innowacyi podniecony siłą religijnéj reformy ogarniającéj rychło i sferą obyczajową, a nakoniec zobojętnienie na wszystko co swojskie, wprowadziły do nas obce zwyczaje, wyobrażenia i mody. Odtąd nastąpiło rozdwojenie w życiu naszém prywatném i społeczném. Za rozróżnieniem w życiu, wyobrażeniach i zwyczajach poszła wzajemna pogarda, nieufność, chętne wynoszenie się, pochopnie chwytające się tego pretextu. A że wszystko co pożyczone nie stanowi bogactwa i nie ma wewnętrznéj samorodnéj wartości: ztąd przy rodzinnych zwyczajach świeci zawsze prostota, cnota, prawość i wiara; przy obcych fałsz, obłuda, występki tolerowane przez pożyczoną cywilizacyą i ro-

zum świecący ułudnym blaskiem. Sam więc stan społeczeństwa naszego nastręcza dla powieści rozdwojenie, będące żywiołem gry i życia.

Garbaty p. Korzeniowskiego stawi nas także na polu téj dwoistości, tego rozróżnienia wyższego i uboższego, niższego i bogatszego stanu, postaci pięknéj i szpetnéj, obyczajów rodzinnych i zacnych, obcych i fałszywych, dążeń cnotliwych i występnych, życia nieświadomego swojego celu i myśli światłéj ożywionéj uczuciem wyższéj godności człowieka artysty, pojęciem sztuki. Utwór ten piękny, poczęty we wnętrznościach myśli rozbierającéj i snującéj z własnych pierwiastków zasady i przekonania. Jestto dzieło wiedzy, wstępującéj w świat moralny, zapełniającéj jego treść, skréślającéj jego prawa. Tu widzimy ogólną sytuacyą naszego społecznego bytu, odtrąconą od spraw życia publicznego, zamkniętą w ciszy pojedynczego zadomowego zakresu; sytuacyą wyradzającą nieme bole, niewinne cierpienia, poniewolne winy, te owoce ducha starganego boleścią, serca zniedołężnionego zużyciem.

Nad brzegami Bugu, powyżéj Nura w pięknéj włości, Rutką Mazowiecką zwanéj, mieszkał p. Janusz Cieszewski stolnikowicz nurski, w domu, który ze wszystkiém tém co go otaczało, świadczył o dawném swém istnieniu. P. Janusz używszy nieco swéj osoby i mienia, za pruskich czasów w Warszawie wstąpił do wojska w 1809 r. ale ranny pod Sandomierzem powrócił do domu. Tu nadużycie młodości, odstręczenie sprawione wypadkami kraju, przywiodło go do zbytniego zamiłowania ciszy i osamotnienia. To jednak nie przeszkodziło mu do postrzeżenia wdzięków Maryanny, pięknéj córki klucznicy i uwiedzenia jéj. Jednak sumieniem poruszony pojął ją za żonę i stał się wkrótce ojcem pokręconego i garbatego syna; który przychodził na świat już siérotą, bez matki, a któremu na chrzcie świętym na pamiątkę téjże matki dano imię Maryan. Do lat dwóch czas i nudy zatarły boleść Janusza po stracie ukochanéj małżonki; udał się więc do Karlsbadu, dokąd przybyła z Hrubieszowskiego rodzina Lucyańskich. Poznawszy Janusza i dowiedziawszy się o jego gustach, zamiłowaniu ciszy i cichego stąpania, starała się we wszystkiém do tego zastosować; nakoniec to wmówieniem, to rozpowszechnieniem stanowczéj wieści o żenieniu się Janusza z p. Teofilą Lucyańską, to zręcznie użytą groźbą przywiodła go do ofiarowania swojéj ręki pannie Teofili. Po odbytém weselu w kraju przywiózł do swojego domu drugą żonę, która zacząwszy od skromnéj i poddającéj się we wszystkiém postawy, wkrótce wszystko zagarnęła pod swoję absolutną władzę: garbuska z jego babką Szypułkowską przeniosła do oficyny, sprowadziła od Lucyańskich muzykę, bębny i kotły, a gdy się temu opierać chciał p. Janusz, wpadała w spa-

zmy, dostawała bolu serca, zalewała się łzami, rozkazała pakować się, zatoczyć powozy i już miała wyjechać do domu ojca. Stawały w myśli biédnemu Januszowi wszystkie takiego kroku następstwa, mogące zakończyć się pojedynkiem z jéj bratem: ustąpił i poddał się.

Równie nieograniczenie kierowała p. Cieszewska wychowaniem dzieci swoich Kaspra i Klotyldy, oddając piérwszego przewodnictwu p. Lambineau, drugą panny Zoë Carel. Cała ta edukacya zależała na miłém i łatwém szczebiotaniu po francuzku, na konwersacyi, na próżnowaniu i czytaniu dzieł treści niezalecającéj się moralnością; zkąd Kasper wkrótce zaczął bąki strzelać, robić różne wycieczki konno, z kobietami wolnego życia poufałe wieść szepty, rodzicom nie okazywać należnego uszanowania, a p. Klotylda przybierała się w melancholiczne loki, zamyślała się, w kwestyach serca stanowcze dawała zdania. Widział to p. Janusz, ale kiedy się ze swém zdaniem odezwał, p. Cieszewska stawała murem za p. Lambineau, syn wychodził zatrzasnąwszy drzwiami, a Klotylda nieukontentowana siadała przy fortepianie i tak silnie huczała basem, tak piszczała wiolinem, że p. Janusz uciekał, zamykał się u siebie i rozmyślając o przymiotach swojego garbuska, oddawał temu, któremu natura wszystko odmówiła, serce odepchnięte przez tych, którym ona wszystko dała.

Maryan, którego bawienie w domu i zabawy z rodzeństwem nakierowane zawsze przez p. Cieszewską do poróżnienia i kłótni z Kasprem, dawały jéj powód do wymagania od męża rozporządzenia oddzielającego go w majątku od jéj dzieci; dla uniknienia tego rodzaju attaków p. Cieszewskiéj odwieziony został przez ojca do szkół do Łukowa. W Łukowie pod przewodnictwem Anzelma Łęczycka szczególniéj przykładał się Maryan do rysunków, dosięgnąwszy w nich wkrótce niepospolitego stopnia biegłości. Po skończeniu szkół, przywieziony napowrot do domu, usiłował nieraz nawet skutecznie obstać za ojcem, utrzymać jego powagę, a skarcić i wydrwić tych, którzy z niego samego żartować chcieli. Ale wkrótce wybuchnęła między braćmi burza, która stanowczy wpływ na los Maryana wywarła.

Zarządem dóbr p. Janusza trudnił się dawny jego przyjaciel i sługa Narbutt, którego sumiennéj pracy i rzadkiéj gorliwości winien był kwitnący stan swojéj fortuny. Obdarzony dożywociem na folwarku Dymowszczyzną zwanym, urządził go wzorowie i utrzymywał dworek i ogródek z jego starą i piękną lipą w tym stanie, co to świadczy o prostém i mierném życiu, ale i o rzetelném szczęściu. Przy nim bawiła wnuczka jego Urszula, śliczne i hoże dziéwczę, ujmujące wdzięcznemi darami natury i sercem ożywioném wyższemi i szlachetnemi popędami. Odwiedzając Narbutta poznał ją Maryan, i acz postrzegł nieco wstręt-

ne wrażenie sprawione na niéj jego szpetnością, nie mógł wszakże przezwyciężyć uczucia jakie się w nim obudziło, pragnąc choć bez nadziei poić się jéj widokiem, oddychać rozkoszą jéj wdzięcznéj mowy.

Nie mogąc zająć Urszuli powierzchownością i uczuciem, starał się zainteresować ją swoim umysłem i talentem. Szczęściem Urszula wysokie ku temu posiadała usposobienia. Lubiła z nim pracować, rozmawiać o rysunku i malarstwie, oświecać się w teoryi sztuki. Otrzymawszy od niego portret ślicznego młodzieńca, lubiła przerysowywać go, z rozkoszą wpatrywała się w rysy które wyrywszy się w jéj wyobraźni, stały się dla niéj niejako ideałem. Jakże daleko od tego ideału był Maryan; cóż więcéj nad przyjaźń i wdzięczność Urszula w swojém sercu dla niego znaleźć mogła! Jaka boleść dla Maryana poczuwającego swoję fizyczną ułomność, to zródło swojego nieszczęścia. Co za fatalna nieostrożność w udzieleniu owego wizerunku pięknego młodzieńca. Przypominał on jego kolegę dzieciństwa, który wraz z nim uczył się i pracował w Łukowie, a którego serce dotąd wyłącznie do niego należało; ale ileż odcieni w uczuciach! Ich wyłączność nie jestże marzeniem?

W miłosnych wycieczkach swoich z wujem Xawerym, postrzegł Kasper Urszulę i często podjeżdżał konno na łowy do niéj. Lecz raz Maryan odpoczywając po przechadzce blizko drogi, podsłuchał ich rozmowy i dowiedziawszy się z niéj o projektach brata, uwiadomił o tém Narbutta, który nikomu ani słowa nie mówiąc wywiózł natychmiast Urszulę. Maryan zaś zgromił Kaspra za jego zamiary co do Urszuli, oświadczając, iż mu się już nie udadzą, gdyż uwiadamiając o nich Narbutta, sprawił to, iż ją wywiózł z Dymowszczyzny. Wściekły Kasper poskarzył się matce i wielką wywołał burzę, skutkiem któréj p. Janusz zmuszony był zaopatrzywszy we wszystko Maryana, wyprawić go do Warszawy dla dalszego ćwiczenia się w sztuce.

Wkrótce przybyła do Warszawy p. Cieszewska z synem i córką, dla dokończenia ich edukacyi. Urszula z babką swoją p. Bolkowską, do któréj przez Narbutta pazywiezioną była, po spaleniu się domu przez nią posiadanego na prowincyi, przybyła z nią do Warszawy. Jednego razu zachorowała p. Bolkowska, Urszula pobiegła nocą po doktora; gdy wtém kilku z młodzieży zaczyna ją ścigać, ona umyka do sąsiedniego domu i wpada na schody, na górne piętro do drzwi, na jakie w strachu swoim napotkać mogła, i niespodziewanie znajduje się w pomieszkaniu Maryana, dokąd wlatuje za nią i Kasper, którego znowu zgromił i zawstydził Maryan. Maryan dowiedziawszy się teraz o pomieszkaniu p. Bolkowskiej i Urszuli, nawiedzał ich często, stał się opiekunem, a gdy zostawał u siebie, ciągle pracował, malował, wyobrażając swoję Urszulę w postaci Madonny, zwiedzał zbiory

i galerye obrazów, i coraz więcéj wykształcał swój gust, podnosił talent, wzbogacał umysł. Nieodstępnym towarzyszem jego prac i czuwań był Ignaś, kolega szkolny i przyjaciel artysta, który wraz z ojcem swoim Anzelmem Łęczycka przybył do Warszawy.

Wyjeżdżając do ojca, zostawił Maryan Urszulę i jéj babkę pod opieką Ignasia, którego Urszula za pośrednictwem jego poznała. Rysy tego młodzieńca przypomniały jéj ideał wyryty w jéj wyobraźni obrazem przez nią kopijowanym. Piękne rysy, umysł ukształcony i słodycz charakteru Ignasia ujęły jéj serce, w którém stanęło porównanie szpetnego garbusia i pięknego młodziana. Cóż więc dziwnego, że serce dziewczyny uległo pociągowi wdzięków i miłych oku form. Wszakże rozum, ceniący wyższość umysłową Maryana, dusza wdzięcznością dla niego przejęta za tyle dla niéj uczuć, usług i poświęceń, przemawiały za nim. I biédne dziéwczę uległo walce różnych pociągów. Listy jéj do Maryana w czasie pobytu jego w Rutce z początku zimniejsze, późniéj rzadsze, w każdym wyrazie zdawały się objawiać zakochanemu garbusiowi, iż kto inny nie on panuje jéj sercu. Bolesne przeczucia i srogie domysły miotają jego duszą, spieszy z powrotem; u klamki podsłuchuje rozmowy Ignasia i Urszuli. Niepewność i zwątpienie coraz go więcéj ogarniają; postanawia więc skrócić te męczarnie, posyłając Narbuttowi i ojcu swemu oświadczenie zamiarów swoich względem Urszuli. Narbutt odsyła swojéj wnuczce listy Maryana i jego ojca; Urszula czyta z nich głęboką miłość Maryana, przejmuje się dla niego wdzięcznością za ten los, który jéj otwiera, ale serce, serce mówi za Ignasiem: ona kocha Ignasia. Dziękuje Maryanowi za jego uczucia dla niéj, ale prosi o rok namysłu.

Czyż jest czas, któregoby Maryan nie poświęcił dla jednéj chwili posiadania swojego anioła. Wszakże wysyła on swoim kosztem za granicę, do Drezna, Ignasia z Anzelmem, dla doskonalenia się w malarstwie. Było to i wolą Urszuli i nadzieją Maryana, iż nie widząc Ignasia zapomni o nim! Lecz czas i przestrzeń, co wszystko niszczą, ślady uczuć żywych i głębokich zacierają tam tylko, zkąd i czas i przestrzeń ustępują.

W tymże czasie Kasper na wsi padł nieżywy z konia, gnany i chłostany przez mszczącego się męża, za przeniewierzenie mu się żony z Kasprem. Klotylda, która przeciwko woli matki i wykradziona wyszła za mąż, w ciężkiém opuszczeniu umiéra. Pan Janusz także życie kończy, a Maryan staje się dziedzicem obszernych włości i sprowadza do Rutki Urszulę przygotowującą się do wesela. Ale jednego poranku przechadzając się w ogrodzie zbliżył się do okna Urszuli i ujrzał ją wpatrującą się w portret Ignasia i ze łzą i rozkoszą przyciskającą go do piersi, a nakoniec z rozpaczą rzucającą go w ogień. Kazał natychmiast

wszystko do wyjazdu przygotować; straszna, długo przeczuwana tajemnica odkryła się jego miłości: wyrok wydany jego sercu. Jedzie do Warszawy, obstalowuje ślubną suknię i podarki dla Urszuli, wzywa Ignasia na swój ślub, kupuje dla siebie piękne dobra Jaworów, gdzie opowiedziane przez margrabiego dzieje dawnego garbatego dziedzica Jaworowa, którego zazdrość wpędziła do grobu prześliczną jego żonę, dokonały jego postanowienia. Przyjeżdża do Rutki na dzień ślubu naznaczony, darowuje Rutkę z przyległościami Urszuli i Ignasiowi, prowadzi ich do ślubu, i sam wraca do Jaworowa, boleści, samotności, pracy i sztuce poświęcony prowadzić żywot. Tu kończy się powieść p. Korzeniowskiego pod tytułem Garbaty.

Odczytawszy tę powieść, czytelnik doznaje uczucia, które jest nieomylném świadectwem znakomitéj wyższości utworu; uczuć zaspokojenia w duchu, harmonii, i zgody, wojujących w łonie człowieka żywiołów, nakoniec pewnego moralnego podniesienia. Czytelnik pod wpływem takiego jak Garbaty dzieła staje się jakoś wyższym, lepszym, zdolniejszym do czynów godnych jego powołania. Wszakże jeżeli tak wielkim jest wpływ wywarty przez autora na czytelniku; równie godne myśli i celu jego muszą być i sprężyny takiego działania. Czerpiąc z natury i doświadczenia do swojego obrazu tło postaci, nieraz same wypadki życia, ulega autor w wyborze myśli zasadniczéj nadającéj cechę i charakter pewny głównym jego utworu osobom, pewnéj potrzebie, pewnéj dążności swojego czasu, które wszakże o tyle godne są być osnową dzieła sztuki, o ile przenika je i ożywia promień ideału, zstępujący z głębi myśli bożéj na wyżyny zdobyte wyobraźnią i myślą autora.

Idealną jest postać moralna garbatego, piękném jego przywiązanie do rodzica, tkliwą przyjaźń dla Ignasia, szczytnem zamiłowanie sztuki. Ile głęboką jest miłość jego dla Urszuli, tyle interesującém i obudzającém współczucie jest sprzeczność tak silnie władnącego uczucia i téj szpetnéj postaci, oraz téj wysokiéj myśli, która pomimo walk toczonych w sercu, nie zstępuje ze swych wyżyn dla pojednania wojujących w przeświadczeniu sprzeczności. Maryan waha się wśród uznania tych sprzeczności, które żywią walkę w jego łonie. Ta walka toczona w jego łonie nie jest obrazem widomym naszego czasu, w którym myśl, uczucie, popędy ciała i jego prawa w ciągłym zostają rozbracie. Tak zwane: traf, wypadek, rządzą wszystkiém. Tak i w łonie Garbatego dopóty trwa walka, zwątpienie, rozpacz, dopóki opowiedziana przez margrabiego w Jaworowie, przy oglądanych portretach, historya zazdrosnego garbatego, małżonka pięknéj kasztelanowéj, nie upostaciowały żywo w oczach Maryana jego i Urszuli losu, gdyby się ślubem połączyli; dopiéro spełniło się postanowienie Garbusa, czyniąc go już niejako idealną postacią.

Wszakże w tém, jako najdzielniejszym zapaśnikiem z jego sercem był rozum, rzucając w serce obawę, zwątpienie, naprowadzając na przekonanie; tak też on za pomocą przekonania tryumf odzyskał.

Garbaty, ułomny fizycznie, ale obdarzony wzniosłym i ukształconym umysłem, żywém pojęciem sztuki, znakomitym talentem, niepospolitém sercem, stanowi może anomalią, wyjątek z prawa, podług którego piękność fizyczna jest odblaskiem wdzięków ducha, a grzech i szpetność moralna w brzydocie twarzy objawiać się zwykły. Ale w czasie rozpuszczenia się w pierwiastku swobody praw rządzących objawami estetycznemi, jest anomaliją piękność fizyczna, osłaniająca zwodniczo występek, samolubstwo i nikczemność. Dlaczegóżby i owa pojęta w blasku ideału anomalia, nie miała się stać godną rzeczywistości. Dlaczegóżby Garbaty nie mógł się stać nietylko artystą, idealną postacią, ale nawet bohaterem powieści? Przebija się tu owa ujemna względem społeczeństwa swojego dążność autora, wywyższająca wyjątki, rozświetlająca cienie, oblewająca urokiem nieprawość pochodzenia jak w Tadeuszu; wszakże ułomny, szpetny powierzchownie, ale zacny, gienialny i szlachetny chociaż garbaty Maryan, stanowi przykład i wymówkę jak dla swojego rodzinnego koła, tak i dla tych, którzy obdarzeni wdziękami urody i natury, dźwigają swe grzechy duchowe jakby garb jaki zaiste cięższy i szpetniejszy nad wszelkie inne. To podniesienie się na wysokość teoryi sztuki w wykonaniu dzieł piękna, oczyszczoném życiem artysty, twórczością wyobraźni, wyzuwa go z brzydoty, emancypuje z warunków form ciała, czyni istotą wyższą. Odrodzony sercem w czułym uroku sztuki, myślą w żywém pojęciu ideału, wyobraźnią we wcieleniu idei piękna i dobra w kształty i życie, otrząsa się z ciążącego wielu nieułomnym garbu egoizmu, pychy i zawiści. Jakąż laską czarodziejską dokonywa w nim autor te cuda? Oto dążeniem do ideału za pomocą urzeczywistnienia dzieł piękna, przez rozum zwalczając popędy serca, przez wiedzę z doświadczenia czerpaną, sięgnieniem nakoniec myśli w zawiły stosunek i naturę wzajemnych pociągów w tajniki serc ludzkich. Po wyżynach więc wiedzy i myśli wchodzi Maryan do przybytku, gdzie króluje duch poświęcenia i ofiary. Taka jednak cecha wyższéj organizacyi istot, iż wszystkie władze acz w głębokiéj z sobą zostają jedności, do najwyższéj wszakże odnoszą się potęgi. Tak i w poświęceniu Maryana, w pobudkach podnoszących go do tego wielkiego czynu, nie wiemy czy miłość dla Urszuli, czy przyjaźń dla Ignasia wyżéj cenić i stawić mamy.

Urszula to wdzięczne i naiwne dziéwczę, nie jestże także pomimowolnym organem idei autora? Powołana żyć sercem, pała wyobraźnią dla sztuki, dla idei i piękna. Nie zraża się szpe-

tną postacią Maryana, by w skarbnicy jego artystycznéj myśli i wiedzy czerpać i dla swojego umysłu pokarm i siły. Kochając całą duszą Ignasia, pociągając się całą istotą za tą piekną postacią, nie odrzuca wszakże ręki Maryana. W jéj duszy bowiem ozwał się głos brzmiący czcią i wdzięcznością, oraz głos rozumu, tego praktycznego doradzcy życia. Ona walczy ze swojém sercem, i w ostatnich wysileniach zwycięztwa jeszcze upada. Dlaczegóż nie pozwala sercu swojemu stanowczo przemówić? W charakterze tego dziewczęcia objawia się przewaga zastanowienia i rozumu nad sercem, zamiłowania wiedzy i sztuki, nad samém tkliwém brzmieniem uczucia. Przenikając się myślą, przekonaniem, rozumem wyzwala się ona z więzów uczucia, pociągów ciała, staje się myślą samą, wolą. Zaiste zanadto siły na niewieścią organizacyą. Cud ten potęgi rozumu nad sercem; nie ma wprawdzie zasługi ofiary jak u Maryana; stawi wszakże żywy obraz moralnéj organizacyi niewiast naszego czasu.

Jakażto szanowna, rzeczywista i piękna postać Narbutta, z tą silną i niewypowiedzianą wolą, z tém utajoném, a głębokiém uczuciem, z tą hardą a niewzruszoną cnotą. Wieje do nas z téj postaci inny miniony już świat, przechadzający się szanownym cieniem wśród moralnego pobojowiska naszego. Tu błądzą zniedołężnione obyczajami wieku—dobra postać Janusza, zaprawiona w przebiegłości fałszem naszéj cywilizacyi rodzina Lucyańskich, gnijąca od toczącego ją jadu zepsucia postać Kaspra i Klotylda bez życia—jako zwiędła roślina z własnego gruntu wyrwana a do innego niewszczepiona. Malowniczym jest obraz Bonusia, tego typu starego i dawnego sługi, który walcząc z czasem, tym starym brodaczem, nie daje mu niszczyć powierzonego sobie dobra; za toż on mu powyrywał włosy, a resztę szronem przyprószył.

II.

Jeżeli autor powieści pod tytułem Garbaty rozwija ją na estetyczném polu myśli podniesionéj do urzeczywistnienia idei piękna, do wcielenia ducha ofiary i poświęcenia, za przewodnictwem przeświadczenia, rozumu i wiedzy; pan Kraszewski w Diable prowadzi nas do pierwiastków moralnego jestestwa człowieka, do źródeł z których płyną nurty jego duchowego życia, śledzi ich biegu i kierunku na gruncie bezpośrednich uczuć, zmysłowych popędów i zewnętrznych wpływów. Roztaczając zwoje obrazu pełnego gry, walki i znaczenia, budzi nieustannie czytelnika do zapytywania swojego przeświadczenia, uczucia i wiedzy o tém: gdzie się gnieżdżą źródła dobrego i złego, na czém byt tych pierwiastków istotnie polega, i jaką drogą wkraczają w świat ducha i w rozległe sfery życia. Dobre i złe,

gdzież jest istotny początek ich bytu? Trudne zaiste pytanie; pytanie, którego dotknięcie a nawet i rozwiązywanie w niewłaściwy sposób już czyni zaszczyt myśli przedzierającéj się do niedocieczonych głębi niewidomego świata. Czy zawierają się te pojęcia w idei tylko myśliciela, czy są rzeczywistością; czy płyną z niektórych zdrojów Przedwiecznego słowa, czy są wyrobem doświadczenia wieków? Czy złe objawiać się ma w popędach zmysłowości, a dobre w podniesieniu ducha na wysokość poświęcenia i ofiary? Czy działanie tych pierwiastków odbywa się bezpośrednio płynąc z własnego łona człowieka, czy za pośrednictwem złego lub dobrego ducha, za wpływem anioła, czy szatana?

Pismo święte nie zaprzecza bytu złych duchów, tradycye i legendy przechowują wiarę w ich działanie i wpływy, kościół święty podaje środki uwolnienia się od nich. To jednak ujemne poświadczenie o duchu złości, czyż ma go czynić bytem rzeczywistym? Nie wypływaż on z téj dwoistości, na którą rozstępuje się wszelki byt na téj ziemi. Wprawdzie świat starożytny oparty był na dwoistości żywiołów społecznych i politycznych jak w Rzymie, to na walce pierwiastku dobrego i złego jak w religii Zoroastra; ale religia chrześciańska godzi te rozdwojenia, jednoczy Boga i człowieka, niebu piekło poddaje. Wdziera się duch złego, duch upadłych aniołów do spraw świata, w głąb myśli i wiedzy, ale próżne jego zabiegi. Będąc samém tylko przeczeniem, płomieniem niweczącym, grzebie pokolenie za pokoleniem, a ciągle życie świeże nową tętni krwią. Ztąd żali się Mefistofel stawający na wezwanie Fausta, iż będąc duchem nieskończonego przeczenia jest tą potęgą co wiecznie pragnąc złego, wiecznie dobro stwarza. Jakkolwiek to użalające się wyznanie szatana za subtelne może być przyjęte, raczéj je przechwałką poczytać należy lub wyrazem kierunku tego autora, co tę myśl wypowiedział, a gieniuszem swym niebo i piekło obejmował.

Zwracając rozum do materyalnéj strony, uderzając pokusami swojemi zmysłowe popędy człowieka, rozpuszczając ducha w rozkoszy rozwiązującéj byt materyalny i ciało; duch złego wyosobia organa i władze człowieka, rozrywa ich związek, niszczy harmonią, przeczy byt, śmierć moralną sprowadza. Wprawdzie duch pogrążony dotąd w materyi i myśl dotknięta dotychczas zwątpieniem, obchodzą wówczas swoje zmartwychwstanie i stając się samodzielnemi, nowe rozpoczynają życie. Ale nie jestto już dawne życie; to co było, przeszło, umarło. Nieodgadnione są cele, niezgłębiona potęga Opatrzności, posługującéj się może dla urzeczywistnienia Przedwiecznéj myśli w czasie, duchem złego. Wszakże dotknięci ograniczonością myśli i wiedzy, skończonością bytu, nie możemy sięgać w te przepaściste głębie, nie możemy dawać sądu o tém, co przekracza granice bezpośredniéj lub objawionéj wiedzy. Co więc w brzmieniu téj

naszéj wiedzy, tego uczucia, objawem ducha złego być się wydaje, okryć się potępieniem winno. Prace ducha ciemności obejmują całe narody i jednostki, skrzywiając wiedzę, ociężając ducha w materyi, kusząc ciało, podkopując niewidomie ich byt materyalny.

Równie w życiu jednostek duch złego budząc nieskończone pragnienie wiedzy, posiadania dóbr i uciech tego świata, wyrywa ducha z gruntu organicznego związku, z fizycznemi jego zdolnościami i siłami; z więzów ograniczoności i niemocy porywa na bezbrzeżne pustynie żądzy, a zerwawszy czarowną harmonią wewnętrznéj jedności, zapełnia umysł zwątpieniem, oziębia serce, niszczy siły fizyczne i śmiercią jednostki kończy swe dzieło. Takie przdsięganie poza granice skończoności sił, i ograniczoności wiedzy, nie jest szatańskiém wyzywaniem ducha nieskończonego; z którym walka o śmierć wszystko co warunkowe i ograniczone, przyprawić musi.

A że do porady i przewodniczenia potrzeba w życiu praktyczném ujednostkowienia tego ducha ciemności: więc go w postaci widoméj, osobistéj, poezya ludu przedstawiać zwykła.

Są takie epoki w dziejach, w których duch ciemności rzucając w serce całego społeczeństwa zwątpienie, lub niewiarę w rzeczach religii, obojętność i wzgardę dla ojczystych zwyczajów, obyczajów i mowy, pobudza do szalonéj karnawałowéj maskarady, do szatańskiego tańca w obcych strojach, z obcą mową, w szale orgii i rozpusty, wśród walących się ze wszech stron ruin!.... Taką epoką były czasy panowania Stanisława Augusta, i epokę tę wielkiém mianem diabeł, nacechowaćby można (1).

P. Kraszewski raczéj dla wpływu diabła na losy swojego bohatera, nazwał imieniem Diabeł swą powieść, za czasów panowania Stanisława Augusta.

Na Wołyniu, w Głuszy w pięknym pałacu ze wspaniałym frontem, świeżo przerobionym wedle planu Muliniego i Fontany, przedłużonym officynami z dwoma rzędami kolumn, z podwórcem kwadratowym z fontanną, zamkniętym żelaznemi sztachetami i bramą ustrojoną w trofea militarne, mieszkała podczaszyna Ordyńska z synem Michałem i babka jego. Wewnętrzne ume-

(1) Byłato epoka, w któréj, jak powiada p. Kraszewski, jak w owym Rzymie Cezarów co koniom oddawał cześć, a z kazirodztwa i nierządu szukał chluby po ulicach, szał rozpusty bezsilnéj, zepsucia grzecznego, szaleństwa na zimno pod pokrywką wykwintnego poloru, dochodził do najwyższego stopnia. Były tam umysły bogato obdarzone ludzi z dowcipem i nauką; ale całéj tej ciżbie brakło tego, co naukę i talent uzacnia: charakteru i powagi. Wszyscy tam cnotę, wiarę, obracać przywykli w żart nieustanny. Satyra, paszkwil, i epigrama były najenergiczniejszym wyrazem wieku. Rozwolnienie obyczajów, zupełna obojętność na wszelkie decorum, na obowiązki i cnoty, były powszechne; chluby z tego szukano. Byłto w moralnéj i umysłowéj sferze kierunek ujemny, przeczący, szatański.

blowanie pałacu, dawało domyślać się mieszkańców tęskniących pod chmurném niebem północy, za ukochaną a cieplejszą Italią, za gwarną Francyą, za wszystkiém co nie nasze. Sala szczególniéj główna wyglądała z draperyami, fotelami, statuami i wazami jakby w pace przewiezioną była z Paryża. Była to pora, w któréj król jechał do Kaniowa w towarzystwie biskupa Naruszewicza i gen. Komarzewskiego. Podczaszyna miała obietnicę królewską i słuszne prawo spodziewania się, że król nie ominie Głuszy, będącéj na jego drodze. Przed godziną naznaczoną na przybycie króla, pałac oblany był blaskami illuminacyi, jaśniejąc niezwyczajną okazałością. Podczaszyna po wydaniu spiesznych, krzyżujących się rozkazów, wyjechała z synem na spotkanie Najjaśniejszego Pana. Po długiém oczekiwaniu panów, szlachty, żydów i kobiét na silnym mrozie, przybył król z orszakiem i po przywitaniu stojącéj przy drodze podczaszynéj, udał się do pałacu. Przeprowadzony przez nią po wszystkich salonach, galeryach i zbiorach, obsypywał wszystko pochwałami i komplementami; nakoniec wykrzyknął w sposób charakteryzujący i siebie i czas jego: „Co najdziwniejsza, że ja tu najmniejszych śladów naszego barbarzyństwa, naszych obyczajów, przesądów i nałogów nie widzę; marzę że jestem wśród Francyi i Paryża.“ Nakoniec udał się król na spoczynek, a całe towarzystwo jeść, pić i bawić się zaczęło. Bawiono się do białego dnia.

Podczaszyna, niegdyś bohatérka Stanisława Augusta, przeniewierzona dla niego mężowi, który poślubił ją pomimo zaklęcia matki przewidującéj jego nieszczęścia; kochanka, która go całém sercem i głęboką miłością ukochała, wycofawszy się z wielkiego świata, osiadłszy na wsi, gdy postrzegła, że serce króla przelotnych miłostek potrzebujące do żadnego wielkiego uczucia niezdolne, głębokiemu usposobieniu jéj serca dla niego, odpowiedzieć w niczém nie mogło: nadedniem dopiéro zróciwszy z ramion zasłonę, w zmiętéj swéj w złote gwiazdki sukni padła na krzesło. Czoło jéj schyliło się na dłonie, łzy niewstrzymane padły na białe ręce. Wyrzucała sobie, iż na chwilę napróżno marzyła. Przeszłości powrócić nie można, ani zwiędłego serca króla odżywić. Za cóż serce jéj jeszcze cierpiało tak żywo, za cóż dziecinne igraszki za prawdę wzięła! Wówczas wszedł Michał jakby żywa wymówka; a matka udała, że łzy jéj są łzami radości, że jest znużoną. Michał pobiegł na górę do babki, gdzie wszystko zostawało jak za lepszych starych czasów, z zachowaniem w umeblowaniu i obyczajach, zasadach i życiu tradycye i wyobrażenie przodków. W przeciwieństwie z owym gwarnym, ruchomym i niestałym światem, co się tam na dole miotał; tu na górze panowała cisza, szczęście i spokój. Znajdował się u babki obraz wystawiający Archanioła Michała, wyrażający zwycięztwo dobrego ducha nad szatanem. Prześliczne, wyrazem potęgi anielskiéj i spokojem zwycięztwa było lice Michała arcywojownika, ale jeszcze traf-

niéj udało się malarzowi odwzorować ideał złego i szkarady, wyciskając na twarzy diabelskiéj wszelką złość, wezbranie bezsilnego gniewu, szyderstwo męczarni towarzyszące, zajadłość upadku i dumę niepokonaną. Ta czarna diabelska fizyognomia zwracała zanadto oczy patrzącego. Podczaszyc z dzieciństwa przywykły spoglądać na patrona swojego i babki, zawsze się przerażał tym okropnym diabłem, że po nocach zrywał się przelękły, jakby widzeniem szatana; wzrok diabelski gniewny, szyderski, zaiskrzony ścigał go wszędzie. W ciemnościach przywidywało mu się nieraz, że widzi Lucypera wychylającego się z głębiny czarnéj, i uśmiechającego się zdradliwie.

Zjawisko to w życiu Michała miało się urzeczywistnić nie już we śnie i w przywidzeniach, ale na jawie i stanowczy wpływ na losy jego wywrzéć. I w tym obrazie, jaki podczaszyc życiem swojém miał przedstawić już nie Archanioł gniótł szatana, ale szatan tryumfował nad Michałem. Przygotowało go do tego wychowanie dane mu przez matkę i zasady udzielone przez Labé Pouisot, zwolennika Woltera i encyklopedystów, którzy zaszczepili w nim niewiarę i przekonanie, iż cechą mądrości najwyższéj było nie wierzyć w to wszystko, co matematycznie dowiedzioném być nie mogło. Zatarły się piérwsze zasady wypielęgnowane w jego sercu przez świątobliwą babkę, która go wraz z Anusią wychowanicą swoją, a córką koniuszego Siemińskiego, do modlitwy i pacierza n kolan swoich zaprawiała. Próżne już teraz były napomnienia i przestrogi babki, aby o nich nie zapomniał. Michałowi marzyły się zabawy, dwór, Warszawa, którą małym Paryżem zwano. Życie jak wieniec z róż i lilij i wonnego kwiecia, wydawało mu się czarowną wiązanką; niecierpliwie ręce wyciągał ku niemu, rwał się zbliżyć i używać. Zmartwiona tém babka mówiła: „Świat i życie, moje serce, nie zabawka to wcale; to poważne, to święte dzieło, do którego ze skruchą w sercu przystępować potrzeba, jak do ołtarza ofiary: wszak i ono ofiarą być powinno.“

Dwa więc duchy opanowały umysł Michała: duch wiary głębokiéj, przywiązanie do form i praktyk, wpływ pobożnéj babki, i duch wieku burzliwy sceptycyzmu, zimnego rozbioru, wpływ nauczyciela. Dwa tak sprzeczne działania zachwiać musiały umysłem słabym i giętkim. Na dnie pozostał piérwszy odcisk młodości, ale powierzchownie zwyciężyło wrażenie ostatnie. Wszakże głos jakiś wewnętrzny odzywał się w nim wspomnieniem przeszłości.

Król obdarzywszy podczaszynę przepysznemi kolijami ze starożytnych kameów, a Michała orderem św. Stanisława, wyjechał nazajutrz. Po jego wyjeździe podczaszyna zawołała w duchu: co począć, czém próżnię serca zapełnić! Wtém drzwi się otworzyły, wszedł syn jako nowe rozwiązanie zadania. Mając

bowiem przyrzeczoną od króla protekcyą dla niego, zawieźć go do Warszawy potrzebowała. Po rzewném i tkliwém błogosławieństwie babki, po czułém pożegnaniu Anusi, która go na wyraźne jego żądanie pierścioneczkiem obdarzyła: wyjechał Michał z matką do stolicy.

Tu życie swoje rozpoczął od wieczora u podskarbiego, na który został zaprowadzony przez pijaną drużynę, która brnąc w błocie wyciągnęła go z karety. Na tym wieczorze ujrzał twarz diabła z obrazu św. Michała, ukazującą mu się w chwili, gdy zapytywany przez biesiadników zapiérał się wiary w diabła. Spotkał go także na publiczném posłuchaniu u króla, i gdy się doń zbliżał zdało mu się, iż poczuł zapach siarki i gorące zbliżenie się płomienia. Na wieczorze u podskarbiego poznał i Fraskatellę, aktorkę, która była zagadką dla niewierzącego w cnotę niewieścią świata, a która jak salamandra całą z płomienia wychodzi; utrzymywała się niezwalaną w błocie towarzystwa co ją otaczało, któréj życie wszystkim było znane, a w którém komedyą tylko była wesołość. Na tymże wieczorze nakoniec poznał gen. Banchera, który go pod szczególną swą wziął protekcyą. Byłto człowiek, który był obrazem owego czasu, gdyż kochał przedewszystkiém siebie, miał za cel życia, życie samo, ale wygodne, rozkoszne, zbytkowe, błyskotliwe, hulackie. On to wyexaminował podczaszyca z Wolterowskiego katechizmu w obec zgromadzenia u podskarbiego, on go téż i posadził obok Fraskatelli. Z dwojakiéj téj proby wyszedł podczaszyc zwycięzko.

Ale późniéj wylał się na grę, rozpustę, awanturując się z zalotnicami wyższego towarzystwa i dawał u siebie świetne wieczory. Na jednym z nich jakiś podejrzany baron ogrywał młodzież. Starosta Rybiński spółzawodnik podczaszyca, przy wojewodzinie dał się publicznie słyszéć z zarzutem o spólnictwie Michała z owym oszustem; wyzwany od podczaszyca, nie stanął. Obrażony podczaszyc, a do tego zniechęcony do życia długami, zużyciem, poduszczony radą złego ducha w osobie cavaliere Fotofero, czatował na starostę na rogu ulicy i ranił śmiertelnie, chroniąc się do dworku Sieneńskich, do którego przybyła z ojcem Anusia.

Słysząc o życiu i losie podczaszyca chciała go nawrócić, ratować. „Będę“, mówiła po długich nocach we łzach i modlitwie spędzonych podniesiona na duchu, ośmielona senném widzeniem starościnéj, nakazującéj jéj udać się do Warszawy i ratować Michała, „będę ścigać go okiem niepostrzeżona, zakryta, śledzić, upatrywać, a uchowaj Boże nieszczęścia może potrafię go ratować, przychodząc z umarłéj przestrogą, z pomocą drobną, ale skuteczną. O! gdybym go potrafiła wyrwać ze szpon tych ludzi co go otoczyli. Nie, on nie zginie, ja nie dam mu się rzucić w przepaść. A potém wstąpię do klasztoru i spokojna o niego modlić się będę i płakać po nim do śmierci, bo nikt, nikt go tak kochać

nie będzie.“ Nawiedzał ich O. Spiridyon pobożny i świątobliwy Kapucyn; on podczaszyca od ścigających pachołków marszałkowskich sprowadzonych przez diabła Fotofero na trop do klasztoru, schronił i w osobnéj celi w samotności porachować się z sumieniem na drogę opamiętania i poprawy wprowadzał. „Na diabła, rzekł ksiądz, gdy mu przygody swe z nim opowiadał, czy incarnatus, czy invisibilis jeden mamy środek od lat tysiąca:—krzyż święty i modlitwa. Gdybyś się modlił, toby cię ta słota opuściła; reszty ja nie tłumaczę, gdyż niewszystko się tłumaczy.“ Ale świątobliwe słowa jego, acz silnie działały na umysł i duszę podczaszyca, jeszcze go odnowić i odrodzić nie mogły. Potrzeba było, by zupełnie zerwał ze swojém stanowiskiem w świecie i uczuł potrzebę rozstania się z życiem, aby dary wiecznego niebieskiego życia w sercu swojém uczcić i zaszczepić zdołał. Otrzymawszy przebaczenie króla, pogodzony z Rybińskim, uwiadomiony o tém przez Fotofero, wrócił do domu. „Lecz i teraz namawiał go Fotofero do zbytkowego życia i gry. Potrzeba używać, mówił do podczaszyca, życie uchodzi, szkoda je marnować bezczynnie: nadewszystko potrzeba się pozbyć przesądów, wiek potemu.“

Uwiadomiony od nieszczęśliwego ojca o porwaniu Anusi przez starostę Mielnickiego, przyleciał jeszcze w porę dla wybawienia jéj. Chciał zatrzymać ją u siebie za radą Fotofero, ale na usilne jéj nalegania, musiał ją odwieźć do domu; nakoniec tak się zadłużył i zgrał, iż mu nic nie pozostawało jak życie sobie odebrać. Przegrawszy więc ostatnie resztki poszedł na most i już rzucał się do Wisły, gdy wracający od umierającego O. Spirydyon zatrzymał go i za sobą powiódł.

Anusia tymczasem odziedziczyła po stryju znaczne mienie, wyprawiła podczaszyca za granicę, aby rozstał się ze wszystkiém tém, co mu dawne życie przypominać mogło; opłaciła jego długi, okupiła Głuszę i jakby w nagrodę za tkliwe i wierne przywiązanie, za tak czułe poświęcenie się, za tak wielką miłość, została małżonką Michała. Pobłogosławił im O. Spirydyon. Gdy powrócili do Głuszy i zwiedzali pałac, nie znaleźli ani śladu bogatych sprzętów zgromadzonych na przyjęcie króla. „Chodźmy ztąd kochana Anno, rzekł podczaszyc, co przeszło nie powróci i my myślmy, byśmy sobie trwalsze zbudowali jutro; łzy nasze nie odżywią tego co umarło“.

Taka jest w krótkości treść powieści p. Kraszewskiego pod tytułem Diabeł. Jeżeli znajdujemy w niéj postacie skreślone rysami podobieństwa do natury, lub farbami rzeczywistości naszéj społecznéj i moralnéj, niemniéj widzimy tu obraz czasów do których nas przenosi. Jakże to żywy i prawdziwy wizerunek téj epoki. Obyczaje, wyobrażenia i zasady długiém bezpośredniém życiem przodków wypielęgnowane i ustalone, nikną pod zamachami rozpasanéj swobody ciała, któremu zhołdowały najszlache-

tniejsze władze człowieka, okrywają się pogrzebowym całunem z obcych zwyczajów, wyobrażeń i mowy utkanym. Dzielny jest ale mniéj wywracający wpływ przykładu w życiu, gdyż przy całém jego działaniu jeszcze na dnie serca ocaleć może błogie światło prawdy, które z zajaśnieniem przyjaznych mu pierwiastków z głębin swych buchnąć i otaczające ciemności rozproszyć może. Ale nierównie zgubniejszą jest propaganda reformy myśli, zasad i wyobrażeń, gdyż potępiając wszystkie wiekami ustalone normy narodowego bytu, podkopując posady moralnéj i społecznéj budowy, niszcząc zasady religii i téj narodowéj filozofii, która jest codzienną mistrzynią narodu, wszczepiając obce zwyczaje, stroje i wyobrażenia jedynie z pogardy ku swoim, niszczy wszelką moc ducha, wywraca wiarę, zaciemnia sumienie, wprawia w obłęd myśl, a na gruzach tych najszlachetniejszych władz człowieka oprowadza w pochodzie orgii i rozpusty, rozpasaną swobodę ciała przybranego w pożyczone od obcych barwy, elegancyi, dobrego smaku i dobrego tonu.

Takie były czasy panowania Stanisława Augusta. Wszystko co żyło i działało na szerokiém polu wyższego społecznego życia, zdawało się tylko chcieć burzyć, wywracać i używać; przedewszystkiém używać, czując wraz z szatanem, że życie krótkie, że uchodzi.

Naczelnik owéj epoki uosobiający ją w sobie, bez charakteru i powagi, miotany losem, chwiany okolicznościami, miłujący sztuki i piękno, a plugawiący w rozwiązujących wiarę i moralność przekonaniach, pałający miłością zmysłową, a obojętny na dobro publiczne, podczaszyc wyobraża w swojém życiu tegoż samego słabego ducha, idącego za popędem skłonności, za wpływem przeważającéj na nim siły. Wychowany jak cała owa epoka, nasionom wrzuconym do jego łona winien charakter i koleje swojego żywota.

Wychowanie jednego z członków narodu, dotykającego położeniem swojém towarzyskiém samego ogniska stosunków społecznych, jest wizerunkiem charakteru i zasad téjże społeczności. Tak i podczaszyc, wyrwany z gruntu rodzinnych obyczajów, odarty z wiary ojców, wyzuty z charakteru narodowego, całem życiem szuka gruntu, któryby mu soków pożywnych udzielił i byt jego organiczny ustalił; ale napróżno, płomień wiecznego pragnienia nieugaszony żadném używaniem, ciągle go przedaléj, od łona uciech i rozkoszy porywa w objęcia szału, orgii i wściekłości żądz, aż zerwą się ogniwa materyalnego jestestwa, aż stanie to biédne życie u progów nicestwa. Pierwiastek wiedzy nieograniczonéj przez wiarę, odrzucającéj wszelką tradycyą, pierwiastek rozbioru i analizy siłami skończoności tajemnic wiecznego nieskończonego świata, odrzucający byt jego; pierwiastek jedném słowem niszczący—obaliwszy moralną i obyczajową budo-

wę wieków, oprowadza po tych gruzach ciało i materyą; wywoławszy grę uciech, rozkoszy i namiętności, procesem zniszczenia toczy byt materyalny, a unicestwiając wartość życia, przyprowadza do pragnienia śmierci. Gdy mieczem zniszczenia człowiek wojuje, od tegoż miecza zginąć musi. Napróżno cnota wskazuje drogę do tryumfu; napróżno wierne poświęcające się serce Anny, odkrywa podczaszycowi czarowne pasmo dni szczęścia i pokoju, na jéj kochającém łonie. Nie, głos ducha ciemności i zniszczenia pragnie ofiary i śmierci. Już podczaszyc rzucić się miał z mostu, straciwszy wszystkie marne dobra, które jedynie cenił, nieznając wartości trwałych skarbów, gdy kościół w osobie O. Spirydyona, okryty wzgardą obojętności od swojego wieku, kościół św. z darami Ducha św., ze skarbami wiary i objawienia zwycięża śmierć, z gruzów unicestwiającego się bytu doczesnego, żywot wieczny wyprowadza, nad znikomość materyi ducha wynosi.

Godnie tu autor odmalował w osobie i życiu podczaszyca, skutki zasad wieku i jego panowanie, owoce pogardy dla wszystkiego, co własne i narodowe; dzieło wiedzy rozległéj, wykwintności w obyczajach i delikatności w postępowaniu, i ślepego naśladowania cudzoziemczyzny, bez wiary, powagi i charakteru w życiu, bez miłości bliźniego w sercu. Był to wiek, zaszczepiający cześć materyi: tą czcią żył, dla niéj ofiary palił; tę cześć: król, Baucher, podczaszyc, książę podskarbi, i wszystkie inne figury téj powieści, żywo nam wyobrażają. Trafnie pojętą i oddaną jest figura generała Bauchera, tego typu pieczeniarza wbijającego się w próżność stosunkami możnych, nieznającego wyższego celu w życiu, nad używanie cudzym kosztem.

Labbé Poindot, maluje nam charakter wszystkich sprowadzanych z obczyzny guwernerów i tryb udzielanego przez nich wychowania. Oderwani od swojéj ziemi, niczém, do któréj się przenieśli nie są związani, oprócz widoku osobistego interesu. Być dobrym nauczycielem, nie jestże to kochać kraj własny w przyszłości młodzieńca, któremu los nadarzył poświęcić prace i trudy tego zawodu; nie jestże to żyć duchem i uczuciem w przyszłości kraju swojego za pośrednictwem swego umysłowego wychowańca. Potrzeba dlatego kochać kraj, którego on jest synem. Czyż tego uczucia wymagać można od tych, którzy odtrąciwszy się, lub odtrąceni od własnéj ojczyzny, przybywają do innéj? Jedynie tylko kosmopolityczne teorye wieku, i obłęd humanitarny, do takiego samobójstwa w przyszłości przyprowadzać może.

Zakompromitowany, uciekający ze swojéj ojczyzny, obojętny dla ucznia swego i kraju w którym się zobowiązał, pragnący służyć mu jednakże dla osobistych widoków, pełen rozległéj

wiedzy i nauki bez zamiłowania dla niéj, ex jezuita i filozof, był on awanturnikiem nauczycielem, godnym współpracownikiem epoki, któréj wszyscy koryfeusze byli awanturnikami, nieświadomemi celu swego posłannictwa, niedorosłemi do stanowiska, jakiem w swojéj społeczności owładnęli. Podczaszyna, jedyna anomalia w wieku zmysłowéj miłości, kochająca króla głęboką miłością, rozkołysana dumą, marząca myślą, zaawanturowała się ze swojém sercem na wyżyny przystępne w wieku, w którym rozwalone były wszystkie zapory i przegrody, w którym wola i egoizm upoważniały do posiadania, rozum do stanowienia o prawdzie, uczucie do wzajemności.

Głębokie i prawdziwe jest przedstawienie kolei, przez którą przechodził podczaszyc; przedstawienie nacechowane wielką znajomością serca ludzkiego. Po tylu gorzkich doświadczeniach, po zabójstwie Rybińskiego, schroniony u Anny, ukryty w klasztorze, czuje miłość Anny dla siebie, jéj stałość, poświęcenie, słucha głosu prawdy i wiary z ust O. Spirydyona, jednak tęskni za dawném życiem, nie doznaje cichego i wewnętrznego szczęścia, gdyż dzieło szatana, za pomocą wychowania i życia na wielkim świecie, złożone w jego sercu, nie słowem samém, ale śmiercią, lub czynem chrześciańskim okupioném i zniweczoném być może. Wielka zaiste jest ważność czynu. O. Spirydyon był uosobieniem chrześciańskiego czynu: wyratował od śmierci podczaszyca, porozumiał zakochaną parę, Michała i Annę, pobłogosławił im po dokonanéj probie wytrwałości i zapomnienia. Piękna, wzniosła i świątobliwa ta postać zaciemnia i w głąb zasuwa wszystkie inne najwyżéj i najświetniéj postawione osoby powieści; wskazuje, gdzie chciał autor w całym blasku ukazać cel swojéj powieści. Długie, niezmordowane, pełne chytrych zabiegów trudy szatana od wrażeń młodości, do ponęt rozkoszy i wzruszeń gry stopniały w obliczu czynu kapłana, chrześcianina. Upadł diabeł, zwyciężyła wiara i kościół w osobie O. Spirydyona. Piękny jest i prawdziwy jego obraz, poniżający pychę mądrego wieku.

„Człowiek to był ze wszech miar czci i poszanowania godzien jako kapłan i jako obywatel. Otaczała go wielka powaga, jaśniała dokoła niego świetność, i najbezbożniejsi plamy na nim upatrzyć nie mogli. Schorzały, kaszlący, sił niewielkich na pozór, duszą umiał to mizerne i umartwieniami zniszczone ciało podnieść, tak, że więcéj znosił osłabiony i wątły, jak najwytrwalsi jego towarzysze. A prócz praktyk religijnych, spełnianych najściśléj, chłodu, głodu, dyscyplin, włosiennic, pracy spowiednika i kapelana więzień, jako poradnik dusz bolejących od rana do nocy wzywany, rozszarpywany, nie miał godziny spokoju. Często spoczywającego w celi przed krucyfiksem i tu doganiali najznakomitsi ludzie owego czasu, w których iskra wiary nie do-

gasała, by się go poradzić, by sił zaczerpnąć. Serce i rozum jego rozpłomieniona czynna wiara podniosła do tak wysokiego stopnia, do jakiego gieniusz i wychowanie są zdolne dźwignąć innych. Prostaczek wedle słów mędrca, więcéj i jaśniéj widział od wielu pogańskich filozofów owoczesnego świata. Wejrzenie jego głębokie, obejmowało samą treść żywota, odrzucając jego łupinę, i zdumionym często oczom pospolitych ludzi okazywało istotę samą, gdzie oni wśród zagmatwania pozorów od rzeczy odróżnić nie mogli. Zresztą wiek swój pojmował jasno, widział wszystkie wady jego, bolał nad niemi, ale miał nadzieję w miłosierdziu Bożém; a co wiek ów przynosił dla ludzkości prawd nowych, mimo wiedzy jego z łona wiary na którą bluźnił dobytych, to nasz Kapucyn przyjmował jako dar Boży, umiejąc rozróżnić w steku myśli niesfornie związanych, złote pasmo idące z góry. Gdy inni nad upadkiem wiary jęczeli, grożąc, że po Wolterze nie powstanie chrześciaństwo, on sobie z uśmiechem mówił: Nie bójcie się, wszystko przejdzie, a prawda świecić musi. Nie bójcie się o wiarę, lękajcie się o siebie!“

Tym obrazem, jako wieńcem i treścią moralną powieść p. Kr. zakończymy.

III.

Obydwa dopiéro przejrzane utwory powieściopisarskie wyszłe z pod pióra dwóch najznakomitszych pisarzów naszego czasu, płynąc z jednego prawie poglądu na dwie epoki, różne w czasie, ale jedne w filiacyi swojéj, jeden niejako mają cel, chociaż różnemi do niego dążą drogami, rozwijając swe obrazy w różnych stanach.

Jak w Garbatym tak i w Diable przedstawiają się zgubne skutki wpływu obczyzny, uderzające na moralność jednostkową i społeczną. Piérwszy jednak bierze za tło do swojego obrazu stan średni szlachecki naszego czasu; drugi stan wyższy, tak nazwaną arystokracyą. Za oderwaniem się od gruntu rodzinnych obyczajów i moralnego, pracą wieków zdobytego mienia przodków, nastąpiło gnicie moralne i zniweczenie wszelkiego obyczajowego i duchowego pierwiastku. Oczywista, że serce miłujące swój kraj nie może przenieść takiego przeczenia i pragnie wykazawszy moralną nicość jednego stanu, zbawić i usprawiedliwić całą społeczność; dowieść, że ta ma jeszcze pierwiastki moralnego życia. Znaleźć je tylko potrzeba.

Ztąd Garbaty i Diabeł zaprzeczywszy moralność stanów średniego i wyższego, prowadzą społeczność do odrodzenia się w źródle niższego stanu, w którym ocalała jeszcze wiara, cnota, i przywiązanie do odziedziczonych obyczajów. Urszula i Anna dopełniają tego chrztu na wyższym i średnim stanach. Urszula wiedziona czcią i szacunkiem; Anna ożywiona miłością.

Współpracownikami i czynnemi organami ich w tém wielkiém dziele są Maryan i O. Spirydyon. Ale gdy piérwszy siłą przekonania, potęgą wiedzy i myśli, urokiem sztuki podnosi się na wyżyny idealnego poświęcenia i ofiary; gdy w Garbatym dzieło moralności dopełnia się poświęceniem sztuki, siłą estetycznego zapału, mocą wyższéj wiedzy: w Diable wiara i czyn chrześciański kruszą jarzmo szatana, niweczą jego zabiegi, zbawiają życie z objęć śmierci, odradzają ducha w zdrojach miłości, wiary i poświęcenia. Garbaty rozwija moralną doskonałość z pierwiastków wiedzy, myśli i sztuki; Diabeł osnuwa ją na właściwéj jéj podstawie, na darach łaski i objawienia, na skarbach uczucia i wiary.

Ztąd utwor p. Korzeniowskiego tchnie klassyczną wzniosłością i prostotą, harmonią ciała i ducha, zrównoważeniem zalet i występków obok stylu równego, niepodnoszonego uczuciem i zapałem, prowadzonego naukową myślą, pojęciem idealnéj sztuki, uczuciem pięknego dobra. P. Kraszewski malując naturę i społeczność naszę w danym czasie, wprowadzając do świątyni prawdy, odchylając zasłonę od przybytku zepsucia i upadku, podnosi głęboką i praktyczną myślą, odradza silną wiarą, porywa uczuciem, zachwyca czarowném, poetyczném słowem. Obydwa rozbierają swoję społeczność, jéj życie, cechy i charaktery: p. Korzeniowski z trafnością artysty, p. Kraszewski z miłością oblubieńca. Obydwa téż nauczają ją w moralności. Piérwszy ze wzniosłością sztuki, drugi z siłą, potęgą i głębokością wiary i chrześciańskiego czynu.

Lemiszówka,
dnia 16 stycznia 1854 r.

Leopold Jakubowski.

---

a) *Ueber die Konjugation im Polnischen* (przez professora Rymarkiewicza). Poznań. 1852 r. (1).

b) *O słowie polskiém i konjugacyach jego* (przez H. Cegielskiego filozofii doktora). Poznań. 1852 r. (2).

Dwie rozprawy, odznaczające się cale nowym poglądem na odmiany grammatyczne słów polskich, jednę obok drugiéj wez-

(1) Rozprawa ta wyszła w niemieckim języku przy programmacie królewskiego gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu na rok 1851 i 2.

(2) Rozprawa o *słowie polskiem* umieszczona była jeszcze w roku 1842 w 2 numerach *Orędownika Poznańskiego*, a w 10 lat potém wydana osobno z niektóremi zmianami i przydatkami, mianowicie ze wstępem krytycznym i przydanemi na końcu wzorami czasowania słów polskich.

mę pod uwagę, ale szczególniéj co do pisowni; osobny zaś rozbiór i ocenienie samychże rozpraw pod rozleglejszym względem grammatycznym, poźniejszemu zostawiam czasowi, gdy mi już przyjdzie z własnych postrzeżeń ostateczne wyprowadzać wnioski pisownicze. Tu wszakże, jakby na zadatek i ubezpieczenie zamiaru poźniéj dopiéro uskutecznić się mającego, pozwolę sobie śmiało i otwarcie wypowiedzieć, jak wielka i uderzająca różnica między dwoma autorami pokazuje się z ich rozpraw, a bardziéj jeszcze z ich uwag wstępnych i przypiskowych (1).

Pr. Rymarkiewicz z całą godnością i rozważném umiarkowaniem na wstępie swojéj rozprawy, wyszczególnił zalety i niedostateczności w celniejszych mianowicie grammatykach polskich na większy rozmiar wydanych, jako téż i w 2 rozprawach, albo raczej traktatach grammatycznych; z równąż tedy godnością i umiarkowaniem osądził i zalegającą od lat 10 w *Orędowniku Poznańskim* rozprawę Dra. Cegielskiego i rozgłośną *Mownią* F. Żochowskiego. Tak osądziwszy celniejszych tylko grammatyków i rozprawników podał swój nowy system odmiany słów polskich, niezupełny wprawdzie i zostawiający jeszcze mnogie trudności do rozwiązania, ale który rzuca wielkie światło i na odmiany grammatyczne innych części mowy. Wreszcie rozprawa ta wydana z urzędu przy programmacie szkoły, w któréj język niemiecki przemaga i niby panuje nad polskim, odznacza się jak najczystszą niemczyzną nawet i w technicyzmie grammatycznym (2).

(1) Abym usprawiedliwił słowa prawdy i przekonania wypowiedzieć się mające o dwóch autorach rozpraw wydanych w jednymże przedmiocie, przywiodę tu z tychże rozpraw miejsca najbardziéj charakterystyczne, które zostają w związku chociaż tylko pośrednim z pisownią.

(2) Pr. Rymarkiewicz po wykazaniu, w czém są wadliwe systemata i wzory konjugacyi słów polskich podane przez Kopczyńskiego, Mrozińskiego i Muczkowskiego, przyznaje Dr. Cegielskiemu, że jego systemat napiętnowany jest samodzielnością; a następnie przy rozbiorze tego systematu zadaje autorowi trzy główne zarzuty: 1) „że w źródłosłowach czyli pierwiastkach, (a podług F. Żochowskiego *w jądrach*, może już lepiéj podług J. Muczkowskiego *w rdzeniach*) słów polskich nie odróżnił należycie zakończeń tych źródłosłowów, a mianowicie ich zakończeń samogłoskowych od spółgłoskowych; 2) że w oddzieleniu form czyli konjugacyi przywiązuje się do rzeczy ubocznéj, jaką jest sposób łączenia źródłosłowu z zakończeniem, przez co spuścił z uwagi zakończenia źródłosłowów i wpadł w jednostronność; 3) że przyjąwszy taką zasadę w odróżnianiu form, powinien był sposób łączenia się zródłosłowu z zakończeniem ściśle i dokładnie oznaczyć.“ Te trzy dopiéro tu podane w skróceniu zarzuty objaśnił przykładami wziętemi z samejże rozprawy przez siebie osądzonéj, nareszcie tak kończy; „Gdy więc ten system jest jednostronny i na fałszywéj oparty zasadzie, wywołuje zatém nowe trudności i zawikłania“.

Poczém zaraz przystępuje do osądzenia Mowni pr. Żochowskiego pod względem rozdziału słów na formy, a wyszczególniwszy 10 form czyli *modeł* podług zasad podanych przez autora, tak się wyraża:

„Tu uderzającą jest rzeczą, że słowa polskie najczęściéj przed *t* mają w czasie przeszłym *a* lub inną samogłoskę.... Autor nie chciał téż jéj uważać za głoskę łączącą (Bindelaut) jak jego poprzednik, lecz

Inaczéj zupełnie sobie postąpił Dr. Cegielski; gdy mieniąc się z góry uczniem Boppa, a siebie i swój sanskrycko-słowiański system najwyżéj kładąc, po przeczytaniu Mowni pr. Żochowskiego i Rozprawy pr. Rymarkiewicza, najniesłuszniéj jednemu wziął za złe, że śmiał do niego się zbliżyć, choć ten może i nie czytał w Orędowniku jego artykułu *O Słowie polskiem*; drugiemu zaś tém bardziéj musiał wziąć za złe, że ów artykuł od lat 10 spoczywający w Orędowniku śmiał krytykować. Tknięty tedy do żywego i uniesiony obrażoną miłością własną, nie hamuje bynajmniéj swego uniesienia, zwłaszcza we wstępie krytycznym i w przypiskach do wstępu lub rozprawy u dołu zamieszczonych. Chce on koniecznie w nas wmówić, że sam tylko ma zupełną słuszność po sobie, bo z określenia słowa *a priori* wyprowadził wszystkie jego odmiany grammatyczne: a to podług swoich własnych zasad zgodnie z grammatyką łacińsko-słowiańską Dobrowskiego. Wprawdzie nie bezzasadnie rozdzielił słowa polskie na 6 form czyli konjugacyi, uważając jak się ich pierwiastki łączą z zakończeniami odmianowemi; lecz nie był dość szczęśliwy w pierwiastkowém rozwinięciu swojego systemu; w czém sam zapewne się spostrzegł, i dlatego w nowém wydaniu swojéj rozprawy przedrukowanéj z Orędownika porobił niektóre zmiany albo ra-

uważa ją za cechę środkującą między końcową spółgłoską pierwiastku słowa, a zakończeniem konjugacyjném (odmianowém) samegoż słowa. Gdy zaś cecha *a* zachodzi w wielu słowach należących do różnych modeł, wezwał na pomoc końcową spółgłoskę pierwiastku *jądra* słowa, którą pod nazwiskiem przybierającéj uważa za stanowiącą istotę pierwiastku. Jeszcze aby rozróżnić formy odmianowania słów, uciekł się do rozróżnienia słów jednozgłoskowych, wielozgłoskowych, *przymiot-miotowych* czy *miot-przymiotowych* (inchoativa), a pomimo to wszystko niedostateczność zachodzi w formie 7 i 9, jako też w 4, 5, i 6. System ten najbliżéj do systematu Dr. Cegielskiego przystępuje i zupełnie mu odpowiada, a w tém się głównie różni, że autor głoskę łączącą Cegielskiego wziął za cechę i dał więcéj form, bo u niego *i y* aż dwa razy wraca, a częściéj jeszcze wraca *a*. aż 6 razy, gdy u Dr. Cegielskiego 3 razy tylko. Ztąd wynikające 4 nowe formy lepiéj u pr. Żochowskiego dają oznaczyć cechę czyli głoskę łączącą, tudzież spółgłoskę końcową pierwiastku niż u Dr. Cegielskiego; lecz jakkolwiek to wyższość, jest niedostatecznością, (zu viel gutes doch an sich ist Mangel). Zawiele dobrego daje, gdy 8 i 9 konjugacyą na dwie osobne formy (Normen) rozdziela, choć odmianowanie słów tu należących prawie jednakie, a oznaczenie ich charakterystyki żadnéj dostatecznéj różnicy nie podaje. Toż samo rozumieć się ma o formie 4, 5, i 6. Tak przesadzone przesiewanie (Sichtung) różnic odmianowych nie zastępuje zresztą braku właściwości zasady, któréj właściwości autor widocznie szukał, a jednak podał zasadę jeszcze niedostateczną; co też właśnie jest główną wadą jego systematu."

Rzecz dziwna, że autor rozprawy w niemieckim języku wydanéj, gdy nawet *zbytek dobrego* słusznie ocenia i wykazuje w *Mowni*, nie wspomniał wszakże o rażących w niéj wybrydach Lelewelowskiéj pisowni, która zaledwo ujśćby mogła znakomitemu u nas dziejopisarzowi. (Patrz o pisowni Joachima L. *Pogląd historyczny i krytyczny na pisownię Polską od r. 1808.* Warszawa, 1852 r. str. 4, 5, 6).

czéj poprawy. Niezawsze też miał na uwadze, że grammatyk nie tworzy ani podaje dowolnie prawideł, ale je wyciąga z języka już gotowego, zwłaszcza gdy ten zostaje na wyższym stopniu ukształcenia. Nareszcie zbyt zajęty ułożoną przez siebie teoryą mniéj dbał o ścisłe zastosowanie teoryi do praktyki, i dopiéro aż w przedrukowanéj rozprawie jakby z łaski, dla uczącéj się młodzieży polskiéj i dla cudzoziemców, przydał na końcu paradygmata czyli wzory. Wszędzie też przy wydarzonéj sposobności powstaje w ogóle na wszystkich grammatyków polskich, a szczególniéj na autora *Mowni Języka Polskiego*, że się ten ubiegając za oryginalnością wiele nasadził wyrazów tak dziwolążnych swojego utworu. W odpowiedzi zaś na zadane sobie zarzuty przez pr. Rymarkiewicza ostro mu przymawia, że go nie pojął i nie zrozumiał. Tak więc samochwalczemi i najczęściéj bezdowodnemi słowy tylko swoję sprawę pogorszył, a ciemność wyrażenia i język najeżony, nie wyszukanym wprawdzie i subtelnostkowym (jak u prof. Żochowskiego), ale niedbałym technicyzmem zkądkolwiek na los szczęścia branym, ściągnęły na niego nowe jeszcze zarzuty (1).

(1) Pomijam przywiedzione już przez pr. Żochowskiego w cztérech niedawnych nr. Gazety Warszawskiéj miejsca rozprawy Dr. Cegielskiego rażące samochwalstwem, sprzecznością, powtarzaniem się i niedbałością wyrażenia, (str. 3, 4, 5, 8, 9, 23, 44, 54, 69, 77, 78, 83, 84, 85. Jeszcze kilka miejsc z téj rozprawy przywiodę, aby usprawiedliwić zdanie o autorze przezemnie wyrzeczone:

(Str. 5). „Oddaję winny szacunek badaczom i uprawiaczom naszego języka, do których liczę przedewszystkiém Kopczyńskiego, Mrozińskiego, Suchorowskiego, Muczkowskiego, Żochowskiego, Deszkiewicza, i mało dotąd ocenionego, a niewątpliwie celującego barwą i rzeczą Łazowskiego.“ Już od lat kilku wszakże wyszła w *Przeglądzie Naukowym Warszawskim Ocena* nędznéj *Grammatyki Deszkiewicza*, wydanéj po szumnych i wiele obiecujących rozprawach, a również ocenioną została w Bibliotece Warszawskiéj obszerna i dziwnemi nowościami odznaczająca się grammatyka Łazowskiego, który dla złagodzenia języka naszego każe mówić i pisać *tsieść* zamiast *cześć*, *prawidelne* zamiast *prawidłowe*, albo lepiéj *foremne*, i wprowadza najnielogiczniejszy podział grammatyki. Czemuż raczéj Dr. Cegielski nie wspomniał o nie ocenionéj dotąd *Grammatyce Srzeniawy!*

(Str. 6.) „Ktoby o prawdzie téj mojéj teoryi wątpił, tenby podstawy jéj wywrócić, a nowe postawić i poprzeć powinien“.

(Str. 12). „Zakrój zewnętrzny rozprawy Rymarkiewicza jest bardzo filozoficzny i na większą skalę założony. Większa u niego brama niż kościół..... Łatwiéj mnie być wyrozumiałym na twierdzenia Rymarkiewicza niż jemu na moje, bo się w systemie moim i warunkach jego nie rozpatrzył, a nawet w szczegółach zbija rzeczy, których mi się twierdzić ani śniło.... Nasamprzód myli się, że wyłożone przezemnie warunki należą raczéj do *Wortbildung* nie do *Wortbeugung*“ tu wszakże ma niewątpliwie słuszność po sobie pr. Rymarkiewicz.

(Str. 13). „Jeśli Rymarkiewicz źródłosłowy moje *czyn gol rob* mieni być pierwiastkami, a źródłosłowy chce mieć w kształcie *czyni goli robi* i t. p.; wtedy bardzo grubo się myli, i zdaje się nie wiedzieć, że choćby głosy *czyn gol rob* nie były źródłosłowami, toby jednak pierwiastkami nie były, bo tych forma i brzmienie daleko są prostsze

Lecz jakkolwiek ci dwaj rozprawnicy różni są od siebie w widokach grammatycznych, a szczególniéj co do ustanowienia na słowa polskie form i wzorów, dziwnie się jednak z sobą zgadzają oba co do pisowni zwłaszcza trybu bezokolicznego i rozkazującego; oba też w niektórych wyrazach nienależycie kreskują *o* lub nienależycie opuszczają kreskę nad *é*, nareszcie w pisaniu wyrazów z greckiego i łacińskiego języka pochodzących przez *gz ks* zamiast przez *x*. Pisownia pr. Rymarkiewicza o ile ją uważać mogłem z przedmowy i przykładów polskich w ciągu rozprawy przywiedzionych, pokazuje się najwydatniéj ze wszystkiemi niemal uchybieniami swojemi w następujących wyrazach: *szkólny* zamiast *szkolny*, *próba*, *próbować* zamiast *proba*; *mieć*, *pleć*, *boleć*, *siwieć*,

i pomrokiem dawnéj przeszłości osłonione.... Mniejsza byłoby o to nieporozumienie z powodu różnicy między pierwiastkiem, a źródłosłowem, gdyby Rymarkiewicz nie był mi znów dziwnych porobił zarzutów o przybraną (Bindelaut), i gdyby na fałszywych konsekwencyach fałszywego zarzutu nie opierał dalszych znów zarzutów"; zarzuty te wszakże są sprawiedliwe.

(Str. 20). O rozdziale słów na 10 form czyli modeł tak mówi: „Nie uszło już baczności Rymarkiewicza, że podział ten przyjęty jest z 6 form systemu słowiańskiego, którym ja także *O słowie polskiem* wyłożył. Nietylko podział, ale nawet następstwo konjugacyi to samo, tylko, że z 2 działów formy 1 zrobił Żochowski dwie konjugacye, z 3 działów 4 (teraz mojéj 5) zrobił trzy, a z 2 działów 5 (teraz mojéj 4) zrobił znów dwie." A daléj w przypisku: „Dziwić się należy, że poważny autor *Części mowy* dał się porwać nowatorstwu... gdyby mniéj się ubiegał o pozór oryginalności... zbogaciłby był grammatykę polską czemś więcéj, aniżeli *Mownią* z *jądrami*, *rodami*, *konaniami*, *miotnikami*, i cytacyą rozmów pani Bocquel, a trzeciéj swojéj konjugacyi byłby nadał inny charakter."

(Str. 21) „bezzasadnie pisze Rymarkiewicz *cierpiemy* zamiast *cierpimy*".

(Str. 27) „Mniejsza tu o wzory, podług których słowa polskie się odmieniają; mniejsza o to, ile jest konjugacyi polskich„ bo to są rzeczy szkolne, które winniśmy starym pedagogom"....

(Str. 28) „Część piérwsza teoretyczna wykaże nam *a priori*, jakim wyrazem słowo być musi" „część 2 materyalna stwierdzi historycznie, że natura słowa ta jest, a nie inna."

....Najprostszym i najpiérwszym wyrazem grammatycznym jest *subjekt*. Subjekt jest pierwiastkiem, początkiem, podstawą zdania, jest zarodem wszystkiego, co tylko o nim powiedzieć można, ale sam jeszcze nic nie posiada, nie predykuje... subjekt mieści w sobie mnóstwo własności, przymiotów, predykatów, o tyle tylko jest subjektem, o ile jest ich zbiorem, mieszkaniem, nierozerwanym ich węzłem.

„Cóż przeto jest słowo? Nic innego jak tylko predykat, który w pierwiastku swoim nosi własność subjektu, a w zakończeniu łącznik" (O łączniku zaś dotąd nie było mowy).

(Str. 49). „Cechą trybu rozkazującego w językach słowiańskich jest *i*, odpowiadające sanskryckiemu i greckiemu w *Optatiwie*, tudzież skrytemu łacińskiemu w *conjunctiwie amem* zamiast amain. W słowach słowiańskich wyraźne jest jeszcze *i: idi pusti prosi*. W polskiem został ślad tego *i* w zmiękczonej poprzedzającéj spółgłosce. Tylko po samogłoskach ostało się *i*, i spłynęło z tąż samogłoską w dwugłoskę *ai*, która przybrała postać i głos *aj*: *czytaj* zamiast *czytai*". I któż tę niesłychaną w języku naszym dwugłoskę *ai* wymówić potrafi!

cierpieć, *widzieć*, *słyszeć*, *drzeć*, *krzyczeć*, zamiast *mieć*, *mleć*, *widzieć*, *słyszeć*, *drzeć*, *krzyczeć*, (co wszakże ujdzie, bo lepiéj jest w niektórych razach opuszczać kreskę nad *e* aniżeli ją niepotrzebnie kłaść nad *o*: zwłaszcza gdy w trybie bezokolicznym słów polskich zakończonych na *eć*, kreska opuszczona uważać się może za domyślną); *widziemy*, *słyszemy*, *mruczemy*, *cierpiemy*, zamiast jak się pospolicie wywawia *widzimy*, *słyszymy*, *cierpimy*, od *widzi*, *słyszy*, *cierpi*, zwłaszcza gdy powszechnie mówią i piszą *widzisz*, *widzicie*, nie zaś *widziesz*, *widziecie*, i t. d. (co innego *śmiemy*, *umiemy*, które autor nienależycie położył obok *widziemy*, *słyszemy*, bo tamte formują się od *śmieć umieć* i w nich opuszcza się kreska nad *é* przed *m*); *rwię*, *zwię*, (ja), *rwią zwią*, (oni), *łżę łżą*, zamiast jak się powszechnie mówi: *rwę zwę łgę*, *rwą zwą łgą*, (a dobrze *pomnę pomną*, *zapomnę zapomną*, od *pomnieć zapomnieć*); *rwij*, *tnij*, *gnij*, (giąć) *drzyj* (papiér) *żryj*, *trzyj wij* (wiać) zamiast *rwiéj*, *tniéj*, *gniéj*. *drzéj*, *żréj*, *trzéj*, *wiéj*, od *rwie*, *tnie*, *gnie*, i t. d, podobnie jak *śmiéj*, *umiéj*, od *śmié*, *umié*, tudzież *chciéj*, od *chce* (1). Toż *pruć*, *kłuć*, nienależycie położone obok *pluć*, *truć*, gdy piérwsze dwa słowa dwojako się piszą i może nawet lepiéj pisać *próć*, *kłóć*, bo mówi się i pisze *rozporek*, nie zaś *rozpurek*, *kolec*, *kolka*, a nawet lepiéj *kolczyk* albo *kólczyk* a nie *kulczyk*, aby zostawić wyraźny ślad pochodzenia w wyrazach pochodnych. Nareszcie do błędnie wydrukowanych, a przynajmniéj wątpliwych wyrazów należą *egzamina* zamiast *examina*, *śmie umie*, *powie*, *śmiecie*, *umiecie*, *powiecie*, zamiast *śmié*, *umié*, *powié*, *śmiécie*, *powiécie*, chociaż chętnie przystaję na opuszczanie kreski nad *e* przed *m* w wyrazach *śmiem umiem powiem wiem*, ale nie można pisać *pięknem* (dziełem) *potem zatem czem*, ani *pięknym zatym potym czym*, zamiast *piękném zatém potém czém*, skoro przyjmiemy odróżnienie rodzaju męzkiego od nijakiego w przypadku 6 l. p. przymiotników. Jeszcze i tego pominąć nie mogę, że niewłaściwie pr. Rymarkiewicz uważa *ja* (je) *ną ow* (iw yw) za *półgłoski* lub *półsamogłoski* (*Haublaute* lub *Halbvokale semivocales*. I ja niegdyś w r. 1829 myślałem, łudząc się własném i drugich wymawianiem, że nasze *aj ej oj uj* są dwugłoskami, ale poźniéj przekonałem się, iż język nasz po starosłowiańskim najwybitniejsze ma wymawianie, jego tedy naturze zgodnéj z charakterem narodu zupełnie przeciwne są półgłoski, półsamogłoski i dwugłoski. Winienem też oddać sprawiedliwość pr. Rymarkiewiczowi, że się uchronił nadużycia spółgłoski *j* najwięcéj u nas dziś zagęszczonego w wyrazach *Marya Maryi*, które błędnie piszą *Maryja Maryji* albo *Marja Marji*, i że najlepszém prawem opu-

(1) Tu pr. Rymarkiewicz zgadza się zupełnie z p. Kudasiewiczem lubo nie wywodzi, dlaczego w trybie rozkazującym daje zakończenie na *yj ij* słowom, które się kończą na *e* lub *é* w osobie 3 l. p. czasu teraźniejszego trybu oznajmującego.

szcza kreskę nad *e* w wyrazie *biedz*, a zostawia ją w trybie bezokolicznym *piéc* od odróżnienia go od rzeczownika *piec*.

Dr. Cegielski zgadza się zupełnie z pr. Rymarkiewiczem co do pisowni w wyrazach *szkólny*, *mieć*, *umieć*, *widzieć*, *słyszeć* i t. p. *rwij*, *drzyj*, *trzyj*, i t. p, różni się zaś w *chciéj*, a o *śmiéj* czy też *śmiéj umiéj* oba nie wspominają. Toż zgadzają się z sobą w *śmie umie*, a różnią się w *widziemy słyszemy* i t. p., któryto błąd wytyka pr. Rymarkiewiczowi Dr. Cegielski pisząc *widzimy słyszymy*, raz tylko w swojéj rozprawie *odróżniemy* zamiast *odróżnimy*, co zapewne jest omyłką druku; różnią się jeszcze i w trybie bezokolicznym *piéc* błędnie wydrukowanym u Dr. Cegielskiego przez *e* otwarte. Nareszcie zgadzają się w pisaniu wyrazów cudzoziemskich na *ya yi* zakończonych: *Marya Maryi kategorya kategoryi*, któreto zakończenie na *yi* używa się u Cegielskiego i w przypadku 2 l. m. tych *kategoryi* zamiast *kategoryj*.

Przywiodę tu jeszcze błędy i sprzeczności w pisowni Dra. Cegielskiego: raz tylko w jego rozprawie znajdujemy *ztąd*, a we wszystkich innych miejscach pisze *stąd* zgodnie z pr. Żochowskim. Pisze też *dialekt* i *dyalekt*, *infinitiw infinitiwów* i *partykuła* nie zaś *particuła*, *grzeb*, *skub*, *kop* i *kóp* (tryb rozk.) *gryść* zamiast *gryźć* i *wieść* nietylko od *wiodę*, ale i od *odwiozę*; z *bliska* zamiast *z blizka*, *stósować zastósować później* zamiast *poźniéj*, *podziśdzień* łącznie a *do dziś dnia* rozłącznie; *zbódź* od *bośc* zamiast *bodź*; *rosł*, zamiast *rósł*, *depce* (lepiéj hyłoby *depcze*, bo i w trybie rozkazującym *depcz* nie zaś *depc*), *niema* i *nie masz* (słowo użyte nieosobiście, *chardzieje wacha się* zamiast *hardzieje waha się*, zgodnie z pisownią i wymawianiem Jana Kochanowskiego:

„Ale człowiek zhardzieje,
Gdy mu się dobrze dzieje".

takowe zamiast *one* (str. 45); *czemś* i dobrze *niczém innèm*, *loiczny loika*, a raz tylko w *Logice*, *niewiedzieć* na wzór łacińskiego *ignorare* zamiast *nie wiedzieć* (możnaby pisać *niewiedzieć* łącznie chyba w sposobie mówienia nieosobistym): *który to*, *bądź to* zamiast *któryto bądźto* (bo przyrostek *to* łącznie się pisze z wyrazem, do którego należy); *nasamprzód* ani *najsamprzód* zamiast *naprzód* albo *najpierwej*, *przeze mnie* zamiast *przezemnie*, *nie tajno mi* zamiast *nietajno mi* (bo tu nie zachodzi przeczenie), *rzadziej* azatém i *króciej* (lepiej pisać *rzadzej* jak się pisze i mówi *prędzej*, *krócéj* więcéj *gorącej*; *moją* (rozprawę) zamiast moję, *téjjéj* do *niéj* (lepiej pisać jak się zwykle wymawia *tej jej* do *niej*, *niewszystko* zamiast *nie wszystko* (chociaż dobrze się pisze *nietylko*, *niejeden niezawsze niekoniecznie* i t. p., *definiujemy* z łacińskiego zamiast po polsku *określamy* lub *oznaczamy*, *dla tego, że* zamiast *dlatego że*; *tak, iż* (tu w obu razach niepotrzebny przecinek, bo *dlatego że* i *tak iż* ze swojego znaczenia uważać się powinny za wyrazy pojedyńcze chociaż złożone i rozdzielnie się piszą), *dopiero pierwszy* zamiast *dopiéro piérwszy*, *za słabe* zamiast *zasłabe*. W pisaniu *obadwa obudwóch* podług pisowni Kopczyńskiego nie

zaś Mrozińskiego i Żochowskiego, z których piérwszy woli pisać *obydwa* jak wielu błędnie wymawia, a drugi pisze *obydwóch* dlatego zapewne, że *o* nie kreskuje się pospolicie przed spółgłoskami mocnemi. Nareszcie nader rażącą jest rzeczą, że autor rozprawy radzi nam dziś jeszcze pisać *tni*, *pni*, *klni*, azatém niewątpliwie *trzy drzy przy* i nawet *chci* zamiast *tnij pnij klnij przyj chcij*: a to dla poparcia swojego wywodu, który nie trafia wcale do naszego przekonania, abyśmy wrócili do zakończenia trybu rozkazującego, jakie jest w języku starosłowiańskim i niektórych narzeczach słowiańskich.

T. Sierociński.

Zasady fizyki i meteorologii przystępnie dla ogółu wyłożone prez M. Pouilleta, przełożył Adam Bar *kandydat filozofii, nauczyciel gimnazyum realnego.*

Autor w przedmowie wyraża, że to dziełko będące popularnym wykładem teoretycznych wiadomości, ma służyć za podstawę innym, w których zawarte zostaną zastosowania szczegółowe fizyki. Jestto zbiór wiadomości fizycznych najpotrzebniejszych przemysłowcom, wykładany przez autora w konserwatoryum sztuk i rzemiosł w Paryżu.

Wybór przedmiotów które tu zostały pomieszczone, jak się należy spodziewać po autorze mającym pod względem pedagogicznym największą wziętość na stałym lądzie, stosownie do celu jest bardzo trafny; układ ich odmienny jest od programatu u nas obowiązującego po szkołach.

Jakkolwiek to dzieło nie może być bezpośrednio zastosowane przy wykładzie u nas, jednak pożyteczne jest dla młodzieży lub osób posiłkujących się fizyką, jako odznaczające się jasnością wykładu, wyższemi na przedmiot poglądami, świeższemi doświadczeniami i odkryciami.

Język niniejszego tłumaczenia jakkolwiek zrozumiały, powinien być wygładzonym, poprawniejszym. Pamiętajmy na to, że dzieła szczególniéj popularne tak dla młodzieży jak starszych przeznaczone, nietylko swą treścią ale i zewnętrzną formą, ogładą zalecać się winny. Również za niestosowne uważać należy wprowadzanie do słownictwa fizycznego nowych wyrazów w miejsce już używanych i daleko od nich gorszych; tak np. nazwy tok elektryczny zamiast prąd, strumień; moc emissyjna zamiast siła wypuszczająca, wydzielająca, promieniująca; natężenie (?) pary zamiast prężności, sprężystości; siła sprężysta powietrza gazów w miejsce rozprężliwości; podobnie molekule, molekula, odgłos (nie w znaczeniu echa), oddźwięk mający oznaczać dźwięczność i t. p.

Na tę słabą stronę swéj pracy przy drugiém wydaniu, które wnosząc z potrzeby i dobrego przyjęcia zapewne nastąpi, szanowny tłumacz zechce zwrócić swą uwagę. Zawsze jednak należy się zasługa tłumaczowi za pracę, którą wzbogacił nasze piśmiennictwo, za dostarczenie młodzieży nowego źródła, z którego obficie czerpać i korzystać może.

W końcu dziełka znajduje się dodatek zawierający niektóre dane meteorologiczne, dotyczące naszéj miejscowości, jako téż słowniczek polsko-rossyjski ważniejszych wyrazów i nazw fizycznych.

To dzieło wyszło nakładem p. Frühlinga.

S. P.

Początkowe wiadomości z chemii napisane przez A. R. *nauczyciela szkoły realnéj. Warszawa.* 1853.

Pod tym tytułem nakładem Błaszkowskiego wyszło dziełko obejmujące wstępne pojęcia do chemii, prawa dotyczące siły powinowactwa,, zasady nomenklatury, a następnie własności i sposoby otrzymywania metaloidów i ważniejszych metali, jako téż ich połączeń. Ten treściwy zarys chemii nieorganicznéj odznacza się jasnością, zwięzłością wykładu, a pod względem zakresu odpowiada programatowi téj nauki w średnich naszych zakładach naukowych; nawet jak dobry zarys przy dopełniającym wykładzie ustnym może być wielce pożyteczny dla uczących się chemii obszerniéj.

Dziełko niniejsze i pod tym względem zasługuje na uwagę, że może posłużyć niejako za dowód upowszechniającego się u nas przekonania, o potrzebie zgodzenia się, ustalenia już raz przecie, nomenklatury chemicznéj polskiéj.

Autor, zdaje się, należy do grona osób, które uznawszy krzyczącą potrzebę jednostajności nazw, używa nazwisk zgodnych z projektowaną nomenklaturą przez większość osób, które raczyły przyjąć udział w téj ważnéj pracy dla postępu nauki chemii i piśmiennictwa chemicznego w kraju naszym.

Sądzimy przeto, że za to dziełko zalecające się i językiem i wykładem (1), młodzież winna jest wdzięczność nieznanemu autorowi.

S. P.

(1) Zrobić tu wypada małe sprostowanie. Czarkowy zarzucona kopalnia siarki w Królestwie, nie leży nad granicą Szlązka, ale w dolinie rzeki Nidy, o parę wiorst od Wiślicy.

ROZMAITOŚCI.

Wyjątek z listu z Dorpatu.

.....A na piérwszém miejscu muszę tu wspomnieć Karola Gutzkowa tragedyą w 5 aktach, pod nazwą „Uriel Acosta (Lipsk, 1853), zasługującą istotnie na nazwisko arcydzieła. Treść sztuki, w krótkich słowach, jest następująca. W roku 1640 synagoga żydowska w Amszterdamie wyklina, jako niegodnego członka, młodego Uriela Akostę, izraelitę, za napisanie książki treści filozoficznéj, w któréj śmiało rozwinięte pojęcia wprost sprzeciwiają się zasadom starego zakonu i talmudu. Po długiéj, rozpaczliwéj walce uczuć serca syna, brata i kochanka, z przekonaniem rozumu ognistego myśliciela; w końcu wzgląd na starą matkę, którą apostazya jego o śmierć może przyprawić; na braci jeszcze nieletnich, którym to zawczasu sprowadza w gminie, a nawet w całéj żydowszczyznie, hańbę i nieszczęście, na kochankę, dawną swą uczennicę (córkę bogatego kupca żyda), od któréj anathema na wieki go odłącza: wszystko to zwycięża odwagę Uriela i zniewala go do publicznego w bóżnicy odwołania tego, co niegdyś napisał. Krok ten wszelako szkodzi mu raczéj niżeli pomaga: podczas pokuty, którą w kościele przez czas jakiś odbywa, matka ze zgryzoty umiera; Judyta zaś (kochanka) dla wyratowania majątku swego ojca (ubóstwiającego piéniądz) oddaje swą rękę młodemu, ale tylko zmysłowemu Ben Jachajowi, którego nie kocha. W sam dzień ślubu, wprost z bóżnicy, nadchodzi do nich Uriel, ale Ben Jochaj nie tryumfuje nad swym współzawodnikiem: bo Judyta umiera z zażytéj trucizny, a konając wieniec swój ślubny do nóg Akosty składa. Uriel zawiedziony we wszystkich nadziejach, nie mogąc już żyć dla serca i tak stroskanego, a od prawdy i nauki, których się wyparł, tylko odepchnięcia się spodziewając: wystrzałem swe życie zakończa..... Główna zaleta téj tragedyi nie leży tyle w wła-

ściwém działaniu, nawet nietyle w charakterach działających osób, jak raczéj w wielkich tyczących się całéj ludzkości myślach, które już same przez się mają wartość niewzruszoną, a tém bardziéj porywają, gdy kto tak mistrzowsko jak Gutzków przedstawi je nam splecione z życiem pojedynczém i zbiorowém. To téż, jakie ogniste, jakie głębokie słowa Uriela, gdy w zapale zapomniawszy o przedsięwzięciu odwołania swych zdań, w osobie rabinów ściera się ze światem spleśniałych pojęć! Jakiéj sztuki potrzeba pisarzowi, aby w takich miejscach nie przejść w deklamacyą, a Gutzków uniknął tego niebezpieczeństwa, jak równie nawet zwyczajne sceny spokojnego życia powlec umiał ujmującym urokiem poezyi. Nie przeto, iżby brakowało prawdziwie dramatycznych położeń. Jakież silne wrażenie sprawia ta scena, gdy wobec licznego zebrania w ogrodzie Manassego Vanderstraten (ojca Judyty), rabin (de Santos) w towarzystwie czterech rabinów, przy odgłosie ponurym rogów poświęconych, odczytuje wydane przez synagogę przekleństwa, na obecnego tamże Uriela, i temi słowami je zakończa:

Jakoby ślepy
Napróżno pukać będziesz o przytułek.
Przekleństwo ręce, która cię podeprze!
A skoro padniesz, niechaj się rozstąpi
Ziemia, pochłonie cię jak Abirona!

WSZYSCY *(z pochyloną głową).*

Biada!

SANTOS.

Kościół odpycha, wyklina wraz z tobą
Ciało, co cię zrodziło.

URIEL.

O matko!

SANTOS.

Przeklęty,
Ktoby się ważył bratem swym cię nazwać.
Niech zamrze wszystko, czegobądź się dotkniesz!
Daremnie łaknąć będziesz za miłością,
Już cię niewiasta nigdy nie pokocha.

JUDYTA *(śmiało występuje na środek).*

Kłamiesz, rabinie!

Niemniéj piękne jest to miejsce, gdy Uriel wzruszony prośbą matki, płaczem kochanki, idzie do bóżnicy odwołać swe słowa, a Judyta patrząc za oddalającym się mówi:

„A głos tajemny groźno mi powiada:
Zawszeż kobieta, od świata początku
Przeznaczona, by męża czyny poniżała?

Wzrok jego taki martwy, taka drżąca ręka!
(rzuca się do okna i woła na ulicę)
Stój Urielu! już nie chcę ofiary.
Nie! nie! wracaj! Zapóźno, nie słyszy!
O Boże!"....
(pada bez przytomności)

Straszna to scena, gdy Akosta, odczytawszy w synagodze wobec zgromadzonéj gminy, prawie w obłąkaniu, akt odwołania i żalu, dowiaduje się od lekarza (Silva) o śmierci matki i zaręczynach kochanki. Z obłąkanym wzrokiem, w rozpaczy rzuca się Uriel w objęcia Silvy wołając:

Dla dwojga trupów śmierć sobie zadałem.
Zbyt śmiertelnemi Silvo, są śmiertelni.

RABIN SANTOS.

Zakończ pokutę, świątyń wichrzycielu!

URIEL.

Pokutę? słuchaj! *„a jednak się rusza"*

SILVA *(na stronie)*.

Słowa Galileą?

W ostatniéj scenie tragedyi jakże rzewne jest następujące miejsce:

URIEL *(do Jochaja męża Judyty)*.

Patrz dumny kochanku:
Za prosty weksel kupiłeś to serce,
Ale przed wyjściem, jużeś się oszukał!

JOCHAJ *(zgnębiony)*.

Trupa poślubiłem!

MANASSE.

Ratuj, de Silva!

SILVA.

Zapóźno szwagrze! sztuka nie poradzi.

JUDYTA.

Widzisz Akosto! wszak ty nie myślałeś,
Iżby ta dusza, którąś tak wychował,
Nie znała ofiar prawdziwéj miłości?
Ojciec mój ocalony, lecz za taką cenę!
(zdejmuje wianek mirtowy)
O! piękne były moje o życiu marzenia!
Słodki sen mój majowy, pełen kwiatów woni,
Lecz szybkie przebudzenie! Żegnam cię ojcze.
Wybacz serca mego tę miłą ofiarę!
(podaje wianek Urielowi)
Ten wianek, jedyny! do ciebie należy.
(pochyla się i umiera)

Kończą dramat cały te słowa, przez lekarza Sylwę wyrzeczone:

Nie to w co wierzym, zwycięża Santosie,
Lecz to jak wierzym, to musi zwyciężyć.

Ten sam Sylwa lekarz (żyd) wyrzucał Urielowi: że w swéj książce zbijał zasady, które mu dawniéj Sylwa jako nauczyciel podawał. Na to Uriel odpowiada w te słowa:

Myślenia możnaż się uczyć de Silwo?
Czyliż w obszarach najwyższéj nauki
Mistrza i ucznia rozróżnić potrafisz
Tam, gdzie myśl każda, jako z krwi Ajaxa
Kwiat ów cudowny, z méj duszy wyrasta?

Dwa główne charaktery dramatu, jak łatwo pojąć, są Uriel i Judyta; i jeżeli nie z większém, to przynajmniéj z równém prawem możnaby całemu utworowi Judyty imię nadać; a szczerze mówiąc, charakter jej lepiéj mi się podoba niż Akosty. Urok idealności jest w niéj połączony z prawdziwie ludzką kobiecą naturą; gdy przeciwnie Uriel obok wielkości idei, które ogłasza, czasami wydaje mi się zamało mężczyzną, zanadto człowiekiem. De Silva, uczony, chcący nauką rozumowaną bronić dogmatów podanych w księgach Stych., to raz umysłem porwany ku zasadom sceptycznym Akosty, to znowu sercem ku wierze swéj gminy, jest bardzo ujmującą i trafnie skreśloną postacią. Stary rabin Ben Alciba, wymagający wiary bezwzględnéj; młodszy rabin Santos, chcący wiary z przekonania, z dowodzenia, na co mu Alciba odpowiada:

Dowody? Santos! Namyśl się! Dowody?
Daj pokój nie dręcz chorego człowieka!
Jak można, w co się wierzy, to chcieć dowodzić!
Dowodem słońca jest już to, że świeci;
Dowodem ognia jest już to, że pali,
Dowodem Thory (*) że wpisana w księgi!

Obie figury rabinów do końca wybornie przeprowadzone i w swoim rodzaju wzbudzają sympatyą; nie można tegoż samego powiedzieć o Vanderstratenie (ojcu Judyty): sercem jego giełda i piéniądz, reszta wynikiem. Żyje wspaniale, bo mu majątek pozwala, w willi swéj proteguje sztuki, bo to pochlebia jego dumie, i jest półmędrkiem, bo się uważa za mędrszego od innych; ale w mieście chodzi do bóżnicy codzień, bo nie chce psuć sobie opinii; samą nawet córkę więcéj podobno z dumy niż z prawdziwego przywiązania kocha. Ztémwszystkiém charakter bardzo prawdziwy.....

S. J.

(*) Thora, stary zakon po hebrajsku.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Upraszam redakcyą Biblioteki Warszawskiéj, aby umieścić raczyła w swém piśmie załączone tu sprostowanie Notatek G. J. L. Tenże autor nie ma nic wspólnego z zmarłym w roku 1832 generałem Janem Lipskim obywatelem w Wielkiém Księztwie Poznańskiém. Szanowny ten weteran licząc przeszło lat dziewięćdziesiąt wieku swego, zakończył był swe doczesne życie z tak wielkiém tegoż zgonu ogólném w kraju pożałowaniem, że nader w liczném gronie obywatele ze wszystkich stron Wielkopolski, czyli teraz Wielkiego Księztwa Poznańskiego zjechali się i przybyli w liczbie kilkuset na obrzęd żałobny pogrzebu. Tenże odbył osobiście i celebrował w assystencyi licznie przytomnego duchowieństwa, czcigodnéj pamięci arcybiskup gnieźnieński, w Bogu spoczywający ksiądz Marcin Dunin. Z uczestnictwem członków familii oddając obywatele ostatnią cześć temu szanownemu i ukochanemu starcowi, i oraz najstarszemu weteranowi, złożyli jego zwłoki doczesne, niosąc je z głębokim smutkiem na swych ramionach do grobu familijnego, kościoła parafialnego czerniejewskiego w Wielkiém Księztwie Poznańskiém.

Zamek czerniejewski, d. 17 lipca 1854 r. *Hr. Skórzewski, prawnuk.*

* * *

Znajdujące się w Bibliotece Warszawskiéj notatki G. J. L. z lat 1775—1778, ze starego rękopismu zebrane, nie są to one znanego tu nam wszystkim i poważanego w Wielkopolsce generała Jana z Lipego Lipskiego, lecz innego Lipskiego, o którym niżéj wspomnę.

Stronnica druga w przedmowie uczonego wydawcy J. I. Kr... mówi: że autor tych notatek był jurystą facyendarzem, plenipotentem możnych; daléj sam autor mówi, że w sądownictwie czyli w palestrze dosługiwał się od najniższego stopnia, że miał zamiar swego syna w jakimsić miasteczku za Warszawą umieścić na urząd niższy od podsędkostwa:—to wszystko oznacza, że te notatki nie są generała Jana Lipskiego, gdyż tenże nie sprawował żadnych urzędów sądowych powiatowych za Warszawą, tylko jako dziedzic dóbr ziemskich znacznych, przemieszkiwał w tychże w Wielkopolsce.

Jan generał Lipski, był synem Prokopa z Lipego Lipskiego, obożnego wielkiego koronnego, kawalera orderu Orła Białego, i wojewodzianki Teressy Dębskiéj. W młodym wieku,

mając lat dwadzieścia dwa, był już rotmistrzem w pułku ojca swego obożnego koronnego. W tym stopniu przebywał lat kilka na dworze księcia Karola saskiego, syna Augusta III, który książę Karol zamieszkiwał długo w Warszawie, będąc pretendentem do księztwa kurlandzkiego; towarzyszył temuż w różnych podróżach i nabrał na dworach księcia i ojca jego, naówczas króla polskiego, tego poloru dworsko-światowego, który go oznaczał w towarzystwie. Późniéj około roku 1780 dostał pułk kawaleryi ordynacyi Ostrogskiéj, z patentem na generała-majora. W tymże pułku był audytorem-kapitanem znany wierszopis Marcin Molski, późniéj pułkownik, który był przełożonym w kancelaryi generała Lipskiego. Gruntownie posiadali język polski, pisma i listy wszystkie generała Jana Lipskiego odznaczają się piękną i dobrą polszczyzną, i pewną godnością w wysłowieniu się i w piśmiennictwie. Te zaś notatki są bardzo rubasznym stylem pisane, często łaciną nadęte, z przysłowiem „tandem“ oznaczają człowieka w piśmie pospolitego, jurystę, potrzebującego gotowizny i mającego natłok interesów księżny S. jako jéj plenipotenta; i które to interesa czyniły mu wiele trudów, facyend, podróży i zakłóceń.

Generał Jan Lipski, pan znacznego majątku swego i oraz żony Maryanny z Koźmińskich, któréj matka była Radomicka wojewodziną poznańską; nie potrzebował tych wszystkich trudów plenipotenta, na wózku życie przepędzającego, brać wynagrodzenia pieniężne, kiedy posiadał sam majątek kilku-milionowy, znany zresztą z wysokiego stanowiska, jako jego ojciec obożny wielki koronny posiadał, i z koligacyi znacznéj, oraz i ze strony matki; gdyż jéj siostra była za księciem Lubomirskim. Przeto wcale nie są te notatki generała Jana Lipskiego, tylko być mogą innego generała Lipskiego, Józefa czyli Jana, który przebywał w Wielkiejpolsce od roku 1770 do około 1780, jako plenipotent księżny S. jurysta, a w ostatnich latach jego tu bytności, generał. Był on dziedzicem lub zastawnikiem dóbr Podstolic, w powiecie wrzesińskim, z tychże się wyprowadził około roku 1780 do Warszawy, lub za Warszawę, zkąd zapewne był przybył do Wielkopolski.

Jeżeli wspomniane są w konotatkach dobra Czerniejewo i Trzebina, może w rękopiśmie były wydarte lub zatarte stronnice, a gdy chciano złożyć i dopisać miejscowość zamieszkania autora notatek, wzięto zapewne przezwę dóbr mieszkania generała Jana Lipskiego, więcéj znanego z Czerniejewa, niżeli Lipskiego autora notatek, lecz także generała, a mało dziś pamiętnego w Wielkopolsce; któremu może był pozwolił nasz stary generał polować w znacznych kniejach czerniejewskich. Także i na to uwagę zwracamy: że synowie wielkich dygnitarzy koronnych, nie zaczynali zwyczajnie w ówczasowym wieku od stopnia

pisarka sądowego lub gimejny; a sam autor notatek wylicza na stronnicy 241, że był susceptantem, rejentem, komornikiem ziemskim, pisarzem grodzkim, a nakoniec podsędkiem: czém nigdy nie był generał Jan Lipski, tylko w młodym wieku był rotmistrzem, a późniéj generałem i właścicielem pułku kawaleryi ordynacyi ostrogskiéj. Późniéj jako obywatel ziemski, zakończył swe doczesne życie, szanowany i kochany ogólnie od współobywateli, w dobrach swoich dziedzicznych Trzebiny w Wielkiém Księztwie Poznańskiém, w nader sędziwym wieku, dnia 2 kwietnia 1832 r.

Hr. S.

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

W piśmie czasowém *Gazete des Hôpitaux*, znajdują się ciekawe szczegóły o trucizno-żercach niemieckich; podane do dzienników wiedeńskich przez doktora Tschudi, w następującéj treści:

„W niektórych okolicach niższéj Austryi i Styryi, zwłaszcza w górach oddzielających ją od Węgier, pewna część ludności ma zwyczaj jeść arszenik. Wieśniacy zakupują go pod nazwiskiem *hedri* od przechodzących olejkarzy, szarlatanów i t. p., w dwojakim celu: tojest aby nabrali cery zdrowéj i świeżéj, i nabyli więcéj otyłości.

Zwykle do tego środka ucieka się młodzież wiejska, a zadziwiający jest jego skutek, bo młodzi trucizno-żercy odznaczają się świeżością cery i pozorem kwitnącego zdrowia.

Przytoczę tutaj jeden przykład (mówi Dr. T.) zpomiędzy wielu mi znanych. Pewna dziewczyna zdrowa, ale chuda i blada, dla upięknienia się zaczęła, kilkakrotnie w tygodniu używać arszeniku; po kilku miesiącach zaokrągliła się i utyła, ale zwiększywszy nieostrożnie ilość trucizny, padła ofiarą chęci podobania się, i umarła.

Liczba śmierci, zwłaszcza między młodzieżą z powodu nadużycia arszeniku jest dosyć znaczna. Każdy proboszcz w tych okolicach, może przekonać o wielu tego rodzaju ofiarach, a wypadki mych poszukiwań są bardzo ciekawe. Ponieważ zaś prawa zabraniają posiadania arszeniku, a może i wyrzuty sumienia mówią przeciw temu: trucizno-żercy ukrywają się o ile można z używaniem tego szkodliwego środka, i zwykle dopiéro przy śmierci wyjawiają tajemnicę.

Jeszcze inną korzyść pragną odnieść trucizno-żercy; tojest ułatwić oddychanie przy wchodzeniu na wysokość. Przy każdym dłuższym pochodzie w górach, biorą w usta mały kawałek arsze-

niku i dozwalają mu się powoli rozpływać. Skutek ztąd jest zadziwiający, bo wtedy z łatwością wstępują na takie wysokości, na jakie inaczéj nie mogli się wedrzeć bez wielkiego trudu. Oparty na tém doświadczeniu, dawałem ciecz Fowlera z korzyścią, w pewnych przypadkach astmy.

Ilość arszeniku używana w początkach przez trucizno-żerców, podług zeznania wielu z nich, nie przechodzi wielkości ziarnka soczewicy, co czyni mniéj niż pół grana; ale ją pochłaniają kilka razy w tygodniu; rano na czczo „aby się przyzwyczaić“ poczém zwiększają tę ilość bardzo powolnie, z ostrożnością, w miarę gdy już poprzednia nie działa. Włościanin R. sześdziesiątletni, zupełnie zdrów, brał na raz kawałek blizko cztero-granowy. Od czterdziestu lat używał już arszeniku, ten zaś zwyczaj przejął od swego ojca, a przekaże go synowi.“

* *Działanie amonii na barwniki kwiatów.* P. Filhol zanurzał w roztworze słabym amonii gryzącéj, przez kilka tylko chwil kwiaty białe; ujrzał je zżółconemi, a barwa ta bardzo długo na nich pozostała. Kwiaty *kaliny zwyczajnéj (Viburnum opulus)*, nabrały w skutek tego tak pięknéj barwy, jak *Żarnowiec (Cytisus laburnum)*. Istota żółknąca pod wpływem alkali, zdaje się znajdować we wszystkich kwiatach białych. Wszystkie inne części białe kwiatu, (pręciki, słupki), podobnież się zachowują. Po zżółceniu tym sposobem kwiatu białego, gdy go się zamoczy w wodzie kwaskowatéj, powoli odzyskuje on znowu barwę białą. Gotując listki róży białéj w wodzie przepędzonéj, i dodając do odwaru cokolwiek węglanu sody i nieco siarkanu miedzi; otrzyma się ciecz złoto-żółtą, która może służyć do farbowania na żółto tkanin lnianych i bawełnianych, a barwa tym sposobem nadana jest trwałą. Prawie wszystkie białe kwiaty podobnie się zachowują.

Wystawiwszy na działanie amonii kwiaty czerwone (np. maku), ubarwiają się natychmiast na fiołkowo. Zagotowawszy te kwiaty w wodzie lub wyskoku, otrzyma się roztwór czerwono-fiołkowy, który z kwasami nawet bardzo słabemi zmienia się w szkarłatny. Dodawszy do takowéj cieczy kwaśnéj roztworu amonii, przybierze ona piękny kolor fiołkowy, bez śladu zieloności. Ale gdyby zamiast dodawania amonii do cieczy poprzednio zakwaszonéj, wlano ją do samego roztworu wodnego lub wyskokowego kwiatów; ten roztwór ubarwiłby się na brudno czerwono-zielonawo. Kwiaty *Muszkatelu (Pelargonum zonale,)* także przybierają kolor piękny fiołkowy pod wpływem amonii; ich barwnik tak się zachowuje jak barwnik maczku polnego. Kwiaty rośliny *Pelargonium inquinans* nabierają barwy błękitnéj, bez najmniejszego wpadania w zielone. Koszysko, *Verbena officinalis*, o kwiecie ciemno-czerwonym, nadaje wyskokowi barwę czerwono-fiołkową. Dodawszy amoniii do tego roztworu wyskokowego, przybierze on kolor lagru winnego nieco zielonawy. Nalewając odwaru wyskokowego tych kwiatów, na cokolwiek wodanu glinki suchego i spro-

szkowanego; glinka ubarwi się na żółto, a ciecz na wierzchu znajdująca się, przybierze za dodaniem kwasów kolor piękny czerwony, błękitny zaś bez przejścia w zielony, za dolaniem zasad solnych. Znajdują się więc w powyższym kwiecie dwa ciała oddzielne z których jedno błękitnieje z kwasami, a drugie z niemi żółknie. Przez zmieszanie się tych istot, powstaje kolor zielony wyciągu wyskokowego tych kwiatów. Kwiaty piwonii czerwonéj *poeonia rosea* za zetknięciem z amonią błękitnieją, a nagle się odbarwiają przez wyskok, roztwór zaś powyższy wyskokowy jest mało zafarbowany; ale nabiera barwy mocnéj ciemno-czerwonéj, za dodaniem najmniejszéj ilości kwasu. Płyn zakwaszony w zetknięciu z amonią błękitnieje; rozwtór zaś wyskokowy, nie zakwaszony, przybiera barwę zielonawą.

Kwiaty różowe, (czerwone) zawierają mieszaninę dwóch soków z których jeden jest bezbarwny w cieczach kwaśnych, a drugi różowy. Piérwszy z alkaliami żółknie, drugi zaś błękitnieje, a mieszanina obudwóch kolorów wydaje dostrzegany kolor zielony. Z powyższemi danemi, łatwo już naprzód przewidzieć jaką barwę przybiorą kwiaty różowe lub czerwone, po wystawieniu ich na działanie pary amoniakalnéj. Kolor zielony tém bardziéj w żółty przechodzić będzie im różowy jest bledszy; zmienia się zaś w błękitny, gdy kwiat będzie ciemniejszy.

To co się powiedziało o kwiatach różowych i czerwonych, da się zastosować i do błękitnych. Dosyć bowiem uważać odcienia kwiatów błękitnych, których nabierają pod wpływem amonii roztworzonéj wodą; aby się przekonać, że kolor zielony wywiązujący się, tém będzie żółciejszy, im kwiat był bielszy.

Wytrawiając wspólnie w wyskoku lub wodzie, kwiaty kosaćców (*Iris*), fiołków, piwonii, i t. p., roztwór będzie cokolwiek ubarwiony. Jeżeli doleje się do roztworu małą ilość słabego kwasu, powstanie kolor mocno czerwony. Czemuż więc przypisać brak zafarbowania w piérwszym przypadku? Podług P. F. odfarbowanie pochodzi z mieszaniny soku zawartego w komórkach bezkolorowych z sokiem komórek kolorowych; gdy wyskok lub woda wrząca wlewa się na kwiat, niszczy się jego organizacya, soki które były zamknięte w osobnych komórkach mieszają się i barwnik niknie. Jako dowód tego co powiedziano, przytacza P. F. następne doświadczenie. Wziąwszy dwie równe objętości jednego roztworu, czy to wodnego, czy wyskokowego kwiatu piwonii, słabo zakwaszone; roztworzywszy jeszcze jeden z nich czterema objętościami wody, a do drugiego dodawszy cztery objętości nalewu z kwiatów białych, spostrzedz można, że ta ostatnia ciecz będzie mniéj ubarwiona niż druga. Soki białe pszeszkadzają przeto ubarwianiu. Nie działają zaś jako zmieniające barwę, ale poprostu tworzą połączenia bezbarwne. (*L'Institut* 2 *Août* 1854).

J. B...a.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1854.

68. Krótki rys historyi powszechnéj dla początkującéj młodzieży; z trzema krajobrazami (.) Podług S. Smaragdowa ułożył P. Skrzypiński nauczyciel Gim. Real. Warsz. Wydanie drugie poprawne. 12ka. Warszawa. 1854. Druk J. Ungra. Str. IX. i 326. Kop. 75.

69. Książeczka in 16mo bez tytułu i nazwiska autora. 16ka. Wilno. 1854. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Kart 3 i str. 106. Kop. 50.

70. Nowa Mnemonika czyli sposób ułatwiający naukę języków obcych, tudzież spamiętanie imion własnych i cyfr w jeografii, statystyce i t. p. Ułożył W. Dawid. 8ka. Warszawa. 1854. Druk J. Ungra (nakład autora). Str. 30. (Od str. VII znaczono arab. liczbami). Kop. sr. 40.

71. Rękopism X. Bagińskiego Dominikana Prowincyi Litewskiéj (1747—1784 r.). Wydany przez Eustachego Tyszkiewicza. 8ka. Wilno. 1854. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. 166. Kop. 75.

72. Wykład obrzędów i religijnych zwyczajów rzymsko-katolickiego kościoła, ze względu na ich duchowne znaczenie; zebrany i ułożony przez ks. Jana Ludwika Łunkiewicza Pijara. Z godłem:

Nihil innovetur, quod traditum est, servetur.
Stephanus Papa.

Wydanie drugie. Wilno. 1854. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. XX i 424. Rsr. 1 kop. 50.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Zapowiedzianego dzieła „Cmentarz Powązkowski pod Warszawą" K. Wł. Wojcickiego druk już się rozpoczął, jak równie odbijanie rycin w litografii M. Fajansa.

— J. I. Kraszewski nadesłał tom 3 i ostatni powieści: „Chata za wsią", i takowy w naszém piśmie p. n. wydamy.

— Gazeta Codzienna ogłosiła programmat literacki, że umieści w ostatnim kwartale b. r. wyjątki z Ikoneteki J. I. Kraszewskiego, oraz artykuły tegoż autora w rodzaju znanych jego typów i pamiątek; Zygmunta Kaczkowskiego powieść historyczną z czasów Augustowskich; dalszy ciąg listów krytycznych M. Grabowskiego, i filozofią praktyczną Ignacego Chodźki.

— Dziennik Warszawski ogłosił, że po ukończeniu powieści Pauliny z L. Wilkońskiéj p. n. „Różni ludzie", umieści następnie powieść J. I. Kraszewskiego p. n. „Trapezologion" i powieść Włodzimierza Wolskiego w 3 tomach: „Uśmiech losu".

— M. Fajans w zakładzie swoim litograficznym wykończa obecnie kalendarz ścienny chromolitografowany 12 kolorami, w formacie arkuszowym. Dotąd tak ozdobnego i w przepysznem wydaniu nie mieliśmy kalendarza. Ramy jego stanowiące całość, przedstawiają rok nowy w postaci świeżo urodzonego niemowlęcia, na środku już ta dziecina zdaje się zapowiadać szczęście i wesele; rok skończony w postaci starca pochy-

lony wiekiem zdąża w wieczność. Z jednéj strony u dołu grono wieśniaków zaprasza pana na wesele, i częstują się radzi; z drugiéj obrzęd sobótek jak dziarska wiejska młodzież skacze przez rozniecone stosy ognia. Wszystkie święta uroczyste odbite kolorem wydatnieją na piérwszy rzut oka. Na odwrotnéj stronie kalendarza, będą wiadomości drukowane, jako: ruchu poczt, kolei żelaznéj i statków parowych. oraz święta, dnie galowe i t. p. podręczne wiadomości. Wtymże zakładzie oglądaliśmy kartę tytułową do Opisu Cmentarza Powązkowskiego, kompozycyi p. Fajansa, odpowiadającą treści tego dzieła.

— Do Księgi Świata H. Merzbacha już ukończonym został dokładny przerys posągu Stefana Czarnieckiego w Tykocinie. Rysował z natury W. Gerson, a p. Adolf Dietrych rył na cynku i odbił w swoim zakładzie. Obszerny życiorys Stefana Czarnieckiego, do którego powyższy przerys posągu ma być dodany, napisał P. Jenike.

— Drukarze warszawscy pp. Jaworski i Unger rozpoczęli druk swoich kalendarzy. Reformę w kalendarzach naszych i podniesienie ich do wartości literackiego dzieła rozpoczął u nas K. Niezabitowski Kalendarzem Powszechnym, gromadząc do niego prace znakomitych pisarzy; podniósł wyżéj jeszcze, nietylko co do wewnętrznéj wartości, ale i w ozdobie, rzec można, przepychu typograficznym Stanisław Strąbski, któremu zawdzięczać musiémy udoskonalenie sztuki drukarskiéj. On piérwszy zakładem swoim stanął obok najlepszych typografii zagranicznych, a wydanie ozdobne, druki czyste i piękne nawet, zmusiły innych właścicieli drukarń warszawskich do przyjęcia zbawiennych reform w téj sztuce. Kalendarz St. Strąbskiego naśladował J. Unger, za niemi w ślad poszedł Jan Jaworski. S. Orgelbrand w mniéj ozdobném wydaniu prowadzi daléj Kalendarz powszechny (dawniéj K. Niezabitowskiego), który zaleca się doborem literackich artykułów.

— Stanisław Jachowicz zbiera zasoby do wydania Noworocznika, i wezwał do pomocy wszystkich znakomitych pisarzy, którzy zapewne tyle zasłużonemu w literaturze współudziału swego nie odmówią.

— Zmarły Kazimi0rz Lux zostawił pomiędzy licznemi rękopismami: „Opis wyspy St. Domingo" podług notat w 1806 r. na miejscu pisanych. Pracę tę wkrótce podamy w następnych zeszytach.

— Powieść K. Wł. Wójcickiego, z któréj podaliśmy wyjątki z tomu 1go, wkrótce wyjdzie w całości z druku.

— Trzeci poszyt „Pamiętnika sztuk pięknych" pod redakcyą Bolesława Podczaszyńskiego, po trzech-letniéj przerwie opuści wkrótce prasę drukarską. Poszyt ten zamyka tom 1 dzieła tego.

— Nakładem B. M. Wolffa w Petersburgu, rozpoczęty został druk nowego wydania, ogłoszonego staraniem arcybiskupa Hołowińskiego „Żywotów Świętych" Skargi w 2 tomach w 8ce. Oddzielny prospekt uwiadomi o wyjściu tego dzieła. Jednocześnie rozpoczęty został także druk: Historyi powszechnéj kościoła katolickiego ks. Alroga professora seminaryum poznańskiego, a tłumaczony przez ks. Soc pijara, przejrzanego i dopełnionego przez ks. Krasińskiego kanonika wileńskiego, w 3 tomach.

— Księgarz G. Sennewald wydał dziełko p. n. „Biblia dla dzieci" albo historya skrócona starego i nowego testamentu, opowiadana dzieciom od ośmiu do dwunastu lat przez ks. M. de Noirlieu, przekład z francuzkiego przez I. H. 1855. Jestto popularny wykład stylem jasnym i prostym pisma świętego, a w domowém wychowaniu dziatwy wielce użyteczny.

— W Poznaniu w ozdobném wydaniu wyszedł przedruk poematu Andrzeja Zbylitowskiego z piérwszéj edycyi w Krakowie r. 1597 p. n. „Żywot szlachcica na wsi". Wiadomo, jak są wszystkie pisma obu Zbylitowskich tak Andrzeja jak i Piotra rzadkie: przedruk ten upowszechnia jeden utwór naszego poety z czasów Zygmunta III, rzec można, że mało komu znany. Obszerniéj o nim oddzielnie powiemy.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIÉM.

Sierpień, 1854.

Sierpień, 1854. **Dostrzeżenia Meteorologicz**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkic
1g. 14m.45s., 7 czyli w łuku 18°4

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy			
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	god
1	☽.	750.91	749.87	747.50	747.01	+ 14 .7	+ 21°.0	+ 23°.9	+
2		746.47	746.76	745.27	742.76	16.6	20.9	26.3	
3		740.50	742.92	744.14	745.68	18.8	20.3	21.8	
4		747.38	748.13	748.00	748.66	15.2	20.0	23.5	
5		749.01	749.18	748.86	749.30	15.5	21.4	21.2	
6		750.16	750.71	750.33	750.91	15.4	23.2	17.7	
7		750.80	751.12	750.07	750.08	14.5	19.6	24.6	
8	☺.	748.27	747.88	745.64	745.03	15.2	21.6	19.8	
9		745.22	745.92	746.49	749.35	15.6	17.5	22.5	
10		750.47	751.40	750.56	750.31	14.2	17.6	24.0	
11		749.09	748.82	747.59	747.82	14.6	21.7	25.6	
12		747.84	748.94	748.99	751.11	15.5	22.8	24.0	
13		752.85	755.25	754.60	754.97	16.5	19.3	23.5	
14		755.30	755.69	754.78	754.78	17.6	23.7	26.0	
15	☾.	754.38	754.11	752.10	751.90	17.6	22.6	27.3	
16		751.42	751.37	751.18	751.23	17.3	25.0	21.1	
17		751.43	750.41	751.92	753.35	16.9	21.0	15.1	
18		753.65	753.50	752.39	749.05	11.8	19.6	19.1	
19		744.46	744.95	744.89	744.34	13.8	14.6	13.9	
20		746.26	747.95	748.92	749.82	12.2	15.1	16.4	
21		750.18	750.82	750.60	751.59	11.8	15.7	18.4	
22		752.09	752.37	751.31	751.11	12.2	18.9	23.7	
23	♈.	750.76	759.87	750.32	752.07	13.1	20.2	24.6	
24		753.62	754.50	753.33	752.41	14.2	17.4	21.0	
25		748.63	748.45	748.78	749.92	14.2	19.0	16.2	
26		750.72	751.70	751.17	751.68	11.8	16.1	16.1	
27		751.26	752.18	752.42	752.89	12.0	13.7	16.1	
28		752.24	751.79	751.37	752.28	13.5	16.7	18.6	
29		752.29	752.64	751.81	751.74	12.4	16.9	19.7	
30		751.82	752.65	753.43	754.39	12.0	16.5	19.6	
31	☽.	754.68	754.03	753.15	752.63	10.0	15.2	21.4	
śre.		750.134	750.545	750.064	750.328	+ 14°.41	+ 19°.19	+ 21°.05	+ 1

...watoryum Astronomiczném Warszawskiém.

...ziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie ...wschód względem południka paryzkiego.

	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
	6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé-szczu	śnie-gu
5	lek. zamat.	smugi	pochmurny	dészcz	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.	4.4	
7	pogodny	chm. miejs.	pr. pogodny	pochmurny	PdZ.	Z.	PdZ.	PdW.		
0	pochmurny	napół pog.	pochmurny	pr. pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.	9.3	
5	pogodny	pr. pochm.	napół pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	—		
0	pr. pochm.	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	—	—	PdW.	Pd.	1.2	
0	smugi	lek. pochm.	dészcz	napół pog.	W.	—	PnZ.	PnZ.		
3	mgła gęsta	pr. pogodny	lek. pochm.	lek. pochm.	—	—	—	PnW.		
7	lek. pochm.	pochmurny	dészcz	pochmurny	PnW.	PnW.	PdW.	PnW.	2.0	
0	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	PnZ.	21.1	
3	pochmurny	pochmurny	napół pog.	pogodny	PnZ.	PnZ.	Z.	Z.		
5	pogodny	smugi	napół pog.	pogodny	Pd.	PdW.	PdW.	PdW.		
5	pogodny	smugi	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	PnZ.		
2	mgła	pochmurny	lek. pochm.	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	—		
	pr. pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	W.		
	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
	lek. pochm.	napół pog.	lek. pochm.	pochmurny	PdW.	PdW.	Z.	Z.	4.8	
	pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	pogodny	Z.	PdW.	Z.	Pd.	5.8	
	pog. mgła	lek. zamat.	pochmurny	pochmurny	PdW.	Pd.	W.	PnW.	2.8	
	dészcz	pochmurny	dészcz	dészcz	PnW.	PdW.	PdW.	Pd.	17.4	
	pochmurny	pochmurny	poch. dész.	napół. pog.	PdW.	Pd.	PdW.	PdW.	1.0	
	lek. pochm.	dészcz	pochmurny	pr. pogodny	PdW.	PdW.	Pd.	W.	2.2	
	pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	—	PdW.	PnW.	PdW.		
	pogodny	smugi	napół pog.	pogodny	PdW.	Pd.	PdW.	Z.		
	pochmurny	napół pog.	napół pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Pd.		
	pochmurny	pochmurny	dészcz	pochmurny	Pd.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	9.6	
	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PdZ.		
	pochmurny	dészcz	napół pod.	pr. pogodny	Z.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	2.4	
	pochmurny	chm. podz.	pochmurny	pogodny	PnZ.	Pn.	PnZ	PnZ.	3.2	
	pogodny	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Z.		
	lek. pochm.	pochmurny	napół pog.	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
	pogodny	pogodny	lek. pochm	pogodny	Z.	Z.	Z.	PdZ.		
									87.2	

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.268	27	8.591
Najwyżéj barometr dochodził d. 14 o g. 10 r.	755.69	27	10.994
Najniżéj — — d. 3 o g. 6 r.	740.10	27	4.261
Średnia zmiana dzienna barometru	2.469		1.094
Największa zmiana dzienna barometru d. 18—19 o g. 6 rano	9.19		4.074
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	0.808		0.358
	749.460	27	8.233
Średnia temperatura sierpnia wynosi:	+ 17°.63 C.	+	14°.10 R.
i ta jest niższa o od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	0.46 „		0.37 „
	+ 18.09 „	+	14.47 „
Największe ciepło było d. 15 o g. 4 w.	+ 27.3 „	+	21.84 „
Najniższa temperatura była d. 31 o g. 6 r.	+ 10.0 „	+	8.00 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.913 „		1.530 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 6—7 o g. 4 w.	6.9 „		5.52 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 22°.0 R. d. 12 po połud.
Minimum: + 7°.2 „ d. 31 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 78.5 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 11.80 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blizko o 0.05 większa od normalnéj.

Ilość wody spadłéj z dészczu wynosi co do wysokości: 87.2 mil. czyli 38.66 lin. par.; ilość ta wody jest o 6.39 lin. par. większa od téj, jaka średnio w sierpniu u nas spada.

Dni pogodnych było 6, napół pogodnych 5, pochmurnych 20.
— dészczu 18 (d. 1, 2, 3, 5, 6, 8, 9, 13, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 25, 26, 27, 28).
— mgły 3 (d. 7, 13, 18).
— grzmotów 8 (d. 2, 3, 5, 6, 8, 9, 16, 17).
— błyskawic bez grzmotów 5 (d. 2, 3, 16, 17, 18).
Wichrów było 3 (2 PnZ., 1 Z.).
Wiatrów mocnych 11 (5 PnZ., 3 Z., 2 Pd., 1 Pn.).

Wiatr panujący południowo-wschodni, częste były zachodnie i północno-zachodnie.

Sierpień r. b. był niepogodny, wietrzny, wilgotny, słotny, w dészcz obfity; w piérwszéj połowie ciepły, w drugiéj chłodny, o 0,4 stop. R. chłodniejszy niż zwykle. Dni najcieplejsze były: d. 2, 11, 12, 13, 14, 15, 16; najchłodniejsze d. 19, 20, 21, 26, 27. W piérwszéj połowie miesiąca w czasie dni gorących grzmoty i błyskawice były częste. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był niepogodny, gdyż w stanie średnim stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 7:13, 4:10,6; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 6:5:20. Wichry i wiatry mocne były częste.

D. 2, 14, 15 pokazywała się jedna tylko mała plama na słońcu.

D. 27 o godz. 5 min. 25 wiecz. widziano tęczę słabą.

CMENTARZ POWĄZKOWSKI

POD WARSZAWĄ,

OPISAŁ

Kazimierz Władysław Wójcicki.

LITOGRAFIJA M. FAJANSA.

Z RYCINAMI A. MATUSZKIEWICZA.

PROSPEKT.

Za wyniosłémi gmachami Warszawy, mamy drugie miasto zmarłych, które większą liczbę mieszkańców mieści, niż ten gród Mazowiecki pełen życia i gwaru. Tam spoczęli snem wieczystym nasi ojcowie i bracia; i przeszło przez lat 60, dzień po dniu, coraz nowe grono powiększa ich poczet — bo obejmuje już z górą 350,000 pogrzebanych. — W tym ogromie, spoczęli ludzie nie małych zasług, co imiona swoje w sercach, myśli, lub dziejach, niestartemi zgłoskami zapisali. Jednych uczczono grobowémi pomnikami i napisami, — drudzy bez śladu w ziemi cmentarnéj spoczywają, w zapomnieniu nawet!

Odgrzebać tych pamięć, co w jakimkolwiek zawodzie poświęcali pracę, zdolności, życie nawet swoje, jest zadaniem niniejszego dzieła. — Wejdą tu w oddzielnych ustępach opisy cmentarzy dawniejszych, jako też i innych wyznań, po za Warszawą.

Opis *Cmentarza Powązkowskiego*, wyjdzie w 12^tu^ zeszytach, a dwóch Tomach i formatu, jak niniejszy prospekt. Obejmie od 40 do 48 arkuszy ścisłego druku, z rycinami. — Prenumerata jest dwojaka: całkowita rsr. 12 za całe dzieło: — lub części réj prenumerator przy otrzymaniu biletu opłaci rsr. 3, — przy każdym zaś następn po rsr. 1; — trzy ostatnie zeszyty mieć będzie wydane bezpłatnie. — Prenumeratorc wincyi za pocztową przesyłkę od całego dzieła, dopłacą kop. 60.

Główny kantor prenumeraty w księgarni G. Sennewalda i w mieszkaniu wy ulicy Miodowéj Nr. 487.

Zeszyt pierwszy wyjdzie w ciągu miesiąca Listopada r. b., następne zeszyty siące najdaléj wydawane będą.

Warszawa, dnia 2 Sierpnia 1854 roku.

K. Wł. Wójci

Wolno drukować.

Warszawa, dnia 21 *Lipca (2 Sierpnia)* 1854 *roku.*

Starszy Cenzor, Radca Dworu, **J. Papłoński.**

---

w Drukarni S. Orgelbranda.

OPISANIE
WYSPY SAINT-DOMINGO

PRZEZ

Kazimierza Luxa.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Poszukując materyałów do życiorysów spoczywających na cmentarzu Powązek zasłużonych mężów, w powierzonych mi papierach przez pozostałą wdowę po ś. p. Kazimierzu Lux b. majorze b. wojska polskiego, znalazłem przygotowaną protestacyą do Biblioteki Warszawskiéj, z żądaniem, aby w tém piśmie umieszczoną została. Żądanie to, gdy obecnie jest popieraném, przeto w całości odezwę pomienioną załączam.

„W zeszytach styczniowym i marcowym z r. 1847, szanowna redakcya zamieściła w swém piśmie wyciąg z pamiętników b. pułkownika Piotra Bazylego Wierzbickiego, obejmujący opis wyprawy legionów do Saint-Domingo. Ponieważ przy ogłoszeniu tém zaszła pomyłka, co do źródła z którego rzeczywiście wyciągi wspomniane czerpane były: błąd zatém tak znaczny sprostować należy. Autorem pamiętników ogłoszonych jest czcigodny ś. p. Kazimiérz Lux b. major wojsk polskich, a w końcu komisarz obwodu przasnyskiego. Swiadek i uczestnik wielkich wypadków historycznych w młodocianym swym i późniejszym wieku, zamierzył ostatnie dni życia poświęcić zgromadzeniu częściowych swych wspomnień, i wiadomości w przedmiocie dla nas najinteresowniej-

szym, a jednak najmniéj nam znanym, zamykającym los i udział ziomków w kampaniach włoskich i wyprawie do Saint-Domingo. Niedowierzając własnéj pamięci, zasięgał pracowicie wiadomości z pism w tym przedmiocie, tak na widok publiczny wydanych, jak i w zaciszach domowych spoczywających; zasięgał zdania, objaśnień i przypomnień dawnych towarzyszów broni, a między innemi i Piotra Bazylego Wierzbickiego b. pułkownika wojsk księztwa warszawskiego.

„Owocem pracy ś. p. Luxa jest ułożona przez tegoż historya legionów, a w niéj zawarta i wyprawa tychże do Saint-Domingo. Rękopism ten własną jego ręką nakréślony, przeszło tysiąc stronnic arkuszowych obejmujący, był zbiorem szacownym wszelkich materyałów, które tylko w lepszą formę przybrać należało. Czuł ś. p. Lux potrzebę i obowiązek poświęcenia swéj pracy ziomkom, nie miał jednak zarozumiałości, a raczéj był tyle skromnym, iż nie chciał prostych swych opowiadań do publicznéj podawać wiadomości: bo jak sam wielokrotnie powtarzał, spędziwszy najznamienitszą część życia w obozach i szeregach walczących, nie czuł w sobie zdolności władania tak piórem, ażeby opowiadania swoje przedstawił nietylko w kształcie zajmującym, ale zarazem i powabnym. Czekał więc sposobności, aby tę długoletnią pracę swoję, właściwém ogładzeniem i zewnętrzną powłoką uzupełnić; i z tego powodu, jak również ze względu, że pułkownik Wierzbicki, obdarzony może lepszą pamięcią, mógł dostarczyć niejakich objaśnień w układaniu wspomnionéj historyi potrzebnych: w zaufaniu dawnego koleżeństwa, powierzył ś. p. Lux pułkownikowi Wierzbickiemu najznaczniejszą część rękopismu swego, bo tysiąc dwie strony obejmującą, która po zgonie ś. p. Luxa w ręku pułkownika Wierzbickiego pozostawszy, w kilka miesięcy zaraz jako pracę tegoż pułkownika ogłoszono w Bibliotece Warszawskiéj.

„Jakkolwiek należy się wdzięczność, że tak mozolnéj pracy kolegi zaginąć nie dozwolił pułkownik Wierzbicki, podając do powszechnéj wiadomości; jednakże niewłaściwie praca ta przedstawioną została w Bibliotece Warszawskiéj jako wyciąg z jego pamiętników. Błąd ten zapewne z prostego nieporozumienia wynikając, zmusza mnie do proszenia redakcyi, aby sprostowa-

nie to w interesie zasad w swém piśmie przyjętych, i dla pamięci zmarłego już autora, ogłosić raczyła: gdyż to będzie jedyny hołd, jaki się rzeczywiście zasłudze i prawdzie należy".

Warszawa, d. 4 lutego 1854 r.

E. z Janiszewskich Lux, wdowa.

Oprócz historyi legionów, zostawił ś. p. Lux w języku francuzkim rękopism, obejmujący drobném pismem 19 arkuszy: p.n. „L'Angleterre. Vue à Londres et dans ses provinces;" z r. 1804.

W polskim zaś: cząstkę (po zatrzymanym rękopiśmie przez pułkownika Wierzbickiego) historyi legionów, i obszerniejszy a zupełny rękopism p. n. „Wyspa Saint-Domingo pod względem statystycznym opisana, według notat porobionych na miejscu 1805 i 1806 roku".

Rękopism ten jako szacowną i zajmującą pracę ś. p. Kazimierza Luxa, za upoważnieniem wdowy składam, celem ogłoszenia w Bibliotece Warszawskiéj.

K. Wł. Wójcicki.

WYSPA SAINT-DOMINGO

pod względem statystycznym

OPISANA WEDŁUG NOTAT POROBIONYCH NA MIEJSCU ROKU 1806.

Tak zwane Zachodnie Indye, tojest wyspy ciągnące się między północną a południową Ameryką na Atlantyckim oceanie, są złożone:

1. Z Antyllów wielkich i małych.
2. Z wysp Bahama czyli Lukajskich.
3. Z wyspy Bermudów.

W poczecie Antyllów wielkich najżyzniejszą i najbogatszą kiedyś była wyspa Saint-Domingo, leżąca na południe i wschód względem Jamajki, na zachód względem Portoriko. Ciągnie się ona między 18^{m} a 20^{m} stopniem szerokości geograficznéj. Ma długości mil francuzkich 160, szerokości w miejscach najwęższych od 30

do 50, a obwodu ze wszystkiemi wyskokami i załomami do sześciuset mil, licząc dwadzieścia pięć na stopień geograficzny. Saint-Domingo, któréj ludność bardzo się zmniejszyła skutkiem zabójczych rewolucyj téj wyspy, a rzadko kiedy dochodziła miliona, ma dziś mieszkańców sześćkroć sto tysięcy.

Góry, pagórki, doliny, równiny czyli savanny, rzeki i lasy, przeplatają się na powierzchni wyspy Saint-Domingo w sposób zachwycający. W jéj środku sterczy góra Cibao na sześć tysięcy stóp wysoka, od téj zaś wychodzą trzy główne odnogi, z których najdłuższa ciągnie się ku wschodowi. Brzegi nadmorskie są poszarpane wieloma przylądkami, cyplami i zatokami. Między zatokami są dwie najznaczniejsze: jedna Leogana na zachodnim, druga Sawana na wschodnim krańcu wyspy.

Z mnogich rzeg największe są: Neira na południowém, Artibonit na zachodniém, Saint-Jacques na północném, Juna na wschodniém wybrzeżu: wszystkie wypływające z gór Cibao. Jezioro Henryka czyli Słone, zwane Laguna Euriquito, lub Etang salé, leżące w południowéj stronie ma trzynaście mil obwodu.

Odkrywca Ameryki Krzysztof Kolumb, dowiedziawszy się od mieszkańców wysp lukajskich, iż ta o któréj mówimy, zawiéra złoto w swém łonie; wylądował na nią dnia 6 grudnia 1492 roku, nazwał ją Hiszpaniola, i wybudował tu małą twierdzę, jako piérwszą osadę Hiszpanów w nowo odkrytéj części ziemi. Przed Kolumbem nazywała się ona Haite (wyspą górzystą) i była podzielona między pięciu kacyków. Późniéj dostała nazwę Saint-Domingo, od swéj stolicy, uświęconéj spoczywającemi w niéj popiołami Kolumba, a leżącéj na południo-wschodniém wybrzeżu.

Pierwotnych mieszkańców téj wyspy, Karaibami nazwanych, około miliona dusz wynoszących, wytępili najsroższemi sposobami Hiszpanie. W miejsce tak wytępionych, zaczęli wchodzić i osiedlać się biali, czarni, a wkońcu kolorowi mieszkańcy; odtąd krew Afrykanów, zakupywanych do uprawy tamtejszych plantacyj, pomieszała się z europejską. Następnie około środka wieku siedmnastego, francuzcy korsarze, nazywani filibustiers, od słowa angielskiego free-booters, czyli niemieckiego frei-beuter, wolni łupiezcy, opanowali

północne wybrzeże. Odtąd Hiszpania i Francya zaczęły nowym mieszkańcom wyspy Saint-Domingo nadawać europejskie języki, obyczaje, prawa, zarząd i handel, a zamiast fetyszu, krzyż, lecz zarazem osobistą niewolę, któréj godłem był bat srogiego właściciela ziemskiego, nazywanego plantatorem, od uprawy ziemi na zasiew, czyli plantacyą kawy, którą najpomyślniéj wydawała ta ziemia, tudzież trzciny cukrowéj, któréj słodkiego wyrobu wywożono kiedyś siedmdziesiąt siedm milionów funtów. Dziś takowych plantacyj, skutkiem okropnych rewolucyj, wywoływanych krzyczącém pogwałceniem praw boskich i ludzkich, prawie nie zna wyspa Saint-Domingo, i tylko wywóz drzewa mahoniowego stanowi jéj główne bogactwo.

Jak we wszystkich Antyllach, tak w Saint-Domingo od czasu wytępienia Karaibów, bywają ogólnie nazywani kreolami ci wszyscy, którzy się tam rodzą. Kreolowie dzielą się na siedm kolorów, z których najpospolitszy z Afryki pochodzący jest czarny, czyli murzyński. Ludzie kolorowi właściwie, tojest środkujący między czarnemi i białemi, winni swój początek związkom rodzicielskim murzynów z białemi. Z ojca białego i matki murzynki, rodzi się mulat lub mulatka. Bieli, czarni i mulaci, są to trzy klassy główne kreolów.

Temi różnokolorowemi zaczęła zaludniać się wyspa Saint-Domingo od czasu, jak wytępionych przez siebie pierwotnych jéj mieszkańców, Karaibów, zastąpili Hiszpanie i ich współdzierżyciele późniejsi Francuzi, dostarczonemi drogą przedaży ludźmi afrykańskiemi, murzynami. Wiecznie sromotne dzieło owego potępienia było spełnione w dość krótkim czasie, bo od roku 1492 do 1533. A lubo wytępionych mogli Hiszpanie bez trudności zastępować murzynami; opuszczali jednak, lub zaniedbywali na wyspie Saint-Domingo kopalnie złota, odkąd im ląd stały Ameryki obfitsze nastręczył.

Ta okoliczność była powodem dla francuzkich filibustierów, że w roku 1630 osiedlili się na téj wyspie w północno-zachodniéj, prawie bezludnéj części. Ich osady wziął w swoję opiekę roku 1660 rząd francuzki, a w roku 1697 zniewolił Hiszpanią do uznania tych osad za jego własność. Traktatem bazylejskim z roku 1795,

odstąpiła Hiszpania Francyi reszty swych posiadłości na wyspie Saint-Domingo, tojest wschodniéj części, któréj stolicą było miasto tegoż imienia. Odtąd, aż do końca panowania Francuzów w Saint-Domingo, była podzielona ta wyspa na pięć następujących departamentów:

1. Departament północy, z miastem głównem Cap-français, portowém i obronném. Inne miasta: Monte-Christo, nad rzeką Saint-Jacques czyli San-Jago; Fort-Dauphin czyli Fort de Liberté miasto nadmorskie; Limbé portowe; Port de paix portowe. Naprzeciw tego ostatniego leży wysepka Tortuga czyli de la Tortue, (żółwia), skalista, bezwodna i bezludna.

2. Departament Samany, z miastem głównem San-Jago, nad rzeką tegoż imienia. Inne miasta: Vega nad rzeką Camon czyli Cameu, wpadającą do Juna Samana, miasto portowe.

3. Departament zachodu z miastem głównem Port-au-prince, dawniéj stołecznem części francuzkiéj przed wcieleniem hiszpańskiéj, leżące w zatoce tegoż imienia. Roku 1770 było zburzone przez trzęsienie ziemi. Inne miasta: Saint-Marc portowe, Mirebelais nad rzeką Artibonite; les Gonaivers portowe w zatoce tegoż imienia, Saint-Jean czyli San-Juan nad rzeką Neiba czyli Neiva.

4. Departament południa z miastem głównem Cayes, portowém, naprzeciw którego leżą wysepki La Vache. Inne miasta: Leogane nadmorskie, Grand-Goare portowe, na tém samém pobrzeżu co poprzednie, Jeremie i Tiberon, obadwa portowe.

Zatoka między temi dwoma departamentami rozlana, jest przedzielona wyspą Gonawe na dwa kawały, to jest de Saint-Marc północny, i de la Gonave południowy.

5. Departament Saint-Domingue z miastem głównem tegoż imienia, leżącém nad zbiegiem dwóch rzek Ozama i Izabella, a które było dawną stolicą części hiszpańskiéj, założoną przez Bartłomieja Kolumba (ten był bratem Krzysztofa) i tak nazwaną na cześć ich ojca Domingo, tojest Dominika, sławna grobem zawierającym popioły Krzysztofa Kolumba. Inne miasta na północ względem tego leżące, są: Monte-plata, Seibo i Baja Guanna.

Te pięć departamentów miały nieledwie odpowiadać pięciu kacykostwom, na które roku 1492 była podzielona Haiti, podczas wylądowania na tę wyspę Krzysztofa Kolumba.

Dopóki wyspa Saint-Domingo dzieliła się na zachodnią czyli francuzką i wschodnią czyli hiszpańską kolonią; tamta słynęła swemi plantacyami i zawiérała ich w końcu ośmnastego wieku 11,500, mieszkańców zaś 500,000; kiedy wschodnia czyli hiszpańska, daleko większa od francuzkiéj, liczyła plantacyj tylko 5,528, a mieszkańców 125,000. Wielkie równiny, kiedyś plantacyami okryte, dziś leżą po większéj części odłogiem lub są rolniczo uprawiane przez rozdrobnionych właścicieli. W dzisiejszéj sześćkroć stotysięcznéj ludności wyspy Haiti, jest mniejsza połowa mulatów, większa czarnych, najmniejsza białych.

W całéj długości przecinają wyspę Saint-Domingo ciągnące się łańcuchem góry, w których łonie spoczywają obfite różnego rodzaju minerały. Z tych gór wypływają mnogie rzeki i strumienie, które w porze dżystéj wylewają i zamieniają się w potoki. W tym stanie unoszą i zabiérają ze sobą ziemię rodzajną i rozrzucają ją po bagnistych płaszczyznach. Te płaszczyzny z poziomem niewiele wyższym od mielizn morskich, zajmują prawie dwie trzecie powierzchni wyspy, a tu i owdzie są zarosłe drzewami manyles, podobnemi do olszyny, i jambes de chien podobnemi do blekociny. Owe po tych płaszczyznach z ziemią rodzajną rozrzucone pożywne rośliny, podczas rzecznych wylewów mokną przez niejaki czas w słono-słodkiéj wodzie, zamieniają się w zgniliznę. Zepsuta tym sposobem woda, zapełnia nory, w których stale przebywają wodno-ziemne płazy, zwane crabes, tak dalece mnożne, że na przestrzeni stopy sześciennéj, można ich naliczyć pięćdziesiąt większych i mniejszych. Skupienie tylu tak pasożytnych a różnorodnych istot, musi koniecznie być zgubne dla zdrowia ludzkiego. Jakoż z błot, o których mówimy, wychodzą wyziewy zgniłe z zapachem smoły, które psują powietrze i stają się przyczyną wielu zaraźliwych chorób. Nadto do tak wilgotnych i zgniłych

miejsc, jest przywiązane niezliczone mnóstwo komarów, i tak zwanych moustiques, owadu od komarów mniejszego, lecz jadowitszego. Ukąszenie jego sprawia dokuczliwy ból, a w miejscu ukąszoném zostawia ślad podobny do oparzelizny sprawionéj ukropem. Tych owadów żywiących się wodą zepsutą i zgniłą, ciągle rosnąca potęga jest niewyczerpaném źródłem zgnilizny, rozlewającéj się naokoło wyspy i zabójczego na organizm zwierzęcy wpływu. I dlategoto wyspę Saint-Domingo nawiedzały owe zaraźliwe choroby, w których czarny naród téj wyspy znalazł najwierniejszego i najdzielniejszego sprzymierzeńca przeciw daleko silniejszym od swoich zastępom francuzkim, na ich wiekuiste ujarzmienie wysyłanym.

Mieszkańcy wyspy Saint-Domingo patrzą na sklepienie niebios prawie zawsze jasne, jaskrawo błękitne; bo tylko niekiedy i to na krótko zaciemnia się dla nich słońce. Bywają tu zresztą poranki lub dnie tak mgliste jak w Europie. Długość dnia oświeconego słońcem jest prawie stała, bo różnica półgodziny w ciągu półrocza, między świtem a zmierzchem, lub między wschodem i zachodem słońca, nie daje się spostrzegać. Koléj przemienności dnia i nocy, lub wschodu i zachodu słońca w Saint-Domingo, odniesiona do takiéjże kolei w Europie, można sobie wyobrazić z tego przykładu, że gdy we Francyi jest godzina 4 i pół, naówczas w Saint-Domingo jest dopiéro 12.

Trudno rozróżnić między sobą pory roku w Saint-Domingo. Te, w których obfitsze deszcze padają, nazywają się zimowe. Takowe deszcze panują około przesilenia zimowego, tojest w miesiącu grudniu. Zresztą deszcze w przeciągu roku padające są zwykle ulewne, mają grube krople, a spadek gwałtowny.

Mieszkańcy gór lub podgórzy części dawnéj hiszpańskiéj, używają zdrowego powietrza. Takiém powietrzem odznacza się najwięcéj równina Saint-Jacques, du Cotuj, i de la Béque, osłonione łańcuchem pomniejszych gór. Najwięcéj jednak wstrzemięźliwości swojéj winni długoletnie i czerstwe życie mieszkańcy tych okolic. Hiszpanie nadto nie opuszczają raz obranych siedlisk, zwłaszcza tych, gdzie jest zdrowe powietrze i umiarkowańsza temperatura, jak to zwykle

czynili Francuzi; są od nich wytrwalsi na upał i obojętniejsi na wszystko. W części francuzkiéj zaledwie jednego sześćdziesięcio-letniego Francuza można było napotkać między stu jego rodakami.

Upał w ciągu roku jest prawie jednostajny. Wszędzie, a szczególniéj na płaszczyznach, atmosferę przepala słońce.

Za ustąpieniem dopiéro słońca z poziomu, zmniejsza się skwar dzienny. Temperatura dzienna dolin i gór o tyle się zmienia, że gdy w dolinach termometr pokazuje dwadzieścia pięć stopni ciepła; na górach pokazuje siedmnaście stopni. Upał powiększa się gdy go nie chłodzą wiatry, które zresztą bez przerwy wieją, i ustępują jedne drugim naprzemian. W porze dziennéj wieje wiatr od morza, a w nocnéj od lądu; ten niekiedy bywa gwałtowny. W braku wiatru, co się rzadko zdarza, upał jest dokuczliwszy. Wiatry stanowią główną różnicę między jedną a drugą porą roku. Wiatr północny ma być najniezdrowszy w ogólności, a południowy dla przychodniów w szczególności. Gdy jeden z takowych wiatrów, zwłaszcza połączony z burzą, nawiedza wyspę; sprawia na niéj i na morzu okropne spustoszenia. Pędzi on na pełne morze ptastwo leśne, nad brzegami rzek i morza przebywające. Gromady ptastwa tak porwanego, pozbawione pokarmu przez kilka dni, a w końcu zmęczone, spadają na wodę, i tam stają się pastwą ryb żarłocznych. Gdy spotkają okręt, siadają na jego masztach prawie martwe. Od téj klęski ratują się papugi, chowając się w gęstwinie krzaków podczas rozhukanego wichru, i tam czepiają się gałęzi dziobem i pazurami. Podobnąż zmyślność okazują perlice (pintades), szukając schronienia w zakątkach.

Wiatry panujące w Saint-Domingo czynią tedy znośnemi upały téj wyspy, zwykłe krajom międzyzwrotnikowym, a nadto czyszczą zgęszczone powietrze. Dla upału dziennego, ludzie ubierają się zazwyczaj lekko; ale przed wschodem i po zachodzie słońca, dla chłodu, kładąc się na nocny spoczynek, trzeba się zabezpieczać właściwém okryciem przeciw zaziębieniu, które bywa przyczyną uporczywych i niebezpiecznych chorób.

Dobroć powietrza zależy od położenia miejsc i jakości wiatrów. I tak: wiatr południowy, bardzo gorący,

przepala żyjące organiczne istoty. Rzadki rok, w którymby nie nawiedziły wyspy burze, często połączone z trzęsieniem ziemi. Ślady spustoszeń sprawionych w miastach i plantacyach przez trzęsienie ziemi w latach 1770 i 1772, przeciągnęły się do roku 1805, w którym, za naszéj tam bytności zatrzęsła się wyspa w piérwszych dniach miesiąca czerwca. Trzy mocne wstrząśnienia, począwszy od godziny dziewiątéj rannéj, nastąpiły w kilka minut po sobie. Za każdém wstrząśnieniem wszystkie sprzęty domowe, stoliki, krzesełka, koziołki z papugami i łóżka obalały się, tak, iż z pokoju trzeba było uciekać na podwórze. Na kilku miejscach rozpadły się równiny, a z ich rozpadlin buchające wyziewy zatruły powietrze i stały się przyczyną okropnéj śmiertelności. Ta najwięcéj dotknęła okolice miast: Port au Prince, i Cul de sac; najmniéj miasto San-Domingo.

II.

Kreolowie i ich podziały.

Mieszkańcy wysp Antylskich w ogóle, a wyspy Saint-Domingo w szczególe, którzy się tam porodzili z rodziców obojga białych, lub z ojca białego a z matki kolorowéj; nazywają się kreolami. Klassy tych kreolów, pod względem na kolor ich skóry, są następujące sześć:

Mulat lub mulatka, jest dzieckiem ojca białego a matki murzynki czyli czarnéj.

Quarteron, jest dzieckiem ojca białego i mulatki.

Griffe, jest dzieckiem ojca białego i matki Quarteron.

Guerssonne, jest dzieckiem ojca białego i matki Griffe.

Mistive, jest dzieckiem ojca białego i matki Guerssonne.

Nakoniec dziecko ojca białego i matki Mistive, jest zawsze białe, tak jak europejskie.

Kreol w tym szóstym i ostatnim stopniu swego pochodzenia z połączonéj krwi europejskiéj i murzyńskiéj, nie zatrzymuje już żadnego piętna, którém się odznaczają poprzedzające pięć stopni, a raczéj sześć, licząc

i czystą murzyńską czyli czarną. Owe pięć stopni poprzedzających biały kolor dziecka po ojcu białym i po matce Mistive, różnią się od tego ostatniego płcią, jużto czarną, jużto miedzianą, od czarnéj zestępującéj po stopniach do białéj, włosami głowy kręcącemi się, ustami dużemi, nosem płaskim, i tą osobliwością, że mężczyzni nie zarastają włosami na brodzie.

Kreolowie biali.

Jak w Europie, tak w Antyllach, i tu więcéj niż tam, natura ludzka jest mieszaniną wad i cnót godnych uwielbienia. Mimo nader złego wychowania, mimo niekorzystnego na moralność wpływu międzyzwrotnikowego skwaru, kreol biały w Saint-Domingo krąsi swe wady i narowy, zaletami i cnotami, jakich niełatwo znaleźć u europejskiéj braci naszéj.

Zrodzony z dobrze zbudowanych rodziców, przynosi ze sobą na świat organizm zwinny i ruchliwy. Dorodna postawa, zręczność w ćwiczeniach, lekkość w poruszeniach, nie opuszczają go w dojrzałym wieku. Natura nie ozdobiła wprawdzie rysów jego oblicza cerą żywości; ale za to napiętnowała je wzniosłością, którą nieświadomy przychodzień może wziąć za dumę. Ta wzniosłość jest wypływem wrodzonego kreolowi uczucia swobody i sprężystéj duszy. Tak usposobieni a zarazem bystrością pojmowania obdarzeni kreolowie, mogliby się odznaczyć w naukowym zawodzie, gdyby z nich wykorzeniono przywarę bezczynności i próżniactwa, a do tego niestałość w charakterze.

Źródłem takowych wad jest złe wychowanie kreolów ogólnie, a najgorsze kreolów białych. Wychowanie tych ostatnich należy do samych matek; te zaś wpajają od dzieciństwa w swych synów, że im wszystko musi ulegać. Trudno oczywiście, aby tacy wychowańcy, postąpiwszy w lata, nie okazywali dumy i zuchwalstwa: mimo to są ze krwi waleczni i nieustraszeni, i miłujący nad życie rodzinną ziemię.

Niestateczność i niepowściągliwość kreolów, opłakują kreolki, ich małżonki; jakkolwiek godne lepszéj doli, doznają w uczuciach miłości zniewagi, kiedy nawet w ich oczach uganiają się ich małżonkowie za ko-

bietami ciemnych, pogardzonych kolorów. Z innéj strony kreol w pięknem występuje świetle tam, gdzie okazać dowody miłości bliźniego nadarzy mu się pora. Wesprzéć i dźwignąć człowieka, przyjąć gościnnie, wykonać czyn poświęcenia się, bez względu na wydatek i trudy, jest zawsze skory kreol. Przyjmując podróżnego w swój dom, nie bada go o naród, stan i ród; ale bezwzględnie podejmuje go jakby swego brata, opatruje go w żywność na drogę, z jednego końca wyspy przeprowadza lub przewozi na drugi, a zawsze mu wygodę lub posługę świadczy.

Wieńcem dobréj natury kreolów jest ta okoliczność, że przychodzień nie trafi w ich siedzibach na zakątek skalany przez nich zdradą lub podejściem nikczemném. Nie zdarzyło się nam przynajmniéj czytać w ciągu naszego na wyspie Saint-Domingo pobytu, imienia kreola między winowajcami, których występki hańbiły ludzkość ogólnie, osadę szczególnie.

Skromne piękności bogatych Antyllów, kreolki białe! Wy mianowicie, których powaby i przymioty zdobiące wyspę Saint-Domingo, łagodziły srogość pięcio-letniego wśród was tułactwa naszego! Wam teraz poświęcę ten ustęp, wywołując z duszy życzenie lepszego wam losu!

Podziwialiśmy w białych kreolkach téj wyspy giętkość organów, zgrabność kibici, wdzięki postawy, zalety ciała, z których Europejki byłyby dumne; zajmujące powaby składnéj twarzy, skromność i ten czar przenikających i czarujących wejrzeń. Gdy jeszcze ze stanowiska miłości bliźniego, którą się głównie odznaczają kreolki, przypatrzymy się tym nadzwyczajnym kobietom; musimy uczuć, pomyśléć i zawołać: że w ich piękne ciało wlał Bóg nierównie piękniejszą duszę. Czułe na głos nieszczęścia, skwapliwe w niesieniu pomocy i ratunku, czyste w miłości, żądają bezwzględnéj dla siebie wzajemności od ukochanych, bo są bardzo zazdrosne. Zdradzone, miejsce ognistéj namiętności zajmuje rozpacz, a czułość zamienia się u nich w odrętwiałość!

Jako do małżonek, najwłaściwiéj do kreolek stosuje się przysłowie Arabów, według którego: większą ma wagę trup nam przytomny, niż przyjaciel nieobecny. Kreolki zbyt prędko dają osychać łzom,

zrazu rzewnie wylewanym nad zwłokami mężów, którzy zasłużyli na ich żałobę i czułość. Na zarzuty przez nas im robione: „Niestety!—temi one odpowiadały nam słowy—cóż innego i lepszego mamy uczynić, kiedy natura powołała nas do życia w pieszczotach, a cnota nasza musi stygnąć, skoro się nie ogrzewa przy małżeńskiém ognisku.“

Zresztą odznaczają się kreolki niepospolitym hartem duszy, i objawiają go przez nieznękany wstręt do postępków niecnych i rozwięzłych. W ich rozumieniu hańbi się płeć żeńska związkami z mężczyzną nikczemnym, lub nawet z takim, który w niebezpiecznym razie stracił przytomność i męztwo. „Nie chciałybyśmy żyć z takim człowiekiem“ (mówiły nam kreolki) „i wolałybyśmy wylewać łzy na grobowcu człowieka, w którym zespoliły się waleczność, nieszczęście i miłość.“

Z niemniejszą rozkoszą poglądaliśmy na ów bohaterski zapał, z jakim ubiegały się kreolki słodzić gorycz przeznaczenia murzynów, swoich niewolników. Lubo pogardzonym, nie wstydziły się i nie wahały się nieść im i ich dzieciom zasiłek lub brać wszystkich pod swą opiekę. W porankach, skoro się przebudziły, miały za piérwszy obowiązek odwiédzić szpital swojéj plantacyi, i tam pielęgnowały chorych; własnemi rękami przyrządzały i podawały im lekarstwa, i te słowami pocieszenia słodziły.

Kreolki! kto w Saint-Domingo takie cnoty wasze mógł widziéć i oceniać, ten nie mógł nie zawołać: że nad złą, ma górę dobra strona ludzkiéj natury; ufać z całą wiarą, że zachowuje was sobie Opatrzność za narzędzie do odrodzenia owych Antyllów i amerykańskich krajów, które kiedyś wyludniała fanatyczna, krwi i złota chciwa wściekłość Hiszpanów!

Mulaci.

Wiemy już, że mulatami nazywają się dzieci ojca białego i matki czarnéj, czyli murzynki. Głównemi tego rodzaju kreolów znamionami są: powierzchowność miła, przytomność umysłu, a przytém ochotne oddawanie się bezczynności rozwiązłéj. Z natury próżniak, ni-

gdy mulat nie zajmuje się pracą, jeżeli nie jest zmuszony gwałtowną potrzebą. Gdy ta minie, powraca do próżniactwa. Jeżdżenie konno jest jedyne zatrudnienie, w którém znajdują upodobanie kolorowcy. Jako jeździec i żołniérz nieustraszony, na wszelkie narażający się niebezpieczeństwa, słynie nadewszystko mulat. Zahartowany, bosemi nogami wdziéra się na strome, skwarem słonecznym rozpalone skały, żywi się czémkolwiek, we dnie podejmuje się wszystkiego, a w nocy dopiéro mianuje się panem swojéj woli i osoby.

Bezczynny mulat ma upodobanie namiętne w stroju; pyszni się swoim kaftanem i pantalonami z kolorowego płótna, na których błyszczą mnogie złote guziki. Z pod stosowanego kapelusza, z pod chustek indyjskich okręcających szyję i głowę, wygląda nadęta mina jego. Tę nadętość podsyca pozor młodości, póty zwodniczy, póki oczne białka mulata żółknąć nie zaczną i nie wydadzą tak tajonéj jego starości; bo zresztą broda jego nigdy nie zarasta włosami.

Gdyby nas zagadniono, co to jest mulatka, co to jest córka białego ojca i czarnéj matki? odpowiedzielibyśmy: jestto Wenus, trzymająca całą siłą zalotów swą zdobycz. Mogłoby się zdawać, że mulatka jest istotą jedynie dla rozkoszy stworzoną. Ona najjaśniéj widzi odcienia namiętne kochanka i umié z niemi harmonizować. Wyższa pod tym względem od białéj kreolki, podziela z nią te same czarujące powaby, które na tamtę wylała pełną ręką natura. Jak tamta, tak ta zachwyca wydatną kibicią, zgrabném ułożeniem, zajmującemi rysami twarzy, czarującém i pełném ognia spojrzeniem; każda z tą samą łatwością i zwinnością poruszeń, wabnością, kryje żar gwałtownych namiętności. Pomimo uroczego usposobienia tak kreolki białéj jak mulatki; ta ostatnia zdaje się być jedynie do rozkoszy stworzoną, gdy w sercu tamtéj, zazdrość i czułość górują nad wszelką namiętnością. W życiu kreolki białéj nie masz okropniejszego udręczenia, nad widok tryumfu nad sobą mulatki; jak w życiu znowu mulatki, nie masz większego szczęścia, jak odniesione nad śliczną białą kreolką zwycięztwo; kiedy z jéj rąk przewagą swych powabów wyrwie kochanka lub mężą, i z chwałą tą marną może się chlubić przed światem.

Rzeczywiście marna to chwała, bo lubo prawa cywilne w Antyllach nie zabraniały białym wyraźnie związków małżeńskich z kolorowemi kobietami, unikali jednak takich związków, bo ze swą kolorową żoną nie mogli się pokazać w żadném wyższém towarzystwie, uważani za uczestników pogardzonego rodu murzynów.

Mulatki w obliczu prawa nie mogły być żonami; szły na gospodynie lub kochanki przychodniom europejskim. Tu były przywiązane nie do osoby, lecz do ich dochodów. Skoro więc dochody zmalały lub upadły, mulatka porzucała kochanka i szukała innego, który jéj zamiłowaniu w zbytkach lub wygodach mógł zadość uczynić.

III.

Ktokolwiek z Europy przybywa na wyspę Saint-Domingo, powinien się pilnie trzymać właściwego w tym razie trybu życia, jeżeli chce uniknąć chorób, które się kończą nieuleczoném kalectwem lub śmiercią. Swiadczą to mnogie mogiły Europejczyków, mianowicie Francuzów i Polaków, wysłanych na podbój wyspy, która się stała ich grobem.

Nie można tu bezkarnie spędzić obyczajem europejskim bezsennéj nocy, czyto w towarzystwie na zabawach, czy w pohulance. Kto z przybyłych do téj wyspy nie hamował się od rozpusty, od tęgich napojów zwłaszcza spirytusowych, a nadewszystko nie unikał sideł piękności Saint-Domingo tak pociągających uroczo i wabnych; ten położył tu kości swoje.

Liczone do piérwszego rzędu miasta w dawnéj francuzkiéj części wyspy Saint-Domingo, były: Cap-français, Port-au-prince, Cayes i Leogane; liczone zaś do drugiego rzędu, były: Saint-Marc, Port de paix, Fort-Dauphin, Jacmel, Jeremie, Saint-Luis, Môle-Saint-Nicolas.

Dwa piérwsze z tych miast, tojest: Cap-français i Port-au-prince, były miejscem dwóch najwyższych dla całéj osady sądów. Późniéj zwinięto te dwa trybu-

nały w jeden, który się dostał miastu Port-au-prince. Oprócz tego wymierzały w osadzie francuzkiéj sprawiedliwość niższe sądy, tojest: trzy w części północnéj, tyleż w południowéj, a cztery w zachodniéj.

Parafij liczyła osada francuzka czterdzieści sześć, tojest: dwadzieścia pięć w obrębie Port-au-prince, a dwadzieścia jeden w obrębie Cap-français. W parafiach piérwszego z tych obrębów, zastępywali plebanów Dominikanie pod przewodem rządcy apolstolskiego, także Dominikana, w parafiach zaś drugiego, plebanili Kapucyni, pod władzą swego przełożonego.

Zabudowania miejskie są znacznie różne od europejskich. Ulice miast wyspy Saint-Domingo są zwykle szerokie, niebrukowane, a same miasta, oprócz głównéj środkowéj części, mają boczne. Rzadko który dom jest piętrowy, a prawie każdy jest drewniany, z budulca, który dostaje wyspa od Zjednoczonych Stanów północnéj Ameryki; skromny i bez żadnych ozdób, otoczony naokoło wystawą, chroniącą od upału i deszczu. Budowa w ogólności odznacza się prostotą i dogodnym rozkładem mieszkalnéj części. W ruchomościach i sprzętach domowych, wyrabianych z mahoniu i cedru, nie widać żadnego zbytku. Oprócz stolików, łóżek i szaf, rzadko gdzie znaleźć co więcéj w pomieszkaniach. Wszakże to skromne opatrzenie domu w porządki mieszkalne, nosi piętno troskliwości o czystość i ład.

Pod niebem tak gorącém, wietrznem i dżdżystém jak na wyspie Saint-Domingo, czystość i chędoga są głównym warunkiem utrzymania zdrowia i zachowania życia. W myśl tego warunku, używają mieszkańcy codzień zrana kąpieli w wodzie ogrzanéj przez dwugodzinne na nią działanie ciepła słonecznego, a zaprawionéj cząstkami rzuconych w nią pomarańczy gorzkich. W rzece lub morzu, można się kąpać tylko po zachodzie słońca, bo wzięta w nich porą dzienną kąpiel, sprawia zapalenie mózgu, parzy drażliwsze części ciała, a do tego rojący się owad razi i kaleczy żądłem. Trzeba jeszcze co wieczór przed udaniem się na nocny spoczynek obmywać nogi z potu, a co rano namazać je sokiem cytryny dla ochronienia ich od robaka zwanego chique.

Jestto kleszcz zaskórny, mniejszy od pchły, z trudnością dla swéj drobnoty widzialny gołém okiem. Przedziera się on przez obuwie za paznogcie, do pięt, lub pod skórę podeszwy, i tam wije torebkę na zarodki. Niedobywszy téj torebki, dojdzie ona we dwanaście godzin wielkości ziarnka grochu polnego, a we dwadzieścia cztery godzin wielkości laskowego orzecha, bo zarodki bardzo szybko mnożą się i rosną. Nie zapobiegającym téj pladze, kleszcze zaskórne tak srogo kaleczą nogi, iż zarażone robactwem miejsca trzeba wyrzynać, chcąc od większego nieszczęścia, od męczeńskiéj śmierci ratować człowieka.

Murzyni, którzy przez całe życie boso chodzą, zabezpieczają swe nogi przeciw kleszczom zaskórnym, namazując je smołą. Myjąc nogi wieczorem, daje się czuć przykre swędzenie w miejscu siedziby tego robaka. Zręczna murzynka wydobywa go igłą razem z jego torebką, tak, aby jéj nie rozdarła, a jéj miejsce zasypuje popiołem z tytuniu, lub tabaką. Nie ma człowieka, któryby nie był nawiedziony tą klęską.

Nieprzeliczone różnego rodzaju i wzrostu mrówki, są istną plagą mieszkańców wyspy. Roje tego owadu przesuwają się po ścianach mieszkań szukając żeru. Przeciw ich napaściom zabezpieczają się stawiając nogi stołów jadłem okrytych, w naczyniach nalanych wodą w odległości przynajmniéj dwunastu cali od ściany. Bez téj ostrożności, rzucają się mrówki na stoły zastawione potrawami, zwłaszcza gdy między temi znajdują się słodkie. To samo i w tym samym celu robi się z łóżkami. Żołnierze nasi, w koszarach radzili sobie swoim sposobem: zawiesiwszy na gożdziach w ścianę wbitych mięso i chleb, obwodzili je rysą z węgla na cal szeroką. Mrówki idąc na żer, dostawszy się na tę rysę odczepiają się od ściany razem z pyłem węglowym, i padają na ziemię; a ponieważ odrywał się i pył wraz z niemi, więc odświeżali ową rysę węglową kilka razy na dzień. Siedzącego lub leżącego na ziemi człowieka napastują zwykle mrówki, a między temi bywają skrzydlate.

Przez zbyteczne poty, szybko się brudziła bielizna; musieliśmy ją przemieniać codzień trzy razy: rano, w południe i w wieczór. Codzień téż murzynki zajęte były

jéj praniem w rzekach, których jest wiele na wyspie Saint-Domingo. Bielizna miała białość nieznaną w Europie i woń aromatyczną. Ta woń ztąd pochodziła, że murzynki wyprawszy, na słońcu wysuszywszy, a w końcu wyprasowawszy, przesypywały każdą jéj sztukę przy kładzeniu w kosz, kwiatem pomarańczowym, cytrynowym, jaśminowym i innym. Zamiast mydła, używały one rośliny mydlanéj, która tak się pieni jak mydło, gdy się ją włoży w wodę; jest zaś podobna do naszéj złoto-wierzby i do pomarańczy gorzkiéj.

Dla pokrzepienia sił zwątlonych międzyzwrotnikowym skwarem mieszkańca Saint-Domingo, natura opatrzyła tę wyspę zasobami wzmacniającéj żywności. Mięso wołowe, zwykle tu na bulion używane, nie jest wprawdzie tak smaczne jak w Europie; ale za to ma wyspa wyborną baraninę, wyśmienite koźlęta, indyki, gołębie, kaczki, perlice i inne mnogie ptastwo; żółwie, ryby, po większéj części morskie, raki różnego rodzaju, kraby, muszle i ostrzygi, wszystko od europejskich smaczniejsze. Okręty dostarczają z Bordeaux wybornéj na chleb mąki, wina, które się ulepsza przez morską przeprawę, i wszelkich artykułów do wykwintnego życia i ubrania. Oprócz zwykłych potraw obiadowych, wchodzą na stół przysmaki z ciast, cukry, naturalne lub smażone owoce krajowe, jakoto: pomarańcze, ananasy, sapatille, morele, jabłka cynamonowe, granaty i tak zwane mahoniowe orzechy.

Na przekąskę przedobiadową, mieliśmy owoc zwany adwokatem, podobny do dużéj europejskiéj gruszki; grubą skórę powleka kolor ciemno-zielony z przebijającym fioletem na jednym boku. Ta skóra okrywa część mięsistą owocu, żółtą, w dojrzałości swojéj tak miękką jak masło, smaku podobnego do orzecha laskowego. Jądro adwokata nazywa się prokuratorem. Tylko adwokat przez usta i zęby dostaje się na posiłek do żołądka; a prokurator wyrzuca się za okno. Słynny ananas nie da się spożyć, nie wymoczywszy go poprzednio w cukrowéj wódce lub winie, w celu odjęcia mu kwaskowatego smaku. Bez téj ostrożności, zbyt on chłodzi żołądek i sprowadza febrę.

Sapatille, owoc podobny do renety szaréj, mają wyborne mięso, kolor słabo różowy, a wewnątrz dwa lub trzy ziarnka wielkości grochu szablastego; są one skutecznem przeciw zatrzymaniu moczu lekarstwem. Z tych ziarn, tak jak z migdałów słodkich, robią mléko.

Morele mają wielkość skromnych melonów, mięso ścisłe, smak, zapach i kolor podobny do europejskich, a skórę grubą. Ale nie mają téj delikatności co nasze, i trzeba je moczyć tak jak i ananasy, chcąc im odjąć zwyczajną cierpkość.

Melony są smaczniejsze i większe od naszych. Arbuza, który dają zwykle po obiedzie, murzyn otwiera w jednym końcu, wybiera z niego ziarna, potém w tak obrane wnętrze, wlewa butelkę wina i sypie ćwierć funta cukru, a dopiéro zastawia go do spożycia.

Łowami pod niebem tak gorącém jak na wyspie Saint-Domingo, nie bawią się biali, ale je zdają na kolorowców. Ci tedy sami polują na dzikie świnie w górach, a z ptastwa: na kuropatwy, skowronki, grzywacze, cyranki, bekasy, dzikie gołębie, siewki, na tak zwane caleçons (gatki) z ponsowemi ogonami, i na kolibry. Zwierząt drapieżnych nie ma wyspa, wyjąwszy gatunek krokodylów, zwany caymans, których napaść może odeprzéć łowiec własną swoją siłą.

Mieszkańcy nadmorscy i miast odleglejszych od morza, używają przechadzek to na pobrzeżach morskich, to za miastami na głównych drogach. Przechadzającym się za miastem, sprawiały rozkoszny, malowniczy widok ogrody z obudwóch stron głównéj drogi, troskliwie utrzymywane i pielęgnowane, zwłaszcza na plantacyach. Tu przez cały rok bez przerwy, ożywiały oko liście zielone, kwiaty różnobarwne i owoce, a woń balsamiczna przepełniała atmosferę. Krańce ogrodów wieńczyły się żywemi płotami, a ulice miały pozór szpalerów ocienionych drzewami cytrynowemi i pomarańczowemi, lub drzewem campêchê, inaczéj zwaném brazylią, którego wywar farbuje czerwono.

Co do widowisk, te dawano w czterech miastach: Cap-français, Port-au-prince, Saint-Marc i Cayes. Teatra były dosyć dobrze urządzone. Biali zajmowali w nich piérwsze miejsca, tojest loże piérwszego piętra i siedzenia przed orkiestrą; inne zaś miejsca, mianowicie drugie piętro loż, kolorowi wolni. Aktorowie francuzcy odgrywali dobrze swoje, po większéj części wesołe role, lecz opłata miejsc była prawie trzy razy większa od zwyczajnéj podówczas w Europie.

Murzyni niewolnicy.

Los tych nieszczęśliwych ludzi na wyspie Saint-Domingo był smutniejszy od losu tamtejszego domowych zwierząt, mułów i wołów, których tak jak murzynów dostarczali za pieniądze Hiszpanie; gorszy niż koni, których dostarczały Stany Zjednoczone północnéj Ameryki. Sami tylko murzyni pracowali w plantacyach, tudzież w zakładach fabrycznych cukru, kawy, indyktu, kakao i bawełny. Europejczyk nie wydołałby tym ciężkim pracom. Pokorna ich względem właścicieli plantacyi a panów swoich uległość, wynagradzała się im tą jedyną korzyścią, że byli pewni swych siedzib i wyżywienia własnych rodzin. Oprócz tego mieli murzyni prawo skarżyć do sądu tyrańskie ze sobą obchodzenie się swych panów, i zdarzało się, że przekonanemu o gwałty panu, było wzbronioném kupowanie murzynów. We francuzkiéj części wyspy Saint-Domingo, prawo uważało właściciela plantacyi za naczelnika tylko, lecz nie za despotę murzyńskich pokoleń. Ale rzadko kiedy zespolało się wykonywanie praw z ich myślą i powagą.

Nie lepiéj téż wiodło się plantatorom wyspy Saint-Domingo z ich zbiorami, oblanemi krwią i potem murzynów. Pozornie bogaci, byli w gruncie ubodzy, bo przez zbytki i wydatki nad możność, zwykle byli zadłużeni miejscowym kupcom; nie wyłączając takich, którzy mieli po kilka plantacyj, a w tych do dwóch tysięcy murzynów, swoich niewolników, stanowiących ogromny majątek. Trzeba bowiem wiedzieć, że murzyn sprowadzony z Afryki, nazywany sztuką indyjską, mający 18 do 20 lat, kosztował dwa tysiące czterysta franków. Ta cena ma-

lała z postępem wieku murzyna. Murzyna mającego od 12 do 16 lat, przedawano za 1,600 do 1,800 franków; mającego od 8 do 11 lat, za 1,200 franków. Cena murzynek w odpowiednich okolicznościach nie o wiele była niższa od ceny murzynów. Matki przedawane były razem ze swemi dziećmi. Murzyni kreolowie, tojest zrodzeni na wyspie Saint-Domingo, okrzesani i umiejący jakieś rzemiosło, byli sprzedawani za pięć do sześciu tysięcy franków. W każdém nadmorskiém targowisku na ludzi, znajdował się dom zwany redibitoire, w którym handlarz murzynów musiał odebrać sprzedanego przez siebie murzyna jeżeli się okazało, iż cierpiał pomiészanie zmysłów lub wielką chorobę.

Murzyni w ojczystéj Afryce są ludem próżniackim, polującym, wojującym. Przewiezieni w inną część ziemi i tam sprzedani, zaczynają być niewolnikami. Odtąd, lubo z obrazą praw Boskich i ludzkich, stają się pracowitemi, potrzebnemi i użytecznemi społeczności ludzkiéj członkami. W szczególności, przesadzony z Afryki do Ameryki murzyn, musi pracować w plantacyach, albo iść na łowy lub wojnę. Z bezczynnego życia pędzonego z fajką w gębie pod szopą, przechodzić z Afryki do męczeńsko-pracowitego w plantacyach antyllskich, jest najokropniejszym dla murzyna losem. Odtąd myśl ma tylko w słuchu. Ocuca ją huczny głos bębna lub głos srogich rozkazów. Oblicze jego nie okazuje ani czucia, ani charakteru, ani życia. Oczy murzyna są obumarłe, a cała postawa uosobioną głupotą. Mówi on mało, częściéj daje się słyszeć przez śpiew. Ani radość, ani boleść nie wyciśnie łzy z jego oczu; uśmiéch téż nie zajaśnieje nigdy na jego twarzy. Krzykiem tylko zapowiada swe cierpienia, a śpiewem radość i pociechę. Pracuje, lecz praca jest dla niego męczarnią; bo w samém tylko próżniactwie, w spaniu i tańcu, zdaje się znajdować przyjemność. Jakkolwiek pod godłem kija lub batoga pracuje w pocie czoła, jest jednak jakby głuchym na wołanie głodnego żołądka. Lubo rad zajada i dużo, nie jest jednak namiętnie łakomym, bo swą potrawą chętnie dzieli się z tak jak sam głodnym. Lubi tęgie napoje i używa ich nad miarę, skoro tylko może. W opilstwie pochopny do spełnienia najstraszniejszéj zbrodni, bez obawy kary.

Zresztą na wszystko jest murzyn obojętnym, i dla własnych nawet dzieci, których nie kocha i bez żalu opuszcza. Lada igraszką można go zaspokoić lub uradować. Przeszłości nie liczy, ale tylko przypomina ją sobie; przyszłość go nie obchodzi. Szybko i bystro spostrzega błędy swego zwierzchnika i szuka z nich korzyści dla siebie; wszakże mimo to uważa zwierzchnika i każdego białego za istotę wyższą od siebie, i dlatego dane sobie od nich rozkazy lub polecenia wykonywa ślepo posłuszny, i chełpi się gdy je wykonywa. Skazany na srogą osobistą niewolę, tłumiącą jego władze umysłowe i niedającą mu użyć myśli, woli i mowy, zdaje się nie czuć bytności Boga. W téj obumarłości duchowéj, na wieczny zakał białéj części rodu ludzkiego, strącony przez nią do rzędu roboczych zwierząt, nie lęka się niczego, nawet śmierci. Wegetuje nie okazując namiętności; umiera, niczego nie żałując. Tak zabity na duszy, nie przyzna się murzyn mimo srogéj i zabójczéj chłosty, że skłamał, że ukradł, że dopuścił się szkaradnéj zemsty lub rozwięzłości, i nie wyda wspólnika zbrodni swojéj. Jedyna rzecz, któréj się lęka, jest czarownica lub czart, którego nazywa Zambysem.

Murzyni kreolowie, tojest zrodzeni w Antyllach, są skutkiem nieco troskliwszego wychowania lepsi moralnie od zrodzonych w Afryce; ale za to wynoszą się nad tych, pogardzają nimi, a zresztą trącą swojém pochodzeniem: lubią namiętnie zbytek i gry. Murzynki kreolki nie odznaczają się lepszemi przymiotami. Trudnią się gospodarstwem domowém, sieją ryż, kukurydze i pożywne korzenne rośliny na gruncie, raz nazawsze uprawionym ręką natury.

W każdéj plantacyi znajdowała się osobna dzielnica, miejscem murzynów nazywana, któréj płodami roślinnemi oni wyłącznie się żywili. Ta dzielnica dzieliła się na liczbę części, odpowiednią liczbie dusz lub rodzin murzyńskich zamieszkałych w plantacyi. Każda taka cząstka miała swego gospodarza murzyna, który ją uprawiał, i owocem swéj pracy, siebie i swoją rodzinę żywił. On tu sadził palaty (od których europejskie ziemniaki pochodzą), gombo, gatunek szpinaku,

dynię, kukurydzę, szpinak gumiasty, hoholi inny gatunek szpinaku, groch rozmaity, imbier, pistacye (pistachos) i wiele innych słodkich korzeni. We dnie odziewał się zwyczajnie murzyn w długą koszulę i pantalony. Spracowany przepędzał noc na rogóżkach, lub wołowych surowych skórach, pod barakiem z chrustu. Aby tu zapewnić sobie spokojność przeciw napadom komarów i muskitów, zapalał w otworach baraku drzewo spróchniałe. Powstający ztąd dym odstraszał te przykre owady, i zapewniał śpiącéj przynajmniéj ofierze srogości, pokój, jakiego czuwając nie znała.

Reszta mieszkańców plantacyi miała w niéj osobną dzielnicę, także pokrajaną na cząstki, zasadzoną lub obsiewaną ogrodowinami pożywnemi. Do tych ogrodowin należały pataty i ignamy czyli inhamy; te ostatnie, gatunek ziemniaków wielkich, kilkanaście funtów ważyły, i miały właściwy sobie smak. Daléj maniok, kukurydza i proso. Roślina maniok ma korzeń duży, do ziemniaka podobny, który przysposabia się do jedzenia, trąc go za pomocą tarki; z utartego wyciskają prasą sok, który jest słodki lecz trujący. Tak wysączone trociny suszą, a w końcu wypiekają z nich placki cienkie jak tektura, znane pod nazwą casave.

Oprócz tych dwoistych dzielnic, miała każda plantacya osobne miejsce zasadzone bananami, które dla mieszkańców antyllskich są urzeczywistnioną manną niebieską. Ta roślina raz zasadzona, rodzi nazawsze i podostatkiem swój owoc. Pochodzi z Indyj Wschodnich, jest zielona, wodnista, wyrasta do wysokości 15stu stóp, nie ma gałęzi, lecz ma same liście wychodzące z pnia długie na 7 stóp, szerokie u dołu na 24 cale, idąc zaś w górę zwężające się do 6 cali. Banany, owoc téj rośliny, wisi pojedynczo lub w gronie między liściami na łodydze długiéj na 24 cale, za pomocą 10 lub 12 odnóg. Zpośród liści przezierają banany w postaci rogów wołowych lub palców u ręki, sterczące z obudwóch stron łodygi. Banan ma długości 9 cali, jest zaś okryty skórą grubą zieloną, przylegającą. Z téj skóry obdzierają go naprzód, potém pieką w gorącym popiele, lub gotują, a dopiéro pożywają chléb. Jestto pożywienie ze wszystkich innych najlepsze, i dlatego najstaranniéj hodowane. Mięsność jego jest ścisła, mączysta.

Oprócz tych pospolitych, są jeszcze dwa inne szczególne gatunki bananów: jeden zwany figami bananowemi, drugi muszkatelami bananowemi. Tamte mają długość trzech cali, i dojrzałe jedzą się surowo, mają smak przyjemny, podobny do gruszki bergamuty; muszkatele zaś bananowe mają długości pięć cali, smak taki sam jak figi bananowe a zapach aromatyczny. Przyrządzają się rozmaicie; najwięcéj smażąc je w maśle bez cukru, lub jedzą się surowo gdy są dojrzałe; w tym zaś razie aż gdy zżółkną.

Przedmiotami żywności murzynów są tedy na wyspie Saint-Domingo: banany pospolite, mąka z kukurydzy i z mamoków, kasza jaglana, kraby i ślimaki. Napoje robią sobie z owoców, z cytryn, z kukurydzy, z pośledniego syropu, tafii i wody. Właściciel plantacyi, a ich pan, dawał im, jeżeli nastąpiła łaska jego, raz w tydzień porcyą soli, solonego mięsa i śledzi.

Wody téj wyspy są więcéj lub mniéj zdrowe, zależnie od gruntu przez który płyną. Płynące przez żyły kruszcowe są zatrute, i takie gdy są zażyte, nabawiają chorowitości, która się poczyna od zatwardzenia i niestrawności żołądka.

Lekarstwem na te i inne cierpienia są wody mocne żelazne, któremi słynie wyspa Saint-Domingo. Sprowadzanie wody rzecznéj jest trudne dlatego, że ta idąc w górę od ujścia w morze, jest na milę słona, i że dopiéro przeszedłszy tę odległość, jest słodka. Z téj saméj przyczyny plantacye nadmorskie, miasta zaś dla swego opoczystego lub bagnistego położenia, nie mają zwyczajnych studzien. Te więc są zastępowane deszczowemi dobrze zakrytemi, na powierzchni ziemi wymurowanemi przy domu studniami, w które podczas deszczów ścieka woda z dachów, zwykle tam płaskich, do opędzenia potrzeb kuchennych używana. Ta sama woda przekroplona (filtrowana) i w naczynie gliniane zlana, a przez noc na otwarte powietrze wystawiona, staje się na drugi dzień tak zimna i czysta, jak gdyby swieżo ze zdroju była przyniesiona. Taka tedy służy za napój, tudzież do chłodzenia mieszkań, których podłogi podczas nieznośnych upałów skrapiają się tą wodą, a okna od strony południowéj są przez cały dzień zakryte okiennicami.

Stan części hiszpańskiéj i jéj mieszkańców.

Nim przez traktat brazylijski z roku 1795 do części francuzkiéj została wcielona hiszpańska; ludność téj ostatniéj wynosiła sto czterdzieści tysięcy dusz, między temi trzydzieści tysięcy murzynów niewolników. Bawiąc przez lat kilka w części hiszpańskiéj na wyspie Saint-Domingo, przekonaliśmy się z przyjemnością, iż jéj mieszkańcy kreolowie, są z natury dobremi ludźmi. Uprzejmi i gościnni dla każdego kto nimi nie gardzi, nienawidzą tych, którzy się z nimi źle obchodzą. Mimo brak naukowego wykształcenia, mają prosty rozum i dar zdrowego o rzeczach sądzenia. Do wyznawanéj przez siebie religii katolickiéj są bardzo przywiązani, innych zaś wyznań nie cierpią. Jeżeli o bezwładność, gnusność i obojętność na wszystko można ich obwinić; trzeba zarazem winę tych smutnych przymiotów przypisać hiszpańskiemu rządowi, który w ciągu długiego tam panowania, nigdy nie wpływał na ich obyczajowe lub naukowe wychowanie, lecz wiekuiście zostawiał ich w biernym i machinalnym trybie życia. Całe ich zatrudnienie polegało na hodowaniu dobytku, i na mało znaczącéj uprawie tytuniu. Płeć żeńska nie była w sprzeczności z męzką pod względem na swe łagodne z natury usposobienie. Utrzymanie porządku do niéj głównie należało.

Część hiszpańska wyspy Saint-Domingo, gdy ją wcielano do francuzkiéj, miała pozór ziemi opuszczonéj, wzywającéj przychodnia, aby ją zajął i na drodze uprawy ożywił. Hiszpanie téż rozdali ją kiedyś między ochotników dla pozakładania tam plantacyj kawy i cukru, pod warunkiem opłaty małego czynszu i pod tytułem lenności. Ale ten tytuł i obawa, aby z czasem nie zmuszono ich do oddania rządowi jako dziedzicznemu właścicielowi, założonych przez siebie wielkim kosztem plantacyj, krępowały ich ręce i wstrzymywały od włożenia swych kapitałów. Powstało wprawdzie dwadzieścia cztery plantacyj cukru w części hiszpańskiéj, lecz w tych wyrabiano najwięcéj syrop i gatunek pośledniego rumu, zwany tafją, a wszystko w ilości zaledwie wystarczającéj na potrzeby miejscowe.

Kopernik, Kolumb, Luter, Ferdynand-katolicki i Lojola, współcześni sobie, stanowią epokę postępu jednych, cofania się drugich ludów. Tą ostatnią nieszczęśliwą kategoryą zostały objęte Polska i Hiszpania: tamta z winy Jezuitów, ta z winy połączonéj Jezuitów i inkwizycyi torquemadskiéj popchnięta w otchłań zabójczą dla ducha i ciała. Hiszpanie w szczególności, jak na swéj ojczystéj ziemi, jak w Peru i Meksyku, tak na wyspie Haity, przez nich nazwanéj Saint-Domingo, nietylko cofali prace wieków, ale bezpośrednio uśmiertelniali wszystko co żyło. Jakby na cmentarzu wytępionéj przez nich niewinnéj karaibskiéj ludności, pozakładali Europejczycy plantacye trzciny cukrowéj. Jak się zrazu wiodło tym plantatorom, można powziąć wyobrażenie z tego czynu, iż przepychowe pałace miast takich jak Madryt, Toledo i Barcellona, wzniosły się i upiększyły głównie z dochodów opartych na cle pobieraném od przywożonego z wyspy Saint-Domingo cukru. To samo trzeba powiedzieć o kakao. Ztąd w ten owoc zaopatrywała się kiedyś cała Hiszpania. Ale z czasem pod zabójczym rządem hiszpańskim, upadły wszelkie na téj wyspie zakłady i plantacye: drzewo kakaorodne zaledwie go przeżyło. W ogólności prawie wszystkie istoty roślinne, swoją koleją, po wytępieniu pierwotnych, ludzkich i zwierzęcych, musiały umiérać. I któreż w końcu z królestwa roślin przeżyły takie panowanie Hiszpanów?

Oprócz innych wspomnimy tu tylko tytuń, ryż, proso i kukurydzę.

Co do tytuniu, ten się najlepiéj udaje w okolicach Saint-Jago, Vega i Cotuy. Dobrocią swoją nie ustępuje pochodzącemu z Hawanny; ale uprawa około tego nader zyskownego płodu poszła także w zaniedbanie. Ryż z tych samych okolic ma pierwszeństwo przed karolińskim. Na dolinach obszarów Constance i Saint-Jago, świetnie się obradzają proso i kukurydza, a nawet inne zboża, z których chleb wyrównywa najlepszemu europejskiemu. Do przyjęcia siewu tych płodów, uspasabiali ziemię mieszkańcy nie pługiem, którego nie znali, ale motyką, tak przedłużającą czas pracy, który skracać nie mieli potrzeby przy bezczynném życiu swojém. Jak człowieka, tak wołu, nie można było tam nazwać pracowitym. Zamiast poddawać swój kark pod jarzmo płu-

gowe, wół z resztą bydła buja sobie po pastwiskach, jeżeli tych, i wilgocących je wód nie wysuszą upały; a w przeciwnym razie, po lasach, które wśród skwaru ożywiają go cieniem i trawą.

Domy hiszpańskich kreolów na wsiach i plantacyach były stawiane po większéj części z palmowéj kory, układanéj pionowo między słupami w ziemię wkopanemi. Dachy robiono z liści tego drzewa lub innego. Zupełna prostota znamionowała takich i innych domów wnętrze. Tu jedna deska mahoniowa służyła za stół, a druga, lub skóra surowa z wołu, za łóżko. Resztę sprzętów domowych stanowiły kociołki, miskii gałązki drzewa żywicznego; te ostatnie, zamiast świec używane. Podczas upałów we dnie, płócienne między dwowa drzewami zawieszone łóżko, zastępowało mieszkalny przytułek.

W tym swoim hamaku leniwie przewalając się kreol, lub dla ochłody kołyszący się w nim; często brzmieniom harfy, na któréj przebierał palcami, przyśpiewujący, a w końcu zasypiający, przedstawiał oczom widza bardzo zabawne widowisko.

Pokarmy mieszkańców części hiszpańskiéj polegały głównie na wołowém, wieprzowém, ptasiém i rybiém mięsie, które zaprawiali pieprzem tureckim, tymiankiem, pomidorami, i innemi roślinami owocowemi. Żywiąc się korzennemi rozpalającemi potrawami, Hiszpanie pijali prawie wyłącznie wodę, a niekiedy tafiją. Nie ze swemi żonami, ale zazwyczaj osobno jadali obiad. Ryżem, patatami, bananami i ignamami zastępowali chléb. Ich rannym posiłkiem była powszechnie kawa, a wieczornym czekolada.

LEGENDA SERBSKA.

SULEJMAN I ŚWIĘTY SAWA.

(W. S. K. T. III. str. 57, nr. 11).

Car Sulejman przywołuje k' sobie
Sługę swego Czuprilijcz wezyra:
—„Wierny sługo, Czuprilijcz wezyrze!
Radź, jakby mi kraj poturczyć wszystek?
By nie było w kraju różnéj wiary,
Z różnéj wiary między ludźmi zwady."
Czuprilijcz mu wezyr odpowiada:
—„Panie mocny, carze Sulejmanie!
Nie łacno ci kraj poturczyć będzie,
Bo choć każesz, kraj cię nie posłucha;
Lecz ty oto napisz pismo drobne
Do sławnego grodu Jeruzalem,
Do serbskiego patryarchy Sawy:
Niech przyjedzie k' tobie do Stambułu.
Zaś go obdarz skarby przemnogiemi,
Aż nakłonisz sobie k' woli Sawę,
Aż go skłonisz żeby zturczyć dał się:
To gdy zturczysz patryarchę Sawę
I kraj wszystek zturczyć przyjdzie snadno."
Car Sulejman wezyra posłuchał:
Żywo imie pisać pismo drobne
Do sławnego grodu Jeruzalem,
Do serbskiego patryarchy Sawy.
— „Stary Sawo, chrześcian patryarcho!
Przyjedź do mnie, do Stambułu grodu,
Nawrócić się na turecką wiarę;
Uczynię cię piérwszym mym wezyrem,
Zaś pospołu kraj poturczym wszystek,
By nie było w kraju z wiary zwady."

Zaszło pismo do Jerozolimy,
Do starego patryarchy Sawy.
Przeczytawszy, Sawa odpisuje,
Odpisuje k' caru Sulejmanu:
— „Panie mocny, carze Sulejmanie!
Przyjedź do mnie ty, do Jeruzalem,
Prosić Boga tu przez tydzień cały,
Żeby upadł żywy ogień z nieba
I z kamienia żywa trysła woda.
Jako z nieba ogień ci upadnie
I z kamienia żywa tryśnie woda:
Jam ci, carze, zturczyć się gotowy
I poturczyć wszystkie ziemie twoje."
Zaszło pismo k' caru Sulejmanie;
Przeczytawszy car co w piśmie stało,
Woła k' sobie Czuprilijcz wezyra.
— „Sługo wierny, Czuprilijcz wezyrze!
Owo tu mnie doszło pismo drobne
Od starego patryarchy Sawy.
Nie chce Sawa do mnie do Stambułu,
Lecz mnie k' sobie zwie, do Jeruzalem,
Prosić Boga tam przez tydzień cały,
Żeby upadł żywy ogień z nieba
I z kamienia żywa trysła woda;
Wtedy Sawa poturczyć się gotów
I poturczyć wszystkie ziemie moje.
Także duchem zbierz mi wojsko silne,
Wojsko silne, tysięcy dwanaście,
Co ruszymy z niém do Jeruzalem."
Wezyr czyni po carskim rozkazie:
Zbiéra wojska dwanaście tysięcy;
Zaś z nim wsiedli na burzliwe morze.
Dzikie morze zdrowo przepłynęli,
Do sławnego zaszli Jeruzalem.
Tu ich Sawa ugościł uczciwie,
Wszystkie wojsko umieścił gospodą.
Zatém z jutrem, car Sulejman wstawszy,
Zwoła wszystkie mołły i imany,
Wsze tureckie mnichy i derwisze,
Prosić Boga tureckim zakonem.
Prosili Go tydzień czasu cały,
Lecz nie mogli uprosić się cudu:
Żeby upadł żywy ogień z nieba
I z kamienia żywa trysła woda.
Więc z kolei patryarcha Sawa
Zwoła k' sobie trzystu zakonników.

Wdzieją na się wszyscy kuty mnisze,
Ze głów zdejmą wysokie kołpaki;
Wezmą do rąk święte ewangielie,
Z świętéj księgi proszą Pana Boga.
Modlili się czasu dobę jednę,
Modlili się czasu dobę drugą:
Aż tu z nieba jak ogień upadnie,
Aż się zaskrzy ogniem cerkiew cała!
Jak z kamienia żywa tryśnie woda,
Miało pić co całe wojsko carskie!....
Car Sulejman kiedy to zobaczył,
Z dziwu ręką już przeżegnać chciał się.
Ale wezyr za rękę go chwycił:
— „Przez Bóg żywy carze Sulejmanie!
Nie czyń giaurom z wiary swéj ofiary;
Ale zapisz ich cerkwi cudownéj:
Co rok wosku białego trzy miary
I trzy miary wonnego kadzidła,
Od dzisiaj dnia, aż po koniec świata.“
Car Sulejman wezyra posłuchał,
I zapisał świętéj cerkwi bożéj:
Co rok wosku białego trzy miary
I trzy miary wonnego kadzidła,
Jako cerkwi należą się świętéj
Na wiek wieków, aż do końca świata.

WSPOMNIENIA

Z PODRÓŻY NAD WOŁGĄ.

PRZEZ

A. Połujańskiego.

(Dokończenie).

III.

Starożytni Bulgarowie.

Niegdyś, na wschodnim brzegu rzeki Wołgi, zaczynając od ujścia r. Sury aż do Kaspijskiego morza panował naród zwany Bulgarami lub Bolgarami. Znani etnografowie Erdmann, Fren, Bułharyn i inni dowodzą, że nazwisko tego narodu pochodzi od r. Wołgi i mniemają, że cudzoziemcy zamienili w niém literę *w* na *b* i ze słowiańskiego wyrazu Wołgarzyn lub Wułgarzyn przeistoczyli na Bołgarów czyli w zmiękczeniu ł na l, Bolgarów. Przykłady zamiany litery *w* na *b* znajdujemy w greckim, lecz jeszcze częstsze w arabskim i łacińskim językach. Tak np. na rossyjsko-tatarskich monetach imię Iwan (Jan) przemieniało się na Iban; łacińskie wyrazy: barbarus, Barbara, po rossyjsku brzmią: warwar, Warwara, i t. p. Niektórzy ze wschodnich pisarzy, Bulgarów zowią: Bularami, Bilarami

i Bilerami; lecz dziejopisarz z r. 487 Paweł Diakon (1) zowie ich Wulgarami, i greccy pisarze z nim się zgadzają; Nestor zaś w swych kronikach nazywa ich Wołochami, tojest przybyszami z nad Wołgi, gdyż on przymiotnika Wołożski używa często zamiast Wołgski. Diokleas i Nicefor Gragora twierdzą, że Wulgarowie pochodzili od Scytów i zamieszkiwali poprzednio północne kraje nad r. Wułgą, od któréj swe nazwisko przybrali; lecz Józef Sękowski, znany oryentalista i były professor uniwersytetu petersburskiego, wyraz Bulgar czyli Bular uważa za turecki.

Piérwszy ze Słowian Nestor w wieku XII wspomina o rzece Wołga; inne zaś narody nazywały ją rozmaicie. Tak Pomponius Mela w I wieku, Ptolomeusz w II, Ammian Marcellin w IV w., zowią ją Ra, czyli po grecku Rha; Agatemer zaś w III w. zwał ją Ros lub Rhos. W późniejszym czasie to imię ginie i tylko u zamieszkałego w gubernii kazańskiéj fińskiego plemienia Mordwy, z pewną odmianą, tojest Rau, do dziś dnia pozostało. Mahometanie nazywają Wołgę Itil, lecz z pewnemi odmianami w językach perskim, tureckim i tatarskim, a mianowicie: Etel, Idil, Idiul, Hidiul. Początkowo to nazwisko oznaczało wielką rzekę, dodaje się bowiem ono i do nazwisk innych rzek, jakoto: r. Ural—Jaik-Idiuli, r. Biała—Ak-Itil, r. Kama—Czułma-Idil. Wołgę zaś dla różnicy zwali Uług-Itil, co oznacza Wielka-Itil, a następnie Wołga-Itil. Bułharyn przypuszcza, że Wołga mogła otrzymać nazwisko od Finnów, mieszkańców w starożytności nad Wołgą osiadłych, u których w fińsko-estońskiém narzeczu Wölho lub Wôlhu oznacza czarodziéj, Finowie zaś słynęli zawsze z téj sztuki.

Professor Berezin w opisie podróży po Dagestanie i kraju Zakaukazkim (Путешествіе по Дагестану и Закавказью, Казань 1850 г.) nazwisko rzeki Wołga uważa za gotskie, i oznacza święta; halg bowiem czyli helg znaczy święty, halga lub helga—święta. Ztąd Olg lub Oleg, Helg, Halg, po niemiecku heilig, bardzo upowszechnione imię skandynawskich i gotskich konungow czyli książąt, które, według słów Nestora, Słowia-

(1) Patrz *Hist. misc. lib. XV.*

nie-poganie przełożyli na wyraz natchniony. Zatém Olga lub Ołga, albo według fińskiéj wymowy Wołga także święta (1).

Bulgarowie byli turecko-tatarskiém plemieniem, które oddawna osiedliło się około gór Uralskich, a następnie przeszło nad r. Wołgę, bezwątpienia około narodzenia Chrystusa, za czasów przejścia Hunnów w Azyi średniéj.

Granice Bulgaryi rozciągały się od gór Uralskich do rzek: Sury i Oki, a od r. Wiatki i Kamy do źródeł r. Don, Choper i Samara. Bezwątpienia, na téj przestrzeni wśród Bulgarów mieszkały inne narody, których w późniejszym czasie pod swą władzę podbili; takiemi byli: Czuwasze, Czeremisi, Wotiacy, Mordwa, tojest storożytne fińskie plemiona, które, podobnie obecnym ich szczątkom, ani w języku, ani w rodzaju życia nic nie miały wspólnego z tatarskiemi lub mongolskiemi narodami.

(1) Nazwisko Wołgi *Rha* lub *Ra* i *Rhos* lub *Ros* doprowadza nas do ważniejszych wniosków względem pochodzenia Słowiano-Rusinów. Godna uwagi, że wszystkie nazwiska wielkich rzek dawnéj Scytyi od niepamiętnych czasów były gotskie. We wszystkich widzimy, oprócz rozmaitych gotskich zakończeń, czysto gotski wyraz *dana*, *dan*, *den* lub *ten;* co oznacza *woda*, *koryto rzeki*, *dno*. Tak np. *Dan-apri* rzeka górna, *Dan-astri* rzeka dolna, *Dan-uvi* (Dunaj), *Dan* (Don), *Dana* lub *Düna* (Dźwina). *Wissedan* biała woda czyli białe jezioro; ztąd u Herodota *Issedones* bezwątpienia mieszkańcy białego jeziora (dawniejszéj prowincyi rossyjskiéj, teraz wcielonéj do gubernii nowogrodzkiéj pod nazwiskiem *Białozierśk*); nakoniec *Bo-rys-then*, *Bo-rusden*, wielkich szczytów rzeka (Dniepr); w słowniku Rankego każdy przekonać się może, że *rys* (wymawia się *rius*) był jednym z dziewięciu rodzajów skandynawo-gotskiego szczytu; *Skjold* lub *Skjot*, ztąd po grecku *Skyth*, *Skiut* i u Herodota *Skolot*, według słów jego, prawdziwe nazwisko Scytów i także imię piérwszego ich monarchy; wiadomo zaś, że Skandynawcy i Gotowie piérwszym swym monarchą uznawali *Skjolda*, tojest *Szczyta*.

Nasz historyk (patrz *Badania starożytności względem jeografii* przez J. Lelewela 1818 r.) także twierdzi, że Scytią samą zasiadały ludy Skolotów od Greków znane, z których Herodot wymienia niektóre osiadłe i rolą zajmujące się, koło ujścia Hypanu i Borysthenu będące.

Rys i *gerrhon* Herodota oznaczają jeden i ten sam rodzaj ogromnego szczytu. Strona *in Gerrhis* (w wielkich szczytach) leży według niego wyżéj *Taphoi*, tojest *Mogił*: wyraźny przekład nazwiska *Mohilew*, miejsca, około którego monarchowie panujących Scytów byli chowani i sypali swe znamienite kurhany, czyli mogiły.

Starożytne perskie kroniki, znane obecnie pod nazwą *Szachname* księgi o monarchach, i *Iskender-name* księgi o Alexandrze Wielkim, używały wyrazu *Rus* tam, gdzie Grecy w takichże historycznych podaniach używali wyrazu *Skyth*, i w tym samym czasie wyraz *Rus* był dla Arabów jedno-znaczącym z wyrazami *Goth* i *Normann*. Ztąd wnio-

Bulgarowie dzielili się na Wołgskich, Kamskich i Chwaliskich; ci ostatni mieszkali nad morzem Chwaliskiém czyli Kaspijskiém.

Jedno z plemion bulgarskich, w którém Turcy stanowili zaród czyli korzeń, a pomiędzy nimi znajdowali się także Russy, Słowianie, Peczeniegi i Baszkirowie, posunąwszy się ku południu, w początku V wieku przeszło z nad Wołgi ku Dunajowi i następnie połączyło się z różnemi słowiańskiemi plemionami, przez co powstało silne państwo Bulgarskie, przed którém drżało nawet cesarstwo Bizantyjskie. Potomkowie ich dotąd zostają pod berłem tureckiego sułtana, stanowiąc główną część ludności tureckich prowincyj, jakoto: Bulgaryi, Rumelii, Macedonii i Albanii. A ponieważ Słowianie przemagali liczbą przybyszów Bulgarów; przeto ci ostatni nietylko w języku, lecz i w obyczajach musieli poddać się Słowianizmowi, a własnych zapomnieć (1). Prze-

sek pewny, że kraj, który przez Greków zwany był Scytią, od najdawniejszych czasów u krajowców i na wschodzie zwał się *Rusią*. Piérwszym monarchą i protoplastą panujących Scytów był *Skolot* według Herodota. Podług gotskich sag, zebranych przez Islandczyków, piérwszym monarchą i protoplastą plemienia Gotów był *Skiold* tojest: Szczyt. On miał, według Herodota, trzech synów, od których powstały trzy wielkie szczepy scytyjskiego narodu.

1) Najstarszy i główny *Kolaksa*, *łodziowy* albo *flotski*, który mieszka i wojuje na łodziach, tak jak mieszkali, wojowali i panowali wszyscy Gotho-Normannowie. *Kola* po gotsku *łódka*, *ksa* to samo co w starożytnej greckiéj pisowni *scha* lub *ska*, zakończenie przymiotników słowiańskich *ski*.

2) *Lejpoksa* lub *Lejposka*, *chlebny* (*leip* po gotsku oznacza *chléb*, *ksa*, *ska*, *scha* przymiotne zakończenie); jawnie protoplasta Słowian albo właściwie *Polan*, imienia dotąd w literalnym przekładzie znaczącego w rozmaitych słowiańskich narzeczach *rolniczy*, *Georgoi*, *skythae Georgi*.

3) *Arpaksa* lub *arpa-ska*, *narzędziowy*, *instrumentalny*; od *harpa* i *warpa* narzędzie, instrument; zkąd i wyraz *harpe* arfa, znany muzykalny instrument Germanów Tacyta. Widocznie, praojciec trzeciego głównego plemienia Scytyi, Finnów, którzy w islando-gotskich powieściach słyną z doskonałego wykończenia wszelkich metalicznych wyrobów, narzędzi i broni, oraz z doskonałych złotych wyrobów.

Z tego, cośmy przytoczyli i z porównania wielu innych imion przytaczanych u Herodota i w sagach islandskich, widocznie przekonywamy się, że u Greków, Scytami byli Gotowie i Normannowie.

Parali u Greków jest także przełożoném *Pomorzanie* czyli *przymorscy*. *Par-alii* islando-gotskie wyrażenie. *Oe-Gautland* przy-morska Gotlandya. Litwini dotąd nazywają Rossyan *Gudas*, tojest Gotami; Duńczyków i Szwedów *Pamoranas* Pomorzanami (Paralii), Finczycy zaś w Finlandyi tak Szwedów jak i Rossyan jednakowo nazywają *Ruotsi*, tojest *Rusinami*.

(1) Z Bulgarami r. 1306—1308 połączyli się Alani i cesarz Jan Kantakuzen, biorący tytuł króla Bulgaryi r. 1345 tytułował sie królem Alanów, Asaniów, Włachów i Rossów (patrz Bibl. Warsz. T. II, 1842 r.).

ciwnie zaś ci Bulgarowie, co nad Wołgą pozostali, utrzymali swój język i obyczaje. U nich wzięła górę wschodnia cywilizacya, któréj dowodem są ruiny ich miast ze szczątkami budownictwa wschodniego stylu, tudzież monety, i nagrobki z arabskiemi i tatarskiemi nadpisami. W kronikach ruskich wołgscy i kamscy Bulgarowie przezwani są białymi lub wolnymi, dlatego, że ci, co osiedli nad Dunajem, ulegali naprzód Hunnom, a potém Awarom czyli Obrom. Wolni Bulgarowie stanowili nad Wołgą potężne i handlowe państwo, którego stolicą było miasto Bulgar. Ruiny tego miasta i dotąd w całości przetrwałe szczątki gmachów, widzieć można w odległości od miasta Kazania ku południowi o 140 wiorst, od miasta Spask o 22 i od miasta Tetiusz o 18 i pół, na lewym brzegu rzeki Kamy wpadającéj do Wołgi, czyli na wschodnim i lewym brzegu téj ostatniéj. Na gruzach tego miasta dziś zbudowana jest wieś kościelna czyli sioło zwane Bołgary lub Uspienskoje (Wniebowzięcia). Wschodni pisarze, a mianowicie tatarski rękopism: Tawarin-ud-Dawair twierdzą, że miasto Bulgar początkowo zbudowaném było na pobrzeżu rzeki Wołgi przez Timura, lecz po upłynieniu 54 lat od założenia jego, gdy ta rzeka zbyt podmywała gmachy i koryto swe ku wschodowi posunęła, wówczas mieszkańcy zmuszeni byli osiąść blizko r. Kamy. Data założenia tego m. niewiadoma: w początku X wieku już słynęło z handlu i służyło za skład wszystkich towarów, jakie przesyłane były z północy na wschód i wzajemnie, oraz było pośrednikiem w handlu pomiędzy Słowianami i Arabami. Rywalem tego miasta było Atel lub Itil, w późniejszym czasie zwane Astrachan, miasto Chozarów czyli Kozarów, w którém dla handlu przemieszkiwali: Arabowie, Persy, Ormianie, Grecy i Słowianie. Oprócz tego Bulgarowie mieli inne miasta, jakoto: Siwar, Isbil, Briachimow czyli Ibrahimow, Bilar nad r. Czeremszaną, na gruzach którego dziś zbudowane miasto Bilarsk; Agil, lub Oszel nad Wołgą, którego ślady dotąd widzieć można przy ujściu r. Kiryełki do Wołgi; Tuchczyn, Sobiekuł i Czełmat.

Bulgarowie aż do X wieku byli poganami: religia chrześciańska i islamizm prawie jednocześnie w początku X wieku w Bulgaryi zaszczepione zostały. Lecz

po podbiciu Derbentu przez Arabów i zaprowadzeniu ważniejszych stosunków handlowych z Bulgarami, islamizm wziął górę tak, że około 992 r. wszyscy wołgscy Bulgarowie zostali mahometanami.

Państwo bulgarskie składało się z wielu prowincyi przez oddzielnych sukcessyjnych władców rządzonych, którzy jednak mniéj więcéj zależeli od hana Bulgaryi i zwali się Terchanami. Te prowincye stanowiły różnorodne plemiona tureckie, fińskie i słowiańskie, które pomiędzy sobą łączyła władza jednéj dynastyi tureckiéj; ztąd wnosić należy, że i język bulgarski był mieszaniną fińskiego, tatarskiego i słowiańskiego.

Historya hanów bulgarskich prawie cała zniknęła. Z pozostałych pism i monet wiadomo, że był han Tuki lub Tufi, który umarł w 630 r. Po nim nastąpił Ajdarhan, za którego panowania Bulgarowie przyjęli islamizm; rządził lat 50. Następnie rządzili tym krajem: Muhamed-Amin-Chan, Seid Chan, Ir-Chan syn Seida, z których każdy miał rządzić lat 50. Po Irze nastąpił Selim-han, a po następcy jego Igłam-hanie Mongoły napadli na kraj bulgarski. Igłam poddał się im i państwo jego stało się prowincyą Czyngis-hana. Lecz w szeregu wyliczonych hanów, przepuszczeni zostali: Almus syn Silki, który rządził krajem w 922 r. i zostawszy muzułmaninem, przezwał się Dżafarem i przybrał tytuł emira Bulgaryi. Po Dżafarze rządził syn jego Achmed, który zostawił rządy kraju swym synom: Talebowi i Mumenowi. Ostatni wiadomy jest Chalif Nazir-Lidin-Allah z rodu Abbassa, który rządził Bulgaryą od r. 1180 do 1225.

Nie masz wątpliwości, że sąsiednie słowiańskie prowincye, a nawet odleglejsi Nowogrodzianie i Kijowianie płacili Bulgarom haracz za prawo wolnego handlu po Wołdze z miastami Bulgar i Atel, i z tego powodu malekowie czyli władzcy bulgarscy nazywali się władzcami Słowian: Malek-El-Sakłab.

Cywilizacya do Bulgaryi wprzódy niż do innych prowincyj Wielkiéj- Rossyi przenikła. Już w X wieku, po przyjęciu muzułmaństwa, bili własną monetę z arabskiemi nadpisami. Kupcy bulgarscy i zamożniejsza klassa oswojeni byli z przepychem i zbytkiem. Handlowe stosunki ze Słowianami, Arabami, Konstantynopolem, oraz

północnemi krajami, ułatwiały wprowadzenie do kraju wszelkiéj zagranicznéj wygody i nowości. Z Bulgaryi wywoziły się do Arabów futra, wełna, puch, miód, orzechy, juchta i zęby mamutowe, które były dobrze popłacane na Wschodzie; ztamtąd zaś przywozili do kraju drogie tkaniny, towary kolonialne, kruszce i drogie kamienie. Klingi do szabel czyli miecze Bulgarowie sprzedawali za wysokie ceny, nietylko północnym Słowianom, lecz i Jugrze. Stosunki Bulgarów z Jugrą naprowadzają na domysł, że Bulgarom oddawna znaną była Syberya, lecz się z tém ukrywali przed Arabami. Miasto Bulgar, czyli Bołgary, po wprowadzeniu do Bulgaryi islamizmu, było kwitnącém i wspaniałém. Pałace hanów, meczety, łaźnie parowe i inne publiczne gmachy zbudowane były przez arabskich budowniczych w lepszym wschodnim stylu. Bulgar należał do wielkich miast, chociaż w niém liczba mieszkańców nie przenosiła 10,000. Wówczas taka liczba uważaną była za znaczną, albowiem oprócz tych wewnątrz murów miasta zamieszkałych obywateli, na przedmieściach i w okolicach do miasta należących przemieszkiwało dziesięćkroć wiecéj ludności. Zwykle niższa klassa zimą mieszkała za miastem w łaczugach czyli altanach, latem zaś większa jéj część prowadziła ze swemi stadami życie koczujące. Poddani hana bulgarskiego płacili podatki do skarbu skórami, najczęściéj juchtą. Skórzane rzemiosło oddawna kwitnęło w dawniejszéj Azyi za Wołgą, które dotąd w takim doskonałym stanie przetrwało u Tatarów kazańskich. Rolnictwo także było na dobrym stopniu, gdyż w czasie okropnego głodu, jakim dotkniętą była prowincya suzdalska (1) w początku XIIIgo wieku, Bulgarya opatrzyła Słowiano-Russów znaczną ilością zboża. O zamożności tego narodu można wnosić z tego, że za czasów Włodzimierza Wielkiego księcia kijowskiego, tojest w X wieku, wszyscy Bulgarowie już chodzili w butach, co wówczas za zbytek uważało się, gdyż niższa klassa Słowian zwykle używała łapci na obuwie.

Muzułmaństwo nierychło wykorzeniło przesąd, jaki pogaństwo w tym narodzie wkorzeniło: wróżby i wiara

(1) Miasto *Suzdal* dziś leży w gubernii włodzimierskiéj, sąsiedniéj z moskiewską.

w zabobony i prognostyki miały miejsce w umysłach Bulgarów.

Prawa bulgarskie były bardzo srogie. Za cudzołóztwo i kradzież przywiązywano winnych za nogi i ręce do czterech słupów i siekierą rozcinano ciało od szyi do biódr. Zabójca zamykany był do drewnianéj skrzyni i zawieszony na wysokim słupie; tam zostawionym był na śmierć od zimna lub upału.

Chociaż pomiędzy Bulgarami, wołgskimi tak jak i pomiędzy dunajskimi więcéj było Słowian niż Turków, lecz piérwsi dlatego przemienili się na Turków czyli Tatarów, że język ich arystokracyi był turecki, i Bulgarowie Wołgscy byli w sąsiedztwie z plemionami tureckiemi, od których i religią przyjęli; przeciwnie nad Dunajem Bulgarowie stali się Słowianami dlatego, że otoczeni byli słowiańskiemi plemionami, i u nich od Kruma panowała słowiańska dynastya; z przyjęciem zaś religii chrześciańskiéj, służba nawet boża czyli obrzędy religijne w języku słowiańskim odbywały się. Wyżéj wspomniony nasz ziomek Sękowski twierdzi, że w języku kazańskich Tatarów z któremi połączyli się Bulgarowie, znacznie odbija się słowianizm, i że wiele bulgarskich zwyczajów z X i XI wieku jest podobnych do słowiańskich.

Pomimo handlowego ducha Bulgarów nie ostygał w nich zapał do wojny. Niewiadomo w jakich stosunkach przyjaźni zostawali ze swemi sąsiadami od północy, południa i wschodu; lecz z Rossyanami w ciągłéj prawie nieprzyjaźni byli. W 913 r. mieli udział w wojnie przeciw Rossyanom, gdy ci przedsięwzięli wyprawę na południowe pobrzeża morza Kaspijskiego; Rossyanie zaś w 969 r. zniszczyli krainę bulgarską. W 984 r. Włodzimiérz Wielki odniósłszy przy pomocy swych sprzymierzeńców Turków, zwycięztwo nad Bulgarami, zawarł z nimi pokój; oni przysięgali, że dotąd zostaną w przyjaźni z Rossyą, aż nim kamień pływać, a chmiel tonąć nie zacznie. Przy téj okoliczności Bulgarowie wiedząc, że Włodzimiérz Wielki lubił życie rozkoszne i płeć piękną, przekładali mu, aby przyjął religią mahometańską. Nestor w swéj kronice o tém tak opowiada (1): „Przyszli do Włodzimierza Bulgarowie religii bo-

(1) Dla lepszego zrozumienia woleliśmy tu przytoczyć dosłowne tłumaczenie polskie, niż w języku słowiańskim wypisywać.

chmickiéj (1) i mówili mu: jesteś księciem mądrym i rozumnym, przyjm naszę wiarę i pokłoń się Bochmitowi. Włodzimiérz zaś zapytał: jakaż jest wasza wiara? Oni na to odpowiedzieli: wierzymy w Boga, Mahomet zaś nas naucza, abyśmy obrzezali skryte uda, świniny zaś nie jedli i wina nie pili; po śmierci zaś da nam każdemu po 70 pięknych żon, z których wybierze najpiękniejszą, którą obdarzy wdziękami wszystkich innych i tę nam przeznaczy za małżonkę. Włodzimiérz słuchał to z upodobaniem, bo sam bardzo lubił kobiety; lecz to mu się nie podobało, że trzeba obrzezać uda i niewolno jeść świniny ani téż pić wina; rzekł zatém: Rossyanie lubią pić, nie mogą bez tego żyć."

Roku 1088 Bulgarowie opanowali Murom (2), lecz nie nadługo; albowiem r. 1164, za panowania w Polsce Bolesława IV Kędzierzawego, Andrzej syn Jerzego Bogolubski książę ruski wystąpił przeciw Bulgarom z taką energią, iż mu się udało nietylko wojsko nieprzyjacielskie rozproszyć i z kraju swego wypędzić, lecz nadto opanować słynne bulgarskie miasto Bryachimów czyli Ibrahimów i spalić kilka innych. Na pamiątkę tego tak świetnego zwycięztwa ustanowioném zostało w kościele prawosławnym oddzielne święto, które dotąd d. 1 sierpnia v. s. uroczyście obchodzi się. R. 1172 Andrzéj wyprawił przeciwko nim syna swego Mścisława, lecz ten zaledwie sam ocalił się. R. 1183 Bulgarowie wpadłszy do prowincyi muromskiéj i riazańskiéj, tak je pustoszyli, że książę Wsiewołod, brat pomienionego Andrzeja, niemogąc sam téj klęsce zapobiedz, przyzwał na pomoc innych cząstkowych książąt ruskich oraz Połowców, z któremi udało mu się wypędzić ze swych granic nieprzyjaciela i w odwet wkroczyć do Bulgaryi, gdzie jedno z ważniejszych miast obległ, lecz go zdobyć nie mógł z powodu, że w czasie szturmu Iziasław, synowiec Wsiewołoda, strzałą ranionym został, co znagliło Wsiewołoda do zawarcia z oblężonemi pokoju i powrócenia do swego kraju. W r. 1186 znowu Rossyanie mieli wyprawę przeciw Bulgarom, lecz bez pomyślnego skutku. Lecz za to ci ostatni taki silny odpór przeciw napadom Ros-

(1) *Bochmicka* oznacza *mahometańska*, bo wyraz *bochmit* jest zepsutym wyrazem *mahomet*.

(2) *Murom* miasto gubernii włodzimierskiéj.

syan stawili, że nietylko swój kraj zupełnie pod swą władzę odzyskali, ale posunęli się tak daleko na północ, że w r. 1218 owładnęli miasto Usciug z całą do niego należącą prowincyą (1). Takiém zuchwalstwem Bulgarów do żywego tknięty książę Jerzy syn Wsiewołoda, wyprawił przeciwko nim brata swego Światosława z liczném wojskiem, który potrafił się zemścić, spalił bowiem warowne ich miasto Oszel i wiele innych miast i wsi zniszczył, co zniewalało Bulgarów do błagania o pokój, który wreszcie zawartym został i stosunki przyjaźni zawiązane były, przez osiedlenie wzajemnych posłów w stolicach obu krajów (2).

Niedługo Bulgarowie z tego przymierza korzystali, gdyż na wiosnę r. 1236, za panowania w Polsce Bolesława V zwanego Wstydliwym, Subutaj naczelny wódz Mongołów, z ramienia Batego, wkroczywszy do granic Bulgaryi, zajął ich stolicę. Widząc przemagającą siłę Mongołów, Bulgarowie bez oporu poddali się; lecz wkrótce, gdy ci oddalili się, wzniecili bunt. Wówczas Subutaj powtórnie wkroczywszy do Bulgaryi, zwykłym trybem wszystko poddał mieczowi i zniszczeniu, i zadał ostateczny cios niepodległości jéj mieszkańców. Od tego czasu Bulgarowie już nie stanowili oddzielnego narodu, lecz przyłączeni do państwa kipczackiego, aż do upadku jego podzielali los téj ordy, wcielając się coraz bardziéj do zwycięzców, tak, że nawet imię tego narodu zniknęło. Nim założone zostało miasto Saraj nad rzeką Achtubą, Bulgar było stolicą mongolskich hanów Złotéj hordy. Wyraz horda czyli orda pochodzi od tatarskiego urdu, co pierwotnie oznaczało namiot, potém dla wyższego znaczenia namiot hański, a nakoniec cały dwór. Dwór w Saraju nazywał się urta-urdu, tojest średni dwór; Batyj zaś umarł w Kuk-urdu, tojest w granatowéj-hordzie. Ta horda pochodziła z za rzeki Uralu, zkąd wybrani hanowie osiadali na tronie kipczackim. Przymiotnik granatowa otrzymała od jeziora Aralskiego, które obecnie nawet po rusku zowie

(1) *Uściug* miasto handlowe gubernii wołogodskiéj przy ujściu rz. Jug do Suchony, czyli początku Dźwiny północnéj.

(2) Książę Jerzy II Wsiewołodowicz na gruzach zniszczonego miasta bulgarskiego, przy ujściu rz. Oki do Wołgi założył w r. 1221 handlowe dziś miasto *Niższy Nowogród.*

się morzem siném czyli granatowém. Nazwisko złotéj hordy nadaném zostało przez ruskich dziejopisarzy, od złotego, tojest wyzłoconego tronu hanów. Po mongolsku taki tron zowie się Ałtun-tajecht, któreto nazwisko przybiérały także miasta stołeczne Bulgar i Sarajczuk, gdy w którém z nich dwór hana rezydował. Mongolskie mennice były w Bulgarze i Saraju. Po przeniesieniu nazawsze stolicy hanów mongolskich do Saraju, miasto Bulgar rządzoném było przez namiestników, z ramienia hana przeznaczanych.

Bez względu na to, że Rossyanie podbici zostali przez Mongołów, Nowogrodzianie żywiąc dawną nienawiść ku Bulgarom, w r. 1359 zajęli im miasto Żukocin nad r. Kamą, za co Wielki książę Dymitr s. Konstantyna z braćmi Andrzejem i Konstantym udzielnemi książętami Niżegrodu (Niższy Nowogrod) i Rostowa zapozwani byli przez Bulgarów przed sąd posła hańskiego, który kazał winnych wydać i srogo ukarać. Pomimo tego Nowogrodzianie w r. 1365 zrabowali miasto Bulgar; Bulgarowie zaś jeszcze poprzednio r. 1361 za namiestnikowstwa Bułach-Temira wpadli do granic niżegorodzkich, lecz z woli hana Mamaja, przez Bazylego syna Dymitra suzdalskiego, uśmierzeni byli. W latach 1374 i 1375 Bulgarowie znowu doznali rabunku od Nowogrodzian; w następnym zaś r. 1376 Dymitr s. Jana, wielki książę moskiewski, żądając wybić się zpod jarzma Mongołów, i chcąc opanować zamożną Bulgaryą, wyprawił przeciwko niéj liczne wojsko, które połączywszy się z armią suzdalską, posunęło się aż do Kazania i spaliwszy wsie, zimowiska i wodne statki Kazańców, zmusiło Ossana i Machmat-sułtana ówczesnych władców Bulgaryi, do poddania się Dymitrowi. Kazańcy zapłacili 5000 okupu i przyjęli do swego miasta celnika moskiewskiego. Wówczas już Kazań zaczynał ćmić dawną sławę Bulgaru i wkrótce całą jego ważność pod względem handlowym od niego odebrał. W r. 1383 mieszkający w mieście Bulgarze kupcy ruscy, z rozkazu Tochtamysza byli zrabowani; w ośm zaś lat późniéj, w czasie wyprawy Tamerlana przeciwko Tochtamyszowi, to miasto uległo zupełnemu zniszczeniu. Wyprawa ta, z licznych klęsk na całe księstwo moskiewskie

sprowadzonych pamiętna, była przedsięwzięta przez Tamerlana czyli Timur-Lenka z zazdrości ku Tochtamyszowi, jednemu z wodzów granatowéj hordy, który korzystając z wewnętrznych niezgód pomiędzy arystokracyą mongolską, po śmierci Bardybeka hana, r. 1380 potrafił osiąść na tronie kipczakskim. Po zniszczeniu miasta Bulgar, Tamerlan mszcząc się przeciwko mieszkańcom za ich długi opór, kazał ściąć 124 książąt, żony zaś ich z sobą uwieźć. Z pomiędzy tych książąt, czterech należało do panującéj dynastyi, a mianowicie: Ikbał-Bek, Kiut-Ali-Bek, Chuaszi-Bek, i Merkasz-Bek, którzy wraz z Abd-Ułłah-hanem rządcą Bulgaryi zginęli. Z téj rzezi pozostali dwaj synowie ostatniego: Ałym-Bek, i Ałtun-Bek: piérwszy dziewięcioletni, drugi siedmioletni, którzy przez uciekających z miasta mieszkańców zaprowadzeni do lasu, schowali się tam i ocalili swe życie. Ałym-Bek przeszedł góry Uralskie i nad rzeką Toboł osiadł, gdzie założył miasto Tobolsk. Ałtun-Bek zaś na pobrzeżu rzeki Kazanki założył miasto Kazań.

Pomimo opisanéj klęski, miasto Bulgar znowu wkrótce powstało ze swych gruzów i po Tamerlanie, władali niém hanowie: Szadibek, Puład, Timur, Dżełal-Eddin, Kibak i Czewre, którzy mieli swój pałac, utrzymywali liczny dwór i bili własną monetę. W r. 1409 rządził Bulgaryą Akfał wojewoda; w roku zaś 1431 Bazyli ciemny W. książę moskiewski wyprawił przeciw Bulgarom księcia Teodora s. Daniela, który całą tę prowincyą podbił i do opłaty haraczu W. księztwu Moskiewskiemu ich zobowiązał. Ostatecznie zaś Bulgarya wcieloną została do państwa moskiewskiego za panowania cara Jana Groźnego, jednocześnie z upadkiem państwa kazańskiego. Od owego czasu tytuł cara, a następnie Cesarza Wszech Rossyi powiększył się nazwą księcia Bulgaryi.

Tam, gdzie kwitnął handel i tchnęła żądzą do boju Bulgarya, dziś widzieć się dają skromne chaty Czuwaszów, Czeremisów, Nogajów i Mordwy. Tylko dla pamięci o starożytnéj sławie, teraźniejsi Tatarowie kazańscy i symbirscy niekiedy jeszcze zowią się Bulgarłykami tojest Bulgarami.

* * *

W naszéj historyi znajdujemy dwa razy wzmiankę o Bulgarach. Raz, za czasów Władysława Jagiełły, gdy mężny Witold książę litewski w r. 1397 zwyciężywszy Tatarów, posunął swe zwycięztwa aż do Bulgaryi, spustoszył ten kraj, zabrawszy wielką liczbę Tatarów i Bulgarów z żonami i dziećmi do Litwy. Jednę część ich wysłał do Polski, gdzie byli ochrzczeni i stali się Polakami; resztę zaś osiedlił niedaleko Wilna, gdzie dotąd znani pod jedném imieniem Tatarów, przechowali aż do naszych czasów religią i zwyczaje swych przodków. Tenże Witold r. 1429 w czasie zjazdu monarchów w Łucku, podejmował swą gościnnością hana zawołżańskiego.

Drugi raz wspomnieni są Bulgarowie w końcu XV wieku, zapewne gdy już hołdowali Moskwie, za czasów Jana Alberta króla polskiego, który zagrożony przez Rusinów opanowaniem księztwa Smoleńskiego, wzywał na pomoc Szachmateja hana Bulgaryi; lecz ten chociaż przybył na brzegi Borystenu w celu połączenia się z armią polską, jednak tam przez krymskich Tatarów, naówczas sprzymierzeńców Moskwy, w przemagającéj sile napadnięty, poniósł tak wielką klęskę, że zaledwie sam ucieczką ocalić się mógł.

* * *

Nietylko na polu bitwy, lecz i w hierarchii duchownéj znani są Bulgarowie w historyi naszéj. Grzegórz Camblak uczony Bulgar, za rządów Alexandra Witowda w. księcia litewskiego i różnych krajów ruskich monarchy, w r. 1425 na soborze nowogrodzko-litewskim, w świątyni N. Panny przez Teodozyusza arcybiskupa połockiego i sześciu biskupów ruskich, w obecności wielkich książąt litewskich, ruskich i innych jemu hołdujących, bojarów, panów, archimandrytów, ihumenów i kapłanów, wybranym został na metropolitę kijowskiego.

IV.

Zyryanie.

Za starożytnych czasów, około Narodzenia Chrystusa Pana, a nawet i wcześniéj, cały półwysep skandynawski, Finlandya i większa część północnéj i średniéj strefy teraźniejszéj Rossyi, wdłuż od gór Uralskich, a nawet daléj od rzeki Ob aż do granic teraźniejszéj Kurlandyi, wszérz zaś od 56 stop. północnéj szerokości, posuwając się wewnątrz niezawodnie aż za Moskwę, zaludniony był przez fińskie plemiona, pod różnemi nazwiskami od uroczysk przybranemi, jakoto: Czuwasze, Czereremisi, Żyryanie, Mordwa, Czuchny, i t. d.

Według zdania wielu historyków, na anatomicznych i fizyologicznych badaniach opartego, Finnowie są szczepem mongolskim, który z czasem przekształcił się w kaukazko-skandynawski. Finnowie nigdy nie byli cywilnym narodem, czyli nie stanowili sobą uorganizowanego państwa, lecz mieszkali, rozproszeni plemionami i familiami: wojna tylko łączyła ich w gromady. Głównem zatrudnieniem tego plemienia było polowanie na zwierzynę i łowy na grubego zwierza; najważniejszym zaś przedmiotem handlu futra. Finnowie wszystkim północnym narodom znani byli ze sztuki czarodziejskiéj i guślarstwa, z czego nawet dotąd słyną w Szwecyi i Rossyi. W późniejszym czasie plemię łotyszskie czyli litewskie, ciśnione przez Słowian ze swéj nadbałtyckiéj krainy, która od ujścia Wisły swój początek brała, posunęło fińskie plemię aż do teraźniejszych jego osiadłości w Estonii czyli Estlandyi i Finlandyi; Słowianie zaś posunąwszy się na północ w kierunku biegu Dniepru, przecięli łańcuch siedzib fińskich i poparli fińskie plemiona wstecznie na wschód i głęboką północ, ku górom Uralskim i do Biarmii czyli Permii, tojest do teraźniejszych gubernii: permskiéj, archangielskiéj, wołogodzkiéj i wiatskiéj.

Ta właśnie Biarmya była kolebką Zyryan, którzy początkowo osiedli nad rzeką Kamą, a następnie ku zachodowi posunęli się. Nazwisko Zyryanin pochodzi od ojczystego wyrazu Zyrodomom, co oznacza posu-

nięty, tojest przesiedlony z nad r. Kamy. W rodowitym języku, Zyryanie zowią się: Komin, Komijas, i Komi-Wojtyr, co oznacza Kamianin czyli mieszkaniec z nad Kamy.

Zyryanie także w starożytności nazywali się Wymiczami, od rzeki Wym, (1) po zyryańsku Jem-wa (rzeka ostra), która przez środek dawniejszéj Biarmii czyli kraju zyryańskiego płynęła i wpada do r. spławnéj Wyczehdy, jednéj z głównych północno dźwińskiego systematu wód. Nad rzeką Wym zbudowana była stolica kraju zwana Wielkim-Permem, która w późniejszych czasach przeszedłszy smutne koleje, zamieniła się w wieś zwaną dziś Ust Wym czyli Jem-Gin. W pobliżu Wielkiego Permu była rezydencya rządcy kraju nazwana Kniaź-Pogost, w któréj książę zwany Pan Sotnik przemieszkiwał. Kniaź-Pogost przezwano później Udora i podniesiono tę krainę na księztwo Udorskie. Gdy dzisiejsze miasto Perm w okolicach Czerdynia stanęło, wówczas tamten Wielki Perm przezwanym został Starym Permem. W tém ostatniém była jedyna świątynia zyryańska, a przynajmniéj o innych wiadomości nie mamy. Podobnie Czuwaszom i Czeremisom, swym jednoplemiennikom, Zyryanie w drzewie upatrywali swe bóstwa, i stojąca wśród stołecznego ich miasta swawolna brzoza (2) odbierała cześć i pokłon od przybywających z całego kraju Zyryan, którzy przynosili jéj na ofiarę najlepsze zdobycze ze zwierzołówstwa i wieszali je na gałęziach tego świętego drzewa. Godna uwagi rzecz, dlaczego Zyryanie obszerniejszemi, niż Czuwaszy i Czeremisi, lasami otoczeni, w żadném drzewie siedziby ich otaczającém, tak jak ci ostatni, nie uznawali bóstwa, lecz poświęcali się na utrudzające podróże, aby odległéj w mieście Perm czyli Ustym-Wym brzozie oddać należny jako jedynemu bóstwu pokłon. Przypuścić wypada, że Zyryan pojęcie o Bogu było wyż-

(1) Do rzeki *Wym* wpadają rzeki: *Uchta* po zyryańsku *Suk-wa* i druga *Jotwa*. Piérwsza z tych ostatnich jest znaną z tego, że dno swe wzdłuż na 2 wiorsty ma wysłane z natury ciekawym minerałem, zwanym *domanik* (bitumem suillum). Jestto kamień czarnego koloru, w wodzie miękki, lecz wydobyty na powietrze twardnieje; pali się na ognin nakształt bursztynu i wydaje z siebie mocny zapach. *Jotwa* (rzeka mleczna) zawiera w sobie takiż minerał, tylko białego koloru.

(2) *Swawolna brzoza* прокудливая береза.

sze i wiara w jednego Boga była zasadniejszą niż u tamtych jednoplemieńników, i dlatego jedyną mu świątynię w najświetniejszém miejscu, bo w stolicy, w najokazalszym punkcie przeznaczyli. Głównem bóstwem ich był Jumała (1) i prawie równy jemu Tor (2). Posąg Jumały był z drzewa przyozdobiony naszyjnikiem z drogich kamieni i złota, przed którym srebrna czara z pieniędzmi stała.

Częste stosunki handlowe tego narodu z sąsiadami Bulgarami, Tatarami, Jugrami, jednoplemiennemi Czudami i Jemami, oraz rzecząpospolitą Nowogrodzką, obznajmiły tych ostatnich z krajem Zyryan, obszernym, we wszystko obfitym, lecz mało-ludnym; a polityczne wypadki stały się przyczyną przesiedlenia się licznych Słowian do krainy zyryańskiéj, przez co na zajętéj przez przybyszów przestrzeni, język słowiański, jako bardziéj ucywilizowanego narodu wykorzenił język Finnów; ci zaś posunięci zostali na północ pomiędzy granicą gubernii archangelskiéj, ze wschodu zaś i południa pomiędzy górami Uralskiemi, częścią gubernii permskiéj, a od zachodu tylko aż do wsi Mežogi powiatu jareńskiego gubernii wołogodzkiéj, tak, iż cała dawniejsza Biarmia określiła się prawie tylko w trzech powiatach gubernii wołogodzkiéj, a mianowicie: Uśćsysolskim, Jareńskim i Solwyczehodzkim. Z tego politycznego przewrotu, Zyryanie stali się mieszaniną z krajowców, Bulgarów, Tatarów, Czudów, Jugrów i Nowogrodzian.

Religia jednak Zyryan, jako przemagających liczbą nad przybyszami, nienaruszoną przetrwała, tylko niektóre obrzędy od Nowogrodzian przyjęte zostały, a mianowicie święto Kupała. Ten opiekun rolnictwa, od Egipcyan w imieniu Izydy, od Greków i Rzymian w imieniu Cerery i Tryptolema, od Słowian i Zyryan w imieniu Kokka lub Kupała, jako dawca płodów ziemnych, tojest najważniejszych potrzeb do życia człowieka, właściwą cześć odbierał. Nowogrodzianie przy swawolnéj brzozie, pod zasłoną świętych jéj gałęzi, postawili na słupie posąg Kupały, który wyobrażał mło-

(1) *Jumała* podobny do czeremiskiego bóstwa *Juma*.
(2) *Tor* tak jak u Czuwaszów *Tora*, był także u Słowian bogiem wojny; od niego wyprowadzają nazwisko dnia *Wtorek*, u Rzymian *dies Martis*.

dego mężczyznę siedzącego na słupie, którego skronie uwieńczone było wawrzynem; w prawym zaś ręku trzymał laskę obwiniętą winogronami, a w lewym takąż uwieńczoną arbuzami: około posągu palił się ogień. Na cześć tego bóstwa, Sobotek polskich, jakie mianowicie miały miejsce w okolicach krakowskich i w górach Karpackich, ani też kupalnic, które do dziś dnia w Rossyi, a nawet w okolicach Petersburga (1) zachowują się, Zyryanie nie palili: lecz w wilią ś. Jana, tojest d. 23 czerwca palili w łaźniach i po ogrzaniu ich do zwykłéj temperatury, naścielali zielska, które nazywano kupalnicą, na których leżąc, przysposobionemi z tegoż zielska miotłami siekli się, jak to widzieć można w ruskich łaźniach, a potém kąpali się. Na takiéj kąpieli zależała cała cześć Kupała.

Obrzezania u Zyryan, tak jak i u innych fińskich plemion, nie było.

Gody małżeńskie, chociaż skromniéj od Czuwaszów i Czeremisów, lecz wesoło Zyryanie odbywali. Jak u Greków προμνήστρια, u Rzymian pronuba, u Rossyan swacha (сваха), tak i u Zyryan swaci kojarzyli małżeństwa. Po zwykłych zaręczynach, w czasie ślubu narzeczona pokryta była czerwoną płachtą. W jaki sposób wykonywaną była przysięga czyli ślub małżeński, podanie o tém szczegółowo nie mówi; lecz tylko wiadomo, że po ślubie jeden z drużków, trzymał przed panną-młodą obnażony miecz, którym machał i uderzał o podłogę i belkę podpierającą pułap izby. Gdy zaś pannę-młodą wynosili na dziedziniec dla pokazania jéj oblicza zebranym, wówczas tenże drużba wyprzedzał królowę wesela z mieczem w ręku i wołał na zebranych, aby w szereg stanęli i nikt nie stawał na drodze, gdyż to uważanoby za złą wróżbę w pożyciu małżeńskiém nowożeńców.

Zyryanie, według przykładu innych narodów, ciała umarłych palili i popioły ich w złotych i srebrnych urnach stawiali na słupach wśród swych cmentarzy.

Złoto, srebro i inne bogactwa Zyryanie nabywali przez handel futrami od Szwedów, Norwegian, Duńczyków i innych narodów, które jużto z za morza od półno-

(1) Obszerny opis obchodzonego przez włościan wsi *Lisino* gubernii petersburskiéj *święta Kupała* patrz w *Tyg. Petersburg.* z r. 1841.

cy rzeką Dźwiną, już od wschodu i południa z Bulgaryi r. Kamą licznie dla handlu przybywały.

Taka pomyślność kraju, w którym lud nie uznawał prawdziwego Boga, jako dawcy wszystkich tych bogactw, natchnęła świętą myślą rząd W. księztwa Moskiewskiego nawrócenia Zyryan do religii chrześciańskiéj. W tym celu wysłaną była do Biarmii czyli Permii duchowna missya pod kierunkiem Stefana biskupa, który przybywszy ze swą bracią nad r. Sysołę, niedaleko Ust-Wyma czyli starego Permu, około 1390 r. zbudował klasztór zwany pustynią Stefana. Tu mnisi przepowiadając Zyryanom słowo boże i sprawując obrządki cerkiewne w zyryańskim języku, dosyć pocieszające owoce w winnicy Chrystusowéj przynosili. Słowo boże w ich języku głoszone trafiało do przekonania; słowiano-ruski zaś język tak im trudny zdawał się, że dotąd w przeciągu prawie pięciu wieków doskonale go nie wyuczyli się. Następnie Stefan sprowadziwszy z głębi swego kraju więcéj braci, zbudował jeszcze dwa klasztory: Julianowski i Peczorski. W piętnastym zaś wieku założoną została przez tegoż Stefana w Ust-Wymie katedra biskupia, a cały kraj zyryański, w hierarchii kościelnéj otrzymał nazwę dyecezyi wielko-permskiéj.

Stefan nauczywszy się gruntownie miejscowego języka, pomyślał o literaturze zyryańskiéj, która na bardzo nizkim stopniu była, gdyż żadnych pism Zyryanie nie drukowali. Najprzód tedy na podstawie słowiańskiego języka ułożył abecadło zyryańskie, które się składa z 24 liter tak wymawiających się: *an*, *bar*, *gaj*, *doj*, *e*, *żoj*, *zata*, *i*, *koke*, *lej*, *meno*, *neno*, *o*, *pej*, *rej*, *si*, *taj*, *u*, *war*, *ciu*, *czory*, *szoj*, *ju*, *ja*. Za pomocą tego abecadła Stefan przetłumaczył dla użytku miejscowych kapłanów całą liturgią na zyryański język, na wstępie któréj załączył abecadło. Długo utrzymywano, że ten drogi zabytek pracy Stefana zaginął, lecz Lepechin akademik podróżując w 1771 r. po Rossyi, wynalazł go w archiwach byłéj dyecezyi w. permskiéj i przywiózł do Moskwy; obecnie ta liturgia znajduje się w bibliotece towarzystwa moskiewskiego historyi i starożytności rossyjskich. W miejsce swawolnéj brzozy, jedynéj świątyni po-

gańskiéj Zyryan, Stefan zbudował cerkiew pod nazwaniem Archanioła. W drugiéj połowie wieku XVIII, gdy założone przez Stefana klasztory zniszczeniu uległy, w r. 1764 zupełnie skasowane zostały, i tam gdzie był piérwszy klasztor zwany pustynią Stefanowską, dziś skromna kaplica jest pomnikiem gorliwości chrześciańskich missyonarzy XIV wieku.

Obecnie Zyryan w gub. wołogodzkiéj liczy się przeszło 77,919 głów płci obojéj. Główną ich stolicą jest miasto Uśćsysolsk po Zyryańsku Saktyłdin (1) nad ujściem rzeki Sysoły wpadającéj do Wyczehdy położone.

Obszerne lasy, nieprzebyte bagna, tu i owdzie mnóstwem rzek poprzerzynane, a wśród téj martwéj pustyni, gdzieniegdzie, jak oazy, niewielkie uprawione niwy: oto obraz kraju zyryańskiego. Osiadłości tu dostrzedz można tylko na pobrzeżach rzek, gdzie zbudowane są wsie. Przyczyną budowy wsi nad rzekami, bezwątpienia była trudność lądowych kommunikacyj; drogi bowiem tutejsze latem w niektórych miejscach przez wysokopienne lasy i nieprzebyte bagna prowadzone, zupełnie są niepodobne do przebycia.

Jeden tylko powiat uśćsysolski zawiera w sobie przestrzeni przeszło 128,850 wiorst kwadratowych czyli dies. 14,289,068; z téj 40,000 diesiatin zajęte są wsiami, polami i łąkami, reszta zaś pokryta głuchym lasem.

Ważniejsze w nim spławne rzeki są następujące: Wyczehda, Sysoła, Łokczym, Keltma, Lijoma, Nem, Wyczehodska Myłwa, Wizenga, Peczora, Wełwa, Wiszera, Madża, Łopja, Tibju i inne.

W powiecie uśćsysolskim jest mieszkańców Zyryan do 49,000 głów; reszta zaś tego narodu obrała siedliska w powiatach: jareńskim sisolwyczehodskim tejże gubernii, oraz na pograniczu gubernii archangielskiéj i permskiéj.

Religia obecnych Zyryan prawosławna, jak u Czuwaszów i Czeremisów. Oprócz niektórych słowiano-ruskich narodowych zwyczajów, żadnych pogańskich, ich przodkom właściwych, dziś dostrzedz nie można.

(1) Miasto *Uśćsysolsk* powiatowe, od swego gubernialnego miasta *Wołogdy* odległe o 890 wiorst.

Ubiór jednak u mężczyzn, stosowny do zatrudnień i otaczającéj przyrody, dotąd właściwy utrzymał się. Latem krótka po kolana wołoszka z płótna lub niekiedy samodziału, pasem skórzanym w talii przepięta, na twarzy siatka, a na głowie kaptur dla zasłonięcia się od ukąszenia owadów, na nogach zaś głębokie skórzane trzewiki na rzemykach do goleni przywiązanych utrzymywane; pod spodem zwykła bielizna, stanowią cały ubiór Zyryanina (1). Zimową zaś porą futro jelenie, z siercią na zewnątrz, z takimże kapturem i butami iżemskiemi, zwanemi pimy, Zyryanina zdala czynią podobnym do jednego z tych zwierząt, na które on poluje.

Głuche lasy, stanowiące główny przedmiot zamożności północno-wschodniéj części gubernii wołogodzkiéj, po których tylko Zyryanin chodzić umié, dotąd mało tknięte z przyczyny odległości od spławnych rzek wołgskiego systematu (2), obfitują w zwierzynę i ptastwo różnego rodzaju. Ta właśnie obfitość w zwierzynę, a zarazem trudność w uprawie roli wśród wysokopiennych lasów, były bodźcem dla Zyryan do zajęcia się zwierzołówstwem. Zarzuciwszy na plecy gwintówkę i opatrzony w zapasy żywności Zyrianin oddala się od swego domu, w towarzystwie tyko kundłów domowych, o 200 przeszło wiorst, i aż po trzech miesiącach obciążony zdobyczą powraca do swéj familii. Jarząbkami opatrują swe miasto gubernialne Wołogdę, obie stolice cesarstwa, a nawet i Warszawę; skórki zaś wiewiórcze po większéj części wymieniają się w Chinach na miejscowe tameczne towary, reszta zaś razem z futrami: niedźwiedzi, tumaków, soboli, rozsomachów, gronostai i czarnoburych lisów wysyła się w głąb Rossyi.

Rolnictwo Zyryanom oddawna znane; dowodem tego służyć mogą nazwiska w zyryańskiém narzeczu nietylko gatunków zboża, lecz i narzędzi rolniczych. Gospodar-

(1) Obraz Zyryanina widzieć można w dziełku pod n. *Bukiet literacki* r. 1851 na str. 215.

(2) Na północy po biegu wód północno-dźwińskiego systematu, tojest w gubernii archangielskiéj drzewa nie brak i taż sama obfitość; tylko handel zagraniczny przez morze Białe tą drogą prowadzony być może; ale na to potrzeba większych kapitałów, na które nie każdy handlarz zdobyć się może. Sama prawie smoła dotąd prowadzi się za granicę, a statki do sypania zboża tu budowane, corocznie znaczny dochód skarbowi z lasów przynoszą.

stwo u nich trzypolowe. Przedewszystkiém zasiewają jęczmień i żyto, następnie len, konopie i bardzo małą ilość owsa, również pszenicy jeszcze mniéj i tylko zamożniejsi. Jęczmień jest głównym przedmiotem rolnictwa, dlatego, że z jęczmienia Zyryanie pieką ulubiony chléb i placki zwane jaruszki, które jako szczególniejszy przysmak jedzą: oprócz tego z ziarna przyrządzają zupę postną zwaną azia-szyd i na serwatce lub fusach z masła topionego zwaną jewwa-szyd. Także z jęczmiennéj mąki warzą piwo zwane sur, kwasyresz i upajający mętny napój zwany kuryd. Żytniego chleba nie lubią i cały zbiór żyta na sprzedaż obracają. W stosunku posiewu jęczmienia, żyta wysiewają jednę trzecią część. Dla otrzymania obfitszych plonów i z małym trudem, Zyryanie oddalają się od wsi o kilkadziesiąt lub 100 wiorst w głąb lasu i obrawszy przestrzeń porosłą drzewem liściowém, zapalaja ją bez wszelkich ostróżności: od czego w mieście Uśćsysolsku przez całe prawie lato mgła dymu całą atmosferę pokrywa; a zagaszenie lesnych pożarów jednocześnie w kilku rozmaitych miejscach wszczętych, z powodu małéj ludności, bez wystawienia życia ludzkiego na niebezpieczeństwo, zgoła niepodobne. Na tak przygotowanych nowinach, zwanych tyła, Zyryanie ściąwszy pozostałe na pniu drzewa i spaliwszy je na miejscu, na drugi rok pomiędzy pniami, po lekkiém zoraniu i zbronowaniu, zasiewają żyto, które tak się udaje, że do 50 ziaren plonu przynosi. W ogólności uprawą roli zbyt niedbale zajmują się, z czego powstało zyryańskie przysłowie: dysz da agsasia tojest lenię się lecz bronuję, które często powtarzają, gdy muszą to robić, czegoby nie chcieli. Młocka po większéj części odbywa się zimową porą, dlatego, że jesienne deszcze nie dozwalają zająć sią tą robotą na odkrytém polu, gdyż Zyrianie stodół nie znają. Zimą w nocy, przy świetle księżyca, w trzeszczący mróz na 30 do 40 stopni, Zyryanin opuszcza ciepłą swą pościel, idzie do gumna, zmiata z gładkiéj powierzchni ziemi śnieg, dobywa ze sterty snopy i młóci. Zboże żną sierpami, trawę zaś koszą garbusami, tojest wielkiemi sierpami; przyczém kosiarz zmuszonym jest zginać się do ziemi, co bardzo utrudza.

Liczą podług średnich miejscowych cen:

żyta	czetwert kosztuje od	rs.	2	k. 70	do	rs.	3	k. 25
jęczmienia.	— —	—	2	— 50	—	2	—	80
owsa. . . .	— —	—	3	— —	—	3	—	50
pszenicy. .	— —	—	4	— 50	—	6	—	—

W powiecie uśćsysolskim, gdzie liczy się z miastem (1) 55,000 głów, konsumpcya zboża wynosi rub. sr. 270,000. Oprócz tego sprzedaje się na handel zagraniczny na summę rub. sr. 50,000 i na posiewy pozostaje także na rs. 50,000, razem więc cena zbiorów rocznych w zbożu wynosi rs. 370,000. Jeśliby przytém Zyryanie z większém zamiłowaniem i starannością zajmowali się uprawą roli, toby plony w trójnasób powiększyły się. Uprawa kartofli niedawno od lat kilku z wielkiemi trudnościami przez rząd w tym kraju zaprowadzoną została i nie źle udaje się.

Pomimo zbytku dobréj paszy, Zyryanie niewiele hodują koni i bydła rogatego. Według statystycznych urzędowych wiadomości za r. 1850, w powiecie uśćsysolskim Zyryanie mieli:

koni	sztuk	12,801
krów	—	22,626
owiec	—	28,500
świń	—	1,170
razem	sztuk	65,097.

Z ptastwa domowego tylko kury chowają, których jednak mięsa nie jedzą, lecz tylko jaja pożywają.

Zyryanie, tak jak inne fińskie plemiona, lubią wódkę i mocne napoje i póki są trzeźwemi, okazują pokorę, uległość i uszanowanie dla zwierzchności; lecz pijani wyszukują sobie kłótni i nie zważając na żadne następstwa, gotowi nietylko przeciwko swym współrodakom, lecz i przeciw zwierzchności wszelkich najzuchwalszych obelg dopuścić się. Wprawdzie po otrzeźwieniu żałują swych postępków i znowu są pokorni, lecz tylko póty, nim się znowu nie upiją.

(1) Mieszczanie i kupcy także mają swe pola i zajmują się rolnictwem; gdyż wszyscy pochodzą z tamecznych włościan rządowych, to-jest Zyryan.

Z gorliwości Stefana biskupa, którego kościół prawosławny w poczet świętych policzył, o rozszerzenie oświaty pomiędzy Zyryanami, wnosićby wypadało, że w obecnym czasie literatura zyryańska w kwitnącym stanie pozostaje; lecz przeciwnie ze śmiercią tego duchownego pasterza już nie widziano potrzeby służbę kościelną pełnić w miejscowym języku: bowiem Zyryanie w większéj części przyjęli wiarę chrześciańską według dogmatów kościoła panującego w cesarstwie, a zatém i liturgia w właściwym słowiano-cerkiewnym języku wszędzie odprawiała się. Oprócz wyżéj pomienionéj liturgii w języku zyryańskim spisanéj, pozostały jeszcze pomniki abecadła zyryańskiego w nadpisach dwóch obrazów, które Friz sztab-lekarz znalazł w cerkwi parafialnéj należącéj, do gminy zyryańskiéj Bożemskiéj, o 40 wiorst od miasta Jareńsk odległéj i nad r. Wyczehdą położonéj. Jeden z tych obrazów przedstawia św. Trójcę, w postaci trzech aniołów przez Abrahama częstowanych; a u spodu obrazu sześć wierszy słowami zyryańskiemi nakreślone. Kopija tego nadpisu przez Friza zdjęta umieszczoną została w IV tomie nowych akt akademii petersburskiéj 1770 r. Obraz zaś, za staraniem miejscowego biskupa Arseniusza, przeniesionym został do cerkwi katedralnéj w Wołogdzie. Drugi obraz także z cerkwi bożemskiéj, przedstawiał Zesłanie Ducha św. Jest podanie, że trzeci nadpis w zyryańskim języku miał być na obrazie Matki Boskiéj, który się znajdował w cerkwi sioła Bondiuczy, w powiecie czerdyńskim gubernii permskiéj.

Pomimo dzikości przyrody otaczającéj Zyryanina, wśród głuszy lasów stanowiących świat cały jego, w których słyszy to ryk niedźwiedzia, to przerażający głos puszczyka, dusza jego czuje nad sobą wielkość Boga, a serce, mianowicie kobiety, téj istoty osładzającéj troski naszego życia, i w ciele zyryańskiém, pod dachą (1), równie jak pod atłasami i batystem, umié się wznieść do estetycznéj poezyi. Oto przykład poezyi narodowéj Zyryan w dwóch śpiewach weselnych, które w dosłownem tłumaczeniu tu przytaczamy:

(1) Futro zewnątrz siercią obrócone.

Pożegnanie narzeczonéj z dziewictwem.

Zbawicielu i Niepokalana,
Błogosławcie, błogosławcie!
Boże pobłogosław
Pełną stodołą!
Ojcze pobłogosław
Pełnym koszem chleba!
Niebiosa błogosławcie
Gwiazdą poranną!
Ziemio błogosław
Trawą zieloną!
Wodo pobłogosław
Rybą wodną!
Lasy błogosławcie
Ptastwem leśném!
Siedziałam po bosku,
Na czystém miejscu;
Siedziałam po ludzku,
Na wesołem miejscu.
Siedziałam, pod nogami
Pomost był.
Siedziałam, nad głową
Opieka była.
Siedziałam, jak ogromny kamień
Nie ruszając się.
Siedziałam, jak smolny pień
Nie odrywając się.
Ach! nie chciałabym na wieki odrywać się!
Dom żelazny nie obaliłby mię!
Człowiek, ojcowski syn przyszedł;
Dźwięczną swą mową mię obalił.
Siadam na górze;
Osypuje się.
Mocny brzeg
Już nie utrzymuje:
Jakże piasczysty brzeg
Mię wytrzyma?
Wśród Sysoły (1) siadłabym,
Do Wyczehdy uniesie!
Wśród Wyczehdy siadłabym,
Do Dźwiny zaniesie!
Śród Dźwiny siadłabym,
Do morza unosi!
Na morze dostałabym się
Całe życie pływałabym.
Jak drzazga miotaną byłabym po falach,
Brzegów nie ujrzałabym!
Nad przepaścią siedzę,
Mocno się trzymam;
Jak jodła, siedzę
Zczerniała;
Jak brzoza, siedzę
Pobielała;
Jak osina, siedzę
Pożółkła;
Siedzę jak sosna,
Z rozczochranemi gałęziami.
Oj! dzisiejszego dnia
Świeże drzewo zgięli;
Trzasło, złamało się
Świeże drzewo!
Oj! dzisiejszego dnia,
Dziewicza wolność znikła:
Rumiane słoneczko,
Dziewicza wolność!

Żal po bracie.

Miałam jeszcze gdzieś
Miłego brata.
Z łan najlepsze pole
Miły brat!
Z pola najlepszy mendel
Miły brat!
Z mendla najlepszy snop
Miły brat!
Ze snopu najlepsza garść,
Miły brat!
Z garści najlepszy kłos,
Miły brat!
Z kłosu najlepsze ziarno,
Miły brat!

Dla obznajmienia czytelników z brzmieniem języka zyryańskiego, przytoczymy tu jeszcze niektóre przysłowia tego narodu i szereg rozmaitych wyrazów; a mianowicie:

Liok jez lioken, ek miles-ten.

Źli ludzie złém (płacą), Bóg zaś łaską.

(1) *Sysoła*, *Wyczehda* i *Dźwina* rzeki płynące przez kraj zyryański.

Abu niojmtor burczyk, kyczj wojwnys bur-mortojn as burkarys ły. Nic nie ma lepszego, jak być wdzięcznym swemu dobrodziejowi.

Ram mort sie-łakod. Spokojny człowiek prawdziwy jarząbek.

Oszkyś połzylom mort myriś poł. Przestraszony przez niedźwiedzia człowiek, pnia się lęka.

Nebyda wolsale, da czjoryd uźnyse. Miękko ściele, lecz twardo spać.

Jen, Bóg.
Bale, ojciec.
Mamo, matka.
Woko, brat.
Socze, siostra.
Pi, syn.
Nyl, córka.
Mort, człowiek.
Czipan, kura.
Siela, jarząbek.
Poń, pies.
Kań, kot.
Mos, krowa.
Mież, baran.
Pors, świnia.
Niań, chleb.
Wyj, masło.
Jeie, mléko.
Nek, śmietana.
Pyż, mąka.
Kolt, jajka.
Nierjala, rózga.
Kartofel, kartofel.
Zer, owies.
Turun, siano.
Sur, piwo.
Szobdy, pszenica.
Siu albo *rudżeg*, żyto (1).

Id, jęczmień.
Cziuż, słód.
Kerba, izba.
Mu, ziemia.
Bij, ogień.
Wa, woda.
Dorom, koszula.
Dukas, kaftan.
Pyzan, stół.
Pacz, piec.
Welt, dach.
Edżył, biały.
Seofd, czarny.
Geza, piszę.
Pukała, siedzę.
Lubita, kocham.
Kora, wołam.
Kujła, leżę.
Myśsia, myję się.
Juja, piję.
Waja, niosę.
Szań albo *buras*, dobrze.
Liokas, źle.
Una, wiele.
Jecza, mało.
Wyłli, przedtém.
Sicz, tak.
Abu, nie.

Liczą zaś tak:

1 otik.	7 sizim.	40 nilamyn.
2 kyk.	8 kokjamys.	50 wetymyn.
3 kujm.	9 okmys.	60 kwajtymyn.
4 niol.	10 das.	70 sizim-das.
5 wit.	20 kyż.	100 sio.
6 kwajt.	30 komyn.	1000 siurs.

Chociaż z krótkiego tego rysu sposobu życia i cywilizacyi Zyryan przekonywamy się, że ten naród wśród głuchych lasów żyjąc i bardziéj oddalony od ucywilizo-

(1) Zyryańskie *rudżeg* żyto, podobne do litewskiego *rugies*.

wanych współziomków, niż Czuwasze i Czeremisi, więcéj od tych ukształcił się; jednak jeśli weźmiemy na uwagę bogactwa tamecznéj przyrody, jakoto: obfitość drzewa, uposażenie w obszerne grunta i łąki, zamożność w zwierzynę i najwyśmienitsze gatunki ryb, oraz owe skarby w łonie ziemi ukryte, jakoto: żelazo (1), srebro, ciekawe skamieniałości, drogie kamienie, a nawet złoto, których ręka ludzka prawie nie tknęła, przyznamy: Zyryanie dalekimi są jeszcze od europejskiéj cywilizacyi i oczekują napływu tych przedsiębierczych ludzi, którzy osiedliwszy się w pobliżu Urału pomiędzy krajowcami Zyryanami, otworzą ukryty w ziemi skład niezmiernych skarbów i niemi uszczęśliwią tysiące ludu.

(1) Już teraz istnieją w zyryańskim kraju cztery huty żelazne, które przez skarb oddane są w wieczystą dzierżawę moskiewskiemu i tulskiemu kupcowi 1-éj gildy *Malcow*.

O MENNICY WSCHOWSKIÉJ.

Pożądaną byłoby rzeczą dla numizmatyki polskiéj, zebrana szczegółowa wiadomość o każdéj z istniejących niegdyś mennic po różnych miastach w kraju. Poczet ich jest znakomity; nie wszystkie wszakże jednocześnie były czynne, a kiedy jedne ustawały, nowe się natomiast tworzyły. Najświetniejszą dla nich epoką było panowanie Zygmunta Wazy; wtedyto przeszło dwanaście miast mińce kowały, nie licząc miejsc, gdzie pokątnie wybijano fałszywą, zwykle drobną monetę. (1) Do rzędu uprawnionych miast mennicznych należała i Wschowa, położona przy granicy szląskiéj, stolica dawniéj swéj ziemi. Mamy wątpliwości żadnéj nie ulegające dowody, że mennica tameczna, z niejakiemi jednak przerwami, dwa z okładem przetrwała wieki. Lecz jak pierwotne nadanie prawa bicia pieniędzy Wschowie dotąd wyśledzonem nie zostało: tak również i rok ostatni bytu tutejszéj mennicy nie da się stanowczo oznaczyć. Wiemy z Długosza, że Kazimiérz W. odzyskawszy orężem 1343 r. na Henryku ks. Żegańskim warowne miasto Wschowę, pozostawił mieszczan przy wolności bicia sobie właściwéj, szczególnéj monety *(monetam cudendi specialem)*. Bielski w kronice po jego śmierci wydanéj 1597 r., pisze na str. 229: „Król mieszczan przy prawie ich zachował, a miedzy innymi rzeczami kować im monety pozwolił, co też mieli przedtém od xiążąt swych“. Ażali zaś korzystano zaraz

(1) Mennicznemi miastami za rządów Zygmunta III były: Kraków, Warszawa, Wilno, Ryga, Poznań, Lublin, Bydgoszcz, Toruń, Gdańsk, Malborg, Olkusz, Wschowa, Łobzów czy Łobzanica (?) i Urzędów, o którego mennicy pismienną tylko znalazłem wzmiankę. Ob. w Bibl. Warsz. 1853 r. T. IV, 561, podaną przezemnie wiadomość o mennicy w Lublinie.

z potwierdzonéj przez króla wolności, nie mamy na to pewnych poszlak. Dopiéro po upływie lat sześciudziesiąt, napotykamy wyraźny dowód w przywileju Władysława Jagiełły 1404 r., który pozwala miastu bić drobną monetę pod znakami jednak królewskiemi, tojest: z jednéj strony ma być wyrażony orzeł, a na odwrotnéj stronie krzyż podwójny. Pieniążków takowych czyli denarów, ma iść dwanaście na grosz. *(Monetam cudendi minutam sub signis tamen nostris regalibus, ex una videlicet parte aquilam, et ex altera parte crucem binam inprimendo. Cujus pecunie seu denariorum duodecem pro uno grosso debebunt recipi et valere. Dat. Lanciciae, feria secunda infra octavas Corporis Dni Nri J. C.* 1404). Rzeczony przywiléj dla miasta *Frawenstadt*, dosłownie tu jest wypisany z księgi metrycznéj 38, str. 155; przytacza zaś go Zygmunt I, potwierdzając 1525 r. prawa i swobody od poprzedników swoich nadane. Przywodzą także i lustratorowie starostwa wschowskiego 1616 r. też same wyrazy Jagiełły, poczém wciągnęli do księgi swych czynności zapiskę, wielką dla nas wartość mającą, gdyż rzuca jakietakie światło na losy mennicy wschowskiéj. Oto są własne ich słowa: „Mieszczanie o biciu monety wedle przywileju dawali sprawę, iż jéj nie biją z téj przyczyny, iż PP. Slęzacy onéj od nich brać nie chcą, i innym, aby jej nie brali zakazują. Przeto aby ta *prohibitio authoritate* JKMości relaxowana była, prozbę swoję wnosili, albo więc inną monetę, mianowicie quarthniki, albo szelągi onym bić z laski swéj Pańskiéj, *in reparationem moeniorum finitimae civitatis* pozwolić raczył. W czym widząc rzecz słuszną, JKMości referować będziemy.«

Zagórski zamieścił na str. 40 *(Monety dawnéj Polski)* oba te dokumenta, ale nie trzymając się wiernie lustracyi, nie pojmuję, dlaczego wypuścił oznaczenie, ile na grosz liczyć się ma denarów, zwłaszcza że pospolicie szło ich ośmnaście. Wprawdzie nie była mu znana owa księga metryczna znajdująca się w archiwum głównem w Warszawie, gdyż byłby się do niéj niewątpliwie powołał, ależ i lustratorowie przywodząc nadanie Jagiełły, mówią o dwunastu na grosz denarach; pomnąć przeto tego szczegółu nie należało.

Daléj pisze Zagórski: „Dawniejszych pieniędzy wschowskich wyśledzić nie mogłem nad pochodzące z czasu Zy-

gmunta Augusta i Zygmunta III«; poczem wymienia same tylko denary. Od chwili wydania jego pracowitego dzieła 1845 r., liczne i nader ważne na niwie numizmatyki naszéj poczyniono odkrycia, a mianowicie: wyśledzono najdawniejsze denary czyli halerze miasta Wschowy, właśnie takie same, jakie nakazuje wybijać w nadanym przywileju Jagiełło 1404 r. Znajdują się one w wielce dla nauki szacownym zbiorze Karola Beyera, i wyobrażają na stronie głównéj orła ukoronowanego, głową w prawo obróconego; strona odwrotna ma krzyż podwójny patryarchalny na tarczy, nad nią zaś głoska W. (1) Głoska ta oznacza nie Władysława, lecz miasto Wschowę, gdyż na późniejszych denarach z literami C. W. F. (*Civitas Wschowa Frauštadt*) znajduje się W. w tém samém miejscu umieszczone; powtóre: że według ówczesnego zwyczaju, gdyby głoska W. miała oznaczać imię króla, z pewnością dodanoby R., jak to poświadczają liczne monety z L—R. (*Ludovicus Rex*), z S—R. (*Sigismundus Rex*), i t. d. A że wzmiankowany denar nigdzie jeszcze wyrysowany nie był, dlatego przedstawiamy go tutaj. (2)

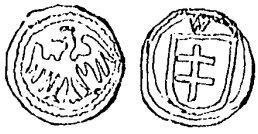

Okazuje się, że głoska W nie była dostateczną do oznaczenia nazwiska miasta, są bowiem denary z zupełnie taką samą stroną główną, lecz odwrotna lubo ma tarczę z krzyżem podwójnym, nad którą jest głoska W., po obu jednak stronach tarczy znajdują się dwie jakieś głoski. Wątpliwość co do ich wykładu, musi jeszcze pozostać nierozwiązaną, z powodu niezupełnie dobrego w ogóle dochowania tych drobnych pieniążków. Bandkie w T. II Numizmatyki krajowéj, umieścił taki denar pod liczbą 701, uważając go za piéniądz Władysława Warneńczyka, i utrzymuje: że trzy

(1) Jagiełło za nawrócenie Litwinów do wiary chrześciańskiéj 1387 r. otrzymawszy od papieża tytuł *Vicarius* i krzyż patryarchalny, zamieścił go na tarczy Pogoni.

(2) Wszystkie załączające się tu ryciny monet, zdjęte są z exemplarzy będących w zbiorze K. Beyera, któremu zawdzięczamy pomoc w ułożeniu niniejszego artykułu.

na nim będące głoski są M. W. R. *(Moneta Wladislai Regis)*, krzyż zaś patryarchalny ma za węgierski. Pokazuje się jednak z przywileju powyższego Wład. Jagiełły, jako też i z dwóch pieczęci, że denar ten do miasta odnosić się powinien, a nie na rzecz skarbu królewskiego był bity. (1) Dla niedokładności rysunku w dziele Bandkiego, powtarzamy tu rycinę owego denara.

Znajduje się także i trzecia odmiana wzmiankowanych denarów, gdzie herb miasta przedstawia taki kształt, jakim do ostatka pozostał, tojest: że między poprzecznemi ramionami krzyża są pierścienie; podobnież kółko czyli też pierścień, trzyma w dziobie orzeł na stronie głównéj.

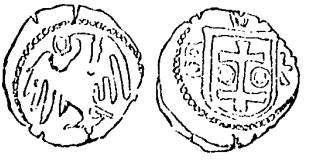

W ogóle denary wschowskie są u nas bardzo rzadkie, a rzadsze u nas niż za granicą; zdaje się temu główna naznaczyć przyczyna, że dla lepszego srebra (12 na grosz), powoli je z kraju wyprowadzono.

Nie można utrzymywać, ażeby powyższe denarki pochodziły tylko z panowania Władysława Jagiełły; bacząc bowiem na tę okoliczność, z jaką troskliwością miasta opatrzone prawem mennicznem dbały o ciągłe z niego użytkowanie, aby w przedawnienie nie poszło, sądzimy: że przez cały ciąg panowania Jagiellonów, mniéj więcéj wybijano denarki, tylko że w owym czasie nie było zwyczaju kładzenia roku na monetach, rozróżnić je przeto teraz bardzo trudno.

(1) Pieczęć z początku XV wieku przedstawia w środku Boga Ojca z kulą świata w lewem ręku, błogosławiącego prawą klęczącego książęcia; pod spodem tarcza z krzyżem patryarchalnym, mającym po bokach dwa kółka; napis w otoku głoskami gockiemi: *Sigillum* CIVITATIS FRAWENSTAT. Wielkość jéj według skali Bentkowskiego 14½ linij — Druga z końca XVI wieku, ma toż samo wyobrażenie, napis tylko głoskami łacińskiemi: SIGILLUM: CIVITAT: FRAVNSTAD: SEV: WSCHO. Wielkość 18 linij. Obie posiada K. Beyer.

Z panowania ostatniego Jagiellończyka, jako też i Zygmunta III, (tu zachodzi luka z czasów Stefana Batorego) znane nam są denarki, a mianowicie:

Z roku 1550 według *Skorowidza* przez Zagórskiego 1847 roku, w dziele zaś pod Zygmuntem III.

» 1551 w zbiorze K. Beyera.

» 1559 według Skorowidza i Bandkiego, który go umieścił pod liczbą 480, jako należący do panowania Jana Kazimierza, liczbę bowiem 5—9, wziął za skrócenie roku 1659.

» 1562 w zbiorze hr. Michała Tyszkiewicza.

» 1589 w dziele Zagórskiego w texcie tylko, posiada zaś go K. Beyer.

» 1590 w zbiorze K. Beyera.

» 1591 w Skorowidzu.

» 1595 w zbiorze K. Beyera.

» 1596 w Berlinie u Vossberga.

» 1599 w dziele Zagórskiego.

» 1602 tamże.

» 1603 w zbiorze K. Beyera.

» 1608 w dziele Zagórskiego i w zbiorze K. Beyera; wybicie jednostronne.

» 1609 tamże.

» 1610 u Czackiego Nr. 93, i u Zagórskiego pod Nr. 335.

Nakoniec denar bez roku, taki sam jak z lat 1608 i 1609, tojest jednostronny, a zatem z ostatnich już czasów. Posiada go K. Beyer.

Więcéj dotychczas lat i odmian denarów wschowskich nie wykryliśmy, ale ani wątpić można, że musiały być bite i w innych latach, tylko bądźto dla swéj małości i lichego kruszcu, łatwo w ziemi zepsuciu uległy; bądź też nie rozeszły się po kraju, gdyż głównie dla stosunków handlowych z Szlązakami były przeznaczone, o czém poświadcza wzwyż przytoczona lustracya.

Co do większych monet, jakoto: ternarków czyli trzeciaków (denarów potrójnych), szelągów, groszy i trojaków, niewiele mamy takich, które z zupełną pewnością za wschowskie uważać można. Przez krytyczne jednak badania, powzięliśmy przekonanie, że niektóre z nich prędzéj za wyrób mennicy wschowskiéj, niż innéj jakiéj poczytać się dadzą.

Zasięgając znowu czasów Władysława Jagiełły, znajdujemy, że trzeciaki (ob. Bandkie Nr. 39, 40, 41), z których jeden tu wyobrażamy, mają na stronie głównéj tarczę z krzyżem podwójnym, jak powyższe denarki, i nad tarczą jak tamte głoskę W., a wokoło napis: *Mone. Wladislai.* Strona zaś odwrotna przedstawia orła takiego samego jak na piérwszym naszym denarku, i napis w otoku: *Regis Polonie.*

Bandkie z tytułu krzyża, który uważa, iż mógłby być węgierskim, mówi w T. I, na str. 23, że te trzeciaki przypisać wypada Władysławowi Warneńczykowi; ale w tym samym ustępie przyznaje: że mogłyby być i Władysława Jagiełły! Niedosyć może wyraźną głoskę W. nad tarczą, (ob Nr. 41) ma za koronę lub mitrę książęcą, gdy ta oczywiście to samo musi oznaczać, co W. nad tarczą w denarkach, to jest nazwę miasta. Wreszcie na zasadzie dwóch głosek M. P. pod dolném ramieniem krzyża, poczytuje te trzeciaki za monetę poznańską, co również krytyki nie wytrzyma, bo herbem Poznania są dwa klucze nakrzyż złożone; a powtóre: że odkryto temi czasy trzeciaki z téj saméj wychodzące mennicy, z których jedne opatrzone są głoską A. jaka się znajduje na okazie powyższego ternarka, inne mają D, a inne znowu N. Coby one oznaczały, dotąd nie zdecyfrowano, i muszą do dalszego czasu pozostać zadaniem numizmatycznem do odgadnienia. Po pilném rozpatrzeniu się i porównaniu kilku exemplarzy, zdaje się wyrób denarów i trzeciaków być jednych artystów, co mianowicie kształt orłów poświadcza; a tak i ta okoliczność przemawia do uznania dwóch tych rodzajów monet, za pochodzące z mennicy wschowskiéj.

Uczyniona wzmianka o umieszczanych głoskach, naprowadza mnie na domysł następujący. Pomiędzy półkami czyli półgroszkami Władysława Jagiełły znajdują się liczne odmiany z głoskami pod koroną, których znaczenie również nieodgadnione. Z tych zaś W‡, F‡ i sam krzyż patryarchalny ‡, czyby się nie dały prawdopodobnie uważać za wyrób mennicy wschowskiéj, nie już na korzyść miasta, bo większéj monety nie mieli mieszczanie prawa wybijać, lecz na rzecz skarbu koronnego tamże kowanéj. Rzucam tę myśl nawiasowo, i mocno ciekawy jestem, czyli trafi ona do przekonania oddających się nauce numizmatycznéj.

Szelągów dotychczas mało się znajduje, które za bite we Wschowie możnaby z pewnością uważać. Wątpliwości nie ulegają szelągi wyobrażone w dziele Zagórskiego Nr. 208 z roku 1601 (którego dwa odmiene typy mam w moim zbiorze), i Nr. 213 z roku 1616. Choć nie możemy wątpić, że szelągi te bite są we Wschowie, która, jak dowiedliśmy, raz kładła głoskę W, raz F, czasem zaś i obiedwie; jednakże według ogólnych prawideł sądzić wypada, że nie na rachunek miasta były wyrabiane, gdyż herb miejski nie jest na nich wyobrażony, lecz tylko samo F wskazuje miejsce menniczne.

Do bitych na rzecz skarbu Korony pod nadzorem podskarbiego i Kaspra Rytkiera myncarza dawnego mennicy olkuskiéj (patrz Zagórski str. 137), należą także trzygroszówki głoskę F noszące. Znane one są jedynie z lat 1598, 99, 1600 i 1601, w rozlicznych co do stępla odmianach. Trojaki te w ogólności dosyć są pospolite, celniejsze jednak waryanty stanowią stopień ich rzadkości.

Po roku 1616 wyrażonym na szelągu, nie znaleźliśmy dalszego śladu czynności mennicy tutejszéj, tojest: nie wykryto dotąd żadnego rodzaju monety z późniejszym rokiem.

Owóż i wszystko co się dało zebrać o mennicy wschowskiéj; może kto szczęśliwszy w poszukiwaniach, dorzuci nową jaką w tym przedmiocie wiadomość, za co mu wdzięczni będziemy; myśmy tylko piérwsze przełamali lody skreślając krótki wizerunek bytu i czynności rzeczonéj mińcy.

Warszawa, d. 12 września 1854 r.

Tymoteusz Lipiński.

CHATA ZA WSIĄ.

POWIEŚĆ

J. I. Kraszewskiego.

(Tom IIIci i ostatni) (*).

Znacie już tę biédną chatkę za siołem u cmentarza, skleconą przez cygana prawie z niczego, jedno siłą woli, namiętności i rozdrażnienia. Nigdy ona nie była nową, a kilka lat życia uczyniły ją zgrzybiałą staruszką, tak, że gdy dziécię, jedyne dziécię Tumrego podrastać zaczęło; razem z biédną Motruną i lepianka pochyliła się do upadku. Co chwila potrzeba było coś podłatać, podeprzéć, podlepić i zatkać gdzieś dziurę, i spróchniałe, bo mokrém ścięte drzewo zasztukować. Dachu nie było komu pozszywać słomą, zalepiano w nim otwory kawałkami darniny, która wprawdzie nie przepuszczała deszczu, ale zbytecznie obciążała kruche i wątłe krokiewki. W jedném miejscu nad sienią tak się już były powyginały, że niemal leżały na ścieli. Za to latem wszystka tu darń zielona, gdy się rozbujała, przypomniawszy sobie pole z którego wyszła, gdy zakwitła, aż miło było spojrzéć na ten wiszący ogródek. Wśród gęsto posplatanych źdźbeł pospolitéj trawy, tu i owdzie strzelały kwiatki łąk naszych, zdziwione, że ich losy na taką wysokość podniosły. Para brzózek nawet, które tam zasiała dłoń Boża, ręką wiatru rozrzucając życie po świecie, ze swą bieluchną korą i drżącemi listkami, wysoko nad komin strzelały, i dobrze część dachu stojącą jeszcze przeniosły.

(*) Zob. Bibl. Warsz. r. b. m. luty, marzec i kwiecień.

Słoma, któréj codzień mniéj pozostawało, bo raz wraz trzeba się było łatać darniną z blizkiego cmentarnego rowu, służyła gnijąc za pokarm tym chciwym przybyszom.

Gorzéj daleko było ze ścianami, które się osuwały, zapadały w ziemię, krzywiły, kosiły, wychylały i w końcu stały się jakąś niepojętą klejanką najdziwniéj zmieszanych materyałów. Drzewo w nich niedostające zastępowały: chrust, glina, ziemia, słoma, śmieci i co tylko było pod ręką. Jaskółcze gniazdko pod strzechą gościnną, z większą nie zlepia się sztuką. Na podpory użyto rozebranéj wprędce nieużytecznéj kuźni, która na jakiś czas i paliwa i budulca dostarczała. Pozostałe jéj słupy, horno i kupa gruzu, jeszcze swém sąsiedztwem większą ruiną czyniły ubogą chatkę, ale wprędce dobroczynna matka zasiała na nagiéj téj górce pokrzywy i łopuchy, które zielonemi liśćmi, robotę rąk ludzkich zniszczoną pokryły.

Ale człowiekowi, któremu po śmierci tak mały wystarcza domek, i za życia niewiele było potrzeba. Wchodziło się do lepianki nawpół łamiąc, by przez drzwi nizkie przecisnąć, okno ramą spoczywało na ziemi, a we środku w téj jamce ciemnéj, smutnéj i wilgotnéj, żyło się życiem powszedniém, zupełnie tak samo jak się cierpiąc, jęcząc i stękając żyje w niejednym mozaikowanym pałacu.

Kiedy po srogiéj ulewie opadła gdzieś ze ściany nalepa, albo w skwar oschła osypała się glina, i wiatr, gość nieproszony po izdebce przeleciał: wdowa szła za chatę, rozmiesiła gliny, przyłożyła gruzu z kuźni, zaprawiła otwór, i znowuż na jakiś czas było zaciszno i cało.

I dziéweczka, co rosła w téj rozpadlinie, nie zajrzawszy nigdy do lepszego mieszkania, nie wystawiała sobie, by co na świecie lepszém, piękniejszém, wygodniejszém nad nie być mogło. Młodość tak sobie kłamie gdy kocha, a dziéwczę tak tę swoję chatynkę kochało! Dla niéj, większe i porządniejsze budowy zdawały się nawet smutne, obok téj jamki na górze przeciw cmentarza, do któréj częściéj wiatr niż ludzie zaglądali.

Widzimy nieraz na suchéj skale, w garści suchego piasku wyrastającą dzielnie i silnie roślinę, którą żywi ojciec Niebieski tylko, i stajemy zdumieni myśląc, zkąd ta wygnanka bierze soki pożywne. Miała je widać w ziarnie,

które drobną łuską obejmowało wielki zaród żywota, i tą siłą tajemniczą krzepi się, podrasta, dźwiga. Tak właśnie i siérotka rosła, bujała, rozkwitała, choć nic jéj nie pomagało ku temu.

Ciągle prawie zamknięta ze smutną matką, wpatrując się w zbladłe i uwiędłe jéj oblicze, słuchając westchnień niewyczerpanych, owionięta atmosferą śmierci, uśmiechała się przecie do życia, i rumieńczyk czasami krasił jéj śliczną twarzyczkę, a oczy poglądały pragnieniem żywota i ciekawością świata.

Wiecież, jak się wychowują wiejskie dzieci?—jak ptacy niebiescy, jak kwiaty na niwach, jak wszystko czém się sam Bóg tylko opiekuje przez ręce aniołów. Słuchają gadek wieczornych i pieśni macierzyńskiéj, patrzą na czynne ojców życie, dumają w polu, poglądają na niebo, i koniec końców serce się rozkołysze, i w głowie myśl rozpowinie, i budzą się ludźmi jak drudzy, często od drugich lepszemi. Mniéj od nas wiedzą pewnie, ale czują równo, jeźli nie silniéj, a więcéj i lepiéj zgadują, bo w nich mówi serce, bo serca słuchać umieją.....

Córce Motruny wiele niedostawało i z téj nawet odrobiny, którą mają wszyscy; matka jéj była tak ponuro milcząca, a wioska dla nich nielitościwie obojętna!

Nie byłoć już zmowy, i nikt Motruny nie odpychał gniewem, ale zwano ją pogardliwie cyganichą, a jéj dziéweczkę cyganką; i choć się Maryś umiała przymilić, przypytać, uczepić, podobać; choć jéj nie odganiano: dzieci wiejskie z obawą jakąś stroniły od siéroty, uciekały od niéj, a często nielitościwe płatały jéj figle. O! dzieci bywają okrutne!

Nieraz wybiegła w pole i rada się była zbliżyć do pastuszków, którzy, gdy odłóg był w téj stronie, pod samą chatą rozkładali ogniska, piekli kartofle i swawolili naglądając na bydełko i owce rozpierzchłe po łanie; ale chłopaki i dziewczęta ledwie ją zoczywszy, szeptali: »Doczka czarownicy! cygańskie dziecko«, i rozpierzchali się po jarach. Biédna Maryś przysługiwała im się to przyniesionym ogniem, to trzaskami, to trochą łomu; przyjmowali od niéj podarek, ale ani się było z niemi rozgadać, ani poweselić, ani podrużyć.

Marysia najczęściéj była samą, samiuteńką, i tak już przywykła powoli dawać sobie radę, że ją ludzie nie nęcili.

Patrzała nieraz dni całe usiadłszy w progu chaty, na przeciwległe cmentarzysko i wzgórze, na którém zdaje się nic do widzenia nie było, i umiała tam dojrzéć dziwnie zajmujących rzeczy.

Przelatywała jaskółka raz niosąc w dziobku trochę błota, to znowu odrobinę słomy lub piérza; Marysia szła za nią oczyma tam i nazad pilnie przypatrując się pracowitéj ptaszynie, tak, że te swoje sąsiadki znała niemal każdą z osobna i po ruchach i zajęciu rozpoznawała. Wiedziała ona gdzie któréj gniazdeczko przylgnęło i zkąd sobie żywność nosiły, a po niespokojnych ich krzątaninach, uczyła się poznawać nadchodzące burze. Bawiły ją szczebiotliwe wróble i drobne ptastwo gnieżdżące się na kilku wierzbach cmentarnych, i elegantki sroczki, często o dwa kroki od niéj przechadzające się po gościńcu, ale nadewszystko malutkie susły, których jam niezliczona ilość okrywała brzegi pola i naddroże.

Pogodnego dnia, miesięcznéj nocy, gdy cicho było dokoła, susły miały zwyczaj na progach podziemnych domostw swoich, używać świeżego powietrza, i zasiadać rzędem pewnie na jakąś gawędkę, a Marysia dech w sobie zatrzymywała, by ich nie popłoszyć najmniejszym szelestem: bo trwożliwe zwierzątka zaraz znikały w swych pieczarach. Zabawne ich ruchy, skoki, głos nawet przerywający ciszę, miłemi były osamotnionemu dziecku.

A że gościniec dość był z téj strony nieuczęszczany, pola rozległe, lasy niedalekie: ciekawe dziéwczę miewało choć rzadzéj i mniéj pospolitych gości. Ponad chatynką przeciągnęły nieraz kaczki lecąc na nocleg do blizkiego ługu, zjawił się zajączek umywający rosą lub skubiący zieleninkę, posiadały czasem siewki, pokręciło się hałaśliwe stado szpaków, zabłąkała z dębniaku kraska niebiesko-pióra;... a epokę stanowiły dropie na grubych nogach i podróżne żurawie.... i było na co patrzéć i podziwiać się czemu.

A czyto wiele potrzeba takim oczętom młodym, co na wylot świat widzą żywym jakimś instynktem, niepojętą siłą serca i przeczucia! Nieraz chmura komarów, para żółtych wiosennych motyli, piórko ptasie, które wiatr unosił w powietrzu bujając niém na wszystkie strony, trzymały jéj

oczy długo, długo, ścigające zjawisko, dopóki tylko mżyło w dali w powietrznych obszarach.

I myślała Maryś o bożym świecie, o stworzeńkach bożych, o kwiatku co niezasadzony i niepolewany wykwitał u proga, a marzenie jéj było jak bajka cudowne, i jak pieśń poetyczne i jak młodość świeżości pełne.

A gdy przyszło w słotę, w burzę i chłód zamknąć się z matką w izdebce; to dziéwczę szczebiotało potém, że i milczącéj Motrunie słowo z ust wyciągnąć musiało, i nieraz wywołało uśmiech, opowiadanie, naukę — lub żale.

Zresztą już Maryś odgadywała cudownie, czego jéj matka dopowiedzieć nie mogła. Biédne kobiecisko tak było życiem znękane, tak cierpiało w sobie, a podnieść się nad boleść swoję nie mogło: że nawet miłość macierzyńska rzadko jéj otworzyła usta, a ze zwiędłych warg, zwiędłe ulatywały słowa, niewiele mogąc nauczyć.

Bo gdy dziécię rade było świat Boży, ptasi, kwiecisty, zielony, widziéć wesoło i jasno; z ust matki same słyszała narzekania, żale, a czàsem.... czasem nawet przekleństwa. Ta sprzeczność widoku wiosennego ziemi i wiosennego bicia jéj serca, ze słowy macierzyńskiemi, długo się w główce dziecka pomieścić nie mogła; i piérwsze dumania zrodziły się ze sprzeczności niepojętéj dla Marysi, któréj sobie rozwiązać nie mogła.

Z jęku matki wyczytała piérwszy raz cierpienie, męczeństwo, boleść, których nigdy nie widziała wśród ulubionych stworzeń, zawsze wesołych aż do zgonu i szczebioczących przy skonaniu; i pomyślała biédna, że albo matka jéj była wyjątkiem, lub może żałość jéj była skutkiem wieku i choroby.

Jéj pojęcie życia tak było fałszywe, tak dziecinne, a tak pierwotne, że gdyby była całą myśl swoję wyspowiadała najzakamienialszemu z ludzi, byłby się nad jéj weselem ufném w dolę i przeszłość rozpłakał łzami krwawemi. Jak ofiara uwieńczona kwiatami szła naprzeciw losu, co ją oczekiwał groźny, nie widząc jeszcze ani noża, ani stosu, ani boleści co na nią zaczajona czekała.

I rosła tak Maryś z nieopatrznem weselem, którém Bóg ozłaca piérwsze chwile młodości, piérwsze brzaski życia; a Motruna co dzień, co godzina, zdawała się latami

starzeć i chylić ku przedwczesnéj mogile. Nie żyła już, dogorywała tylko.

Nawet ukochane dziécię do żywota przywiązać jéj nie mogło; bo sił do niego brakło i z tchem każdym reszty ich ulatywały.

Zimny pot występował na czoło matki, gdy pomyślała, jak swą siérotkę zostawi samą jednę na świecie, samiuteńką niebogę; serce jéj biło strachem, ale uścisk serdeczny, którym się wiązała ze swoją dzieciną, zamiast ją ożywić, do reszty osłabiał i w dziwną, pożerającą rzucał gorączkę.

Przychodziło to powoli, niezauacznie i rachując na powolność swéj choroby, łudziła się Motruna nadzieją, że Marysię wychowa, nim oczy zamknie na wieki; ale myliły ją rachuby. Słabość owładła nią niespostrzeżona, zrazu szła żółwim krokiem, potém postępowała coraz chyżéj, coraz szybcéj, aż dnia jednego postrzegła się biédna kobieta, że już wiadra ciągnąć nie może, że najlżejsza drew wiązka jest dla niéj niepokonanym ciężarem, że samo chodzenie po izbie nuży ją śmiertelnie.

Usiadła na łóżku i zapłakała pocichu. Maryś na wszystko miała oko, ale wycieńczenie matki przypisywała starości tylko, wystawiając sobie Motrunę daleko, daleko starszą niżeli była w istocie; i gdy postrzegła niemoc jéj, wzięła się tylko ochoczo do zastąpienia jéj w pracy.

— O! nie turbujcieżbo się mateczko—zawołała podskakując do jéj kolan,—wszakci to ja na to rosnę i już cię potrafię wyręczyć. Probowałam dwóch wiader pełnych, i chociaż się trochę zginam pod niemi, ale mi ich podnieść nietrudno; drew i spory oberemek zarzucam jak piórko na plecy.... Odpoczywajcie sobie spokojnie, a mnie tylko znaczek dacie, to zobaczycie jak się sprawię.

Szczebiotanie dziecięcia jeszcze gorętsze łzy wycisnęło z oczu biédnéj kobiety, która w milczeniu przycisnęła ją do serca.

— Gołąbku mój, gołąbku,—odpowiedziała cichym głosem,—ochoty ci nie brakuje, ale gdzie te siły, któremi się tak chwalisz? Dobrze ci pobawić się z wiadrami, ale dźwigać wodę pod górę, ale przynieść drew z lasu, a! i tyle, tyle ciężkich robót poopędzać koło domu, nie twoją to siłą, nie twoją!

Maryś pokiwała mądrą główką.

— Posłuchajcieno matuniu kochana — zaśpiewała dziewczyna swym ptasim głoskiem,—wyście to mnie nieraz wieczorami dawniéj rozprawiali różne piękne rzeczy, a ja dobrze je zapamiętałam... Ot! byle kto mocno chciał, zdaje się, to co zamyśli zrobi.

— Moja Maryś, tak w bajce!

— A cóżto bajka matuniu?—to wczorajsze życie.

— Bajka! at sobie wymysł ludzki na pociechę tęsknego żywota.... Może tak i bywało dawniéj, ale dziś już tak nie jest: świat taki smutny, ludzie tacy bez litości!

— To tobie się tak zdaje matuniu; a choćby i źli byli, taki cóż?—dobrego obroni przy nim dobra siła, zła siła nic nie zrobi czystemu....

— Daj Boże! a! daj Boże!—I westchnęła biédaczka, bo więcéj wypowiedzieć nie chciała.

Miała na ustach spytać swéj Marysi, coby poczęła gdyby jéj matki niestało; ale na to brakło odwagi, zasmucić nie chciała dziecka, obawiała się przestraszyć.

Marysia tymczasem naiwnie się cieszyła, że teraz sama matce będzie służyć i gospodarzyć w domu.

Bóg wié co się tam roiło w téj głowie dziecięcéj:— czysta bajka z wieczornicy! Spać jéj nie dawało marzenie, tak pracowała, tak się krzątała ochoczo, tak umiatała chatynkę, tak w niéj już ład i dostatek tworzyła cudem, pełna ufności w Boga i ludzi.

— Już wiém! już wiém jak to będzie—szeptała przewracając się na twardéj pościołce,—będą ludzie iść z jarmarku, wyjdę sobie na drogę, i stanę i uśmiechnę się i pokłonię: chybaby serca nie mieli, gdyby mi téż który nie podarował choć.... jagnięcia, choć koźlątka, choć czarnéj kurki czubatéj. Rozhoduję, będzie za rok cztery, za dwa lata dużo, dużo—cała trzoda, całe stado... Na wsi przędziwa wiele, ja już umiém prząść i niegrubo, nie radowinę, ale na osiemnastkę, na dwudziestkę. Chybaby Bóg nie łaskaw, żebym na koszulę dla nas nie naprzędła i nie zarobiła to sérka, to jaj trochę, to mąki, to krup, to okrasy... O! to pójdzie... zobaczy matka! A potém przyjdą swaty od najbogatszego we wsi gospodarza, przyniosą matce podarek okrutny, pokłonią się do kolan, pocałują w rączkę.... i bę-

dzie w cerkwi wesele, będzie dziwować się ludu mnogo; a teść mój matunię umieści jak u Boga za piecem, w ciepłéj, nowéj, białéj chacie; tylko jédz, spij i używaj!

I tak daleko serdecznem marzeniem leciało dziewczątko, że się już widziało gosposią, matką, siwowłosą staruszką; ogromne pełne zboża zasieki, stajenki pełne bydła, podwórko ptastwem bielejące...i—sen w końcu skleił powieki zwilżone łzą niespokojnéj radości.

Gdy się zbudziła Marysia, ujrzała nad sobą matkę bladą, wyżółkłą, chudą, jakby przez tę jednę noc dziesięć jéj lat przybyło, z kijem w ręku stojącą nad jéj pościołką. Po narzuconéj na plecy świcie, po białym rańtuchu, po starych butach, które na nogi wdziała Motruna; poznała Marysia, że się gdzieś wybiśra, i sądząc, że myśli iść po wodę, żywo skoczyła, by ją uprzedzić.

— A dokądżeto? dokąd? Matuniu! — spytała przestraszona—i po co ci wstawać było?

— Leż dziecko, leż, ja na wieś pójść muszę.

— Na wieś? po co? to mnie poślijcie.

— Nie można, serce, nie można gołąbku kochany: pójdę do Sołoduchy, poradzę się jéj na niemoc moję.

— Ja ci tu Sołoduchę sprowadzę.

— Nie! nie! ty się pozostań w chacie: mnie taki saméj trzeba.

— Aleś ty słaba.

— To nic, dojdę o kiju, dojdę... A tobym się rozleżała na nic... Ot zaraz i powrócę...

Marysia chciała się opiérać, ale Motruna milcząc drzwi otworzyła i choć chwytając się za ściany i uszaki, szybko wyszła na podwórko.

Dziéwczę wyjrzało tylko za nią z bijącém sercem, zawołało jeszcze raz pocichu, i pozostać musiało.

— Otóż kiedy tak!—pomyślała upinając spódniczkę i narzucając fartuch na głowę, bo dzień był wilgotny—zwinę się i przyniosę wody, rozpalę ognia, przygrzeję juszkę nim matka powróci.... Zobaczy, jaka ze mnie gospodyni.

Gdy się tak ochoczo krząta w chatynce, Motruna tymczasem powlokła się do wsi nieboga. A tak to jéj teraz zdało się daleko! Co ujdzie kroków kilkanaście, to stanie i odpoczywa, i wciąga powietrze jakby go już brakło na świe-

cie; i znów pospieszy niecierpliwa, a wnet przysiada, bo drżą nogi, bo się w głowie kręci. Idzie tak, idzie do chaty Sołoduchy, bo to stara znachorka i całéj wsi lekarka; ale chata daleko, daleko, na drugim końcu sioła, a sioło wielkie, a droga górzysta.

Młodyby przebiegł w minut kilka co jéj iść było potrzeba godzinę; dobrze jeszcze, że po drodze to płot, to ścianka, to kamień, to drzewo, oprzeć się lub przysiąść pozwoliły; a i tak ciężko dźwignąć niemocy ciało, które się ołowiem zdaje. Chata Sołoduchy jakby coraz uciekała, ale wreszcie już ją widać: postrzegła wrota i jakoś lżéj na sercu, że choć w drodze nie padnie.

Dwie biédy najprędzéj się jakoś zbliżą do siebie. Sołodusze także świat nie był rajem, choć jéj nędza ani w połowie nie doszła do nędzy cyganichy. Naprzód stara miała męża dziada, ślepego prawda, niezdarę, pijaka, haraburdę, który jéj często gęsto boki łatał i głowy nadszczerbił; ale téż sprytny włóczęga i groszaki przynosił, i nieraz torbę pełną sucharów i wszelakiéj ludzkiéj jałmużny. Miała chatę pilnując wrót na łan i sposób do życia ze swego znachorstwa. Bóg wié jak jéj przyszła ta mądrość: ot tak, poprostu z wiekiem i z marszczkami. Ten i ów jéj się poradził, pomogła jednemu i drugiemu, zaczęto ją brać do słabych niewiast za babkę, a potém już i febrę i łamanie w kościach i czego nie nauczyła się leczyć! W ostatku cała wieś innéj nie miała lekarki.

Niebardzo ją ludzie szanowali, bo Sołoducha językiem nie darowała nikomu; ale aby kto stęknął, szła koza do woza—i ot... tak się żyło z cudzéj biédy.

Stary Rataj, (byłoto rodzinne nazwisko męża Sołoduchy) nie żebrał ciągle i nie wałęsał się niustannie po drogach, bo był leniwe dziadzisko, i albo w karczmie zasiadywał, albo do góry brzuchem leżeć lubił; ale byle odpust, prażnik, jarmarki i święto, wdziéwał torby i w pochód ruszał.

A tak sobie doskonale dawał rady choć oczy stracił, że i powodyra nie potrzebował, i gdziekolwiek stanął, wiedział co z sobą począć, kędy się obrócić, nie pytając ludzi.

W polu, w lesie, we wsi, wśród najrozmaitszych dróżynek, które latem lada przypadek po polu kreśli, kierował

się śmiało, że ludzie z podziwu stawali patrzéć, i ramionami ruszali. A choć się czasem zapił, to póki tylko na nogach się trzymał nie zbłądził nigdy; i padłszy spać, miejsce sobie wybiérał dobre, a rozbudzony nie pytał gdzie wódkę wytrawił: strząsł się, zamruczał, i daléj w swoję drogę.

Dobrze się z żoną dobrali oboje.

Hulali póki sił stawało, Sołoducha chodziła jakto mówią na Podole, tojest włóczyła się całemi miesiącami nie zaglądając do domu; Rataj probował różnego chleba: bywał na wozie i pod wozem, nareszcie zeszli się znowuż na starość i siedli razem wrót pilnować, kłócić się i gdérać. Sołoducha była kobiétą słusznego wzrostu, silną jeszcze, krzepką, wyszczekaną i w istocie znachorką wielką. Chorobę jak chorobę, nie wiém czy poznała; ale człowieka na wylot. Dość jéj było spojrzéć w oczy lada komu, gotowa była powiedzieć co myślał; a śmierć to tak czytała z wejrzenia, że kiedy pokiwała nad kim głową, już mu się pewnie niewiele należało.

Brali ją téż i do wsi sąsiednich nieraz, i nie sami chłopi, ale ekonomowe, popodie, ba! nawet z Rudni szlachta czynszowa siedząca na budkach. W chacie niedostatku nie było przy dwojakiém rzemiośle, i gdyby był statek, mógłby być dostatek; ale oboje na starość wódkę polubili i Rataj i Sołoducha, a przemyślny żydek i nielepszy od niego szynkarz szlachcic, byle podpoił, karbował nielitościwie.

Bywało tak, że stara zawiąże już kupkę groszaków w węzełek i schowa je na złe dni, a Rataj wetknie gdzieś w kątek przyniesioną jałmużnę, także od biédy ją chowając; ale w dni kilka i on i ona dobędą zapasu i przepiją wesoło. Jednakże nie brakło im chleba i wygody, bo Sołodusze nikt nigdy nie odmówił ze strachu, żeby nie oczarowała, a Rataj tak nudnie żebrał, że z kamieniaby grosz wydusił; a i wrota, choć rzadko, dawały szeląg przecie.

Stary doskonałe miał ucho, i byle zaturkotało co na pana, wybiegał otwiérać sam kłaniając się do ziemi, a białe swe oczy podnosząc potém do góry, aby ślepotę ukazać; ręką i głosem domagał się datku tak drapieżnie, że niejeden bez ochoty rozwiązał dlań ściągniony woreczek.

Oboje mimo nałogów swych nie byli wcale złemi ludźmi, i gdy mogli, chętnie dobrze czynili, a nikt nie powiedział, żeby komu w czém zaszkodzili.

Sołoducha siedziała w progu, zapięta fartuchem, brodę trzymając na kolanach, a za nią w sieni leżał dziad na garści słomy; gdy ujrzała idącą ku sobie biédną Motrunę. Spojrzała tylko zdaleka i poczęła kiwać głową.

— Aj! aj!—rzekła—ktoby to powiedział, żem to ja ją znała dziewczyną, dzieckiem, a matka jéj nawet była młodszą odemnie. Ot! dziś stara jak ja, a gorzéj słaba odemnie... To tobie cygan! to tobie kochanie!

— O kim to ty mówisz?—odezwał się Rataj.

— A o kimże, kiedy nie o cyganisze! Wlecze się biédota, ani chybi, żeby jéj co poradzić; ale komu życia zabraknie, to go żadne nie da ziele: już to ja widzę zdaleka, i dawno wiém, że do zimy nie dożyje nieboga! Tylko co się duch w ciele trzyma, a szpary szuka żeby uciec....

— Oj! oj! jaka ty znachorka, babo przeklęta! — zawołał stary ze swego barłoga—żebyś ty tak znała swoję ostatnią godzinę jak ty co wiész. Ot! ludzi czmucisz, a porzuciłabyś mnie durzyć; czyto ja ciebie nie znam!

— Milcz stary! jeszcze ja i tobie ostatni dzień wypowiém.

— A! nie doczekanie twoje, gadzino!

I byliby się skłócili, gdyby Motruna nie nadeszła w téj chwili.

Sołoducha, którąśmy widzieli przed chwilą ząb za ząb ujadającą się z mężem, przybrała na zawołanie fizyonomią swojego stanu: łagodną, zamyśloną, tajemniczą, a choć Motruna była tylko biédną, ubogą siérotą, powitała ją z nadskakiwaniem.

— Aj! cóż to tobie hołubeczku moja! Czy nie słaba ty!—zawołała do zbliżającéj się cyganichy.

— Słaba! gorzéj niż słaba—odpowiedziała przerywanym głosem Motruna—przyszedł czas umiérać!

— Cóż to gadacie: krzyż z wami! Albożto sobie kto sam śmierć przepowié! No! no! cóż ci to jest? powiédzno hołubko, a może co poradzimy.

— Gdzie tam! gdzie tam!—potrzęsła głową siadając na kłodzie Motruna, któréj nogi drżały i świat się w oczach kręcił.

drewnianą, a ciężką i bezwładną; poczęła zlekka poruszać, mówić, trącać... ale i to nie pomogło.

— Potrzeba iść do Sołoduchy—zawołała sama do siebie—to nic nie pomoże, ona znachorka, będzie wiedziała, jak na taki twardy sen poradzić; matka się zawsze udawała do niéj. Postawię krupnik na zydelku na przypadek gdyby się obudziła, polecę i duchem powrócę.

To rzekłszy Marysia zarzuciła na głowę sukmankę podartą, i przymknąwszy drzwi chaty, biegiem popędziła na drugi koniec wsi do Sołoduchy.

Rataja dnia tego w domu nie było, bo nazajutrz przypadał jarmark w miasteczku, a dziad dla zabrania lepszego miejsca pod cerkiewką, wcześnie się nań wybrał. Sołoducha sama kręciła się po chacie, warząc coś u komina, gdy Marysia wbiegła zadyszana.

Starucha ciekawie obróciła się ku niéj.

— Co tam hołubko?—spytała.

— Oj! matuniu! sąsiadko!—zawołała Marysia żywo—coś mi moja chora.

Sołoducha tylko głową pokiwała.

— A co to jéj jest?

— Jakoś na nią dziwny sen przypadł, matuniu: jak poczęła spać już trzeci dzień temu powróciwszy od was, ani się ruszy już dwie doby, a tak czegoś zastygła, a tak strasznie pobladła, i tchu—nic!

Stara Sołoducha splasnęła w ręce, z których jéj łyżka wypadła.

— Aj! oj! co ty mi gadasz?

Marysia przestraszona wyrazem twarzy Sołoduchy, wlepiła w nią wielkie oczy, w których się już łza kręciła.

— Spi, spi,—rzekła ciszéj—probowałam obudzić, ani sposobu: a taka zimna.

— Krzyż z tobą!—zawołała stara—a toć ona pewnie umarła!

Ten straszny wyraz, którego dobrze nie zrozumiała Marysia, jak piorun daleki obił się o jéj uszy; zastanowiła się nad nim chwilę, milcząca, ale wnet zaprzeczyła:

— Ale ona spi tylko! spi tak mocno!—odparła—Wy znacie lekarstwa, wy ją możecie obudzić.

Żona Rataja spuściła głowę, zmarszczyła brwi i milcząca nic nie odpowiedziawszy, poszła do kąta wdziewać kożuch na siebie.

— Pójdziemy,—zawołała przygaszając ogień trochą wody i zagrzebując głowienki popiołem,—pójdziemy zobaczyć, moje dziecko!

Chatę na drewniany klucz zamknięto i stara ruszyła zadumana z dziéwczęciem, które do jéj powolnego chodu ledwie się zastosować mogło, tak pilno mu było do matki.

Droga śmiertelnie nudną i długą wydała się Marysi, któréj nawet widok ulubionego ptastwa i gwaru wsi rozerwać nie mógł. Z okiem wlepioném w ziemię szła za staruszką powoli i co krok wzdychała.

Pod górę, ku chatce, Sołoducha choć o kiju, niełatwo się wdrapała; kilka razy musiała odpoczywać, a doszedłszy do progu, siadła wydychać znużenie, nim weszła do lepianki. Marysia ją uprzedziła; spojrzała na łóżko: jakaś czarność plamami wystąpiła na zmęczone oblicze matki... a twarz jéj była tak okropnie zmienioną, że myśl śmierci ujęła serce siéroty szponami strachu i przeczucia.

A wtém i Sołoducha weszła na próg, popatrzała i ręką zamachnęła szeroko.

— Zbliżcieno się, zbliżcie!

— A po co?—zawołała lekarka—ona umarła! ona dawno umarła!

Marysia jak stała, tak załamawszy ręce, szlochając padła na ziemię.

Stara znachorka niedługo zabawiwszy w chacie, powlokła się, napróżno probując odciągnąć Marysię, ku dworowi. Potrzeba było dać znać do pana, do księdza, żeby ktoś przecie litościwy o domowince, (tak lud zowie trumnę), o grobie, modlitwie i ubogiém pogrzebie pomyślał.

Po drodze kogo spostrzegła Sołoducha stawała każdemu opowiadać, jak Motruna od trzech dni już umarła, a siérota śmierć za sen tylko wzięła, utyskując, że teraz nie wiedzieć kto zmarłą pogrzebie.

Wieść lotem strzały rozbiegła się po wiosce, a ciekawsi poczęli powoli ściągać się już do chaty cygana i oblegli drzwi izby, w któréj Marysia jęczała klęcząc na podłodze.

Tymczasem we dworze niepokój się stał wielki, bo się obawiano, żeby ksiądz nie odmówił pogrzebu, i żeby urzędu nie było potrzeby sprowadzać dla dochodzenia przyczyny śmierci. Ale Sołoducha zaradzając temu, poszła i na plebanią do dobrodzieja i dobrodziejki, opowiadając jak się to jéj chora radziła, jak oddawna niedomagała, i rozczuliła ich historyą siérotki, która snem śmierć sądząc, pilnowała trzy dni umarłéj. Nikt po tém nie myślał wstrzymywać cyganichy pogrzebu.

Nie było tylko komu dać desek na trumnę, dołu na cmentarzu wykopać, i zająć się ostatnią posługą.

Szukano krewnych po siele, wmawiając im obowiązek; ale ci głusi nań byli i jeden na drugiego ciężar zrzucał; dwór także nic na siebie brać nie chciał, a tak zwlokło się to do wieczora.

Dopiéro ksiądz sam poszedłszy do dworu, przyspieszył obrzęd pogrzebowy i o mroku już wydano tarcice, a trumnę począł cieśla za pańszczyznę.

Niewiele téż tam koło niéj było roboty.

Kilka babek pobożnych przyniosły świeczki, ktoś z bractwa dobył cerkiewnego krzyża i postawił go przy umarłéj, a choć nie było komu sprawić wieczerzy i wódką przyjmować, znalazły się dwie pobożne niewiasty, co ciała przez noc pilnowały.

Chciano od niego odciągnąć Marysię, ale dziéwczę wypłakawszy co łez miało, jakby odwagą jakąś natchnione, wyprowadzić się nie dało.

Gdy nad rankiem białą przyniesiono domowinkę z sosnowych desek skleconą, gdy przyszło w trumience złożyć zwłoki; Marysia sama pomagała kobiétom, sama pod głowę podesłała poduszczynę, otuliła nogi matce, złożyła ręce, i ostatnia ucałowała ją, gdy wieko na wieki zabijać miano!

Prawdziwy to był pogrzeb ubogiego, w którym nie zachowano obrzędów i zwyczajów starodawnych: każdy nim zajmując się z łaski, co prędzéj ciężaru pozbywał.

Grób ktoś wykopał przez miłosierdzie i wązko i płytko, byle ziemią trumnę przyrzucić; krzyżyk zbito z dwóch kijów

ledwie z kory odrapanych, a o świcie przyszedł diak tylko, kilku ludzi z bractwa, jeden krzyż i jedna czarna żałobna chorągiew. Pochód też z chaty na cmentarz nie był długi: przez drogę ino na mogiłki, u których wrot pod starą wierzbą czekała wykopana jama.

Marysia wyszła za ciałem z Sołoduchą, z babkami, krokiem śmiałym i poprowadziła matkę do domu spoczynku. Piérwsza choć z jękiem, rzuciła garść wilgotnéj ziemi na trumnę, która wkrótce pokryła się ubitą łopatami, ledwie nad poziomem cokolwiek wzniesioną mogiłą. A że stypy nie było w ubogiéj lepiance i nikt z litości nawet nie kupił strawy i wódki; co się zeszło na pogrzeb, rozbiegło się zaraz po nim.

Marysia usiadła na mogile i poczęła płakać, płakać, aż zawodziła z żalu biédaczka.

O kilka kroków stała zamyślona Sołoducha, przebiérając w ręku węzeł od chusty, zadumana głęboko, jakby się wahała co ma począć.

— Prosiła mnie nieboszczka, żebym ja ją wzięła—mówiła w duchu—ale co to sobie na karku siérotę uwiązać; nietyle zrobi co zjé, nietyle pociechy co kłopotu. A znowu szkoda żeby to się tak miało zwalać; a kto to zechce wziąć, jeśli dwór nie weźmie, choć i we dworze nie raj! Namby to tak bardzo nie zaciężyło, wyręczyłabym się czasem: byłoby kogo choć po wodę posłać. Nieraz jak stary polézie w świat, choć do ściany gadaj!! Co tu robić? I tak źle i tak niedobrze... E! wezmę, dalibóg wezmę! Niezłe być musi dziecko, bo biédy zaznała, a do pracy przywykła.

I posunęła się Sołoducha, podeszła i znowu zatrzymała się namyślając, niepewna co pocznie.

— Słuchajno Marysiu—zawołała nareszcie,—a dość już żale zawodzić: wstawaj, i chodź ze mną.

Ale dziécię nie posłyszało zrazu; i stara musiała je ująć za rękę, a siłą prawie wywieść do cmentarzowéj furtki. Marysia nie opiérała się wcale, szła jakoś bezwładna, spłakana, posłuszna choć niechętna, trzymając ciągle fartuszek przy oczach, i gwałtownie szlochając chwilami.

— No! dałabyś już pokój,—mówiła znachorka—łzy nic nie pomogą, wszyscyśmy się na to urodzili, żeby umrzéć,

to darmo! Już jéj płaczem nie wywołasz z pod surowéj ziemi i żółtéj mogiły: pomyślmy o sobie.

Marysia nic nie odpowiadając sparła się tylko o słup u bramki, i znowu zaszła z płaczu.

— Bóg z tobą,—ciągnęła daléj Sołoducha—chodź, chodź; nie ma tu czego dłużéj dosiadywać: przeżegnaj się, pomódl i pójdziemy do chaty.

To rzekłszy, a widząc, że słowa pomagają mało, ujęła ją za rękę, wywiodła na drogę, i stanąwszy naprzeciw chatki cygana, zatrzymała się.

— A może tam masz co do zabrania?—zapytała.

— Jakto? dokąd?—odparła niewyraźnie podnosząc na nią zdziwione oczy dziewczyna.

— A jużciż pójdziesz do mnie?

— Po co?

— A jakże tu zostaniesz sama?

— Jak? a toż nasza chata, po coż mi szukać cudzéj?

Sołoducha osłupiała, zamormotała coś pod nosem do siebie, ruszyła ramionami i przeżegnała się powoli.

— Alboż to ty myślisz tu zostać?

— A jużciż? a gdzież mam być?—spokojnie odezwała się Marysia.

— Krzyż Pański z tobą! A cóż będzie! sama jedna! sama jedna!

— Kiedy nikogo nie mam, to i sama: cóż robić!

— A jakże ty sobie dasz radę?

— A jak my sobie z matką słabą rady dawały? Biéda była, a z głoduśmy nie pomarli, biéda będzie... Taka już dola... a swoja chata takito swoja.

Sołoducha uszom swym wierzyć nie chciała.

— Toć przyjdzie noc—rzekła,—a ty samusieńka jedna, to ci strach będzie.

— Strach? czego?—zapytała Marysia.

— A cmentarz!—rzekła baba pocichu.

— Ja od dziecka bawiłam się na cmentarzu i dniem i nocą...—westchnęła Marysia—czy to mnie nowina?

— A matki mogiła! Bóg z tobą!

— A czyżbym ja się matki bać mogła!—zawołało dziéwczę z płaczem.

Stara słuchała i nie mogła pojąć Marysi, która ocierała oczy i odpowiadała jéj tak śmiało, tak dziwnie spokojnie, jakby położenie jéj, siéroctwo, przyszłość, nic w sobie ani zastraszającego, ani nadzwyczajnego nie miały. I znowu zaczęła potrząsać głową, mruczeć pod nosem, a z pod brwi siwéj ciekawe rzuciła na siérotę wejrzenie.

— To ty myślisz tu zostać?—zawołała po chwili—sama jedna, ot tak jak palec! No!...

— Wszak inaczéj być nie może!—szepnęła Marysia—ta chatynka, to ojcowizna moja, to mój domek, a jakbym ja go porzuciła, alboby się to rozsypało, alboby dwór kogo innego osadził.

— A ktoby tu chciał siedzieć!—przerwała Sołoducha—za żaden grosz! Chodźżeno do chaty, chodź; pogadamy, pomiarkujesz się, bo ty sama nie wiész co gadasz.

Znów stara ująć musiała dziéwczę za rękę, i nie opierającą się, ale bezwładną wprowadzić do pustki.

Nigdy ta jama nie była wesołą, nigdy się w niéj nic nie uśmiechało do człowieka; ale teraz straszliwie była smutną: pełno śmierci wszędzie. Pogrzeb, który tylko co z niéj wyszedł pozostawił po sobie ślady. Leżała kupka trzasek i wiorów od trumny przyciosywanéj w izdebce, dwa polana na których *domowinkę* stawiano; na ławie chleba bochenek przyniesiony przez litościwą niewiastę jakąś, do przykrycia trumny, a zostawiony bo niepotrzebny, i ręcznik gruby, którego także nie użyto, a którym chléb ten miał być obwiniętym. Łóżko niezgarnięte jeszcze, nosiło ślady ciała, które na niém zbyt długo, czekając pogrzebu leżało; po kątach wszystko w największym nieładzie i rosypce. Na kominie i w piecu ogień był wygasł zupełnie, a chłód wiał przykry po domku.

Sołoducha posadziła na przypiecku dziewczynę, która na widok izby tyle jéj przypominającéj, rozpłakała się znowu; a sama poczęła się przechadzać zamyślona.

A że była do roboty i porządkowania przywykła prawie machinalnie, bo i w domu na niéj gospodarstwo leżało, i u ludzi gdzie do chorego poszła, często się ładem zajmować musiała; nie wytrzymała, żeby trochę nie pozgarnywać tu i owdzie i nie poustawiać.

Tam przewrócone do góry dnem i pod ławą leżące podniosła wiadro, tu znów dobyła ognia i podnieciła go trzaskami, aż wreszcie dopadłszy miotły w kątku wyszarzanéj i zeschłéj, sprobowała jéj, ruszyła ramionami, i zaczęła wymiatać śmieci, gromadząc do progu. Marysia wciąż siedziała z oczyma wlepionemi w łóżko na którém spoczywała matka, a łzy jéj przerwane na chwilę, dziurgiem znów biedz poczynały.

— Taż to czyste pustkowie!—obejrzawszy znów wszystkie kąty, poczęła Sołoducha—nie ma nigdzie a nigdzie nic: gałganów trochę, zapasu żadnego... jak wymiótł... gdyby po wojnie. A co ty tu poradzisz taka młoda i niesilna? Żeby mnie tu kto staréj kazał i zapłacił za mieszkanie; żebym sobie wszystko z palca wyłamała... choć doświadczeńsza od ciebie i taki umiejąc coś zarobić: a jednak urwawszy się uciekałabym! Ty tu zginiesz!

— Zginąć! to zginę, a taki ztąd nie pójdę—ocierając oczy zawołała dziewczynka stanowczo—to moja ojcowizna, to moja chatynka: ja jéj nie porzucę. Myśmy tu z matką żyły, biédowały; jam tu wyrosła, na nogi stanęła, świat zobaczyła.... ona tu umarła. A! nie! nie! to święty kąt dla mnie, ja nie porzucę, nie porzucę chatynki mojéj.

Sołoducha, która zrazu nie miała wielkiéj ochoty brać sobie na kark dziewczęcia, jakoś poczęła się rozmyślać, a może i natura lubiąca trochę na przekór drugim czynić, naprowadziła ją na uparte naleganie. Im bardziéj Marysia chciała zostać, tém baba mocniéj zaczynała namawiać ją do siebie.

— Co tu długo mówić—rzekła wreszcie stając przed siérotą—matka twoja jak poczuła się źle, a życia jéj już niestało, sama się przecie do nas przywlokła, a z czém? wiész ty z czém?—zaklinała mnie i mojego starego, prosiła żebyśmy cię przytulili..... Umierającemu nie odmówić: Rataj i ja, choć samym nam ciężko, chleba ci nie pożałujemy: służba u nas nie straszna. W chacie taki i ciepły kąt i strawa się znajdzie, a tu ty z głodu umrzesz!

Marysia słuchając staréj, powoli oczy otarła, wstała i rzucając okiem po izdebce, poczęła przerywanym głosem, który co chwila więcéj mocy nabiérał:

— Posłuchajcieno matko, dobre serce macie, Bóg wam zapłać, i tobie i staremu Ratajowi; ale z tego nic nie będzie! Chcecie się opiekować siérotą, ot, czasem na mnie najrzycie, dowiécie się, rzucicie chleba kawałek jakby go bardzo zabrakło; ale ja taki tu zostanę, ja tu zostanę! Ojciec tę chatę budował, matunia w niéj żyli i zmarli; a ja.... ja ją tak kocham, że mnieby serce pękło, gdybym otwierając oczy z rana nie zobaczyła ścian jéj popękanych, żebym wyszedłszy na próg, nie spostrzegła wierzb cmentarza.....

— Ale na krzyż Pański—zawołała stara—ano podumaj, ano pomiarkuj, jakże to sobie dasz rady?

— A jak my z matką dawały?

— To was dwie było do pracy.

— I dwie téż było do życia; a mnie jednéj czy to tak wiele potrzeba?

— A gdzieżeś ty słyszała, gdzie to widziana rzecz—zakrzyknęła Sołoducha—żeby dziewczyna, i nie dziewczyna, bo taki dziecko, sama jedna sobie żyła i gospodarowała? Taż to nie może być, to nie może być! Jak gospodarz zostanie jedynakiem, to sobie kogoś szuka i znajdzie, a nie dopiéro tak jak ty wyrostek, siérota!

— Wieleto rzeczy matko po świecie nie bywało, a jak pora przyjdzie na nie, to się muszą stać, choć się im ludzie dziwują!—odparła dziewczyna kiwając głową.—Cóż ja na to poradzę żem sama? Matki sobie nie kupić, Pan Bóg ją raz daje, ojca nie wyprosić! Myślicie, że ja tak opuściwszy ręce z głodu umrę?

— To chyba pójdziesz po żebraninie?!

— Nigdyśmy nie żebrali i żebrać nie będziemy—zawołała Marysia podnosząc oczy na starą, która zapewne wspomniawszy swego Rataja, dziwnie zacięła usta.

— I to chléb jak i drugi—poprawiło się dziéwczę postrzegłszy niezręczność swoję—ale ja go nie chcę. Juściżem młoda i zapracuję; nie bójcie się, nie bójcie!

I przystąpiła do Sołoduchy z wyrazem tak ujmującego przymilenia całując ją w pomarszczoną rękę, że baba choć zagniewana świéżą poniewierką żebractwa, rozdobruchała się powoli.

— Na co się wam obciążać siérotą, kiedy nadto chleba nie macie—odezwała się po chwili Marysia—wszak i tak

nie biorąc mnie do chaty, wiele mi możecie dopomódz. Ot pozwolicie mi czasem przyjść, poradzić się, pożalić, pogadać; a jak już czasem niestanie ani okruszyny, to mi rzucicie okrawek suchara, albo lepszą od niego dobrą radę, słodkie słowo.

Stara uśmiéchnęła się potrząsając głową.

— Oj dzieciaku ty, dzieciaku—rzekła—co to się tobie roi w głowinie! Gdybyś w ostatku i chléb miała, bo wszyscy ludzie miłosierni jeszcze nie wymarli; a jak się obejdziesz bez twarzy, bez mowy, bez żywego ducha w téj pustce? A jak ci przyjdzie dni całe, nocy całe samiuteńkiéj siedzieć na ławie, aż ci duma głowę prześwidruje na wylot? Ja to znam! ja stara, mnie już wszystko obrzydło, a nieraz jak Rataisko się w świat powlecze, przyjdzie zostać saméj na dni kilka: człowiekby psa pocałował, żeby do niego zagadał, taka nuda, taka serce jé skuka! Cóż dopiéro młodemu, co mu jeszcze i gęba świérzbi i serce się tłucze!.... Nie wytrzymasz! nie wytrzymasz mówię tobie!

— Wytrzymam,—odpowiedziała Marysia smutnie, ale stanowczo—nie będę ja sama: ściany i ławy gadać mi będą, matuniu, a mam tu pełno znajomych w kolusieńko: wróble i myszy nawet mnie znają.

Sołoducha splunęła ruszając ramionami.

— A! a! probujże—rzekła uśmiechając się,—zobaczymy jak długo pociągniesz.... I taki się dziś zaraz chcesz tu zostać?

— A cóż?—spytała dziewczyna—zostanę.

— Bo ja iść muszę—biorąc za kij rzekła baba.—Bywajże mi zdrowa; a jak dokuczy, pamiętaj, że u nas masz zawsze przytulisko.... roboty ciężkiéj nie będzie.... Bywaj zdrowa!

— Bywaj zdrowa!—powtórzyła powoli kilkakroć odwracając głowę i ozierając się na dziewczynę, która usiadła, sparłszy twarz na ręku i zadumała głęboko.

I wyszła Sołoducha nie dowierzając jeszcze, sądząc ciągle, że ją siérotka napędzi; ale naprożno się oglądała zwolna spuszczając ze wzgórza, bo drzwi chaty zostały zamknięte, i nikt za nią nie gonił.

Trudno się było w początku opamiętać Marysi i rozpocząć to życie nowe, saméj jednéj, o swéj sile; ale Bóg wléwa moc gdy jéj potrzebuje człowiek: cudów dokazuje wola, nawet w dziecięciu, cuda robi nędza. Nad wieczorem głód i chłód razem się dały uczuć dziewczynie; musiała wstać z przypiecka, naniecić ognia, pomyśléć coby jadła, czemby się zesłabła posiliła. W chacie nic prawie znaleźć nie mogła, na ławie tylko leżał podarek którejś z bab, chléb pogrzebowy, który miano położyć na trumnie, a choć go nie użyto, już go przesąd nazad zabrać nie dozwolił. Ten bochenek chleba swieżego był jakby ostatnim matki podarkiem; Marysia spostrzegła go uradowana, ukroiła i zaczerpnąwszy wody, żebraczą zjadła wieczerzę.

Siadła potém przy ogniu, popłakała, a że jéj na myśl przychodziło z czego daléj żyć będzie, i że ciężko pracować potrzeba, żeby na chléb zarobić: porwała się zaraz do kądziołki, przypomniawszy że ma jutro doprząść dla Semenychy motka, i za motek ten odebrać kilka groszy. Pomyślała i wnet siadła do roboty, ale się chwyciła nieboga za żywo: nie miała jeszcze sił do pracy, zaledwie poczęła wyciągać nić i pokręcać wrzecionem, sen gwałtowny, po wysileniu, po boleści, po głodzie, zesłany z niebios na przywrócenie sił straconych, skléił jéj powieki.

Wrzeciono cicho potoczyło się na ziemię, kądziel pochyliła i sparła na piecu, a siérota usnęła snem dzieci, snem niewinnych i spracowanych.

Tymczasem Sołoducha z wielkiém zdumieniem opuściwszy chatę cmentarną, poszła przez wieś, niemogąc sobie w głowie pomieścić, jak Marysia zachciała zostać samą i radę sobie dać potrafi.

— Zwyczajnie dziecko — mowiła w duchu — alem ja stara a głupia, że na to pozwoliłam. No! ale miałamże ją gwałtem ciągnąć? Jeszczeby ludzie powiedzieli, żem ja ją sobie przywłaszczyła! Ale to tak być nie może, bo zginie biédactwo... Możeby dać znać do dworu? do dobrodzieja, do wójta, do gromady? Ktośkolwiekby na to coś poradził! Cyganka czy co tam takiego, a przecie Boże stworzenie: niechby zgłodu nie umierała, wstyd dla wioski.

Tak rozprawiając sama z sobą Sołoducha wlokła się wioską, a że stan jéj robił jéj wiele znajomych, co krok to

kogoś zwabiła do rozmowy. Jeszcze też kupkami stali parobcy, kumoszki i starszyzna, rozpowiadając sobie o śmierci cyganichy i o jéj pogrzebie. A że Sołoducha najdłużéj zabawiła w chacie za wsią i zdawała się opiekować siérotą: cisnęli się do niéj ludzie rozpytując o Marysię.

— No a cóżto z nią teraz będzie? mówcieno, mówcie!—naglono zewsząd.

Sołoducha przybrała minę ważną, ruszała ramionami i poczęła zcicha, jak rzecz najciekawszą opowiadanie swoje:

— Toż ztamtąd ja idę—rzekła—prościuteńko od niéj; a czy uwierzycie?! Ot! nie dała mi się wyprowadzić z chaty i została w niéj sama jedna.

Ludzie słuchali zdumieni.

— Com się ja jéj naprosiła, com nagadała, nic nie pomogło; powiada, że sobie da rady sama, że to jéj chata, i po wszystkiém.... Aż litość bierze myśléć, jak to marnie przepadnie.

— Ależby to kto wziął za kawałek chleba—mruknął stary Marcin Nieduha—ot i ja jedynoki i żona słaba.

— Darmo jéj to i gadać; póki dobrze biédy nie skosztuje, nigdzie nie pójdzie—żywo przerwała Sołoducha—tak się jéj zdaje teraz że sobie rady da: trzeba żeby się przekonała, będzie wówczas tańsza.

Ludzie, jak to zwykle dosyć obojętni, pokiwali głowami, poszeptali, ten i ów się rozśmiał, inny westchnął, a każdy wreszcie poszedł do swego, i Sołoducha do chaty.

A Maryś jak usnęła siedząc przy piecu na którym wkrótce wygasło, nieporuszona, nie czując i nie śniąc, nie marząc, kamiennym snem przetrwała do ranka. Dopiéro gdy blask dobrego dnia wcisnąwszy się okienkiem, uderzył w jéj oczy, schwyciła się nagle, przetarła powieki i wracając do życia opamiętała się w swém siéroctwie.

Boleść i znużenie tak jéj myśli zmieszały, że długo pomiarkować nie mogła czy noc przespała tylko, czy więcéj, czy tylko krótką godzinę. Wyszła na próg i po słońcu poznawszy ranek, zdumiała się.

Świat był wesoły i piękny, pomimo smutku siéroty; słońce wschodziło pogodne, cisza była dokoła, a wróble ożywione szczebiotały pod strzechą, latały, kręciły się,

wrzeszczały, biły o zapomniane gdzieś ziarnko na drodze, wrzawą napełniając powietrze.

Dziéwczę poczęło się rozglądać w obrazie świetnym i wdzięcznym, a oko jéj padło przez nizki wał cmentarny na żółtą matki mogiłę. Drzwi chaty zostały otworem szeroko, a Marysia pobiegła i przytuliwszy się do zimnego kurhanka, zachodziła od płaczu.

Nie wiém jak długo to trwało, gdy od wioski, szybkim posuwający się krokiem, ukazał się krzepki, barczysty starzec, pomimo widocznéj swéj ślepoty, żywo i śmiało postępujący ku górze. Kij tylko wiódł jego krokami, a tak był pewien swéj drogi, że ledwie dotknął nim ziemi, posuwał się jak gdyby zdrowe i całe miał oczy.

Nagle stanął i białe źrenice zwrócił ku mogilnikowi, przysłuchując się uważnie. Oślepły dziad uszy miał ostre i czucie szczególne; cichy płacz dziewczyny nie uszedł jego uwagi, domyślił się kto płakał, ruszył ramionami z gniewem prawie, i puszczając się znowuż żywym krokiem, począł jak gdyby widział, kierować się na cmentarz. Miejsce to tak mu było znajome, jak wszystkie kąty wioski: trafił na przegniły mostek, do furtki i między mogiłami doskonale torując sobie ścieżkę, podszedł do saméj dziewczyny, wiedziony cichém jéj płaczem.

Marysia spostrzegła go dopiéro, gdy się do niéj odezwał.

— Dosyćże już płakać, dosyć: umarłym pokój wieczny, a żywym czas do pracy i do życia. Ot, wstawaj i chodź!

— Dokąd? dokąd?—spytała niespokojnie dziewczyna, niedobrze poznając Rataja.

— Dokąd? a do nas—rzekł stary włóczęga—co to myślisz sama gospodarować? Przecie to twoja matka chciała, żebyś do nas poszła, a sama tak zostać się nie możesz.

— Toście wy pewnie mąż Sołoduchy?

— Stary Rataj, ślepe dziadzisko, jakbyś mnie znała; a długo nie gadając zabiéraj się rybko i ruszaj.

— Alem ja wczoraj już żonie waszéj powiedziała, że przy chacie zostanę.

— Tak! a ja ciebiem zastał tu na cmentarzu; piękna tobie chata! A co to z tego będzie, jak ty tu zaczniesz chodzić

i wypłakiwać! Chleba nie wypłaczesz, to darmo! Musisz iść do nas, nic nie pomoże!

— Nie pójdę! nie pójdę!—krzyknęła Maryś—nie chcę, nie mogę, mam swoję chatę i w swojéj chacie choćby umrzeć!

— Co ty oszalałaś Maryś? hę?

— Niech oszalałam a nie pójdę!— odparło dziecko.— Dziwujecie się żeście mnie tu znaleźli; co za dziw! wczoraj jeszcze wzięłam się do kądzieli, ale sen mnie zmorzył, kamieniem przespałam noc całą..... Wyszłam w słonko popatrzéć zrana, zobaczyłam moję mogiłę i płakać się na niéj zachciało.

— I tak będzie co rano....

— Nie dziadusiu! nie! ja wiem co potrzeba: pójdę do roboty, bo z niéj żyję, a łzy schowam na niedzielę.

Rataj stał zdumiony jak żona, był bowiem pewien, że znajdzie dziecko, a trafił na dojrzałą i rozżaloną tylko istotę; nie wiedział już co począć, co powiedzieć.

— Prowadźże mnie do swojéj chaty — odezwał się po namyśle,—nigdy w niéj nie byłem, muszę ją obejrzéć.....

Rataj zwykł był tak mówić choć oczów nie miał, i niewiele tém grzeszył, bo ślepy tak umiał zastąpić wzrok niezwyczajném czuciem i sprytem, że często więcéj od najbaczniejszych zobaczył. Poszli więc razem ku chatce cygana. Stary dziad obmacał drzwi i pokiwał głową na ich nizkość, przestąpił próg, i nie zatrzymując się obszedł izbę macając rękoma stoły, piec i ławę, zajrzał do alkierza w tenże sposób, powrócił i zasępiony usiadł na przypiecku.

— Szatra cygańska—rzekł do siebie pocichu — gorsza od ladajakiéj ziemianki w któréj choć zaciszno i ciepło... Jak to tu żyć!

Dziéwczę dosłuszało słów ostatnich.

— Oj! żyliśmy ojcze, i dobrze nam było z naszą nędzą; a mnie jednéj! aby jamka gdzie głowę przytulić!

— Jakże ty myślisz? co poczniesz? gadajno mi,—zawołał Rataj—trzeba żebym wiedział.

Maryś zamyśliła się wlepiając w dziada swe czarne, bystre, choć załzawione oczy.

— Oto posłuchajcie — rzekła—niedziwota przecie to samo robić, cośmy z matką robiły. Na wsi dają prząść, a za motek, i chléb, i omastę i krupę, a czasem szmatę jaką dostać

można. Ja, ojcze kochany, niechwaląc się, tak przędę, tak przędę, że mi trudno kto dorówna. Jak grubszą, to i całą talkę za dzień wyspieszę; matka mnie sama uczyła, a znali ją we wsi za piérwszą kądziel, bo jéj i sławna Horpyna od Mudrahela wyprzedzić nie mogła.

— A jak zasłabniesz?—zapytał Rataj chmurno.

— No, to poleżę; i, co Bóg da! co Bóg da!—powtórzyła z westchnieniem—Matka zawsze mówiła, że Bóg nad siérotą!

Rataj słuchał i coraz bardziéj czuł się zdziwionym, tak, że ze zdumienia słowa rzec nie umiał. Oczy jego zwracały się w stronę Marysi i jéj głosu; rzekłbyś, że usiłował przebić wiekuiste ciemności i odgadnąć twarzyczkę dziéwczęcia; a czoło jego było chmurne i zasępione.

— Świta ci w głowie,—odpowiedział po chwili—no, a czemużbyś to do nas pójść nie chciała? Mów, dlaczego? Może ty się boisz Sołoduchy? Ale *bihme*, jakby ci złe słowo rzekła, takbym jéj boki obłatał, żeby cię potém w ręce całować musiała.

— Ale ja się nikogo nie boję!—przerwała żywo Maryś.

— A czemu do nas iść nie chcesz?

Dziéwczę się zawahało, łza pociekła z pod powieki i zbliżyła się do starca, poczynając zniżonym pełnym wzruszenia głosem:

— Ojcze.... wybyście mnie powinni dawno zrozumiéć! Może to śmieszno, może to grzeszno, może to głupio co ja powiem; ale cóż? kiedy tak jest, taić się nie ma co przed wami. Jabym téj chaty nie mogła porzucić! Czy to wy słyszeli jak ją ojciec biédny budował! A cośmy tu z matunią przechorowali... Ja się tu urodziłam, ona tu umarła. Nie! nie! ja jéj kołkiem podeprzeć nie mogę i pustką zostawić; póki mnie żywéj, dopóty tu siedziéć będę.

— A rób sobie jak chcesz!—zawołał dziad, którego usta zacięte, litość czy wzruszenie tłumione malowały—Bóg z tobą, tylkono pamiętaj, pamiętaj, jak ci dokuczy, u Sołoduchy na ławie przy piecu jest zawsze dla ciebie miejsce, a w Ratajowéj torbie chleba kawałek. I na grób matki tobie nie chodzić dziecko: ty tego nie wiesz jeszcze co to płacz i smutek.... Smutek chodzi po świecie marą, a kogo złapie to dusi, to męczy, jeźli się od niego nie odże-

gna, aż póki nie zadławi. Pan Bóg téj zmorze nie każe się poddawać a bronić. Matce twojéj nic po łzach: zmów lepiéj pacierz za nią, a na mogiłę nie chodź. Siadaj, prządź, gospodaruj, kiedy ci się chce probować samotnicy, ale to tego długo nie będzie! Człowiek człowiekowi potrzebny; cobym ja dał, żebym choć wrażą twarz ludzką zobaczył!!

To mówiąc dziadzisko zerwał się z siedzenia, torbę którą miał przewieszoną przez ramię zsunął na kolana i począł z niéj dobywać kawałków chleba zeschłych, świeżych, popleśniałych, bielszych i czarniejszych, aż do dna wypróżniając zapas swój na ławę.

— Ot tobie na początek gospodarstwa—rzekł ponuro—jaka ręka, taka i jałmużna; bywaj zdrowa i niech cię Bóg pocieszy hołubku!

Odszedł z tém Rataj, i już go nazad przeprowadzać nie było potrzeba: próg przestąpił śmiało, głową się o nizki odzwierek nie uderzył, w sionkach trafił do wnijścia jakby je sam budował i z góry puścił się drogą, nawet niewiele kija posyłając na zwiady.

— Taki to ród—mruczał pod nosem idąc ku wiosce—gdyby mi kto z drugiego sioła gadał, tobym nie uwierzył, że wyrostek, sierota, dzieciak, a już chce mieć swoję wolą! Rodem oni tacy byli: dziad umarł, a córce na ślub nie pozwolił; córka z nędzy skończyła na swojém postawiwszy, bracia się zaklęli że ona im obca będzie, i ot! dotrzymują psie wiary!

Zatrzymał się na chwilę.

— A gdybym ja probował pójść do Maxyma i Filipa, hę? kto wié? możebym co utargował dla siéroty? Poprobuję, taki mnie psami za to nie wyszczują, a choćby!

Droga do chaty wujów Marysi szła podle karczemki, któréj Rataj nigdy nie mijał; nie wytrzymał i wstąpił rozwiązawszy węzełek w koszuli, w którym się parę groszaków schowało. Wypił kwaterkę, i pokrzepiony, z lepszą myślą, milczący ale śmiały, skierował się ku chacie braci Motruny.

Dotąd oni jeszcze byli nie rozdzieleni, i choć semia się pomnażała, choć ich tam gęsto było, nie wyprosili sobie kawałka pola, bo pustek u pana zabrakło, a z łanu ciężko było wydzielać.

Nienajlepiéj się więc działo Maxymowi i Filipowi; przyszły dzieci, trafiły się kilka lat nieurodzajnych, żony ich o lada garnek u pieca się swarzyły, kłóciły w oborze, zajadały na podwórku, gdy jeden podświnek drugiemu zajrzał do koryta; a gdy przyszło na pańszczyznę, jedna drugą wypychała, porywały się do siebie, że je często mężowie rozbraniając, sami się pokłócić musieli. Czyste piekło zrobiło się w chacie.

Jeden na drugiego się oglądał, nikt nic nie robił, i bracia Motruny ubożeli przeklinając swoję dolę. Nie poznałbyś teraz tego czystego dawniéj podwórka, téj schludnéj chaty i zamożnego obejścia, tak się to oszarpało, poopadało, i pochyliło przez niedbalstwo. Płoty stały poszczerbione i powypalane kawałami, dach się powyginał od zgnilizny, ścian dawno nie obmazywano, a chróściana stodółka świeciła bokami, przez które wiechcie słomy tylko wyglądały. Dawniéj za Lepiuka, było to jedno z najlepszych gospodarstw we wsi; dziś na dwóch braci jedna już para wołów została. I jakieto tam były woły: jeden stary i chudy, drugi dopiéro w trzecim roku niedorosły i cherlawy, aż wstyd było wyjść z radłem na pole, lub się sprzęgać do pługa. A jak nadeszła ta biéda, wszyscy się nią poczęli rzucać, nie przyznając się do tego, żeby jéj kto piérwszy drzwi otworzył. Maxym składał na Filipa, Filip na Maxyma, a bratowe obie i na mężów i na siebie. Na przednowku na ościsty chléb pożyczać było potrzeba, a wiadomo, co to chłopska pożyczka! Za ćwiartkę żyta, oddaj ćwiartkę żyta w dodatku; już dobrze, kiedy trzy dni odrobić potrzeba, choć cały korzec kupiłby za pięć złotych.

Wiedział Rataj, jak tam było u Motruny braci, bo we wsi wszyscy wiedzą, co się dzieje u sąsiadów; wszelako szedł do nich, bo zawsze przecie choć biédni, stokroć więcéj mieli od siéroty i wesprzéć ją mogli.

Jakoś to był taki dzień, że wszystkich zastał w domu. Maxym nabijał rozsypane wiadro, Filip dojadał z misy, wybierając się do lasu, a dwie bratowe stanąwszy naprzeciw siebie w dwóch kątach izby, łajały się co wlazło o zarzucone wrzeciono. Mężowie już im nie dopomagali, przywykłszy do tego codziennego chleba: ruszali tylko ramionami, skrobiąc się po głowie.

Gdy się dziad ukazał w progu, przeprowadzany przez ujadające dwa psiaki, potomstwo starego poczciwego kasztana; wszyscy odwrócili głowy ku niemu, a Maxym rzucając robotę, zawołał:

— E! szlibyście z Bogiem!.. bo tu u nas chleba też nie ma.

— Albo to ja za jałmużną?—ofuknął się Rataj—chybaście mnie nie poznali? Czy to ja po swojéj wiosce bez prażniku będę żebrał? Tfu! Maxymie, w głowie się wam przewraca: czy nie znacie Rataja? Czy to już wam ławę przełamię jak na niéj odpocznę?—i Maxym się zawstydził i pokraśniał.

— Nie łajże stary—rzekł—siadajcie, odpoczywajcie, a tom was doprawdy nie poznał.

— No! no! stare dziadzisko gniewać się nie potrafię; mój chléb mnie do wszytkiego przyzwyczaił: i do ludzkiéj litości i do ludzkiego łajana... Przysycha to jak na psie. A klnie kto mnie, odeklnę go w dziesięcioro!

To mówiąc Rataj ławę namacał, zamilkł na chwilę, jakby słuchał szelestu najmniejszego, żeby zeń o liczbie osób w izbie będących przekonać się; i począł ciężko westchnąwszy:

— A wiécie, jakie na mnie spadło dziedzictwo?

— No? jakie dziedzictwo?—spytali razem Maxym i Filip.

— A! po waszéj siostrze Motrunie!

Bracia jakby im kto gęby pozalepiał, umilkli; stary się też nie spieszył mówić daléj.

— Aż mi serce rośnie,—dodał po chwili—dawnom sobie dziecka życzył, a to na starość mnie i mojéj babie Pan Bóg dał gotowe, wyhodowane, i takie co się niém i przed królem nie powstydzisz. Motruna mi swoję córkę zostawiła.

— A! a!—odezwali się obaj bracia.

— Ot tak! a walna dziewczynina, tylko szkoda, że jak wy wszyscy kury czubate, ma także czubka: uparta gdyby kozioł.

Nikt nie przemówił i słowa; a Rataj daléj ciągnął rzecz swoję.

— Cieszyłem się, że ją zabiorę, boby się było kim posłużyć w domu; a tu choć się sama jedna została, ani jéj z chaty wyciągnąć. Słyszana to rzecz: sama jak palec, bez kawałka chleba, i mówi, że sobie rady da, i sama chce gospodarzyć, a jeszcze to od ziemi nie odrosło!

Bracia i bratowe po sobie spojrzeli, ramionami ruszyli, a ciekawość rozwiązała im usta.

— Co-bo mówicie!—zawołał Filip—ta to dziecko?

— Dziecko, ale nie takie jak wasze, co to się matczynéj trzyma spódnicy i za próg samo nie wylezie: daj mu i miskę i łyżkę, a jeszcze gębę trzeba otworzyć, żeby jadło.

— Żeby ono jakie było,—rzekł Maxym powoli—to zginie jak ruda mysz... Niedarmo ojciec ich z rodem przeklął; cygan przepadł niewiara, Motruna zmarła o głodzie, i siérotę nielepsza czeka dola.

— Dalibyście pokój przepowiadać—przerwał Rataj—a co ona winna, że drudzy nagrzeszyli? Pan Bóg lepszy i miłosierniejszy od ludzi, nie da jéj zginąć... Kto winien, już odpokutował.

— Alełno powiédźcie—odezwała się Maxymowa, co ona sobie myśli? Jak to dziecko da sobie rady? samiuteńkie jedno! To dziw!

— Dziw naprawdę! Ja sam nie wiem co będzie; widzi mi się—odparł stary—że pobiéduje na téj pustce, a potém do nas zbieży. Bogiem a prawdą i wamby się co dla niéj uczynić należało: choć kawałek dać chleba.

Na ten całkiem niespodziewany wniosek, i Maxym i obie bratowe jednym głosem krzyknęli.

— Co tobie w głowie? czy to u nas chleba nadto?

— Hm! chleba nikomu nie nadto!—rzekł Rataj—wiém ja, że go nie macie do zbytku; ale czemu Pan Bóg nie błogosławi? Któż to wié, czy nie za Motrunę, coście ją tak odepchnęli? Żywicie taki choć nie bogaci psów dwoje, znalazłaby się kromka chleba i dla siéroty; kto to wie, czyby się ten zasiew nie wrócił!

Maxym ramionami ruszył.

— Dajcie pokój, już ja widzę z czémeście wy przyszli. Na co to darmo kręcić! ni to ni owo: a to że ją bierzecie do siebie, a to że ona sama sobie rady daje, kiedy

myślicie nam ją na kark narzucić... Ale z tego nic nie będzie! dosyć nas i tak!

— Pluń Maxymie!—zawołał dziad stukając kijem,—ot widzicie, jakto z wielkiéj mądrości ażeście się domyślili, co mi w głowie nie postało! Naprzód, żebyście i chcieli, tobym wam jéj nie dał; powtóre jak do mnie, tak i do was ona nie pójdzie! A czegom chciał to powiém: możeby wasz datek smaczniejszy był od mojéj żebraniny; ale i tak z głodu nie umrze pokim ja żyw! Niechaj wam będzie jak było, kiedy takie serce macie!

To mówiąc wstał szparko, kijem zasztukał i nie rzekłszy słowa więcéj, drzwiami za sobą cisnął, a na podwórku tylko psy ujadające do wrót odejście jego oznajmiły.

Bracia i bratowe stali chwilę pochmurzeni, spoglądając po sobie.

— Jaki mądry!—odezwała się wreszcie piérwsza Maxymowa—chciał nam jeszcze jedno dziecko narzucić, jakby to u nas tego bobu mało było.

— Cicho babo!—ofuknął się Maxym, podnosząc głowę od roboty,—nie narzekajże choć na dzieci, bo ci je Pan Bóg pozabiera!

— Co to gadać,—odważnie jakoś, wstając z za stołu i nakładając czapkę na uszy, dodał Filip—po sprawiedliwości, nie komu się opiekować tą siérotą tylko nam. Rodzonéjże siostry dziecko zostało sierotą; opuścić, wstyd i grzéch, a gdyby kto inny wziął, to palcami nas będą wytykać.

— To cyganię, cyganię!—zakrzyknął Maxym—co ty mówisz siostry dziecko! Ojciec się jéj zaparł... krew niewiary! Niech się idzie włóczyć za swojemi, nam nic do tego.

— A pewnie, że tak!—dodała Maxymicha; a żona Filipa spoglądając kwaśno na męża, szepnęła:

— Czy to my już tak bogaci, żebyśmy mieli cudze dzieci brać na głowę; patrzajno, żeby twoim chleba stało!

Filip ruszył ramionami, pokiwał głową, wcisnął czapkę głębiéj na uszy, węzełek zarzucił na plecy, siekierę za pas zatknął i faikę u pieca zapaliwszy wyszedł do wozu, który już stał przed sienią zaprzężony.

Pozostali milczeli długo; ale że się już nie było z kim spiérać i piérwszy niepokój ich ominął: zaczęli wszyscy myśléć o siérotce, jak to ona sama tam została i rady sobie da-

je. Nie śmieli tylko ust otworzyć, ale ich piekło pogawędzić o tém, o czém cała wioska, dwór, plebania, gadali i rozprawiali w téj chwili.

Już się bowiem było dobrze rozniosło o śmierci Motruny, i o dziewczęciu, i o postanowieniu jéj pozostania w chatce na własném gospodarstwie, a każdy się dziwił i ciekawił, jak to będzie.

I dwie bratowe z Maxymem niemniéj téż zadumywali się, jaki to temu może być koniec; a jak myśléć poczęli, wystawiać sobie to życie samotne w chatce cmentarnéj, tę niedolę, tę pustynię; jakoś się trochę litości obudziło w ich sercu. I choć każda z nich obawiała się bardzo z tą litością wydawać, aby do niéj i do niewczesnych ofiar drugich nie pobudzić, trudno już było nie pokazać po sobie co się czuło.

— Ale to—odezwała się piérwsza Filipowa,—ciekawość jednak, jak tam cyganka gospodaruje! Ta to nie ma może jak lat dwanaście, trzynaście, a myśli że się bez ludzi obejdzie... Radabym choć ukradkiem tam zajrzéć, a zobaczyć, co się to dziać będzie. Słychana rzecz, taki dzieciak sam jeden na całą chatę!

Myxym głową pokiwał.

— Rataje ją wezmą!

— Sołoducha mi tak mówiła, że ją gwałtem ciagnęła, ale się jéj nie dała.

— Zobaczycie!

— A no! zobaczymy!

— Dobrze taki podobno mój powiadał—dodała Filipowa pocichu—wziąć nie wziąć, bo to ciężko, a taki dla niéj coś zrobić tobyśmy powinni; ludzie nas za ostatnich łajdaków okrzyczą. Póki żyła matka, to co innego było, ale nad sierotą trzeba się zlitować.

Mówiła to, ale tak nieśmiało, tak bojaźliwie, tak oglądając się na bratowę i Maxyma, jakby się obawiała okrutnéj na siebie wrzawy i gotowa była ustąpić zaraz; ale nadspodziewanie, nikt przeciw temu nie rzekł już słowa.

Maxym z ust wyjął fajkę, i poczuł głową pokręcać.

— Jaka ty bogata Filipicho! Oj! oj! nie mówię żeby to dawniejsze lata, kiedy z roku na rok stożek żyta schodził, a i w zasieku zawsze bywały zapasy; ale teraz... tak, to my

sami pożyczać będziemy musieli, a pole nawpół siejemy z Semenem, to co z niego zbierzemy?

— Albo to jéj dużo potrzeba?—odezwała się już odważniéj Filipowa—ot, cokolwiek, aby ludzie nie gadali, a sumienie było spokojne.

— Jaka mi pani!—zaczęła z kolei Maxymowa—dać! dać! a zkąd weźmiesz?

— E! e! na toby się kruszyna znalazła!

Maxym milczał, bratowe piérwszy raz oddawna zbliżyły się do siebie i szeptać poczęły; ale o dziwo! nie swarzyły się jakoś, tylko żywo coś sobie opowiadały krzątając po kątach: duch miłosierdzia w nie wstąpił, wiodąc z sobą duch zgody.

Nie ma bowiem serc lepszych i poczciwszych nad serca ludu naszego, ale je często zatwardza nędza, zamyka własny głód i pragnienie. W ciężkiéj doli trudno się zebrać na litość, a ostatnim kęsem niekażdy podzielić się potrafi. W chacie było bardzo ubogo: przecież gdy na myśl przyszły obowiązki, gdy się w sercu własném rozpatrywać poczęli: ruszyło sumienie, wzięła ochota nędzą się przełamać z biédniejszym. Wprawdzie datek szedł nieochotnie i dobrze się zadumywano nad nim, w piérwszym popędzie zamyślając dać więcéj, okrawając powoli, gdy przyszło do rzeczy; ale i Maxym i bratowe zgodziły się zanieść coś siérotce i zobaczyć co się tam z nią dzieje.

Wielką tę wyprawę odłożono do jutra, na czém straciła dziewczynka, bo do rana rozmyślano jeszcze i ujmowano podarku, oglądając się na siebie.

O! takto my wszyscy robimy podobno: serca dobre, ale głowy bojaźliwe i chłodne!

Dziéwczęcia w jéj lepiance ciężko piérwsze upływały chwile; ale nie jest to czczém słowem, ani ciasno tego rozumiéć i zastosowywać to potrzeba, co nas uczy wiara, że są zlewane od Boga łaski stanu. Niejedni kapłani mają je sobie udzielonemi; wszelki człowiek w trudnéj toni, z sercem czystém i poczciwém, jeśli nań zasługuje, otrzyma ten szczególny do stanu jego zastosowany dar Boży. Przez

anioła opiekuna, niewidzialnie ześle Opatrzność myśl jakąś płodną, przymiot potrzebny, cierpliwość, siłę, wytrwanie, ziarenko przyszłości, na którego pozyskanie sam człowiek próżnoby pracował. Jestto zapomoga wśród głodu ze śpichlerza bożych dzieci.

Biédnéj też siérotce w ciężkiéj doli i osamotnieniu, gdy tylko piérwsze łzy oschły, gdy serce spokojniéj bić zaczęło, zaświtała myśl szczęśliwa przyniesiona przez anioła i włożona ne jéj skronie.

Nazajutrz rano wstała rzeźwiejsza, wyszła na próg domu; i spojrzawszy w słonko, na krzątające się ptastwo, na rozgrzewającą ziemię, na ruch gospodarski wioski, któréj głos ją dochodził z parowu: poczęła dumać nieboga.

Oczy jéj błądziły machinalnie goniąc za wróblami, które żwawo zwijały się z pod strzechy na drogę, a z drogi pod strzechę.

— Ot, jakieto maleńkie—pomyślała— jakie to biédne, drobne, bez opieki, prześladowane, a Bóg taki i pokarm i życie mu daje... Pracują niebożątka, i siedząc w strzesze przegniłéj gniazdka sobie budują i jeszcze śpiéwają tak wesoło! Czemużbym ja nie miała sobie dać rady, jak się zawezmę do pracy!

Dziéwczę oczyma wyczytało w księdze żywéj świata, niemal dosłownie wypisane wyrazy ewangelii, które powtórzył z ust Chrystusa Mateusz święty. (Rozdział VI. *Respicite volatilia coeli, quoniam non serunt, neque metunt, neque congregant in horrea, et pater vester coelestis pascit illa. Nonne vos magis pluris estis illis?).*

Myśl to była od Boga zesłana i serce orzeźwiająca. Marysia spojrzała na mogiłę, ale i ta do niéj w też prawie przemówiła słowa.

— I matka moja pracowała, sama jedna, gorzéj, bo za mnie i za siebie, bo na nas dwoje, nie mając w pomoc nikogo; a tyle się to lat przeżyło!

Otucha wstąpiła w jéj serce.

— Czegóżbo ja stoję w progu—spytała sama siebie— łzy otrzéć potrzeba, bo nic nie pomogą: zmówię paciérz za matuchnę, i koło chaty się wezmę!!.

I przeżegnawszy się wbiegła do lepianki, po raz piérwszy od śmierci Motruny rozpatrując się jak w niéj było zaśmiecono, porozrzucano, nieporządnie.

W mgnieniu oka zatknęła za pas końce fartuszka, zakasała rękawki sukmany, i nuż się zwijać po domku. Poczęła od alkierzyka, gdzie nakrywy od bodni, trochę sukien i biédoty leżały bezładnie; pochowała co schować było potrzeba, ponakrywała sypanki, przymiotła i weszła do piérwszéj izby. Tu jeszcze nietknięte stało łóżko na którém umarła Motruna, a gdy się do niego zbliżyć przyszło, serce się jéj ścisnęło; ależ miała tak zostawić ubogi ów barłóg na pośmiewisko ludzkie? Westchnęła, i powoli z niejakim strachem i ściśnieniem serca wzięła się do téj bolesnéj roboty.

Poskładała resztki odzieży, grubém płótnem przysłoniła łóżko, a gdy tę najcięższą odbyła pracę, reszta już poszła jéj żywo i łatwo.

Zamiotła więc podłogę, śmieci rzuciła na ognisko, bo się na podpałkę zdać mogły, pościérała stoły i ławy, poprzychowywała chleby, nałożyła oszczędnego ognia, bo się znalazł jakiś węgielek wczorajszy, w którym iskra tlała jeszcze, i zaparłszy drzwiczki, z wiadrami ruszyła do krynicy.

W drodze co to tam myśli krzyżowało się w głowinie! Jak sobie chatynkę urządzi, jak zapas przysposobi, zkąd weźmie drzewa na opał, zkąd garnka na strawę? Nie wiem jak, ale na wszystko jakoś znalazła sobie sposób i radę; trochę się tylko zadumawszy.

— Wstanę rano—mówiła—na wszystko mi czasu stanie; woda niedaleko, mnie i jedno wiaderko wystarczy; drewek w chruśniaku dosyć, to sobie ich mrokiem nazbiéram, gdy już prząść nie dowidzę. Chybaby Bóg nie łaskaw, żebym na chléb już nie naprzędła.... Koszulinę jednę i drugą wykroję z mateczynych, to mi wystarczą na długo. Switek stanie mi na całe życie; w staréj chodzić będę w dnie powszednie, a na niedzielę mam jeszcze dobrą, co mi kazała uszyć matunia.... Jak się ta podrze, to i do mateczynéj dorosnę. O cóżbym ja sobie więcéj głowę łamała?... Chléb i woda... nie ma głodu?.. E! dam sobie radę przy pomocy boskiéj, przy opiece matki, bo ona przecie patrzy na mnie. O! patrzy, ja to czuję, aż mi lżéj.... i nie da dziecku swemu zginąć!

Tak sobie marząc, zaszła Marysia do źródła, zaczerpnęła w niém, rozpędziwszy wprzód wiadrem zebrane na po-

wierzchni wody śmieci, i nie tracąc czasu, rzuciwszy nawet okiem na wioskę, którą ztąd całą widać było jak na dłoni; pospieszyła do chaty.

Ogień jeszcze zastała tlejący, ale podsycać go nie było już czém, tak się wyczerpało drewek. Myślała, myślała, przemyśliwała chwilę i skoczyła ku drabince na strych wiodącéj, na którą wdrapawszy się, aż krzyknęła z radości; na górze pełno było suchuteńkiego chrustu. Kiedyś go był głupi Janek jeszcze przysposobił dla Motruny, a po śmierci parobka zapomniano o nim; dziéwczęciu nie wiém jak przyszło na pamięć, że łażąc za ostatnią kurą, widziała tam drewka, przypomniała to sobie i zapas gotowy znalazła na długo. Tak to ją ucieszyło niebogę, że aż łzy jéj z oczu pobiegły.

— A! jakże to mi Bóg dał w samą porę—zawołała—tymczasem zima i śniegi zejdą doreszty, oschnie, i w chruśniaku zbiérać będę mogła gałęzie.

Śliczny, wesoły ogieniek rozpłonął na kominie; Marysia garnek wymyła, wody nastawiła, ale co tu sobie zgotować? Nie było wyboru: nakruszyła chleba, rzuciła go we wrzątek, trochę soli było w drewnianéj miseczce nad piecem, i smaczna, o! smaczna dla głodnéj zrobiła się z tego potrawa.

— Wszakże to i tém żyć można?—mówiła w duchu zajadając zaciérkę chlebową.—Ot i obiad gotowy, na wieczór przemienię sobie i zjém suchego chleba z wodą zimną.... a z głodu już nie przepadnę!

W izdebce rozgrzało się od ognia, Marysia starannie umyła garnuszek, przeżegnała się, i wziąwszy kądziel, poszła prząść do okienka. A wyciągając nić długą, oko jéj raz - wraz biegało po chatce, po siérocém dziedzictwie. Gdzie najrzy szparkę w ścianie, myśli jak ją zalepić; gdzie glina odpadła, zapamiętywa, żeby na wiosnę gdy ociepleje, poprawić. Pracuje ręką, pracuje myślą, a nadziei serce pełne.

A czas bieży, bieży, bieży, ani słychać jak ucieka, i już około południa, ktoś przed chatą zagadał! Myśląc że to Sołoducha albo Rataj stary, bo się nikogo innego nie spodziewała w gościnę, nie wstała nawet z ławy, żeby czasu nie tracić; wtém drzwi się otwarły i dwie nieznajome ko-

biety, bojaźliwie jedna drugą popychając, szepcząc coś, weszły do izdebki.

Byłyto dwie bratowe, Maxymicha z Filipichą. Marysia ich nigdy nie widziała w życiu, ani też one siéroty; jęły więc wzajem się sobie przypatrywać, a ciekawość tak opanowała dwie baby, że słowa nie mówiąc, z dziéwczęcia na chatę, z chaty na dziewczynę oczyma tylko rzucały, nie mogąc się wydziwić obojgu.

Marysia wstawszy i postawiwszy kądziel, czekała żesię do niéj odezwały; aż nareszcie Maxymowa szturgnięta łokciem przez bojaźliwszą Filipichę, poczęła z uśmiechem:

— Sława Bohu!

— Na wieki.

— Chciałyśmy to zobaczyć, co się z wami dzieje, choć to my się nie znamy... ale.

— Bóg zapłać—odparła Marysia—a cóż ma być: haruję i żyję.

— Patrzajcieno, patrzajcie — szepnęła Filipicha—jak to u niéj czysto i porządnie: i ogień na kominie i wiadro pełne i umieciono..., a któż tobie pomaga?

— Nikt! nikt— tęskno odpowiedziało dziéwczę—dwie ręce, trzecia głowa; a ktobyto chciał pomódz siérocie? Ratajowie czasem najrzą, więcéj nikt: ot, Pan Bóg, i nieboszka matka moja.

Filipicha, która wspomnienia nawet nieboszczyków się obawiała, przeżegnała się skwapliwie, odganiając nieostrożnie wyrzeczone słowo.

— Siadajcie,—dodała Marysia zmiatając im ławę fartuszkiem, a nie śmiejąc pytać kobiet, co były za jedne;—Bóg zapłać, żeście przyszli choć słowo przemówić; wy nie wiecie, jak to ciężko być saméj!

— A już to prawda—odpowiedziała młodsza— ja i nie wiem, jak wy tu wytrzymujecie: tak tu straszno i cicho być u was musi.

— Tylko, że nieludno—odezwała się Marysia uśmiechając,—ale mi tu wróble swoim językiem cały boży dzień paplają pod strzechą, i sroczka krzyczy, i słoneczko zagląda, i mam kilka myszek burych, co z pola przyszły na zimówkę do chaty, a tak oswojonych, że się mnie nie boją i pod nogi schodzą po okruszyny chleba.

Maxymicha w twarz się uderzyła z podziwienia, z naiwnym ruchem niedowierzenia prawie; Filipicha otworzyła usta wielkie, i obie osłupiały, tak im to było i dziwne i nowe.

— A w nocy? — spytała tchórzliwie oglądając się młodsza.

— E! ja w nocy, upracowawszy się, śpię jak kamień; a matka mi mawiała, że anieli pilnują, kiedy człek z krzyżem świętym spać się kładzie.

— Jakto ona gada,—poczęła w duchu Filipicha—co to za rozum, tażto i stary lepiéjby nie potrafił... Nie widana dziewczyna!

Sojrzały po sobie baby coraz bardziéj zdumione, ruszając ramionami, jakby się pytały siebie:—co to znaczy?

Marysia tymczasem uprzejmie je zapraszała, robiąc miejsce na ławie, a sama się już brała do kądzieli. Kobiety usiąść jeszcze nie śmiały, przypatrywały się ciekawie, rozglądając i szepcząc między sobą i trącając łokciami; jedna i druga tuliły coś w fartuchu przyniesionego, ale nie wiedziały, jak to Marysi oddać.

Dziéwczę ze swą prostotą, śmiałością, odwagą, niespodziane na nich uczyniło wrażenie, któremu się odjąć nie mogły; było to coś więcéj niż podziwienie:—rozczulenie i cześć jakaś prawie. Biło serce kobietom choć się uśmiechały, kryjąc wzruszenie do którego nie przywykły.

— Choć siądźcie, proszę—mówiła im Marysia—nie mam was czém przyjąć, bo prócz chleba, którego mi Rataj podarował, nic tu u mnie nie znajdziecie; ale czém chata bogata, tém rada.

— Jakto? to wy prócz chleba nic nie jécie?—zapytała Filipicha.

— Teraz jeszcze żyję o chlebie, bo nie mam nic; alem sobie z niego zagotowała zacierki i nie jestem głodna, a da Bóg doczekać, będzie i krupa i omasta, bylem motki skończyła, a prząść się znalazło więcéj. We wsi mi dają robotę, bo widzą, że przędziwo nie przepadnie, i pod wagą nici oddam. Semenycha, Kociukowa, Pawłowa, Lebiedzianka, dobrze mnie już znają, a ja i dwudziestkę uprzędę.

Kobiéty przysłuchiwały się pilnie słowom dziéwczęcia, a corazto się więcéj dziwiły śmiałości jego, odwadze, na-

dziei i przytomności. Wpatrywały się w ładniuchną jego twarzyczkę z trochę zapłakanemi oczyma, i obie potajemnie w sercu westchnęły, żeby ich córkom Bóg nie taką dolę, a tyle dał serca i głowy, co siérocie.

— Ależ moja mileńka—odezwała się Maxymicha—to ty chyba i drwa nosisz sama i po wodę chodzisz?

— A cóż? wszystko sama robię i na wszystko jakoś mi rąk starczy,—rzekła Marysia—Jużem się wyprobowała i obmyślłam jak to będzie.

Tu zaczęła rozpowiadać im, jak ułożyła życie i godziny dniowe; a kobiéty zamilkły znowu z wielkiego podziwienia.

— Krzyż z nami!—powtarzały—krzyż z nami! A to cudowisko ta dziewczyna: schodzić się do niéj a słuchać, patrzéć a dziwować!

Pobyły tak chwilę u Marysi i nie śmiały nawet w końcu wystąpić już z małym datkiem, który dla niéj przyniosły; jak siedziały na ławie, tak poza siebie zasunęły co miały w fartuchach, i posiedziawszy jeszcze, pożegnały Marysię, ciekawe o niéj wiadomości niosąc na wioskę.

Poszła z niemi wieść po całych Stawiskach o Marysi cygance; z kim się spotkały, każdemu rozpowiadały o dziewczynie i nagadać się o niéj nie mogły: tak, że w chatach, na dworskiém, u dobrodziejów w plebanii i w karczmie, nie było słychać tylko o niéj. Nienawiść ku cyganowi i cyganisze dawno już była przygasła i wyczerpała zobojętnieniem, ludzie o niéj zapomnieli, a siérota wzbudziła teraz powszechną litość i zajęcie. To, co o niéj Ratajowie i dwie baby rozpowiadały, obudzało ciekawość, a ludzie dziwy prawili o siérotce pustelnicy, która się stała podziwem Stawisk i okolicy, zaraz w piérwszych tygodniach po pogrzebie matki.

Nie można już było wątpić, że sobie dziewczynina da rady; przestał nawet Rataj spodziéwać się, że się do nich schroni, i dziwiono się tylko, zkąd w młodéj głowinie tyle się wzięło rozumu i ładu, a w sercu tyle odwagi.

Ze wsi gawęda o Marysi już nie po raz piérwszy doleciała do dworu; ale tu mniéj na zobojętnionych ludziskach, pana otaczających, zrobiła wrażenia. Pan Adam znany nam ze swych szałów i z uczucia, jeszcze tu panował, ale dwór jego i on sam, po kilkunastu leciech zmienił się wielce,

przerobił do niepoznania. Widzieliśmy moralny stan tego nieszczęśliwego, któremu nie pozostawało chyba umrzeć, lub nowy jakiś wynaleźć żywioł opiekuńczy, coby go przy życiu utrzymał.

Znalazł się on choć nierychło.

Długą walką z rozpaczą i odrętwieniem przyszło okupić młodość zmarnowaną, a chwile ostatnie dogorywającego wieku namiętności, ciężkie były do przebycia. Pan Adam wił się jak gadzina w płomieniach, wyrywał, rzucał, myślał już o samobójstwie na które siły brakło; gdy Bóg niespodziewanie zesłał mu ratunek w najniespodziewańszém trafunkowém spotkaniu.

Jednego poranka, kiedy znudzony wychodził w ganek, sam dobrze nie wiedząc poco i dokąd idzie, spotkał go w progu dziwacznie odziany i na żebraka wyglądający człowieczyna.

Byłto staruszek w siwéj kapocie, krojem prawie zakonnym zrobionéj, z różańcem u pasa, kijem w ręku, z siwą postrzyżoną brodą, łysy i blady trupią białością choroby i wycieńczenia. Stał on wsparty na swoim kosturze u wschodków, złożywszy na nim ręce, w postawie pokornéj i spokojnéj.

Pan Adam, który unikał widoku nędzy ludzkiéj, cofnął się zrazu do pokuju, ale gdy nie usłyszał ani słowa prośby, ani szmeru wyrazu z ust starca; gdy ten ani postawy, ani oblicza nie zmienił, zdziwiła go obojętność przybysza i zbliżył się ku niemu.

— A czegoto chcesz?—zapytał.

— Suknia, wiek i twarz moja, powinna ci powiedzieć czego żądam.....

Gospodarz rzucił z niechęcią zaczerpniętą w kieszeni złotówkę, dodając prawie wzgardliwie—Idź z Bogiem.

Staruszek przyjął datek z pokorą i pozostał jak był w ganku, sparty na kiju.

— Czegoż jeszcze czekasz?—powtórzył z niecierpliwiony pan Adam.

— Nie czekam, chcę mi się przypatrzéć.

— Mnie?

— Tak jest.... Tyś mnie nie poznał, a ja i twoich rodziców i ciebie panie Adamie dobrze znałem za młodu.... Mój Boże! na jaką ci to nędzę zejść przyszło!

— Mnie! na nędzę! Coś ty za jeden? co to ma znaczyć?—zawołał obruszony gospodarz, z podbudzoną ciekawością zwracając się do żebraka.

— Ja jestem Józef Mniszewski.... Ha! przypominasz mnie sobie przecie? Sąsiadowałem z rodzicami waścinemi!

— Jakto? ty! ty mógłbyś być Mniszewskim?—I począł wpatrywać się w niego z podziwieniem wzrastającém co chwila, a powoli z rysów zmienionych, pamięć stworzyła obraz już starty, i pan Adam załamał ręce.

— Mniszewski! ty! w tym stanie!

— Jak widzisz! Miałem dwie wioski, byłem majętny, hulałem, świeciłem, żyłem... i chodzę z kijem po żebraninie... A wiész Adamie, żem dziś może szczęśliwszy niż byłem, a ty przy dostatku twoim, pono biédniejszy odemnie....

Pan Adam, który dobrze teraz przypomniał sobie i świetny swojego czasu dom Mniszewskich i zniknienie potém zrujnowanego téj rodziny potomka, ujął za rękę staruszka, i rad że się rozbawi, wzruszony nieco wprowadził go do domu.

Tu stary rozpowiedział mu historyą swojego życia, znane dzieje marnotrawstwa, które szczęściem nie do zguby, ale do upamiętania go przywiodło. Niepojętemi-bo drogami Bóg nas wiedzie ku sobie: jednych gościńcem cnotliwego żywota, drugich ścieżkami proby i występku, po których wielka, jak było przestępstwo, następuje pokuta. Tą drogą przyszedł Mniszewski do poznania co świat wart i jego szczęście, a co jest spokój boży, którego on dać nie może.

Zrujnowany, zniszczony na ciele i na duszy, leżał w szpitalu, gdy piérwsze ziarno poprawy spadło nań z ust Siostry Miłosierdzia, która go doglądała. Ten anioł szeptał nad nim paciérz pojąc go lekarstwem, co mu dać miało życie do pokuty; zachęcał do modlitwy, i bezbożnika uczynił pokutującym i pełnym skruchy—sługą bożym.

Mniszewski wyszedł ze szpitala o żebraninie, udając się do miejsc świętych.

— Myślicie—rzekł do pana Adama—żem kiedy był szczęśliwszym, jak gdym wydziedziczony od świata, znalazł się z niepojętym duszy pokojem na drodze pielgrzymiéj o kiju, z torbą na plecach? Nie! nigdym nawet tego spokoju,

téj sercowéj ciszy, téj pogody sumienia nie zaznał, jakich używać począłem zrzekłszy się wszelkich ziemskich nadziei. Myślisz, że zazdroszczę tobie lub komu z was tego bytu, który nie ma celu i wiedzie jak błędny manowiec do przepaści? Nie, nie! Zawędrowałem w te strony, aby jeszcze groby ojców odwiedzić, aby na nich zrzucić ostatnią myśl i żal grzeszny za przeszłością.... Idę znów w świat z modlitwą, z uśmiechem, spokojem....

Tak mówił Muszewski, a mowa jego dziwne i głębokie zrobiła wrażenie na panu Adamie. Wybiła dlań godzina zmiany, a ręka żebraka przyspieszyła jéj przyjście i wykreśliła kierunek.

Zadumał się wynędzniony zużyciem rozpustnik i próżniak, a że był przywykł do gwałtownych uczuć i wybuchów; gwałtownie téż i namiętnie zwrócił się ku zapomnianemu Bogu.

W rok potém poznać nie było można pana Adama, na którego jak na cudowisko spoglądali ludzie. Nieszczęściem, poprawa jego nie była ani zupełną, ani czystą; byłato tylko zmiana drogi i nadzieja, że po téj którą szedł, do prawdziwéj trafić może. Pan Adam stał się ascetą, pobożnym, ale fanatykiem.

Życie czynne odrzucił zupełnie od siebie, i uznał się do niego nie obowiązanym: całe dni mówił tylko pacierze, całe tygodnie pościł, krzyżem leżał w kościele, dyscyplinował się niemiłosiernie, kładł włosiennicę, odział w pasek kolący, i na tychto praktykach, dobrych gdy niemi duch czysty kieruje, zasadzał życia reformę.

Ale kładnąc włosiennicę, nie rzucił pychy i egoizmu....

W sercu jego nie zrodziło się ani miłosierdzie, ani pokora chrześciańska; nieprzystępny dla ludzi, srogi dla drugich jak dla siebie, nielitościwy w karceniu cudzych błędów, zdawał się tylko szukać chluby z fanatyzmu swego, jak dawniéj wynosił rozpustą i niewiarą.

Gorszył skromnych swoją pobożnością teatralną, przesadzoną, dziwaczną, nieustannie popisującą się i wydymającą w oczach ludzkich; gorszył ich bardziéj jeszcze, że wyznając naukę Chrystusową, nie potrafił z żywego jéj źródła zaczerpnąć ducha miłości i pokory, ani jéj zastosować do życia.

W osobliwszy sposób skąpstwo jakieś przyplątało się razem do niego i zaczęło mu serce wyżerać. Stał się nieubłaganym dla ludzi, panem srogim, i nie wiedząc, jak godząc w duszy pobożność z chciwością, w obojgu założył razem cel wyczerpanego życia. Dwór w Stawisku, świadek scen szalonych, zmienił się w klasztor smutny, w więzienie nieznośne. Opuścił pan Adam mieszkalne pokoje, jednę sobie celę z ołtarzykiem ustroiwszy w obrazy, na ziemi w niéj śpiąc, czuwając zarazem u krzyża i kuferka! Na wytłumaczenie pozorne swojego postępowania, znalazł w głowie najdziksze sofizmata, któremi przed sumieniem swojém i spowiednikami się wykręcał.

Co roku stawił nowe krzyże, chodził pieszo do miejsc świętych, pościł nowenny o chlebie i wodzie do mdłości prawie, adwent i post czterdziestodniowy suszył cały; ale ubogiego zbywał miłosierdziem boskiém, a wieśniaków katował bez litości.

W takim więc dworze, dziś jak pan sam nie pojmującym miłosierdzia, i w chłodném, zasklepioném spełnianiu praktyk powierzchownych; Marysia opiekunów znaleźć nie mogła, a panu o niéj nikt się i powiedzieć nie ośmielił. Ekonom pokiwał głową, poszedł zobaczyć co się tam dzieje, i zostawił siérotę na ojcowiznie, co już wielką było łaską....

Jednéj niedzieli, rano zbudziwszy się, gdy wyszła Marysia na grób matki popatrzéć, usłyszała dzwony cerkiewne donośnym głosem lud wzywające na nabożeństwo; i tknęło ją pojść z innemi się pomodlić.

— Ot! odzieję się i pójdę—rzekła do siebie—dobrze się z Bogiem zobaczyć; jednak dziś i tak robić nic nie będę!

Jak pomyślała tak zrobiła; umyła się, zaczesała, dobyła białéj koszuli i fartuszka odświętnego, wzięła białą sukmankę i buciki dawno nietykane, które jéj matka za ostatni grosz sprawiła; i tak przystrojona ubogo, ale chędogo, zaparłszy chatkę, spuściła się parowem ku wiosce.

Ślicznież jéj było w tém świątecznem ubraniu z jéj twarzyczką pełną życia, ognia i pojętności! Jakiś wdzięk nieuczony towarzyszył każdemu jéj ruchowi: prosta sukmanka

zręcznie na niéj leżała, chustynka twarz osłaniała zawieszona kształtnie, tak, że nie na siérotę cygankę, ale na dziécię zamożnego gospodarza wyglądała Marysia.

Gdy weszła w ulicę, a ludzie ją zobaczyli; wszystkich się oczy zwróciły na nią: poczęto ją sobie pokazywać palcami. Marysia zarumieniła się, przyspieszyła kroku; myślała że uciecze, ale zdaleka ścigano ją oczami i oznakami podziwienia, a dziewczęta i chłopaki jéj lat, aż pobiegli za nią.

Marysia choć żyła samotnie, dziką nie była wcale; owszem śmiałości jéj nie brakło, i po piérwszém zakłopotaniu, przyszła zaraz do siebie, opamiętała się, zwolniła kroku. Aż na cmentarz szli za nią ciekawi. Tu czekając na nabożeństwo, jak to pospolicie bywa, całuteńka stała i siedziała gromada w odświetnych strojach, gwarząc, śmiejąc się, kupiąc w gronka dla rozmowy. Była tu i Sołoducha, i stary Rataj śpiéwający wielkim głosem pieśń o poczajowskim obrazie; i Maxymicha, i Filipicha, i dwaj bracia Motruny i stara poważna Semenycha Biłykowa.

Zaledwie się dziewczątko pokazało we wrotach, wszyscy znajomi do niéj przybiegli z pobudzoną ciekawością; a widząc twarzyczkę rumianą, odzież porządną i dziécię jaśniejące wdziękiem, jeszcze się więcéj zdziwili. Ten i ów badać ją począł, dzieci do zabawy wyzywały, dziewczęta poprawiały na niéj pasek kraśny, świtkę i chustynkę, dziwiąc się jak tak do twarzy sama ubrać się potrafiła. Co tam było szeptów, co gwaru, co spojrzeń i pytań! Stare baby zdala ją wzrokiem mierzyły, a jedna z nich odwiodłszy Sołoduchę na stronę, bardzo cicho odezwała się do niéj:

— Czy widzicie?

— A co matuniu?

— A Maryś cygankę?

— Widzę, widzę! A cóż, dziewczynina przystojna, niczego!

— I jak! i jak!—poczęła baba kręcąc głową—to coś w tém jest!

— A cóż ma być?—spytała Sołoducha.

— Ot ja wam powiém co myślę; żyłam na świecie nie od dziś, widziałam wiele: czarowniki cygany, oj! czaro-

wniki! Niechby tak które z dzieci naszych zostało same; do trzech dniby przepadło... To djabelska w tém sprawa.

— A! porzuciłabyś kumo! *Hde Rim! hde Krim! hde Babińska korczma!.*

— Czekajno! czekaj! nieraz ja o podobnych rzeczach słyszałam! Motruna była charakternica: zawsze miała słyszę mleko, choć krowy nie było; mąż jéj był charakternik, to wszyscy wiedzą, że *zły* mu pomagał nocami do budowania chaty... Oni pewnie upiorami być muszą i do swojéj Doni wracają, żeby na nią naglądać, odziéwać ją i karmić. Już mi wierzcie, to nie może być inaczéj.

Słowa te wymówione z powagą, przekonaniem, z uroczystością tajemniczą, głębokie na Sołodusze nawet uczyniły wrażenie: obejrzała się na Marysię, ruszyła tylko ramionami, i zamilkła.

— No, no! patrzajcie tylko—dodała baba—tażto włoski jak wylizane, bielizna jakby marcowym śniégiem bielona, i bucik, i pasik, i guzik u koszuli harny, jakby nie przymierzając u gospodarskiego dziecka. Zkądże się jéj to bierze? z nieba spadło? Alboto czy głód, czy biédę znać na jéj twarzyczce?.. Ja moją mlekiem poję, a tak mi nie wygląda. To nieczysta sprawa!!

Zgromadziło się było i więcéj kobiét dokoła Sołoduchy i domyślnéj owéj staruszki, podsłuchując ich rozmowy; a że nic się prędzéj ludzi nie czepia jak myśl najdziksza śmiało im rzucona w oczy; tak zaraz uwierzyli w upiorów, że w drugim końcu cmentarza rozpowiadać już zaczęto, jakoby Sołoducha z Martynichą, widziały oczyma własnemi Motrunę występującą z mogiły, przekradającą się do chaty córki, muskającą jéj włosy i razem z nią przędzącą w nocy na motki najemne.

Do tych dziwów każdy coś swojego dorzucił, i téjże niedzieli ułożyli sobie bajkę, którą wieczorem rozpowiadano po całéj wsi za najprawdziwszą prawdę.

Nie wiedziała Marysia, dlaczego gdy wychodziła z cerkwi, już nikt się tak do niéj nie garnął, nikt za nią nie spieszył: dzieci pozostały tchórzliwie z ukosa spoglądając za odchodzącą, kobiety się poodwracały, i sama wyszła ze cmentarza powoli, smutno wracając do domu.

A że nie było co robić dnia tego, i roboty już szukać musiała; po drodze przyszło jéj na myśl wstąpić do Semenychy, która ją z cerkwi wyprowadziła.

Semenychę zastała już zdejmującą z głowy namitkę i odpoczywającą na ławie, czegoś markotną i zamyśloną.

Byłato żona najbogatszego we wsi gospodarza, matrona poważna, władnąca całą chatą, mężem i licznem rodzeństwem, słuchającém ją z uszanowaniem, okryta już siwizną i zmarszczkami; kobieta dobra, pracowita, ale jak drugie, przesądna. Plotka rozsiana na cmentarzu o upiorach nieprzyjemne na niéj i głębokie uczyniła wrażenie; niemiło jéj było pomyśléć, że motki jéj jakaś nieczysta siła prząść pomagała, motki przeznaczone na płótno, na ręczniki może weselne dla ukochanych córek.

Z wejrzenia na nią poznała Marysia, ze ją coś nie tak dobrém jak zwykle sercem przyjmuje; stała się więc pokorniejszą jeszcze. Pocałowała w rękę staruszkę i stanęła u progu milcząca, Boga prosząc, żeby jéj Semenycha nie odmówiła roboty.

Stara wciąż jeszcze rozwiązywała sztucznie na głowie zaplątaną wedle tradycyjnéj formy namitkę, spoglądając z pod brwi siwych na dziéwczę, w pokorze i milczeniu stojące sobie zdaleka.

— A co to tam chcecie Maryś?—odezwała się nareszcie.

— A cóż, matuniu... roboty! jak zawsze, dla miłości Bożéj jak jałmużny... Gdybyście wy nie litowali się nad siérotą, mogłoby jéj chleba zabraknąć.

— Roboty!—powtórzyła Semenycha wciąż zakłopotana i pochmurna — dobrze ci mówić, a tu może i przędziwa w chacie nie ma.

— A! krzyż Pański! U was matuniu—poczęło dziéwczę—u takiéj gospodyni jak wy, tażto pełne bodnie lnu białego jak śniég!

Semenycha połechtana uśmiéchnęła się nieznacznie.

— Choćby i był, choćby i był!—rzekła—niechaj swoje przędą: czego mają siedzieć z założonemi rękoma i Kasia i Paraska i dziewczyna najmitka!

— A mnieżto nic się już, ani ździebełka nie dostanie?— spytała siérotka pocichu, głosem tak użalenia i głębokiéj boleści pełnym, że Semenycha uczuła się wzruszoną.

— Dawniéj byliście na nas litościwsi—dodała dziewczynka—a terazbyście mieli opuścić mnie, gdy i matki niestało? E! to nie może być! Serce wasze matuniu nie pozwoli na to: a cóżem ja winna, żem nieszczęśliwa?

Semenycha wstała z ławy, coś poprawiła u ognia, poczęła się przechadzać i namyślać.

— Kiedyżboto — odrzekła po chwili—ludzie na ciebie nie wiedzieć co wymyślają: mówią, żeście rodem czarownicy.... charakternice... licho wié co; że nieczysta siła wam przędzie....

Marysia przeżegnała się na wzmiankę o sile nieczystéj i z przestrachem uderzyła w rączki.

— A mój Boże!—zawołała—któż mógł, kto śmiał taką krzywdę wyrządzić siérocie? Wszak widzieli mnie w cerkwi, wszak się żegnam i modlę jak drudzy, a cóżem ja komu zrobiła złego?

I rozpłakała się nieboga.

Semenycha dobra i litościwa była w gruncie serca: żal się jéj zrobiło dziewczęcia, łzy ją te poruszyły, odwróciła się do niéj machając ręką:

— Cyt! cyt!—rzekła—ot! widzicie co to ludzie plotą. At! im byle gadać tylko; ja temu nie wierzę, nie wierzę! Nie lubili ojca, nie lubili matki, i tobieby szkodzić radzi.... Ja ci to tylko powiadam, żebyś wiedziała co robić daléj.... Póki tak siedzieć będziesz sama jedna za oczyma, pleść i wyplatać nie przestaną; im to dziw, że sobie rady dajesz, a drugiemu i zazdrość, żeś do ludzi podobna, że koło ciebie porządnie....

Marysia wciąż płakała, a Semenycha tuliła ją jak mogła; nareszcie sama odstawiła garnek od ognia, dostała miski i łyżki, i nabrawszy strawy posadziła siérotkę za stół do jedzenia, gładząc ją po głowie.

Ta dobroć staruchy ułagodziła cierpienie Marysi, a wnet i rozpytywać poczęła Semenycha o drobne szczegóły jéj życia, o chatę, o gospodarstwo, i dziéwczę rozgadało się powoli, ocierając łzy ciekące jeszcze po twarzy.

Poczęli się schodzić i inni z nabożeństwa: Kasia, Paraska, parobcy, mąż Semenychy, zięciowie i wszyscy kołem ciekawém otoczyli cygankę, która im życie swoje, pracę i utrapienia opowiadać zaczęła.

Po godzinie rozmowy tak ich ujęło dziéwczę pełném prostoty i szczérości opowiadaniem swojém, że czém kto mógł i miał, starał się odchodzącéj dopomódz. Dano jéj chleba, kaszy, séra, okrasy, potrosze się na nią składając jak na macoszyne dziecko; a Semenycha płacąc za łzy, których nieuważne jéj słowo było przyczyną, nietylko dała robotę, ale darowała jeszcze kurkę, która się niosła, obszernie wyuczywszy Marysię, jak ma sobie z nią i spodziewaném potomstwem postąpić.

Ucałowawszy rękę staruchy, uszczęśliwiona siérota, pełna najświetniejszych nadziei, pospieszyła do pustego swojego kątka, niosąc na rękach maluczkie, ale drogie dla siebie dary.

Tak rozpoczynało się to dziwne życie siéroty, która na bożym świecie prócz słabych rąk dwojga i odwagi wielkiéj, a raczéj nieświadomości świata, nic więcéj nie miała. Ludzie spoglądali na nią jak na cudowisko jakieś, jak na coś niebywałego, jakby patrzyli na wcieloną bajkę o złotéj jabłoni, lub źródle grającém: jedni z podnieconą ciekawością, drudzy szukając tłumaczenia tajemnicy w czarach i upiorach. Plotka wszakże utworzona na cmentarzu krążyła jakiś czas tylko po wiosce, i choć całkiem nigdy się zbić nie dała, ale rozsądniejsi ludzie, bliżéj się przypatrując Marysi, śmiać się z niéj wkrótce poczęli. Zresztą stara Semenycha przyjazna dla pracowitego dziecka, gotowego zawsze na jéj posługi; Sołoducha czująca się do obowiązku opieki nad nią; Rataj, który się do niéj co chwila więcéj przywiązywał; w ostatku nawet chata braci Motruny: zdaleka czuwali potrosze nad Marysią.

Zmuszona przemyślać nad tém, jakby sobie sama rady dać potrafiła, siérota dokazywała cudów, i istotnie duch jakiś dobry zdawał się jéj szeptać co czynić miała.

Całém jéj utrzymaniem były motki, które i dla Semenychy i dla drugich przędła, co dzień więcéj nabiérając w to

wprawy; znalazła przytém czas na wszystko. Rankami i wieczorami nigdy nie zapominała uprzątnąć około chatki, wewnątrz uporządkować, przynieść sobie świeżéj wody, dla kurki coś posypać, żeby się miała czém bawić i powitać swoïch starych dobrych znajomych: wróble z pod strzechy, jaskółki które z wiosną powróciły, fertyczne sroczki krzyczące na drodze, i cały ten zwierzęcy światek, który jéj pustkę ożywiał.

Z wiosną nawet, gdy się ziemia ogrzała i oschła, domyśliła się, że za lepianką na wązkim pasku ziemi, okopanym granicą jéj posiadłości, a dawniéj chwastami zarosłym, mogło się kilka grządek pomieścić. Jednéj niedzieli poszła po radę do Sołoduchy, coby to tam posiać można. Baba ruszyła ramionami i pokręciła głową na tę dziewczęcia ochotę do pracy, ale wynalazła jéj stary jakiś rydelek za piecem, i opatrzyła w wysadki ze swego rozsadnika i trochę kartofli.

Jak zmierzch więc, a prząść w chacie nie było można, Marysia wybiegała na ogródek składający się z maluczkiego gliniastéj ziemi okrawka i kopała, przekopywała, sadziła, podléwała, ciesząc się, gdy Pan Bóg pracy widocznie błogosławić począł, a zielone listki ciekawemi główkami wyskoczyły ponad czarną grzędą.

Kurka się jéj także nieźle powiodła; bo sama, nie proszona prawie wysławszy sobie gniazdko, wysiedziała dziesiątek pocieszných żółtych kurczątek. Z powodu tego niespodziewanego przybytku, Marysia cały dzień straciła, bo jak tylko wyszły na świat pisklęta, pobiegła przestraszona do Semenychy uczyć się na nowo co robić z niemi, i jak tu je hodować. Aleć to niewielkiéj potrzeba było mądrości, i troskliwie pielęgnowane kurczęta, szczęśliwie się jéj powiodły: jedno tylko sroka jakaś niepoczciwa schwyciła w oczach pani, za co Marysia poprzysięgła wiekuistą krzykliwemu jéj rodowi nienawiść.

Z wiosną, z zielenią i ciepłem, lżejsze i weselsze coraz stawało się życie; Marysia mogła usiąść przed chatą na starym klocu obrąbanym i prząść do zmroku na podwórzu, przypatrując się ptaszętom, lub smętnie spoglądając na zielone grobowiska cmentarza. Nieraz nawet z kądziołką w ręku przechodziła przez drogę na mogilnik, siadała u matczy-

nego grobu, i tam pod okiem macierzy, spędzała długie godziny zadumana nad jednostajną pracą swoją.

Dzień po dniu schodziły jéj szybko, jednakie, zajęte, i do siebie jak siostry podobne. Potrzeby urządziły je w sposób jednostajny i niezmienny, przypadek tylko cokolwiek porządek ich mieszał.

Jak świt, na brzask zrywała się Marysia z pościołki i roznieciwszy trochę ognia, biegła do krynicy po swoje wody wiaderko; potém potrzeba było nim się rozwidniło lepiéj umieść chatę, sień, a poprzątnąć nawet przed progiem: tu podeprzéć, tam zalepić, owdzie przytknąć dziurę, bo dziéwczę troskało się bardzo o ład i porządek w swojéj chatynce. Ledwie co zjadłszy, siadała z kądzielą, albo przed swoją lepianką, albo u mogiły pod starą wiérzbą, na któréj pełno wróbli i różnego drobnego ptastwa, które się jéj wcale nie obawiając, szczebiotało nad głową siéroty. W słotę tylko, wicher i burzę, zamykać się musiała w chacie, spoglądając przez okienko co się działo na dworze i czekając rozpogodzenia. Drugi raz we dnie ranném jadłem odegrzaném posiliwszy się, spocząwszy trochę i pobawiwszy się ze swoją kur gromadką, znów wracała do prząśnicy i pracowała do mroku... Szła potém na ogródek, zwijała się w izbie, i tak krzątając się do nocy, zasypiała snem głębokim pracowitych, który zawsze w porę przychodził na jéj powieki.

Ktokolwiek mijał cmentarz i lepiankę cygana, nie mógł przejść tędy, żeby nie stanął i nie popatrzał, a nie podziwił się dziéweczce, która każdego witała wesołym uśmiechem i dobrém słowem.

Co dni kilka Sołoducha lub Rataj sami odwiedzali Marysię; już nawet przestawszy ją namawiać, aby do nich przeszła, bo się przekonali, że bez nich obejść się potrafi. Nie pomagali téż jéj wiele, a kawałek chleba lub trochę strawy, dar dla niéj znaczny, im wcale nie ciężył.

Co w początku zdawało się niepodobieństwem, cudem i dziwném dla wioski, to wkrótce, gdy się z tém oswojono, pospolitą stało się gadką, a radzi nie radzi wszyscy uznać musieli, że takiego dziecka jak Marysia nie było drugiego na okolicę. Jéj kądziel, ogródek, kury, przechadzki na mogilnik, na którym najczęściéj ją w dnie pogodne widywano, stały się ulubionym przedmiotem rozmów na wieczorni-

cach i doświtkach, a niejeden dzieciom ją swoim dawał za przykład do naśladowania.

Tak przeszła wiosna, tak lato i jesień, i zbliżyła się zima, straszna zima; ale Marysię znalazła wcześnie już przygotowaną, bo sionki miała drewek pełne, piec wylepiony na nowo, chatkę okrytą i otuloną dokoła, a w bodniach choć niewielkie, na złą godzinę zapasy. Rataj sprawił jéj nowe buciki, których już potrzebowała i do wyjścia i do prania na wodę; Sołoducha darowała kożuszynę, a gdy śniég, piérwszy zwiastun śmierci chwilowéj ziemi, upadł na skostniałe pola, Marysia powitała go z dziecięcym uśmiechem, nie obawiając się klęsk, które mógł prowadzić za sobą, stękając tylko, że dnie coraz robiły się krótsze.

O! lecą lata, lecą! Czy popatrzysz na człowieka, czy na ludzkość, czy na dzieła rąk naszych, jak igła zegarowa wszystko wskazuje znikomość i przelotność pokoleń; kamień tylko posiwiały w sto lat ledwie mchem porasta, ale i on w proch się sypie od spodu, i na nim mchy kopią niedojrzane dołki starości....

Dziéwczę utworzywszy sobie życie, które było zdumieniem otaczających ją ludzi, rosło niepostrzeżenie pod ubogą strzechą, i wyrastało z każdym dniem na śliczną istotę, jakby cudem zrodzoną i dojrzałą wpośród grobów na pustkowiu i odludziu. Krew cygańska nie odbiła się rysy plemiennemi w jéj rysach wdzięcznych i pełnych życia, ale im nadała tylko ogień niewidziany wpośród pospolitego, zamęczonego pracą ludu naszego. Rodzaj ten życia choć zajętego ale odosobnionego, samotnego i zasiedziałego: wpłynął może nietylko na rozwinienie jéj piękności, ale i na ukształtowanie się umysłu, wybujałego wyobraźnią i rozrosłego marzeniem. Zmuszona karmić się tém tylko, co jéj oczy do duszy ze świata milczącego przyniosły, utworami własnéj głowy, ciągłém odgadywaniem wszystkich świata tajemnic, rzadko stykając się z ludźmi: utworzyła w sobie i wykołysała świat jakiś odrębny, do zwyczajnego niepodobny, wytłumaczony z niewidzialnéj dla innych strony, piękny, smętny, zaczarowany, pełen zjawisk, duchów i cudów.

To pojęcie tego, co tylko z widzenia i dumań znała, malowało się w pięknych jéj rysach, ożywionych duszą

ognistą, omglonych zarazem smutkiem siéroctwa i uśmiechniętych weselem bezbronnéj nieświadomości.

Przestano dziwić się sposobowi jéj życia, które zdało się zrazu niepodobieństwem, a okazało, że silna wola z pomocą bożą podoła najzawikłańszym trudnościom; i dziwiono się tylko wdziękowi w który codzień rosła bujniéj, rozkwitając na czarowną dziéwkę, o jakiéj wieśniak z pieśni chyba lub podania, z najrzanéj gdzieś zdaleka postaci mógł roić. Było w niéj coś tak szlachetnego, pańskiego, wielkiego, że mimo ubóstwa swego, wzbudzała we wszystkich uczucie uszanowania, prawie bojaźni. Starzy wskazywali ją za wzór młodym, młodzi przypatrywali się jéj jak wyjątkowemu zjawisku, a chłopcy wiejscy wcześnie poczęli szaléć za piękną Marysią.

Kiedy teraz szła do cerkwi w niedzielę, albo na tłokę do żniwa, bo ją zaprzężono do jakichśc dni odrobku za chatę i ogródek przez nią zajmowany, hurmem za nią ciągnęła młodzież, zaczepiając słowami, uśmiechem, ukłonami, choć bojaźliwie i zdaleka. Marysia dla wszystkich była grzeczna, ale nie poufaliła się łatwo prócz ze staremi. Jakiś instynkt zachowawczy czynił ją nieśmiałą, tchórzliwą, nie swoją wpośród mężczyzn i młodzieży.

Nie uczęszczała wcale na zabawy, do karczmy nigdy na tańce, ani do dworu na wiejskie przyjęcia; najczęściéj kręciła się koło swojéj chaty.

A choć w tak ciężkiém położeniu, choć tak bardzo sama, w ciągu lat kilku nie doświadczyła ani jednéj przeciwnostki, ani najmniejszéj klęski, a wiodło jéj się w najosobliwszy sposób. Czego dotknęła się, rosło, udawało się, mnożyło, ożywiało, szło, jakto powiadają, ręką. Lud, który może nie bez pewnéj słuszności w pomyślnościach ziemskich widzi zawsze skutek nieczystéj siły; przypisujący powodzenie to skradzionemu groszowi, to innym tego rodzaju talizmanom, i w tém szczęściu siéroty domyślał się zawsze potrosze pomocy upiorów, posiłku duchów czarownych, i nierychło dopiéro, gdy nic nie potwierdziło domysłu, wpadać począł na tajemnicę pracy i błogosławieństwa bożego.

Wzrósł ztąd szacunek dla Marysi, którą niewidzialna jakaś opieka zdawała się swym płaszczem okrywać. Nigdy w jéj chatce niezamkniętéj, stojącéj wiecznie otworem, ni-

gdy w ogródku nieogrodzonym, nie było najmniejszéj szkody: grób matki, cmentarzysko strzegło lepianki ubogiéj.

W skwarne dni lata, dziewczę jak mogło, z obowiązków gościnności wywiązywało się przechodzącym i przejeżdżającym mimo cmentarza; stało zawsze w sieni wiadro ze świéżą wodą i czysty czerpaczek, a wieśniacy wiedzieli o Marysinéj wodzie, i rzadko kto jadąc z miasta minął chatę, żeby się jéj nie napił, zostawując podziękę: Bóg zapłać jakie, lub drobny podarek.

Z latami upływającemi nic się tu prawie nie odmieniło: tryb życia mocniéj się jeszcze, staléj, niezmienniéj urządził, praca szła codzień łatwiéj, a siérota powoli oddychać zaczęła, na złe dni, na czarną godzinę ucuławszy już nawet trochę grosza, trochę chleba i chust trochę.

Zawsze w pogodę wychodziła na cmentarz pod wierzbę na mogiłę, i siadała tam naglądając na chatkę, a niekiedy słabym głosem nucąc jakąś piosenkę przybłąkaną ze wspomnieniami matki.

Owa chatka, któréj budowę widzieliśmy w początkach naszéj powieści, bardzo się już pochyliła ku ziemi i zmieniła z lat upływem.

Inaczéj być nie mogło.

Sklecona naprędce z surowego i lichego materyału, nieumiejętnie, trzymała się łaską bożą, cudem, a może mchami i grzybami, które pogniłe jéj części kleiły. Ściany pomimo obmazywania gliną, dziur miały nieuleczonych mnóstwo; prócz tego tak się były zasunęły w ziemię, że okienko już niemal na równi było z poziomem, a do drzwi odkopywać musiano wnijście i dobrze się w nich nachylać.

Dach murawą ponaprawiany, zgnieciony jéj ciężarem, cały w garbach, zazieleniały od mchu i trawy, wydawał się jak pagórek, i gdyby nie osmolony komin, co wśród niego sterczał, trudnoby było poznać że ludzkie mieszkanie pokrywał. Pomimo to, zewnątrz i wewnątrz czyściuchno było, schludnie i miło, bo wszędzie widać rękę staranną. Marysię otaczało już teraz wielkie i bogate gospodarstwo: kilkanaście gołębi, całe kur rozrodzonych stado, kilka gęsi bałamutek, po które co dzień na staw chodzić było potrzeba, gdy się zadurzyły z sąsiadkami wiejskiemi, a w dodatku byli i przyjaciele domowi: kot szary i psiak bury.

Historya tych dwóch stworzeń dość była ciekawa; piérwszego z nich utopionego już, Marysia wyratowała ze stawu, odchuchała i wyhodowała; a drugi przybłąkał się jéj nie wiedziéć zkąd i jak. Znalazła go jednego wieczora siedzącego przed progiem z miną bardzo spokojnego, jakby się tam urodził; gdy podeszła ku niemu, odrazu ją jak panią powitał, polizał po ręku i wszedł za nią do chaty, niezbyt nawet ciekawie wąchając po kątach, jak stary znajomy.

Wprawdzie zjadłszy kawał suchara, napiwszy się wody, zwinąwszy się w kłębek i zasnąwszy twardo, gdy się ów przybłąka nazajutrz rano przebudził, zdawał się być chwilę niespokojny; ale trzeciego dnia ani znaku już nie było tęsknicy po dawnym panu.

Marysia rada była gościowi, który wkrótce wziął się gorliwie do naszczekiwania po nocach około chaty: był bowiem z tego plemienia stróżliwego, co to zasypia we dnie, a jak mrok wstaje, poczuwając się do obowiązku wartowania, niespokojnie ujadając na najmniejszy nawet szelest wiatru przelatującego powietrze. Marysia obawiała się w początku, żeby z drugim jéj wychowańcem, Burkiem odratowanym z topieli, a potrzebnym przeciwko myszom sprzymierzeńcem, nie było wojny zaciętéj i nieustannych zatargów.

Pies, którego zaraz nazwała Siérotką, najrzawszy kotka na piecu się wygrzéwającego, doznał wprawdzie w początku niemiłego wzruszenia: spiął się ku niemu na łapy, począł wąchać, i zaburczał nieukontentowany; Burek podniósł łapy, pokazał pazury i parę razy plunął mu w oczy zdaleka, jakby mówił:—odczep się odemnie; ale gdy Marysia głaszcząc psa, ofuknęła się na niego i odpędziła go od kota, zagroziwszy mu słowami, których się słuchać zdawał i usiłował zrozumiéć: pokój stanął pomiędzy domownikami. Siérotka już więcéj nie zaczepiał Burka, owszem udawał przez politykę że go nie widzi, zamykał oczy na nadużycia jego względem garnków, ustępował mu z drogi niby niechcący, i okazywał się pełnym usposobień najbardziéj pokojem tchnących. Burek ze swéj strony, pomimo dosyć opryskliwego charakteru, umiał się poznać na tém i unikał powodów do zwady. Trzymał się bowiem zawsze wyższych stref chaty: ław, stołów, pieca, przypiecka, jak najrzadzéj i bez ważnych powodów nie schodząc na podłogę, którą zo-

stawił Siérotce. Po niejakim czasie nawet, pies i kot obywszy się z sobą, kilka razy przechodząc się powąchali, spotkali bez oznak gniewu, co niezmiernie ucieszyło Marysię; a kot, który o wiele był śmielszy i bardziéj przedsiębierczy, wkrótce odważył się przechadzać pod samym nosem Siérotki; nareszcie, gdy ten raz spał pod piecem, położył mu się na grzbiecie.

Pies zdawał się niezmiernie jakoś zdziwiony; głowę podniósł, popatrzał, zdawał się mówić:—większa poufałość niż znajomość; ale widząc, że kot ani się rusza, położył się spokojnie, i odtąd żyli z sobą w najściślejszych stosunkach. Kot tylko jako słabszy, jako złośliwszy co za tém idzie, korzystał z téj wygranéj i wcale już nie oszczędzał towarzysza, rachując na wyprobowaną łagodność jego charakteru. Odjadał go, wylegał mu się na grzbiecie, a czasem bił go po pyskach, obmyśliwszy tylko do rejterady miejsce na wypadek wybuchu ze strony Siérotki; ale Siérotka w najgorszym razie pokazywał mu tylko dwa ślicznych białych zębów rzędy, i burknąwszy a odpędziwszy natręta, z głębokiém westchnieniem ucisku, kładł się spać na swojém miejscu..

Gdy Marysia wychodziła z chaty, pies towarzyszył jéj wszędzie i zawsze; nawet na wieś, kędy go napadały psy ze wszystkich podwórzy, wśród których z podkulonym ogonem, z najeżoną na grzbiecie siercią, defilować musiał coraz to im zęby pokazując. Kot zaś do progu tylko dochodził, powracał nazad i chaty z garnkami pilnował.

Siérotka nie odstępując swojéj pani, leżał u nóg jéj na mogile gdy przędła, szedł za nią na wieś, choć go to wiele kosztowało, a w nocy choćby mróz był największy, nie folgując sobie, wywdzięczał się szczekaniem za strawę. A tak sobie zawsze umiał dawać radę, że gdy go podchodzące wilki ścigały, właził na dach i z tamtąd bezpieczny przyparłszy się do komina, ogromną wrzawą ich odpędzał.

Taki był skład dworu Marysi, która towarzyszów swéj doli i karmiła, i pilnowała, i niemal jak ludzi tuliła pod swoję opiekę; począwszy bowiem od gołębi do głupich gęsi i rozumnego Siérotki, do wszystkich stworzeń tych mówiła słowy, których do ludzi użyć nie mogła; rozmawiała z niemi, kłóciła się, radziła, gniéwała, chwaliła, zachęcała.... Jeden pies tylko zdawał się to rozumiéć, kot bowiem choć dość zły

i opryskliwy, obojętny był, ospały i gadać do niego, było to groch rzucać na ścianę; ptastwo zaś, głos jeden, jedno wołanie na które przywykło się zlatywać, pojmowało.

Siérotka był niepospolicie rozumny, grzeczny i domyślny piesek. Uważała Marysia nieraz, że w przyjęciu przychodzących ludzi robił wyraźny, rozmyślny wybór form grzeczności: jednych witał milczkiem nie wstając ze swego miejsca; innych machając ogonem, łasząc się i przysiadając, innych wąchając za niemi powietrze, a niektórych burcząc zdaleka, lub ujadając złośliwie i uparcie, jakby miał ochotę ich pożréć. Najnienawistniejszych szarpał za suknię, ale nie kąsał nikogo.

Tych oznak przychylności i wstrętu oduczyć go nie było można; odwołany słuchał wprawdzie pani, ale drugą razą toż samo czynił co wprzódy. Miał w tém swoje widzimi-się.

(Dokończenie nastąpi).

POWIŚLE.

POWIEŚĆ Z DRUGIÉJ POŁOWY XVIII WIEKU.

I.

Równiną Mazowsza, od wieków, wspaniale,
Wzdłuż Wisła rozlewa szerokie swe fale;
A miękko usłane łożysko piasczyste
Ubiela i mąci tak łono jéj czyste,
Że ani chmur kłęby, ni błękit pogody
Nie śmieją się przejrzéć w zwierciadle jéj wody.
Lecz kiedy gasnący na niebie blask słońca
Widnokrąg zrumieni od końca do końca:
Naonczas i Wisła oblicze ponure
Poważnie w monarszą przywdzieje purpurę,
I niby królowa w złocistéj koronie,
Odkrywa tajniki zaklęte w swém łonie.
O! wtedy gdy powiew dmie siłą zdwojoną
I marszczy, i kłóci spokojne jéj łono:
To pianą wzburzona zakipi aż rzeka,
A powiew na pola i lasy ucieka,
Nie czując dość siły z królową do boju.
A ona znów płynie, poważnie, w spokoju,
I cichą a wieczną tęsknotą wiedziona,
Podąża w szerokie Bałtyku ramiona.

O! nie dziw, że ona potężna władczyni
I z silnych podmuchów nic sobie nie czyni;
Bo wszakże nawykła, że w chłodne jéj wały
Od czasu do czasu dmie wicher zuchwały;
A chociaż szaleniec zamąci jéj łoże,
Niepyszny pomyka w dalekie przestworze.
A ona jak gdyby zamieci nie znała,
Znów płynie do morza—poważna i biała!

O! nie dziw, że wartko przez pola i bory
Mknąc, coraz to nowe uścieła zatory;
Że wiosną spieniona a gniewna jéj fala,
Obrosłe mchem dęby z korzeniem obala.
Choć prądem (1) sterczący jak czarne widziadło,
Dąb roni liść zwiędły na wody zwierciadło;
A pomny zniewagi swéj mściciel on stary,
Przeraża zdaleka płynące galary.
Lecz dumna królowa z pogróżek się śmieje:
Bo chowa niemylną odwetu nadzieję:
Niech jeno cierpliwie przeczeka lat kilka,
Czas wierny przymierzu, zamieni prąd w wilka (2),
Aż dębu ostatki, przegniłe, zbutwiałe,
Rozniosą jéj fale—poważne a białe!

I wiecznie torując kolejno wart nowy,
Wkrąg Wisła oblewa cieniste ostrowy,
Zarosłe w topole, z dębami splecione,
Silnemi konary, na wspólną obronę,
I kępy zwieńczone w zarośla i chrusty,
I piasek ów miałki, jałowy a pusty;
Aż kiedy znienacka uderzą jéj fale
O rafę sterczącą nad wodą zuchwale:
To wkoło z tajemném obiega ją drżeniem,
Bo trudno podołać z upornym kamieniem
I Wiśle wspaniałéj, choć tyle strumieni
Schłonęło jéj łono w szerokiéj przestrzeni.
Bo siła rzek wartkie zbogaca jéj łoże,
I jedno się Narew zjednoczyć nie może
Z białemi jéj wody, lecz harda a sina,
Niesfornie wciąż wężem jéj nurty przecina,
Aż gniewna królowa odtrąca ją wzajem,
A Narew do morza ubiega *nogajem* (3).

Czarownieżto Wisła zachodnią lśni łuną,
A po niéj galary milcząco wzdłuż suną,
Ładowne bogato w złocistą pszenicę,
W którą Bóg tak polską sposażył ziemicę,
Że plony bujnemi poczciwéj swéj roli
Zamorskie narody zasila dowoli.
Ochocze flisaki złączając wraz głosy,
Wieczorną modlitwę ślą w jasne niebiosy;

(1) *Prąd*, według języka flisowskiego, znaczy drzewo wyrwane z korzeniem i sterczące na powierzchni wody.
(2) *Wilk*, według flisaków, oznacza drzewo przegniłe.
(3) Stare podanie mówi, że Narew nie mogąc pogodzić się z Wisłą, oddziela się od niéj, przybiérając nazwę *nogaju*: ztąd miejsce rozdziału nazywa się *Gniewem* (patrz Flis Klonowicza).

A rotman na łódce przoduje im stary,
Pieśń nucąc odwieczną do świętéj Barbary,
Jak zdawna przemądrzy czynili szyprowie,
Składając cześć świętéj, w Sarkowskim ostrowie.

Już słońce pomału za lasy zapada,
Nad rzeką się w górę podnosi mgła blada;
Świat boży wokoło spowija mrok siny,
A w głębi nadwiślnéj na lewo doliny,
Do domu idących krów słychać ryczenie,
I coraz czarniejsze roztacza noc cienie.
Wiatr skrzydła niesforne składając jéj gwoli,
Zaledwie szeleśnie liściami topoli.
I do snu się cała układa przyroda,
I tylko pocichu gaworzy coś woda
O owych topielcach, co długie już wieki
Osiedli głęboko, na miałkiém dnie rzeki,
W cudownych pałacach ze złota, z korala,
Po których szumiąca przepływa wciąż fala;
Co nęcą dziewczęta w wieczornéj omroczy,
Dopóki nie rzucą tumanu na oczy,
Aż smutne ofiary w otchłanie zawleką,
Od słońca i świata i ludzi daleko!

I Wisła pogwarza jak w pełnią księżyca,
Gdy ciche jéj łono blask srebrny rozświéca;
Swobodnie pląsają wodnice urocze,
Nurzając w jéj fali złociste warkocze;
A letniém powiewem muskane ich włosy,
Tajemnie i drżąco, zgodnemi brzmią głosy,
Jak gdyby w nie lirnik ostatni téj ziemi
Dźwięk gęśli swéj zaklął, by czasy późnemi,
Gdy naród rodzinnéj już pieśni przepomni,
Ton liry pogańskiéj zaznali potomni!
Téj liry, co niegdyś czarowna jéj struna
Dźwięczała poważnie na pokłon Peruna
Pod dębem olbrzymim, w święconym mu gaju;
Téj liry, co według starego zwyczaju
Pogańskie zastępy wodziła na boje,
By pieśnią im słodzić przygody i znoje;
Téj liry, co brzmieniem tajemném a złotém,
Spoiła się dziwnie z praojców żywotem,
I cudne im dźwięki wciąż roniąc nad głową,
Dni wątek w urocze oplotła im słowo!

I piękne wodnice splatając dłoń wieńcem,
W ślad gonią swawolne za bladym młodzieńcem,

A pieśni cudnemi czarując go dźwięki
Znęcają skinieniem i oka i ręki:
Aż młodzian niebaczny, w obłędnym zapale,
Posuwa się ku nim po wody kryształe,
I póty go woda w swe nurty nie chłonie,
Dopóki wodnicy nie dotkną go dłonie.
Aż w końcu uściski znęcony zwodnemi
Daremnie wzrok tęskny zasyła ku ziemi,
Bo w otchłań bezdenną zstępując powoli,
Opłaca ułudę chwilowéj swawoli.

I rzeka tajemne spowiada wciąż dziwy;
Lecz flisak ją tylko rozumié szczęśliwy,
Co z chłodném jéj łonem zbratany tak ściśle:
Bo lata poranne przepląsał na Wiśle,
Bo tratwa mu była kolébką przed laty,
A wicher go do snu kołysał skrzydlaty,
I umysł dziecięcy zaprawiał przedwcześnie,
By Wisły zaklętą zrozumiéć mógł pieśnię...

O! cicho i głucho w nadwiślnéj dolinie,
I tylko flisaków dokoła pieśń płynie;
A rosa wieczorna, poważne jéj tony
Daleko, szeroko roznosi na strony.
Tu nagle ogniska zabłysły w oddali:
Czy łoże wiślane płomieniem się pali?
Pospołu zadźwiękły z skrzypkami fujary:
Czy wiedźmy swe nocne sprawują tu czary?
I oko przy jasnym dostrzega płomieniu
Ponure postacie snujące się w cieniu:
To młodych flisaków ochocza drużyna,
Wiatr senny na podmuch czarami zaklina,
By z góry na ziemskie zstępując obszary
Popędził do lotu leniwe galary.
Płomieniem wkrąg szmaty na Wisły tlą grzbiecie;
Zaklęciem zbudzony pogwiznął wiatr przecie:
Witają go flisy okrzykiem wesoło,
A księżyc pomału roztacza swe koło,
Okrążon gwiazd wieńcem; i zwolna mgła blada,
Na wody powierzchni pajęczo osiada.
Znów Wisła do głębi wzruszona i drżąca
Odtwarza niekształtnie oblicze miesiąca,
A gwiazdy odbite z górnego przestworza,
Pląsają pośrodkiem chłodnego jéj łoża.

I księżyc rozlewa srebrzyste swe strugi
Na wzgórzy piasczystych pas stromy a długi,

Co w prawo wiślane zalega wybrzeże;
I sterczą pagórki—jak oni rycerze
Z orężem, w zbroicy, co niegdy przed laty
Świat łudząc godłami mniszemi i szaty,
I bluźniąc mu w oczy Chrystusa imieniem,
Żyznili tę ziemię krwi ciepłym strumieniem.
O! sterczą pokutnie potworne tułowy,
A gromy rzymskiemi strzaskane ich głowy
Na wieków ohydę széroko po świecie
Rozniosły wichury i groźne zamiecie.
A wpośród nich mara straszliwa i blada:
To postać samotna książęcia Konrada,
Co na cześć Chrystusa, dla krzyża obrony,
Mazowsze w rycerskie zaludnił zakony.
Tuż przy nim okrucieństw i zbrodni ofiary:
I Czapla przewrotny, i Krystyn wódz stary,
Co tępił Jadźwingi zacięte a harde;
A daléj wskazani na wieków pogardę:
Ziemowit i Trojdan, ci krzyża rycerze,
Co zdradne z mnichami chowali przymierze;
I książąt pokutne dokoła mkną cienie,
Co w ziemię nieczyste rzucali nasienie!
Wśród owych mar niecnych i pełnych szkarady,
Cień wątłéj niewiasty przemyka się blady
Agazyi, co z wiernych Mazurów taborem,
Pogańskie zagony raziła odporem,
Gdy Konrad na Szlązku braterskie wiódł boje;
A daléj Płowieckich rycerzy znów roje,
Co z piersi krew zacną stoczywszy bez trwogi,
W opiece chowają kujawskie rozłogi,
I nocą zstępując w księżyca promieniu,
Na polu bojowém badają wśród cieniu:
Czy prochy ich kości przelotnie nie świecą,
Worane w tę ziemię na zasiew płużycą.

Na lewo wzdłuż Wisły ścielą się Kujawy,
Zarosłe w olszyny i kwietne murawy:
Opodal widnokrąg sosnowy bór słoni,
A bliżéj ku rzece znać jakby na dłoni
Dwie włości zamożne. Jednakie w nich chaty,
Lecz w jednéj z nich pałac jaśnieje bogaty,
Wystawion znać świeżo zamorską strukturą,
A park go dokoła otacza ponuro;
Gdy w włości poblizkiéj, z modrzewia dwór stary,
Zwieńczony w bujnego jaworu konary,
Milcząco się tuli przysłonion napoły:
I czyli nad strzechą wzlatują anioły,
Czy miesiąc przez szyby chcąc zajrzéć w głąb dworu
Usrébrza tak liście szerokie jaworu?

A z dworku spływając złączone wraz tony,
Wzywają z niebiosów Maryi obrony.
W komnacie jaskrawo tli płomień ogniska,
I światło przez drżące gałęzie połyska,
A flisak pokłonem czci dworek on stary,
Pobożną ostoję prostoty a wiary.

Gdy nocny mrok tuli świat boży dokoła,
W pałacu kapela pogrzmiéwa wesoła,
A z okien, czczych świateł strumienie rzęsiste
Radeby zćmić blaski księżyca srebrzyste.
Jak mrowie się roją pachołcy i sługi,
W obszernym dziedzińcu wypasłe rżą cugi;
W komnatach grzmią liczne a głośne wiwaty,
U niewiast od złota wspaniałe lśnią szaty,
A głowy w wysokie spiętrzone fryzury,
Wiewają poważne, przybrane wkrąg pióry.
I sztuczny rumieniec przykrasza im lica,
I zwodnym lśnią ogniem ponętne źrenice;
Zgiełk wkoło, i wrzawa, i puste zaloty,
Ni śladu poczciwéj dopatrzéć prostoty.
Mężowie przybrani opięto, z zamorska,
W galonach się żywo uwija młódź dworska;
A zcicha, tajemnie, wśród onéj biesiady,
Bóg mury piętnuje zgłoskami zagłady!!

II.

Wiatr ciepły, majowy, z poszmerem kołysze
Drzewiny wieńczące ustronne zacisze,
Za włoskim ogrodem, przecięte wzdłuż strugą.
Tu co dnia porankiem przechadza się długo,
W powabnym negliżu marząca Malwina;
Tu chwile ubiegłe rozkosznie wspomina,
Lub bolem przejęta w samotnym zapale,
Słowikom i brzozom spowiada swe żale.
A kiedy zbyt tęskne udręczą ją myśli,
To czułych słów parę w milczeniu nakréśli
Na zmszonym pniu dęba, lub staréj topoli,
I smutek mniéj serce dolega i boli.

Już piękna Malwina przeżyła wśród świata
Dni wiosny pogodnéj, i skwarne dni lata;
Już jesień dojrzałe naznacza jéj lica,
A jednak wabnemi wdziękami zachwyca.
Bo znana jéj sztuka jak ustrzedz od szkody
Ostatnie odbłyski gąsnącéj urody.

Toż co dnia przybrana jakoby od święta,
W rogówkę wspaniała jéj kibić ujęta,
Fryzura wysoka w kształt krągły melona,
Dwa pukle spływają na białe ramiona.
Czas wprawdzie pozbawion czczych względów litości,
Naznacza gdzieniegdzie włos srebrem starości;
Lecz ślady te giną pod pudru obłokiem.
I chociaż się zmarszczka pojawi pod okiem,
Zasłania ją muszka rzucona z niechcenia,
Rumieniec z karminu jagody spłomienia,
A żyłki lazurem skreślone na skroni,
Dowodzą mistrzostwa jéj gustu i dłoni.
Dziś raniéj niż zwykle, powabna Malwina
W ustronnéj zaciszy dumania zaczyna.
Znać żałość tajemna jéj serce przenika,
Bo tęskna zasiada nad brzegiem strumyka;
A głosu własnego pieszcząc się kwileniem,
Olbrzymi swój wachlarz obraca z niechceniem.
—O luby strumyku!—zawoła po chwili—
Niech szmer twój pociechą me serce zasili;
Bo kiedy zbyt ciężkie i ciągłe katusze
Srogiemi pociski tyranią nam duszę:
O! wtedy jedyną serc tkliwych rozkoszą,
Gdy ulgę zbolałe marzenia przynoszą.
Niech zefir litośny me ciche westchnienia
Poniesie w Febowe błękitu sklepienia;
Niech błaga Kupida, by wyrwał te strzały,
Co gorzko dni moich zatruły bieg cały!
Co mówię!—Powstrzymaj twój polot szalony,
Lub ponieś zefirze me jęki w te strony,
Gdzie tkliwy mój Zeon w téj dobie przebywa.
O! powiedz, jak jego Malwina trwożliwa,
Czy świat go nie splątał w swe sidła zwodnicze;
Poszepnij, jak tęskna samotne dni liczę,
Jak serce o lubéj nadziei wciąż marzy,
Że szala się naszych przeznaczeń przeważy.
A jeźli zefirze masz rozwiać marzenie,
Leć w pola Elizu, gdzie blade mkną cienie,
Przywołaj Charona, niech z barką przypłynie,
Niech Parka dni przetnie w żałosnéj godzinie.
Bo wolę skon ponieść, niż w wiecznéj rozpaczy,
Bez lubéj pociechy snuć żywot tułaczy.

Lecz zkądże te myśli tak rzewne, ponure,
Gdy wiosna czarownie rozbudza naturę;
Gdy Febus słoneczne na ziemię tchnie żary,
Dlaczegoż mnie dręczą tajemne koszmary?

I dla mnie się przyszłość niebawem zaśmieje.
O! wszakże mam szczęścia niemylną nadzieję,
Gdy złączy się z młodym Januszem Kamila,
I dla mnie radosna zabłyśnie znów chwila.
Niech kanclerz jak zechce rozwody nagania;
Gdy serce się krnąbrne ku sercu nie skłania,
To żaden mi zakaz nie wzbroni surowy
Rozerwać haniebne małżeństwa okowy.
O! wszelkie najsroższe zawady pokruszę,
A mego Zeona małżonkiem mieć muszę.
Za miłość tak silną nie lękam się kary,
Wszak miłe są niebu płomienne ofiary
Serc, które niezłomna miłości potęga,
Złotemi ogniwy jednoczy i sprzęga.

To mówiąc Malwina wychyla się z cieniu,
I patrzy na lica odbite w strumieniu.
Uśmiecha się rada, i z ławki powstaje,
I z wolna w zarosłe zapuszcza się gaje;
Gdzie kryje się domek zbudowan w kształt skały,
A któréj szczyt wichry nibyto złamały.
Wśród owéj kabanki, na ścianach w półkole,
Al fresco oddane czarowne symbole:
Tu Amor swe łuki okrutne napina,
Gdy Wenus strwożona pogląda na syna;
Tam śmiała Dyanna odziana w lwiéj skórze,
Wyjeżdża na łowy porankiem, gdy w górze
Apollo rozpuszcza złociste rumaki;
Na boku Ulisses, król słynnéj Itaki,
Przypływa na wyspę, wraz z mądrym mentorem,
Do miłéj małżonki, co matron cnych torem
Przerabia na płótno pajęczą osnowę,
A Hymen pochodnią blask sieje na głowę.
Lecz piękna Malwina spuściła z téj strony
Oddawna na ścianę gazowe zasłony...

I wchodząc do groty, przegląda swe lica
W źwierciedle; a potém się rzewnie zachwyca
Czarownym Delilem—i wzdycha żałośnie:
Wszak śpiewak tak cudnie przemawia o wiośnie!..
Lecz dzisiaj niedługo zabawia się księgą,
Bo myśl jéj wzburzona uczucia potęgą,
Zbyt miłym marzeniom oddaje się rada;
Nakoniec i z mężem pomówić wypada.
Wszak ważna dziś sprawa zaprząta jéj głowę,
Na któréj Malwina osnuła budowę
Swych przyszłych nadziei. I wstaje co żywo,
Zielony gaj stopą przebiega pierzchliwą,

I mostek po chińsku altaną zwieńczony;
Przesuwa się zcicha przez szpaler strzyżony,
Przez gęsty labirynt, którego zna drogi.
Więc ścieszki zawiłe przebywa bez trwogi,
I dąży przed pałac, gdzie parter bogaty
W gzygzaki i esy, w majowe lśni kwiaty,
A w środku z hiacyntów równianka sadzona,
Połącza jéj imię z imieniem Zeona.
I daléj zawraca drużyną na stronę
Gdzie sterczą z jałowcu koszyki zielone;
Tam bowiem szambelan ukryty w lip cieniu,
Zamyślon spoczywa na płaskim kamieniu.
Przy boku małżonka zasiada Malwina;
Łaskawiéj niż zwykle rozmowa się wszczyna;
Aż zrazu powolny, wybuchnie mąż złością:

— „Toż ładu, jak widzę, nie dojdę z Jejmością!
Po głowie się jeno wciąż snują biesiady.
Wiész przecie, że zboże wybiły nam grady
I szkody niemałe zrządziła wraz Wisła.
Oj! ręka straszliwa nad nami zawisła!
Człek goni ostatkiem, dłużników po uszy,
A szlachta niesforna wciąż głowę mi suszy.
I nigdzie kredytu: zmądrzeli już żydzi,
Toż człowiek wnet imię poczciwe ohydzi
Przez one Jejmości wymysły szalone!“

— „Wszak miałam swój posag!?“

— „Ba! wioski zdłużone,
A z niemi wraz fochów i tonów bez miary.
Oj! dobrzeto ojciec przewidział mój stary!“

Tu ogniem Malwiny zabłysła źrenica,
Lecz karmin skrył bladość gniewnego jéj lica,
I dłonie ściskając wyrzekła drząc cała:

—Chociażem wielkiego posagu nie miała,
Niemałożto ze mną spłynęło splendoru?
Przezemnie wstęp asan znalazłeś do dworu;
Za moich pradziadów zasługi i cnoty,
Niedawno od króla dostałeś klucz złoty!
Asana przodkowie chodzili w kapocie,
Gdy moi siadali w jedwabiach i złocie
Przy tronie monarchy, i w kole senatu;
I znani krajowi, a nawet i światu,
Przez czyny wspaniałe i zacnéj krwi strugi,
Na wieki się wnukom dobili zasługi.“

— „Nie z plewy i moje wyrosły naddziady!—
Zawołał szambelan spyrzony i blady—

Choć czasem na roli za pługiem stąpali,
To przecież dzierżyli szablicę ze stali.
A chociaż niepamięć pokryła ich imie,
Wraz z pany w wojennym smalili się dymie!
Wiész Jejmość, że szlachcic w zagrodzie swéj własnéj
Tak dobry, jak w zamku obronnym pan jasny;
Byleby swe imię uchronił od skazy."

— „I czemużto asan rozwiesił obrazy
Mych zacnych naddziadów, szeregiem po ścianie?
Lecz dosyć już sprzeczki: podobno mój Janie
Ja wiéle oceniam twój klejnot herbowy—
Dodała zwalniając podniosły ton mowy,
Bo znała niewieścią taktykę Malwina.
Wiedziała, czém zwykle człek swego dopina,
Przysłowie do życia stosując dokładnie:
Gdzie skoczyć nie można—tam podejść wypadnie.
Nareszcie dodała:—Wiész o co rzecz chodzi:
Pan Janusz to perła wśród wiejskiéj téj młodzi;
Majątek ma znaczny, trzy włości za Wisłą,
Z panami u dworu zażyłość téż ścisłą;
Pewnoby już krzesło otrzymał w senacie
Gdyby nie dziwaczna ta miłość ku szacie
Wyśmianéj oddawna przez obce narody.
Do tego, pan Janusz urodny i młody:
To wszakże coś znaczy; i piękne ma imie.
Przebywał w Paryżu, w Londynie i w Rzymie,
Niemałym to zaraz otacza urokiem!"

— „Kamilka téż miłem spogląda nań okiem—
Zagadnie szambelan—zważałem to przecie."

— „Niedosyć że miłem. O! dla niéj na świecie
Byłaby pustynia bez pana Janusza.
Ku niemu się tkliwie nakłania jéj dusza,
Jak złoty słonecznik, co wiecznie schylony,
W lubego żywiołu nakłaniá się strony.
Jéj serce miłosne dotknęły już groty:
Umarłaby pewno biédaczka z tęsknoty,
Jeźliby czas rozwiał marzenia jéj lube.
Wszak córki twéj, Jasiu, nie wydasz na zgubę?"

— „A niech mnie Bóg broni, wszak kocham ją szczerze.
Lecz moja Malwino, ja temu nie wierzę,
By do jéj zamęzcia dopomógł bal nowy."

— „O moi panowie! sławicie swe głowy—
Trącając wachlarzem Malwina zagadnie—

A jednak nie wiecie, że łatwiéj się wkradnie
Do serca mężczyzny nadobna dziewica,
Gdy przystrój balowy ubarwi jéj lica,
Gdy czując się piękną, ponętną i hożą,
I widząc jak tłumy pod stopy się korzą,
Przewyższa się sama, i rosnąc w swéj dumie,
Co ledwie pomyśli—wykonać już umié.
A wreszcie, gdy złota przybraknie w kieszeni,
Szalony kto życia zwyczajny tryb zmieni!....
Dziś szlachtę potrzeba odurzyć tumanem:
Wszak każdy nieśmiały, gdy sprawę ma z panem.

Dopóki w pałacu buńczuczno i dwornie,
To dłużnik się jeszcze pokłoni pokornie;
Każdego zdawkową pozbędziesz grzecznością,
Gdy wezwiesz prostaczka na ucztę z Jéjmością,
Z wąsatym synalem, z pięcioma córkami;
A pozór tak szlachtę przedziwnie omami,
Że sama się z nową oświadczy pożyczką."

—„Oj szlachta przemądra, choć bawi się gryczką!
Nie wywieść ją w pole. Wszak wiedzą sąsiedzi,
(Powiada przysłowie) jak który z nas siedzi."

— „Że mądra, to prawda; lecz niemniéj i próżna,
A próżnych na pasku, gdzie zechcesz wieść można.
Umiejmy ich tylko za słabą wziąć stronę.
Choć owe jéjmoście dziwacznie trefione,
I panny niezgrabne z pyzatą swą twarzą,
W złoconym salonie niemile mnie rażą;
Lecz trzeba to człeku przykrości znieść wiele,
Byleby żądane osiągnąć mógł cele.
A jeszcze co powiem mój Jasiu kochany,
Wszak z starą hrabiną stosunek mój znany;
To siostra stryjeczna nieboszki méj matki.
Wié każdy, jak wielkie posiada dostatki,
Choć tylko do śmierci dochody jéj służą.
Doktorzy jéj życia długiego nie wróżą;
Możnaby poszepnąć nieznacznie pogłoski,
Że dla mnie w Lubelskiem przekaże dwie wioski.
Wiec zgromadź sąsiadów, i podnieć ich dumę:
A *conto* zapisu da jeszcze kto summę,
Gdy sobie węgrzynem czuprynę zapruszy.
Pozwalam ci sprosić niemało kontuszy,
I tylko z godnością zachowaj ton pana,
Odważnie i śmiało—a nasza wygrana!

I radość oblicze Malwiny spromienia,
Bo widzi, że opór małżonka się zmienia
Jak lód on, co w słońcu marcowém topnieje.
I czując znów w sercu skrzepioną nadzieję,
Powstaje, i w szpaler uchodzi grabowy,
By dalszy snuć wątek różowéj osnowy.
Szambelan utopił ponury wzrok w ziemię:
Znać duszę dręczące ugniata mu brzemię,
Bo dziwnie twarz jego zmieniona i blada,
A czoło się w fałdy wydatne układa.
I oparł na ręku fryzurę spudrzoną,
I powiódł w milczeniu oczyma za żoną.
Przypomniał te czasy, jak rzeźki i młody
Przepląsał tu z braćmi wiek rannéj pogody;
Jak one dwie lipy odwieczne, co cieniem
Dziś kryją skroń jego zoraną cierpieniem,
Słoniły od spieki i głowę matczyną.
(A wiele miał trudu szambelan z Malwiną,
Nim zdołał wyprosić, by w modnym ogrodzie
Obiedwie drzewiny rość mogły w swobodzie).
Tu co dnia nieborak wspomina te lata,
Gdy z ciszy domowéj zatęsknił do świata;
Jak ojciec sędziwy wyprawiał go rankiem
Na dworzec starosty, zasiadłszy pod gankiem;
Jak stary się słowy zarzekał przed Bogiem,
Że syna powita boćkowskim batogiem,
Jeżeli broń Boże dopuści się sromu.
Dziś śladu nie dojrzéć ni ganku, ni domu,
Bo z rady małżonki ćwierć wieku już blizko,
Jak stare swych ojców Jan zburzył ognisko,
A pałac na gruzach wystawił wspaniały.
I wspomniał jak przybył do dworu nieśmiały;
Jak córki starosty ujęły go wdzięki,
Lecz nie mógł ubogi zapragnąć jéj ręki,
Aż piękna Malwina zalotna i śmiała,
Co właśnie *Jean Jacqu'a* z zapałem czytała,
Przejęta uczucia potęgą niezmierną,
Przysięgła mu miłość gorącą i wierną.
I wspomniał, przez jakie cierniska i głogi
Wdrapywać się musiał w wysokie zbyt progi;
Przez jakie bolesne przechodził on chłosty,
Nim córkę dumnego otrzymał starosty;
Jak ona wyrzekła pieszczonym swym głosem:
— O! luby—ja z twoim połączę się losem,
Chociażby świat przyszło porzucić dla ciebie,
W lepiance nam będzie ubogiéj jak w niebie!
Patrz na te ptaszyny, jak w gniazdach szczęśliwe,
Bo łączą je węzły tak rzewne a tkliwe.

O! wszakże niewiele potrzeba dla człeka,
Byleby miał trochę owocu i mleka!
Ni stroju, ni złota nie pragnę mój Janie.
O! widzisz tę cudną pasterkę na ścianie:
Choć skromnie przybrana, wesoła jak dziecie,
Gdy Damon jéj zdala przygrywa na flecie!....

I westchnął szambelan, bo wspomniał jak z laty,
Malwina zrzuciwszy ozdoby i szaty
Niewinnéj pasterki, a strojna w robronie,
Pragnęła rej wodzić w złoconym salonie;
Jak w miejsce ubogiéj a cichéj lepianki,
O któréj marzyła w wiosenne poranki,
Zachciała pałaców—i karet—i cugów,
Aż wplątał się w odmęt nierządu i długów;
Jak niedość jéj było owoców i mléka,
I musiał Francuza sprowadzać zdaleka,
By czyniąc zadosyć wymysłom kobiety,
Codziennie ją karmił drogiemi pasztety.

I powiódł z westchnieniem oczyma na stronę,
Gdzie zwieńczon w zieloną jaworu koronę
Dwór stoi modrzewi; gdzie ojciec sędziwy
Dosnuwa dni wątka zgrzybiały i siwy,
Przy synu swym młodszym poważnym cześniku;
Gdzie sypie z rękawa gawędy bez liku,
A grzejąc przy ogniu swe kości strudzone,
Co wieczór rad śpiewa „Pod twoję obronę“;
W adwencie godzinki, kolendy po godach.
A kiedy rozprawia o ciężkich przygodach
Doznanych wśród długiéj pielgrzymki żywota;
To do snu nie bierze nikogo ochota.
I wszyscy słuchają, i młodzi i starzy,
Choć starzec codziennie to samo im gwarzy:
Jak niegdyś ze Szwedem harcował za młodu,
Jak czasem przymierał z pragnienia i głodu,
Jak króla z drugimi obierał pod Wolą,
A potém zajęty wciąż pługiem i rolą,
Od miłej swéj Dosi za progi domowe
Od czasu do czasu wychylał był głowę,
By radą i szablą, co była wszem znana,
Podeprzéć na sejmie stronnictwo hetmana.

Nie często szambelan odwiedza rodzica,
Bo żupnik zwykł czoło nasrażać i lica
Ilekroć Jan kornie obejmie mu nogi.
Toż serce mu woskiem topnieje od trwogi,
Bo mądry po szkodzie, już poznał w téj dobie,
Że słuszność zupełną miał starzec po sobie,

Gdy nie chciał na związek przyzwolić z Malwiną,
Zgadując, iż będzie nieszczęścia przyczyną
Kobieta światowa, co obce narowy,
Jak straszną zarazę w próg wniesie domowy;
Nie szczędził był żupnik ni uwag, ni rady;
Lecz odtąd jak ujrzał zburzone posady
Zagrody téj świętéj, gdzie przeżył pół wieka:
Łzą jeno mu gorzką zabiegła powieka,
I wstrzymał gotowe przekleństwa już słowo.
I odtąd boleśnie potrząsał on głową,
Gdy patrzał na Jana, czekając rychłoli
Wybije dlań ciężka godzina niedoli.

Gdy duma szambelan, Malwina na stronie
Przemyśla w gaiku o lubym Zeonie,
A młoda Kamila o pięknym Januszu,
Co chociaż przybrany w żupanie, kontuszu,
(A to się z wykwintnym jéj gustem nie zgadza):
To przecież niezłomna przykuwa ją władza
Do jego wspomnienia, ztąd tylko jedynie,
Że choć jéj urody dokoła blask słynie.
Pan Janusz sam na nią uwagi nie zwraca;
Daremne jéj dotąd zabiegi i praca,
Ażeby rozkruszyć chłód serca lodowy,
Spojrzeniem, czy śpiewem, westchnieniem, czy słowy.
Rozlicznéj Kamila użyła już broni,
Lecz młodzian się stale od zalot jéj chroni;
Gdy mniema dziewica że tryumf już blizki,
On sztuką krzyżową odtrąca pociski,
A prawdy dość ostre porzuci jéj słowo.
I teraz Kamila, z schyloną wpół głową,
O brzozę płaczącą oparta niedbale,
Z żalami Helojzy jednoczy swe żale;
I goniąc oczyma obłoki po niebie,
Przemyśla: rychło-li już ziemia zagrzebie
Niepokój jéj serca, co tęskne dziś tyle?
Jedynie się ulgi spodziewa w mogile.

III.

O milę od Wisły, wśród żyznéj doliny
Zamożna włość leży zarosła w wierzbiny
I dęby odwieczne. Pode wsią tuż blizko,
Od wieków trzech stoi poważne zamczysko.
Już wprawdzie wilgocią przesiąkłe wskróś mury
Mech szary obrasta; już nawet u góry

W szczelinach się powój ujmuje zielony,
A wiatr go w ulotne kołysze festony;
Już w staréj wieżycy patrzącéj ku niebu,
Ćmy kruków i kawek pieśń nucą pogrzebu,
Gdy karmią w strzelnicach swych piskląt ród młody.
O! jeszcze zawcześnie! nie dla was te gody!
Daremno wam krakać te wróżby złowieszcze!
Staremu zamczysku nie przyszedł czas jeszcze;
Bo silne w posadach wstrzymują wrąb głazy,
A w ścianach nie dojrzéć ni rysy ni skazy!
Pod gzymsem jaskółko bezpiecznie tul głowę,
Gdy jasno migoce ognisko domowe;
I odtąd osusza zgniliznę i pleśnie;
By murów odwiecznych nie psuły przedwcześnie.

Wszak zamek życzliwa dłoń chroni od szkody.
Toż dumnie pogląda na cichy nurt wody
Zarosły w powiewny tatarak i trzcinę,
Co kręto zieloną przecina dolinę,
I wstęgą podwórzec oblewa zamkowy.
Od rzeki dokoła rozchodzą się rowy,
Gdzie żaby odwieczną znachodząc ostoję,
Żałośnie dumkają na klęski i boje;
Lub wdzięcznie rechtając odmienną koleją,
Skrzepiają rolnika pokoju nadzieją.

Wprost zamku, na rzece most stoi zwodzony,
Rdzewiałym łańcuchem z brzegami stwierdzony:
Bo czasy te pono ubiegły od wieka,
Gdy zamek się chronił obcego człowieka.
Na ścieżaj otwarte dziś bramy podwoje,
A wiejskich pacholąt wciąż snują się roje,
I strażnik o hasła nie pyta ich słowo,
Gdy idą w podwórzec po wodę zdrojową.

Za wałem zielonym na prawo, nad rzeką,
Wspaniały się ogród rozciąga daleko.
Tam w głębi odwieczne szpalery z lipiny,
Brzęczące pszczół roje znęcają z doliny;
I grusze zamorskie, śliwiny, jabłonie,
Rzędami wzrastają w udatnéj koronie;
A róże, bukszpany i wonne lawendy,
Zbarwiają nadobnie wirydarz i grzędy.

Na zamku w obszernéj i jasnéj komnacie,
Pan Janusz w naddziadów przechadza się szacie.
Odwiecznym zwyczajem włos krótko strzyżony,
Wierzch głowy mu wieńczy w kształt ciemnéj korony;

Na czole wydatném jaśnieje pogoda,
Ozdobna rumieńcem twarz smagła i młoda;
I dusza młodzieńcza w błękitném lśni oku,
Jak lazur odbity w wód czystych potoku.
Wąs długi, szkarłatne ocienia mu usta:
Niekiedy wesołość ożywia je pusta,
Lecz zwykle, pan Janusz poważny nad lata.
Niemałoż bo zaznał i ludzi i świata!
Zaledwie pijarskie opuścił był ławy,
Jak wichrem goniony popędził z Warszawy
Na zachód, za lasy, za góry i rzeki,
Za morskie obszary, w kraj świata daleki.
Pan Janusz siérota, rozrządzał sam sobą,
Sposażon po ojcach nielada chudobą.
Toż młodzian udatny, dowcipny i gładki,
Mógł snadno jak ptasze, uwikłać się w siatki;
Lecz serca bywają wykute ze stali,
Na których, gdy piętno dłoń boża wypali,
To w nich się jedynie przyjmuje siew złoty,
A takiém częstokroć Bóg darzy siéroty!

Gdy wszyscy wróżyli i starzy i młodzi,
Że Janusz utonie w światowéj powodzi;
On istnie jak pszczoła, co skrzętna a cicha
Ssie słodycz pożywną z kwietnego kielicha,
A potém znów plony w ul własny do matki
Przynosi na korzyść brzęczącéj gromadki;
Tak istnie i młodzian przebiegał świat boży,
Rad w duszy, że ziarno doświadczeń swych złoży
Z nadzieją i wiarą na ojców zagonie.
A ziarno to z laty, w kłos bujny zapłonie!

I zbiegłszy koleją dalekie narody
Powrócił stęskniony do ojców zagrody;
A z wielkim podziwem sąsiadów i świata,
Poważna naddziadów nie zmierzła mu szata.
Jak dawniéj, wąs ciemny przystraja mu lica;
Jak dawniéj, przy boku podzwania szablica.
I chociaż tak mnogie odwiedzał on kraje,
Toż drogie mu zawsze praojców zwyczaje.
Nie zwiodły go mądre nowostki Woltera,
I w progi kościelne chęć wiedzie go szczéra:
I nieraz w post wielki, z czeladką swą razem
Pieśń nuci pobożną, przed Maryi obrazem.

Lecz Janusz z za morza sprowadził do domu
Drzewiny i ziarna nieznane nikomu.

Oj! byłyżto zrazu gadania, hałasy,
Gdy począł urządzać odłogi i lasy.
O owych nowostkach tuszyli źle starzy,
A każdy się z boku uśmiécha i gwarzy.
Lecz Janusz na marne nie zważa nic słowa,
Aż kiedy mu ziemia wróciła jałowa,
Za małe nakłady, w trojnasób korzyści;
Gdy szlachta się garnie: on wolen zawiści
Naucza, doradza, i chętnie czas traci,
Byleby mógł zwalczyć przesądy współbraci.

I Janusz podźwignął on zamek wspaniały,
Którego choć mury trzy wieki przetrwały,
A jednak czas wszelkiéj uchronił je skazy.
I rzędem poważne naddziadów obrazy
Dziś zdobią jak dawniéj obszerną komnatę;
I wiszą na ścianach kobierce bogate,
Co pradziad szafując krwią zacną i potem,
Przed laty je zdobył z wezyra namiotem.

Poważnie się młodzian przechadza po sali,
A jasno w kominie brzezina się pali;
Choć wiosna w połowie, lecz zimno od rana,
Bo dzień to pamiętny świętego Urbana.
W nim często gdy wicher z zamiecią powieje,
Zniweczy odrazu rolnika nadzieje.
Umilkły słowiki w cienistym ogrodzie,
I tylko kroplami deszcz pluska po wodzie;
Kłębami chmur szarych widnokrąg zasłany;
Lecz płomień ogniska blask sieje na ściany,
I miga w przyłbicach i zbrojach ze stali,
Co boje w nich przodki Janusza staczali,
A które dziś prawnuk, serdecznie i szczerze,
Jak Pan Bóg przykazał, w pobożnéj czci wierze.

Gdy Janusz się w sali przechadza w milczeniu,
Przy ogniu spoczywa mnich w szarém odzieniu:
To ojciec Patrycy, zamkowy kapelan.
Znać w życiu niemało doświadczył on przemian,
Nim ciężkie zawody, gorycze i burze,
Głęboko w zakonnym pogrzebał kapturze.
Że walczył orężem, to szrama na czole
Wymownie dowodzi; a troski i bole
Zwalczone, i w piersi ukryte już głębi,
Poświadcza na czasze włos rzadki, gołębi
I brózdy, co blade zorały mu lica,
I owa głęboko zaklęsła źrenica,

Co blaskiem przelotnym chwilowo tak płonie,
Gdy wiekiem nieskrzepła zakipi krew w łonie.
O! swoim wybranym Bóg serca nie studzi!
Niezgasły w nim płomień tli wiecznie dla ludzi.
Choć powiew złowrogi na zawsze rozwieje
Ze ścieszek ich życia, zieloną nadzieję;
Toż oni o własnéj nie bacząc już doli,
Z pokorą składają na bliźnich swych roli
Plon krwawo zebrany, na pustym rozłogu,
Czcząc Boga przez czyny, a bliźnich czcząc w Bogu!

Patrycy należał do tego orszaku
Sług wiernych Chrystusa, co stoją przy znaku
Męczeństwa bożego, jak wieczna opoka;
Na których Bóg zléwa zdrój łaski z wysoka,
By jego przykładem, nad ziemią jałową,
Zbawienia i prawdy wtórzyli wciąż słowo;
By jako anieli w widoméj postaci,
Koili łzy ciche zbolałych spółbraci,
Wskazując im w niebo zawiany tór drogi,
Nadzieję i miłość w próg siejąc ubogi;
I ucząc prostaczków krzyż dźwigać w pokorze,
Co jeno samotnym wnet siły przemoże,
Lecz cudem się w brzemię mniej ciężkie zamienia
Gdy niesion z pomocą bratniego ramienia.
Znać z mnicha postawy strawionéj, że ciała
Zaledwie w nim wątła powłoka została,
Słoniąca duch jasny, promienny a dzielny,
Co spływa z wysoka w on zlepek śmiertelny,
By przezeń, znów krzewiąc ofiarę na ziemi,
Połączał ją z niebem ogniwy świętemi.

Pół wieku Patrycy w téj przeżył dolinie.
A kędy znój trapi, gdzie z oka łza płynie,
Gdzie w bolu człek ziemskim przepomni o Bogu,
Gdzie blada śmierć zcicha kołacze do progu,
Gdzie zawiść pod nizką zagnieździ się strzechą:
Tam jawi się kapłan z niebieską pociechą,
I jako stróż boży, jak zwiastun pokoju,
On żywot skłócony w bolesnym rozstroju
Łagodzi i leczy, pokrzepia, weseli.
I jakby mu wiecznie szeptali anieli,
Choć nikt go nie wezwie, on świadom gdzie trzeba,
Na ziemską niedolę pociechę nieść z nieba.

I miłe mu dziwnie to stare zamczysko.
Z Januszem więc dzieli domowe ognisko,

Od chwili jak młodzian powrócił ze świata.
Z rodzicem on niegdyś w poranne swe lata
Czas trawił w wojennéj zamieci i burzy,
Dziś radą i słowem synowi znów służy,
Jak ojcu zaprzysiągł w godzinie skonania;
I z młodu Janusza ku Bogu nakłania,
Hoduje go, strzeże jak własnéj źrenicy,
I sercem go całém miłuje Patrycy.
A w głębi swéj duszy raduje się szczérze,
Gdy widzi jak młodzian w naddziadów swych wierze
Nie zachwian, pomimo zgubnego przykładu,
Poczynał snuć żywot wśród pracy i ładu.
I czasu podróży nie spuszczał go z oka,
A lubo ich przestrzeń dzieliła szeroka,
Nie truła go przecie obawa ni trwoga,
I jeno gorące słał modły do Boga,
By kryjąc go tarczą swéj świętéj opieki,
Prowadził bez szwanku przez morza i rzeki.

Gdy milczą obadwaj, w podwoje komnaty
Wszedł stary Jacenty, pochylon już laty,
I panu doręczył bilecik różowy,
Pisany z francuzka, jak zwyczaj chce nowy.
Pogarda zchmurzyła oblicze Janusza:
Zarzucił na ramię wyloty kontusza,
Odpisał słów kilka, i poniósł je sługa,
I chwila milczenia ubiegła znów długa.

— I cóż tam nowego?—Patrycy zapyta.

— Niech ojciec sam lepiéj karteczkę przeczyta—
Rzekł Janusz z uśmiechem.

Ksiądz rzucił oczyma.
— O panie!—rzekł smutno—i kiedyż się wstrzyma
Twa ręka karząca? Dopókiż w ślepocie
Lgnąć będą zbłąkani w świecącém tém błocie,
Co zwie świat płochy postępem, polorem?
I kiedyż o Boże! odwiecznym znów torem,
Z znamieniem twéj prawdy wyrytém u czoła,
Iść będą pod tarczą twojego anioła,
Co zgasił im płomień swéj czystéj pochodni;
Bo łaską Twą Panie, wzgardzili wyrodni!...

Tu uśmiech pierzch nagle na ustach Janusza,
Znać bolem młodzieńcza wstrząsnęła się dusza;
A dziwnym zapałem zalśniło mu oko:
Sparł głowę na dłoni i westchnął głęboko.

Stary Patrycy rzekł zwolna:—O dziécie!
Jest siła zasadzek rozsianych po świecie;

Strzeż serca, by w marne nie wpadło ponęty,
Bo w sercu Bóg składa skarb drogi a święty.
O! biada, kto czysty ów zasób roztrwoni,
W niebacznéj za złudą kłamliwéj pogoni!

— Wszak dobrze znasz ojcze młodzieńcze me lata—
Odrzecze pan Janusz—toż nigdy do świata
Nie lgnęło me serce; zkąd twoje obawy?

— Znam synu twój umysł rozważny a prawy,
Lecz równie znam ścieszki zawiłe żywota.
Wiém miły Januszu, jak snadno prostota
Ubiega nam z duszy, gdy na nią powieje
Chłód świata zjadliwy; codzienneż to dzieje!
Widziałem ja serca niewinne a czyste,
Jak zwolna w tumany słoniły się mgliste,
Aż Pan Bóg nad niemi rozpostarł mrok szary.
Widziałem ja usta, co tknąwszy raz czary
Zaprawnéj miodową trucizną i jadem,
Wciągnieni niebacznie obłędnym przykładem,
Choć czuli jak słodycz gryząca a zwodna:
Toż kropla po kropli spełniali ją do dna.
Bo trudno na błędnéj powstrzymać się drodze,
Gdy chęciom swym gwoli rozpuści człek wodze.

O! gdybyż *złe* w całym ohydnym swym brudzie,
Jawiło się zrazu: czyliżby w niém ludzie
Nurzali swe stopy! Lecz w barwie uroczéj
Podsuwa je szatan zbłąkanym przed oczy.
I owe niebaczne naddziadów cnych wnuki,
Zwikłani dziś w sidła zwodniczéj nauki
Mniemają, że własnéj zasłużą się ziemi,
Gdy niwy swe ziarny zasieją obcemi,
Gdy zwalczą rozumem przesądy odwieczne,
I prawdy oblicze odkryją słoneczne!
O! oni nie wiedzą, że ręka twa Panie,
Ku człeka potrzebie zasiewa na łanie
Wciąż ziarno mądrości; lecz jeno o tyle,
O ile go spożyć człek zdoła przez chwilę
Krótkiego żywota: i łaknąc bez miary,
W posadach chcą zburzyć porządek on stary,
Praojców potężną ustalon prawicą;
Gdy błędne połyski przed okiem ich świecą,
Co szatan zdradziecko nasuwa im gwoli,
By rychléj ich w otchłań pogrążyć niedoli.

I umilkł Patrycy, wzniósł oczy do góry.
Tymczasem w komnacie mrok zapadł ponury,
I płomień jasnego już gasnąc ogniska,
Zaledwie że słabo na ścianie odbłyska.

A Janusz wieczornym ośmielon pomrokiem,
Powolnym do starca przybliżył się krokiem:
— Mój ojcze! niesłusznym jest powód twéj trwogi—
Rzekł zcicha—tyś zdawna ukazał mi drogi,
Któremi wciąż idę; lecz w głębi twéj myśli,
O! inna obawa nieznacznie się kréśli.
Odgadłem to zrazu, choć usta jéj twoje
Nie śmiały wymówić; lecz rychło ukoję
Twe próżne domysły. Me serce nie zdoła
Już zgrzęznąć w zepsuciu, bo skrzydło anioła
Osłania je ojcze swą tarczą promienną.
Toż prawda przed złudą uchroni mnie senną,
A prawda, wszak w świętém uczuciu się mieści,
Gdy jego podstawą nie urok niewieści,
Lecz cnota, pobożność i skromność dziewicza.

Tu radość błysnęła z kapłana oblicza,
I okiem przelotny płomienia blask ściga.
—O powiedz mi dziécię! czy młoda Jadwiga
Zajęła twe serce—zagadnie nieśmiało.
—Tak ojcze, jam duszą ukochał ją całą!
—Chwałaż ci bądź Panie!—zawoła mnich stary—
Jam mniemał, że inne urzekły cię czary!
Bom zdawna na licu dopatrzył twém zmianę;
Toż pojmij w małżeństwo dziéweczkę kochaną
Choć posag jéj mały. Bóg w łasce niezmierny,
Ma więcéj niż rozdał drużynie swéj wiernéj;
A miłość mój synu, pobożność i cnota,
To posag niewiasty cenniejszy od złota!

Znów stary Jacenty wszedł w progi komnaty,
I na stół, pokryty w kosztowne makaty,
Postawił płonące dwie świéce woskowe,
I rzekł: „*bądź pochwalon*“ schylając wraz głowę.
—*Na wieki*—odparli Patrycy z młodzianem,
I siedli przed stołem księgami zasłanym;
I długo obadwaj w milczeniu głębokiém
Po kartach otwartych wodzili wraz okiem.

—O biada!—rzekł smutno Patrycy po chwili—
Niewiele się człowiek tą strawą zasili:
Toż trzeba raz obce porzucić już pleśnie!
A nasze półmędrki majaczą by we śnie.
Co prawda, że gładziéj szermierzą dziś słowy,
Lecz język nie nada, gdy dowcip jałowy.
Alboli co gorsza, gdy siłą rozumu
Zaledwie że człowiek wyskoczy z nad tłumu,

Wnet szydzi z prostaczków, i chłoszcze i trwoży.
O! nie tak zaprawdę nauczał Syn Boży!
Tam słowo spływało jak żywy zdrój wody,
Uczyło ofiary, miłości, a zgody.
Tu albo swawolna przebija rozpusta,
Lub marnie pochlebstwem wieszcz kazi swe usta,
Niebacząc, że komu Bóg zsyła udziałem
Dar słowa, a w serce tchnie wyższym zapałem:
Ten jeno się Bogu za łaskę wypłaci,
Kto dar on obraca na korzyść spółbraci.
Lecz biada poecie, gdy gwoli swéj pysze,
Jak orzeł się dumnie w obłoku kołysze,
I zstąpić nie raczy pokornie ku ziemi,
By bliźnich słowami pokrzepiać świętemi.
A większa mu stokroć sromota i bieda,
Gdy ziarno nieczyste na niwę swą składa;
I obcym obłędem przesiąkły do głębi,
Pobożną cześć braci wyszydza i zięby.
Niech Francuz niebaczny z prostoty drwi staréj,
Nam trzymać się bożéj mądrości a wiary.
Przy krzyżu dla człeka jedyna ostoja;
Od bolów żywota, krzyż, tarcza i zbroja.

I chwycił Patrycy krzyż z drzewa rzeźbiony,
Co kończy różaniec od pasa zwieszony,
Z pokorą go ciśnie do piersi gorącéj,
I zwolna podnosi głos łzawy, a drżący:

—O Panie!—wyrzecze poważnie i zcicha—
Czyż mało spełniłeś goryczy z kielicha?
Czyż niedość zsiniałe i zbite twe ciało,
Że taką ci jeszcze znieść chłostę przystało
Od ludzi, co wieki karmieni twym chlebem,
Twą sprawą cudowną jednani wciąż z niebem,
Gdy za nich, o Panie, przelałeś krwi zdroje,
Toż oni dziś jeszcze w cierń wieńczą skroń twoję,
I dotąd twe święte krzyżują ramiona,
Któremi niewdzięcznych przygarniasz do łona.
O! przebacz im Panie! czyż pomną co czynią?
Niech zabrzmi twe słowo nad świata pustynią!
Niech błyśnie pochodnią jak niegdyś duch Boży,
A ludzki się rozum w proch marny ukorzy,
I w sercach roztleje zagasłe ognisko!

—O ojcze! ja czuję że czas ten już blizko—
Zawoła pan Janusz z zbudzonym zapałem—
Gdy słowo Chrystusa znów stanie się ciałem,
I rosą majową z niebiosów nam spłynie,
I barwy cudnemi rozświeci się w czynie!—

I spojrzał przelotnie na dziadów obrazy,
I drżącym rzekł głosem:—Wasz żywot bez skazy,
O zacni mężowie i czyste matrony,
Był świętym zasiewem, co wyda znów plony.
Krwią waszą żyzniona odwieczna ta gleba
Kłos zrodzi, gdy słońcem zabłyśnie Pan z nieba;
A obca nauka uleci jak plewa,
Bo wicher otrząsa plugawy kwiat z drzewa,
I ziarno się tylko na wieki rozpleni,
Co soki pożywne wysysa z swéj ziemi.
O! widzę, jak piewców powstaje ród nowy,
Jak stroi swe liry z poszumem dąbrowy,
Jak rzuca gościńce sławione od wieków,
Gdzie stérczą bożyszcza Rzymianów i Greków,
I lotem sokolim okrąża obszary,
Z południa na północ dziedziny swéj staréj;
A wedle dawnego śpiéwaków zwyczaju,
Olbrzymie swe skrzydła zanurza w Dunaju,
Zkąd chyżo go niosą rodzinne wichury
Na zwiane mgłą szczyty Łomnicy ponuréj;
I lotem znów pełnym potęgi a siły
Odwiedza stepowe kurhany, mogiły.
Od plemion do plemion roznosi on wieści,
Nad strzechą słomianą niekiedy szeleści;
A z krzyżem Chrystusa pobratan na wieki,
Znów Bogarodzicy przyzywa opieki:
Jak dziady, tak świetnym uczczeni dziś blaskiem
Co szable znaczyli święconym obrazkiem.
O widzę! jak w strasznéj żywota powodzi,
Gdy pomrok się blady po ziemi rozchodzi,
Gdy ludziom mogilny chłód wieje nad czołem,
A płomień domowy zasypan popiołem
Dogasa do szczętu; gdy w łonie rodziny
Rdzewieją ogniwa, co ojce i syny
Spajały nawzajem; gdy ludzkość pomiata
Czcigodném imieniem krewnego i brata,
A człowiek obłędnie zagrzeban sam w sobie,
Za życia snem trupim zamiéra jak w grobie;
Gdy młodzian w rozpuście dni trawi szalony;
Gdy cześci niepomne dziewice i żony,
W ustawnéj za marną ułudą pogoni
Puszczają wrzeciono z niewieściéj swéj dłoni;
Gdy serce zmrożone zaledwie uderza,
A dziatki niewinne nie pomną pacierza,
I wkoło zwątpienie rozścieła cień blady:
Bóg zsyła śpiéwaków w godzinie zagłady.
O słyszę! jak cudne a wieszcze ich słowo
Zaskrzepłą krew w piersi zagrzewa na nowo,

Jak wplata się wdzięcznie dźwięk pieśni ich złoty
W dni smutną osnowę, utkaną z tęsknoty;
I dziewic oblicze rumieńcem znów płonie,
Z modlitwą ku niebu unoszą znów dłonie;
Zpoza mgły wypływa promienny blask doli,
I rolnik swobodniéj pług wiedzie na roli;
A piewcy cierpnąwszy bożego natchnienia,
Ku niebu z pokorą dziękczynne ślą pienia!

I umilkł pan Janusz. Na licu młodziana
Poważném a piękném, tli jasność nieznana;
A kapłan chwytając dźwięk słowa proroczy,
Ku niebu z modlitwą przymglone wzniósł oczy.

I cisza w komnacie, i tylko w oddali
Żałosną się pieśnią domowy świérszcz żali.
Nie słychać już kropel pluskania na wodzie,
I zcicha się lipy kołyszą w ogrodzie.
A księżyc strząsając oblicze z mgły szaréj,
Blask srebrny rozsiewa na ziemskie obszary,
I płynąc przez okno, nadobnie spromienia
Milczącéj komnaty odwieczne sklepienia!

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Po bezprzykładnie długiém milczeniu, opera wielka przemówiła, a raczéj zaśpiéwała nareszcie. Pani Sztoltz porwana burzą teatralnych zawiści w samém południu powodzenia swego, od siedmiu lat niewidziana na scenie paryzkiéj, pojawiła się znowu, witana szczérym poklaskiem prawdziwych lubowników muzyki. Daremnie zagraniczne teatra nęciły ją sławą i złotem: ani gwineje, ani dolary, ani ryxdale, ani przez entuzyastów ciągnione powozy, ani serenady przy pochodniach, ani sonety na atłasie drukowane, ani złoto-listne laury, ani gołębie z madrygałem pod skrzydłami, nie zdołały jéj zastąpić Paryża, téj obiecanéj ziemi artystów. Więc w końcu zapomniała uraz, i na otwarcie opery wystąpiła w roli *Faworyty*, w któréj nikt zastąpić jéj nie potrafił, choć niemało znakomitych śpiewaczek przewinęło się od lat siedmiu w przybytku harmonii.

Rzeczywiście pani Sztoltz stworzyła rolę *Faworyty*, nadając rzewnéj, wzniosłéj muzyce Donizettego tę dziką szałową energią, na któréj właśnie jéj zbywało. Kiedy w końcu czwartego aktu pojawia się w białym habicie mniszym wśród posępnych murów pustelni, rzekłbyś, że to blady szatan, kusiciel miłosnych nocy, idzie zakłócić spokój klasztorników.

Namiętny charakter bohaterki Donizettego znać dziwnie z naturą śpiéwaczki zgodny. Wogóle pani Sztoltz nie ochrania się w rolach namiętnych, nie kłamie gwałtownych

uniesień, zapomina, że jest na scenie, puszcza wodze uczuciu, i dobiega do mety, jak ów rumak rasowy, co w biegu ran nie czuje. Jak wieszczka na trójnogu, tak ona na scenie na tłum nie zważa, ale z góry natchnienie czerpie cała geniuszom muzyki oddana. A kiedy za kulisy wejdzie, blada i drżąca od wzruszenia, mimowolnie pytasz siebie: czy potrafi jutro znowu walczyć z natchnieniem, czy tony wyrwane z głębi duszy na nowo wytrysnąć zdołają z jéj delikatnéj, wątléj piersi? A jednak cud ponawia się codziennie.

Przeciągły grzmot oklasków i szmer przyjazny, powitał wchodzącą śpiewaczkę; ona dumna i obojętna zazwyczaj, drżała jak listek, i nie mogła głosu z piersi wydobyć, w obec objawów tak żywéj sympatyi. Wkrótce jednak przyszła do siebie, i dowiodła, że godną jest takiego przyjęcia.

Od czasu opuszczenia francuzkiéj opery, pani Sztoltz znać wiele pracowała. Głos jéj silny i rozciągły nabrał téj giętkości i łatwości włoskiéj, która zdaniem niektórych, jest najwyższą zasługą śpiéwaczek.

Co do mnie, powiedziałbym raczéj, idąc wbrew przyjętéj opinii, że rulady i tryle głuszą w śpiewie charakter dramatyczny, psują namiętne uniesienia; powiedziałbym, że pani Sztoltz dla czczych ornamentacyj poświęciła prawdę akcentu, energią deklamacyi, i natchnioną prostotę: główne zalety swego talentu, które zarazem cechują prawdziwy geniusz. Pani Sztoltz powinna śpiewać jak kobieta, nie jak słowik. Jęk serca flecikiem wyrazić się nie da.

Prawda, że tylko w spokojnych miejscach do sztucznych uciekała się sposobów, jakby dla pokazania, ile postąpiła w śpiewie; ale i tam lepsza prostota. Czyż prawdziwa piękność potrzebuje różu, bielidła i muszek, żeby zachwycała?

W balecie drugiego aktu, Fanny Cerrito tańcowała ze sławnym baletnikiem Petipą. Mistrzowska para po mistrzowsku z hiszpańskiego tańca się wywiązała; mianowicie téż Cerrito z zachwycającą gracyą i ogniem pokonała wszystkie trudności szalonéj kaczuczy. Rodowita Hiszpanka byłaby jéj pozazdrościła wdzięku, z jakim unosiła brzeżek świecącéj od złota spodniczki, i wybijała takt stopką gazelli.

Panna Rachel, która dotąd groziła opuszczeniem sceny, nowym kontraktem związała się z Teatrem Francuzkim. Czyniąc zadosyć prośbom i naleganiom powszechnym, żeby nietylko samym hołdowała klassykom, a raczyła zstąpić do nowszych dramatów: wystąpiła w *Maryi Stuart*, którą Lebrun niezręcznie naśladował, a raczéj kalkował z Szyllerowskiego arcydzieła. Mimo nieudolności, sztuka przyjęta była z poklaskiem; dlatego zapewne, że figura historyczna i dzieje Maryi Stuart tak są powabne, że je jak pieśń o Aldony losach zwykł czuły słuchacz w swéj duszy dośpiewywać. Bo i któż nie był mimowolnie trochę zakochany w szkockiéj królowéj? Kto nie pozazdrościł skrycie jéj kochankom, choć każdy z nich tak smutnie skończył.

Dla panny Rachel zadanie było podwójnie trudne: podnosić słabo narysowane sceny, i przedstawiać osobę, któréj portret i historyą zna każdy. Łatwiéj jest stąpać po królewskich portykach, mówić marmurowemi usty do marmurowych duchów, udrapowanych w klassyczne fałdy epicznéj i bajecznéj tragedyi, niż w rzeczywistém więzieniu jęczeć, być ową prześladowaną piękną monarchinią, powabną jak Kleopatra, i jak tamta, mimo słabości i zbrodni, uwielbianą.

Czyż potrzebuję mówić, że odniosła kompletne zwycięstwo? Że grała Maryą z tą giętkością, pewnością siebie, i mistrzowskiém zaniedbaniem, które szkicuje jednym rzutem, poświęcając wszystkie niepotrzebne szczegóły; z tą potężną trzeźwością, którą praca tylko nadaje geniuszom. Nawet w rolach tkliwych (co jéj się rzadko zdarza), Rachel znalazła rzewne tony. Ze łzami i prawdziwą pokorą błagała o litość okrutnéj siostry; ale téż z jaką pogardą i nienawiścią, jakby wstydząc się słabości, zrywa się, jéj nogą odepchnięta! Jak wtedy głos jéj ostry, urwany, drży; jakie błyskawice rzucają pałające gniewem oczy, jak każde słowo zgrzyta i syczy w jéj ustach! Rzekłbyś, że to dyalog dwóch żmij na ogonach naprzeciw siebie stojących, i szukających wzrokiem pod łuską słabizny, w którąby się śmiertelnie żądłem ugodzić mogły.

Teatr włoski także swoich klassyków w relikwiarze pochował, i na przyszłą zimę samych nowych mistrzów włoskich śpiéwać będzie. Rossini, Bellini, Donizetti, już zdaniem jego, przeszli w pamiątek kolor, i do historyi sztuki należą.

Verdi, dotąd prawie nieznany we Francyi, ma udzielnie królować na włoskiéj scenie. Czy zastąpi sławę swych poprzedników?—niedaleka przyszłość pokaże. Jednakowoż, sądząc z powodzenia Verdego nietylko we Włoszech, ale i w całym świecie, wnosić należy, że to niepospolity kompozytor. Powszechne uwielbienie nie może być bez powodu: geniusz tylko tak silnie działać umié na massy. Ale Francuzi, którzy nie czują głęboko żadnéj sztuki, tak dobrze poezyi jak malarstwa i muzyki, a przedewszystkiém lękają się śmieszności pospiesznego sądu, dotąd zdania swego o Verdim nie objawili, i zapewne ostatni, uznaniem tę nową sławę zaszczycą.

Nie nowa to rzecz w ludziach, wahanie, kiedy idzie o oddanie należnéj czci zasłudze, czy talentom; we Francyi jeszcze trudniéj o uznanie niż gdzieindziéj. Takiż sam wstręt napotkał w Paryżu Rossini. Cyrulik Sewilski mocno podrażnił pedantów; tak zwani ówczesni znawcy wyśmiali go, jako niegodne bluźnierstwo. Mojżesz bardzo zimno był przyjmowany; Wilhelm Tell tylko ocalał. Rzecz dziwna, że Francuz tak lekkomyślny w rzeczach serio, kiedy o zabawę idzie staje się uparty i konserwatywny jak Chińczyk: w formie nie przepuści nic, co z raz przyjętą nie zgadza się zasadą.

Że jednak Verdi napisał już przeszło trzydzieści oper, i z gotową sławą przychodzi, należy się spodziéwać, że i Francuzi oklaskiem go udarują: pewnie, że nie popełnią niedorzeczności. Niemało także przyczyni się do powodzenia nowéj szkoły moda, która do klassyków wyraźnie tyłem się odwraca, a szuka nowych bogów.

Wstręt Paryżanów do Verdego daje się po części wytłumaczyć tém, że utwory jego nie były dotąd przedstawiane jak należy we Francyi. Napisane w duchu zupełnie przeciwnym, nie mogły być oddane we właściwéj barwie przez szkołę Rossiniego, obdarzoną właśnie sprzecznemi zaletami. Dlatego p. Ragani, dyrektor włoskiego teatru, mając zamiar

przedstawiać téj zimy dzieła nowych mistrzów, jakoto: Rigoletto (le Roi s'amuse), Ernaniego, il Trovatore, Leonorę, (Mercandante) i inne, postarał się o śpiéwaków, którzy za Alpami wsławili się w tych sztukach. Pan Ragani spodziéwa się, że nalawszy młodéj purpurowéj krwi w zaschłe żyły drzémiącego bożka harmonii, obudzi go z letargu.

I rzeczywiście, zasklepianie się jedynie w dziełach, które już wyczerpały uwielbienie powszechne, jest błędem. Teatr włoski odrzucając nową szkołę, zasłużyłby na tenże sam zarzut, co teatr francuzki, gdyby dla Kornela, Racina i Moliera odrzucił dramata Wiktora Hugo, Dumasa, Ponsarda, Augiego, Sandeau i George-Sanda. Najstosowniéj nie wykluczać ani jednych, ani drugich: grać wszystkie, bo i dawne i nowe arcydzieła mają swoje piękności i swoich wielbicieli.

Wszyscy prawie śpiéwacy włoskiéj trupy są nowi i nieznani. Pryma-donna la Borghi Mamo, jestto gwiazda z San-Carlo, wielką poprzedzona sławą.

Słychać, że panna Rachel powiększa swój repertoir klassyczny; zapowiadają, że występować będzie téj zimy w Rodogumie, Aryanie i Tankredzie, co teatrowi francuzkiemu rokuje świetne reprezentacye; tém więcéj, że pp. Scribe, Sandeau, Dumas syn, i pani Girardin, przygotowują nowe sztuki. Tak więc dramatyczne pustkowie na nowo się zaludni.

Wyrobnik Claude Genoux napisał historyą Sabaudyi, od podbicia jéj przez Rzymian aż do naszych czasów.

Zanim o dziele mówić będę, wypada nadmienić słów kilka o autorze. Jestto biédny Sabaudczyk; dzieckiem przybył do Paryża z innemi malcami, których nędza pędzi prosto z kolébki na bruk stolicy, gdzie używani bywają do wycierania kominów, najmizerniejszego i najprzykrzejszego z rzemiosł! Od wyschłéj piersi matczynéj rzucony w komin paryzki, Claude nie zaznał z życia nic prócz nędzy i cierpienia; mimo jednak najdotkliwszych przeszkód, które codziennie napotykał, mimo wysileń na ciężką pracę, za pomocą któréj każdy dzień szturmem zdobywać musiał: umysł jego rozwinął się i wykształcił. Sam nauczył się czytać. Dzię-

ki łatwości z jaką w Paryżu dostać można książek, całe nocy na ich czytaniu spędzał.

Nauczywszy się pisać, i podrósłszy tak, że już w komin zmieścić się nie mógł, szukał innego zarobku; a pragnąc o ile można zbliżyć się do literatury, ku któréj czuł pociąg wrodzony: został zecerem, i dotąd jako taki w drukarni pracuje.

Życie swoje podzielił Claude pomiędzy fizyczną i umysłową pracę. Skoro rękoma rodziny wyżywić nie może, umysł wyzywa do pracy; z drukarczyka staje się autorem. Że wiele cierpiał i zawsze smutek w duszy nosił, a smutek niby mądra księga w sercu żyje i mówi wiele rzeczy, i zbiéra po szczypcie przestrogę do przestrogi: przeto książki jego, jeżeli nie erudycyą, to zdrowym sądem i serdecznością prawdziwą odznaczają się pomiędzy wieloma.

Ledwie skończy rozpoczęte dzieło, powraca do warsztatu, i znów z filozoficzną rezygnacyą, do bezmyślnéj a zmudnéj zaprzęga się pracy.

Pod tytułem *Pamiętniki Sabaudczyka*, Claude opowiedział awanturnicze życie swoje w sposób naiwny, prosty, a niezmiernie zajmujący. Tę Odysseję proletarską temi zakończa słowy:

. . . „Wróciłem do Paryża zmęczony na umyśle, osłabiony na siłach, nie mając przed sobą innéj przyszłości nad całodzienną pracę... Miło mi jednak było odetchnąć w téj mojéj duchowéj ojczyznie. Odważnie wziąłem się przeto do roboty. Niedługo potém ożeniłem się, i dotąd równie kocham żonę, jak kochałem kochankę. Obecnie jestem jednym z kółek drukarskiéj maszyny; zarabiam dwa i pół franka dziennie.

»Jakkolwiek nie znajduję żeby wszystko szło dobrze na świecie, chociaż ten nasz świat ma być najlepszy podobno, miło mi jednak żyć na nim, dopóki mam zdrowe ręce, trochę imaginacyi, i światło boże oglądam. Walka podnosi mocnych — słabych tylko zniechęca.«

Tak pisał Claude przed dziesięcią laty. Do dziś pozycya jego żadnéj nie uległa zmianie: jest zawsze *kółkiem drukarskiéj maszyny*, zarabiającém $2^1/_2$ franka dziennie. Serce jego także się nie zmieniło; autorskie zarozumienie

nie upoiło trzeźwego umysłu wyrobnika; przeciwnie, praca duchowa rozwinęła w nim wyższe zarody.

Zapoznawszy się z autorem, przejrzyjmy teraz ostatnią jego książkę.

Wstęp do *Historyi Sabaudzkiéj* obejmuje jéj dzieje bajeczne. Wyjąwszy kilku oderwanych faktów, i kilku dat, cała ta epoka grubą pokryta jest zasłoną; nastręcza więc szérokie pole domysłom, domniemaniom, z których poetyczny umysł Claudа korzystać umiał.

Przeszedłszy w epokę znaną, obszernie mówi o nadużyciach, jakich dopuszczali się sabaudcy panowie na góralach, i tak przygniecionych nędzą wśród téj ziemi, która prócz pięknych widoków, nic im nie dawała. Obarczeni podatkami, żadną miarą z produktów miejscowych utrzymać się nie mogąc, ze łzami zmuszeni byli opuszczać strzechy rodzinne, i ruszać w świat daleki: oto początek owych emigracyj, które zarzucają Sabaudczykom, kładąc je niesłusznie na karb ich złego serca i chciwości.

W połowie jedénastego wieku, mieszkańcy Sabaudyi dzielili się na dziewięć klas. Po stanie rycerskim stanowiącym ostatnią kategoryą szlachecką, następowali *Vavassery* czyli ludzie *wolni*, zwani także ludźmi *honoru* lub *towarzyszami wojennemi*. Po nich szli drobni właściciele, po nich chłopi (vilains), a w końcu niewolnicy (serfs). Ostatni liczniejsi od wszystkich innych klas razem wziętych, pracowali za wszystkich; chociaż nie mieli prawa bronienia kraju, niewolno im było porzucać go, jak niemniéj, ani się żenić, ani jakąkolwiek własnością swoją rozporządzać, bez pozwolenia pana. Prócz krwawéj pracy, wszystko im zabronione było.

Wśród tych smutnych obrazów, Claude opowiada zabawną anegdotę:

»W jedénastym wieku, mówi, nie wiedzieć zkąd rozeszła się w Sabaudyi straszna przepowiednia skończenia świata: ziemia miała być porwana i rozkruszona w ogólnym kataklizmie natury. Ludzie obarczeni zbrodnią, gryzieni wyrzutami sumienia, uwierzyli w przepowiednią, uważając ją za karę nieprawości swojéj. Że takich było bardzo wiele, strach przeto rozlegał się jak grzmot po kraju.

»Kiedy trwoga, to do Boga« mówi przysłowie; więc książęta i barony, i możni panowie, schronienia po klasztorach szukali, a chcąc gniéw Stwórcy przebłagać, oddali duchowieństwu liczne dobra i całe mienie swoje. Wielu z nich nie przestając na tém, z obawy piekła, przywdziało habit mniszy, jakoto: *Gui le Vieux, Roger le Batailleur* brat hrabiego Turynu, i t. p. Koniec świata nie przyszedł, a grzesznicy oddawszy źle nabyte majątki, przez resztę życia chcąc niechcąc pokutować musieli.«

Skoro Piemont stał się udzielném państwem, sabaudzkie chłopstwo całemi gromadami tam uciekało, spodziéwając się lepszego losu. Schwytani srodze karanemi bywali. Wtedyto, potężne naówczas duchowieństwo liczne dawało dowody Chrystusowéj dla bliźnich miłości, chroniąc ich w swych klasztorach przed żelazem prześladowców, lub żebrząc dla nieszczęśliwych o przebaczenie. Nareszcie papiéż Paskal II położył koniec nadużyciom, ogłaszając bullę znoszącą poddaństwo.

Piérwsze wieki dziejów sabaudzkich bardzo są dobrze odmalowane. Jeżeli fakt jaki nie jest jasny, Claude Genoux, zamiast rzucić się w krainę przypuszczeń, mówi poprostu »nie wiem.« Życzyćby należało, żeby pomiędzy historykami jak najwięcéj znalazł naśladowców.

„Ludność corazto wzrastała w Sabaudyi, mówi autor, a sposoby uprawiania ziemi były zawsze też same: ztąd poszło, że wielu ludzi szukać musiało chleba gdzieindziéj. Największa ich liczba szła do Włoch, i zaciągała się do wojska, nie zważając czyto Montegi, czy Capuleti, Gwelfy czy Gibeliny. Bijąc się jedynie dla zarobku, nie za wiarę, ani zasadę żadną, niewielką téż ci żołnierze okrywali się sławą. Nieraz bywało, że kiedy wojska przeciw siebie stanęły, zamiast się bić, parlamentowały, wypytując siebie wzajemnie, ile im zapłacono? W końcu za wspólną ugodą, zaczynali niby bitwę, ale tylko na pięście lub płazy, nie zabijając się wcale. Po częstych bojach tego rodzaju, które za straszne uchodzić mogły, tyle w nich było szczęku broni, i huku z wystrzelanych w powietrze ładunków, znajdowano co najwięcéj dwóch trupów na pobojowisku, a żołnierze mówili, że i to dosyć za te pieniądze.“

Jeszcze w początkach XIV wieku Sabaudya nie miała żadnego prawa pisanego: rządzona była zwyczajami francuz-

kiemi, jak Piemont zwyczajem lombardzkim. Hrabia Aimon, wielkorządzca, piérwszy utworzył w Chambéry radę wyższą, która orzekała o sądach panów wydanych przeciw chłopom. Rada ta zgromadzała się w miesiącu maju każdego roku. Wtedy Aimon wsiadłszy na konia, wraz z duchowieństwem, rycerzami i uczonemi z których złożona była rada, przebiegał kraj, i kazał sobie zdawać sprawę z zapadłych wyroków, zwalając lub potwierdzając takowe wedle ich słuszności. Te sądy zaprowadzone przez Aimona, trwały aż do 1430, w którymto roku ogłoszone zastały *Statuta Sabaudiae.*

Wiek XVI jak wszędzie, tak i w Sabaudyi zakrwawiły wojny religijne. Krew lała się strumieniem: miasta, fortece, napadały na się, i zdobywały jedne drugie. Późniéj, ubogi kraj niewiele większéj używał pomyślności.

Trzeba przeczytać całą książkę, żeby mieć wyobrażenie o klęskach, jakie ludzie i natura pospołu nań zsyłały. Opowiedziawszy opłakane dzieje Sabaudyi, Claude maluje charakter i serce jéj mieszkańców.

„Jak w ogóle każdy góral, Sabaudczyk kocha rodzinne góry, choć z nich uciekać musi. Dorobiwszy się trochę grosza, powraca, i kupuje w ojczyznie kawał gruntu, chociaż tenże ledwie mu dwa od sta przynosi, chociaż go dwa razy drożéj niż gdzieindziéj zapłaci. Sabaudczyk porzuca żyzne kraje, piękniejsze klima, łatwiejsze szczęście, i powraca umrzéć, gdzie się urodził: rodzinnéj ziemi składa w ofierze wszystko, co gdzieindziéj w krwawym pocie zapracował.“

Wyszedł ostatni poszyt *Dykcyonarza ekonomii politycznéj.* Ważne to dzieło jest streszczeniem prac wielu uczonych i publicystów, biorących udział w wielkich reformach społeczności francuzkiéj. Kollaboratorami tego pisma są: pp. Bastiat, Blanqui, tak wcześnie wydarty nauce, Dunoyer, autor znakomitego dzieła o wolności pracy, Chevalier, Garnier, Horacy Saj i wielu innych.

Dictionnaire de l'Economie politique obejmuje całą seryą kwestyj ekonomicznych i politycznych, w skróceniu cały rozwój instytucyj francuzkich pod względem finansowym, statystycznym i handlowym. Obejmuje oraz biogra-

fie wszystkich znaczniejszych pisarzy traktujących powyższe przedmioty, jak niemniéj bibliograficzną treść ich dzieł.

Jestto książka niezbędna dla każdego, ktoby się chciał obeznać z duchem ekonomistów francuzkich, poznać systema tego lub owego pisarza, którego dzieł obszernych nie ma ani czasu, ani chęci czytania. Dykcyonarz odznacza się wielką jasnością i staranném opracowaniem, cechującém wszystkie utwory znakomitych jego współpracowników.

Nie jestto encyklopedya racyonalna ekonomii politycznéj, ale raczéj wyraz tak zwanéj *ścisłéj szkoły ekonomistów.* Że jednak szkoła ta zna wszystkie dźwignie towarzyskie, wszystkie instytucye ekonomiczne, że prace jéj historyczne są podstawą téj nauki, że pisze z niezaprzeczonym talentem i znajomością rzeczy; przeto Dykcyonarz nietylko na uwagę każdego myśliciela zasługuje, ale nadto ułatwi pracującym w tym przedmiocie długie i męczące poszukiwania, w końcu bowiem każdego artykułu znajduje się rezonowana treść bibliograficzna wszystkich dzieł specyalnych, wydanych w przedmiocie o którym traktował.

Pominąwszy stronnicze czasami pobłażanie, zamącające logikę moralnych i filozoficznych konkluzyj, słusznie należy się autorom Dykcyonarza pochwała za wytrwałość w bronieniu interesów pokoju i pracy. Sprawiedliwe zarzuty, jakie *szkoła* czyni socyalistom, zmusiły ich do upamiętania i rozwagi; co także niemałą jest usługą dla społeczności francuzkiéj, chciwéj wszelkiéj nowości, bez względu czy w dobre czy złe końce prowadzi.

Najważniejszy zarzut, jakiby uczynić można temu tak ze wszech miar ważnemu dziełu jest, że zamało zbadało ducha i potrzeby swego kraju. *Szkoła* ekonomiczna nie umiała, czy nie chciała wniknąć w ducha francuzkiego narodu. Sposób jéj zapatrywania się na rzeczy jest czysto angielski: jéj dążenia, widoki, ideały, przesądy są angielskie.

Już Montesquieu i szkoła jego probowała wprowadzić do Francyi angielskie ustawy, ale proba się nie udała, i udać się nie mogła. Ile wrodzony jest Anglikom instynkt konserwatywny, powolność i uszanowanie dla prawa; o tyle wrodzona Francuzom burzliwość i samowolność. Francuz źle czy dobrze—rezonuje zawsze.

Anglia odnosi niezaprzeczenie wielkie korzyści ze skoncentrowania sił swoich w ręku arystokracyi finansowéj; jedność, duch przedsiębiorczy, śmiałość pomysłów i wykonanie ich na wielką skalę, które ze skupienia sił wynika: nadały przemysłowi jéj potężną żywotność. Francya nie ma téj korzyści, i nad tém właśnie niedosyć zastanowiła się szkoła ekonomistów, określając jéj organizacyą. Ten jest a nie inny powód jéj małego wpływu na opinią.

Dykcyonarz w ogóle nie znosi innych zdań prócz swoich; każde twierdzenie przeciwne, choćby na uwagę zasługiwało, bez namysłu odrzuca. W ogóle nadto na zdaniach swych polega, nadto na swych zasadach politycznych się opiéra, żeby tworzyła naukę, którąby nie była zmienną funkcyą zmiennych okoliczności politycznych.

Pojawienie się powyższego dzieła, zwłaszcza w chwili takiéj niepłodności umysłowéj, ważnym jest wypadkiem i na uwagę powszechną zasługuje.

Francuzki dziennik medyczny umieścił długi artykuł pod tytułem: *Ludzie z ogonami*, napisany przez jednego z współpracowników swoich, pana Couret, oraz rycinę przedstawiającą człowieka nagiego, z podpisem: *Człowiek z ogonem, widziany w Mekce roku* 1842.

Piérwsza myśl nastręczająca się na widok tego rysunku jest, że artykuł traktuje o jednym z tych potworów, które się zdarzają pośród rodziny ludzkiéj; ale przejrzawszy pismo, czytelnik z wielkiém dowiaduje się zadziwieniem, że wizerunek ów, to nie żadna anomalia, ani monstrum żadne, ale rasa odrębna: że istnieje cały szczep jemu podobnych ludzi.

Dotąd znano tylko ludzi mniéj więcéj do małp podobnych; główna ich różnica na tém się właśnie zasadzała, że nie mieli ogonów, a umieli mówić. Ludzie z ogonami o których pisze pan Couret, mówią nietylko swoim, ale i arabskim językiem. Niemały to sęk dla naturalistów, w jakiéj kategoryi umieścić przybyszów? Jeżeli ich do ludzi przyłączą, ogon zawsze zawadzać będzie; jeżeli między małpy policzą, ogonowi gotowiby się upomnieć o swoje pra-

wa. Zadanie trudne: nie ma rady, tylko w łańcuchu jestestw ustawić ich tak, żeby zawsze twarzą do ludzi, a ogonem do rodzaju małpiego obróceni byli. Mała rzecz ogon, a fałsz wielki zadaje najsławniejszym naturalistom, którym się wydawało, że cały łańcuch przyrodzenia zbadali, i rozklassyfikowali ostatecznie.

Wprawdzie już 1677 roku pewien podróżny Holender, Jan Struys, wspomina w podróżach swoich, że widział na wyspie Formozie w Afryce, człowieka z ogonem na stopę długim, obrosłym siercią rudą, bardzo podobnym do ogona wołu; któryto człowiek powiadał mu, że wszyscy mieszkańcy południowéj części téj wyspy, tak jak on są zbudowani; ale uczeni wyśmiali Holendra, w żywe oczy kłamstwo mu zadając.

Później, naturalista Hornemann głosił, że pomiędzy zatoką Benin a Abissynią, istnieje pokolenie antropofagów ludożerców, zwanych *Niam-Niam*. Doniesienie jego także między bajki policzone, nie większe od poprzedniego sprawiło wrażenie w naukowym świecie. Prawiący o ludziach z ogonami policzeni zostali w rząd tych, co zapewniali niegdyś o istnieniu Cyklopów w Indyach, Centaurów w Scytyi, Syren, i tym podobnych rzeczy, w które wierzono dawniéj, w które wierzył nawet święty Izydor, chociaż przypuszczenie antypodów jako absurdum odrzucał.

Tak stały rzeczy w kwestyi ogonowéj, kiedy 1849 r. pan Couret wróciwszy z Mekki, złożył Akademii relacyą o człowieku z ogonem, którą dzisiaj w dzienniku medycznym ogłasza. Jednocześnie dwóch podróżnych poparło twierdzenie pana Couret, zapewniając, że ludzi z ogonami na własne oczy w Abissyni widzieli.

Tyloma świadectwami zachwiany upór uczonych naturalistów, chcąc nie chcąc ustąpić musiał oczywistym dowodom; jednak niechętni odkryciu, nie głosili go, spodziewając się zawsze, iż nowi podróżnicy zadadzą fałsz poprzednim.

Zamiast jednak oczekiwanego zaprzeczenia, w r. 1851 pojawiła się broszura pana Francis de Castelneau, pod tytułem: »*Wiadomość o środkowéj Afryce, i o ludziach z ogonami, którzy tamże znajdować się mają.*« w któréj zdając sprawę Akademii z wyprawy na *Niam-Niamów*, dokonanéj przez pokolenie Hausassów, autor mówi w te słowa:

»Dziewięć dni i dziewięć nocy spędziła wyprawa w tych dzikich i strasznych puszczach (lasy Lankandonu), częstokroć drogę sobie siekierami torując, ażeby przeprowadzić konie. Przez cały ten czas napotykała bardzo wiele przeróżnych zwierząt, ale ani jednego człowieka. Minąwszy puszcze, Hausassy musieli się drapać po stromych górach i skałach. Tak idąc przez dni kilka, spostrzegli wreszcie bandę dzikich *Niam-Niamów*, śpiących na słońcu. Hausassy przybliżyli się do nich pocichu, i pozabijali co do jednego. Następnych dni spotykali inne bandy; jednę z nich zeszli przy bankiecie z surowego ludzkiego mięsa. Głowy trzech zabitych ludzi wędziły się w ognisku zatknięte na długich dzidach.

»P. Manuel (Francuz) był członkiem téj wyprawy i naocznym świadkiem utarczek. Poległych *Niam-Niamów* oglądał bacznie; nie można więc wątpić o istnieniu tego pokolenia. P. Manuel powiada, że wszyscy ci ludzie mają ogony długie na 40 centimetrów, w przecięciu grube trzy cale. Ogony te są zupełnie gładkie. Pomiędzy trupami znaleźli kobiety podobnie zbudowane. Zresztą rassa ta nie różni się powierzchownością od innych negrów. Płeć mają czarną, zęby nadzwyczaj białe, ciało bez wycisków; bronią się maczugą i strzałami, w utarczce krzyczą przeraźliwie. Uprawiają ryż, kukurudzę i inne zboża. W ogóle są bardzo pięknie zbudowani: włosy mają nie kędzierzawe. Hodują dziwną rasę wołów bez-rożnych, ogromne kozy i owce.

„Hausassy przez sześć miesięcy przebywali i plądrowali w téj okolicy. Sąto obszerne wyżyny pokryte niedostępnemi skałami, *Niam-Niamy* po większéj części kryją się w ich rozpadlinach, niektórzy budują sobie słomiane szałasy.

„Z dziką zajadłością napadali na nieprzyjaciół; jednakże liczba tych ostatnich była przeważna, wodzowie *Niam-Niamów* prosili o pardon, ale król Kanu kazał swemu wojsku zabijać wszystkich, bo mają ogony, więc nikt ich kupić nie zechce.«

Pan Couret w dzienniku medycznym twierdzi przeciwnie, że *Niam-Niamy* nietylko nie są piękni, ale szpetniejsi od wszystkich znanych szczepów; powiada, że prócz ogona który ich bardzo do zwierząt podobnemi czyni, mają długie stojące uszy, niezmiernie nizkie czoła, cienkie nogi, i dłu-

gie wiszące ręce. Ten którego widział w Mekce, był niewolnikiem. Niezmiernie wierny panu, miał tylko tę jednę drobną wadę, że był antropofagiem; ale pan dbały o całość swoję, i niechcąc go wodzić na pokuszenie, wydzielał mu codziennie racyą surowéj baraniny na pożarcie. Tym sposobem żyli w zgodzie od lat wielu. Wedle podania niewolnika, cała horda z któréj pochodził, podobnie jemu zbudowana, zwie się *Ghilanes* albo *Niam-Niam*.

Po złożeniu powyższego raportu Akademii, rząd francuzki dał polecenie panu Couret, żeby przywiózł *Niam-Niama* do Francyi. W téj missyi udał się powtórnie do Afryki, ale powrócił z niczém, bo dojść do nich nie mógł. Istnienie ich jest wszelako stwierdzone wiarogodnemi usty. Abd-el Rachman-Ben-Dzellab, sułtan Tuggurtu, z którym zapoznał się p. Couret w Afryce zapewniał go, iż miał na swoim dworze Negrzycę z długim ogonem z rassy *Niam-Niamów*.

Co do kobiét, podania także się nie zgadzają. Jedni utrzymują że są brzydkie i z ogonami, inni że piękne i bez ogonów. Które szczęśliwsze, kronika milczy.

Cóżkolwiekbądź zdaje się rzeczą pewną, że szczep *Niam-Niamów* istnieje, i że w łańcuchu stworzeń zabierze miejsce pośrednie między negrem a orangutanem.

Zewnętrzne mury pałacu wystawy stoją już pokryte szklanym dachem. Roje robotników zdobią fasadę, wnętrze zaś jako budowane z samego tylko żelaza, jest istną kuźnią Wulkana. Gmach zbudowany jest w podłużny czworobok; wyskakujące bramy i narożniki przyjemnie łamią jednostajność linii. Wewnątrz równolegle bokom prostokąta, biegnie jednopiętrowa galerya, wsparta na czterech szeregach kolumn żelaznych, dźwigających półkolne dachy galeryi, jak niemniéj dach o wiele wyższy od poprzednich, który nakrywa niezmierny podwórzec, stanowiący w środku salę bezpiętrową. Pomysł jest więc prosty: mury stanowią ogrodzenie tylko, wewnętrzna zaś konstrukcya z żelaza stojąc od nich niezależnie, dźwiga dachy, i sama dla siebie odpowiada warunkom statyki.

W chwili obecnéj trudno jeszcze o całości wyrokować; gmach wiele zyska zapewne na wykończeniu, gustownem

opracowaniu szczegółów tak zewnętrznych, jako i wewnętrznych. Główne jednak zarysy pozostaną, a widok zewnętrzny budynku zdaniem znawców i nieznawców, jest trochę przyciężki, trochę niesmaczny, mianowicie téż tym, co o londyńskim pałacu wystawy nie zapomnieli. Paxton, sławny budowniczy pałacu kryształowego, zwiedzając paryzki pałac wystawy z tutejszemi budowniczemi, ujrzawszy mury, zawołał po francuzku z mocnym angielskim akcentem: „Ah! diable! il se pourrait bien que cela soit trop fort!« Mimo całéj dla kolegów uprzejmości, którą starał się pokryć niemiłe wrażenie, wyszedł widocznie niezadowolony.

Środek budynku niezmiernie obszerny, krzywizny dachów wielkiego promienia, wydają się widzowi przygniecione u szczytu; ztąd powszechne zdanie, że gmach za nizki, i ma formę rozklapłą. Francuzi uprzedzając nieprzychylne zdania, twierdzą, że przedsiębierca budowy, Anglik, któremu rząd na wystawienie gmachu dwadzieścia milionów franków przysądził, połowę tylko téj summy na budowę użył. Czy to jest prawda, czy bajka, zródło w zazdrości mająca:—trudno dziś wiedzieć, jak również czas dopiéro pokaże, czy wedle zdania wielu inżynierów, wiązanie nad główną salą nie wytrzyma mocnego ataku burzy bez zwichnięcia.

W tych dniach połączono elektrycznym telegrafem pałac wystawy z gmachem, w którym zasiada wyznaczona dla wystawy powszechnéj kommissya.

Taż kommissya wydała świéżo broszurę: *System klassyfikacyi przedmiotów na wystawę nadesłać się mających.* Kommissya powiada, że nie rozklassyfikowała przedmiotów wedle pojęć filozoficznych; mniemała bowiem, że głównym celem klassyfikacyi jest ułatwienie ocenienia tak widzom, jako i sędziom, wystawionych produktów. Dlatego odrzucając te lub owe systemata wolała raczéj korzystać o ile możności z doświadczenia wystawy londyńskiéj, i przejąć układ ile można do niéj zbliżony. Wychodząc z powyższéj zasady, postanowiła zgromadzić w każdéj gałęzi przemysłu nietylko wyrób gotowy do handlu, ale zarazem materye pierwotne z których powstaje, i narzędzia jakich do odrobienia tegoż wyrobu użyto. Ażeby nie mnożyć nadto wydzia-

łów, a tém samém nie utrudniać pracy przysięgłym sędziom, niektóre gałęzie przemysłu, choć różniące się między sobą, do jednéj klassy policzone będą. Wystawa dzielić się ma na dwie części: *Dział przemysłowy* i *dział sztuk pięknych*; piérwszy obejmie siedm grup i 27 klass, drugi jednę grupę i 3 klassy. Podział wypadnie w sposób następujący:

Dział piérwszy (przemysłowy).

I *grupa. Materyały surowe.*

1 klassa. Sztuka górnicza i metalurgiczna.
2 klassa. Leśnictwo, myślistwo, rybołóstwo, produkta nie potrzebujące uprawy.
3 klassa. Rolnictwo (w niém objęte hodowanie zwierząt).

II *grupa. Zastosowanie sił mechanicznych.*

4 klassa. Mechanika ogólna zastosowana do przemysłu.
5 klassa. Mechanika zastosowana do kolei żelaznych i innych sposobów przewozu.
6 klassa. Mechanika specyalna warsztatów przemysłowych.
7 klassa. Mechanika zastosowana wyłącznie do warsztatów tkackich.

III *grupa. Przemysł zasadzający się na użyciu odczynników fizycznych i chemicznych.*

8 klassa. Przemysł związany z nauką i nauczaniem.
9 klassa. Przemysł dotyczący ekonomicznego używania ciepła, światła i elektryczności.
10 klassa. Chemia, farbierstwo, wyciski, wyroby papiernicze, skórzane, kauczukowe i t. p.
11 klassa. Preparowanie i konserwowanie żywności.

IV *grupa. Przemysł spowinowacony z nauką.*

12 klassa. Hygiena, aptekarstwo, medycyna i chirurgia.
13 klassa. Marynarka i sztuka wojskowa.
14 klassa. Budownictwo prywatne.
15 klassa. Stal surowa i wyroby z niéj.

V *grupa. Wyroby z produktów mineralnych.*

16 klassa. Wyroby metalowe grube.
17 klassa. Złotnictwo, wyroby bronzowe artystyczne.
18 klassa. Przemysł hutniczy, szkło, porcelana.

VI *grupa. Tkaniny.*

19 klassa. Wyroby bawełniane.
20 klassa. Wyroby wełniane.
21 klassa. Wyroby jedwabne.
22 klassa. Wyroby lniane i konopne.
23 klassa. Trykoty, dywany, wyroby szmuklerskie, hafty, koronki.

VII *grupa. Meble, dekoracye, mody, desenie, muzyka.*

24 klassa. Wyroby tyczące umeblowania.
25 klassa. Ubiory modne, fantastyczne.
26 klassa. Wzory, desenie, fotografie.
27 klassa. Instrumenta muzyczne.

Dział drugi (sztuk pięknych).

VIII *grupa. Sztuki piękne.*

28 klassa. Malarstwo, sztychy i litografie.
29 klassa. Rzeźby i medale.
30 klassa. Architektura.

Wychodzi także w feiletonie powieść z dzieł pośmiertnych Balzaka: *Les petits Bourgeois*, bardzo zajmująca.

Amerykański dziennik: *New-York-Weekly Herald*, zamieszcza następujące szczegóły o piérwszém wystąpieniu w Nowym Yorku sławnego tenora Mario i panny Grisi.

„Bilety sprzedawano przez licytacyą w teatrze Castle-Garden. W oznaczonéj godzinie zeszło się około 12,000 osób. Sprzedaż rozpoczęto bezzwłocznie.—Panowie, rzekł sprzedający pan Leeds—zawiadamiam was, że bilety będą przyznawane temu, kto da więcéj. Zanim rozpoczniemy, uprzedzić was muszę, że numera loż od 1 do 56 naprzeciw

sceny, zachowane są dla gubernatora i jego orszaku. Cena miejsc numerowanych i krzeseł, naznaczona jest po 5 dolarów, wszystkie inne po 3 dolary. Na miejscu licytowaném stać będzie dla oznaczenia go, człowiek z chorągwią czerwoną!

Głos z tłumu: Ile miejsc zostawiłeś pan gubernatorowi?

P. Leeds: Od numeru 1 do 56, na przeciw sceny.

Głos z tłumu: O jakim że to gubernatorze mowa? (śmiechy).

P. Leeds: O gubernatorze stanu Nowego Yorku panu Seymour.

Tenże głos: Jestem demokrata, i dlatego zadałem panu to pytanie.

P. Leeds: Bardzo słusznie, masz pan do tego zupełne prawo, najzupełniejsze prawo. No, teraz zaczynamy. Gdzie jest człowiek z czerwoną chorągwią?

Głos: Jestem!

P. Leeds: Dobrze. Trzymajże ją tak, żeby każdy widział. Tak! dobrze, trochę naprzód. Zaczynamy od numeru 600. Ten komu to miejsce przysądzone zostanie będzie miał prawo do nabycia jeszcze dziesięć miejsc za tęż samą cenę. Ileż dajecie panowie za to miejsce, tam oto gdzie chorągiew powiewa, na dole, naprzeciw sceny? Ile dajecie.

Głos: 50 dolarów.

Inny głos: 75.

P. Leeds: 75! Daléj panowie! 80, 90, 100, 125, 150, 175, 200, 225, 250! Kto da więcéj, to najlepsze miejsce: 250 dolarów! Jeśli nikt nie da więcéj, przysądzam; nikt nie daje? Przysądzono za 250 dolarów panu Kuc!

Głos: Cóż to za pan Kuc? (śmiechy).

P. Leeds: Nie wiém. Wiém tylko, że mi zaliczono 50 funtów szterlingów za miejsce; zaręczam panom, że bardzo tanio nabyte. Kto chce widzieć pokażę pieniądze. Teraz idźmy daléj.

Odpowiedź pana Leeds jeszcze mocniéj zaciekawiła zgromadzenie: każdy chciał wiedzieć kto jest ten tajemniczy pan Kuc, którego nikt nie zna w Nowym Yorku. Dowiedziano się w końcu, że to nazwisko przybrała pewna bardzo bogata Angielka.

Kiedy Mario śpiewał w Londynie, taż sama dama ani jednéj nie pominęła reprezentacyi, i zasiadała zawsze naprzeciw niego. Skoro tenże artysta pojechał do Rossyi, udała się za nim. W petersburskim teatrze piérwszą osobą którą spostrzegł, była owa angielska admiratorka; a kiedy ztamtąd udał się do Nowego Yorku, Angielka najęła okręt, w ślad za nim popłynęła, i na licytacyi kupiła piérwsze miejsce".

Amerykański dziennik dodaje, że summa za sprzedane miejsca wyniosła 125,000 dolarów; a ponieważ najwięcéj rozkupili spekulanci w zamiarze odprzedawania takowych, można śmiało obliczyć sprzedaż na 150,000 dolarów. Jeżeli do téj summy dodamy, mówi dziennik, pieniądze wydane na ubiór, rękawiczki i pachnidła, nie rachując najętych powozów: wystąpienie Grisi i Mario kosztowało mieszkańców Nowego Yorku przeszło 175,000 dolarów.

ROZMAITOŚCI.

Kilka słów o poezyi mazowieckiego ludu, przechowanéj w obrzędach.

Któż badawczém okiem nie wgląda w tajniki życia ludu, nie śledzi jego nawyknień i obyczajów? Kogo nie zachwyca wzniosły polot jego wyobraźni, odbijający tak jasnym połyskiem w jego powieściach i podaniach? Kto nie słucha z upodobaniem jego rzewnych i serdecznych pieśni? Kto nie podziwia prawdy, co jak czysta krynica bije z jego przysłów i przypowiastek? Kogo nie zastanowi jego mowa: — prosta, szorstka, daleka od ogłady; ale dosadna, pełna poetycznych przenośni, żywotnych, bo branych wprost z przyrody? Któż wreszcie bez głębokiego współczucia może patrzéć na cichy żywot owych prostaczków, przyrosłych sercem i duszą do rodzinnéj ziemi, przechowujących tradycyjnie rodowe nasze cnoty: szczérą pobożność, serdeczną gościnność i wzajemną miłość; owe wydatne cechy, które wieki wypiętnowały na obliczu naszém, a które tak się dziś zacierają wpływem niszczącego wszystko samolubstwa!...

Zkądże pochodzi obecny zwrot, jakim sposobem świat uczony przyszedł nagle do ocenienia tego, co przez tyle wieków leżało mu przed oczyma, jak bryła samorodnego a drogiego kruszcu, na którego wartości poznać się nie umiał, na który spojrzéć nawet nie raczył?

Zwrot ów nagły dowodzi jasno, że ludzie ostudzeni obecnym powiewem czasu, zatęsknili wreszcie za poezyą. Chłodno im było przy wygasłych domowych ogniskach, na których przestał gorzeć, jak za dawnych lat, płomień cnót rodzinnych i towarzyskich. Obudzony przemysł, wyganiał bowiem poezyą z domowych progów; dostarczając ludziom środków łatwego używania wygód i przyjemności, rozpowszechniał powoli zgubny materyalizm; a pochlebiając zmysłowéj stronie człowieka,

obojętnił go na potrzeby ducha. Próżność, w miejscu dawnéj serdeczności stała się głównym ogniwem, łączącém ludzi nawzajem między sobą. Pod jéj chłodném tchnieniem więdnął kwiat życia, zaciérały się domowe cnoty.

Jakby natchniony apostoł prawdy, odezwał się wtedy zacny estetyk i poeta, Brodziński: „Szukajmy“—wyrzekł on, „prawdy i piękności; szukajmy poezyi w życiu ludu, w jego obyczajach, w jego uczuciu, w jego nieskończonéj prostocie!“ Słowa te stały się hasłem ogólném. Poezya przestała być czczą zabawką i igraszką chwilowéj mody, ale bystrym nurtem wpływać jęła w życie, z którego wypływała bezpośrednio. Tym sposobem weszła na właściwe sobie stanowisko, i dziś, w całém znaczeniu, spełnia wysokie swoje przeznaczenie.

W owymto żywocie rodzinnym, cichym, bogobojnym i pełnym prostoty, znajdzie poeta bogaty zasób poezyi. Tam niech czerpie pełną dłonią poetyczne barwy, i niechaj niemi krzepi ostygłe natchnienie!

Kiedy już tyle współpracowników zniosło do literackiéj skarbnicy plony swoje, uzbierane na wielkiéj niwie ludowego żywota; dorzucam i ja kłos do wspólnéj pracy. Ze wszystkich innych przechowanych tradycyą obrzędów, w obrzędzie weselnym najwydatniéj odbija charakter ludu;— tu najobszerniejsze ma pole do objawienia się jego serdeczna gościnność, jego praktyczny rozum: słowem, cała jego poetyczna strona. Uważają małżeństwo jako zakon boży, jako węzeł nienaruszony, który śmierć dopiéro rozwiąże. Lud pragnie uczcić chwilę zawarcia świętego związku, zabawą i ucztą, na jaką tylko w położeniu swojém zdobyć się może. Jestto chwila szczérego i prawdziwego wesela! Każdy z wezwanych na gody czuje się w obowiązku uczestniczenia w serdecznéj i powszechnéj radości; zrzuca więc z duszy wszelki ciężar jaki dolegać jéj może, bawi się i cieszy, bo to wesele, bo to gody, bo to dzień, w którym dwoje współpracowników przybywa do winnicy Pańskiéj, aby w wspólnéj pracy, w wspólnych trudach i zabiegach, wspiérając się nawzajem przeszli ścieszkę życia do grobu, jak to czynili ich ojcowie i dziady! Do tylu więc znanych już opisów weselnego obrzędu, dokładam jeszcze opis wesela na Mazowszu, w okolicach Gombina i Sochaczewa. Jakkolwiek lud tutejszy nie jest tyle bogatym w pieśni, jak lud krakowski i lubelski; przecież w przechowanych zwyczajach nie braknie i jemu poetycznéj barwy.

Opis ten podaję w całéj prawdzie, zostawując czytelnikom pole do badania charakterystyki ludu tego, i porównania z sąsiedniemi a bratniemi plemionami.

Lud nasz zawiéra małżeńskie związki, wyszedłszy zaledwie z dzieciństwa. Skoro młodzian dojdzie lat ośmnastu, już mu ro-

dzice obmyślają żonę. Upatrzywszy więc we wsi dziéweczkę, posyłają swachę, zwykle we środę wieczór, do domu jéj rodziców. Po pozdrowieniu: „Niech będzie pochwalony“, na zapytanie po co przyszli, odpowiadają: że szuka zabłąkanéj jałówki, lub gąski. Matka zarzeka się, że jéj na oczy nie widziała. Swacha wpiéra z swéj strony, a potém zapytuje o dziewczynę. Gdy dziéwczę przywołane wchodzi, swacha odzywa się wesoło: „Otóż to ta sama jałówka, któréj szukamy; gdzieżeś się nam oto zabłąkała?“ Na te słowa zawstydzona dziewczyna boczy się i ucieka, zasłaniając oczy fartuchem.

Po owym zwyczajnym wstępie, następuje wyraźne oświadczenie. Matka zdraża się zrazu: „Szkoda dziewczyny—mówi, nabiédujeć się jeszcze niemało na świecie: tyle jéj dobrego, ile użyje u rodziców w chacie.“ Swacha znowuż zachwala pana-młodego, wylicza jego dostatki i zalety: „Nie pójdzieć wasza dziéwka na puste kąty, mówi ona, chłopak dobry, urodziwy, z poczciwego gniazda: nie będzie krzywdy waszemu dziecku. Następnie zwraca się do dziewczęcia, i czyni jéj takież same przedstawienia.“ A cóż Maryś, będzieszże go chciała?—pyta nakoniec stanowczo. „Czy ja tam wiém“ oto zwykła odpowiedź dziewczyny, która wstydzi się, płacze, zasłania oczy i kryje się w najciaśniejszy kątek izby, a najczęściéj tuli się za piecem.

Swacha mimo oporu dziéweczki, woła na nią o kieliszek. Wówczas matka przemawia do córki wystawiając jéj ciężkie obowiązki nowego stanu. Swacha z swéj strony przekłada jéj, że nie pójdzie przecie na żadną poniewierkę. Dziewczyna w końcu wychodzi z za pieca, i podaje kieliszek. Bliższa rodzina zbiéra się na radę. Swacha klasnąwszy w ręce na znak radości, że sprawa już ubita; błogosławi kieliszek, nalewa go wódką, którą wszyscy piją dokoła. Po wódce przybywa ochoty, następują narady co do posagu. Rodzice dziéwczęcia zastrzegają sobie jeszcze czas do namysłu, do dnia następnego. Pan-młody nie bywa nigdy obecnym owym przedwstępnym układom.

We czwartek wieczorem odbywają się formalne oświadczyny; przychodzi więc pan-młody w towarzystwie ojca lub matki, jako téż swachy, i kogoś z rodziny lub kumów. Matka dziéwczęcia oczekuje już na gości, i przyrządza na ich przyjęcie placki, sér, miód, gorącą wódkę ze słoniną: słowem, co się znajduje w domu. Jeżeli chata bardzo uboga, musi być przynajmniéj chléb z solą. Pan-młody dobywa flaszę z wódką, pije do dziewczyny, która po zwykłém zdrażaniu podaje kubek, pije sama, a za nią reszta rodziny. Potém następują dokładniejsze niż dnia poprzedniego umowy co do wesela, co do zaproszenia gości, w czasie których oboje młodzi, zawstydzeni i nieśmieli, nie wychodzą prawie z za pieca.

W sobotę wieczór pan-młody idzie prosić dwóch statecznych i możniejszych gospodarzy w dziewosłęby. Uprosiwszy, przyprowadza ich do domu rodziców panny młodéj. Rodzice pana-młodego, jakotéż starsi z rodziny lub kumów, przybywają także. Po hojném uczęstowaniu, składają wszyscy stanowczą naradę co do wesela. Dziewosłęby wyprowadzają z kątów państwa-młodych, przemawiają do nich, wskazując im nowe obowiązki; nareszcie skłaniają ich, aby sobie nawzajem podali ręce. Obrzęd ten zwie się z r ę k o w i n a m i.

W niedzielę rano starszy dziewosłąb przychodzi z koszałką do rodziców panny-młodéj. Dziéwczę kładzie mu w koszałkę kapłona lub kurę, jako dar dla plebana. Po zwykłém uczęstowaniu, dziewosłąb idzie do kościoła, niosąc pieniądze na zapowiedzi. Państwo-młodzi nie bywają w dniu tym w kościele, ale pozostawszy w domu, czynią przygotowania na przyjęcie gości. Po nabożeństwie idą oboje na wieś, i spraszają na obiad tych wszystkich, którzy mają być zaproszeni na wesele; zbiéra się czasem do kilkudziesięciu osób. Po sytym obiedzie złożonym zwykle z czarniny, gęsi, kapusty, skopowiny i kaszy, muzyka gra, młodzież tańcuje, a starsi odbywają naradę. W tym dniu stanowią ostatecznie, kto ma być zaproszony na drużbów i druchny, zkąd sprowadzić grajków: słowem, jak wystąpić najprzyzwoiciéj, żeby przecie wszyscy we wsi długo pamiętali wesele. Jeżeli rodzice panny-młodéj należą do zamożniejszych we wsi, wówczas podejmują sami koszta weselnego obrzędu, które są znaczne, bo częstokroć do trzechset złotych dochodzą; w przeciwnym razie, każdy z zaproszonych w dzień zapowiedzi oświadcza, w czém się przyczyni do składki, a nazajutrz zrana, przynosi do chaty co przyrzekł. Do owéj składki należy zboże wszelkiego rodzaju, wódka, piwo, kasza, mięsiwa: słowem, na co kogo stanie. Panna-młoda z swéj strony w niedzielę wieczór zamawia sobie druchny, pan młody drużbów, których liczba zwykle parzysta, dochodzi do sześciu lub ośmiu.

W następną niedzielę, rodzice panny-młodéj, jadą wraz z nią do blizkiego miasta, gdzie zakupują wszystko co potrzeba na wesele. Druchny idą także po wstążki: słowem, wszyscy prawie zaproszeni na gody, zwłaszcza jeżeli wieś zamożna, znajdują się w dniu tym w miasteczku.

We czwartek przed ślubem, panna-młoda jakkolwiek ma już zamówione druchny, idzie przez ceremonią do domu ich rodziców, z prośbą, aby dali pozwolenie córkom; pan młody z swéj strony uprasza o drużbów gospodarzy. Otrzymawszy pozwolenie, wybiéra zpomiędzy nich dwóch, którzy mają być starszemi drużbami i prowadzi ich do weselnego domu (tak się bowiem nazywa dom rodziców panny-młodéj). Po hojném uczęstowaniu, dwaj drużbowie idą sami do wszystkich domów zaproszonych już

na wesele, i powtarzają jeszcze zaprosiny. Ceremonia ta odbywa się zawsze w nieodmiennéj formie: są na to właściwe słowa oracyi. Starszy drużba czyta ją niby z książeczki lub papieru, który trzyma w ręku.

Wszedłszy do chaty, po zwykłém pozdrowieniu: „Niech będzie pochwalony“, stojąc u progu, mówi:

— Winszujemy dnia dzisiejszego,
Przysłani my tu od dwojga państwa-młodego.
Nas dwóch braci zebrali,
Bym wszystkiego waspaństwa spraszali,
Byście państwo niewymowni byli,
Dwojga państwa młodego,
Do stanu małżeńskiego
Doprowadzili.
Ten stan małżeński nie za nas się począł,
Nie za nas się skończy;
Począł się z żebra Adamowego,
Które nie słuchało przykazania boskiego.
I to bystre ptaszyna
Pod obłoki latało,
Różnego—rozmaitego
Ziółka szukało.
I nas téż pan-młody
Szukał do swojéj upodoby,
Jak znalazł do swojéj upodoby
Nie udał się nigdzie,
Tylko do Stwórcy jedynego
I do domu tutejszego.
Łaskawe państwo, byście niewymowni byli,
Dwojga państwa-młodego,
Do stanu małżeńskiego
Doprowadzili.
Od stanu małżeńskiego
Do domu karczemnego,
A z domu karczemnego,
Do domu weselnego,
Na miłe posiedzenie,
Na mile pogadanie,
Na sądek wódeczki
Na piwa dwie beczki,
Na war piwo
Na chleba pieczywo,
Na szarońdca (1) szpilkowanego.
Kto tego szarońdca zażyje,
To się dobrze piwka napije.

(1) Zająca.

Będzie tam grała sekunda i bas,
Kto się nie naje, nie napije,
Pójdzie do dom wczas.
Nie maszci to nie masz
Jak starszemu drużbie;
Do garnka się przymknie,
Sztuczkę sobie wymknie,
Do komory się dotłoczy,
Piwka sobie utoczy,
I komu innemu
I koledze swemu;
I my też z braciszkiem
Będziem się starali,
Byśmy się dobrego
Piwka napijali.
Panie ojcze, pani matko,
Po weselach bywacie,
Wiécie co jadacie,
Groch i jagły—i tak zawdy.
Panie ojcze, pani matko,
Prosim was na tego wolcu,
Co wisi na krępolcu,
Drugi na oborze
I ten nam dopomoże.
Trzeci rogami po ścianie szoruje,
Bo rzeźnika w domu czuje.
Panie ojcze, pani matko,
Prosimy was na tego wieprza karmnego,
Miotłą potrąconego,
Igłą zakłutego.
I na kaczorów pięciu
Na skopów dziesięciu.
Panie ojcze, pani matko,
Prosim byście darowali
W czemem się nie spodobali,
Czyli w śpiewie, czyli w mowie,
Bom się nie uczyli w szkole,
Jeno u cepów w stodole.
Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Po owéj oracyi, drużbowie skłoniwszy się, wychodzą za próg, i udają się z kolei do wszystkich chat, zkąd poprzednio goście sproszeni już byli. Niekiedy jadą i na wsi okoliczne. Zaprosiwszy już całą drużynę, wracają do domu weselnego, gdzie zdają sprawę z swych czynności, a uczęstowani znowu, rozchodzą się każdy do siebie.

Przez piątek odbywają się w domu przygotowania. Zabijają wołu, wieprza, barany, gęsi, mielą kaszę; słowem, sposobią wszystko. Gospodarz wystawia piec w sieni, ażeby w dniu wesela nie zaprzątać miejsca w izbie. Kucharka ugodzona na wszystkie dnie, już od piątku zajmuje się przyrządzaniem strawy.

W sobotę rano, starszy dziewosłąb, przychodzi po pannę-młodą; uczęstowany jak zawsze, prowadzi oboje młodych do spowiedzi. Matka panny-młodéj zostaje zazwyczaj w domu, zajęta przygotowaniem. Dziewosłąb, w imieniu pana-młodego, opłaca księdza. Po powrocie do domu, częstują się w domu wszyscy gorącą wódką z miodem i plackiem. Dziewosłąb wraca do siebie, pan-młody zaś zajmuje się sprowadzeniem muzykanta: to jedno wyłącznie należy do niego, wszystkiém inném zresztą zajmują się drużbowie. Panna-młoda idzie na wieś, pożycza zewsząd misek, łyżek, talerzy, i znosi to wszystko do domu.

Przybywszy wieczorem z grajkami, pan-młody idzie sam po drużbów, a panna-młoda z swéj strony sprowadza druchny. Młodzież zszedłszy się do chaty, raczy się hojnie przekąską, poczém drużbowie idą znowu na wieś, i spraszają całą weselną drużynę na rozpletki. Każdego z przybywających rodzice panny-młodéj częstują we drzwiach kieliszkiem wódki i kawałkiem placka; a panna-młoda, każdego z obowiązku, obejmuje za nogi, na znak ukorzenia i przychylnego w dom przyjęcia, z wyjątkiem tylko młodych i to nieżonatych. Po takiém powitaniu, każdy idzie na izbę i śmiało się rozgaszcza w chacie. Muzyka gra, młodzież tańczy przyśpiewując i bijąc w obcasy, a starzy siadają na ławach, i przypatrują się radzi powszechnéj ochocie. Gdy się wszyscy poschodzą, drużbowie wystawiają stoły, pokrywają je czystém płótnem, rozstawiają miski, łyżki i noże, krają chleba dostatkiem, i przynoszą na stół postną strawę, która w dniu tym, jako w sobotę, składa się zwykle z kapusty i kaszy tatarczanéj z olejem.

Po obiedzie, skoro drużbowie powynoszą znów stoły, jeden z dziewosłębów, wyprowadza na izbę pannę-młodą i oddaje ją druchnom. Grajkowie sadowią się przy drzwiach, weselna drużyna obstępuje ich wkoło, a druchny oprowadzają po izbie pannę-młodą, jakby w polonezie. Tu następują śpiewy. Drużbowie przyśpiewują jednę zwrotkę, przemawiając do panny-młodéj w imieniu pana-młodego; druchny w imieniu panny-młodéj odśpiewują na nią. Po każdéj zwrotce przegrywają grajkowie.

Drużby śpiewają naprzód:

— Siwa gołębica — Powiedz-że moja Kasiu,
Przez pole leciała, Czy mnie będziesz chciała?

Na to odpowiadają druchny:

— Jużem ci powiedziała, Że cię będę mój Jasieńku
Prawą rączkę dała, Do śmierci kochała.

DRUŻBOWIE.

Bom ja zmókł, bo ja zmókł,
Suknia na mnie zmokła,
Stojący Kasieńku
U twojego okna.
Połamały mi się
U żupana fałdy,
Dowiadujący się
U Kasieńki prawdy.

DRUCHNY.

— Oj co za pan, co za pan,
Przez to pole jedzie;
Starszyćto dziewosłąb
Kasi wianek wiezie.
A wieźieć go wiezie,
Konik pod nim skacze;
Hej nasza Kasieńka
Swego wianka płacze.

DRUŻBOWIE.

— Nie płacz Kasiu, nie płacz,
Wianeczka nie żałuj,
Inny ci uwiją,
Ty mi ten podaruj.

DRUCHNY.

— Siada Kasia z żalem
Na białym kamieniu,
I rozpuszcza swój warkoczyk
Po prawém ramieniu,
„Nieszczęśliwam ja siérota
Na świecie,
A któż mi téż mój warkoczyk
Rozplecie!“

DRUŻBOWIE.

—A chodzić tam starsza druchna
Po sieni,
Nosi ona złoty grzebień,
W kieszeni,
I wstążeczki cztery łokcie,
Do tego,
Aby zapleść do wianeczka
Małego.

DRUCHNY.

— Hej już potoczę, potoczę
Swój wianek po stole,
A weźcież go panie ojcze,
A weźcież go odemnie.

DRUŻBOWIE.

— Córko moja, córko droga,
Wianeczka ci nie biorę,
Ale ciebie precz od siebie
Już na zawsze oddalę.

Tym sposobem prześpiewują kolejno do matki, sióstr, braci i bliższych z rodziny, po każdéj zwrotce panna-młoda obejmuje z płaczem nogi wzmiankowanych w pieśni osób.

Nakoniec druchny śpiéwają zwracając się do całéj weselnéj drużyny:

— Oj potoczę ja, potoczę
Mój wianeczek po stole,
A weźcież go już odemnie,
Weźcież go przyjaciele.

Drużbowie odśpiewują na to:

— Kasieńku moja, Kasieńku
Wianka ci nie bierzemy,
Ale ciebie już na zawsze,
Jasiowi oddajemy.

W czasie śpiewania, przystępują druchny ze wstążką i grzebieniem, rozplatają warkocz pannie-młodéj, rozpuszczają jéj włosy po plecach, przypinając do nich wstążki.

Po rozplecinach, druchny śpiewają razem:

— Oj nasza, nasza, nasza,
Jeszcze do jutra,
Nastąpić nam potém
Godzina smutna!

Śpiéw dotąd smutny był i żałosny; odtąd zaś grajkowie przygrywają weseléj, młodzież tańczy dokoła izby, a drużbowie w imieniu pana-młodego śpiewają znów ochoczo:

— A ryżały moje konie, ryżały,
Kiedy po wianeczek Kasi leciały.
A nie ryżcie moje konie, nie ryżcie,
Popasę ja was, popasę na życie.

Panna-młoda obchodzi wszystkich, i z płaczem obejmuje każdemu nogi. Wszyscy ją zosobna błogosławią; późno w noc rozchodzą się do domów. Starszy dziewosłąb z obowiązku bierze do siebie grajków i drużbów, daje im nocleg wygodny, a obfite nazajutrz śniadanie. Przy śniadaniu, druchny przynoszą wianki, które uwiły dla drużbów: z kapłonich piór, szychu, kwiatów robionych i wstążek, i te przypinają im na kapeluszach, do piersi zaś na lewéj stronie długie czerwone wstążki. Same druchny suto postrojone w wstążki, których czasem do 30 łokci spływa im dokoła głowy w rozmaitych kolorach, na sobie mają białe lub pstre spodnice, i czerwone albo błękitne gorsety.

Druchny i drużbowie wraz z dziewosłąbami i grajkiem, idą następnie do weselnego domu. Panna-młoda oczekuje na nich ubrana w co ma najlepszego. Unika tylko miéć na sobie cokolwiekbądź czerwonéj barwy, ta bowiem użyta w dzień weselny, zapowiada ogień. Po wódce i przekąsce drużbowie idą na wieś, spraszać po raz ostatni drużynę. Wchodząc do chaty, kłaniają się, a pozdrowiwszy jak zawsze w imię Jezus, mówią: „Panie ojcze, pani matko prosimy z sobą na weselne gody.“ Wszyscy więc zaproszeni idą razem z drużbami do domu weselnego, gdzie po wódce, starszy dziewosłąb staje na środku izby w obecności wszystkich sproszonych, i przemawia do państwa młodych w zwyczajne słowa błogosławieństwa:

„Kochane dzieci—mówi—przyozdobiliście się, jedno koroną na głowie, drugie bukietem przy boku; ale na miłość Boga, przed którego majestatem za kilka chwil staniecie, żeby wykonać sobie przysięgę, proszę was, abyście się zastanowili, że przysięga znaczy to, iż nigdy już rozłączeni być nie możecie, aż wtenczas, kiedy was ten sam Bóg zawoła do grobu. Odmieni wam się los w jakim dotąd zostawaliście, odmieni wam się wesołość i płochość, w kłopot, umartwienie i wylanie łez, z któremi, Boże zachowaj! żebyś ty córko, co w młodości twych lat odchodzisz od rodziców, nie stanęła za kilka miesięcy lub tygodni wśród nocy pod ich oknem i nie wołała: Ojcze! matko! otwierajcie prędko, a zobaczycie wiele bolu i udręczenia ponoszę od swojego męża, a waszego zięcia! Pamiętaj synu (to mówiąc dziewosłąb obraca się do pana-młodego) pamiętaj, że nie na to zobowiązujesz się być małżonkiem, żebyś miał być udręczycie-

lem, ale żebyś był ojcem, opiekunem i miłośnikiem téj małżonki, która za kilka chwil stanie się twoją. Ojcze i matko! zbliżcie się do swych dzieci, które ostatni raz w takim widzicie stanie, pobłogosławcie im i oddajcie je opiece Bogu, przed którego majestat odchodzą. Ja z wami razem łączę moje błogosławieństwo, i imieniem wszystkich obecnych mówię te słowa: „Idźcie moje dzieci w imię Boga, w imię Ducha świętego, w imię Trójcy Najświętszéj, wezwijcie na pomoc Najświętszéj Panny Maryi, aniołów stróżów, patronów i patronek waszych i wszystkich Świętych, aby byli teraz i na wieki z wami. Idźcie w imię Boskie, w imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen.“

Przy ostatnich słowach owéj przemowy, dziewosłąb macza kropidło w święconéj wodzie, i pokrapia niém państwa-młodych.

Po błogosławieństwie, państwo-młodzi kłaniają się wszystkim koleją: każdy zosobna ich żegna, wszyscy płaczą serdecznie rozrzewnieni.

Wtém muzyka zagra wesołego marsza, i cała drużyna idzie społem do kościoła, skacząc i wykrzykując ochoczo. Jeżeli nie ma kościoła we wsi, wszyscy siadają na wozy, grajkowie jadą w samym końcu.

Przyszedłszy lub przyjechawszy przed kościół, idą ku ołtarzowi w jednakim zawsze porządku. Naprzód postępują dwie starsze druchny, prowadząc się przez białą chustkę, którą każda trzyma za róg oddzielny. Daléj w tenże sam sposób starszy drużba prowadzi pannę-młodą, za temi znów idą druchny parami, w końcu pan-młody prowadzony przez drugiego drużbę, a naostatku cała weselna drużyna.

Po ślubie, który odbywa się zawsze po skończoném nabożeństwie, wszystkie pary w tymże samym porządku odchodzą od ołtarza. Jeżeli ślub odbywa się w obcéj wsi, wstępują na godzinkę do miejscowéj gospody, poczém siadają na wozy; a zajechawszy do wsi, znów do karczmy wstępują. Jadąc od ślubu, grajkowie poprzedzają wesele. W własnéj karczmie, rozpoczyna się przedwstępna zabawa: kobiéty rozchodzą się do domów, i za chwilę wracają znowu, znosząc placki, sér, masło, pieczone prosięta, kiełbasy, gęsi, kury: słowem, co która może, i każda z osobna rozkłada co przyniosła na stole, nakrywszy go białém płótnem, i częstuje krewnych, kumy i przyjaciół. Na piérwszém miejscu za stołem zasiadają państwo-młodzi, otoczeni druchnami. Rodziców panny-młodéj nie ma najczęściéj ani w kościele, ani w karczmie. Wszyscy zgromadzeni, z wyłączeniem państwa-młodych i druchen, składają się na wódkę i piwo. Muzyka gra od ucha, drużbowie śpiéwają, skaczą, biją w obcasy i wykrzykują wesoło. Zabawa i tańce przeciągają się do szaréj godziny.

Przychodzi wreszcie ojciec panny-młodéj, lub kto inny z weselnego domu i prosi za sobą całą weselną drużynę. Nie-

którzy przez ceremonią rozchodzą się do domów, ale drużbowie są obowiązani wynaléźć i sprowadzić każdego. Skoro się wszyscy zgromadzą w chacie, rozpoczynają się tany. Następnie drużbowie wnoszą nakryte stoły, rozkładają na nich łyżki i talerze. Państwo-młodzi i druchny zajmują znowu piérwsze miejsce i rozpoczyna się obiad weselny; przed rozpoczęciem którego gospodarz zwykle błogosławi strawę, mówiąc:

— „Pożywajcie śmiele,
Póki dusza w ciele;
Bo jak dusza wyjdzie z ciała,
Pożywać nie będzie chciała.
W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, Amen.“

Zabiérają się wszyscy do strawy złożonéj z czarniny, mięsiwa wszelkiego rodzaju, kilkorakiéj kaszy i kapusty. Dzieci z całéj wsi, bądź zaproszonych, bądź nie zaproszonych na ucztę kobiét, zbiérają się do chaty i snują się dokoła stołu, a po obiedzie dostają wszystko co pozostaje. Nazywają je w tym dniu grabarzami.

Po uczcie sprzątają znowu stoły i roznoszą kołacza, czyli placek z wołową pieczenią: każdy bierze go i chowa napotém. Dzielą ów kołacz na równe i spore części, żeby się wszystkim do domu po kawałku dostało. Po uczcie rozpoczynają się tańce, które późno w noc trwają.

Z niedzieli na poniedziałek, starszy dziewosłąb bierze znowuż na noc drużbów i muzykanta; ale drużbowie zamiast spoczynku, rozchodzą się po wsi i kradną co kto może. Zabiérają w każdym domu rozmaite rzeczy do ubrania i jedzenia, co się któremu wziąć uda. Z rana wchodzą na dachy, i zakładają niby tasy z pokradzionych przedmiotów. Sami zaś przebiérają się za żydów, brody przywiązują sobie z pakuł, poczernionych sadzami, czapki wykrojone z papieru lub sklejone ze starych kożuchów kładą na głowy, i udając żydowską mowę, wołają na przechodzących, aby kupowali od nich rozmaite rzeczy. Każdy więc rad wykupuje swoje, a za zebrane piéniądze, drużbowie zakupują wódkę i piwo, aby tym sposobem ulżyć dziewosłąbowi, który w tym dniu podejmuje całą weselną drużynę. Kobiety tymczasem przebrane za baby, a mężczyzni inni za dziadów, kwestują po wsi szperki, jaja i inne rzeczy, które zarówno znoszą do domu dziewosłąba. Ten przysposobiony oddawna, w obiadowéj godzinie rozsyła po wsi drużbów po weselną drużynę. Zgromadzają się wszyscy, jedzą, piją i tańczą; przed wieczorem zaś idą do karczmy, a ztamtąd po nowych zaprosinach, udają się znowu do weselnego domu, gdzie około godziny 9téj pożywają nową ucztę, która w tym dniu, jako przy oczepinach, ze wszystkich dni najwspanialszą i najobfitszą bywa.

Przy każdéj potrawie śpiewają dnia tego zastosowane piosenki. I tak, przy grochu, odzywają się drużbowie:

— Nasieliśmy groszku
Przy rozłożku,
A w tym groszku, trzoda ryje.
Oj wyryłać złote ziarno!
Gdzież to ziarno podziejemy,
Do złotnika powieziemy,
Aby wykuł obrączkę,
Dla Kasieńki na rączkę.

Przy kluskach, śpiéwają znowu:

— Włożyliśmy drewek na ogień,
Już na piecu garnek, kluski w niém;
A będęż się przymykał
Po jednemu wymykał,
Aż je zjem,
Aż je zjem.

Przy kapuście przyśpiewują chórem:

— Siedzi sobie zając pod miedzą,
A druchenki o nim nie wiedzą;
Siedzi on tam bieluchny,
Patrzy sobie na druchny,
Na druchny!

Gdy podają na stół kołacz, odzywają się w końcu:

— Mości państwo gmurzy, (bogaci)
Jedzie kołacz duży,
Potrochu go zajadajcie,
Na grabarzów pamiętajcie;
Bo mali,
Bo mali!

Po obiedzie powstają wszyscy z miejsc; zostają tylko za stołem druchny dokoła panny-młodéj i dziewosłąby z żonami. Drużbowie przynoszą na stół cztery butelki z wódką, piwem, wodą i burakowym kwasem. Wodę przezywają winem, burakówy kwas ratafią, piwo porterem, wódka tylko pozostaje wódką. Koło butelek stawiają próżny talérz.

Muzyka odzywa się na ton żałosny, a starsza dziewosłąbka rozbiéra ze wstążek głowę panny-młodéj. Druchny tymczasem śpiéwają naprzemiany z muzyką:

— Oj! szczerzem ja Panu Bogu służyła,
Kiedym ja tę jabłoneczkę sadziła.

Sadziłam ją w ogródeczku przy drodze,
Którędy mój Jasieczek pojedzie.

Pojedzie on koło okien ściankami,
Koło mojéj jabłoneczki kochanéj.

I nie wyszło jabłoneczce dwie lecie,
Już moja jabłoneczka ma kwiecie.

Czerwonemi jabłuszkami rodziła,
Zielonemi listeczkami przykryła.

Za każdą zwrotką, dopóki panna-młoda nie ma czepka na głowie druchny wykrzykują społem:

— Oj nasza, oj nasza!

Przy odjęciu korony, śpiewają znowu:

— O jużto precz moja Kasiu, jużto precz,
Zdejm wianeczek, a na główkę włóż czepiec.

A jużto precz mój Jasieńku, jużto precz,
A przedajże parę wołów na czepiec.

Na to drużby dodają niby żartem:

— A przedajże mój Jasieńku i kurę,
Sprawże Kasi ochędóżkę na skórę.

Kobiéty wreszcie kładą pannie-młodéj czepek, ona zrzuca go z głowy niby z płaczem; kładą jéj następnie drugi, trzeci, aż do ostatniego, który zwykle bywa najładniejszy. Panna-młoda zdejmuje wszystkie, ostatni dopiéro zostawia na głowie.

Dziewosłąbki tymczasem wyprawiają druchny z za stołu, i sadowią się w ich miejcu, wykrzykując ochoczo:

— Już nie wasza, ale nasza,
Ej! hu! ha!

Potém zaś owe dziewosłąbki przebiérają się za żydówki, wiążąc chustki na głowę w właściwy żydówkom sposób, zmieniają mowę niby na żydowską, i częstują się naprzód wódką z panną-młodą, na znak, że już należy do grona niewiast. Wypiwszy kieliszek składają pieniądze na talérz, za niemi wszystkie kobiéty schodzą się do stołu po kolei, niby na owę mniemaną ratafią i wino, i płacą za nie, ile kto może. Te pieniądze przeznaczone są na czepek dla panny-młodéj. Po kobiétach przychodzą i mężczyzni, wszyscy bez wyjątku. Przez ten czas panna-młoda siedzi za stołem pomiędzy starszemi niewiastami.

Po skończonych oczepinach, przychodzi starszy drużba w imieniu pana-młodego, przynosi w torbie natłuczone skorupki, niby ruble, i targuje pannę-młodą od mniemanych żydówek. Przy kupnie dziewosłąby przychodzą do żon, przebrani również

za żydów, i dopomagają im w sprzedaży panny-młodéj. Starszy dziewosłąb wyprowadza ją z za stołu, i wodzi po izbie niby jałoszkę. Dopóki ją dziewosłąb prowadzi, ona idzie dobrze; skoro drużba bierze ją za rękę, zaczyna kuleć. Ceremonia ta trwa dosyć długo, wreszcie gdy kuleć przestaje, drużba przybija kupno, płaci skorupkami, bierze w taniec pannę-młodą, a nakoniec oddaje ją panu-młodemu, ale zcicha, nieznacznie, tak, że ona sama tego nie spostrzega.

Muzyka zaczyna grać chmiela, drużbowie biorą koleją w taniec pannę-młodą, za nimi druchny z głośnym okrzykiem:

— Oj nasza! jeszcze nasza!

Starsze niewiasty kłócą się niby z druchnami, wołając z swéj strony:

— Oj nie wasza, jeno nasza!

Wreszcie wszyscy tak starzy jak młodzi, obowiązani są przetańczyć z panną-młodą parę razy dokoła izby.

Po tańcu, drużbowie śpiéwają żałośnie w imieniu pana-młodego:

— Hej siadaj, siadaj moje kochanie,
Nic nie pomoże twoje płakanie;
Nic nie nada nie pomoże;
Stoją konie, stoją woze
Już zaprzągane.

Druchny odśpiewują w imieniu panny-młodéj:

— A jakże ja z wami będę siadała,
Kiedymci się z matką nie pożegnała.
Bywaj zdrowa, pani matko,
Chowałaś mnie zawsze gładko
Teraz nie będziesz!

Drużbowie znowu śpiéwają jak poprzednio. Druchny odśpiewują im:

— A jakże ja z wami będę siadała,
Kiedymci się z ojcem nie pożegnała.
Bądźcie zdrowi panie ojcze,
Chowaliście dla mnie wolce,
Już nie będziecie.

Gdy drużby wciąż nalegają, panna-młoda żegna niby koleją siostry i braci.

Do siostry śpiewają druchny:

— Bywaj zdrowa moja siostro,
Bywałaś ty na mnie ostrą,
Teraz nie będziesz!

Do brata prześpiewują znowu:

— Bywaj mi zdrów panie bracie,
Piérałam ja chusty na cię,
Teraz nie będę.

Zwracają się wreszcie do przyjaciół:

— Bywajcie mi zdrowi wszyscy przyjaciele,
Bywalim u siebie wesoło i śmiele,
Już nie będziemy.

Pożegnawszy wszystkich panna-młoda, a raczéj za nią druchny, żegnają wszystkie kąty, śpiewając:

— A jakże z wami będę siadała,
Kiedym się z piecem nie pożegnała;
Bądźcie zdrowe cztery ściany
I ty piecu malowany,
Już ja odjeżdżam!“

Po owéj smutnéj pieśni, przy któréj zwykle wszyscy płaczą, grajkowie zaczynają znów grać wesoło, jakby na rozweselenie panny-młodéj. Po niedługim tańcu, wszyscy rozchodzą się do domów. Na noc, który z bogatych kumów lub krewnych zabiéra do domu grajków i drużbów, a nazajutrz prosi wszystkich na obiad, zwykłym sposobem rozsyłając drużbów po gości. Zawsze jednak druga uczta odbywa się wieczorem, u rodziców panny-młodéj. Jeżeli wesele wielkie, trwa niekiedy i do piątku; jedni drugim oddają grajków i drużbów na noc, a we dnie podejmują drużynę.

Ostatniego dnia przeprowadzają weselni pannę-młodą do chaty pana-młodego. Jeżeli ten mieszka w innéj wsi, zaprzegają wozy i wiozą ją wraz z muzyką. Matka mężowska wyprawia sute przyjęcie; na widok zajeżdżających wychodzi przed chatę z chlebem i solą, łącząc do tego trochę cukru i octu, na znak, że trzeba jéj przyjąć wszystko: i złe i dobre pospołu. Zsadzają z wozu pannę-młodą, i wprowadzają ją do chaty z wielkiém poszanowaniem, podczas gdy muzyka przygrywa marsza. Panna-młoda musi chuchać w komin, co ma jéj dopomódz do prędszego przyswojenia się u obcego ogniska. Następują uczta i tańce, wszyscy rozchodzą się do domów. Na tém kończy się obchód weselny.

I któż nie oceni owéj serdecznéj gościnności naszego ludu, owego szczérego uczucia, z jakiém dzieli się rad z drugiemi ubogą swoją chudobą? Kto nie pozazdrości owéj niewinnéj prostoty, z jaką oddaje się radości? Trzebażto wielkiéj swobody umysłu i niezmąconego pokoju duszy, żeby się tak serdecznie bawić, jak się lud nasz bawić umié! Trzebaż wielkiego zasobu poezyi, żeby umiéć sobie opromienić nią żywot znojny, styrany

niedolą i trudem. Trzeba nadewszystko wielkiego poszanowania dla tradycyi, żeby bez przerwy, z równym zawsze urokiem, czynić od wieków to, co czynili ojcowie. Gdzie uczucie bogate, tam nie potrzeba nowych wrażeń, aby je sztucznie wywołać!

Lud nasz zaprawdę zachował dotąd w nieskażeniu poezyą, jaka niegdyś cechowała naród cały. Taż sama w nim widoczna jeszcze gościnność, posunięta niekiedy aż do nieoględności na jutro; taż sama miłość wzajemna a serdeczna; toż samo wreszcie głębokie religijne uczucie, jakiém szczycili się ojcowie nasi. Czylito po chrzcie świętym składa dziécię pod ławą, aby je tym sposobem uchronić od pychy; czylito odprowadza gromadnie zmarłego druha do krzyża na rozstaje, i porzuca mu na trumnę drobną szczyptę ziemi; czylito przeprasza w imieniu zmarłego u łoża śmierci za wszystkie winy, jakich się mógł za życia dopuścić względem ludzi braci: zawsze lud nasz jest serdecznym i prawdziwym poetą, a poezya jego nie jest bynajmniéj chorobliwém marzeniem; ale zdrowa i czérstwa, wypływa jak potok bystréj wody z czystego i niepokalanego żowota.

Jarosza.

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Palagi (z Bolonii) wykonał ciekawe doświadczenia nad elektrycznością podczas zbliżania i oddalania się ciał. Jeżeli długi drut miedziany jedwabiem okręcony, w jednym końcu złączony z elektroskopem Bonenberga, a w drugim opatrzony rączką odosobniającą, przeznaczoną do trzymania, podniesiemy do góry: elektroskop okazuje elektryczność dodatnią; gdy zaś drut zniżamy, elektryczność ujemną. Toż samo doświadczenie powtarzając z innemi ciałami, wyprowadził ogólny wniosek: że każde ciało zostające w stanie naturalnéj elektryczności, daje ślady elektryczności szklanéj, gdy jest oddalone w kierunku pionowym od ziemi, a elektryczności żywicznéj, gdy zbliżamy go w tymże kierunku ku ziemi.

To prawo stosuje się do wszystkich ciał nie wyłączając metali. Przyczyny tego zjawiska nie należy szukać w tarciu o cząstki powietrza, bo zwiększanie lub zmniejszanie prędkości ruchu nie wpływa wcale na zmianę natężenia zjawiska. Podobnie, niepodobna przypisywać pojawianie się różnozmiennych elektryczności działaniu wywieranemu przez elektryczność zmienną w różnych warstwach atmosferycznych, gdyż i w jednakowéj wysokości samo zmienienie kierunku ruchu, objawia już różnicę w gatunku elektryczności. Ponieważ powyższe zjawisko następuje i wtedy, gdy w ciele sprawiamy ruchy za pomocą bloka: przeto kurczenie muskułów żadnego tu nie wywiera wpływu. Osoba siedząca na wyspie elektrycznéj i nogą komunikująca z drutem idącym od elektroskopu, wywołuje opisane zjawiska za podniesieniem, lub zniżeniem któregokolwiek ze swych członków.

Elektroskop wskazuje zmianę stanu elektrycznego, gdy od pewnego ciała odrywają się cząstki choćby najmniejsze; np. biorąc w usta wodę i wyrzucając ją przerwami: za każdym rzutem wody elektroskop wskazuje bytność szklanej elektryczności.

Powyższe doświadczenia wykonywać należy na wolném powietrzu i w otwartém miejscu, aby uniknąć wpływu ciał otaczających przedmiot.

Volpicelli powtarzając doświadczenia Palagi, zdołał za pomocą stosownego przyrządu, elektrycznością z tego źródła naładować nawet butelkę lejdejską. (*Bibl. de Genev.* 1853 *r.*).

* Volpicelli chcąc się przekonać, czy zarzut jaki robiono poprzednio wyłożonym zjawiskom, że były skutkiem indukcyi elektro-statycznéj, albo tarcia i t. p., jest słuszny, umieścił pod szklanym dzwonem znacznych wymiarów dwa krążki, miedziany i cynkowy: jeden stale osadzony na talerzu machiny pneumatycznéj, drugi zaś odosobniony lecz mogący odbywać ruchy w kierunku pionowym, a oba złączone z elektrometrami. Wypadki tych badań są następujące: że w próżni tak jak i w powietrzu oddalanie i zbliżanie ciał zawsze wywołuje wywiązywanie się elektryczności; że w próżni skoro krążek odbywa ruchy w kierunku pionowym, podczas przybliżania się powstaje elektryczność odjemna, a przy oddalaniu, dodatnia; że wywiązywanie elektryczności ma miejsce nietylko wówczas, gdy krążki zostają zbliżone aż do zetknięcia, ale i w przeciwnym razie: że ślady elektryczności daleko są wyraźniejsze w próżni, aniżeli pod dzwonem napełnionym powietrzem. Wogóle wypadki tych doświadczeń są bardzo stanowcze i zdają się dowodzić, że w próżni zbliżanie i oddalanie ciał odbywane bez tarcia i bez ich stykania, wywołują powstawanie różnozmiennych elektryczności. (*Bibl. de Genev. Janvier* 1854 r.).

* Wiadomo, że za pomocą apparatu indukcyjnego Rhumkoffa można ze strumienia indukcyjnego otrzymywać iskry zbliżając do siebie dwa końce drutu indukcyjnego, albo przepuszczając strumień przez inny przewodnik nie należący do apparatu. Tak np. doświadczenie odbywając na proszku metalowym (opiłkach miedzianych) iskra przelatuje od jednego ziarna do drugiego, tworząc ślady ogniste mogące dochodzić długości 2 decymetrów (z pomocą jednego tylko elementu Bnuzena).

Podczas tego doświadczenia spostrzegamy, że iskra nie idzie po linii prostéj, lecz tworzy wiele gzygzagów w różnych kierunkach, podobnych do błyskawicy; nadto jeżeli iskra przeskakuje między blizkiemi cząstkami opiłek, jeden biegun wydaje światło czerwone, wskazujące topienie się cząstek miedzi, drugi zaś biegun zdaje się objawiać przyciąganie na cząstkach metalu, tak, iż kawałki opiłek zlepiają się między sobą, tworząc narośl długą na 2—3 centymetrów, którą można unieść ostrożnie podnosząc koniec drutu. Podobne przyciąganie lepiéj się objawia na biegunie dodatnim.

Nakoniec jeżeli chcemy przepuszczać iskrę między dwoma biegunami obwodu stosu, lecz w blizkości opiłek: wtedy iskra zbacza z najkrótszéj drogi, aby przejść po tym dodatkowym przewodniku.

To doświadczenie przekonywa wyraźnie, że gzygzagi błyskawic są skutkiem cząstek materyalnych (pary wodnéj skroplonéj,

albo deszczu), istniejących w powietrzu w chwili wyładowywania chmur, i odgrywających rolę opiłek miedzianych powyższego doświadczenia. Podobne okazują się fenomena na proszku węgla. Za tém mniemaniem świadczy następujące jeszcze doświadczenie:

Jeżeli na desce werniksowanéj rozciągniemy lekką warstewkę wody, albo lepiéj, skoro wystawiemy na pary wodne taflę szklaną i następnie przez nią przepuszczać będziemy przerywany strumień indukcyjny: wówczas okażą się długie ślady ognia przechodzące po skroplonéj parze wodnéj podobne do tych, jakie otrzymujemy przy pomocy opiłek miedzianych. *(Bibl. de Geneve* 1854 r.*)*

* Faraday badając druty telegraficzne pokryte warstwą gutta-perki, bardzo ciekawe zrobił odkrycie, w skutek którego okazuje się, że druty przyrządzane w taki sposób, zanurzone w wodzie, tworzą rodzaj butelki lejdejskiéj. I tak zanurzywszy drut podobny w wodę, można zeń otrzymać wprawdzie małą, ale bardzo wyraźną iskrę wskroś przez powłokę gutta-perki, skoro tę powłokę złączymy z silną bateryą galwaniczną z 3—400 elementów.

Taki drut zanurzony w wodzie, tak, aby jego końce były odosobnione (od wody)można naładować elektrycznością przez połączenie z jednym biegunem bateryi galwanicznéj, i w 5—10 minut po przerwaniu komunikacyi z bateryą, okaże się z drutu strumień lub iskra zdolna zapalić proch, i w ogóle objawić wszelkie statyczne i dynamiczne skutki elektryczności. Drut więc podobny długi na 100 milles, w którym miedź ma średnicy $\frac{1}{6}$ cala, a powłoka z gutta-perki $\frac{1}{10}$ cala, a razem całkowitéj średnicy $\frac{1}{4}$ cala, jest jakby butelką lejdejską w któréj powierzchnia drutu stanowi wewnętrzną metalową okładkę powierzchni 8,270 stóp □, a woda drut otaczająca zewnętrzną okładkę powierzchni około 33,000 stóp □.

Oprócz powyższéj własności przyjmowania, zatrzymywania, i oddzielania naboju elektrycznego, taki drut posiada jeszcze bardzo szczególną własność dotyczącą szybkości przepuszczania elektryczności, a mianowicie, że czas potrzebny na przejście strumienia krótkotrwałego po podobnym drucie, rozciągnionym czy to w powietrzu, czy w wodzie, zmienia się w stosunku 100: 1, a niekiedy i więcéj.

Wspomniane zjawisko okazują druty powleczone warstwą gutta-perki zamknięte w rurkach ołowianych lub żelaznych i zanurzone w ziemi lub w morzu. Podobne druty podziemne znajdują się miedzy Londynem i Manchester i złączone w jeden, przedstawiają długość 1,500 milles; a ponieważ wracają do Londynu, można więc było z pomocą kilku obserwatorów badać wspomnione fenomena w odstępach odległości wynoszących 400 milles. Użyto do tego trzech galwanometrów z których jeden wstawiono w początku, drugi w środku a trzeci w końcu drutu. Różnica czasu w pojawieniu i ustaniu zboczenia igiełek była bardzo wyraźną, szczególniéj między skrajnemi galwanometrami, tak po złączeniu bieguna bateryi galwanicznéj z końcem drutu, jako téż po przerwaniu komunikacyi. Najwyraźniéj różnica czasu okazała się, gdy

szybko dotknięto bieguna końcem wolnym drutu piérwszego galwanometru i natychmiast połączenie przerwano; wówczas bowiem ten galwanometr okazał zboczenie a następnie stanął na zero wprzód, nim elektryczność dosięgła drugiego galwanometru; w drugim podobnie igla wskazała zboczenie i wróciła do zera nim trzeci doznał działania strumienia elektrycznego. Można nawet było w tymże samym drucie przez szybko po sobie następujące dotknięcia z bateryą wzbudzić dwa strumienia za sobą dążące, i rozciągające się w oddzielnych częściach jednego drutu.

Jeżeli przerwiemy połączenie drutu z bateryą i natychmiast drut skomunikujemy z ziemią: wtedy część elektryczności znajdująca się w drucie wraca, przechodzi przez piérwszy galwanometr i zbacza igłę w przeciwną stronę, tak, że strumienie wypływają z obu końców drutu z przeciwnych kierunków w chwili, gdy już do drutu nie wchodzi elektryczność z żadnego zródła. Gdy bardzo szybko złączymy drut z bateryą a następnie z ziemią, wtedy spostrzegamy, że strumień zrazu wchodzi w drut, następnie zeń wypływa nie sięgając dalszych części drutu, w których umieszczone są dwa pozostałe galwanometry.

Powtarzając powyższe doświadczenia na drucie zawieszonym w powietrzu, nie spostrzegamy wymienionych skutków, albo raczéj w nadzwyczaj słabym stopniu.

Piękne to odkrycie Faradaya dotyczące działania indukcyjnego chwilowych strumieni puszczanych po drutach, powleczonych gutta-perką i rozciągniętych pod ziemią lub w wodzie, posłużyć może w części do objaśnienia nadzwyczaj niezgodnych wypadków na szybkość przepływu elektryczności, otrzymanych przez różnych fizyków. Wiadomo bowiem, że prędkość w sekundzie:

Wheatstone (1834 r.) na drucie miedzianym znalazł	288,000	milles.
Walker w Ameryce na drucie żelaznym telegrafu	18,780	—
O'Mitchell — —	28,524	—
Fizean i Gonelle na drucie miedzianym	112,680	—
— — żelaznym	62,600	—
Na telegrafie z Londynu do Bruxelli.	2,700	—
— — do Edymburga.	7,600	—

W saméj rzeczy te anomalie w wypadkach znikną, skoro weźmiemy pod uwagę poprzeczną indukcyą w drutach przesyłających strumienie, nie następującą chwilowo, ale potrzebującą pewnego czasu.

Opisane odkrycia w swéj całości, przedstawiają jeszcze piękny przykład tożsamości elektryczności statycznéj i dynamicznéj. (*Bibl. de Genève* 1854 *Mars*).

S. P.

CHEMIA.

W dniu 14 sierpnia r. b. w Akademii umiejętności paryzkiéj czytał p. Sainte Claire Deville rozprawę, obejmującą opis dalszego ciągu swych doświadczeń tyczących się *glinu* (aluminium), i *krzemu* (silicium). Ciekawsze wypadki niniejszéj pracy w treści przytaczamy.

Z doświadczeń moich (mówi P. D.) wynika, że glin, którego najpospolitsza glina zawiéra 25 na 100 na wagę, może się stać najużyteczniejszym metalem. Przekonać o tém winny medale wybite z tego metalu i złożone akademii, oraz blachy z niego, które nie doznały zmiany w powietrzu i nie utraciły swego blasku; wreszcie ciało to do tego stopnia nie ukwasorodnia się, że opiera się działaniu powietrza przy ogrzewaniu w miseczce muflowéj, w téj temperaturze w któréj probuje się złoto.

Glin podobnie jak żelazo nie łączy się z rtęcią, a zaledwo bierze w siebie ślady ołowiu; z miedzią wydaje związki lekkie, bardzo twarde i białe, choćby nawet było miedzi 25 na sto. Z węglem i krzemem, glinwy daje ciało szare, ziarniste i kruche, z łatwością się krystalizujące, na które nalawszy kwasu solnego stężonego i wrzącego, wydziela się czysty krzem.

Krzem tak otrzymany jest w postaci blaszek metalowych błyszczących, zupełnie podobny do opiłek platynowych, ale takowy może nie jest jeszcze metalem czystym. Cóżkolwiekbądź, krzem złożony akademii był ogrzewany do białości w czystym kwasorodzie, a nie stracił nic na wadze, i nie rozpuszczał się w kwasie fluorowym. *(L'Institut 17 Août 1854).*

J. B...a.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Improwizatorka nasza Deotyma napisała poemat w obszernych rozmiarach, osnowany na podaniu krajowém, który zapewne wkrótce ujrzymy ogłoszony drukiem.

— Bolesław Podczaszyński zamierza wydawać dalszy ciąg „Pamiętnika sztuk pięknych" w tym samym formacie, obejmując w nim zarazem archeologią i numizmatykę krajową.

— Maxymilian Fajans przygotowywa w zakładzie swoim litograficznym do dalszych zeszytów: „Wizerunków polskich" portrety na kamieniu. Widzieliśmy już gotowe wizerunki zasłużonego professora Antoniego Wagi i Augusta Cieszkowskiego.

— „Archiwum Domowe" K. Wł. Wojcickiego, o którém już donosiliśmy, w ciągu miesiąca ukaże się w handlu księgarskim.

— Pod przewodnictwem Stanisława Moniuszki ma wychodzić zeszytami „Spiewnik kościelny." Piérwszy zeszyt obejmować będzie: 1) pieśń Bogarodzica, harmoniowana na 4 głosy i organ, Stanisława Moniuszki; 2) Msza światła Floryana Miładamskiego na 4 głosy z organem, (p. Miładamski urodzony w Wilnie, mieszka w témże mieście; kształcił się w Wiedniu, i obecnie jest nauczycielem muzyki w rodzinném mieście.) 3) Msza żałobna na 4 głosy i organ St. Moniuszki. 4) Święty Boże, Ignacego Dobrzyńskiego, 4 głosy i partytura z orkiestrowéj fortepianowa. 5) Melodye pieśni kościelnych, według Mioduszewskiego, przyrządzone na organ do grania w czasie mszy czytanéj (postne, przygodne, i na różne roku czasy, nr. 20) St. Moniuszki. 6) Ojcze nasz, na 4 głosy i organ St. Moniuszki.

— Ksiądz Antoni Korniłowicz (autor życiorysu Franciszka Karpińskiego, wydanego w Wilnie 1827 r.) pracuje nad historyą kościoła, i ku temu obfite zebrał materyały.

— Gazeta Lwowska w swoich dodatkach tygodniowych umieszcza ciekawe „Opisy obrazów w kościołach lwowskich" przez Felicyana Łobezkiego.

— Nowe wydanie (w przedruku) Słownika S. B. Lindego znacznie już posunionem w druku zostało. Czterdzieści kilka arkuszy tomu piérwszego wyszło zpod prasy w drukarni zakładu Ossolińskich we Lwowie. Tymczasem zapowiedziany dawniéj zbiór pomników dziejowych, na który wszyscy miłośnicy krajowych pomników oczekiwali z utęsknieniem, w zawieszeniu z niewiadomych nam powodów zostaje aż dotąd.

Z listu Alexandra Grozy znanego poety dowiadujemy się, że w Machnówce, siedzibie głośnego Prota Potockiego bankiera, mieszka od lat trzech nasz ukraiński piewca Tomasz Padura. Na cmentarzu machnowieckim z literatów spoczywa Sylwester Groza obok swéj żony. „Tu nasz bajarz ukraiński Spiridion Ostaszewski oblał łzami grób swej pięknéj siedmnastoletniéj córki i postawił dla niéj czarny z surowcu żelaza pomnik, smutny jak serce rodzicielskie, i długotrwały jak jego żal i boleść".

(Kraków). Nasz szanowny badacz, sędziwy Ambroży Grabowski utracił w dniu 1 sierpnia r. b. małżonkę, z którą lat 21 przeżył w najmilszém (jak sam wyraża) szczęściu, i niczém niezmąconym pokoju domowym. Cios ten zaledwie przeżył.

— Bolesław Maurycy Wolff, któremu zawdzięczamy tyle pięknych i ważnych wydań dzieł zasługujących na upowszechnienie, obecnie ogłosił dwa prospekta: na „Skarbczyk poezyi polskiéj" i „Dziejopisowie krajowi" w przekładzie z języka łacińskiego na polski. Każda z tych publikacyj żywo musi zająć uwagę naszę. Skarbczyk składać się będzie z 12 tomów, każdy tom z dwóch zeszytów. Co dni 15 ogłaszany będzie jeden zeszyt do 100 stronnic zawierający, pismem ścisłém, czytelném, na papie-

rze welinowym, w formacie ozdobnym. Cena każdego zeszytu wynosić będzie kop. sr. 25. Zeszyt 1 miał być wydany w Petersburgu dnia 1 września r. b. Przekład dziejopisów krajowych, idąc ciągiem panowań Zygmunta I, Henryka Walezyusza, Stefana Batorego, Zygmunta III, Władysława IV, Jana Kazimierza, Michała Korybuta i Jana III, zbiór ten obejmie dzieła: J. Ludwika Decyusza, Szymona Starowolskiego, Jana Dymitra Solikowskiego, Rejnholda Hejdenstejna, Jana Łasickiego i Leonarda Goreckiego, Maxymiliana Fredra, Stanisława Kobierzyckiego, Ewerharda Wassenberga, Wawrzyńca Jana Rudawskiego, Wespazyana Kochowskiego i J. J. Załuskiego. Kronika Pawła Piaseckiego nie znalazła tu miejsca, bo wkrótce ma być osobno na jaw wydana. Objętość tych dzieł tak jest rozmaita, że jedne zajmą kilka tomów, inne stosownie do treści, po kilka w jeden złączone być muszą. Całe dzieło składać się będzie z 12 do 15 tomów w większéj ósemce, drukiem ścisłym na papierze welinowym. Każdy tom z 300 do 450 stronnic; wyjdzie w zupełności z końcem r. 1856. Przedpłata na 6 tomów oznaczona jest na rub. sr. 9. z kosztami przesyłki na prowincyą i w królestwie Polskiem rub. sr. 11. Cena pojedyńczego tomu wynosić będzie rub. sr. 2.

— Do ciekawych zabytków sztuki u nas należy bezsprzecznie niedawno z ukrycia wydobyta szkatułka z drzewa orzechowego, długości cali 11, szerokości cali 6^3 wysokości cali 6: na wierzchu i po wszystkich bokach znajdują się wyrznięte wypukło (haut relief) popiersia królów polskich, z nazwiskami i latami panowania, jak następuje: Lechus, Cracus, Lechus II, Wanda, Ziemomysl, Leszczek, Lescus II, Lescus III, Popilus I, Popilus II, Piastus, Ziemowitus I, Lescus IV, Ziemovitus II, Miecislaus I, Boleslaus, Miecislaus II, Casimirus I, Boleslaus II, Vladislaus I, Boleslaus III, Vladislaus II, Boleslaus IV, Miecislaus III, Casimirus II, Lescus V alb., Boleslaus V, Lescus VI, Premislaus II, Vladislaus III Lo. Venceslaus, Casimirus III, Ludovicus, Hedguigis, Vladis. Jagiell. Vladislaus V, Casimirus IV, Joan Albert, Alexander, Sigismundus I, Sigismundus Aug., Hen. Valesius. Steph. Bat., Sigismundus III, Vladislaus VI. Joan Casimir, Michael, Joannes III, Augustus II, Augustus III. Między ostatniemi Augustami Sasami znajduje się popiersie Maryi Józefy. Przytém w rzeźbie są herby koronny i litewski, oraz panującego domu saskiego. Popiersia królów są te same, które później za Stanisława Augusta w bronzie odlano, starannie rzezane, z zachowaniem podobieństwa ściśle zgasłych monarchów; lata pod każdym popiersiem, wedle podanych przez kronikarzy naszych. Piękny ten zabytek znajduje się w ręku umiejącego cenić podobne pamiątki pana A. Fausta w Warszawie, znanego między numizmatykami naszemi.

---

† Onufry Lewocki b. wizytator szkół w Królestwie, urodzony 1787 r. w Żytomierzu w gubernii wołyńskiéj, tłumacz statyki Mongea (Mąża) i autor Jeometryi przepisanéj dla szkół w królestwie, zmarł dnia 9 października w dobrach swoich wsi Chociszewie, w powiecie płockim, i tamże pogrzebiony.

UWIADOMIENIE OD REDAKCYI BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie bez żadnéj zmiany i w roku następnym 1855.

Cena pozostaje niezmienna, t. j. w Królestwie rsr. 9 rocznie, albo rsr. 4 kop. 50 półrocznie, a w Cesarstwie rub. sr. 10 z przesyłką pocztową w kopertach. Przedpłata może być nadsyłaną albo wprost: do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj przy ulicy Senatorskiéj nr. 468 i 9, lub też do Expedycyi Gazet w Warszawie.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Wolno drukować.—Warszawa, d. 17 (29) października 1854 r. Starszy Cenzor, J. Papłoński.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Wrzesień, 1854.

Wrzesień, 1854. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser.**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad po-
1g. 14m. 45s., 7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	
1		752.60	754.52	756.02	758.25	+ 14°.1	+ 15°.4	+ 16°.3	+ 11°.8	70.2
2		760.33	760.89	760.48	761.64	8.0	15.1	16.3	12.5	71.0
3		762.68	763.21	762.61	762.63	9.4	16.3	17.8	11.6	71.0
4		762.48	762.61	760.55	759.38	8.9	15.4	18.8	12.0	74.8
5		757.44	757.08	756.08	757.19	9.6	17.2	21.0	13.5	67.2
6	☉.	754.45	753.95	751.98	749.41	9.3	13.3	15.4	10.6	77.8
7		743.46	743.47	744.48	746.35	11.2	13.4	9.4	5.4	85.7
8		745.15	745.41	744.65	751.34	3.0	9.0	10.1	6.5	76.3
9		745.34	746.18	746.41	748.23	6.1	10.1	10.3	7.0	75.5
10		749.63	751.04	750.97	751.14	6.5	9.9	11.4	6.8	75.5
11		752.34	753.77	755.17	757.45	5.5	11.1	13.0	7.5	73.2
12		758.10	757.75	756.22	755.15	3.9	13.6	15.8	11.9	76.5
13		754.06	754.22	753.44	753.71	10.8	16.6	19.8	12.1	71.8
14	☾.	753.31	752.98	751.62	750.49	8.1	17.3	21.7	15.8	76.0
15		747.72	746.99	748.10	750.49	15.4	19.8	18.4	12.8	74.7
16		750.63	751.74	751.27	750.98	11.6	15.5	17.5	13.9	74.5
17		749.86	749.30	749.18	749.12	14.2	20.8	22.6	15.3	81.0
18		747.22	746.56	747.92	752.18	14.1	21.9	20.4	12.5	84.3
19		751.47	749.55	747.00	747.55	10.4	15.0	14.2	11.9	87.0
20		749.98	751.50	751.06	747.74	10.4	13.2	15.5	15.8	75.5
21		746.03	747.10	748.46	749.86	14.9	18.6	15.9	11.4	77.0
22	●.	749.51	749.80	749.00	750.64	8.5	12.6	14.6	8.6	84.2
23		750.10	750.74	751.09	752.74	6.0	11.4	12.0	6.2	85.0
24		754.40	755.13	751.92	748.89	1.8	9.9	13.4	10.6	82.0
25		742.59	742.10	745.30	747.96	10.6	12.7	9.0	6.9	88.0
26		750.64	752.87	754.80	758.07	6.2	9.6	12.5	6.6	76.3
27		760.97	762.02	761.82	762.16	2.5	9.4	13.7	7.3	77.7
28		761.83	762.13	760.78	760.51	7.4	11.0	14.9	8.9	92.5
29	☽.	758.18	759.32	757.27	756.39	8.4	12.6	16.1	9.8	91.5
30		754.20	753.96	751.29	750.49	4.5	12.5	16.9	9.8	79.0
śre.		752.557	752.930	752.565	753.073	+ 8°.71	+ 14°.01	+ 15°.49	+ 10°.41	78.4

watoryum Astronomiczném Warszawskiém.

ziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie wschód względem południka paryzkiego.

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé-szczu	śnie-gu
dészcz	pr. pogodny	pochmurny	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	6.8	
pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	Pn.		
pogodny	pr. pogodny	pogodny	pogodny	PnZ.	Pn.	PnZ.	—		
pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	—	—	PnZ.	Z.		
pogodny	pogodny	pr. pochm.	smugi	Z.	Z.	PnZ.	—		
lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	chm. podz.	poch. dész.	lek. pochm.	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.	10.2	
smugi	napół pog.	pr. pochm.	pochmurny	Z.	PnZ.	PnZ.	Z.	2.4	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
pochmurny	napół. pog.	pochmurny	pogodny	Z.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
lek. pochm.	pochmurny	pr. pogodny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Pn.	PnZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	PdZ.	PdZ.		
lek. pochm.	napół pod.	pogodny	pogodny	.	Z.	Z.	Z.		
pog. smugi	pr. pogodny	lek. pochm.	pochmurny	PdZ.	Pd.	Z.	PdZ.		
pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	pogodny	PdZ.	PdZ.	PnZ.	Z.		
pogodny	chm. podz.	pr. pogodny	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	PdZ.		
lek. pochm.	lek. poch.	napół pog.	pogodny	Z.	Pd.	PnZ.	PdZ.		
pogodny	pogodny	pochmurny	pogodny	Pd.	PdZ.	Z.	Z.		
pr. pogodny	pochmurny	dészcz	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.	3.8	
napół pog.	pr. pochm.	pochmurny	napół pog.	Z.	Z.	Z.	Z.	1.2	
pogodny	pr. pochm.	lek. pochm.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.	2.2	
lek. zamat.	pr. pogodny	pochmurny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
lek. pochm.	lek. chmur.	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	PnZ.		
mgła gęsta	lek. zamat.	pochmurny	pochmurny	Z.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
poch. dész.	pochmurny	pochmurny	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	Z.	6.2	
pochmurny	pr. pogodny	pr. pochm.	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.		
pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	Z.	PnZ.	Z.	Z.		
pochmurny	poch. l. mg.	pr. pochm.	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
mgła gęsta	mgła gruba	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Pd W.		
pog. mgła	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	Pd.	Z.	Z.		
								30.6	

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	752.781	27	9.705
Najwyżéj barometr dochodził d. 3 o g. 10 r.	763.21	28	2.328
Najniżéj — — d. 25 o g. 10 r.	742.10	27	4.970
Średnia zmiana dzienna barometru	3.608		1.599
Największa zmiana dzienna barometru d. 24—25 o g. 10 rano	13.03		5.776
Średnia wysokość barometru jest wyższa o	1.895		0.840
od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	750.886	27	8.865
Średnia temperatura września wynosi:	+ 12°.16 C.	+	9°.73 R.
i ta jest niższa o	1.52 „		1.21 „
od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	+ 13.68 „	+	10.94 „
Największe ciepło było d. 17 o g. 4 w.	+ 22.6 „	+	18.08 „
Najniższa temperatura była d. 24 o g. 6 r.	+ 1.8 „	+	1.44 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.499 „		1.999 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 24—25 o g. 6 r.	8.8 „		7.04 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 20°.8 R. d. 18 po połud.
Minimum: + 1°.4 „ d. 24 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 78.4 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru, 8.65 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.01 mniejszą od normalnéj.

Ilość wody spadłéj z dészczu wynosi co do wysokości: 30.6 mil. czyli 13.56 lin. par.; ilość ta wody jest o 7.59 lin. par. mniejszą od téj, jaka zwykle we wrześniu u nas spada.

Dni pogodnych było 8, napół pogodnych 10, pochmurnych 12.
— dészczu 10 (d. 1, 7, 8, 15, 18, 19, 20, 25, 26, 28).
— gradu 1 (d. 8).
— mgły 4 (d. 24, 28, 29, 30).
Wichrów było 6 (3 PnZ., 2 Z., 1 PdZ.).
Wiatrów mocnych 15 (10 Z., 3 PnZ., 2 PdZ.).
Wiatr panujący zachodni, częste były także północno-zachodnie.

Wrzesień r. b. był pogodny, suchy lecz chłodny. Piérwsze pięć dni były ciepłe, następne siedm chłodne; środek miesiąca był ciepły, koniec chłodny, w ogóle przeszło o jeden stopień R. chłodniejszy niż zwykle. Najcieplejsze dni były: d. 1, 5, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 21; najchłodniejsze d. 8, 9, 10, 23, 24, 26, 27. Zmiana dzienna temperatury największa wynosiła 7.04 stop. R. d. 24—25; i téj odpowiadała największa zmiana barometru 5.78 lin. par. Wichry i wiatry mocne, północno-zachodnie, były częste, i te znacznie oziębiały powietrze. Pod względem stanu nieba co do pogody, miesiąc ten był taki jak w stanie normalnym. Plam na słońcu nie było widać.

D. 7 o godz. 9¾ wiecz. koło tęczowe otaczało księżyc.

KRZYŻ NAD DROGĄ.

(Z KSIĘGI SZKICÓW I FRAGMENTÓW).

PRZEZ J. S.

Kiedy jeszcze dzieckiem prawie byłem, widok krzyża nad drogą budził we mnie jakieś sympatyczne uczucie. Nie pojmowałem wówczas wielkiego znaczenia, jakie w sobie zawiera; nie domyślałem się jeszcze, że ten krzyż drewniany, często mchem starości pokryty i pochylony, pełen prostoty jak życie i umysł naszego ludu, skromny jak jego zasoby, ku wysokościom nieba wzniesiony jak jego wiara: mieści w sobie tak głęboką myśl religijną, symboliczną, pamiątkową i poetyczną. Nie domyślałem się, mówię, tego wszystkiego, a jednakże widok jego rodził we mnie jakieś silne choć nieokreślone wrażenie. Był to instynkt dziecięcy, przeczucie pobożne, coś z mlékiem wyssanego z chrześciańskiéj piersi matki.

Z wiekiem, z dojrzałością myśli i wiary, ten instynkt przestał być instynktem, przeczucie przeczuciem: instynkt i przeczucie ustąpiły wiejsca przekonaniu i wierze. Ten krzyż drewniany, który mnie tak często spotyka pod wsią, na rozdrożach, na zagięciu drogi, wśród wsi częstokroć, witam zawsze z miłém uczuciem, ale obok tego ze wzniesieniem ducha i ukorzeniem myśli. Schylam przed nim ze czcią głowę jak przed znakiem wiary, jak przed pomnikiem nieszczęść i klęsk ogólnych, jak przed znakiem odwołania się do opieki Opatrzności we wszystkich strapieniach pojedynczych i rodzinnych, jak przed aktem dziękczynienia i pokory, które w téj skromnéj formie szukały i znalazły swoje

wyrażenie; jak przed najprostszą postacią myśli pobożnéj ludu, objawem uczuć które w głębi serca nosi, znakiem połączenia pomiędzy ziemią a niebem; jak przed upostaciowanym aktem strzelistym do Stwórcy i dawcy wszystkiego, od wdzięcznego i pobożnego narodu.

Tém jest teraz dla mnie krzyż przy drodze; w téj myśli schylam przed nim głowę i z przyjemnością patrzę, jak wszyscy u nas tą samą myślą wiedzeni, korzą się przed tym tak częstym a zawsze tak pełnym myśli znakiem. Im prostszy, tém więcéj do mnie przemawia; im sędziwszy i więcéj przez wpływ czasu omechniały i pochylony, tém do dawniejszych czasów, wydarzeń i wspomnień myśl moję odnosi. W swojéj prostocie tak dobrze godzi on się ze wszystkiém, co go otacza: z prostym widokiem pól zbożowych, ze słomianemi strzechami mieszkańców, z ich ubóstwem! Prosty jego materyał jest jedynym pospolitym płodem naszéj lesnéj ziemi. Prosta jego budowa, jak prosty smak i ukształcenie tych co go wznoszą, i co się przed nim korzą; tém dziwniéj, że obok całéj swojéj prostoty to samo robi wrażenie na umyśle, sercu i wyobraźni, jak wspaniałe dzieła sztuki w tym samym duchu wzniesione. W swojém ubóstwie, prostocie i obnażeniu ze sztuki, świadczy on pięknie, że naród jakiś może mieć niewykształcone uczucie piękności, może być nieuposażony w zasoby materyalne, a obok tego może posiadać to, co jest najwyższym skarbem:—to jest bogactwo ducha. Gdzie to jest, jest wszystko. Dostatki mogą przypłynąć ze zbiegiem stosunków i okoliczności; uczucie piękności może się obudzić ukształceniem, mogą się podnieść sztuki i kunszta, a wtenczas i forma wytłumaczenia swych myśli wydoskonali się i uszlachetni. Geniusz sztukmistrza uchwyci myśl narodową; dźwigną się pomniki wspaniałe ku czci bożéj, powstaną wzniosłe arcydzieła. Gdzie tego nie masz, najpiękniejsze pomysły nie dojrzeją i nie urzeczywistnią się, najszczytniejsze dzieła pójdą w poniewierkę, upadną i rozsypią się. Patrząc więc na ten krzyż drewniany jako na objaw, na promień ducha religijnego ludu, widzę w nim jeszcze źródło, z którego może wypłynąć kiedyś rzeka chrześciańskiego ukształcenia, zarodek z którego może powstać kiedyś wspaniała budowa sztuki narodowo-religijnéj.

Kiedy więc nieraz powolnie posuwałem się po naszych piaszczystych i błotnistych drogach, tak wiele dających czasu i sposobności do medytacyj, a krzyże drewniane to sędziwe, pochylone i omechniałe, to świeże, proste i jaśniejące farbami, mijały mnie z kolei: lubiłem badać ich początek, epokę ich wzniesienia, myśl i przyczynę ich budowy. Ale to niełatwo przychodzi: napisy na drzewie prędko się zacierają i niszczą, niewszędzie je nawet kładą, a często są nic nieznaczące. Można więc tylko odgadywać jużto po miejscu, jużto po wieku, jużto po zwyczaju i okolicznościach, przy jakich zwykle krzyże się u nas stawiają, początek i przyczynę jednych, a innych znaczenia szukać w świeżéj pamięci ludzi albo tradycyi. I tak: tu wśród wsi stał niegdyś kościoł, upadł z czasem, a w upadku ogólnym nie miał go kto podźwignąć. Ale miejsce poświęcone nie mogło uledz poniewiérce i zapomnieniu: naznaczono je znakiem krzyża. W miejscu, gdzie stała świątynia, służy on teraz do wznoszenia myśli, upokorzenia i modlitwy. Z upadkiem kościoła nie zgasła myśl pobożna ludu, tylko w prostszéj postaci strzela od ziemi do nieba.

Ten inny krzyż na drodze ku wsi z kościołem i cmentarzem parafialnym, ma smutne przeznaczenie i wiele bolesnych unosi na sobie pamiątek. Ile razy ktoś we wsi umrze, wszyscy krewni, znajomi, przyjaciele odprowadzają trumnę jego dotąd. Jestto stacya rzewna i niejedną łzą zmoczona. To miejsce ostatniego pożegnania zè swoimi i z gniazdem rodzinném. I starca, i niemowlę, i męża w sile wieku, i dziéwczę pełne świeżości i nadziei, nieraz już przewieziono tędy do miejsca wiecznego spoczynku. Tutaj się zawsze zatrzymał orszak pogrzebowy, tu odmówiono ostatnie modlitwy, tu ostatnie westchnienie i pożegnanie poruszyło piersi otaczających; tłum pogrzebowy pozostał w miejscu, a najbliżsi tylko odprowadzili ciało na cmentarz. Na wieleżto ten krzyż patrzył tych smutnych konduktów!. Wieleżto boleści, smutku pod nim się rozlało! Wieleż westchnień gorących i modlitw poniósł na sobie ku niebu!.. Od niepamiętnych czasów osłania swojemi ramionami ten ciągle powtarzający się, a zawsze dla tylu osób bolesny obrzęd; wszystkie boleści przyjmuje, wszystkim modlitwom jest pośredni-

kiem, we wszystkie serca zbolałe zlewa pocieszenie, otuchę i uspokojenie.

Wśród cichego pola na rozdrożu czerni się znowu krzyż pochylony, którego nikt nie myśli podźwignąć. Wieść głucha niesie, że tu kiedyś, bardzo już dawno temu, jakaś odbyła się potyczka; kto? z kim?—nikt nie wié. Ciała pobitych pogrzebano w tém miejscu, a ziemię krwią chrześciańską zmoczoną uczczono tym świętym znakiem. Jeżeli krzyż ze starości upadnie, to i podanie o potyczce i poległych przebrzmi i pójdzie w zapomnienie: kość tylko kiedyś poruszona pługiem zostanie jedyném świadectwem i całą pamiątką. Ale jeżeli ręka pobożna krzyż podźwignie, wieść się poruszy, pamięć jéj nie zaginie, a modlitwa przechodnia wzniesie się do Boga za dusze poległych w boju.

Daléj ten krzyż, co wznosi się tak czerstwo do góry, to pamiątka jubileuszowa. Tamten pod usuniętą na bok osadą, to znowu bolesna pamiątka wielkiego pomoru na dobytek. Ten, który mijamy, to fundacya skruszonego winowajcy, który w ten sposób chciał oznaczyć swoje opamiętanie i żal za grzechy. Tamten na wzgórku postawili nieszczęśliwi rodzice po stracie kilkorga dzieci, kiedy już jedno im tylko pozostało, i tą ofiarą i aktem pobożności chcieli ubłagać miłosierdzie boże dla téj ostatniéj swojéj pociechy na ziemi. Ten inny jeszcze wzniósł ktoś, co po zupełnéj stracie nadziei życia, powstał jeszcze z długiéj niemocy i wrócił do zdrowia. Ten staruszek omechniały i prawie w ziemię zapadły, to pomnik powietrza, które w dawnych czasach te strony nawiedziło; w owych czasach, kiedy wojny liczyły się na długie lata, kiedy niosły za sobą zniszczenie, pożogę i rabunki, a pozostawiały za sobą głód, zwyczajnego poprzednika powietrza. Kiedy się czytało nieraz w kronikach opis takiéj klęski, przestrachu i trwogi, jakie niosła przed sobą; gwałtowności i wściekłości z jaką dotykała i zabijała dotkniętych; spustoszenia, jakie zostawiała za sobą: zdawało się nam, że już Bóg w miłosierdziu swojém uwolnił ludzkość od podobnych ciosów, że już więcéj się nie powtórzą. Niestety tak niejest! Patrz na ten świeży niedawno wzniesiony krzyż, krwawo pomalowany jak gdyby na znak, z jakiém zakrwawioném sercem go budowano, wyciosany z dębu, jak gdyby ci, co go wznosili, do jak najodleglejszéj chcieli go

dochować potomności, a z nim wspomnień tego, co mu dało początek. Dziś każdy wié jego znaczenie, bo to boleśnie niezatartemi rysami zapisało się w głębi jego duszy; ale powoli wspomnienie minionych nieszczęść tępieje, słabnie i zaciera się. Pamięć starców je jeszcze przechowuje, a ich opowiadania młodzi słuchają z roztargnieniem, i już nie powtórzą tego następnym: bo to tylko, co człowiek sam przebolał i przecierpiał, wydarzenia na które własnemi patrzał oczami, głęboko i silnie tkwią w jego pamięci, błyszczą w jego wyobraźni, i o takich tylko umié i lubi mówić swym wnukom. To téż kiedyś za lat kilkadziesiąt starzec, świadek naoczny, usiadłszy na polnym kamieniu i wskazując wnukom ten krzyż, który już wówczas pokryje się mchem starości, tak im opowié dzieje i przyczyny jego wzniesienia.

»Byłem młodym jeszcze, ale właśnie w téj porze życia, kiedy rozum zdolny już pojmować i sądzić, kiedy uczucie jest silne i większe wrażenia ognistemi głoskami zapisuje w głębi serca swego, kiedy pamięć wreszcie jest najwierniejsza. Pamiętam jak dzisiaj, w początkach maja zaczęto szemrać pomiędzy ludźmi, iż w miasteczku o kilka mil odległém panuje jakaś niedobra choroba, która wiele ludzi sprząta. Zwykłe zabiegi około codziennego życia tyle ludziom dają do czynienia, tak odrywają ich od tego, co się dzieje daléj, tak mało jest współczucia dla nieznajomych, że niewiele się o to troskano, i niewiele nawet dopytywano; jednakże coraz o tém było głośniéj, bo coraz więcéj ludzi umierało. Niebawem, mieszkańcy tegoż miasteczka, a mianowicie żydzi, zaczęli się pocichu wynosić to w tę, to w ową stronę. Przez uciekających zaszczepiła się i wyszła na jaw choroba w kilku innych i już bliższych miejscach. Jednakże mieszały się jeszcze wątpliwości co to za choroba; lekarze nie jednego byli zdania; jedni się śmiali z zarazy, drudzy upominali i doradzali środki ostrożności; tak samo i profani.

»Niedługo jednak te wątpliwości trwały. W dwóch miasteczkach, które ztąd widzicie, jedno na prawo, drugie na lewo, zaraza prawie naraz po kilkanaście uderzyła osób, wyższych i niższych klass, zamożnych i ubogich: wszyscy pomarli, wszelki ratunek okazał się bezskuteczny. Choroba

okazała odrazu znaki niesłychanéj jadowitości i gwałtowności. Kiedy jeszcze i w innych miejscach to samo się powtórzyło, nie było już wątpliwości—słowo cholera przebiegło z ust do ust. Znane już ono było wszystkim; kilkakrotnie przebiegła ta plaga nasze wsi i miasta, pozostawiając za sobą wspomnienie srogich spustoszeń i bolesnych dla niejednego serca razów. Przyciągnęła ze Wschodu, jak te nawały barbarzyńców na schyłku państwa rzymskiego, które ją zburzyły, krwią zalały, wywróciły państwa, zatarły mowy, zniszczyły plemiona i nowy porządek zbudowały na gruzach starego; jak niszczący potok islamizmu, jak ta zaraza, która zniszczyła Ateny, a którą tak wspaniale i wymownie opisuje jeden ze sławnych historyków starożytności; jak ta druga niemniéj okropna, która 100,000 ludzi porwała w kilku miesiącach we Florencyi, a którą pamiętnym choć okropnym obrazem unieśmiertelnił autor Dekameronu. Tak i ta mówię klęska przeciągła ze Wschodu, téj odwiecznéj kolebki plemion europejskich, wiar, wielkich wstrząśnień i moru. Jak huragan przeciągnęła po różnych strefach, narodach, klimatach, ale niebawem znikła. U nas tylko ponowiła się jeszcze dwa razy.

»Po trzykroć więc już wszyscy pamiętali cholerę, ale nigdy ona takiéj jak teraz nie wzbudziła trwogi. Poprzedniemi razy zjawiała się powolnie: jedne miejsca opuszczała, drugie napadała; trzymała się ludu biédnego, źle żywionego i źle odzianego; mieszkań wilgotnych, niezdrowych przez swoje ściśnienie, przepełnienie ludźmi, lub samo położenie. Poprzedniemi razy więcéj chorych powracało do zdrowia, a zetknięcie z nimi nie było tak zgubne; teraz choroba okazała się od piérwszego wstępu we wszystkich klassach społeczeństwa: na miejsca czy wyżéj, czy niżéj położone, czy ubogie czy bogate, czy ludne czy mniéj zamieszkałe, uderzała jednakowo i bez różnicy. Okazała się odrazu prawie nieprzystępną wszelkiéj pomocy i w wysokim stopniu zaraźliwą. Kto zdołał wydobyć się z jéj objęć, wpadał w tyfus równie śmiertelny jak tamta.

»Groźna więc ta sama z siebie choroba, tém była groźniejszą, że szła owinięta straszną tajemnicą: nikt jéj natury, pierwiastku, przyczyn, sposobów chronienia się odgadnąć nie był w możności. Nikt jéj tajemniczéj zasłony

uchylić nie zdołał. Lekarze wyznawali swoję niewiadomość, a chociaż robili wszystko co mogli, zbyt często brak widoczny skutku wszelkich podawanych przez nich środków, odbierał zaufanie i nadzieję. Jednych uderzała z nagła i porywała w jednéj prawie chwili; na drugich pastwiła się zwolna: byli i tacy, których kilkakrotnie napadała i oszczędziwszy raz, zabijała za drugim powrotem. Rozdzierający był sam widok chorych: niebieska bladość, lodowe zimno, które ogarniało całe ciało, srogie kurcze, uczucie jednorazowe choroby i śmierci, które naraz całą nadzieję zabijało: tém większe wrażenie robiło na zdrowych. Wielu padało ofiarą trwogi i przerażenia. Srogość dziwaczna z jaką zaraza napadała niektóre rodziny, domy i ulice, tém większą szérzyła obawę. Gdzie jedna osoba została nią dotkniętą, tam każdy czuł się już jakby od anioła śmierci naznaczony. Jakoż zdarzało się niekiedy, że rodziny, domy w krótkim przeciągu czasu znikały. Trwoga, żal, ratunek nagły i męczący, jakieś zgubne miazma otaczające umierającego, roznosiły zarazę wokoło, która dotykała jednych po drugich. Niekiedy piérwszy dotknięty patrzał na zgon otaczających go i najdroższych sercu jego osób, zanim sam zdążył umrzéć.

»Zwątpienie więc i trwoga ogarnęły umysły; ale jak to zwykle się dzieje, niejednakowo działały na wszystkich. Jedni porzuciwszy wszystko: obowiązki, fortunę, dom, zatrudnienia, poczęli uciekać z miast w których wyłącznie dotąd grasowała epidemia. Ale i ci niezawsze ubiegli tym sposobem przed nią; dosięgała ich często w podróży lub miejscu, które uważali być bezpieczniejszém:—jak gdyby na dowód, że wszędzie dosięgnie prawica boża i nigdzie przed nią uchronić się nie można. Umierali więc, a ich ucieczka i śmierć roznosiły zarazę wkoło. Drudzy zamknęli się i zerwali stosunki z ludźmi. Odosobnieni, skryci, o wszystkich zapomnieli, wszystkich się lękali: ani przyjaźń, ani wdzięczność, ani obowiązki nie były dosyć mocnemi, aby ich wyprowadzić z ich kryjówek. W samotności i bezczynności unikali wrażenia, jakie wywierał widok zarazy i strasznych obrazów, jakie nastręczała; ale nie uniknęli téj okropnéj gry wyobraźni, która właśnie w takich położeniach najgwałtowniéj działać poczyna. Inni wreszcie najsłabsi, całkiem ulegli wpływowi trwogi, i zupełnie niemi zapa-

nowała. Nieprzytomni, bezwładni, z oczami obłąkanemi, nic nie widzieli, nic nie słyszeli naokoło siebie, tylko jęk rozpaczy i śmierć. Ścigały ich one w ich ukryciu i samotności: włosy podnosiły na ich głowach, krew ścinały w żyłach. Nie mogli znaléźć snu, odpoczynku, wytchnienia. Każda łyżka pokarmu zdawała się im zatruta, każdy oddech powietrza zabijający. To oddawali się nieprzytomni modlitwie, to napadał ich płacz i narzekanie. I tak w męce trwogi sroższéj, bo dłuższéj jak sama choroba, żyli tak długo, dopóki ucieczka w miejsca bezpieczniejsze, śmierć, albo ustanie zarazy nie położyły końca ich cierpieniom.

»Jak trwoga rozmaicie działała na umysły, tak téż różne, wedle odrębnych sposobów zapatrywania się na rzeczy i skłonności, obierano środki zachowania się i sposoby życia. Byli tacy, którzy w niczém nie zmienili zwykłego jego trybu; w umiarkowaniu znajdując największy środek ochrony, ograniczyli się tylko w rodzaju i ilości pokarmów i napojów; unikali zbytku i nadużycia, szukali umiarkowanych rozrywek, nie chronili towarzystwa, i zatrudnień zwykłych nie zaniedbywali. Inni przeciwnie: wstrząśnieni w swoich zasadach lub nie mając ich wcale, w trunkach szukali ochrony, siły moralnéj i pociechy. Jak napojem chcieli zalać wynurzającą się i stawającą przed nimi obawę śmierci; tak uciechami gwałtownemi, grą, rozpustą, chcieli ją zagłuszyć. Stan ich był stanem ciągłego szału, gorączki, rozdrażnienia, i właśnie mnożyli w sobie to, przed czém uciec i schronić się napróżno pragnęli. Bo jeżeli ten stan ich nasuwał im chwilami i dwoił obrazy wesołe i śmiejące; to za to również dwoił i powiększał jak każdy szał, jak każda gorączka, wrażenia okropne i bolesne, skoro te raz stanęły przed ich oczami lub w ich umyśle. Tych téż najczęściéj uderzała zaraza i najczęściéj stawali się jej pastwą.

»Lekarze niektórzy legli ofiarą swojego poświęcenia, drudzy upadali pod ciężarem znużenia; byli i tacy, co pobiegli ukryć się w najbardziéj oddalone tajniki. Bezwładność i osłupienie, skutek niezwyczajnego stanu, widać było wszędzie. Ręce opadały wszystkim; zatrudnienia zwykłe były po większéj części zawieszone; handel i rzemiosła świętowały, popęd wszelki do działania osłabł. W domach i familiach to samo się działo: przyszłość, staranie i zabiegi dla

niéj, zwykle tyle troskliwości budzące, zwolniały lub ustały całkiem. W miejscach dotkniętych zarazą, wszystko było w zupełném rozprzężeniu i nieładzie. Mała kupka odważnych zbiérała się około chorych, aby im nieść ratunek, i tych jeszcze ubywało w miarę rosnącego niebezpieczeństwa. Sługi uciekali od panów i porzucali ich w najgroźniejszych chwilach. Niewiele troszczono się o ratunek lekarski, ale pociechy duchownéj niezawsze można było dostąpić: jużto, że z powodu gwałtowności choroby brakło na to czasu, jużto, że i kapłanów jednych opanowała i zwyciężyła trwoga, innych dosięgła choroba. Umierających nie otaczało grono zapłakane rodziny i przyjaciół, ani ten święty i spokojny żal, jaki zwykle towarzyszy takim chwilom: trwoga, choroba, albo rozpacz rozpraszały wszystkich od łoża śmierci.

»Powoli jednak, jak to zwykle bywa w chwilach wielkiego niebezpieczeństwa, zjawili się ludzie z energią i odwagą. Kilku duchownych, lekarzy i urzędników dało wysoki przykład poświęcenia. Znaleźli się daléj ludzie prywatni, którzy bez obowiązku, jedynie z powołania chrześciańskiego, nieśli pomoc, urządzali i zaopatrywali szpitale, odwiedzali chorych, roznosili lekarstwa. Inni, którzy mogli ujść z miejsca niebezpieczeństwa, pozostali w niém umyślnie, aby radą zasilać, przykładem zimnéj krwi i rezygnacyi dodawać odwag upadłym na duchu mieszkańcom.

»Tymczasem pogrzeby mnożyły się dzień i noc: smutny ten obrzęd powtarzał się bezustannie. Chciano wzbronić dla złagodzenia wrażenia, aby dźwięk dzwonów nie towarzyszył pogrzebom; ale ludność oparła się temu, nie chcąc, aby umarli nie byli grzebani bez téj przynajmniéj ostatniéj formy. Ale i tak straciły one zwykły swój charakter: nikt im prawie nie towarzyszył, były samotne i samotniejsze jeszcze tém swojém osamotnieniem.

»Miasteczka dotknięte zarazą stały się puste i milczące: trwoga unosiła się nad niemi. Rzecz szczególna! ptastwo nawet jakimś nieodgadnionym instynktem natury wiedzione, znikało z miejsc chorobą dotkniętych: wróbel tak nawykły jednéj strzechy pilnować, wrona najczęstszy gość i najpilniejszy poprzątacz małych miasteczek, odleciały i znikły tak, że nikt ich nie ujrzał; a to spostrzeżenie na wielu

innych miejscach zrobiono. Mało kto z okolicy, chyba gwałtowną koniecznością popchnięty, odważył się je odwiedzać. Wiadomości jednak rozchodziły się po okolicy, i jak to zwykle bywa, do bajecznych cyfer podnosiły liczbę ofiar. Tym sposobem trwoga rozchodziła się wokoło i mnożyła w miarę przesadzonych wiadomości.

„Wyobraźnia naszego ludu tak zwykle skłonna do cudowności i poezyi, potworzyła mnóstwo zjawisk nadzwyczajnych, baśni, które krążyły z ust do ust chciwie chwytane i skwapliwie powtarzane. Jedne dziwne i śmieszne, drugie fantastyczne, inne powtórzeniem tylko były wieści gminnych, które w różnych stronach najodleglejszych kraju, zwykle zjawiają się w podobnych okolicznościach. Widziano w ciemnych sklepach i piwnicach jakieś niezwykłe poruszenia, pląsy i skoki istot z przyrodzenia swego nieruchomych, biernych i od natury na wieczną bezwładność skazanych. Widziano znaki na niebie ogniste, dziwne, nadzwyczajne. Widziano tajemnych, nieznanych kosarzy ścinających o zachodzie lub wschodzie słońca, zboże niedoszłe i rozrzucających je z wiatrem. Widziano niewiasty ze skrwawionemi chustami, które wsiadały na wozy przejeżdżających wieśniaków i zsiadały tam, gdzie zaraza miała wybuchnąć; widziano je przesyłające podstępnie takąż krwawego koloru chustkę, pod zmyślonemi pozorami przez nieświadomych prostaczków, którzy się tego smutnego zlecenia, uwiedzeni, podejmowali do miejsc, które chciały dotknąć; widziano je uciekające spiesznie z miejsc, gdzie choroba miała ustać. Te i tym podobne wieści krążyły ciągle pomiędzy ludźmi, trwożąc, kojąc, obawę lub uśmiech wywołując na usta, stosownie do stopnia ukształcenia, skłonności do fantastyczności i cudów, lub łatwowierności słuchających.

„Jakieto były bolesne chwile, oczekiwania, niepewności, jakieśmy wszyscy wówczas przeżyli, tego nikt wyrazić nie zdoła!.. Wszelka radość znikła, promień wesołości nie zabłysł na niczyjéj twarzy. Kto nie lękał się o siebie (a takich było wielu), lękał się o wszystkich co mu byli drodzy. Każdy liczył chwile i z niepewnością patrzył przed siebie. Każdy symptom najmniejszy, który w innych czasach nie zwróciłby uwagi, teraz zdawał się już groźnym. Patrzyliśmy na siebie, znajomi, krewni, domownicy jak gdyby chwila, którą wspólnie przepędzamy, była ostatnia. Godziny

wspólnego posiłku, tak miłe w gronie familijném, były nieme prawie; lękać się trzeba było każdéj łyżki pokarmu, aby nie wniósł ze sobą zatrutego miazmu. Jeden drugiego ostrzegał, pilnował, doglądał: zaledwie śmieliśmy dar boży brać do ust naszych. Kiedy się wyszło na przechadzkę, by świeżém odetchnąć powietrzem, zdawało się, że każde tchnienie wiatru przyniesie ze sobą tchnienie zarazy. Unikaliśmy się nawzajem, smutek leżał na czołach, każdy czytał go w oczach drugiego i nie chciał go własnym pomnażać: słowa zresztą marły na ustach. W niczém nie można było miéć jakiéjś stałéj nadziei: ani w sztuce lekarskiéj, ani w pośpiechu i energii ratunku, ani w obfitości wszystkich zalecanych środków. Wszystko było niewczesne, bo w kogo uderzyła zaraza, najczęściéj chwile jego już były policzone.

„W takiém oczekiwaniu, w takiém zawieszeniu pomiędzy życiem a śmiercią długie przeżyliśmy tygodnie. Zaraza srożyła się po miastach okolicznych, ale niewiele dotknęła jeszcze wsi. Nareszcie wybuchła i po wsiach. Jak ogień kiedy się rozejdzie po lesie wszystko wkoło zajmuje; tak na wszystkie strony rozlewała się zaraza i wszystko wokoło obejmowała. Co chwila smutniejsze dochodziły wiadomości: niebezpieczeństwo już nie groziło zdaleka, było ono wobec. Ale Bóg wielki w swojém miłosierdziu, w chwilach największéj niedoli przymnaża sił i odwagi. Z większém męztwem patrzyliśmy oko w oko śmierci, niż kiedyśmy ją mieli zdaleka.

„Wiele się wydarzyło wypadków rozdzierających, wiele ciosów bolesnych padło, wielu ludzi ze skrwawioném sercem pozostało przy życiu. Co cierpienia, jęków, boleści, żalu, rozpaczy wydarło się przez tę krótką epokę z piersi ludzkiéj, tego wam ani mogę, ani chcę opisywać. Czasy te zapisały się w pamięci mojéj ognistemi głoskami. Pali mnie ich obraz i nigdy się wrażenie jego nie zmniejszy. Stokroć wolałbym był stać w 10 krwawych bitwach. Tam zapał walki, nagłość śmierci, ruch walczących, popłoch pogromu, lub radość zwycięztwa, obszerność sama pola bitwy, odbierają wielką część wrażenia, a o życiu nie masz prawie czasu myśléć; tutaj w milczeniu bezczynném patrzéć musiałeś na zdrowych, pełnych życia, jak padali w jednéj chwili bez zapału i bez sławy; patrzéć musiałeś na jęki rozpaczy pozostałych, na ich trwogę, brak nadziei, żal

za umarłemi: jakbyś był na polu bitwy, gdzie kobiety i niemowlęta stawają do walki przeciwko niewidzialnéj a wszystko kruszącéj potędze.

„Cała nadzieja zostawała w Bogu: wszystkie myśli i uczucia do Niego się téż obróciły. W modlitwie każdy szukał pociechy, odwagi i tego wylania swoich wewnętrznych boleści, któremi z nikim podzielić się nie mógł, bo każdy był niemi przepełniony. Wieczorami po skończonéj pracy polnéj, zbiérało się wszystko co jeszcze było przy zdrowiu, pod krzyżami, figurami lub kapliczkami, i wspólnie błagali Boga o zmiłowanie. Głos pieśni nabożnych i łkań rozpaczy i skruchy, rozchodził się po rosie wśród ciszy wieczornéj; księżyc wznosząc się na sklepienie niebios, oświecał jeszcze nieraz te grupy modlących się. O! gorąca to była modlitwa! Jakby ostatnia w życiu, tak pełna była skruchy i żalu. Brzemieniem nieszczęścia i boleści przytłoczona, schylała się głowa każda do ziemi w pokorze. Nigdy znikomość człowieka i znikomość rzeczy ludzkich, i jego próżnych a wielkich zabiegów, i jego szalonéj ambicyi, i jego głupiéj miłości własnéj nie wyszła na wierzch, nie stanęła tak widomie każdemu na oczach, jak teraz. Nigdy człowiek głębiéj i silniéj nie czuł tego, że z prochu powstał i lada chwilę w proch ma się obrócić. I słusznie, że się modlono gorąco, bo nie dla jednego taka modlitwa była ostatnią. Tak spłynęły przeszło dwa miesiące długie jak dwa wieki. Grzebanie umarłych, starania około umierających, ponure wiadomości i pocieszająca modlitwa:—oto najzwyczajniejsze zajęcia dni naszych z owego czasu.

„Powoli choroba zaczęła tracić ze swojéj gwałtowności; wypadki stawały się coraz rzadsze, nareszcie w głębokiéj jesieni wszystko ucichło. Ale jakby atmosfera cała także dotkniętą została niemocą i wyszła ze zwykłego trybu, nastała okropna susza. Na ziemię skropioną tylą łzami nie chciała upaść kropla dészczu. Liście przedwcześnie opadły z drzewa, trawy wyschły, a cały świat przybrał postać zeschłéj pustyni, nad którą wisiało blade ołowiane niebo.

„O! straszny jest niekiedy, dziatki moje, objaw skrytych rozrządzeń Boga!... Biada tym od których oblicze swoje odwróci i na których ciosy swoje wymierzy. Oby nigdy podobna klęska nie padła na tę biédną ziemię, oby ani wy, ani wasze wnuki nic podobnego nie dożyły.

„To działo się w roku 1852, a na pamiątkę cierpień przebytych, pozostałe niedobitki wzniosły ten krzyż pod którym siedzimy. Skupiły się w nim tysiączne boleści, tysiączne łzy i tysiączne wspomnienia. Dla mnie, com go z innemi wznosił, jest on zarazem smutną pamiątką, pobudką skruchy i upokorzenia i bodźcem do gorącéj modlitwy za dusze tych, co wówczas przenieśli się do lepszéj wieczności. Ale niemniéj ten krzyż jest wyrazem dziękczynienia za cierpienia i okropności, których Bóg nam oszczędził, które od nas odwrócił, których nie dopuścił. Bo choć straszną była klęska którąśmy przebyli, stokroć większe są w mocy Jego i stokroć większe zsyłał już nieraz na ten świat zawsze ślepy, zawsze pyszny ze swojéj mądrości, chociaż stokrotnie upokarzany i przekonywany o swojéj niedołężności.

„Kiedy późniéj rozczytywać się będziecie w książkach i rozpatrywać w przeszłości, poznacie także sławny opis zarazy w Atenach, w drugiéj księdze Tucydydesa zamieszczony. Spotkacie tam obrazy, które w okropności o wiele przechodzą to wszystko, co wam dotąd opowiadałem. Tam i zaraza była sroższą i jéj skutki nierównie okropniejsze: bo poprowadziły za sobą prawie zupełne rozprężenie wszystkich węzłów społeczeńskich. Wszystko, opowiada on, ze wsi okolicznych zbiegało się do miasta, co pogorszało położenie jego mieszkańców; brakło mieszkań i schronień. Przybyli żyli ściśnięci w budach i szałasach, a to w porze upałów; ginęli tłumami, a umierający zmieszani byli z umarłemi. Chorzy pożerani pragnieniem, włóczyli się po ulicach i padali bez życia przy studniach. Świątynie i miejsca poświęcone, na których wznoszono namioty, zaległe były ciałami tych, których śmierć tam uderzyła.

„Niebawem wszyscy nie wiedząc co począć ze sobą, poczęli tracić wszelkie uszanowanie dla praw boskich i ludzkich. Obrzędy pogrzebowe zostały zaniedbane; spieszono się uprzątać zmarłych jak kto mógł. W braku potrzeb stosownych, kładziono ciała i palono na stosach do kogo innego należących, uprzedzając tych, którzy je przysposobili; inni w chwili kiedy też stosy gorzały, wlekli z pośpiechem i rzucali ciała swoich. Ale gorszy nieład następował w miarę postępu zarazy. Patrząc codzień na zmiany i rewolucye w fortunach, patrząc codzień na zgon bogatych, na puścizny wielkie jakie brali ubodzy, ośmielał się niejeden puścić otwar-

cie na zbytki i rozpustę niewidziane dotąd. Szukano uciech gwałtownych; rozwiązłość najwyuzdańsza w takim życiu od dnia do dnia, zajęła miejsce wszelkich innych zatrudnień i wszelkich obowiązków. Wszystko co uczciwe poszło w poniewierkę; nikt nie wiedział czy skończy to co rozpocznie, i nic zacnego nie rozpoczynał. Nie wstrzymywały już więcéj nikogo ani bojaźń bogów, ani prawa ludzkie; zdawało się rzeczą obojętną czcić bogi lub o nich nie dbać, kiedy wszystko bez różnicy padało.“

„Tak mówi Tucydydes, a jego piękny opis radzę wam kiedyś czytać w całości. Oprócz niego spotkacie jeszcze opisy zarazy, piękne choć równie okropne w Lukrecyusza wielkim poemacie, w Georgikach Wirgiliusza, w Przemianach Owidyusza; nad temi przecież jako nad obrazami poetycznemi, może nie z rzeczywistości branemi, może przeciążonemi barwami poezyi, zresztą nie odnoszącemi się historycznie do jednego miejsca i czasu, nie będę się zatrzymywał. Ale muszę zwrócić uwagę waszę na opis późniejszy, niemniéj sławny a może piękniejszy jak Tucydydesa, na opis świadka naocznego, na opis któremu wszyscy współcześni przyznają zupełną wierność i podobieństwo, na opis zresztą którego prawda tryska w oczy czytającego z saméj jego prostoty:— jestto obraz zarazy we Florencyi, który zostawił Bokacyusz w swoim Dekameronie.

„Kiedy go czytać będziecie zobaczycie i tam o ile okropność i srogość zarazy, którą opisuje, przewyższały to wszystko, czego ja byłem świadkiem naocznym. Zobaczycie, jak i tam także skutkiem wielkości nieszczęścia rozprzęgły się węzły społeczne, serce ludzkie zamknęło się wszelkiemu współczuciu i litości, wyuzdanie wzięło górę, praw nie miał kto wykonywać, a nikt nie umiał ich szanować. Zobaczycie, jak wstyd znikł w kobietach a uczucie własności zostało zapomniane; jak śmiechy, okrzyki pijaństwa i wesołości sztucznéj i szalonéj rozlegały się wśród umierających. Jak ludzie w ostatniém wysileniu troskliwości o siebie otaczali się kwiatami, aby ich zapach zabijał odór zgnilizny, rozlany w powietrzu z ciał niepogrzebanych i rozkładających się od upału słonecznego. Zobaczycie tam jeszcze, jak po okolicach miasta, po wsiach i folwarkach, wszystko również popadło w rozprzężenie i opuszczenie; jak prace rolne były porzucone, owoce i zboża zostawione na drzewach i polach;

jak stada zaniedbane i zostawione własnemu przemysłowi błąkały się po polach, po zbożach bez dozoru i opieki; jak pies nawet, ten najwierniejszy towarzysz człowieka, odbiegł go i porzucił.

»O! wieleż to—mówi kończąc swój opis Bokacyusz—pałaców pysznych, domów obszernych, przed chwilą zapełnionych licznemi i szczęśliwemi rodzinami, pozostało pustką, bez panów i bez sług! Wieleżto rodów znakomitych wygasło; wieleżto fortun i wielkich spadków pozostało bez dziedzica; wieleżto mężów zasłużonych, kobiét jaśniejących urodą, młodych ludzi w kwiecie i sile życia, którychby Galien, Hipokrat, Eskulap byli mniemali w stanie najzupełniejszego zdrowia, przepędziwszy ranek w kole familijném albo w gronie przyjacioł, wieczorem przeniosło się na inny świat.«

»Ale chociaż wielki talentem i wyrazistością jest ten opis zarazy florenckiéj, cóżto jest opis w słowach? Oddaż on część nawet tych okropności na które cała natura się wzdryga, które wszystkie zmysły człowieka poruszają i duszę jego wstrząsają do gruntu? Jeżeli was losy kiedy zaprowadzą do Florencyi, zobaczycie tam w jednéj z sal Muzeum, obrazy tejże saméj zarazy, podług opisów Bokacyusza, nie pędzlem przecież i nie na płótnie, ale w sposób bardziéj jeszcze uderzający zmysły i rażący straszną rzeczywistością:—sąto przedstawienia z wosku, ale z mistrzowską dokładnością i prawdą, i z anatomiczną wiernością dokonane. Stoją one u wnijścia i niepodobna je pominąć; a pamięć tych smutnych obrazów, zwłaszcza że je oglądałem świeżo pod wspomnieniem i pod wrażeniem niedawno u nas przebytéj zarazy, tym głębsze pozostawiła w umyśle moim ślady. Można tam widzieć wszystkie stadya zarazy, od jéj poczęcia aż do końca; zmiany w kolorze ciała i postaci chorego; wyrażenie jego boleści; grupy pełne prawdy i okropności, jakby przez poetę ułożone w smutne dramata; rozkład ciał niepogrzebanych od chwili śmierci aż do ostatniego zepsucia. Smutnyto i okropny widok!

»Było więc u nas Bogu za co dziękować, że chociaż ciężko nas dotknął, od takich okropności przecież uwolnił i zasłonił. Złe nie doszło u nas do téj wysokości i do tych rozmiarów, ani téż skutki i następstwa moralne i społeczne nie mogły być tak wielkie i smutne. Chociaż wielu było

zasmuconych, wszystko zostało w swoich karbach i porządku. Umysły zamiast oddalić się od Boga zwróciły się owszem do niego; modlitwa zamiast skonać na ustach w trwodze i rozpaczy, stała się stokroć gorętszą i głębszą; skrucha większą, równie jak uczucie swojéj nicości i nicość wszystkiego co ziemskie i doczesne.«

Tak kiedyś świadek naoczny opowié smutną historyą tego krzyża; my tymczasem jeszcze spojrzyjmy na ten ostatni na prawo niedaleko od drogi. Wokoło niego miejsce opustoszone, smutne z ogrodzeniem niezupełném, z kilką małemi krzyżykami i kilką świeżemi grobami:—to cmentarz. Zaniedbany, opuszczony od ludzi, jak większa część naszych wiejskich cmentarzy. Nie masz tu nagrobków, ani kwiatów na grobach, ani nic, coby pamięć jakąś znaczyło o tych, co śpią na tém miejscu wiecznego spoczynku. Kogo zagrzebią widać w tém ustroniu, ten już wymazany z pamięci żyjących. Droga zarosła, nie znać ludzkiéj stopy: nikt snać nie chodzi tutaj popłakać na grobie zmarłego, połączyć się z nim myślą w lepszym świecie, i posłać za niego modlitwę. Zniszczenie i pustka wszędzie osiadły: wszystko się rozsypuje, niszczeje zaniedbaniem i upada. Ludzie widocznie opuścili to miejsce, którego jednak żaden z nich nie ujdzie. Możeby nawet świętokradzka ręka do reszty zburzyła wszystko, ostatni kawałek truchlejącego ogrodzenia uniosła, ostatni zardzewiały wrzeciąż wyłamała; cóż broni więc tych resztek, co ochrania to miejsce od skalania i zbezczeszczenia? Oto ten jeden krzyż wyniosły, wpośrodku stojący, który czuwa nad grobami. Rozpostarł nad nimi ramiona jakby wszystkich zmarłych brał w swoję opiekę i garnął do siebie i całą świętość miejsca osłaniał.

Tak więc ten znak, wielki w swojéj prostocie, za życia jest człowiekowi pośrednikiem pomiędzy ziemią a niebem: przez niego posyła swoje prośby i dziękczynienia, u stóp jego składa swoje cierpienia, nędze i boleści, i przesyła ich pamięć wnukom, a po śmierci czuwa nad jego grobem i strzeże cichości jego spoczynku.

POWIŚLE.

POWIEŚĆ Z DRUGIÉJ POŁOWY XVIII WIEKU.

(Dokończenie).

IV.

We dworku modrzewim, przy ciepłym kominie
Spoczywa rad żupnik o szaréj godzinie;
Raz po raz do ognia dorzuci łuczywa,
I ręką zgrzybiałą pomału doléwa
Starego dębniaku, z spleśniałéj butelki,
I spełnia po kropli z czareczki niewielkiéj.
Bo starość nie żartem krew w piersi już ziębi,
Zoraną skroń puszy włos miękki, gołębi:
A usta ozdabia wąs biały jak mleko.
Przygasa blask oka pod zwiędłą powieką,
Jednakże gdy miodek pierś starą zagrzeje,
Gdy starzec przypomni lat zbiegłe koleje:
To często mu ogniem rozpłonie źrenica,
I świeży rumieniec wytryska na lica.

Choć starca niemałe przygniata lat brzemie,
I barki bezsilne pochyla mu w ziemię;
Choć czuje, że ramię nie sprosta już chęci:
Rozbudza on przecie w gasnącéj pamięci
Ostatnie odblaski, by strzępki ze złota,
Co ścieszki zbiegłego barwiły żywota.
I wszystko się w myśli żupnika układa;
Choć umysł chwilowo otoczy mgła blada,
Wnet kropla ożywcza mgły spędza tumany,
Spajając na nowo bieg myśli rozwianéj.
I w piersi żupnika głęboko, a skrycie,
Pod śniegiem starości tli w pełni to życie,
Co niegdyś na zewnątrz spływało potokiem.
A jako przed laty, i myślą i okiem

Tajemne przyszłości przebiegał obszary:
Dziś w przeszłość wyłącznie zapuszcza się stary,
Bo świadom, że spełnił żywota zadanie,
I sprzątnął do kłosa plon bujny na łanie!

I cześnik sędziwy przy ojca siadł boku,
Włos jego spruszony, lecz ogień tli w oku.
Choć szósty mu krzyżyk już cięży na grzbiecie,
I zaznał żywota burzliwe zamiecie;
Lecz dzisiaj dni jego zbiegają w swobodzie,
Jak świadczy rumieniec na czerstwéj jagodzie,
I uśmiech, co z jasnéj wypływa mu duszy,
Gdy wąsa pokręci, lub wylot poruszy.

Przy mężu tuż żona zasiadła na ławie.
Ćwierć wieku pospołu przeżyli już prawie,
Czas jednak nie zrdzewił świętego ogniwa
Co stale ich łączy; znać Marta szczęśliwa,
Bo oko jéj dziwną jaśnieje pogodą,
I lica dojrzałe lśnią jeszcze urodą;
A ręka, na któréj wyryła ślad praca,
Z cudowną zręcznością wrzeciono obraca.

Na boku, młodziuchna Jadwiga len przędzie.
Z stron obu, na szyję i piersi łabędzie
Spływają dziéweczce dwa ciemne warkocze,
Nadobnie ćmi rzęsa jéj oko urocze:
Na licu rumieniec jaśnieje tak hoży,
Jakby go malował poranny brzask zorzy.
Niewinna jak kwiatek, co wyrósł wśród pola,
Powiewna i smukła—jak młoda topola.
Jéj kibić ujęta w kabacik persowy,
Nad czołem równianka z stokrotki różowéj.
Starannie przepaska w staniku ściśnięta,
Dowodzą, że dziéwczę przybrane od święta.
Choć dzisiaj sobota, powszedni dzień przecie,
I matka w rąbkowym jak co dnia kornecie.
Lecz częstoż zmieniają tajemne przyczyny
Powszedni dzień w święto, dla młodéj dziewczyny.

Coś żupnik dziś nie rad, i dziwnie zsowiały
Przy ciepłym kominie przesiedział dzień cały;
Choć dosyć spóźniona już pora majowa,
I myśli splątane, nie wiążą się w słowa:
Więc milczy upornie w raz z starym rodzina.
Jadwiga tymczasem pocichu wspomina
Jak piękny pan Janusz przed chwilą na stronie,
W okienku uścisnął przelotnie jéj dłonie.

A cudnież mu było w przystroju godowym:
W błękitnym żupanie, w kontuszu pieprzowym,
U szyi mu świecił karbunkuł bogaty,
Na rzymskie poselstwo kupiony przed laty;
I klejnot kosztowny ozdabiał prawicę,
Na herbie *Ostoja*: krzyż i dwa księżyce
Wyrznięte w krwawniku misterną robotą.
Szablica oprawna w turkusy i złoto,
Dzwoniła wspaniale przy boku młodziana,
Gdy jadąc na ucztę, wstępował dziś zrana.
O! nigdy pan Janusz nie patrzał tak mile
Na piękną dziéweczkę, jak w krótką tę chwilę;
A kiedy odjechał, to długo Jadwiga
Za pyłu obłokiem, oczyma go ściga,
Aż zniknął nareszcie na skręcie w dolinie.
Toż spadła tęsknota na serce dziewczynie,
I dotąd niepokój tajemnie myśl tłoczy,
Splątane obrazy przywodząc na oczy.
Gdy ręką bez przerwy wyciąga len biały,
Ku oknu raz po raz wzrok wiedzie nieśmiały,
I patrzy w dolinę, i widzi jak zdala,
W pomroku się łuna na niebie zapala;
I zda się, że czasem przelotnie wśród ciszy,
Płynący po rosie dźwięk tonów posłyszy,
Że wrzawa biesiadna do ucha jéj wpływa.
I duma boleśnie dziéweczka trwożliwa,
Myśl błędna dręczące nasuwa jéj mary:
Wspomina przez jakie tumany i czary,
Wiślane wodnice uwodzą młodziana;
I owa powiastka w dzieciństwie słyszana,
Raz piérwszy nieznaném przejmuje ją drzeniem,
I pierś jéj dziewiczą unosi westchnieniem.
A nawet do dziadka ukryty żal chowa,
Że nie dał o uczcie wspominać i słowa;
Snadniéjby rodzice skłonili się może,
By światu ukazać dziéweczkę swą hożę.
Ze starym dziaduniem trudniejsza to sprawa:
Przepomniał, że miła młodemu zabawa!
Tak mniema Jadwiga; lecz inne powody
Miał żupnik sędziwy, że z cichéj zagrody
Stanowczo zabraniał wychylić jéj głowę.
— „Oj zdrowsze dziewczynie powietrze domowe—
Rzekł starzec poważnie—bo snadno niebodze
Pośliznąć się czasem na gładkiéj podłodze.
Ostrożnie od ognia! wszak wiemy że parzy!“

Lecz dziéwczę niedługo przemyśla i marzy.
I rychło w jéj duszy myśl budzi się zdrowa,

Jak ranna mgła pierzcha czczych marzeń osnowa:
Znów oko Jadwigi lśni dziwnie urocze,
I coraz to głośniéj jéj kółko turkocze,
Bo dawno od matki dziewczyna wié młoda,
Że z pracą powraca do serca pogoda.

Z wielkiego komina, blask jasny ogniska
Na ściany bielone przelotnie połyska,
I świadczy wymownie milcząca komnata,
Czém starzec w ubiegłe zabawiał się lata.
Poniżéj obrazu Maryi Łaskawéj,
Przed którym się korzy sodalis jéj prawy,
Przybita dwururka i lwowska czeczuga,
I czekan z siekierką, i szabla znów druga,
W zwyczajnéj a czarnéj oprawie z węgorza.
W wezgłowiu kord wielki wygląda z nad łoża
Obsadny w szeroki furdyment ze stali,
Co snadno przed cięciem prawicę ocali.

Oddawna już siły starcowi niestało,
By dźwignął szablicę swą dłonią zgrzybiałą;
Już tylko jéj blaskiem zamglony wzrok pieści,
Gdy wątek wysnuwa codziennych powieści.
Wié którą broń dzierżył w odległe te czasy,
Gdy Sasa przepędzał za rzeki i lasy;
Wié z którą, młodziuchne na on czas pachole,
Przy boku rodzica podążył pod Wolę;
Gdzie tydzień ze szlachtą koczował za miastem,
I z bracią pospołu głosował za Piastem.

Gdziekolwiekbądź żupnik powiedzie oczyma,
Nad wszelkim przedmiotem rad myśli zatrzyma:
Czy spojrzy na różnéj wartości i miary
Na szafie stojące kielichy i czary;
Wié, w jakiéj potrzebie wychylał je do dna,
Pamięta, czy uczta odbyła się zgodna,
Wié, jeźli przypadkiem nie uszła na sucho,
Kto kordem w łeb dostał, lub stracił w niéj ucho!

I innych pamiątek w komnacie téj wiele:
Tu wisi gromnica święcona w kościele,
Co w ręku płonęła nieboszki Doroty,
Gdy krzyżem spłakane żegnała sieroty.
Wspomnienie to starca bynajmniéj nie trwoży,
Choć wié, że gdy wyrok powoła go Boży,
Gdy żegnać mu przyjdzie czeladkę i dzieci,
Taż sama gromnica i jemu zaświeci.

Tam lampa bladawo migoce na stronie
Przed Maryą świecącą w anielskiéj koronie;
Bo dzień to sobotni, gdy swojéj królowy
Kraj cały hołduje pokłonem i słowy.
A święta Panienka w cudownéj dobroci,
Swym wiernym drożynę żywota ozłoci:
Gdy z nieba na ziemię obróci wzrok mile,
Stróż anioł rozpara obłoki na chwilę!
Choć długą Bóg zsyła zawieję i słotę,
To słonko z za chmury wypływa w sobotę!
I dzisiaj po smutnéj zamieci trzydniowéj,
Z zachodem zaświecił blask zorzy różowéj,
A teraz gdzieniegdzie lśni gwiazda nieśmiała,
I wonią majową przyroda tchnie cała;
Od łąki dobiega szum wody daleki,
Co deszczem wezbrana wciąż wpływa do rzeki,
A w ciemnym ostrowiu zbudzone pogodą,
Rojami słowiki śpiewają nad wodą.

Milczenie w komnacie i cisza wśród wioski:
Noc skrzydły utula niedole i troski.
Wtém nagle zajaśniał błysk drżący a blady,
Do głębi się dworku wstrząsnęły posady;
I zerwał się cześnik jak warem sparzony,
Podskoczył ku oknu, wzrok utkwił z téj strony,
Gdzie łuna jaskrawo część nieba rumieni,
Smug światła roznosząc wśród ciemnéj przestrzeni.
Rzuciła i Marta na ziemię wrzeciono,
Jadwiga pobiegła za matką strwożoną
Ku oknu, zkąd słychać gwar niewiast i dzieci.
Znów ziemia zajękła raz drugi i trzeci,
I trzykroć zabłysło, i trzykroć dwór cały
W posadach się zatrząsł, a szyby zadrżały.

Tu gniewem oblicze żupnika zapłonie,
Krew stara ukropem zawrzała mu w łonie,
I wylot poruszył na suchém ramieniu,
I głowę na piersi pochylił w milczeniu.
Nareszcie podnosząc głos drżąco a zcicha,
Splunąwszy ze wzgardą—„Tfu!—rzecze—do licha!
Jak ziemia ta ziemią, nigdyż to jéj prawy
Syn, prochu nie trwonił na takie wyprawy.
Gdy serce wam w popiół zgorzało za katy,
Spełniajcież szaleni niewczesne wiwaty!
Niegodne wyrodki, bez wiary ni cześci,
Nurzajcież się do dna w rozpuście niewieściéj!
O! rychło za wasze swawolne bezwstydy,
Bóg lica wam piętnem naznaczy ohydy;

A miasto tych kudłów spiętrzonych nad czołem,
Posypie wam czaszki pokutnym popiołem!
Kto wzgardził swą strzechą ubogą a nizką,
Kto zburzył poczciwe naddziadów ognisko,
Kto rad się zapiera prostoty a wiary"....
Tu umilkł.... i rękę do góry wzniósł stary,
Od zgrozy włos srebrny powstał mu nad głową,
A usta już miały straszliwe rzec słowo.
Cześnika oblicze pobladło od trwogi,
I przybiegł do starca, i objął mu nogi:
— O ojcze!—zawoła—wszak dobry Bóg w niebie,
Biédnego grzesznika przygarnia do siebie.
Czyż człowiek ma prawo być sroższym od Boga?"
Za mężem przybiegła i Marta nieboga,
Wraz z córką pokornie uklękły na ziemi,
I patrząc na starca oczyma łzawemi,
Błagają o litość.

Aż żupnik prawicę
Wzniesioną opuścił; łza spadła na lice,
A w piersi zachrzypłéj ozwało się łkanie.
Wtém lampa jaskrawiéj mignęła na ścianie,
I starzec podparty synowskiém ramieniem,
Przed obraz Maryi postąpił ze drżeniem,
Padł kornie na ziemię, i ręce w znak krzyża
Rozpostarł; za starcem rodzina się zbliża,
I póty się modli, aż wszystkim do łona
Powraca pogoda chwilowo zmącona.

Wstał żupnik, na czole nie dojrzeć już troski:
Zapewne mu anioł, posłannik on boski,
Co człeka pokrzepia w modlitwie a znoju,
Do duszy zbolałéj tchnął promień spokoju.

I zasiadł, do ognia dorzucił łuczywa.
Znów przędzie swą kądziel Jadwiga pierzchliwa,
A Marta wrzeciona do ręki nie bierze,
Lecz sama sobotnią przyrządza wieczerze.

Po skromnym posiłku, przy ciepłym kominie,
Jak co dnia, swobodnie gawęda znów płynie;
A żupnik pierś starym skrzepiwszy dębniakiem,
Zagadnął:—„Czy pomnisz, jak bieglim za znakiem
Naszego hetmana? gdym ciebie pachole,
Z za pieca od matki wyciągnął był w pole.
Oj dobreż to czasy Bartoszku mój były!
Nie brakło zaprawdę ochoty, ni siły;
A człowiek się krzepił nadzieją, jak dziecie,
Ze przecież się Bogu zasłuży na świecie;

Jednako czasami zatęsknił do proga,
Bo Dosia pod strzechą płakała nieboga.“

I żupnik pogładził pomału wąs siwy,
I chwilę podumał o Dosi poczciwéj;
Znać duszą utonął w przeszłości dalekiéj,
Bo spadły nieznacznie na oczy powieki.
Pomału na rękę, zorane wsparł czoło,
I ozwał się z cicha:— „Oj! dziwnież, wesoło
Przewiło się życie, po Bogu, jak wiankiem!
A dobrze tam było siąść z Dosią przed gankiem,
Gdy dziatki ochoczo po trawie pląsały:
Bartoszek i Zośka, i Janek mój mały!“....
A corazto ciszéj płynęły mu słowa,
Aż w końcu na ramię zwisnęła już głowa
I usnął; a uśmiech wystąpił na lica:
Znać błogie wspomnienie myśl zwiędłą rozświéca,
A chociaż się nowe ozwały wystrzały,
I znów się od huku zatrzęsły powały:
On we śnie wspomina podobno te czasy,
Gdy z kraju rugował niemiłe mu Sasy.

A cześnik na łunę pogląda zdaleka,
I zgroza mu czoło sędziwe powleka,
Oblicze rumieniec wypala jaskrawy;
I zwraca ku niebu wzrok rzewny a łzawy,
Bo zda się, że widzi jak ciche obszary,
Straszliwe a blade zaległy w krąg mary;
I słyszy jak sowy z pućkami wraz nocą,
Nad dachem braterskim grobowo chichocą,
Zwiastując złowieszczo, że spłynie wnet z chmury
Grom jasny, co w niwecz zdruzgocze te mury;
A w gruzach ponuro sterczących w popiele,
Plugawa gadzina wnet gniazdo uściele.

V.

W pałacu tymczasem zgiełk, hałas i wrzawa:
Noc całą się ciągnie bez przerwy zabawa.
Od kwiatów zamorskich, zdobiących głąb sali
W przepysznych wazonach, woń bije z oddali.
Zakryta klombami z pomarańcz bujnemi,
Muzyka się zdaje wypływać zpod ziemi,
Jakoby za laski dotknięciem czarownéj.
Wśród kobiet rój krąży młodzieży wymownéj,
Jak owych szerszeni brzęczących w ogrodzie;
Znać wszyscy hołdują zwyczajom i modzie,

Bo każdy, by obcy ubiorem jak mową,
I wszystkim się piętrzą fryzury nad głową.
Jednakże pan Zeon udatnym przystrojem
Panuje nad świetnym a próżnym tym rojem.
Od kilku lat przecie na całą Warszawę
Piérwszego *szarmanta* pozyskał on sławę.
Bieglejszy nad drugich w francuzkim żargonie,
Rej wodzi w Tepera i Blanka salonie,
Gdy owe król świetne zaszczyca biesiady.
I damy go piękne wzywają do rady,
Gdy idzie o układ koncertu, pikniku;
Raz po raz w Jeziorny spraw miewa bez liku,
Bo głośno o swoim rozprawia honorze.
Los jednak od krysy urodę strzegł hożę:
W tych sprawach burzliwych krwi barwa nieznana,
Choć strzały zachuczą, to strzały z szampana!
Codziennie pan Zeon odbiéra wezwania
Na modne obiady, wieczerze, śniadania,
A co dnia, gdy damy po hucznym obiedzie
Swym żółtym karyklem ku Woli powiedzie;
Ciekawe wśród ulic zbierają się tłumy.
Toż niedziw, że pełen powagi a dumy,
Wciąż złotą łornetkę przykłada do oka;
Bo na to dostojność pozwala wysoka.
Tak przecież w stolicy król czyni od młodu,
A Zeon król mody, jak August narodu.

Fryzura owiana przejrzystym obłokiem,
Wystaje nad czołem młodziana szerokiem;
Włos w bujnych kędziorach na plecy mu spływa,
A czarny go w głębi harbajtel ukrywa,
Ozdobion bogatą z atłasu kokardą.
I dziwnaż, że Zeon pogląda ze wzgardą
Na owe czupryny, golone w krąg głowy,
Że szydzi z nich wiecznie uśmiechem i słowy?
Ma prawo, bo dzielnie szyderstwa zna sztukę;
A przerósł te głowy o całą perukę!
Frak jego mieniony, jak szyja kaczora,
Podbity różowym atłasem (co wczora
Z Paryża mu ledwo sztafetą przysłali).
Jaśnieją po bokach guziki ze stali
Wielkości talara, misternéj roboty;
Na piersi spływają brabanckie żaboty,
Cieniuchne i śnieżne, a szyja mu tonie
W Indyjskich muślinów pajęczéj osłonie.

O! niczém to jeszcze! Dziś tryumf Zeona,
Przez który swych wszystkich rywalów pokona,

Spoczywa w cudownéj paryzkiéj kamzeli,
O jakiéj, choć wszyscy w stolicy słyszeli,
Nikt przecież jéj swemi nie widział oczyma:
A cudu takiego sam nawet król nie ma!
Z białego atlasu, stan wcięty a długi,
Wokoło wyszyte folgami papugi
Wśród kwiatów i złotych floresów bez końca,
Co sieją zdaleka, przy świetle, blask słońca.

Gdy Zeon się z dumą przechadza po sali,
Malwina go śledzi oczyma z oddali.
Bo lubo jéj schlebia uroda młodziana,
Choć tuszy, iż szczérze od niego kochana;
To zazdrość ją w serce zakole igiełką,
Gdy młodzian na inne pogląda przez szkiełko.
Z każdego uśmiechu i słówka złe wróży;
Lecz kiedy znów motyl powróci do róży,
W swéj sztuce Malwina wysoko uczona,
Zalotném wejrzeniem zwycięża Zeona;
A chińskim wachlarzem wpół kryjąc oblicze,
Rozsyła na strony pociski zwodnicze.
Źrenica jéj blaskiem podwójnym dziś płonie,
Bo czuje, jak piękna w błękitnym robronie.
Lśnią cudne manele; u białéj jéj ręki
Z brylantów egretka podnosi jéj wdzięki,
A włosy w kształt miotły wzniesione nad głową,
Wśród uczty ją czynią prawdziwą królową.

Przybrana w różową lewitkę Kamilla,
Jakkolwiek się wdzięcznym uśmiechem przymila,
Choć zdobna w klejnoty i drogie manele,
Chce kłamać ustami i okiem wesele.
Nie idą jéj przecież ni żarty, ni słowa,
Bo tęskna jéj dusza głęboki żal chowa.
Daremnie wachlarzem w ślad matki porusza,
Niełatwoż jéj znęcić wejrzenie Janusza.
On stoi jak posąg oparty o ścianę,
Nie miesza się wcale ni w tłumy pijane,
Co wpośród poblizkiéj zebrane komnaty,
Spełniają z okrzykiem ustawne wiwaty.
Naprożno puharem szambelan go nęci,
Do *lombra* téż żadnéj nie czuje on chęci,
Ni modna *piktieta* nie wabi go wcale,
I patrzy ze wzgardą, jak w dziwnym zapale
Niebaczna a płocha szafuje młódź złotem,
Zdobytém naddziadów krwią, pracą, i potem.

Choć zabrzmi kapela polskiego od ucha,
Nie czuje do tańca podniety ni ducha;
Lecz patrzy litośnie, jak kuse fircyki
Obute w świecące z klamrami trzewiki,
By Marki po piekle wciąż krążą po sali:
Nie brząkną do taktu szablicą ze stali,
Ni składnie wylotu nie zrzucą na ramie,
Ni czapki pod rękę nie złożą swéj damie.

Nie bierze więc Janusz udziału w zabawie,
Lecz oka i ucha nakłania ciekawie,
I słucha półgłośnéj pań wielkich rozmowy,
Jak społem nicują kornecik różowy,
Co wojska włożyła z kolei raz czwarty;
I pani łowczynéj kontusik wytarty,
Zrobiony, jak mówią, z starego ornatu
Wziętego w klasztorze stryjowi lub bratu.
Nie uszły ich oka u panny Moniki
Wyszyte we wzorki irchowe trzewiki,
Co w modzie bywały przed laty, za Sasa;
I szydzą, że pani Malwina tak hasa
Szalone ankarty i skoczne kadryle;
Że wdzięki zwiędłemi przywabia motyle;
Że biédny szambelan ostatkiem dopędza,
Że wkrótce ich czeka ubóstwo i nędza;
Że widząc jak wioski do reszty zniszczone,
Nikt panny Kamilli nie zechce za żonę.
Lecz skoro się tylko zbliżała Malwina,
Znów każda jéj wdzięki wysławiać zaczyna:
Wychwala *egzaltkę*, co świeci nad czołem,
I zowie ją śliczną, pieszczotką, aniołem!

U pana Janusza zawrzała krew w łonie:
Odsunął się żywo i zasiadł na stronie,
I słucha jak wojska z łowczyną, sąsiadką,
Prowadzą gawędę poważnie a gładko.
Zna Janusz obiedwie, a nawet łowczyna
Z serdecznym afektem niekiedy wspomina,
Jak z matką się jego chowała w klasztorze.
Pan Janusz się w duchu wydziwić nie może,
Że widzi łowczynę; bo rzeczci wiadoma,
Jak lubi z rodziną zabawiać się doma:
A nie wié, że łowczy, już temu lat kilka,
Tysiączek czerwonych, by jagnię w paszcz wilka,
Pożyczył na procent, na prośby Malwiny,
A posagto jego dziéweczki jedyny,
Co skromnie w rąbkowy kabacik przybrana,
Wywija ankarta, jak kwiatek rumiana.

Nietylko dla kształtu łowczyna ma głowę:
Choć miłe jéj wielce ognisko domowe,
Ciekawie się jednak ogląda po świecie.
Nie jeden ją sąsiad zwie mędrkiem w kornecie,
Bo chociaż jak drugie, odmawia pacierze,
Do świeckich ksiąg równo ochota ją bierze;
A opat cysterski, człek wielce uczony,
Dostarcza ich hojnie bratance rodzonéj.

I łowczy na boku, pierś krzepiąc tokajem,
Z sąsiady gawędę tnie starym zwyczajem.
A widać, że w ciemię nie bity za młodu:
Dokładnie zna dzieje własnego narodu,
Głębokim statystą mianują go wszędzie:
Wié dobrze co było, zgaduje co będzie.
Gazetę rad czyta w wieczorne godziny,
I zbiéra skwapliwie po świecie nowiny.
Czy kwestarz się wlecze za kwestą z klasztoru,
Wieść nową łowczemu zawozi do dworu;
A w miarę ważnego nowinek znaczenia,
Dostaje ćwierć owsa, lub korzec jęczmienia.
Gdy głucho w powiecie, to wreszcie od biédy,
Pan łowczy gościnnie przyjmuje i żydy,
A nawet i dziadka biédnego posłucha,
Bo czuje, że słowo jest chlebem dla ducha.

Sędziwe matrony prowadzą rozmowę
O książkach czytanych w wieczory zimowe.
Śpiéwaka Justyny wychwala łowczyna,
A wojska znów woli tęsknego Kniaźnina.
Téj przypadł do serca on Powrót z Warszawy,
Gdzie piewca wylewa żal szczéry a łzawy
Za złudą lat młodych; gdy ufny jak dziécie,
Spodziewał się szczęścia skosztować na świecie.
A druga nadobną wysławia znów pieśnię,
Co matki śpiewają dziecinom swym we śnie;
I ową tak piękną odezwę do wąsa,
Z którego się młodzież niebacznie natrząsa!

— Oj! cudoż to istne! —łowczyna zagadnie—
Co z serca wybieży, do serca wraz wpadnie.
Lecz miła sąsiadko, mnie bierze śmiech szczery,
Na owe Jowisze, Kupidy, Wenery!
Bóg świętych przykazań nie pisał daremnie;
Wszak stoi: „Nie będziesz czcił Bogów nademnie."
Jać biorę rzecz prosto, na rozum niewieści,
Toż w głowie się mojéj zaprawdę nie mieści:

Na licha bajeczne powtarzać nam dziwy.
Nie rodzążto kłosów i kwiatów te niwy?
Gdy hoża dziewoja przy kółku wieczorem,
Lub młode pacholę zaśpiewa pod borem;
To w duszy wesoło, i serce aż rośnie,
I człowiek, choć zimą, poduma o wiośnie!..
A czemuż tak wdzięczne choć proste ich słowa?
Bo prawda się szczéra głęboko w nich chowa.
Tam piosnka serdeczna myśl wiernie tłumaczy,
Tu kłamca z poetą zarówno dziś znaczy.

— Tak!—wojska odrzecze—lecz czasem téż przecie
I słówko się prawdy wyśliźnie poecie.
Wspomnijże sąsiadko, jak biskup uczony,
Wyszydza śmiészności wymyślnéj téj żony,
Co wjeżdża w dom męża z swym modnym orszakiem,
Ze szpicem bonońskim, i z myszką i ptakiem!
Jak starą pleśń bronią ściérając satyry,
Na usta zbłąkanych sprowadza śmiech szczéry
Nad winy własnemi; i bronią rozumu,
Szkodliwe nałogi niweczy wśród tłumu.

Słuchając z ubocza słów zacnéj matrony,
Wzgardliwie się śmieje chorążyc spudrzony,
Przybrany z niemiecka, opięto i kuso,
Stateczny zwolennik *Woltera* i *Rousseau*:
A nawet że kiedyś napisał dwie ody
Na uczty czwartkowe, ma patent swobody.
W rozmowę się miesza z łowczyną poczciwą,
Rozprawia wciąż górno, nadęto a żywo:
Tu sławi nad miarę, tam zręcznie przytyka,
Wspomina nareszcie w „Zalotach fircyka."

— Toć czytam go właśnie—łowczyna odpowie—
Zabłocki mistrz dzielny w obrazach i słowie.

Chorążyc się skrzywił i spojrzał ukosem,
Nareszcie wzgardliwie wybąknął pod nosem:

— Lecz czemuż przysłowia bez miary tak sadzi?
To mowa prostacza kuchennéj czeladzi,
Nazawsze z wykwintnych salonów wygnana.

— Niechajże ją strzecha ukryje słomiana—
Odrzecze łowczyna — niech kmiotek ubogi
Puściznę wiekową przygarnie w swe progi,
Aż kiedyś potokiem szeroko wypłynie
Na niwy rodzinne, w szczęśliwszéj godzinie.

Wtém strojni pajucy otwarli podwoje:
Przynoszą na tacach chłodzące napoje,

A drudzy kosztowne kielichy i wina.
Dopiérożto szczéra ochota się wszczyna,
I korki szampana strzelają z hałasem.
Ustały kydryle, i tylko się czasem
Odezwie kapela przy huku moździerzy.
Rumieniec wytryska na lica młodzieży;
Szambelan rej wodzi; wśród szlachty pijanéj
Brzmią głośne wiwaty, za króla, za stany.
Niech wrzawa i hałas przynajmniéj ogłuszy
Gdy ciężko na sercu, a chłodno na duszy!

Wśród gwaru i śmiechu, z dziedzińca i drogi
Zgiełk straszny i okrzyk dobiega złowrogi.
Rżą konie i tętnią po bruku kopyty.
Szambelan zbladł nagle, i stanął jak wryty;
Chce bieżyć, lecz z miejsca postąpić nie zdoła:
Pot spływa kroplami ze skroni i czoła,
Oburącz się chwyta kolumny, i słucha.
Wtém hajduk nadbiega, coś szepce do ucha;
A biédny szambelan, by gromem rażony,
Wzrok tylko zbłąkany zatoczył na strony.

Spostrzegłszy to Janusz, dał hasło kapeli:
Grajkowie od ucha polskiego ucięli.
Sam biegnie przed pałac, gdzie szlachta się zgrają
Gromadzi, choć słudzy przystępu nie dają.
Pokręcił wąs ręką, tłum zmierzył oczyma:
Któż orle spojrzenie bez trwogi wytrzyma?
Toż cudem umilknął zgiełk tłumu wzburzony,
A szlachta nieśmiałe oddaje pokłony
I dąży ku bramie, gdzie Janusz ją wiedzie,
Przed szyki zbrojnemi sam krocząc na przedzie.

I ciągną orszakiem przez pola i bruzdy,
W ślad wlokąc spienione wierzchowce za uzdy;
Aż kiedy tłum odwiódł pan Janusz daleko,
Dozwala mu obóz rozłożyć nad rzeką.

— „Panowie i bracia—poważnie zagada—
Czyż godzi się zbrojno napadać sąsiada?
Nie macież palestry, ni grodów, ni sądu,
Ażeby się darmo dopuszczać bezrządu.“
— „To droga daleka!—zawoła Doręba—
Od czegoż mosanie szablica i gęba?
I jedną i drugą sam sobie sąd zrobię,
Na lichaż o innym przemyślać sposobie.“

Tu groźnie pięść ścisnął, i wskazał ku stronie,
Gdzie z okien pałacu rzęsisty blask płonie.

— O! dosyć—zawoła—tych biesiad i wrzawy,
Powróćcie nam wreszcie zarobek nasz krwawy;
Ów miły grosz w dobréj oddany wam wierze,
Nie popadł nam w ręce przez niecne grabieże.
Czyż na to go w trudzie zbieralim na roli,
By z dymem w rozpustnéj uleciał swawoli?!

Tu szlachta zagrzana Doręby wymową,
Chwyciła czekany i kordy na nowo.
On, czapkę tatarską przykrzywił na ucho:
—Nie ujdzie wam—krzyknie—szaleńcy na sucho!
Toż bracia, dla lepszéj paniczów nauki,
Obuchem im mąkę wymłóćmy z peruki:
Wynieśmy co żywo na szablach tych gości,
I gęby skarbujmy galantom jéjmości;
Przepędźmy ich w białych pończoszkach przez błoto,
Niech niewiast bezecną nie rażą sromotą!

—Tak!—szlachta powtórzy—przesadzim przez szable,
Nauczym po polsku, zamorskie te diable!
Niech sobie niepyszni wracają do dworu,
A żon nam i dziéwek nie uczą poloru.
Toż lepiéj żyć w staréj, wyśmianéj ciemnocie,
Niż z modnym rozumem powalać się w błocie.

I szlachta się chyżo porwała do koni:
Ten czekan wzniósł w górę, szablicą ów dzwoni.
Rej wiedzie Doręba, barczysty a dziarski,
Jak niegdyś przodował w chorągwi hussarskiéj.
Krzyk, hałas i tartas, jak w sądnéj godzinie,
Z majową się rosą rozlega w dolinie;
I nagle z wierzb suchych zwalonych nad Wisłą,
Szeroko, a jasno ognisko zabłysło.
Im płomień jaskrawiéj do góry wybucha,
Tém większa w Janusza wstępuje otucha:
Bo świadom, iż wzroku ludzkiego potęga,
Niesforne umysły ku woli swéj wprzęga.

I spojrzał nasz młodzian, wzniósł czapkę do góry.
Tu głośnych oklasków ozwały się chóry:
—Niech żyje pan Janusz, starościc nasz złoty!
On zwolna się skłonił, zarzucił wyloty
I wyrzekł: — „Panowie i bracia sąsiedzi!
Co prawił wam pleban na świętéj spowiedzi?
Czyż piąte z przykazań wyraźnie nie broni,
W krwi bratniéj zanurzać szablicy i dłoni?
A polskie przysłowie czyż wieki nie słynie:
„Kto mieczem wojuje, od miecza ten zginie“.

— A któżby zabijał!—Doręba odrzecze—
Z słów marnych nie zawdy krew ciepła pociecze;
Toż wartoby jednak nauczyć rozumu
Tych pysznych półpanków, co wzbili się z tłumu
Po szczeblach niewieścich faworów, a potem
Ubogą nas szlachtę, zarzucić chcą błotem,
Choć każdy jak upiór wyssysa krew naszę!
Już dosyć zaprawdę naplwali nam w kaszę;
Bez boskiéj obrazy możemyć im trochę
Przetrzepać te kudły, co kryją łby płoche!
To rzekłszy, na kordzie junacko wsparł rękę.

— Złe, samo o Bożą rozbije się mękę!—
Zawołał pan Janusz— toż bracia sąsiady,
Porzućcie daremnie najazdy i zwady:
Dla pana żupnika nie macież wy cześci?
Czyliżby on przeniósł bez ciężkiéj boleści
Zniewagę własnemu synowi zrządzoną?
Zamarłby nieborak, a jego krew pono
Spadłaby gorąca na wasze sumienia!

I umilkł, i widzi przy blasku płomienia,
Jak szlachcie łzy gradem spływają na lice;
A stary Doręba, dobywa szklenicę
I miodu butelkę, z siwego kubraka.

— Mój panie Januszu, toć wasze na żaka
Wystrychnął mnie pono—zagadnie nieśmiele—
Choć młody, a fraszka ksiądz pleban w kościele!
Wyciąłeś nam starym nielada kazanie:
Więc *verbum nobile*, zadosyć się stanie
Poczciwéj twéj woli; nikt szablą ni gębą
Do dziś dnia nie przewiódł nad starym Dorębą.
Piérwszego cię bracie on zaszczyt spotyka:
Jam tobie nie godzien rozwiązać rzemyka!
Toć spełnić lampeczkę za zdrowie się godzi:
Daléjże w me ślady, i starzy i młodzi!

— Niech żyje! niech żyje!—zabrzmiały wraz chóry,
I czapki się gradem sypnęły do góry;
A szlachta wokoło Janusza zebrana,
Na barkach wysoko wyniosła młodziana.

I blada jutrzenka na niebie zabłysła,
A w łonie spokojném odbiła ją Wisła.
Ze świata bożego mrok szary ucieka,
I widać ode wsi jak ciągną zdaleka
Szeregiem na rolę z wołami plużyce;
A kmiotek pobożnie czci Bogarodzicę,

I pieśni mu wtórzy nad głową skowronek,
I zorza się z chmurnych otrząsła osłonek;
A szlachta bratersko uczciwszy Janusza,
Ochoczo na koniach do zagród swych rusza,
I wkoło na różne rozbiegłszy się strony,
Zdaleka czapkami śle jeszcze pokłony.

Obejrzał się Janusz na piękny świat boży,
Myśl jego przed Panem milcząco się korzy;
W pierś młodą z rozkoszą kwiecistą woń chwyta,
Wzrok pieści zielenią pszenicy i żyta,
I słucha słowików w ostrowiu cienistym.

— O Panie!—zawoła—tyś pięknym a czystym
Świat stworzył dla człeka! I czemuż go ludzie
Walają w serc własnych bagnisku i brudzie?
I błędni wędrowce, wciąż siłą tajemną
Zwracają się w przestrzeń tak chłodną a ciemną,
Gdzie więdną jak owe czcze kłosy na łanie,
Wyrosłe bez światła Twojego o Panie!

I zwrócił się młodzian, podążył co żywo
Ku wiosce; wnet skoczył na klaczkę swą siwą,
I pomknął jak strzała, przez pola i rowy,
Chcąc próg swój ze słońcem powitać domowy.
W pałacu trwa jeszcze zgiełk, hałas i wrzawa;
Na chwilę się wprawdzie przerwała zabawa,
Nim bowiem pan Janusz zmógł tłumy wzburzone,
Szambelan usunął Malwinę na stronę
I wyznał swą trwogę. A ona omdlona
Szepnęła słów parę do ucha Zeona.
Piorunem wieść straszna rozbiegła się wkoło,
A postrach młodzieży spadł chmurą na czoło;
Już radzą nie żartem o miejscu ochrony,
Aż na myśl im wpadły niewieście robrony:
Z nich szaniec potężny wzniesiony wzdłuż sali,
Przed szlachty obuchem peruki ocali!

Lecz skoro zgiełk umilkł, i tylko z nad rzeki
Przez okna się płomień ukazał daleki;
Pan Zeon bogaty swój raiper dobywa:
— Poczekaj!—zawoła—hałastro wrzaskliwa!
Gdy burdą raz jeszcze znieważysz te mury,
To poznasz dłoń moję!—i podniósł do góry
Misterny rożenek, z marsową postawą,
I śmignął dwukrotnie na lewo, na prawo;
A damy przyklasły odwadze młodziana,
I gwarniéj się ciągnie biesiada przerwana,

Gdy huczna kapela grzmi znowu kadryle,
A pokój powrócił zmącony na chwilę.

VI.

Nadobnie blask świeci wiosennéj przyrody,
I ziemia się cudnie przybrała na gody.
Woń kwiatów wraz z rosą ku niebu przepływa,
Spokojnie zielona kołysze się niwa.
Pogodnie i cicho, i tylko lśnią w górze
Różowe obłoki na czystym lazurze;
A słońce pomału spływając ku ziemi,
Konary drzew, barwy spowija złotemi.

We dworku dziś głucho, bo żupnik w pogodę
Zwykł wsparty o kosztur, wychodzić nad wodę,
I okiem ścigając poważne jej wały,
Zgasłego żywota snuć w myśli bieg cały;
A z matką pospołu Jadwiga wesoła,
Wirydarz obsiewa kwiatkami dokoła.
Sam tylko się cześnik przechadza w komnacie,
Bo myśl mu zamąca wspomnienie o bracie.
Już świadom zajazdu, i z trwogą przemyśla,
Czy hurmem znów szlachta nie wpadnie z zawiśla.
O! z tamtą byłaby gorętsza przeprawa,
Bo u niéj, to burdę wysypać z rękawa;
Nie chciwa na cudze, lecz zdawien dawności
Swéj, sztuką krzyżową, dochodzi własności.
Gdy smutne domysły wciąż dręczą cześnika,
Ktoś nagle podwoje komnaty odmyka.
Jan, blady jak ściana, z zapadłem w głąb okiem
Nieśmiałym do brata przybliża się krokiem;
A cześnik go zmierzył oczyma surowo,
I niby obcemu, pokłonił się głową.

— Bartoszu!—zawoła szambelan drżąc cały—
I gdzież się szczęśliwe te czasy podziały,
Gdyś ty mnie jak brata przyjmował w twym domu;
Niedośćże od obcych ponosić mam sromu?
Wszak jedna nam w żyłach obudwu krew płynie,
Chceszże mnie porzucać w niedoli godzinie!

— Nie sama krew sprzęga braterskie ogniwa—
Rzekł cześnik poważnie:—świat węzły rozrywa
Któremi Bóg ludzi związuje z kołyski.
Czyż ma być mi bratem, jakkolwiek krwią blizki,

Kto zaparł się w sercu prostoty poczciwéj,
I ojca starego zbezcześcił włos siwy,
Kalając to imię, w światowym barłogu,
Pod tarczą którego przepłynął po Bogu
Cny żywot pradziadów, bez brudu, ni skazy,
I wolen od Bożéj i bliźnich obrazy?....

Jan dłonie z głęboką załamał boleścią:
— Toż szatan mnie w matnią uwikłał niewieścią—
Zawołał ze zgrozą—Bartoszu mój miły!
Ty dodaj w złéj dobie odwagi i siły.
Już szlachta niesforna najeżdża me progi,
Człek mało nie skonał od wstydu i trwogi,
Gdy groźna czereda dom naszła mi wczora,
Zaledwie ją Janusz odciągnął od dwora.
Lecz co się raz zmełło, nie ujdzie raz drugi:
Wnet wioskę hołota rozszarpie za długi;
A człowiek z koszturem iść musi w kraj świata,
Wyżebrać kęs chleba, na stare swe lata!

I łzy mu po licu pobiegły strumieniem;
A cześnik ku bratu postąpił ze drżeniem,
Do okna go przywiódł, wstrząsł silnie zawiasy
I wskazał na pałac:—Czy pomnisz te czasy—
Zawołał z boleścią—jak w onéj zagrodzie,
Niewinne pachołki rośliśmy w swobodzie?
Tyś zburzył w proch strzechę słomianą a nizką,
Gdzie matka śpiewała nad naszą kołyską!
Tyś zrąbał te lipy i stare jawory,
Co tak nam szumiały w zimowe wieczory,
Gdy wiło się życie po Bogu z rodziną,
Choć burza nie żartem wichrzyła doliną.
Gdzież grusza na którą zbiegały na wiosnę
Bociany, klekocząc swe wróżby radośnie:
I kędyż to wszystko? O! bracie kochany,
Dziś, gładkie pałacu bieleją tam ściany:
Zaznałżeś w nich radość i szczere wesele?
Toć drobna jaskółka ochotniéj uściele
Swe gniazdo pod strzechą ubogiéj zagrody,
A rychléj pałacu ustraszą ją chłody!
I dola mój bracie snadniéj nam zaświeci,
Pókiśmy niewinni i prości jak dzieci.
Lecz chmura owieje połyski jéj złote,
Gdy z serca wyrzucim poczciwość i cnotę!

I umilkł, i z oka łzę otarł rękawem.
Jan uczuł żal w sercu zbolałem, a prawem;
Zaszlochał: a cześnik otworzył ramiona,
I brata z uczuciem przycisnął do łona.

I chwilę milczeli. Szambelan zbolały,
Zbiegł myślą tajemną wstecz żywot swój cały.
Krew w piersi zaskrzepłéj zawrzała na nowo,
I zerwał perukę sterczącą nad głową,
Podeptał ją stopy, odtrącił daleko;
I odkrył włos rzadki, a biały jak mleko.

—Patrz bracie!—zawołał zmieniony i blady—
Na nocy bezsennych i ciężkich walk ślady,
Zbrózd onych, boleścią wyrytych na skroni,
W ustawnéj za marną wielkością pogoni,
Wyczytaj: czém były te nędzne mamidła,
Co młodość mą płochą ujęły w swe sidła.
Jak ryba, gdy rankiem porzuci zdrój czysty,
I ulgnie nikczemnie w kałuży błotnistéj,
Choć wyziew ją brudny odraża i ziębi,
A jednak bezsilna brnie coraz to głębiéj;
Zarówno ja bracie, ulgnąwszy raz w błoto,
Choć gorzką łzę ronię za zbiegłą prostotą,
Toż dźwignąć się w górę niestaje sposobu,
I muszę w zgniliźnie przepełzać do grobu.

Tu oczy zacisnął z wyrazem rozpaczy.
—Nie Janie! Bóg dobry przebaczyć ci raczy—
Rzekł cześnik z powagą—łza cicha pokuty
Obmyje twój żywot zbolały i struty.
Kto błędy swe w szczeréj opłacze pokorze,
Ten jeszcze nad grobem podźwignąć się może.
Niech bracie na przyszłość nie trwoży cię nędza:
Choć szlachta cię z włości rodzinnéj wypędza,
Toż znajdziesz na starość kęs chleba w mym domu.
Tu w błogiéj swobodzie, nie dłużny nikomu,
W twe lata podeszłe odetchniesz raz przecie!

—A żona Bartoszu! a biedne me dziecie?—
Zawołał szambelan z boleścią stłumioną.

—Zamieszkasz tu z nami, wraz z córką i żoną—
Rzekł cześnik—Bóg wszakże nie skąpi mi chleba,
Lecz długi przed wszystkiém popłacić ci trzeba.
Na piérwsze, toć przecie w ubogim tym dworku
Z tysiączek czerwonych spoczywa w kantorku.
Tu mieszek z za klapy wydobył skórzany,
I podał go bratu. Jan łzami zalany
Uścisnął serdecznie dłoń jego poczciwą,
I rzecze:—Pobiegnęż zapłacić co żywo
Starego Dorębę, a potém do joty
Obliczę się z szlachtą; niech krzywda sieroty
Nie cięży, chroń Boże, na mojém sumieniu.

I wybiegł, a cześnik pozostał w milczeniu;
Łzę otarł na licu kontusza wylotem,
Niemałym znać w duszy udręczon kłopotem.
Przechadza się wpoprzek samotnéj komnaty;
Wtém spojrzy przez okno, i widzi jak kwiaty
Podlewa dzbanuszkiem nadobna Jadwiga,
A Janusz przelotnie oczyma ją ściga:
To słówko jéj szepnie, to rączkę uściśnie
I lica dzieweczki płonieją jak wiśnie.
Nasroży brwi cześnik, popatrzył ukosem,
Poruszył czuprynę, i mruknął pod nosem:
— Niedarmo jak widzę, światowe nałogi
Do strzechy się nawet wkradają ubogiéj.—
Wtém dojrzał kornecik swéj Marty zdaleka,
I nagle mu chmura z oblicza ucieka.
Bo wszakże gdzie czuwa opieka anioła,
Obraza się Boska tam wcisnąć nie zdoła.

I błoga nadzieja zabłysła mu w myśli,
A krzyżyk w powietrzu sędziwa dłoń kréśli,
I westchnął do Boga pobożnie a szczerze:
— O Panie! twa ręka wraz daje i bierze--
Rzekł z cichém poddaniem—twa święta opieka
Wciąż czuwa nąd dolą marnego człowieka!—
I spojrzał na ścianę, gdzie obok szablicy
Lśni obraz cudowny niebieskiéj dziewicy:
— Królowo—zawoła—coś tarczą obrony
Słoniła przez wieki te polskie matrony,
Zabłyśnij nam znowu! Chroń skrzydły jasnemi
On kwiatek, na wdzięczną ozdobę téj ziemi!
Niech powiew światowy barw cudnych nie zmaże,
Niech cnoty rodzinne potomnym przekaże,
Niech dłonią bez skazy, w domowym swym progu
Niezgasłe ognisko przechowa po Bogu,
By w on czas, gdy mroźne owieją świat chłody,
I wrząca krew w piersi zastygnie już młodéj,
On płomień przechowan pod strzechą domową,
Zakrzepły świat Boży rozbudził na nowo!

VII.

W pałacu milczenie i cisza ponura,
By groźna przed burzą zbierała się chmura.
Na różne się młodzież rozpierzchła już strony,
Jak ptastwo szukając w zamieci uchrony;
A troską i bolem Malwina trawiona,
Wspomina z goryczą zdradnego Zeona;

Co płocho w tak ciężkiéj porzucił ją chwili,
I pobiegł za rojem warszawskich motyli,
By nową po świecie uganiać ułudę,
Skazując ją biedną, na rozpacz i nudę.
Zamkniona w kabance od rana do mroku,
Nie może znieść świata pięknego widoku,
Gdy w głębi jéj duszy zwątpienie i burza:
Blask słońca ją drażni, śpiew ptastwa oburza.

Inaczéj Kamilla przyjmuje złą dolę.
O! czasem Bóg zsyła jak zasiew na rolę
Nieszczęście, by w duszy głęboko zranionéj,
Kłos prawdy się rozrósł w plon bujny, zielony.
Spłakana a tęskna, błąkając się długo,
Dostrzegła krzyż stary, pochylon nad strugą,
I pomnąc jak niegdyś piastunka jéj dłonie
Do Pana w cierniowéj wznosiła koronie;
Przyklęka z pokorą: a z boku, jak mara,
Wychyla się postać poważna, a szara.
To ojciec Patrycy podparty koszturem,
Skrył napół oblicze zakonnym kapturem.
Znać idzie drożyną uboczną, od wioski,
Gdzie słowem o Bogu niósł balsam na troski:
Bo dziwną pogodą postawa lśni mnicha,
I depce murawę tak lekko i zcicha,
Jak gdyby go Stwórca uwolnił już z ciała;
A blaskiem tak świętym źrenica wskróś pała,
Iż snadno odgadnąć, zkąd czerpie moc ducha.
Przystanął w gęstwinie i patrzy i słucha.
I uniósł ku niebu wzrok łzawy; a w dłonie
Z różańcem krzyż ujął zwieszony na łonie:
Przybliża się zcicha i klęka z pokorą,
I błaga by duszę uleczył Bóg chorą;
By promień tchnął łaski na ciężkie jéj rany,
I wskazał ku sobie ślad drogi nieznanéj.
Wysłuchał Pan prośby: wnet z duszy Kamilli,
Gniotące ją brzemię rozpierzchło się w chwili;
Łzy z oczu gorącym wytrysły potokiem,
I w niebo przymglonym pogląda już okiem,
Jak gdyby stróż aniół nad tęskną jéj głową
Łabędziem swém skrzydłem szelesnął na nowo.

Milczenie dokoła, i tylko w dolinie,
Ze szmerem po zwirze przezroczy zdrój płynie.
Rój ptastwa szczebiocząc do góry ulata,
A w barwy majowe przyroda bogata
Woń kwiatów nadobnie rozsiewa po ziemi.
I słońce promieńmi zagląda drżącemi,

Przez olszyn wiekowych konary zielone,
I niby w złocistą oplata koronę
Skroń młodéj dziewicy, gdy kornie a szczerze,
Pod krzyżem schylona odmawia pacierze.

—O córko!—Patrycy poważnie wyrzecze—
Bóg zdrojem łez serce zasila człowiecze,
Jak manną ożywczą w pustyni żywota;
Łzą żalu na ziemi pokrzepia się cnota,
Nim kwiatem cudownym dla nieba zapłonie.
Pielęgnuj, o dziécie, ból cichy w twém łonie:
To skarbiec zaklęty, zkąd czerpią wybrani
Łzy święte a czyste; i aniół je w dani
Zanosi do Boga, a każda z nich płonie
Jak perła bezcenna w żywota koronie!—

I ciche Kamil a ku niebu śle dzięki,
Za wieniec on z ciernia opatrznéj dar ręki,
Co czoło przedwcześnie zakrwawia jéj młode.
I w duszy znów czuje zbudzoną swobodę,
Gdy krzyżyk jéj kreśli Patrycy nad głową,
I święte zaklęcia wymawia wraz słowo:
—Niech pokój z niebiosów na ducha ci spływa,
A będziesz, o córo, z twym krzyżem szczęśliwa!—

Tu kapłan jak widmo znikł w gęstwie olszyny,
I słyszy Kamilla po rosie z doliny,
Jak tętent się kopyt w powietrzu rozlega.
I dziéwcze ku ojcu na pole wybiega,
Z uśmiechem go wita, przytula i pieści,
Ociera znój z czoła, a głos jéj niewieści
Tak dziwnie zbolałe ujmuje mu serce,
Że biedny szambelan znów czuje w iskierce
Zbudzoną otuchę, i w starych lip cieniu,
Oparty na córki jedynéj ramieniu,
Pogląda z pociechą, jak słońce w zachodzie
Rozstrzela jaskrawe promienie po wodzie;
A błogą nadzieją skrzepiony na nowo,
Nie pomni, że burza przeciąga nad głową.

VIII.

O! piękna i cudna dla ziemi ta chwila,
Gdy światło swą dzielną potęgę wysila,
I walczy z ciemnością upornie a stale.
A zanim noc czarna przechyli znów szalę,

Półkręgiem szerokie obiega przestworze,
I godło tryumfu, chorągiew swą, zorzę,
Zawiesza wśród cienia, by łuną różową
Zwycięzko, uśpionym świeciła nad głową.

Już słońce na ziemię płomienne tchnąc żary,
Rozsiewa wspaniale, bogate swe dary;
I w łonie rozkwitłéj a w pełni przyrody,
Nowego żywota rozbudza zarody.
I ziemia miłością oddycha i płonie,
Rozkosznie się chyli kwiat w barwnéj koronie;
Powiewne na łanach kołysząc się kłosy,
Z pokłonem ślą hymny dziękczynne w niebiosy,
A dęby mchem szarym znaczone na grzbiecie,
Wiekowe powieści roznoszą po świecie.

Mnogiemi się tłumy lud zbiera nad rzeką,
I odgłos radosny przepływa daleko:
Tu wieńce dziewczęta rzucają po wodzie,
A w pogoń za niemi rybackie mkną łodzie.
Spierają się chłopcy, kto rychléj przepłynie,
I wianek nadobny poniesie dziewczynie;
A inni po boru kwiat gonią paproci,
Co żywot im siłą tajemną uzłoci.
Tam słupem jaskrawym ognisko znów płonie,
A młode niewiasty zaplotłszy w krąg dłonie,
Zieloną bylicą zwieńczone u czoła,
Z weselnym okrzykiem pląsają dokoła.

I w dworku modrzewim weselne brzmią gwary,
Od blasku pochodni aż płoną konary
Starego jaworu, co liściem zielonym
Szeleści od wieków nad dachem omszonym.
Rój gości się snuje wśród staréj komnaty,
Na wszystkich poważnie godowe lśnią szaty:
Mężowie odziani w karmazyn i złoto;
Ich szable misterną wykute robotą
U boków szczękają, zwieszone za pasy.
Niewiasty przybrane w weneckie atłasy,
Co niegdyś po babkach przypadły im działem,
Gawędzą serdecznie z wejrzeniem nieśmiałem;
Bo taki już Polek obyczaj od wieka,
Że chętnie ku ziemi źrenica ucieka,
I snadno rumieniec na licu zapłonie,
I wieczna pogoda panuje w ich łonie.
A cichsze od matek dziéweczki nadobne,
Zebrały się w kółko na boku osobne.

Choć pełne ich serca szczerego wesela,
To żadna na stronę oczyma nie strzela:
Bo z pieluch pojona nauką matczyną,
Że skromność—zaletą niewiasty jedyną.
Daremnie chcieć barwy dopatrzyć jéj oka,
Tak długa je rzęsów osłania powłoka.
Pierś rąbkiem pokryta przystojnie pod szyję,
Zaledwie da pozór, że serce w niéj bije,
I tylko głos dźwięczniéj z téj piersi wypływa,
Gdy nuci przy kółku dziewoja pierzchliwa,
Lecz zwykle milcząca ta polska dziéweczka.
A gdyby nie lekkie skrzypnięcie koreczka,
Mniemałbyś, gdy przemknie niewinna i biała,
Że postać anioła w powietrzu przewiała.

Młodziuchna Jadwiga udatna i hoża,
Wśród druchen orszaku, jaśnieje jak zorza.
Na czole odbija blask rannéj pogody,
Rumieniec jéj gładkie ubarwia jagody,
A w wianek spleciony rozmaryn nad czołem,
Nadobnie zielonym roztacza się kołem.
W dwa ciemne uploty wzdłuż ramion włos spływa.
Jak młoda gołąbka, nieśmiała, trwożliwa.
Choć szczęście pierś pełną unosi westchnieniem,
I jasnym oblicze zapala płomieniem,
Lecz radość jéj dziwnie poważna i cicha,
Jak skryta woń na dnie kwietnego kielicha.

Pan Janusz urodą i wzrostem wśród młodzi,
Jak wzniosły dąb w lesie, wśród drzewin przewodzi.
Pas słucki wyszyty jedwabiem i złotem,
Otacza mu biodra, a cennym klejnotem
Lśni w jaszczur oprawna rękojeść szablicy.
Lecz kiedy wzrok zaśle ku pięknéj dziewicy,
O! stokroć cudniejszy to oko blask sieje
Nad spinkę, co gwiazdą u szyi jaśnieje.
I gasną zdobiące rękojeść rubiny
Przy licu młodziana, gdy w oku jedynéj
Wyczyta przelotne a ciche wyznanie.

A żupnik sędziwy, w bławatnym żupanie,
W perłowym kontuszu, z szablicą za pasem,
Pokręca wąs długi, a starą pierś czasem
Odwilża węgrzynem, chcąc skrzepić moc ducha.
I dziwna mu świeci na czole otucha,
Jak żeby chwilowo serdeczne wesele,
Z bark zgiętych ku ziemi ujęło lat wiele.

I cześnik z swą matką krzątają się społem
Z uśmiechem na ustach, z obliczem wesołém:
Ufają znać szczérze, iż Stwórca dozwoli
Skosztować ich dziéwce w przyszłości téj doli,
Co wdzięcznie im ścieszki osnuła żywota,
Jak w szarą tkaninę wpleciona nić złota.

Gdy wszyscy zebrani w komnacie na gody,
Przybliża się żupnik do wnuczki swéj młodéj,
I rękę jéj składa w prawicę młodziana.
Oboje z pokorą ściskają kolana
Zacnego dziadunia; on drżącą dłoń zniża,
Na czole im kréśli poważnie znak krzyża;
I w ślady żupnika żegnają rodzice,
Przy boku młodziana klęczącą dziewicę.
A każdy z obecnych z modlitwą się korzy,
By młodych małżonków otoczył duch boży
Swém skrzydłem jak tarczą, i światłem tajemném
Ukazał im ścieszkę w bezdrożu tém ciemném,
Co zowie się życiem; gdzie jeno człowieka
Od skazy niebieska zasłania opieka!

I cisza chwilowo zaległa komnatę.
Wtém cześnik uchylił turecką makatę,
I rozwarł na oścież podwoje kaplicy,
Gdzie obraz na ścianie błysł Bogarodzicy.
Wśród świateł jarzących, wśród wieńców z lilii,
Cudownie odbija oblicze Maryi.
U stopni ołtarza, w kapłańskiém odzieniu
Już czeka Patrycy, poważnie, w milczeniu;
Oblicze nieziemskiém natchnieniem mu płonie,
Ku niebu z modlitwą obiedwie wzniósł dłonie,
Do młodych małżonków pobożne rzekł słowo,
I krzyża im znamię nakreślił nad głową.
I spełniać jął z Bogiem sakrament on święty,
Co w imie Chrystusa od wieków poczęty,
Dwa łącząc istnienia ogniwy złotemi,
Umacnia ich barki; by siły wspólnemi,
Nie trwożni ofiary, ni trudu, ni znoju,
Żywota zadanie spełniali w spokoju.
A wiążąc wraz dłonie i serca i chęci,
Pielgrzymi w on zakon Chrystusów przyjęci,
Krzyż wzajem dźwigając cierpliwie a stale,
Przez żywot, do nieba ku Bożéj szli chwale!

Już słowa przysięgi wyrzekli nawzajem,
Zmienili obrączki odwiecznym zwyczajem;

Już młoda małżonka spłoniona jak róża,
Powstała nieśmiało od Maryi podnóża;
I wsparta sędziwém żupnika ramieniem,
W próg nizki komnaty wstępuje ze drżeniem.

Lecz zkądże gwar taki rozlega się zdala?
Zkąd łuna tak krwawo pół nieba zapala?
Czyliżto sobótek ognisko tli jeszcze?
Lecz zkądże ta wrzawa, te krzyki złowieszcze!
Tu starzec jak wryty przystanął i słucha,
Mróz dziwny przestrachu przejmuje mu ducha:
Do góry z boleścią bezsilne wzniósł dłonie,
Kroplami pot spływa na lica i skronie,
Głos z piersi zaskrzypłéj wybieżyć nie zdoła!
A okrzyk się głośny rozlega dokoła:
„Ratunku!... pomocy.... tam gore, ot.... gore!“
I ludu gromady zbiegają się skore,
Po drodze się tętent stóp końskich rozlega,
I coraz to wyżéj słup ognia wybiega,
I wicher w przestworzu harcuje szalony,
Płomienie i iskry miotając na strony!

Zgiełk, wrzawa, jak gdyby w dzień sądu straszliwy
Powstaje we dworze, i na koń kto żywy!
Ów zmienia na kubrak godowe bławaty,
Ten odzian w karmazyn, wybiega z komnaty,
Mknie szparko przez pola, przez rowy, zagony,
Gdzie ogień jaskrawo wybucha czerwony.
Na niewiast obliczu wyryła ślad trwoga,
I patrzą przez szyby, jak łuna złowroga
Zajmuje wkrąg niebo, i jakby w dzień biały,
Odblaskiem podworzec oświeca już cały.

Tymczasem we wrota strwożony tłum wpada;
Brzmi chórem głos niewiast: „O biada! o biada!“
Wichura im włosy rozwiewa i szaty,
A wpośród nich starzec pochylon już laty,
Z obliczem wyżółkłém jak mara grobowa,
Zaledwie się wlecze. Ni jęku, ni słowa
Nie słyszéć z ust jego: szał dziwnéj rozpaczy,
O! stokroć bolesniéj milczeniem tłumaczy.

Przy starcu dziewica wybladła cierpieniem,
Podpiera go dzielnie, choć wątłém ramieniem.
Znać woli potęgą duch skrzepion jéj stale,
Nie trwoni się marnie na skargi ni żale,
Lecz siłę nieznaną dobywa z jéj łona,
Wraz z którą niewieścia dłoń cudu dokona.

Z pośpiechem otwiera podwoje komnaty,
A kiedy godowe zalśniły jéj szaty,
Gdy widzi zielony rozmaryn u czoła
Nadobnéj Jadwigi, o! dłużéj nie zdoła
Pokonać boleści, co w sercu jéj młodem,
Jak w zgonu godzinie, krew ścina już lodem.

Lecz rychło pierzchł obłęd, jak gdyby po chwili
Stróż anioł znów stanął przy boku Kamilli,
I zcicha ją skrzydły osłonił białemi.
Przybiega do dziadka, przyklęka na ziemi,
Wskazuje mu ojca, co wsparty o ścianę,
Bez celu zatacza źrenice zbłąkane,
Nie śmiejąc przez progi przestąpić zbolały.

I spojrzał nań żupnik, i zatrząsł się cały,
A ręce ze zgrozą wraz uniósł do góry;
Na czole zoraném wzbierają znać chmury,
Bo srebrny włos nagle wkrąg czaszki się jeży.
O! jeno już patrzéć, jak gromem uderzy
Ojcowskie przekleństwo! Już zagasł blask lica,
I krwawą powłoką zabiegła źrenica;
Już słowo się w myśli zrodziło złowieszcze,
Lecz usta go wyrzec nie kwapią się jeszcze.

Wtém drzwi się rozwarły, i skryty barłogiem,
Poczernion sadzami, jak widmo, za progiem
Przystanął Patrycy. Wzrok wlepił w żupnika,
I zda się, że duchem myśl starca przenika;
Poważnym się krokiem ku niemu przybliża,
I podniósł do góry z rożańcem znak krzyża.

— „O Chryste!—zawoła—gdy kolce cierniowe
Dłoń ludzka wgniatała w niewinną twą głowę;
Gdy gwoździe wbijała w twe nogi i ręce,
Ty Panie w śmiertelnéj boleści i męce,
Bezbożnym, przekleństwa nie siałeś nad głową,
I tylkoś miłości a łaski rzekł słowo!“

Umilknął, a żupnik ochłonął wnet z szalu,
I chmura mu zbiegła z oblicza pomału.
A ręce do klątwy wzniesione przed chwilą,
Z modlitwą wstrzymuje nad bladą Kamillą;
A potém obiedwie wyciąga do syna.
Gromadzi się cała wkrąg starca rodzina;
Płacz słychać niewieści, i łkania, i dzięki.
Jan zbliża się, klęka, i usta do ręki

Przyciska ojcowskiéj; i owę dłoń drżącą
Zpod serca łez strugą oblewa gorącą.

A łuna tymczasem przygasa jaskrawa.
W dziedzińcu zgiełk nowy powstaje i wrzawa;
Znów tętent nóg końskich dobiega od drogi,
I goście tłumami gromadzą się w progi.
Przy starym cześniku, Doręba rej wodzi,
A Janusz téj dziarskiéj młodzieży przewodzi,
Co wolą niezłomną i mocą ramienia,
Włość całą, skazaną na pastwę płomienia,
Ustrzegła od zguby; i szlachtę zwadliwą
Na prawy brzeg Wisły przegnała co żywo.

I jeno się pałac stał straszną ofiarą:
Znać mury oddawna naznaczył Bóg karą,
Bo niczém zabiegi, ni w spólne mozoły,
Już z sklepień i murów, gruz, prochy, popioły!

—„Więc wszystko przepadło!—Jan z bólem zawoła,
Rwąc w dziwnéj rozpaczy włos biały znad czoła—
Toż dzieło nad którém strawiłem lat tyle,
Mam ujrzéć przed zgonem w zwaliskach i pyle?
O Panie! prawica twa słuszna, lecz sroga!“

— „Tak wszystko przepadnie, co człowiek bez Boga
Ku marnéj wzniósł pysze, i niecnéj swawoli—
Rzekł żupnik poważnie—bo zasiew na roli
Ten tylko w zielone rozwinie się kłosy,
Któremu w swéj łasce, nie szczędzi Bóg rosy;
A łaska tam jeno z niebiosów nam spływa,
Gdzie sieje po Bogu dłoń człeka poczciwa!“

Tu ojciec Patrycy przystąpił, i rzecze:

— „O nie mów daremno niebaczny człowiecze,
Że wszystko przepadło! Ten zgubion, kto w błoto
Zagrzęznął wieczystą olśniony ślepotą;
Lecz póki iskierka żywota tli w łonie,
Człek może ku niebu z modlitwą wznieść dłonie,
A Bóg mu odpuści w przedwiecznéj miłości,
I błędne dróżyny nad grobem uprości.
A grzesznik skąpany w pokutnych łez zdroju,
Gdy Pan nań zawoła, by spoczął po znoju:
Bez trwogi skroń zwiędłą ułoży do truny,
Bo spożył zasiane przez siebie piołuny!“

Znów cisza w komnacie, nikt nie śmié rzec słowa,
I gdyby nie lśniąca kaplica godowa

Otwarta na roścież, i gdyby nie szaty
Bogate a jasne, nie wieńce i kwiaty;
O! któżby we dworku dopatrzył wesele,
Gdy lica tak blade, łez płynie tak wiele!
Jak gdyby wraz anioł żałoby nad głową
Wśród godów zabłysnął pochodnią grobową.

Aż żupnik poważnie wzniósł kielich węgrzyna
I spełnił do kropli, i oddał w dłoń syna.
Jan dziwną na duchu skrzepiony nadzieją,
Znów w ręce go bratnie oddaje koleją;
I raźna drużyna wykrzyka wiwaty.
Radością zadrżały znów progi komnaty,
A zdala nadobna im wtórzy kapela
Tych bożych śpiewaków, co pełni wesela,
Z gniazd drobnych wzlatując wraz z nocną pogodą,
Pieśń nucą tajemnie, w ostrowach nad wodą;
Śpiewaków tych bożych, co dźwięki czystemi
W pomroku zwiastują otuchę téj ziemi,
Co wiecznie jednakie a złote swe pieśnie,
Wplatają w tkaninę zczerniałą boleśnie
Dni tęsknych człowieka, gdy marny jak ptasze,
W świat myślą ulata nad skromne poddasze;
Aż w ciężkiéj sam z sobą i ludźmi rozterce,
Z prostoty i wiary odarłszy raz serce,
Jak lira zrdzewiona w ustawnym roztroju,
Krom strzechy rodzinnéj, nie zazna spokoju!

IX.

Już cisza we dworku. Na piérwsze dnia hasło,
W komnatach gwarł umilkł i światło zagasło.
Na niebie mrok jeszcze rozściela się blady,
A słońce wysłało jutrzenkę na zwiady,
By zcicha przejrzała, co słychać w przestrzeni:
Czy chmury nie zamglą złocistych promieni,
Gdy na świat niebawem, półsenny, ponury,
Roztoczą od wschodu blask jasnéj purpury.

O! cudnież w przestworzu, i cudnie na ziemi:
Wiatr igra rozkosznie z drzew liśćmi drżącemi,
I niwę z poszmerem kołysze zieloną;
Kwiat rosą napawa spragnione swe łono,
Skowronek pieśń ranną świegoce już w górze
A chmury nie dojrzéć na czystym lazurze!

I Wisła spokojnie potacza swe fale
Do łona Baltyku zdążając wytrwale.
Wstrzymały się w biegu powolne galary,
Śpią flisy na tratwach; a rotman ich stary
Poleca się pieśnią Barbary opiece.

Lecz czyja to postać mknie zwolna ku rzece?
Czy zbiegła dziewica z wód łona w mrok ciemny,
By zapleść na łące kwiat w wieniec tajemny,
I wraca powiewna w swój pałac z korali,
Nim ranny świt niebo półkrągiem zapali?
I czemuż tak blada? tak lica jéj łzawe?
I czemuż tak depcze niedbale murawę?
A choć się pod stopy kwiat mnogi nawija,
Odtrąca go płocho, lub zdala omija.

Nie postać to świętéj z niebiosów Barbary,
Ni młoda wodnica rwie kwiecie na czary;
To tęskna a łzawa dziewica téj ziemi,
To smutna ofiara, co barki wątłemi
W poranku lat, brzemię dźwigając krzyżowe,
Pod wieniec ciernisty poddaje już głowę.
Ofiara! skazana za ojców swych grzechy,
By jako jaskółka wygnana z pod strzechy,
Bez gniazda, ni schrony, w zamiecie i słotę,
W śnie tylko swą dolę goniła już złotę!

I patrzy dziewica schylona nad rzeką
Na Wisłę, jak płynie, szeroko, daleko!
O! daléj ubiegły jéj młode nadzieje
Nad powiew poranny. O! dziwny chłód wieje,
Co serce samotne a ciche sieroty,
Owiewa wilgotną mgłą wiecznéj tęsknoty!

I patrzy Kamilla na stronę, gdzie zdala
Gasnącą się łuną ognisko dopala:
To buchnie jaskrawiéj, znów słabiéj migota,
Jak w skonie ostatnia iskierka żywota.
I łzą jéj boleśnie zabiegła źrenica,
Bo lata poranne wspomniała dziewica,
I matkę, co czystą nadwiślną tę rolę,
Posiała niebaczną swą ręką w kąkole,
A gniazdo poczciwe skaziwszy sromotą,
Ubiegła daleko przed smutną sierotą.

Lecz łzawą daniną spłaciwszy boleści,
Kamilla się płonnie z swym żalem nie pieści:

Znać silny duch w młodém rozmaga się łonie,
Bo spływa blask z wewnątrz na czoło i skronie.
Pierś w górę się wznosi, drżą usta, a oko
Odblaski przedświtu już goni wysoko.
Jak żeby Bóg rozwarł jéj młodą źrenicę,
Lub wiedzy zwyczajną rozszerzył granicę,
I wskazał jéj obszar, gdzie czyści a bieli,
Ku niebu z modlitwą wzlatują anieli!

Gdy milczy dziewica, o cichy nurt Wisły
Różowe się zorzy promienie rozprysły;
A gwiazdy po jednéj ubiegły z przestrzeni,
I lasów wierzchołki wyjrzały z śród cieni;
Na nowo do życia powstaje świat boży,
Po sennym spoczynku, zielony i hoży.

Z ubocza, pomału drożyną od krzyża,
Oparty o kosztur, Patrycy się zbliża,
I stanął opodal, i wlepił na chwilę
Badawczy wzrok w bladą a cichą Kamillę.
A uśmiech nieziemski rozjaśnił mu lica,
Ów uśmiech, co w oku anioła przyświéca,
Gdy składa uszczkniony na ziemskim obszarze,
W cześć Panu cudowny, a biały kwiat w darze.

— „O! stokroć szczęśliwy—rzekł drżąco i zcicha,—
Kto spełnia po kropli swą gorycz z kielicha,
Ten, komu na czole Pan wyrył swe znamie,
Kto z bólem żywota od młodu się łamie;
Bo tylko krew serca, łza oka, znój czoła,
Duch ludzki potężnie ku niebu wznieść zdoła;
A dzielny hart męża w niewieście tchnąc łono,
Zamieni ją cudem w tę rószczkę zieloną,
Co w ziemię wszczepiona, wybuja w konary,
Jak godło pokoju, nadziei a wiary.“

I słyszy Kamilla głos starca proroczy,
Po licu jéj, perłą łza cicha się toczy,
I odblask niebiański jéj czoło spromienia:
Znać anioł je w piętno naznaczył zbawienia!

Tu promień słoneczny wytrysnął z za chmury,
I Wisłę królową w płaszcz odział purpury.
Lud boży się garnie do pracy wesoło,
A stary Patrycy kapturem skrył czoło,
I pomknął przez pola, jak zwiastun pociechy,
By słowo o Bogu w słomiane nieść strzechy.

I pieśni pobożnéj uroczy dźwięk bieży
Po rosie, wzdłuż Wisły piasczystych wybrzeży;
Lecz milkną jéj słowa w szeleście jaworu,
I tylko niekiedy przypłynie od dworu
W milczącą dolinę, głos rzewny: „O Panie!
Składamy wraz winy, przyjmujem karanie!“

A zdala owiane w błękitu lazury,
Zczerniałe a nagie rysują się mury;
Nad niemi dym siny kłębami ulata,
I nocnych puhaczy ćma zbiega ze świata,
I czeka, aż iskra zagaśnie w popiele.
Wnet w zgliszczach ponury ptak gniazdo uściele,
Zkąd będzie w noc ciemną, na wieków przestrogę
Rozsiewał kwileniem żałobę i trwogę.
A lipa co niegdyś cieniła dwór stary,
Wyciąga ku niebu zczerniałe konary,
Jak widmo grobowe, nim groźne zamiecie
Rozniosą jéj szczątki széroko po świecie.

S. z Z. P.

OPISANIE
WYSPY SAINT-DOMINGO

PRZEZ

Kazimierza Luxa.

(Dokończenie).

II.

Stan wyspy uważanéj ze stanowiska trzech królestw przyrodzenia.

Wyspę, którą nazwano z początku *Haiti*, późniéj *Saint-Domingo*, myśmy w jednym z powyższych ustępów nazwali cmentarzem ludu *Karaibów*, dawnych jéj mieszkańców. Ale także można ją było w innych ustępach nazwać cmentarzem *europejczyków*: jużto wytępicieli pomienionego ludu, tojest: *Hiszpanów*; już jéj panów i ciemiężycieli, tojest *Francuzów*, już nareszcie żałosnych ofiar złego ducha Apollyona z Korsyki, tojest: *Polaków*. Do takiéj treści przywodzące się dzieje téj wyspy, muszą prowadzić do wniosku: że przyrodzenie uposażyło ją temi wszystkiemi darami swoimi, za któremi kosztem własnego życia ugania się człowiek. Tak jest rzeczywiście: więc warto przypatrzéć się jéj ze stanowiska trzech przyrodzenia królestw, które na niéj usadowiły zespolony swój tron.

Przecinające wyspę Saint-Domingo w całéj jéj długości od wschodu do zachodu pasmo gór, jest składem niewy-

czerpanych skarbów kopalnych. Żadna podobno cząstka kuli ziemskiéj nie ukrywa ich w swém wnętrzu tyle, ile strona wschodnia, czyli dawna hiszpańska téj wyspy.

Złoto, srebro, miédź i żelazo, porozkładały się naprzemian w górach *Cibao*, i w okolicach *Saint-Jago*. Te ostatnie miały oprócz tego kopalnią merkuryuszu. W górze *Maymon* znajduje się magnes i miédź, które wykopywano jeszcze w roku 1747. Ale wszystkie tych i innych drogich metalów kopalnie są dziś opuszczone i zupełnie zaniedbane od czasu, w którym Hiszpanie wytępili do reszty pierwiastkowych wyspy mieszkańców. Niemniéj szczodrze uposażyła ją natura kamieniami drogo cenionemi. I tak: dyamenty znajdują się w okolicy *Bannique* i *Saint-Jean*; lapis-lazuli i agat ciemno-niebieski ze złotemi żyłami, w górze *Maymon*; porfir, alabaster i jaspis różnych odcieni w okolicy *Guaóo*; marmur pod miastem *Saint-Domingo*; gips niedaleko *Pourto-Plata* i *Nejbe*; warstwy gliny, z któréj garncarze wyrabiają naczynia kuchenne tak cienkie jak z blachy, ciągną się w całym obszarze miejsc dopiéro wspomnionych; a kamienie ciosowe, wyborne na kręgi młyńskie i naczynia gospodarskie, w okolicy *Pourto-Plata* i *Isabelique*.

Od wnętrza ziemi na jéj powierzchnią przeniosłszy uwagę, jeszcze więcéj zajmujący niż nieorganiczne, sprawią badaczowi widok organiczne istoty wyspy Saint-Domingo, pomimo jéj opustoszałości o któréj wspomnieliśmy wyżéj. Przykre wrażenie tą opustoszałością sprawione, zwłaszcza na części hiszpańskiéj, wynagradza rozkoszny i niespodzianie zalatujący zapach kwiatów pomarańczowych, niesiony na skrzydłach wiatru zawiewającego od lasów napełnionych wonnemi drzewami. Mimo świetnego dawniejszego stanu części francuzkiéj, mogła widza nudzić jednostajność znamionująca jéj uprawę, barwę i budowle; ale jeżeli oko jego zatrzymało się nad stroną północną, okrytą najbogatszemi plantacyami od brzegów morskich, aż do szczytu pagórków: naówczas zachwycony czarującym jéj widokiem, musiał zapomnieć, że się znajduje na gruncie dawnéj *Haiti*, téj miniatury rozkosznego ziemskiego padołu, na którym, jak powiedział Seneka, prędzéj przebierze się łez, niż wyciskających je powodów.

W rzeczy saméj, pełną dłonią z niewyczerpanego rogu obfitości, na wyspę *Saint-Domingo* wysypała natura bogactwa swego roślinnego królestwa. Doliny, równiny i góry są tam napiętnowane zadziwiającą rozmaitością drzew i krzewów, niosących w hołdzie mieszkańcom owoce, które ich chronią od złego wpływu zepsutych wyziewów, lub dopiekających upałów. Te owoce smaku wybornego, kwaskowatego, mają osobliwą własność utrzymywania i podsycania sił żywotnych pod niebem, którego skwar, prawie bez przestanku rażący żyjące istoty, rozprzęga w nich lub zabija zasady życia. Nim wstąpimy w opisowy rozdział znakomitszych roślin téj wyspy, tu nawiasowo wspomnimy o jednéj osobliwéj, rosnącéj w części hiszpańskiéj czyli wschodniéj. Jestto tak zwana *Pite*, roślina, którąby można nazwać włóknistym *aloesem*, wydająca zupełnie skończoną nić, mającą długości łokci sześć, grubszą od włosa z końskiego ogona, koloru blado-żółtego, a tak mocną, że rzadko kto potrafi ją zerwać całą siłą swoją. Robią z niéj sznury i wory. Te i inne z niéj wyroby wystawiali Hiszpanie na sprzedaż nad rzeką *Massacre*, i zbiérali za nie co rok 45,000 franków. Ale rośliny takie jak trzcina cukrowa, jak drzewko kawowe, dla których, jako téj wyspie właściwych, dobijały się o nią narody, a o których w szczególności mówić będziemy niżéj: mają nierównie większą ważność i cenę, niż wszystkie osobliwe i użyteczne płody wyspy Saint-Domingo.

Ile i w jaki sposób okazała się natura hojną dla téj wyspy w królestwie zwierząt?—na to pytanie można było odpowiedzieć tylko w czasie podbojowego wylądowania Hiszpanów do Haiti. Ci bowiem, jak pierwotną ówczesną téj wyspy ludność karaibską, tak z kolei znakomite czworonożnych zwierząt rodzaje, wytępili. Przed łaknącym mordu mieczem święto-inkwizycyjnego narodu, kilka tylko karaibskich rodzin w Haiti zachowało swe życie, i do naszego tam tułactwa przesłały je za pośrednictwem swego potomstwa. Widzieliśmy ten nadzwyczajny szczątek ludu, który Hiszpanie wytępili w imię tego samego krzyża, w imię którego nieco dawniéj dokonali takie same krzyczące ludobójstwo na dawnych nadbałtyckich Prusakach niemieccy rycerze, krzyżakami zwani. Widok owego szanownego

szczątka rozrzewnił nas i wzruszył do głębi duszy. Budowa i postawa kilku Karaibów haitskich, którzy przeżyli najsroższe ojczystéj wyspy swojéj koleje, mówiły do przekonania, iż ten lud nie zasłużył na okrutny wyrok śmierci, wydany i spełniony na nim przez Hiszpanów, i że zostawiony przy życiu, nie byłby tyle zeszpecił karty dziejów, ile ją zeszpecili ludo-i-siebie-żercy, wytępiciele jego. Jak wytępioną dawno-haitską ludność zastąpiły europejskie białe, i afrykańskie czarne pokolenia; tak podobnie w miejsce wyniszczonych przez Hiszpanów czworonożnych zwierząt haitskich, dziś nieodgadnionych, weszły europejskie świnie, osły, muły, owce, kozy i konie. Te nasze bydlęta przyswoiły się do tamtejszego, jakkolwiek skwarnego nieba i rozmnożyły się pod niém, niezupełnie straciwszy znamiona swego pochodzenia i właściwe im zalety.

W szczególności świnie europejskie rozmnożyły się tam nadzwyczajnie, lecz wszystkie utraciły sierć, zapewne skutkiem rażących upałów. Lasy są kniejowiskiem dzikich świń, których jako nader pożytecznych, polowaniem wyłącznie trudnią się i z tego żyją niektórzy mieszkańcy. Niemniéj pomyślnie udawały się tam owce, lecz te prawie zupełnie straciły łaskę i mir. Na troskliwszy i względniejszy chów zasłużyły kozy. Od europejskich mniejsze i mniéj uległe muły, chowa także wyspa Saint-Domingo. Jéj konie najsłynniejsze, najwięcéj poszukiwane, zwłaszcza do wierzchu, pochodzą z okolic *Saint-Jago i Nejbe.*

Ptastwo dzikie i owady, ryby, gadziny i płazy, są jedyne z jestestw organicznych, żyjących na wyspie Saint-Domingo, których nie mogło dosięgnąć zabójcze żelazo Hiszpanów. Równie mnożne jak do spolowania łatwe gołębie dzikie, nieustannie w pięciu różnych gatunkach bujają nad wyspą. Kury perłowe, *pindates*, wielkiemi stadami biegają sobie po ziemi. W powietrzu latają kuropatwy popielate, skowronki, grzywacze, bekasy, tak zwane *calegons* z ponsowym ogonem; daléj kaczki dzikie, cyranki, synogarlice i kolibry. Po nadbrzeżach rzek *Nejbe* i *Azua*, najłatwiéj napotkać pawie białe, różnobarwne i tak zwane królewskie, tudzież bażanty i czerwoniaki.

Z owadów nieprzeliczony i najdokuczliwszy, jak pod każdém gorącém niebem, tak i wyspy Saint-Domingo, jest tak zwany *Mustiques.*

Rzeki i oblewiska morza są stekiem nieprzebranego mnóstwa ryb, mianowicie: głowaczów, pstrągów, sardelów, karpiów, szczupaków, okuniów, i wielu nieznanych Europie. W tych samych wodnych łożyskach jest co niemiara dużo raków, muszli, pożywnych ostryg, żółwiów ziemnowodnych i morskich, i tak zwanych *Alose*, które są gatunkiem śledziów. Jedyném z żarłocznych mięsożernych zwierząt jest tak zwany *Kaiman*, gatunek krokodylów. Z wężami tamtejszemi, lubo te nie są jadowite, a szczególnie z dwiema gadzinami, tojest: z *tysiąconogiem* i *skorpionem*, niebezpieczne bywa spotkanie.

I. Drzewa.

1. *Mahoń (Acajon)* jest bardzo podobny do europejskiego dębu; wyrasta do ośmdziesięciu stóp wysokości z grubością odpowiednią, ma wiele bocznych konarów gałęzistych, liście szerokie grube, kwiat zielonawy, owoc okrągławy wielkości jaja kurzego, korę grubą, rudą, wpadającą w czerwień i popękaną. Z naciętéj kory sączy się w szczodréj ilości guma przezroczysta, do arabskiéj podobna. Mimo téj własności, nie napastuje drzewa i nie uszkadza żadne robactwo. Z tak cennego w Europie mahoniu wyrabiali Murzyni na wyspie Saint-Domingo łodzie, wydłubując je z jednego pnia, na dwadzieścia cztery stóp długie, a na ośm szerokie. Najprzedniejszy mahoń centkowaty rośnie w okolicy *Azua*. Po upadku plantacyi cukru i kawy, skutkiem niszczących wszystko rewolucyi téj wyspy, mahoń stanowi dziś najważniejszy przedmiot jéj handlowego dochodu.

2. *Cleoma*, drzewo budowlane, wyrasta prosto do znacznéj wysokości, jest twarde, skąpo gałęziste, żółknieje w podeszłym wieku.

3. *Migdałowe drzewo*, tak zwane od znamionującego je ostrego zapachu gorzkich migdałów, bywa używane do wyrobu wozów i kół; wyrasta do znacznéj wysokości z odpowiednią grubością i ma wielką liczbę gałęzi; korę ma brunatną zewnątrz, a białą łuszczkowatą w tkance wewnętrznéj; jest twarde, lekkie i włókniste.

4. *Bambus*, z którego bocznych gałęzi wyrabiane laski i kije, są wysoko cenione w Europie, a w ojczystéj wyspie Saint-Domingo używane na płoty, łaty i tym podobne budowlane potrzeby, wyrasta do dwudziestu sześciu stóp wysokości, ma mnóstwo kolanek tak w głównym pniu, jak w gałęziach, liść długi na sześć cali, szeroki na cal, koloru blado zielonego; lubi miejsca wilgotne.

5. *Campeche* czyli *Brezylia*, drzewo znane ze swéj własności farbowania na czerwono, wyrasta do znacznéj wysokości; jest kolczyste, gałęziste, zwłaszcza u spodu. Jego siwa kora pokrywa biel żółty, po którym następuje rdzeń czerwony. Liście ma okrągłe, małe, ułożone po dwa razem; kwiat biały, drobny, z którego tworzą się strączki z nasiennemi płaskiemi ziarnami.

6. *Drzewo białe*, tak zwane od swéj jaskrawéj białości, bywa używane do wyrobu beczek; wyrasta prosto, wysoko, wysmukło; jest lekkie, giętkie, dziurkowate, ma wierzchołek gałęzisty, korę popielatą popękaną, cienką, liść podługowaty, gruby.

7. *Drzewo świeczne*, najwięcéj w lasach nadmorskich bytujące, dla swéj żywiczności używane nocną porą na pochodnie zamiast świéc, i dlatego świeczném nazwane, jest dwojakiego gatunku: *białe* i *czarne*.

Białe wyrasta prosto do piętnastu stóp wysokości, ma korę popielatą, gładką, miazgę twardą, ciężką, smolną, aromatyczną; liść kończasty, woniejący, gruby, połyskliwy, długi na dwa cale, szeroki na cal, z dwoma innemi łączący się w jeden potrójny. Z białego drobnego kwiatka wywiązuje się czarna mała jagoda, smaku mocno aromatycznego.

Czarne, różni się od białego liściami dłuższemi i szerszemi, korą czarną, massą żywiczną czarniawą, ciężką.

8. *Dąb*, niewiele różni się od europejskiego. Jest równie ogromny, wysoki, gałęzisty, wytrwały. Wyrasta prosto, ma korę czerwono-popielatą popękaną, massę bladobiałą, lubi równiny i cień, psuje się na słońcu.

9. *Drzewo świnie*, tak nazwane od następującego ludowego podania: Dzika świnia ranionaprzez strzelca, szukając ulgi w bolu, przecięła kłem wierzchnią korę tego drzewa, i gumą z przeciętego ciekącą, wytarła sobie i wyleczyła ranę. Ta guma po nacięciu kory płynąca z otworu,

czerwoniawa, woniejąca, słodka, ma rzeczywiście własność gojenia ran. Samo drzewo rośnie najwięcéj w górach i dlatego, tudzież dla słodyczy swego owocu i dopiéro wspomnionéj gumy, bywa także nazywane *cukierniczką z gór*. Jego biały kwiat rozwija się w postaci grona, wydaje owoc biały, wielkości laskowego orzecha, słodki, aromatyczny, z pestką płaską, okrytą cienkiém włóknem, a okrywającą migdał gorzki, bardzo tłusty. Z tego migdała robią mieszkańcy wyborną aromatyczną oliwę, i tą skutecznie leczą cierpienia piersiowe. Drzewo świnie wyrasta do sześćdziesięciu stóp wysokości, obwód jego pnia ma sześć stóp; jest twarde, koloru różowego, i daje się łatwo łupać na klepki. Jego zewnętrzna kora jest szara, gładka i mieści w sobie komórki zielonawe, pełne owéj gumy, któréj zalety jużeśmy opowiedzieli.

10. *Drzewo kotletowe*, tak nazwane od postaci swego pnia spłaszczonego jak kotlet, budowlane. rośnie w górach, ma korę ciemną, gładką, nieco popękaną; przez wpływ dészczu i słońca traci na swéj wytrwałości.

11. *Drzewo cierniste żółte*, ma wysokość i grubość dębu, korę twardą, różową, popękaną, massę drzewną zupełnie żółtą, twardą, spojną; jest gałęziste, kolczyste, przydatne na budowle.

12. *Drzewo blaszane*, rosnące w górach, tak użyteczne jak cierniste żółte, bywa napastowane od niszczących je robaków. Jego gruba ciemno-popielata kora jest skuteczném lekarstwem na cierpienia weneryczne i skorbutyczne.

13. *Drzewo figowe*, największe z antylskich, jest prawdziwe i mieszane. My chcemy mówić o piérwszém tylko. Jego korzenie grube, żyłowate i rozłożyste, rozpościerają się na powierzchni ziemi. Pod względem téj swojéj osobliwości, zdaje się spoczywać trybem wysokiéj kolumny na obłożysto zakończonéj przezroczystéj arce, podpierającej wyniesiony nad poziom pień. Ogromne drzewa figowego konary, są pełne rozłożystych, rozlicznie i rozlegle rozdzielających się, a cień dających gałęzi. Jego szara włóknista kora wydaje, gdy jest nacięta, białą ciecz, która czerwienieje w powietrzu. Mnogie proste laski wyrastające z gałęzi, zwykle pochylają się ku ziemi, a skoro się jéj dotkną swemi końcami, zaraz zapuszczają w nią korzeń, i dają początek no-

wym krzewinom, z których znowu rodzą się inne, i tworzą z tamtemi jakby arkadę. Końce gałęzi wieńczą się liściami podłużnemi, ciemno-zielonemi, bardzo grubemi, na dwanaście cali długiemi, na pięć szerokiemi, wonią trawy trącącemi, i bukiety splatającemi. Owoc ma wielkość orzecha włoskiego, barwy zielonéj zewnątrz, różowéj wewnątrz, smaku mleczno-słodkiego. Murzyni wyrabiają z pnia figowego czółna, miski, talerze i inne domowe sprzęty.

14. *Drzewo gwajak*, z rodzaju wielkich drzew, rośnie w górach, jest twarde, ciężkie, żywiczne, do wyrobu przedniejszych sprzętów domowych używane; słynie swą wonną i aromatyczną gummą, która jest środkiem pocącym i przeczyszczającym.

15. *Drzewo wieczyste*, jest tém osobliwsze, że się przyjmuje na każdém miejscu i rozmnaża czyto przez zasiew jego ziarn, czy przez zasadzanie jego gałązek. Wyrasta do piętnastu stóp wysokości, jest gałęziste, długo-trwałe; ma kwiat ponsowy, wśród żółto-różowych liści, z którego wywiązuje się strączek zawierający kilka ziarn podobnych do bobu.

16. *Włocznia wolna*, drzewo miernéj wielkości, massy białéj, giętkiéj, łykowatéj; robią z niego stołki i drabiny.

17. *Drzewo jadowite*, mimo swéj trującéj własności, jest używane na wyroby przedniejszych sprzętów domowych. Ale w tym razie, zwłaszcza gdy jest świeże, potrzebna jest wielka ostrożność: najmniejsza bowiem trocina, dotknąwszy ciała, a osobliwie oka, zostawia ślad rany sprawionéj ostrością jadu temu drzewu właściwego, a sok z niego, z liści, kory lub z owocu jest tak gwałtowną trucizną, iż nie masz ratunku przeciw jéj zabójczym działaniom. Tym sokiem Indyanie mają zatruwać swe strzały. Massa drzewna jest twarda, zbita, pręgowana żyłami sinemi i czarnemi. Kwiat mieni się różnemi kolorami. Owoc jest okrągły, żółto-zielony, z jednego boku różowy, mocno pachnący, wielkości jabłka leśnego.

18. *Drzewo mapau*, także nazywane *fromager*, jest po figowém najwyższe i najgrubsze; jego korzenie podobnie jak figowego drzewa rozrastają się na powierzchni ziemi. Z jego pnia wyrabiają murzyni czółna.

19. *Drzewo marmurkowe*, używane na wyroby sprzętów domowych bardzo cenionych; nazywa się także *Feroles*, od nazwiska rządcy w *Cayenne*, z którego plantacyi miało się dostać na wyspę Saint-Domingo.

20. *Drzewo żelazne czerwone*, twardsze od blaszanego i dlatego przyjmujące piękną politurę, jest używane do tych samych co marmurkowe wyrobów, i ma z niém kilka wspólnych własności.

21. *Drzewo palmowe*, (*palmistes*) znajduje się pięciorakie na wyspie Saint-Domingo: 1) wolne, *Palmiste franc*; 2) z wieńcem; 3) kolczaste; 4) oliwne; 5) winne.

Piérwszy z tych gatunków rośnie na równinach, inne cztery rosną w górach. Liście wszystkich są używane do pokrywania domów. Robią z nich także koszyki, rogóżki, miotły i tym podobne rzeczy. Przy skromnéj swojéj grubości, samo drzewo jest bardzo twarde, i dlatego przydatne w budowlach. Kapusta palmowa, *Chou-palmiste* jest nazwiskiem rdzenia białego, wałkowatego, wyrastającego u góry drzewa pod gałęziami, używanego na potrawę, równie delikatną jak rzadką, bo opłacaną ofiarą całego drzewa. Jest ono bardzo wytrwałe jeżeli ścięte w zupełnéj dojrzałości, i jeżeli nie było wystawione na wilgotne powietrze.

22. *Drzewo czerwone*, z rzędu wielkich drzew, bywa używane na wyroby sprzętów domowych. Z jego kilku gatunków, to które rośnie w okolicach *Leogane* i nad brzegami morza, dochodzi 20 stóp wysokości.

23. *Drzewo jedwabne*, tak nazwane, że liście ma pokryte puchem miękkim, tak delikatnym jak jedwab'; jest podobne do europejskiéj grabiny, gałęziste, łupne, pozorne. Murzyni robią z niego beczki i gatunek sieci na ryby.

24. *Drzewo gwizdające*, także *bawełnianém* zwane, miernéj wielkości, rosnące nad brzegami morskiemi w górach i w chłodnych miejscach, odznacza się swoją małą gatunkową ciężkością. Dla téj własności Murzyni wyrabiają z niego, zastępując korkowe drzewo, kolanka do utrzymywania sieci rybackich na powierzchni wody. Oprócz tego z jego łykodajnéj kory robią powrozy.

25. *Favernon* czyli *Orada*, z rodzaju wielkich drzew, rosnących w górach, jest zdatniejsze do budowli, zwłaszcza

młynów, niż *mahoń*, bo od tego lżejsze i mniéj łupne. Owoc jego podobny do cytryny. Wywar z jego kory łykowatéj, od pnia dającéj się oddzierać, farbuje na żółto.

II. *Rośliny w plantacyach.*

I. Trzcina cukrowa.

Trzcina cukrowa jest z pozoru podobna do pospolitéj, która zwykle rośnie na miejscach wilgotnych. Jéj pieniek laskowy, wysmukły, włóknisty, kanalikowy, między mnogiemi swemi kolankami, na 3 cale od siebie odległemi, gładki, połyskliwy, z jednego boku żółtawy, z innych szarawy, gatunkowo ciężki, łamliwy, na 10 stóp wysoki, a na 2 cale w średnicy gruby, jest przepełniony owym białym sokiem, z którego wywarza się *cukier*. Jeden korzeń téj rośliny wypuszcza z siebie kilka lub kilkanaście pieńków. Kolanka pieńka dają początek liściom, a te wywiązują się z pączków podługowatych szaro-różowych, są proste, kończaste, wązkie, z początku zielone, potém gdy trzcina wyrasta żółto-zielone; w tym razie dochodzą długości 4 stóp, są ząbkowate, a w dojrzałości schną od dołu i opadają. Trzcina cukrowa po upływie 12 miesięcy od zasadzenia, dostaje na wierzchołku wyrostek zwany *strzałą*, długi na 8 stóp, gruby na 2 cale w średnicy, gładki i bez kolanek, zakończony nitką na 2 stopy długą, a złożony z kilkunastu cząstek słabo ze sobą spojonych, strojny drobnemi białemi kwiatkami, tworzącemi niby siatkę, któréj środek jest siedliskiem zarodka téj cukrodajnéj rośliny. Tenże sam pieniek, chociaż nie wycięty, nie uwieńczy się nową strzałą u swego wierzchołka, nie zakwitnie drugi raz, nie wyda zarodka.

Trzcina cukrowa po piérwszém zasadzeniu dojrzewa w 18 miesięcy, poczém ją wycinają i sok z niéj wytłaczają sposobem, który poznamy z kolei. Na trzeci dzień po jéj wycięciu, korzeń wypuszcza nowe płonki. Te dojrzewają w 15 miesięcy. Pora zbliżona do deszczowéj, najwięcéj sprzyja sadzeniu trzciny. Gdy po jéj zasadzeniu upadnie dészcz, wnet wydobędzie się z wnętrza ziemi płonka trzciny. Tak zwana wielka trzcina cukrowa z miękką korą, najszybcéj rośnie, i ta ma nad innemi trzcinami piérwszeństwo.

Hodowanie zasadzonéj trzciny polega głównie na uprzątaniu zagłuszających ją chwastów. Jak można najwcześniéj, trzeba chwast przynajmniéj przed zawiązaniem się jego nasienia wytępiać z korzeniem, a samą trzcinę oczyszczać z plugastwa i napastującego ją robactwa, aby pod wpływem świeżego powietrza i pożywnych soków, wydała dobrą i obfitą miazgę cukrową.

Chcąc założyć plantacyą trzciny cukrowéj, obiéra się kawał ziemi sprzyjającéj temu zakładowi, mianowicie wilgotny.

Za tak zwany kwadrat ziemi, na ten cel przydatnéj, płacono w Saint-Domingo 3,000 franków przed rokiem 1806. Ów kwadrat zawiérał w sobie 100 kwadracików krokowych, z których każdy bok miał stóp $3\frac{1}{2}$. Do uprawy, hodowania i pilnowania plantacyi założonéj na obszarze 100 kwadratów, trzeba utrzymywać przynajmniéj 300 Murzynów z odpowiednią liczbą mułów i wołów. A że cena kupnych Murzynów była, jak widzieliśmy, wysoka: więc już z tego względu założenie i utrzymywanie plantacyi wymagało wielkich summ.

Plantacya składała się z oddziałów, z których każdy zawierał 3 lub 4 kwadraty. Pomiędzy kwadratami zostawiano szérokie miedze, jużto dla ułatwienia przejazdu wozom, już dla zapobiegania szerzeniu się pożaru, gdyby ten powstał w jednym z oddziałów. Korzeń trzciny cukrowéj może być rozdzielony po drugiém wypuszczeniu latorośli, i w nowych kwadratach zasadzony, przechodząc w pewnych przestankach czasu od kwadratu do kwadratu, lub od jednego oddziału do drugiego, aby trzcina nie dojrzewała razem we wszystkich, i aby jéj wycinanie i zwózka nie uskuteczniały się współcześnie we wszystkich. Zbiór trzciny z jednego oddziału, 3 lub 4 kwadratowego, przynosił w pomyślnych okolicznościach 15,000 do 18,000 funtów cukru.

Dojrzałéj trzciny pieniek jest żółty, połyskliwy, ciężki; jego sok jest popielaty, kleisty, słodki, a końce liści są czerwone. W takim stanie wycina się trzcina. Czas jéj wycinania przypada między miesiącami styczniem i lipcem. Wyrobiony w tym okresie cukier, zwany *cukrem piérwszego zbioru*, jest zwykle, lecz niezawsze lepszy od cukru zbioru późniejszego, tojest między miesiącami lipcem

a październikiem. Trzcina wycina się przy samym korzeniu, nie zostawiając żadnego kolanka, bo w tym razie, z korzenia który nie odbiera pożywienia od pieńka, wyrasta piękniejsza latorośl, i nic się nie uroni z cukrodajnéj trzciny.

Do zabudowań, bez których plantacya ostać się nie może, należy naprzód młyn wodny lub deptak, w którym wyciskają sok ze trzciny; powtóre kuchnia do wywarzania cukru z tego soku, daléj łaźnia do czyszczenia cukru wywarzonego, nakoniec gorzelnia do pędzenia rumu z pośladów cukrowego wywaru. Sprzętami piérwszéj potrzeby w tym zakładzie są wozy do zwożenia trzciny cukrowéj, kotły w których wywarza się cukier ze soku; daléj beczki, obręcze, klepki, garnki i formy, w których czysta massa cukrowa zsiada się w tak zwane głowy cukru. Porządek, czujność, ostrożność i posłuszeństwo, są niemniéj koniecznemi warunkami utrzymania zakładu i zachowania go od okropnych przygód.

Wspomniony dopiéro młyn wodny lub deptak, nadaje ruch wirowy trzem wielkim bębnom czyli dętym walcom z żelaza lanego, obracającym się na tyluż czopach osadzonych równoodległe od siebie, poziomo niekiedy, zwykle pionowo; płat bębna ma grubości 2 cale, wysokości 20 cali, a jego wnętrze wypełnione wałkiem z drzewa twardego, ma 18 cali w średnicy. Trzy walce obracają się razem na swych żelaznych czopach. Środkowy nazywa się wielkim, dwa inne, chociaż z nich każdy we wszystkiém jest równy tamtemu, nazywają się małemi. Zęby któremi wszystkie trzy są opatrzone u góry, czepiając się nawzajem, sprawiają, że wielki walec obracając się w jednę stronę, nadaje każdemu z dwóch małych obrót w stronę przeciwną. Wszystkie trzy swemi walcowemi ścianami są tyle zbliżone do siebie że sztuka pięcio-frankowa wetknięta między dwa którekolwiek, spłaszcza się na blaszkę. Między tak zbliżone, Murzyn wkłada ciągle trzcinę, czyli jak wyrażano, daje pożywienie młynowi; trzcina zaś przeciskając się między niemi, oddaje zawarty w sobie sok. Tak wyciśniętą odbiéra inny Murzyn i wpuszcza ją między wielki i drugi mały walec, gdzie oddaje resztę zatrzymanego soku cukrowego, i ztąd wychodzi w stanie zupełnie czczéj łodygi. Takowe łodygi suszą Murzyni na słońcu, wysuszone wiążą w pęczki

i składają w szopach, a potém używają ich zamiast drzewa do podsycania ognia pod kotłami przy wywarzaniu cukru.

Ponieważ wytłaczanie trzciny w młynach ciągnie się bez przerwy dniem i nocą; więc dozorujący przestrzega surowo Murzynki podające trzcinę, aby ciągle śpiéwały i tym sposobem nie dozwalały zasnąć Murzynom, którzy od nich odbiérają trzcinę i odebraną wkładają między walce. W przypadku bowiem zaśnięcia, mogą ich ręce razem ze trzciną między walce być pociągnięte, i tam zdruzgotane aż po barki. Taka sama ostrożność jest potrzebna przy kotłach podczas wywarzania w nich cukru, dla uchronienia Murzynów zbiérających szumowiny, od śmierci okropnéj, którą przez zaśnięcie mogliby znaleźć w kotłach.

Przeznaczeniem gorzelni, przywiązanych do plantacyi trzciny cukrowéj, jest wyrób rumu, i pośledniego gatunku téj rozpalającéj cieczy napojowéj, nazywanéj *tafią*.

Rum lub tafia wyrabia się z syropu, czyli fusów, odchodzących podczas czyszczenia cukru, i szumowin zbiéranych z wywarzanego. Do tych odchodów doléwa się w trzeciéj części woda rzeczna. Mieszanina wlewa się na dni 10 w kadź, a potém gdy się tam wyrobi i zostanie kwaskowatą, pędzi się przez alembik, tak jak inne mocne napoje. Piérwszy tak otrzymany spirytus, którego tęgości miarą jest 20 stopni, nazywa się we francuzkich plantacyach tafią, a w angielskich rum. Słabszy wychodzi na ostatku z alembika, i tego smak i zapach jest przykry. Przepędziwszy go raz jeszcze przez alembik, jak to czynią Anglicy, zamieni się na spirytus. Gorzelnia rumu powiększa o trzecią część dochód z plantacyi trzciny cukrowéj.

Podczas pobytu na wyspie *Jamajce*, poznaliśmy gorzelnią rumu, założoną i utrzymywaną przez niejakiego *Scarpe*, rodem z Włoch, w jego plantacyi trzciny cukrowéj pod *Spanishtown*. Z innych wysp dostarczano temu plantatorowi syrop i szumowiny cukrowe w znacznéj ilości. Wyrabiany przez niego rum, potrzebował tylko miesiąc czasu, aby miał przymioty, kolor i smak najstarszego.

W tym celu trzymał się *Scarpe* następującego przepisu: wziął naprzód cztery bochenki jedno-funtowe chleba, wyjął z nich ośródki, a skórki upiekł prawie na węgiel; ostudzone

zaś utłukł na proszek w moździerzu. Wziął potém cztery funty suchych rodzenków, mianowicie z winogron malagi, jeżeli te miał pod ręką, a w braku rodzenków tyleż funtów śliwek suszonych i te potłukł razem z pestkami; nakoniec do tego przydał funt zielonéj herbaty. Mieszaninę tych trzech rzeczy wsypał w beczkę z większą od innych objętością. Co doba przewracał tę beczułkę przez godzinę w ciągu 15 dni, aby przez zostawione w naczyniu szpary, ulatały cząstki wydobywające się z mieszaniny skutkiem jéj kiśnienia. Tak wyrobioną zlał do beczki zawierającéj w sobie 300 galonów rumu, i tę dla spojenia się w niéj i wystania massy, zostawił w spokojności na drugie 15 dni, poczém rum miał już zalety wystałego i najprzedniejszego. Anglicy ulepszają swój rum, zlewając go w beczki po piwie, winie lub cydrze.

II. Drzewo kaworodne.

Drzewo kaworodne (Cafeyer, Coffea) swoją postacią, liściami, kwiatami i owocem, jest ozdobą ziemi na któréj się przyjęło. Pochodzi z afrykańskiéj Etyopii, i ztamtąd dostało się naprzód do arabskiego kraju *Yemen*; w jego górzystych miejscach nader sobie upodobało, i dlatego w Europie, która na drodze handlu owoc jego przyswoiła sobie z Arabii, jest nazwana *Coffea arabica.* Z *Amsterdamu* w roku 1714 pozyskał to drzewo ogród botaniczny w *Paryżu*, i ztamtąd posłano je na zaszczepienie do *Martyniki.* Z téj wyspy dostało się do *Antyllów* ogólnie, a do *Saint-Domingo* szczególnie.

W handlu rozróżniają kawę *Mokka* z Arabii, *Maskareńską* z wyspy Francuzkiéj czyli *Maurycego*, jednéj z Maskareńskich przy południowo-zachodniém pobrzeżu Afryki, i kawę z *Martyniki.* Ale sąto tylko odmiany, nie gatunki tego owocu.

Słowo *kawa*, oznacza owoc drzewa i upowszechniony napój z tego owocu, niedający się żadnym innym zastąpić. O odkryciu i nastaniu tego napoju jest między innemi następujące podanie:

Wesołość i bezsenność kóz arabskich przypisano téj przyczynie, iż się żywiły korą, liściem i owocem kaworo-

dnego drzewa, które zrazu hodowała sama natura. Przełożony nad pewnym mahometańskim klasztorem w Arabii, wziął ztąd pochop do częstowania podwładnych sobie derwiszów wywarem z kawy, chcąc ich utrzymać w czynnéj bezsenności podczas nocnych modłów. Tak wszczęte na Wschodzie, przeszło ztamtąd do Europy używanie kawy. Roku 1669 zakosztowano jéj po raz piérwszy we Francyi, i funt palonéj kosztował wówczas w tym kraju 120 franków. Roku 1672 Ormianin *Paskal*, założył kawiarnią w Paryżu.

Najpodobniéj *Jan III Sobieski* mógł piérwszy z Polaków poznać smak napoju z kawy.

Drzewo *kaworodne* na wyspie Saint-Domingo wyrasta do 3 stóp wysokości, z miernéj ziemi, do 4 stóp z lepszéj, a do 5 lub 6 stóp z najlepszéj. Jego pieniek jest prosty, gałęzisty, liściami pięknéj, połyskliwéj zielonéj barwy okryty. Kwiat ma biały łagodnie woniejący, jest podobny do jaśminowego; rozwija się przy podstawie liścia, 2 razy do roku ogólnie, a 6 razy niekiedy, jeżeli pomoże sprzyjająca pora powietrza.

Ten kwiat jest tak obfity, że z jednéj gałązki można go zebrać dostateczną ilość do splecenia pięknéj girlandy. Był on główną wiosennéj pory okrasą na wyspie Saint-Domingo w miesiącach marcu i kwietniu. Podobny do białéj gwiazdki, dzieli się na 5 części połączonych ze sobą pręcikiem, także białéj barwy. Część środkowa jest zakończona widełkowato, i ta najpóźniéj, bo aż po rozwinięciu się owocu, opada. Cały kwiat w swéj sile, żywości i piękności trwa tylko przez dwie doby. Po tych upływie zaczyna blednąć, następnie więdnieje, a w końcu opada; poczém zaraz zawiązuje i objawia się owoc, tojest jagoda zielona, do oliwki podobna, aż do czasu dojścia naturalnéj wielkości. Gdy jagoda dojrzewa, jéj zielony kolor przechodzi na blado-żółty, ten z kolei na mocno ponsowy, a ona sama jest podobna do wiśni podługowatéj, i nie ma żadnego smaku. Mięso jéj oblepia dwa ziarna spojone ze sobą, powleczone błonką, a następnie cienką skórką, która i do błony i do ziarnka przystaje.

Drzewo kaworodne mając 18 lub 24 miesięcy, odznacza się w najwyższym stopniu siłą i pięknością. Liście ma wówczas jaskrawo-zielone, gładkie i ślizkie, nieco

w obłąk wygięte, naokoło ząbkowate, do bobkowych czyli laurowych podobne, a gałązki, idąc od dołu do wiérzchołka, coraz bardziéj maleją. Kiedy drzewko z ziemi wyrasta, gałązki jego wydobywają się z kolanek pieńka po dwie razem, jedna naprzeciwko drugiéj, począwszy od dołu, w odległości stopy od ziemi. Ale gdy dojdzie wspomnionego stopnia swéj siły, naówczas z kolanek pieńka wydobywają się nowe gałązki, oddalone od siebie na 3 cale, a potém bliżéj, gdy z postępem wieku grubieje drzewko. Z każdego kolanka, jako z pączka, wywiązuje się nadto para liści, otulających zarodek, mających późniéj z kwiatka objawić się jagód owocowych i spoić się króciutkiemi szypułkami, podobnie jak się spajają jagody grona winnego. Samych owocodajnych kolanek na jednéj gałązce można naliczyć 20.

Na miesiąc przed dojściem owocu do dojrzałości, daje się odgadnąć ilość kawy obrodzonéj przez jedno drzewo. Gdy owoc dojrzeje, wtedy liście żółkną, a samo drzewo zdaje się omdlewać i pozorem swego stopniowego słabnienia wzywać, aby je uwolniono od przeciążającego owocu. Czerwoność tego owocu dowodzi jego dojrzałości i trzeba go niezwłocznie zbierać, a następnie zaraz obrzynać wybujałe przez zbytek gałązki. Spełniona w tym razie uległość, przynosi drzewku widoczną ulgę; bo skoro jest uwolnione od owocu, na nowo się odradza i do młodzieńczéj siły powraca tém skorzéj, jeżeli w tym samym czasie podsyci je rosa i deszcz. Drzewo bowiem kaworodne potrzebuje wilgoci i świeżéj ziemi; i dlatego góry w których dészcze często padają są dla niego stosowniejsze niż doliny i błonia.

Ponieważ w obrywaniu z siebie dojrzałego owocu nie cierpi drzewo kaworodne; więc dla plantatora jest zbawienne zrządzenie, gdy owoc nie razem, lecz w różnych przestankach czasu dojrzewa, gdy zbiór jego z plantacyi ciągnie się przez 3 miesiące, i gdy czasem przypada w pięciu przypadających po sobie kolejach jednego roku. Jedno drzewo kaworodne na wyspie Saint-Domingo wydawało w jednym zbiorze 6 do 9 funtów kawy.

III. Drzewo kakaorodne.

Drzewo *kakaorodne*, *(Cacaoyer*, lub *Cacaotier*, *Theobroma cacao)* wyglądające jak wiśniowe miernéj urody, pochodzi z południowéj Ameryki. Jego owocem jest strąg, długi na dziesięć cali, gruby w obwodzie na cztery cale, podobny do ogórka, zwany *Cabosse*, zapełniony dwudziestoma lub czterdziestoma jądrami okrągławemi, w komórkach leżącemi, zwanemi *kakao*. Te jądra wysuszone, na proszek pokruszone, cukrem osłodzone, wodą rozwilżone, dają pożywną *czekoladę*. Tego użytku z kakao nauczyli się europejczycy od Meksykanów. Z kilku odmian tego owocu, nas tu zajmuje jedynie pochodzący z Antyllów, *le Cacao des Isles ou des Antylles*, mianowicie z wyspy *Saint-Domingo*, mniejszy i więcéj spłaszczony, niż południowo-amerykański.

Drzewo kakaorodne rozmnaża się przez nasienie i rośnie przez 25 do 30 lat. Prawie każdy grunt, wyjąwszy kamienisty, jest dla niego dobry. Główny bowiem korzeń tego drzewa zapuszcza się pionowo w głąb' ziemi, i to piérwéj, nim nad jéj powierzchnią wydobędzie się latorośl. Jeżeli tedy korzeń trafi na kamienie, te wstrzymują przystęp soków, potrzebnych do jego i drzewa wzrostu, i roślina umiera. Z téj przyczyny grunt musi być wolny od kamieni, przynajmniéj do pięciu stóp głębokości, a zarazem od chwastów i od innych roślin. Wszakże korzeń drzewa kakaorodnego jest bardzo obraźliwy, nietylko napotkanym kamieniem, ale jakąbądź zawadą, i dlatego nasienia kakao bywają sadzone w ziemię, po trzy razem w koszykach podobnych do kapelusza. Gdy z tych ziarn wyrosną trzy latorośle i dojdą trzech stóp wysokości, plantatorowie zachowują najpiękniejszą z nich, a dwie inne skazują na zniszczenie lub przesadzenie; to zaś ostatnie wykonywają w koszykach, z przyczyny obraźliwości korzenia. Doliny niezbyt wilgotne i niezbyt suche, sąsiadujące ze strumieniami, są najlepsze na plantacye drzewa kakaorodnego. Zresztą główny trud podejmowany przy hodowaniu téj rośliny, polega na odwracaniu od niéj takich plag, niekiedy ją dotykających, jak mrówka, szarańcza i inne owady.

W ciągu dwóch lat wyrasta drzewo kakaorodne do 4 stóp wysokości, okrywa się kwiatem, i wydaje owoc. A że

ten piérwszy owoc nie ma zalet późniejszego, więc plantatorowie niszczą go w zarodku, tojest w kwiecie. Obdarte z piérwszego swego kwiatu nabiera drzewo większéj siły, wydaje lepszy i obfitszy owoc w trzecim roku, a najlepszy i najobfitszy w szóstym, w którym przypada wysilenie jego płodności. Odtąd, aż do kresu życia swego, już bardzo małych wymaga około siebie zachodów, aby rodziło daléj. Cień od rozrosłego rzucany na ziemię, nie dopuszcza mnożenia się chwastów, a opadające z niego liście zastępują mierzwę. Jestto niejako stan jego usamowolnienia.

Zbiéraniu owocu przypadającemu w miesiącu czerwcu, towarzyszy zwykle obcinanie suchych gałęzi, starych strąków, czyli *cabosses*, i tak zwanych wilków.

Użytki zebranego owocu są następujące: wyciśnięta z kakao oliwa, nazywana masłem, ma własność gęstéj anodyny, powoli wysychającéj. Jéj najlepszy użytek jest kosmetykowy, tojest do smarowania ciała ludzkiego, którego skórze nadaje gładkość, miękkość i połysk, nie zostawiając na niéj śladu tłustości. Konfitury z kakao wzmacniają żołądek. Czekolada z tego owocu robi się, obierając go z łupiny, obrany prażąc w piecyku na wolnym ogniu, uprażony tłukąc w gorącym moździerzu, potłuczony, zarabiając na ciasto, a do tego przydając właściwą ilość cukru. Będzie to tak zwana czekolada zdrowia. Dodawszy do wspomnionego ciasta trochę cynamonu, kwiatu pomarańczowego lub wanilli, wzmoże się woń, smak i strawność czekolady. Jeszcze to samo ciasto, gdy do niego nie przydadzą żadnéj przyprawy, będzie chlebem z kakao.

Plantacya drzewa kakaorodnego najmniéj kosztuje, a najwięcéj zysku przynosi.

IV. Krzew bawełnorodny.

Krzew bawełnorodny (*Cotonnier*, *Gossypium*) wyrasta do 6 lub 7 stóp wysokości, jest okrągły, okryty na części drzewnéj korą brunatną, a na mnogich gałązkach liściami téj wielkości, co w krzewie winnym. Dostarcza plantatorowi owych z kwiatu fioletowego lub żółtego wywiązujących się jajkowatych, ostro zakończonych strąków, które są

jakby pokrowcem puchu wełnistego, jaskrawo-białego, nazywanego *bawełną (coton)*. Wyroby z bawełny łatwo dającéj się łączyć z wełną, jedwabiem, lnem, konopiami, urozmaicają się bez granic. Z niéj w starożytności wyrabiano, i dotąd w krajach południowéj Azyi wyrabiają, papiér grubszy i mniéj biały od upowszechnionego w Europie, który w XI wieku ery chrześciańskiéj zaczęto, i tak jak dotąd, wyrabiają z gałganów lnianego i konopnego płótna. Zbiór jednak tego tyle użytecznego krzewu, rozradzającego się z ziarna lub z latorośli sadzonéj, polega głównie na zerwaniu jego strąka, na obdarciu tego strąka z łupiny, i uwolnieniu tak obnażonéj bawełny od ziarn, których jest zwykłą szatą. Strąk, gdy ziarna dojrzewają, pęka na trzy lub cztery części, odpowiednie trzem lub czterem komórkom wewnętrznym, z których każda zawiera trzy do siedmiu wspomnionych ziarn, czarnych, okrągłych, i w tym razie jest podobny do kwiatu białego. Wydobywającą się tym sposobem ze strąka bawełnę, trzeba czémprędzéj zbiérać, jeżeli jéj nie ma porwać i rozwinąć wiatr. Gałązka każda, niewyłączając najmniejszéj, musi mieć kilka lub kilkanaście strąków.

Ojczyzną krzewu bawełnorodnego są zwrotnikowe kraje Ameryki ogólnie, Antylle szczególnie; nas tu obchodzi rosnący pod niebem wyspy *Saint-Domingo*. Tam więc przyswaja się i udaje wszędzie, tak w górach, jak na suchych lub wilgotnych błoniach, na takich nawet, które zadają śmierć innym sianym na niéj roślinom Według wyciąganych w linii prostéj ulic, sadzi się po kilka ziarnek razem, w dołkach, tak, aby krzew od krzewa był oddalony na ośm do dziesięciu stóp. Skoro dészcz, choć nawet skąpy, skropi plantacyą po zasadzeniu ziarn, wyrosną z nich latorośle we trzy tygodnie. Z tych latorośli wyrywają się zbytkowe, a pozostawionym, gdy wyrosną do pięciu stóp wysokości, odejmują się wierzchołki, przez co krzew rodzi obficiéj. W 6 miesięcy, jeżeli pora powietrza sprzyjała, zawiążą się strączki na młodym krzewie. Zbiór bawełny z dojrzewających krzewów ciągnie się przez trzy miesiące. Po ukończeniu zbioru, wycina się obrane z owocu krzewy, poczém z pozostałego w ziemi korzenia wychodzą w kilka dni latorośle, już prędzéj rodzące owoc, niż te, które wyrosły z posadzonego ziarna.

A tak utrzymanie plantacyi bawełny byłoby najmniéj utrudzające, gdyby krzew, nim obrodzi i odda swój płód, nie był narażony na zabójcze napaści mnóstwa owadów i robaków. Te ostatnie dostawszy się do dołka zasadzonych ziarn, pożerają je w chwili puszczania kiełków. Jeżeli ta plaga nie dosięgła ziarn, tedy szarańcza lub świerszcze rzucą się w nocy na młodociane listki i zniszczą je w jednym dniu. Jeżeli nietknięty przez tego i tamtego wroga krzew, rósł spokojnie przez trzy miesiące, w którymto okresie dochodzi dwudziestu cali wysokości, naówczas robaczek biały, zwany *maoka*, póty podżera korzeń, póki młody krzew nie umrze. Oprócz tego małe muszki kaleczą korę krzewa i poza nią na dalsze jego niszczenie składają zarodek, z którego lęgnie się śrubowaty raczek, i zaraz toczy części drzewne. Na draśniętych przez niego gałązkach tworzy się rak, tak dalece zbezwładniający całą roślinę, że ją łamie lekki powiew wiatru. W przypadku uchronienia się od tych zabójczych kolei, jeżeli krzew okryje się kwiatem, mogą mu wydać wojnę pluskwy zielonego koloru, i na swą pastwę obrócić zwiastuna owocu, tojest kwiat. *Mszyce* ubiegają się niekiedy z tym brzydkim owadem o dopięcie jednegoż celu. Inne, tojest czerwone lub czarne pluskwy, nie łaknące liścia ani kwiatu, czyhają na porę pękania strąków. Te pluskwy, skoro bawełna wyjrzy z pękniętego strąka, lecą rojami wyssysać sok z jeszcze zielonych i miękkich ziarnek, niedość przeciw téj napaści obwarowanych bawełnianym okopem. Ten okop po takiéj napaści traci wiele na swéj białości i cenie, napiętnowany centkami pluskwianéj tłustości. Najsroższą z tych wszystkich klęsk może zadać krzewom bawełny: *gąsienica bawełniana*, zdolna ze swą chmarą zamienić całą plantacyą w przeciągu jednéj doby lub dwóch, w opustoszały i bezlistny obszar badylów.

V. Indykt.

Indykt (indigo, indicum), mączka farbująca błękitno, jest wyciągiem na drodze gnicia z rośliny półkrzewowéj, nazywanéj *Indigotier* lub *Anil (indigofera)* tojest *indyktorodną*). Użytek téj mąki tak w potrzebach domowych jak w zakładach przemysłowych trawi jéj corocznie mnogie mi-

liony cetnarów. Bawełna, wełna, len i konopie, snadno przybierają jéj błękitną barwę, równie piękną jak trwałą. Jéj nazwa oznacza, iż pochodzi z Indyj Wschodnich, jako pierwotnéj ojczyzny. Roślinę indyktorodną hodowali także na swéj ziemi dawni Egipcyanie i Hebrajczycy. W środku XVI wieku przenieśli ją europejczycy z Egiptu do Antyllów i do południowéj Ameryki. Ztamtąd dała się przeszczepić i przyswoić w niektórych krajach południowéj Europy. My chcemy mówić o tym jéj gatunku, który ma swe plantacye na wyspie Saint-Domingo.

Tam założenie plantacyi indyktu daleko mniéj, niż plantacyi trzciny cukrowéj pociągało kosztów i zachodów. Jednak roślina indyktorodna nie może się udać na gruncie piasczystym i jałowym, lecz wymaga dobrego a lekkiego, bo korzeń zapuszcza głęboko w ziemię; nadto potrzebuje częstego nawozu, bo silnie i w krótkim czasie odbiera ziemi i chłonie pożywne soki, i dlatego nie cierpi towarzystwa i sąsiedztwa innych roślin. Hodowana w Saint-Domingo jest z gatunku zwanego *wolną indyktorodną* (*indigolier franc* lub *anil*). Téj łodyga wyrasta prosto do wysokości przynajmniéj łokciowéj, ma wiele bocznych gałązek wyrastających kępiasto, opatrzonych liściami niejednostajnéj postaci, zielonemi z wierzchu, blademi od spodu, łagodnemi w dotknięciu, wyziewającemi woń ostrą, niebardzo przyjemną. Z osady gałązek wychodzą kwiaty kłosowe czerwonawe, dające początek strączkom, zawierającym 5 do 7 nasiennych ziarnek, tępo czworokątnych, brunatno-żółtych. Podobny do tego gatunek, nazywany *nieprawym* (*batard*) na wyspie Saint-Domingo, a *farbierczym* (*indigolier des teinturiers*) gdzieindziéj, mniéj niż tamten czyni zadość żądaniom i potrzebom farbiarza.

Uprawa rośliny indyktorodnéj zaczyna się przy schyłku miesiąca grudnia, a przeciąga się do końca maja. Na trzeci dzień po zasadzeniu ziarna, wychodzą kiełki nad powierzchnię ziemi. Dojrzałe łodygi wycinają się do roku zwykle trzy razy, w przyjaznych zaś porach 4 i 5 razy. Piérwsze trzy cięcia nazywają się wielkotrawne, czwarte nazywa się kradzione, piąte rzadko się zdarza. Tylko trzy piérwsze dają wyborny indykt.

Najpiérwsze cięcie po zasadzeniu ziarn, przypada w dni 80, następne w dni 40 jedno po drugiém. Barwa szaro-

czerwona spodka łodygi jest zapowiednią jéj dojrzałości i czasu cięcia.

Zbyteczny upał, ulewny dészcz, robaki i owady, zadają klęskę plantacyi indyktu. Robaki dwóch różnych gatunków, zwane *rouleux* i *maoka*, podgryzają tak szkodliwie korzeń indyktowéj rośliny, że we dwa dni po takiéj napaści umiera. Pod samą porę przypadającego cięcia, obsiadają i składają na niéj jaja, motyle przypędzone wiatrami. Roje gąsienic wylęgłych z owych jaj, obżerają w kilku godzinach gałązki ze wszystkich liści. W tym razie plantator wycina nagie, gąsienicami okryte łodygi, a udając się zwykłą drogą gnojenia massy wyciętéj, odbiera robactwu indykt, który pochłonęło z liściami.

Aby wyciągnąć indykt z rośliny wyciętéj w porze zupełnego jéj zakwitnienia, sieką ją na drobne kawałki, posiekaną wkładają w kadź i zalewają ilością wody potrzebną do zanurzenia massy. Ta massa zgnije w kilka dni i wyda ze siebie farbujący błękitno osad, który się nazywa *indyktem.*

DODATEK.

1. Co do roślin.

Trzy gatunki trzciny cukrowéj (*canne à sucre, sacharum officinale)* przyjęły się na gruncie wyspy Saint-Domingo. Piérwszy z Otahiti, drugi z Batawii nazywany żółtą lub francuzką, trzeci z tegoż miasta wyspy Jawa, nazywany fioletową trzciną.

Z tych trzech gatunków piérwszy i drugi dojrzewał i był ścinany w 8 miesięcy od zaszczepienia trzciny; trzeci w 16 do 18 miesięcy. Ale zwykle uprawiano na wyspie Saint-Domingo arabską czyli Moka kawę, oprócz zaś téj, pośledną gorzką z karłowatego drzewa zbiéraną.

Do wydawanych przez tę wyspę, a już wyżéj poznanych płodów, należą jeszcze następujące:

Orellan, w przekręceniu nazywany Orlean, po francuzku *Rocou*, jest miazgą z ziarn drzewka rosnącego w Antyllach, nazywanego *Rocouyer* (*Bixa orellana*), farbującą czerwono i żółto. To drzewko lubi ziemię wilgotną i bagnistą,

wyrasta do 6 łokci, a po dészczach zimowych wydaje obfity plon, wywięzujący się z pięknego różowego kwiatu.

Drzewko *goździkowe* (*Girofler* lub *Géroflier*, *Caryophyllas aromaticus*) pochodzące z Indyj Wschodnich, przyjęło się na wyspie Saint-Domingo, lecz jego uprawa, tak jak wielu innych poszła w zaniedbanie. Wyrasta do 12 łokci wysokości w miejscach nizkich osuszonych; z pozoru jest podobne do kaworodnego, i wydaje owoc w 5 lat od zasadzenia. Zdobią je kwiaty różowe, mocno woniejące. Z tych wywiązuje się owoc różowo-brunatny, wielkości oliwki, z jedném, a niekiedy z dwoma twardemi ziarnkami wewnątrz. Części kwiatu przed zupełném swojém rozwinięciem tworzą tak zwany w handlu *goździk (clon de girofle)* czarny lub biały, zakończony główką, zwykle odtrącającą się podczas przewozu lub zbioru; używany bywa do zaprawy potraw. Jedno drzewko wydaje około 20 funtów goździków.

Drzewo *cynamonowe (cannelier, laurus cinnamonum)*, którego kora co 2 lata obdzierana, dostarcza *cynamonu (cannelle)*. Zasadzone na wyspie Saint-Domingo, nie miało tak zaletnéj kory, jak pochodzące z wyspy *Cejlan*.

Lepiéj się tam udało drzewo *muszkatowe (muscadier, myristica)*, mianowicie *aromatyczne*, krajom międzyzwrotnikowym właściwe, którego owocem jest aromatyczna *gałka muszkatowa*, czyli *muszkat* (*muscade*). Przez cały rok okrywa je kwiat i owoc, poczynając od 7 lub 8 roku po zasadzeniu.

Drzewko *wanillowe* (*Vanillier*, *vanilla)* właściwe krajom zwrotnikowym ogólnie, Antyllom szczególnie, rośnie na wyspie Saint-Domingo dziko i bardzo obficie w lasach. Kwiat jego daje początek strączkowi z miękiszem, niedającym się zastąpić żadnym innym aromatem, tam gdzie idzie o nadanie czekoladzie smaku, woni i dobroci. Ten strąk nazywa się po hiszpańsku *Vaynilla*, z tego zaś słowa powstała upowszechniona tego owocu nazwa *wanilla* czyli *wanilia*.

Imbier (gingenbre, zingiber) jest grzybowatym korzeniem drzewka pochodzącego z Indyi Wschodnich, przeszczepionego do Antyllów ogólnie, do wyspy Saint-Domingo szczególnie. Z tego korzenia wyrastają dwie łodygi: jedna z liściami, druga z kwiatem.

II. Co do handlowéj zamiany płodów.

Główny dochód wyspy Saint-Domingo stanowiły następujące, jako krajowe, wywiezione z niéj płody:

Cukier w głowach i w mące, kawa, syrop, kakao, wanilia, muszkatowa gałka, imbier, owoce marynowane, gumy różnego gatunku, mahoń, indykt, bawełna, brazylia, orellan, koszenilla. Ten ostatni artykuł *(cocus)* jest drobniutkim, czerwono-farbnym owadem, którego gatunkiem jest *koszenilla polska* (*Cochenille de Pologne, Cocus polonicus*) nazywana *(czerwcem, der polnische Kermes).*

Za te i inne swojskie, dostawała wyspa Saint-Domingo następujące z Europy płody lub wyroby:

Konie, muły, mięso solone wołowe i wieprzowe, szynki wędzone, bulion, masło solone, tłustość baranią, séry, sztokfisz, ryby solone morskie, pijawki, mąkę pszenną, suchary, leguminę suchą, makarony włoskie, owoce świéże lub suszone, albo marynowane, konfitury cukrowe, oliwę, tran rybi, tytuń i tabakę, cukier rafinowany, wina różne, octy winne, piwo, wódkę francuzką, likwory, drzewo budowlane, drzewo korkowe w kawałach, meble zbytkowe, marmur wyrobiony, kamień ciosowy okrzesany, kamienie do ostrzenia narzędzi żelaznych, wapno, dachówki, sól gorzką, atrament do pisania i wytłaczania, farby suche i ciekłe, perfumy paryzkie, materyały apteczne, proch strzelbowy, wyroby z metalu ogólne, ze złota szczególne lub platerowane, broń myśliwską i wojenną, różne machiny, wyroby nożownicze, zégarki, powozy, siodła i chomonta, roboty z kości słoniowéj, zabawki dla dzieci, obręcze żelazne, blachę żelazną różnego rodzaju, żelazo kute, miedź w arkuszach, ołów w kawałach i arkuszach, narzędzia rolnicze i rzemieślnicze, wosk, świéce łojowe i woskowe, mydło zwyczajne, szkło stołowe i butelki, nici kolorowe i białe, przędzę ze lnu i konopi, z wełny i z włosów, z bawełny i jedwabiu, pilśń, papiér, książki, skóry wyprawiane i wyrabiane, kołdry wełniane, kapelusze słomiane i z łyczka palmowego, sukna i kaźmiérki, płótna holenderskie, perkale, muśliny, płócienka kolorowe, chustki indyjskie, wstążki różnego gatunku, bieliznę stołową, ubiory gotowe, trzewiki, pończochy jedwabne francuzkie, i różne zbytkowe rzeczy.

Wartość tych płodów i wyrobów, w ciągu roku dostarczonych wyspie, dochodziła 30,000,000, franków.

III.

Stan wyspy Saint-Domingo w jéj podziale na okręgi parafialne z roku 1806.

I. Część dawna Francuzka.

Uważając dawną część francuzką téj wyspy za złożoną z trzech prowincyj, tojest: północnéj, zachodniéj i południowéj, obejmiemy 21 okręgów parafialnych w północnéj, 16 w zachodniéj, a 13 w południowéj prowincyi, razem pięćdziesiąt okręgów parafialnych w całéj dawnéj francuzkiéj części.

a) Północna prowincya.

1. Okrąg *Ouanaminthe*, sięgający okolic miasta *Fort-Dauphin*, obfitował w cukier i kawę wybornego gatunku. Samego cukru miał 25,000 zakładów, które co rok dostarczały 510,000 funtów białego. W ludności tego okręgu było białych 280, kolorowych 270, Murzynów niewolników 7,000.

2. Okrąg *Fort-Dauphin* miał siedmnaście zakładów cukru, które co rok wydawały 3,000,000 funtów mączki cukrowéj. Posiadał oprócz tego 20 plantacyj kawy, 2 indyktu, i tyleż kakao. Jego ludność wynosiła 700 białych, 600 wolnych, 9,000 niewolników, i 1,330 milicyi.

3. Okrąg *Terrier rouge* miał zakładów cukru 20, które rocznie wydawały trzy miliony mączki cukrowéj. W jego ludności było 240 białych, 160 wolnych, 4.500 niewolników i 150 milicyi.

4. Okrąg *Le trou* miał zakładów kawy 150, a cukru 33. Te ostatnie wydawały rocznie 150,000 funtów białéj mączki cukrowéj. W jego ludności było 360 białych, 240 wolnych, 10,000 niewolników i 246 milicyi.

5. Okrąg *Limonade*, jeden z najżyzniejszych, miał 160 ogrodów kawy, 7 gorzelni pośledniego rumu, i 37 za-

kładów cukru, które w rok wydawały 810,000 funtów mączki cukrowéj. W jego ludności było 450 białych, 500 wolnych, 4,300 niewolników i 2,200 milicyi.

6. Okrąg *Marin* czyli *Saint-Louis* celujący urodzajnością, miał trzydzieści dwa zakładów cukru, z których rocznie wychodziło 910,000 funtów najpiękniejszego. W jego ludności było 240 białych, 95 wolnych, 7,000 niewolników, i 118 milicyi.

7. Okrąg *Grande-rivière*, miał trzy zakłady cukru, 329 ogrodów kawy, 1 bawełny i 3 indyktu. W jego ludności było 650 białych, 1,980 wolnych, 9,500 niewolników, i 500 milicyi.

8. Okrąg *Dondons*, leżący między górami w wąwozach, miał fabrykę indyktu i 219 ogrodów kawy, które co rok wydawały ilość jéj za 1,600,000 franków. W jego ludności było 600 białych, 200 wolnych, 9,000 niewolników, i 300 milicyi.

9. Okrąg *Petite-Anse* miał zakładów cukru 32, z których białego wychodziło co rok 700,000 funtów. W jego ludności było białych 117, wolnych 53, niewolników 4,624.

10. Okrąg *Plaine du nord* miał gorzelni przedniego rumu 2, ogrodów kawy 23, zakładów indyktu 3, cukru 24, którego z tych ostatnich wychodziło co rok 400,000 funtów. W ludności okręgu było białych 92, wolnych 28, niewolników 2,500, milicyi 70.

11. Okrąg *Cap-français* miał w ostatnich czasach jeden tylko zakład cukru. Jego ludność i zarazem miasta stołecznego, kiedyś części francuzkiéj na wyspie Saint-Domingo, wynosiła 2,738 białych, 1,204 wolnych, 8,147 niewolników, 1,600 milicyi, razem 13,689 dusz, nie licząc załogi. W przystani znajdowało się 160 okrętów różnéj wielkości, a na tych około 900 ludzi. Błonia otaczające stolicę miały pozór nader ożywionego ogrodu; ale plantacyom kawy zadawały klęskę wiatry. W murach miejskich mieściły się dawniéj naczelne władze kolonii; ale w roku 1806 zastanawiały widza same gruzy tych murów.

12. Okrąg *Acul* był winien swą płodność przerzynającéj go rzece *Salée*. Miał 7 ogrodów kakao, 100 kawy, 7 gorzelni pośledniego rumu, i 17 zakładów trzciny cukrowéj, z których co rok wychodziło 3,000,000 funtów cukru mier-

nëj dobroci. W jego ludności było białych 215, wolnych 200, niewolników 5,000 i 120 milicyi.

13. Okrąg *Limbé* w jednéj z najlepszych ziem położony, miał ogrodów indyktu 13, kawy 124, trzciny cukrowéj 22, z których ostatnich wychodziło co rok 4,000,000 funtów cukru w mące, a 500,000 w głowach. W jego ludności było białych 300, wolnych 200, niewolników 5,600, i milicyi 250.

14. Okrąg *Plaisance*, oddzielony od poprzedzającego nieprzystępnemi górami, miał na swym czerwonym gruncie 32 zakładów indyktu i 180 kawy, któréj z tych ostatnich wychodziło co rok 3,000,000 funtów. W jego ludności było białych 600, wolnych 230, niewolników 6,600, milicyi 150.

15. Okrąg *Ert-Margot* nadmorski, miał zakładów indyktu 15, kakao 3, cukru 8, gorzelnią rumu 1, plantacyj kawy 119. W jego ludności było białych 366, wolnych 184, niewolników 5,500, milicyi 80.

16. Okrąg *Le borgne*, mimo swe górzyste, chłodne, i przeto dojrzewaniu kawy przeciwne położenie, miał 117 ogrodów téj ostatniéj, a 20 indyktu. W jego ludności było białych 412, wolnych 282, niewolników 5,742.

17. Okrąg *Petit Saint Louis*, nadmorski, miał 25 zakładów indyktu i 60 kawy, któréj z ostatnich wychodziło co rok 1,500,000 funtów. W jego ludności było 340 białych, 330 wolnych, i 4,200 niewolników.

18. Okrąg *Port de paix* nadmorski, wykarczowany i zaludniony przez mieszkańców poblizkiéj, dziś bezludnéj i skalistéj wyspy *Tortue*, miał 71 zakładów indyktu, 6 cukru i 32 kawy bardzo poszukiwanéj, któréj co rok zbiérano 3,600,000 funtów. W jego ludności było białych 250, wolnych 130, niewolników 1,972, i milicyi 342.

19. Okrąg *Jean-Babel* przedzielony od poprzedniego równiną prawie pustą, słynął uprawą tytuniu i indyktu, którego ostatniego miał 10 plantacyi. Jego zakład cukru zatrudniał 500 Murzynów. Ludność wynosiła 800 białych, 400 wolnych, 9,000 niewolników i 300 milicyi.

20. Okrąg *Mole Saint Nicolas* leżący nad zatoką, naprzeciw wschodniego cyplu wyspy *Kuba*, w gruncie nieużytecznym, który od roku 1766 zaczęto usposabiać do planta-

cyi bawełny, indyktu i kawy, miał ludności 614 białych, 46 wolnych, 839 niewolników i 147 milicyi.

21. Okrąg *Gros-Marne*, tak nazwany od wysokiéj góry, z jeziorem znajdującém się na jéj wierzchołku, skalistéj, miał zakładów indyktu 90, a 30 miernéj kawy. W jego ludności było białych 400, wolnych 280, niewolników 4,000 i milicyi 190.

b) Prowincya zachodnia.

22. Okrąg *Gonaive* nadmorski, między parafiami *Gros-Marne*, *Plaisance* i *Saint-Maro*, odznaczał się wyborném mahoniowém drzewem. W mieście Gonaive, oprócz parafialnego kościoła katolickiego, znajdował się dom modlitwy dla innych wyznań. Przed rokiem 1806 było w tym okręgu plantacyj cukru 3, indyktu 134, kawy 140, bawełny 14, kakao 2. W swéj ludności miał 940 białych, 750 wolnych, 7,500 niewolników i 336 milicyi.

23. Okrąg *Saint-Marc*, między parafiami *Gonaive*, *Petite-rivières*, *Verettes*, *l'Arcahaie* i morzem, w położeniu górzystém, miał zakładów cukru 16, kawy 143, indyktu 420, bawełny 114. Miasto *Saint-Marc* w znacznéj części marmurowe, miało rozkoszne położenie, było ludne i handlowne. W ludności okręgu liczono 1,530 białych, 900 wolnych, 13,035 niewolników, i 440 milicyi.

24. Okrąg *Petite rivière de l'Artibonite*, tak zwany od przerzynającéj go rzeki, ciągnął się na 15 mil francuzkich wzdłuż, a na 5 wszérz. W innéj jego rzece *d'Ester* znajdują się ziemiowodne zwierzęta *Caimans*, dochodzące niekiedy 25 stóp długości, łakome na krew Murzynów, którzy jakby na pastwę ich żarłoczności, chodzą kąpać się w niéj. Miał ten okrąg zakładów cukru 20, kawy 140, indyktu 410, bawełny 126, gorzelni pośledniego rumu 3. W jego ludności było 940 białych, 840 wolnych, 23,184 niewolników i 600 milicyi.

25. Okrąg *Notre dame des Verettes*, graniczący z poprzedzającym, na 6 mil francuzkich długi, i na tyleż szeroki, miał zakładów cukru 14, kawy 70, indyktu 214, bawełny 57, gorzelni pośledniego rumu 3, kakao 1. W jego ludno-

ści było 665 białych, 900 wolnych, 8,911 niewolników i 514 milicyi.

26. Okrąg *l'Arcahaie*, złożony z trzech części: *Vases*, *l'Arcahaie* i *Boucassirs*, otoczony parafiami: *Mirebelais*, *Saint-Marc* i *Cul de Sac*, posiadał 14 plantacyj cukru, 68 kawy, 49 indyktu, 24 bawełny, 4 kakao i 14 gorzelni pośledniego rumu.

W jego ludności było 702 białych, 574 wolnych, 17,241 niewolników i 390 milicyi.

27. Okrąg *Cul de Sa* , jeden z najznaczniejszych dawnéj kolonii francuzkiéj, dotykał części hiszpańskiéj i parafii *Cayes*, *Jacmel*, *Port au Prince* i *Mirebelais*. Ciągnął się na ośm mil wzdłuż i na 5 wszerz. Jego liczne plantacye dzieliły się na 4 części, z których północną znamionowały niedostępne wapienne skały, a między temi stérczące drzewa budowlane, palmowe, winne, kaworodne i aloesy. Południowa była bogata w pastwiska dla rogacizny; trzecia była uprawioną równiną, któréj mieszkańcy hodowali mnóstwo baranów i domowego ptastwa, a zarazem uprawiali trzcinę cukrową; czwarta podgórska, między północną i zachodnią stroną, zalecała się zachwycającemi widokami i urodzajnym gruntem. Miasto parafialne *Croix des bouguets*, 3 mile od *Port au Prince*, wybudowane na równinie, przez którą płynęło kilka kanałów użyzniających plantacye, miało 100 domów, po większéj części zamieszkałych przez ludzi kolorowych. Okropne w roku 1770 trzęsienie ziemi, zadało temu miastu dotkliwą klęskę, w szczególności obaliło kościół murowany. Parafia posiadała 94 zakładów cukru, 120 kawy, 20 bawełny, 18 gorzelni pośledniego rumu. W jéj ludności było 1,000 białych, 700 wolnych, 3,000 niewolników i 420 milicyi.

28. Okrąg *Mirebelais*, otoczony górami nieprzystępnemi od strony części hiszpańskiéj i parafii *Cul de Sac*, słynny ziemią najprzyjaźniejszą plantacyom, lecz których płody dla nieprzebytych gór z trudnością mogły być wywożone, miał zakładów cukru 4, kawy 47, indyktu 138, bawełny 218, kakao 9, oprócz tytuniu, którego uprawa bardzo się tam dobrze udawała. Kościół we wsi parafialnéj, położonéj w środku okolicy, a zbudowanéj na rozkosznéj równinie, wiele ucierpiał od trzęsienia ziemi w roku 1770.

Ludność parafii wynosiła 890 białych, 1,200 wolnych, 1,100 niewolników i 1,000 milicyi.

29. Okrąg *Port au Prince*, nadmorski, przerznięty rzeką *Grande rivière*, miał zakładów cukru 48, kawy 41, indyktu 16, bawełny 4, kakao 4, gorzelni pośledniego rumu 12. Ludność białych w mieście *Port au Prince* wynosiła 1800, wolnych 400, niewolników 4,000; w reszcie parafii znajdowało się białych 400, wolnych tyleż, niewolników 12,000, milicyi 1,600.

Miasto *Port au Prince*, założone roku 1750 nad zatoką zachodnią między *Leogane* i *Cul de sac*, ciągnęło się na 1240 sążni wzdłuż, a na 800 wszérz. Domów rozrzuconych na różne strony liczyło 557. W roku 1803 zaczęło być stolicą całéj wyspy. Miało dwie przystanie: jednę dla wojennych, drugą dla kupieckich okrętów. Piérwsza z tych dwóch przystani może być kiedyś zasypana ziemią, nanoszoną podczas ulewnych deszczów.

30. Okrąg *Leogane*, rozciągający się na rozległéj, z kilku części złożonéj równinie, miał zakładów cukru 67, kawy 64, indyktu 79, bawełny 20, kakao 3, gorzelni pośledniego rumu 27. W jego ludności było białych 1,064, wolnych 1,520, niewolników 16,492, milicyi 1,020.

Miasto *Leogane*, w położeniu rozkoszném, na gruncie żyznym, kilką strumieniami przerzniętym wybudowane, utraciło swe murowane domy podczas trzęsienia ziemi w roku 1770 i od owego czasu zaczęto stawiać same drewniane Między jego piętnastoma szérokiemi ulicami, trzy służyły do przechadzki; wszystkie drzewinami, a przechadzkowe wiązem amerykańskim wysadzone. Jest otoczone piękną równiną, z któréj rozkoszne na wszystkie strony widoki rozciągają się jakby do nieskończoności.

31) Okrąg *Grand Goave*, rozległy, górzysty, niedość zaludniony, chociaż przy piérwszém europejczyków wylądowaniu, górę nawet, odległą o 3 mile francuzkie od miasta *Grand-Goave*, zamieszkiwali Koraibowie; a wygrzebywane szczątki naczyń z ziemi świadczą o kiedyś czynném ich życiu. Miał zakładów cukru 3, kawy 80 bawełny 14, indyktu 2. W jego ludności było białych 310, wolnych 220, niewolników 4,500, milicyi 100.

32. Okrąg *Petit-Goave*, oddzielony od poprzedniego górą *Tapion*, miał zakładów cukru 14, kawy 80, indyktu 14. W jego ludności było białych 650, wolnych 500, niewolników 9,000, i milicyi 476.

Miasto *Petit-Goave*, zbudowane u spodu góry *Tapion*, słynęło w czasach osiedlenia się *filibustyerów* francuzkich na wyspie *Saint-Domingo*. Ono było ich głównem schronieniem, a ich okrętów przyległa zatoka. Zniszczone trzęsieniem ziemi 1770 r., zatrzymało ledwie ślad dawnego swego kwitnącego stanu. W odległości 2 mil od tegoż miasta, w okolicy *Miragoane*, jest jezioro wody słodkiéj, mające podziemny związek z morzem, ciągnące się na trzy mile francuzkie, z małą względnie szerokością, obfitujące w żółwie, węgorze, i nadzwyczajnie duże *kaimany*. Oprócz wspomnionéj okolicy *Miragoane*, znajduje się w tym ogręgu dolina zwana *l'Acul*.

33. Okrąg *Saint-Michel*, tak zwany od małéj wsi tego imienia, z ubogim kościołem, leży między morzem i parafią *Petit-Goave*; jest wystawiony na wyziewy jeziora *Miragoane*, i ztąd pochodzące febry śmiertelne. Miał zakładów cukru 11, kawy 30, indyktu 14, bawełny 34. W jego ludności było białych 200, wolnych 450, niewolników 4,500, milicyi 226.

34. Okrąg *Lanse a veaux*, nadmorski, w urodzajnéj ziemi, miał zakładów cukru 6, kawy 40, indyktu 96. W jego ludności było białych 650, wolnych 350, niewolników 8,028 i milicyi 276.

35. Okrąg *Le petit trou*, tak nazwany od małéj nadmorskiéj wsi; graniczył z parafiami *Anse a veaux* i *Jeremie*: górzysty, bogaty w lasy budowlanego drzewa i mahoniowego, miał zakładów cukru 6, kawy 29, indyktu 12, bawełny 8. W jego ludności było wolnych i białych 290, niewolników 4,400.

Wieś *Le petit trou* leży w miejscu nieprzystępném, skalistém, osłonioném z jednéj strony bateryą 9cio działową, z drugiéj zatoką dla samych rybaków przydatną. Inna od wschodu zatoka *Trou fourbon*, służyła kiedyś za schronienie *filibustyerom*, którzy do niéj przed ścigającemi uciekali na łodziach, lub w ich braku, na góry.

36. Okrąg *Jeremie*, czyli *Grande Anse*, między morzem, parafiami *Tiburon* i *Petit-trou*, ciągnący się na mil francuzkich 20 wzdłuż, a na 6 mil wszerz, górzysty, mało zaludniony, miał zakładów cukru 7, kawy 118, indyktu 10, bawełny 32 i kilka kakao. W jego ludności było białych 2,000, wolnych 1,000, niewolników 7,000, i milicyi 810.

W poblizkości miasta *Jeremie* są okolice: *Dame-Marie-Abricot*, *Anse de la seringue*, wysepka *Pierre-Joseph*, *Grande rivière de Voldrogne*, *Roseaux* i *Caimites*. Samo miasto stoi częścią na równinie, częścią na wysokim w morze wpadającym cyplu.

37. Okrąg *Cap Dame Marie*, tak nazwany od niedawno powstałéj wioski, jest mało zaludniony. Część jego gruntu uprawili plantatorowie na zakłady kawy i indyuktu.

c) Prowincya południowa.

38. Okrąg *Tiburon* zajmujący część krańcową wyspy od strony południowéj, graniczy z morzem i z parafiami: *Grande Anse* i *Coteaux*; leży między górami w żyznych dolinach, ma nazwisko od wioski położonéj nad zatoką, któréj wejście osłania mała twierdza; słowo zaś *Tiburon* jest nazwą gatunku *rekina*, który obficie zjawia się w zatoce. Miał zakładów cukru 4, kawy 50, indyktu 130, bawełny 40, kakao 6.

39. Okrąg *Les coteaux*, dawniéj żyzny, mianowicie pod względem uprawy indyktu. Miał zakładów kawy 40, indyktu 160, bawełny 3, kakao 6, cukru 1. W jego ludności było białych 300, wolnych 160, niewolników 6,000, i milicyi 219.

40. Okrąg *Les quartiers des Anglais* słynął tak zwanym indyktem trzech rzek, którego, tudzież kawy, zakłady, najlepiéj się udawały na przestrzeni zwanéj *Roche á bateaux*. Oblewająca go zatoka jest spławna dla małych statków.

41. Okrąg *Torbec*, dotykający morza i parafii *Coteaux* i *Cayes*, składa się z równiny zachodniéj, z gór północnych *Marche a terre i Abacon*, i z wyspy *l' Isle á Vaches*. Równina środkowa jest prawie okrągła, ciągnie się w przecięciu na 6 mil francuzkich; miała zakładów cukru 51, kawy 100,

indyktu 18, bawełny 6, kakao 7. W ludności okręgu było 600 białych, 870 wolnych, 11,000 niewolników i 330 milicyi.

42. Okrąg *Marche à terre*, tak nazwany od wioski zbudowanéj nad morzem, odległéj 3 mile od miasta *Cayes*, opatrzonéj nader pięknym kościołem; miał kilkanaście ogrodów kawy i indyktu.

43. Okrąg *Les Cayes* dotykający morza i parafii *Torbec* i *Cavaillon* słynął plantacyami, których liczono 49 cukru, 40 kawy, 8 indyktu, i 6 bawełny. W jego ludności było białych 536, wolnych 300, niewolników 12,000, milicyi 549.

Miasto *Cayes*, jedno z najpiękniejszych na wyspie Saint-Domingo, miało domów 286; zresztą leżało na miejscu bagnistém, otoczoném wodami zgniłemi, których wyziewy zarażały powietrze. Oblewająca je przystań jest niebezpieczną dla okrętów, zwłaszcza podczas porównania dnia z nocą, z przyczyny ukrytych pod wodą haków. O te haki roku 1772 porozbijały się okręty. Ludność miasta była złożoną z 1,240 białych, 200 wolnych i 3,000 niewolników.

44. Okrąg *Cavaillon* graniczący od południa z morzem, od wschodu z parafią *Saint-Louis*, od zachodu z parafią *Cayes*, najeżony skalistemi górami, miał zakładów cukru 12, kawy 30, indyktu 10, bawełny 6. W jego ludności było białych 400, wolnych 300, niewolników 5,400, milicyi 214.

Wieś parafialna *Cavaillon*, leży nad małą rzeką, która podczas deszczów przybiéra do 50 stóp, i zaléwa całą okolicę.

45. Okrąg *La baie des Flamands*, bardzo mało zaludniony, leży nad zatoką tegoż nazwiska, wygodną dla ratujących się przed burzą okrętów, lecz zarażoną robactwem, które toczy drzewo okrętowe.

46. Okrąg *Saint-Louis*, w równinach przeciętych nieprzystępnemi górami, zdatnych do uprawy trzciny cukrowéj i indyktu, miał zakładów cukru 8, kawy 40, indyktu 14, bawełny 6. W jego ludności było białych 190, wolnych 194, niewolników 4,000, milicyi 84.

Miasteczko *Saint Louis* złożone z 40 źle zbudowanych domów, odległe na 10 mil francuzkich od miasta *Cayes*, posiadało dawniéj twierdzę na szczycie skały, broniącą wej-

ścia do zatoki. Po zburzeniu téj twierdzy przez Anglików, zbudowano dwie inne pomniejsze.

47. Okrąg *Aquin*, nadmorski, miał zakładów cukru 4, kawy 12, indyktu 40, bawełny 9, kakao 4. W jego ludności było wolnych i białych razem 300, niewolników 7,000.

Wioska parafialna *Aquin*, dosyć dobrze zabudowana, leży w niejakiéj odległości od przystani, do któréj przejazd od téj wioski podczas dészczów był nader trudny.

48. Okrąg *Bajonette*, tak zwany od wioski leżącéj nad zatoką (*baie*) czystą (*nette*) od skał, ciągnący się na 12 mil wzdłuż, a na 8 wszérz, po większéj części górzysty, w gruncie zdatnym do uprawy trzciny cukrowéj i indyktu, miał zakładów piérwszéj rośliny 80, drugiéj 20 i bawełny tyleż. W jego ludności było białych 380, wolnych 800, niewolników 4,400.

49. Okrąg *Jacmel*, nadmorski, skalisty, górzysty, w kopalnie drogich metalów bogaty, jak się okazało z użytych przez jednego mieszkańca do pieca kamieni wapiennych, między któremi pokazały się żyły ołowiu, miedzi, srebra i złota. Miał zakładów kawy 100, cukru 1, indyktu 7, bawełny 20. W jego ludności było białych 550, wolnych 582, niewolników 8,500, milicyi 521.

50. Okrąg *Cayes de Jacmel*, tak nazwany od wioski przedzielonéj od miasta *Port au Prince* górami *Selle a cheval*, najwyższemi na wyspie Saint-Domingo, graniczący z dawną częścią hiszpańską i z parafiami *Jacmel*, *Port au Prince* i *Cul de Sac*; miał zakładów kawy 140, indyktu 7, bawełny 27. W jego ludności było białych 400, wolnych 450, niewolników 7,000, i milicyi 268.

W tych 50 parafiach dawnéj części francuzkiéj, ludność ogólna mieszkańców wynosiła 551,114 głów, między temi 30,121 białych, 22,778 kolorowych wolnych, 498,215 niewolników Murzynów, i 19,662 milicyi.

Plantacyj wszystkich było: 816 cukru, 3,339 kawy, 2,215 indyktu, 997 bawełny, 43 (?) kakao, 94 gorzelni pośledniego rumu.

II. Część dawna hiszpańska.

Dzieląc wyspę *Saint-Domingo* na 5 równych części, wypadało z nich przeszło 3 na dzielnicę *wschodnią czyli dawno-hiszpańską*, a 2 na *zachodnią*, czyli *dawną francuzką*. A że na całą wyspę można rachować 5,000 mil kwadratowych francuzkich; więc z tych posiadała przeszło 3,000 dawna hiszpańska, a 2,000 dawna francuzka dzielnica. Góry hiszpańskiéj zajmowały 500 mil kwadratowych, czyli szóstą część całéj jéj powierzchni. Jak te góry, tak rozlegające się między niemi doliny, są zdatne do uprawy wszelkich płodów, a nadto doliny do chowu bydła.

Dzielnica hiszpańska zawierała 13 okręgów parafialnych (które tu przebiegniemy), w tych zaś 98,440 dusz.

1) Okrąg *Bahorugo*, najeżony górami, które są odnogą gór de la Selle, nie ma żadnéj plantacyi. Jego doliny skrapia rzeka *Pedernales*, która dawniéj rozgraniczała francuzką dzielnicę od hiszpańskiéj.

2) Okrąg *Neibe*, tak nazwany od przerzynającéj go rzeki, tworzącéj przystań przy swojém ujściu w morze, miał ludności razem z parafialną wioską 4,000 dusz.

3) Okrąg *Azac*, użyzniany rzekami, strumieniami i kanałami, lecz opustoszały tak jak i inne, jest zamieszkany po większéj części przez resztki *Karaibów*, pierwiastkowych wyspy *Haiti* mieszkańców. Jego ludność wynosiła 5,000 kolorowych.

4) Okrąg *Bany*, znaczny śladami dawnéj swojéj świetności, rozciągał się na równinie 80 mil kwadratowych francuzkich. Nad brzegami rzeki *Nizao* bytowały bogate kiedyś jego plantacye. W nim, nad inną rzeką zwaną *Nigua*, powstały piérwsze młyny do wytłaczania soku z trzciny cukrowéj. Nakoniec w północnéj stronie rzeki *Jaina*, wydobywano kiedyś złoto z kopalni zwanéj *Saint-Christophe*. Ludność całego okręgu roku 1806 wynosiła 2,400 dusz.

5) Okrąg *Saint-Domingo*, z miastem tegoż imienia, liczył 18,000 mieszkańców, miał kilka zakładów cukru i syropu, na ziemi ogólnie zdatnéj do uprawy różnych płodów, lecz po większéj części opustoszałéj.

Samo miasto, stolica dawnéj dzielnicy hiszpańskiéj i dyecezyi, leży nad rzekami *Izabelique* i *Ozama*, które przez połączenie się z innemi powyżéj miasta, tworzą bezpieczną i dogodną przystań pod nazwą *Ozama*. Jest zabudowane w półkole, obwiedzione murem wysokim i grubym od strony lądu, a od południa, naturalnemi, rzekę i morze dotykającemi skałami. Na tych skałach spoczywa twierdza 40 działami dużego kalibru opatrzona, dla obrony zatoki i przystani. Straż osadzona na sterczącéj nad twierdzą wieży, uderzała w dzwon tyle razy, ile spostrzegała przybywających okrętów, i wywieszała chorągiew narodu, do którego należały.

Ulice miasta są proste i szerokie, lecz nie brukowane. Obwód jego ma jednę milę francuzką. W roku 1806 już zupełnie zubożało dla braku handlu.

Kościół katedralny zbudowany nad kopalnią merkuryuszu, zaleca się przepychową architekturą. Opustoszałe klasztory, których było kilkanaście, obrócili Francuzi na koszary, składy i arsenały.

6. Okrąg na wschód rzeki *Ozama*, ciągnął się przez 25 mil francuzkich wzdłuż, a 12 wszérz; w środku miał wioskę *Sejbo*, inną *Bajaquana* blizko gór *Monte Plata*, trzecią *Higney* nad rzeką tegoż imienia i kilka rozrzuconych chat; był w małéj części uprawiony, liczył 6,000 dusz ludności.

7. Okrąg *Samana la Mar* na powierzchni 40 mil kwadratowych francuzkich między górami, z miasteczkiem *Samana*, zbudowaném na wysepce w zatoce tegoż imienia; posiadał jednę znaną plantacyą.

8. Okrąg *północny* ciągnący się na 25 mil francuzkich z kilką plantacyami i z jedyną wsią *Puorto Plata*, miał ludności 5,500 dusz.

9. Okrąg *Cotuy*, tak zwany od miasteczka *Cotuy*, leżącego nad rzeką *Juna*, odtąd aż do morza spławną, miał 8,000 ludności.

10. Okrąg *Vega*, tak zwany od miasta *Vega*, uważanego za trzecie po stołeczném dawnéj hiszpańskiéj dzielnicy, leżącego nad rzeką *Camon*, która się łączy z *Juna*. Jeden z bardzo urodzajnych, miał 9,000 dusz ludności.

11. Okrąg *San-Jago*, tak nazwany od miasta *San-Jago* leżącego nad rzeką *Jago* czyli *Jacques*, dotykający góry *Monte-Christo* i *Cibao*, liczył ludności 26,200 dusz.

Miasto *San-Jago*, było uważane za drugie w części hiszpańskiéj, i miało ludności 25,000 dusz. Bezbronnego, na wszystkie strony otwartego, jedyną ozdobą był kościół parafialny i klasztor Karmelitów. Dochody jego polegały na sprzedaży tytuniu do miasta *Saint-Domingo*, a bydła, do dawnéj dzielnicy francuzkiéj.

12. Okrąg *Saint-Raphaël*, złożony z czterech plantacyj: *Saint-Raphaël*, *Goave*, *Guabo* i *Hinche*, rozciągający się między dawną francuzką dzielnicą i piérwszym łańcuchem gór *Cibao*, miał ludności 2,600 dusz. W nim poczyna się bieg rzeki *Artiboniste*.

13. Okrąg złożony z dwóch części *Banigue* i *Saint Jean*, z których piérwszą przerzynała rzeka *Artibonite*, drugą rzeka *Nejbe*. Miał ludności 7,000 dusz.

Do tego okręgu należała dolina *Vallée de Constance*, którą uprawiało 140 kolorowych, mieszkających na wzniesionéj nad nią górze.

Jak wszystkie posiadłości hiszpańskie, tak szczególnie dawna hiszpańska na wyspie *Saint-Domingo*, nosiła i nosi piętno owego ducha Hiszpanów i ich rządu, który od wieków wszystko zabijał, nic nie ożywiając.

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Dziennik *La Presse* rozpoczął w zapowiedzianym czasie druk pamiętników pani Sand. Niecierpliwie wyglądane, zawiodły oczekiwanie większości, która, jak to zwykle bywa, na skandale zęby ostrzyła; zadowolniły zaś małą liczbę tych ludzi, co w każdéj rzeczy szukają pięknéj strony, nie plam, lub skazy. Na wstępie mówi autorka o potrzebie pisania pamiętników, o korzyściach, jakie otrzymuje człowiek czytając szczérze i prosto skréślone opowiadanie choćby najzwyczajniejszego życia, oraz, jak dalece takie porządkowanie myśli i badanie własnego serca, pożyteczne jest i zbawienne dla piszącego.

Ogólne uwagi o pisaniu pamiętników, od których pani Sand historyą swego życia zaczyna, z wielkiém spokojem i z wysokiego stanowiska kréślone, zasługują na bliższą uwagę. Przytaczam przeto w całości wstęp do dzieła, z którego czytelnik lepiéj zrozumié i osądzi duch i sposób pisania téj książki, niż z najbezstronniejszego rozbioru.

Za dewizę bierze autorka te słowa:

„Miłosierdzie dla bliźnich;
Godność względem siebie samego;
Szczerość w obec Boga.

Oto prawidła książki, którą mam pisać.«

Daléj mówi jak następuje:

»Nie zdaje mi się, żeby dumą było pisać historyą swego życia, ani chełpliwością wybierać z własnych wspomnień te, które najwięcéj na pamięć zasługują. Co do mnie, pisanie

pamiętników uważam za obowiązek, i przykry nawet, bo nie znam nic trudniejszego nad definicyą i streszczenie samego siebie.

»Nauka serca ludzkiego jest téj natury, że im się więcéj w nią zagłębiamy, tém mniéj jasno widzimy; dla niektórych zaś umysłów czynnych jest ona prawie nieprzystępną. Jednakowoż obowiązek ten, który zawsze przed oczyma miałam, spełnię. Postanowiłam przed śmiercią uczynić to, co drugim czynić radziłam, tojest: zbadać szczérze własną naturę, zastanowić się uważnie nad własnym bytem.

»Nieprzełamane lenistwo, (zwykła choroba zbyt ruchliwych umysłów, a zatém młodości) sprawiło, że dziś dopiéro do spełnienia tego obowiązku się zabieram. Taż sama opieszałość była powodem, żem pozwoliła ogłaszać o sobie mnóstwo biografij obfitujących zarówno w fałszywe pochwały, jak w fałszywe nagany. Imię moje nawet, nieraz w tych biografiach mylnie podane było. Badana przez biografów moich, proszona o jakiekolwiek o sobie szczegóły, odmawiałam nawet osobom przychylnym, najdrobniejszych skazówek do skréślenia życia mego potrzebnych. Wyznaję, że śmiertelny wstręt czułam do zajmowania publiczności osobą moją, która nic w sobie nie ma nadzwyczajnego; właśnie wtedy, kiedy serce i głowę miałam przepełnioną typami więcéj idealnemi, logiczniejszemi; typami nieskończenie wyższemi odemnie — bohaterami moich powieści.

»Czułam, że mówić o sobie światu, potrzeba raz tylko w życiu, i bardzo seryo. Kto się przyuczy mówić o sobie, łatwo popada w samochwalstwo, i to mimowolnie nieraz: prawem natury ludzkiéj, która przedmiot swéj kontemplacyi koniecznie idealizować musi. Zdarzają się naiwne przechwałki, ładne nawet czasami, jeżeli obleczone w formę liryzmu, jak naprzykład poetów, mających w tym względzie wyłączny i uświęcony przywiléj. Ale entuzyazm dla siebie samego, który nas aż ku niebu porywa, nie jest stanowiskiem z którego duch nasz może długo do ludzi przemawiać. W takiéj egzaltacyi tracimy poczucie własnych słabości, jednoczymy się z Bóstwem, z ideałem naszym;... a jeżeli na chwilę ogarnie nas żal i chęć poprawy, to znów potęgujemy występki nasze, wpadamy w poetyczną rozpacz i tragiczne wyrzuty, stajemy się Wertherem, Manfredem, Faustem, albo

Hamletem. A choć to typy niezaprzeczenie szczytne ze stanowiska sztuki, bez pomocy jednak rozsądku bywają często zgubnym przykładem, lub sparodyowanym wzorem.

»Cześć jednak po wieki wieków tym wielkim obrazom najpotężniejszych wzruszeń serca poety! Wielkim artystom trzeba przebaczyć jeżeli się w piorunowe drapują chmury, lub promieniem chwały czoła sobie stroją. Mają do tego prawo; dając nam owoce najwznioślejszych uczuć, spełnili missyą swoję na ziemi. Przecież w mniejszym zakresie i zwyklejszéj formie, można także spełnić święty obowiązek, może nawet pożyteczniejszy dla bliźnich, tojest: przedstawić się im bez symbolu, bez aureoli, ani piedestału.

»Trudno przypuścić, ażeby zdolność poetyczna, która polega na idealizowaniu własnego bytu i czynieniu zeń nieujętnéj abstrakcyi, mogła być nader nauczającą: potrzebna i ożywcza jest zapewne, bo duch natchniony porwie za sobą każdego, każde uczucie oczyszcza się i wyjaśnia wciągnięte w nadziemskie sfery; ale ten lotny balsam wylany przez poetów na rany nasze, pozbawiony jest cząstki niezmiernie ważnéj—rzeczywistości.

»Otóż artysta ze wstrętem owéj rzeczywistości dotyka: ci co schodzą do niéj chętnie, są doprawdy bardzo wspaniałomyślni! Co do mnie, wyznaję, że nie posiadam w tak wysokim stopniu poczucia obowiązku, i z wysileniem przystępuję do prozaicznego zadania.

»Sądziłam zawsze, że nietylko ten, co mówi, ale i ten, co myśli o sobie wiele, nie dowodzi dobrego smaku. Mało jest dni, mało chwil nawet w życiu istot zwyczajnych, w których przypatrywać im się warto. Jednakowoż w tych właśnie chwilach byłam jak każdy, i wzięłam pióro, żeby wylać, jakąś boleść która mnie rozrywała, lub jakiś wrzący niepokój, co mi duszę szarpał. Większa część tych ułamków nieogłoszona drukiem, dzisiaj służyć mi będzie za wytyczne w przeglądzie ubiegłych lat mego życia. Niektóre z nich tylko wyszły na świat pod tytułem: *Lettres d'un voyageur*. W listach tych mówiłam o sobie bez wstrętu, bo nieotwarcie, i niedosłownie. Ów *podróżny* byłato osoba fikcyjna rodzaju męzkiego, jak mój pseudonim; byłto niby starzec, ja zaś byłam wtedy bardzo młoda. W usta tego smutnego pielgrzyma, który rzeczywiście był bohaterem

romansu, kładłam wrażenia i uwagi osobiste, więcéj osobiste niż w każdéj innéj mojéj powieści, ponieważ w innych więcéj na prawidła sztuki zważałam.

»Wtedy czułam potrzebę wypowiedzenia burzliwych uczuć, jakie mną miotały, ale zajmować sobą moich czytelników bynajmniéj nie pragnęłam.

»Dziś, może jeszcze mniéj mną powoduje ta potrzeba, błaha w człowieku, a niebezpieczna w artyście. Czemu jéj nie mam—zaraz powiém, oraz wytłumaczę, dlaczego mimo to piszę historyą mego życia, jakto czasem zdarza się jeść przez rozsądek, choć nie czujemy głodu.

»Potrzeby pisania o sobie nie mam, bo doszłam już do spokoju, doszłam do wieku, w którym osobistość moja już nic na produkowaniu się nie zyska; przeciwnie, gdybym w tym względzie własnych słuchała chęci, pragnęłabym żeby zapomniano o mnie, żebym sama zapomniała o sobie. Dziś już nie dociekam tajemnic, jakie dręczyły mnie za młodu: rozwiązałam w sobie wiele problematów, które mi kiedyś spać nie dawały; rozwiązałam je z pomocą drugich, bo sama prawdopodobnie niebym nie wyświeciła.

»Iskierki prawdy błysły mi tu i owdzie z łona wieku naszego: widziałam je, i wiém gdzie ich ognisko:—to mi wystarcza. Kiedyś mylnie szukałam światła w psychologicznych objawach. Dzisiaj przekonawszy się, że ono leży w zasadach, i te zasady są we mnie, chociaż ze mnie nie płyną: doszłam bez trudu ani zasługi do spokojności umysłu. Do spokojności serca zapewne nigdy nie dojdę, bo go nie masz dla litościwych. Kto się takim urodził, znajdzie zawsze kochać kogo na ziemi, zatém żałować, służyć, i cierpiéć musi. Nie trzeba w żadnéj formie życia unikać bolu, zmęczenia, lub przestrachu; byłbyto dowód nieczułości, niemocy, przedwczesnéj śmierci. Kto się przekona, że na złe nie ma lekarstwa, odważniéj go znosi.

»W takim spokoju myśli i rezygnacyi uczucia, nie mogę mieć żółci przeciw błądzącéj ludzkości, ani entuzyazmu dla siebie, co tak długo błądziłam. Więc ani powab walki, ani potrzeba expijacyi skłania mnie do mówienia o sobie.

»Powiedziałam, że to uważam za obowiązek.

»Wielu ludzi żyje nie zdając sobie sprawy z egzystencyi swojéj, nie rozumiejąc, nie szukając nawet, jakie były względem nich zamiary Stwórcy, tak co do ich indywidualności, jak niemniéj w stosunku do społeczności, któréj są członkami. Ludzie tacy przechodzą pomiędzy nami nieznani, bo wegetują sami siebie nieznając; a chociaż ich przeznaczenie jakkolwiek nierozwinięte, jest zawsze mniéj więcéj użyteczne stosownie do woli Opatrzności: nie ulega kwestyi, że życie takich istot jest niekompletne, a moralnie niepłodne dla społeczeństwa.

»Najwięcéj ożywcze i najreligijniejsze źródło rozwoju umysłu człowieczego jest, mówiąc językiem tegoczesnym, pojęcie *solidarności*. (W przeszłym wieku powiedzianoby *czułość*, *miłosierdzie* nieco późniéj, a *braterstwo* przed kilką laty). Po wszystkie czasy ludzie czuli to instynktowo, lub samowiednie; a ilekroć kto miał sobie daną zdolność objawienia wybitniéj życia swego, był do tego objawu skłoniony albo przez wolą otaczających go osób, albo przez równie silny głos wewnętrzny. Zdawało mu się wtedy, że spełnia zobowiązanie, i wypełniał je w istocie, opowiadając wypadki historyczne, których był świadkiem, opisując ludzi znakomitych, których mu się spotkać zdarzyło, lub nakoniec, kreśląc co widział, co zbadał z jakiegobądź stanowiska.

»Jest jeszcze jeden obowiązek, który rzadziéj spełniano, a który mojém zdaniem niemniéj jest pożyteczny dla ogółu: nim jest opowieść życia wewnętrznego, historyi własnego ducha, własnego serca dla bratniéj nauki. Wrażenia osobiste, wycieczki w krainę uczucia lub abstrakcyi, opowiedziane szczérze i poważnie, mogą być bodźcem, zachętą, a nawet radą dla innych umysłów błądzących po labiryncie życia. Jestto jakby wymiana zaufania i sympatyi, która zarówno podnosi opowiadającego i słuchacza. W życiu rodzinném wrodzony pociąg skłania nas do takich wynurzeń, pokornych i godnych zarazem. Jeżeli brat lub przyjaciel wyspowiada nam swoje smutki lub niepokoje, nie mamy lepszego na ukojenie ich lekarstwa, jak dowody z własnego wysnute doświadczenia: tak mocno czujemy wtedy, że życie przyjaciela, to nasze własne życie, jak życie każdego jest życiem wszystkich. »Cierpiałem też same bole,

przechodziłem też same ciernie, i wyszedłem z nich, więc i ty możesz wyzdrowieć lub zwyciężyć«. Oto co przyjaciel powié przyjacielowi, co człowiek nauczy drugiego. I któż z nas w chwilach rozpaczy lub niechęci, w których przyjaźń i pomoc drugich jest nieodbicie potrzebna, nie doznał mocnego wrażenia z wynurzeń owéj duszy, w któréj ukojenia dla siebie szukał?

»Opowiedzenie więc cierpień i walk pojedyńczego człowieka jest nauką dla wszystkich, a byłoby zbawieniem, gdyby każdy mógł dociec powodu owych bolów i środków ukojenia. W takimto celu, pod wpływem gorącéj wiary, święty Augustyn napisał *spowiedź* swoją; spowiedź, która była zarazem spowiedzią wieku jego, i światłem niebieskiém dla kilku chrześciańskich pokoleń.

»Przepaść dzieli *konfessye* Jana-Jakóba, od spowiedzi Ojca kościoła. Cel filozofa XVIII wieku zdaje się więcéj osobisty, przeto mniéj poważny, mniéj pożyteczny. Rousseau oskarża siebie na to, żeby się miał sposobność rozgrzeszać; wyjawia swoje nieznane przywary na to, żeby mógł śmieléj odepchnąć potwarze publiczne. To téż jestto monumentalna mieszanina pychy i pokory, oburzająca czasami afektacyą, czasem zachwycająca szczerością. Chociaż często błędna, miejscami występna nawet, sławna ta księga zawiera przecież ważne nauki. Goniący swój ideał męczennik im w głębsze przepaści zapada, im częściéj w drodze pobłądzi, tém mocniéj ten ideał jego uderza, przyciąga drugich.

»Mimo te wszystkie błędy, *konfessye* Jana-Jakóba nadto długo jako apologią osobistą uważano. Sam autor przyczynił się do tego niemało, stawiając co krok w swojem dziele osobiste zatargi. Dzisiaj, kiedy już przyjaciele i nieprzyjaciele jego wymarli, z wyższego stanowiska należy sądzić dzieło. Nam nie powinno już chodzić o to, ażeby wiedzieć do jakiego stopnia autor *spowiedzi* był chory lub niesprawiedliwy, do jakiego stopnia prześladowcy jego byli bezbożni lub okrutni: co nas w téj książce obchodzić i oświecać powinno, to widok téj duszy natchnionéj, walczącéj z błędami swego wieku i przeszkodami filozoficznego zawodu swego; to walka owego geniuszu rozmiłowanego w niepodległości i prawdzie, a żyjącego pośród lekkomyślnego, niewiernego, lub zepsutego świata, który oddziałuje nań co chwila, i przez

pokusy lub tyranią raz go nurza w rozpaczy, to znowu do wzniosłych pobudza protestacyj.

»Gdyby ogólna myśl *konfessyi* była dobrą, gdyby obowiązkiem było wyszukiwać w sobie błahe przewinienia, opowiadać nieuniknione błędy: nie cofnęłabym się pewno przed tą publiczną pokutą. Sądzę, że czytelnicy znają mnie dosyć z pism moich, ażeby mieli o tém powątpiewać; ale zdaniem mojém ten sposób oskarżania siebie nie dowodzi bynajmniéj pokory: instynkt powszechny słusznie to poczuł. Wiadomość naprzykład, że Rousseau ukradł dziadowi swemu 3 franki 10 sous, nie jest ani potrzebna, ani budująca, tém bardziéj, że fakt nie jest pewny. Co do mnie, pamiętam, żem wzięła ukradkiem babce z woreczka 10 sous, i dałam je ubogiemu; nie zdaje mi się przecież, żeby to był przedmiot godny pochwały czy nagany. Było to poprostu dzieciństwo, bo żeby mieć te pół franka, dosyć mi było powiedzieć słowo.

»Otóż większa część błędów ludzi poczciwych jest tego rodzaju; po cóż więc oskarżać się o podobne dzieciństwa przed nieuczciwemi, którzy źle czynią z wyrachowaniem i sztuką. Społeczeństwo z jednych i drugich złożone: obgadywać siebie dla przypodobania się światu, lub rozczulenia go, nie warto.

»Boleję z głębi duszy, widząc jak wielki Rousseau upokarza się w ten sposób, i mniema wymyślając na siebie drobne grzeszki, że się zwalnia z rzeczywistych przywar, jakie zarzucali mu nieprzyjaciele. *Konfessyami* pewno ich nie rozbroił; ażeby nie wątpić, iż był nieskażony i dobry, dosyć przeczytać tę część jego życia w któréj się nie oskarża: tam tylko jest szczéry i prosty.

»Mały czy wielki, winny czy niewinny, zawsze dowodzi próżności jeżeli sam siebie usprawiedliwia. Nigdym pojąć nie mogła, co ma do odpowiadania oskarżony, siedząc na ławie zbrodni. Jeżeli jest winnym, kłamstwo jeszcze winniejszym go uczyni; kłamstwo wykryte dorzuci wstydu do surowości kary. Jeżeli jest niewinny, jakże może się zniżać do tego stopnia, ażeby swéj niewinności dowodził?

„W zwyczajném życiu jeżeli kto namiętnie odpycha potwarze, które często najlepszych dosięgają, i dowieść chce koniecznie doskonałości własnéj: musi albo kochać siebie

niezmiernie, albo też mieć jakieś ważne do dopięcia cele. Jestto czasem konieczność w życiu politycznem, ale w życiu prywatném, z katedry niewinności swojéj nikt nie dowiedzie. Ponieważ więc nikt nie dowiedzie, że jest doskonały, potrzeba tym co nas otaczają zostawić moc rozgrzeszania nas, lub oceniania cnót naszych.

»Nakoniec, że jesteśmy solidarnie z sobą związani, nie ma błędów osobnych. Nie ma winy, któréjby ktoś drugi nie był albo powodem, albo wspólnikiem; niepodobna więc oskarżać siebie nie oskarżając bliźniego, nietylko wroga, który na nas napada, ale często przyjaciela, który nas broni. Tak uczynił Rousseau, i źle uczynił. Czyż się godziło spowiadając się, i panią Warens spowiadać?

«Pamiętniki moje nie będą dziełem sztuki, bo jedyną wartością takiego przedmiotu jest nieprzyprawna prostota; życia mego nie będę opowiadać jak romansu, bo forma pochłonęłaby rzecz całą.

»Będę więc mówić bez porządku, często przerywając wątek; ztąd popadnę nieraz w sprzeczności: inaczéj historya życia nie może być prawdziwa, bo natura ludzka jest nieprzerwaném pasmem niekonsekwencyi. Tym, którzy utrzymują, że ich wczorajsze *ja* z dzisiejszém zawsze w zgodzie było, powiém wręcz, że temu nie wierzę, nie wierzę ani odrobiny!

»W dziele więc mojém da się uczuć niesystematyczność. Ot i teraz, porzucam dowodzenie pożyteczności tych pamiętników, zostawiając sobie uzupełnienie założenia mego przykładami, które w ciągu opowiadania przytoczę.

»Niechaj się żaden z moich nieprzyjaciół nie lęka: już o nich zapomniałam; ani żaden lubownik skandalów niech się nie cieszy:—piszę nie dla niego.«

Cezar powiada w *Komentarzach* swoich, że Gallowie nie znali uczucia bolu w obec śmierci; starożytni stwierdzają ten fakt przypisując go potężnemu wpływowi, jaki wywierała na owe ludy wiara Druidów. Wedle niéj, człowiek nieśmiertelny, duch i materya, przybyły z dołu; idący w górę, zamieszkuje ziemię jako przechodzień, dąży do niezliczonych sfer wyższych, które błyszczą rozsiane w przestrzeni.

Do każdéj z takich migracyj daje sygnał fenomen, *śmiercią* zwany; wtedy dusza nieśmiertelna zrzuca cielesną skorupę jak zużyte odzienie, przybiera nowe kształty w sferach, gdzie na nowo żyć przyszła.

Takąto koleją zawsze się odradzając, wzrastając, i ulepszając bez końca, pośród prób, kar i nagród, które czekają człowieka w nieskończonych pielgrzymkach przepisanych mu przez boskie prawo *postępu i czynności*: duch dąży bez przerwy do doskonałości równie nieograniczonéj, jak nieograniczoną jest liczba światów na których się odradza.

Nic co innego, jeno to szczytne zaprzeczenie śmierci, owa niczém niezachwiana wiara w wieczysty ruch ducha i materyi, wiara w przyszłe kary i nagrody, w doskonalenie się ludzkości, uduchowniła Gallów, i podniosła do bohatérskiego męztwa, którego tyle przykładów stawia nam historya.

Późniéj, inne religijne pojęcia przyćmiły tę wizyą przyszłości, i ograniczyły życie nasze czynne do *jednego* żywota na ziemskim globie; poczém każdy pogrążony w grobowém nicestwie, miał czekać aż do dnia sądu ostatecznego kary lub nagrody boskiéj, za grzechy lub zasługi.

Odtąd śmierć stała się straszną. Zamiast być sygnałem odrodzenia, byłto ostateczny koniec *jedynego* życia człowieczego; zamiast ujrzéć przez otwarte drzwi grobowca tyle żywotów, ile gwiazd na niebie, wieko trumny zapadało nazawsze nad głową zdjętego wieczném spaniem człowieka: wszystko skończone było bezpowrotnie aż do spełnienia się wieków. Liczby cnot, czy zbrodni każdego w dniu śmierci, przedwieczny sędzia podsummował ostatecznie; zbrodniarz, pogrążony w grobowéj nieczynności aż po dzień zmartwychwstania, nie miał już nadziei odpokutowania występków swoich, cnotliwy zbogacenia się w nowe cnoty. Obadwaj po niezliczonéj ilości wieków letargu, na głos trąby archanioła zbudzą się nie lepsi, nie gorsi, jak w chwili kiedy powieki zamknęli nazawsze.

Wiara w *wieczystą nieruchomość*, w *bezpłodne zaprzepaszczenie* po śmierci, zadługo trwała. Takie pojęcia zniżają ludzkość lub ją przywodzą do rozpaczy; potrzeba wrócić do dawnéj Gallów wiary, oczyszczonéj, odmłodzo-

nėj przez naukę Chrystusa, stwierdzonėj odkryciami astronomii nowoczesnėj, odkryciami dowodzącemi *mnogości* światów.

Taka jest, (jeżelim ją dobrze zrozumiał) myśl zasadnicza dzieła Jana Reynaud: *Ziemia i Niebo;* dzieło, które zajmuje tu wszystkich niezmiernie, a zdaniem światłych i poważnych recenzentów francuzkich, stanowić będzie epokę w dziedzinie myśli. Tego rodzaju książki albo wcale nie tykać, albo obszernie i głęboko badać potrzeba. Wywiązując się tylko ze skromnego zadania korrespondenta, przestaję na prostém doniesieniu.

Pan Foucher de Careil ogłosił drukiem nieznane dotąd pisma Lejbnitza. *Lettres et opuscules inedits de Lejbnitz* obejmują następujące rozdziały: *Worcester i Locke. Korrespondencya Lejbnitza z pp. Foucher, Bayle i Fontenelle. Uwagi nad sztuką poznawania ludzi. Sprawozdania teatralne* (o dziwy! Lejbnitz pisywał feiletony do dzienników niemieckich). *Pisma ulotne. Notaty dla osób światłych i dobréj woli.*

Nowy ten zbiór pism sławnego myśliciela, nie przedstawia nam go w nowém świetle, ale dopomaga do bliższéj z nim znajomości. Że Lejbnitz część dzieł swoich pisał po francuzku, i z tego powodu Francuzi dzielą się z Niemcami sławą jego, przeto nieznane ułamki prac filozofa z zajęciem tutaj czytano. Feiletoniści przedrukowali teatralne jego recenzye, (mówiąc nawiasem wcale niezabawne), sądzili bowiem, że tym sposobem wyszarzane rzemiosło swoje podniosą; poważniejsi literaci uczcili nowonarodzoną książkę licznemi rozbiorami. Jest ona streszczeniem dzieł Lejbnitza; nawet w tych drobnych ułamkach uderza wszechstronność geniuszu jego; jak z powyższego spisu przekonać się można, każdy rozdział tego dzieła inną gałąź wiedzy ludzkiéj traktuje.

Lejbnitz jest niezaprzeczenie jednym z najwszechstronniejszych uczonych nowożytnych czasów. Umysł jego był światem sam w sobie, tak pod względem rozciągłości, jak rozmaitości. Nauki przyrodzone, matematyka, filozofia, teologia i prawodawstwo obszernie się w głowie jego mieściły, nie zawadzając sobie bynajmniéj. Taka głowa jest

jak soczewka w którą promień boskiego wejrzenia skupiony.

Wyższy nad zawiści i partye, Lejbnitz niezmordowany badacz dzieł Stworzyciela, bez wypoczynku szukał prawdy na ogromnym obszarze błędów i złudzeń ludzkich, bez wypoczynku dążył ku pogodzeniu różnych systematów. W sprzeczkach filozoficznych i religijnych swego czasu, jak niemniéj w sławnéj swojéj polemice z Lockem, i listach do Bossueta, Lejbnitz występuje zawsze jako pojednawca. Za cel położył sobie *wiązać*, i wiązał téż napozór niełączne ogniwa rozbitéj na systemata myśli ogólnéj. Filozofia Lejbnitza tak jak religia, ma *jedność* za podstawę. Arystotelesa godził z Platonem, późniéj filozofią z teologią, rozum z wiarą jednoczył. Taki był także cel korrespondencyi jego z Pelissonem, w któréj pamiętne słowa Bossueta: »*ażeby widzieć jasno w dziedzinie wiary, potrzeba sobie oczy wykłuć*« podkreśla czerwonym atramentem, i zbija jako paradox.

W listach Lejbnitza do Bossueta, najlepiéj geniusz jego ocenić można. Patrząc w świat rozwidniony przed wzrokiem swoim tém światłem, co zaledwie maleńkiéj garstce wybranych przyświeca, Lejbnitz pojął, że ludzi dzielą tylko nieporozumienia. Powziął więc myśl wielką przywrócenia pomiędzy Francyą a Niemcami starganéj przez Lutra jedności, i na pomocnika w ogromném dziele zawezwał Bossueta.

Ważna korespondencya, którą dwaj wielcy mężowie zawiązali ku dobru ludzkości, znana była powszechnie, ale dzieło Lejbnitza w którém silniejszy i spokojniejszy niż przedtém, skupił całą potęgę rozumu, zaginęło, a raczéj skryło się przed ludzkiém okiem. Przypadek dopiéro (jeżeli można cobądź nazwać *przypadkiem* w dziejach ludzkości), przypadek oddał je światu. Hieronim Bonaparte wstąpiwszy na tron westwalski, znalazł w ciemnym zakątku królewskiéj biblioteki manuskrypt na zjedzenie molom zostawiony, pokryty kurzem i podarty; znalazł *Systema theologicum*. Znając całą wartość odkrycia, król Hieronim oddał manuskrypt wujowi swemu kardynałowi Fesch; ten powierzył go księdzu Eymery, uczonemu teologowi, którego powszechnie zwano *dobrym*, niektórzy zaś obwiniali tylko, że niedostatecznie wierzył w wiekuiste kary. Ksiądz Eymery przepisał podarty i uszkodzony rękopis Lejbnitza, i tym sposobem

Systema theologicum wyrwane myszom i robactwu, powrócone zostało ludziom, których uwielbienie, aczkolwiek zmienia się wedle czasu i okoliczności, jednak lepsze od zatracenia.

Korrespondencya Lejbnitza z Bossuetem bolesny stawia przykład, jak na tym świecie wielkie częstokroć rzeczy rozbijają się o drobiazgi. I tak naprzykład, czytając *Expozycyą wiary katolickiéj* i *Systema theologicum*, widać jasno, że w gruncie Bossuet z Lejbnitzem w zupełnéj są zgodzie. Czemuż się więc nie porozumieli? Dla drobiazgu.

Reformowani twierdzili, że sobor trydencki nie był eukumeniczny; Bossuet zaś uznawał go za taki. Otóż do czego zeszła wielka kwestya pojednania dwóch religij: czy sobor był, czy nie był eukumeniczny? Jeden utrzymywał, że *sobor* znaczy to, drugi że owo, i tak dwaj wielcy ludzie sprzeczając się o szczegół do nieskończoności, stracili z oczu cel główny, i rozeszli więcéj poróżnieni niż przedtém. O Bossuecie! Lejbnitzu! byliście wielcy, ale zawsze ludzie!

Jakkolwiek kontrowers Lejbnitza z Bossuetem spełzł na niczém czy z ich winy, czy z winy dwóch przeciwnych stronnictw, których wpływowi oprzéć się nie zdołali; jakkolwiek stosunek tych dwóch ludzi obiecujący tak wiele rezultatów, mający zasypać fosę dzielącą dwie religie, nietylko jéj nie zagładził, ale głębszą uczynił: myśl Lejbnitza wypływa przecież z tych zatargów nieskażona stronniczością. Bezstronność była prawem jego. To téż współcześni nagrodzili mu tę cnotę jak ją zawsze nagradzać zwykli. Nie zjednał sobie katolików, a odstręczył protestantów. Dowodem są następujące słowa, które Fontenelle w pochwale autora *Theodicei* umieszcza: „Zarzucano Lejbnitzowi, że nie był niczém więcéj, jeno wielkim obserwatorem prawa przyrody; pastorowie gromili go za to publicznie, ale bezskutecznie“. Pastorowie więc nietylko za młodu wygnali go z Lipska, ale późniéj starali się przyćmić sławę jego. Oto co zyskuje człowiek, jeżeli nie dzieli zawziętości lub zabobonu ludzi, pośród których żyje.

Dzisiaj dopiéro uczeni chórem sprawiedliwość Lejbnitzowi oddają. Mnogich komentatorów dzieł jego policzyć

trudno. Niemcy uczciły pamięć jego jubileuszem; Hanower, druga ojczyzna filozofa, wystawił mu pomnik; Lipsk, miasto rodzinne, które za młodu z murów go swoich wygnało, mauzoleum *geniuszowi Lejbnitza* stawia. Rektor uniwersytetu podał wniosek, a burmistrz poparł go z zapałem: obaj może wnuki tych właśnie, co kiedyś Lejbnitza na wygnanie wysłali. Zwykła to koléj rzeczy ludzkich:—lepiéj późno niż nigdy!

Akademia sztuk pięknych na publicznem zgromadzeniu w pałacu Mazarin, rozdała nagrody uczniom za przeszłoroczne konkursa. Zgromadzenie to artystyczne odrębną ma cechę od zwykłych grona akademickiego posiedzeń. Mniéj poważne, a daleko weselsze, tchnie młodością i życiem. Uczniowie, których prace pozyskały nagrody, głośnemi okrzykami powitani u wnijścia, ugrupowali się w środku amfiteatru czekając na laury. Członkowie akademii uroczyście przybrani, odmłodzeni widokiem kipiącej życiem młodzieży, przyjmowali uczniów z uśmiechem szczéréj sympatyi.

P. Forster prezydował z dodanym sobie sekretarzem wieczystym, kompozytorem Halévy.

Wedle programu, zaczęto posiedzenie od muzyki, poczém nastąpiło rozdawanie nagród.

P. Charlat, uczeń Carafy, grał swojéj kompozycyi uwerturę. Akademia przyznała mu jednogłośnie wielki talent orkiestracyi, a mimo ostréj krytyki zachęcała go szczérze do pracy.

Następnie pan Halévy odczytał analizę dzieł uczniów akademii, którym twardych prawd nie szczędził, jak niemniéj szczérą oddawał pochwałę tym, co na nią zasłużyli; i słusznie, bo mianowicie téż w sztukach pięknych zabija ucznia obwijana w bawełnę krytyka, i nie ustrzega od zarozumiałości tak powszechnéj w artystach.

Młodzi malarze mieli wyznaczony na konkurs przedmiot ze starego testamentu: Abraham umywający nogi trzem aniołom przed swym namiotem. Dziwny był widok tych długim rzędem ustawionych obrazów: wszystkie tenże sam przedmiot przedstawiały, a każdy inaczéj był zrozumiany. Trzy tylko otrzymały różnych stopni nagrody.

Przedmiot rzeźby był: Hektor trzymający syna Astyanaxa na ręku i polecający go bogom temi słowy: »Jowiszu! i wy wszyscy nieśmiertelni bogowie, sprawcie, ażeby syn mój był jak ja najsławniejszy zpomiędzy Trojanów«. Jedna nagroda piérwszéj, a dwie drugiéj klassy przysądzono rzeźbie.

Na zadanie architektoniczne było *mauzoleum* przeznaczone na grób dla monarszéj dynastyi. Dwie nagrody przysądzono architektom; tyleż otrzymało sztycharstwo i krajobrazy z natury zdjęte.

Po rozdaniu nagród, pan Halévy odczytał życie architekta Fontaina; a ponieważ czyta, a raczéj mówi z wielkim talentem, żywo i dobitnie: opowiadanie jego niezmiernie zajęło wszystkich. Wolni od pedanteryi i zwykłych akademickich jeremiad na wiek XIX, bez których trudno szanownym członkom Instytutu nawet kilku słów powiedziéć; sekretarz wieczysty zasłużył podobno na naganę uczonego grona, że dla anegdot część techniczną zaniedbał. Nie wiém czy nagana była słuszna, ale to wiém, że publiczność niezawodnie zyskała na tém.

Życie pana Fontaine stawia jeden więcéj przykład, jak ludzie talentu, w najniższéj warstwie społeczności zrodzeni, przy pracy i wytrwałości dochodzą do piérwszych w państwie godności. Architekt Fontaine był synem mularza; z początku jak ojciec kielnią zarabiał, ale, że to ciężkie rzemiosło nie zostawiało mu ani chwili wolnéj na kształcenie się, mając wrodzony talent do rysunku, rysował wzory na obicia, i z tego utrzymywał się aż do czasu, w którym ukończywszy nauki, został architektem. Za konsulatu jemu powierzona była budowa Luwru i Tuileryów.

Od dzieciństwa okazywał wielkie dla sztuk pięknych uwielbienie; poezya, rzeźba, malarstwo i muzyka zarówno go zajmowały. Będąc jeszcze dzieckiem prawie w jakiejś biédnéj prowincyonalnéj szkółce daleko od Paryża, posłyszał, że grają w stolicy *Iphigenią*; niewiele myśląc, wymyka się nocą ze szkoły, zabiéra dziesięć franków za które miał żyć miesiąc, i rusza na teatr do Paryża.

Jest opieka, mówią, dla dzieci i dla pijaków. Zdarzyło się, że w drodze spotkał wolno jadący pod górę przepyszny powóz; widok rezolutnego chłopaka uderzył siedzące

w powozie damy: „A gdzieżto tak ruszasz kochanku“! spytały go.—„Do Paryża na teatr“! odpowiedział śmiało. Jakżeż go było nie zabrać! Panie posadziły go więc przy sobie i zawiozły do Paryża, a tam, upieściwszy i oprowadziwszy po wszystkich teatrach, odesłały z pełnemi kieszeniami cukierków do szkółki, gdzie nasz bohatér wrócił w tryumfie: bo i cuda widział, i swoich dziesięciu franków nie stracił, a co najważniejsza, obitym nie został, bo mu się śmiałe przedsięwzięcie udało.

Ośmielony łaską Opatrzności, wybrał się później do Włoch swoim kosztem, to jest mając mało co więcéj nad dziesięć franków w kieszeni, ale rachując wiele na przypadek, a więcéj jeszcze na własną pracę, któréj się nie wzdragał. Zwiedziwszy ziemię klassyczną z pożytkiem, wrócił do Paryża.

Tu, rzeźbiarz Dawid przedstawił go generałowi Bonaparte. Właśnie przywieziono do Luwru paki włoskich arcydzieł. Generał swym lakoniczno-rozkazującym tonem radził Dawidowi, żeby te rzeźby do Inwalidów przenieść kazał, i tam ustawił na wieczystą włoskich zwycięztw pamiątkę. Dawid nie śmiał nic odpowiedzieć. Wtedy Bonaparte zwrócił mowę do Fontaina; ten odpowiedział śmiało, że dzieła sztuki powinny zostać w muzeum, a stosowną Inwalidow ozdobą mogą być chorągwie zdobyte na nieprzyjacielu. Generał usłuchał rady, a Fontaine zrobił karyerę.

Zakończono posiedzenie wielką kantatą: *Francesca da Rimini*, za którą panu Barthe przysądzono piérwszą nagrodę muzyczną.

Na rok 1856 zadała akademia sztuk pięknych, oprócz zwykłych konkursów, napisanie rozprawy *o wpływie sztuk pięknych na przemysł*, za którą wyznaczyła medal wartości trzech tysięcy franków. Zadanie to ma stronę praktyczną bardzo ważną, i dlatego wybiega poza zwyczajny zakres zadawanych konkursów.

Znakomity filolog p. Oppert członek expedycyi wysłanéj kosztem rządu francuzkiego do Mezopotamii, celem naukowych poszukiwań, powrócił do Paryża.

Znane są powszechnie ważne odkrycia, jakie Francya poczyniła w tamtych stronach, i o ile tym sposobem rozświe-

ciła zamierzchłe dzieje kolebki rodu ludzkiego. Babylona dotąd nietknięta, była celem ostatniéj naukowéj wyprawy, która następnie miała zwiedzić Medyą, i stolicę jéj Ekbatanę (dziś Hamadan zwaną), jedyne miasto téj części Azyi, które zachowało jeżeli nie starożytny przepych królow perskich, to przynajmniéj rozległość i ważność jako punkt strategiczny i handlowy.

Szperanie w gruzach Babylony przedstawiało ogromne trudności. Potrzeba mieć żelazne zdrowie, żeby wytrzymać żary słoneczne, i wszelkiego rodzaju niewygody z jakiemi połączona ta praca. Dzięki silnéj budowie, sam tylko pan Oppert, opuszczony od słabych współpracowników, ciągnął daléj z narażeniem życia rozpoczęte roboty, przerywane często napadami nienawistnych Arabów.

Zostawszy sam jeden w Babylonie, rozpoczął najprzód poszukiwania w ruinach wiszących ogrodów, dziś zwanych wzgórzem Amran-ibn-Ali. Jemuto zawdzięcza Francya większą część przedmiotów, które niezadługo zostaną złożone w Luwrze.

Prócz kopania w gruzach Babilony, pan Oppert miał polecenie zdejmowania planów, i robienia pomiarów. Rozległość tego miasta była nieraz powodem żywych sprzeczek pomiędzy szperaczami starożytności. Tylko ścisły pomiar mógł tę zagadkę raz na zawsze rozwiązać. Pan Oppert nie cofnął się przed tak trudném zadaniem. Czterdzieści mil kwadratowych pokrył siecią trygonometryczną. W skutek téj pracy, która przeszło rok czasu zabrała, mógł sporządzić dokładną kartę tego ogromnego miasta. Mappa ta, dzisiaj własność rządu francuzkiego, zjednała autorowi wielkie pochwały biegłych.

Ponieważ pan Oppert przygotowuje dzieło, którém obszernie zawiadomi świat naukowy o owocach poszukiwań swoich, ograniczam się na wymienieniu kilku ważniejszych faktów.

Podania starożytnych o rozległości Babylony, zdawały się wielu uczonym przesadzone; najmniejsze dawały miastu Semiramidy 300 kilometrów (kilometr 1,000 metrów) kwadratowych powierzchni, tojest dziewięć razy rozległość Paryża; inni, najwiarogodniejsi, podnosili tę cyfrę do 500 kilometrów □. Pomiary pana Oppert stwierdzają to ostatnie po-

danie. Babylona tworzyła kwadrat, którego bok każdy miał 23 kilometry długości; ale cały ten kwadrat nie był kompletnie zabudowany. Obszerne pola uprawne wewnątrz miasta, ubezpieczały mieszkańców od głodu na przypadek oblężenia, i były bardzo sztucznie irrygowane. Miasto rzeczywiste nie przenosiło 20 kilometrów kwadratowych: rozciągłość przenosząca połowę Paryża. Można rozpoznać jeszcze gdzie były pola uprawne, jak niemniéj odszukać dawne granice miasta, na którego gruzach wznosi się dzisiaj kwitnące miasto Hillah.

W mieście tém zbudowaném nad Eufratem, co krok napotkać można ślady wielkiego pochodzenia. Nie ma domu ani mieszkania, w którémby na murze nie było starych napisów: każda kobieta nosi naszyjnik starożytny. Co większa, obyczaje nawet się nie zmieniły; a chociaż przepych i zbytek już nie króluje w nowém mieście, znaleźć w niém można wszystkie przywary z których niegdyś słynęli mieszkańcy Babylony.

Za miastem była rezydencya królewska, ufortyfikowana przez Nabuchodonozora, tak wielka jak spore miasto; tam zbudowano niegdyś sławną wieżę Babel. Zwaliska wieży, ze wszystkich najwięcéj uderzające ogromem, znajdują się w stronie miasta zwanéj Borsippa, co dosłownie znaczy: *Wieża języków*. Miasto królewskie opasane potrójnym murem, leży po obu stronach Eufratu i zajmuje blizko 7 kilometrów kwadratowych. Ruiny królewskiego pałacu, fortecy i ogrodów wiszących, jeszcze rozpoznać można mimo wstrząśnień jakich doznały. Powyższe ruiny były przedmiotem najściślejszych badań ostatniéj wyprawy, w skutek których p. Oppert odrysował i złożył plany szczegółowe olbrzymich gmachów Nabuchodonozora.

Potężny ten monarcha, którego grecki historyk Megasthenes, do Herkulesa porównywa, był rzeczywistym założycielem świetnéj Babylony, chociaż początek jéj daleko daléj sięga. Pochodzenie tego miasta gubi się w pomroce czasu; wiadomo tylko, że kiedyś było stolicą książąt krajowych, wypędzonych na 16 wieków przed narodzeniem Chrystusa przez arabską dynastyą. Wspaniały wazon, który tamże znalazł p. Oppert, należał prawdopodobnie do jednego z tych książąt nazwiskiem Narambel.

Pod panowaniem Assyryjskiém w XIII wieku, Babylona kilka razy wyłamywała się z pod opieki Niniwy, ale ujarzmiana kolejno przez królów Sargona i Sennacheryba, (w 708 i 702 przed Chrystusem) oraz szarpana wewnętrzną niezgodą, pozostała uległa Niniwie, aż do epoki w któréj Nabopolassar przewrócił tron Nemroda, i założył cesarstwo Babylońskie, które za panowania syna jego Nabuchodonozora doszło do szczytu swéj potęgi. Persowie, Cyrus i Daryusz ujarzmili na wieki rasę chaldejską. Alexander Macedoński chciał założyć w Babylonie stolicę ogromnego państwa swego, ale powzięty zamiar śmierć zdobywcy zniweczyła, zadając zarazem cios śmiertelny chaldejskiemu miastu. Babylona została zburzoną, a z jéj gruzów gdzieindziéj przewiezionych powstały kolejno Seleücia, Ktesiphon i Bagdad. Żydzi usadowili się na miejscu gdzie był Babylon, i tam spisali pamiętną księgę, *Talmudem Babylońskim* zwaną. Żydzi aż do XI wieku byli wyłącznemi panami téj strony, w którymto czasie tamże zbudowane zostało muzułmańskie miasto Hillah, z pozostałych jeszcze gruzów babylońskich świątyń i pałaców.

P. Oppert przywiózł także wiele kopij assyryjsko-chaldejskich napisów, które dołączone do poprzednio znalezionych, niejedną zagadkę wyjaśnią.

Buletyn Towarzystwa Geograficznego zawiéra w ostatnim numerze wyjątek z listu doktora Vogel o przyrodzie środkowéj Afryki, z którego ustęp przytaczam.

»Zwodliwém jest mniemanie o bujnéj tropikalnéj wegietacyi. W przeciągu pięciu tygodni, mimo starań największych, zebrałem tu tylko 75 odmiennych gatunków roślin. Lasy są akacyowe i tamaryxowe; palmy zaczynają się pokazywać dopiéro o 50 mil na północ rzeki Yeou. Każde drzewo, każdy krzak najeżony jest kolcami i jakby zakurzony. Być może, iż roślinność po dżdżystéj porze nabiéra tutaj weselszego kolorytu, ale w téj chwili smutny przedstawia widok: wszystkie trawne rośliny słońce wypaliło do szczętu, bo już w początkach lutego termometr pokazywał 90° Farenheita. Drzewa obarczone skwarem pożółkły, stoją bez barwy jakby ugotowane.

„Brak owoców i jarzyn dokucza nam bardzo; mamy tylko melony, cebulę, i pomidory; za to zwierzyny i ptastwa jest aż do zbytku, i bardzo tanie. Baran kosztuje 18 pensów (3 złote), ogromny wół 6 szylingów (12 zł.) kurę dają prawie zadarmo. Głównie żywimy się ptastwem, bo inne mięso po dobie psuć się zaczyna.

„Grunt byłby zdolny do wszelkiéj uprawy, gdyby ludność była dość przemyślna, ażeby zeń korzystać. Indygo, bawełna, melony, dziko rosną; ryż i zboże byłoby obfite; ryż mianowicie rodzi się w wybornym gatunku, ale tak jest rzadki, że go chyba w prezencie od sułtana dostać można. Mieszkańcy zamiast oddawać się rolnictwu, wolą robić wycieczki na rabunek sąsiednich okolic; porywają szczególniéj dzieci od 9 do 12 lat, i wymieniają takowe z kupcami arabskiemi za niektóre przedmioty do codziennego użytku potrzebne, jakoto: drelich, burnusy, sól i cukier. Niewolnik 10 letni płaci się 15 szylingów (30 zł.), dziewczyna 20 szyl (40 zł.).

„Jezioro Tsad zdaje się być bagniste; wodę ma nieczystą, brzegi prawie nieprzystępne dla ludzi i koni, z powodu mustyków. Przymuszony spać nad jeziorem przez całą noc palę słomę w namiocie, aby się od nich uwolnić. Kuka, osada o 7 mil angielskich na zachód jeziora położona, ma nieco mniéj komarów, ale za to much nieprzeliczone roje; mimo, że natura zapobiedz chciała ich mnogości przez pewien rodzaj małych jaszczurek, które tysiącami biegają po murze pożerając te owady z niesłychaną szybkością. Drzewa zasłane są kameleonami. Chrabąszcze i motyle są bardzo rzadkie: piérwszych zaledwie złowiłem dwa, drugich dwanaście, ale jeden tylko duży. Mrówki pokrywają ziemię i nie masz dla nich zamknięcia; nieszczęściem dostały się do pakietu w którym miałem zbiór roślin z pustyni, i zniweczyły go zupełnie. Mnóstwo także jest skorpionów, zjadliwych wężów, i żab ogromnych. Słonie i hippopotamy koło jeziora napotykać można często; chodzą zazwyczaj gromadnie, po 20 i 30 widywałem hippopotamów. Lwy i lamparty są rzadsze; lwów nie widziałem, ale słyszałem ich ryki. Niedawno spotkałem piękny gatunek lamparta, o czterdzieści kroków mierzyłem do niego, ale mnie spo-

strzegł i uciekł w nieprzebyte kępy akacyi. Dziki są bardzo liczne, również antylopy i gazelle.

Dzikie bawoły poszukiwane dla mięsa i skóry przychodzą nad bagniste brzegi jeziora; polowanie na nich jest niebezpieczne: bawół którego raniłem kulą rzucił się na moich ludzi, ciężko skaleczył jednego, i zabił dwa konie; inny którego później spotkaliśmy wpadł w środek karawany, zatrzymany przez długi szereg wielbłądów, uderzył na jednego, przewrócił, i zranił tak ciężko, że go dobić potrzeba było.

Damy tutejsze jak heban czarne, układają włosy w nieprzeliczone sploty, używając do téj operacyi bardzo wiele masla; czasem utwierdzają je grzebieniem na środku głowy w kształcie dragońskiego kołpaka lub skręcając w zwoje naśladujące stolarskie wióry. Przednie zęby malują na czerwono, kły zaś na czarno, tak, że ich usta otwarte robią wrażenie szachownicy. Całe ciało wyjąwszy twarzy i rąk malują indygiem, co im nadaje cerę niebieską, nadzwyczaj uderzającą".

Jeden ze znaczniejszych bulwarowych teatrów znudzony wodnistością nędznych sztuk, które obecnie scenę paryzką zasilają, a raczéj przestraszony coraz to mniejszą ilością franków do kassy wpływających, wznowił ku otrzeźwieniu ziewającéj publiczności, stary, ale energiczny dramat „La Chambre Ardante" którego główną rolę poruczył niegdyś tak głośnéj, dziś już zapomnianéj tragiczce, pannie Georges.

Pokazało się, że pomysł był dobry; odgrzewana potrawa więcéj znalazła amatorów niż świeże dania, które zaledwie pokosztowane, dyrekcya teatru sama zjadać musiała.

La Chambre Ardante należy do liczby owych przeraźliwych, czarnych jak węgiel pięcio-aktowych melodram w rodzaju matki rodu Dobratyńskich, którą kto widział dzieckiem, konając nie zapomni; melodram pełnych emocyj, co biją jak cepami spłakanych spektatorów, na które idąc słuchacz nie nudów, ale ataków nerwowych, lub spazmów obawiać się potrzebuje. Dosyć powiedzieć, że jestto dramat

szkoły 1830 roku. Wtedy jak wiadomo, mało było we Francyi autorów co pisali z nudów, z łóżek, lub tylko dla pieniędzy. Szał lipcowego słońca opanował wszystkie umysły i trząsł nimi tak, że ani myśléć, ani czynić spokojnie nie umieli; aby dopiąć celu nie przebiérano w środkach, a że dramat musi być dramatyczny, więc kto go układał, pełną garścią czerpał z beczki arszenik, nie szczędził aqua-tofany, do tego stopnia, że autor nad swém dziełem schylony, oddech tamował z obawy, żeby się nie struł wyziewem własnéj przyprawy. Ileż tam wypotrzebowano kiru, katów czerwonych, więzień, trumien, tortur, i zbirów!.. Ach! byłyto dobre czasy! Gorąca krew romantyków najzimniejsze rozgrzewała żyły, w sentymentalno-ckliwych dramacikach, któremi dziś częstują jak kluseczkami na mleku, nie smakowano wcale. Na samo wspomnienie owych dramatów człowiek się wzdryga, jak po przeczytaniu strasznéj powieści Anny Radcliff podczas zimowéj nocy, przy gasnącéj lampie, kiedy to dészcz bije po szybach, a wicher jęczy w kominie.

Otóż kto widział przed 20stą laty pannę Georges w jednym z takich dramatów jak naprzykład: *Katarzyna Howard*, *Tour de Nesl* Dumasa, albo Wiktora Hugo *Lukrecya* lub *Marya Tudor*, ten niemniéj żywego jak wtedy doznał wrażenia na dzisiejszém przedstawieniu. Mianowicie téż kiedy do czarnym kirem wysłanéj komnaty, oświeconéj drżącém gromniczném światłem, które nie rozjaśnia, tylko uwidamia ciemności, weszła pośród skielety wybladła i ogromna jak potężne widmo, Georges, ta niegdyś cudnie piękna Georges.... a dzisiaj cień tylko, dziś nędzna mara: nawet odważny wzdrygnął się.... nie przed wątkiem sztuki, ale przed tym skieletem ludzkiego bożyszcza!

Po tém przykrém wrażeniu, jakiego na widok panny Georges dozna każdy, kto ją znał dawniéj, nasuwa się myśl czysto artystyczna, niknie z przed oczu przedstawiany dramat, a natomiast powstaje inny, wywołany grą sławnéj tragiczki: przychodzi na pamięć przepyszna epopeja Wiktora Hugo: *Burgrawy*, a w niéj jakby stworzona dla niéj rola owéj tytanicznéj Mary, co po granitach marmurową stąpa nogą, ogromniejsza niż Sybille Michała Anioła; owéj uoso-

bionéj *nienawiści*, owego tragicznego kolosa Guanhumary, do któréj Georges jak dwie krople wody dzisiaj podobna.

Jakżeby jéj przystała ta nadludzka rola, jakżeby jéj do twarzy było z siwym rozwianym włosem między temi olbrzymami, temi feodalnemi Mastodontami zamierzłych wieków! Jakże ponuro wypowiedziałaby bronzowemi usty owe strofy, co brzmią jak dwie uderzane o siebie zbroice! Przed łachmanem nędznicy pobladłyby szkarłaty!

Burgrawy porwały myśl moję i uniosły daleko od jarzącéj *komnaty*, w duszy powtarzałem rolę Guanhumary, bo mi ją każdy krok panny Georges przypominał: zdało mi się, że słyszę głos nieubłaganéj niewolnicy, i te słowa które w podziemiach Keppenheffu mówi, stając przed konającym starcem, a których przetłumaczyć nie można:

„Front mort, main froide, oeil cave.
Oui, mon nom est charmant en Corse, Genevra!
Ces durs pays du nord en font Guanhumara.
L'âge cet autre nord, qui nous glace et nous vide,
De la fille aux doux yeux fait un spectre livide.“

Na treść granéj sztuki nie zważałem wcale; dlatego uwolnią mnie czytelnicy od jéj opowiadania, tém bardziéj, że nic na tém nie stracą.

W innych teatrach nateraz nic nie pojawiło się nowego o czémby mówić warto; nagły wyjazd panny Cruvelli, prymadonny wielkiéj opery, spowodował, że i tu nadługo zapewne na mało ważnych reprezentacyach ograniczać się będą. Verdi zaraz po zniknieniu téj gwiazdy harmonii, odebrał nową operę, któréj się już uczono, dając za powód, że główną rolę napisał dla panny Cruvelli, a nikt inny zastąpić jéj nie potrafi.

Na posiedzeniu akademii nauk, pan Guérin-Méneville czytał sprawozdanie o miryadach muszek z rodzaju *musca pumilionis*, *musca lineata*, które widział w domu w okolicach Paryża. Przy téj okazyi uczony francuzki wspomniał, że najlepsze obserwacye nad tym fenomenem winna nauka panu Wadze, uczonemu entomologiście warszawskiemu. Obserwacye jego, mówi, wydrukowałem w *Revue de Zoologie*

pure et appliquée (1848). Pan Waga obserwował niesłychane roje tych muszek w jednym z ogrodów pod Warszawą, a następnie w samém Obserwatoryum astronomiczném w Warszawie; wedle rachunku było ich tam na suficie jakie 17,000,000; muchy te lęgną się w kłosach zbóż. Pan Waga obliczył, że owe 17,000,000 żyły kosztem 1,416 snopów, licząc 12,000 kłosów na jeden polski snop.

Hrabina Dash znana romanso-pisarka wydaje dziennik mód *La France elégante.* Dziennik ten wychodzi dwa razy na miesiąc; prócz modnego obrazka zawiéra niezłe czasem powiastki, oraz wzory na hafty krzyżową robotą, formy ubiorów, nuty i rozmaite rysunki do tak zwanéj *potichomanii*, czyli sposobu wyklejania i malowania szkła, i robienia zeń etruskich i chińskich wazonów, którato zabawka jest teraz prawdziwą *manią* dam tutejszych.

Wyszedł piérwszy numer dziennika *le Messager des Dames et des Demoiselles.* Współpracownikami tego modno-literackiego pisma są: ojciec i syn Dumas, Jules Janin, Karr, Méry, Eugeniusz Sue: słowem wszystkie znakomitości literackie, i dlatego jako swoje, otwarcie chwalą.

Pan Lavallée wydaje *dzieła pani de Maintenon*, wedle jéj własnych rękopisów, które odnalazł i w jeden tom zgromadził.

MAZEPA.

(WOLNY PRZEKŁAD Z WIKTORA HUGO).

Błyszczą ostre szablice nad głową Mazepy.
Pokonany, z wściekłości i ryczy i płacze;
Już go przykrępowali najemni siepacze
Do konia, co nadmorskie wylęgły go stepy,
Który rzuca się, pieni, z nozdrzu ogniem pryska,
I iskry zpod kopyt ciska.

Gdy się te węzły w jego ciało wpiły,
Gdy już nasycił swych oprawców oczy
Bezsilnéj wściekłości widokiem;
Kiedy na grzbiet rumaka już opadł bez siły,
Gdy znój spływa mu z czoła, z ust piana się toczy,
Krew ze łzami tryska okiem:

Dali znak, i natychmiast ujrzano przez błonia
Lecących w wściekłym pędzie człowieka i konia,
Osutych kurzawy odmętem.
Brzmi daleki widokrąg pod kopyt tętentem,
A rumak, nakształt chmury, w któréj piorun miga,
W przelocie wiatry prześciga.

Pędzą jakby huragan gromami brzemienny,
Co w doliny uderza z gór Alpejskich szczytów,
Jakby jakiś glob płomienny.
Daléj, są tylko punktem czarnym; naostatek
Nikną w przestrzeni, jakby piany płatek,
Wśród oceanu błękitów.

Koń przez niezmierne puszcze leci na wschód słońca,
Rozsuwa się widokrąg, rozsuwa bez końca;
Nim jego kresu doścignąą,

Z lotem ptaków o szybkość iść muszą w zapasy:
Miasta, pasma gór, wieże i odwieczne lasy
Ledwie przed niemi się migną.

A jeźli nieszczęśliwy srogim bolem zdjęty,
Siłuje z morderczemi szamotać się pęty:
Wściekły koń z większym jeszcze przestrachem i gniewem
Zagłębia się w tę puszczę spiekłą, niezmierzoną,
Która się przed nim z piasków roztacza nawiewem,
Jak z żółtą w pasy oponą.

Wszystko przed okiem jego dziwną barwą błyska:
Przed nim lasy i chmury rączym biegną lotem,
I starych grodów zwaliska,
I góry, słońca powleczone złotem;
A z rżeniem i tętentem, pędzą w jego ślady
Dzikich rumaków gromady.

Już część nieba zachodnie cienie zastąpiły,
Już się na chmur ocean, nowe chmury cisną;
A gdy słońca promienie przez ich fale błysną,
To bijąc o jego czoło,
Krążą przed nim, jak dziwne marmurowe koło
Jasnemi przecięte żyły.

Włosy jego rozwiane, krwią zachodzą oczy,
Głowa wisi, krzewiny kolczate krew broczy,
Broczy stepów piasek złoty;
I jak wąż, co Laokona rodzinę obwija,
Sznur ostry coraz głębiéj w ciało mu się wpija,
I mnoży mordercze sploty.

Nieczując ręki jeźdzca, leci koń burzliwy
Bez przerwy, bez wytchnienia; on resztę krwi roni,
Ciało rozpada na sztuki.
Niestety! już po stadach wiatronogich koni,
Które za nim ścigały z rozwianemi grzywy,
Drapieżne nadbiegły kruki.

A z krukami złowieszcze puhacze i sowy,
I ten olbrzymi sęp płowy
Co szarpie ciała trupów, i swą nagą szyję
Jak zakrwawioną rękę, w ich wnętrznościach kryje;
Tworząc wkoło Mazepy orszak pogrobowy,
Leśne rzucają tajniki,
I w starych murach gniazda wyżłobione.

On napół bezprzytomny, głuchy na ich krzyki,
Niekiedy pyta sam siebie:

Ach! któż to nad nim rozpostarł na niebie
Olbrzymią czarną zasłonę.

Wreszcie zlodowaciałe przepłynąwszy rzeki,
Nowe lasy, nowe stepy,
Wśród dzikiego ptastwa wrzasku,
Po trzech dniach i trzech nocach pędząc koń Mazepy,
Pada na stepowym piasku!

Tak leży obnażony, nędzny, blizki zgonu,
Siny i zczerwieniały jakby liście klonu
Za przyjściem jesiennéj doby.
Rozłakomione ptastwo, tuż nad nim lot toczy,
I spragnione żarłoczne otwierając dzioby,
Chce wydrzeć łzą ognistą zasklepione oczy.

I tegoto skazańca, co wijąc się kona,
Ogłoszą wodzem swoim, wojenne plemiona;
On wkrótce ścieląc trupem licznych wojsk zastępy,
Nakarmi dziś w nadziejach omylone sępy.
Z męczarni, co niemylną być miała zagubą,
Dzika jego wielkość wzrośnie,
Okryje się hetmanów ukraińskich szubą.
A gdy wyjedzie przed hordy Dnieprowe,
Wraz na cześć jego rozgłośnie
Zabrzmią kobzy narodowe.

Tak, gdy Bóg śmiertelnika owładnie swém tchnieniem,
I rzuci go na ciebie, rumaku ognisty:
Gieniuszu! próżno z swojém walczy przeznaczeniem!
Ty go porywasz za świat rzeczywisty,
I niesiesz w nadziemskie szlaki,
Przebywasz lasy, góry, morza słone,
A lotem twoim zbudzone
Nieczystych duchów orszaki,
Zuchwałego jeźdzca zoczą
I w jego ślady się tłoczą.

On, na swoich płomiennych skrzydłach się przebije
Przez sfery możliwości, przez światy duchowe,
Z nieśmiertelności zdroju się napije.
Czyto w nocy burzliwéj, czy w nocy gwiazdzistéj,
O grzywę komet potrąci swą głowę,
Z niemi błyśnie na niebie jak krąg promienisty,

W te niedościgłe wzniesiesz go przestworza,
Gdzie księżyce Jowisza i pierścień Saturna,
Gdzie stoi nad biegunem tajemnicza urna,
Z któréj północna wylewa się zorza.

Któż wié? oprócz szatanów i duchów światłości,
Ile cierpień śmiertelnik w tym locie wytrzyma?
Jak dziwne błysną światła przed jego oczyma,
Ile go iskier przeboli do kości,
Ilu czarnych duchów rój obrzydły,
Wydając wrzaski złowieszcze,
Lodowatemi potrąci go skrzydły!
Krzykną! ty mimo krzyku pędzisz, pędzisz jeszcze.
On już bez siły, bez tchnienia,
Już mu ostatnią zgubę twój lot zapowiada;
Wreszcie dosięga kresu—biegnie, leci, pada,
I wstaje władzcą stworzenia!

F. S. Dmóchowski.

Warszawa,
dnia 15 maja 1854 roku.

CHATA ZA WSIĄ.

POWIEŚĆ

J. I. Kraszewskiego.

(Tom IIIci i ostatni).

Było to jakoś latem: dzień skwarny kończył się jednym z tych wieczorów rzadkich u nas i wyjątkowych, bez chmur, bez wichru, pogodnym, cichym, złocistym, kroplistą rosą zwiastującą posuchę, zwilżającym spragnione zioła i trawy. Marysia wróciwszy ze cmentarza ustawiła kądziołkę pod piecem, pogłaskała najeżonego burka, wzięła wiadro i miała schodzić do źródła, bo jéj wody zabrakło; gdy tętent konia ją zatrzymał.

Drogą ku wiosce jechał ktoś spiesznie na małym szpakowatym koniku, pogwizdując wesołą hulacką piosenkę. Marysia przez ciekawość wstrzymała się i stanąwszy, przypatrywać zaczęła. Wieczór był jasny jeszcze, a przejeżdżający ujrzawszy dziéweczkę, zwolnił kroku, wlepił w nią oczy ciekawe i nawet gwizdać poprzestał. Byłto młody chłopak z jasnemi włosy, skromnie, ale czysto odziany, wyglądający na leśniczego lub pisarza, z torbą myśliwską na plecach, w czarnych długich po kolana butach, z harapnikiem przez plecy, w wiejskim kapeluszu słomianym na głowie. Na ogorzałéj jego twarzy znać było jeszcze rumieniec młodości wytryskujący z pod opalenizny, i ciekawość gorącą, patrzącą z piwnych, pełnych ognia źrenic. Na ustach

błąkał się uśmiech wesoły i zalotny. Koń pod nim zwijał się i niespokojny wyrywał, jakby zdziwiony tém, że go nieco wstrzymano: znać nie przywykł był do powolnego chodu i zdradzał przez to charakter swojego pana żywy i czynny. Ubranie młodzika pomimo swéj prostoty, z pewném było uszyte staraniem, bo mu kibić giętką i szerokie ramiona dobrze rysowało.

On i ona zatrzymali się nieco spojrzawszy sobie niespodzianie w oczy; przejeżdżający zwolnił kroku siwemu, by dłużéj na śliczne dziewczątko popatrzéć; ona się zacofała sądząc, że może potrzebować.... choćby kropli wody po znoju i dziennym upale. Ale chłopak słowem się nie odezwał, obrócił ku chacie, popatrzał, obejrzał na cmentarz, jeszcze raz na dziewczynę śmiałem rzucił okiem, konia śmignął i poleciał świszcząc wesołą piosenkę. Marysia powoli zeszła ku krynicy.

A schodząc, jéj oko mimowolnie zwróciło się w stronę, którą gnał nieznajomy chłopak, żywo pędzący przez sioło na parskającym siwoszku. Jakoś miło jéj było widzieć jak on koniem kierował, jak odważnie sadził przez groblę dziur pełną, jak się ze zwierzem borukał, gdy mu się płoszyło, i wychodził z walki zwycięzko. Piosnka jego wesoła i junacka mile się obijała o jéj ucho; i zatęskniła prawie, gdy się skrył za domami, a szum kół młyńskich zagłuszył śpiewkę ochoczą....

Wrażenie tego spotkania trafunkowego nie zatarło się jak tyle innych; a choć Marysia ani próżnować, ani marzyć nie miała czasu: często przed jéj oczyma przelatywał ów jeździec na siwym koniku.

— Tfu maro!—zawołała nareszcie—a to jakieś nasłanie!.. Czegoż ja o nim myślę!

Rozśmiała się sama z siebie, ruszyła ramionami i powróciła do pracy.

Nazajutrz rano, gdy zwyczajem swoim przed próg wyszła powitać ptaszęta, obejrzéć gospodarstwo i okiem dać dzieńdobry mogile; na widok pustego gościńca przyszedł jéj na myśl znowu wczorajszy podróżny, i ciemne jego oczy z pod słomianego kapelusza, tak ognistym patrzące wzrokiem.

— Któżby to był?—pomyślała—kto taki?

Ale nie znając ani okolicy, ani swojéj wsi nawet, domyślić się nie mogła, i rzuciwszy pytanie z wiatrem, a naprędce urządziwszy chatę, z Sierotką razem poszła na mateczyną mogiłę prząść do południa, pókiby jéj skwar ztamtąd nie spędził.

Pies, który już dobrze wiedział drogę codzienną, naszczekując i wesoło się zwijając, poprowadził ją do zielonego wzgórka, u stóp którego Marysia na omszonym siadywała kamieniu, pod starą spruchniałą wierzbą.

Widok z téj wyżyny sięgał daleko, i w istocie mógł samotnicę zabawić, bo przez obalony parkan i nizki wał, z pagórka całą wioskę jak na dłoni, i pola z drogami poza wsią, a w prawo jary, zarośla i bory widać było daleko. Choć ruch na gościńcu był mały, bo w tę stronę niebardzo kto jeździł, prócz w dzień jarmarku do miasteczka, do którego bliższa wprawdzie, ale gorsza tędy prowadziła droga; za to oko zdala napaść się mogło ruchem okolicy i obrazem pracy ludzkiéj. Co się działo we wsi, za wsią, na polach, we młynie, wszystko mogła ztąd rozeznać Marysia; a czasem oko jéj mimowoli chwytało przechodzących, przejezdnych, i zgadywało łatwo, dokąd i po co dążyli, jaka tam ich myśl wiodła. Każdy pług wychodzący na pole, każdy wóz zbliżający się do młyna, każde radło rano lub leniwie wysuwające się na łan policzyć mogła sierota, a poznawała je po koniach, po bydlętach, po postawie przewodników.

Zaledwie nić poczęła wyciągać z kądzieli, gdy znowu tętent żywo lecącego konia ucho jéj uderzył; oko się zwróciło na drogę, i chłopak na siwym koniku ukazał się odewsi na pagórku ku cmentarzowi jadący. Znowu on gonił żwawo, a siwak pod nim wyrywał się zasapany drapiąc ku górze.... Dziéwczę śledziło okiem i konia i pana razem, niepostrzeżone dotąd, badając gdzie zmierzają oba. Chłopak zrównawszy się z chatką, przytrzymał zasapanego siwka i twarzą obrócił się ku lepiance, na którą pilnie poglądał; a widząc drzwi jéj zaparte, już miał znów konia zaciąć, gdy zwracając głowę, ujrzał ponad cmentarzem twarz Marysi siedzącéj z kądzielą.

Przed nią zbudzony hałasem niezwykłym Siérotka, przedniemi łapami sparłszy się na wierzbę krzywą, burczał i naszczekiwał, choć widocznie wielkiéj ku temu nie miał

ochoty, ale czynił to z uczucia obowiązku raczéj, niżeli z gniewu. Widać to było z tego, że wśród szczeku, wyrwało mu się kilka razy szerokie ziewnięcie.

Siwek już się był spiął i zerwał do galopa, gdy jeździec go powstrzymał i zdziwiony począł głową potrząsać; a że nie wiedział może od czego począć z ładną dziewczyną rozhowor, zawołał.

— Hej! dziéweczko! czyto wy może z téj chaty?

— Z téj chaty? a ja! a cóż?

— A cóż robicie na cmentarzu?

— To co zawsze: wyszłam prząść na grobie matki....

Chłopak zdziwiony ruszył ramionami.

— Dalibyście mi się wody napić?

— Ot zaraz, poczekajcie!

I Marysia ruszyła się zostawując kądziołkę pod wierzbą, wybiegła z Sierotką razem, przeskoczyła drogę, otworzyła chatę, i kubek drewniany podała z uśmiechem nieznajomemu.

Wszystkim jéj ruchom przypatrywał się młody chłopak z wyrazem nadzwyczajnego zajęcia, jak gdyby nie wierzył temu wdzięcznemu zjawisku, które miał przed oczyma.

Drżącą ręką wziął kubek, a niósł go do ust tak powolnie, jakby mu się nie pić nie chciało; siwek tymczasem nogą grzebał, a Sierotka wąchając obchodził dokoła przyjezdnego na psi sposób, starając się poznać nosem z kim miał do czynienia. Znać śledztwo jego nic złego nie okazało, bo wkrótce usiadł spokojnie, i począł tylko w oczy patrzéć podróżnemu.

— Patrzcieno! — to w kubek, to na dziewczynę spoglądając rzekł chłopak—to wy tu mieszkacie??

— A cóż dziwnego mój panie?

— Naprzeciw cmentarza!—mruknął jeździec—a z wami kto? ojciec?

— Nie mam ojca.....

— Matka?

— Nie mam matki—westchnęła Marysia....

— To służysz u kogo?

— Nie panie....

— A z kimże tu siedzisz?

— Ot tak, sama jedna!

Chłopak podniósł głowę zadziwiony, a oczy aż mu się zaiskrzyły.

— Jakto? sama jedna? A jakże to może być?

— Bom sierota—odezwała się pocichu Marysia....

Podróżny napił się wody z widocznem jakiémś roztargnieniem: znać było, że nie rozumiał wcale ani sieroctwa Marysi, ani jéj ustronnego mieszkania, a pytać już nie śmiał daléj. Pokiwał głową, popatrzał, a że siwek się zrywał do biegu, uśmiechnął się skinąwszy głową i jak strzała poleciał.

Sierotka, który dotąd siedział spokojnie, przerażony jak i pani jego, kopnął się za koniem szczekając zajadle; ale wkrótce powrócił nazad miarkując zapęd gwałtowny i starannie począł obchodzić ślady stóp konia, rozpatrując się w miejscu, z którego jeździec znikł tak prędko.

Marysia z nawpół wypróżnionym kubkiem stała długo, patrzała tęskno za uciekającym, i bardzo powoli wróciła zamyślona na matczyną mogiłę, dokąd jéj wierny psiąk ze spuszczoną towarzyszył głową....

Wiele ludzi dnia tego przechodziło i przejeżdżało gościńcem, ale znajomi widząc sierotę na jéj zwykłém miejscu, wcale się nie dziwili: każdy kiwnął głową, pozdrowił ją i mijał.

Zrazu byłoto dziwowisko dla wszystkich widzieć ją przędzącą na mogilniku; ale po latach kilku oswoili się z tém i z sierotą: zwali ją tylko często *dziéwką ze cmentarza*, a choć ją pocichu stare baby o związki z duchami posądzały, nikt już temu wierzyć nie chciał.

Jeszcze był tuman pyłu wzniesiony kopytami siwego konika nie osiadł i nie rozwiał się w powietrzu, gdy pieśń grubym nucona głosem, dobrze znajomym dziewczynie, rozległa się pod cmentarzem. Po niéj Marysia poznała Rataja, a nawet domyślić się mogła że szedł wprost z karczmy, bo trzeźwy był milczący, a im więcéj wychylił kieliszków, tém donośniejszym głosem pieśni pobożne wyśpiewywał.

Sierotka szczeknął tylko raz, jakby się oznajmywał ślepemu; nastawił uszy i umilkł.

— Aha! już Maryś na cmentarzu!—odezwał się Rataj—dobry dzień dziewczyno! Bóg tam z tobą, a co słychać?

To mówiąc zręcznie zbliżył się do wnijścia i wsunąwszy się na cmentarz, przysiadł ocierając pot z czoła pomiędzy dwoma mogiłami.

— Nic ojcze nie słychać—odpowiedziała dziewczyna—nic nowego!

— Ho! ho! kłamiesz cyganko!—śmiejąc się odparł mąż Sołoduchy—a kto tu wczoraj się przejeżdżał, a kto tu był dzisiaj?

Marysia zapłoniła się jak wiśnia, i wrzeciono wypadło jéj z ręki.

— Któż miał być? kto?

— Na siwym koniku, hej! był ktoś, był! dziewczyno! A tęgi chłopiec; choć go oczy nie widziały, to go uszy zrozumiały.

— Jakże wy wiecie?

— Ale bo! Maryś!—krzyknął Rataj—Maryś cyganko, ślepy to zawsze więcéj wié i lepiéj widzi od tych, co oczy mają; już to tak w świecie zawsze.... Wczoraj cię wieczorem napatrzył, a dziś tu się zatrzymać musiał.... Ot lepiéj sama przyznaj się staremu.

— A czemużbym się przyznać nie miała?—odpowiedziała Marysia—przed wami powiem wszystko. Ot jakto było: przejeżdżał wczorajszego wieczora chłopak jakiś koło chaty; no prawda.... obejrzał się na mnie, a dziś znowu tędy jechał i o wodę prosił, tom mu jéj wyniosła; trochę popytał.... A wy go znacie?

Rataj głową pokiwał milczący.

— To i ja ci powiem jakto było—rzekł—bo nie z czém, tylko z przestrogą przyszedłem: młodemu jak ty kurczęciu, łatwo się dostać w szpony kobusie.... ale bądź ostrożna!

Marysia drżąca i czerwona patrzała w twarz starego, który powoli dobywszy z torby chleba i cebuli, tymczasem śniadał odpoczywając. kawałem razowéj kromki, natartym główką aromatycznego warzywa.

— Ten chłopak, toć ja go znam—mówił zajadając—to syn bogatego budnika z Rudni; kiedyś to byli szlachta... od tego Adama Choińskiego, co to wołami i wieprzami i zbożem handluje.... a słyszę groszowity.... Imię synowi Tomko; znają go na okolicę: dobry słyszę chłopiec, ale urwisowaty i za dziewczętami gotów czy w ogień, czy w wodę!

Ojciec choćby mu to doma chleba nie zabrakło, kazał służyć; a to od niedawna przyjął u nas miejsce leśniczego. Bardzo się nam z nim niebratać, bo to harde: czuje grosz w kieszeni i myśli, że wszystkiego za grosz dostanie, a jedynak u ojca. A szaławiła! szaławiła!! Szlachcianek i naszych dziewek nabałamucił już dość!

Marysia słuchała i zżymnęła ramionami.

— A co dziwnego mój ojcze — rzekła hardo — że pobałamucił takie, które tylko wyglądały, żeby kto na nie palcem kiwnął.

— Zapewne, zapewne, ot i ta Kachna, Boże odpuść, zaczęła powiadają od parobczaka księdzowego, potém był ekonom z Wojtówki, a naostatku Tomko... Czysto kiedy szukała i znalazła... Ale to słyszę taki niebezpieczny chłopiec, bo i niczego, i tak się układa, że gotów przysiądz, że się ożeni, aby mu nieboraczątko w pole wywieść. Strzeżno się i ty, bo słyszę wczoraj w karczmie zajechawszy w wieczór, mocno pytał zaraz, kto to w chatynce mieszka, co to za dziewczyna tam siedzi; a że mu ludzie nic nie odpowiadali i śmieli się z niego, zmieszany umilkł. Dziś znowu chodził darmo na zwiady, a to już zły znak, że drugi raz tu był. Abyno się to licho do ciebie nie przyplątało; zaraz ludzie zaczną Bóg wié co gadać, a siérocie dosyć jednéj biédy na ramionach.

— Bóg zapłać ojcze za przestrogę — odparła po chwili namysłu Marysia — dobrze żeście mi rozpowiedzieli kto on taki... Niechno jeszcze sprobuje do mnie zajrzéć, będę wiedziała jak go ztąd wyprawić.

— O to mi zuch dziéwka! — zawołał stary plaskając w dłonie — nauez szlachcica rozumu... Jemu w głowie szlachectwo, ta może i ojcowskie grosze, i liczko gładkie, że sobie z niemi będzie broił bezkarnie; ale ty masz rozum!

— Ej! rozumu nie mam ojcze, ale mi Pan Bóg i matunia z nieba dopomagają... Siérota, jużem powinna była sto razy przepaść z głodu, chłodu i nędzy, a ot mnie przecie trzyma łaska Pańska na nogach i sytą i okrytą i wesołą; to poratuje i daléj.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — szepnął stary kiwając głową — a sobie bardzo nie ufaj: ty młoda, on młody, krew nie woda; tobie tęskno saméj jednéj, przyszłaby zła

godzina... człek się zdurzy i zapomni: a co potém łez za to wylać potrzeba!! a co oczu nachować! Czymto ja się nie nasłuchał, czym się nie nabywał między takiemi... Tomkowi jużta potrzeba kochanki, i zaraz sobie namotał na ciebie... bywajże mi ostrożna!

— Ale się ojcze nie bójcie! Bóg i od tego obroni!—odezwała się spokojnie Marysia—jemu nie tak to źle z oczu patrzy.

— O, o! słyszysz!—krzyknął Rataj śmiejąc się—toś mu już w oczy zaglądała, łotrzyco!... Ostrożnie z tém, ostróżnie.

Siérota smutnie się tylko rozśmiała, dziad mówił daléj.

— Ha! ha! gdyby się chciał ożenić, nie mówię; ale to wielki pan, gdzie! gdzie! wysoko on patrzy, wyżéj niźli wrona leci! Ale ja tu z tobą gadu, gadu, a psy w krupach; a na jutrzejszy jarmark iść potrzeba, bo mi najlepsze miejsce zajmie kulawy Łajda... No! pilnujże się Maryś, a chatę zamykaj od złodzieja.

Śmiejąc się wyszedł żebrak ze cmentarza i ledwie na gościńcu rozpoczął znowu przerwaną pieśń pobożną od tego wiersza, na którym ją porzucił. Marysia poczęła prząść żywo, i Bóg tam wié jakie myśli krążyły po jéj główce, ale się często wstrząsała: tó spoglądała na drogę, to rzucała okiem na pole, to zadumywała się porzucając wrzeciono; aż nakoniec jakby zwyciężywszy błędne rojenia jakieś, które ją trapiły, wzięła się żywo do kądzieli i do swojéj godziny doprzędła.

Kiedy z Siérotką przez drogę wracali do chaty przechodząc miejsce na którém były ślady kopyt końskich, pies znowu się zastanowił, obszedł je z wielką uwagą i rozpatrzył. Marysię to zastanowiło, zrozumiała ten ruch jako dowód czujności stróża swego, zwołała go, pogłaskała, pocałowała w czoło, a Siérotka jak oszalały z radości, nałasiwszy się przed swoją panią, wybiegł szczekać na cztery wiatry, głosząc jéj sławę, a swoję gorliwość.

Dobrze już zmierzchać zaczynało, a Marysia zamknęła się była w chatce na skobel, gdy drogą znowu tętent konika dał się słyszeć, a pies ku drzwiom zaszczekał. Koń powoli zdał się zatrzymywać i przystanął... Tomko widać przed chatą go osadził. Marysia pobiegła do okienka, wyjrzała i szybko skryła się pod piecem.

Chwila upłynęła w milczeniu, aż puk! puk! słychać do zamkniętych drzwiczek. O! i serce puknęło biédnéj dziewczyninie, a pies rozgniewany za natrętność, na dobre szczekać począł.

I znowu puk, puk do drzwi, potém do okienka.

— A kto tam?—spytała drżącym głosem Marysia.

— To ja!

— Ktoż to *ja*? Czegoto chcecie?—odpowiedziała dziewczyna śmiało zbliżając się do okna.

— E! to ja! nie bójcie się... Co to u was już i chata zaparta;.. tak zawczasu.

— Bo ja tu sama, zamykać się muszę, a nikomu po nocy nie otwiéram.

— Ja wam coś chciałem powiedzieć i wody się napić, a za ranny kubek, tom wam coś przywiózł z jarmarku... Ale doprawdy mnie nie myślicie puścić?

— Jedźcie z Bogiem daléj; do wsi dwa kroki—szepnęła Marysia—Nocą to już do mnie nikt nie wchodzi: piesby mój pokaléczył.

— To choć podnieście okienko i przyjmcie gościniec.

— A! okno się nie podnosi! — odpowiedziała dziewczyna— a gościńców ja nie biorę.

— Cóżto za chata przeklęta—zawołał chłopak—A no! to dobranoc! zostawię gościńca na przyźbie... Bywajże mi zdrowa!

Odstąpił wkrótce odedrzwi, bo zaraz i tętent konia dał się znów słyszéć na drodze, i piosenka wesoła uciekła z nim ku wiosce.

Marysi serce biło, a biło niezmiernie! W głowie mąciło się biédnéj, i wyraz czarodziejski »*gościniec*, *podarek*«, błyskał przed jéj oczyma tysiącem barw jasnych, świetnych, iskrzących... Chciało się jéj bardzo wyjść zaraz, zobaczyć; ale strach jakiś instynktowy chwytał za serce i odrętwiał nogi. Już Tomko był daleko, już nikt na nią nie patrzał, szła do drzwi niespokojna, gdy u progu siedzący Siérotka spojrzawszy w płonącą jéj twarz, jakby ostrzegając czy łasząc się, zaszczekał. Marysia zatrzymała się, zaczęła myśléć i została przy piecu.

— Mogęż ja przyjąć podarek?—spytała sama siebie— co na to powiedzą ludzie?.. Jak raz wezmę, nie odczepię się od niego?

Nikt jéj nauczyć nie mogł jak to pytanie rozwiązać, i gdyby na myśl nie przyszły przestrogi starego Rataja, byłaby skwapliwie chwyciła tę rzuconą pod jéj okienkiem zagadkę.

Potrzeba jednak było walki z sobą, długiego i cichego w duszy boju, żeby wkońcu sobie powiedzieć: nie pójdę, nie tknę, nie przyjmę!

Niełatwo jéj przyszło to postanowienie, a ciekawość jakito tam podarek być może, długo jéj oczu zamknąć nie dała i sen miała niespokojny.

Nazajutrz jak brzask, już wytrwać nie mogła; wysunęła się z lepianki okiem szukając owego wczorajszego gościnca;... tyle domysłów niespokoiło ją noc całą. Co to być mogło! Zrazu nic nie zobaczyła; ale zbliżywszy się, spostrzegła krasną, czerwoną, ładną... a! jaką ładną chustkę nowiuteńką i kilka łokci szérokiéj karmazynowéj wstęgi! Oczy jéj nie przywykłe do podobnych strojów, powiększały jeszcze piękność tych bardzo zresztą pospolitych gałganków; ale ona i takich nigdy nie miała!!

Obejrzała je wziąwszy w drżące ręce ze strachem, pożądliwością, pokusą, z jakimś żalem nawet; ale przeczucie nie pozwoliło przyjąć od nieznajomego tak wielkiéj i podejrzanéj ofiary.... Rozstała się biédna nie bez boleści z chustką i wstążką, zostawując je na tém miejscu, na którém były położone; a sama szybko schwyciła wiadro i rozpoczęła dzień lecąc jak zwykle do krynicy po wodę.

Siérotka po pani obwąchał podarek Tomka, obszedł go wkoło, burknął, i nieodstępny pognał za Marysią do źródła.

Dziewczyna, choć ją to kosztowało wiele, nie spojrzała już nawet na gościniec, i zabrawszy kądziel, ze spuszczoną głową poszła smutna ku mogile. Ale jéj oczy zwracały się ciągle na drogę, ale serce drżało jakimś niepojętym niepokojem. Słonko się już było dobrze podniosło, gdy tętent siwego konika dał się słyszéć zdala, a dziewczyna prząść zaczęła coraz żywiéj.

Leśniczy zatrzymał się naprzeciw chałupy, obejrzał, i szczekanie psa zwróciło oczy jego na siedzącą pod wierzbą dziewczynę.

— Co u kata? po co-bo ona zawsze siedzi na cmentarzu?—burknął nieukontentowany zsiadając z siwego.

Jak wszystek lud prosty i budnicy, młody chłopak był przesądny, i za nicby był nie poszedł w umizgi na cmentarzysko; markotno mu było, że Marysię tam zastał, pochmurniał i nie wiedział co począć.

— Dzień dobry!—odezwał się zbliżając do drogi ku wałowi cmentarnemu i opiérając się na zielonym garbie, który go oddzielał od niedaleko siedzącéj dziewczyny.—Dzień dobry! A co? choćby Bóg zapłać należy mi za gościniec.

— Nic się wam nie należy—podnosząc głowę odezwała się powoli Marysia—znajdziecie gościniec wasz tam, gdzieście go wczoraj położyli, jeźli go kto w nocy nie wziął.... Rosa tylko musiała go przypaść....

Tomko stanął zadziwiony.

— To go nie chcecie przyjąć odemnie?

— Bo nie mogę—odpowiedziała Marysia—a za cóż i na co miałabym od was brać podarki? a coby to na to powiedzieli ludzie?

— Czyto koniecznie ludzie o wszystkiém wiedzieć mają?—rzekł kusiciel słodko, pokręcając wąsika i ze strachem a pożądliwością razem spoglądając na zaklęte cmentarzysko.

— A Pan Bóg?—odezwała się Marysia.

— Albożto Pan Bóg zakazał dawać i brać gościńce?

— Ja tam tego nie wiém, bom nie mądra—rzekła sierota po chwili namysłu—alem nigdy w życiu nic od nikogo darmo nie brała i nie wezmę...

Tomko niedowierzając jeszcze, rzucił okiem ku chacie, ujrzał na przyźbie chustkę i wstążkę, i dźwignął ramionami zniecierpliwiony.

— No! to jak tam sobie chcecie—rzekł szydersko.— Znajdzie się taka, co to weźmie.

— I takiéj sobie gościńca swego oddajcie—odpowiedziała Marysia—choćby Kachnie—dodała z uśmiechem, przypominając opowiadanie Rataja—ja pewnie nie pozazdroszczę.

— Filut dziewczyna—rzekł w duchu zagryzając usta Tomko—trafiła kosa na kamień.... Ale ba! nie ona jedna na świecie.

A że to był budniczuk i syn bogatego gospodarza, przywykły do łatwych umizgów i dumny dawném szlachectwem swojém; jakoś się oburzył na siérotę, że go lekce-

ważyć śmiała; świsnął piosenkę, siadł na koń, podjechał pod chatę, chwycił schyliwszy się chustkę, i wcisnąwszy ją za czamarkę, okiem nie rzucił na Marysię i poleciał!

Gdy się to działo, Marysia sobie przędła ze spuszczoną głową, przędła nie patrząc nań, a jednak widziała wszystko: każdy ruch zagniewanego chłopaka, każde jego ku sobie skierowane wejrzenie; i ścisnęło się jéj serce, gdy bez pożegnania, bez dobrego słowa odjechał.

Pies jéj naszczekiwał jeszcze na odjeżdżającego, a ona... ona płakała....

Z tych łez nie umiałaby się była wytłumaczyć przed nikiem, przed sobą nawet; ale tak jéj było smutno, tak ciężko po odjeździe Tomka, jak gdyby najdroższe ze swych stworzeń, najmilszy sprzęt straciła. Już się dnia tego nie przędło, nie wiodło, nie śpiewało; i gdy noc przyszła, nie spało.

Ucho jéj mimowolnie szukało w powietrzu dźwięków znajoméj piosenki i tętentu konia; ale głucha cisza panowała na gościńcu....

Tomko pomyślał sobie słowami piosenki:

„Ne wełyka sercu tuha,
„Ne budesz ty, bude druha....

I poleciał na tany do karczemki, za krasną twarzyczką, za białém liczkiem i czarném okiem, za któremi tęskno mu było przecie! Dużo było dziéwcząt pod karczemką, gdzie grała muzyka, złożona z skrzypka sławnego, szewca, z basetlisty tkacza, i bębniarza, który prawdę rzekłszy, był pastuchem przy dworskiém bydle. Leśniczy traktował, przymilał się, wywijał, ściskał, szeptał, poił i nahasał do syta; ale gdy nahulawszy się powrócił nocą już do swojéj izdebki, zdziwił się, że mu wciąż ładna twarzyczka cyganki stała przed oczyma.

— Co u licha! zawołał w duchu, toć pewnie ona z nich nie najładniejsza... A nie chce, to się bez niéj obejdę i myśléć o niéj przestanę! Jeszcze się to czupurzy i udaje panienkę dworską: kat ją bierz!

Starato historya serc ludzkich; daj im najdroższe skarby, pełną sypiąc dłonią, odwrócą się od nich obojętnie;

odejm tylko ziarnko drobne i podróż się niém trochę, jużci bez niego żyć nie potrafią. Próżno sobie wmawiał Tomko, że dla niego niczém jest Marysia: złość go na nią brała, a co gorzéj, porównywając ją z dziewczętami wiejskiemi, widział dowodnie, że od wszystkich była piękniejszą, choć tego przyznać nie chciał.

— Już że piękna to piękna — mówił — ale nieznośnie harda; nie będę się przecie lada cygance kłaniał i w rękę ją całował!

I jak się zaciął Tomko, tak ani tą nawet drogą przejechał, ani się pod chatą pokazał przez tydzień cały.

A co myślicie: tydzień dla młodych, to mało?? Wiekto cały w téj epoce szczęśliwéj życia, która czarodziejską ma władzę z godziny robić lata, a z lat mgnienie oka... Tęskniła i smutna Marysia, złościł się Tomko, i ani się spostrzegł, jak wreszcie jednego ranku siwek sam zaniósł go pod cmentarz.

Marysia przędła na mogile. Chłopak minął ją świszcząc nie spojrzawszy nawet, ale oboje się widzieli choć głowy mieli poodwracane; a pies, który był odwykł od konia i pana, wyleciał aż do furtki naszczekiwać na nich. Mignął Tomko jak zjawisko, i znów go nie ma i nie ma.

Kilka dni tak przeszły, aż wyszpiegował dziewczynę o któréj porze chodziła na cmentarz i nadjechał raniuteńko, kiedy się dopiéro z wiadrami wybiérała po wodę.

— A! dzień dobry, krasawico?

— Dzień dobry!

— Cóż to? sami sobie wodę nosicie?

— A któżby mi miał nosić i na co, kiedy sama zdużam?

— E! szkodabo mi twoich białych rączek, Marysiu, bo doprawdy—rzekł zbliżając się—nie chłopskie rączki macie!

— A cóżbym niemi robiła?—śmiejąc się odparła cyganeczka—jużciż ja nie ta pani o któréj gadają, że sobie siedzi założywszy ręce dzień cały; toćbym z nudy umarła!

— Jakato z ciebie będzie gospodyni!—rzekł kusiciel pochlebca, coraz się do niéj przysuwając.

— Czemu mówicie będzie? — odezwała się siérota — alboż już nie jestem? A kto mi w domu gospodarzy, kiedy nie ja sama?

— Słyszałem ja słyszał; ta-to się we wsi wydziwić nie mogą waszéj robocie i ochocie.

— Ale gdybym tak oto stała wpośród drogi, a co dzień gawędziła z chłopcami jak dziś z wami; wiém, jakby szło gospodarstwo! Słońce wysoko, czas mi do krynicy...

— To i ja za wami — zawołał Tomko rzucając konia naprędce przywiązanego do kółka — i ja z wami...

Marysia nie śmiała mu nic powiedzieć, wzięła wiadro i posunęła się naprzód, za nią Siérotka, za Siérotką Tomko. Ale ilekroć chciał napędzić ją i zbliżyć się do dziéwczęcia, pies stróż czujny stawał, zęby mu pokazywał i nie dopuszczał.

— A! dobrego macie stróża!—rzekł z przekąsem chłopak—może i kąsa jeszcze?

— Czasem!— śmiejąc się pocichu odpowiedziała Marysia— ale byleby do mnie nie przystąpić, nic nie zrobi.

Tomko zwolnił kroku, śpiewać począł i zachodząc ze strony, zrównawszy się z siérotą w przyzwoitéj jednak od niéj odległości, rozmowę zawiązał.

— Czemuto wy nigdy nie przychodzice na taniec do karczmy?

— Nie mam czasu.

— A w niedzielę?

— Trzebaż jeść ugotować i pokarmić kury, gęsi, gołębie, chatę oporządzić i spocząć.

— I nie nudno wam to na odludziu?

— Nie... na nudę nie ma téż czasu.

— Trzysta diabłów—rzekł w duchu Tomko—zkąd się ona tak pięknie mówić nauczyła?

— Prawda—dodał— że z was dziwne stworzenie: innaby tak przepadła ze skuki, a wy sobie cudem radę dajecie.

— Nie cudem paniczu, ale łaską Bożą.

I westchnęła Marysia.

Tomko pożérał ją tymczasem oczyma; piérwszyto raz był z nią tak długo i tak blizko się jéj mógł przypatrzéć, a wydawała mu się co chwila ponętniejszą. Porównywał ją z wszystkiemi jakie dotąd widział, nawet z czarnobrewą Petronellą, garderobianą sąsiedniego dworu, i musiał przyznać, że przy Marysi gasła nawet biała, rumiana i świeża dworka.

Ma to do siebie samotność, że jeśli nie psuje, to dziwnie, wznioślejsze zwłaszcza natury uszlachetnia, a dusza czysta musi się przelać w rysy twarzy, w każdy ruch, w spojrzenie, dźwięk głosu: rzekłbym, w barwy i kształty uwidomiające ją przed światem. Dziwił się Tomko, że dlań siérota miała urok i powab, powagę, ponętę, jakich nigdy nie doświadczył wrażenia. Myśl jego zuchwała i do zuchwalstwa przywykła tatwemi zwycięztwy, porywała się na siérotę; ale gdy na nią oczy podniósł, uczuwał jakąś nieopisaną obawę i tchórzył, ust nie umiejąc otworzyć. Wejrzenie jéj niepokoiło go, mieszało, języka zapominał w gębie, choć nim gdzieindziéj zręcznie bardzo władał: słowem, przy Marysi czuł się jak skrępowanym.

— To licho!—mówił w duchu—czy ja to już z tém kurczęciem ładu nie dojdę; tacto być nie może. Cóżto za jedna? zaklęta królewna? Tfu! cyganka! siérota! przybłęda! A takbyto było wygodnie się do niéj umizgać: chata na odludziu, żywéj duszy, nas tylko dwoje; przyjeżdżaj kiedy chcesz, nikt nie zobaczy, nikt nie połaje, nikomu się nie kłaniaj!

Dumał tak idąc obok dziewczyny, aż do studni, a corazto na nią spozierał z ukosa, a co się chce zbliżyć, to Siérotka warknie, i leśniczy choćby mógł go harapem odpędzić, woli odstąpić trochę. Tak doszli do krynicy pod górą.

Ta krynica, byłato sobie, jaką nie jednąście widzieli pewnie w życiu: studeńka nie studeńka, źródełko sączące się zpod glinianego obrywu na białéj opoce krédziastéj, ostawione starym szerokim pniem spruchniałym. Dokoła niego sączyła się woda spływając do blizkiego stawu drobnemi, wężykowatemi strumyczkami, przez które po rozkisłéj ziemi, gdyby nie kładki, kamyczki i cegły, trudnoby nawet przejść było.

Na pniaku leżał kruk drewniany, służący do spuszczania wiadra, choć tu niewiele kto czerpać przychodził, bo źródło było daleko odewsi; ale wymyślniejsze gospodynie aż tu czasem z za grobli przybiegały, bo woda była wyborna. Dokoła w prawo i w lewo zarastały bujno po bokach wzgórza tarnina, leszczyna drobna, kaliny i bzy, migdałowym swym zapachem napełniające powietrze. Wśród téj

drobnoty, jedna tylko obłamana, stara, kaléka czereśnia wyżéj się wznosiła, litość budząc koszlawym pniem swoim, co roku nowemi pooranym bliznami.

Miejsce było puste a ładne. Wdali staw, grobla, młyny i część wsi jak na dłoni... Tomko chciał dziéwczęciu dopomódz do zaczerpnienia wody, ale nim się do tego po szlachecku przybrał, już Marysia przebiegła po znajomych kładkach, chwyciła kruk, zanurzyła wiadro, i pełne, śmiejąc się, postawiła na ziemi, szybko toż samo z drugiém robiąc.

Siérotka korzystając ze zręczności napił się wody ze strumyka, popilnował aż Marysia wiadro dobyła, i znów poważnie na straży ku domowi iść począł. Tomko, który niepłonną miał nadzieję, że przy studni coś oberwie, choćby kradzionego całusa rozpoczynającego wiejskie zaloty, powrócił całkiem z niczém i w dosyć złym humorze na psa i dziewczynę; bo śmiészno mu było, że przed sobą wytłumaczyć się nie mógł, po co aż na dół schodził.

Po drodze rozmawiali tylko; ale coby miał nabiérać odwagi, a Marysia ją tracić; to on czuł się co chwila bardziéj onieśmielonym, ona zaś coraz weselszą i odważniejszą.

— Ha!—pomyślał Tomko—pójdę za nią do chaty, zobaczymy.

Ale dziewczyna u drzwi postawiła wiadro i siadła na przyźbie. Tomko znów klął tę jéj politykę, któréj się nie spodziéwał: usiadł wszakże koło niéj; cóż, kiedy jakby na przekor Siérotka umieścił się między niemi na straży, co chwila białe ukazując mu zęby, byleby się ruszył.

Po chwili przekonawszy się, że nic nie zyska, Tomko zły, gniewny, choć niby żartował z tego, klnąc, że więcéj nie powróci, poleciał do dworu.

Jeszcze była Marysia nie odeszła ze swego miejsca, kiedy milcząca i zadumana zjawiła się przed nią Sołoducha.

Siérota radośnie rzuciła się ku niéj, tak jéj było pilno serce otworzyć i pogadać o świeżych wypadkach, maluczkich na oko, ale wielkich w życiu dziéwczęcia, które czuło, że się los jego waży na szali piérwszego w życiu stanowczego kroku.

— A! matuniu! matuniu!—zawołała rzucając się ku niéj Marysia—jakże ja wam rada, żeście do mnie przyszli;

to strach, co ja mam do was spraw pilnych.... ażem już biedz chciała.

— Pewnie ten szaławiła, który tylko co ztąd odjechał, głowę ci zawrócił... No, przyznaj się?—odezwała uśmiechając się Sołoducha.

— E! nie!—bawiąc się końcem fartucha odpowiedziało dziéwczę—ale co tu z nim poradzić, tak się do mnie uczepił?

Baba kręciła głową.

— Jakże ci się zdaje?—spytała widocznie probując.

— Szczerze powiedzieć matuniu?

— A szczerze!—I stara ciekawe oczy wlepiła w sierotę.

— No to tak—rzekła śmiało Marysia—ożenić się on nie ożeni, boby mnie i dobry gospodarz za synowę ani za żonę nie chciał, sieroty, za którą nie ma komu ani wesela sprawić, ani nawet dać ręczników; a co dopiéro budniczuk hardy i syn takiego bogatego ojca jak Choiński! Pokręci się, pokręci, porzuci i żal tylko w sercu zostawi.... Na-co darmo się kumać, kiedy chrztu nie będzie....

Sołoducha jakoś się dziwnie rozśmiała z prostodusznéj przypowieści dziewczyny.

— Nie głupio—rzekła—nie głupio; już téż on nam dosyć dziéwek nabałamucił; pora żeby go téż która przytrzymała... A podobał ci się?—spytała podejrzliwie i chytrze baba spoglądając z podełba.

Marysia spuściła oczy i zapłoniła się.

— A czemużby się nie miał podobać? — szepnęła— chłopak niczego i takito panicz! Ale tém bardziéj on nie dla mnie!—I westchnęła.

— E! gadaj zdrowa! Byle rozum, nie takieto się na świecie dzieją rzeczy; a choćby syn Choińskiego ożenił się z córką cygańską, cóżby to był za dziw, kiedy się panowie nieraz z takiemi flondrami żenią, co twojego palca niewarte! Tylko się umiéj z sobą podrożyć, to go gdzie chcesz zaprowadzisz.

To rzekłszy zamilkła chwilę.

— Ale — dodała jakby się namyśliwszy — kiedyto już się te konkury zaczęły, czy nielepiéjby tobie teraz na jaki czas do naszéj chaty się schronić? Byłoby bezpieczniéj... Ej! byłoby bezpieczniéj! Zwłaszcza kiedy i te przybłędy znowu się tu przywlekli—dodała ciszéj.

— Kto?—spytała Marysia.

— No! albożto nie wiecie, że ta banda cygańska, z któréj był twój ojciec, znowu słyszę do wsi przyszła....

Na te słowa dziéwczę zerwało się z siedzenia nagle, rzekłbyś przeistoczone zupełnie, zmienione, przerażone, pobladłe i drżące.

Ręce załamała i słowa wyrzec nie mogła.

Stara nie pojmowała co się z nią stało, bo uczuć dziewczęcia odgadnąć nie była w stanie; a sierocie, sierocie wzmianka o jakiejś odległéj rodzinie, która się jéj nie zaprze, która ją przytulić może, uderzyła w serce dziwném wrażeniem.... Ona prócz matki nie miała nikogo, coby ją przytulił, coby przygarnął ku sobie, ukochał i przyznał się do niéj.

Sołoducha wzięła za przestrach, co było tylko silném uczuciem wyrywającego się serca... O! rodzina, czarodziejskie to słowo! Ile w niém ukrytych leży radości, ile pociech, ile węzłów łączących nas przez nią ściśléj ze społeczeństwem całém... Jest to niejako ogniwo łańcucha wielkiéj całości, od któréj oderwani, błąkamy się nie wiedząc co począć z życiem. Kto nie miał nigdy rodziny, kto nie uczuł słodkiego uścisku brata, ojca, krewnego, jakże marzy o nich i jak gorąco ich pragnie!

— Co tobie dziewczyno?—zapytała po chwili Sołoducha—czy ty się tak boisz? No! to ruszaj ze mną! ja cię przechowam, nie masz się czego lękać.

— Ja? bać się? a czegożbym się swoich obawiać miała?—odezwała się dziewczyna—toż to moi! to moi!

Sołoducha oburzyła się.

— Jacy oni twoi? Pluń na marę! poganie! ne chresty! Matka twoja była chrześcianka, a ojciec obwiesił się nie chcąc ci być ojcem: czémże oni twojemi być mają?

— Bracia ojca!—jęknęła dziewczyna.

— Co katowali go, aż od nich uciekać musiał!

— Lepsiż byli bracia matki!?—spytała Marysia.

Sołoducha skrzywiła się.

— Ale wiészże ty co to za lud? — spytała gorąco— Matka ci tego nie powiedziała pewnie, a cudzy nie śmieli. Cały Boży świat od nich jak od zapowietrzonych ucieka; złodzieje, zbóje, czarowniki, i gorzéj, i gorzéj jeszcze:—poganie, nechresty!

Marysia zadrżała.

— A czyż to prawda?—spytała przerażona.

— Jak Bóg miły! Dowiédz się od ludzi, idź od wsi do wsi, nic ci innego nie powiedzą: to postrach okolic. A gdyby to było co dobrego, czyby to się tak włóczyło po świecie, nigdzie miejsca zagrzać nie mogąc.

— Im w to graj—dodała uśmiechając się stara—jak się tylko dowąchają, że tu żyje córka ich brata cygana, a sierota, a sama jedna, a jeszcze i młoda i ładna; zlecą się i gotowi gwałtem cię porwać z sobą. Te łotry i krwią własną i cudzą frymarczą... Nibyto nie pamiętają ludzie, jak tu ich dziéwka bałamuciła naszego pana.

Marysia słuchała, drżała, i sama nie wiedziała co począć: ogarniał ją przestrach jakiś, a żal było chatkę porzucić, a serce i ciekawość ku cyganom ciągnęły... W głowie pomieszało się wszystko, załamała ręce, spojrzała na mogiłę matki.

— No! i cóż myślisz?—spytała Sołoducha.

— Ale bo to widzicie—odpowiedziało dziéwczę usiłując myśli pozbierać—a cóż ja poczne z gospodarstwem? Sądzicie, że mi tylko zebrać manatki i drzwi kołkiem podeprzéć? A toć mam i gęsi, i kury, i gołębie, i psa i kota, których tu nie porzucę, boby to z głodu pozdychało marnie; jużcić tego nie zabierzecie.

— A lepiéjże tobie ginąć?

— Wiecie co?—zbliżając się zawołała dziewczyna—cyganie długo nie popasają, kiedy już ich taka dola włóczyć się po świecie, Tomko mi téż długo dokuczać nie będzie: a gdybyście wy pobyli u mnie tydzień jaki?

— Toby Rataisko z głodu umarł, a je ze strachu nocując podle cmentarza!—odparła zrywając się starucha.

— Rataj teraz z jarmarku na jarmark chodzi, bo to wołowe targi poczęły się i odpusty w okolicy... No, a cmentarz! widzicie, że mi nic nie zaszkodził, to i wam przy mnie nicby się nie stało...

Stara zamyśliła się.

— Ot! podumam—rzekła wstając—jeźli starego w chacie nie ma, to przyjdę i posiedzę...

Marysia pocałowała ją w rękę i tak się rozeszły.

Za wsią na rozłogu, istotnie od wczoraj roztasowała się była banda cyganów, taż sama, która nawiedziła Stawisko przed kilkunastą laty; jeźli jest co na świecie, coby tém samém po upływie lat tylu nazwać się mogło!

Taż sama była i nie ta!

Dzieci Aprasza porosły, Aprasz choć krzepki jak dąb, zgiął się od pracy, znoju i wieku; a Aza, owa prześliczna Aza, nie tą już była co przedtém! Musiała zostać w końcu żoną cygana, i dziś panowała znów jemu i całéj gromadzie, w miarę jak on się starzał i słabiał, nabierając sił i woli. Na jéj skinienie drżał kowal stary, chowały się jego dzieci, które nieraz smagała własną ręką, a gromada słuchała jéj jak wodza. Po długiéj w świat pielgrzymce, nigdzie nie zagrzawszy kąta, przyszła znów tułaczem nawiedzieć to sioło, w którego pamięci tak krwawo zapisało się piérwsze ich przybycie. Kto wié, może ta dzika niewiasta zachciała tam grób czyj odwiedzić i pamiątkę opłakać.

A gdy się im ukazała z pagórka znajoma okolica z zieloną mogiłą, z jasnym stawem i błonią, na któréj dwakroć już obóz ich stawał; z oczów Azy błysnął jakiś ogień straszliwy, i sine jéj usta się ścięły.

Aza nie była już ową wdzięczną, czarującą dziéwką cygańską, któréj oko paliło na kogo padło: znikła dawno świeżość jéj i wdzięk młodości; a przecie po leciech kilkunastu tułactwa, nędzy, cierpienia, jeszcze była piękną i ciągnęła oczy ku sobie. Zachowała swą dawną kibić i kształty, oczy powiększyły się jeszcze: nie wiém od łez wylanych, czy srogiéj rozpaczy, która przez nie patrzała; usta ścięte gdy się otwarły świeciły jeszcze zęby białemi, a kruczy włos nie spadł ze skroni jak liść jesienny.... Mimo smutku który ją pożerał, cyganka zachowała instynktowie jakieś pragnienie przedłużenia młodości i zachowania wdzięku: strój jéj o niém zaświadczał. Gdy inne w jéj wieku zwiędłe, zszarzane, zobojętnione, ledwie się oszarpaną otulały płachtą, ona szukała w odzieży barwy i kształtu, i stroiła się jak królowa.

Tylko co roku twarz jéj surowszego, dzikszego nabierała wyrazu, usta pogardliwszym wykrzywiały się uśmiechem, oczy ognistym w świat patrzały wyrzutem. Jakby za swe cierpienia na wszystkich mścić się chciała, nieubła-

ganą, gniewną była dla tych, co ją otaczali; a Aprasz, który szalał i ginął za swoją *egaszi*, robił co tylko chciała....

Piérwszéj nocy zaraz po przybyciu do Stawiska, Aza znikła z obozu. Aprasz schwycił się za siwe włosy, poleciał do dworu; ale powrócił z niczém, bo nogą tam nie postała: domyślił się gdzie była, a z umarłemi nie walczyć żywym w sercu kobiety.

W istocie Aza całą noc przesiedziała na mogile Tumrego, niema, zadumana, straszna jak widmo z grobu wywołane. Sercem tylko, niepytając nikogo, wynalazła zielony pagórek, który krył w sobie zwłoki jéj ulubionego: bo lat kilkanaście wbiły go do ziemi i zasiały na nim wysokie burzany, za któremi prawie go widać nie było. Wśród ciemności kalecząc ręce, zapalczywa cyganka obrywała chwasty i krzewy z mogiły samobójcy, a gdy ranek zastał ją spoczywającą na ziemi, kurhanek już był oczyszczony z zakrywających go burzanów.

Błysnęło światło dzienne, i z nocą pierzchnęły dumy i żale. Wstała cyganka ze śmiechem dzikim, podniosła się i garść ziemi chwyconą z mogiły rzuciwszy na pierś za koszulę; pobiegła ku dworowi.

We dworze chciała zobaczyć pana Adama, drugiego kochanka, by może szyderstwem żal ochłodzić. Byłato chwila, w któréj nawrócony grzesznik, małym wózeczkiem wyjeżdżał na mszą do przyległego kościołka.... Dnia tego opóźnił mu się woźnica i brał za to rózgi w stodole, a pan Adam z książką nabożną i różańcem w ręku, czekał w ganku, ażeby po napomnieniu ojcowskiém zajechał po niego chłopak.... Wtém zjawiła się Aza.

Aza nietyle była zmieniona co nawrócony rozpustnik... Poznał ją od razu i z krzykiem zakrył twarz konwulsyjnym ruchem, a cyganka rozśmiała się', po ruchu tym i po głosie poznawszy w nim dopiéro zwiędłego młodzieńca, dziś w zgrzybiałego zmienionego starca.

— Patrzcie! tażto on!— zawołała— A! jak mi się masz! ha! ha! ha! a! co się z tobą zrobiło?!

— Idź precz, idź precz w szetecznico! — zakrzyczał pan Adam zakrywając wciąż oczy — precz szatanie, bo rózgami osmagać cię i ze wsi wypędzić każę.

— A grzecznie mnie przyjmujesz! — rozśmiała się cyganka — ale popatrzno, popatrz, jeszczem doprawdy nie taka stara i szpetna, jak ty zdechlaku! Nie daléj jak tydzień temu, dwóch młokosów pędzało się za mną, żem się im kijem musiała oganiać! Zdejm z oczu *anguszti* (palce), spojrzyj.... przekonasz się że nie kłamię.

Ale pan Adam już słów tych nie słyszał i przelękły uciekł w głąb domu.

Aza popatrzała, splunęła, odwróciła się i poszła, poszła wprost do chaty Tumrego.

Po drodze spotkała ludzi, zatrzymała jakąś dziewczynę i dowiedziała się od niéj o córce Tumrego; z ogniem w oku wysłuchała powieści, i zadumana, poszła ku cmentarzowi.

Poważna i smutna, zbliżyła się ku chacie i zadziwiona stanęła nagle, gdy pies zpod wierzby u mogiły, zajadle na nią zaszczekał.

Sierotka, jak wszystkie oswojone stworzenia co nas otaczają, przywykł był już do pewnych twarzy, sukni i postaci, do swojskiéj woni wieśniaka; przestraszył się więc cyganki z narzuconą na ramię *urakhą* (płachtą) kolorową, od któréj zaleciał go dym obozowiska i szatry cyganów. Nie jak zwyczajnie bywało wsparty na drzewie zdaleka, ale wybiegłszy na wał zielony, srodze ujadać na nią zaczął. Cyganka stanęła rozglądając się, i w téjże chwili spostrzegła podniesioną głowę Marysi, któréj nazwiska wiedzieć, żeby ją poznać, nie potrzebowała. Było coś w rysach dziewczęcia znamionującego jéj pochodzenie, przypominającego Tumrego, i zamglone wspomnienie ukochanego, wydobyło się z piersi Azy, stając przed jej oczyma w postaci jego dziecięcia. Serce jéj biło gniewem na świat cały, co jéj odebrał kochanka: z pragnieniem zemsty na ludzi i łza gorąca pociekła z czarnego jéj oka.

— A *Bynk*! — przeklęła pocichu — to ona! to jego córka! *Tumrego ciaj!* Jaka śliczna! jaka śliczna! ja nawet nigdy nie byłam taką! I poszło to między *gadziów* na sieroctwo, na poniewierkę i nędzę, w niewolę, przykute do mizernéj *khery!* (chaty).

Aza stała mrucząc te słowa i wciąż patrzała na Marysię, która z przestrachem wpatrywała się także w dziwną jéj postać, pełną groźnego jakiegoś i dzikiego wdzięku.

I ona odgadła w niéj cygankę, może pokrewną... a serce biło niewytłumaczoném uczuciem bojaźni i miłości.

Sierotka tymczasem to z wału zeskakiwał, to na wał wpadał i ujadał gryząc ziemię.

— Dziewczyno, *Rokloro!*— odezwała się Aza—zawołaj psa swego: chcę się zbliżyć do ciebie i pomówić z tobą.

Marysia odezwała się do Sierotki, ale ten ogonem pokiwał, zakręcił się i szczekał znowu.

Przybyła zbliżyła się tymczasem do cmentarza, przeszła przez furtkę i postąpiła ku Marysi. Wzrok jéj zatapiał się w rysach, na których czytała przeszłość swoję....

Siadła blizko, nie zważając na psa, podniosła oczy i zapatrzyła się nie mogąc nasycić widokiem sieroty, milcząca, ponura, zapłakana. Wzrok jéj palił Marysię.... Po długim spoczynku, łagodnym głosem spytała sierota:

— Czego mi się tak przypatrujecie dobra kobieto?

Aza rozśmiała się gorzko.

— Ja nie jestem *łatio egaszi* (dobra kobieta), nie, nie; alem znała ojca twojego Tumry, i patrzę na dziecko jego.... a nad tamtym płaczę....

— I matkęście moję znali?—spytała dziewczyna.

Aza nic nie odpowiedziała.

— Dawno matka twoja umarła?— odezwała się żywiéj po przestanku.

— O! lat już temu kilka—zapłakanym głosem odezwała się Marysia — A, ot... jéj zielona mogiła.— I wskazała na pagórek przy którym siedziały obie.

Aza ze wstrętem odsunęła się od niego, nie kryjąc się z uczuciem, które nią wstrząsnęło.

— A któż ci był matką? kto ojcem?—spytała.

— Jeden Pan Bóg!—odpowiedziała sierota.

— A ludzie?

— Jam niewiele potrzebowała ludzi.

— I żyłaś tak.... sama?

— Jak widzicie, w téj lepiance, sama, samiuteńka.

— A któż cię karmił?—zdziwiona poczęła Aza.

— Moich rąk dwoje, i opieka Boża, i modlitwy matki...

— Nikt się nie zlitował? nikt nie dopomógł?

— Ale nie! ja się nie skarżę! nie!—żywiéj przerwała Marysia—tylkom nie potrzebowała pomocy i nie wołała o li-

tość: nauczyłam się sama radzić sobie. A było, było poczciwych dwoje co mnie strzegli i strzegą, co pomagali chlebem, sercem i słowem.... O! i więcéj niż dwoje!

— Któż to taki?—przerwała ciekawie cyganka.

— Stara Sołoducha, żona żebraka, i stary Rataj, jéj mąż.

— Tak! cygańska dola, nad cygańskiém zlitowała się dzieckiem — szepnęła Aza i zamyśliła się.—Ale dość już tego życia—zawołała po chwili wlepiając oczy w sierotę—tyś dziecko *Romów*, czas ci *gadziów* porzucić a iść z nami. Tyś piękna i młoda, lepiéj ci u nas będzie. Co to za życie? życie *szukeli*, życie *zycaja* (psa, kota) których głupi nałóg przykuwa do chaty, do progu, do kąta i robi kamieniem. Co dzień jedno przed oczyma, codziennie toż samo życie, ta sama nędza i praca! Pójdziesz z nami, pójdziesz i zobaczysz, jak świat się córce Tumrego, krwi *Romów* rozśmieje! Tu na ciebie patrzą jak na obcą i brzydzą się tobą, a z nami będziesz królować, będziesz *rani* (pani) jak ja!

I wstała, na świat potrząsając ręką....

— Jak świat szeroki, jak *pfuf* (ziemia) wielka, wszystko to nasze królestwo; jak zajrzéć ojczyzna: granic jéj nie stawi nikt! Źle tutaj! wóz zaprzęgą i daléj pod cieplejsze niebo za góry, na Węgry, het! het! aż nad sine morze, do miasta, co w wodzie pływa! A idąc śpiewamy i nie mamy tęsknić czasu, bo w oczach coraz co nowego! Zobaczysz *rakloro*, zobaczysz, rzuć tylko chatę, pluń na tę kądziel *gadziów*, weź na ramiona *urakhę* i z nami, z braćmi twojemi!

Te słowa wymówione żywo, gorąco, choć połamanym językiem, pełne ognia i zapału, dziwnie przejęły sierotę, przywykłą do powszedniéj chłodnéj mowy wieśniaczéj. Ozwała się w niéj może uśpiona krew cygańska i instynkt tułaczy; zadrżało serce, ale usta otworzyć się nie umiały. A Aza mówiła, mówiła i bujała jakby pieśń jakąś śpiewając, rajem czyniąc włóczęgę, rozkoszą nędzę która ich jadła, na ustach nawet śmiech błądził pożyczany i straszny....

Skończyła, a Marysia słuchała jeszcze, bo ją ten obraz nieznanego życia, nieznajoméj rodziny pociągał ku sobie jak przepaść: obawiała się ich i pragnęła.

— Dobra kobieto—odezwała się podnosząc oczy, które spotkały i mogiłę zieloną, i starą chatkę matczyną— A! nie mnie to iść z wami: jam już nie cyganka, nie! nie!

ojca nie znałam, ssałam piersi matki mojéj, z niéj przywiązanie do kąta i strzechy!...

— A ot grób matki, a ot ojcowska praca! Ot ścieszki, któremi biegałam za młodu, i moi przyjaciele — dodała wskazując kury, psa i stado gołębi unoszące się nad cmentarzem.

— Cóżbym ja poczęła z wami? co wy ze mną—mówiła daléj—ja was, wybyście mnie nie zrozumieli; a piérwszego dnia, gdyby mi z oczu znikła ta chata i mogiła, z tęsknotybym za niemi umarła. Na co mi świat? albom to ja ciekawa szerokiéj ziemi i sinego morza? Gdzie kogo posadziła dola, tam mu żyć i umierać! Co wam lepszego, że kości wasze leżą rozsypane po świecie, a serce nie ma się gdzie, nie ma do czego przytulić?

— No! to zgnijże tu *gadziów ciaj*!— krzyknęła gniewnie cyganka—chcesz być kamieniem— bądź nim sobie! Głupiego nie wiąże sznurek a wola jego; i skomli jak pies na łańcuchu, a urwać się nie ma siły.... Omyliłam się: w tobie nie ma już krwi cygańskiéj!

To mówiąc powstała oburzona, ale gdy znowu spojrzała na twarz zasmuconą Marysi, na te rysy, które jéj Tumrego w całym blasku młodości przypominały, zmiękła i zatrzymała się, zmieniając głos, który chciał zionąć nowemi przekleństwy.

— A co twoja za dola?—spytała—Ot! młodość przesiedzieć na mogile! Kto ciebie zechce? kto cię przytuli? kto pokocha? Sponiewierasz młodość swoję, sprzedasz się za chléb i za strach może, a potém pójdziesz o kiju żebrać obelg i szyderstwa.... Szczenięta psa twego nogi ci będą obrywać!

— Niech i tak będzie,—odpowiedziała Marysia,— a czy to życie tak długie?

— Żal mi cię dziewczyno, boś nie stworzona na poniewierkę,—dodała Aza. —O! o! jakbym ja ciebie po swojemu ubrała, a nauczyła skakać i śpiewać; panowieby szaleli za tobą, pieniądzeby się sypały gradem.... Kto wié! w złocie czasem chodzą cyganki i garścią złoto rzucają.

Tych słów pokusy nie zrozumiała nawet dziewczyna, bo się rozpłakała na wspomnienie matki, które jéj przyszło do serca.

—Ej! to darmo, —szepnęła cicho—doli swojéj nie przerobić, losu nie przetkać na nowo; człowiek jak nić, co ją Pan Bóg przędzie: z grubéj, na cienką wysnują ludzie, ale z cieńkiéj nie zrobią grubéj... Na cóżbym latać miała za lepszém, kiedy go dla mnie nie ma na świecie.

W téj chwili rumieniec jak krew trysnął na twarz dziewczęcia, bo posłyszała tętent siwego konika i przyszło jéj na myśl, że gdy ją Tomko z cyganką zobaczy, już i spojrzéć na nią więcéj nie zechce.

Aza dostrzegła niepokoju Marysi, odwróciła się, powstała, najrzała chłopaka, który niespokojném okiem szukał siéroty, i odgadła wszystko.

Tomko widział w przelocie, że nie była samą; nie zatrzymał się nawet, obejrzał tylko, uśmiechnął i poleciał ku wiosce.

— Ha! teraz ja to rozumiem—śmiejąc się zawołała Aza—dlategoto białowłosego nie chce ci się od chaty i mogiły... Zawczasu dziéweczko, zawczasu! Gdybyś z nami była, ukochałabyś kogo chiała, porzuciła odchodząc, i ktoby tam wiedział, co ci przez serce przeszło. Ale tu!! ot mizernie ci zginąć przyjdzie nie zakosztowawszy życia! Jeden cię zbałamuci, a wszyscy palcem pokazywać będą! Myślisz, że się ten młokos z tobą ożeni? O! o! czy jemu to w głowie; dość spojrzéć na niego, żeby cię pożałować: godzina wesela, reszta życia płaczu! Póty on tu jeździ, póki piérwszéj łzy nie zobaczy; a potém, bywaj zdrowa! Prosty nawet chłop cię nie weźmie, bo i jemu zechce się krasnego pasa, czerwoną wstążką związanéj flaszki na weselu... Myślisz, że ludzie kochają? A! głupia! głupia! psy, to jeszcze, ale ludzie!!

Potrzęsła głową, poczekała na odpowiédź i udała, że odchodzi. Marysia milczała, łzy się jéj w oczach kręciły.

— Nie pójdziesz z nami?—spytała Aza.

— Nie, nie!—odpowiedziała siérota—niech się dola spełni, nie ucieknę ja od niéj.

— To gnijże, gnij!—odparła cyganka gniewnie,—na dolę człek ma wolę... ale głupiemu nie poradzić!

I wysunęła się ze cmentarza, ale oglądając się, zatrzymując, wahając, jakby ją co nazad ciągnęło; a Siérotka przeprowadził cygankę szczekaniem i wyciem aż za górę.

Gdy się w człowieku gwałtowna rozbudza namiętność, wszystko coby bieg jéj tamować powinno, jeszcze go silniéj przynagla. Jest w tém coś niepojętego: walczym z sobą, cierpiemy, a z walki i boleści zarówno korzyść odnosi nieprzyjaciel. Owszem, przeciwności mają w sobie siłę podbudzającą, któréj nie posiada powodzenie. Tę uwagę, nie śmiejcie się czytelnicy, robimy z powodu przywiązania Tomka Choińskiego do córki cygana; ale Tomko nie takiż człowiek jak my wszyscy i nie temuż ulega prawu, co bracia jego w Adamie:—w słabości i upadku?

Tomko jak wszystka szlachta podupadła, a nieco zamożniejsza, mimo swego skromnego leśniczostwa i budki, w któréj jego rodzice mieszkali; dumny był, jakby jeszcze przysłowie o zagrodzie i wojewodzie pamiętał.

Piérwszy jego krok do Marysi całkiem był tylko skierowany płochą myślą uwiedzenia biédnego dziewczęcia. Zbliżył się, poznał, przypatrzył, postrzegł, że trudniéj to będzie niż mu się zdawało; ale w chwili, gdy już postanowił porzucić głupie zaloty, po czasie było: poczuł, że bez tego ślicznego stworzeńka z którego oczu raz się napił rajskich nadziei, już żyć nie potrafi.

Chłopak tego sobie nie mówił, śmiał się z tęsknoty i serca własnego, ale rady nie było na nie. Gdzie pojechał, Bóg wié jak kierował drogą, a musiał przesunąć się mimo lepianki; którego dnia dziewczyny nie zobaczył, tęsknił aż szalał: w ostatku pochmurniał, zadumał się i zmiarkował, że to nie żarty

— Czarownica czy co!—mruknął w duchu—jużciżto nie piérwszyzna mi się kochać, a nigdy takiéj z tego jak teraz nie miałem dokuki... Jeszcze licho nadało: ładne, gołe, a harde, że ani przystąpić. Oj! cyganka! cyganka! dała mi jakiegoś licha w téj wodzie, comto się jéj na moję biédę od niéj napił!

Tak rozmyślał Tomko, a rady sobie dać nie mógł; już był postanowił co będzie to będzie formalnie się do niéj począć zalecać, choćby do reszty postradać głowę, gdy przejeżdżając koło chaty właśnie w czasie bytności Azy, temi stosunkami Marysi z łotrowską bandą włóczęgów tak się zgorszył, że postanowił ani już spojrzéć na dziewczynę.

Cały dzień latał łając, wściekając się, srożąc, tłukąc za swoje grzechy nieszczęśliwego siwka, a na cyganach się to skrupiło, bo ich zaraz ze wsi przepędził własnym domysłem, tak, że ledwie czas mieli rzucić na wóz manatki, i co prędzéj ku sąsiedniéj wiosce pociągnęli.

Tomko zaklął się nawet, szczęściem sam przed sobą, co go nie tak bardzo zobowiązywało: że zupełnie o Marysi zapomni, do chaty za wsią nie zajrzy, i pocznie się do Horpyny sotnikównéj zalecać, gdzie pewien był, że go dobrze przyjmą; ale wszystkie te postanowienia trwały niezachwianie niespełna dwadzieścia cztery godziny.

W ciągu nich nawet Tomko, nie gościńcem wprawdzie, ale kędyś drożyną poza cmentarzem przejechał raz mimo chaty i z ukosa spojrzał w stronę Marysi. Nazajutrz już mu z tém strasznie było ciężko; ale na lekarstwo wprosił się do sotnika. Horpyna była niczego, zdrowa, hoża, młoda i niezmiernie śmiała; sotnik wdowiec, w chacie tylko stara milcząca najmitka: słowem, zaloty szłyby były jak po maśle, bo dziewczęciu panicz się wcale podobał; ale Tomkowi po Marysi wydała się sotnikówna tak pospolitą, prostakowatą i bezwstydną, że pokręciwszy się chwilę koło niéj, choć go zapraszano na wieczorynkę, pod pozorem objazdu lasów powrócił do domu.

Chmurny a gniewny sam na siebie, położył się spać i zaspał sprawę bardzo wcześnie z wieczora. Ale sen co miał go uleczyć, to mu w głowę naplątał jakichś obrazów, że z niemi wstał o zaraniu gorzéj jeszcze niż był rozmarzony.

I tego dnia i kilku następnych kręcił się, włóczył jak Marek po piekle, i nic mu niby nie było, ale taka się do niego uwiązała tęsknota, że coś to aż na chorobę zakrawało.

Wszędzie mu było źle, nudno, samotno; a że dawno dosyć rodziców nie odwiedzał, wziąwszy pozwolenie we dworze pojechał na budki.

Owa szlachecka w lesie osada nie była tak bardzo oddalona od Stawiska; leżała ona na samém pograniczu pomiędzy Rudnią a wioską pana Adama, i składała się z dziesiątka chat czynszowników dawnéj szlachty, niegdyś sprowadzonéj do wyrobku lasów i palenia potażów, teraz zmienionych w rolników i przyrostów do kąta, w którym się od pradziada zagnieździli.

Chaty czynszowników rozrzucone były na górzystéj wśród lasu polance, co roku prawie szerzéj wykarczowywanéj; każdą z nich oddzielał od sąsiednich ogród obszerny, półko, sad wiśniowy, pasieczka, stare grusze i czereśnie, a białe domki wdzięcznie malowały się wpośród lasu. Na pagórku od kraju leżała chata najbogatszego pana Choińskiego, który miał do dwudziestu roboczych koni, gospodarstwo zamożne, i bandle prowadząc to wołami, to wieprzami, głośny był jako Krezus między swemi. Świeżo wzniesiony domek z dobrego drzewa dość wysoki, z kominem i ganeczkiem o dwóch słupkach, okolony porządnemi zabudowaniami, powiadał wyraźnie czyjém był pomieszkaniem.

Adam Choiński bylto już poszpakowaciały człowieczek, przebiegły, pracowity, który nie z jednego pieca chléb jadał, bywał na wozie i pod wozem; a że mu się wszystko dotąd, czego dotknął udawało: przemyślał coraz co nowego, aby nie próżnować i groszowi nie dać darmo leżeć. Brał pola cudze nawspół, kupował woły, karmił wieprze, sprzedawał masło i sery od licznéj trzody bydła, koło którego Adamowa szczęśliwą miała pieczę, najmował się pod transporta drzewa i zboża, a wreszcie gdy zabrakło konceptu, to po sól do Konstantynowa, to po ryby jeździł do Pińska, co roku kapitalik powiększając obrotami. A że i pasieka się rozmnażała, bo jejmość była gospodynią co się zowie, i w domu żyło się oszczędnie: co dzień miał się lepiej Choiński.

Tomko był u niego jedynakiem, ukochaném dziecięciem, a przez jejmość trochę nawet pieszczonym; pan Adam nie dawał mu jednak próżnować i bąki strzelać: oddawał go naprzód do parafialnéj szkółki, potém na służbę choć lekką do Mińska, abyto niby coś robił. Że niedaleko otrzymał miejsce, widywali się z rodzicami niemal co tygodnia, bo jeżeli Tomko nie przybył, to Adamowa kałamaszkę zaprzągłszy, jechała do niego się dowiedzieć.

Stary był doma, i matuś aż na próg wybiegła, gdy kopyta siwego zatętniały na podwórku. Pan Adam wybierał się tego dnia gdzieś na jarmark, i wóz już stał przygotowany przed chatą, a on sam we drzwiach wdziewał szaraczkową kapotę, gdy się syn przystawił. Choć się krzepko trzymał, pan Adam nie był już młody: włosa miał

jeszcze dosyć, ale szpakowatego, twarz do zbytku może rumianą i ogorzałą, oczki szare biegające, usta szerokie i uśmiechnięte, a nad niemi wąs szczególnego rodzaju. Kształt jego wymyślić musiał ktoś, co wąsa ogolić żałował, choć znał z doświadczenia niedogodności jego i zapobiedz im usiłował przemyślnie. Coś to było nakształt siwego sznureczka, w równém oddaleniu od ust, by w potrawy nie zaglądało, i od nosa żeby go tabaką nie walać; niepostrzeżona prawie linijka twardo stojącego i krótko obciętego włosa, która pozwalała się pochwalić wąsem, a zimą i latem do niczego nie zawadzała. Biéda tam tylko być musiała z goleniem, żeby po tygodniowym lub dłuższym odroście, trafić na pozycyą owego wąsa; ale od czegoż doświadczenie? Golił się sam pan Adam i nigdy wąsów nie wykąsił, ani się im dozwolił do zbytku po twarzy rozpościerać.

Ledwie Tomko zsiadł z konia, troskliwe oko matki i baczne wejrzenie ojca, już go objęły całego, i oboje postrzegli, że chłopak przymizerniał, a wesołość która dawniéj twarz jego okrywała, stracił. Pocałował w rękę rodziców, i milczący, powolnie, bez swawoli, bez głosu wszedł do chatki.

Ojciec go nie spytał co mu było, ale matka zaraz szepnęła na ucho:

— Co to? czyś nie chory Tomku? albo ci się co nie stało? Mizernie ci coś z oczu patrzy?

— Ot tak!—rzekł leśniczy—coś mi na sercu ciężko.

— No! no!—dodał zażywając tabaki stary Choiński, który i pytania i odpowiedzi dosłyszał—raz wraz bo z dziewczętami się parasz... *Dobra taja brednia... ale nie szczo dnia...* Jużby czas ją porzucić, a to zdrowie stracisz i na jakie licho trafisz, że ci kwaśnego piwa nawarzy!

Tomko, który się ojca bał i wstydził, zawołał zaraz:

— A gdzie mnie tam to głupstwo w głowie, tatuniu; nie miałbym roboty... Ciężko lasu upilnować: nie ma dnia, żeby nie było trzeba siekiery odbierać... Pan nie żartuje, sam po drogach o kwitki pyta, tchnąć człek nie ma czasu.

— To i dobrze, że pracować musisz; to i dobrze!

— Ale jednakże, żeby zdrowia nie nadwerężył!—dodała matka.

— Porzuć jejmość—przerwał stary—praca nie zaszkodzi, byle to prawda tylko była, co Tomko mówi, jeszczeby pół biédy; wyśpi się, najé i będzie zdrów.

Matka spojrzała, westchnęła i zamilkła; a przypomniawszy sobie, że syn może być głodny, pobiegła do komory po przekąskę. Stary z boku popatrzywszy na syna, sam wkrótce do ładowania wozu i wyboru na jarmark pośpieszył, bo zwykł był mawiać: sprawa sprawy nie tamuje... Jakoż wkrótce konie zaprzągłszy siadł i pojechał, choć mu tęskno było syna porzucać, ale jarmarku opuścić nie mógł.

Adamowa była matką, syn jéj jedyném dziecięciem, jakże tu przenieść widoczną jego zmianę, smutek i troskę? Poczęła koło niego chodzić, żeby się prawdy dopytać.

Tomko nic dla niéj skrytego nie miał, a choć matka do zbytku pobłażała mu może, serce też za to miała zawsze dla siebie otwarte. I teraz nietrudno jéj było o przyczynę zadumy dopytać.

— Ot, licho się do mnie przyplątało—rzekł pocichu, kryjąc oczy jak winowajca.

— Ani chybi, znowu tam jakieś przeklęte dziewczysko—zawołała matka—Gadaj już gadaj... niech wiem, co się święci.

— Teraz to chyba gorzéj jak kiedy—odparł Tomko, i nuż spowiadać się matce, a słów nie skąpił, bo mu się na nie długo zbierało. Gdy począł mówić, wygadać się nie mógł.

Adamowa stała, słuchała, głową kręciła i summowała zasmucona.

— Hm! hm!—rzekła po chwili—lepiejbyś to sobie z głowy wybił... Cyganka... djabeł ją wié ... *może co zna*! O jéj ojcu i matce dziwy prawili: nasłuchałam, się że włosy na głowie wstają.... Cyganisko się w końcu obwiesił!! Brudy i szkarady: potrzeba ci było tam nosa wtykać?

— A! kiedyżto ładna jak drugiéj w życiu nie widziałem!—zawołał Tomko—a poczciwe, a skromne!

— E! pluń ty mi na to! A zkąd się tu u niéj poczciwość ta i skromność wziąć miała.... Widać tylko durzy ludzi... Ej! ostrożnie Tomku, ostrożnie, bo się doigrasz! Dziewczyny mi téj więcéj ani patrz! Mało masz szlachty, coby każda za ciebie poszła.... to się żeń już lepiéj, niż masz tak bałamucić.

Długo jeszcze w ten sposób mówiła pani Adamowa; słuchał jéj syn w milczeniu, ale znać było, że do serca mu

to nie szło, i matka pomiarkowała, że go przekonać nie musiała, bo ciągle w jedno biła, powtarzając swoje, a słowa z niego nie mogąc wywołać. Gdy nareszcie milczący odjechał, rozpłakała się usiadłszy na ławie. Biédna kobiéta przebiegła w myśli wszystkie możebne skutki synowskiéj namiętności, i drżała nad dziécięciem, chciała go już z leśniczostwa odebrać, to daleko gdzieś zasłać, tak jéj cyganki i czarów strach było.

Cała zadumana o przyszłości, ani spostrzegła, jak zmierzch padł na dworze; w chacie noc się zrobiła, a drzwi powoli rozwarły się i głos z nich chrypliwy, pocichu ją pozdrowił.

— Dobry wieczór imościuniu!

Dopiéro odwróciła głowę, wstrzęsła się i nie mogąc poznać gościa, zapytała:

— A kto tam?

— Oj! a tożeście mnie widzę staréj sługi nie poznali?— dodała śmiejąc się chrapliwym głosem Sołoducha.... Stara Ratajowa ze Stawiska! Byłam na budkach u Marcinowéj, któréj Pan Bóg dał syna... i do jéjmości przychodzę jako do kumy z *warem*.

Zerwała się szlachcianka, krzyknęła na sługę i wnet zaświecono łuczywo. Po przyjęciu podarku, kazawszy dziéwce w zamian zań krupniku, tojest wódki z miodem i korzeniami przyprawić, Adamowa poprosiła babę, żeby usiadła i sama się przybliżyła do niéj. Na rękę jéj było właśnie urodziny owe i przybycie Sołoduchy, bo nie wiedząc jak ścisłe stosunki łączyły starą z Marysią, a znając zdawna lekarkę, chciała z niéj coś o cygance się dowiedzieć.

Zręcznie więc naprzód podpoiwszy babę, nuż wypytywać o to i owo.

— Oj!—rzekła nakoniec wzdychając—biédato moja, że Tomko u was w Stawiskach; chłopiec młody, strasznie do dziewcząt ochoczy a z dawien dawna o waszych niedobrze słychać: wszystkie tam ladaco, gotowe mi go rozłajdaczyć.

— Moja jejmościuniu—odpowiedziała stara—jak się co ma zepsuć, co chcesz rób, nic nie pomoże... A ja tak źle nie myślę o waszym synu, a nasze dziewczęta toż nie takie teraz jak bywały, kiedyto pan młodszy hulał i psuł ludzi.

— I teraz się tam jeszcze znajdzie niejedna, co mego bałamucić zechce... a może się już i znalazła?— spytała szlachcianka ciekawie.

— Nie wiém.... nie wiém—odparła baba śmiejąc się— at, zwyczajnie nie do jednéj się uśmiechnie, jak naprzykład do sotniczanki Horpyny; ale to młodość na to....

— Tam-bo u was—dodała Choińska nie mogąc dłużéj wytrzymać—jest jakaś cyganka, którą chwalą, że ma być bardzo piękna....

Sołoducha podpita już, miała wielką ochotę gadać, i zerwała się z siedzenia jak oparzona.

— To o Maryś widzę mówicie—przerwała—O! o! daj nam Boże wszystkim takie dzieci, jak ta dziewczyna się udała! Cyganka nie cyganka, a drugiéj takiéj we wsi nie znajdziesz. Czyto wy nie wiecie nic o niéj?

Matka rada się była jak najwięcéj dowiedzieć, i nalawszy jeszcze kieliszek wódki Sołodusze, poczęła ją wypytywać.

Dopiéroż Ratajowa dziwy o dziewczynie jęła jéj śpiewać, o jéj życiu, pracy, piękności, poczciwości, wytrwaniu; jakie to śliczne, jakie to dobre, i jak to Bóg sam sierocтwo jéj wykołysał. Stara Adamowa zadrżała, zmarszczone jéj czoło okryło się potem, i ciężki niepokój sercem poruszył; załamała ręce, wydając się ze swoją tajemnicą.

— To już nie ma co taić—zawołała—Tomko się mój w niéj na zabój rozkochał; był tu u nas przed chwilą.... przyznał mi się że za nią szaleje.... Co tu robić Sołoducho?

Baba spuściła głowę milcząca.

— Alboto ja wiém!—rzekła.

— Żenić się z cyganką, z sierotą, z ubogą, a jeszcze i poddanką waszego pana, ani myśleć Choińskiemu—dodała z dumą Adamowa—a chłopcu jakby kto co zadał!!

— Dziewczyna poczciwa—przerwała Sołoducha—ona go bałamucić nie będzie, Tomko sobie ją z głowy wybije.

— A jeżeli to czary?— spytała szlachcianka pocichu.

— Jakie czary?—odparła ruszając ramionami Sołoducha—czarne oczy, czerwone liczko, ot, i po wszystkiém...

— Ależ Tomko mój oszalał!

— Alboto jemu pierwszyzna!

Flasza stała gotowa, baba schwyciła ją pod pachę i zabierała się do wyjścia; niespokojna szlachcianka jeszcze do szafy poszła po grosz jakiś i wetknąwszy go staruszce, usiłowała ująć ją sobie:

— Słuchajcieno — rzekła pocichu — a gdybyście wy mnie pomogli i oko tam mieli na mojego chłopaka: dalipan gotowabym wam takiego gościńca dać, o jakim się wam ani śniło!

— A co ja mogę?! — szepnęła Sołoducha odtrącając pokusę i szybko sunąc ku drzwiom — bądźcie spokojni, ja do Marysi chodzę, z oka ich nie spuszczę, i co podołam to zrobię: nic się złego nie stanie! Bóg z wami! nie macie się strachać czego.

Mówiąc to baba wpół pijana, starała się jednak język za zębami utrzymać i szybko wyszła z chaty, a ledwie w podwórku aż się za siwą uchwyciła głowę.

— Cyt! cyt! — zawołała do siebie — precz licho! ta-to się na wielkie rzeczy kroi! Myślałam, że Tomko tylko ją bałamuci i szczęścia probuje, a on naprawdę zaszłapał! No! no! może Pan Bóg sierocie da szczęście!

A jakto w każdéj ludzkiéj czynności by najlepszéj, jest djablego ogona kawałek, bo nim szatan musi każdą zamieszać potrawę; do dobrych chęci dla Marysi starej Sołoduchy, wmieszało się i złe uczucie, dodając jak drożdże ciastu siły robocie i wzrostu. Choińscy byli bogaci, stary trochę się czwanił i rękę kładł za pas; Adamowa w niedzielę na panią patrzała, w chacie ich było dostatnio: a myśl opokorzenia ich dumy daniem im cyganki, sieroty za synowę, uśmiechnęła się staréj Sołodusze.

— Ot toby dopiéro musieli nosy pospuszczać — dodała w duchu — oni co najmniéj jaką ekonomównę lub pannę z garderoby dla syna roją; a tu im przyjdzie golusieńkie cyganiątko!! i córka wisielca!

Ratajowa cała w rozmysłach stanęła nawpół drogi.

— Coby tu robić? — spytała się sama siebie ożywiona wódką — jakby to począć?

Chwilę tak stała głęboko zadumana, potém coś zapewne przemyśliwszy, kopnęła się wesoło do chaty pani Marcinowéj. Tu choć dni jeszcze parę miała zabawić, ale tak się poczęła niepokoić o Marysię, że nazajutrz rano piechotą

wyrwała się do Stawiska, nieczekając na podwodę. A że dobrze znała okolicę; przez lasy wprost poszła ścieszką na cmentarzysko wiodącą.

Zbliżając się ku niemu, zdala już poglądała, czy nie zobaczy dziewczyny przy mogile; ale choć dzień był piękny, nikogo tam nie dopatrzyła, tylko z tumanem kurzawy Tomko na siwku przeleciał, i mignął jéj jak strzała przed oczyma.

— Leć! leć! — uśmiechając się zawołała baba—złapiemy cię ptaszku; ale gdzie hołubka moja? gdzie Marysia?

I przeszedłszy wpoprzek drogę zbliżyła się do chaty, w któréj izbie pies zaszczekał. Drzwi były zamknięte, zapukała, i po chwilce Marysia przyszła jéj otworzyć. Stara bystrém okiem podejrzeń pełném zmierzyła spokojną i smutną dziewczynę.

— A co to ty w chacie?—zapytała.

— Ot tak!—odparła Marysia—nie chciało mi się piec na słońcu....

— Bałamucisz! gadajno prawdę!

— Ten się włóczy a włóczy—pocichu szepnęła Marysia—raz wraz mnie zaczepia: musiałam się przed nim schować.

Sołoducha mrugnęła oczyma.

— I cyganka się już do mnie jakaś dwa razy przywlokła, dziwy mi prawiąc.... Nie śmiém wyjść już na cmentarz.

— I dobrze robisz—odpowiedziała Sołoducha siadając—ja ze strachu żeby ci się tu co złego nie stało, leciałam do ciebie aż z Budek od Rudni jak oparzona.... Chłopcu ani końca nosa nie pokazuj! Już ja co wiém, to wiém!

— A cóż wiecie?—spytała zarumieniona Marysia.

— On się w tobie do szaleństwa, na zabój rozkochał!—na ucho ostrożnie szepnęła baba—bylebyś rozum miała, to się z tobą ożeni.

— On! ze mną!—czerwieniąc się coraz mocniéj krzyknęła Marysia—chyba żartujecie ze mnie?

— Ale gdzie tam! takjest! miéj rozum, a nie przypuszczaj go do siebie ani na staje, to go będziesz miała.... Tyś głupia, ale ja żyłam na świecie, to wiém: mężczyznie im gorzéj dokuczysz, to cię lepiéj pokocha.

— Tego nie rozumiem moja matko!

— Rozumiész, nie rozumiész, a rób co ci mówię! Zobaczysz, ja w tém ze pójdziesz za szlachcica i cała wieś będzie ci zazdrościć.... A dopiéro stara Sołoducha wziąwszy się na weselu pod boki, całéj wiosce powié: — A co? a co? ot, jak moja cyganka poszła za mąż? Nie chcieliście na nią patrzéć, teraz się jéj będziecie kłaniać; a kto to zrobił.... Sołoducha!

I baba w istocie wzięła się pod boki i podrygiwała stanąwszy naprzeciw Marysi, która przelękła i zdumiona więcéj niż uradowana, patrzała jak Siérotka na Sołoduchę szczekać począł, widząc ją w tak niezwykły sposób uwijającą się po izbie.

— Matuniu! — powtórzyła dziewczyna — ale ja was nie rozumiem.

— Cyt! — zamykając jéj usta dodała stara — tylko mnie słuchaj, a głowy nie masz czego łamać.

— Ale cóż mam robić? — spytała Marysia.

— W chacie siedzieć, nosa na dwór nie pokazywać: to piérwsze.... Zobaczysz, szczęście ci się samo położy na progu i garścią go weźmiesz....

To powiedziawszy Sołoducha usiadła na ławie i nieco odetchnąwszy, wyraźniéj się tłumaczyć poczęła.

— Musiał szlachcic zaszłapać — rzekła — kiedy już i matka jego wié o tém, a ze strachu umiera, bo się przedemną aż wyspowiadała. Teraz tylko podmuchać i ogień będzie. Do cerkwi w niedzielę wystrój się moje dziecko, ale jeźli cię zdybie, zaczepi, zagada, ani się nawet oglądaj.... Tomko zobaczy, że tu nie ma innéj rady, tylko się ożenić; i albom ja już do niczego i głowy nie mam, albobym przysięgła, że się ożeni!... Rodzice krzyczeć będą, łajać, fukać i na niego i na ciebie, ale w końcu pozwolić muszą.... Chłopiec niczego! chata raj! hroszy u starego choć czapką mierzyć... Nie zapomnisz, spodziewam się i o staréj Sołodusze.

Zdziwiła się stara podniósłszy oczy na Marysię, gdy ją we łzach całą ujrzała.

— A tobieżto co? — krzyknęła.

— A matuniu — cicho odpowiedziała Marysia — nibyto ja rozumu nie mam! Gdyby się to i stało, a coby mnie tam w chacie czekało?

— Co? — ofuknęła baba....

— Czyby mnie to tam jak dziecko przyjęli i ojciec i matka? A ktoby mi dobre słowo powiedział! Na niewolębym tam chyba poszła i na poniewierkę.

— Albo to starzy wieczni!

— A na co mam ich śmierci patrzéć? — odezwała się dziewczyna.

— I cóż myślisz?—przerwała Sołoducha.

— A cóż? gdyby nawet takie szczęście spotkać mnie miało, ja go nie chcę.

Baba osłupiała z podziwu, załamała ręce, przeżegnała się mrucząc coś pod nosem niezrozumiale.

— Alboto mi tu źle?— spytała Marysia—albo mi brak wody i chleba? A na co mi więcéj? Przywykłam do chaty i wiek w niéj przeżyję.... Szlachcicby mi całe życie wytykał, że mnie z błota wyprowadził; gdyby nie on, to i chłop gdyby mnie wziął, nierazby w złą godzinę nazwał cyganką i córką wisielca.... Wolę, że mi tu ściany milczą, niżbym tego słuchać miała.

Sołoducha z usty otwartemi, milcząc, zdawała się chcieć zrozumieć słowa dziewczyny i nie pojmować ich wcale.

— Otóż tobie rozum!—rozśmiała się nareszcie—oto tobie dola! Jak jéj szczęście świta, toby się chciało, żeby Pan Bóg i wczorajszy dzień przerobił. Tfu! na marę.... licho tam wié, czego ci się zachciéwa! Ja tego i słuchać nie będę; a co wiém, to wiém, i co mówię, to zrobię....

To rzekłszy zerwała się z ławy i cała oburzona, ale podtrzymując się jak mogła tém, że dziéwczę bredzi nie wiedząc co; odeszła od Marysi, we łzach ją zostawiwszy.

Biédne dziéwczę zostało same i usiadło na ławie zadumane tak smutnie, jak nigdy jeszcze; oczy jéj oschnąć nie mogły, a niepokój bił piersią wzruszoną. Co tu począć i jak tyle różnych uczuć pogodzić! Siérotka jakby przeczuł co jego pani cierpiała, przyszedł, siadł przy niéj pocichu, i począł ją lizać po rękach, łapą drapiąc po kolanach, żeby z zadumy rozbudzić. Ale ciężko to było! ciężko!

Piérwszyto raz dziewczęciu ktoś się starał podobać i podobał; piérwszy raz obcy przemówił do niéj tym językiem, który tak słodkiém brzmieniem młode ucho kusi; a uśmiechnąć mu się, odwrócić do niego jak serce chciało,

nie było podobna! Cała przyszłość czarna, ponura, straszliwa stanęła przed sierotą....

— I zawsze tak będzie—mówiła w duchu—i nigdy nie potrafię znaleźć równego sobie; chybabym wzięła żebraczego syna i poszła w świat ze ślepym! Któż weźmię cygankę? Kto wié! kto wié! dobrze może radziła stara cyganicha, pójść z nimi na wieczną włóczęgę.... Ale jakby moję kochaną chatę i mogiłę porzucić, i moje życie spokojne?

— A!—dodała płacząc—już ono nie będzie jakiem było! Jeden się zbliżył i spojrzał... podobam się drugiemu, nie dadzą spokoju, aż sponiewierają mnie bezbronną i bezsilną... Co tu począć! co począć!

I załamała ręce.

Ale w chwili największéj rozpaczy, przychodzi czasem otucha, świta pociecha niespodziewana. Marysia spojrzała przez okienko na jasne niebo, na uwijające się ptaszki pod chatą, posłyszała szczebiotanie swych skrzydlatych przyjaciół, i trochę jéj przybyło odwagi.

— Bóg łaskaw—rzekła pocieszając się w duchu,—co będzie, to będzie, ja do mojéj roboty, do mogiły i do dawnego obyczaju powrócę... A przyjdzie umierać, to nie pożałuję świata, bom go nie zaznała! Tyle go dla mnie, co w oknie.

Tymczasem, jak łatwo można było przewidzieć, szalony chłopak, choć co dzień się zarzekał, że Marysi więcéj nie zobaczy, codzień więcéj za nią przepadał; w końcu całkiem poddał się téj namiętności, i już na nie postanowił nie zważać.

Marysia udawała obojętną i w niczém nie zmieniła postępowania; ale czasem musiała choć po niewoli nań spojrzéć, a ten wzrok przeszywał go do duszy; musiała powiedzieć słówko, a mowa sprawiała mu dreszcze i sprowadzała sny dziwaczne; musiała się pokazać choć na chwilę, a ujrzawszy ją leśniczy głowę tracił do reszty. Przyszło w końcu do tego, że po pięć i sześć razy włóczył się około chaty, w któréj Marysia ze strachu, aby się z nim nie spotykać, siedzieć musiała zamknięta jak niewolnica.

Nie można się było z nim rozminąć, kręcił się po gościńcu, przy studni, poza cmentarzem, i czyhał tylko, żeby ją zobaczyć.

Ludzie dobre mają oczy, zwłaszcza na cudze sprawy: rychło też po wiosce wieść gruchnęła o zalotach leśniczego do Marysi, a sam pan Adam, który wraz gospodarzem i pobożnym został, codzień teraz prawie łapał na drodze do lasu wykradających drzewo bez kwitów. Tomkowi leśniczostwo wcale nie było w głowie; zgromił go raz i drugi dziedzic: wysłuchał bury, ale się nie poprawił. Pan Adam zapowiedział, że go za trzecim razem odprawi; ale zaraz nazajutrz złapano w szkodzie z sąsiedniéj wsi chłopków, którzy korę dębową obdzierali do blizkiéj garbarni. Pan Adam wpadł w gniew potężny, i Tomkowi natychmiast leśniczostwo odebrał. Strata miejsca niewiele go obeszła, ale bał się ojca i nie wiedział jak się tłumaczyć; a że go serce wiązało do Stawiska, postanowił do czasu utaić odprawę, i przyzostać w chacie sotnika, dobiegając z niéj do cmentarza i Marysi.

Przywiązanie do niéj gwałtowne i niepohamowane, dziwnie nad nim brało górę. W piérwszych chwilach była to tylko młoda fantazya, płoche zachcenie i powab pociągający pięknéj twarzyczki: Tomko chciał się pobawić i porzucić; ale teraz myśli jego całkiem barwę zmieniły: chciał się już żenić i nie taił z tém przed sobą. Widział on niepodobieństwo ożenienia dla rodziców, ale dziecinnie i wieśniaczo mówił sobie, że uciecze z dziewczyną, że się z nią gdzieś ukryje; a ożeniony gdy wróci, rodzice ich przyjąć będą musieli.

— A nie,—dodawał w myśli—to pójdę służyć na kraj świata, pójdę dla niéj i dla siebie pracować, ale jéj nie porzucę.

Były nań jeszcze chwile oprzytomnienia, w których się sam z siebie naśmiewał, że za cyganką lata, że oszalał; ale namiętność wnet brała górę i znowu snuł potém rajskie życie z piękną Marysią. We wsi, gdzie już wciąż o tém tylko mówiono, na wieczornicach, na południeńkach, pod cerkwią i w karczmie, Tomko się dowiedział, że Sołoducha i oboje Ratajowie mieli jakąś władzę nad sierotą i opiekę

nad nią, i jak tylko tę wiadomość pochwycił, nazajutrz rano poleciał do ich chałupy.

Sołoducha go czekała, bo wiedziała dobrze, że w końcu musi przyjść koza do woza; i jak go zdala postrzegła, zaraz męża za piec pchnęła, domyśliwszy się, że chłopcu przy nim niebardzo mówić się zechce. Dziad się zrazu ofuknął, ale jak mu stara szepnęła na ucho, że to o siérotę idzie, wgramolił się na zápiecko i począł chrapać, choć dobrze ucha nadstawiał. Sołoducha znowu udała bardzo zajętą i nuż z zimnemi garnkami chodzić od stołu do komina i od komina do stołu. Nie zobaczyła nawt niby, gdy Tomko wszedł do chaty.

— Dzień dobry matko!—rzekł trochę zmieszany szlachcic rozglądając się dokoła.

— A! to panicz!!—zdziwienie udając odezwała się stara—może wrota na łan zamknięte, zaraz pójdę otworzyć...

— Nie, nie, nietrzeba—odparł siadając na ławie Tomko—ja tu do was matuniu po radę...

— Panie Boże! a tóż co!—odezwała się stara śmiejąc—czy już mnie potrzebujecie?? No, mówcież co wam potrzeba; ale ja taki przestrzegam, że lubczyku u mnie nie ma, choć to wy i bezemnie i bez niego sposób sobie na dziewczęta znajdziecie.

— Co tu długo gadać a bałamucić—wstając z ławy rzekł Tomko—ot matuniu powiedźcie mi, czy to wam krewna, czy chrzesna córka, czy co... Marysia cyganka?

— A co ona mi ma być? — ruszając ramionami odparła stara—nic....

— Ale wy z nią żyjecie?

— Bo to widzicie matka nam ją przed samą śmiercią poleciła; ale cóż wam do niéj?

— Co mnie do niéj?—wybuchnął chłopak—tu nie ma co kłamać: ot, ja za nią oszaleję!

Baba udała zadziwienie wielkie, w rękę plasnęła, głową zaczęła kiwać, brwi zmarszczyła, cmokała; wreszcie poufaléj przysiadła się na ławie.

— A na co się wam to zda?—rzekła podpierając twarz zgrzybiałą na pomarszczonéj dłoni—wy myślicie, że to dziewczyna sierota, sama jedna, to ją jak grzyba wziąć; ale wy widzę Marysi nie znacie.

— Jakże nie znam, kiedy mi głowa pęka, że jéj dostąpić nie mogę.

— I takito porzućcie—szepnęła Sołoducha—wierzcie mi, bo z tego nic nie będzie: obałamucić jéj nie obałamucicie, a cóż? o ożenieniu wam ani myśléć: dopiérobyto szlachta krzyku narobiła!

Chłopiec się zamyślił smutnie.

— A ja bez niéj żyć nie będę!—rzekł cicho.

— Co wam się stało?—zawołała baba—Młodemu tak się to zdaje.... Oj! oj! albo to ona jedna? Krzyż z wami! Co wy mówicie? Już że Marysi tak nie dostaniecie nie poszedłszy z nią do cerkwi, to pewna: dziewczyna stateczna, pobożna, pracowita, a i nie głupia, z chłopcem się nie wda.... na gościńce jéj nie złapać....

— No! to się z nią ożenię!—rzekł zamaszysto Tomko—niech co chce będzie, a taki się ożenię....

— A toż rozumna mowa?—odparła starucha—co wam paniczu? czy o Marysi nie wiecie że cygańska córka, czy swoich nie znacie jak nosa do góry zadzierają? Ojciec i matka toby się was wyparli.

Tomko głowę zwiesił.

— Wy-bo sobie tém darmo krwi nie psujcie; bo co nie można, to nie można—dodała Sołoducha. O! jużto prawda, że takiéj śliczności jak ta dziewczyna—kończyła stara powoli poddmuchując ogień, którym leśniczy gorzał;—takiéj śliczności nietylko na okolicę nie ma, ale i na świecie poszukać! Gdyby człowiek nie wiedział, myślałby, że to pańskie dziecko!

Leśniczy westchnął głęboko.

— A tu—rzekł raptownie jakby sam do siebie—ani się zbliżyć, ani pogadać, ani oczu napaść.

— Jużto darmo—dorzuciła baba—ona taka bojaźliwa i skromna, że ledwie zasłyszy turkot na drodze, do chaty się chowa.... Wybijcie to sobie z głowy.

— Kiedy żyć bez niéj nie mogę!—zawołał Tomko rozpaczliwie, i zaklął się; a baba udała, że ją przestraszyło zaklęcie.

— O mój Boże! a cóż to będzie?—zawołała—co to będzie?

— Choćby przyszło dla niéj zginąć.

— Cyt! cyt! cicho, nie mówcie w złą godzinę, ja na to nie poradzę....

— Gdyby choć zobaczyć, choć pogadać—rzekł Tomko—wy tam chodzicie?

— To prawda!—mruknęła stara—co dzień.

— Słuchaj Ratajowa! — gwałtowniéj przerwał leśniczy—ot, rubla kładę na stół, nie odmawiajcie mi a pomóżcie.

Baba odskoczyła obruszywszy się.

— Co to wy oszaleli naprawdę, żebym ja dla grosza dziewczynę gubiła i do bałamuctwa dopomagała.

— Ale posłuchajcież—dokończył Tomko — ja złego nie chcę i o nic was niepoczciwego nie proszę; tyle tylko, jak będziecie u niéj w chacie, dajcie mi znać, wpuście za sobą, niech ja przy was choć przebędę z nią jaką godzinę. Będziesz się na nas patrzéć.

Sołoducha jeszcze się oburzała.

— Ale to nie może być?

— Na miłość Bożą—zaczął zaklinać Tomko—widzicie, że ja nic złego nie myślę.

— A jak się Choińscy dowiedzą?

— Nie dowiedzą się; a gdyby i tak było, niech się sobie dzieje co chce. A to przyjdzie mi dla téj miłości zeschnąć i umrzeć, bo już dłużéj nie wytrzymam!

Babie tak się wszystko ślicznie składało, że jéj aż serce rosło; ale udawała zafrasowaną, i nierychło, nacmokawszy poczęła pocichu szeptać coś Tomkowi na ucho, który rozweselony, jakby ożył na nowo, wsiadł na siwka i poleciał.

Dopiéro z za pieca dziad się zwlókł co najprędzéj po rubla o którym zasłyszał, i chyłkiem skradł się do stołu; ale Sołoducha przeczuwając napaść, dawno już była schowała grosz w węzełek i zatknęła w łóżko, a Rataj go nie znalazł.

Rozpoczęła się zwada, krzyk, targanie; wyparła się Sołoducha, że datku nie przyjmowała; Rataj parę razy kijem machnął i burza ucichła jakoś wkrótce zalana kwaterką wódki.

O zmierzchu Sołoducha wdziawszy świtę, zabrała się na wieś do Marysi, nie bez szyderskiego uśmiechu, przekra-

dając się przez ulice wioski ku cmentarzowi i cygańskiéj chałupie.

Wielka była radość samotnicy, gdy zobaczyła babę zbliżającą się do chaty: rzadkito bowiem był gość o mroku. Marysia właśnie odpoczywała na przyźbie przed sienią, otoczona całym swym dworem, gdy babina się przywlokła, i na widok który miała przed oczyma, stanęła, by mu się lepiéj przypatrzéć.

W istocie było na co spojrzéć.

Śliczne dziéwczę, w białéj koszuli, w krasnym fartuszku, dłonią hojną rozsiewała ziarno dokoła, a wychowańcy Marysi kłócąc się, wyprzedzając i bijąc potrosze, lecieli na nie łapczywie. Szare i białe gęsi, pstre gołębie, kurki czubate, wszystek dwór aż do psa i kota, otaczał panią swoję, nawet kilka dzikich śmiałych wróbli przyplątało się do rozdawanéj karmy, i ukradłszy ziarenko, uciekały z niém co prędzéj pod strzechę. Zazdrosny Sierotka widząc że kury i gęsi zajadają, corazto poskoczył, odpędził je, powąchał tego rodzaju jadło, i nie mogąc go zrozumieć, odchodził zamyślony, jakby powiadał:

— Co téż te głupie stworzenia jedzą!—Marysia śmiała się z tych codzień prawie powtarzanych wybryków swojego ulubieńca. Na widok nadchodzącéj Sołoduchy, i dziéwczę się z siedzenia zerwało i pies zaszczekał, i ptastwo pochwytawszy co mogło naprędce, wrzeszcząc rozbiegło się, a na miejscu swojskiego stadka, wnet drapieżny zastęp wróbli upadł na tokowisko.

Ostatnie promienie słońca oświecały blaskiem jaskrawym te scenę wiejską, nacechowaną sielankową prostotą. Po chwilce Sołoducha przybliżyła się, i ująwszy za rękę Marysię, wwiodła ją co prędzéj do chaty.

—. Słuchajno — rzekła — nie bądź głupia; Tomko się z tobą niezawodnie ożeni, bo ginie bez ciebie biédne chłopczysko... Zaraz tu przyjdzie; tylko co go nie widać. Jużciż przy mnie oczyma cię nie zjé: puść go do chaty, niech choć pogada z tobą.

Marysia zarumieniła się, jakby ją krwią oblał.

— Krzyż na mnie! Ach ja nieszczęśliwa; a cóż ludzie powiedzą?—zawołała.

— A co gadać mają, kiedy ja tu!—ofuknęła ją baba,— ja cię do złego nie poprowadzę: słuchaj mnie tylko, wszystko dobrze będzie. Cyt! cyt!

Położyła palec na ustach, a tuż i tętent siwka dał się słyszeć. Marysia nie wiedziała już co począć: rzuciła się ku drzwiom, ale baba posadziła ją na ławie, i otworzyła je nieco, a Tomko wszedł jak piorun.

Wpadł i prost do dziewczęcia, chwytając ją za ręce:

— Marysiu! serdeczna Marysiu, nie uciekaj! — rzekł zadyszany—nie bój się, tyś mi milsza nad życie! Choć chwilkę pozwól pobyć z sobą gołąbko moja; a jak każesz, to pójdę!

Baba uśmiechnęła się, Marysia zdawała się tracić przytomność i powiodła ręką po czole.

— A! to nie gubże mnie—odzwała się drżąca wyrywając się od niego—kiedym ci miła jak mówisz, nie trujże mi życia!

— Ja! jabym za ciebie w ogień skoczył.

— O! nie mówcie słów takich! nie mówcie, bo im nie uwierzę. Wy się ożenić ze mną nie możecie; na co daremnie gubić sierotę? Rodzice wam nie pozwolą.

Tomko patrzał wciąż w czarne jéj oczy i pałał cały.

— Słuchaj—rzekł—na coto długo się spierać; jeźli mi nie pozwolą rodzice, ja z tobą na kraj świata ucieknę.

— Nie — odparła Marysia żywszym i śmielszym głosem—widzicie przez to okno dwie mogiły na cmentarzu: jedna z nich dziada mojego, druga matki. A wiecie z czego oni pomarli? Jeden, że przeklął dziecko swoje; druga, że na niéj przekleństwo było ojcowskie! Nie chcę przekleństw na głowę moję: porzućcie mnie, porzućcie!

Stara słuchała i brew się jéj namarszczyła, a usta zacięły; Tomko załamał ręce zdziwiony.

— Inaczéj mów,—odparł—ty chyba serca nie masz do mnie Marysiu. No! to mów i zabij mnie już odrazu!

Dziéwczę odwróciło się ku niemu z uśmiechem.

— Dlaczegożbym serca do was nie miała; wyście do mnie pierwsi przemówili dobrém słowem i zbliżyli się do siéroty. I gdyby, gdyby nie strach rodziców waszych, a...—nie dokończyła.

Tomko znów pochwycił ją za ręce i począł całować; ale stara, któréj na myśl przyszło, że powinna była stać na stronie siéroty dla oka, odciągnęła go od niéj.

— Porzuć—rzekła—porzuć, ot siadaj na ławie i rozmówcie się po ludzku.

Marysia zobaczywszy, że stara zabiéra się ku drzwiom, podbiegła i wstrzymała ją.

— Na krzyż Pański nie odchodźcie,—krzyknęła—zlitujcie się! Ja nie zostanę sama: to być nie może.

— Siadajcie,—rzekł Tomko—mnie pozwólcie zdaleka być... choć popatrzéć.

Marysia, na któréj to wszystko dziwnie smutne jakieś czyniło wrażenie, podparła się na ręku i rzewnie rozpłakała; chłopcu zrobiło się przykro, boleśnie: odsunął się do progu i stanął jak wryty.

— Ej! dzieciaki! dzieciaki—zawołała Sołoducha—Ot! głupie! coby mieli czasu użyć, pogadać ślicznie, oboje podurnieli i licho wié jakie stroją fochy.—A no! porzućcie...Marysia tobie do smaku, a i ty jéj nie hydki: chcesz się żenić, czegóż tu płakać; weselcie się dziateńki.

— Nie wesele mnie w głowie—odparła Marysia—mnie tak straszno! tak straszno! Od czasu jak przestąpił próg chaty mojéj, głowę tracę!

— Marysieńko!— odezwał się Tomko—klnę ci się na Boga, na wszystko, że się bać nie masz czego.... Ja twój, zrobię co każesz, byleś mnie nie odpędzała.

— Co wam o tém mówić—odpowiedziała Marysia—a rodzice, a wasi? a nuż się dowiedzą? Jutro was zaślą daleko, a mnie ludzie osromocą i zginąć przyjdzie marnie.

Trudno było odjąć obawę siérocie, i Tomko i Sołoducha próżno się o to silili: rozmowa nie szła, a że wieczór się zbliżał, po krótkim rozhoworze baba kiwnęła na Tomka, chłopiec westchnął i ujść musiał. Siwek pasł się na wale cmentarnym, i ledwie go złapał; a Rataicha aż się za głowę pochwyciła zobaczywszy, że w chwili właśnie gdy Tomko z chaty się wymykał, wóz Marcina z budek rudeńskich przesunął się mimo cmentarza. Choiński nie uważał na to, tak był Marysią i koniem zajęty; sierota nic nie widziała, ale baba rozrachowała zaraz co z tego wyniknąć może, i na wieś pobiegła zachmurzona tym wypadkiem.

Marcin dobrze był jéj znajomy, bo świéżo chodziła pilnować jego żony; chciała go Sołoducha dognać i uprosić o milczenie; ale gdzie starym nogom zdążyć za młodemi końmi?

Szlachcic popędził w tumanie kurzu w jednę stronę, Tomko w drugą; Sołoducha o kiju powlekła się ku karczmie.

Wiedziała ona, że Marcin gaduła jakiego świat drugiego nie miał, karczmy pewno nie minie, i rachowała na to, że go tam jeszcze palącego fajkę zastanie. Omyliła ją wszakże nadzieja.... Nim z góry zeszła, nim groblę przebyła, nim się z trzodą spotkawszy wyminęła z bydłem, doszedłszy nareszcie do karczmy, postrzegła, że Marcin już konie zaciąwszy, boczną ulicą do Rudni poleciał.

Baba zła, na zwiady tylko weszła do izby szynkowéj. Szumko szynkarz z kilką innemi włościanami stał wpośrodku izby gawędząc pocichu z nimi; nie zważali jak się baba wsunęła.

— Tak, tak— rzekł rozdając tabakę szynkarz do starosty cerkiewnego—on tu sobie hula i kręci się koło dziewczyny, a tam rodzice myślą, że jeszcze we dworze służy. Marcin aż ramionami do sufitu ruszył, gdym mu powiedział, że już leśniczostwo oddane Pawłowi; a to wczoraj jeszcze stary Choiński słyszę, chwalił się, że syn ma takie miejsce na początek! Ot co! ot co!

— A bodajże was! a bodaj długo-języczni!—krzyknęła baba z za pleców Szumkowi, aż się cały wstrząsł— a świerzbiał was język spowiadać się przed Marcinem!

— A wiedźmo przeklęta, toś mię nastraszyła!... Bodaj cię febra trzęsła!—krzyknął Szumko.

— Gaduło ty gaduło: na ciebieby febrę nasłać, tobyś pleść o cudzem zapomniał.

— Czyto mnie kto o sekret prosił—odparł Szumko—hę? Marcin pyta, dziwuje się że Tomka widział wedle chaty u cmentarza i mówi: Co to u was leśniczy wiérzb na mogilniku pilnuje czy co?—No, to miałem mu kłamać?

— Dajcieno kieliszek wódki!—machając ręką zawołała Sołoducha z gniewem—a nu! wódki, i dosyć tego! bodaj wam to słowo bokiem wylazło!

Szumko poszedł po flaszę, resztę ludzi zamilkło, a Sołoducha wypiwszy porcyą jednę i drugą duszkiem, nie rzekłszy słowa więcéj, milcząca, szparko ku domowi pobiegła.

Sąsiad z Budek naturalnie wracając ze Stawiska, zaraz stanął przy chacie Choińskiego, bo mu niezmiernie pilno było ze złą nowiną.

Stary handlarz siedział na przyźbie fajkę paląc, i dobytek swój wracający z paszy oglądał.

— Dobry wieczór kumie—rzekł Marcin biczysko w wóz wtykając.

— A! jak się macie panie Marcinie! Co słychać w miasteczku? sprzedaliście żyto? po czemu?

— Cena licha! jeszcze chcą, żeby im na chłopską miarę dziesięcio-garncową mierzyć, te żydy niewiary! Ot... i żyto do domu wraca!

Stary Choiński się uśmiechnął.

— A nie chcieliście mi przedać, com dawał cenę chrześciańską, i darmo dzień stracili.

— Darmo albo i niedarmo — odparł z uśmiechem Marcin.—Kumie! dacie sześć złotych za korzec, to wam coś takiego powiem, że aż podskoczycie do góry!

— Półszosta, ani szeląga więcéj nie mogę. Ba! ale cóż to takiego?— spytał podchodząc Choiński.

— Jak półszosta, to nic— rozśmiał się Marcin i zmierzył ku furze.

— Cóżto taka jakaś nowina, żeby od niéj półzłotka gębowego płacić, tfu!—rzekł budnik—jeszcze czego nie stało: a toście handel wymyślili!

— Wola wasza—odparł filuternie Marcin—nie chcecie dać półzłotego, zapłacicie ją może późniéj nie jednym sotkiem, ale będzie po czasie.

Stary jakby go co kolnęło, wstrzymał odjeżdżającego sąsiada:—Słuchaj kumie, czy ty kpisz czy drogi pytasz?

— Co prawda, to prawda: zapłaćcie za żyto, a dam wam w dodatku takiego gościńca....

— No! cóż tam u licha.... ki djabeł! Czy nie bałamucisz panie Marcinie....

— Jak Bóg miły prawdę świętą mówię; ale kiedy wy sąsiadowi, kumowi półzłotka żałujecie za jego krwawicę, no! to niech będzie co Bóg chce, a ja téż gębę stulę.

— A tegoroczne żyto?—spytał mięknąc stary.

— Przeszłoroczne, suchuteńkie.

— Ważne?

— Toż je znacie.

— Ale u was i groszku i stokłosu pełno?

— No, to nie kupujcie — rzekł Marcin idąc znowu do wozu—nie kupujcie.

— Ej, kumie, kumie, jaka z was gorączka! Myślicie że ja na was zarobku pragnę?—odparł pan Adam—No! zsypujcie zboże, a pieniądzę płacę. Ale cóżeście to przywieźli?—począł żywo stary.

Marcin się obejrzał.

— Ot co—rzekł—jak myślicie, co wasz synek robi w Stawisku?

— A cóż ma robić?—ofuknął stary odskakując—toż wiécie, że służy.

— Tak?? a no, wiedźcie, że już od dwóch podobno niedziel wypowiedzieli mu służbę we dworze.

— Co gadacie?

— Prawdę kumie! takjest!

— Jamże go pozawczoraj pytał... a mówił...

— To łgał, to łgał kumie; nie służy, wypędzili go, i ono się wałęsa.....

— Wypędzili Tomka! coż to jest? Gadajże kumie Marcinie a cicho, żeby Agata nie posłyszała, i nie cedź mi po kropelce... Cóż on tam zrobił?

— A co miał zrobić? zawsze jedna historya—rzekł do ucha zbliżając się pan Marcin—wpadła mu tam w oko jakaś dziewczyna cyganka, czy ki licho, i tak za nią głowę stracił, że wszystek obowiązek porzucił. Pan przestrzegał, przestrzegał, a nareszcie wypędził. Ot co jest, kumie... I tak podwaryował słyszę, że stancyą sobie najął na wsi, przed wami się wyłgiwa, a co wieczór do dziewczyny chodzi. Sam go na moje oczy widziałem wychodzącego od cyganki.

Stary pochwycił się za głowę

— Kara z nim boska!—zawołał — cyganka! cóżto za licho?

— Co za licho—rzekł Marcin—ha! to dziewczyna słyszę śliczna, że drugiéj nie ma na okoliczność: a harda a filut! Zaprowadzi go ona daleko! Jeszcze sierota, broń Boże biédy, wy myślicie że Tomko się sianem wykręci? Gadają nawet że czarownica.....

Mówił, ale stary już nie słuchał, tak go silnie to niespodziane uderzyło nieszczęście: stał wryty, sparłszy się o wrota, długą chwilę przebył w osłupieniu; dopiéro głos żony go ocucił.

— Zsyp żyto panie Marcinie—rzekł—zapłacę, ale wara z tém przed moją Agatą się wygadać: zjadłaby mnie, żem go tam oddał, a i tak dość oczu nawypieka.

— A sześć złotych dacie?

— Ot i kieliszek wódki wypijecie u nas—rzekł Adam.

Ale gdy weszli do chaty, choć stary usiłował kłamać twarzą, niebardzo potrafił; żona wyczytała na niéj zmartwienie.

— Coto tobie Adamie? -spytała.

— Ot.... siwą zdaje się zpleczyli....

Byłato ulubiona klacz Choińskiego, po któréj połowę prawie miał stada: jéj był synem i ów siwek, na którym Tomko tak dokazywał. Uwierzyła więc Adamowa kłamstwu, bo spleczenie siwéj bardzo skłopotać mogło, a Marcin napiwszy się wódki, uradowany sprzedażą, pojechał do chaty.

Nazajutrz jak świt, Choiński coś tam znów przed żoną skłamawszy, zły, gniewny, wściekły na konia siadł, i choć stary, poleciał do Stawiska kłusem. Po drodze miotało nim jak opętanym, tak, że koń choć go znał, zrozumiéć nie mógł: zżymał się, gadał głośno i walił stępaka, że mu wierzgał co chwilę.

Przede wsią zatrzymał się i znowu dereszowatego po bokach wprost ku cmentarzowi, bo dobrze się był rozpytał kuma Marcina.

Zdało mu się z opowiadania, że dziewczyna niepoczciwa zalotnica, syna mu bałamuci umyślnie, i gotował się na nią wpaść z całym gniewem, jaki przez noc w sobie przyzbierał.

Jakkolwiek to było rano, już Marysia siedziała u mogiły; tętent konia zwiódł ją: pomyślała, że Tomko znów jedzie, a gdy na jego miejscu zobaczyła starego z ponurą twarzą szlachcica, tknęło ją w serce jakieś przykre przeczucie, zlękła się, zadrżała.

Stary ani spojrzał na cmentarz, zsiadł z konia przed chatą i wprost drzwi jéj otworzył.

Marysia wstała, Sierotka ujadać począł.

— Czegoto chcecie?—spytała podnosząc się.

Stary ją dopiéro zmierzył oczyma.

— Ty tu mieszkasz?—rzekł gniewnie.

— Ja—odpowiedziała Marysia.

Milczenie trwało przez chwilę namysłu; stary obejrzał się na cmentarz, nie chcąc nań wchodzić, zawrócił się, zbliżył na kilka kroków.

— Chodź tu!—rzekł rozkazująco.

Sierota posłuszna, drżąc cała, ze psem swym razem wybiegła z wrót cmentarza i stanęła zarumieniona przed Adamem, który wciąż wlepione w nią miał oczy.

— A! to ty tu mieszkasz—powtórzył zapalając się—to ty.... łotrzyco jakaś syna mi zwodzisz.... poganko!

— Czego odemnie chcecie? —zmieszana odstępując zawołała sierota.

— Czego ja chcę?—w złości krzyknął szlachcic, tupiąc nogą, na co pies ogromném szczekaniem odpowiedział stając pomiędzy nim a panią swoją—czego chcę? Otom ci umyślnie przyjechał powiedzieć bezwstydnico jakaś, że jak tu ten łotr więcéj do ciebie jeździć będzie, a ty go przyjmować; to jak mi Bóg miły!!...

Wtém łzy puściły się z oczu sieroty, przerażonéj popędliwością starca, a z niemi tak była piękną, tak wzbudzającą litość, tak niewinnie zdawała się poczciwą; że stary choć w przystępie złości, uczuł się napół rozbrojony.

— A do krocset djabłów!—zawołał—czego beczysz? Źle robisz a płaczesz? A co tu łzy pomogą? djabli cię wezmą i tego trutnia!

— A nie gniewajcie się na Boga, nie gniewajcie: cóżem ja winna.... Ja wam wszystką prawdę powiem—z płaczem poczęła Marysia.

— Co ty mi pleść będziesz duby smalone.

— Ja wiedziałam, że to się tak skończy—odparła sierota—klnę się wam na Boga, żem go nie przyjmowała, nie słuchałam go, nie gadałam do niego.... Wczoraj jeden, jedyny raz był tylko w chacie u mnie, i to przy ludziach.

Stary wciąż na nią patrzał, słuchał i Bóg wié co się w duszy jego działo; ale twarz mu się mieniła, widocznie miękł i stygnął.

— Powiadam ci—odezwał się już wolniéj—syna mi nie bałamuć.... a nie! to źle z tobą będzie. Klnę się, że się z tobą nie ożeni, a ciebie diabli wezmą, diabli wezmą!

Szlachcic krzyczał jeszcze, ale go już gniéw opuszczał.

— Ot, i ciebieby żal było—dodał—dla jednego dudka świat sobie zawiązywać: on ci licho wié co obiecuje, czego w ręku nie ma. Możesz pójść za mąż, niczego jesteś, a on cię tylko zgubi jak drugie pogubił... On szlachcic... jemu z lada włóczęgą poswatać się nie dam.... Nie bądź więc głupia i nie wierz mu.

— Ale nie dziwota—rzekł sobie w duszy stary poglądając na dziewczynę z ukosa—dalibóg! szelma piękna jak królewna.... Oj! zła sprawa.

I pokiwał głową.

— Ja się wam klnę—zawołała Marysia—żem tu nic nie winna: uciekałam i uciekam od waszego syna, pokoju mi nie daje, Bóg świadek żem niewinna!

— Winna czy niewinna—rzekł Choiński— a trzebabo skończyć; niech mi tu raz jeszcze noga jego postanie, a zobaczycie!

— Syna sobie sami trzymajcie... ja...

— A tyż tu co robisz?—zapytał stary—nie mogłabyś pójść gdzie służyć?

— Ja? służyć? mnie nikt nie weźmie.... A na co mi to, kiedy mam swoję chatę; mnie i tak dobrze: na chléb sobie zarabiam i żyję.

— Zarabiasz! co u diabła? a któż tu z tobą mieszka?

— Nikt, ja sama.

— Sama?—stary wstrząsł głową—sama!—powtórzył—dobrze sobie rozpatrzył... Masz szczęście dziewczyno! Ja go dziś nauczę tego chłystka; ale jeźli się tu zjawi, ani mu się pokazuj! ani nosa!

Marysia zakrywając oczy, wpadła cała rozszlochana do chaty; szlachcic sam pośród drogi pozostał, pies za panią okrążywszy nieprzyjaciela przebiegł, stanął w progu i ujadać począł.

Stary Choiński rozmyślał.

— Niczego ma oczy ten łotr: dziewczyna śliczna! Sierota, aż żal: gotów ją zgubić... Ale teraz ani już do niéj

przystąpić za tym psem szatanem... Hej!—krzyknął—odwołajcie sobie sobakę: mam jeszcze słowo do was!

Nie wiém czy Marysia słyszała to czy nie, czy odwołała psa; ale Sierotka ustąpił, a Choiński rozglądając się ciekawie, wszedł do chałupy.

Tu nędza sieroca, a przy niéj ład i porządek w ubogiéj lepiance, uderzyły go widocznie: oniemiał na chwilę, musiał powoli w głowie wystawiać sobie to życie, tę pracę ważyć, która je utrzymywała.

— To jednak nielada dziéwczę—mówił w duchu—jak to ona sobie rady daje! Bóg wié, może z grzechu żyje, ale nie głupia być musi.

Marysia stała obyczajem dziewcząt wiejskich przy piecu i płakała; stary już począł wcale innym głosem.

— Ej! słuchajnobo.... nie zjem cię przecie, nie jestem zbój, złego ci nie zrobię.... Ta ty sama to musisz rozumieć, żem nie na to syna hodował, żeby go z lada cyganką żenić: mnie i matce życiaby to skróciło....

— Alem ja nic nie winna!—powtarzała rozpłakana dziewczyna.

— Nie prowadźże na głowę swoję przekleństwa naszego, i niech go więcéj oczy twoje nie widzą—rzekł stary. — Ty myślisz może żarty, a to śmierć moja i śmierć matki na twoje spadnie sumienie..... To jedynak u nas; ja duszę gubię żeby go wyprowadzić na ludzi, a miałbym pozwolić, żeby sobie fartuchem świat zawiązał?

Stary z gniewu przechodził powoli w prośby prawie, i niemi skuteczniéj pewnie niż łajaniem dotknął serca Marysi.

— O! na Boga klnę się wam—zawołała żywo— nie chciałam i nie chcę być wam przyczyną umartwienia: zrobię co każecie, byleście mnie nie przeklinali.

Łzy jéj i te słowa uczucia pełne, trafiły do serca szlachcicowi, który pragnął już tylko wyrwać się co prędzéj: tak go jakoś samego dziewczyna obałamuciła, tak czuł w jéj ustach prawdę, cierpienie, i wyrzucał sobie niemal popędliwość swoję.

— Cóż onabo winna— począł myśléć—to temu gałganowi daćby ze sto bizunów... Ale ba! młody téż, krew nie woda, a dziewczyna gdyby jabłko.... Licho ją tu nadało; że-

bym wiedział, nie dałbym go do Stawiska.... Żeby do licha gdzie powędrowała.... możeby ją z głowy sobie wybił. Ot, gdyby nie Marcin i nie jego żyto, byłby ten wisus nieszczęścia i wstydu narobił; ale natrę ja mu uszy!

— Niechże mi tu więcéj noga jego nie postanie—dodał Choiński głośno, ujął za klamkę i mrucząc a spluwając, więcéj gniewnego niż był udając, wyszedł, dosiadł konia i pospieszył na wieś szukać chaty sotnika.

Nie pytajcie mnie co się działo z sierotą: padła ona na ławę przy piecu i jak słup pozostała na miejscu nieruchoma, odrętwiona.

Myślicie, że proste dziéwczę nic nad strach uczuć nie mogło? O! są chwile w życiu, w których spotęgowuje się człowiek i widzi więcéj, i więcéj czuje, i więcéj może niż zwykle; a Marysia była pustelnicą, była dziecięciem mogiły, wykołysaném dumami wśród samotności i tém wyższą od otaczającego ją ludu, że cała żyjąc w sobie, sama sobą władać i kierować musiała. W sercu biédnego dziewczęcia scena ta zostawiła bolesne wrażenie i przeczucie, że z losem swym dotychczasowym rozstać się musi. Było to jakby jakieś jasnowidzenie konieczności; i żal ciężki, żal srogi ucisnął jéj serce nieprzekarmione dotąd weselem. Nie wiedząc jeszcze co się z nią stanie, Marysia wiedziała już, że chatę swą opuścić będzie musiała. Myślała już tylko co począć z sobą, a na przypuszczenie rozstania, żal ją brał niewysłowiony. Pożałowała wszystkiego co ją otaczało, całego tego maluczkiego światka, którego była środkiem; Sierotki, Burka, gołębi, gąsek i kur swoich, i wróbli pod strzechą.....

I wybiegła patrzéć na mogiłę matki..

Cisza była na dworze, cisza jakaś złowroga: parno, duszno i straszno. Przed chwilą marzyła jeszcze snuć daléj przędzę kądzieli i życia; teraz obojga nić była przerwaną.

— A!—mówiła w duchu przebiegając chatkę do któréj wróciła, i łamiąc ręce—ja tu już pozostać nie mogę; pójdę, pójdę w świat służyć, żebrać, a nie chcę, by mnie ten stary siwo-włosy przeklinał: nie chcę na biedną głowę moją nabierać łez cudzych i nieszczęścia.... Dola moja być samotną i biédną: na cóż do niéj drugą wiązać? Cierpieć, to cierpieć saméj!

Jeszcze tak biegała nieprzytomna, gdy Aza niepostrzeżona weszła do chaty i stanęła w progu. W milczeniu patrzała długo na dziewczynę kiwając głową, czytając z jéj ruchów co się z nią działo; nareszcie zbliżyła się ze śmiechem, Marysia cofnęła się przelękniona.

— A! to wy!

— To ja! dziecko moje—odezwała się cyganka— przyszłam już po ciebie.

— Po mnie?—zapytała Marysia zdziwiona.

— Prawda, że teraz pójdziesz z nami?—dodała Aza— A co? dobrze żyć z *gadziami*? można wyżyć z niemi?

— Wy wiecie wszystko?

— Wszystko! wszystko!—rzekła cyganka—i o nim i o tobie, i o ojcu, który tu dziś z fukiem do was przychodził. Patrzałam ja zdaleka i wiedziałam na czém się to skończy. Nie masz tu co bawić dłużéj, ludzie cię już ogadali; choćby raz próg przestąpił obcy, zrobią ci zaraz z niego kochanka; to i choć niewinna, a dla nich już będziesz osądzona....

Dziewczyna stanęła i pobladła.

— Ej!—dorzuciła prostując się i przybierając poważną proroczą postać cyganka, a dobierając słów, by dziewczynie głowę zawrócić. — Jest dola, jest los napisany dla każdego człowieka: gdyby miał skrzydła nie uleci przed nim, gdyby sto nóg miał, nie uciecze, i w *Jagoro* (piekle) przed nim się nie schowa.... A poco myśmy przyszli tu po latach tylu, a dlaczego ci oto właśnie w téj godzinie *Mroden oro* dał łzy i przekleństwo? Patrzaj jak się złożyło—ażeby Romów krew poszła z Romami na wędrówkę.... Krew ty nasza, nie czyja.... Co ci ta chata? co ci ta mogiła? Nam świat chatą, niebo dachem, a mogiłą ziemia cała... Gdzie stąpisz, to kości depczesz praojców i matek.... Nigdzie nie brak wody, by pragnienie ostudzić, i miejsca na rozbicie szatry, i gęłęzi na ogień; a kto siedzi ten gnije przykuty jak pies na łańcuchu....

Marysia słuchając drżała, ale widocznie poruszoną była, i mało brakło, by rzekła:

— Otom gotowa iść z wami....

Ale każde wejrzenie na chatę, żalem ją napawało.

— A! zawołała—jakże to wszystko opuścić!... Wy nie znacie tego żalu, boście przywykli wędrować, ja nie wiem jak się oderwać od swojego kąta? A cóżby się stało z niemi!

I wskazała na zwierzęta swoje.

Aza rozśmiała się białemi ostremi zębami....

— Co?—rzekła—kto twój, a bez ciebie żyć nie potrafi, ten pójdzie z tobą; kto nie wart łzy, zostanie. Tym stworzeniom jak trawie co na dachu rośnie, nie ten potrzebny kto żyje pod dachem, ale grudka ziemi co je żywi.... Maszże być ich piastunką?

— Kości dziada! kości matki!—zawołała dziewczyna—i to miejsce....

— Dziecko—przerwała Aza—matki duch pójdzie za tobą, a miejsce wszędzie twoje, gdziekolwiek usiądziesz.

— A chata ręką ojca zbudowana?

— Już i tak wali się na głowę twoję; nam wielki ojciec chatę wieczną zbudował. W drogę! w drogę! dziś jeszcze w nocy idziemy, i ty z nami! Jutro nasz obóz rozłożym o mil kilka i wszystko się zapomni.

— O! nigdy! nigdy!—zawołała dziewczyna.

Aza uśmiechnęła się.

— Mówimy *nigdy*, a jutro, dziecko moje! jutro! serce twardnieje jak kamień: śladu kto na nim siedział nie będzie.

I z dziką energią uderzyła się w pierś zeschłą.

— Nasz obóz w rudeńskim lesie: masz cały dzień na sprzedaż twoich rupieci, o świcie ruszymy; ale nie mów nikomu! Ja sama przyjdę po ciebie!

Tych słów domówiwszy Aza, rzucając je jak nasienie, które wyrosnąć miało powoli, wysunęła się z chaty, samą zostawując sierotę.

Marysia widziała już konieczność ucieczki i uwierzyła w to przeznaczenie jakieś, które ją gnało za cyganami, jedyną rodziną przyznającą się do sieroty; bolała, ale nie widziała sposobu zmienić tego losu, i zakrzątnęła się wyborem do drogi.

Zamknąwszy drzwi chaty, pobiegła do Sołoduchy, któréj nie zastała w domu; potém do Semenychy odnosząc jéj motki i przędzę.

Zdziwiła się starucha zobaczywszy Marysię w dzień powszedni, a więcéj jeszcze, gdy w jéj ręku niedoprzędzone lnu dziesiątki ujrzała.

— A co to?—spytała.

— To matko — odparła całując ją w rękę sierota — to reszta przędziwa: już go wam nie doprzędę.... bo idę.... idę służyć.

— Jakto? ze wsi? dokąd? poco?

— Niedaleko.... nie wiém, do Rudni—zająkując się odpowiedziała Marysia.

— Do kogo?

Dziewczynie strasznie ciężko było kłamać piérwszy raz w życiu, i kłamała tak niezręcznie, że stara głową kiwając, zrozumieć jéj nie mogła.

— Róbcie sobie co chcecie—dodała starucha — ale pamiętajcie duszy jeno nie gubić; dotąd byłaś poczciwą, siedziałaś doma, a chleba ci nie brakło; idziesz w świat, kto to wié czy będzie lepiéj... Przystojna jesteś, ludzie niepotem... dobrze na się patrz Marysiu.

Cóż odpowiedzieć było? Ot zapłakała znowu, a nieczekając nawet zapłaty, wybiegła, żeby ją łzy i słowa nie zdradziły. Sołoducha szła drogą i spotkały się na gościńcu.

Z tą trudniéj było daleko.

— Wy nic nie wiecie?—spytała Marysia żywo.

— A co mam wiedzieć?

Cyganka poczęła jéj opowiadać przybycie starego Choińskiego i cały dzisiejszy poranek; a Ratajowa aż wargi z gniewu zakąsywała.

— Byłam tego pewna, że skoro Marcinisko téj sprawy powąchał, już się ona nie utai; a cóż teraz myślisz?—zapytała.

— Dziś sprzedaję co mam w chacie, resztę na wolą Bożą zostawiam, a jutro mnie tu nie ma!—odpowiedziała stanowczo dziewczyna.

— Coś ty oszalała?

— Mówcie sobie co chcecie stało się.... Przejeżdżał mieszczanin z Taborzysk, przyjęłam służbę w miasteczku i wzięłam zadatek...

— Kiedy? jak?

— Dziś o południu...

Sołoducha pokręciła siwą głową.

— A gdzieci tu kto tak prędko co kupi?

— Resztę wam zostawię.....

— Ale po co iść: na zgubę, na pohybel! Porzuć chatę, chodź do mnie, nikt cię u nas nie zobaczy; ludzie się przedziwują i przegadają, a potém do chaty powrócisz.

Dziewczyninie łza pociekła, ale głową potrzęsła w milczeniu.

— Nie! nie! bywajcie zdrowi matusiu! To już być nie może.... Wzięłam zadatek, dałam słowo.... Tylkobym chciała starego Rataja pożegnać i za chléb i jemu podziękować.....

— Stary włóczęga gdzieś w Brzozowéj-górze na prażniku, ani słychu o nim...

— O! szkoda!.. szkoda!..

— Nie odchodź lepiéj jak masz żałować—rzekła wpatrując się w nią Sołoducha—w mieście ty zginiesz z taką twarzyczką.... Gładkie liczko, to dla dziewczyny utrapienie: spokoju ci nie dadzą...

Marysia przerwała jéj mowę:

— Matko!—odezwała się—jutro rano przyjdźcie do chaty, a co w niéj się zostanie, to wasze.... Tylko proszę was, proszę, weźcie do siebie Burka, gołębie i ptastwo, niech z głodu nie zdycha: weźcie dla miłości Bożéj...

Sołoducha miała coś odpowiedzieć, gdy Marysia szybko ją pocałowawszy w rękę, biegiem od niéj uszła. Pilno jéj było nacieszyć się tą chatą, któréj więcéj widzieć nie miała, swemi przyjaciołmi wiernemi i ostatniem dniem młodości. Pobiegła, pobiegła wprost na cmentarzysko, naprzód na mogiłę matki, twarzą na ziemię padając przy niéj zapłakana.

Nie wiem jak długo leżała tak na wilgotnéj glinie, ale gdy wstała, zesłabła i złamana boleścią, znużenie samo sprowadziło w niéj jakąś zmianę: zdrętwiała, ostygła; podniosła się machinalnie, poszła do chaty powoli. Krótki był wybór, i mały węzełek jéj podróżny: rzuciła go na ławę zostawiając wszystko, niechcąc nic ruszyć z miejsca, aby dłużéj patrzéć na nietknięte domostwo swoje. Obeszła potém wszystkie kąty, żegnając każde miejsceczko, każdą ściankę, każdą komórkę chaty; a niespokojny Sierotka, sam jeden towarzyszył jéj w téj pielgrzymce. Ani się spostrze-

gła jak zgłodniałéj i znużonéj dzień przeleciał strzałą, a słońce zapadać zaczęło za góry i lasy.

Z kawałkiem chleba, który gryzła, wyszła Marysia na próg, powtarzając usty najstraszniejszy z ludzkich wyrazów:—ostatni raz, ostatni!..

A! czyż nie każda chwila w życiu naszém ostatnia? Choć o tém zapominamy, w każdéj z nich obsypuje się jakaś cegła z téj ruiny, którą zowiemy życiem. W mgłach tego wyrazu:—raz ostatni—inaczéj wydało się jéj wszystko: pożałowała nawet boleści i sieroctwa swego. Sen ani myślał kleić jéj powiek i pozostała tak na przyźbie, aż ją krzyk ptastwa dopominającego się strawy przebudził.

Pobiegła i wyniosła im płacząc wszystko, co miała jeszcze, rozsypując po ziemi ziarno, o które obojętnie rozbijać się zaczęli zgłodniali. Patrząc na to setne powtórzenie codziennéj swéj zabawki, usnęło biédne dziéwczę zmorzone uczuciem i boleścią, któréj ciało znękane podołać już nie mogło.

Gdy otworzyła oczy, księżyc już był wysoko na niebie, a przed nią stała czarna postać Azy cyganki.

— Czas! czas!—odezwała się do niéj przybyła—wybieraj się i chodź ze mną!

Marysia wstrząsnęła się, krzyknęła, ale po chwili namysłu wbiegła do chaty, i szybko jakby się sama lękała siebie, porwała przygotowany węzełek, nie patrząc, nie oglądając się, a biegnąc z Azą na szeroką drogę.

Przed nią był cmentarz... Aza ciągnęła za rękę, ale dziéwczę co nie pożegnało chaty, musiało matki mogiłę pożegnać. Cyganka nie śmiała wejść za nią na pole umarłych, wśród którego jak duchy czarne, wznosiły się gęste krzyże.

Sama tam weszła sierota i ścieżką swoją trafiła na znane miejsce: pocałowała zimną ziemię, pomodliła się jeszcze.

— Matko!—szepnęła w ostatku—ty widzisz, że mi iść potrzeba; tu nie bracia moi, tu obcy, jeden był, a i za tego przeklinaliby mnie starzy rodzice. Ty wiész co to przekleństwo starego ojca za dziecko swoje! Trzeba iść w świat, w świat!

I objęła jeszcze rękami starą wierzbę, na któréj kądziel wieszała; a wtém niecierpliwy głos cyganki dał się

słyszeć, i dziewczyna posłuszna mu jak głosowi przeznaczenia, wyrwała się ze cmentarza.

A księżyc tak srebrzysto oświecał lepiankę starą, a na jéj dachu gruchotały gołębie, a na jéj progu bielały gąski zbierające jeszcze resztki owsa, i Burek leniwy mruczał na przyźbie.... Jeden Sierotka wierny szedł za swoją panią ližąc jéj rękę, jakby zaręczał, że jéj nie opuści.

Przelotném wejrzeniem objęła ten obraz niezapomniany dziewczyna, i rzuciła się drogą, by odeń uciec co prędzéj... Aza ledwie za nią podążyć mogła, mrucząc pod nosem:

— Krew ojca!

W milczeniu przeszły górę, okrążyły wioskę i zbliżyły się do drugiéj mogiły na rozdrożu, u któréj zatrzymała się cyganka.

— Czekaj!—rzekła do wylękłéj Marysi—i to mogiła, którą pożegnać potrzeba:—mogiła ojca twojego... Modliłaś się za matkę, niech i ja powiem słowo duchowi przyjaciela....

Dziéwczę wstrzymało się drżące i objęte jakimś strachem; a cyganka powoli wstąpiła na pagórek, twarzą obróciła się do księżyca, wyrwała garść zeschłéj trawy z mogiły, garść suchych dorzuciła gałęzi, i dobywszy ognia, zapaliła tajemną jakąś ofiarę.

Rzuciła na nią zioła wonne i coś z chusty dobytego; zaczęła szeptać słowa i tajemnicze zaklęcia, a rękę zwróciwszy na dwór i wioskę, miotać się zdawała jakieś na nie przekleństwa. Wiatr, który rozdął płomyk i susz rozpalił, wprędce téż zdmuchnął ten stos pogrzebowy, a ogień buchnąwszy do góry, opadł i zagasł w mgnieniu oka: świst tylko wiatru, który zdawał się z sobą unosić słowa cyganki, rozległ się po okolicy.

— A teraz daléj! daléj w świat!—ozwała się schodząc z mogiły Aza—w świat córko cygana.... Pamiętaj, że ci ojca zabili *gadziowie*... pamiętaj!

We dwa dni potém pan Marcin z budek Rudeńskich powrócił do domu ze Stawiska, i znowu zatrzymał się u wrót podwórka Choińskich.

Adam siedział u chlewka na kłodzie i chmurny fajkę palił, która mu co chwilę zagasała.

— Dzień dobry kumie!

— Dzień dobry waszeci... A co? może znowu z żytem?

— A zkąd go nabrać? Jadę ze Stawisk od młyna...

— No, to jedźże z Bogiem—odrzekł pan Adam—a jaką tam miarkę biorą?

— Dziesiątą z czubem—odezwał się Marcin wzdychając—Ot! jaki to czas! Ale, ale kumie, mam i nowinę dla was zanadrzą.

— A kat cię bierz z twojemi nowinami co je po pół złotego sztuka w sztukę płacić każesz; może i tę masz na sprzedaj?

— A jakże, i złotybym się za nią wziąć nie powstydził.

— Patrzajcie! wydrwigrosz! Już mnie teraz nie złapiecie; syn w domu, prawda że coś niedomaga; ale to młode, to się wychoruje i djabli go nie wezmą.

— Bywajcież zdrowi kumie—rzekł z uśmiechem Marcin, zabierając się niby do odjazdu.

— No! a wasza nowina?

— Jest u mnie jeszcze ćwiartka grochu: cobyście mi za nią dali?

— Ot! żydzisko!—zaburczał pan Adam—a po djabła mi twój groch?

— A dla wieprzów? Oddam nie drogo.

Wiem ja go: przez wpół robaczywy i lady w nim pełno.... Ale nowina?

— A cóż dacie za groch?

— Dajcie pokój, kiepskie żarty!

— Dobranoc kumie.

Właśnie gdy to mówili, chory Tomek wywlókł się był do sieni, a ujrzawszy ojca i wyjść daléj nie śmiejąc, słuchał mimowolnie rozmowy.

Marcin odchodził, pan Adam go wstrzymał.

— No, no!—rzekł—kupię groch kumie; a co tam?

— A dziwy!—odparł Marcin, któremu się gęba rozwiązała gdyby cudem—tażto Marysia cyganka, jakeście ją nastraszyli, tak nieboga z chaty uciekła, wszystko porzuciwszy.

Choiński się zerwał z miejsca.

— Czy to może być?

— Jak Bóg Bogiem....

— A to uczciwsza dziewczyna niż myślałem!

— To też kto żyw wszyscy ją we wsi żałują i rozpadają się po niéj; a co się słyszę napłakała biedniaczka, nim poszła! A na odejściu, wyraźnie taki powiedziała Sołodusze, że przekleństwa waszego nie chce mieć na głowie.

— A gdzież się podziała?—spytał Choiński.

— Bóg wié! Jedni gadają, że poszła gdzieś służyć do miasteczka; drudzy że ją zabrali i namówili cyganie, co to tu byli i niedawno nocką zemknęli...

— A! szkodać mi jéj niebogi!—westchnął stary—kiedy to takie poczciwe... ha! Ale może to i lepiéj!

— A kiedy mój groch przywozić każecie?— zapytał Marcin.—Ale pan Adam poszedł zafrasowany do żony, i zapytania tego już nie słyszał.

W chwili, gdy przez sień przechodził, Tomko, który stał jak wryty za drzwiami zaczaiwszy się, skoro ojciec izbę za sobą zamknął, wychwycił się na podwórze. Pan Marcin pokiwawszy głową i coś namruczawszy o grochu, zawrócił do domu. Chłopak tymczasem jakby nic nie wiedział co się koło niego działo, pobiegł wprost do stajenki, dopadł siwka, uzdę mu na kark zarzucił, i oklep nań siadłszy, ścisnął go kolanami.

Wrota były otwarte, i nim się w chacie postrzeżono, już Tomko był na drożynie, a wnet i skrył się w lesie.

Matka i ojciec ani się domyślali ucieczki i gadali jeszcze z sobą pocichu, gdy syn na polance wśród dębniaku stanąwszy, rozmyślał tylko co począć z sobą.

— Polecę za nią na kraj świata—mówił w duchu—ale jak ją tu wyszukać? gdzie się ona biédna podziała? kogo tu spytać o nią?

Jakby na zawołanie koń pierzchnął ze strachu i stara Sołoducha o kiju idąca ukazała się o kilka kroków.

— A to wy paniczku!—zawołała—tylko coście moich starych kości nie roznieśli.

— Sołoducha!! a to ty! biesze cię po nocy lasem wodzi?

— Niosę Marcinowéj lekarstwo; a wyżto dokąd?

Tomko westchnął.

— W świat!—rzekł.

— O! to daleko paniczyku — odezwała się stara. —W którąż stronę, możebyście się komu pokłonili odemnie?

— Albo ja wiem gdzie pojadę—odparł chłopiec—Tylkom co się dowiedział o mojém nieszczęściu; polecę jéj szukać choćbym miał kark skręcić....

— Paniczku, a ojciec? a matka rodzona?

— Nie chcieli mojego szczęścia, niech i mnie nie mają— zawołał Tomko.—Ale nie wiész gdzie się ona podziała?..

— Gdzie? jużciż pewnie z cyganami poszła.... bo ją ta bestya kusiła niemało; a jak wasz ojciec pogroził, musiała nieszczęśliwa posłuchać włóczęgów.

— A cyganie dokąd poszli?

— Ale! szukaj wiatru w polu!... Jeszcze dwa dni temu byli w Rudeńskim lesie, terazby o nich ludzi pytać....

— A! prawda! jakiż ja głupi!—zawołał Tomko.—Od tutejszych ludzi dowiedzieć się muszę i pójdę tropem.

I ścisnął siwego, a babie nie powiedziawszy nawet Bóg zapłać za radę, znikł w lesie gdyby wicher pędząc bez drogi.

Sołoducha się uśmiechnęła i mrugnęła okiem.

— Ot tobie szlachcicu zalecanki! ot tobie stary górą głowę nosić! Będziesz cygańskie dzieci kołysał!

Nazajutrz lament i zamieszanie w Choińskiego chacie. Syn jak w wodę wpadł, nie wiedzieć gdzie się podział; ojciec winuję matkę, matka na ojca narzeka, a oboje płaczą. Całe budki zeszły się pod ich podwórko, każdy z radą, ubolewaniem, z dobrém słowem, a pan Marcin z grochem. Sołoducha także przyparła się do płotu, niby nic nie wié, milczy i wzdycha tylko.

Na dziedzińcu zagrody jak w wielkie dnie nieszczęść i klęski, wszyscy razem: i pan Adam z załamanemi rękoma, i Agata rwąca włosy z siwéj głowy, i czeladka szepcząca o Tomku różne wiadomości pochwytane z przeszłości, różne domysły Pan Bóg wié na czém oparte.

— A niechby się był żenił z kim chciał—wołała Agata—z cyganką, żydówką, ostatnią łajdaczką; mogłoby się to licho powoli nawrócić i poprawić naszém staraniem i modlitwą; ale tak pójść, uciec od nas na kraj świata!!

— Niewdzięczne dziecko!—krzyknął pan Adam—dałbym mu sto łóz, gdybym go złapał!

— Otóż to twoje pięćdziesiąt i sto, coś je raz wraz powtarzał, tego licha narobiło—odparła matka — Tybyś mu nie dał i pięciu, a na języku tylko u waszeci batogi a batogi.

— Ależto nie może być! — zawołał ojciec chodząc po podwórku—ja go taki wynaleźć muszę, żeby się śród ziemi schował!

— A jakże poszedł za kordon? — odezwał się jeden z sąsiadów.

Choiński westchnął ciężko na samą myśl, która i jemu do głowy już przychodziła, bo Rudnia nie daléj dwóch mil leżała od galicyjskiéj granicy.

— Cyganie musieli pewnie do Węgier pociągnąć, to i ona i on za niemi poszli—potwierdził drugi.

— A! nieszczęśliwa godzina moja, już go oczy moje więcéj nie zobaczą!—płakała matka.—Adamie, zlituj się na rany Chrystusowe, gonić ich potrzeba!

— Co gonić! kogo gonić! gdzie?—odrzekł ojciec niemniéj zafrasowany—wiatru w polu! A któż go wié gdzie jest?

Wtém Sołoducha ukazała się z zapłota.

— Za pozwoleniem waszeci—odezwała się—a ja tu jego wczoraj w lesie na siwku oklep jadącego spotkałam...

— Spotkałaś go?—krzyknęli ojciec i matka podbiegając ku niéj—gdzie? jak? kiedy?

Wszyscy otoczyli Sołoduchę; a ta rada, że na nią tak obrócili oczy i nastroili uszy, zabrała się do opowiadania. Nie myślcie jednak, żeby poprostu powtórzyła jak było; staruchа miała zwyczaj chwalebny zawsze coś z głowy dorzucić, i teraz téż nieomieszkała dodatków.

— Idę ja, idę wczoraj drogą—mówiła—a był sobie tak zmierzch już dobry; idę drogą, tą drogą, co to na budki ze Stawiska prowadzi przez las mimo pasieki dobrodzieja; idę, i modlę się sobie.... Jedną razą, Chryste Jezu! jak by dąb leciał na mnie, szum, trzask, ledwie miałam czas odskoczyć: patrzę przestraszona, żegnam się.... a to Tomko tak gna na siwym. Ot tak oklep siedział na nim, a taki straszny, taki blady, jak chusta: bez czapki, z włosem nasrożonym na głowie... Czy nie swój, czy chory, czy nawiedzony.

Ażem krzyknęła.... a on, stanął i patrzy..... patrzy, a oczy mu się świecą. Boże jedyny jak straszno!! A potém do mnie, bo on mnie znał i dawniéj, i taki nie minął, żeby dobrego słowa nie powiedział.—Dobry wieczór matko?— A ja:—Dobry wieczór paniczu; a dokądże tak? On tylko ręką rzucił.—W świat, gdzie oczy poniosą—Ja tedy:—Miły Boże, dokąd? jak? co? cóż to jest?—Ten tedy westchnie, aż mi ciarki po skórze poszły.—Nie chcieli szczęścia mojego, niechże i mnie nie mają; ot za cyganami pojadę i z cyganami na włóczęgę.—Ja widząc, że to nie żarty, kiedy go nie zacznę prosić i odwodzić, ale gdzie?? tylko że mnie nie wybił.... Potém powiada—Słysz stara! na to już nie ma rady: ja za nią pójdę choć by w piekło, bo bez niéj żyć nie mogę; a jeźliby mnie i złapali.... dodała chytra Sołoducha—to sobie śmierć zrobię.... bo mi życie obrzydło!..

Długie milczenie nastąpiło po tém opowiadaniu; matka spojrzała na starego Choińskiego, on wargi zaciął, głowę spuścił, a Marcin nielitościwy złą dobrał porę spytać go, gdzie groch zsypywać?

Nic nie rzekł pan Adam, łza mu się jakaś zakręciła w oku, i do wozu kazał co najrychléj zaprzęgać. Z zimną krwią wydawał rozkazy, dobrał trzech sąsiadów, wyznaczył dla nich konie, sam sobie wózek opatrzył i rozdysponował pogonią.

Matka stała, patrzała, ale ze strachem widząc tę zimną krew nadzwyczajną Choińskiego, czekała tylko pory, żeby coś z niego wydobyć, żeby go nieco zmiękczyć. Namarszczona brew, ścięte usta, bladość twarzy pana Adama, przerażały ją; nie mogła się domyślić co postanowił, nie wiedziała więc od czego zaczynać; dopiéro gdy rzuciwszy ciekawych paplejących w podwórku, Choiński wszedł do chaty po trzosik podróżny, żona pospiesznie się za nim wcisnęła.

Sami byli w izbie.

Stara siwowłosa kobieta uklękła przed mężem i panem, i nie mówiąc słowa, przyciągnęła do ust spracowaną dłoń jego.

— Adamie!—rzekła po chwili—odezwij się, powiedz, co ty myślisz o dziecku naszém, co u ciebie w duszy: nie

zabijaj mnie przed czasem.... Po co go doganiać, jeżeli nie chcesz mu ani przebaczyć, ani pofolgować biédnemu.

Nie uważała, że staremu ojcu ręce się trzęsły, gdy woreczka z pieniędzmi dobywał, że oczy miał łez pełne i chlipał prawie; nie dopatrzyła się, że wszystek już gniéw ojca przepaliła żałość po jedynaku, że jedyną jego myślą było tylko odzyskać Tomka.

— A! Agato! — zawołał wybuchając — na rany Boże, czyż ty mnie jeszcze nie znasz; daj Boże, byśmy go odszukali, a nie bój się o chłopca. Ludzie świadczą, że dziewczyna poczciwa: niech się dzieje wola Pańska — dodał poważnie — Chciał nas Bóg upokorzyć w oczach ludzi tą synową, żeby nas grosz zapracowany w dumę nie wzbijał; niech się dzieje wola Jego.... niech się stanie.... Bylebyśmy go odzyskali! A że koni i siebie i grosza nie pożałuję, możesz być pewną; klęknij ty przed Najświętszą Panną i świętym Antonim, niech nam odda zgubę naszę...

To mówiąc pocałował ją w czoło wydarłszy rękę, którą do ust cisnęła, i poważnym krokiem wyszedł z chaty. W podwórku wszystko już było gotowe: trzech szlachty, konie, wozy; a ciekawi, tłumnie wyprawę otoczyli.

Adam stanął wpośrodku.

— No—rzekł—waszeć panie Wincenty, jezli łaska na Stawisko; choć tędy cyganie iść nie mogli, ale żadnego szlaku minąć nie chcę.... Wy kumie Macieju, mimo Porwańca ku granicy pociągniecie; a żywo, i koni moich nie żałujcie.... Ty Bartku, przez lasy na karczemkę mecherzyniecką, a ja od wsi będę szukał języka, i za nim się powlokę. Jeżeli z cyganami się zetkniecie, chwytajcie mi i Tomka i dziewczynę.... Niech się dzieje wola Boża, kiedy już inaczéj być nie może. Powiedźcie mu, że przebaczam wszystko i pobłogosławię.... pobłogosławię — powtórzył głosem drżącym.

Sołoducha posłyszawszy to, rozparła tłum i przybliżyła się.

— Czekajcieno—rzekła — naprzód potrzeba jechać do wioski, napytać języka, potém wprost śladem cyganów, bo taki mówił, że ich dogoni... Byle pośpieszyć nim się do granicy dostaną, bo jak kordon przejdą, to wszystko przepadło.

Już szlachta na konie wsiadła i Adam na wózek się zbiérał, gdy Sołoducha plasnęła w ręce ujrzawszy Rataja zbliżającego się drogą od wsi do budek.

— Postójcie! postójcie! — zawołała znów głosem donośnym — ot mój się stary wlecze, onże wié co się dzieje na trzy mile wkoło, jego tylko popytajcie, on wam najlepiéj powié gdzie cyganów szukać!

Choiński z wózka skoczył, szlachta z koni, i nim Rataj się zbliżył o płot się opierając, już go pytaniami zasypali.

— Czekajcieno, powoli—rzekł żebrak stając—a na co wam cyganie? czy koni nakradli?

Sołoducha zbliżyła się, a stary poznał ją po chodzie, nim gębę otworzyła.

— A! i moja stara tutaj — rzekł — ha! chatę porzuciła i po świecie się włóczy! — Ale Sołoducha nie dając mu się rozpościerać, poczęła coś szeptać na ucho, stary głową pokiwał, i czapkę zdjął udobruchany.

— A na co was tyle? — rzekł powoli — ot niech pan Adam mnie z sobą na wóz weźmie, ja go do cyganów doprowadzę.

— Ty ślepy?

— Ale ba! lepiéj ja bez oczu widzę niż wy, co ich macie po dwoje na jednego. Siadajcie, ta czasu nie traćcie, stary Rataj nie zawiedzie.

Choińskiemu nie w smak było brać z sobą na wóz żebraka, ale cóż miał począć; Rataj tylko się za koszyk pochwycił i rześko wskoczył do środka.

— Wy Bartku za nami—rzekł Choiński.

Zacięli konie, i daléj w las manowcami, jak dziad pokazywał.

Od Rudni i budek Rudeńskich, przestrzeń lasów przecinana tylko polankami i łąkami, na których stoją odwieczne dęby i brzozy, ciągnie się bez przerwy prawie do saméj galicyjskiéj granicy, któréj szlak przechodzi wzgorzystém zaroślem. Mało kto tak znał dobrze tę okolicę jak Rataj stary, który póki oczu nie postradał przekradał paczki, a i teraz jeszcze w sakwie pod pozorem żebractwa, niejednę kontrabandę modląc się przemycał. Wszyscy nad granicą uwijający się

żydkowie i ich pomocnicy, byli mu doskonale znajomi: żadna w lesie kryjówka nietajna, a ścieżkę każdą tak opisywał, że Adam wydziwić się nie mógł, jak on bez oczów wszystko tak mógł pamiętać.

Bili się tak po lasach dzień cały po szkaradnéj drodze, dwa razy trochę oddychali, a gdy noc nadeszła, Rataj wóz poleciwszy zostawić z chłopakiem w gęszczach, sam z Choińskim i Bartkiem począł prowadzić piechotą.

Wprędce jednak namyśliwszy się, znowu za sobą koniom iść kazał. Tu dopiéro pokazało się, że lepiéj czasem oczu nie mieć, bo dla jednego Ratajа nocy nie było; wiódł ich jak we dnie, ani na chwilę się nie zastanawiając i ani razu nie zgubiwszy drogi.

W milczeniu tak zbliżyli się ku dolinie zewsząd pagórkami opasanéj, wśród któréj stary Choiński piérwszy dostrzegł rozpalone ognie. Zatrzymali się na wzgórku i podkradając pocichu, ujrzeli widok malowniczy, dziki i w swoim rodzaju dziwnéj surowéj piękności.

Cały tabór cyganów leżał w dolinie u wielkiego ogniska, rozpalonego pod rozłożystym dębem wypróchniałym. Szatra płócienna przyparta była do pnia jego i przytwierdzona do grubych pokręconych gałęzi. Tuż stał wóz i para spętanych koni się pasła.

Widać było kociołek (kakabia) na trzech laskach zawieszony nad ogniem, zwijające się przy nim baby i siedzącą z głową na rękach opartą Azę, i leżącego u nóg jéj Aprasza, i kilkoro cyganiąt wyrostków kręcących się wkółko przy starszym, który im grał na drumli. Zrazu oczy niespokojne szlachcica nie dostrzegły ani syna, ani dziewczyny, i serce bić mu zaczęło niepokojem.

— Nie ma tu ich, nie ma!—zawołał łamiąc ręce.

Ale w téjże chwili Bartek wskazał mu na uboczu w cieniu ledwie odblaskiem słabym oświeconą parę, w któréj oko starego rozeznało Tomka i Marysię. Siérota siedziała na pniu spruchniałym, zakrywszy oczy rękami, u nóg jéj mały leżał węzełek, Tomko stał z boku, mówił coś do niéj i jakby zaklinając bił się w piersi... Pies z nastawionemi uszami siedział przy swéj pani, poglądając niespokojnie dokoła.

Niekiedy wzrok Azy padał na nich, ciekawy, szyderski, pełen jakiegoś uczucia mściwéj prawie radości. Choiń-

ski rozpoznawszy to wszystko, chciał się zaraz rzucić do syna, ale go drudzy, a zwłaszcza Rataj opamiętał, że uciec mogą, że cyganów siła większa, a licha drażnić niebezpiecznie. Poczém wskazawszy ręką staremu, żeby pozostał na uboczu, sam odsunął się nieco i wszedłszy w blizki wąwóz, prosto się skierował na ciepły dym cygańskiego ogniska.

Dobrze się zbliżył, a nikt go nie dostrzegł jeszcze; dopiéro gdy Siérotka zaszczekał i za nim dwa psy cygańskie ujadać zaczęły, Aza spojrzała, Aprasz się podniósł i co żywo kupić się i zbiegać jęli, na dziada kierując.

— Dajcieno pokój, to stary Rataj ze Stawiska—rzekł Tomko—pewnie przenosi żydom paczki, a powąchawszy dymu, przyszedł się ogrzać.

Cyganie zdawali się naradzać co począć, a stary śmiało się zbliżył do obozowiska. Kijem namacał miejsce uczuwszy się przy ogniu, psy odpędził i usiadł na trawie, ani się troszcząc o otaczającą go gawiedź cygańską.

Na widok Rataja Marysia aż krzyknęła z radości, tak jéj Stawisko, chatę i życie dawne przypomniał, i zabywszy wszelkiego strachu, nie myśląc taić się z sobą, rzuciła się zaraz ku niemu.

— Jak się macie ojcze? jak się macie?

— A! to ty Maryś! hę?—zawołał stary, który tylko na to czekał, by mu się odezwała—Nie nowina mi to, żeś ty tutaj; domyślałem się że za cyganami pójdziesz rozkochawszy Lacha, a i Lach, licho go nie brało, za tobą pociągnął: wszakci i jego głos słyszę. Otoście się harno domyślili oboje.

Marysia stała milcząca.

— Ojcze—zawołała po chwili—widać, że kiedy komu z doli wypadnie być przeklętym, to już się od przekleństwa nie wychodzi; wiécie, że nigdy, ah! przenigdybym była i chaty mojéj i mogiły matki nie porzuciła, gdyby się Lach nie upędzał za mną, gdyby mi ojciec jego nie pogroził przekleństwem.... Nie chciałam, żeby mnię ubogą klęli starzy jego rodzice; ale widać była w tém wola Boga!!

Dziéwczę westchnęło głęboko.

— Prosiłam go na kolanach, płakałam, żeby powracał do domu; zaklinam go jeszcze, on nie chce... O! powiedźcie wy mu, powiedźcie niechaj powraca!

— Idę z Rudni—rzekł stary Rataj—toto sądny dzień u Choińskich... Źleś zrobił chłopcze: ojciec i matka rozbijają się za tobą, aż mi ich żal było, że za takim jak ty płaczą włóczęgą... Jak tobie nie wstyd! jak nie żal!

Tomko milczał ponuro; Marysia łamiąc ręce zawołała:

— Ojcze! mówcie mu, mówcie, może serce jego ruszycie. A! czyż to się godzi dobrych rodziców tak rzucać.... O! gdybym ja takich miała!

— Chybabyś ty wróciła ze mną, inaczéj nigdy—rzekł Tomko—nigdy....

— O dołoż ty moja nieszczęśliwa!—zawołała Marysia.

— Gdzie ty, tam i ja! albo się zatracę!—dodał chłopiec.

Rataj wydobył z torby kawał chleba i począł go krajać powoli. Aza zbliżyła się, stanęła, i przysłuchując rozmowie wpatrywała się w starca, a dziki uśmiech błądził po jej ustach.

— Poszaleją rodzice starzy—zawołała—poszaleją! Dobrze im tak, chcieli innego szczęścia dla syna, niechże innego syna szukają....

— Kobiéto! ty chyba nie masz dzieci!—odezwał się Rataj surowo.

— Nie mam! i mieć ich nie chcę—odparła dumnie Aza—póty z nich pociecha, póki wiszą przy piersi; na ziemię skoczywszy chléb ci tylko z gęby i spokój z duszy wydziérają: nie prawda stary?

Rataj głową potrząsł.

— Nie, nie!—dodała Aza—już ani ona, ani on do was nie powrócą: muszą iść z nami! To dziecko krwi naszéj, a to jéj mąż.... Wyparł się wszystkiego dla niéj i dobrze zrobił..... dobrze! Godzina szczęścia lepsza, niż wiek grzybiego pustego życia.

— Moja kochana—chléb zajadając odparł Rataj—to tak jak komu do serca; a jabym godziny mojéj nieszczęśliwéj doli, na krótszą chwilę lepszego szczęścia nie pohandlował: takito się żyje....

— Tyś cygan jak my i włóczęga—odpowiedziała Aza—a nie ma jak cygańskie życie: i tobie ono smakuje. Plunę na dolę, bo ją za sobą zostawiam, codzień mam nową, nowe niebo, nowe życie... Hej! daléj a daléj, aby dzień do wieczora!

— Jak wy tak mówić możecie—nieśmiało przerwała Marysia—A! mój Boże, mój Boże! a ja za ten kątek mój, za mogiłę do któréj serce przyrosło, i za dolę dawniejszą, dałabym życia połowę, gdyby je choć we śnie zobaczyć.... Niedawnom ztamtąd poszła, a spokoju nie mam od tęsknoty, aż mi głowa pęka.... aż szaleję od płaczu....

— Boś niedawno poszła—zawołała śmiejąc się Aza.

— A nędzy mi to jeszcze dodaje, że Tomko z nami, i za nim gonią przekleństwa poczciwych ludzi; zdaje mi się, że czuję jak je każdy wiatr przynosi, jak mię z nóg walą i suszą duszę moją.

— No! to powracaj nazad!—rzekł Rataj.

— Ja! alboż mogę?—westchnęła dziewczyna—A! nigdy już! nigdy! pomiędzy tamtych ludzi, na śmiéch, wzgardę, na przekleństwo!

Rataj mocno kaszleć począł, a tak robił piersią, że go o staję słychać było.....

— Ot, co mi dasz Marysiu,—rzekł—to cię odprowadzę do domu?

— O! jabym tam i sama trafiła, gdyby mi wolno było — odpowiedziała dziewczyna—lepiéj tam Lacha zaprowadź....

— Nie mówże tego Marysiu — oburzył się Tomko— wiész, żem przysiągł, i nie opuszczę cię nigdy.

— Nieszczęście! nieszczęście! — zawołała Marysia, i twarz utuliła w dłonie.

Wtém Rataj się zerwał, wyprostował i obrócił twarzą poza siebie; a na znak ten umówiony, z blizkich krzaków jakby cudem wystąpił stary Choiński, który całéj wysłuchał rozmowy.

Zaledwie blask ognia oblał twarz jego, a krzyk Tomka, którego żebrak silną uchwycił dłonią za rękę, rozszedł się po lesie; cały oboz cygański ruszył się jak stado dzikiego ptastwa po wystrzale myśliwca. Aza zawołała na swoich. Aprasz, jego dzieci, baby, co żyło skoczyło do kijów, do siekier i wrzawą niesłychaną zapełniło dolinę.

Cyganie nie wiedząc jeszcze dobrze co się stało, sądząc się napastowani, krzyczeli:

— *Katarsot*? *katartos*? (zkąd? kto to?)—Marysia upadła na ziemię jak nieżywa ze strachu, zakrywając sobie

oczy; Tomko wyrywał się i szamotał; i możeby jakim krwawym razem skończyło się to zamieszanie, gdyby Rataj nie krzyknął głośniéj od wszystkich:

— Czekajcie, słuchajcie, cyganie, poganie, psie plemię; nas dwóch, toć was nie pojémy.... A ty głupi Lachu, co masz od szczęścia uciekać, jak długi do nóg ojca razem z nią....

— Ja do domu nie powrócę!—zawołał zapamiętały Tomko.

— Cicho! milcz—przerwał żebrak—ojciec ci przebaczył, powrócicie we dwojgu.... Do nóg staremu, do nóg!

Na te słowa Tomko, któremu Rataj puścił rękę, osłupiony stał chwilę, a potém skoczył, objął i począł nogi ojca całować; ale Marysia usłyszawszy to zerwała się z ziemi i drżąca skryła się za Azą, pomiędzy cyganami.

Choiński stary milcząc, groźny razem i rozczulony, słowa wyrzec nie mogąc, cisnął syna do piersi.

— Przebaczam ci—odezwał się nareszcie—bierz ją i powracaj do domu; ale pamiętaj chłopcze—tu łzy mu słowa przerwały.....

Tomko wychwycił się z objęć ojca szukać Marysi, która opodal stała szepcząc z cyganką.

Obóz cygański jakby czarnoksięzką dotknięty laską, kupił się, zwijał, i zabiérał szybko do opuszczenia ogniska. Namiot na wóz rzucono, konie wprzęgano z pośpiechem, wszyscy pomagali do pakunku, a Aprasz niepatrząc na kogo padną, gęsto razami okładał otaczających.

Tomko przecisnął się do dziewczyny.

— Ojciec nam przebaczył—zawołał—chodź, chodź, i padnij mu do nóg ze mną.

Ale Marysia płacząc schowała się za Azę.

— Ona nie chce—odezwała się cyganka—słyszysz, że nie chce....

— Jakto nie chce?—krzyknął Tomko.

— Spytaj jéj saméj; idzie z nami....

— To i ja z wami!—zawołał Tomko—ale to być nie może.

— Co to się dzieje? co to jest?—przerwał Rataj, cisnąc się do nich.

— Dziewczyna nie chce! czy co?—odezwał się stary Choiński—na rany Boże, czyż ją jeszcze prosić będziemy?

Oba z szlachcicem zbliżyli się do siéroty.

— Co tobie się stało, dziecko—począł Rataj—oszalałaś, takie szczęście odpychać? mów! To cygańska sprawa, odurzyli, czy oczarowali?

— Nikt mnie nie oczarował—odezwała się zbiérając siły Marysia—ale mogęż ja, powiedźcie sami, narzucić się wam za niewiastkę? Czyto tam szczęście będzie, gdzie miłości nie ma, gdzie woli nie było? Wy mną gardzicie jak cyganką, a ja jałmużny nię chcę. Przyjmujecie mnie z żalem, żeby mieć syna, a jutro precz wygnać możecie z torbami; lub za rok jeźli dożyjem, wykluwać mi oczy cygaństwem, siéroctwem i ubóstwem... Nie! ja tego nie chcę!

Choiński zamilkł zadumany.

— Słuchaj—odezwał się po chwili namysłu—słuchaj i zawierz mi dziewczyno, bo to co mówię, mógłbym i przed ołtarzem Bożym powtórzyć.... Miałem cię za ladaco, nie taję, ale kiedym cię zobaczył i posłyszał, a teraz bardziéj jeszcze.... klnę ci się na Boga, że gdybym temu hultajowi wybiérał żonę, a sobie synowę, tobym już innéj nie żądał.... Poczciwą jesteś i hardą, a ja do chaty grosza nie potrzebuję, tylko szczęścia....

Dziewczyna stanęła wryta; łzy puściły się jéj z oczu, podbiegła, pocałowała w rękę starego i cicho rzekła:

— Bóg zapłać ci za dobre słowo; ale ludzie! ale matka!..

— E! głupia jesteś—krzyknął Rataj podnosząc sękatego kija—at! nie durzyłabyś się darmo... A mało ci to, że powrócisz do chaty swojéj, do swego kąta i mogiły matczynéj, a włóczyć się nie będziesz gubiąc duszę z cyganami! Do nóg, plackiem do nóg staremu, i w drogę!

Gdy się to działo w maleńkiém kółku złożoném z Choińskich, Rataja, Bartka i Marysi; cygańska tłuszcza odstąpiwszy nieco, stała w milczeniu; rzuciwszy nawet pakunek i wybór w drogę, tak się podziwiali nie rozumiejąc dziwnym, niezrozumiałym dla nich targom.

Aza stała milcząca, chmurna, zagniewana, a gdy wreszcie ujrzała, że Marysia pada do nóg staremu; rozśmiała się śmiechem szatańskim, jak przekleństwo przeraźliwym.

— Głupia dziewczyna!—zawołała—idź na zgubę, kiedy chcesz, idź.

I odwróciła się do swoich.

— Aprasz w drogę! na Węgry!

— I my w drogę—zawołał Choiński—w chacie nas tam modląc się czeka matka....

Gdy sierota odwróciła się chcąc zbliżyć, by pożegnać cygankę: Aza cofnęła się odpychając ją ręką:

— Idź precz, krew gadziów nienawistnych — zamruczała przez zęby—idź na stracenie do swoich.... Nie warta jesteś ogniska Romów i Romów serca:... precz biała!

Porwali ją otaczający, i na wytaczający się z krzaków wóz wsadzili. Zasiadł zaraz stary, Tomko i Bartek, a tak szybko unosili się obawiając napadu cyganów, że nawet o starym Rataju zapomnieli, który o kiju pomrukując, powlókł się za niemi. W istocie posłuszna Azie banda, zdawała się cicho tylko naradzać, by odbić i porwać dziewczynę; ale nim się tam rozmyślili co począć, konie zaciąwszy Choińscy po bezdrożach popędzili ku Rudni przez lasy.

W popłochu tym, tylko siwy koń Tomka padł ofiarą, bo go Apraszowie uprowadzili z sobą na Węgry.

W kilka tygodni potém — skończmy jak się kończą bajki—sprawiono huczne wesele.... A było obfite, a było wesołe, a było ochocze i gości na niém co niemiara. I ja tam byłem, miód, wino piłem, po brodzie ciekło, w gębie nic nie było....

Chata za wsią stoi jeszcze staruszka, ale obok na gruncie, na czynsz puszczonym Choińskim, osiadł Tomko i pobudował dworek; o którym kiedyś, kiedyś, gdy mi na duszy będzie weseléj, na sercu swobodniéj a na świecie lepiéj, może wam kiedy opowiem: bo w bajce tylko kończy się wszystko weselem, na świecie od niego poczyna.... a chata za wsią stoi jeszcze....

Dnia 25 marca, Żytomierz.
— 1 maja, Kisiele 1854 r.

KRONIKA LITERACKA.

Szkice historyczne, skreślił Karol Szajnocha. 1853. *Lwów.*

Szajnocha jest bardzo logicznym i bardzo rozsądnym krytykiem dziejów narodowych: jest do tego niepoślednich zdolności artystą i czuje potrzebę malowniczego obrazowania przeszłości. Te dwa kierunki prac jego są tak wybitne, że zaraz każdemu podpadają pod oczy. Krytykę i ułudę opowiadania łączy Szajnocha prawie w każdym swoim artykule, w każdym ułamku z opowieści dziejowéj. Bo cóż to jest np. jeżeli nie krytyka historyczna, kiedy autor śmiałą ręką nakreśla charaktery dawnych osób i to jeszcze charaktery wcale inaczéj pojmowane, jak je dotychczas wszyscy pracujący na polu historyczném pojmowali? Cóż to jest jeżeli nie krytyka, kiedy autor wskazuje na Leszka Czarnego, że od niego właściwie zaczyna się reakcya na stronę narodową w słojach towarzystwa polskiego rozwijająca się, od tego Leszka, któregośmy dotąd za przynajmniéj nic nieznaczącą, błahą postać uważali? Cóż to jest, jeżeli nie krytyka, kiedy autor owę Elżbietę Łokietkownę (Krzyżanowski powiedziałby o niéj: złowrogiéj pamięci), matkę Ludwika węgierskiego przez kroniki nasze przeklętą, rehabilituje i stawia za wzór miłości macierzyńskiéj, za przykład poświęcenia się dla spraw narodu to węgierskiego, to polskiego? Przykładów takich wiele zacytowaćbyśmy mogli. Pełen zdolności autor lwowski, studyuje dawne pomniki z żelazną wytrwałością, a zgłębiając stare czasy, przypatruje się ludziom, widzi jedno i drugie w inném jak dotąd widziano i to i owo w świetle; i w opowiadaniu, które nadzwyczaj pod jego piórem zajmuje, wyprowadza znane nam z nazwiska, ale nieznane ze sposobu myślenia i charakteru osoby i postaci prawie zupełnie nowe, bo piérwszy raz tak, jakiemi je wystawia Szajnocha, pokazują się w nauce. Nikt tak biegle nie połączył krytyki z artystycznością, jak Szajnocha.

Są zapewne w poglądzie autora lwowskiego i w charakteryzowaniu wypadków i ludzi pewne excentryczności, bo któż ich uniknie? Człowiek nauki, kiedy wpadnie na myśl jaką nową, na kombinacyą o któréj nikt przed nim nie pomyślał, zwykle rozmiłowuje się w tém, co stworzył, co wymyślił; zwykle przywiązuje do swojéj zasługi jakiś punkt honoru, i ztąd uwodzi się poszlakami, upornie się trzyma swojego zdania. Trzeba bardzo jasnych, niezmiernie jąsnych dowodów, żeby stanowisko swoje porzucił, lubo zdarza się nieraz, że sam się spostrzeże i cofa. Nie mamy tutaj na celu robić przeglądu prac historycznych Szajnochy, albo dowodzić mu tych excentryczności; wskazujemy prosto tylko na fakt, że literatura nasza ma prawo chlubić się wszystkiemi krytykami i opowiadaniami Szajnochy. Co excentryczne, z czasem, kiedy się lepiéj w historyi rozwidni, upadnie; co ma wartość swoję, wiecznie pozostanie jako zdobycz dla nauki. Dotąd literatura nasza nie miała zdolnych opowiadaczy, chociaż miała kilku znakomitych krytyków. Znamy jednego tylko autora, który w ścisłéj seryo krytyce dziejowéj, do któréj czytania nikt się nie wziął, oprócz fachowych ludzi, porywał poezyą, prawdą swoich pomysłów i w krytyce swojéj, że tak się wyrażamy, był estetycznym, był piérwszego rzędu artystą. Wczytać się tylko było w jego zdobycze Bolesława Wielkiego, w jego rozprawę o statucie Wiślickim, w jego upadek Bolesława Śmiałego, w jego nawet suche zdaje się i na pozór bez życia rodowodowe badania narodów i szlaków, po których w przedhistorycznych czasach te narody postępowały: wczytać się było tylko, żeby pokochać na zawsze historyą. Ale krom krytyków, krom owego krytyka artysty, nie miała literatura nasza nic dotąd prawdziwie pięknego na niwie dziejowéj (mówimy tutaj o umiejętnych odtworzeniach, nie o pamiętnikach i kronikach dawnych). Ztąd wysokie stanowisko Szajn., bo on piérwszy zaczyna postępować na téj drodze. Ależ Szajnocha nie buduje z gotowych, z przebranych i objaśnionych już materyałów; Szajnocha sam kopie rudę złotą w przeszłości, musi więc sobie i torować drogę przez ciemności i tworzyć. Razem jest opowiadaczem i krytykiem; stanowisko jego przecież skromniejsze i musi być skromniejsze, od stanowiska autora Ksiąg Bibliograficznych. Ten ostatni pochodnią światła całe pokłady historyi narodowéj oświecił; Szajnocha tylko wyjaśnia drobniejsze szczegóły. Tamten jak prawodawca nauki, stworzył ją jak niby Lineusz, Cuvier, Kopernik; Szajnocha idzie tylko po śladach. Autor Ksiąg Bibliograficznych stworzył uczonych i pokazał jak obrabiać historyą, jak brać się do rzeczy; Szajnocha ma, zdaje się, posłannictwo rozlać znajomość historyi na massy ciekawe.

A charakter ten podwójny, który leży na wszystkich pracach Szajnochy, leży najwybitniéj na tych oto S z k i c a c h, które

mamy pod ręką i o których chcemy powiedzieć słów kilka. Jest to zbiór rozprawek drukowanych już po większéj części po różnych pismach krakowskich i lwowskich. Sąto opowiadania i krytyczne artykuły, ale opowiadania z krytyką wypadków, obok krytyki w opowiadaniu. Ma szczególny talent autor w łączeniu tych dwojga zdaje się odrębnych rzeczy. Bo jak tam może iść dobrze i płynnie opowieść, kiedy co chwila trzeba ją przerywać wycieczkami do kronikarzy i łajaniami tych, co dali się uwieść baśniom często niezrozumiałym i dzikim? Naruszewicz, Lelewel kiedy krytykowali fakt jaki, brali frazy całe; frazy te obracali na różne strony, zastanawiali się nad każdym wyrazem, czasem wyraz ten poprawiali, porównywali jednego, dwóch, trzech kronikarzów i opowiadania ich: jedném słowem prowadzili cały ten proces ćwiertowania z całą powagą badacza, który chce się dziejów nauczyć. Tutaj zaś u Szajnochy wszystko to idzie tak ładnie, tak łatwo, że nic nie przerywa opowiadania, a owszem zboczenia do kronikarzy wypełniają nawet obraz, który inaczéj niezawsze byłby wymierzony jak należy. Prawda téż, że często ze surowszym materyałem przychodziło mieć do roboty dawnym mistrzom.

W Szkicach są artykuły więcéj krytyczne jak powieściowe, są inne artykuły więcéj powieściowe jak krytyczne; ale i piérwsze i drugie krytykują, i piérwsze i drugie opowiadają.

Oto w artykule np. Brody krzyżackie, który do piérwszéj kategoryi należy, autor chce nas przekonać, że bardzo grubem było zmyślenie niemieckich, zakonu krzyżowego kronikarzy, którzy twierdzili: że Polacy po bitwach w których zwycięzcami zostawali, poległym rycerzom z ciałem odcinali brody, i że te brody składali jako trofea po swoich wspaniałych kościołach katedralnych, jakie są np. w Krakowie na Wawelu i Wilnie. Trofea te np. po grunwaldzkiéj bitwie miały być odcięte mistrzowi i konturom. Otóż kronikarze rozpletli te dziwne baśni, które przeszły aż do kronik XVI wieku, i przechowały się nawet w kronice ruskiéj Bychowca, wydanéj przez Narbutta. Kotzebue w XIX wieku wierzył im naturalnie: łżył Polaków za ich nieludzkość i zwierzęcość. Co większa! jakże Kotzebue wierzyć nie miał staréj powieści, kiedy te brody oglądano prawie jeszcze za naszych czasów w Wilnie? boć ks. Korzeniowski proboszcz ś. Jana i krewny po bracie Teod. Narbutta, znalazłszy je w staréj skrzyni katedralnéj przy pewnéj reparacyi gmachów kościelnych, naocznie przekonał się o prawdzie, i zadziwienie swoje, a raczéj sam fakt opowiadał naszemu czcigodnemu dziejopisowi Litwy. Zdaje się więc, że fakt o brodach nie ulega żadnéj wątpliwości; ale oto śmiały Szajnocha nie uważa na świadków oczywistych i obala fakt, a ma za sobą powagę Decyusza. Przytoczyć jednak po prostu Decyusza, nie będzie powieści, a powieścią właśnie chce zbijać Szajnocha baśni o brodach krzyżackich. Otóż w starym

Krakowie, rozpowiada, odbywa się wesele Zygmunta Igo z Barbarą Zapolską. Na to wesele przyjechał poseł mistrza krzyżackiego, sam krzyżak, nieprzyjaciel Polaków, bo Niemiec. Autor spostrzega naszego rycerza w kościele katedralnym i prowadzi go do grobu, przy którym brody owe złożone być miały. Widzim jak krzyżak się zżyma, ale już nie z patryotycznego uczucia dla zakonu, który dla niego nie jest więcéj ojczyzną. Co słyszał nasz krzyżak za granicą, to tutaj widzi w namacalnéj rzeczywistości. Po tym ślicznym obrazie krzyżaka autor już sam rozpowiada sławną owę historyą o brodach, jak ona znajduje się u Grunawa, u Schütza, u Heinebergera, u Bychowca i daléj; przytacza ciekawe opowiadanie księdza Korzeniowskiego z Narbutta, z czego widać jak historyk litewski ślepo wierzy temu podaniu, które jak pokazuje się, było tylko artykułem wiary ludowéj. Poczém znowu snuje się u Szajnochy wątek przerwanéj niedawno powieści: krzyżak ów zachmurzony wychodzi z kościoła i spotyka Decyusza. To Niemiec wprawdzie rodem, ale sercem nowéj ojczyznie oddany. Decyusz śmieje się z prostoty krzyżaka, który się przed nim użala na barbarzyństwo polskie; mówi mu wyraźnie: „nie dąsaj sią miły bracie, i płochem, ba! śmiesznem podejrzeniem nie krzywdź uczciwego narodu: to buńczuki tatarskie wiszą po kościołach, ale nie brody krzyżackie, a buńczuków pełno po zwycięztwach Polacy składali po swoich świątyniach. I oto w téj chwili, dodaje Decyusz, książę Konstanty ugania się na Wołyniu za Tatarami; poczekaj, a zobaczysz jak za chwilę nowych ozdób przybędzie Pańskim świątyniom.“

Tak samo autor w artykule pod tytułem: Próbka podań historycznych, powieścią stara się przekonać: że ludowym pogadankom i legendom nie ma co tak bardzo wierzyć; bo inaczéj daléj się zajdzie, jak się chce, a nigdy się nie trafi do źródła i do prawdy. Częstokroć śpiewa o jakiémś tam podaniu poezya bohaterska i piszą o niém kroniki; częstokroć odwieczne pomniki wiążą się z jego treścią, a tysiące ust oddają mu po dziśdzień, mówi autor, świadectwo prawdy niezmiennéj, a mimo to wszystko, pozór uwodzi. Juścić jest tam zawsze na dnie każdéj baśni jakieś ziarnko prawdy, ale jak upstrzone, jak przeinaczone do niepoznania! Szajnocha dla przekonania o tém czytelników, wziął podanie jedno z dziejów szlązkich, które także przeszło w kroniki. Zdarzenie było następujące: przed piérwszą nawałą tatarską na Polskę i Europę, Michał Wszewłodowicz książę kijowski przestraszony ucieka naprzód do Halicza, potém na Mazury, potém na Szląsk; tutaj za Wrocławiem dojeżdżał książę do Srody (Neumarkt) kiedy go tłum zbrojny niemiecki opadł w nadziei pewnéj zdobyczy i wnukę mu zabił i ludzi wymordował. Książę przestraszony umknął znów na Mazury, i czekał przejścia burzy mongolskiéj. W kilka miesięcy nawała na gruzach Krakowa i Wrocławia rozwściekła się po ziemi szlązkiéj. Środa leżała Tatarom po

drodze do Lignicy: padła też w gruzach i popiołach, a Niemcy jéj mieszkańcy do szczętu pod toporem dziczy wyginęli. Lud powiadał, że to była kara Boża na Środę wymierzona za napaść zbrojną przed rokiem, jakiéj doznał książę kijowski. Oto fakt; ale podanie widząc, że kara tak prędko nastąpiła po zbrodni, uważała samo najście Tatarów za skutek zbrodni. Książę kijow. przybywał ze Wschodu właśnie od strony Mongołów, wschodnim przepychem niewidzianym na Szląsku dziwił jako cudzoziemiec, i otoż podanie szląskie opowiada ze zgrozą o Środzianach, jak zabili księżniczkę tatarską; potém że ta księżniczka była rodzoną córką wielkiego hana, który li tylko dla zemsty napadł na Europę; potém prawiło, że córka hańska wybrała się w podróż po Europie. Podanie to pochwycił wieszcz rękopismu królodworskiego i przeniósł teatr wypadku tego do Moraw. Potém kronikarz szląski w lat 200 opisując żywot i cuda ś. Jadwigi, utworzył cały romans o tym wypadku i mnóstwo pozmyślał rzeczy dla okrasy. U niego już córka hańska zmieniła się w małżonkę, z żony urodziły się dwie córki prześlicznéj urody. Jest osada na Morawach Dziewin nazwana: otóż ani chybi, te dwie córki zdięte chęcią widzenia Europy, przybywają po drodze do tego Dziewina, gdzie je pan zamku łakomy zepchnął z góry, ale dziewice skamieniały, i oto dziś jeszcze w kamieniach świadczą o zbrodni.

Gdyby autor jak tam o brodach prosto przytoczył Decyusza, tak tutaj słowa kroniki ruskiéj o ucieczce księcia Michała, byłby odrazu rzecz skończył; ale nie byłoby zato ciekawéj powiastki, nie byłoby historyi krzywienia się wypadków rzeczywistych, nie widzielibyśmy całego processu tworzenia się legend i narodowych powieści. Pamiętamy tak samo, przed laty kilkadziesiąt, Naruszewicz wykazywał fałsz powiastki o mnichostwie Kazimierza odnowiciela: wskazał najdawniejsze źródła, w nich o tém mnichowstwie nawet i mowy nie było. Potém zjawia się coś nakształt napomknienia, potém już pewniejsze wieści, potém już pewność, potem fakt jak mur, potém fakt ten ubierają kronikarze w inne cudowniejsze zmyślenia. Naruszewicz cały ten process tworzenia się dziwacznéj baśni rozwija, ale seryo, ale cytatami, wypisami, łaciną, zdaniami autorów; Szajnocha jakby urywkiem historycznym, jakby jednym rozdziałem z dziejów Piastów, które z kronik w mozaikę urabia. Prawda i to, że Naruszewiczowi tylko o rzecz i czas chodzi i że Szajnocha się bawi; aleć i zabawy potrzeba, a te artykuliki bardzo się mile i w zajmujący sposób czytają.

Troszkę już surowszy materyał podaje nam Szajnocha w swojéj rozprawie o Stanisławie i Annie Oświecimach. Kto nie zna bajki o miłości wzajemnéj brata i siostry, o miłości na wzór Romeo i Julii, Abelarda i Heloizy? Otóż po-

kazuje się, że i powieść o téj miłości należy do kategoryi tych podań historycznych, których autor dał już próbkę w rozbiorze powieści szląskiéj o ucieczce księcia kijowskiego. Bajka jak bajka przechodziła z ust do ust, a bajce jak wiadomo wolno chodzić z ust do ust, póki jéj jaki historyk nie złapie i na gorącym uczynku zaraz na śmierć nie osądzi; otóż tutaj stało się przeciwnie. Autor Starożytności galicyjskich, surowy zbieracz pamiątek narodowych, piérwszy napotkał tę bajkę, i niezastanawiając się dobrze nad jéj dziwactwem, prosto do historyi ją zapisał. Szajnocha dopiéro postanowił nie puszczać daléj baśni między ludzi, baśni, która zhardziała na uznaniu Żegoty Paulego. Przewybornie mu do tego posłużył jeden rękopism z biblioteki Ossolińskich; rękopism ten, którego autorem jak się pokazało, był sam Stanisław Oświecim, bohater romansu. Wypisy różne z tego rękopismu przekonywają, że Stanisław rzadko widywał siostrę, że nie jeździł do Rzymu po dyspensę papiezką, żeby się z nią mógł żenić; że jéj śmierci nie była wcale przyczyną zakazana ludzkiém i Boskiem prawem miłość do brata, że brat ten owszem wbrew legendzie, długo żył jeszcze po siostrze i nieraz się weselił i nie przyoblekał się już na całe życie w ciężką żałobę i t. d. owszem kochał czule siostrę i dał tego dowody, ale kochał ją nie do tego stopnia, żeby zapragnął z nią zawierać kazirodzkie związki. Czytaliśmy cały ten artykuł także z wielkiém zajęciem, niedlatego jednak, że autor baśń nogami zdeptał: miała ona bowiem sama w sobie tyle nieprawdopodobieństw, że każdego, a cóż dopiéro ostrożniejszych raziła; ale dlatego czytaliśmy artykuł z zajęciem, że poznaliśmy tutaj bliżéj postać samego Oświecima dosyć ważną i ciekawą w swoim czasie, postać zupełnie prawie nieznaną, bośmy dotąd nic nie słyszeli o nim więcéj, jak tylko te szczegóły o dziwacznéj miłości do siostry. Oświecim był wzięty na dworze Władysława IV, i do jego synka małego Zygmuntka mianowany był ochmistrzem. Szajnocha skreślił życiorys tego Oświecima, a każdy życiorys szlachecki jest nabytkiem dla historyi. Spisał nam Szajnocha jego rodowód i jego bliższe związki familijne, a każdy taki nabytek jest znowu skarbcem, którego użyjesz gdzie chcesz do powieści czy do historyi. Owszem kilka jeszcze faktów ważniejszych wypisał Szajnocha z życiorysu narodu. Wszystko to robi, że artykuł o Stanisławie Oświecimie nie jest czysto ujemnym i ma też swoję dodatnią stronę. Jednakże samą krytyka faktu znalazła niedowiarków. Ktoś bezimienny w Czasie zbijał twierdzenia Szajnochy, ale najniefortunniéj, do artykułu więc dawniejszego dodał nasz autor przypisek, w którym raz jeszcze zwycięzko na zarzuty obrońcy polskiego Petrarki i polskiéj Laury odpowiada.

Ale najważniejszą może zasługę położył Szajnocha (mówimy tutaj jedynie o jego szkicach) swoją krytyką Wojny chocimskiéj,

poematu świeżo wydanego we Lwowie. Wydawca Przyłęcki przypisał ten poemat Jędrzejowi Lipskiemu podwojewodzemu sanockiemu; inni dowodzili że autorem jest Achacy Pisarski starosta wolbromski. Szajnocha śmiało wyrzekł: że onę Wojnę chocimską pisał nie kto inny tylko znany w literaturze polskiéj poeta Wacław Szreniawa Potocki podczaszy krakowski, autor Pocztu herbów, Jovialitates i Fraszek, tłumacz Syloreta i Argemidy. Dowody które tam Szajnocha na swoję stronę położył, dla nas były tak widoczne, tak przekonywające, żeśmy je za fakt przyjęli i rozszerzyli się nawet więcéj w tym przedmiocie w artykule, któryśmy drukowali w roku bieżącym w kilku numerach Dziennika Warszawskiego. W artykule tym mieliśmy zamiar przedstawić dzieje pewnéj niewiasty polskiéj jako niby obraz, wizerunek, wzór życia innych niewiast. Chcieliśmy pokazać, czém się niewiasta polska zajmowała, o czém myślała, jak wychodziła z mężem. Do tego umyślnie wybraliśmy taką niewiastę, która miała aż czterech mężów, a każdy był typem w swoim rodzaju. Przyszło nam te dzieje tylko w oderwanych cząstkach drukiem ogłosić, czego mocno teraz żałujem. Całość zachowamy do zbioru takich szkiców czyli urywków historycznych, jakie oto teraz są Szajnochy. Tą naszą niewiastą polską była Helena z Potockich rodzona wnuczka Wacława, w końcu Morsztynowa wojewodzina inflancka. Z tego powodu, że wnuczką była Wacława, rozszerzyliśmy się i o tym pomyśle Szajnochy co do Wojny chocimskiéj, bośmy artykuł jego dawniéj znali. Przytoczyliśmy tam ze swojéj strony co tylko zebrać mogliśmy o życiu Wacława. Rzucaliśmy pewne myśli o wrażeniu, jakie na nas sprawiło ukazanie się kilku dzieł tak znakomitych jak ta Wojna chocimska z epoki, w któréj same makaroniczne potwory podług dotychczasowego naszego widzenia rzeczy, rodziły się. Tam już powiedzieliśmy: że autorstwo Wojny chocimskiéj według wskazań Szajnochy, żadnéj nie ulega wątpliwości. Poco mnożyć nowe nieznane postaci w dziejach literatury, które lada wiatr późniejszy rozwieje, kiedy są autorowie znani, candidati nati? Wistocie gdyby już nie było innego dowodu nad ten, który Szajn. upatrzył, że tak blizkie zachodzi podobieństwo pomiędzy Jovialitates i Pocztem herbów a Wojną chocimską, jużby ten fakt jeden wystarczył. Całe tyrady z jednego poematu powtarzają się w drugim. Któżby mógł tak bezczelnie okradać siebie, jeżeli nie sam autor? Owszem niejedne ustępy wyglądają na przerobienie, na powtórne lepsze niby wydanie dzieła. Wojna chocimska była napisana za panowania Michała Korybuta. Jovialitates i Poczet herbów są późniejsze. Potocki już starością słabiał, więc się kopiował, przepisywał, niby poprawiał, dawną weną swoją starą wenę sztukował. A potém tyle poszlak, tyle oczywistych dowodów świadczy za domysł Szajnochy przeciw Przyłęckiemu,

że i mówić nie ma o czém. Dla nas nikt inny, tylko Wacław Potocki jest autorem Wojny chocimskiéj.

Przechodzimy do artykułów, które są więcéj opowieścią jak krytyką.

Kiedyindziéj znowu Szajnocha zapytuje się sam siebie, zkąd Kazimierzowi Wielkiemu przyszło na myśl być królem chłopków? Jako organizator miał król w swoich poprzednikach i następcach możnych spółpracowników, opowiada Sz. lecz jako królowi chłopków nie widzim mu ani poprzednika, ani następcy. Genealogii moralnéj téj postaci dostrzedz niepodobna: niewytłumaczona jest sielska dążność jego rządów. W istocie Kazimiérz W. wygląda jakby budził trupa, tojest gminę słowiańską, która już z Bolesławem Śmiałym zstąpiła do grobu. Co to znaczy ten jego kierunek, zwrot ku tym dążnościom, które już od trzech wieków umarły w Polsce? Pytanie ważne i zagadkę trafnie rozwiązuje autor. Bierze on historyą nie w oderwaniu, ale w całym rozwoju i wskazuje na ślady tego, co się gdzieindziéj działo poza granicami Polski. Tak, trzeba w całym ogromie brać historyą, a wtedy to i owo będzie jasne, co dzisiaj jest zagadką. Za czasów Kazimierza W. ważne poruszenia odbywały się na Zachodzie: stan trzeci zdobywał sobie stanowisko polityczne. Byłyto czasy przejścia, czasy powszechnego wzburzenia wszelkich żywiołów społecznych w zamęt nowego stworzenia, z którego powstały nowsze monarchie europejskie. Kazimiérz Wielki był synem swojéj chwili; nie budził stanu trzeciego, bo go u nas nie było, żywioł ten w Polsce głównie w kmiotkach się zawierał. Gorączka przeszła, a ta chłopkomania została się faktem w historyi. W Europie zachodniéj potworzyły się miasta: u nas szlachta coraz więcéj wybujała nad równość gminną. Skutki walk i usiłowań odmienne były na Zachodzie i Wschodzie, stosownie do gruntu na którym jedno się rodziło, a drugie rodzić się nie mogło. Miasta (municipia) były instytucyą rzymską, uległy przed barbarzyńcami; zrównało się wszystko do poziomu, miasta i wsie w dawném państwie Cezarów; ale nastała reakcya wolności rzymskiéj, zwłaszcza, kiedy papiéż objął berło nad światem; odżyły municipia, u nas ich nie było więc nie odżyły, a kiedy gorączka przeszła, szlachta została tém samowładniejszą panią położenia. W artykule Wiek Kazimiérza Wielkiego jest piękny obraz zaburzonéj Europy; przecież to tylko krytyka faktu wyjaśniająca, dlaczego Kazimiérz był królem chłopków.

Śliczny jest artykuł o św. Kindze. Jestto rodzaj biografii napisanéj z życiem. Autor zawód ziemski téj świętéj niewiasty rozwija na trzy kawały, stosownie do trzech wielkich jéj zasług, które się w trzech zawierają wyrazach: posag, pierścień i klasztor. Za jéj posag Bolesław Wstydliwy rozpaczny a trzech-

krotny opór stawił Tatarom; jéj pierścień dał powód do odkrycia skarbów ziemi narodowéj, tojest pokładów solnych; w klasztorze dawała z siebie księżna niebiańskie wzory jak być Bogu i ludziom miłym, a bliźnim swoim na ziemi użytecznym. Rozprawa ta o świętéj Kindze przechodzi poza ramy prostego żywota: jestto raczéj historya Polski w latach kilkudziesięciu, nawiązana wypadkami około jednéj wspaniałéj świętéj postaci. Autor wdaje się w rozumowania, w ocenianie faktów dziejowych, filozofuje razem i opowiada, krytykuje. Kreśli śmiałemi rysy charakterystykę Tatarów i znaczenie ich najścia na Europę, kreśli charakterystykę oporu jaki im stawiała Ruś i Polska, porównywa wypadki, ocenia stanowisko. W małym obrębie to pragmatyzm, wszechstronne przedstawienie historyi. Polska bardzo wiele wygrała w tém przedstawieniu sił. Ona piérwsza stawi opór, ale opór nie samolubny: opór idei chrześciańskiéj przeciw najezdniczemu pierwiastkowi Mongołów. Historycy nasi źle opowiadają dzieje téj piérwszéj wojny z Tatarami. Plątają wypadki, mieszają osoby, psują geografią: Szajnocha krok za krokiem ich poprawia i oczyszcza text niezepsuty kronik. Piérwszy opór stawią tedy nasi książęta pod Opolem na drodze z Lublina do Sandomierza (nie jestto Opole szląskie, jak błędnie utrzymywano); drugi opór stawią, ale już zaczepiając sami pod Wielkiém Turskiem pomiędzy Połańcem a Osiekiem; trzeci we wsi Chmielniku pod Szydłowem. To Bolesław Wstydliwy tak dzielnie ugania się za Tatarami i co krok broni im ziemi rodzinnéj—za co? za posag Kingi najmuje żołdactwo i bije się, a szlachta za nim w ogień leci, a szlachcie przywodzą książęta. Prześliczny i pełny jest obraz całéj téj nawały tatarskiéj. Taktykę Tatarów zręcznie uchwycił Sz. i co chwila wskazuje na jéj ślady. Używali oni fortelności odwrotu pozornego, mającéj na celu ośmielić i wywabić w pole obrońców kraju. Zagon tatarski więc raz naprzód szedł, drugi raz się cofał i odpoczywał obciążony zdobyczą. Szajnocha mówi, że główny napad hordy był skierowany w tém piérwszém najściu pozornie na Polskę, dopiéro wracając mieli Tatarzy spustoszyć Węgry. Trzy zagony były tam skierowane: jeden prosto dążył z Multan na Siedmiogród, drugie dwa wielkiemi kołami obejmowały Polskę: jeden miał do Węgier wtargnąć z północy przez góry ziemi krakowskiéj; ostatni oskrzydlając Węgry półkolem, miał przez Wielkopolskę i Szląsk, daléj przez Morawy wtargnąć od zachodu. Tak więc dwa szlaki szły przez Polskę: jeden prosto zmierzał do celu. Taktyka taka wiecznie służyła Tatarom i widać była im wygodną. To téż to rozgałęzienie się i szlaki doskonale wskazuje i rysuje Szajnocha. Horda jeszcze połączona pali Lublin i morduje Sandomierz, jeszcze połączona doznaje klęski pod Turskiem; dopiéro potém rozdziela się na dwa zagony: jeden biegnie pod Chmielnik i łu-

pieży Kraków; drugi leci na Łęczyckie i Kujawy. W Krakowie oba zagony łączą się i biegną pod Lignicę. I tu jeszcze czwartą część chrześciańskiego wojska stanowią Krakowianie, Sandomierzanie, i tu jeszcze znać posag Kingi. Po bitwie lignickiéj Tatarzy nie dla klęski, którą odebrali, ale z systematu zawracają i lecą na Węgry. Powtarzamy, malowniczy, prześliczny to obraz, to malowidło Szajnochy. Widzim Kraków zburzony, miasta polskie w rozwaliskach i popiołach. Widzim szlachetniejszą daleko postać Bolesława Wstydliwego, szlachetniejszą jak ją dotychczas widywaliśmy. Widzim jak Tatarzy prowadzą przed sobą chrześcian przewodników; widzim nieledwie skład ich wojska, które nie jest wyłącznie mongolskie. Bitwa opolska, w któréj obok Wstydliwego walczy Bolesław Kondratowicz książę mazowiecki, nie Bolesław szląski na Opolu, jak błędnie mówiono, jest ważną zdobyczą dla nauki. Mamy tu sejmik szlachecki we wsi Kalinie, co także zmienia pojęcia, jakieśmy dotąd mieli o władzy książęcéj w ówczesnéj Polsce. Mamy dowód, że nie z Rusi Czerwonéj, ale z krakowskiéj ziemi zagon tatarski wkroczył od północy do Węgier. Widzim jak w bitwach giną rycerze i znamy ich z nazwiska. Naruszewiczowski text do szczętu zepsuty przez ten artykuł Szajnochy.

Przez wdzięczność potém dla żony, która posagiem swoim tak dzielnie się przyłożyła do obrony kraju, Bolesław Wstydliwy nadaje Kindze ziemię sandecką udzielném prawem. Szajnocha w texcie swym daje oryginał tego równie jak innych dyplomatów. Wszystko to rzeczy piérwszéj wagi dla historyi narodu. Mamy coś nakształt feudalności, i dobrze że ślady te łapiem: lepiéj się przez to wyświecają stosunki księztw i książąt dawnéj Lechii. Kinga w Sączu była jakby monarchinią, nikt się do niéj nie wtrącał; potém księżna prawa swoje zapisała klasztorowi Klarysek: ztąd bogactwa wielkie tego klasztoru. Autor, jak powiada, nie miał zamiaru wchodzić w szczegóły żywota świętéj Kingi: szło mu tylko o wyraźniejsze przypomnienie kilku głównych chwil jéj zawodu, uwydatnionych dokumentami historycznemi, które przytacza. A utworzył ładny obrazek.

Wracamy do szlaku Batuhana. Jest jako dodatek do żywota świętej Kingi artykuł osobny pod tym tytułem. Tu autor zbiéra dowody na przekonanie, że, jak mówiliśmy, Mongoły nie z Halicza, ale z Krakowa zaszli do Węgier. Dwie tylko były bramy przez Tatry: halicka na Rusi i sandecka czyli Duklańska w Chrobacyi. Roger historyk węgierski prawił, że weszli Tatarzy na Węgry bramą ruską; ale Szajnocha sprawiedliwie tłumaczy, że o ile w XIII wieku miał szerszą granicę wyraz Ruś, o tyle ciaśniejsza była granica wyrazu Polska. Przez Polskę rozumiano wtedy li tylko dzisiejszą Wielkopolskę. Tak, to fakt niezawodny, i naszém téż zdaniem południowy kraniec Lechii, dopiéro za

Łokietka zaczęto Polską nazywać. Ztąd Małapolska, przez odróżnienie od dawnéj Wielkiejpolski, bo wtedy dopiéro Łokietek, jako król polski (Wielkiejpolski) założył stale stolicę w Krakowie, a dotąd w Krakowie siedzieli książęta krakowscy, a nie królowie polscy. Cały ten pas ziemi, odgraniczający przed-Karpaty od za-Karpatów zwano ruskim, bo jużcić szerszą ścianą Ruś dotykała Węgier. Dopiéro od Łokietka stosunek ten zmienia się zupełnie. Ale pominąwszy to, szkoda, że autor jedną tylko trudność w artykule o szlaku Batuhana uprzątnął. Szlak ten podług nas zrysowaćby łatwo i dzisiaj, tak pamięć owéj napaści silnie przetrwała u ludu polskiego. Włościanie po wsiach pokazują gdzie szedł szlak tatarski, zresztą same podania drogę tę by nam wykryśliły. Gdzie tylko Tatarzy byli lud wié o tém i powtarza, gdzie ich nie było, nie ma też śladu. W artykule Wieczorkowskiego o Busku w Bibl. Warsz. są ślady tego szlaku.

Dwa artykuły czysto opowieściowe są w tych szkicach: jeden o Barbarze Radziwiłłównie, drugi o wnuczce Jana III Klementynie Sobieskiej, żonie pretendenta angielskiego Jakóba III.

Szkic o Barbarze napisał autor podług tak zwanych pamiętników królowéj, wydanych przez Balińskiego. Szajnocha wybrał z owego dzieła wszystko, co potrzebne mu było do odmalowania obrazu. Wierny oryginałowi z którego czerpał, poszedł za wszystkiemi podaniami pamiętników. Przedstawił Barbarę słabowitą, kapryśną, dumną, ambitną, przed królem uniżoną, w ogóle nerwową. O truciźnie Bony naturalnie ani chce wiedzieć; p. Baliński napisał, że Barbara umarła na raka. Ale w tym małym artykule więcéj się mieści sztuki, jak w dwóch tomach Balińskiego. W Balińskim są właściwie tylko listy Barbary połączone frazami. Baliński opowiada zawsze innemi słowami to, co jest w listach, a że w listach są częste powtarzania, ztąd u niego jednostajność. Szajnochy opowiadanie daleko więcéj odpowiada celowi, trafniejsze jest i charakteryzuje królową. Niepoprzestając na tém co mu materyały podały, Szajnocha rzuca własne myśli to o tém, to owém znalezieniu się królowéj i trafne to wszystko: wprawdzie mogło i to opowiadanie być daleko obszerniejsze, ale autor główne tylko zbierał rysy; może żałował, że kompilować mu przyszło, może mu żal czasu było do ważniejszéj pracy.

Co się zaś dotyczy Klementyny Sobieskiéj, jest to obrazek jéj zaręczyn i miłości z Jakóbem Stuartem, a potém jéj ucieczki tajnéj z Insprucku do Włoch, gdzie się ślubnemi z oblubieńcem połączyła węzłami. Księżniczka Klementyna musiała uciekać, bo na drodze do Włoch po zaręczynach aresztowano ją, bo Austrya była w zgodzie wtedy z Anglią i nie mogła popierać sprawy pretendenta. Wprawdzie temu pretendentowi chodziło wtedy o żonę tylko nie o tron; ale mocarstwa chciały, żeby pretendent

nie miał potomstwa i żeby się ród pretendentów nie uwieczniał: otóż księżniczka poświęciła się dla mary tronu. Stuart naturalnie do niéj uderzył, zdetronizowany do dziewicy zdetronizowanéj dynastyi. Szczegóły jéj ucieczki z Insprucku dosyć dramatycznie rozpowiada nam autor z listów jéj i Stuarta, oraz z pamiętników majora Gajdona Irlanczyka, użytego do pomocy księżniczce. Mamy tutaj przed oczami cały szeroko uknowany spisek, który się udaje. Ładny przedmiot dla powieści historycznéj. W końcu polemika z dawnemi baśniami o ucieczce księżniczki, i z Bandtkim Jerzym Samuelem, który także o niéj coś pisał w pamiętniku krakowskim z roku 1830. Rozprawę tę o Klementynie Sobieskiéj czytał Szajnocha na ostatniém publiczném posiedzeniu zakładu naukowego imienia Ossolińskich we Lwowie (w r. 1853).

Jeszcze nam jeden zostaje artykuł o którym dotąd nie wspomnieliśmy. Jestto dodatek do historyi Krakowa. Szajnocha wynalazł w zakładzie Ossolińskich zbiór różnych starych dyplomatów, błędnie przepisanych. Przytacza treść tych, które się tylko do Krakowa odnoszą i z każdego dyplomatu maluje obraz w którym najwięcéj wydatnieją obyczaje dawnéj stolicy. Tu znowu widzim charakter talentu Szajnochy. Sucha treść dostarcza mu wątku i oto widzim, jak Kraków robi się składem towarów, oto kłóci się z Sandeczanami, oto buduje most na Wiśle, nie chce płacić ceł, oto wesele i prawa zbytkowe, oto nowe urządzenia miasta, oto uwolnienie Krakowa zpod wpływu wojewodów i księży, oto wzrasta wschodni handel miasta i rozlewa się szerokiém korytem ku Rusi.

Taka jest treść szkiców historycznych Szajnochy, treść czasami ważna, czasami drobnostkowa, ale w każdym razie w najwyższym stopniu interesująca. Autor wzniósł się tu nieraz do widoków ogólniejszych i do saméj historyi kraju, chociaż zbierał do swéj książki same szkice.

Jeszcze jedna uwaga, jeden fakt do charakterystyki Szajnochy: jest sprawiedliwym sędzią kronikarzy naszych. Pomijamy krytykę pomniejszych źródeł historyi, głównie nam tutaj idzie o Długosza. Ten ojciec pragmatycznéj historyi polskiéj, ostatni kronikarz narodowy, który w jednę księgę zebrał wszystkie podania przed Jagiellońskich wieków; ten Długosz, ku któremu zwraca się teraz wdzięczność pokoleń, długo był przedmiotem surowych sądów i niewyrozumiałéj krytyki. Od czasów Naruszewicza, który wiele błędów Długosza sprostował, weszło jakoś w modę historykowi urągać; nie każdy miał do tego prawo, a wszyscy przecie do sądu się zrywali. Mówiono: Długosz omylił się, Długosz nie dostrzegł, Długosz pomącił, wreszcie Długosz zmyślił i t. d. Razem z Szajnochą nastała sprawiedliwość dla zacnego historyka. Pokazuje się, że Długosz był sumienny nadzwyczaj, że te błędy, które mu zarzucają, są raczéj błędami

jego krytyków, że te poprawki jakiemi text jego kroniki łagodzą, są właśnie skażeniem textu. Szajnocha często a wymownie kopią kruszy za Długoszem; dało się to najwięcéj widzieć w żywocie świętéj Kingi, do którego użyte wiadomości z Długosza pokazały się kroplami najczyściejszéj wody. Trudno nie przyklasnąć téj zasłudze i téj sławie Długosza, które w czasach naszych stają się coraz więcéj niepokalane, coraz więcéj widoczne. Tak samo i w potocznem życiu miło nam przekonać się, że niesprawiedliwie ciskano pioruny na człowieka, którego oddawna przywykliśmy czcić i szanować.

Cień znakomitego biskupa będzie wdzięczny za tę obronę znakomitemu autorowi lwowskiemu.

Dnia 4 września 1854 r.

Julian Bartoszewicz.

ROZMAITOŚCI.

Kilka słów o obliczaniu miąższości drzewa.

Obliczanie miąższości drzewa użytkowego następuje wedle przyjętéj obecnie zasady, przez uważanie kloca jako walec, którego średnica, zrównaną nazwana, jest średnio arytmetycznie proporcyonalną między dwiema średnicami drzewa w cienkim i grubym jego końcu.

Obliczenie według zasady téj dokonane, daje nam zawsze błędny wypadek; wprawdzie błąd byłby niewiele znaczącym, gdyby ustanowienie miąższości drzewa następowało przez podzielenie go na pewne części, wymierzenie szczegółowe każdéj z obu średnic w tychże częściach, i obliczenie miąższości każdego oddziału, których zebranie dałoby na wypadek miąższość całego kloca.

Tak się jednak nie dzieje, a obliczenie miąższości drzewa odbywa się zwykle przez wymierzenie tylko średnicy jego w cienkim końcu, i ustanowienie drugiéj średnicy, wedle stale przyjętego stosunku przyrostu drzewa; tojest jak u nas dotąd ma miejsce, licząc zgrubienie drzewa po pół cala na każdy sążeń jego długości.

Takim sposobem działając popełniamy dwa błędy, w skutku których otrzymany wypadek od rzeczywistéj miąższości drzewa o wiele różnić się będzie.

Okazanie tego jest nadzwyczaj prostem.

Oznaczmy średnicę drzewa w cienkim końcu przez *s.* stosunek przyrostu na jedność długości przez *p.* długość drzewa przez *n.*

Uważając drzewo jako walec, otrzymamy na wyrażenie średnicy zrównanéj:

$$\frac{2\,s. + n.\,p.}{2}$$

a na bryłowatość walca:

$$\tfrac{1}{4}\,n.\,\pi.\left(\frac{(2\,s.+n.\,p.)^2}{2}\right)=\tfrac{1}{4}\,n.\,\pi.\left(\frac{4\,s.^2+4\,n.\,p.\,s.+n^2\,p.^2}{4}\right)\text{ (I)}$$

Uważając zaś drzewo jako kloc ostrokręgowy, wyrażenie na jego bryłowatość będzie:

$$\tfrac{1}{3}\,n.\,\pi.\left(\frac{3\,s.^2+3\,n.\,p.\,s.+n.^2\,p.^2}{4}\right)\text{ (II)}$$

(Wobudwu wyrażeniach π. oznacza stosunek okręgu koła do średnicy).

Różnica między wyrażeniem (I) i (II) stanowiąca właśnie błąd w obliczeniu wynosi:

$$\tfrac{1}{48}\,\pi.\,n.^3\,p.^2$$

który tém będzie większy, im więcéj kształt drzewa różni się od kształtu foremnego kloca ostrokręgowego.

Za przykład przytoczymy tu dla lepszego porównania obliczenie przywiedzione w dziele s. p. Gustawa Henke pod tytułem: Zbiór wyrachowań leśnych, stron 3.

Browarka gdańska długości stóp 42, średnicy w cienkim końcu cali 14, a w grubym końcu cali 20 mająca, po podzieleniu na 3 sekcye po 10 stóp długie, a dwie po 6 stóp długie, przy uważaniu każdéj części jako walec miałaby:

W 1 sekcyi	średnicę zrównaną	15″	dług.	6′	miąż.	stóp	sześć.	7,363.
— 2	— — —	16½″	—	6′	—	—	—	8,641.
— 3	— — —	17¾″	—	10′	—	—	—	17,184.
— 4	— — —	19″	—	10′	—	—	—	19,694.
— 5	— — —	19¾	—	10′	—	—	—	21,275.

razem cała browarka długa 42 stóp ma miąż. stóp sześć. 74,152.

Przy uważaniu zaś każdéj części jako ostrokrąg ścięty czyli kloc ostrokręgowy, wypadnie:

W 1 sekcyi	średn. w cien. końcu	14″	dług.	6′	miąż.	stop.	sześć.	7,374.
— 2	— — — —	16″	—	6′	—	—	—	8,912.
— 3	— — — —	17″	—	10′	—	—	—	17,194.
— 4	— — — —	18½″	—	10′	—	—	—	19,694.
— 5	— — — —	19½″	—	10′	—	—	—	21,276.

razem cała browarka dług. 42′ stóp. miąż. stóp sześć. 74,450.

Wynajdując miąższość powyższéj browarki bez podziału na sekcye, lecz wprost podług średnicy zrównanéj, ze średnicy w cienkim końcu cali 14, średnicy w grubym końcu cali 20, otrzymamy średnicę zrównaną 17″ miąższość=stóp sześć. 66,202, kiedy uważając dany kloc za ostrokrąg ścięty i dopełniając obliczenie według zasad podanych w nauce o mierzeniu brył, otrzymamy miąższość=stóp sześć. 66,890.

Naostatek przyjmując średnicę zrównaną z doliczenia do średnicy w cienkim końcu tylu ćwierć cali, wiele browarka trzyma sążni długości, wypadnie:

średnica zrównana = $15\frac{3}{4}$ cala.
miąższość = stóp sześć. 56,825.

Przy uważaniu zaś drzewa za ostrokrąg ścięty, zachowując ten sam stosunek przyrostu, otrzymamy miąższość browarki = stóp sześć. 57,059.

Z przykładów tych okazuje się:

1. Że przyjęty za zasadę do obliczania miąższości drzewa przyrostek $\frac{1}{2}$ cala na każdy sążeń długości jest zamały i średniemu nawet przyrostowi nieodpowiedni, a tém samém fałszywe dający wypadki. Niewielkie powiększenie tego stosunku i oznaczenie przyrostu n. p. po 0, 1 cala na każdą stopę długości, dałoby już więcéj dokładny wypadek, a jak w przytoczonym tu przykładzie na miąższość browarki przy uważaniu jéj za ostrokrąg ścięty stóp sześć. 59,715.

Różnice te małe na pozór, w obszernych lasach stanowią kapitał, którym nie należałoby pogardzać.

2. Że zamiana kloców drzewnych na walce wprowadza do obliczenia nowy błąd, i że tém samém korzystniéj byłoby uważać drzewo jako ostrokrąg ścięty, a obliczone według téj zasady tablice, obok zapewnienia takiéj saméj dogodności, co tablice miąższości walców, dając objętość drzewa wprost z jego średnicy w cienkim końcu, dozwoliłyby wprowadzić do rachunkowości leśnéj uproszczenie: wówczas bowiem niepotrzebaby było obliczać średnicy zrównanéj, co zawsze dawało wypadki wątpliwe, jeżeli długość drzewa całkowicie w sążniach wyrażoną być nie mogła, a co dziś przy zaprowadzeniu miar rossyjskich jeszcze więcéj przedstawia trudności.

Uproszczenie, podobne samo przez się za przyjęciem tego systematu przemawia.

Przy ocenianiu miąższości drzewa i stanowieniu odpowiedniego do niéj szacunku, należy również zachować wzgląd na to, czy drzewo jako budulec, czyli téż jako browarka ma być spieniężone.

Budulcem nazywamy drzewo proste niezbyt gałęziste, które na belki wyrobione być może.

Znakomita różnica ceny szczególniéj téż w lasach ponad rzekami spławnemi leżących, każe z wszelką troskliwością wybierać zdatne na ten cel sztuki, których wartość przy jednakowéj długości zależną jest głównie od średnicy w cienkim końcu.

Dwa budulce po 36 stóp długie, 16 cali w cienkim końcu trzymające, z których jeden ma w grubym końcu cali 20, a drugi cali 30, na wyrobienie do ostrego kanta przeznaczone, są jednakowéj wartości, chociaż ostatni zawiera przeszło 30 stóp sześć. więcéj niż pierwszy miąższości, bo ta większa miąższość odejdzie na wiory; średnica przeto w grubym końcu jest tutaj prawie zupełnie obojętną.

Doświadczenie wreszcie naucza, że w zdatnych na budulec sztukach przyrost drzewa jest mniéj więcéj proporcyonalny do jego długości, i że co do tego rodzaju drzewa właściciel lasu bez trudności ustanowić może stosunek przyrostu, a tém samém ułatwić sobie obliczenie miąższości przedawanego drzewa.

Lecz i tu zbytecznem byłoby wprowadzenie do obliczeń średnicy zrównanéj, kiedy uważając drzewa za ostrokrąg ścięty, można mieć tablice dające miąższość jego, sposobem łatwiejszym a więcéj dokładnym, wprost ze średnicy w cienkim końcu.

Browarka zaś jestto drzewo zdrowe, które z powodu nieregularnego wzrostu i swojéj gałęzistości na budulec wyrobione być nie może, a jednak z korzyścią w klocach na opał da się spieniężyć.

Tutaj każda stopa kubiczna jeden i ten sam zapewniając użytek, jednakową téż ma wartość; obliczenie przeto miąższości browarki następować powinno ze wszelką możliwą ścisłością.

Różnica pomiędzy średnicą górną i dolną niekiedy kilkunastu cali dochodząca, czyni tu niepodobném ustanowienie jakiegobądź stosunku przyrostu; obliczenie więc tego rodzaju drzewa dopełniać trzeba, nietylko ze względem na średnicę w grubym jego końcu, ale nadto przez podzielenie go na sekcye i obliczenie szczegółowe miąższości każdéj sekcyi.

Inaczéj działając otrzymamy wypadek zamały, a więc tém samém przynoszący właścicielowi lasu szkodę, któréj nawet odpowiedniém podwyższeniem ceny stopy kubicznéj zrównoważyć nie można.

Postępowanie podobne jakkolwiek więcéj zachodu wymagające nie nastręczy jednak tak wielkich, jakby się na piérwszy rzut oka zdawać mogło trudności, jeżeli tylko drzewo nie za walec, lecz za ostrokrąg ścięty uważać będziemy.

Kloce na browarkę przeznaczone trzymają zwykle 24 stóp długości; długość ta bowiem w praktyce tak dla spławu drzewa, jak dla następnéj jego na kołach przewózki okazała się najdogodniejszą.

Dzieląc przeto każdą sztukę na 4 sekcye i obliczając szczegółowo miąższość każdéj sekcyi, z dodania tych obliczeń, otrzymamy już dość ścisły na całą miąższość sztuki wypadek.

Przy uważaniu drzewa jako ostrokrąg ścięty, obliczenie każdéj sekcyi z łatwością można dopełnić za użyciem przysposobionych na ten cel tablic, dających żądany wypadek wprost ze znanych obydwóch średnic; dodanie takich czterech cząstkowych wypadków dające w rezultacie miąższość całkowitą sztuki, również bez żadnych trudności dokonane być może.

Wywód ten bliżéj szczegółowemi objaśnimy przykładami:

a) Browarka trzymająca średnicy w cienkim końcu cali 9, w grubszym cali 21, po podzieleniu na 4 sekcye po 6 stóp długie, miała następujące szczegółowych sekcyi wymiary:

1	śred. w cienkim końcu	9″	śred. w grub. końcu	11″	dług.	6′
2	— —	10	— —	15″	—	6′
3	— —	15	— —	18″	—	6′
4	— —	18	— —	21″	—	6′

Ażeby miąższość téj browarki obliczyć, szukam najprzód w tablicach wyrażenia na miąższość ostrokręgu ściętego, którego średnica górna = 9″, dolna = 11′; a długość = 6′ i wynajduję, że miąższość 1 sekcyi = stóp sześć. - - - - - - - - - - - - 3,283.

Biorąc wymiary następnych sekcyi znajduję:

że miąższość	drugiéj	sekcyi = stóp sześć.	- - - - - - - -	5,574.
—	trzeciéj	— —	- - - - - - - - -	8,934.
—	czwartéj	— —	- - - - - - - - -	12,468.
		Razem stóp sześć.	- - - - - - -	30,259.

Wedle dotychczasowego systematu gatunkowania browarki, sztuka powyższa jako mająca 9 cali średnicy w cienkim końcu uważaną jest za browarkę klassy II, a w skutek tego sprzedaje się i nabywa tak, jak gdyby miała średnio 11,846 stóp sześć. i po równéj cenie ze sztuką mającą 10,603, tojest prawie o dwie trzecie mniéj stóp sześciennych miąższości.

b) Browarka trzymająca w cienkim końcu cali 12, w grubym cali 23, długości stóp 24, po podzieleniu jak wyżéj na 4 sekcye, miała następujące szczegółowych sekcyi wymiary:

1	długości stóp 6	śred. w cien. końcu	12″	miąż. stóp sześć.	6,428.
	— —	w grub. —	16″		
2	— —	śred. w cien. końcu	16″	— —	10,047.
	— —	w grub. —	19″		
3	— —	śred. w cien. końcu	19″	— —	13,777.
	— —	w grub. —	22″		
4	— —	śred. w cien. końcu	22″	— —	16,570.
	— —	w grub. —	23″		
				razem stóp sześć.	46,822.

Wedle dotychczasowych zasad należałaby ona do klasy IV drzewa opałowego, i miała do sprzedaży tęż samą wartość, co browarka 22,122, czyli o połowę mniéj stóp sześciennych miąższości trzymająca.

3. Browarka 21″ w cienkim końcu, a 32″ w dolnym końcu średnicy mająca, podzielona na 4 sekcye zawierała:

1	długą stóp 6	śred. w cien. końcu	21″	miąż. stóp sześć.	15,130.
	— —	w grub. —	22″		
2	— —	w cien. końcu	22″	— —	17,322.
	— —	w grub. —	24″		
3	— —	w cien. końcu	24″	— —	22,166.
	— —	w grub. —	28″		
4	— —	w cien. końcu	28″	— —	29,932.
	— —	w grub. —	32″		
				razem stóp sześć.	84,550.

Dzisiaj browarka podobna zaliczoną jest do klassy VIII, i ma wartość takąż samą, jak sztuka 57,727 stóp sześć. trzymająca.

Przykłady powyższe jak o tém z wielolicznych doświadczeń zapewnić możemy do wyjątkowych nie należące, nietylko stwierdzają to, co powiedzieliśmy wyżéj o niepodobieństwie ustanowienia stałego stosunku na przyrost podobnego rodzaju drzewa, a tém samém i obliczenia jego miąższości wprost ze średnicy w cienkim końcu, z pominięciem wszelkich innych pośrednich wymiarów, ale nadto przekonywają dowodnie, jak wadliwym i głównie dla właściciela lasów niekorzystnym jest przyjęty dziś powszechnie system gatunkowania browarki.

Złe podobne stanowczo wypadałoby usunąć; cena bowiem drzewa opałowego nateraz w Warszawie z dostawą i przełupaniem około $6\frac{1}{2}$ kop. sreb. za stopę sześć. wynosząca, nieomal z każdym podwyższa się rokiem. Konieczna więc zachodzi potrzeba takobliczenie jego miąższości, jako i sprzedaż dopełniać w sposobie więcéj rękojmi i dla właściciela lasów, i dla nabywcy przedstawiającym.

K. Szumlański.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Księgarz H. Natanson ogłosi w dalszym ciągu swego wydania przed Nowym Rokiem powieść barona Eötvösz p. n. „Notaryusz" w 4 tomach, i powieść pani Bremer p. n. „Nina" w 2 tomach.

— Antoni Wieniarski podał do druku w 3 tomach dzieło p. n. „Nasze strony i nasi ludzie. Zbiór powieści historycznych, obrazków tegoczesnych, wspomnień i życiorysów."

— Komedya Ponsarda: „Honor i pieniądze, która tak świetne znalazła przyjęcie w Teatrze Rozmaitości, w przekładzie Wacława Szymanowskiego wyszła z druku nakładem Merzbacha, jako dalszy ciąg zbioru teatralnego, który taż księgarnia dawniéj wydawała.

— Bolesław Podczaszyński skreślił obszerny życiorys „Wita Stwosza" i umieścił go w nowéj seryi Księgi Świata.

— Ogłoszono prospekt na dzieło p. n.: „Historya powszechna kościoła przez Jana Alzog'a doktora teologii, professora egzegezy i historyi kościelnej w arcybiskupiém seminaryum poznańskiem; przełożona na język polski przez J. z P. B." Dzieło całe złożone będzie z sześciu tomów.

— Józef Łepkowski członek Towarzystwa Naukowego krakowskiego wydziału archeologicznego, nadesłał ważną i zajmującą rozprawę p. n.: „Ikonografia (część archeologii ogólnéj). O nimbach, aureolach, gloryach, i symbolach świętych, używanych na obrazach. (Z rycinami).

— Józef Korzeniowski pisze dla teatru amatorskiego sztukę p n.: „Teatr amatorski w Ciechocinku", i powieść p. n.: „Wdowiec", którą zamieściła w swoim feiletonie Gazeta Warszawska.

— Otrzymujemy wiadomość, że J. I. Kraszewski napisał dwie komedye, które mają być przesłane dla Teatru Rozmaitości w Warszawie. — Adam Gorczyński nadesłał komedyą swoję p. n.: „Detaxacya," celem przedstawienia jéj na tymże teatrze.

— Doszła nas smutna wiadomość, że ulubiony nasz poeta Władysław Syrokomla (Kondratowicz) złożony ciężką chorobą, przywiezionym został do Wilna na kuracyą. Późniejsze listy donoszą, że niebezpieczeństwo minęło.

— Wkrótce wyjdzie z druku dzieło Karstena p. n.; „Salinistyka" tłumaczona przez F. Kupiszeńskiego, naczelnika warzelni soli w Ciechocinku.

— Kazimiérz Kaszewski tłumacz Antygony Sofoklesa, ukończył obecnie trzecią część trylogii, a właściwie z kolei piérwszą „Edyp król."

— Księgarnia Maurycego Orgelbranda w Wilnie wydaje nową edycyą „Uwag o śmierci niechybnéj" nieocenionéj pamięci księdza Baki. Wiadomo, że druga edycya w Wilnie poprzedzoną była przedmowami Rajmunda Korsaka i Leona Borowskiego; obecne wydanie powtarzając obie te przedmowy, ma jeszcze dodaną trzecią humorystyczną wierszem przez Władysława Syrokomlę. Cenna w swoim rodzaju rzadkość, jaką jest ksiądz Baka, dzięki panu Orgelbrandowi znowu na długo przestanie być rzadkością.

— Dowiadujemy się z pewnością, że głośny w muzykalnym świecie Apolinary Kątski wynalazł nowy instrument w rodzaju skrzypców, z daleko potężniejszą siłą tonów. O wynalazku tym pisma publiczne mają wkrótce obszerniejszą dać sprawę.

— Tłumacz „Hadzy-Abreka", wykończył przekład dramatu duńskiego poety Oehlenschlegera: „Corregio" w 5 aktach wierszem. Przekład ten udzielimy naszym czytelnikom w następnych zeszytach Biblioteki Warszawskiéj.

— Żegota Pauli, znany z wielu prac literackich, napisał historyą księztwa Zatorskiego i Oświecimskiego w wielkich rozmiarach. Jestto

obraz dziejów téj ziemi od r. 1179 do unii z Koroną. Przedstawił tu autor: pierwotne osiedlenie okolicy, stan nauk i sztuk, nakoniec spis szczegółów ze względu archeologii na uwagę zasługujących. Pragnąć należy, aby ta praca ciekawa i ważna, jak najrychléj drukiem ogłoszoną została.

— Autograf Długosza, obejmujący żywot Świętej Kunegundy, który znikł z biblioteki klasztoru PP. Klarysek w Sączu, obecnie wynaleziony, złożonym został w kapitule tarnowskiéj. Brakuje w nim dwóch piérwszych kart pargaminowych, które (jak się znowu domyślają) mogły przedstawiać w miniaturowém malowaniu św. Kunegundę. Karty te wycięte zostały.

— W r. 1821 krążyła w Warszawie kopia testamentu Stanisława Trembeckiego, w którym znajdowało się wiele rzeczy ciekawych, a szczególniéj w krótkości opisanie życia tego poety przez niegoż ułożone. Ktoby posiadał takowy, raczy udzielić do przepisania i złożyć w redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

— Tom I w przedruku Słownika języka polskiego wyszedł we Lwowie z pod prasy drukarskiéj. Nakład jest w 2,000 egzemplarzach na zwyczajnym papierze, a 25 egzemplarzy na papierze lepszym.

— Zakład naukowy Ossolińskich w témże mieście, zbogacony został, wedle sprawozdania kuratora Maurycego hr. Dzieduszyckiego dziełami ważnemi, które za „białe kruki" uważać można, a mianowicie: Historya św. Stanisława; w Krakowie. 1585, niewspomniana dotąd przez żadnego bibliografa. Adama Pazillusa komedya. Kraków. 1597.—„Oktoich". Ostrog r. 1603.—*Salomonis liber proverbiorum explicatus per S. Pistorium.* Raków.—„Zabawa postna" Alex. Piotrkowczyka. Kraków. 1654 r.—*Firlei Joannis: Oratio de studio historico.* Heidelberg r. 1604.

Wiedeń. Wychodzi tu mappa Galicyi z W. Ks. Krakowskiém i Bukowińskiém w 60 kartach. Wydawcą jest E. K. kapitan Karol Kummersberg członek jeneralny dyrekcyi katastrów. Rękojmią dokładności dzieła tego są dokumenta czerpane w archiwach rządowych i pomiary katastralne, z których ministeryum autorowi korzystać dozwoliło; według nich téż wszelkie szczegóły topograficzne, nawet najdrobniejsze są oznaczone. Za skalę wzięto cal wiedeński 1=1,600 sążniom wied. czyli austryackim; milę 1=$2^1/_2$ cala wiedeńskiego, czyli w stosunku jak 1 do 115,200, według astronomicznego rozmiaru. Każda karta obejmować będzie 37 mil kwadratowych, z oznaczeniem najdokładniejszém wszelkich pomiarów i rozgraniczeń każdej gminy z osobna, statystycznych wykazów w ogóle, katastrowych podziałów i t. p. W r. 1853 prof. Schlejcher wydał dziełko p. n.: *Briefe über die Erfolge einer wissenschaftlichen Reise nach Litauen.* Str. 36. Tu także wychodzi zbiór rycin starannie wykonanych, a mających obejmować i kilkanaście galicyjskich widoków p. n.: *Album der herrschaftlichen Landsitze und Schlösser in Kaiserthume Oesterreich.*—Wydawca W. Pohlig w Cieplicach. Wyjdzie w 4 sekcyach. Wyszły dotąd dwie: czwarta czyli ostatnia obejmować będzie Węgry, Galicyą, Siedmiogród, Kroacyą, Slawonią. Włochy; na Galicyą przypadnie znaczna ilość rycin.—Bawiący tu Leon Dębowski pejzażysta, wysłany kosztem rządowym z Krakowa, wykończył kilka widoków, przeznaczonych na wystawę krakowską; pomiędzy niemi odznacza się: widok „Piaskowej skały"; zamku „Kruszwicy" nad jeziorem Gopłem i Zakopanego w Karpatach. Korzystna sytuacya okolic, żywość barwy, odpowiednie ugrupowanie osób, cechują tę pracę młodego artysty. Drugim artystą tutaj jest Szynalewski z Krakowa; wykończył także na wystawę Madonnę u wejścia do świątyni.—Studzieniecki Felix lekarz praktyczny w Wiedniu wydał własne dzieło „O Chorobie kołtunowéj."

(Z listu). „Dwóch znakomitych badaczy dziejowych zmarło w Wrocławiu: wielce zasłużony przez wydawnictwo źródeł do szląskich i polskich dziejów G. A. Stenzel professor uniwersytetu wrocławskiego, i Dr. Ryszard Roepell, professor tegoż uniwersytetu. Stenzel w ostatnich czasach pracował nad wydaniem Kroniki klasztoru Henrykowskiego, która do dawnego prawa polskiego ma zawierać ciekawe objaśnienia. Sa-

ma ta kronika właśnie już ukończona i zajmuje 24 arkuszy druku in 4to. Spis wszakże rzeczy, oraz dyplomata w dodatku do niéj załączone są jeszcze pod prasą. Roepell czytał przeszłéj zimy na uniwersytecie wrocławskim dzieje Jagiellońskie, lecz tylko przeszedł dwa panowania: to jest Władysława Jagiełły, i Władysława Warneńczyka. Odczyty te odznaczały się gruntownością i bezstronnością.

— Szlachta morawska położyła wielkie zasługi dla historyi prowincyi: samo już wydanie Boczka „Codex diplomaticus" niemałą jest zasługą. Morawia posiada księgi tabuli krajowéj prowadzone bez przerwy od r. 1348, w których zapisywano nietylko zmiany posiadania, lecz i uchwały sejmu, rozporządzenia, a nawet zdarzenia historyczne. Jestto skarb, którego ważność nadzwyczajna dla historyi dopiéro się teraz wykazuje, gdy wszystkie te zapisy drukiem się pojawiają. Jakoż w Bernie (Brün) wyszedł piérwszy oddział: *„Die Landtafel des Markgrafenthums Mähren"* w 22 zeszytach, obejmujący *„Erstes Buch der Olmützer Cuda"* z dodaniem herbu Krawarów. Wydaniem zajmują się pod przewodnictwem p. Chlumeckiego: p. Chylil, ścisłém wyczytaniem textu; Denuth krytycznym rozbiorem tych dokumentów; Wolfskron zaś robi facsimila herbów. Szlachta morawska nie szczędzi kosztów na wydanie historycznych zródeł."

— J. K. Gregorowicz, autor Obrazków i Zarysów wiejskich, którego dramatyczny obrazek „Janek zpod Ojcowa" znalazł tak chlubne przyjęcie w Teatrze Rozmaitości: przesłał temuż teatrowi komedyą w 2 aktach p. n. Zaloty nowomodne. Obecnie wykończa w obszerniejszych rozmiarach Powieści ludowe.

— Jan Nepomucen Chądzyński kończy druk dzieła w 2 tomach p. n. „Historyczno-Statystyczne opisy miast starożytnych w ziemi sandomierskiéj leżących." Dzieło to obejmie udokładniony i pomnożony opis miasta Sandomierza, z dodaniem nowych opisów Zawichosta, Glinian, Opatowa, Włostowa, Klimontowa, Rakowa, Radomia, Solca, Iłży, Kielc, Nowego-Miasta Korczyna, Pińczowa, Chęcin, i Świętokrzyzkiéj góry: oraz powieści z rzeczywistych wypadków p. n. „Pustelnik w Iłżyckiéj puszczy." Dodane będą mappy i ryciny.

— P. E. Stawiski, rozprawy swoje drukowane w Bibliotece Warszawskiéj p. n. Historya rolnictwa w Polsce, znacznie powiększone i zbogacone nowemi dodatkami, zamierza w oddzielném dziele ogłosić. Praca ta ważna, sumienna, i niepośledniém piórem obrobiona, znajdzie, nie wątpimy, zaszczytne przyjęcie.

— Znany z pięknych przedsięwzięć literackich księgarz w Petersburgu B. M. Wolff zapowiedział wydanie w piérwszych miesiącach 1855 roku dzieł następnych. Kaczkowskiego Zygmunta powieści: Gniazdo rodzinne w 1 tomie; Wnuczęta w 4 tomach; W. Pola: Sejmik w Sądowéj Wiszni, gawęda; J. I. Kraszewskiego Chata za wsią w 3 tomach; Dziejopisowie krajowi, tomów pięć; Skarbczyk poezyi polskiéj w 12 tom. w 24ce. Alzoga Historya kościelna tom piérwszy; Skargi Żywotów świętych zeszyt I.; Ż. Pauli: pamiętniki o diable Stadnickim; Juliana Bartoszewicza: Znakomici mężowie polscy tom drugi; J. Korzeniowskiego: Wyprawa po żonę, powieść w 3 tomach.

— Drukarnia J. Zawadzkiego rozpoczęła druk tomu 2go Listów z Krakowa J. Kremera.

— Ze Lwowa smutną odbieramy wiadomość, że pełen zasług w piśmiennictwie naszém Jan Nepomucen Kamieński, od kilku miesięcy ciężką złożony jest chorobą. Sędziwéj doczekał starości, bo w r. b. zaczął 77 rok życia.

— P. Seweryn Kapliński znany z wielu prac literackich, przełożył dramat K. Gutzkowa w 5 aktach p. n. Uriel Acosta.

— Księgarz Gustaw Sennewald przygotował drugie wydanie w 2 tomach: Pieśni Serbskich, przekładu Romana Zamarskiego.

— P. Karol Bayer znany numizmatyk, pracuje obecnie nad rozprawą, któréj treścią jest wykazanie fałszowanych monet polskich. Wiadomo, że od czasu do czasu od lat już wielu, tak w Warszawie, jak

i w Krakowie, ukazywały się egzemplarze najrzadszych monet polskich, które biegłe oko znawców uznawało jako sfałszowane. P. Bayer doszedł śladami pewnemi do stępli, któremi takowe wybijano, i te stęple już posiada. Praca więc jego będzie wielce ważną wskazówką dla zbieraczy numizmatycznych. Rozprawę tę w następnym zeszycie Biblioteki Warszawskiéj ogłosimy. Autor jéj, zamierza dla lepszego objaśnienia odbić po kilkadziesiąt egzemplarzy na cynie sfałszowanych stępli, które każdy zbieracz numizmatyczny, wraz z pomienioną rozprawą będzie mógł nabyć, za bardzo dostępną cenę.

— Opisu cmentarza powązkowskiego K. Wł. Wójcickiego wyszedł zeszyt 1 i zawiera: wstęp, dzieje cmentarzy katolickich za Warszawą; korrespondencye na drodze urzędowéj co do założenia cmentarzy za miastem, i życiorysy Antoniego Malczewskiego i Jana Majorkiewicza. Pięć rycin ozdabia ten zeszyt: karta tytułowa, kościołek powązkowski, grób rodziny Szymanowskich Korwinów, którzy ziemię na cmentarz powązkowski pierwiastkowo podarowali, widok katakumb i grób Majorkiewicza. Zeszyt następny wyjdzie w ciągu dwóch miesięcy.

(Z listu). „Wiecie, że zwłoki wielkiego historyka naszego Adama Naruszewicza spoczywają w Janowie na dawném Podlasiu. Ale tego nie wiecie, że ciało jego nie uległo zniszczeniu, i zachowało się tak, że z rysów twarzy poznać można, że to Naruszewicz. Spoczywa w suchym sklepie grobowym, a zakrystyan miejscowy za skromném wynagrodzeniem każdemu uchyla wieko trumny, i można się dotykać zwłok historyka. Czy nie znajdziecie artysty, któryby przybył do Janowa, i zdiął dokładny rysunek tak grobu, jak i spoczywającego w nim dostojnego biskupa."

Od redakcyi. Tłumaczowi komedyi Grybojedowa p. n. Kłopot z Rozumem, panu J. L. redakcya Biblioteki Warszawskiéj oświadcza: że oczekuje nadesłania przekładu całéj komedyi, zanim ogłosi ją drukiem.

---

† Dnia 17 września 1854 r. umarł w Warszawie w 82 roku życia, Antoni Łabęcki b. professor szkoły prawa za księztwa Warszawskiego, mecenas sądu najwyższego, deputowany na sejmy królestwa polskiego, tłumacz Kodexu postępowania francuzkiego, i autor kilku dzieł.

† W dniu 11 listopada r. b. umarł w Warszawie Jakób Gresser inspektor drukarni Banku Polskiego (urodzony w Paryżu 15 grudnia 1778 roku) mając lat 76. Wielce się przyłożył do udoskonalenia n nas sztuki drukarskiéj, i pozyskał za chlubne odznaczenie się w tym zawodzie medal złoty na wystawie przemysłu krajowego w Warszawie.

UWIADOMIENIE

OD REDAKCYI BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie bez żadnéj zmiany i w roku następnym 1855.

Cena pozostaje niezmienna, t. j. w Królestwie rsr. 9 rocznie, albo rsr. 4 kop. 50 półrocznie, a w Cesarstwie rub. sr. 10 z przesyłką pocztową w kopertach. Przedpłata może być nadsyłaną albo wprost: do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj przy ulicy Senatorskiéj nr. 468 i 9, lub też do Expedycyi Gazet w Warszawie.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Wolno drukować.— Warszawa, d. 13 (25) listopada 1854 r. Starszy Cenzor, *J. Papłoński.*

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIÉM.

Październik, 1854.

Październik, 1854. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser.**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad po-
1g. 14m. 45s., 7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	
1		751.15	753.70	755.10	755.96	+ 9 .4	+ 13°.8	+ 15°.2	+ 8°.2	76.7
2		753.91	754.16	752.38	751.50	+ 6.1	+ 12.5	+ 14.2	+ 7.9	85.0
3		748.74	747.90	742.79	739.53	+ 6.6	+ 10.2	+ 18.3	+ 13.1	81.0
4		739.51	740.38	741.93	744.80	+ 7.1	+ 9.6	+ 7.8	+ 5.2	79.0
5		747.02	747.80	745.05	742.81	+ 2.8	+ 8.7	+ 13.8	+ 14.0	79.0
6	☉.	743.05	744.55	744.97	746.07	+ 13.8	+ 18.2	+ 18.4	+ 15.8	77.0
7		745.43	744.77	743.13	751.99	+ 12.0	+ 18.5	+ 20.8	+ 10.2	77.3
8		756.62	759.22	761.02	763.14	+ 3.9	+ 6.9	+ 9.4	+ 4.6	70.2
9		764.19	764.45	762.49	761.59	— 0.2	+ 6.3	+ 8.9	+ 2.6	72.0
10		760.09	760.79	759.82	760.23	+ 1.3	+ 7.3	+ 12.2	+ 3.8	67.0
11		760.05	760.32	758.62	757.99	— 0.7	+ 6.2	+ 11.9	+ 5.1	63.3
12		757.28	758.04	757.05	757.91	+ 2.5	+ 8.0	+ 12.0	+ 9.3	76.7
13		758.23	759.38	759.26	759.68	+ 8.1	+ 9.8	+ 13.1	+ 10.2	70.0
14	☾.	759.17	760.11	759.28	759.49	+ 6.5	+ 9.9	+ 14.3	+ 8.9	73.5
15		758.10	757.66	755.13	754.18	+ 7.1	+ 12.9	+ 14.8	+ 9.9	72.0
16		750.50	749.39	747.56	746.30	+ 6.8	+ 12.0	+ 13.6	+ 9.8	85.3
17		743.82	744.42	744.18	745.53	+ 9.3	+ 12.4	+ 13.3	+ 6.4	88.0
18		746.02	746.24	745.21	746.22	+ 3.7	+ 8.9	+ 14.4	+ 10.2	85.7
19		746.53	747.83	747.59	749.31	+ 8.8	+ 13.1	+ 15.8	+ 10.4	87.0
20		749.81	750.07	748.29	746.13	+ 8.9	+ 11.4	+ 10.5	+ 9.4	85.5
21	●.	740.83	740.04	737.73	736.80	+ 8.8	+ 12.5	+ 15.0	+ 9.4	85.2
22		737.49	741.08	742.91	742.10	+ 9.3	+ 8.3	+ 9.8	+ 7.5	83.8
23		740.64	741.94	742.21	742.46	+ 8.1	+ 10.2	+ 11.9	+ 11.4	82.7
24		740.70	742.97	743.46	744.11	+ 10.9	+ 10.2	+ 10.1	+ 6.9	89.0
25		744.54	743.78	740.05	739.86	+ 2.3	+ 6.8	+ 11.7	+ 9.4	84.0
26		739.14	741.57	746.95	752.85	+ 8.1	+ 13.7	+ 12.1	+ 6.4	75.8
27		756.90	758.84	759.30	760.70	+ 3.0	+ 7.7	+ 8.8	+ 7.5	80.0
28	☽.	762.40	764.26	765.86	768.34	+ 5.8	+ 7.2	+ 7.9	+ 2.3	88.2
29		769.35	770.12	768.70	768.61	— 1.2	+ 2.7	+ 6.2	— 0.2	90.5
30		767.59	767.94	766.36	765.46	— 1.9	+ 3.3	+ 6.2	+ 1.0	84.0
31		764.27	764.50	763.00	763.27	— 1.7	+ 2.6	+ 7.5	+ 1.4	75.5
śre.		751.712	752.523	751.851	752.417	+ 5°.65	+ 9°.74	+ 12°.25	+ 7°.68	79.7

watoryum Astronomiczném Warszawskiém.

ziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie wschód względem południka paryzkiego.

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé-szczu	śnie-gu
pochmurny	napół pog.	napół pog.	pogodny	Z.	PnZ.	PnZ.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
poch. l. mg.	pr. pogodny	pogodny	lek. poch.	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		
lek. pochm.	pochmurny	lek. pochm.	pr. pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.	2.4	
pogodny	pochmurny	pogodny	lek. pochm.	PdZ.	Pd.	Pd.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Pd.		
pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	PnZ.	2.8	
pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	Pd.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	Pd.	PdW.	PdW.		
pogodny	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	W.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	W.	PnW.	W.		
lek. pochm.	napół pog.	pogodny	pogodny	W.	PdW.	PdW.	PnW.		
napół pog.	lek. pochm.	lek. pochm.	pogodny	W.	W.	W.	W.		
napół pog.	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	PdW.	W.	PdW.	PdW.		
dészcz l. m.	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pd.	PdZ.	Pd.	—	1.8	
mgła gruba	lek. mgła	lek. zamat.	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pogodny	pochmurny	dészcz	Pd.	Pd.	PdZ.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Pd.	PdW.	4.0	
pochmurny	lek. zamat.	lek. pochm.	pr. pogodny	PdW.	Pd.	PdW.	PdW.	0.7	
poch. dész.	pochmurny	lek. pochm.	napół pog.	PdZ.	Z.	PdZ.	Pd.	1.8	
dészcz	pochmurny	napół. pog.	dészcz	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Pd.	1.0	
pochmurny	pochmurny	mży	pogodny	PdZ.	Z.	PdZ.	PdZ.	6.7	
mgła gruba	pr. pogodny	pochmurny	pogodny	Pd.	Pd.	PdW.	PdZ.		
pochmurny	lek. pochm.	pr. pogodny	pogodny	Pd.	PdZ.	Z.	PdZ.		
lek. pochm.	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	—	Pd.		
pochmurny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.	0.7	
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnZ.	Pn.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	Pd.	PdW.	Pd.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
								21.9	

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	752.126	27	9.414
Najwyżéj barometr dochodził d. 29 o g. 10 r.	770.12	28	5.391
Najniżéj — — d. 21 o g. 10 w.	736.80	27	2.621

Dotąd ani razu w Październiku barometr nie stał tak wysoko jak d. 29.

Średnia zmiana dzienna barometru	4.220			1.871	
Największa zmiana dzienna barometru d. 7—8 o g. 4 wiecz.	17.89			7.931	
Średnia wysokość barometru jest wyższa o	1.502			0.666	
od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	750.624		27	8.748	
Średnia temperatura październ. wynosi:	+ 8°.83	C.	+	7°.06	R.
i ta jest wyższa o	0.67	„		0.53	„
od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	+ 8.16	„	+	6.53	„
Największe ciepło było d. 7 o g. 4 w.	+ 20.8	„	+	16.64	„
Największe zimno było d. 30 o g. 6 r.	— 1.9	„	—	1.52	„
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.765	„		2.212	„
Największa zmiana dzienna temperatury d. 7—8 o g. 10 r.	11.6	„		9.28	„

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 18°.2 R. d. 7 po połud.
Minimum: — 1°.7 „ d. 30 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 79.7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru, 7.25 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest przeszło o 0.06 mniejszą od normalnéj.

Ilość wody spadłéj z dészczu wynosi co do wysokości: 21.9 mil. czyli 9.71 lin. par.; ilość ta wody jest o 14.98 lin. par. mniejszą od téj, jaka średnio u nas w październiku spada.

Dni pogodnych było 8, napół pogodnych 9, pochmurnych 14.
— dészczu 13 (d. 4, 6, 7, 13, 17, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 26, 28).
— gradu 1 (d. 4).
— mgły 4 (d. 3, 17, 18, 25).
Wichrów było 3 (3 Z.).
Wiatrów mocnych 3 (2 Z., 1 PdZ.).
Wiatr panujący południowo-wschodni, częste były także południowo-zachodnie i południowe.

Październik r. b. był w ogóle pogodny, suchy, bardzo łagodny, o pół stopnia R. cieplejszy niż zwykle; niektórych dni w południe ciepło dochodziło w cieniu do 18.2 stop. R. tojest takie jak wśród lata. Najcieplejsze dni były: d. 1, 3, 6, 7, 15, 19, 21; najchłodniejsze d. 9, 11, 28, 29, 30, 31. Zmiany temperatury były znaczne; największa zmiana dzienna dochodziła 9.28 stop. R. d. 7 na 8 i téj odpowiadała równie największa zmiana barometru 7.93 lin. par. Pod względem stanu nieba i temperatury miesiąc ten podobny był do października r. z. ale był więcéj suchy i łagodny niż r. z. Barometr utrzymywał się nader wysoko; najwyżéj wzniósł się na 28 cali 5.39 lin. par. tojest tak wysoko jak w żadnym z lat poprzednich. Stan powietrza pod względem wilgotności był znacznie suchszy, gdyż średnia wilgotność miesięczna jest o 6 setnych mniejsza niż zwykle. Wody z dészczu spadło trzy razy mniéj niż w stanie średnim. Piérwszy mróz téj jesieni — 0.2 stop. R. dochodzący, był d. 9 z rana. Elektryczność atmosferyczna w ostatnich dniach czterech była silna.

D. 3, 30, 31 pokazywały się plamy na słońcu.

D. 17 o godz. 12 min. 10 w nocy w stronie północno-wschodniéj nieba, pokazała się kula ognista, która świetną smugę za sobą zostawiła i téj ślad przez półgodziny na niebie zostawał.

D. 21 o godz. 7 min. 45 wieczór w stronie wschodniéj nieba widziano podobną kulę ognistą wielkości pomarańczy, koloru czerwonawego.

D. 13 i 14 nad ranem koła białe otaczały księżyc.

Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :

ul. Ostatnia 17
60-102 Poznań
www.digital-center.pl
biuro@digital-center.pl
tel./fax (0-61) 665 82 72
tel./fax (0-61) 665 82 82